UNIVERSITY OF N.C. AT CHAPEL HILL
00031908375

THE LIBRARY OF THE
UNIVERSITY OF
NORTH CAROLINA

ENDOWED BY THE
DIALECTIC AND PHILANTHROPIC
SOCIETIES

PG7158
.S6
1885
t.1-3

This book is due at the LOUIS R. WILSON LIBRARY on the last date stamped under "Date Due." If not on hold it may be renewed by bringing it to the library.

DATE DUE	RET.	DATE DUE	RET.
AUG 3 1 1982	OCT 1 '82		
AUG 3 1 1984	MAY 1 '8		

Form No. 513

Digitized by the Internet Archive
in 2011 with funding from
University of North Carolina at Chapel Hill

http://www.archive.org/details/pismaposmiertne13sowa

PISMA

JULIUSZA SŁOWACKIEGO

Tom I.

1372

900

WYDAWNICTWA KSIĘGARNI
GUBRYNOWICZA i SCHMIDTA.

	zła.	ct.
Aër. Pierwszy romantyk, powieść	2	60
Dr. Antoni J. Nowe opowiadania, wydanie drugie	3	—
— Opowiadania historyczne, 1 tom	3	—
1) Pod pół księżycem. 2) Książę Sarmacyi. 3) Odwiedziny monarsze. 4) Na kresach. 5) Dwór Tulczyński. 6) Losy pięknéj kobiéty. 7) Tynna w końcu XVIII. wieku.		
— Gawędy z przeszłości, 2 tomy	5	60
Bełza. Wanda. Opera w czterech aktach	—	6[illegible]
BIBLIOTEKA POLSKA. Każdy tom brosz. 1 złr. 80 ct.,w opraw.	2	3[illegible]
T. I II. **Krasiński Z.** Pisma. Wydanie z przedmową Stan. hr. Tarnowskiego, 2 tomy. III — VI. **Mickiewicz Adam.** Dzieła. Wydanie zupełne przez dzieci autora dokonane, 4 tomy.— VII—X. **Zaleski B.** Poezye. Wydanie przejrzane przez autora. — XI. **Pamiętniki Paska.** Wydanie nowe krytyczne, przejrzane przez Dra Węclewskiego.— XII. **Niemcewicz J.** Jan z Tęczyna, Powieść histor. — XIII.—XVI. **Słowacki Juliusz.** Dzieła. Wyd. przej. przez prof. dra A. Małeckego. XVII.—XIX. El...y, (Asnyk Adam). Poezye, 3 tomy. XX.—XXII. **Małecki A.** Życie i pisma Juliusza Słowackiego, wyd. drugie znacznie pomnożone, 3 tomy. — XXIII. **J. Wybicki,** Pamiętniki. — XXIV. — XXV. **Mickiewicz A.** Dzieła. V. VI. — XXVI — XXVIII. **Mickiewicz A.** Korespondencya, 3 t. — XXIX—XXXI. **Kitowicz X.** Pamiętniki i pisma historyczne 3 t. — XXXII.—XXXIII. **Kitowicz X.** Opis obyczajów i zwyczajów za panowania Augusta III., 2 t. XXXIV —XXXVII. **Romanowski M.,** Pisma. 4 t. — XXXVIII. XXXIX. **Słowacki J.** Listy 2 t. wydanie II. znacznie pomnożone. **Słowacki J.** Pisma pośmiertne 3 tomy, wydanie II znacznie pomnożone.		
Bolesławita B. Hybrydy, powieść współczesna	2	40
— Król i Bondarywna, powieść historyczna	2	40
— Nad modrym Dunajem. Nowella	2	40
Bronikowski. Listy Jana III króla polskiego, pisane do królowej Kazimiry w ciągu wyprawy pod Wiedeń w roku 1683	2	80
— Jan III Sobieski i dwór jego czyli Polska w XVIII. w. 2 t.	4	20
Chłędowski J. Sylwetki społeczne	2	40
El...y. Gałązka heliotropu. Komedya.	—	60
Estreicher. W. Pol, jego młodość i otoczenie	2	80
Jeż J. J. Ostapek. Ustęp z przeszłości emigracyjnéj	2	40
Kaczkowski K. gen. szt. lekarz wojsk polskich. Wspomnienia 1808—1831, wydał T. O. Orzechowski, 2 tomy	4	20
Kantecki K. Elżbieta, trzecia żona Jagiełły	1	20
— Dwaj Krzemieńczanie. Wizerunki literackie 2 tomy	3	60
Kubala L. Dr Szkice historyczne, dwie serye każda po	3	40
— Jerzy Ossoliński, 2 tomy	6	80
Lemcke K. Estetyka, 2 tomy	6	40
Liske X. Cudzoziemcy w Polsce. Podróże i pamiętniki	4	20
Listy Tadeusza Kościuszki, zebrane, przez L. Siemieńskiego.	2	80
Lorkiewicz A. Bunt Gdański w r. 1825	1	80
Monumenta historiae polonica. Pomniki dziejowe Polski, t. III. Wydanie nakład. Akad. Umiejęt.	12	—
Niewiarowicz A. L. Wspomnienie o A. Mickiewiczu	2	20
Pamiętnik damy polskiéj z XVIII wieku	1	80
Przyborowski W. Rubin wezyrski. Powieść.	1	80
— Księżniczka z Minsterbergu	1	50
Stadnicki K. Olgierd i Kiejstut synowie Gedymina, W. ks. Litwy	2	40
Sass Berlicz. Mozaika. Gawędy szlacheckie, 2 tomy	3	80
Sewer. Bratnie dusze. Powieść	2	40
Wilczyński A. Kłopoty starego komendanta. Opowiadania, 3 tomy z illustracyami.	5	40
— Pamiętniki plotkarza, 2 tomy	4	[illegible]
— Medytacye kawalerskie	2	40
Wilkońska P. Na teraz, Powieść.	2	20
Wspomnienia Konstantego Wolickiego, z czasów pobytu w cytadeli Warszawskiej i na Syberyi	2	40
Zieliński. August II. i Aurora Königsmark, powieść historyczna, 2 tomy	2	60
Zwierciadło głupstwa. Powieść, napisał Ignotus	3	60

J. SŁOWACKI

PISMA POŚMIERTNE.

WYDANIE DRUGIE, ZNACZNIE POMNOŻONE

staraniem

Dra A. MAŁECKIEGO.

TOM I.

LWÓW.

NAKŁADEM KSIĘGARNI GUBRYNOWICZA I SCHMIDTA,

1885.

Zastrzega się prawo własności na rzecz utworzonego stypendyum imienia Słowackiego dla młodzieży.

Kraków. — Druk Wł. L. Anczyca i Spółki, pod zarządem Jana Gadowskiego.

POEZYE LIRYCZNE i ULOTNE.

CZĘŚĆ PIERWSZA.

DUMA UKRAIŃSKA [1]).

Czemuś smutny, Ruńko młody?
Słyniesz z wdzięków i z urody,
Szybko biega koń twój wrony,
I w pierścienie włos trefiony,
Bystre, czarne twoje oko
W sercach dziewic tkwi głęboko...

Jesteś paziem wojewody,
Lecz nie ciężka twa niewola;
Na stepowe lecisz pola,
Tam wyścigasz wiatr w zawody,
Lub w przyjaciół wiernych gronie
Śpiewasz, brzdąkasz na bardonie...

Ruńko! cóż ci smutek nada,
Jakiej w życiu płaczesz straty?
Źle, gdy wiosną liść opada,
Źle, gdy młode więdną kwiaty:
Kozak zrodzon w Ukrainie
Wesołością, męstwem słynie...

Czemuś smutna, o dziewczyno?
Czemuś smutna, Hanko młoda?..

[1]) Powyższa Duma, następujące po niej cztery Sonety, jako też zamieszczony daléj poemat Szanfary — są to piérwsze próby poetyckie Juliusza Słowackiego. Były pisane w r. 1826, 1827 i 1828, kiedy autor miał lat 17, 18 i 19. Lubo nie dorównywają wartości późniejszych płodów poety, zdawało mi się jednak, że powinny znaleść pomieszczenie w tym zbiorze. *(Przyp. Wyd.)*

W cichém szczęściu dni twe płyną,
Jak ta czysta Dniepru woda;
Wśród przyjaciół, wśród rodziny
Nie doznałaś trosk przyczyny.

Ach! czyliż tylko od burzy
Więdnie kwiatek polnéj róży?
Gdy jéj rosa nie poleje,
Gdy jéj wietrzyk nie obwieje,
Patrz, jak zaraz smutna, blada,
Patrz, jaka bliska skonania:
Listek po listku opada
I do ziemi głowę skłania.

Pod dąbrową, na dolinie
Widna zdala chatka biała;
Przy niéj Dniepr szumiący płynie,
Nad nią brzoza wybujała.
I księżyca światłość blada
Na samotną chatkę pada;
To się srebrną mgłą zasłoni,
To się kryje za obłoki,
Igra w bystréj Dniepru toni,
Lub wśród cichéj lśkni zatoki.

Siedzi Hanka na kamieniu,
Sercem jéj przeczucie miota,
Lica blade — a w spojrzeniu
Niespokojność i tęsknota.
Znika Ruńko ukochany,
Coraz słabszy tętent dzwoni;
Zniknął — i tylko po błoni
Gęste snują się tumany.
Smutna chwila rozłączenia,
Smutna Hanki młodéj dola,
Wzrok jéj tylko i westchnienia
Na samotne lecą pola.

Hanko! słońce szczęścia znika
I na niebie i w twéj duszy,

Smutek serce twe przenika,
Ach! któż twoje łzy osuszy?
Znikły, znikły szczęścia ślady,
Lecz widać jeszcze nadzieję;
Choć jéj promień tak jaśnieje,
Taki drżący — taki blady,
Tak słabo błyszczy dokoła,
Jak nieśmiały blask księżyca,
Co ciemne niebo oświéca,
Lecz go rozjaśnić nie zdoła.

Hanko! Hanko! wstań z kamienia,
Słuchaj — czy to szum téj rzeki?
Czyli mnogich rot tętnienia,
Albo ludu gwar daleki?..
Gęsta mgła okrywa błonie,
Księżyc w krwawym kurzu ginie;
Słuchaj, słuchaj, tam w dolinie
Coraz mocniéj chrzęszczą bronie:..

Spojrzyj — Hanko nieszczęśliwa!
I spojrzała — cała zbladła,
Do swéj chatki drżąca wpadła,
Ojca, matki z trwogą wzywa. —
Coraz bardziéj rośnie wrzawa,
Głośne „Allach“ grzmi po błoni;
I już dzicz Tatarów krwawa
Leci z wrzaskiem, z rżeniem koni. —
Dzika w sercach ich uciecha,
Przez wyparte lecą wrota.
Zewsząd Tatar ogień miota,
Płonie chaty niska strzecha. —

. . . .

Ledwie błysnął świt na niebie,
Już po stepach, już po błoniu
Leci Ruńko na swym koniu,
Hanko! Hanko! to do ciebie. —
Prędzéj od dnieprowéj wody
Spieszy wrony koń wesoło;

Lecz weselszy kozak młody,
Pogodniejsze Ruńka czoło. —

Czemuż? czemuż tak, kozacze
Przez parowy dzikie skaczesz?
Wkrótce gorżko ty zapłaczesz,
Już po tobie Hanka płacze.

Leci kozak — a dokoła
Smutne stepy, puste pole,
Na niém dzikie rosną zioła,
Chwasty, głogi i kąkole.
Wicher bujną trawą miota
I ponuro w stepach szumi...
Bojaźń jakaś i tęsknota
Radość w sercu Ruńka tłumi...

I już słońca blask na niebie
Złoci stepów puste niwy. —
Cóż, czy czeka Hanka ciebie?
Że tak lecisz niecierpliwy. —
Pędzi, leci pośród błonia,
Włos mu czarny z wiatrem płynie,
Równy, grzmiący tętent konia
Razem z echem zwolna ginie...
Patrz! mogiła i kamienie,
Na mogile krzyż wysoko,
A Ruńko westchnął głęboko —
Powiedz, powiedz, to westchnienie
Czy w tym grobie pozostało,
Czy za Hanką uleciało? —

Rzucił kozak szlak stepowy,
Wziął się w prawo na bezdroże,
Między krzaki i parowy,
Gdzie Dniepr więzi ciasne łoże.
Wyprężony w szybkim biegu
Śmiga koń po krętym brzegu,
Po manowcach i w gęstwinie
To się mignie, to znów ginie,

Tak jak płomień z pod ogniska.
Ze szkarłatu czapka błyska. —
. . . .
. . . .
Patrz! już Ruńko na dolinie,
Już z rozpaczy łamie dłonie,
Żadna z oka łza nie płynie,
Chociaż serce we łzach tonie.
Patrz, i czegoż on wygląda
Błędném okiem po téj błoni?
Czy wzrok jego spocząć żąda?
Czy za zbiegłém szczęściem goni?..

Ruńko! biedny, nieszczęśliwy,
W złéj rodziłeś się godzinie;
Jak bluszcz dziki w Ukrainie,
Gdy wśród polnéj błyśnie niwy,
Bez podpory w stepach ginie:
Lub go słońca skwar wypali,
Lub, gdy wzrośnie, gdy zakwitnie,
To go z trawą kosa wytnie,
Lub z podporą wiatr obali. —
Pobiegł kozak nad brzeg rzeki...
Ponura cichość na błoni...
Cóż to? słychać jęk daleki!
Ach to bardon w Dniepru toni,
Tłukąc się o skały z brzękiem,
Konającym zabrzmiał jękiem.
. . . .
I już koń powraca wrony
Zadyszany, zapieniony,
Grzywa z wiatrem rozigrana —
Wbiegł pod zamek wojewody. —
Koniu! gdzieżto Ruńko młody,
Gdzieś ty podział twego pana? —

Nad brzeg Dniepru lud się zbiega,
Coraz bardziéj tłum się mnoży,
Smutny okrzyk się rozlega:
„Zginął! zginął kozak hoży!“

Ruńko burką swą okryty
W ponadbrzeżnym leżał piasku,
A włos czarny, wodą zmyty
W hebanowym lśknił się blasku.
Ruńko! świetniałeś jak zorza,
Byłeś chlubą Zaporoża,
Teraz kopią grób dla ciebie;
Teraz zbladły twoje lica,
Tak jak blednie twarz księżyca,
Gdy spotka słońce na niebie. —

Gdzieżeś płynął, o kozacze,
Z zapienioną Dniepru wodą?...
Czy się złączyć z Hanką młodą,
Która gdzieś w Jassyrze płacze?...
. . . .
Tam, gdzie dawniéj chatka stała,
Stoi mogiła w dolinie,
Przy niéj Dniepr szumiący płynie,
Nad nią brzoza wybujała. —
Gdzie głos Hance ulubiony
Nieraz głuchą budził cisze,
Teraz brzozą wiatr kołysze,
Posępnymi jęcząc tony. —
Ani jednéj łzy, wspomnienia,
Ani żalu, ni westchnienia,
Cicho — jak w północną chwilę:
Samo niebo smutne, mgliste,
Lejąc krople rosy czyste,
Odświeża darń na mogile. —
Takie tylko łzy niestety,
Skoro świt zabłyśnie złoty,
Roszą smutny grób sieroty,
Grób kozaka — grób poety.

Wilno, 1826. 26 sierpnia.

SONETY.

I.

Ledwo słońce na wschodzie odsłoni swe lica,
Ledwo spojrzy po cichéj, samotnéj dolinie,
Mgła się mieni w łzy róży i na kwiaty spłynie,
Chyli się pod perlami róża krasnolica.

Zaledwo w serce moje spojrzała dziewica,
Ledwom zaczął żyć dla niéj i dla niéj jedynie,
Szczęście w łzy się zmieniło, mgła omamień ginie,
Błyszczy gorzkiemi łzami zalana źrenica.

Luba! szczęścia nie znajdzie, kto w twém sercu skona,
I moich cierpień nigdy wątek się nie skończy;
Bo chociaż lotném skrzydłem czas przeminie rączy,

Choć nasze dusze przejdą do wieczności łona,
Gdy twoja tak spokojna, moja tak zwichrzona,
W niebie się nawet dusza z duszą nie połączy.

II.

Zwarzyła jesień kwiaty nad brzegiem strumyka,
Wiatr szumiąc zeschłych liści tumanami miota;
Błyszczy dąb koralowy, błyszczy brzoza złota,
A jaskółkę wewnętrzny niepokój przenika.

Już czas lecieć — gdzie? w sercu znajdziesz przewodnika.
Już czas lecieć, wewnętrzna uczy cię tęsknota.
Siedzi smutna nad gniazdem, skrzydełkiem trzepota,
Zrywa się — podleciała — mignęła i znika.

Jaskółka miała wrócić, nim zefir zawionie,
Pod strzechę, któréj nieraz doznała opieki,
Lecz ją w przelocie morskie pochłonęły tonie.

Lauro, — ja nieszczęśliwy, idąc w kraj daleki,
Myślę, że wrócę kiedyś spocząć na twém łonie...
Próżne marzenia — żegnam, żegnam cię na wieki.

III.

Duszo! śpij duszo moja, coś cierpiała tyle.
Twój Anioł cię opuścił i szczęście się zmienia.
Śpij! ach śpij, duszo moja, dopóki z uśpienia
Nieśmiertelny głos Boga nie wyrwie cię mile.

Śpij serce, już dla ciebie znikły szczęścia chwile,
I na cóż się masz budzić na same cierpienia?
Śpij lutni! próżne, próżne twoje smutne brzmienia,
Ja sam zasnę niedługo w głębokiéj mogile.

Tak wędrowiec grożącéj śmierci niedaleki,
Choć już do dna wychylił trucizny napoje,
Jednak długo się męczy, nim zawrze powieki.

Ja, co piłem tak słodkie, zgubne szczęścia zdroje,
Piłem śmierć z rozkosz czary i zasnę na wieki!
Lecz nim zasnę — ach biédne, biédne serce moje!

IV.

Czyliż kto duszy mojéj wrócić szczęście zdoła?
Czyliż kiedy z łez gorzkich oschnie ma źrenica?
Ta, którą tak kochałem, anielska dziewica
Litością już nie spędzi smutków z mego czoła.

Może kiedyś na łonie innego anioła
Czoło moje rozjaśni szczęścia błyskawica,
Lecz szczęście to nie potrwa! znów ściemnieją lica,
A serce chwil przeszłości z rozpaczą zawoła.

Choć róża raz na wiosnę kwitnie i opada,
Zdarza się, że w jesieni znowu się rozwija,
Lecz wtenczas taka wątła, wysilona, blada.

Tak choć szczęście nie wraca, gdy raz człeka mija,
Czasem przed zgonem uśmiéch na licu osiada,
Ale i w tym uśmiéchu już się śmierć przebija.

1827 r. Wilno.

SZANFARY.

UŁAMKI POEMATU ARABSKIEGO.

I.

Szczęśliwe stepy, ziemia ta szczęśliwa,
Gdzie dniem tak cicho, jak w północnéj dobie.
Tu jeśli serce snów mych nie przerywa,
Zdala od ludzi zasypiam jak w grobie;
Tu mnie nie budzą Muezinów wrzaski,
Ani mię wiążą ostre Ramazany.
Spojrzę po stepie — widzę, jak przez piaski
Tak jak po morzu płyną karawany —
Patrzę i w sercu dawna chęć odżywa —
Dawniéj z Araby ścigałem je zbrojnie,
Dziś już Szanfary nad grobem spoczywa,
I karawany wędrują spokojnie. —
Nim zajdzie słońce, obaczą zdaleka
Ostre Medyny minaretów szczyty.
Tam na nich rozkosz i zbawienie czeka,
Tam każden z grzéchów zostanie obmyty. —
Lecz Arab prędko témi modły syty
W swoje pustynie i skały ucieka;
Bo tam choć ludzie dążą dla pokuty,
Lica ich zdradne i oddech zatruty.
Tam człowiek nędzny bardziéj nikczemnieje
I czołem prochy meczetów zamiata.
Prosi proroka o rozkosze świata,
Bo wyżéj sięgnąć nie śmieją nadzieje.

II.

Ach! któż opisze ten cud niepojęty,
Cud, który nawet u niewiernych słynie:
Możeś był kiedy i widział w Medynie
Grób Mahometa odwieczny i święty?
W tym grobie ciało proroka spoczywa,
A trumna jego, z cięższkiéj kuta stali,

W lekkiéj powietrza unosząc się fali,
Wśród nieba, ziemi waha się i pływa.
Chcąc w cud ten wierzyć, widzieć go potrzeba;
Ale któż zdoła dojść przyczyny cudu? —
Pewnie, gdy anioł niósł trumnę do nieba,
Modły wiernego wstrzymały ją ludu...
Są w świecie serca, które w młode lata
Straciwszy szczęście w samym życia kwiecie,
Nie mogąc w niebo ulecieć ze świata,
Żyją, a przecież nie żyją na świecie:
Lecz nim śmierć więzy cielesne rozkruszy,
Pomiędzy niebem a ziemią się ważą,
Tworzą świat nowy, świat serca i duszy;
W tym świecie żyją, kochają i marzą.

III.

Motyl błyszczący skrzydłami bławatu
Piérwszy dzień, piérwszą godzinę na świecie
Usiadł na łąki najpiękniéjszym kwiecie,
Usiadł — i nigdy nie uleciał z kwiatu.
Krótka niestety jego szczęścia chwila,
Zatruty napój pije z kwiatów łona;
Piérwszy raz stałym widziano motyla,
I wiecznie stały, bo na kwiecie kona. —
Ty, co jak motyl nad kwiatów kobiercem
Do jednéj przylgniesz i duszą i sercem,
Strzeż się; bo ona, choć ma lica cudne,
Nie mając duszy [1]), ma serce obludne,
A okiem swojém tak predko zabija,
Tak predko truje ustami z koralu,
Że życie twoje jak chwila przemija,
A potém wieczność pełna mąk i żalu.
Bo smutne gorzkiéj miłości ofiary
Podług proroka nie idą do raju —
Raj tylko dla tych, co bronią swéj wiary,
Co życie łożą dla swojego kraju;

[1]) Mahomet kobiétom w Alkoranie duszy odmówił. *(Przyp. Aut.)*

A ci, co żyją w istocie bez duszy,
Co ją kochają nad kraj i nad wiarę
I nad proroka, ci za zbrodni karę
Wiecznych Eblisa doświadczą katuszy.

IV.

Patrz, jakie bole z przyrodzenia ręki
Ponosi ślimak w muszli swéj zamknięty: [1])
Owocem cierpień, owocem téj męki
Są drogie perły, dla dziewic ponęty.
Skoro im w oczach perła zajaśnieje,
Oddadzą za nią i cnotę i serce,
Byle dogodzić téj dumy iskierce,
Co wiecznie skryta w sercach kobiét tleje. —
Ale są jeszcze, są pereł rodzaje,
Które dziewica zręcznie łudzić umie;
Perły te równie cierpienie wydaje,
I równie dziewic pochlebiają dumie:
Są to łzy, które leje nieszczęśliwy,
Gdy sercem w sercu dziewicy utonie,
I tak silnymi związany ogniwy,
Nim zerwie łańcuch, wprzód duszę wyzionie...

V.

W ustawnéj burzy nieszczęsny Szanfary
Zasnąć nie może lub zasnąć się boi,
Bo we śnie straszne snują mu się mary;
Lub gdy się serce chwilę uspokoi,
Wtenczas téj chwili, tak rzadkiéj w mém życiu,
Snowi za żadne nie poświęcę skarby:
Bo wtenczas w sercu, jak w niebios odbiciu,
Młodość żywymi maluje się farby;

[1]) Wielu z pisarzów historyi naturalnéj dowodzi, że tworzenie się pereł, tak jak innych ciał narośli, jest skutkiem choroby, a témsamém cierpienia zawartego w muszli ślimaka. *(Przyp. Aut.)*

Gwiazda młodości znów błyszczy nademną —
Niegdyś jéj promień w sercu się objawił,
Chwilę oświecił duszę moję ciemną,
Zagasł i jeszcze ciemniejszą zostawił. —
Widzę ją: — płynie jak postać anioła,
Od słońca skryte musselinem lice,
Lecz z pod zasłony widna białość czoła
I czarnych oczu jasne błyskawice,
A lekki smutek, jak ranna mgła maju,
Długimi rzęsy kryje blask jéj oka...
Jeszczebym teraz przysiągł na proroka,
Że Zara była jedną z dziewic raju,
Które wygnane za swe lekkie winy,
Są tak jak obce dla ludzi i świata;
Zmuszone błądzą wśród ziemskiéj krainy,
Lecz ich myśl ciągle do nieba ulata.

VI.

Brylant największy w koronie Mogoła
Świetnie jaśnieje, pali się i błyska;
Rzekłbyś, że z łona te płomienie ciska,
Których śmiertelne oko znieść nie zdoła.
Jednak pomimo takiéj ognia mocy,
Pomimo tego, że świéci tak jasno,
Gdy słońce zgaśnie, gdy pochodnie zgasną,
I brylant niknie tonąc w cieniach nocy. —
Tysiącznym ogniem oko Zary świéci,
I blaskiem całe olśniło oblicze;
Rzekłbyś, że z serca ten ogień się nieci,
Lecz spojrzyj w serce, a serce zwodnicze;
W łonie piekielne skrywały się jędze,
I zwodnym blaskiem źrenica się lśniła;
Napróżnom wierzył miłości przysiędze:
Żeby kochała, toby nie zdradziła...
Nie! — jam tak często patrzał w Zary lica,
Śledząc najmniejsze jéj poruszeń ślady,
Kiedy miłością jaśniała źrenica:
Jabym tam dostrzegł najmniejszy cień zdrady.

Nie! szczére były jéj słodkie wyrazy,
Serce mówiło jéj oka spojrzeniem:
Brylant, co błyszczy tak silnym płomieniem,
Musi być czysty i bez żadnéj skazy. —
Potém te ognie zgasły po iskierce,
Potém zwodnicze zmieniło się serce.

VII.

Kiedy dopieką słońcem skwary letnie,
Ożywa w stepach szarańcza skrzydlata,
Wzbija się w chmurę i migocąc świetnie
W inne, żyźniejsze krainy ulata;
Bo te pustynie i te dzikie skały
Dały jéj życie, lecz żywić nie mogą.
Tak i my, nędzą przemożeni srogą,
W oszczepy, w strute uzbrojeni strzały,
Spadliśmy nagle na łąki Iranu;
Zadrżeli Persy, bladą zdjęci trwogą,
W haremach trwożne dziewice zadrżały,
Zadrżał sam dumny władca Ispahanu. —
O jak dla serca, dla ucha był miły
Jęk, który wróg mój wydawał przed zgonem!
Arab obfitym ucieszył się plonem,
A Pers zapłakał nad swymi mogiły.

VIII.

Miotany szczęściem, trwogą i nadzieją
Spieszę do Zary niecierpliwym krokiem.
Czyż te łzy jeszcze w oku jéj jaśnieją,
Co przy rozstaniu lały się potokiem?
Ach! usta moje zapytać się boją.
Oto już widzę mą rodzinną ziemię:
Gdzież moja Zara? — „Zara już nie twoją,
Zara niewierna w Sudana haremie“. —
Czarna ta zbrodnia nie uszła bezkarnie;
Ale ją karząc jakie czułem bole,

I jakie teraz ponoszę męczarnie,
Czytaj je wszystkie, czytaj na mém czole! —
Świadczy ta bladość, co jej lica kryje! —
Więc wiész już wszystko — już ona nie żyje —
Ostatnia strzała, co była w kołczanie,
Gorzkie dla Zary niosła pożegnanie.

IX.

Noc tę pamiętam. — Jak cicho w haremie! —
Czyste łzy nocy leją się na ziemię;
Jak pełna róża, tak w pełni rozwity
Fingari [1]) niebios przebiega błękity;
Dusza i oko w zachwyceniu ginie,
Widząc szczyt nieba gwiazdami zasiany.
Tak nieraz błyszczą piaszczyste pustynie,
Gdy na nich luźne staną karawany
I palą ognie: błyskają płomyki,
Ani ich rosa, ani wiatr nie niszczy;
Spojrzyj zdaleka, a cały step dziki
Tak, jako niebo, cały w iskry błyszczy. —
Cicho w haremie; — palmy się kołyszą,
A mgły srebrzyste na ich szczytach wiszą;
Pomiędzy palmy dwie meczetu wieże
Aż pod szczyt nieba sięgają wysoki,
Tak jak modlitwy, jak wiernych pacierze,
Rzucając ziemię, lecą pod obłoki.
Księżyc oświéca złoty szczyt meczetu;
Patrz na téj gwiazdy migające lica;
Widząc ją, sądzi złudzona źrenica,
Że tkwi na ostrym szczycie minaretu. —
Śpiewa dla róży słowik zakochany,
Bo zakochany nie zna, co sen cichy;
Tam znów w murawie błyszczą tulipany
I pełne rosy schylając kielichy
Płaczą, bo nazbyt łzami obciążone:
Tak nieraz ciche przy blasku księżyca

---

[1]) Księżyc. *(Przyp. Aut.)*

Łzy długo skryte i długo tajone
Upuszcza z oczu nieszczęsna dziewica.
Nad kwiaty nocnych motylów tysiące,
Nocy spokojnym ucieszone cieniem,
Błyszczą światłości błękitnym płomieniem,
Tak jak po stepach gwiazdy latające.

X.

Téj nocy — rozpacz porywa mię wściekła! —
Te oczy były świadkami jéj zdrady,
Swiadkami gwiazdy, świadkiem księżyc blady,
I blade duchy Edenu i piekła.
Tam pod palmami Sudan i dziewica,
Oboje w rajskiém zachwyceniu toną;
Widzę, jak ogniem palą się ich lica,
Widzę, jak usta łączą się i płoną. —
Cóż to? — czy zbytkiem rozkosz przesyceni
Blednieje Sudan i Zara pobladła,
Głowa jéj zlekka na łono opadła,
I lica z wrzących pogasły płomieni?
O nie! ta bladość jest bladość śmiertelna,
Jak zemsta moja czarna i straszliwa:
Pocisk zatruty powietrze przeszywa,
Pociskiem siła kieruje piekielna;
W zwodnicze serce swe jady wysączył
I w chwilę lice od jadu skościało...
Chcąc ich rozłączyć, jam ich silniéj złączył,
Dwa serca jedną przeszywając strzałą...
To mię zawiodła ręka moja mściwa...
Obudź się! obudź, Zaro nieszczęśliwa:
Jam chciał Sudana wtrącić w grobu cienie,
A ciebie z ludźmi zostawić dla kary:
Z ludźmi i w piekle jednakie cierpienie,
Piekła na ziemi doświadczył Szanfary.

XI.

Patrz, jak ogniowéj podobne kolumnie
W tysiącznych światłach błyszczą minarety;

Lud do meczetów gromadzi się tłumnie,
I brzmią pobożnym odgłosem meczety.
Muezin wstąpił na wieżę wyniosłą,
Allaha święte rozpoczyna pienie;
Naprzód je niebios odbiło sklepienie,
A potém echo na ziemię odniosło,
I daléj drżące, melodyjne śpiewy
Na skrzydłach wiatru po powietrzu płyną,
Brzmią tak jak w palmach zefiru powiewy,
Tak jak westchnienia tłumią się i giną.
Wszakże się jeszcze Bejram nie zaczyna?
Ni Ramazana nocne nabożeństwa? —
Hymn śmierci głoszą usta Muezina,
I na zabójcę miotają przekleństwa.
Próżno przeklina: ja nie żądam raju:
Bo gdy mnie grono hurysek [1]) otoczy,
Lękać się będę nawet w niebios kraju,
Żeby kobiéce nie zdradziły oczy.
Nie chcę ja raju, lecz proszę proroka:
Niech da méj duszy taki step bez końca,
Step dziki, pusty, bezbrzeżny dla oka,
I wiecznie wrzący promieniami słońca;
A gdy zapragnę, wśród dzikiego błonia
Na me skinienie niech źródło wypływa;
Niech mi tam prorok wróci mego konia,
Który gdzieś w piaskach ruchomych spoczywa;
Niech dla rajskiego duszy zachwycenia
Step ten okryją mych wrogów mogiły,
Niech mi się wrócą méj młodości siły,
Lecz nie wracają młodości cierpienia!
O takiém szczęściu serce moje marzy,
Ach! wtenczas będę zupełnie szczęśliwy;
Niech tylko żaden, żaden człowiek żywy
Téj samotności przerwać się nie waży!

XII.

Patrz, jak te twarde dzikich skał ogromy
Nad fale groźne wysuwają czoła;

---

[1]) Piękne dziewice, które w raju Turkom usługują. *(Przyp. Aut.)*

Próżno nad niemi ryczy wiatr i gromy,
Grom ich i fala poruszyć nie zdoła!
Każda ta skała złożona z korali,
A każdy koral pod wody ukryciem
Niedawno jeszcze obdarzony życiem,
Czuł jak najleksze poruszenie fali:
Lecz późniéj wszystkie te cząstki żyjące
Szukając wsparcia przylgnęły do skały,
Wśród zimnych głazów wiecznie czuciem drżące
Pośród kamieni same skamieniały. —
Tak, kiedy na świat rzucisz szybko okiem,
Ileż serc zimnych oko napotyka:
Ten patrzy na świat obojętnym wzrokiem,
Ten zimnych ludzi jak gadzin unika. —
A jednak każde, każde z tych serc biło
Żądzą wielkości, potęgi i sławy,
Albo z wojennéj ochłonąwszy wrzawy,
Wrzącym się ogniem miłości paliło.
W przyjaźni stałe, w miłości niezmienne
Długo cierpiały na téj nieszczęść ziemi,
Ale trafiając na serca kamienne,
Same się wkrótce stały kamiennymi.

XIII.

W haremie zdala wśród cyprysów cieni
Róża samotna innych róż unika:
Nie jest to czuła kochanka słowika,
Co na słowika pienia się rumieni;
Nie płonie ona tak, jak miłość płonie,
Ani niewinność białym znaczy kwiatem,
Lecz tak, jak ogień przy Eblisa tronie
Błyszczy naprzemian złotem i szkarłatem.
Środek téj róży pozbawionéj liści
Tak czczy i próżny, jak serce dziewicy.
Wszystko w niém mija lotem błyskawicy:
Choć los najsłodsze życzenia uiści,
Nowe i śmielsze powstaną nadzieje;
Zawsze zajęte nowych marzeń snuciem —

I nigdy serce, co tak słabo tleje,
Jedném się stałém nie napełni czuciem. —
Chociaż ta róża tak świetnie się płoni,
Nikogo do niéj nie zwabią jéj wdzięki,
Bo każden pozna, że róża bez woni
Kolce nastawia dla przyjaznéj ręki;
Tam nawet czuły słowik od niéj stroni
I leci daléj rozwodzić swe jęki. —
To godło serca, co serce zdradziło,
Nad smutną Zary błyszczy się mogiłą.

XIV.

Weź zimną muszlę, którą wody siła
Z ciemnéj głębiny na brzeg morza miota.
Chociaż już dawno nie żyje istota,
Która w jéj łonie mieszkała i żyła,
Choć nic kamienna muszla nie ukrywa,
A jednak, słuchaj, coś w jéj łonie szumi;
Szum się ten wiecznie dla ucha odrywa,
Żadna go siła nie zniszczy, nie stłumi; —
Tak jako w gwarze zmięszane wyrazy,
Tak brzmi coś wiecznie wśród téj muszli łona,
I chyba wtenczas głos ten wnętrzny skona,
Gdy samą muszlę rozbijesz o głazy. —
Patrz, jak to serce skrzepłe, lodowate,
Które już płakać i cierpieć przestało,
Choć już przeżyło wrzących ogniów stratę,
I chociaż wszelkie czucie w niém wywrzało —
Jednak głos jakiś, choć serce z kamienia,
Przedłuża cierpień albo szczęścia wątek.
Ten głos — to smutne wyrzuty sumienia,
Ten głos — to echo przeszłości pamiątek. —
Któż tego głosu skrytości przeniknie?
Stłumić go niemasz rady ni sposobu,
Głos ten nas wiernie prowadzi do grobu
I razem z życiem umiéra i niknie.

Wilno, 1828 roku, 10 lutego.

ODA DO WOLNOŚCI [1]).

I.

Witaj, wolności Aniele,
Nad martwym wzniesiony światem!
Oto w Ojczyzny kościele
Ołtarze wieńczone kwiatem,
I wonne płoną kadzidła!
Patrz! tu świat nowy — nowe w ludziach życie.

Spojrzał — i w niebios błękicie
Malowne pióry złotymi
Roztacza nad Polską skrzydła;
I słucha hymnów téj ziemi.

II.

A tam, już w cieniu wieków za nami się chowa
Duch niewoli, i dumną stopą depce trony;
Zgina się pod ciężarem skrwawionéj korony,
Mówi — niezrozumiałe z ust wychodzą słowa.
Tak obelisk, co niegdyś pisanym wyrazem
Dziwił ludy, obwiany mgłą kadzideł dymu,
Dziś, przeniesiony do Rzymu,
Niezrozumiały ludom — umarły — jest głazem.

III.

Niegdyś Europa cała
Była gotyckim kościołem.
Wiara kolumny związała,
Gmach niebo roztrącał czołem...

[1]) Wiersz ten wyszedł jako osobna broszurka, razem z hymnem do Bogarodzicy, pod tytułem: »Oda do wolności i Hymn«, przez Słowackiego. W Warszawie, w drukarni stereotypowéj przy ulicy Królewskiéj, w pałacu Dembowskich Nr. 1065. Roku 1830; format ćwiartkowy, stron 8 i nieliczbowane 2. — Utwór powyższy będzie zapewne najsłabszém ze wszystkiego, co tylko Słowacki kiedykolwiek ogłosił. Pomimo to może być pożytecznym dla studyów nad tym poetą, i przeto nie można go było pominąć. *(Wyd.)*

Drżącym od starości głosem
Starzec, pochylony laty,
Trząsł dumnych mocarzy losem,
Zaglądał w królów siedziby;
Zaledwo promyk oświaty
Przez ubarwione gmachu przedzierał się szyby.

Jakiś mnich stanął u proga — [1]
Kornéj nie uchylił głowy,
Walczył słowami Boga
I wzgardził świętymi kary.
Upadł gmach zachwiany słowy,
Błysnęły światła promienie...
Pierwsze wolności westchnienie
Było i westchnieniem wiary.

IV.

Jak sosny niebotyczne, urośli królowie.
Deptane prawa ludów — gdzież znajdą mściciela?..
Na Albionu ostrowie
Kromwel — któż nie zna Kromwela?...
On dawną krwią Stuartów zalał stopnie tronu
I nie chciał na nie wstąpić — on pogardził tronem.

I czémże dzisiaj jest król Albionu?
Błyszcząca mara — widziadło,
Księżyc na niebie zamgloném,
A słońce praw oświeca tę postać wybladłą.
Ale wielcy mężowie zasiedli do steru,
Świątynię praw dźwigają tysiączne kolumny: —
Patrzcie, jak długim rzędem za trumnami trumny
Wchodzą w posępne gmachy Westminsteru.

V.

O świat nowy hiszpańskie uderzyło wiosło,
Tam brat zaprzedawał brata...

[1] Luter.

Na lądzie nowego świata
Żałobne drzewo wyrosło,
Pod którém, schyleni w trudzie,
Marząc o szczęściu boleśnie,
Usypiali tłumem ludzie,
Tłumami konali we śnie [1])
I śmiercią sen płacili — bo o lepszéj doli
Pod tém się drzewem ludziom o wolności śniło.
Było to drzewo niewoli,
Rosło nad grobem — świat już był jedną mogiłą.

Ostatni więc człowiek skona?
Śmiercią z należnych władcom wypłaci się danin?
O nie! na głos Waszingtona
Zmartwychwstał Amerykanin
I zaprzysiężoną święcie
Wolność okrył wieńcem sławy.

A drzewo śmierci było masztem na okręcie
I zgon niosło na ludy saxońskie — i nawy.

VI.

Więc słońce już w wolności krajach nie zachodzi?
Wolności skrzydła całą osłoniły ziemię.
Godném jest oczu Boga wolnych ludzi plemię.
On bohaterów nagrodzi.

VII.

Jakiż to dzwon grobowy
Z wiejskiego zabrzmiał kościoła?
Idzie tłum pogrzebowy —
Schylone do ziemi czoła;

---

[1]) W Ameryce znajduje się drzewo, nazwane drzewem śmierci, pod którém zasypiający człowiek umiera. *P. A.*

Trumna, za trumną dzieci —
Smutna przyjaciół drużyna
Bladą gromnicą świeci,
Ciche modły powtarza.
Weszli we wrota cmentarza
Pod trumną ramię syna.
Czarną dręczeni rozpaczą,
Czarną okryci żałobą...

Czemuż płaczą nad sobą?
Bogatą wezmą spuściznę.
Dlaczegoż nad nim płaczą?
W grobie zapomni troski...
Bracia! — on umarł — on był ostatnim z téj wioski,
Co widział wolną ojczyznę.
Synowie jeszcze po nim nie zdjęli żałoby,
Już na wolnéj żyją ziemi.
Idźmy więc nad ojców groby,
Wołajmy, bracia, nad nimi —
Może usłyszą w mogile...

VIII.

Widziałem, jak młodzieniec w saméj wieku sile,
Strawiony własnym ogniem — przeklął ogień duszy.
Wołał: — Czemuż Bóg więzów moich nie rozkruszy?..
Lecz wszędy cichość grobowa;
A więc sam odpowiadał: -- Jestem panem życia! —
Okropne rozpaczy słowa!
Z umysłowych władz rozbicia
Została ta myśl straszliwa....
I bladość śmierci lice wyniosłe okrywa.
Ta jedna myśl tysiączne urodziła myśli;
Straszna cierpienia potęga —
Umysł je rozwija, kréśli,
Z niedowiarstwa marą sprzęga...
O niedowiarstwo! ty piekieł pochodnią
Niszczysz mgłę marzeń i blask urojenia złoty.
Gdzież cnota?.. nie ma cnoty!...
I zbrodnia nie jest zbrodnią.

Na niepewnéj ważysz szali
Wzniosłe uczucia w człowieku....
Już wszyscy tak myśleli — i wszyscy wołali:
Jest to chorobą czasu! — jest to duchem wieku!
Ta ciemność była tylko przepowiednią słońca.
Wolności widzim Anioła,
Wolności powstał obrońca.
Podnieście wybladłe czoła!
Daléj — do steru okrętu!
Daléj — na morskie głębinie!
Rzućmy się w odmęt — z odmętu
Może niejeden wypłynie!
Podobni do nurków tłumu,
Co do morskiéj toną fali:
Wśród wirów kręceni szumu,
Już ich fala w głąb porywa;
Ale niejeden wypływa,
Bliski brzegu, lub daleki —
Ten niesie gałąź korali,
Ów w Amfitryt trąbę dzwoni; —
Lecz niejeden zniknie w toni,
W morzu zostanie na wieki.

ROZŁĄCZENIE.

Rozłączeni — lecz jedno o drugiém pamięta:
Pomiędzy nami lata biały gołąb smutku
I nosi ciągłe wieści. Wiém, kiedy w ogródku,
Wiém, kiedy płaczesz w cichéj komnacie zamknięta.

Wiém, o jakiéj godzinie wraca bolu fala,
Wiém, jaka ci rozmowa ludzi łzę wyciska.
Tyś mi widna, jak gwiazda, co się tam zapala
I łzę różową leje i skrą siną błyska.

A choć mi teraz ciebie oczyma nie dostać,
Znając twój dom i drzewa ogrodu i kwiaty,

Wiém, gdzie malować myślą twe oczy i postać,
Między jakimi drzewy szukać białéj szaty.

Ale ty próżno będziesz krajobrazy tworzyć,
Osrebrzać je księżycem i promienić świtem:
Nie wiész, że trzeba niebo zwalić i położyć
Pod oknami i nazwać jeziora błękitem;

Potém jezioro z niebem dzielić na połowę,
W dzień zasłoną gór jasnych, w nocy skał szafirem;
Nie wiész, jak włosem dészczu skałom wieńczyć głowę,
Jak je widzieć w księżycu odkreślone kirem.

Nie wiész, nad jaką górą wschodzi ta perełka,
Którąm wybrał dla ciebie za gwiazdeczkę - stróża;
Nie wiész, że gdzieś daleko aż u gór podnóża,
Za jeziorem, dojrzałem dwa z okien światełka.

Przywykłem do nich, kocham te gwiazdy jeziora,
Ciemne mgłą oddalenia, od gwiazd nieba krwawsze;
Dziś je widzę, widziałem zapalone wczora,
Zawsze mi świecą — smutno i blado — lecz zawsze...

A ty wiecznie zagasłaś nad biédnym tułaczem:
Lecz choć się nigdy, nigdzie połączyć nie mamy,
Zamilkniemy na chwilę i znów się wołamy,
Jak dwa smutne słowiki, co się wabią płaczem.

Nad jeziorem Leman, d. 20. lipca 1835 r.

PRZEKLEŃSTWO.

DO **

Przeklęta! Ty wydarłaś ostatnie godziny
Szczęścia mego na ziemi, ty żądłem gadziny

Wygnałaś na samotność. Bądź wiecznie przeklęta! —
Każdy mój jęk zna ciebie, każda łza pamięta!

Bo kiedy nieszczęśliwy zaklinałem ciebie,
Abyś mi dała nieco przyjaźni i ciszy:
Toś ty mi łzy w powszednim podawała chlebie
I jęcząc, z jękiem w sercu mówiłaś: Niech słyszy!

Cierpiałem i uległem. — Dziś samotny jestem: —
Lecz wiedz, że w samotności, okryty żałobą
Oczy błędne obracam za każdym szelestem:
Czekam — ale nie ciebie, tęsknię — nie za tobą.

Téj czekam omamiony, téj samotny płaczę,
Która mi była siostrą na wygnania ziemi,
Myśląc, że kiedyś duszy oczyma zobaczę
Tę, co w duszę oczyma patrzy anielskimi.

A nigdy serca mego nie umiała krwawić;
A tak się ze mną duszą i myślami dzieli,
Że już dziś sami boscy nie wiedzą anieli,
Czy ją dla mnie potępić, czy mnie dla niéj zbawić.

A ty, a ty, co lałaś żółciowe gorycze,
Skoro się otwiérała serca mego rana,
O gorzéj, niż przeklęta — widmo tajemnicze
Złéj przeszłości — przeklęta bądź i zapomniana!

STOKRÓTKI.

Miło po listku rwać niepełną stokroć
I rozkochanych słów różaniec cedzić,
Miło przy ludziach było raz powiedzieć,
Że się kochamy i mówić po stokroć.

Miło zabłądzić pod lipowe cienie
Z kwiatkami w ręku — i patrząc ukradkiem,

Wzajemnie mówić obrywanym kwiatkiem:
Kochasz!... i pani kochasz mnie szalenie...

Gdy nas różowa poróżniała sprzeczka,
A zgody ciągle zabraniały świadki,
Pamiętasz, luba, jak te białe kwiatki,
Jeden mówił: nie — a drugi: troszeczka.

Dzisiaj samotny, dzisiaj bez nadziei
Błądząc po skałach, wszystkie moje smutki
Zbiegły się razem do białéj stokrótki,
Co była siostrą stokrótek w alei.

Rwałem ją: listki leciały w błękicie
Aż na jezioro ze skały, gdziem siedział;
I wiész, co listek ostatni powiedział? —
Luba, że jeszcze kochasz mnie nad życie.

Veytoux, d. 21. lipca 1835 r. rano.

CHMURY.

Do was, chmury,
Wzrok ponury
    Skrą i łzami,
Sam na ziemi
Pod czarnymi
    Chmur wiankami.

Jak duch trumny,
Smutkiem dumny
    Nad szmer domów
Trzymam skronie
Tam — w koronie
    Chmur i gromów.

Gdzie wam droga,
Chmury Boga,
Mnie weźmiecie:
Bo ja ciemny,
Mglą tajemny,
Sam na świecie.

Tam, za wami,
Gdzie wichrami
Burza kręci, —
Łzą do łzawic,
Do błyskawic
Skrą pamięci.

Lecę! błyskam!
Skrami ciskam,
Jutro zmarły;
Patrzcie na mnie,
Żyjcie za mnie,
Ludzie! karły!

Tu wam, ludzie,
Na ziem grudzie
Mogił grzędy:
Gdzie chmur droga,
Z wichrem Boga
Mnie tamtędy!

Veytoux, 21. lipca wieczór, 1835 r.

OSTATNIE WSPOMNIENIE DO LAURY.

Dawniéj bez serca — dziś bez rozumu —
O biedna Lauro — nim zginę,
Tobie śród głuchych pamiątek szumu
Wianek Ofelii uwinę.

Ty go drżącymi weźmiesz rękoma,
    Jak wąż ci czoło okręci:
Oto bławatki, ruta i słoma,
    A to są kwiaty pamięci.

Burza żywota nad nami mija,
    Przeminie, lecz głowę zegnie:
Śmiech nie pociesza, ból nie zabija,
    Pamięć i rozum odbiegnie;
Cicha spokojność nigdy nie wróci,
    Zniszczenia wicher nie wionie;
Słońce nie cieszy, księżyc nie smuci,
    Cieniami śmierć nie pochłonie...

Za cóż tak zimny nieczucia kamień
    Na serce moje się wali?
Żeśmy się kiedyś w kraju omamień
    Na jednéj drodze spotkali?
Że cię tak długo dźwiękami lutni
    Budziłem i do snu kładłem?
A ty smutniejsza, niż ludzie smutni,
    Biegłaś za inném widziadłem.

I coraz wyżéj w niebo lecąca
    Niknęłaś w marzeń lazurze,
I roztopiona w blasku miesiąca
    Zwiędłą rzuciłaś mi różę.
Nie wiém, czy róża z twojego czoła,
    Czy twoją skropiona łezką,
Czy mi jakiego ręka anioła
    Rzuciła różę niebieską.

Ciemność twéj duszy, jak dżumy plama
    Od ciała przeszła do ciała:
Widzisz jad w sercu? — to łza ta sama,
    Którąś ty w serce nalała;
Widzisz, jak zagasł dziecka rumieniec,
    Gdzieś ty ustami przebiegła?..
A ten na głowie płonący wieniec
    Tyś skrami oczu zażegła.

Dziś, gdy mi włosy burza roztarga,
Ogniami czoło mam sine,
A jakąś dumą drży moja warga,
Że w tych płomieniach nie ginę.
Lecz gdy do szczęścia świat mię zawoła,
Nie biegnę szczęśliwych śladem;
Przeklinam ciebie ogniami czoła,
Serca przeklinam cię jadem.

Więc niech mię prędko chmury czarnymi
Porywa wicher nicości,
Bo już przekląłem wszystko na ziemi,
Wszystko — z aniołem przeszłości....
Tam, gdzie tłum ludzi huczy, ucieka
I falą powraca ciemną,
Nic mnie nie żegna, nic mnie nie czeka,
Nic za mną, i nic przedemną.

Gdy bracia moi, gdy wędrownicy
Lecieli z szumem po niebie,
Ja nieruchomy, gwiazdą źrenicy
Patrzałem w przeszłość, na ciebie.
Dziewice ziemi nieraz postrzegły
Łzawymi oka błękity,
Że oczy moje za tobą biegły,
Żem był na sercu zabity.

Okruszynami nikłéj miłości
Karmiłem blade widziadła,
Ale łza taka, jak łzy przeszłości,
Na żadne serce nie spadła.
Jak oczy moje topią się, mdleją,
Jak myśli rzucają ze dna,
Jak iskry sypią, jak łzami leją,
Ty wiesz! — lecz tylko ty jedna.

A teraz — smutny przeszłości echem,
O ludzie, idę za wami,
Choć śmiech wasz dla mnie — szalonych śmiechem,
Łzy wasze — szalonych łzami;

Lecz gdy się znudzę łez zimnych rosą
I zimnych uściskiem prawic,
Duszę mi od was wichry uniosą,
Lecz wichry pełne błyskawic.

Veytoux, d. 30. lipca 1835 r.

R Z Y M.

Nagle mię trącił płacz na pustém błoniu:
„Rzymie! nie jesteś ty już dawnym Rzymem“.
Tak śpiewał pasterz trzód, siedząc na koniu.

Przedemną mroczne błękitnawym dymem
Sznury pałaców pod Apeninami,
Nad niemi kościół ten, co jest olbrzymem.

Za mną był morski brzeg i nad falami
Okrętów tłum, jako łabędzie stado,
Które ogarnął sen pod ruinami.

I zdjął mię wielki płacz, gdy tą gromadą
Poranny zachwiał wiatr i pędził daléj,
Jakby girlandę dusz w błękitność bladą.

I zdjął mię wielki strach, gdy poznikali
Ci aniołowie fal, a ja zostałem
W pustyni sam, z Rzymem, co już się wali.

I nigdy w życiu takich łez nie lałem,
Jak wtenczas, gdy mnie spytało w pustyni
Słońce, szydzący bóg, czy Rzym widziałem?..

SUMIENIE.

Przekląłem — i na wieki rzuciłem ją samą
I wzburzony, nim księżyc zabłysnął wieczórem,
Jużem się od niéj długiém rozdzielił jeziorem;
A gdy się toń jeziora księżycową plamą
Osrebrzyła, gdy wichry zawiewały chłodniéj,
Jam jeszcze jechał, jeszcze uciekałem od niéj.

I możebym zapomniał, bo koń leciał skoro,
Bo mi piosenkę grały tętniące kopyta,
Gdzie ona... oszukana... przeklęta — zabita...
Patrzę na niebo — księżyc — na gwiazdy — jezioro —
Wszak jęk tu nie doleci... wszak łez nie zobaczę,
To jezioro — to fala — to nie ona płacze.

I możebym zapomniał... lecz gdy to spostrzegła
Blada światłość księżyca — krok w krok za mną biegła.
Próżno się zatokami wężowymi kręcę,
Wszędy mnie księżycowa kolumna dopadła,
Jakby się ta kobiéta do stóp moich kładła
I, niema płaczem, za mną wyciągała ręce.

Rzym, d. 1 maja 1836 r.

UŁAMKI.

Na ustach moich węgiel położył czerwony,
Obrócił na północ twarzą,
I kazał prorokować hymn wrący, szalony:

Narody ziemskie! kiedy was porażą,
Kiedy stracicie nadzieję,
Słuchajcie wieszczów — byście wiedzieli, co każą.

A naprzód temu, co krew waszę leje,
Przez usta, piersi i skórę i oczy,
I znużony jest zemstą i nie mdleje,

Trzy przekleństwa posyłam, i duch proroczy,
  Co ma jak szatan szpony ogniste i skrzydła,
I robaczliwy ząb, co trupy toczy.

Miałem lutnię, co siedem strun miała i widła,
  Na nich był patyk złoty, gdzie łabędziowi
Duszy mojéj spoczynek był — lecz mi obrzydła:

Bowiem nie mogła wydrzéć nic grobowi,
  Nawet pamiątek tych, co nieśmiertelne
Powinny być — a są podobne snowi.

A więc zerwałem naprzód dwie weselne
  Struny na lutni téj, i nigdy więcéj
Już nie obudzę ich: — bo są bezczelne.

Zerwałem drugie dwie, co sto tysięcy
  Wyrazów słodkich, miłych, miłosnych umiały,
I uśpić smutne serce umiały najprędzéj.

Zerwałem trzecie dwie, jak echo skały
  Powtarzające wszystko, co słyszą dokoła:
Albowiem wszystko płacz, co usłyszały.

Została jedna ta, co teraz woła:
  O wy! co w prochu myśli macie i serca,
Z tych serc otrzyjcie rdzę — podnieście czoła!

HYMN
O ZACHODZIE SŁOŃCA NA MORZU.

Smutno mi, Boże! Dla mnie na zachodzie
Rozlałeś tęczę blasków promienistą;
Przedemną gasisz w lazurowéj wodzie
Gwiazdę ognistą.
Choć mi tak niebo Ty złocisz i morze,
Smutno mi, Boże!

Jak puste kłosy z podniesioną głową,
Stoję rozkoszy próżen i dosytu;
Dla obcych ludzi mam twarz jednakową,
Ciszę błękitu.
Ale przed Tobą głąb serca otworzę,
Smutno mi, Boże!

Jako na matki odejście się żali
Mała dziecina, tak ja płaczu bliski,
Patrząc na słońce, co mi rzuca z fali
Ostatnie błyski;
Choć wiém, że jutro błyśnie nowe zorze,
Smutno mi, Boże!

Dzisiaj na wielkiém morzu obłąkany,
Sto mil od brzegu i sto mil przed brzegiem
Spotkałem lotne w powietrzu bociany
Długim szeregiem.
Żem je znał kiedyś na polskim ugorze,
Smutno mi, Boże!

Żem często dumał nad mogiłą ludzi,
Żem nie znał prawie rodzinnego domu,
Żem był jak pielgrzym, co się w drodze trudzi
Przy blaskach gromu,
Że nie wiém, gdzie się w mogiłę położę,
Smutno mi, Boże!

Ty będziesz widział moje białe kości
W straż nieoddane kolumnowym czołom;
Alem jest jako człowiek, co zazdrości
Mogił... popiołom.
Więc, że nieznane gotujesz mi łoże,
Smutno mi, Boże!

Kazano w kraju niewinnéj dziecinie
Modlić się za mnie codzień, a ja przecie
Wiém, że mój okręt nie do kraju płynie,
Płynąc po świecie.
Więc, że modlitwa dziecka nic nie może,
Smutno mi, Boże!

Na tęczę blasków, którą tak ogromnie
Anieli Twoi w niebie rozpostarli,
Nowi gdzieś ludzie w sto lat będą po mnie,
Patrzący, marli...
Nim się przed moją nicością [1]) ukorzę,
Smutno mi Boże!

d. 20. paździer. dopływając do Alexandryi, 1836.

DO TEOFILA JANUSZEWSKIEGO.

Gdzie dziś Neapol jasny? Kto zasiadł nasz ganek?
Kto patrzy na rybackich sklepów złoty wianek?
Gdzie koczujące światła w pół okręgu zwite,
Od wiatru żagielkami białymi nakryte,
Jak te, o których prawi gdzieś Szecherazada,
Ptaków z ognistą piersią, z białém skrzydłem stada?
Nad błękitami siedzą. Przy świetle światełko,
Każde ma białe sobie dodane skrzydełko;
Rzekłbyś, że gwiazd znudzonych lazurami plemię
Bóg skrzydłami uzbroił — i przysłał na ziemię.
Lubiłeś taki widok — ludu ruchy — migi —
Krzyk — życie — otwiérane nożami ostrygi —
Z polipów i gwiazd morskich malownicze wzorki —
Siarczaną wodą z hukiem wystrzelone korki —
Falę ludu, co z sobą po ulicach niesła
Osoby — granem widok płacące i krzesła...
Lubiłeś na to patrzeć, lecz poważnie — z tronu
Drżącego nad falami morskimi balkonu,
Którym architekt tkanki podrzéźniał pajęcze. —
Ja tymczasem, kolorów przeleciawszy tęczę [2]),

---

[1]) Powiedziano nam, że w jednym z rękopisów jest:
Nim się przed Twoją wiecznością ukorzę,
lecz nie zdołaliśmy tego sprawdzić (p. W.).

[2]) *War. I.* Ujrzałem niebo, które po. . . . . .
. . . . błyskawice letnie
. . . . , . . Czy pamiętasz chwile,
Gdy księżyc, wszedłszy stąpał po ławy mogile.
Znając ustawicznego drogę wędrownika,
Widzieliśmy, że wyszedł z chaty pustelnika,

Patrzałem na Wezuwiusz, aż po lawy ścianie
Drący się księżyc wejdzie, na kraterze stanie
I stamtąd białe czoło obróci do świata.
Tak zrodzone na grobie dziecko twego brata,
Któremu piérwsza grobu lilia rówieśniczką,
Zamyśloną na ludzi spojrzało twarzyczką
Z cichéj ojca mogiły... Gdzie nasz lazurowy
Golf? i ciche przy białym księżycu rozmowy?
Jak się wieniec związanych ludzi prędko kruszy!
Wczoraj widziałem wróble spłoszone na gruszy;
Cała hurma na bliskie uniosła się drzewka
Tak zgodnie, że raz biała skrzydełek podszewka
Ku słońcu, to znów cała chyli się ku roli,
Jak podsrebrzone liście rozchwianéj topoli.
Lecz ludzie, piorunową spłoszeni ulewą,
Nigdy [1]) razem na bliskie nie usiędą drzewo,
Ale niezgodnym lotem rozchodzą się błędnie.
Ani tam listek róży, gdzie liść lauru więdnie...

Już miesiąc, jak z jednego wyjechawszy grodu,
Ty pod strzechę własnego domu, w cień ogrodu,
Ja w nieznane uciekam krainy południa
Przed ścigającą myślą i mrozami grudnia.
A gdy mi już na opak idą roku pory,
Gdy zima kwiatowymi ubrana kolory
Ani po górach lekkim płatkiem śniegu sypie,
Ani w kryształ ubiéra brzozy, ani skrzypie
Pod saniami wieśniaka, ani pod stodoły
Zgania wróble, ni smutno zielone jemioły

A potém szedł po góry czarnéj ... krańcu
I stanął na kraterze, jak rycerz na szańcu,
Lub jak anioł na grobie zmarłego człowieka...
Nim odleci w błękity ... zatrzyma się ... czeka...

War. II. Gdzie Wezuwiusz czarniejszém zasępiony licem
Nie lawą, lecz ma srebrnym wybuchnąć księżycem.
Pomnisz, miesiąc, z krateru wynurzony dołów,
Gdy stanął na ponurym kurhanie popiołów
I stamtąd białe czoło obrócił do świata. . .

[1]) *War.* Nigdy się na pobliskie nie przeniosą drzewo.

Różami świegocących osypuje gilów,
W kraju porżniętym wstążką jasną siedmiu Nilów
Mógłbym o spokojnikach zapominać wiejskich,
Pijąc muł Etyopów zamiast wód letejskich.
Lecz ja przeciwnie — wszystkie widziane obrazy
W myśl kładę, jak na wielkie zwierciadło bez skazy,
I chciałbym wam, gdy noc was zimowa zaskoczy,
Tém zwierciadłem Egiptu słońce rzucić w oczy.

Obłąkany nasz okręt zawołał o świcie:
Ziemia! I ziemia wyszła na morza błękicie,
Jak złocistego piasku dzierzgany obrąbek.
Rzekłbyś, że biały siedzi na piaskach gołąbek,
Przypatrując się sobie w zwierciadlanéj fali...
A to był pałac wielki Mohameda-Ali.
Rzekłbyś, że przed nim resztki wieśniaczego płota
Stérczą... to była Ali-Mohameda flota.
Nad tym brzegiem, a z twarzą, jak ją widzę co dnia,
Leżała niesplamiona purpura przedwschodnia;
Na niéj stada gwiazdeczek bladego lazuru —
I jedna tylko palma na prawo z marmuru,
Otoczona rojami nieśpiących wiatraków.
W przezroczu nieba stada wędrujące ptaków,
Tak jak je ręka boża w jeden łańcuch sprzęże,
Przedemną w czarne, długie wiązały się węże...
Tak mi się ukazały afrykańskie brzegi
Smutne, obumarłymi południka śniegi
Zasypane, pod nieba sklepionego łuną,
Długą i rozciągniętą położone struną.
Z niéj jak z boskiego łuku na niebieskie stropy
Strzał słonecznych wiązane wypadały snopy.
Chciałbym się teraz zbliżyć teleskopu szkiełkiem
Do brzegu — spoić tęczą kolorów i zgiełkiem.
Tu przeszywany złotem, przetkany bławatem
Chce być człowiek bawiącym oczy twoje kwiatem;
Nawet w ubiorach ludu taka rozmaitość,
Że cię wkrótce dusząca opanuje sytość,
I szukasz znużonymi oczyma błękitu,
Lecz próżno! — bo dom szczytem przyrasta do szczytu;

Bo ledwo się ogladniesz, zaraz ciebie horda
Oślarzy za złotego zwąchała milorda
I osiołkami drogę zwężoną przegradza —
Chwyta — piastuje — z ziemi podnosi — i sadza
Na szybkolotnym ośle, razów mu nie szczędzi,
Aż biegnąc pod złotego orła cię zapędzi.
Szczęśliwy, kto tak gnany, pod rozsądek ścisły
Oczy podda i wszystkie razem zwiąże zmysły!
Nieszczęsny, kto na boczne bramy się ogląda!
Schyl głowy!.. osioł wleciał pod juki wielbłąda —
Patrzysz... nad tobą arka tłómoków i skrzyni —
Rozbiłeś się na lądzie — a okręt pustyni
Popłynął. — I znów idzie całunem nakryta
Jakaś trumna, szeroka, czarna — to kobiéta!
Płaszczami rozszérzona na całą ulicę,
Z oczami błyszczącymi jako dwie gromnice
Przez dwa białe otwory, z jedwabiu szelestem
Biegnąca... zda się tobie, że pyta: kto jestem?
W łokciach ufaj, jak ryba pływająca w skrzelach,
Rozpychaj tłum — błękitny ustępuje fełach.
Tu pilnująca głową równowagi dzbanka,
Wyprężona przy murach staje Egipcyanka,
Podobna karyatydzie w ścianę wmurowanéj;
Jéj koszula, posłuszna piersi z brązu lanéj,
Nad łonem się podnosi i na dół opada,
O każdy kształt jak wodna łamiąc się kaskada.
Tu europejski ubior, wielki równacz stanów,
Dalej żebrzące stado postaci bocianów
Goni za tobą, prośbą grzechocącą klaszcze —
Czarne, wychudłe, w białe obwinięte płaszcze. [1])
Ledwoś wyrobił w tłumie ulicowym szczerby,
Ledwoś dopadł do bramy: — przy bramie, jak herby,
Żywe wielbłądy okiem przerastając kratę,
Wodą w skórzanych workach zamkniętą skrzydlate,
Stają ci się przed progiem domowym zagrodą,
Odstraszając sączącą się przez skóry wodą.

Nim się myślą o wiekach ubiegłych zasępię,
Bawi mię to, co widzę i słyszę na wstępie:

[1]) *War.* Czarne piszczele w białe owijając płaszcze.

Dziś ludzi, kolorami rozkwiecone klomby —
Jutro ujrzę pomniki — trumny — katakomby —
Wszystko, co pozostało na tym piasku z wieków
Od Egipcyan przez Rzymian podbitych i Greków.
Dosyć już... dziś znużony arabskimi gwary
Siędę w oknie i będę patrzał na port stary
Wielkiego Alexandra, gdzie się jeszcze trzyma
Latarnia morska, świécąc puszczyków oczyma.

Alexandrya, 22 października 1836.

ODWIEDZINY PIRAMID.

Wyjechałem z Kairu dziś ze słońca wschodem. [1])
Mgła biała nad palmowym Kairu ogrodem
Kryła mi złote słońce... i łzy brylantowe
Zawieszała na palmach; a gmachy różowe
Zorzą mglistą, tysiącem wieżowych promieni
Przesuwając się w tajnéj ogrodu zieleni,
Odchodziły gdzieś na wschód. Oślątko me chyże
Leciało, aż się w starym oparłem Kairze.
Łódka stała u brzegu, wsiadłem do niéj — płynę.
Za Nilem widać było zieloną równinę;
Po obu stronach domki białe, pełne krasy;
Za domkami dwa wielkie daktylowe lasy,
Między lasami przestwór i na tym przestworze
Trzy piramidy — daléj żółte piasków morze
I niebo blade — czyste, jak Ptolomeusza
Krąg z kryształu... Na oczach usiadła mi dusza...

Przez Nil cichy prędkimi przeprawiony wiosły
Wysiadam... już zbliżone daktyle przerosły
Czoła dumne piramid — zniknęły pomniki
I tylko las błędnymi pocięty promyki,
Wystrzelony pod niebo, koronami szumny, [2])
Jak przysionek piramid bogaty w kolumny

1) D. 2 listopada 1836.
2) *War.* Drzew wysoko pod niebem koronami szumny.

Przy ludzkich dziełach ręką zasadzony Boga...
I trzy godziny trwała pełna dumań droga,
I więcéj, bo Nil jeszcze nie wrócił do łoża.
Przepływałem jeziora — aż na piasków morza
Wyniosło mię oślątko... Na piaskowym wale
Stały przedemną gmachy błyszczące wspaniale,
Twarzami obrócone do słońca — i do mnie.
Patrzałem na nie — potém na siebie... Jak skromnie
Wyglądałem przy grobach takich! na osiołku,
W pustyni piasku w każdym topiący się dołku.

Bliżéj — z pokorą wszystko opisywać muszę —
W dolinie piasku stoją trzy drzewa: dwie grusze,
A we środku spleciona z kilku palma jedna.
Chociaż w piasku, zieloność je kryje nie biédna;
Jak szmaragdy się błyszczą stojące na straży
Przy dolinie piramid. Szczęśliwy, kto marzy
Pod liściem rozłożystém téj szerokiéj gruszy,
Gdy lawiną kamieni grobowiec się kruszy
I spada z wielkim hukiem.

Na białym kamieniu
Siadłem strudzony w drzewa szerokiego cieniu;
Myślałem, jak ten wąwóz cały piasków przebrnę?
Co czuć będę? i oto... jakieś mrówki srebrne
Pod nogami ujrzałem grzebiące się w piasku.
Wziąłem do rąk stworzenie perłowego blasku
I bawiło mię małe, jak ziarenko żyta...
A domek ich, jak ślady końskiego kopyta,
Obłożony wałami w budowę półkolną,
Przejrzałem cały — potém puściłem je wolno
Obie do rozbitego sarkofagu żłobu,
I wstawszy szedłem prosto do Cheopsa grobu.
A kiedym był u piasków przebytych połowy,
Wzniosłem czoło — spojrzałem górą ponad głowy,
I nie mogłem oczyma dolecieć do szczytu
Grobów, co uleciały w krainę błękitu.
A więc oczy ogromem piramid odparte
Spuściłem... W koło były grobowce otwarte.

W których i proch umarłych dawno powymierał.
Sfinx czarną Kopta twarzą nad piasek wyzierał.
I straszna była dzikość grobowéj doliny.

Wtenczas wypadli słońcem wyschli Beduiny,
Brązowi, w białych płaszczach, jak grobowe sępy,
I porwały mię czarnych szatanów zastępy
I wiedli z krzykiem w groby od wieków milczące,
Paląc pochodnie — blado na słońcu płonące.

Nim doszedłem zaściennéj piramid ulicy,
Schyliwszy się podniosłem kamień soczewicy,
Która dawniej karmiła królów [1]) robotniki
I stała się pomnikiem pomiędzy pomniki;
Ta sama kształtem, tylko wosku wziąwszy białość,
Dziś — różniąca uczone głowy — skamieniałość!
Postrzegłszy, żem krainę głazów ruszał senną,
Jakby mi chcieli w piaskach zadać śmierć kamienną,
Araby mię w grobowcach otoczyli gęściéj,
A każdy trzymał granit ważony na pięści —
Od nowéj się napaści obroniłem skoro [2])
Głaz pamiątek kupiwszy za *para* pięcioro.
I szedłem z Arabami w piramidy łonie,
Szukając drzwi — te były na zachodniéj stronie.
Przed drzwiami do niskiego podobną pagórka
Piramidę maleńką ma Cheopsa córka.
Stanąłem — tak pokornie tu się położyła
Przy mogile ojcowskiéj dziécięcia mogiła,
Że łzy miałem na oczach...

W piramidy ścianach
Jest otwór, gdzie do grobu wchodzisz na kolanach.
Arab z pochodnią wpełznał i zniknął. Musiałem
Synom stepów się oddać i z duszą i z ciałem.
Dwóch zaprzęgło się do mnie, dłonie wzięli w kleszcze,[3])
Trzeci lazł rakiem świécąc, a czwarty mię jeszcze

---

[1]) *War.* Głazów robotniki.

[2]) *War.* Natenczas, chcąc zebrany tłum rozpędzić skoro,

[3]) *War.* Dwóch mnie za ręce ręką chwycili kościaną
A raz stopę drugi raz kolano,
Stawiałem w korytarzu, gdzie mi ścianę spodnią
Twarzą do mnie idący Beduin z pochodnią
Oświecał...

Popychał — i w ciemnościach mnie gmachu pogrzebli
I śliskimi kominy, bez schodów i szczebli
Wiedli w górę, aż wreszcie mogłem podnieść głowy,
Obaczywszy się żywym w *Komnacie Królowéj.*
I daléj korytarzem trumnianego ula [1])
Pełznąc, obaczyłem się w Sali trupa Króla.
Blask pochodni się lekko po ścianach rozpłonił.
Sarkofag próżny — ręką uderzyłem — dzwonił,
Jak rzecz pusta...
Wyszedłem z granitowéj skały
Jak senny, zadziwiony dniem, co świécił biały,
Palm zielonością, piasków oświéceniem złotém,
Westchnąłem z głębi piersi... za niczém... a potém
Obróciwszy się, czarne zapytałem gwidy,
Gdzie — którędy się idzie na szczyt piramidy?
Pokazali mi lewy brzeg nierówno zlany
Z ciemnéj nie oświéconéj promieniami ściany.
Przemierzywszy, jak czynią podróżni roztropni,
Wielkość każdego — mnogość do przebycia stopni,
Wiedząc, jak się grobowce pod nogami [2]) kruszą,
Arabom się oddałem ciałem, Bogu duszą.

Z dwóch Beduinów tylko mój orszak się składał,
Każdy na wyższy kamień wskakiwał, przysiadał
I podawał mi ręce... i tak szedłem długo.
Raz mi kamień był stołem, drugi raz framugą.
Trzy a zaledwie z dołu widziane szczelinki
Były jak trzy komnaty, na trzy odpoczynki.
W głowy zawrocie jużem nie pomniał, gdzie idę,
I tak wszedłem na pierwszą w świecie piramidę.

NA SZCZYCIE PIRAMID [3]).

Jak dwaj czarni z białymi skrzydłami anieli
Dwaj Arabi na rogach pomnika stanęli,
Ja na głazie najwyższym... Chciałem zebrać wzrokiem
Cztéry ściany spadzistym lecące potokiem

---

[1]) *War.* I znów jak przez korytarz kamiennego ula.
[2]) *War.* Kamienie pomnikowe.
[3]) W rękopisie, według którego drukujemy, ta część ma powyższy tytuł (Przyp. Wyd.).

I nie mogłem ogarnąć — bo na to potrzeba
Być słońcem — i na królów groby patrzeć z nieba.
Arabi stali cicho — za nimi zwierciadłem
Był sklep błękitu — w niebo spojrzałem i siadłem.
Patrząc na różnych w koło napisów kobierce.
Cicho — zegarek słyszę idący — i serce...
Czas i życie. — Spojrzałem na błękit rozciągły,
Świat przybrał kształty Bogiem widziane — był krągły.
Zdala Kair... Nil... łąki... daktylowe laski...
Bliżéj — pustynia... złotem oświécone piaski...
Bliżéj — trzy drzewa, figa, pod nią cienia chłodnik,
A w nim stał mój osiołek i Arab przewodnik.
Patrząc na nich, myślałem o mrówce ze srebra...
Bliżéj — dolina piasku, cała w równe żebra
Wichrem zmarszczona — i Sfinx, i grobowce białe [1]) —
Ziemia widoma... wszystko dojrzane, lecz małe...

Inny widok na prawo, inna była scena:
Naprzeciwko Cheopsa stał pomnik Cefrena,
Tak że orzeł po równéj krainie błękitu
Mógł płynąć od jednego do drugiego szczytu.
Dwie piramidy wąwóz tworzyły głęboki,[2])
A zachodniego słońca czerwone potoki
Jakby falami ognia płynęły tamtędy,
Lejąc się przez grobowców utworzonych rzędy.

Ale większy był jeszcze widok z innéj strony:
Pustynia — i ogromny krąg słońca czerwony
Chylił się do zachodu...

I większy był jeszcze
Widok — w myślach — na wieki, lecące jak deszcze
Po granitowych ścianach; na pożarów łuny,
Na ogromnych wypadków bijące pioruny...

---

1) *War.* Grobów okruszyny białe.

2) *War.* Dwie równe — myśli trwożne trzymające w grozie
Tworzyły wąwóz gmachów... w głębokim wąwozie,
Na ziemi — właśnie słońce patrzało tamtędy —
Widać było aż w głębi dwa mrówczane rzędy
Czarności nieruchoméj... były to poryte
Mogiły, niecałymi kamieniami kryte.

Kiedym to wszystko wstawił i w grobie pochował,
Zdało mi się, że Mojżesz krwią Nil zafarbował
I że płynął czerwony wypadków posoką;
A tak myśląc, po głazach obłąkane oko
Padło na jakiś napis — strumień myśli opadł...
Ktoś dwudziesty dziewiąty przypomniał Listopad,
Polskim językiem groby Egipcyanów znacząc...
Czytałem smutny — człowiek może pisał płacząc.

PIEŚŃ NA NILU.

Nie szumi liść, nie szumi gaj,
Jakie niebo, jaki kraj!
Z cegieł stoją wielkie góry,
A na cegłach leżą chmury.

I jam cierpiał i jam żył,
Jam w letejskich wodach pił,
Dziś w Nilowe fale mętne
Patrzą oczy moje smętne.

Patrzę smutny, patrzę w dół,
Czy kto moje serce struł,
Że śpi teraz jak łabędzie,
Że mu wszystko jedno wszędzie...

Łódko, łódko, dalej nieś!
Tu na brzegu stoi wieś,
Tu gołębi jakby śniegu,
Chmura ptaków, wieś na brzegu.

Dalej, łódko, od tych kras!
Tu palmowy stoi las
I gliniana chata w głębi
Z wiankiem ciernia i gołębi.

Arab.

O! nie zazdrość szczęścia im,
Patrz, nie idzie z chaty dym.
Nieszczęśliwy los lepianek,
Choć z gołębi mają wianek.

Może tam zarazy strup,
Może w chacie leży trup,
Dzieci płaczą przy tapczanie.
Trup nie słyszy i nie wstanie.

Trupa trzeba ziemi dać,
I gołębie będą spać,
Gdy wychodzi trup nędzarza,
Gdy powróci syn z cmentarza.

Poeta.

Jeśli tak, to łódko tam
Te błękitne fale łam.
Do téj chaty nieś mię, łodzi!
Wejdę tam, skąd trup wychodzi.

Tam nieś, łódko... tam mi żyć,
Będę jęczeć, będę wyć,
Serce kąsać nadaremno
A gołębie spać nademną.

Arab.

Co zamyślasz? czy ty śnisz?
Gdy uczują ptaki krzyż,
Świty białe, wschodu róże,
Rozlecą się po lazurze.

Allach! wicher będzie wiał
I przyniesie czworo skał,
I położy grób na grobie
Na gołębiach i na tobie.

POETA.

Jeśli tak, ha! jeśli tak,
Niechajż śpi i wichr i ptak!
Ja nie spocznę w głębi chaty,
Lecz polecę jak skrzydlaty.

Jak od młodych moich lat,
Ja polecę lotem w świat.
Daléj, łodzi!

ARAB.

Nocleg tobie
W Ramazesa starym grobie.

POETA.

Tam przynajmniéj jednę noc
Odzyskam sen, odzyskam moc,
I spać będę z cichą twarzą
Pod gołębi sennych strażą.

Czy daleko stąd ten grób,
Gdzie ja będę spał jak trup
Umęczony?

ARAB.

Niedaleko!
Za tą palmą, tam, nad rzeką;
Lecz go teraz kryje mgła.

Mówił tak, a łódka szła.

ROZMOWA Z PIRAMIDAMI.

Piramidy, czy wy macie
Takie trumny, sarkofagi,
Aby miecz położyć nagi,
Naszę zemstę w tym bułacie

Pogrześć i nabalsamować,
I na późne czasy schować?
— Wejdź z tym mieczem w nasze bramy,
Mamy takie trumny, mamy.

Piramidy, czy wy macie
Takie trumny, grobowniki,
Aby nasze męczenniki
W balsamowéj złożyć szacie;
Tak by każdy na dzień chwały
Wrócił w kraj choć trupem cały?
— Daj tu ludzi tych bez plamy,
Mamy takie trumny, mamy.

Piramidy, czy wy macie
Takie trumny i łzawice,
By łzy nasze i tęsknice
Po ojczystych pól utracie
Zlać tam razem i ostatek
Czary dolać łzami matek?
— Wejdź tu, pochyl blade lice,
Mamy na te łzy łzawice.

Piramidy, czy wy macie
Takie trumny zbawicielki,
Aby naród cały, wielki,
Tak na krzyżu, w majestacie
Wnieść, położyć, uśpić cały
I przechować — na dzień chwały?
— Złóż tu naród, nieś balsamy,
Mamy takie trumny, mamy,

Piramidy, czy została
Jeszcze jaka trumna głucha,
Gdziebym złożył mego ducha?
Ażby Polska zmartwychwstała?
— Cierp a pracuj! i bądź dzielny,
Bo twój naród nieśmiertelny,
My umarłych tylko znamy
A dla ducha trumn nie mamy.

Z LISTU DO KSIĘGARZA

(Eustachego Januszkiewicza).

Jeszcze chodzą przed oczyma
Róże, palmy, wieże, gmachy,
Kair, Teby, Tyr, Solima,
Mój Eustachy.

Jeszcze głowa dyabła warta,
Jeszcze morskie czuję strachy,
Wycia hyjen, lwa, lamparta,
Mój Eustachy.

Jeszcze długo spocząć trzeba,
Nim przywyknę widzieć dachy
Zamiast płócien, palm i nieba,
Mój Eustachy.

Lecz ty wyrwiesz mnie z letargu,
Ty pomięszasz róż zapachy
Księgarskiego wonią targu,
Mój Eustachy.

Będę tobie wdzięcznym za to,
Przypomnisz mi kraj i Lachy
Zniechęceniem, troską, stratą,
Mój Eustachy.

Ty napiszesz mi, jak stoją
Poetycznéj muzy gachy,
I co piszą i co broją,
Mój Eustachy.

Dla nich rosły świeże laury
I szczękały druku blachy,
Gdym ja gonił Kofty, Maury,
Mój Eustachy.

Niech śpiewają więc „Te Deum“,
Żem rok zgubił, budząc Grachy
I Scypiony w Koliseum,
Mój Eustachy.

Lecz się wmięszam do antyfon,
Na egipskie klnę się ptachy,
Na kościoły, gdzie Bóg Tyfon,
Mój Eustachy.

Klnę się tobie i na Ator,
Co w Tentyrze ma swe gmachy,
Że się porwę, jak gladyator,
Mój Eustachy.

D. 9. lipca 1837. w kwarantannie Livorno.

DO ANIELI M.

I.

O tak, zaprawdę, że wybrałaś świetne
Oczy, ażeby je łzami zaprószyć!
O tak, zaprawdę, że chcąc serce skruszyć,
Wybrałaś dzikie, smutne i szlachetne.

Lecz go łzy dotąd nie otruły setne,
Bo serce moje jest losu i Boga,
A wprzód, niż miałaby je zdeptać noga,
Prędzéj je zimném żelazem rozetnę.

I próżno powiész, bo nikt nie uwierzy,
Abym twój nosił znak u lewéj strony:
Bo moje serce jest w płaszczu rycerzy,
Którzy na bieli mają krzyż czerwony;
A nad niém jeszcze jest pancerz stalony,
A ono jeszcze głębiéj — w trumnie leży.

Październik, 1838. Florencya.

DO TÉJŻE.

II.

Ogniem, żałością wre zamknięte łono;
A kiedy zaczną się na serce dąsać,
Chciałbym je wyrwać z mych piersi i skąsać
I precz odrzucić tę rzecz tak zhańbioną

Twoją miłością, że ognie, co płoną,
Dotąd nie mogły go uczynić czystém!
A ty myślałaś, że ja z tém ognistém
Sercem — nazwę cię kochanką i żoną?

O! pierwéj piekło, niżby czoło dumne
Na twojém zimném sercu kiedy spało!
A niż całować twe usta rozumne
I twoje białe, marmurowe ciało
Owionąć ogniem i żyć z taką skałą,
Jaka ty jesteś, zimna, — lepiéj w trumnę!

NA SPROWADZENIE ZWŁOK NAPOLEONA.

I wydarto go z ziemi — popiołem,
I wydarto go wierzbie płaczącéj,
Gdzie sam leżał — ze sławy aniołem,[1])
Gdzie był sam[2]) — nie w purpurze błyszczącéj,
Ale płaszczem żołnierskim spowity,
A na mieczu,[3]) jak na krzyżu, rozbity.

Powiédz, jakim znalazłeś go w grobie,
Królewiczu, dowódco korabli? —
Czy rąk dwoje miał krzyżem na sobie,[4])
Czy z rąk jednę miał przez sen na szabli?
A gdyś kamień z mogiły podźwignął,
Czy trup zadrżał? — powiédz — czy się wzdrygnął?

---

[1]) *Waryant.* Gdzie był sam — lecz ze sławy aniołem (Ręk.). [2]) *War.* Gdzie sam leżał (Młoda polska). [3]) *War.* A na szabli (Ręk.). [4]) *War.* Czy swe ręce miał krzyżem na sobie (Ręk.).

Bo on wiedział[1]) że przyjdzie godzina,
Co mu kamień grobowy rozkruszy;
Ale myślał, że ręka go syna
W tym grobowcu podźwignie i ruszy,
I łańcuchy zeń zrzuci[2]) zabójcze
I na ojca trup — zawoła: Ojcze!

Ale przyszli go z grobu wyciągać —
Obce twarze zajrzały do lochu —
I zaczęli prochowi urągać,
I zaczęli nań wołać: „Wstań, prochu!“
Potém wzięli tę resztkę[3]) zgnilizny
I spytali: „Czy chcesz[4]) do ojczyzny?“ —

Szumcie, szumcie więc, morza lazury,
Gdy wam dadzą nieść trumnę olbrzyma!
Piramidy! wstępujcie na góry
I patrzajcie nań wieków oczyma!
Ta na morzu mew girlanda[5]) szara
Jest to flota z popioły Cezara.

Z tronów patrzą szatany występne,[6])
I car patrzy[7]) blady z poza lodów;
Orły siedzą na trumnie posępne,
I ze skrzydeł krew sączą[8]) narodów —
Orły niegdyś skrzydlate[9]) i dumne
Już nie patrzą na słońce, lecz w trumnę.

Prochu! prochu! o leż ty spokojny,
Gdy zagrają[10]) trąby śród odmętu,
Bo nie będzie to hasło do wojny,
Ale hasło pogrzebne[11]) lamentu:
Raz ostatni hetmanisz ty roty!
Duch zwycięży — lecz zwycięstwem Golgoty[12]).

---

[1]) *War.* Bo on przeczuł (Ręk.). On przeczuwał (Mł. pol.) [2]) Zdejmie (Mł. pol.). [3]) Trochę (Mł. pol.). [4]) Chce (Mł. pol.). [5]) Tam! na morzach! mew gromadka (Mł. pol.). [6]) Przestępce (Mł. pol.). [7]) Car wygląda (Mł. pol.). [8]) Trzepią (Mł. pol.). [9]) Zdobywcze (Mł. pol.). [10]) Usłyszysz (Mł. pol.). [11]) Pacierzy (Mł. pol.). [12]) I zwyciężysz zwycięstwem Golgoty (Mł. pol.).

Ale nigdy, o nigdy, choć w ręku
Miałeś berło, świat i szablę nagą,
Nigdy, nigdy nie szedłeś śród jęku
Z taką straszną królewską [1]) powagą,
Z takiém strasznėm [2]) na przyszłość obliczem,
Jak dziś, prochu [3]), gdy wracasz tu — niczém.

W czerwcu 1840.

POGRZEB KAPITANA M. [4])

Braliśmy biédną trumnę ze szpitalu,
Do żebrackiego mieli rzucić dołu;
Ani łzy jednéj, pamiątki i żalu,
Ani westchnienia nad garstką popiołu!
Wczoraj — był pełny młodości i siły!
Jutro — nie będzie nawet i mogiły! —

Gdyby przynajmniéj przy rycerskiéj śpiewce
Karabin jemu pod głowę żołnierski —
Ten sam karabin, w którym na panewce
Kurzy się jeszcze wystrzał belwederski!
Gdyby miecz w sercu, lub zabójcza kula! —
Lecz nie! — szpitalne łoże i koszula!

Czy on pomyślał — śród nocnych błękitów,
Gdy Polska z grobu powstająca jękła,
Gdy leżał smętny w trumnie Karmelitów,
A trumna w chwili zmartwychwstalnéj pękła,
Gdy swój karabin przyciskał do łona,
Czy on pomyślał wtenczas, że tak skona?!

Dziś przyszedł do nas szpitalu odźwierny,
I przyszły wiedźmy, które trupów strzegą,
I otworzyły nam dom miłosierny,
I rzekły: „Brata poznajcie waszego! —

[1]) Z tak ogromną bezśmiertnych (Mł. pol.). [2]) I mocą... i tak dumném (Mł. pol.). [3]) Jak dziś wielki! (Mł. pol.). [4]) Majznera (p. Wyd.).

Czy tensam, który z wami się po świecie
Kołatał wczora? — czy go poznajecie?“

I płachtę z głowy mu szpitalną zdjęto
Nożem pośmiertnych rzeźników czerwoną;
Źrenicę trzymał na blask odemkniętą,
Ale od braci miał twarz odwróconą;
Więceśmy rzekli wiedźmom, by zawarły
Trumnę, bo to jest nasz brat ten umarły.

I przeraziła nas wszystkich ta nędza,
A jeden z młodszych spytał: „Gdzież go złożą?“
Odpowiedziała mu szpitalna jędza:
„W święconéj ziemi, gdzie przez miłość bożą
Kładziemy poczet nasz umarłych tłumny,
W jeden ogromny dół, na trumnach trumny.“

Więc ów młodzieniec, męki czując szczére,
Wydobył złoty jeden pieniądz drobny
I rzekł: „Zaśpiewać nad nim „miserere“!
Niechaj ogródek ma i krzyż osobny...“
Umilkł, a myśmy pochylili głowy,
Łzy i grosz sypiąc na talérz cynowy.

Niech ma ogródek — i niech się przed Panem
Pochwali tém, co krzyż na grobie gada:
Że był w dziewiątym pułku kapitanem,
Że go słuchała rycerzy gromada,
A dziś ojczyźnie jest niczém niedłużny,
Chociaż osobny ma kurhan — z jałmużny.

Ale Ty, Panie, który z wysokości
Patrzysz, jak giną ojczyzny obrońce,
Prosimy Ciebie przez tę garstkę kości,
Zapal przynajmniéj na śmierć nasze słońce!
Niechaj dzień wyjdzie z jasnéj niebios bramy,
Niechaj nas, Panie, widzą, gdy konamy!

DO MATKI.

Zadrży ci nieraz serce, miła matko moja,
  Widząc powracających i ułaskawionych:
Kląć będziesz, że tak twarda była na mnie zbroja,
  I tak wielkie wytrwanie w zamiarach szalonych.

Wiém, że wróceniem mojém lat-bym ci przysporzył;
  Wszakże gdy się spytają, czy twój syn powraca, [1])
Mów: syn twój na sztandarach jak pies się położył,
  I choć wołasz, nie idzie; oczy tylko zwraca,

Oczy zwraca ku tobie... więcéj nic nie może,
  Tylko spojrzeniem tobie smutek swój tłómaczy;
Lecz woli tutaj konać, niż iść na obrożę,
  Bo woli zamiast hańby... pić czarę rozpaczy!

Przebaczże mu, o moja ty piastunko droga,
  Że się tak zaprzepaścił i tak zaczeluścił;
Przebacz... bo gdyby nie to, że opuścić Boga
  Musiałby — toby ciebie pewno nie opuścił.

DO LUDWIKI BOBRÓWNY.

Gdy na Ojczyznę spojrzą oczy Lolki,
  Karmione złotem i tęczową czczością,
Niechajże spojrzą tak, jak oczy Polki,
  Spokojnie — ale z ogniem i miłością.

Kiedy je patrzeć na smutek przymuszą,
  I na lud, który gdzieś w łańcuchach pędzą,
Niechaj te oczy łzami się zaprószą —
  Lecz niech się nigdy nie zamkną przed nędzą.

[1]) Wiem, żebym ci wróceniem swojem lat przysporzył
Mów, kiedy cię spytają, czy twój syn powraca,
Że syn twój i t. d. (Autograf według »Warty«).

Kiedy z tych oczu łez opadnie rosa,
 A ludzie będą chciwie w nie patrzali,
Niech oczy całe pokażą niebiosa
 Aż do błękitu dusz i jeszcze daléj.

A kiedy przyjdą porwać naród z trumny
 I rzucić w ogień tych, co skry się boją,
Niech w oczach będą takie dwie kolumny,
 Jak ognie, które na wulkanie stoją.

Wtenczas ja powiém srodze rozkochany,
 I nawet w rymy to zamknę królewskie:
Że choć widziałem w oczach cztéry zmiany,
 Prawdziwie Lolka ma oczy niebieskie.

DO PASTERECZKI.

SIEDZĄCÉJ NA DRUIDÓW KAMIENIACH W PORNIC NAD OCEANEM.

Jak ty mi jesteś wdzięczna,
 Duszeczko moja mała,
Słoneczna i miesięczna,
 Prawie bez krwi i ciała.
 Gdyś wysoko siadała
Z główką w zorzy pierścieniach,
Na Druidów kamieniach,
 Śród jałowcowych krzaków:
 Ćwieki twoich chodaków
 Błyskały mi na lice
 Jako dwa półksiężyce
Czerwoną zorzą ranną;
 Ty byłaś mi zarazem
Chłopczzką i Dyanną,
 Zjawieniem i obrazem,
Kochanką i dziécięciem —
Smutkiem i wniebowzięciem...

Włoski twoje jak zboże
Złote i przezroczyste
Wiatr unosił na morze,
A we włoskach ogniste
Ranunkuły z doliny,
Jak maki Ukrainy,
Zdawały się ogniami,
Które tobie do lica
Przypięła upiorzyca
Śpiąca w grobie — pod nami...

Za tobą — szafir mórz
Dzielił kibić na dwoje:
Nad głową — jak zawoje
Jutrzenki pełne róż,
I chwasty w dyamentach
Około ciebie skrzyły,
A ty na monumentach —
Stróżka i duch mogiły,
Z niewinnością na licach,
Z nóżkami na księżycach...

W PAMIĘTNIKU ZOFII ***.

Niechaj mię Zośka o wiersze nie prosi,
Bo kiedy Zośka do ojczyzny wróci,
To każdy kwiatek powie wiersze Zosi,
Każda jéj gwiazdka piosenkę zanuci.
Nim kwiat przekwitnie, nim gwiazdeczka zleci,
Słuchaj — bo to są najlepsi poeci.

Gwiazdy błękitne, kwiateczki czerwone
Będą ci całe poemata składać.
Jabym to samo powiedział, co one,
Bo ja się od nich nauczyłem gadać;
Bo tam, gdzie Ikwy srebrne fale płyną,
Byłem ja niegdyś, jak Zośka, dzieciną.

Dzisiaj daleko pojechałem w gości
I daléj mię los nieszczęśliwy goni.
Przywieź mi, Zośko, od tych gwiazd światłości,
Przywieź mi, Zośko, z tamtych kwiatów woni,
Bo mi zaprawdę odmłodnieć potrzeba.
Wróć mi więc z kraju taką — jakby z nieba.

13 marca 1844. Paryż.

WSPOMNIENIE PANI DE ST. MARCEL

Z DOMU CHAUVEAUX.

Staruszko moja, o staruszko moja!
Twoje mieszkanie takie wonne tobą,
Na murach jego jak z obrazów zbroje,
A każdy obraz był jakąś osobą!
Dziś raz ostatni widząc pożegnałem,
Wszedłszy do domu — bym poszedł za ciałem.

Dawno bez męża i bez towarzysza,
Który niedawno ciebie odszedł stary,
Przycichłaś w domu: dziś ta sama cisza
W domu, a w bramie stoją twoje mary.
Gdym wszedł, myślałem: twa szata szeleszcze,
Ogień się palił, zegary szły jeszcze.

Lecz jakaś ciemność, dziwne jakieś mroki
Nad twym kominem, nad twoją kotarą,
Jakby te duże śmiertelne obłoki,
Które zmieniają dzień w godzinę szarą,
A człowiekowi bronią słów i ruchów,
Bo są z poważnych i ze smętnych duchów.

Lat dziewięćdziesiąt ciałoś ty nosiła;
Przez krew — szły twoje panieńskie nóżeczki,
Przez smutek — starość szła twoja pochyła,
A w trumnie leżą już tylko kosteczki.

Wszystkoś wybrała ze skarbów żywota:
Czemuż po tobie ta wielka tęsknota?

Może dla tego, że gdym twoje ściany
  Odwiédzał, dawno światem niezabawne,
To spotykały mnie republikany,
  I wielkich imion dawne duchy sławne,
I wszystkie stały z odkrytemi głowy
Słuchając we mnie grzmiącéj polskiéj mowy.

Gdym nieraz siedział przy twoim kominie,
  A ty myślałaś, że ja sobie drzémię,
Jam na mownicy stał w tych duchów gminie
  I brałem sobie między nimi imię —
Od głów zaczynał, aż do serc im sięgał
I znów na wielką'm ich sprawę sprzysięgał.

A ty jak trupek w krześle pod zamętem
  Cicha, podobna do Park, życia matek,
Byłaś jakby tych sejmów prezydentem; —
  Dzisiaj próchenko ciała i opłatek,
Bo miejsca duch lat dziewięćdziesiąt bronił,
A nie ustąpił — aż Pan Bóg zadzwonił.

Dla tegom ja cię czuł pod suchą kością
  Dobrą, choć ludzie o złość oskarżali;
Tyś sławne imię nosiła ze złością,
  A ja sam takie noszę, co mnie pali,
Gdym jest wielkimi burzami natchnięty,
A w burzach nawet czuję się, żem święty.

Wszystko to w głębi twojego pokoja
  Czułem dziś, patrząc na złoconą ścianę.
Żegnajże, cicha staruszeczko moja,
  A pamiętaj mi na sejmy zerwane
I poślij zgraję twoich duchów tłumną
Mnie, który szedłem dziś jeden za trumną.

14 Stycznia 1846.

TESTAMENT MÓJ.

Żyłem z wami, cierpiałem i płakałem z wami;
  Nigdy mi, kto szlachetny, nie był obojętny:
Dziś was rzucam i daléj idę w cień — z duchami —
  A jak gdyby tu szczęście było — idę smętny.

Nie zostawiłem tutaj żadnego dziedzica,
  Ani dla mojéj lutni, ani dla imienia:
Imię moje tak przeszło, jako błyskawica,
  I będzie jak dźwięk pusty trwać przez pokolenia.

Lecz wy, coście mnie znali, w podaniach przekażcie,
  Żem dla ojczyzny stérał moje lata młode;
A póki okręt walczył, siedziałem na maszcie,
  A gdy tonął, z okrętem poszedłem pod wodę...

Ale kiedyś — o smętnych losach zadumany
  Mojéj biednéj ojczyzny — przyzna, kto szlachetny,
Że płaszcz na moim duchu był nie wyżebrany,
  Lecz świetnościami dawnych moich przodków świetny.

Niech przyjaciele moi w nocy się zgromadzą
  I biédne serce moje spalą w aloesie,
I téj, która mi dała to serce, oddadzą —
  Tak się matkom wypłaca świat, gdy proch odniesie...

Niech przyjaciele moi siędą przy puharze
  I zapiją mój pogrzeb — oraz własną biédę:
Jeżeli będę duchem, to się im pokażę,
  Jeśli Bóg nie uwolni od męki, nie przyjdę...

Lecz zaklinam — niech żywi nie tracą nadziei
  I przed narodem niosą oświaty kaganiec;
A kiedy trzeba, na śmierć idą po kolei,
  Jak kamienie, przez Boga rzucane na szaniec!...

Co do mnie — ja zostawiam maleńką tu drużbę
  Tych, co mogli pokochać serce moje dumne;

Znać, że srogą spełniłem, twardą bożą służbę
  I zgodziłem się tu mieć — niepłakaną trumnę.

Kto drugi tak bez świata oklasków się zgodzi
  Iść?.. taką obojętność, jak ja, mieć dla świata?
Być sternikiem duchami napełnionéj łodzi,
  I tak cicho odlecićć, jak duch, gdy odlata?

Jednak zostanie po mnie ta siła fatalna,
  Co mi żywemu na nic... tylko czoło zdobi;
Lecz po śmierci was będzie gniotła niewidzialna,
  Aż was, zjadacze chleba — w aniołów przerobi.

PARAFRAZA PIEŚNI: „BOGARODZICA“ [1]).

I.

Bogiem wsławiona, Matko Hospodyna,
  Bohorodyca — daj nam czasy zbożne,
I zanieś naszę krew przed Swego Syna,
  A w śmierci naszéj — ratuj nas pobożne.
Niech nie panuje złość i ludzka wina,
  Ani miecz silny — ni myśli ostrożne:
Daj Chrystusowe, zbożne czasy w kraju,
Daj z nim za życia — a po śmierci w raju.

II.

Słysz, jenże [2]) ciebie prosim, chłopki proste,
  Ziść Syna Twego — by w to człowiek wierzył,
Że piekielnika, ciemnego starostę,
  Syn Twój serdeczny piorunem uderzył....
A sam wycierpiał biczowania chłostę,
  I ręce swoje do krzyża przymierzył.
A krwią pospieszył za nas biedne ludzie,
Tu pracujące w boleści i trudzie.....

---

1) Drukowana z autografu w «Warcie» Nr. 397, str. 3889.
2) Jenże = który, którzy; archaizm wzięty z pieśni: »Bogarodzica.«
(Warta).

III.

I ty, Adamie — pierwszy boży kmieciu,
Ojcze nasz pierwszy.... w rajskim złotym gaju
Siedzący sobie na różanym kwieciu,
A dziś u Boga — w przypokojnym raju:
Pozbieraj chłopki twe biédne po śmieciu,
Weź do pałacu i do tego kraju,
Gdzie Pan Bóg chlebem anielskim obdzieli,
W raj-świat — gdzie ludziom królują anieli [3]).

IV.

Jenże cię prosim przez modły ogniste,
Bohorodyco.... pomódl się za nami,
Jenże cię prosim: Chryste! Chryste! Chryste!
Nie czyń kupionych krwią — niewolnikami.
Bo nie za złoto, nie za srebro czyste,
Z piekłaś wykupił lud — ale ranami,
Kiedy ci, Boże, oścień przebił srogi
Na twoim krzyżu — bok, ręce i nogi....

V.

Dajże nam przebyć, Jezu Chryste miły,
Pobyt ten ziemski.... a być z Tobą, Panie,
Gdzie się radują wszystkie święte Siły,
Kiedy się przez nas co świętego stanie. —
Amen na wieki.... weź nas z téj mogiły —
Kirye elejson — usłysz to wołanie,
Do raju chcemy — w wieczne twoje zorze,
Amen — do raju — amen — weź nas, Boże!

---

[3]) *Wariant:*

Gdzie Pan Bóg chleba anielskiego dzieli,
W duch — świat, gdzie ludziom panują anieli.

POEZYE LIRYCZNE i ULOTNE.

CZĘŚĆ DRUGA.

Uwaga. W téj części drugiéj zebrane zostały prawie same rzeczy mające pośredni lub bezpośredni związek ze znaną doktryną Towianizmu, do któréj i nasz poeta w ostatniéj epoce życia pod pewnym względem należał. Poezye te znalazły się między pozostałymi papierami rozprószone, na luźnych kartach, zwykle nie opatrzone żadnym napisem, i bez oznaczenia miejsca i czasu, kiedy powstały.

I.

Radujcie się! Pan wielki narodów nadchodzi!
Radujcie się, bo prawdy wybiła godzina,
Strach się już boży rodzi,
Strachem Pan jako mieczem ognistym pościna.

Któż wytrwa, gdy go ognie niebieskie pochwycą?
Któż miecz podniesie, drżący jak listek osiny
Przed Pańską błyskawicą,
W strachu przyjścia Pańskiego i wielkiéj godziny?

Na obłokach się zjawią postaci człowieka,
Święci ogniści staną w chmurzycach za Panem,
Szatan na blask zaszczeka,
Trzody na polach drżące przypadną kolanem.

Pastuszkowie otworzą usta, światłością zdziwieni,
Widząc jasne obłoki i Pana w obłokach;
Świat się cały spłomieni,
Ujrzy swe archanioły na ogniach i smokach.

Chwała Panu, że z ciałem się zjawił rzetelny,
Że dotrzymał — a przyszedł ratować niewinne
Chrystus, Pan nieśmiertelny,
Nasz Pan, który nagrodził swym świętym uczynne.

Podnieście teraz czoła, od wieków trapieni,
A więcéj się nie bójcie żadnego ucisku;
Pan ciała wam przemieni
I miasto swoje złote postawi na błysku.

Pan nasz zamieszka z nami i nigdy już więcéj
Nie zostawi na ziemi, jak teraz, sieroty
Król tysiąca tysięcy
Na stolicy słonecznéj ognisty i złoty!

Król nasz umiłowany — baranek łagodny,
Sędzia nasz sprawiedliwy, ciał naszych przemieńca,
Syn boży pierworodny
Wołający swe święte do chwały i wieńca...

II.

Los mnie już żaden nie może zatrwożyć,
Jasną do końca mam wybitą drogę,
Ta droga moja: żyć, cierpieć i tworzyć —
To wszystko czynię, a więcéj nie mogę.

Dawniéj miłością różane godziny
I w zorzach jeszcze jaśniejsze pochodnie:
Dzisiaj, przy schyłku dnia, ważniejsze czyny,
Wielkie i smętne, jak słońce zachodnie.

Na nich się zegar życia zastanowi
I puści ducha-skowronka w otchłanie;
Pomóż-że, Boże, temu skowronkowi,
Niech wesół leci, niech wysoko stanie!

III.
PROROCTWO.

Kiedy róża stanie złączona z kamieniem, [1])
A nad nimi się dąb zakołysze:
Cała emigracya zagore płomieniem,
I o pasport do Boga napisze.

[1]) Zdaje się, iż tu mowa o generałach: Różyckim, i Dembińskim, i o pułk. Kamińskim Mikołaju. *(Przyp. Wyd.)*.

I wstanie jako człowiek i mocarze zatrwoży,
    I wywróci oddechem bezbożne;
Sam Pan Bóg wyda pasport, Chrystus słońce położy,
    A duch piorunem nam da podorożne.

I szable się zapalą, zasłonecznią się znaki,
    Serca wszystkie jak lampy zagorą,
Jak miesiące zabłysną nasze biédne chodaki,
    Jak w pioruny nas łachmany ubiorą.

I polecą zwiastować w Polsce niebieskie ptaki,
    Że idziemy jak chłopki z kijami:
A żelaźni rycerze i brązowe rumaki
    Nim zobaczą, już pierzchną przed nami.

Prędzéjże, wielki Boże, Twém ognistém ramieniem
    Łam, a przemoż cielesne opory!
Niechaj róża zakwitnie połączona z kamieniem,
    Niech dąb Bogiem zabłyśnie z pod kory!

Bo nie prędzéj to będzie, aż się to wszystko stanie,
    Co w poety ogniło się słowie,
Aż z duchów będzie chmura, a w téj chmurze błyskanie,
    A w błyskaniu, jak Chrystus, wodzowie.

IV.

WIERZĘ.

Wierzę w Boga Ojca Wszechmocnego,
    Ojca naszego,
Przez któregom jest duch rodzony,
Twórczością i wolą udarowany,
    Abym się objawił światłością.

Wierzę w Chrystusa Pana,
    Słowo świata całego,
Który wszelką sprawę czyni,
    Żywot ku Ojcu prowadzi,

A urodził się z Dziewicy
Przez natchnienie Ducha świętego
Za ścmieniem się ludzkiéj natury.
I rozpięty był na krzyżu;
Trzy dni przetrwał w łonie ziemi,
A po trzech dniach zmartwychwstał,
I uniesion jest z ciałem w obłoki,
Skąd przyjdzie rządzić Królestwo Boże.

Wierzę w Ducha świętego,
Trzecią Świętéj Trójcy osobę,
Nieśmiertelną i wszechmocną,
Z Ojca i Syna urodzoną,
Równą Ojcu i Synowi,
Przez którąm jest napełnion świętością.

Wierzę w święty Kościół Powszechny,
I w Najwyższego Ducha pasterstwo;
Wierzę w świętych duchów związek,
Widzialnych i niewidzialnych —
Wierzę w świata przemienienie,
W ostateczne zmartwychwstanie
Ciała wszelkiego na ziemi.
W Królestwo boże widzialne,
Przychodzące z przemienieniem
Natury naszéj cielesnéj,
Z przełamaniem grzechu wszelkiego —
Wierzę i w żywot wieczny. — Amen.

V.

Chór.

Góry się ozłociły — szafiry mórz ciemnieją.

Głos.

Elijasz! Elijasz!

Chór.

Fale wstały od ziemi — wiatr — i koguty pieją.

GŁOS.

Izrael! Izrael!

CHÓR.

Miesiąc jak ogień stoi na czerwonym oceanie.

GŁOS.

Izaak! Izaak!

CHÓR.

Korab na dalekościach wre w rozognionéj pianie.

GŁOS.

Samuelu!

CHÓR.

Korab, wieloryb świata, z ogniami w okienicach...

GŁOS.

Święty Janie!

CHÓR.

Ku niemu płyną zdala obłoki, całe w świécach...

GŁOS.

Święty Pietrze!

CHÓR.

Uciszyło się morze i ziemia i powietrze —

GŁOS.

Chwała Trójcy!

CHÓR.

Złamana jest moc węża, dusz niewinnych zabójcy!

GŁOS.

Złamana! złamana!

CHÓR.

W Imię przedwieczne Ojca! W Imię Chrystusa Pana!

GŁOS.

W Imię Ducha!

CHÓR.

Pokój na ziemi, wodach i na powietrzu!

GŁOS.

Chwała Duchom na ziemi!

Takie słyszano głosy nad morzami,
Gdy Anioł z trzema na czole gwiazdami
Leciał nad złote ogniska pastusze
I budził w ludziach barankowe dusze.
Na trzech pasterzy upadły promienie,
Obmyły ducha duszę — pod imieniem
Jeden był, który ugaszczał natchnienie;
Drugi, który był kwiateczków siemieniem;
Trzeci zaleśne echa wywoływał:
Te zbudził Anioł duchy — ponazywał,
Pomiędzy ludźmi pastuszymi wsławił,
Dał ducha, wieńce, i w drogę wyprawił.
Idźcie! — rzekł — pierwsi wy trzej pastuszkowie,
Aż wam przejasna zastąpi dziewica;
Ta złote słońce Pańskie ma na głowie,
A pod nogami obrączkę księżyca.
Raz na obłokach promiennych widziana
Przez sługę Chrysta — przez świętego Jana,
Przyszłego świata święta monarchini,
Teraz ukryta z dzieckiem na pustyni,
Piękna jak zorza... Długie jéj warkocze
Ciemne ku światłu w złoto się mieniły,
W oczach szafiru światła i przezrocze,
W głosie anielskie nieskończone siły:
Porywać serca ludzkie umiejąca,
A moc miłosnych dreszczów miała w dłoni,
Gdyś odszedł od niéj, a pomyślał o niéj.
Próżno smok, który owładnął narody,
Wypuści na nią rzekę krwawéj wody!
Próżno ostatni ślad jéj ziemski zetrze!
Ona ucieknie z dzieckiem na powietrze
I tam karmiona, aż mróz minie ostry,
W błękitnych światach przez jaskółki siostry,
Dziecinę swoję pośród słońc wychowa,
Prześwięta ludom Matka — Pani Słowa!

VI.

DO AUTORA SKARG JEREMIEGO.

Ojczyzna, twoja święta kochanka,
Chodzi po łąkach, Pani słoneczna;
Ty idziesz za nią, jak duch baranka,
I wołasz: Wieczna!

Jeżeli drogę tęczami znacząc
Wyżéj poleci i tonie w mgłę,
To ty, baranek, stajesz i płacząc
Wołasz: We! we!

Jeżeli z kwieciem ona swawoli,
I dłoń litosną o cierń rozporze,
To ty jak dziécię wiész, co ją boli,
I wołasz: Boże!

Gdy owies polski jak srebro brzęczy,
Grusza szeleści i szumi kłos,
Słyszy Maryja pod bramą z tęczy
Baranka głos.

Słyszy i mówi: Głośniéj niż Święci,
Głośniéj niż luteń anielskich strój,
Woła mnie z Polski od sianożęci
Baranek mój.

Trawki nie skubie, kwiatków nie zrzyna,
Lecz oczy podniósł w słoneczną mgłę,
I wciąż się skarży jako dziecina:
We! we! — we! we!

Przeżeń więc światu moja przytomność
Rozbudza czucie, porusza czynność,
Bo w ustach jego baranka skromność,
W głosie niewinność.

Paryż, w listopadzie, 1847 r.]

VII.

DO LUDWIKA NORWIDA.

Wracają dla nas piękne Chrystusowe
Gwiazdy, a razem korony cierniowe;
Więc że to ciebie, Ludwiku, zasmuca,
Że tam ktoś czapki przed tobą nie zrzuca,
A jać powiadam: niechaj cię to cieszy,
Żeś wyszedł z ludzi pospolitych rzeszy,
Gdzie dobry złego rad nazywa panem
I czci ukłonów fałszywym liczmanem.
Źli ludzie, pełni zabójczego szału,
Złości i żółci, uznali konieczność
Postawić zimną między sobą sprzeczność,
Jakoby ścianę z grubego kryształu:
A tak się widzą i czczą dla zabawki,
Jak napełnione woniami karafki,
Które na drogę kupcy zaszpuntują:
Bo tylko widzą, ale się nie czują.
Gdzie ręka ukłon przez wiatry posyła,
Jeszcze tam z dłoni w dłoń nie przejdzie siła.
Lepiéjże, bracie, żeś uderzył śmiało,
A w gwiazdę się szkło rozbiło, spękało,
Bo teraz zawsze powié ci sumienie,
Które miłością będzie pozdrowienie,
A złe zobaczysz twarze niezakryte
Tych, którzy cię klną za zwierciadło zbite,
Które je dzieli, ale nie zasłania —
Stąd idą zimne bez łez pożegnania,
Śluby bez ducha — bez serca przyjaźnie,
Odwaga na świat wyjść poważny — w błaźnie,
Ta sama w podłym i w szpiegu odwaga:
Bo kto nie daje nic — mało wymaga.

VIII.

DO LUDWIKA NORWIDA

W BRATERSTWIE IDEI ŚWIĘTÉJ.

I.

Bracie Ludwiku, módl się gorąco,
A podnieś ducha wysoko;
Na trzeźwe myśli, na czyste oko
Witajmy prawdę świécącą:
Podwoje wiedzy już otworzyła,
Z miesięcznéj wyszła topieli,
Już jest na ziemi, już się zjawiła,
Myśmy ją pierwsi ujrzeli!

Świat nam duchowy stanął otworem,
Widzim skąd moce te biegą,
Które tu snem są albo upiorem,
Lub ogniem Ducha Świętego.
Widzim, i cali drżym przerażeni,
Gdy nam widzenie ukaże
Powietrze puste, pełne płomieni,
W szkłach wichru lecące twarze.

A cóż, gdy duchy, które przed Panem
Są prawie niczém i ciszą,
Tu nam wybuchną z pod gór wulkanem,
Albo miastami kołyszą,
Cóż, gdy te burze, któremi szklanna
Otchłań się morza porusza,
My widzim w duchu — krzyczmy: Hosanna!
Hosanna! żyje już dusza!

II.

Nad wszystkie świata wzleciał szatany
Ocknięty, ze łzą u powiek,
Jeden w Ojczyźnie rozmiłowany,
Cierpiący nędzarz i człowiek.

I trwa na skrzydłach swoich cierpliwie,
Słysząc sąd o globach nocnych,
Które karane są sprawiedliwie,
Bo są dziełem nas — duchów wszechmocnych.

III.

Nieśmiertelność i Wszechmocność —
Oto dwa nowe żywioły!
Dotąd cielesnych czynów bezowocność
Wyżarła ducha stodoły,
Świat był bez plonu — lecz teraz manna
Nową przywraca mu dzielność:
Wszechmocność i nieśmiertelność!
Hosanna Panu! Hosanna!
Przez nie świat uwiązany do girlandy globów,
Które czas zachwyceniem miłości pożarły;
Przez nie słońca nie umarły,
Przez nie już nie będzie grobów,
Ciało nie uzna skażenia,
Bo już je duch na wiecznotrwanie rozpromienia.

IV.

A ty rozrzuć twoję glinę,
Nieszczęsna formo człowieka!
Już zamieniasz się w ruinę...
Próżno cię piękności twoje,
Jak pasożytne powoje,
Próżno cię mgła cudowną szatą przyobleka;
Próżno cię ręka przychylna
Stroi — stoisz ty żałobna,
Niedołężna, zamogilna —
A choćbyś była podobna
Jowiszowi z brwią zmarszczoną,
Mgłami idejskiemi srebrna,
Nakryta gromów koroną —
Próżno! jużeś niepotrzebna —
Już do piękności zjawionych
Nie wejdziesz na eter lżejszy,
Bo najmniejszy z odrodzonych
Świętszy niż ty — i piękniejszy!

V.

Lecz w jakimże biednym żłobie
Położym, o mój Ludwiku,
To dzieciąteczko na grobie,
Na Ojczyzny mogilniku
Zrodzone? Czy go nam ptacy
Wykarmią? Czy jeszcze łzy nasze?
Ileż wieków, ile pracy
I starań Bóg nam poruczy?
Kto je tęczami opasze?
Wyniańczy — chodzić nauczy?
Kto poda mądrości czaszę?
Kto mu będzie pierwszym sługą,
Ojcem — kto otworzy ręce?
Jak długo jeszcze, jak długo
Popędy świata zwierzęce
Zepchną glob na dawne tory,
Iść nie pozwolą za blaskiem?
Jak długo krwią okryte na świecie aktory
Będą witane oklaskiem!

VI.

Do pracy! a więc do pracy!
Wy co mi jesteście bracią,
Duchy słoneczne, Polacy!
Najwyższą was inkantacyą,
Najwyższą — własnym aniołem —
Na nieśmiertelność zakląłem.
Oto miesiąc wchodzi [1]) blady
Nad Polską — cały już [2]) nowy,
Jak dawna lampa Hellady,
Jak obraz Rafaelowy
Piękny [3]) i srebrnego łona —
W nim piękność stoi wsławiona,
Kolor wzięty — ton zdobyty.

Podajemy tu waryanty według »Warty« z r. 1880 i 1882). — [1]) *Waryant*: **wyszedł**; [2]) *W.*: a cały nowy; [3]) *W.*: pełny. *(Przyp. Wyd.)*.

Teraz co? Daléj w błękity
Pracować na całą[1]) wieczność...
Otwarta dla duchów droga —
Skrzydła mamy — daléj w Boga![2])
Po dar ostatni[3]) — Słoneczność.

VII.

Bo patrzcie! tak jak orlice,[4])
Patrzcie na dolinę z góry:
Oto są dzieciątek chmury,
Oto są globu dziedzice.
Każdy za bańką formy, która oczy mami,
Ozwierciadlona form wizerunkami,
Leci z pradziadem i dziatwą,
Głupi i śmieszny na poły...
O jak łatwo! o jak łatwo
Wam, co jesteście anioły,
Zarządzić tą gromadą, ich ruchem, pośpiechem,
Zdjąć im ich ciężar ze skroni!...
Miecza na to nie potrzeba,
Ani piekła ani nieba;
Miłością dosyć — uśmiechem. —
Patrzcie tylko, jacy oni!
Patrzcie tylko, co je bawi!
Patrzcie, jacy są ciekawi!
Jak patrzą w każdą foremkę,
W każdą jamę[5]) oczy włożą,
Każdy proszek biorą[6]) w rękę,
Ważą — próbują, czy stworzą;
Cieszą się że piorun pali,
Że gwiazda na czas przychodzi,
Patrzcie — starzy już i młodzi
Krzyczą, że wszystko poznali!

---

[1]) *War.* Daléj pracować na wieczność; [2]) *War.* Skrzydła — Daléj w łono Boga; [3]) *War.* po moc ostatnią:

[4]) *War.*: Bo teraz niby orłowie
Spojrzcie się w doliny z góry
Na tych dzieciąteczek chmury,
Którzy są synowie świata. („Warta" str. 3924).

[5]) *War.* dziurę; [6]) *War.* wezmą.

Wyschły im wiedzy strumienie...
O anioły! o anioły!
Czyńcie sobie z nich wesoły
Śmiech — i pozwólcie czoła stroić[1]) w zamyślenie.

VIII.

Lecz wy! wam wszystko nowę rozkwita,
Jaśni się forma na świecie,
Świat szuka, a wy już wiecie.
Wam . . . .
. . . .
Wam się już listek różany
Tłómaczył z nauki słowa.
Wam już oto noc majowa,
Przez owadów święte Jany
Muszeczki swe jakieś złote,
Apokalipsy śpiewała.
We wszystkiém już myśli chwała,
Zasługa świéci lub wina,
Grzéch widać ducha lub cnotę.
Wam, oto, stoi cytryna
Na strzałki słoneczne, złote,
Jak rycerz przed prochu przyjściem,
Odstrzelająca się liściem,
Kiedy ją Febus obarcza...
A kolor — a światło — a tarcza?
  Na to woli błyskawica,
  Na to wam myśli kuźnica,
Wulkan duch w globie wystarcza.
A wy w nieśmiertelne końce
Idźcie, a duch je wam kréśli...
Czy kształt? to go macie w myśli,
Czy światło — to w duchu — już słońce.

IX.

Do Boga ręce podnieśmy,
Język rozwiezujmy niemy.

---

[1]) *War.* ubrać.

Synowie boży jesteśmy!
Czém jutro, jeszcze nie wiemy...
Każdy silny, o pół kroka
Ku Bogu świat pchnąć dzisiejszy,
A jutro jeszcze silniejszy! —
Każdy jak przepaść głęboka
Zamiarów pełna gorących,
Przepaści i uwidomień...
O Boże, któż zerwie płomień
Na hełmie pierwo-idących?
Kto tarcze postawi rzędem?
Kto drogę założy dzidą?
Kto strąci? — Duchy w nas idą
Z nieśmiertelności rozpędem.
Dla tego żeśmy Jehowę
Przywołali na ołtarze,
Oto się już potęgi duchów piorunowe
Przy naszym kręcą sztandarze;
A gdy go wiatr odwinie, to tak jako wczora
Ludzi, którzy grobów strzegą,
Przeraził twarzą Boga żywego —
Przestrachem — Boga-upiora.

X.

Ale kto, bracia, pogardzi słowem,
Siłą u słowa czerpaną,
Komu dziś w ciele błysnąć nie dano,
Kto wierzga dawnym narowem,
Kto dziś nie wstąpi w święte ognisko,
Jeno przez oczy ciekawe:
Taki dziś, bracia, pójdzie na sławę,
Jutro na urągowisko;
I to mieć będzie, że gdy my wstajem
Zrzucić głaz, co ducha obarczał,
On siedział, głupi, kłamstwa lokajem
I widział prawdę — i warczał.

Dnia 8 lutego 1848.

IX.

USPOKOJENIE.

Co nam zdrady!—Jest u nas kolumna w Warszawie,
Na któréj usiadają podróżne żórawie,
Spotkawszy jéj liściane czoło śród obłoka;
Taka, zda się, odludna i taka wysoka!
Za taką kolumną we mgły tęczowe ubrana
Stoi trójca świécących wież świętego Jana;
Daléj ciemna ulica, a z niéj jakieś szare
Wygląda w perspektywie sinéj Miasto stare;
A daléj jeszcze we mgle, która tam się mroczy,
Szkła okien — jak zielone Kilińskiego oczy,
Czasami uderzone płomieniem latarni,
Niby oczy cichego upiora z pod darni.

Więc lada dzień, a nędza sprężyny dociśnie:
To naprzód tam na rynku para oczu błyśnie
I spojrzy w Świętojańską na przestrzał ulicę;
A potém się poruszą wszystkie kamienice,
A za kamienicami, przez niebios otchłanie
Przyjdzie zorza północna i nad miastem stanie;
A za zorzą wiatr dziwne miotający blaski
Porwie te wszystkie zemsty i te wszystkie wrzaski;
Wicher jakiś z aniołów urobiony Pańskich,
Oderwany, jak skrzydło z widzeń Świętojańskich,
Przezroczysty jak brylant, a jak ogień złoty,
Który chwyci te zemsty, te światła, te grzmoty,
Zwinie i niemi ciemną uliczkę zaléże,
Jako brąz w niéj zakipi, zaświszcze jak węże
I naprze tak, że będzie trzęsąca się cała
Jako wół sycylijski na miasto ryczała.

Usłyszycie wy wtenczas, serc naszych złodzieje,
Jaki wiatr z téj ulicy na miasto powieje;
Przez harmonikę tonów swój krzyk przeprowadzi,
O kościół katedralny skrzydłami zawadzi,

Porwie królewski zamek, otworzy jak trumnę,
A potém na Zygmunta uderzy kolumnę
I z marmuru wyciągnie jakieś echo skalne,
Jakieś smętne, dalekie muzyki chóralne,
Które ja dziś już chwytam myślą na pół senną,
Słysząc ten wiatr i strunę pod wiatrem kamienną.

Więc kiedy kościół zadrży od stóp aż do skroni
I płaczącym się głosem na miasto rozdzwoni,
Więc kiedy ta kolumna w pomroku miesiąca
Zostanie gdzieś na placach, jak harfa grająca...
To wtedy co? – Krzyk jeden jak burza ponura,
Nie wiem, „Niech żyje Polska!" czyli też krzyk „hurra!"
Wyleci, jak koń śmierci zerwany z wędzidła,
O katedralny kościół otrze głośne skrzydła...
A miasto co? – Słuchając z wyciągniętą szyją
Powie: że tam się ciemni aniołowie biją,
Że tam szatan ogniste przywoławszy moce
Koń swój brązowy ciska i piorun gruchoce;
Że jako Machabeusz pod zwalonym słoniem,
Tak szewcy pod piorunem padają i koniem
Zgruchotani; że księżyc na niebie odkryty
Pokaże tę ulicę pustą, lud wybity,
Piorun zagasły, walkę okropną skończoną,
Ulicę całą ciemną i krwią zadymioną...

Więc kiedy miasto całe przestrachem ogłuchnie,
To znowu ta ulica jednym wiatrem buchnie,
Jednym krzykiem . . . .
A potém co? — Stojący uliczce na strychu
Kościół się katedralny odezwie po cichu,
Walkę i krzyk, różnymi wiejący głosami,
Jak organ rzuci miastu – głucho — akordami —
Coraz głośniéj: — i całą tę harmonią senną
Roztrąci o kolumnę, tę strunę kamienną.

Wtém znów jeden z tych wrzasków, od których natura
Wzdryga się — jeden „vivat" uliczny i „hurra!"
Jeden z tych krzyków, które czynią, że skrzydlata
Natura ducha w kościach tak jak ptaszek lata;

Że duch na ustach staje i już nie jest zdolny
Zatrzymać śmiéch serdeczny i płacz mimowolny;
Jeden z tych krzyków, który wnikając w człowieka
Tak śpiéwa w nim jak anioł, a jak szatan szczeka;
Jeden z tych krzyków... szumem błyskawic nawalnym
Uderzy, na kościele peknie katedralnym,
Pójdzie mimo, lecz skrzydłem o kościół otarty
Kamienie w nim wrzeszczące zostawi jak czarty,
I wiele innych głosów, które zmartwychwstanie
Zapieją, jak anioły związane w organie.

I jeszcze ta harmonia nie zamilkła senna,
A już kolumna placu, ta struna kamienna,
Tym samym wichrem bita, z rozwahaném czołem,
Prym wzięła przed chóralnie jęczącym kościołem,
I dwa te śpiewy już bez odpoczynku
Będą miastu ogłaszać lud idący z rynku.
Jeśliż ma ta ulica taką ciasną szyję,
Że z niéj — by słowo wyszło, to jak działa bije;
Jeśliż na każdą formę naszego uczynku
Tak srogo ona patrzy oczyma aż z rynku;
Jeśliż lada noc, a z niéj wystrzeli powstanie
I w proch tego rozrzuci, kto na rychcie stanie;
Jeśliż jest taka mocna, że przez nocy cieni
Muzykę ciemną strachu wyrzuca z kamieni,
A kolumny na swoje muzykanty stroi:
To człowiek, który zawsze o zdradę się boi
I wszędzie widzi tylko postrachu upiory,
Albo dzieckiem być musi, lub na serce chory.

X.

MATECZNIK.

Bóg, który łono wszelkich tajemnic odmyka,
Do tego ohydnego w duchu matecznika,
Gdzie duch z duchem się bije, a kość trupia z kością,
Pozwolił wejść i oczy oswoić z ciemnością.

I zoczyłem okropną umysłów ruinę,
Oczy krwią zaszłe, twarze ołowiane, sine,
Żywe zwierzę, myślące o knucie i carze,
Daléj trupy i skryte na trupy cmentarze.
Tam jeśli który ludzkiéj nie wytrwa ohydzie,
Pokorny, waryat blady, sam na cmentarz idzie
I kładzie się i kona od braci daleko;
Dla tego nigdy trupów za sobą nie wleką,
Ani się pokazują śród ludzi ze łzami,
Ani krzyku usłyszysz, stojąc pod oknami.

. . . .
. . . .
. . . .
. . . .
. . . .
. . . .
. . . .
. . . .

Któżby rzekł, że ta ciemna tajemnic kotara
Kryła taką straszliwą ucztę Baltazara?
Że tam w nocy, po ciemku, bez gwiazd i miesiąca
Jest ręka straszna, ogniem po ścianach pisząca?
Że przy stole żebrackie zbiérając okruchy
Siedzą ciała, nie swymi napełnione duchy,
Liczba jakaś szatanów, która ciał używa?
Inny, którego przeszłość w siebie zajrzéć znęci,
Spojrzy i cudzą pamięć znajdzie w swéj pamięci;
Inny, gdzieś pod Grochowem naznaczony blizną,
Zapomni się i północ nazywa ojczyzną;
Tamten rozczochra włosy i podniesie pięście,
I wrzaśnie, jak kobiéta: „Boże! o nieszczęście!“
A potém, gdy w szlochaniu pozbędzie oddechu,
Upada w zgrzytającą harmonikę śmiéchu,
Z tonu na ton zlatując, jak czart i kobiéta
I szkło, które pod palcem zajęczy i zgrzyta.

Pośrodku upior — niby zachłyśniony Bogiem,
Swojéj dawnéj Ojczyzny-Matki stanął wrogiem...

. . . .

XI.

Panie! jeżeli zamkniesz słuch narodu,
Napróżno człowiek swe głosy nateża:
Choćby miał siłę i odwagę męża,
Z niemiłowania umrze tak jak z głodu.

Próżno na ręce rękawice kładnie
I jako szermierz wystąpi zapaśnie:
Lica mu wyschną i oko zagaśnie,
Sprzepaści się pierś i głos w nią zapadnie.

Ale komu ty twoje namaszczenie
Włożysz na czoło, ten bez żadnéj pracy
W powietrzu twojém jak powietrzni ptacy
Pływa, a święte karmią go promienie.

XII.

Krzyczeli: „Polska! Polska!“... lecz jednego razu
Chcąc krzyczeć, zapomnieli na ustach wyrazu;
Pewni jednak, że Bóg im prawo krzyku przyzna,
Szli i krzyczeli jeszcze: „Ojczyzna! Ojczyzna!“ —
Wtém Bóg z Mojżeszowego pokazał się krzaka —
I przeraził je wszystkie, zapytawszy: „Jaka?“

A drugi człowiek niby w żebraka postaci
Pomyślał, że mu trzeba w duchu wolnych braci,
I wolności mu trzeba w milionów osobie,
Ziemię bowiem pod sobą ma i Boga w sobie;
A Pan w nim jako ogień i już nie nad krzakiem
Zagrzmiał: „Prosisz się, widzę, być dawnym Polakiem!“

XIII.

Kiedy prawdziwie Polacy powstaną,
To składek zbiérać nie będą narody,
Lecz ogłupieją — i na pieśń strzelaną
Wytężą uszy, odemkną gospody.

I będą wieści z wichrami wchodziły,
   A każda będzie serce ludów pasła;
Nieznajomymi świat porusza siły
   Na nieznajome jakieś wielkie hasła.

Nie pojmie Francuz, co to w świecie znaczy,
   Że jakiś naród wstał w ciemności dymie,
Choć tak rozpaczny — nie w imię rozpaczy,
   Choć taki mściwy — a nie w zemsty imię.

Nie pojmie, jaką duch odbył robotę
   W przeświętéj serca ludzkiego ciemnicy,
I przez sztandary jest tłuczony złote,
   I przez bój wielki przy dział błyskawicy.

Cóż to — zapyta — są za bezimieńce,
   Którzy na dawnym wstali mogilniku?
Bój tylko widać i ogniste wieńce,
   A zwiérzęcego nic nie słychać krzyku!

Nie, to nie ludzie z ciał i z krwi być muszą,
   Lecz jacyś pewnie upiorni rycerze,
Którzy za duszę walczą tylko duszą,
   I ogniem biją niebieskim w pancerze.

O gwiazdy zimne! o świata szatany!
   Wasze mnie wreszcie niedowiarstwo zwali;
Już prawie jestem człowiek obłąkany:
   Ciągle powiadam, że kraj się już pali,
I na świadectwo ciskam ognia zdroje —
   A to się pali — tylko serce moje!...

Dajcie mi tylko jednę ziemi milę!
   — Może, o bracia, za wiele zachciałem —
Dajcie mi jednę bryłę, na téj bryle
   Jednego duchem wolnego i ciałem:
A ja wnet z siebie sprawię i pokażę,
   Że taki posąg dwie będzie miał twarze.

Dajcie mi gwiazdę mniejszą od miesiąca,
   Kometę złotym wiejącą szwadronem —

Niechaj po lasach będzie latająca,
    A tylko święta jednym polskim zgonem:
A ja wnet siły dobędę nieznane,
    Skrzydła wyrzucę i wnet na niéj stanę.

O bracia moi! kiedy krzyżem leżę,
    A proszę Boga o kraj, o człowieka,
To mi się zdaje, że tętnią rycerze,
    A wróg z piorunem przed nimi ucieka:
Chcę biéc — lecz kiedy na blask gwiazd wynijdę,
    Gwiazdy mnie drwiące pytają, gdzie idę?!

XIV.

Jeżeli ci Pan nie zbuduje domu,
    Próżno składają ci cegły mularze:
Jeśli nie broni miasta od pogromu,
    Próżno czuwają po szyldwachach straże.

Napróżno wstajesz przed świtem, człowiecze,
    A przy świeczniku nad robotą ślęczysz:
Z gorzkiego żyta chléb ci się upiecze,
    Bo ty, o Panie! te, co kochasz, wieńczysz!

Zaprawdę, nie ma hojniejszéj nagrody
    Nad narodzone w domu twoim plemię,
Nad syny, które mąż i człowiek młody
    Jak winne grona wyprowadza z ziemi.

Synowie jego powadze przystoją,
    Potęgę mnożą, miłość k'niemu niecą,
W kołczanie jako złote strzały stoją,
    W poselstwa, jako złote strzały, lecą [1]).

Błogosławiony, kto sobie w kołczanie
    Takich strzał natknął: taki człowiek śmiało

---

[1]) *War.:* Na wszystkie strony z poselstwami lecą. *(Warta).*

Wrogowi kraju dotrzyma, gdy stanie. [1]
Wielki u ludzi synów swoich chwałą [2].

O Panie! rozpuść Twoje wielkie moce.
Przez lud się Twój rzuć ognia strumieniami!
. . . .
. . . .

XV.

Mój król, mój Pan — to nie mocarz żadny,
Ni ten, na którym trzy koron się piętrzy,
Ale duch pierwszy globu — światowładny,
Chociażby w chłopku, duch świata najświętszy;
Czy on na świecie żyw, czy gdzie nad światem? —
Wiém, że duch taki jest — i dość mi na tém.

Skądkolwiek jego duch na mnie uderzy,
Gdziekolwiek jego wołanie usłyszę,
— Czy to zjawi się w siermiężce pasterzy,
Czy jeszcze w żłobku matka go kołysze —
Gdziekolwiek ono dziecko światowładne
Poczuję, klęknę i na twarz upadnę.

XVI.

Jeżeli kiedy w téj mojéj krainie,
Gdzie po dolinach moja Ikwa płynie,
Gdzie góry moje błękitnieją mrokiem,
A miasto dzwoni nad szmernym potokiem,

[1] *Waryant:* Błogosławiony, komu Ty w kołczanie
Takich strzał natknąć pozwoliłeś dużo,
Taki na wroga idąc, śmiało stanie, i t. d. *(Warta).*

[2] *Warta* z autografu podaje brakującą tu strofę:
A kiedy takich strzał mnóstwo w kołczanie
Pan mu dozwoli mieć — ubranych w ciało,
Przeciw wrogowi swemu śmiało stanie,
Odepchnie napaść — i powróci z chwałą.
Widocznie jest to tylko waryant poprzedniéj strofy, nic więcéj. *(p. Wyd.).*

Gdzie konwaliją woniące lewady
Biegną na skały, pod chaty i sady —

Jeśli tam będziesz, duszo mego łona,
Choćby z promieni do ciała wrócona: —
To nie zapomnisz téj mojéj tęsknoty,
Która tam stoi jak archanioł złoty,
A czasem miasto jak orzeł obleci,
I znów na skałach spoczywa i świeci.

Powietrze lżejsze, które cię uzdrowi,
Lałem z méj piersi... mojemu krajowi...
. . . .
. . . .
. . . .
. . . .

XVII.

Zakończył śpiewak, a my zasłuchani
W rytm, w oczach mieli tę światłą sielankę,
Aż wstała złota na murawie pani,
Z kwiatów podnosząc uwitą równiankę:
Wszyscy zachodem byliśmy rumiani,
Który oświecił tę cichą polankę,
A las w około szemrał swemi brzozy,
Jakby gdzieś duchów przeszłości obozy.

Helion się piérwszy ocknął, i ocknięty
W duchu się uczuł i rzekł: „Wieczna sława
„Duchowi, który tworzył dyjamenty,
„I myśl dziś tworzy na te same prawa.
„Śpiéwaj nam daléj dzieje, wieszczu święty!
„Czuję, że idzie na nas burza krwawa;
„Jeszczem nie słyszał, jak gra twoje łono,
„A już myśl czarną mam i chęć szaloną.

„Zda się, że słyszę, jako w Dnieprze biją
„Żelazne słupy, widzę je pod wodą;

„Widzę Rusałki, jak łabędzią szyją
„Wiążą się, grają, taniec skoczny wiodą.
„Powiédz, Bohdanie[1], czy zdoprawdy żyją
„Królowe twoje pod wodną gospodą?
„Czy mi się tylko śnią w tęczowym dymie
„Jasno dlatego, że błysły w twym rymie?"

Wszyscyśmy na to czekali, co powie
Dumek poeta; lecz on gdzieś ponury
Siedział na stronie i sumował w głowie
I wiązał złote jakieś rytmów sznury.
Seweryn [2]) więc wstał, i w ognistém słowie
Tłómaczył duchów podziemnych natury,
A my słuchając, zda się, coraz daléj
Szliśmy z poetą w łono złotéj fali.

XVIII.

Przy kościołku,
Mój aniołku,
Koronka,
Żonka,
Pieczonka;

Przy organku,
Mój Bohdanku,
Szumka
I dumka;

Przy klasztorze,
Mój kaczorze,
Świętość,
Wziętość;
Nadętość;

Przy krzyżyku
Na stoliku
Fakta:
Dwa akta...

---

[1]) Zaleski; [2]) Goszczyński. (p. Wyd.).

XIX.

Baranki moje,
  Zawitał[1]) czas:
Nad piękne zdroje
  Powiodę was;
Puszczę was, owieczki,
Na piękne kwiateczki
  I będę pasł.

Baranki z ducha,
  Ja pasterz wasz;
Pan Bóg mnie słucha,
  Ozłocił twarz:
Bogiem promienny[2])
Odprawiam bezsenny
  Anielską straż.

XX.

Pośród niesnasek Pan Bóg uderza
  W ogromny dzwon,
Dla słowiańskiego oto papieża
  Otworzył tron.
Ten przed mieczami tak nie uciecze
  Jako ten Włoch,
On śmiało, jak Bóg, pójdzie na miecze;
  Świat mu — to proch!

Twarz jego słowem rozpromieniona,
  Lampa dla sług,
Za nim rosnące pójdą plemiona
  W światło, gdzie Bóg.
Na jego pacierz i rozkazanie
  Nietylko lud —
Jeśli rozkaże, to słońce stanie,
  Bo moc — to cud!

---

[1]) *War.:* Zaświtał. *(Warta).*
[2]) *War.:* Patrzę w miesiąc promienny,
I odprawiam bezsenny i t. d. *(Warta).*

On się już zbliża — rozdawca nowy
Globowych sił:
Cofnie się w żyłach pod jego słowy
Krew naszych żył;
W sercach się zacznie światłości bożéj
Strumienny ruch,
Co myśl pomyśli przezeń, to stworzy,
Bo moc — to duch.

A trzeba mocy, byśmy ten pański
Dźwignęli świat:
Więc oto idzie papież słowiański,
Ludowy brat; —
Oto już leje balsamy świata
Do naszych łon,
A chór aniołów kwiatem umiata
Dla niego tron.

On rozda miłość, jak dziś mocarze
Rozdają broń,
Sakramentalną moc on pokaże,
Świat wziąwszy w dłoń;
Gołąb mu słowa w hymnie wyleci,
Poniesie wieść,
Nowinę słodką, że duch już świeci
I ma swą cześć;
Niebo się nad nim piękne otworzy
Z obojga stron,
Bo on na świecie stanął i tworzy
I świat i tron.

On przez narody uczyni bratnie,
Wydawszy głos,
Że duchy pójdą w cele ostatnie
Przez ofiar stos;
Moc mu pomoże sakramentalna
Narodów stu,
Moc ta przez duchy będzie widzialna
Przed trumną tu.

Takiego ducha wkrótce ujrzycie
    Cień, potém twarz:
Wszelką z ran świata wyrzuci zgniłość,
    Robactwo, gad,
Zdrowie przyniesie, rozpali miłość
    I zbawi świat;
Wnętrze kościołów on powymiata,
    Oczyści sień,
Boga pokaże w twórczości świata,
    Jasno, jak dzień.

XXI.

Ty głos cierpiący podnieś — i niech w tobie
  Krzyknie i naraz poważnie zaśpiéwa
Wszystko, co naród sądził, że śpi w grobie,
  Albo się ze krwią ludzką w krew przelewa.
Bo nie ten, który z rdzy pancerz oskrobie,
  Albo w mogiły dawnéj zajrzy trzewa,
A prochom dawnym spoczynek naruszy,
Wiek pomknie — lecz ten, kto się dotknie duszy.

Mów, otwórz drogi Świętemu Duchowi,
  Mów, a do niebios bożych pokaż wrota;
Cały się naród z ducha niech wysłowi,
  Cały o przyszłość niech się zakłopota;
Niech dusze kładą za siebie, aż nowi
  Obaczą się tu, jaśni jak z pod młota
Hamerni złoto wychodzi świécące,
Jagnięta pańskie na słonecznéj łące.

Stój! stój! — gdy przyjdzie w powietrzu ów święty,
  Wróci raj, naszą utracony winą,
Liczyć zaczniemy rok nowo zaczęty
  Z Panem w jasnościach; pieśni nawet miną,
Poganie ducha pójdą ze zwiérzęty
  Otaczać obóz ducha, lecz poginą:

Światłość je miasta świętego uderzy,
Odejmie im głos, wzrost grobami zmierzy.

Nie mów — leniwych duchów nie budź rzeszy,
  Bobyś obudził ogień nienawiści;
Kto grzészny teraz, niechaj jeszcze grzészy,
  A kto jest czysty, niech się jeszcze czyści.
Czas bliski, który święte z nas pocieszy,
  A złymi pogna, jak wiatr chmurą liści;
I będą się jak zwiędły liść sypali,
W czarne jeziora, które duch zapali.

Biada tym, które koniec znajdzie świata,
  Że jeszcze ciała takie, jak my, noszą;
Biada tym, które raz przez ogień kata
  Dla prawdy bożéj nie przeszły z rozkoszą;
Biada tym, którzy chcą jednego lata
  Owoców, a o męczeństwo nie proszą,
A o dar ducha do nieba kołacą
Jak ty, nie wziąwszy go czynem i pracą!

XXII.

DO FRANCISZKA SZEMIOTHA.

Nie zapominaj, że niegdyś ubogi
Twój przodek, włosy zarosły długimi,
Miał swoje puszczę i miał swoje bogi
I swoich duchów opiekę na ziemi.

A kiedy mówił pacierz tajemniczy
I o potomstwo wielkie prosił ducha,
To krzyczał z piersi — tak jak morze krzyczy,
A Bóg go słuchał, tak jak morze słucha.

Dziś, z jego domu rozwalonéj ściany
Na krąg kamieni gdyś trafił w młodości,
Ciekawy byłeś, lecz nie zapłakany,
Nie ducha jego ciekawy — lecz kości.

Dziś, gdy cię ręka prześladowcza losu
Nad morze wiedzie, a tajemnic uczy:
W żywiołach — przodków ty nie słyszysz głosu,
Nie po litewsku tobie bałwan huczy.

Duchy twe jednak wodzą cię na pasku
I niańczą — i dziś to sprawiły rano,
Żem kląkł przed tobą i pisał na piasku
Te rzeczy, które w puszczy już wiedziano.

Pamiętaj ten dzień, gdy cię duch gołębi
Ostrzegał, własnych zapomniawszy krzyży;
Bo wkrótce w piasku tym ja jeszcze głębiéj
Będę -- i u nóg ludzkich jeszcze niżéj...

Ale ci wtenczas tęsknota nakaże
Po mego ducha iść w duchów krainę,
Aż — odświéconych myśli moich twarze
Ujrzysz, i piasek ten i tę godzinę.

Dieppe, w niedzielę 1846, 23 sierpnia, w dzień moich imienin.

XXIII.

Niedawno jeszcze — kiedym spoczywał uśpiony,
A sen mój się zarzęśnił strzałem pełnym dymu,
I w dymie stanął anioł jak ogień czerwony
I szepnął mi do ucha: „Ja mord—lecę z Rzymu“.

Jam uciekał i tęczę tak za sobą snował
Jak Irys... a po tęczach gnał mnie ów przeklęty,
Tak żem spytać go musiał: „A któż tam mordował?“
A on mi znowu szepnął w ucho: . . . . .

I znowu uciekałem — i kwiatów kielichy
I róże z ducha mego ciskałem za siebie
Broniąc się — a on za mną jak kurz i wiatr cichy
Gnał i szeptał: „Spełnione tu… osądzą w niebie!“

XXIV.

W ostatni dzień, w ostatni dzień
Wyście podróżne tu ptaki
Spotkały suchy dębu pień,
Co od pioruna miał znaki.

Lecz gdy go śpiew poruszył wasz
I głos doleciał z Ojczyzny,
Strzeliła z dębu człecza twarz
Z pod kory, ze spalenizny.

Z pod liści błysnął złoty łuk
I ręka i miecz czerwony;
W dębie słowiański mieszkał bóg
I wam się pokazał zjawiony.

XXV.

Na drzewie zawisł wąż,
I rzekł szatan do Ewy:
Patrz, pod ciemnymi drzewy
We śnie leży twój mąż.

Jemu mówił Jehowa
Tajemnicę stworzenia
Ze światła i z promienia,
Z miłości i ze słowa.

Ja ci dam tajemnicę
Duchów, Jehowy sług,
Że duch w Trójcy — to Bóg,
Słowo — trzy błyskawice.

Zwycięż na ziemi zgon,
Rozwesel cały Eden;
Ja w was dwóch będę jeden,
A we mnie ty i on.

Zdołaj duchy spłomienić,
Spokojny ciała dom
Chwilę zamienić w grom,
Trójcę w jedność zamienić!

Sama ogniami stléj,
A gdy się mąż zamroczy,
Patrz mu ogniście w oczy,
Usta z ustami zléj!

Szepcąc do ucha wciąż,
Czyń bez żalu i skruchy;
Ty i on — to dwa duchy,
Z wami trzeci ja, wąż.

Jeśli masz ognia mało,
To ściągnij oto dłoni
Po owoc téj jabłoni,
Jéj duchem podkarm ciało.

Ty będziesz świata panią!..
Lecz już z jabłkiem od drzewa
Biegła w płomieniach Ewa,
A szatan poszedł za nią.

Oto z ziemią się stało,
Co z gwiazdy trapionymi:
Promienność poszła z ziemi,
A duch węża wziął ciało.

XXVI.

Wielcyśmy byli i śmieszniśmy byli,
Bośmy się Duchem Bożym tak popili,
Że nam pogórza, ojczyste grobowce,
Przy dźwięku fletni skakały jak owce,
A górom onym skaczącym na głowie
Stali olbrzymy — miecza aniołowie.

Ustały dla nas bić godzin zegary,
Duch nie znał czasu, a czas nie miał miary;
Szedł błyskawicą do wieczności progu
Duch, a stał wieczność — kiedy stanął w Bogu.
Zaprawdę powiem, bracia moi mili,
Żeśmy się duchem przeświętym popili.

Teraz jesteśmy z ducha wytrzeźwieni,
Bracia rozumni — czciciele pieczeni...
W głowach się nie ćmi, jak pierwéj, słonecznie,
Fletnie nie grają, mogiły śpią wiecznie,
Czas nasz zgodzony z ziemi zegarami —
Stoim i śpimy... a świat śpi pod nami.

XXVII.

Narodzie mój,
Coś widział miecz
Na niebie ciemném świécący,
Powrócę ja —
Patrz, Furya zła.
Przyjdę jak płomień gorący,
Wezmę wichrzyce
I na stolicę
Wpadnę i dachy pozrywam;
W rzéki się rzucę,
W krew je obrócę,
W domy zlęknione powpływam.
Przez nocne cienie
Tak jak płomienie

Pójdę, a wam wzroki wypalę —
Przez błyskawice
Mocarze chwycę,
Nagie postawię na skale.
Przepuść jeszcze ludowi,
On sędzie postanowi,
I proroki swe boskie wybierze,
Oto leżą jak snopki
Błękitne twoje chłopki
I baranków duchowi pasterze.
Przez błękitne niebiosy
Rozwiń słoneczne włosy,
Nie trwóż biédnych — patrz — jęczą znędzniali;
Tysiąc lat w gwiazdę Twoją
Idą, a w miejscu stoją,
A tak drżą, jak gdyby po fali.
A jakiż to lud,
Który broni swych trzód?
Jak przewinił, że nie pomógł żadnemu —
Jeżeli mieczem władnie
A stoi, to upadnie
I blaskowi się pokłoni złotemu.
Obnażę jego wstyd
Z pod sztandarów i kit
Oberwanych, twarz jego zawstydzę;
Bo on sam sobie płacił,
Z chwał się swoich zbogacił,
Kwiat swój wydał na ludu łodydze.
Duchu, na mały czas,
Proszę, pozostaw nas,
Pozwól dożyć spokojnie starości —
Właśnieśmy jak anieli
Wytrzeźwieli, dojrzeli
Krajów naszych cudownéj piękności.
Promień nowéj oświaty
Na tureckie makaty
W nasze ciemne uderzył alkowy —
Od stepów przyszły szumy
Wiatrów, smętki i dumy,
A od Litwy szum drugi sosnowy —

Ziemi wrócona siła
Oto nas upowiła
I wonnymi oblała balsamy.
Świat snem — snu ziemia łożem —
Ze snu powstać nie możem,
Ale z łoża do Boga wołamy.

XXVIII.

Dusza się moja zamyśla głęboko,
Czuje, że tu, jak słońcu, zajść potrzeba,
A innym ludziom zabłysnąć na oko...

Jakiego kraju i jakiego nieba
Światło powita mię w progu żywota?
Nie wiem — lecz radbym żył z polskiego chleba...

Bądźże mi lepsza, o młodości złota,
Niż ta, która mi tutaj się skończyła,
A jeszcze dzwoni echem, jak tęsknota...

Bądźże mi blisko, o matczyna, miła
Duszo, abym mógł znów ukochać ciebie,
Nie wiedząc, żeś mię tutaj raz — rodziła.

XXIX.

Prawo Mojżesza w globie wyryte głęboko
Dotąd trwa: ząb dasz za ząb i oko za oko;
Bóg chce, aby się tego prawa domyślono,
I spełnia je schowany za śmierci zasłoną.

Sto dam za grosz tym, którzy jałmużnę uczynią,
Mówi Pan; cóż byłoby, gdyby stał ze skrzynią?
A to prawdziwy byłby dla lichwiarzy Eden,
Taki ogromny procent z grosza — sto za jeden!
A jednak Bóg jest godzien, aby mu wierzono,
I płaci — lecz schowany za śmierci zasłoną.

XXX.

Chcesz wiedzieć, czém dziś byłby nasz kraj odzyskany
W trzydziestym pierwszym roku: to patrz na Hiszpany,
A ujrzysz ziarno, które było w czasu łonie.
Ot Habsburg jakiś baba siedziałby na tronie,
Głupi a nieruchomy, tak jak Jowisz Stator;
Przy nim stałby podporą — upadły dyktator.
Przeciw myślom praktycznéj broniliby tezy
Ministry uszablone, grube Narwaezy.
Słodki nasz książę i Pan wielce ukochany,
Polityk, jak on cichy Martyner różany,
Do ministeryum częstym wracałby nawrotem,
Sterując między królem a prawem — z Guizotem.
Polskim groszem, co z chleba sypie się, anielski
Bankrutować-by zaczął dawno już pan Jelski;
Po nim zaś nasz filozof w kredytu postaci
Byłby już nas pozbawił dawno cyrkulacyi.
Cóż więcéj? pod wojenném prawem i pod biczem
Barceloną byłoby Wilno z Mickiewiczem;
Gdy przeciwnie wieszcz ciemny, w swoich drogach skryty,
Wlatując w dwór przez okna, albo przez kobiéty,
Znikałby nawarzywszy kwaśnych intryg piwa,
Sądząc, że ciemny dramat z królami odgrywa.
Z ludem byłoby trudniéj — przyszłoby nareszcie
Do sikawek, jak w Porta-sol — na starém mieście [1]).

1848.

---

[1]) W rękopisach Juliusza Słowackiego znajdujemy między różnymi notatkami następujący ustęp, odnoszący się do powyższego wiersza:

»Lelewel miał natchnienie, gdy mu przyszło na myśl Polskę z Hiszpanią porównać — ale w pisaniu odbiegło go, a rozum oszukał. Aragon — Polska, gdyby się była utrzymała, byłoby tak, jak dziś w Hiszpanii. Skrzynecki Jan dyktator. Chłopicki i Krukowiecki — jak Narwaezy. Jelski byłby zaczął bankrutować, a skończyłby bankructwo systemat pana Cieszkowskiego. Ks. Czartoryski martynizowałby różaną wodą arystokracyi pachnącą z Guizotem zawsze. Wilno z Mickiewiczem poszłoby pod prawo wojenne jak Barcelona. Autor Nieboskiéj bruździłby i zawichrzał pałacem — sądząc, że dramat z królami od grywa. Sejm gadałby, jak Kortezy«.

XXXI.

CÓRKA CERERY.

Przez miedzę, która podobna do szlaków
Różnych kolorów, między złotym kłosem
Tyś szła, owieczka, białością i losem
Podobna owcy śród kłosów i maków.

Wtém Pluton ogniem wylatując z krzaków,
Porwał cię w ręce i uniósł do piekła,
Córko Cerery — a tyś nic nie rzekła;
Weselił cię gwałt i wrzask nocnych ptaków.

Jakaż cię teraz cudotwórcza siła
Porwie i znowu cudownie przemieni
W córkę świécącą kłosów i promieni,
Kiedyś ty piekłu jak miesiąc świéciła
I tam, gdzie ludzie jadem są żywieni,
Tyś nie umarła — lecz jadła i żyła.

XXXII.

Karty się dają wszystkie wytłumaczyć tuzem,
Niemcy Niemcem — Francyja ptaszkiem i Francuzem;
Polak jéj nie rozumié, choć żyje od wieka,
Bo musi wprzód rozwiązać zadanie człowieka.

XXXIII.

Otrzymawszy wprzód na to jednomyślną zgodę,
Zgodzono się przedawać w pewném mieście — wodę.
Jednego tylko potém człowieka złapano,
Który chciał dawać darmo — i ukrzyżowano.

XXXIV.

Możnemu, który dzisiaj dom upięknia sobie,
Powiedz, że gdziebądź jutro zbudzi się na globie,
A wnet złoto rozleje po świecie jak wodę,
Chcąc, aby w każdym domu jutro miał wygodę.

XXXV [1]).

Jak dawniéj — oto stoję na ruinach
Dawnego miasta... zorze wschodzą ranne,
Ptaszęta małe śpiewają w leszczynach,
Niebiosa blade — przejrzyste — jak szklanne —
Kilka łabędzich chmur na wschodzie świéci,
I czerwienieje — i zognia się w zorzy,
Wróżąc skąd słońce wstające wyleci.
Wszystko spokojne — Bóg serca nie trwoży
Nawet w ptaszętach ..
Któżby rzekł: o Boże,
Że tak cudownie dzień zapowiedziany
Jutrzenki zorzą — ma być o wieczorze
Dniem ostatecznéj na globie przemiany,
Że te — o gwiazdy takie migające,
Te piękne perły błękitne i kwiaty
Będą ... ale nie — ja myślą nie trącę
O te ogromne duchów majestaty,
Godzina moja jeszcze nie wybiła.....
. . . .

XXXVI [2]).

. . . . Patrz nad grotą
Uwieńczona wstążką złotą
W którą polnych róż natknięto
Wydaje się jakąś świętą,
Jakąś cudną mgieł dziewicą,
Duchem stepów.... czarownicą,
Stepy te koronującą.
— Niech ją wiatry stepów trącą
A jak tęcza.... wnet uleci;
— Niech noc spadnie — a zaświéci
Jako księżyc..... taka biała.
Albo ogniem spłonie cała,

---

[1]) Z autografu druk. w *Warcie* r. 1880, str. 3495.
[2]) Z autografu druk. w *Warcie* roku 1880, str. 3495. *(Przyp. Wyd.)*.

Taka w oczach, patrz, ognista,
Albo w źródło się zamieni
Kryształowe.... taka czysta.
Lub jak gwiazda w sto promieni
Rozleci się duch niewinny,
A z promieni każdy inny
I w jasności i w kolorze....
Pod nią stepy..... stepy.... morze,
Co falami w słońce idą.
Ona traw oceanidą
Bez łabędzi wodnych płynie,
Taki wietrzny w téj dziewczynie
Duch, i taka czarów siła ....

. . . .

PIEŚŃ II[1]).

1.

Niewysłuchany dotąd nigdy świecie
Upiorów.... dyktuj mi tę pieśń czerwoną,
Która mię jak sen ołowiany gniecie,
I do westchnień mi wielkich budzi łono.
Pierwiastki ducha mego w jakim kwiecie,
Gdy go u wschodnich aż gwiazd zapalono,
Pokazały się....

2.

Kościele, w myśli dziś wstający cieniach,[2]).
Z twymi złotymi krzyżami... pod chmurą
Na zagaszonych Perkuna płomieniach
Stojący... gdziem ja pierwsze pawie pióro
Dziecinne.... jak jaki święty w objawieniach,
Wziął... ducha mego tęczową naturą

. . . .

[1]) Z autografu druk. w *Warcie* rok 1882, p. 4181.

[2]) W tym ustępie poeta powraca do wspomnień swojéj młodości, do kościoła katedralnego w Wilnie, który wzniósł Jagiełło na miejscu, gdzie płonął wieczny Znicz i stał posąg Perkuna. *(Przyp. Warty).*

Jeśli ty pomnisz, jaka wtenczas była
Moc w mych dziecinnych łzach — jakie zaklęcie,
Jakim się bolem dla ojczyzny skrzyła
Ta łza..... a jak w niéj znów, jak dyamencie
. . . .

* * *

. . . .
Jam ukląkł przed nią, jako duch bez dźwięku
I bez szelestu gnących się goleni,
I całowałem ją jak pies po ręku,
Ale nie czuła pocałunku cieni;
Odszedłem jęcząc, a katy po ciemku,
Cierpiący ze mną — sami przerażeni,
Przed jéj oblicze wynieśli surowe
I położyli mój tułów i głowę. —
Wskazała palcem — a święte dziewice
Włożyły ciało zrumienione w cedrze,
I szły jak białe rzędem gołębice,
Miastem zamgloném ku ciemnéj katedrze,
A matka przodem szła i niosła świéce —
— Jeśli nie cierpisz — cóż ci pierś rozedrze?
Ujrzałem matki oblicze surowe,
Gdy pokazano jéj tułów i głowę [1]).
Lichtarz przy sobie cicho postawiła,
A żaden szelest nie był w tym kościele,
Tylko okropny ciężar, jakby bryła,
I sen... i ciężkość... a świateł nie wiele...
A ona oczy swe boleśnie wryła
W ołtarz.... i suche, drżące rąk piszczele
Podniosła w górę.... i oczy zawlekła
Blachmanem.... słysząc, jak z trumny krew ciekła.

---

[1]) *War.:* Potém mnie owe nabożne dziewice
Włożyły w trumnę — wzięły na ramiona,
I szły jak białe rzędem gołębice,
Straszną rzecz niosąc....
A matka przodem szła i niosła świécę;
Żadna w niéj struna boleśnie nie jękła,
Przyszła, i cicho przed ołtarzem klękła.

Ten był szmer.... potém, gdy ranna godzina
    Nadeszła.... kiedy budziła się chata,
I drżała wiatrem brzoza i kalina,
    I nowy złoty błysnął dzień dla świata,
Mniszki śpiewały Stella Matutina,
    I śpiewem oto zwyciężyły kata,
Bo mój duch nakształt drżącego anioła,
    Wstał... podniósł czoło.... i wyszedł z kościoła.

. . . .

DO

AUTORA TRZECH PSALMÓW.

DO

AUTORA TRZECH PSALMÓW [1]).

Podług ciebie, mój szlachcicu,
Cnotą naszą — znieść niewolę.
Ty przemieniasz ziemską dolę
W żywot ducha na księżycu;
Głosem dziecka wołasz: czynu!
Czynu — czynu naród czeka.
Lecz ty wiész, bez ducha gminu
Jaka słaba pierś człowieka...
A ty, który budzisz czyn, [2])
Gdy spojrzałeś w ludu oczy,
Rzekłeś, że z nich rzeź wyskoczy!!
A kto inny jest — niż gmin?

Nie tak — nie tak, mój szlachetny,
Bo czyn ludu nie piosenka.

---

[1]) Wiersz ten był już drukowany i znany jest powszechnie. Ale wychodzi teraz w czystéj i pierwotnéj swojéj postaci, oczyszczony z licznych bezsensów, jakie go szpeciły w dotychczasowych wydaniach, i pomnożony wielu ustępami, które dotąd nigdy nie były drukowane.

[2]) Zamiast cztérech ostatnich wierszy tego ustępu znajduje się w rękopisie dopisany na boku taki waryant:

Lecz ty drżysz, gdy z ducha gminu
Błyśnie w ogniach twarz człowieka!..
Drżysz, gdy od kos ukraińskich
Długi, smętny brzęk zaleci
Do Warszawy — gdzie was, dzieci,
Straszy teraz twarz Kilińskich...

To nie w herbie z mieczem ręka,
To nie ród imieniem świetny,
To nie pieśni próżny twór,
To nie buntu próżna mara,
To nie chmurny lot Ikara,
Gdzie zasługą upaść z chmur!
To nie na słońc, gwiazd granicy
Z kochankami mdlejąc latać,
Włosy splatać i rozplatać,
Tchnienie tracić w błyskawicy;
Ale twardo, ale jasno
Śród narodu swego stać,
Myślą bić, chorągwie rwać,
Świécić czynu tarczą własną!
W drogę, choćby niepowrotną,
Ale prostą — naprzód twarzą,
Z piersią czystą, choć samotną,
Choć ją sztyletami rażą,
Z twarzą smętną, ale białą,
Chrystusową, choć zwiędniałą,
A ciągnącą lud do siebie
Niesłychanym bożym czarem:
Takim duchem i sztandarem
Być na ziemi — jest być w niebie!

Jam spróbował na méj głowie,
Nakształt gwiazdy kałakuckiéj,
Nosić gwiazdę myśli ludzkiéj
I z tą gwiazdą żyć surowie.
I przybiegli Aniołowie,
Aniołowie Betleemscy —
A odbiegli ludzie ziemscy
I drzwi moje pożegnali,
I przeklęli... me domowe
Duchy — serce — moję głowę —
Każdy włos poprzeklinali...
A jam przecie, bez ich wiedzy
I bez serc ludzkiego ciepła
Czuł, że w żyłach krew nie krzepła.

Ani na rozstajnéj miedzy,
Która świat od Boga dzieli,
A do przyszłych idzie światów,
Rosło mniéj tęczowych kwiatów,
Choć suszyli ją i klęli.
I dlatego, żem się umiał
Pohamować — być nad zgraję —
Wichr przeleciał i wyszumiał
I legł martwy... a ja wstaję;
Bo ojczyznę mą w łańcuchu
Widząc, miałem tę pokorę,
Żem żadnego nie klął ruchu...
Czuł gorących — bo sam gorę,
Modlił się o czasy nowe
I o wrogów mych zwycięstwo,
Choć groziło mi męczeństwo
I w sąd... mogło pójść o głowę.
Bo ty nie myśl, że z Anioły
Tylko boża myśl nadchodzi;
Czasem Bóg ją we krwi rodzi,
Czasem rzuca przez Mongoły!...

A ty, jasny jakiś panie,
Bo cię nie znam, ale słyszę,
Słysząc twoje wierszowanie,
Że ktoś jak perłami pisze,
Że ktoś nakształt się proroka
Stawia ludziom — ale modny,
Jak historyk świata — chłodny,
Obejrzawszy świat z wysoka,
Wieszcze rymy, jako cugi
Posłał na świat równym kłusem
I napełnił wóz Chrystusem,
Jak Owidyusz Faetonem,
I rozesłał swoje sługi,
Swe kolory czcić pokłonem.

Honor myślom, z których błyska
Nowy duch i forma nowa!

Bo są światu, jak zjawiska,
Jako jutrznia są rożowa,
Jak ogniste meteory
Stopom ludu podścielona,
By gościńce Irydyona
Pielgrzymowi, który od nich
Bierze ogień i kolory,
Gdy już gwiazd dochodzi wschodnich.

Taką była dawniéj dana
Poetyczna karm dla ludu,
Objawienie pełne cudu;
Myśl, jak mara niespodziana,
Z piersi naszéj wychodziła
Nakształt gwiazdy, lub miesiąca,
Narodowi dźwiękiem miła,
Ludu sen wspominająca.
To jak słońce w półobłoku
Oczom wschodziła i rosła,
To jak róża na potoku,
Albo lekki Sylf bez wiosła.
Jakaś siła niewidzialna,
Przez poetę na świat lana,
Wolna — jako Anioł Pana!
Silna — jako skra zapalna!

Dziś co? — Każdy wieszcz z rozkazem,
Każdy patron... lecz za sobą;
Nie z promieniem, lecz z wyrazem,
Nie duch-duchem, lecz osobą,
Kiedy gore świat cierpieniem,
Kiedy wzbiéra czynu fala,
On się kładzie sam kamieniem,
Na ruch ludzki nie pozwala;
Chce zawrócić w stare łoże
Nowe fale — rzeki boże;
Do zbolałych serc nie wnika,
Gromu ludu nie ma w dłoni,
Ale w uszy formą dzwoni,
Albo dzwoni — albo syka.

Jego dźwiękiem, jego mową
Nie odetchnie pierś szeroka,
Nie pomyśli jego głową,
Skier nie weźmie z jego oka;
Tylko nędzne ujrzy płachty,
Zamiast wieszcza — sztandar jego
I krzyk: „na Boga żywego!
„Ty, kto jesteś? nie rżnij szlachty!!..“

Któż i gdzie zagroził nożem?
Któż i gdzie ci stanął sporem? —
Możeś spotkał się z upiorem,
Z całém dawném Zaporożem?
Możeś widział pochód głuchy,
Krzyki krwawe i namiętne,
I księżyce nad krwią smętne
I sokoły w mgle, jak duchy?
Może tobie zastąpiły
W poprzek twojéj sennéj stecki
Same tylko ich mogiły —
A ty zląkł się! — wódz szlachecki!! —

Może tylko w noc półjasną
Upiór jaki nadlatywał,
Strzały sobie z ran wyrywał
I mgły krwią czerwienił własną,
Hełm rozpalił w błyskawicę,
Miecz potrząsał purpurowy,
A okropne cztéry głowy,
Jako perły zausznice
Z twarzą nieznajomych plemion,
Niby róże — niósł u strzemion.
— A ty zaraz — w ręku kord,
W kosach przed nim cała wieś!
Duch ten, krzyczysz, jest to rzeź!
Duch ten, to czerwony mord!...
— Nie mord, nie rzeź: — to z girlandy,
Co leciała po nad Lidą,
Jakiś sługa dziewki Wandy,
Jakiś złoty husarz z dzidą,

Jakiś krzyża kapłan świecki
Z tęczy widzeń oderwany
Znów powracał na kurhany —
A ty zląkł się! — syn szlachecki!! —

Duchy lecą i nie giną —
Czasem pełne snów czerwonych:
Czy ty jeden z przestraszonych
Ręką rzezi — gilotyną?
Skądże taka w tobie trwoga
I od ludu rów i przedział?
Prawdę mówisz?... Nie, na Boga,
Wiém, żeś prawdy nie powiedział!
Tylko jakieś sny czerwone,
Zaludnione czartów gminem,
Twych firanek karmazynem
Owionięte, osłonione,
Jak róż jasne — jak sen płonne,
Pełne, mówię, mar szkaradnych,
Bez słońc, bez gwiazd, kwiatów żadnych,
Przestraszyły cię, żeś krzyknął:
„Stójmy tak — na Ojców kości!"
I twój Anioł, już w przyszłości
Zabłyśniony — jak sen zniknął.

Jeszcze co? ani zamachu —
Naród cały hasła czeka —
A krzyk piérwszy z ust człowieka
Był krzyk: stójmy! był krzyk strachu.
Bo to sen na końcu pieśni,
Że magnaty — kiedyś — staną
Z wielką tęczą chorągwianą,
Otrząśnięci z wieków pleśni,
Z wielką myślą w sercu — głowie —
Chatom — niby Aniołowie;
I bunt święty rozpłomienią,
I świat cały od nich zgore...
— W tych magnatach serce chore:
Wąż im sercem, a proch rdzenią!...

Kiedyś ze sto was tysięcy
Było szlachty z serc i z lica;
Dziś jednegom znał szlachcica,
I kraj cały nie znał więcéj.
Jeden tylko serca męką,
Zamiarami, choć nie skutkiem,
Wielkim, cichym, dumnym smutkiem,
Pełną zawsze darów ręką,
Smętną jakąś nieszczęść sławą
Był szlachcicem i miał prawo...
Dziś — i ten nie został z wami
I godności swéj nie trzyma;
Poszedł gnić między królami,
Już go nie ma — i was nie ma!

Nie myśl, że wszystko na naszéj łące
Smutnieje, więdnie, zachodzi nocą,
Że nietoperze ociemniające
W powietrzu cicho skrzydły łopocą,
Gdzie znajdą lampę — skrzydły zaduszą,
Gdzie znajdą ciepłą polską krew w żyłach,
To ją wysmokczą — serce wysuszą —
Mózg o waryackich zostawią siłach.
Nie tak, tu nie tak... jak ci się może
Przyśniło, głośny szlachty upiorze!

Duch, ogień, młodość
Orla i żywa
Ogniem porywa
I z ducha czerpie.
Nad nią na sierpie
Z blasków księżyca
Boga Rodzica
W zorzy czerwonéj,
Na wywróconéj
Tęczy porannéj!
A pod nią mgła
Z ognia i szkła
W skrze nieustannéj
Bałwany wznosząca,

By znieść ją z miesiąca,
Z gwiazdami złotymi
Postawić na ziemi,
Ogłosić królową,
Piękność z płomieniem w sercu, z gwiazdami nad głową.

Wyszła, wyszła z za obłoku,
Ludom się pokaże,
I na żniwie i na toku
Ujrzą ją żniwiarze!
Cała w słońcach, cała w błyskach,
Z kwiatem złotym w dłoni;
Pastuszkowie przy ogniskach
Zaśpiewają o niéj!...
Ujrzą ją na polu trzody
I smętnie zaryczą;
Zadrżą drzewa, staną wody,
Sny z niéj tęcz pożyczą!
I zgromadzą się włódarze
Z kosami na roli;
Bo się w sercach — w śnie pokaże
Człowiek dobréj woli...

Bądźże żywotniejszéj cery, *)
Bo cię żywym być przymuszę;
Wygnaj z myśli Maryusze,
Cezary i Robespiery.
Z komet, z meteorów cyfer
Czytaj przyszłość, wieszczu młody,
Nie bądź w przyszłą noc pogody,
Jako gwiazda zła — Lucyfer,
Gdy słoneczny wóz wyciąga,
Jak pies, węża mając szyję,
I zła skrzy... i w oczy bije
I bezsennym się urąga. —
Bo my z bezsennego łoża
Wzrok rzucamy gorączkowy,
A ty łyskasz blaskiem noża,

*) Bądźże mi weselszéj cery, *wariant*.

Dziecko, lub zły duch Jehowy,
Bo nam tworzysz czarną marę
I w zrodzoną rodzisz wiarę.

Ten, kto ojcu powie: raka!
Ten przeklęty: — więc się bój!
Polski lud, to ojciec twój.
Zeń, jak z cierniowego krzaka,
Gotów znowu Bóg wybuchnąć,
Z wichru mając twarz i lice,
I na ciebie, jak na świécę —
Iść — i daléj pójść — i zdmuchnąć!

Więc się bój: — bo nie ja grożę,
Marny człowiek i twój brat,
Ale jakiś straszny świat
I widzialne światła boże,
Z ciszą, z wiatrem i z szelestem
Rzucające się na lud
Strachy, które mówią: cud!
Ognie, które szepcą: jestem!

Więc się bój: — bo duch się wdziéra
Zewsząd i podważa wieże.
Słaby, mówisz, rzeź wybiéra:
A czy wiész, co on wybierze?
Może ludów zatracenie,
Może nam przyniesie w dłoni
Komet wichry i płomienie,
W których drży król, matka roni,
Działa, wozy, hufce, konie
Ogień pali, ziemia chłonie;
A nikt z mogił nie korzysta,
Jeno wszczynający ruch,
Wieczny rewolucyonista,
Pod męką ciał — leżący duch!

We łzach, Panie, ręce podnosimy do Ciebie.
Odpuść nam nasze winy!

Niech będzie Twoja wola na ziemi i w niebie;
Przez nas czyń Twoje czyny!
Niechaj się Twoje imię na wysokościach święci,
Niech się święci trzy razy!
Abyśmy już nie byli z ksiąg żywota wyjęci
Dla naszych ran i zmazy.
Wspomnij, cośmy cierpieli pod chłostą tych mocarzy,
A ducha-śmy nie dali:
Nie poznaliby ojce naszych bolesnych twarzy,
Gdyby z grobowca wstali.
Gdyśmy cierpieli mocno, wołaliśmy do góry,
Jak gołębie: „nie ciśnij“ —
Duchy, jak gołębice, rozleciały się w chmury;
Zatrwóż! niech wrócą!... błyśnij!
W téj błyskawicy, Panie, ujrzym się i z daleka
Brat pozna swego brata,
I wejdzie nieśmiertelność, jako Anioł, w człowieka
I staniem ludem świata!...

A tu niżéj
Pan poniży
Namiętnych.
Głos uciszysz,
A usłyszysz
Jęk smętnych.
Zebrzydowscy
I Zborowscy
W czerwonych deliach.
Błyskawice
I dziewice
W bladych kameliach.
Chór przychodzi,
Zda się w łodzi,
O brzegi trąca.
Nad smętnymi
Lampa ziemi,
Okrąg miesiąca.
Zegar świata,
Ptak Pilata,
Godzinę pieje.

Strach i nudności,
W grobach drżą kości,
Bezduch szaleje.
Duch uciska,
Mroczy i błyska,
Aż uzupełni
Wiek idący,
Bogiem błyszczący,
Jak miesiąc w pełni.

W takim hymnie wieszczu stój;
Bo pieśń taka pójdzie górą,
Nad podlejszych dusz naturą
Panująca — boży strój,
Do którego Bóg nagina
Wszystkie tego wieku struny,
Złączy dźwięki i pioruny,
Świat, co kocha i przeklina,
I błękitu rzuci na tła,
Przemienioną krwawość w światła.
Anioł się z Aniołem zetrze,
Chrystus wyjdzie na ciał złamy
I z Chrystusem się spotkamy,
A spotkania plac... powietrze! —

Lecz dopóki ty i twoi,
Duchem bożym nie skrzydlaci,
Chcecie stać na głowach braci,
Tak jak szatan dotąd stoi,
Ciałem — formą, która kuta
Od tysięcy lat we świecie,
Choć spróchniała — duchy gniecie,
Wyrobiona i przeżuta,
Przeświécona piekłem mara,
Dla was święta tém, że stara...
Póki wy, jakby z kamienia,
A kryjący strach kobiécy,
Opieracie wasze plecy
O ten wiatr z gwiazd i z płomienia,

Który się jak słońce pali
I lud niesie, a was wali —
Lecz dotychczas jeszcze szczędzi
Najpiękniejszych od zagłady,
Aż nie mogąc, dusz gromady
Przerażone z ciał wypędzi: —
To ja — pomny na potrzebę
Przyszłych ludzi, tych Cezarów,
Którym każdy stary narów
Kładł pod nogi kamień, glebę,
Męczenników pełną chatę,
Swój interes i prywatę; —
To my święci, to my młodzi
Jutrzenkami i błyskaniem,
Charonowéj twojéj łodzi,
Pełnéj trupów — poprzek staniem!

PODRÓŻ DO ZIEMI ŚWIĘTÉJ

Z NEAPOLU.

POEMAT NIEDOKOŃCZONY.

(1836).

Zabrawszy to, co z tego poematu było drukowane i to, co znajduje się w rękopisie przez Dr. A. Małeckiego opisanym, podajemy wszystko w porządku wskazanym przez załączony poniżéj *itinéraire* podróży Słowackiego. — Dodana tam nota objaśnia, dla czego w napisach zmieniamy liczenie pieśni. — Znajdzie tu więc czytelnik pieśń I, (drugiéj niema) III, IV, V VI, VII-a, następnie początek VIII, niedokończonéj, a z któréj powstał wiersz *„Do Teofila Januszewskiego“*, podany przez nas na str. 36; tu bowiem przerywałby tok poematu nietylko cofnięciem się w przeszłość, ale i odmienną formą. Następnie w porządku czasu idzie ***Grób Agamemnona***, koniec pieśni VIII i pieśń IX, na któréj poemat się urywa. Tuż po niéj dołączamy ***Wschód słońca nad Salaminą***, acz nie należący do poematu i inną formą skreślony, ale zbliżonéj treści.

PIEŚŃ PIÉRWSZA.

WYJAZD Z NEAPOLU.

1

Muzo mdlejąca z romantycznych cierpień,
Przybądź i pomóż! Wzywam ciebie krótko,
Sentymentalna, bo kończy się sierpień,
Bo z końcem sierpnia i koniem i łódką
Puszczam się w drogę przez Pulią, Otranto,
Korfu... Gdzie jadę? powie drugie canto.

2

Tymczasem piérwsze opowiedzieć musi,
Skąd się wybrałem, po co i dlaczego?
Chrystusa dyabeł kusił, i mnie kusi;
Na wieży świata postawił smutnego
Życia nicością, i pokazał wszędzie
Pustynie, mówiąc: „tam ci lepiéj będzie."

3

A jednak, gdyby mniéj pamięci bolu,
Zachceń i marzeń, a więcéj rozsądku:
Toby mi dobrze było w Neapolu,
Gdzie przed oknami na prawym przyladku
Widziałem szare więzienie stolicy,
A zaś Wezuwiusz górą, po lewicy.

4

Błękitne morze pomiędzy więzieniem
A między górą popiołów i lawy
Czekało ciche, aż góra płomieniem,
A konstytucyą buchnie wulkan prawy.
Tak było niegdyś, nim się na Francuzów
Król i Fra-dyabeł ruszyli z Abruzów.

5

To jest za króla ruszał się kardynał,
Za kardynałem Fra-dyabelska banda,
Ta rozgrzeszała, rak czerwony ścinał
W imieniu Boga, Papy, Ferdynanda;
Gdy zaś wyrąbał do Kyrie Elejson
Litanią świętych, wyręczył go Nelson [1].

6

Mówiłbym daléj, ale *Pan Fodstoli*,
Dziady, a zwłasza tych *Dziadów* część czwarta,
Uczą porządku w opowiadań roli,
Rysując proste ścieżki. Więc do czarta
Mego pegaza wyskoki, i liczne
Opowiadania semi-historyczne!

7

Więc do porządku! A jednak mię boli
Dawać odsyłacz do pana Coletty,
Gdzie opowiada, jak trup Caraccioli
Z łańcuchem u nóg na morzu... Niestety,
Przyrzekłem trzymać wędzidło na pysku
Apolinowym. Lecz powiém w przypisku *).

8

A jeśli drukarz znajdzie, że do treści
Z podróży wątkiem zléwa się przypisek,

---

[1]) Strofę tę opuszczoną w odpisie, według którego pierwsze wydanie było drukowane, podajemy z autografu *(P. Wyd.)*.

*) Przypisku tego w rękopisie nie ma (*P. W.*)

To go pod strofą poprzednią umieści.
Zmazawszy parę skrzyżowanych krések,
I nie dozwoli, by za gwiazdek tropem
Czytelnik gonił z Herszla teleskopem.

9

Przypisek winien być pisany prozą,
Lecz ja nie mogę pisać, tylko wierszem.
Ktoby pomyślał, że mnie rymy wiozą,
Że sobie konno usiadłem na piérwszym,
A za mną drugi jedzie krok za krokiem
Rym z parasolem, z płaszczem i z tłómokiem.

10

Wierzcie mi jednak, ze leksza od rymu
(Dla śniegów jechać nie mogłem przez Turyn)
Para mnie gnała z Marsylii do Rzymu;
Do Neapolu zaś przywiózł veturyn.
Carozze jego i cabrioletti
Zalecam wszystkim — zowie się Paretti.

11

Zalecam nowy hotelik Vittoria,
Który staremu nie ująwszy sławy,
Tak się podzielił famą, jak cykorya
Wmięszana zgrabnie do mokańskiéj kawy.
I marmurami, wygodą i luxem
Ze starym idzie, jak Kastor z Polluxem.

12

Zalecam także (zostanę Astolfem,
Bo mój hipogryf staje się skrzydlatym),
Zalecam tobie mieszkanie nad golfem
Na świętéj Łucyi;[1]) a jeśliś bogatym,
Jeśli ci kura złote nosi jaja,
Mieszkaj przy Villa Reale, na Chiaja.

---

[1]) Poeta mieszkał istotnie z Januszewskimi przy Via S-ta Lucia da Mare, N. 28 (obacz *Listy* z 20 września 1836 r.).

13

Dosyć już, dosyć! Wyznaję ze wstydem,
Że pohamować nie umiejąc weny,
Z wieszcza zostanę prozaicznym gidem;
Ja, com zamierzał wypłakiwać treny
Nad Caracciolim i kląć Ferdynanda,
Dziś piszę, jaka gdzie stoi lokanda.

14

Bo też kto dzisiaj jest na stałym lądzie
A jutro myśli wędrować po morzu,
A pozajutro jeździć na wielbłądzie,
Nie jedząc mięsa, ani śpiąc na łożu:
Chciałby Europę, co mu z oczu znika,
Unieść jak Jowisz przemieniony w byka.

15

Jeśli Europa jest Nimfą — Neapol
Jest Nimfy okiem błękitném, — Warszawa
Sercem, — cierniami w nodze Sewastapol,
Azow, Odessa, Petersburg, Mitawa: —
Paryż jéj głową, — a Londyn kołnierzem
Nakrochmalnym, a zaś Rzym... szkaplerzem.

16

Gdzieś porównanie podobne w Szekspirze
Na Niderlandach kończy się zamknięte...
Lecz ja wyjeżdżam pod Golgoty krzyże
Po święte myśli i szkaplerze święte.
Więc przed wyjazdem robię ślub niezłomny,
Że będę nieco zabawny — lecz skromny.

17

A jeśli kiedy mój przyjaciel Szekspir
Na złą myśl zagna rymy buntownicze,
Położę jaki suspir albo expir;
Z muzyki — znaku milczenia pożyczę

I muzę moję w rymowym balecie
Na zakręconym wstrzymam piruecie.

18

O Neapolu! ty nie pożegnany
Czekasz, aż ciebie pożegnam epicznie.
Jak biała Wenus, urodzona z piany,
Wyszedłeś z morza zapłoniony ślicznie
Skrawymi słońca zachodniego łuny,
Cichy, pod górą, co ciska pioruny.

19

O Neapolu, gdzie jest twoja dusza?
— Bo duszą twoją nie jest ruch i życie! —
Patrzę na ciebie z grobu Wirgiliusza,
A ty na niebie i na fal błękicie
Tak roztopiony w zorzy malowidła,
Jak upuszczona na brzég bańka z mydła.

20

O Neapolu! wieczorne wyziewy
Twym są rumieńcem, twe dymy są tęczą.
Harmonizujesz się tak, jako śpiewy
Z ciszą powietrza; twe dzwony nie jęczą;
A twój domami okryty pagórek
Ma białość lekkich na błękicie chmurek.

21

Tylko po Chiai i po Margelinie
Idą przeciwne sobie dwa rynsztoki;
Rój mrówek lézie i rząd karet płynie,
Wszystko się rusza. Grób wieszcza wysoki
Właśnie tam stoi, *dove fa il torso*
Ulica; — z grobu patrzałem na Corso.

21 [1])

A choć przejeżdżał w prześwietnéj osobie
Królewic mały, choć mu się rój kłaniał,
Jam się nie skłonił; bom siedział na grobie.
Masztalérz jechał i kijem rozganiał
Mrówki idące w przeznaczenia drogę
Z królewicami..... gdzie? zgadnąć nie mogę.

22

Choć bardzo lubię filozofią Kanta,
Gniewam się na nią, że ludzi nie uczy,
Gdzie iść po śmierci. Wolę piekło Danta:
Właśnie je czytam podług nowych kluczy
Które przyczyną może będą schizmu
Mówiąc, że Dant chciał republikanizmu

23

I w poemacie używał języka
Sekretnych związków. A gdy tajemnicze
Kładł majuskule, to podług krytyka
Na końcu rymu położone B. I. C. E.
Wcale znaczyło co innego w pieśni
Niż Beatricze. Wam się o tém nie śni!...

24

A ja dowodzę, że Dant o kochance
Nie śnił, a jeszcze mniéj śnił o Vororcie [2])
Albo Konwencyi — i nie topił w szklance
Cesarza Niemców, i w piekła retorcie
Nie smażył rządu lepszego, co przyjdzie,
Jak niegdyś Platon kiep na Atlantydzie [3]).

---

[1]) Poeta *pieśń* I ponumerował i przy téj zwrotce pomylił się wszakże, położywszy dwa razy 21. Stąd pochodzi, że ostatnia strofa téj pieśni, mającéj istotnie 50 strof, oznaczona jest liczbą 49 *(P. W.)*.

[2]) *Vorort* Dyrektoryat federalny w Szwajcaryi. *(P. W.)*.

[3]) Strofa po raz pierwszy drukowana — podajemy ją z oryginału *(P. W.)*.

25

Z grobowca wieszcza widzę, jak nad głową
Wulkanu księżyc wysunął się biały,
A u stóp góry Castello dell'Ovo,
Zamek podobny do stérczącéj skały,
Gmach, co się trzyma przez królewską wolę
W morzu, jak jaje Kolumba na stole —

26

Zczerniał przy fali migającéj złocie; —
A gdy na niebie szafirowém ze dna
Gwiazd zapalonych wychodziły [1]) krocie:
I z okiem zamku błysła gwiazda jedna
Czerwona, rubin zamglonych błękitów,
Siostra błyszczących gwiazd — u Karmelitów.

27

O gladyatory, wydarci ludowi
W godzinie zgonu i mrący na słomie!
Idę powiedzieć o was Chrystusowi
Pod Jego krzyżem, w Jego męki domie;
Idę zapytać głośno w Oliwecie,
Gdzie się zbudzicie i zmartwychwstaniecie?

28

I tam, gdzie Chrystus zapłakał sam w sobie,
Z oliwy bladéj gałązki rwać będę;
A jeśli znajdę, że już śpicie w grobie,
Liściami płaczu posypię tę grzędę,
Pod którą będzie cichy sen grobowy —
Kości bez czaszek i trupy bez głowy.

29

O bracia moi, łańcuchami zbrojni,
O nie targajcie wy się jak w rozpaczy!

---

1) W oryginale: wychodziło. *(P. W.)*.

O bracia moi, bądźcie wy spokojni!
Słońce was jutro po kratach zobaczy
Bledszych wilgocią, strawą i myślami,
A ja was żegnam... niech śmierć będzie z wami!

30

Żegnam i ciebie, o garsteczko prochów
Leżąca zawsze pod laurem klasycznym;
Turkot powozów z Pauzylipu lochów
Woła pod tobą hymnem romantycznym,
Że sława przejdzie, a bryki nie przejdą,
Że ta bryk droga jest wieku Enejdą...

31

Most pod Tamizą jest kupców Iliadą —
I wiele będzie do sprzeczki powodów,
Czy jeden Rotszyld, jak wieszcz nad Helladą,
Czy też brzęczących kompania Rapsodów
Autorem mostu, gdzie w oknach przez szyby
Anglikom się w twarz przypatrują ryby.

32

Lecz niech mię ciemność Erebu ogarnie,
Jeśli okłamię Pauzylipu grotę!
W ciemny korytarz spadają latarnie —
Jedna za drugą, jak gwiazdeczki złote;
A tam, gdzie nikną i gdzie ciemność krucza,
Światło dnia wpada, jak z dziurki od klucza.

33

I jeszcze wyżéj wzniosłszy się na duchu,
Powié ci muza w opisaniach szczytna,
Że na uwitym z latarni łańcuchu
Zawisła mała gwiazda dnia błękitna,
A w téj gwiazdeczki lazurowém łonie
Rodzą się ludzie, powozy i konie.

34

Rodzą się, rosną i w latarni błyskach
Idą, większejąc długim korytarzem.
Jeżeliś nie był w romantycznych spiskach,
A jesteś przyszłych wulkanów malarzem,
Tu, nie lękając się dyb i powroza,
Zbiéraj modele, jak Salvator Rosa.

35

Lecz chodźmy w miasto! Już księżyc wysoko,
A golf ubrany latarni przepaską.
Stolico! gdzie nikt nie myśli głęboko,
Gdzie zabroniono nawet myśleć płasko,
Niech twój rząd stworzy jakie słowo święte
Na niemyślenie, jak na *far-niente!*

36

Dyogenesów lud rynki zasiada.
Czego chcesz? pyta wolność Lazarona:
Zejdź z mego słońca — nędzarz odpowiada.
Jeżeli nie ma karlinów, to skona
Z głodu i pójdzie do łódki, gdzie Charon
Dusze przepławia...... wolność? czy Lazaron?

37

Wolność!... Już dla niéj uszyto symarę
Z gazet *Giovine Italia*... Lazaron
Będzie żył, póki ma *frutti di mare,*
Niebo błękitne i żółty makaron,
I koszyk, w którym leży jak ostryga.
Pytasz się, co w dzień porabia? — dościga!.....

38

A młodzież lepsza, co ma grosz w kieszeni,
Tytuły contów i w oknach firanki,
W cieniu dopiéro się ledwo zieleni...
Kto temu winien? — Neapolitanki!...

One to winne, że się lud nie budzi;
Bo kto z młodzieży umié robić ludzi?...

39

Ja wiem, że wiele winienem kochance;
Sama po włosku uczyła mnie czytać,
Improwizować, (ale nie przy szklance),
Brwi smutnie marszczyć, we śnie płakać, zgrzytać,
Na Archipelag uciekać po laur
I awantury — jak *Korsarz* i *Giaur*.

40

Ona uczyła mię chodzić, jak scenarz
(Lepsze niż aktor słowo niech zostanie);
Wmówiła we mnie, że zamiast Ojcze-nasz
Lepszą modlitwą... księżyco-wzdychanie;
Dziś mię nawraca bez żadnego skutku
Na katolicyzm... mam religią smutku!

41

I odpisałem... co? już nie pamiętam —
Coś odpisałem, lecz nie tak gorąco
Jak Russo — ani tak sucho, jak Bentham:
„Jako dwie skały, kiedy je roztrącą
Strumienie rzeki, choć je nurt rozdziéra,
Patrzą na siebie niebem“ et cetera.

42

I znowu wspomnień pieśń dzika, echowa,
Zagrała w sercu i łzy moje płyną.
O Ludko![1]) dziecka kochanko, bądź zdrowa!...
Jeżeli kiedy po tą jarzębiną,
Co nieraz kładła koralowe grona
Na twoje włosy, siądziesz zamyślona;

---

[1]) Ludwika Śniadecka, córka Jędrzeja i późniéj żona Michała Czajkowskiego, Sadyka paszy: ob. *Godzina myśli.* (*P. W.*).

43

Jeżeli książkę położysz przy sobie,
Jeśli szalona ta pieśń z tobą będzie: —
Kart nie odwracaj!... bo nim spocznę w grobie,
Będę ci śpiewał, jak mrące łabędzie
Tak nieśmiertelnym płaczem, że raz jeszcze
Łez brylantowych osypią cię deszcze.

44

I łzy się żywe rozbiegną po łonie
I strumień palce różowe otworzy,
Jeśli spłakaną twarz ukryjesz w dłonie.
Ja wtenczas będę spokojny; jak w zorzy
Gwiazda niknąca, blady; lub z obliczem
Pełném promieni boskich... albo niczém.

45

Jednak jeżeli Ten, co jest na niebie,
Słyszał o słońca mówione zachodach
Modlitwy moje — wszystkie nie za siebie,
A tak rozlane na świat, jak na wodach
Mórz lazurowych rozlewał się cały
Krąg tonącego słońca skrawo biały;

46

Jeśli Bóg wiedział, jak mi było trudno
Do tego życia, co mi dał, przywyknąć
I nie przeklinać... i drogą bezludną
Iść po tym świecie szalonym, i niknąc,
Co dnia myśl jednę rozpaczy zaczynać,
Myślą tą modlić się... i nie przeklinać;

47

Jeśli i Boga nie zwiodła udana
Spokojność moja, ta Chrystusa szata,
Krwią poplamiona i drugi raz wdziana
Na duszę pełną bólu... i ze świata

Uciekającą na chmurach jesiennych
We dnie tak smutne, jak noce bezsennych: —

48

To mojéj duszy, dobytéj z popiołów,
Da wiele ciszy — i na jaką bladą
Gwiazdę do smutnych krainy aniołów
Przeniesie senną. Trupi prędko jadą,
Mówi poeta ballad w Leonorze;
Więc na niemieckim chciałbym siąść upiorze

49

I ruszyć w podróż; bo się pieśń przewlecze
Nie jedną jeszcze przerwaną ideą.
Jutro kuryerem wyjeżdżam do Lecce,
Jutro więc zacznę śpiewać Odysseą,
Albo wyprawę o Jazona runach
Na nowéj lutni i na złotych strunach.

PIEŚŃ TRZECIA. [1]

STATEK PAROWY.

Na morze statek wyleciał parowy;
Wre para, słychać dźwięk żelaza szklanny...
A jako z płaskiéj wieloryba głowy
W niebo srebrzyste tryskają fontanny,
Tak z pod okrętu młyńskiém bita kołem
Wytryska piana — a dym leci czołem.

---

1) W oryginale zaraz po *Pieśni* Iéj następuje *Pieśń III*. Dlaczego, odpisując na czysto, wypuścił poeta *Pieśń II*, która zapewne zawierała podróż lądem do Otranto i morzem do Korfu, trudno wiedzieć. W rękopisie, z którego drukujemy, nie została wydarta, bo w paginacyi ręką poety dokonanéj, nie ma żadnéj przerwy. — Że istniała jednak, dowodzą następujące okoliczności: 1) W pierwszéj strofie *Pieśni I* poeta wyraźnie mówi: Gdzie jadę? powie drugi *canto*. 2) Na końcu każdéj pieśni przepisanéj na czysto znajdujemy zanotowaną przez Słowa-

Jeszcze nie rzucę porównania, chyba
Słów mi zabraknie. Ogień wre zamknięty
W drewniano-smolném łonie wieloryba.
A jako niegdyś płynął Jonasz święty,
W łonie okrętu bez desek i miedzi
Wesoło, w liczném towarzystwie śledzi,

Zapewne nieraz śmiejąc się z kłopotu
Trawionych flåder, ostryg i czefalów:

---

ckiego liczbę strof; nakońcu 7-éj zaś obliczenie wierszy, których suma wynosić miała 1656. Otóż zliczyliśmy liczbę strof każdéj pieśni: I 49 (popełniwszy z umysłu też samą co poeta omyłkę), III 40, IV 61, V 46, VI 42, VII 38, co czyni razem 256 po 6 wierszy czyli 1536 wierszy. Brakuje przeto 120 wierszy, pieśń zatem II istniała i miała 20 strof. 3) W tym samym raptularzu na ostatniéj karcie jest zaczęty *Dziennik podróży,* którego zaledwie kilka wierszy poeta napisał: »Otranto d. 29 Sierpnia 1836 r. poniedz. Puściłem się nareszcie w moję pobożną wędrówkę przez Grecyą, Egipt do Jeruzalem; i stoję już nad brzegiem morza adryatyckiego (cały ten początek przekreślony) tak, iż, podniosłszy nogę i wstąpiwszy na pierwszą falę bijącą o brzeg piaszczysty, mogę dać pożegnanie Włochom; czekam tylko na statek Kuryerski przypływający co tygodnia do Otranto i z tego miasta wracający do Korfu, aby się dostać do tego anglo-greckiego miasta. Nie rozumiesz zapewne, moja droga, (widocznie Słowacki miał zamiar pisać ten dziennik dla matki) co mnie do takiéj nakłoniło podróży, że sam prawdziwie nie mogę sobie wytłomaczyć, dlaczego z takim smutnym zapałem rzucam się w świat nieznajomy, pełny niebezpieczeństwa, gdy w Grecyi rozboje, w Egipcie zaraza panuje. Myślisz że chcę się coraz bardziéj oddalić od ludzi. Dla czego?

Ostatni wiersz również przekreślony. Pod tym urywkiem jest podana już przez dr. A. Małeckiego notatka ołówkowa:

August 24 Neapol	Wrześ. 28 w Syra
» » 28 w Otranto	Paździer. 12 z Syra do Alexandryi
Wrześ. 2, do 4 podróż	» » » 20 w Alexandryi
» » 4, do 8 w Korfu	Listop. 1 w Kairze
» » 10 w Patras	» » 6 z Kairu
» » 12 w Vostizy	» » 13 w Siout
» » 13 w Megespileon	» » 19 w Denderze
» » 16 w Tripolizie	» » 26 w Philae
» » 17 w Neapoli di Romania	» » 30 w Tebach
» » 18 Argos	Grud. 10 w Kairze
» » 19 w Koryncie	» » 15 z Kairu
» » 20 w Atenach	» » 22 w El Arish i Kwarantana
» » 27 z Aten do Syon	Styczeń 2 z El Arish.

Z porównania tego *itinéraire* z poematem wynika, że posiadamy Wyjazd z Neapolu do Otranto, w II pieśni brakującéj był zapewne opis podróży lądem z Neapolu do Otranto i Lecce, a może i morskiéj aż do Korfu, skoro *pieśń III* dopiero od opuszczenia Korfu, t. j. d. 8 Września się zaczyna. *(P. W.).*

Tak nasz kapitan i wódz paketbotu
Z pasażerami jak z tłumem wasalów,
Otyły, wesół, dowcipny i madry
Nas ma za śledzie, ostrygi i fladry.

Tu majtek rudel obraca mosiężny;
Daléj zantejski sędzia i sędzina,
A między nimi synek niedołężny,
Sędziątko z twarzą zwierzęcą kretyna,
Może przekleństwo jakiego klienta
Ubrane w takie ciało, jak zwierzęta.

Zdziwiony patrzy na okręt i twarze;
Nie wié, co znaczą łzy na matki licu,
Nie wié, że przezeń Bóg rodziców karze;
A nam widniejsze góry na księżycu,
Morza przy górach i na morzach statki,
Niż temu dziecku łzy na oczach matki...

Kapitan krzyknął Wirgilem: *„et tantae,*
Tantaene divis coelestibus ira?“
Na to się podniósł hraf Solomon z Zante,
Poeta grecki; ucho mu rozdziéra
Zmiana wyrazów i kradzież średniówek;
Więc chciał poprawić — lecz żałował słówek.

Może też słabość; bo prędko rękoma
Wziął się za serce i na dwóch lokai
Głośno zawołał nazwiskami dwoma;
Bo skoro tylko jeden się narai,
Zaraz poeta na drugiego krzyczy,
Aby wiedziano, że dwóch w służbie liczy.

Wielki poeto! Jako między skały
Rzucony Tytan, tak ty w puchowniczki
Strącon słabością; a twój surdut biały
I glansowane białe rękawiczki

I twój z usłużonych lokajów paszalik
Świadczą, że jesteś *coxcomb* [1]) lub migdalik.

„O! znam ja ciebie, któréj ręka trzyma
Miecz w piorunową uzbrojony jasność;
O! znam ja ciebie, skrawymi oczyma
Na świat patrzącą, jak na przyszłą własność...“
Z takim to niegdyś do Wolności żarem
Przemówił ów graf — i został Pindarem.

Gdy go raz wieńcem uwieńczyła oda,
Mówią, że dzisiaj co napisze, spali;
Mówią, że wierszy popalonych szkoda;
Mówią, że przy nim wszyscy wieszcze mali.
Szkoda, że zamiast wiersze chować w szafę,
Czyni z nich codzień pan graf *auto da fé!*

Przy tym poecie, co był tak ognistym
Wewnątrz, a zwierzchu drżał jak galareta,
Siedział na środku w krześle rozłożystém
Senator, starzec z twarzą Epikteta,
Z uśmiechem słodkiéj starości na twarzy,
Z podagrą w nogach, z tłumem sekretarzy.

Jeden sekretarz był jak kropla wody
Podobny... Muzo, cyt! niechaj opinia
Żadna i żadnéj nie poniesie szkody.
Taki był pokład. Daléj biała linia
Od indywiduów oddzielała masy,
To jest podróżnych, ale drugiéj klasy.

Tam pod żelazną kolumną komina
Siedział Grek w czapce czerwonéj i Turek,
Wzajemnie dymy rzucając z bursztyna;
A między nimi z tłómoków pagórek
Żółtych i czarnych — a koło téj góry
Kuchnia, kuchciki, kucharze i kury.

[1]) Koguci grzebień — fanfaron, błazenek, chłystek. *(P W.)*

Przy piersi matek rozpłakane dzieci,
Przy bokach starców stoją flasze z gliny;
Czasem iskierka czerwona wyleci
Z czeluści statku i pomiędzy liny
Błąka się długo, nim zagaśnie smutna,
Nie doleciawszy pod namiotu płótna.

Nad piérwszą klasą cień i lekkie chłody,
Nad drugą klasą cięży jakaś para
I komin sypie deszczem wrącéj wody.
Proszę! za czworo nędznego talara
Można uniknąć piekła..... ale za to
W Paryżu nazwą cię arystokratą. [1])

Miło tak płynąć w tym okrągłym świecie
Po morzu cichém, jasno-lazurowém.
Wkrótce choroba z pokładu wymiecie
Tłum pasażerów, i zostawi zdrowym
Odgłos dalekiéj po salonach czkawki,
Rozległy pokład i bezludne ławki.

Cicho. Dzień cały po błękitach bije
Okręt kręconą machinami skrzelą.
Już zbłękitniało Korfu — już się kryje;
Już się fortece Santa Maura bielą;
A z drugiéj strony przedzielona żwirem
Forteca Turków, w górach pod Epirem.

Ta ani w buńczuk ustrojona koński,
Ani w błyszczące pióro półksiężyca,
Cicha jak kamień; kiedy zamek Jońskі,
By ustrojona do ślubu dziewica,
Ma kwiat na głowie, tysiąc iskier w oku,
Bukiet z latarni portowéj u boku.

---

[1]) Poeta robi tu aluzyą do przesadnych sądów i wymagań demokratycznego stronnictwa, zwanego na wychodźtwie centralizacyą. *(P. W.)*.

A niech wié każda poetyczna Laura,
Każda sawantka z twarzą bardzo bladą
I księżycową, że ta Santa Maura
W starożytności zwała się Leukadą.
I pod błękitnym unosi obłokiem
Skałę wsławioną biednéj Safo skokiem.

Znałem... lecz szczęściem uleczoną z żalu
Safonę, bardzo podobną do greckiéj. [1])
Ta się nieszcześciem kochała w Moskalu,
A Moskal zginął na wojnie tureckiéj;
Ta poszła zabrać na Warneńskiém polu
Zwłoki – a uszy w Konstantynopolu.

Smutna, ubrana w kwiaty sympatyczne,
Poszła nieszczęsna na brzegi Marmora,
Kędy osobne biuro statystyczne
Liczyło uszy z rana do wieczora
I oddzieliwszy od niezgrabnych zgrabne,
Nizało sztucznie na sznurki jedwabne.

I przyszła sama, smutna jak Armida,
I rzekła z płaczem: „oddajcie mi skarby!“
— „Jakie?“ rzekł gruby Emir Bej Raszyda.
Chciała powiedzieć, lecz rumieńca farby
Zeszły na twarzy płaczącéj dziewczynie,
Bo nie znalazła frazesu w *Korynie*.....

„Wróćcie mi, wróćcie!“ i znowu zamilka,
Patrząc na skarbów znizanych pół-pluton.
Zrozumiał Emir i dał sznurków kilka,
I gładząc brodę śmiał się jak bóg Pluton;
Śmiał się, zważając na prośby szalone —
Orfeuszowskie, co prosił o żonę

[1]) Ludwikę Śniadecką, która kochała się była w synu generał — gubernatora Korsakowa. Ten istotnie zginął w 1828 r. pod Warną, dokąd udała się potem Śniadecka i założyła szpital. — Rzecz o uszach jest tylko licentia nieco złośliwa. *(P. W.)*.

I musiał pieklu grać, jak Paganini,
Na jednéj strunie cały płaczu kwartet.
Ale powróćmy do naszéj bogini:
Chciała z rozpaczy umrzeć *broken-harted*, [1])
Więc wiodła ciągłą z doktorami sprzeczkę
O krwi troszeczkę i jeszcze miseczkę...

Skało Leukady tykająca nieba!
Śmiéj się echami grot tłuczonych falą
Z lancetów, mdłości i pigułek z chleba! —
Noc bezmiesięczna i gwiazdy się palą —
Sam na pokładzie, wichrem bity, blady,
Płynę przy skale nieszczęsnéj Leukady.

Piana pod piersi okrętu się garnie,
Stukanie pompy jak dźwięk idzie rymu;
Na maszcie statku błyszczą dwie latarnie
Pod obłokami kirowego dymu;
Zda się, że światła te, zamglone sadzą,
Okręt w krainę piekielną prowadzą.

Te same gwiazdy i ta sama skała,
To samo morze! Lecz gdzież na téj skale
Postać kochanki pogardzonéj biała
Jak drugi księżyc? gdzie? tu — o dwa cale,
Pod tą podłogą, gdzie lampa się pali,
Safo śpi jakaś — sama, w kobiet sali.....

Raz tylko wyszła na pokład i słońce,
Siadła na ławce, spojrzała w błękity
Tak mglistém okiem, że się zeszły końce
Rzęs długich, czarnych — i wzrok był przykryty
Cyprysem oczu; nie spojrzała w żadną
Twarz na pokładzie. Kiedyś była ładną.

Zniszczył ją smutek. Smutna poszła w ciemność
Na dno okrętu; a zwierzchu mówiono,

---

[1]) W oryginale jest błąd; powinno być *broken-hearted*, mający serce rozdarte. *(P. W.)*.

Że tę kobietę dręczy niewzajemność,
Że przed miesiącem była mniéj niż żoną,
Więcéj niż..... dyabła! niech dokończy zycer.....
Że ją angielski porzucił oficer.

Mój czytelniku, uderz się ty w piersi!
Bądź na pokładzie okrętu, w noc ciemną,
Przy skoku Safo: a będziemy szczersi.
Ja ci opowiem, jaki cień był ze mną
W ciemnościach nocnych... co za mną tułaczem
Biegło po morzu z przekleństwy i płaczem.

Sumienie moje, niewidome światu,
Jak Nereida wyszło z morza głębi;
Na czole pełne liliowego kwiatu —
I znów, jak Wenus, na wozie gołębi
Leciało między gwiazd sferami śliczne,
Pół chrześcijańskie, pół mitologiczne.

Bo przez noc całą tak ciemną i mglistą
Co robić? — serce własne gryść i kąsać?
Trzeba nareszcie zostać panteistą,
Poznać się z duszą natury i pląsać
Z czarownicami, co się stają widne,
Podług strawności — piękne lub ohydne.

Ave Maria! Już rosy brylanty
Sypią się z nieba i niebo różowe.
Już przypływamy — i nad czołem Zanty
Widać fortecy uzbrojoną głowę
W niebie, nad miastem. Już wychodzą różni
Na pokład statku zmytego podróżni.

Ten pije kawę, ów rozciąga członki;
Wszyscy się zdają rozrastać jak krzewy.
(Nasze by damy mówiły koronki.)
„Bon jour!“ Tak do mnie akcentem z Genewy
Przemówił młody Zantejczyk, figura
Przez lat dwanaście kształcona na *jura*.

Przez lat dwanaście uczona w Genewie,
Zdala od ojca, matki i ojczyzny...
Może, czy wszyscy jeszcze żyją — nie wié;
Może nie pozna pod śniegiem siwizny
Zmienionych twarzy. Nim został studentem,
Jechał, dziś wraca tym samym okrętem...

Te same deski, co go dzieckiem niosły,
Dziś odnosiły do domu człowiekiem.
Gdyby tak drzewom przypomnieć, że rosły:
Toby się sęki zasklepione wiekiem
Same otwarły, przez kory szczeliny
Niepowstrzymanych łez lejąc bursztyny.

Ale ten człowiek był, jako Ilissos
Pod Atenami, bez fal i bez wody;
I ten sam statek, ten sam Heptanissos, [1])
Co go odnosił w rodzinne zagrody,
Dla niego prostą był tylko machiną,
Na któréj ludzie za pieniądze płyną.

Z jakiéjże gliny byli ulepieni
Ci, co wracając na ziemię ojczystą,
Padali czołem na czoło kamieni,
Całując ziemię chwastami nieczystą,
Zimną..... co nieraz, nim usta oddarli,
Na głazach ziemi całowanéj marli!...

Ojczyzno moja! może wszyscy wrócą
Na twoje pola, ale ja nie wrócę!
Śmierć — lub to wszystko, co mi losy rzucą
Na kamienistéj drodze życia — płuce
Ogniem pożarte, [2]) widziane oczyma
Sny straszne twarzą: wszystko mię zatrzyma!

Wszystko mię wstrzyma w obcéj ziemi łonie
Umarłym, może jednę chwilę wcześniéj

---

[1]) Siedm wysp. *(P. Aut).* [2]) Poeta przepowiedział tu sobie rodzaj śmierci. *(Przyp. Wyd.).*

Niż zmartwychwstanie twoje, o Syonie,
Jerozolimo, trapiona boleśniéj,
Niż gród Chrystusa!.... A gdy na twą grzędę,
Ojczyzno, inni powrócą — spać będę!

PIEŚŃ CZWARTA.

GRECYA.

I zaraz ku nam olbrzym Adamastor
Wyjechał z Zante na barce Trytonów;
Na głowie swojéj miał pomięty kastor,
Surdut na plecach, parę pantalonów.
Nie epopeję pisząc, nie idylią,
Powiém, że to był metr hotelu Giglio.

Stanął i zaczął trwożyć: O! nie płyńcie
Na greckie brzegi — w Patras kwarantana!
Lepiéj do mego hotelu zawińcie,
Oberża moja podróżnikom znana!
W Patras musicie dni dziesięć i cztéry
Przebyć kwarantan — od osp i cholery.

Chociaż poznałem, że to syn Adama,
Nie Adamastor stał przy nas na łodzi,
Zląkłem się bardziéj, niż bohatér Gama.
Lecz pomyślawszy rzekłem: nic nie szkodzi —
Płynę do Patras, sam ujrzę w Patrasie,
Czy jaką szkodę poniosę na czasie.

A ty, co trwożysz, maleńki Cyklopie,
Zamiast nas pożreć zatrzymanych trwogą,
A może miłych jakiéj Penelopie,
Prowadź nas w miasto, — albo lotną nogą

Spiesząc przed nami, na stołach bez Harpii
Postaw nam zrazów, bifsteku i karpi.

Zamiast nas pożreć, my ciebie pożremy,
Jeżeli obiad nie wystarczy głodnym.
Z taką odprawą oberżysta niemy
Odjechał. Ja zaś z czołem niepogodném
Jako Eneasz modliłem się: „Panie,
Nie daj mi w greckiéj siedzieć kwarantanie!“

A potém wszedłszy na fortecy góry
Spojrzałem: Zante szmaragdami siana,
W szczerych szafirów oprawna lazury,
Niebem i morzem dokoła oblana,
Taiła mnóstwo domków w głębi łona
Z domkiem poety, hrabi Solomona.

Szczęśliwy! zastał swój ogród i drzewa,
Swoję kanapę i okno na morze,
Swój miły stolik, gdzie pisze i ziéwa,
Swoje gazami oskrzydlone łoże;
Może dziś będzie cieszył się lub szlochał,
Patrząc na domek, gdzie kocha, lub kochał...

Miło powrócić i usiąść na ławach
Przed własnym domkiem, gdy ucichną gwary,
Gdy nocne świérszcze i koniki w trawach
Zaczną piosenkę nocy, a pies stary
Łapą drzwi chaty zawartéj otworzy,
Przyjdzie i u nóg pana się położy;

I myśleć wtenczas! O fale! o fale!
Szumcie wy głucho pod okrętu łonem.
Patrzę na gwiazdy i cygaro palę
I nieraz wielkim rozpaczy pokłonem
Biję przed Bogiem, gdy z chmurnych obslonic
Błyska... modlę się... lecz nie proszę o nic.

Miło być także na morzu ozłotném
Błyskawicami i białym ognikiem;

Miło być także dumnym i samotnym,
I niedzielone mieć uczucia z nikim,
I nad powietrza ulatując ciszą,
Słuchać harf takich, jak ludzie nie słyszą.

Chrystus nas woła: wy, ktòrzyście smutni,
Chodźcie na łono Ojca!... Patrz w błękity:
Oto gwiazd siedem — wszystkie w kształcie lutni —[1])
Wychodzą z fali tam, gdzie zorzy świty
Mają zabłysnąć. Lutnio ogniem sina,
Na tobie dzwoni pólnocna godzina,

Godzina cicha, tajemnicza, senna —
Na wielkiém morzu falą wahanemu;
Oto nad lutnią lśni gwiazda promienna —
Dowiąż gwiazd dziesięć ogniowi złotemu
Okiem i myślą, a z niebios wyleci
Koń, który parska gwiazdami i świeci.

Gdy go raz oko z błękitów wyczyta,
Już go nie straci i myślą nie zmaże.
Na strunach lutni położył kopyta;
W nozdrzach, jak w rumu zapalonéj czarze,
Płomyk wytryska wielki, błękitnawy,
Czasem, jak w nozdrzach arabskiego[2]) krwawy.

Za tymi gwiazdy wychodzi Dyanna,
Z gwiazd najświetniejsza, a najmilsza oku,
Gdy ją obleje światłem zorza ranna,
Kiedy w różanym topniejąc obłoku,
Z błękitnéj razem staje się zielona
Jak listek, potém czerwieniąc się kona.

Lecz kiedy wyjdzie, nim zorzą pobladła,
Zapowiadając prędkie cieniom końce:

---

[1]) Ob. List z d. 21 Sierpnia 1837. *Listy* J. Słowackiego 3-ie wydanie *(P. Wyd.)*. [2]) W I wydaniu: arabczyka.

Błyśnie ci w oczy jak kawał zwierciadła,
Z którego dziecko rzuci tobie słońce;
A gdy nad smutnym takie blaski roni,
Przywykasz razem do smutku i do niéj.

Niebo na wschodzie okrywa purpura,
Potém ją skrawa zastępuje białość,
A róż odcięty, jako lekka chmura,
Płynie w błękity... O! klasyczna stałość!
Nieraz widziałem przez ten obłok cienki
Łono sypiącéj różami jutrzenki.

I dzisiaj — pełna jasnego brylantu,
Rosy, róż pełna, wyleciała do mnie
Z błękitnéj fali, z po nad gór Lepantu;
A za nią słońce rozlane ogromnie
Wyszło, jak zégar wieczystego czasu,
Nad błękitnymi górami Patrasu.

Takie olbrzymie twarze Nibelungi
W północnych pieśniach opisują. — Słońce!
Piérwszy twój promień padł na Missolungi,
Gniazdo, gdzie niegdyś wolności obrońce
Sto razy większym oparli się siłom,
Kapitulacyj nie biorąc mogiłom.

Jeżeliś widział rząd domków i fraszek
Poustawianych na dziecinnym stole,
Tak owo miasto. — Cóż to? biédny ptaszek
Leci przez morza lazurowe pole,
I pada przy mnie na ławie, a potém
Kania z ogromnym twardych piór łoskotem

Lecąc, o ławki stuknęła się drewno,
I długo w statku zabłąkana liny
Na morze wyszła z pieśnią płaczu gniewną.
A ja patrzałem na serce ptaszyny,
Jak biło, jak się układały piórka
Do spokojności... była to przepiórka.

O Missolungi! czy pieśń moja zdąży
Za pieśnią wieszczów, co sławili ciebie?
O Missolungi — Jak ta kania krąży
Żelaznėm skrzydłem po morzu i niebie!
Jak oczy iskrzą się nad dziobu hakiem...
— Ten biédny ptaszek jest prawie Polakiem.

Dla niego może Kościuszkowskim czasem
Było zniszczenie w Missolungi gniazda;
A dziś — gdy kania z okropnym hałasem
Piór natężonych, jak lecąca jazda
Kirasyerów na polach Grochowa
Goniła... Lecisz, ptaszyno? bądź zdrowa!

Lub niech cię kania zjé — boś mi przerwała
Do Missolungi już zaczętą odę.
Ta sobie stoi maleńka i biała
Pod górą — patrząc na błękitną wodę,
Jako nad Styxem zebrane do kupy
Białe umarłych domków kościotrupy.

Stoi nad brzegiem, nie owiana liściem
Żadnego drzewa; lecz na nie upada
Z gór czatujących nad Lepantu wniściem
Ciemność i światło — a każda z gór blada
Mgłą błękitawą, a jedna z gór mroczna,
Jak piramida stoi sześcioboczna.

Tak równe ściany pokazuje słońcu,
Tak równe boki ma cieniem pokryte,
Tak cieżka spodem, tak lekka na końcu,
Jako pod niebo ręką ludzką wzbite
Z cegieł pomniki... Nim się ten kraj wsławił,
Bóg wielki przeczuł i pomnik postawił.

Nieuwieńczona śniegowymi srebry,
Musi być u stóp śniegiem kości biała.
Gdybyś, Byronie, był nie umarł z febry,
Ale od bomby, kuli, lub kindżała: —

Dałbym téj górze posępnéj nazwisko
Grobu twojego — a Parnas tak blisko!

I mnie dziś łatwiéj wléść na szczyt Parnasu,
Niż ludziom przebyć przed świętym aliansem
Rów wykopany. Trzeba na to czasu!
Na Parnas będą jeździć dyliżansem
Wieszcze Europy — a republikanie
Za lat dwadzieścia... kto wie, co się stanie?

Wierzę w respublik ojca jedynego
Robespiera (to *Trybuny* wina,
Że został Ojcem). Credo w Mochnackiego,
Rzeczpospolitéj jedynaka syna,
Co wielkich marzeń nie przestając snować,
Przez Dyktatora dał się ukrzyżować.

Potém zaś wstąpił do arystokracyi
I trzy dni bawił; a po téj troszeczce
Przyszedł w obliczu przyszłéj generacyi
Sądzić umarłych i żywych — w książeczce!
Weń uwierzywszy z dwóch tomów zaczętych,
W emigracyjnych wierzę wszystkich świętych.

I w obcowanie ich ducha z narodem
I w odpuszczenie naszym wodzom grzesznym
I w zmartwychwstanie sejmu pod Herodem
Obieranego: a gdyby mię śmiésznym
Nie okrzyczano, powiedziałbym grzeczny,
Że w tego sejmu wierzę żywot wieczny.

Zrobiwszy taki sumienia examen,
Takie wyznanie, biédny wierszokleta,
Chciałbym dokończyć i dobić... lecz Amen
Uwięzło nagle, jak w gardle Makbeta.
Zacząłem pisać — teraz z wielką biédą
Biję się w głowę, jak zakończyć Credo?

Wierzę, że idą ludy, jako chmura
Pełna błyskawic na trony zachwiane,

Wierzę, że nawet królewska purpura
Próchnieje w trumnach; wierzę w zatrzymane
Ławy żołnierza, tam gdzie stanął Kokles;
Wierzę, że Milcyad żył i Temistokles.

Wierzę, że jeszcze żyje dziś Kanaris, [1])
Bo właśnie teraz wracam z jego domu;
Bo sam widziałem, jak błękitów Farys
Od ogniowego opalony gromu
W Patrasie grecką dowodzi flotylą,
Wierzę, bo sam go widziałem przed chwilą.

On, co żył niegdyś jako salamandra
W ogniu brulotów — dziś spokojny mieszka
W domku glinianym, jak domek Ewandra;
Dzikimi chwasty zaplątana ścieżka
Do progów jego prowadzi — przed progiem
Odłam marmuru, co był kiedyś bogiem.

Belek się ledwo dotykały heble,
W ścianach obficiéj powietrza niż gliny;
Sosnowe szczeble i niebieskie szczeble,
To jest deszczułki z sosen i szczeliny,
Wiodą na piętro — wejście, piérwsza próba,
Już było dla mnie, jako sen Jakóba.

Sen mi pokazał aż w Litwie niebieską
Niezabudkami rzeczułkę — przy zdroju
Miejsce kładkową przeskoczone deską,
Zawsze błękitne i zawsze w pokoju,
Dokoła w kalin ustrojone wianki
Było kąpielą gwiazd i méj kochanki.

Nie wiem, dla czego — lecz nieraz w gorąco,
Gdy się na upał zaczynają skarżyć

---

[1]) Znakomity marynarz grecki i jeden z bohaterów walki o niepodległość Grecyi. On to zaproponował admirałowi Miaulisowi spalić flotę turecką w porcie Chio i dokonał tego dwoma brulotami z niesłychaną śmiałością. Wiele razy czyn ten powtórzył; był późniéj admirałem i ministrem marynarki. *(P. W.)*.

Świérszcze piosenką po trawach syczącą,
Szedłem na kładkę — czytać albo marzyć.
I tak czytałem niegdyś walkę Greka
Jak dziecko, które czegoś chce i czeka.

Chce z głębi wody ślad srebrzysty dostać,
(Rankiem kąpała się Ludka w téj wodzie)
Czeka, czy biała i powiewna postać
(Widać aleje i lipy w ogrodzie)
Może z pod wielkiéj jarzębiny wstanie
I wyjdzie... Dziwnie uczące czytanie!

I czytam marząc, jako Ipsylanty
Zwyciężył — ginął... i dał Grecyi brata;
A kiedy czytam, to rosy brylanty
Strząsając, zefir po kwiatach przelata
I fale w złote pomarszczywszy prążki,
Przewraca karty welinowe książki...

Kartki rozwiane przycisnę kamykiem
I będę czytał. Oto wódz naczelny
Demetrius, licznym dowodzący szykiem,
A za nim... czarny hufiec nieśmiertelny;
Każdy z nich mocny, każdy bez nadziei...
Skąd są? — powstali z mogił Cheronei... [1])

Wszyscy — prócz wodza!... ten nie zmartwychwstanie,
Zabity mieczem zgubionéj stolicy!
Lecz innych dusze jak w urnowym dzbanie
Chowane w piersiach marmurowéj lwicy,
Która im była pomnikiem po śmierci,
Wyszły — i pomnik rozpadł się na ćwierci.

Pierś lwa rosnące roztrzaskały dusze!
I dzisiaj leży na samotném polu,
Jak wielkim prochem rozsadzone kusze;
A głowa pełna przedwiecznego bólu

---

[1]) Ostatnia batalia Greków przeciw Alexandrowi. (P. A.).

Padła na ziemię — zda się, że spoczywa,
Wydaną duszą smutna i straszliwa.

Długo Grek patrzał na tę lwicy głowę,
Jak na zamilkłe nieszczęściami wróżki.
Snycerz dał smutną marmurowi mowę;
Patrząc — słyszałem dwa słowa Kościuszki:
Finis Poloniae, przechowane w głazie,
Jak łza w kamieniu — albo myśl w obrazie.

O Cheroneo! o Maciejowice!
Cyt... coś białego śród liści jaśnieje...
Ach nie! to tylko białe gołębice
Przez ogrodową leciały aleję...
Chodź znowu, książko na kwiaty rzucona,
Będę znów czytał — to jeszcze nie ona.

Pieniędzy, krzyczą — Grek rzuca na szalę
Dyamentową oprawę pałasza;
Nie dosyć jeszcze — rzucił miecza stale,
Płaci żelazem... Już Ibrachim basza,
Jak Nil, co wszystkie wody na świat wyda,
Lub jak waląca się z gór piramida,

Spada na Grecyą. — Gdzie są Termopile,
Po których niegdyś wąż Xerxesa przelazł?
Gdzie są ci ludzie, co żywota chwile
Licząc, nie drżeli — i marli?... Zavellas
W polach Klissowy z ośmią set człowieka
Zastąpił drogę dwom baszom — i czeka.

Słyszę, jak serce w moich piersiach bije;
Zda się, że patrząc w trup Leonidasa,
Patrząc głęboko — czekam, aż ożyje: —
A wtenczas ani jasnych kwiatów krasa
Ani lecący aleją gołąbek
Nie obłąkały mych oczu, na ząbek.

Lecz wtém nadzieja odbiegła mię wszystka:
Zerwałem róże, co tam kwitła świeża,

I przywiązawszy do każdego listka
Myśl i życzenie i życie rycerza
I Zavellasa... o szaleństwo młode!
Wszystkie te listki rzuciłem na wodę.

I jeszcze listków zostało mi trocha;
Myśląc, że siane w ziemi nie zakwitną,
Więc jeszcze jeden listek — czy mnie kocha?
Posłałem falą wędrować błękitną;
I nie wiém, jaki los tamte pochłonął,
Ale ostatni — pamiętam — utonął...

I znowu książkę rozłożyłem białą
I zimne karty zacząłem całować,
Wołając: Greki, niechaj giné z chwałą!
Wy mnie nauczcie, jak wrogów mordować,
Jak rzucić drogę marzeń księżycową
Z umarłém sercem i z twarzą surową...

I marząc o krwi z uczuciem tygrysa,
Stężałem członki, krew czując na licu...
Słyszycie tętent?... to koń Botzarisa!
W obóz turecki leci po księżycu;
A nim się straże obudzone zwarły,
Botzaris w baszy namiot wpadł — umarły... [1])

I odezwały się w górach klasztory;
A nie były to pogrzebowe dzwony,
Które kupuje na śmierć człowiek chory;
Lecz jakieś wielkie pomieszane tony
Płaczu, rozpaczy — wyjące po skałach,
I większéj zemsty głos — zamknięty w działach.

---

[1]) Botzaris, jeden z najdzielniejszych przywodzców powstania w Grecyi (1820 r.). Osaczony w Missolungi, które się poddać musiało, powziął myśl ocalenia miasta przez wycieczkę. W 200 ludzi napadł w nocy na obóz turecki i wielką w nim rzeź sprawił, ale padł od kuli. Do tego czynu robi tu poeta alluzyą. *(P. Wyd.).*

A wielkie morze, lazurowe morze,
Któremu niegdyś poświęcano w Aulis
Córy królewskie... ciebie teraz porze
Między flotami tureckimi Miaulis; [1])
Z nim jest drewniana ateńska forteca,
Którą Kanaris brulotem oświéca.

Obydwa płyną uwieńczeni w laury
Wydarte morzu — prędkim idą lotem;
A ów Kanaris zda się, jak centaury,
Na pół człowiekiem, a na pół brulotem.
Ten człowiek śmiały i pan dwóch żywiołów,
Którymi niszczy — czy ma twarz aniołów?

Czy pod nim, jako pod niebieskim duchem,
Cicha się łódka nastąpiona nie gnie?
Czy jego wiosło niesłyszane uchem?
Czy ogień za nim jak pies wierny biegnie?
Jak on wygląda, gdy błękitne morze
Pięć jego czółen oblało w Bosforze?

Sułtan go widzi — lecz zniszczyć niezdolny!
Nie zgasi nawet płomyka w stambułce
Wodza greckiego... Oto konik polny
Usiadł przedemną na cichéj rzeczułce,
I suszy skrzydeł przezroczystych szkiełka
Błyszczące w słońcu, by tęczy perełka.

I suchą nogą, na źdźble żółtéj słomy,
Dziecko powietrza, wędruje na łódce
Przez zwierciadlane rzeczułki załomy,
I port w rozchwianéj znajdzie niezabudce,
Albo popłynie daléj z nurtem wody
Pod brzóz płaczących nachylone chłody.

A kiedy płynął i srebrzystym rysem
Znaczył rzeczułki fale zwierciadlane,

[1]) Wspomniany już admirał grecki. *(P. W.)*.

Myśl moja cała z wielkim Kanarisem
Płynęła za nim w kraje malowane
Piękną przyszłością... i widziałem życie
Z twarzą na słońcu — z oczyma w błękicie.

O przyszłość, przyszłość! — Jam się tak do ciebie
Uśmiéchał dzieckiem: — ty z taką światłością
Dni moje siałaś, jak gwiazdy na niebie!
A moje smutne dzisiaj... jest przyszłością.
Kwiat spodziewany na wątłéj łodydze
Życia mojego — rozwinął się... widzę —

Co? Jeszcze w myślach owa przeszła chwila,
Jeszcze marzone dawniéj Greków twarze,
Jeszcze Kanaris na słomce motyla,
Jeszcze nad księgą leżę, jeszcze marzę...
I chciałbym cały włosem się osłonić
Nad dawną księgą — i dawne łzy ronić;

I być zbudzonym, jak dawniéj — nad rzeką,
Gdy na aleje złote słońce spadło;
Kiedy słyszany jakiś głos daleko
Wołał, jak echo; gdy w rzeki zwierciadło
Patrząc — patrzałem na twój wzrok uroczy,
Nie śmiejąc prosto patrzeć... w twoje oczy.

PIEŚŃ PIĄTA.

PODROŻ KONNA.

Czytałem kiedyś wielkie porównanie...
Jak wystawiony na niebieskie rosy
Pielgrzym, gdy ze snu głębokiego wstanie,
Listek uwiędły, co mu spadł na włosy,

Odrzuca z czoła: — takeś ty skaliste
Nakrycie grobu precz odrzucił, Chryste! [1])

Lecz kiedy przyjdzie zmartwychwstanie ludu,
Kiedy się skończy sen pełny omanień:
Jakiegoż trzeba będzie wtenczas trudu,
Aby odwalić nasz grobowy kamień?...
Ow marmur, pełny naszych cierpień rytych,
Na którym modlą się dzieci — zabitych?

Patrząc na oczy pełne błyskawicy,
Na czoło króla płomieni brązowe,
Pytałem znanéj mu już tajemnicy,
Bo sam odwalał kamienie grobowe
Z grobu uśpionéj głęboko ojczyzny;
Musi znać leki — bo zna wszystkie blizny.

Pytałem Greka — ale w nim już nie ta
Z kradzionym ogniem pierś Prometeusza!
Moje pytanie było, jak Hamleta
Metafizyczne słowo — czy śni dusza?
Kładzione zawsze na grobach od wieka,
Nierozwiązane dotąd przez człowieka.

Chciałem mu nadać wielkość Waszingtona,
Mojém pytaniem na zbawcę pasować;
Bo téż mu złotych brakło milijona,
A mógłby spalić Stambuł, zamordować [2])
Tylu wezyrów, tyle krwi wytoczyć,
Że Sułtan miałby gdzie pióro umoczyć

I czém podpisać na wolność firmany
I Kanarisa odesłać z krainą
Temistoklesa, przez drewniane ściany
Zdobytą. Dzisiaj Rigny — Navarino [3])

---

[1]) Oda Manzoniego na Zmartwychwstanie Jezusa Chrystusa. *(P. Aut.)*.

[2]) Był pod Stambułem i Alexandryą. *(P. Aut.)*.

[3]) Rigny dowodził eskadrą francuską w bitwie pod Nawarynem d. 20 paźd. 1827, w któréj połączone floty Anglii, Rosyi i Francyi zniszczyły flotę turecko-egipską i tym sposobem przyczyniły się do zupełnego oswobodzenia Grecyi. *(P. W.)*.

Kanarisowi wykradły jak Paris
Helenę sławy. — Czy cierpi Kanaris?

Nie wiém... Czy orzeł kiedy myśli o tém,
Że kiedy w zimie słońce zda się nisko,
Mógł o południu natężonym lotem
Dolecieć — patrząc oczyma w ognisko
Niebieskich krain? — myśl głupia dla ludzi,
Lecz może dręczyć orła, co się nudzi...

Ale powtarzam, myśl głupia dla świata
Mogła się przyśnić orłowi na skale,
Lub temu z ludzi, co jak orzeł lata...
Dosyć! — cygaro hawańskie zapalę
Tymi strofami, które nie są odą
I do niczego mądrego nie wiodą.

I właśnie takie ciężkie i nietrafne
Z ust wychodziły moich parabole,
Kiedy żądałem, by słowa jak Dafne
W laur przemienione kładły się na czole
Zapomnianego przez ludzi Greczyna;
Lecz że świat taki — to nie moja wina.

Możebym także chciał, (to wszystko mary),
By jaki człowiek, spotkawszy w ulicy
Moję figurę... włożył okulary...
Po dyabła nosić sławę w tajemnicy?
Cieszył się Dante, gdy przekupka rzekła:
Patrzcie! ten człowiek dziś powrócił z piekła.

Ja bardzo lubię sławę popularną,
Lękam się bardzo wymuskanéj sławy;
Dla tego każę na bibułę czarną
Bić nowe dzieło — gołe, bez oprawy;
I wyjdzie na świat książeczka pokorna,
Jak gdyby z pod pras Bogumiła Korna. [1])

[1]) Głośny czasu swego księgarz i wydawca wrocławski. *(P. W.)*.

O moja głupia Muzo, zapominasz
Uszanowania winnego księgarzom!
Ja nie znam Korna — mówią, że luminarz...
A zaś skład jego podobny cmentarzom,
Gdzie sobie cicho autorowie leżą,
Co lato ziemią przysypani świeżą.

A czasem zajrzy Bogumił na cmentarz,
Patrząc, czy kiedy nie zjadł się w letargu
Jaki kalendarz albo elementarz;
A kogo kocha — tego na świat targu
Drukiem prowadzi... i stawia za kratą,
Wieńcząc go świéżą laurową erratą.

O mój księgarzu wrocławski, o Kornie,
Dokończ téj strofy!... dalibóg zaczęta
I pindarycznie żywo i wytwornie;
Lecz moje pióro nigdy nie pamięta
O drugim wiérszu... wbrew dawnéj przestrodze:
Nim piérwszą stawisz, myśl o drugiéj nodze.

Tak chciał Feliński: wiersz skomponuj drugi,
A potém piérwszy dosztukowuj zgrabnie;
A będą mocne — i łańcuch się długi
Nie przerwie nigdzie, nigdzie nie osłabnie;
Na takim niańki uwiązani pasie
Chodzą dawniejsi wieszcze po Parnasie.

Lecz ja... Dobranoc!... Jutro zorza złota
Ujrzy mię w siodle i na Rossynancie,
Tam, gdzie Cerwantes, autor Donkiszota,
Utracił rękę — mój obraz w Lepancie
Będzie odbijał się tak lazurowie,
Jak cień Quichota w Cerwantesa głowie.

Naprzód malować trzeba kawalkadę,
Która się brzegiem Lepantu pomyka.
Guid jedzie przodem, a ja za nim jadę...
Lecz wam opiszę pierwéj przewodnika,

Który albańskie rozwiawszy wyloty,
Jechał na koniu, gdyby motyl złoty.

Na kapeluszu słomianym miał mycę
Do roziskrzonych podobną płomyków;
Ze sztuki płótna marszczoną spodnicę;
Gadał mozajką dziesięciu języków;
Śmiał się jak dziecko — a dzieckiem był prawie;
Śpiéwał — jak polny konik śpiéwa w trawie.

Twarz jego młodą gdzieś widziałeś we śnie,
Może na jakim widziałeś rysunku,
Gdzie młody Greczyn, wysłany zawcześnie
Z ojcowskiéj chaty w wojennym rynsztunku,
Patrzy na Turków oczyma tygrysa...
Na litografii zgonu Botzarisa.

Są twarze w ludach powszechne, *c'est tout clair* —
Tłómaczyć przyczyn byłoby to wstydem;
Wreszcie opisze go wam książę Pükler —
Muskau -- co z naszym podróżował guidem
I pokazywał swą karykaturę
Grekom, wylazłszy nad Parnasu górę;

Który się nie kładł spać, aż biła czwarta;
Który chciał ogród założyć niemiecki
W guście angielskim tam, gdzie była Sparta;
Dla Bawarczyków pozawieszać niecki,
By się hojdając, z krainy Likurga
Mogli przenosić myślą — do Strasburga;

Który — to zawsze mówię o tym księciu, —
Niechaj pamięta autor o autorze —
Który zasnąwszy wieczór w przedsięwzięciu,
Zbudzony — spytał się: w jakim kolorze?
A rząd bawarski, myśląc o sadzonym
W Sparcie ogrodzie — powiedział: w zielonym...

Który się na to obraził... i chwilę
Zastanowiwszy się — po kilku chwilkach
Tak zadrżał gniewem, że wszystkie motyle
Na kapeluszu siedzące na szpilkach
Zaczęły spadać i kłuć w nos Ottona. [1]
O zemsto... mówią, żeś słodka — ty słona!

Zwłaszcza, gdy ciebie Pückler w sól attycką
Całą osypie..... i da na zabawkę
Figurę wroga — pod Momusa mycką,
Osolonego solą — jak pijawkę —
Tak się zapewne kręcić i wić będzie
W dziele..... pan Otton..... na króla urzędzie.

Lecz kłaniaj za to ogrodowi w Sparcie;
Ziemia gruzami pozostanie skalna.....
Sparta zostanie na światowéj karcie
Spartą..... historya straci naturalna
Na jakim kwiatku, co ma kształt pantofli,
Lub na rodzaju spartańskich kartofli. [2]

Adieu, Püklerze, bo mi nie do uszu
Twe imię, w rymów sadzone ogrodzie;
Podróżuj w twoim wielkim kapeluszu,
Co tak wygląda, jak żagiel na wodzie,
W górach jak tarcza okrągła Pelida,
Nad ruinami bogów... jak egida...

Bądź zdrów! — a jednak miałbym prośbę małą
Do waszéj Mości książęco-autorskiéj,
Ażebyś także moje grzeszne ciało
Na koniu skreślił — na szkapie cecorskiéj...
Tak musiał niegdyś Żółkiewski ponury
W trzy dni po zgonie straszyć grzeszne ciury...

---

[1] Ówczesny król grecki. (*P. W.*).
[2] Dwie powyższe zwrotki dotąd niedrukowane. (*P. W.*).

Trudno znać siebie, powiąda przysłowie;
A ja powiadam: trudniéj widzieć siebie
Przez te szkła biédne, które w naszéj głowie
Oprawił Stwórca — kryjąc się na niebie
Tak, że choć błękit przenikniecie do dna,
Skryta wam jedna rzecz... widzenia godna...

A druga także rzecz bardzo ciekawa
Dla nas — my sami..... także nam ukryta;
Szczęściem, że wierne zwierciadło — i sława
Często niewierna — wszak wiécie, kobiéta —
Dopomagają nam szkłem i umysłem
Patrzeć na siebie... i są szóstym zmysłem.

Dlatego bardzo i gorąco żądam
Widziéć się kiedy w gazet artykule
Takim, jak jestem — albo jak wyglądam...
Tymczasem muszę całą ziemską kulę
Przebiegać sobie samemu nieznany
Z twarzy i z głowy... niewymalowany.

Szczęśliwy Józef Poniatowski (czyli
Szczęśliwy, gdyby nie umarł), że widzi
Siebie samego w najciekawszéj chwili
Na każdéj ścianie. — A niech nikt nie szydzi
Z téj strofy, bo ją skończy myśl Solona:
„Nie mów, że człowiek szczęśliwy — aż skona."

Zaprawdę ja wam powiadam, co rzekły
Przedemną usta filozofów wielu,
Że... Lecz nadzwyczaj staję się rozwlekły;
Więc nic nie powiem — i prosto do celu
Nie zatrzymany strofą ni morałem
Na moim koniu biédnym pędzę czwałem.

Hop! hop... jak upior... obracam tak nogi,
Że kwadratowe tureckie strzemiona
Kolą w bok konia jakoby ostrogi;
A moja szkapa z wiatrami puszczona

Pędzi, jak gdyby czuła żłób koniczyn;
Lecz wtém zwolniłem kroku... dla trzech przyczyn.

Primo: towarzysz mój, (a tu mi skłonno
Aż do łez, pomnąc na konia strukturę),
Był jako człowiek, który idzie konno;
A kiedy biédne zwiérzę szło pod górę,
I chociaż mogło iść o własnéj mocy,
Jeździec udzielał mu swych nóg pomocy.

I tak się razem nieśli. O widoku
Rozczulający! łez nie pojmie profan.
A jako niegdyś w błękitnym obłoku
Sokrata skreślił błazen Arystofan
Latającego po niebieskim sklepie
Na żołwia nogach, w szyldkretu czerepie:

Tak ja po greckich w gimnazyum naukach
Mógłbym podobną ubawić was sceną,
Wymalowawszy na głębokich jukach
Ukochanego filozofa Zeno.....
Który w téj chwili przez niemożność skoku
Był piérwszą z przyczyn, że zwolniłem kroku [1]).

Druga z tych przyczyn była także cnotą
Filantropiczną: właściciele koni
Za kochanymi końmi szli piechotą;
Jeden, jak Turek, miał turban na skroni,
Drugi, jak ojciec podobny do syna,
Belwederskiego miał twarz Apolina.

Trzecią z tych przyczyn, dla których wstrzymana
Wietrzność mojego była wiatronoga:
Oto że nagle ja i karawana
Przyszliśmy, gdzie się zakończyła droga

---

[1]) Mowa jest o Zenonie Brzozowskim, który w téj podróży towarzyszył Słowackiemu. (*P. W.*).

Przeszkodą — wprawdzie dla Mojżesza małą:
Z tej strony morzem, a z tej strony skałą — —

Więc wszystkich świętych wezwawszy i biesa,
Rzucam się w morze. . czy w cuda wierzycie?
Z fali stracona ręka Cerwantesa,
Jak cień wielkiego nosa na suficie
Wyszła, figowe pokazując godła
Światu — a mnie zaś przez fale przewiodła.

I opryskani falą o brzeg bitą,
Na popas w małym stanęliśmy khanie;
Tam z głową senną, cieniem drzew nakrytą
Inni spoczęli przy chróścianéj ścianie,
A ja, nie spity napojami maku,
Znalazłem grotę — w rododendrów krzaku.

Na saméj wstążce srebrzystego żwiru,
Co się nad morzem pod krzakami winął,
Jak sztuczna biała oprawa szafiru,
Spocząłem .. i wzrok na błękicie zginął
I myśl smutniejsza przyszła mię kołysać,
Niż myśli, które chcę i mogę pisać.

Smutna! Myślicie, że grzechów siedmioro
Przyszło mię dręczyć — lub łza emigranta?
Nie! — Ach, myślałem, że już madreporą
Stało się ramię biédnego Cerwanta,
Ramię nieszczęsne, które zaczynało
Czuć, że się jakiś duch oblekał w ciało...

I urodzony w Cerwantesa głowie
Będzie radością wstrząsał wszystkie nerwy;
Ramię, co było w romansu połowie,
Potém doznało takiéj wielkiéj przerwy,
Jak kiedy zabrzmi trąb dziesięć tysięcy,
Potém milczenie... nic nie słychać więcéj.

Dziwnie utracić jaki ciała członek
I myśleć potém, że już leży trupem,

Że już w nim żadna z kosteczek ni z błonek
Nie myśli o nas... i stała się łupem
Robaków — a zaś dusza pełna sromu
Do ciaśniejszego przeniosła się domu.

Dziwnie być musi płakać nad cząsteczką
Własnéj mogiły i czyśca męczarnie
Od niéj odwracać;... bo jeszcze jest sprzeczką,
Czy dusza za nas płaci solidarnie;
Czy członek, co się na ciała pogrzebie
Nie znajdzie, w piekle zapłaci za siebie...

A tu-bym bardzo mądrze i głęboko
Dowiódł: że kiedy nasz Zbawiciel kazał
Wyłamać rękę lub wyłupić oko...
Więc trzeba, abym tę strofę przemazał,
Bo jéj dokończyć, jak chcecie, nie mogę,
Bo osiodłany koń... i ruszam w drogę.

PIEŚŃ SZÓSTA.

NOCLEG W VOSTIZY.

Daléj, mój koniu, powoli — dość czasu.
Krajograficznie strofami wyłożę,
Jaka mię droga prowadzi z Patrasu.
Po prawéj stronie góry — z lewéj morze,
Za morzem znowu i skały i góry,
Nad niemi niebo błękitne bez chmury.

Nie ma tu ziemia czego złożyć w stércie;
Koń dzwoni w głazy — depce chwast — dziewanny;
Czasem po drodze w rozłożystym mircie
Widać rudery tureckiéj fontanny,
Gdzie w kamień woda płacząca nie tętni,
Na które patrząc, nawet Grecy smętni.

Taka głęboka przy fontannach cisza,
Tak ciemne mirty i tak liściem szumią
Nad fontannami, jak pacierz derwisza.
Cały ten smutek błękitami tłumią
Wody Lepantu i z czystego nieba
Patrzące czoło (jestem w Grecyi) Feba.

Ani po drogach bawiącéj się dziatwy,
Ani człowieka w polu, ni na drodze;
Czasem szumiącym lotem kuropatwy
Porwą się w stado, tuż przy konia nodze,
I padną blisko — i znów cisza wielka...
Jaskółek żadna nie wyśle ci belka.

Niebo tych czarnych gwiazdek pozbawione —
Wdzięcznie błękitne... zda się, że nad smętnym
Krajem przeszłości leży zamyślone
Jakim obrazem dawnym i pamiętnym
Tylko samemu Bogu, co w niém duma.
Kraj ten zniszczyła tak wolności dżuma...

Ząbek się lasu dopiéro wyrzyna;
Małe sosenki, jako pszczoły, brzęczą
Jedwabnym kolcem... Jeżeli masz syna,
A twego kraju ludzie nie zamęczą:
Może zobaczy Grecyą pełną krasy,
Ubraną w ludzi szczęśliwych — i w lasy.

Ale my, dzieci nieszczęścia, stąpamy
Po głazach, chwastach i ruinach głuchych:
My się przez wielkie pustynie wołamy
W ciszy bezludnéj; my przy źródłach suchych
Szukamy wody spaleni zarzewiem.
Gdzie będą szukać naszych mogił? — nie wiem.

Gdy tak myślałem, mrok osłonił szary
Przybywających wreszcie do Vostizy.
Tu jeszcze pomnik turecki... dąb stary
Na podniesieniu z głazów, przy ulicy,

Siedział spokojny. O téjto godzinie
Turek tu niegdyś pił dymy w bursztynie.

Lubiłem lipę, co nad sławnym Janem
Cień rozstrzelony zbiérała pod siebie
I co rok miodu obdarzała dzbanem
Niewymyślnego w żądzach i w potrzebie,
Co była drugiém poety mieszkaniem,
Głośna słowików – szpaków narzekaniem;

Pod którą nieraz błyszczał dzban na stole;
Co tak wysoko niosła czoła wianki,
Jakby ze dworu wyglądała w pole
Na przyjazd pana lub pańskiéj kochanki;
Co nad szmérami słodkich ust dziewicy
Szumiała cicho, pełna tajemnicy.

Ta lipa dla nas, jak Partenon grecki,
Ma pełno smutku niewymówionego.
Stanąłem patrząc na ów dąb turecki;
Smucił mię także — lecz nie wiem dlaczego;
Bezużyteczny liściami i chłodem,
Oko zadziwia wielkim pnia obwodem.

Pień jego w sobie ma siły potęgę
I wielki smutek starości... i żałość
Nad tymi, co go znali... stone-henge
Zaniesie myśli w olbrzymią zuchwałość
Tytanów dawnych... W téj świątyni progu
Myślisz o człeku, co ją siał... i Bogu.

O mój turecki dębie, dębie stary!
Ty mi cudownym wyrosłeś kościołem:
Tutaj się mogą modlić wszystkie wiary,
Tu wszyscy ludzie bić ugiętém czołem.
Lubię cię, dębie wyniosłego czoła,
Z liściem rozwianém, jak skrzydło anioła.

Szczęśliwi ludzie, których anioł dzierży
W swojéj opiece! szczęśliwe te kraje,

Co mają drzewa — na miejscu oberży —
Siane po łąkach, gdzie płaczą ruczaje;
Wędrowiec staje, gdzie kwiatów najwięcéj...
Nagle krzyknąłem — do kroćset tysięcy

Milionów!... tu mi kochany Eurypid
Słowo Eumenid dał do wykrzyknika;
A mój towarzysz rzekł: *mais c'est insipide*
Spać tu... w téj klatce... co ma kształt kurnika;
Comment, Giuliano? — tak się zwał nasz sługa —
W Vostizy musi być oberża druga!

Non c'è, rzekł sługa. Więc spać tu — na ziemi?
Wszak to nie ściany, lecz z łuczywa krata,
Pajęczynami wybita czarnymi —
A ja dodałem: jak horyzont świata
Zawarty zewsząd, bez okien, którędy
Dusza-by mogła wyjść za zmysłów błędy...

I zakończyłem słowami: daj świécy!
— Świécy? rzekł kompan — wszak tu wiatr zagasi
Słońce w lichtarzu, księżyc w szabaśnicy!
Rzekłem: Giuliano, hej! *tho se mu krassi*... [1])
Gorzkie jak piołun — niech Bóg będzie z nami!
Jest co jeść? nie ma? więc *tho se mu psami*!

To się po grecku znaczy: daj mi chleba!
Przyniósł.. postawił... i znowu zapytał
Bardzo układnie: czego panom trzeba?
A gdym na chlebie zębami pozgrzytał,
Zdjęty przeczuciem nieszczęśliwych wróżek,
Nie spodziewając się, wołałem — łożek!

I światła! Tu jak na biegunie
Północnym ciemno — i wiatr wszędy świszcze;
Pusto jak w zgniłym orzechu świstunie...
Tu mój towarzysz rzekł: więc ja przepiszczę

---

[1]) Wino w całéj Grecyi zaprawiają żywicą. *(P. Aut.)*.

Na hebanowym moim flażolecie
Tę noc — przepędzę ją najlepiéj w swiecie.

I już wyciągał wiatro-brzmiący bardon;
Lecz ledwie zaczął, dmuchnąwszy w otwory,
Przegrywać: jakiś głos: *„I beg you pardon* [1])
But I don't like the music, I am sorry"
Z prawéj się strony wydobył przez kratki —
Anglik zamknięty był do drugiéj klatki.

I była Babel okropna języków,
Aż wreszcie jakaś Opatrzności ręka
Zesłała parę płonących knocików,
I dwa, napięte jak struny, krosienka;
To były łóżka .. jeśli kto nie wierzy,
Tłómaczę jaśniéj — to, na czém się leży.

Ach! leży tylko! — bo wszystkie zefiry
Zbiegły się do nas i wiatr z nami pląsał;
A dar krosienek, jako Dejaniry
Koszula — gdzie się go dotkniesz, tam kąsał.
Ach, jam się dotknął — i ogień mię złapał
I byłem w piekle — mój towarzysz chrapał.

Są chwile w życiu, w których człowiek zda się
Samemu sobie bardzo poetycznym:
Na skały igle — na ruin terasie —
W usposobieniu umysłu Vehmiczném, [2])
Kiedy głos przeczuć bardzo głośno gada
Trzykrotnym głosem: biada! biada! biada!

Gdy patrzy w słońce, o zachodzie krwawsze,
Kiedy się żegna z kim, i przy miesiącu
Mówi z westchnieniem głębokiém: na zawsze!
Gdy przy dognanym zeskoczy zającu,

---

[1]) Bardzo przepraszam, lecz nie lubię muzyki, bardzo mi przykro. *(P. W.)*.

[2]) Sądy Vehmiczne, tajemne w Niemczech. Osądzony na śmierć był ostrzegany o wyroku trzykrotnym wykrzykiem: biada. *(P. W.)*.

Dobędzie noża i obcina skoki —
Gdy nań piorunem strzelają obłoki;

W chwili, gdy skończy szkoły i nauki,
Gdy go za rękę uściśnie sam rektor;
Gdy go mianują sędzią — gdy go wnuki
Obsiądą — gdy kraj obroni, jak Hektor,
Albo gdy myśli o zbawieniu Lachów —
Gdy wygra partyą bilardu lub szachów;

Albo gdy idzie sam w nocy na cmentarz
I na kochanki usiądzie mogile;
Albo gdy mówi doń kto: czy pamiętasz
Paryż? — Są różne poetyczne chwile:
Kiedy naprzykład w towarzystwie znaném
Siądziesz pośrodku... na cenzurowaném —

Albo gdy ciebie nazwą obskurantem,
To jest, że możesz zgasić oświécenie;
Albo gdy jesteś dział asekurantem
I w Napoleońskie wierząc przeznaczenie,
Słuchasz bez drżenia kul lecących świstu;
Gdy „Comte“ przeczytasz na kopercie listu —

Gdy... i tam daléj. Z tych miłości własnych
Żadna nie przyszła do snu mię kołysać;
Przy dwóch światełkach, jak gwiazdy niejasnych,
Chciałem z krosienek moich wstać i pisać,
Czekając zorzy różowego świtu,
Wtém dészcz... w téj klatce nie było sufitu...

I zawołałem: ty śpisz, Eneaszu,
A tu dészcz na nas leje się z dachówek!
Wnet rozbudzeni oba na poddaszu,
Więcéj do czynu sposobni niż słówek,
Wściekać się więcéj zdolni, niż łzy ronić,
Przemyślaliśmy, jak i gdzie się schronić.

Szczęściem, że w ścianie uwitéj z sośniny
Po obu stronach były dwie framugi;

Ach nie framugi — zaczęte kominy!
Więc ja jak krótki, mój kompan jak długi,
Oba jak dłutem z marmuru wycięci
W niszach przeciwnych — ktoby rzekł, że święci.

Przy naszych nogach zapalone lampy,
Ręce złożone na piersiach pobożnie;
Każdy z nas biały, jak w operze Zampy
Wiedźma z marmuru — bardzo nieostrożnie
Pierścionkiem złotym za żonę pojęta;
Lub jak niewiasta Lotowa w sól ścięta;

Lub jak mumija w ścianie piramidy...
Niech porównania daléj lecą kłusem.
Byliśmy, jako ów posąg Tetydy
Zakryty wody srebrzystéj obrusem,
Stojący sucho w wodnéj samołówce,
Który czytelnik ujrzy w Zofijówce.

Tu, wychyliwszy głowę, mój towarzysz
Głosem żałosnym rzekł: czy żyjesz? — Żyję.
A on mi znowu rzekł: o czém ty marzysz?
A ja mu rzekłem: że się nie ukryje
Żadna zasługa pod żadną przeszkodą;
Ja mówię pacierz... Bóg słyszy pod wodą.

Cnota skarb wieczny, cnota klejnot drogi,
Nie spali ogień... a kompan: nie słyszę;
Woda tak szumi, już mokre mam nogi...
A ja mu na to: ciérp, a ja opiszę
Nasze cierpienia ściągnięte bez winy
I przedam wiernie córkom Mnemozyny —

I kiedyś, w późne wieki, wstanie mściciel
I tu postawi hotel, mości panie!
Tu, na tém miejscu, gdzie teraz Jan Chrzciciel
Mógłby duszeczki kąpać, jak w Jordanie;
Tu, gdzie stoimy — ja ci przepowiadam —
Że stanie hotel — tu, gdzie w nurty padam,

W nurty natchnienia, myśląc o żegludze
Dawnych rycerzy — Eneja — Ulissa...
A mój towarzysz rzekł mi: ja się nudzę,
Stojąc w téj niszy jak kozacka spisa;
Wyznaj, że Grecya *c'est ennuyeux en diable*,
Ja cały mokry — *mais c'est insupportable!*

Nie masz zegarka? ja mój do kompasu
Zregulowałem, tam na łóżku leży;
A ja mu na to: mamy dosyć czasu!
Nim Febus we drzwi Aurory uderzy,
Gadajmy sobie o czém pożyteczném,
Lub o zbawieniu... lub o ogniu wiecznym...

Albo śpiewajmy sobie kontredansy
Tańczone dawniéj — ja dyszkantem wlekę;
Albo ci powiém powieść Sancho Pansy
O trzystu owcach wiezionych przez rzekę —
Ty licz, ja będę tron mówcy dziedziczył;
Jeśli chcesz, ty mów. . a ja będę liczył.

Czy znasz Byrona? — Nie! — To wielka szkoda!
Mógłbyś się teraz przenieść w ideały;
Czajld Harold niegdyś był w Grecyi... Ta woda
Łóżka nam porwie srebrzystymi wały.
Czy znasz Platona?... przyszło mi do głowy
Zaczęcie jednéj Sokrata rozmowy:

„Chodźmy — rzekł — w klonu szerokiego cieniu
Na pochylonéj odpocząć murawie;
Oto zanurzmy tu stopy w strumieniu; —
Jak tu cień miły, jak tu świerszcze w trawie
Śpiéwają słońcu! . “ Daléj w mowie walnéj
Sokrat piękności daje idealnéj

Rysy, granice — i w mgliste przezrocze
Obwija posąg cudownego wdzięku,
A strumień żywy stopy mu łaskocze..
Tu nasz Giuliano z latareńką w ręku

Wszedł i zobaczył nasze dwie figury,
Jak dwa posągi, oprawione w mury,

Z lampami w nogach. — Rzekłem: Pigmalionie,
Jeśli z posągów chcesz mieć żywych ludzi,
Przynieś parasol! — Tak przez wodne tonie
Przeszliśmy oba — a jeśli was nudzi
Ta pieśń, pomyślcie, że to jest obrazem
Greckich oberży, łóżek... i nas razem.

PIEŚŃ SIÓDMA.

MEGASPILEON KLASZTOR.

Wiem, że ze śmiechu przeskakiwać w smutek
Jest wielkim błędem... charakteru wina,
A raczéj nerwów rozkiełznanych skutek —
Brak sentymentu — że w trop Lamartina
Idąc, nie łączę w pieniach — o herezya! —
Trzech westchnień ciągłych: Miłość — Bóg — Poezya!

Miłość od Boga staje się odporem,
(Spytaj się o to panny... (Choło)niewskiéj,
Co rządzi młodych panienek klasztorem.
Miłość — (prócz czystéj miłości niebieskiéj) —
Wprowadza duszę w jakiś grzészny zamęt —
Niewolno kochać, jak święty sakrament.

Lecz piérwsza miłość — piérwsza, platoniczna...
O wstaw się za mną — o Najświętsza Panno!
Ty jesteś taka na obrazach śliczna —
Widziałem Ciebie dziś — pod tęczą ranną,
Nad błękitami Lepantu — w niebiosach —
W tęczy — na chmury rozpłakanéj włosach...

Poezya także często walczy z Bogiem;
Chybabyś pisał ciągle o myślistwie,
Jak *Pan Tadeusz* obeznany z rogiem. —
Bóg Lamartina jest w złém towarzystwie!
Chrystusa trzeba dać do takich kmotrów,
Byłby znów Chrystus między dwojgiem lotrów.

Więc rozwiązawszy tak dobrze zawiłość
Teologiczną, przyjmuję za godło
Tych kart — Poezyą, Chrystusa i Miłość —
I to mię będzie teraz ciągle wiodło
Z góry na górę — od boru do boru —
Do Megaspilion, na tę noc, klasztoru.

A ty, Poezyo, nie bądź więcéj mniszką,
Ale opowiédz, jak szedłem wysoko
Nad przepaściami zawieszoną ścieżką;
Jak coraz daléj posyłałem oko
Za laurem pięknie kwitnącym podemną,
I za otchłanią mórz — błękitnie ciemną;

Jak o południu cień kolczatéj gruszy
Osłonił całą podróżnych gromadę;
Jak ciernia krzaki, które wiatr wysuszy,
Dały nam ognie w oczach słońca blade;
Jak źródło w naszym zajęczało dzbanie,
Jakeśmy orłów słyszeli krakanie ..

A morze jasnym wabiące lazurem
Daleko od nas — szukane oczyma —
Za gór przebytych błysnęło się murem
Przez dwie szczeliny maczugą olbrzyma
Albo Rolanda [1]) rozcięte zamachem.
Powietrze cząbrów poiło zapachem...

A teraz myślę, jak z liter i cyfer
Ułożyć oczom klasztor Megaspilion,

[1]) Bohater średniowiecznego poematu. (P. Wyd.).

Klasztor, gdzie niegdyś bronił się Lucyfer
Mahometowi — tak długo, jak Ilion,
Albo jak nasza piękna Częstochowa,
Kulami ryta — cudem boskim zdrowa...

Zjeżdżaj na koniu w dolinę głęboką.
Góra zielona... wjéżdżaj na tę górę
Ślimaczą drogą... teraz podnieś oko!
Gdzie patrzysz? wyżéj!.. tam, tam aż pod chmurę!
O jaki widok!.. skała rośnie złota
Z arabeskowym rysunkiem Callota[1]).

Z łona zielonych krzewin i cyprysów
Wyrasta ścianą prostopadłą skała
Porysowana, jak mnóstwem napisów,
Mnóstwami domków — a jaskółka śmiała,
Ow miły piastun wieśniaczy i boży,
Tak nie przylepi gniazd i nie ułoży.

Cała budowa, jako wachlarz płaska,
Jeden ma tylko bok i jedno lice;
A wytnij sobie z jakiego obrazka
Całą niemieckich miasteczek ulicę,
Niechaj mur jeden jednostajnie siny
Nosi te domki — krużganki — kominy

I galeryjki — i sine okienka —
I domki wczora tynkowane świeżo,
Niechaj to wszystko różnorodnie wsięka
W jednę podstawę — pożegnaj się z wieżą
I z dzwonicami, któreś sobie roił,
A jeśliś domki pobudował, spoił,

I sobie całą ułożył strukturę —
Zanieś to wszystko wyobraźni okiem
Na szmaragdową cyprysami górę,
Przylep do skały... jeszcze pod obłokiem
Na samym szczycie, gdzie głazu ułomek,
Postaw forteczkę i jaskółczy domek...

---

1) Sławny rysownik arabesków i snów dziwacznych. *(P. Aut.)*.

Niech dym, co mnichów kominami goni,
Framugę sadzy zrobi nad klasztorem;
Niech się to wszystko kiedyś Turkom broni,
Niech teraz będzie spokojne wieczorem,
I zda się lekkiém pajęczyny włóknem,
W promieniach słońca jasne każdém oknem;

Niechaj to wszystko razem się pokaże
Nad głową twoją i za drzewy znika,
I znów, jak dziewic szpiegujące twarze,
Gdy z poza liści śledzą wędrownika
I same także śledzone ciekawie,
Znów błyska — znika — i śni się na jawie; —

A będziesz widział — nie widzisz? więc próżno!
Ja doskonaléj nie opiszę rymem...
Trzeba, ażebyś wziął sakwę podróżną,
Mój czytelniku, i został pielgrzymem;
Inaczéj z wielką litością i żalem
Będę o tobie myślał w Jeruzalem.

Tymczasem... co to? wieczorny skowronek
Śpiéwa nad nami w obłoków błękicie?
Nie — to klasztorny na krużganku dzwonek
Już zapowiedział pielgrzymów przybycie.
Widzę na ganku dzwoniącego mnicha,
Znów karawana idzie w górę — cicha.

Oczy po takiém ciągłém wniebowzięciu
Patrzą w obłoki — a klasztor przed nami,
A mnichów trzystu sześćdziesięciu pięciu
W błękitnych szatach, z czarnymi brodami,
Snuło się w słońca złotego odbłysku,
Jak rój komarów — lub mrówki w mrowisku,

Lub jak rój pszczelni — bo tak doskonale
W plastrze tynkowym porobił komory;
Tak poświdrował korytarze w skale,
Wiszącym domkom takie dał podpory;

Tyle zapasów nagromadził w doły,
Że Bóg się spyta: — ludzie wy, czy pszczoły?

Czy jakie inne i mniejsze robaki,
Co w przylepionym na skale listeczku
Nagromadziliście wina, tabaki,
Cnót po troszeczku, grzechów po troszeczku,
Czekając jasnéj zmartwychwstania chwały,
Gdy cicho listek odedrę ze skały?

I wy myślicie, że ja wam przepuszczę,
Patrząc na tynku odpadłego łatę,
Na korytarze wasze — co jak bluszcze
Idą na skałę kręte, węzłowate —
Na źródło wasze cudowne, na składy?
O moje małe bezpłciowe owady!

Wy, którzy świécę zapalacie jasną,
Gdy pielgrzym kładzie grosz swój do skarbony,
Nie obrazowi — lecz na miłość własną
Rzucając blaski, wy, kraczące wrony
W kraju bezpłodnym i pięknego nieba,
Gdzie się i modlić — lecz i orać trzeba!

A tażto beczka? (to wszystko Jehowa
Mówi do mnichów tam, gdzie sąd ich czeka,
A ja powtarzam tylko boże słowa)
Ta beczka, votum chorego człowieka,
Którą dał biédny — ach, nie mnie Jehowie,
Lecz wam — za cudem odzyskane zdrowie...

I wasze głupstwo, żeście się chwalili
Z takiego daru, i wasza ciemnota —
Życie podobne do próżniackiéj chwili —
I wasza grubość chłopska, nie prostota —
I wasze kłamstwa cudów — i tam daléj...
Weź, Lucyferze! niech ich piekło spali!

Tu się jednego twarz archimadryty
Odwróci, z jedném mnichow pokoleniem,

I rzeknie Bogu: „Nasz dom, niezdobyty
Ibrahimowym mieczem i płomieniem,
Zniszczyłeś, Boże; a Lucyfer dumny,
Żeś odkrył pełne prochem grzechów trumny.

„A ślad na skale gmachu — jak na belce
Znak skruszonego gniazdeczka jaskółek;
A pomyśl, kiedyś, zatrwożony wielce
W naszym klasztorze lud znalazł przytułek,
Wtenczas widziałbyś dla mrących z przestrachu
Aniołem stróżem każdy kamień gmachu.

„I gmach się wtenczas cały w lud zamienił,
Jak twój tron jasny mieni się w aniołów;
Tak wiele duchów zebrał i spromienił
W twoje podnóże... i do naszych stołów
Siadało wiele — nas mnichów niegodnych,
Lecz wiele sierót płaczących i głodnych...

„I w nocy pełnéj pioruna i błysku
Sam szedłem — własne zapalić szpichlerze [1]),
Co pod nogami na skały urwisku
Stały, ubrane w cyprysowe wieże;
I zapaliłem... i przy tym pożarze
Widziałem w dole białe Turków twarze.

„Potém z klasztoru patrzaliśmy mnichy
Na mur poryty ognistymi rysy,
Na dom nasz własny... już jak węgiel lichy,
I na stojące w płomieniach cyprysy,
Jak ci szatani, co tam — widzisz, Boże —
Stoją przy piekła płomiennym otworze.

„Niejeden mrący, spragniony i ranny
W ostatniéj chwili — usłyszał nad sobą
Płacz brylantowéj cudami fontanny,
Otworzył usta — westchnął — i był z Tobą...
Źródło, że wiecznie płakało nad ludem
Żywych i mrących — nazwaliśmy cudem".

---

1) Budynek spalony. *(P. Aut.).*

Wtenczas przytomny obronom szlachetnym,
Na potępienie mnicha rzekłem z boku:
A owa, owa — w tysiącznym ośmsetnym
Trzydziestym szóstym (nie mylę się) roku,
Dnia trzynastego września (tak mi świéża[1])
Data i dzień ten)[1]) dana mi wieczerza?

Sam ją kazałeś zastawić na stole
I sam przyszedłeś, o archimandryto,
Cieszyć się patrząc, jak mię w gardło kole
Kość twoich garnków — twego chleba żyto —
Mszcząc się, że paszport wydała mi Francya,
Że czczę papieża — lecz gdzie tolerancya?

Czyliż dlatego, że wam do kościoła
Przysłano z Moskwy obraz Nikołuszki?[2])
Tu mnich uleciał na skrzydłach anioła,
A ja na łonie tureckiéj poduszki
Budząc się, widma spłoszyłem niesforne.
Słońce błyszczało przez szyby[3]) klasztorne.

Lubię, gdy cichy promień słońca strzeli
W ciemną altanę—lub na sklep, gdzie *prix fixe*
Błyszczą klejnoty — lub do księżéj celi
Złotym promieniem lecąc na krucyfix —
Albo na rzymskich kościołów mozajki,
Lub na błękitny dym rzucony z fajki.

Lubię, gdy pada promień złotolity
Na siwe włosy starego żebraka;
Albo na czoło umarłéj kobiéty,
Albo na skrzydła pływające ptaka;
Albo na róże, co wysoko niosą
Jesienne czoła błyszczące się rosą.

---

[1]) *Wary.* w I wydaniu: (fakt powierza)
(Dziennik mój szczery)...
[2]) Obraz istotnie przysłany z Moskwy. *(P. Aut.)*.
[3]) *Wary.* w I wyd.: Słońce przez szyby błysnęło klasztorne.

Lubię, gdy pada z chmur na odsłonioną
W pochmurnym rynku statuę Kopernika;
Lubię, gdy pada w nasze ciemne łono
I znów z człowieka robi słonecznika,
Za światłem życia obracając twarzą
Myśli marzące... póty, póki marzą.

W komnacie mniszéj, otoczonéj w koło
Rzędem tureckich sof kwiecistéj barwy,
Promień słoneczny padł na moje czoło;
I snów zwichrzone rozpędziwszy larwy,
Rozwinął znowu moje myśli senne
Na życie marzeń mglistych... cało-dzienne.

PIEŚŃ ÓSMA [1]).

NAPOLI DI ROMANIA.

Gdzie nasz Neapol — i morze — i ganek?
Skąd widać było dwa białe miesiące,
Skąd widać było wybrzeże — i wianek
Białych żagielków — i światła płonące
Pod żagielkami — gdzie ostrygi szare
Ze srebrną piersią — i *frutti di mare?*
    Gdzie na wybrzeżu sklepik przy sklepiku,
    Żagiel przy żaglu — przy świetle światełko.
    I tych światełek na brzegu bez liku,
    A każde swoje białe ma skrzydełko,
    Jakby gwiazdeczek jakich nowych plemię,
    Które skrzydłami Bóg przysłał na ziemię.
Czarowny widok — czarowne wieczory!
Ciebie zachwycał zgiełk ludzi i tęcza,
W jaką się ludzkie wiązały kolory
Nad błękitnawém morzem w pół obręcza.

---

[1]) Obacz w tym tomie str. 36: *Do Teofila Januszewskiego.* *(P. Wyd.)*

Jam patrzał w księżyc — co lotem aniołów
Puszczał się w błękit — z mogiły popiołów[1]).
Dziwnie dziś jestem w mieście — miniaturze
Znanego tobie Neapolu. Domy
Zaległe tutaj ponad morskie wzgórze,
Forteca weszła na szczyt skały stroméj,
Mniéjsza zaś druga w otchłoń lazurową
Weszła się kąpać — jak Castel dell'Ovo.
Morze błękitne — i góry z mgłą siną,
Lecz nie tak ścięte, jako cukru głowa
Ani jak krater...."[2]).

. . . .

GRÓB AGAMEMNONA.

Niech fantastycznie lutnia nastrojona
Wtoruje myśli posępnéj i ciemnéj —
Bom oto wstąpił w grób Agamemnona
I siedzę cichy w kopule podziemnéj,
Co krwią Atrydów zwalana okrutną.
Serce zasnęło, lecz śni. — Jak mi smutno!

O! jak daleko brzmi ta harfa złota,
Któréj mi tylko echo wiecznie słychać!

---

1) Waryant téj trzeciéj zwrotki opiewa:
Czarowny widok — czarowne wieczory —
Ciebie zachwyca ów zgiełk — owa tęcza
W jaką się ludzkie wiązały kolory...
Jam czekał cichy, aż po lawy ścianie
Drący się księżyc wejdzie na szczyt — stanie;
Aż spojrzy na mnie z ogromnéj mogiły
Czarnych popiołów. — I mnie także trzeba
Na jakim wielkim grobie nabrać siły,
Nim się puścimy w świat... nie drogą nieba.

2) Więcéj niema. *(Przyp. Wyd.)*.

Druidyczna to z głazów wielkich grota;
Gdzie wiatr przychodzi po szczelinach wzdychać
I ma Elektry głos — ta bieli płótno!
I odzywa się z laurów: jak mi smutno!

Tu po kamieniach z pracowną Arachną
Kłóci się wietrzyk, i rwie jéj przędziwo.
Tu cząbry smutne gór spalonych pachną;
Tu wiatr, obiegłszy górę ruin siwą,
Napędza nasion kwiatów — a te puchy
Chodzą i w grobie latają, jak duchy.

Tu świerszcze polne, pomiędzy kamienie
Przed nadgrobowym pochowane słońcem,
Jak by mi chciały nakazać milczenie,
Sykają. — Strasznym jest Rapsodu końcem
Owo sykanie, co się w grobach słyszy:
Jest objawieniem — wielką pieśnią ciszy.

O! cichy jestem — jak wy, o Atrydzi,
Których popioły śpią pod świerszczów strażą —
Ani mię teraz moja małość wstydzi,
Ani się myśli tak jak orły ważą.
Głęboko jestem pokorny i cichy
Tu, w tym grobowcu sławy, zbrodni, pychy! —

Nad drzwiami grobu, na granitu zrębie
Wyrasta dąbek w trójkącie z kamieni;
Posadziły go wróble lub gołębie,
I listkami się czarnymi zieleni,
I słońca w ciemny grobowiec nie puszcza;
Zerwałem jeden liść z czarnego kuszcza.

Nie bronił mi go zaden duch ni mara,
Ani w gałązkach jęknęło widziadło;
Tylko się słońcu stała większa szpara
I wbiegło złote, i do nóg mi padło.
Z razu myślałem, że ten, co się wdziéra
Blask, była struna to z harfy Homera —

I wyciągnąłem rękę na ciemności,
By ją ułowić i napiąć i drżącą
Przymusić do łez i śpiéwu i złości
Nad wielkiém niczém grobów — i milczącą
Garstką popiołów! — ale w mojém ręku
Ta struna drgnęła i pękła bez jęku.

Tak więc — to los mój, na grobowcach siadać
I szukać smutków błahych, wiotkich, kruchych.
To los mój, senne królestwa posiadać,
Nieme mieć harfy i słuchaczów głuchych
Albo umarłych — i tak pełny wstrętu —
Na koń! chcę słońca i wichru, tętentu!

Na koń! — Tu łożem suchego potoku,
Gdzie zamiast wody płynie laur różowy,
Ze łzą i wielką błyskawicą w oku,
Jakby mię wicher gnał błyskawicowy,
Lecę — a koń się na powietrzu kładnie,
Jeźli napotka grób rycerzy — padnie.

Na Termopilach? — Nie, na Cheronei
Trzeba się memu załamać koniowi;
Bo jestem z kraju, gdzie widmo nadziei
Dla małowiernych serc — podobne snowi.
Więc jeśli koń mój w biegu się przestraszy,
To téj mogiły, co równa jest — naszéj...

Mnie od mogiły termopilskiéj gotów
Odgonić legion umarłych Spartanów;
Bo jestem z kraju smutnego Ilotów,
Z kraju — gdzie rozpacz nie sypie kurhanów!
Z kraju — gdzie zawsze, po dniach nieszczęśliwych
Zostaje smutne pół-rycerzy — żywych.

Na Termopilach ja się nie odważę
Osadzić konia w wąwozowym szlaku,
Bo tam być muszą tak patrzące twarze,
Że serce kruszy wstyd — w każdym Polaku.

Ja tam nie będę stał przed Grecyi duchem —
Nie — piérwéj skonam, niż tam iść — z łańcuchem!

Na Termopilach — jakąbym zdał sprawę,
Gdyby stanęli męże nad mogiłą
I pokazawszy mi swe piersi krwawe,
Potém spytali wręcz: — „Wielu was było?“ —
Zapomnij, że jest długi wieków przedział —
Gdyby spytali tak — cóżbym powiedział?!

Na Termopilach, bez złotego pasa,
Bez czerwonego leży trup kontusza —
Ale jest nagi trup Leonidasa,
Jest w marmurowych kształtach piękna dusza;
I długo płakał lud takiéj ofiary
Ognia wonnego i rozbitéj czary.

O Polsko! póki ty duszę anielską
Będziesz więziła w czerepie rubasznym:
Póty kat będzie rąbał twoje cielsko,
Póty nie będzie twój miecz zemsty strasznym;
Póty mieć będziesz hyjenę na sobie —
I grób — i oczy otworzone w grobie!

Zrzuć do ostatka te płachty ohydne,
Tę — Dejaniry palącą koszulę,
A wstań, jak wielkie posągi bezwstydne,
Naga — w styxowym wykąpana mule!
Nowa — nagością żelazną bezczelna —
Niezawstydzona niczém — nieśmiertelna!

Niech ku północy z cichéj się mogiły
Podniesie naród — i ludy przelęknie,
Że taki wielki posąg — z jednéj bryły!
A tak hartowny, że w gromach nie pęknie,
Ale z piorunów ma ręce i wieniec —
Gardzący śmiercią wzrok — życia rumieniec.

Polsko! lecz ciebie błyskotkami łudzą!
Pawiem narodów byłaś i papugą,

A teraz jesteś służebnicą cudzą —
Choć wiem, że słowa te nie zadrżą długo
W sercu — gdzie nie trwa myśl nawet godziny:
Mówię, bom smutny — i sam pełen winy!

Przeklnij! — lecz ciebie przepędzi ma dusza,
Jak Eumenida, przez wężowe rózgi.
Boś ty, jedyny syn Prometeusza —
Sęp ci wyjada nie serce — lecz mózgi.
Choć Muzę moję w twojéj krwi zaszargam,
Sięgnę do wnętrza twych trzew — i zatargam.

Szczeknij z boleści i przeklinaj syna!
Lecz wiédz, że ręka przekleństw, wyciągnięta
Nademną — zwinie się w łęk jak gadzina,
I z ramion ci się odkruszy — zeschnięta!
I w proch ją czarne szatany rozchwycą;
Bo nie masz władzy przekląć — niewolnico!!! —

PIEŚŃ VIII
(KONIEC).

Nie, nie, dopóki będziesz ręką drżącą
    Zakrywać piersi puste, owdowiałe,
To ja nie klęknę, nawet przed klęczącą,
    Bo ja mam inną, smutną matkę, chwałę,
Co mi ociera łzy płynące rzadko,
A i tę trzecią mam, co mi jest matką.

O najbiédniejsza! tobie z pól myceńskich
    Chciałbym już posłać prochów moich urnę.
Wrzuć w proch ten dwoje obrączek małżeńskich,
    Zaklnij Dyannę i duchy pochmurne,
Aby ci widzieć mnie raz pozwoliły
W promieniach... jam ci był drogi i miły.

Teraz nie jestem niczém, a te mary,
    Co okrążyły mnie, wzywają daléj,
I pokazują girlandy i gwary
    Anielskich duchów, pójdę... krew mnie pali;

Już osądzony śpiewam jak łabędzie,
Lecz gdy cię dojdzie pieśń, co z tobą będzie!

Tyś uśmiechała się, to było wczora,
    Kiedyś mię smętnym w dzień znalazła inny
Zapłakanego nad śmiercią Hektora.
    Nie był to głupi płacz, ani dziecinny,
Głupsze są teraz łzy, co lecą skorsze,
Gdy wspomnę los mój, ach! łzy stokroć gorsze.

Żórawie, co tam nad Koryntu górą
    Rozciągnęłyście łańcuch ku północy,
Weźcie na skrzydła moję pierś ponurą,
    Zanieście z sobą, może przyszłéj nocy
Kraj przelatywać będzie ta pieśń głucha,
Jak dzwon żałosny brzmiąc w krainach ducha.

Żórawie! wy co w powietrze różane
    Co rano długą wzlatujecie szarfą,
Wyście mi były niegdyś ukochane,
    Wyście jesienną moją były harfą!
Wy i szumiące sosny nad grobami,
Gdzież się ja dzisiaj zobaczyłem z wami!

A jednak... jam to przeczuł w życia wiosnę,
    Że będę kiedyś nieszczęsny i błędny,
Że może z serca niedoli urosnę
    I będę z duchów miał wieniec podrzędny,
I z dziką kiedyś pożegnam tęsknotą
Wasz łańcuch, zorzą pochłonięty złotą.

Dziś ta godzina przyszła, bądźcie zdrowe!
    Tam Archipelag mnie woła błękitny,
Tam Korynt trzyma koronową głowę
    A za Lepantem Parnas starożytny...
O Muzo moja, jakże ty pozdrowisz
Górę, gdzie siedział Apollo i Jowisz?

O romantyczna Muzo, na kolana!
    Bo ja ukłony mam tu dla téj góry

Od lipy wonnej klasycznego Jana
    I od śpiewaka dzieci i tonsury,
I od śpiewaka Potockich ogrojca
I cichy, łzawy pokłon mego ojca.

Ja wiem, że teraz on jest przy mnie duchem,
    Ale mu twarda śmierć zamknęła wargi;
Oto mi nawet szeleści nad uchem
    Figowe drzewo, jakby szmerem skargi.
Słyszę głos mi już ojca niepamiętny,
Lecz jego musi to być głos, bo smętny.

Więc smutnym głosem i niedomówionym
    Pozwala czasem śmierć mówić po śmierci.
Góro, co błyskasz księżycem czerwonym,
    Jak wulkan krwawy.... o pęknij na ćwierci....
Boś ty wyśmiana wróblów świergotaniem,
Albo zawczesném rannych kurów pianiem.
. . . .

PIEŚŃ DZIEWIĄTA.

Jest na korynckiéj górze mała grota,
    Figowém drzewem od wejścia zakryta,
I tam odbiegła mię moja tęsknota;
    Stamtąd albowiem oko tęskne wita
Kraj cały, żyzny, zielony, szeroki,
Przerżnięty wstęgą korynckiéj zatoki.

Nigdzie tak piękne i tak szafirowe
    Morze nie świéci, jak tu w téj dolinie.
Kiedy przez szarą drzew oliwnych głowę
    Oko na morze to błękitne wpłynie,
To zamyślone odwrócić się nie chce,
Tak go ten błękit rozwidnia i łechce.

A tam na prawo, gdzie drzew nagle braknie,
   Korynt.... już myślisz.... że tam kolumnady,
Jakich wzrok często północnika łaknie;
   Lecz Korynt dzisiaj, to chatek gromady,
Nad niemi kolumn niewielkich wierzchołek,
A matką wszystkich kolumn ten kościółek.

Wszedłem.... w świątyni dwie młode Greczynki
   Miotłami z ziemi zmiatały na kopce
Czarne od prochu koryncie rodzynki,
   A na kolumnach ściętych mali chłopce,
Pasterze.... w dudki z trzcin wycięte grali,
Kilka baranów sennych i tam daléj.....

Już wiész, jakie są obrazy sielanek.....
   Lecz nie widziałeś ich na greckiéj ziemi;
Ten smutny kolumn już bezżennych wianek,
   Te drzewa żywe, co z marmurowymi
Takimi są tu nieraz przyjacioły,
Jak u nas lipy z wiejskimi kościoły.

Tu słońca krwawy blask czerwieni niwy,
   Pełny baranów cień każdéj kolumny,
I pełny owiec cień każdéj oliwy,
   A pasterz na te cienie patrzy dumny,
Bo są jak sznury pereł dla kochanki,
A w cieniu od drzew leżą owiec wianki.

Tu duch przeszłości.. spokojność rozlewa
   Na śpiące owce.... na pasterzy twarze.
Zefir się rzadko na trawy rozgniewa
   I Jowisz rzadko tu piorunem karze.
Wszystko zamknięte na wiekowe blizny....
I w takiéj ziemi być! i bez ojczyzny!

Czemuż nie jestem tu owiec pasterzem?
   Czemuż nie jestem panem téj winnicy,
Panem téj chaty nad morza wybrzeżem,
   Nad którą Parnas, w hełmie z błyskawicy,
Czuwa — i cicho sny bogów nastręcza,
Co się w powietrzu unoszą jak tęcza.

O słońca wschodzie wstawałbym, pobożny.
    Od moich owiec raniéj — od jaskółki,
Do mnie by gołąb zlatywał nietrwożny,
    Z Hymetu by się zlatywały — pszczółki,
I kładły miody w złamanéj kolumnie,
Bóg byłby ze mną i spokojność u mnie.

Na méj policy... czara starożytna
    I pełna wina starego amfora;
Przed chatą — jaka Najada błękitna,
    Wylewająca łzy w ciszy wieczora,
Brzęcząca smutno o marmur wymyty;
Kilka drzw, kilka malw z jasnymi kity

I sad, gdzie ciemna liściami cytryna
    Słońce odstrzela liściem zwierciadlanym,
Pod którą wcześnie noc już być zaczyna,
    Noc sprzyjająca myślom zadumanym,
Zielono-ciemna, cicha, wonna, świéża,
Noc dla poety i owiec pasterza.

O wy amora słudzy, wieczne duchy,
    Z motylowymi skrzydłami wietrzniki....
Jabym rozesłał was gdzie na podsłuchy
    I przez was wiedział natury tajniki,
I co wieczora, pijąc nektar słodki,
Strącałbym z czary — was mówiących plotki.....

O różnych ludzkich miłościach tajemnych,
    O sercach, które nie kochane — pękły,
O skarbie w straży aniołów podziemnych.
    A gdybyście mi o czém smutném jękły,
O jakim kraju, co leży w mogile,
Wziąwszy was, duchy, za skrzydła motyle,

Skąpałbym całych w czerwonym Falernie,
    Malwy rozkwitłą schłostałbym łodygą,
Między rożami gdzie zarzucił ciernie;
    Lub wziąwszy za łeb, zrobiłbym go frygą,
Aby się kręcił, szedł w ciemne Ereby,
Że mi przypomniał smutek bez potrzeby.

Przed moją chatą przyjaciele młodzi,
Kiedy się dla nich cały baran piecze,
Pokazaliby słońcu, co zachodzi,
W piryjskim tańcu wydobyte miecze;
Przed nimi z twarzą jasną i wesołą
Grałbym na lutni i prowadził koło.

A tam na szaréj kolumny ułomku
Wianek sąsiadów moich siwobrodych,
Pochyłych ludzi, przy pochyłym domku,
Dawałby ręką takt tańcowi młodych....
I przyklaskiwałby temu rymowi.
Duchy, sny, straty, starce, bądźcie zdrowi....

Czy nie widzicie? żem chory: szatanizm,
Bajronizm, siedem mnie dręczy boleści;
Wierzę w religią mas, w republikanizm,
W postęp.... a nawet... wierzę w te czterdzieści
Cztery ... choć nie wiem, co ta liczba znaczy,
Ale w nią wierzę jak w dogmat.... z rozpaczy.

Mam także ufność wielką w jezuicką
Reakcyą... lecz się nie łączę i czekam;
Tymczasem trudnię się mową sanskrycką,
I z Europy znudzony uciekam,
Jak człowiek, co się na przyszłość sposobi
I chce przekonać ludzi, że coś robi.

Najwyćwiczeńsi w téj sztuce kłamania
Nie warci są mi rozwiązać trzewika;
Ciągle mam czarny palec od pisania
I w oczach ciągle coś nakształt płomyka
Poetycznego... stąd mię częściéj wita
Poetą — ten, co widzi, niż co czyta.

Biorę na świadki te strofy ostatnie,
Czy w nich poezyi jest choć za trzy grosze.
Nie bój się, niech je twa krytyka płatnie,
Od nieprzyjaciół moich więcéj znoszę,
Te strofy są złe, powiedz to otwarcie;
Pisałem, jakbym nigdy nie był w Sparcie,

Te strofy są złe, no więc na to zgoda;
Niepoetyczne... zgadzam się i na to....
Chodźcie tu do mnie.... patrz... błękitna woda
Igra pod moją kaiką skrzydlatą;
Łódka przez fale rozbudzone pędzi,
Jak najkształtniéjszy z Olimpu łabędzi.

Przez nachylone żagle księżyc blady
Pokazuje mi majtki zadumane;
Stoją jak dawni rycerze Hellady
O maszt oparci.... złotem haftowane
Pancerze mają i białe kapoty....
Księżyc jest na nich błękitny i złoty.

Oni umieją zostać nieruchomi,
Jako posągi, patrząc w niebo czyste,
Eol sam wichry szalone poskromi
I z żaglów muszle porobi srebrzyste,
W których się oni... na pół skryci, mieszczą,
Jak duchy — myślą wywołane wieszczą.

I cicho, i wraz.... o! godzino święta,
Łódka się w morskie rzuciła głębiny,
I z jękiem nagle stanęła wzdrygnięta....
To była pierwsza fala Salaminy:
Spotkać pierwszego Polaka przybiegła,
I wstrzęsła mnie tak... i jękła i legła.

A za nią inne fale z wielkim gwarem
Od brzegu biegły, szerzące wzdychania.
Jutrzenka żywym spłonęła pożarem.
Słońce... już było bliskie swego wstania;
Myślałem, że w tym wiekopomnym kraju
Stanie w piorunach, jak Bóg na Synaju.

WSCHÓD SŁOŃCA NAD SALAMINĄ.

Pamiętam jednę godzinę żywota —
Leżałem w greckiéj łodzi... Spało morze —
A każdy żagiel był jak maska złota,
W któréj się chował w albańskim ubiorze
Majtek. Słuchałem, jak fala klekota,
Kiedy ją złota pierś kaiku porze —
Księżyc się cicho błyszczał, złoty taki
Jak słońce. Łódź płynęła z Kalamaki.

I zwolna wschód się oczerwienił siny.
Po nad Pireą powiał wiater świéży.
Łódź się śród morskiéj wzdrygnęła równiny,
Jak rycerz, gdy go w piersi wróg uderzy.
Była to piérwsza fala Salaminy,
Szła od mogiły, gdzie Temistokl leży —
Zatrzęsła łodzią, w około ją obeszła,
Zagrzmiała, jękła żałośnie i przeszła.

Wstałem - tańczyły fal różane bryły —
Świtem się niebios okwiecała droga —
Słońce! — myślałem, że wstaniesz z mogiły
Temistoklesa, jak z mogiły Boga
Zmartwychwstający anioł blasku, siły...
Lecz nie — gdzie złoty tron był jego wroga,
Skąd Xerxes patrzał na zniszczenia dzieło,
Wyszło ogromne słońce i stanęło...

Wtenczas zacząłem urągać się w duchu
Grobowi, co był rzucony w ciemnoty
I morzu, które chodziło w łańcuchu —
I obróciłem się, gdzie stał tron złoty,
Paląc się w słońca czerwonym wybuchu —
Bo tak stać musiał, gdy ginęły floty
I za kraj marli rozpaczni obrońce...
Xerxes na tronie tym ubrany w słońce!...

FRAGMENT[1]).

I porzuciwszy drogę światowych omamień,
I wysłuchawszy serca, gdy rzekło: Jam czyste!
Tu rzuciłem się z wielką rozpaczą na kamień,
Pod którym trzy dni martwy leżałeś, o Chryste!
Skarżyłem się grobowi, a ta skarga była
Ani przeciwko ludziom ani przeciw Bogu.....

. . . .

[1]) Na grobie Chrystusa w Jerozolimie, ob. *Listy* Słowackiego, wydanie 3-ie t. I str. 260. *(Przyp. Wyd.)*.

ROZMOWA

z Matką Mokryną Mieczysławską,

BAZYLIANKĄ W PARYŻU.

Słysząc, że głos jéj nożami przenikał,
Gdy swe bolesne męki powiadała,
Szedłem — nie przeto, abym ran dotykał
Ani rozdrażniał zranionego ciała,
Ani świadectwo wydawał o ranach;
Ale był wierny — jak syn na kolanach,
Który dwojakie ma kadzidło w darze:
Łzy albo zemstę — co matka rozkaże...
Szedłem, ażebym dla mojego czoła
Wziął uświęcenia od ręki anioła;
Bo mi się w nocy ta ręka czerwona
Pokazywała przeze mgły skrwawiona,
Wyrzucająca takie strachu strzały
Z palców ognistych — że brak na to słowa,
Żem drżał jak Mojżesz — gdyby mu Jehowa
Rękę był swoję pokazał ze skały.

Znalazłem w cichym siedzącą klasztorze
U suchych, obcych ludzi na gościnie,
Prostą niewiastę, rzekłbyś: gospodynię
Siedzącą sobie na szlacheckim dworze,
Kędy zarządza dziateczek hałasem,
W czepcu, w rańtuchu, z kluczami za pasem.
Wszakże pomimo tak wielką prostotę
I dziwne z matką moją podobieństwo,
Na twarzy jasne widziałem męczeństwo,
Jakieś męczeństwo wielkie, boże, złote,
Które mnie z góry uderzyło w ciemię,
Jak Pan — gdy rzuca zbrodniarzem o ziemię...

A wtenczas ona: „cóż, ziomku kochany?
Przyszedłeś mocno, jak widzę, wzuszony;
Siądź — powiém tobie, że zamknięte rany
Lepiéj przystoją Polce, niż korony.
Ty młody jeszcze, nie topionyś w Niemnie,
A już ty bledszy, mój synu, odemnie.
Widząc was wszystkich takich w téj stolicy,
Chociaż ja sądzę rozumem prostaczki,
Widzę ja prawie, że i wy biédaczki,
Widzę was jasno — i wy męczennicy".

Westchnęła — a ja: Matko, powiédz proszę,
Czyś ty do boskich nie zaniosła tronów
Skargi na tyle polskich milionów?
Dwadzieścia!!! Gdyby to miedziane grosze —
Świat prawie kupić! — gdyby pozapalać,
A każdy dał krwi maleńką kropelkę,
O! na Chrystusa i na Zbawicielkę,
Tą krwią czerwoną świat możnaby zalać!
Gdyby błysnęły wszystkim ognie z lica,
Świat można spalić! A ty męczennica?
Polka! w żołdackim utopiona brudzie?
Nie — car nie winien — to winni ci ludzie!!

A ona: „nie skarż, o nie skarż nikogo!
Oni? — cóż oni biédacy tam mogą?...
Wszyscy pod wielkim i krwawym uciskiem
Czekają tylko na piérwszą dogodność..."
Tu mnie spytała: „jakiém zwać nazwiskiem?"
Nie dosłyszałem — a ona: „jak godność?"
Zarumieniłem się cały i rzekłem:
„Godności nie mam — przed męką uciekłem..."
I nastąpiło ponure milczenie,
Ona ze smutną, a ja z twarzą ciemną...
Czułem, że cierpi zemną i nademną,
Jak gdyby znowu dźwigała kamienie.

. . . .

. . . .

Ona więc tak mnie pocieszywszy nieco,
Mówiąc o duchach, które w kraju rosną,

I obeznawszy mnie z tą piękną wiosną,
Do któréj myśli jak żórawie lecą:
Mówiła daléj: „Raz nam do klasztoru
Wieść przyszła, że nasz Biskup zmienił wiarę...
Nie wierzyłyśmy — lecz w godziny szare,
Kiedyśmy poszły na modły do chóru,
Strach jakiś przewiał nieznany kościołem
I powiał na nas niewidzialną siłą;
Każda myślała: a gdyby tak było!...
I przerażone padałyśmy czołem,
Jak małe dzieci, które dziad przeraża,
Nie śmiejąc rzucić téj nocy ołtarza.

Potém zostawszy ja sama w kościele,
Rzekłam: z Biskupa duszą się rozprawię,
Myślą go sobie przed oczy postawię,
Wzrokiem zapytam — jakie on ma cele?
Stanął mi: a ja sądziłam oczyma,
Która kość w nim drży — a która się trzyma[1]).
Strach mnie za serce przenikliwy ścisnął,
Bo stał wyraźnie i oczyma błysnął,
A oczy były od zwyczajnych różne,
Jak szkła wypukłe, świécące i próżne,
Wtenczas w przestrachu mój duch osamotniał:
Rzucam się znowu — krzyżem martwa leżę;
A takie poty szły aż przez odzieże,
Żem wstała — a krzyż na ziemi wypotniał.

---

[1]) *War.* Wkrótce przyjechał do nas w odwiedziny
Biskup — blask lejąc z krzyża czerwonego;
Ja tylko wtenczas spojrzałem na niego,
A wnet ujrzałam na nim ruskie czyny.
Raz tylko w oczy spojrzałam okropne,
Szkliste, wypukłe, wyraźne, roztropne;
A już, choć słowy podchodził zdaleka,
W oczach widziałam — wszystko, co mię czeka.

Po tylu latach męki i konania,
Już nie powtórzę dziś jego rozmowy —
To tylko powiém... że do przekonania
Starał się trafić słodziutkimi słowy —
Siadł blisko.... sztuczka podstępna i chytra....

Wkrótce przyjechał do nas w odwiedziny[1])
Biskup w orderze krzyża czerwonego.
A ja raz tylko spojrzałam na niego,
A trunek było czuć i woń stęchliny...
Raz tylko w oczy spojrzałam okropne,
Zimne — umarłe niby — lecz roztropne.
A choć przychodził do rzeczy zdaleka,
Już ja wiedziałam wszystko, co mnie czeka.

Po tylu latach męki i konania
Dziś nie powtórzę piérwszéj z nim rozmowy.
To tylko powiém, że do przekonania
Trafiał i prośbą i słodkimi słowy;
Siadł blisko — sztuczka podstępna i chytra,
Próbował i słów magnetycznych ze mną —
Była tam jakaś gregoryańska mitra...
Słowa mówione z trwogą potajemną
Jak węże skórą szeleściły suchą,
Dziwne — ogniste — zaszeptane w ucho.
On szeptał jak czart... wzrok miał obłąkany —
Szeptał... te słowa, mówię ci, szatany!
Nikt o nich nie wié, gdzieś po trumnach siedzą.
On tylko jeden i szatany wiedzą,
Jakie to słowa? skryte, ślepe krety —
Jakie to słowa? mówię ci, sztylety —
Nie słowa ludzkie!...

---

[1]) Drugi *War.* Wkrótce przyjechał ten odmieńca boży;
Ja tylko w oczy spojrzałam zielone,
A już mię przebił strach tysiącem noży,
Już prawie złotą, męczeńską koronę
Ujrzałam — w palmy kwieciste i róże
. . . .
. . . .
Wszystko, co potém przyszło z Boga ręki,
Te dopuszczenia.... to nic, mówię tobie,
Nic w porównaniu téj piekielnéj męki,
Którą duch w trwodze zadaje sam sobie,
Nic, gdy się męka widzialna zaczyna,
Gdy już ci wrogi stoją przed oczyma —
. . . .
(Z rękopisów drukowane w „*Warcie*). (*Przyp. Wyd.*).

Pan Bóg mnie obronił.
A on też inny ton wziął ze mną zaraz:
Będziesz, powiada, tu miała ambaras. —
To rzekł i nisko kołpaka pokłonił,
I wyszedł...

Ja też wnet zebrałem mniszki
I przysięgłyśmy przed Panny obrazem,
Choćby nam przyszło umrzéć wszystkim razem,
To umrzéć — a te biskupy opryszki
Mocować, póki nam żywota stanie;
A nawet westchnąć i modlić się za nie,
Żeby przebaczył Bóg ..

Tegoć, mój drogi,
Trudno ci będzie już dzisiaj opisać,
Jakie to były u mniszeczek trwogi.
Jedne radziły do Rzymu napisać;
Drugie — nasypać prochów do piwnicy,
Beczki postawić radzą pod ołtarze;
Straszne rycerki — chcą odprawiać straże
Przy beczkach z prochem, z ogniem na gromnicy...
Wszystkie jak szpaczki, zbiegają się, radzą,
Wszystkie najlepsze pokazują chęci;
Lecz gdy mi z poczty papiéry oddadzą,
A ja się lękam rządowych pieczęci:
To stoją blade — nieme dreszczem ciała,
Strwożone laku samego zapachem,
I mnie na palce patrzą z takim strachem,
Jak gdybym święty sakrament łamała.

Przyszedł nareszcie rozkaz ostateczny:
Odmienić wiarę — lub się wybrać w drogę...
Gdzie? co? — nic więcéj. — Uczułyśmy trwogę,
Jak gdybyśmy szły w ciemność na sąd wieczny.
Tak nic nie wiedząc, co się z nami stanie,
Czy gdzie w łańcuchy? czy gdzie na wygnanie?
Czy gdzie na nędzę, chłód i wichrów szturmy?
W Sybir? — któżby się nas tam upominał!

Może, myślałam, posadzą do turmy
I tam oskarżą o jaki kryminał?
Dotąd mię jeszcze strach okropny bierze,
Gdy myślę — jaka to szatańska była
Ta ciemność wielka w rządowym papiérze,
Która nie mogła, a śmiercią groziła.

Wszystko, co potém z nami nastąpiło,
Otwartą, groźną przedsięwzięte siłą,
Nic takim strachem nam na dusze spadło,
Jako to piérwsze zagrożeń widziadło.
Pomyśl, którażby nie zmieniła céry,
Spojrzawszy w trupie te białe papiéry?
Papiéry pełne i groźby i siły,
A tak milczące, głuche, jak mogiły.
Strach nas, powiadam, dolatywał wszędzie,
W nas był... i szeptał strachami wygnania;
Męka to była nie do opisania!
Powiadam tobie, że tak w piekle będzie.

Bóg upominał, lecz strzegł. — Wszystko potém
Było przynajmniéj już jasne, widome.
Cierpieć? my cierpieć byłyśmy łakome...
Z głodu umiérać? — a cóż, gdy pod płotem
Niewinny żebrak na mrozie przypieka?
Czasami żołnierz zgłodzony, kaléka,
A psi go tylko sami głodni strzegą...
Umiérać?... cóż my jak żebrak lepszego?
Męka gdy ciało już kąsać zaczyna,
To nic, duch wtenczas nabiéra odwagi
I samby prawie poszedł na miecz nagi;
Ale ta piérwsza zagrożeń godzina,
Gdzie wsparcia zniskąd, a ciemny strach wszędzie...
Powiadam tobie, że tak w piekle będzie.

Zadrżałem: tak się ta święta podniosła
I z takim gestem zapalona cała
Polskim duchowym językiem śpiéwała
I w słowach niby rozognionych rosła!

Lecz się spostrzegła poważna matrona,
Że duch zebrany być musi do łona,
A nie ulegać zapału pokusie —
Jasny, spokojny, jak był duch w Chrystusie.

Więc zaraz wziąwszy z siebie takich tonów,
Którymi zawsze człowiek rządzić może,
Rzekła: chcesz słyszeć o moim klasztorze;
Powiém ci krótko kilka naszych zgonów,
Kilka męk. Już wiész zapewne od braci,
Żem była sama Przełożoną, Ksienią;
Widzisz, czém jestem — sądź z mojéj postaci:
Nigdy mnie ludzie podli nie odmienią,
Ani téż choćby złotem mnie przykryto!
Zwyczajną jestem, jak widzisz, kobiétą,
I taką byłam; — to jednakże powiem,
Żem niegdyś była panną myśli trwożnéj,
Bom się rodziła w rodzinie zamożnéj,
Psuta — na szczęście obdarzona zdrowiem
I wytrwałością . . . .
. . . .

Przyszedł dzień ofiary: —
Sam Biskup zjechał, zwołał uroczyście.
Wszystkieśmy drżały jak na drzewie liście;
Ja nawet jeszcze nie nabrałam wiary,
Trzęsłam się cała, zbiédzona, zalękła,
Strudzona, głowy znękana zawrotem,
Serce mi biło ciężko, jak by młotem;
Myślałam, że gdzieś wielka żyła pękła
I kropliskami ciężko w pulsa sieje —
Krew kapie — a jak dokapie — zaleje.
Słucham — a czuję, że już coraz bladnę:
Strach! — a cóż poczną biédne siostry moje,
Jeżeli trwogą zabita upadnę?...
Nie! przed Biskupem żywa już dostoję.

Ale Bóg dobry — o! tak, Pan Bóg dobry!...
Zaraz mi weszło coś do serca mocy;

Ha! pomyślałam: z Mieczysława Chrobry,
A z Mieczysławskiéj głaz w Dawida procy.
Niech czart próbuje; cóż? — choćby i bito.
Stanę mu twarz w twarz — niech walczy z kobiétą!
I znów uczułam, że ten poryw ducha
Przydał Siemaszce odwagi i siły: —
Więc znów zacięłam zęby — zimna, głucha;
Ducha do ciała, jak nogi stonoga
Zebrałem w sobie: jak na dno mogiły,
Zalękła poszłam do serca — po Boga!

A on, jak gdyby te straszne jaszczury,
Które złotymi jad oczami leją,
Spojrzał: — my stały spokojne, jak mury,
A on, choć z małą, jak sądzę, nadzieją,
Zapytał: A cóż, siostry moje drogie,
Chcecież przejść wszystkie na braterską wiarę? —
My nic; — on westchnął — i znów oczy szare
Obrócił na nas, ale już złowrogie;
Siostry mi potém mówiły, że w miarę
Jak się zapalał i rwał piersi wzdęte,
One już radość jakąś czuły, wiarę,
Różane moje, biédne siostry, święte...

Z umizgiem napół błagań i wyrzutów
Znowu zapytał jeszcze słodszym głosem:
Któraż z was łaską pogardzi i losem,
A weźmie...? — tu nam rzucił pękiem knutów!...
My nic. —

Oddechu wciągnął w schrypłe płuca,
Nareszcie nie mógł już więcéj, wrzał skrycie;
Więc jakby rynna, gdy błoto wyrzuca,
Wrzasnął i zawył: — Cóż? czy przechodzicie?!
Nie skończył, targnął się jak pies w łańcuchu;
My nic: — milczałyśmy i rosły w duchu.

Wtenczas on uczuł, że przed nami pada
I my się czuły mocniejsze od niego.

Widzę go teraz: — skry mu z oczu biegą,
Jak gdybyś widział gdzie żebraka dziada,
Który się na psy szczekające gniewa
I trzęsie klaszcząc, jak kościotrup z drzewa.
— Ja was, zakrzyknął, w powrozy, w łańcuchy!
Wy buntownice, suki, polskie duchy! —
Wywiérał na nas wszystko i wymiotał,
Zębami szczękał, kościami klekotał; —
My nic. — On wtenczas porwał krzyż, zdruzgotał
I wybiegł — drzwiami trzasnął — ze krwią plunął
Rozkaz Moskalom stojącym na dworze,
A echo od drzwi poszło po klasztorze,
Jak gdyby piorun za biskupem runął.

A my po sobie tylkośmy spojrzały,
Oczami mówiąc, że to wąż-lewiatan,
Żeśmy szatana zexorcyzmowały,
Że to nie pop był, ale wiatr i szatan.
A wtenczas tylko już nam bez oporu
Przed żołnierzami przyszło wyjść z klasztoru.

Nie wiész boleści, gdy rzucać przychodzi
Dom, gdzie nas Chrystus matkom z rąk odbierze
I duchem swoim jak matka odrodzi,
A potém jako swe jagnięta strzeże;
Nie wiész, jak w domu takim pachną ściany,
Kwiatki się błyszczą, śpiéwają organy.

Zebrałyśmy się: naprzód jedna z krzyżem,
Z Chrystusem, za nią my wszystkie strapione,
A na ostatku tknięta paraliżem
Staruszka dobra, prosta; ta zdziwione
Oczy na wszystkie strony obracała,
Sucha, niesiona prawie, jak trup biała,
Błyszcząca tylko w oczach, święta w duchu,
Ale bez władzy rąk i nóg i słuchu.
Jam tylko siostry zaklinała wzrokiem:
— Na miłość Boga! twarzami do mura,
Ażeby tego nie zabić praszczura
Naszymi łzami i naszym widokiem! —

Siostry też były dobre i rozumne;
Jedna szepnęła: — Gdzieś wstąpim po kweście
I zostawimy ją u ludzi w mieście,
Albo do bramy gdzie rzucim jak w trumnę;
Przyjmą staruszkę — chleba wszędzie dają —
Przytulą biédną, złudzą, oszukają,
Rzekną, że po nią powrócim – a ona
Tak gdzieś zagaśnie, jak lampa strawiona.

. . . .

. . . . . . Ja też tak myślałam; —
A jednak nagle patrzę na tę starą:
Ona coś szepce i źrenicą szarą
Pyta mnie srogo; — nie odpowiedziałam —
Spuściłam oczy. — Klękłyśmy; ostrożna
Kazałem cicho śpiéwać Ave stelle;
Buchnął płacz — wstrzymać łez było nie można —
Płacz tak szarpiący, jak piekło; w kościele
Jęków, łkania i modłów taka zawierucha,
Że usłyszała nawet ta biédna i głucha!
Wtenczas mniszeczki obie chwyciła za szyje,
Zgięła, nóg wydobyła z siebie, wzniosła kije,
I wywijając tymi kijami nad czołem,
Jakby rycerzem była, jakby archaniołem,
Chciała bronić. — Pobiegłam — zćmiło mi się w oczach —
Upadłam przed nią — zda się — cięta po warkoczach
Niby w gradzie pocisków — przerażona, drżąca.
Te białe kije trupa w tym gradzie widząca,
Chcąc te paralityczne pohamować złości,
Chwyciłam za kolana: — nogi jéj — dwie kości:
Spojrzałam w górę: — trup był z papieru wybladły —
Rozkrzyżowała ręce, kije z rąk wypadły —
Już jéj nie było — życia ani w jednym włosku —
Spuściła ręce — na mnie upadła jak z wosku
I głową się na głowie mojéj biednéj wsparła;
Wzięłam na ręce — trup był ledziutki — umarła!
Oddałam Bogu...

— Rzekłem: O matrono,
Która tak straszne opowiadasz zgony,
Jakie ty harfy, jakie ty masz tony?!

Kto cię Dantejską nakrywa koroną?
Odsłoń przedemną, chociaż do połowy,
Tajemnic twoich — niechaj je zobaczę!
Czy ty duch jaki stary, czy duch nowy
Przyszłaś jak Mojżesz prowadzić tułacze?

A ona: — We mnie sama matka płacze;
Nic ja nie jestem, o! nic ja nie jestem. —
Ale posłuchaj, co się daléj działo.
Wyszłyśmy z wielką i spokojną chwałą,
Z tym trupem matki jakby z manifestem,
Strach rozsiéwając podobny do mrozów
Pomiędzy ludem zgromadzonym w tłumie.
A tu ci wyznam i każdy zrozumie,
Że spodziéwałam się jakich powozów;
Bo przecież zbrojną otoczona rzeszą
Nie pójdę z siostry we zbójecką jamę;
Piérwszy raz okiem rzuciwszy za bramę,
Postrzegłam, że nas będą pędzić pieszo.

Słuchaj! — ty nie wiész, co w niewieścich duszach
Strach wstydu rodzi — brzęk bagnetów w uszach;
Nie wiész, jak drgają wszystkie żyłki ciała,
Gdy jakie brudne słowo w uszy wpadnie.
Słuchaj — gdym piérwszy raz ja w kark dostała,
To zabrzęczały zęby tak szkaradnie,
To piekłem zemsty zawrzałam — kobiéta,
Ja, Polka -- piérwszy raz na rynku bita!...

To, mój kochanku, mówię tylko tobie,
Abyś nie myślał, że ja cała święta;
Ja także byłam i gniewem wzdrygnięta.
Nawet myślałam o zemsty sposobie.
Potém dopiéro tak podniosłam duszę,
Że smakowały mi prawie katusze;
A Pan Bóg bronił mnie wielką prostotą
Przed kułakami, tak jak zbroją złotą.

A jakie piękne było wonczas lato,
I jakie piękne były łąki nasze!

Pomnę — na promie, pomimo pałasze,
Bagnety, zgraję kozaków brodatą,
Uczułam wielką i piękną pogodę,
Patrząc na lasy, na błękitną wodę;
I przypomniawszy sobie czasy w domu
Ciche, wpatrzyłam się głęboko z promu
W płynącą wodę; a wzrok widać chciwy
Wydał się ludziom głęboko szczęśliwy,
Bo zaraz Biskup, spojrzawszy w me oczy,
Krzyknął na dońca: — Dzierży! w wodę skoczy!
A doniec się też dotknął mego włosa,
A Biskup patrzał — kat w podłéj postawie! —
Rzekłam do księdza już z litością prawie:
W wodę? — czy myślisz, że to są niebiosa?...

To rzekłszy — oczy znów swoje zakryła.
A ja: — O matko! jak mi twoja miła
Powieść, gdy z trwogi do płaczu sprowadza;
O! jakie myśli z niéj słodkie się rodzą!
Więc gdyby niebo — to tybyś skoczyła?
Więc gdyby jaka ci niebieska władza
Rzekła: o matko — patrz, obłoki schodzą,
Wstępuj do światła po za ziemskie ciemnie...
— Podjęła głowę, wzrok wraziła we mnie,
Usta uśmiechem rozsładzając rzekła:
Widzisz — do nieba jeszczem nie uciekła,
A Witebsk blisko był téj strasznéj bramy,
Przez którą wskoczyć mogą męczennice...
Tam nas Moskiewki, okropne czernice
Wtrąciły wszystkie do wilgotnéj jamy,
A Klasztor cały był ciemny, pijacki,
Głuchy — i ciężki wszędy smród żołdacki
Łoju i skóry i prostéj gorzałki,
I wstrętu, który czynią zgniłe grochy;
A często kobiet bitych słychać szlochy
I świst wężowy smagającéj pałki
I pocałunków na katowskiéj ręce
Klask — i ćwiczonych skomlenie bydlęce.
O! czarne ruskie klasztory — straszliwe!
Piekło, powiadam tobie, piekło żywe!...

Teraz-że pomyśl: co my w takim brudzie
Musiały cierpieć — i westchnij do Boga!
Westchnij — bo ileż to cierpią tu ludzie!
Nim na grób przyjdzie zmordowana noga!
Lecz to dziwniejsza, że takie są miedzie
W sercu tu ludzkiém, ludzkich męczycieli!
Wiész, jak dawano nam bez wody śledzie;
Wiész, jak pokarmu zwykłego ujęli,
Jak obrócono ręce do mularki,
A grzbiety nasze pod kamień i chłostę:
To wszystko były męki bardzo proste,
Lekkie: po ciele szły czasami ciarki,
A czasem głodem krzyczały aż brzuchy,
Lecz duch nie cierpiał; — owszem rosły duchy
I potężniały znoju i głodu żniwiarki.
I raz gdy z lochu po miesięcznym głodzie
Wyszłyśmy nagle na słońce odkryte,
Tośmy krzyknęły: twarze były zmyte
Jakby w słonecznéj i różanéj wodzie;
Lubośmy żyły w lochu prawie gliną,
Rozpoił nas duch boży — tak jak wino.

Wtenczas nie wiedział już Biskup, co pocznie,
A chciał koniecznie przełamać kobiety;
W rękach miał dzidy — a w oczach sztylety,
A w serca patrzał: — zmiany chciał niezwłocznie.
Gdyby choć pozór, że z nas mniszka która
Weszła do cerkwi — obrazom się kłania...
Żadna! — dwie biédne spadły z rusztowania,
A jednę kamień urwany ze sznura
Z oczu nam prawie jak widmo promienne
Zdjął, lecąc jako młyn okropny z góry;
I tylko krwawe purpurowe sznury,
Plamiące długo białości wapienne,
Aż od samego, samego poddasza,
Aż do samego dołu cieknąc strugą,
Przypominały nam długo i długo,
Że tak zabita jedna siostra nasza!
A jednak mimo to, że tak szkaradna
Smierć była, takie nagrobki straszliwe:

Wszystkieśmy były do końca cierpliwe;
Bóg dał, nie przeszła z nas żadna a żadna.

Wtenczas już Biskup nawet nieco trwożny,
(Bo się rozniosło, bo już Witebszczanie,
Już jakieś ruskie powiedziały panie,
Że to nie klasztor, ale dom katorżny)
Wtenczas już, mówię, biskupisko stare
Byłby dał krzyże już i gwiazdne znaki,
Byleby tylko chwycić pozór jaki,
Żeśmy ugięły przed nim naszę wiarę.
Więc raz znienacka do cérkwi nas wiodą
Głodne, trzęsące się od zimna, trwożne;
Zarazem czoło Biskupa bezbożne
Ujrzała — topór ujrzałam pod kłodą:
O! na Chrystusa, co nam winy zmazał,
Sądzę, że topór mi Pan Bóg pokazał;
Bom nic nie rzekła — a nad rozkaz słowny
Mniszkom znak dałam w tak jasnych wyrazach,
Że żaden biskup, choćby jak duchowny,
Nie zrozumiałby. — W takich zwykle razach
Mniszeczki wszystkie czynią, co ja czynię,
Mówią, co mówię, wchodzą, gdzie ja wchodzę:
Teraz jak gąski stanęły na drodze,
Ja byłam woli całéj monarchinią,
Pasterką owiec; a w chwili szkaradnéj,
Kiedy uczułam w sobie taką władzę,
Rzekłam jak Chrystus, że nie stracę żadnéj,
A wszystkie razem w niebo zaprowadzę.
Rzekłam — i nagle porwawszy siekiery,
Ku Biskupowi poszłam: — Weź, Herodzie,
Weź, popie! — ścinaj łby i rzucaj w dwiery [1])
A do mniszeczek: — Kładźcie się na kłodzie!
Ledwiem wyrzekła, wszystkie buch na ziemię —
Każda na belce głowę, ku mnie oczy...
Myślałam wtenczas, że piorun wyskoczy
Z oczu Biskupa, lub jakie złe plemię
Czartów ognistych, krwawych nietoperzy

[1]) Carskie dwiery w cerkwiach. *(Przyp. Aut.)*.

Z pod brwi wyleci i na mnie uderzy.
Porwał żelazo — rękę wzniósł — skamienił —
I tak zacisnął, że zlodowaciała
Zielona jak trup — a sam się zapienił
I tym toporem mi tu koło kłęba .
Cisnął i nogi — patrz — skroił kawała,
A potém w twarz mi dał i wybił zęba.
Ja tylko na to, nie zmieniwszy cery,
Choć z dwóch ran już krwią purpurową ciekłam,
Ząb mu podałam wybity i rzekłam:
Zawieś to między twe wszystkie ordery!

Ty może myślisz, że to duma świecka,
Mnie nieprzystojna? — na to nie ma zgody.
Pomyśl: — ja Polka! ja córka szlachecka!
We mnie gadały dawne moje rody,
W usta mi dziwne odpowiedzi kładły;
Ciało z nich było — a i od nich siła,
Walczyły za mnie, ja za nich walczyła;
Gdybym upadła, byłyby upadły.
Widzisz — potrzebne było nasze męstwo!
Widzisz, że przy nas zostało zwycięstwo.
Co? —

Drżałem cały — i z dalszego wątka
Powieści ledwo mogłem pomięszany
Spamiętać tylko jakieś straszne rany,
Które poniosły w brudzie niewiniątka...
We mgle rzucone duchy bez ojczyzny
Pomiędzy spite żołdactwo i diaki —
Wrzask, jęk i krwawe w powietrzu bielizny,
Jako sztandary i skrwawione ptaki;
A dół nietknięty nawet już pamięcią,
Kędy świeciły jak gwiazdy różane
Te głowy, z których twarze pozrywane,
Wybite pięści biskupiéj pieczęcią,
Butem żołnierskim przypieczętowane.

Co mówię? — głowy te — listy otwarte —
Mózgiem mówiły przez pieczęci zdarte;

Oczy gdzieś w błocie świécące i słomie
Ze krwi wystają niby niezabudki;
A ciała — ciała jak bez kształtu kłódki
Tarzały sobą jęczące po domie: —
Na widowisko tak strasznie zwiérzęce
Wejrz, Chryste Panie, i rozkrzyżuj ręce!

A wy, o smętnych pamiątek anioły,
Mówcie wy ciągle nad ludzi łożami
Sennych, to słowo okropne: Dziedzioły!
Tę wioskę mroźną, osłoniętą mgłami,
Gdzieś pod sosnowym śnieżącą się borem,
Z jedyną cérkwią ruską jak z upiorem,
Z troistą wieżą ciągle owronioną,
W prochach zorzanych błyszczącą, czerwoną...
Ciągle to ludziom przed oczy przynoście,
Ciągle stawiajcie przed źrenice obie:
Niech czują w duchu te wieczne nudności,
Które ma człowiek niespokojny w sobie!

— W Dziedziołach — rzekła Pańska męczennica —
Już nie byłyśmy z sobą wszystkie razem:
Wiele nas padło pod biczem i płazem,
Dziesięć zostało bez ludzkiego lica,
A upiorami wszystkie tak strasznymi
Były, i kości tak miały popsute,
Że Biskup nawet już sam za pokutę
Nie byłby żadnéj pokazał na ziemi.
Te zostawiono w Witebsku, a drugie
Dziesięć w Połocku — a z tego już miasta
Ja szłam z dwunastu siostrami trzynasta
Pod jesień, wicher, śniegi, nocy długie;
I stanęłyśmy w Dziedziołach, w klasztorze
Znowu, u czernic, lecz obmurowane;
Gdyby nie zimne kopuły blaszane —
Turma, nie klasztor.

Przy ogromnym borze
Stał, lecz w dziczyźnie takiéj zbudowany,
Przy takiéj wiosce i na takiém polu,
Że strach był może mocniejszy od bolu...

Noc w noc rozboje, żydy, markietany;
Czasem na jutrznię dzwonią — ciemno w szybach,
Zimno w celicach, ołów tylko brzęczy
Jak wóz z szynami, gdy idzie po skibach;
Słuchasz — a tam gdzieś na polach ktoś jęczy,
I nim umilkną rozżalone dzwony,
Staje ci w myśli, że tam trup czerwony.

Raz na tych smętnych dziedzińcach klasztoru
W poranek szary, pomnę, rąbię drzewo,
A tu na prawo jęk i brzęk na lewo,
Jakby dwa głosy, obadwa do wtóru.
Słucham i patrzę — otwiérają bramę —
Patrzę, kto wejdzie: — o polski mój Chryste! —
Mniszeczki wchodzą, jak my takie same,
Mrozem i wiatrem prawie przezroczyste,
Podarte na nich płaszcze i trzewiczki,
Nogi skrwawione przez mróz i przez grudę,
A twarze takie chude — takie chude,
A oczy — jakby na opłatkach świéczki.

I znów, ostatnich niby wołokitów,
Wpędzono drugą bramą pięć straszydeł;
Ci weszli, jako puszczyki bez skrzydeł,
W łachmanach. — Było to pięciu Unitów
Biédniejszych od nas: — jeszcze jakaś święta
Jasność kosteczek naszych się trzymała;
Ale ci ludzie... skóra im zczerniała,
A twarze mieli takie, jak zwiérzęta,
Już jakby Pańskiéj męczarni niegodne
I przemienione przez bezczestne męki;
Nos wklęsł, a naprzód im wybiegły szczęki,
Jak gdyby kąsać chciały, jakby głodne.
Każdy miał taką czaszeczkę łakomą,
Dziób taki na żer, w oczach takie skrzynie,
Żem pomyślała, jako po łacinie
Mój ojciec w czaszce ludzkiéj czytał: homo...

Tu pokazała mi na nos i wzroki
Jak człowiek, który gestem powieść krasi;

A ja postrzegłam w oczach dół głęboki,
W złomach jéj twarzy wyraz jakiś ptasi: —
Wstrząsłem się cały — zadziwienia krzykiem
Świadcząc, że dobrym byłem łacinnikiem.

— Te próby, rzekła, wściekłego Biskupa,
I różne męki przezeń wymyślone
Zniósłszy, byłyśmy nareszcie pławione...
— Matko! krzyknąłem — jako czarownice?
A ona: — Dziw się katów wymysłowi!
Był staw, jezioro, puste okolice,
Jakby przystojne męczeństwa duchowi,
Nad brzegiem jego wierzby jak upiory;
Tam nas, bywało, zaszywają w wory,
I tak zaszyte obwiązują liną,
A potém diaczki w łodziach wprzód posłani
Płyną i płyną, daleko, daleko,
I na tych linach wleką nas i wleką,
A popy krzyczą: postoj! albo: tiahni!
Słyszę dziś jeszcze tę straszną komendę,
Słyszę, jak we mgłach smętnie się rozlega;
Lud się, bywało, po nad brzegi zbiega,
A my, jaskółki pobrane na wędę,
W téj czarnéj wodzie po pas, to po brodę...
Cóż robić? — boską całujemy wodę
I milczym...

Dobrze to, kochanku, pływać,
Lecz strasznie, gdy cię w toń linami wloką.
Otóż tam, słuchaj — już mi się na oko
Anieli Pańscy jęli pokazywać —
A nie myśl, żeby widma jakie złote,
Albo zjawienia lub gwiazdy i róże;
Nie — Pańscy jacyś posłańce i stróże,
Przysłani na tę okropną robotę,
Jacyś Anieli, mówię, w ludzkich ciałach,
Co przez litosne patrzali się oczy.
Wśród tłumu zjawił się nam na uboczy
Szlachcic ubrany w szarych samodziałach,
Ekonom niby; — ale ja ci ręczę,

Ja tobie ręczę, synu, że ten człowiek,
Kiedy chce, strzela piorunami z powiek,
A z ramion, kiedy chce, rozwija tęczę.
Stał zawsze cichy i patrzał na popy,
Na nas, a wszystko poważnie uważał,
A mnie cichością swoją tak przerażał,
Że dziś go widzę — słyszę jego stopy.
Na milczącego więc kiedy wzrok rzucę,
To on w bok spojrzy, albo brwi podniesie,
Drogę mi niby pokazuje w lesie,
Oczyma mówi: żyj, bo ja powrócę!
O! ten to człowiek jeszcze dotąd widzi —
A to, co widział, pewnie Bogu powie.

Raz się już zbiegli z miasta nawet Żydzi,
Żydówki, ludu wszelakiego mrowie,
Bo się rozniosło, że my bardzo głodne.
Już od trzech godzin mokniemy w stawisku,
W gliniastych mułach i w traw wężowisku
Grzęznąc — zielone, jak grynszpany chłodne.
A krzyki „pastoj!“ na tych, co na łodzi —
A krzyki na nas: „która z was przechodzi?“
I znowu krzyki na łódkarzy: „tiahni!“
A sznur się prężył i naszymi głowy
Pluskał po wodzie... Do swego Jehowy
Wrzasnęli wtedy wielkim krzykiem Żydzi,
Myśląc: usłyszy, jeżeli nie widzi!
Dobre Żydziska, dobre Żydowice
Lamentowały — aj waj! bijąc w łono,
Nu! one głodne, pomarzną, potoną,
Nu! a gdzie Pan Bóg — a gdzie błyskawice?
Czemu nie biją?.... Słuchaj, gdy, bywało,
Te Żydy lament okropny zawiodą,
To serce moje, ot tak aż skakało!
O tak! skakało me serce pod wodą;
Bo ci powiadam, że są jakieś czary
Dziwne w modlitwach nawet obcéj wiary;
Chwyta cię obca, jak matczyna ręka,
Łzy w oczach stają i coś w sercu pęka.
Biedne Żydziska —

Raz taki był lament
I taka niby muzyka wspaniała;
Ja z wody, zda się, że święty sakrament
Widzę na niebie, takem rozjaśniała;
Wtém woda plusła nagle i zalała
Jednę mniszeczkę... Powiadam ci, smoki
Te sznury czarta — biły wód zwierciadło,
I jedno moje dziecko o dwa kroki,
Jedno maleńkie dziecko mi przepadło!
Krzyknęłam i mróz przeszedł mi przez kości,
W takiéj to wszystko stało się cichości;
Nikt nie obaczył — a choćby widziano,
Nikt by nie skoczył z ratunkiem pod wodą;
Żywot tam ludzki tyle szacowano,
Że my już nawet nie byłyśmy trzodą;
Czy ktore pomrą, czy które utoną,
Nikt nie dbał — głów już naszych nie liczono.

Wyznam ci teraz, że mnie potém zgonie
Strach wziął i zgroza dla ludzkich bezwstydów;
W około czarne, ołowiane tonie,
Tam gdzieś pisk popów—a tam gdzieś wrzask Żydów;
A tu podemną trup—nie wyszła dusza!
Może swe oczki we krwi jasnéj kąpie;
A mnie tu ciągną daléj za obróżę,
Co krok to może na biédną nastąpię,
Może nastąpię — oczy tylko mrużę,
A ona gdzieś mnie, ach! za nogi trąca,
Zimna — jak z wosku biała — i świécąca...
O strach! a tutaj ciągle prężą sznury,
Ciągle nas wloką w głąb i krzyczą; „tiahni!"
Już tylko nasze na wodzie kaptury
Jak stado kaczek — już noc na otchłani,
Już jakieś dziwne czerwone chmurzyska
Nachodzą na tę mękę tak okrutną,
A tak mi zimno, głodno — a tak smutno,
Że ot już chciałem pożreć te sznurzyska
Tam, i na poły niemi zadławiona
Buchnąć w tę wodę, przepaść, jak zginiona...
W oczach już moich niebo nie świéciło,

Żadnego blasku, łez żadnych nie było;
Już ogłupiałam — myślę tylko o tém,
Jakby się zalać wodą, najeść błotem,
Bo taka głodna byłam, tak pożądał
Mój głód chociażby maleńkiej okruchy,
Że mi aż z oczu ognisty wyglądał;
Tak się łamały we wnętrznościach duchy,
Jak ci czartowie, węże z krwawą twarzą,
Które pod krzyżem z ciał ludzkich wyłażą...
Wtenczas już widok okolicy dzikiéj,
Naszéj męczarni, błotnisk, pławby, popów
Poruszył nawet i Żydów i chłopów:
Powstały głośne przekleństwa i krzyki.
I raz Żydówka jakaś na brzeg bieży,
Obwarzankami złotymi świécąca,
Jak matka wpada, rozrywa żołnierzy
I karabiny w koziołkach roztrąca,
Dészcz poszedł srebrny, pył jak z kopca śniegu
Z tych karabinów rozbitych, a ona
Już nad nami, już na samym brzegu,
Obwarzankami złota i czerwona
Podniosła ręce — i tak jak żniwiarka
Tych obwarzanków nakryła mnie snopem...
Ja wtenczas, jako Noe nad potopem,
Kiedy pod tęczę już wchodziła arka,
Podjęta szczérą téj kobiety troską
I zachwycona jéj myślą matczyną,
Ujrzałam, mówię tobie, Matkę Boską
Jakby nad całą już polską krainą!
I z wód podniosłam ku niéj moje dłonie,
Krzycząc: O! Polskę moję całą ratuj, złota!
I do niéj wzniosłam dłonie, jak sierota,
W tych obwarzankach, jak w złotéj koronie.

Odtąd nie śmieli już więcéj biskupy
Otwarcie czynić z nami takiéj hecy,
Ale w klasztorze, jak na dnie fortecy,
Dręczyli żywe i chowali trupy.
Ku mnie zaś siła przystąpiła boża
I odpędzała odemnie te katy;

Możem zeświętła tą koroną zboża;
Może przez moje bolesne stygmaty —
Nie wiem: lecz pop już uciekał przedemną,
A uciekając sztyletował wzrokiem.
Bywało, kiedy w korytarzach ciemno,
To mój krok bywa najgłośniejszym krokiem
A chody popów, jak wężów szelesty;
Tu i tam ślepie migocą i chresty.

Nareszcie dolne nam oddano cele,
I tam już, same, w głodzie zostawiono.
Dwa garnce grochu, bywało, ja dzielę,
Wawrzecka sagan stawia i groch warzy.
A mój braciszku, nie tłusto i słono
Jadłyśmy!... ale było nam do twarzy,
Bośmy utyły na suchéj grochówce
I były silne, jak aniołów hufce...

I zaraz wszczęy się jakieś narady,
Co czynić — czego próbować?...
. . . .

Na tém stanęło: że my trzy najzdrowsze
W poselstwo wielkie pójdziemy do świata;
Niektóre chciały czekać wiosny, lata,
Lecz my, na wiatry duchy najsurowsze,
Jak stare Polki, zaraz ruchu chciwe,
Pozapalane w ogniach, niecierpliwe,
Ciągle, bywało, kręcim z koszul sznury,
Ciągle gadamy: jak, co, gdzie i kiedy?
Wtém raz mnie jeszcze Bóg w popów pazury
Dał i wybawił, jak owieczkę z biedy.

Pod wieczór idę po wodę z saganem,
A prawdę mówiąc, to wyszłam na zwiady.
Patrzę, przy pompie sam Biskup z polanem —
Choć grozą jasny, lecz jak papier blady.
Przy nim popiska, krwią po rękach ciekną,
Kije czerwone — znać, że kogoś bili —
Kręcą się — szemrzą, czasem sobie szczekną,

Chodzą, jak gdyby głowy potracili.
Zbliżam się cicho — aż widzę Unitów
Księży — pod pompą, z krwią jeszcze na brodzie.
Nadzy — już leżą jak trupy na lodzie,
Czarniejsi od tych lodowych błękitów!
Patrzę — co? a im woda na łby ciecze
I marznie — że tak poranione głowy,
Jakby zamknięte w puhar kryształowy,
Skrzą się — a brody twardnieją, jak miecze.
A nie słyszałem jęku, ani krzyków,
Tylko te ruchy straszne spazmatyków.
A Bóg uczynił z nich okropną zjawę,
Że stali, jako wielkie trupy — złote
I poplamione sińcami i krwawe —
Niby przysłani na ciemne podwórze
Jacy okropni Aniołowie-Stróże.
Daruj — lecz widząc te święte osoby,
Rzekłam: czy to wy, o biédacy głodni,
Coście w tak skrzące powchodzili groby,
Że mi jesteście tu nakształt pochodni?
Mówcie: ja wasze poniosę żałoby
Na świat — jasności, złotych trumien godni!
Bóg też wspomionął na pokorną cnotę
I oto wam dał takie trumny złote.

Tak ich żegnałam — a postanowiłam
Mniszeczek moich nie jątrzyć boleścią,
Ale aż na świat pójść z taką powieścią,
Aby świat wiedział, skąd idę, gdzie byłam,
Jaka swawola w popach wyuzdana
I jak katują wierne sługi Pana.

Wreszcie nadeszła ta noc pożądana,
Że cała ciżba popów, czernic pjana
Padła, snem cięžnim zjęta, jak ołowiem.
Wszyscy morderce! Toż jednakże powiem,
Że jedna z czernic dobre serce miała,
Często ukradkiem do się zawołała,
A dała grochu, soli albo kłosów.
Patrzaj — mam jeszcze od niéj krzyżyk włosów.

Ta jedna, sądzę, przeniknęła skrycie,
Że nam obmierzło już w niewoli życie,
Że już ot wolność nam w naradach wschodzi,
A nie wydała — niech jéj Bóg nagrodzi!

Otóż, wylazłszy po drzewach na mury,
Prędko skoczyłyśmy aż na dół z góry.
Wiatry nosiły nas — i zwolna kładły,
Bcśmy z trzeciego aż piętra upadły.
I zaraz, jako ptaki przestraszone,
Śnieg otrzepawszy z odzieży jak piérze,
Każda'śmy poszły szybko w inną strone,
Myśląc, że gonią popy i żołnierze.
Nic nie pamiętam, czy skrzypnęła brama,
Czy téż duch jaki pędził strachu dłonią:
Ale sądziłam, że mnie wiatry gonią
I już dwie mile jak wiatr biegłam sama.
Tu się zaczęła nowa dla mnie męka.
Gdzie iść? — nie znałam ni drogi ni strony,
Przez trzy dni w lasach jadłam tylko szrony,
Dziwiąc się biédna, że ptaszków piosenka
Tak tam wesoło w lesie dzionek wita.
Ja mędrsza bardzo od ptaszków kobiéta,
A taka smętna . . . . . .

Weszłam nareszcie raz do jednéj chaty,
Gdzie nakarmiła mnie dobra niewiasta;
I obaczywszy na mnie siwe szaty,
Spytała: pewnie na odpust do miasta,
Matko? — Ja skłamać nie śmiałam wyraźnie,
Bojąc się wtenczas bardzo Pana Boga;
Co tu rzéc? smutek objął mnie i trwoga.
Ona mówiła do mnie tak przyjaźnie,
Pocałowała mnie jak matkę w ramię,
W imię przyjęła boże... a ja skłamię?
Wszakże już w myśli pełna tego dymu,
Który ćmi oczy, gdy duch w mocy wzrasta,
Wspomniałam sobie, że idę do Rzymu,
I rzekłam: idę na odpust do miasta.
A Bóg mi zaraz wynagrodził trwogę;

Bo ta kobiéta rzekła: to nie blisko!
I zaraz miasta mi dała nazwisko
I powiedziała jak najbliższą drogę;
Wszystko dar boży......

Potém o trzy mile
W lesie idącą spotykam kobiétę.
Ta się tak do mnie uśmiechnęła mile,
Że w tym uśmiechu serce, jak odkryte
Serce na dłoni. Z tą ja w rozhowory, —
A ona: wiész ty, co słychać w Dziedziołach?
W strachu są wielkim podleśne klasztory —
Popy biegają tu po wszystkich siołach
I rozsyłają po drogach opryszki
Łowić ubiegłe trzy Polaczki mniszki.
To słysząc, z twarzą już bólem cierpliwą
Rzekłam: a czy już którą ułowiono?
A ona: pędząc żołnierze tą stroną,
Znaleźli przy mnie jednę, lecz nie żywą.
Mówią, że sama najstarsza, u ścieku
Jednéj rzeczułki leżała śród mostu.
Ot może tego, matko, jak ty wieku,
Z twarzy do ciebie podobna i wzrostu.
Właśnie gdy dońce stali przerażeni,
Nadbiegła w pogoń Biskupa kolaska.
Wysiadł i krzyknął: że to sama Ksieni,
Sama klasztoru Ksieni Mieczysławska,
I kazał ściérwo rzucić do strumieni.
Proszczaj! — I ścieżką poszła w głąb pustoży. —
Za odchodzącą patrząc w sosen cienie,
Rzekłam: to boskie było ostrzeżenie!
To anioł boży!
A ten trup zaraz mi zastąpił w głowie;
Bo myślałam, że się on nie rodził,
Lecz go rzucili z nieba aniołowie;
Że Bóg nim drogę goniącym zagrodził.
Odtąd już śmielsza szłam aż do granicy,
A jeszcze Bóg mnie raz tylko spróbował:
Taki mróz spuścił, że aż ze źrenicy
Krew szła. Gdzie spojrzę, lasy — drwa na pował,

Ale zapalić nie ma czém ogniska.
Skostniałam — chleba nie miałam okruchy...
Wtém patrzę: jakieś przy lesie pastuchy
I niespędzone owieczki z pastwiska.
Wolałam ludzi uniknąć tą razą,
A u tych owiec rozgrzać moje ciało;
Jakoż się mnóstwo matek nazbiegało
I na me nogi zimne jak żelazo
Kładły swe ciepłe łona, swe kożuchy,
Tak, że ja tymi niewinnymi duchy
Byłam ogrzana od nóg aż do twarzy
I uzdrowiona, jakby przez lekarzy.

— I tu umilkła — w górę tak patrząca,
Żem ujrzał srebro białego miesiąca
I tę zalaną radosnymi łzami
Wpatrzoną w miesiąc między owieczkami.
O! cudnie polski otwiéra nagrobek
Ten nowy pańskiéj męczennicy żłobek!

— To wszystko... Teraz tu, biédaczki moje,
Oto widzicie, jestem z wami, stoję
Gotowa, chociaż jeszcze trochę chora,
Gotowa, mówię, iść na powrót w drogę...
Tylko się spieszcie, dziatki — bo dziś pora,
Dziś... więcéj mówić wam teraz nie mogę!

To jest historya cała mojéj męki
I całéj téj biédnéj podróży.
Widzisz, kto Panu swemu wiernie służy,
Ten się dobywa cały z katów ręki.
Tu jestem z wami — lecz ci wyznam szczerze,
Że chciałabym się już dostać do Rzymu;
Tu wszyscy dobrzy, mam kadzideł, dymu,
Ale nie dzwoni serce, gdzie uderzę.
Przychodzą jacyś... jakby dziś z puchówek
Powyłazili — warzeni w dekokcie.
Patrzą, trefionych przekrzywiają główek,
Wzdychają w niebo i czyszczą paznogcie.
Słuchaj — ja prosta jestem, poraniona...

O! gdyby tu téż gdzie jaka serdeczna
Z doktorem swoim poważna matrona,
Z dziećmi... ja dzieci lubię, jestem grzeczna...
Nie! — wczoraj jakaś — słodka, jak patoka,
Z migreną w głowie, z bólem w każdym członku,
Hrabina... tak tu spojrzała z wysoka,
Jak gdyby miała sakrament w pierścionku.
Ona tam może bardzo Bogu miła;
Lecz szczebiotała o Świętych, jak sroka,
A oczki żółte, jak prążki mrużyła.
Wstałam — choć jeszcze na tę nogę chora;
A ona mi co? — po francusku gada
I prezentuje swego konfesora,
Młokosa, mówiąc, że dobrze spowiada...
Ot drugi raz mnie weź, w łańcuchy okuj,
A z tymi tutaj ludźmi daj mi pokój!
Ja chcę do Rzymu — —

Rzekłem: o mistrzyni
Bolesnych tonów, czarownego rymu!...
— Zakryłem oczy — Matko, jedź do Rzymu,
Jedź! twoje słowo może Rzym uczyni...
Lecz teraz ujrzysz na świętéj fortecy
Wyżéj złoconych tyarą krużganków
Błyszczące widma — by świętych młodzianków —
Pozastrzelane nikczemnie... przez plecy.
Ujrzysz ohydną wszędy cześć bałwanów,
Ujrzysz męczeństwo straszne ducha światów...
Może się spotkasz z ojcem twoich katów
I dasz mu piérwszy krok — do Watykanów!...
A jeśli krwawéj nie ustrzeżesz duszy,
A dasz ją jako wosk w tych ludzi ręce:
Królową ducha nam wyszłaś po męce,
Umarłą wyjdziesz po tamtéj katuszy!
Albo jeżeli cię znowu gorąca
Dusza, jak matkę porwie z téj mogiły,
To się uczujesz bez łez i bez siły!
Jeżeli święta — to już chyba klnąca...
Żegnaj — —

A ona swe oblicze blade
Wyszkliwszy na mnie: i gdzież ja pojadę?!
A ten krzyk taką był wielką rozpaczą,
Że przy nim jednym — tamte tylko płaczą.

TRZY FRAGMENTA Z POEMATU

PAN TADEUSZ (?) [1].

I.

. . . .

Wielkimi gromadami — przez bramę do sieni
Wchodzą strzynadle [2]) złote i gile w czerwieni,
A nawet ów dziw lasu, tak rzadko widziany
Halcyon, a na Litwie zimorodkiem zwany,
Który czasem strzelcowi pokaże się w borach
Przez mgłę gałązek — niby w anioła kolorach,
Nad zwierciadłem przełomki — piękny i błyszczący,
Jak anioł, w równi złote skrzydła trzymający —
Nawet ów ptak pięknością zaklęty — i dziki
Zbłąkał się i nad domu zleciał gołębniki,
A potém nad sadzawki, w ogrodzie kopane,
Gdzie leszcze, karpie, pstrągi pięknie malowane
Wojski kazał powpuszczać.... ów ptak z jasnym grzbietem
Poleciał — i bił w ryby dzióbem, jak sztyletem.
Słowem wszystko, jak gdyby szukało uchrony
U człowieka, ciągnęło z lasów..... Smętne wrony
Zaludniły podwórze..... obozem się mieszczą

---

[1]) Z autogr. druk w „*Warcie*“ z r. 1881 Nr. 355 str. 3547 gdzie dodano następujący przypisek: »Jaki tytuł właściwie poeta chciał dać poematowi, z którego trzy tylko szczątki ocalały, nie wiadomo. Nazwaliśmy go na domysł *Panem Tadeuszem*, ponieważ w pozostałych fragmentach wchodzą: Wojski, Telimena, Zosia i Soplicowo. — Rzecz szczególna, że poeta brał sobie motywa z Mickiewicza, bo i o Wallendrodzie rzecz obrabiał dwa razy dramatycznie, a raz nadto jeszcze w niedokończonym poemacie.

[2]) Strzynadle, tyle zapewne co nasze trznadle. *(P. Warty)*.

W topolach — gdzie pod wieczór wichrzają się — wrzeszczą,
I pod zorze gną czarną drzew obdartych głowę —
Wojski mówi, że wiodą swe sprawy sejmowe.
Tak ptactwem gadająca, choć mgłami ponura
Stała się ta litewska przemienna natura
Zawsze żywa — i z duchem ludzi zawsze zgodna,
Dobra — nie martwa — chociaż skościała i chłodna,
Właśnie jak Litwin, który śród świętych przymierzy
Skupił się w sobie — stężał — niby trupem leży,
A jednak pełny życia — i wielkiéj pamięci,
Gdy mu wróg wbiegnie — on go niby wąż okręci
Od nóg po pierś — pierścienie swoich wieńców skróci,
Rozwinie się — i trupa z objęcia wyrzuci.

. . . .

II.

. . . .

Ów to dwór Soplicowo, gdzie historya nasza
Odbyła się pod tchnieniem boga Boreasza
Inne wdział szaty, twarzy zupełnie odmienił —
Ów las topoli już się więcéj nie zielenił.
Dziedziniec — gdzie bławatki, cykorye i maki
Barwiły się, jak szalów indyańskich szlaki,
Teraz biały, wczorajszą zasuty zawieją,
A na nim ścieżki świeżo deptane czernieją
Od folwarków do dworu — od stodół do gumien —
Wszystko smętne, a domy stoją nakształt trumien
Na podwalinach.
Wszystko zamarło od czasu.
Z daleka ciemna wstęga sosnowego lasu
Sciemniała — widać przez las błękit bitéj drogi —
Wiatr przez nią leci — sosny jak litewskie bogi
Chwieją się — jodły siedzą, śniegiem przywalone —
Gdzieniegdzie drzewko ścięte — jak cegły czerwone
Poukładane w stosy.... inne do trójnogów
Podobne, jak ołtarze dawnych Litwy bogów,
Czerwienieją po lesie — osmętnione mgłami,
I sosen tak nakryte liściem — jak chmurami. —

O zimno! twoję piękność smętną — uciszenie
Lasów — i rzadkie słońca złotego promienie
Czuję dziś.... nakształt czaru i nakształt uroku,
Który wszystko ucisza.... i pod śniegiem chłonie. —
Z miłością-bym więc ciche zamieszkał ustronie,
W okrąg którego puszcza czerni się bezbrzeżna,
A nad nią we mgłach błyszczy Matka Boska Śnieżna.

W Soplicowie — choć już się zbliżały zapusty,
Zjazdu nie było — dom był cichy — prawie pusty.
Wczora właśnie — francuskie oficerstwo starsze,
Które wtenczas przez marsze i przez kontramarsze
Włóczyło się po Litwie z armią dowozową,
Opuściło gościnne zawsze Soplicowo.
. . . .

III.

. . . .
Noc była — wietrzna, śnieżna — a wichry śpiewały
W kominach swoje zwykłe płaczące chorały. —
Kobiety.... przy dwóch świecach — w bawialnym pokoju
Siedziały przy robótce, w zaniedbanym stroju,
Same jedne — wizyt się w domu swoim żadnych
Nie spodziewając — dla mgieł i czasów szkaradnych,
Gdy nagle przed oknami — jak świst, grzechot węży,
Zaszumiał przeraźliwie straszny brzęk uprzęży —
Straszny dla domu łoskot — z którym zwykle jadą
Sanie ogromne, liczne — tak zwaną szlichtadą,
Z napaścią, która domy półsenne odurza,
Jak napaść zbójców.... Taka przyleciała burza
Na dziedziniec. — Zlękła się Telimena mocno,
Spojrzawszy na szlafroczek i na odzież nocną —
Spojrzała przez okiennic szpary — a śnieg złoty —
Pełno kagańców; — bieży — zrywa papiloty,
W oczach widać, że straszne zobaczyła mary,
Lecz nie brzydkie.... krzyknęła do Zosi: „huzary!“
I uciekła.
Tymczasem wchodzi do pokoju
Człowiek niewielki wzrostem, w podróżnego stroju;

Sądziłbyś, że cywilny — gdyby nie miał szpady
Pod pachą — dosyć piękny na twarzy — i blady
Mimo zimna. Twarz była jak marmur niezmienna,
Owszem — rzekłbyś, że bielsza od mrozu — promienna,
Jak miesiąc złota.... Oddał lekki ukłon Zosi,
Ona się zlękła — oczy spuszcza — nie podnosi,
Nie śmie.... stoi jak posąg — a w sobie rozważa,
Czy ma uciec, czy zostać — poznała cesarza
Napoleona.....

. . . .

USTĘPY

Z PRZEKŁADU ILIADY HOMERA.

I.

Z PIEŚNI PIERWSZÉJ.

(od wiersza 1—492).

Achilla gniéw — i klęski zeń spadłe na Greków
Śpiéwaj, bogini, bogów śpiewaczko i wieków:
Gniéw śpiewaj, który w ciemne piekło zaprowadził
Tyle dusz, i przed czasem tylu męży zgładził,
Na polach trupem całe położył zastępy,
Psy zwołał, i na ciała rzucił czarne sępy,
Przed losem i przed bożym upokorzył tronem,
Naprzód Achilla z czarnym skłóciwszy Memnonem.

Powiédz, w jakiéj nieszczęsnéj godzinie poczęta
Tylu nieszczęść przyczyna, ta kłótnia nieświęta?
Za jaką się swojego kapłana urazę
Mścił Apollo, okropną zwaliwszy zarazę
Na Greczyna obozy, tak że niesłychany
Był mór, i z trupów całe urosły kurhany?
A to wszystko, aby król krzywdzący kapłany
Ujrzał się sam — w cierpiącym ludu ukarany.

Stało się tak, że Chryzes, kapłan Apollina,
Któremu wzięta była przez Greki dziewczyna,
Jedynaczka, najmilsze dziecko, córka droga,
W płaczu wzniósł naprzód ręce, niosąc je do boga,
A potém się przed ludźmi rzucił na kolana —
Postać ojca, a w laury kapłańskie ubrana,

Wlokąc się z upodleniem i żebraczym wstydem
Za wszystkimi, najgłośniéj krzycząc za Atrydem:

„O królе! o hetmany, wołał, niech wam Bogi
„Miasto upokorzone położą pod nogi!
„Niech wszystko podług myśli wam zdarzą i dadzą,
„I cało do ojczyzny miléj doprowadzą;
„Ale niech stąd z próżnymi rękami nie idę!
„Oddajcie mi najmilszą córkę — Chryzeidę,
„Jeżeli nie z litości: złota wam odważę —
„Weźcie, lub was przed słońca obliczem zaskarżę...“

Krzyk był Greków i prawie jednomyślna zgoda,
Aby mu wrócić dziecko; lecz ojciec naroda,
Agamemnon, król dumny, w brance rozkochany,
Odepchnął klęczącego starca przed kolany
I rzekł: „Precz stąd, żebraku! włóczęgo i szpiegu!
„Precz od greckich namiotów i srebrnego brzegu!
„Jeżeli dbasz o głowę i o kości stare,
„Precz stąd — ani mi ufaj w święconą tyarę,
„Ani myśl, że na Bogów twoich zadrżę wzmiankę.
„Twoję córkę, a moję dziś miłosną brankę
„Chowam — skłonioną mojéj potędze i woli —
„Aż ją czas... uwiędniałą na licu wyzwoli
„Z moich objęć i w korną służącą zamieni,
„Płeć pozbawiwszy bieli — a oko płomieni.
„A wtenczas... to dziś dziewczę kochane i młode
„Poślę do Argos... płótno myć i nosić wodę.“

Rzekł; i kapłan milczący z pochyloną głową,
Smętny, do serca rdzenia rażony tą mową,
Odszedł... i brzegiem morza, gdzie o skalne ściany
Smętnie i głucho biły szumiące bałwany,
Szedł w myślach pogrążony, od świata daleki,
I tam, gdzie go nie mogły już usłyszeć Greki,
A bóg Apollo jeden ojcowskiéj się męce
Przypatrywał, do boga swego podniósł ręce
I zawołał: „O władco Smintu! urodzony —
„Stróżu Cylicki — z jasnéj i świętéj Latony!

„Ty, któremu Tenedu lud się kłania drżący,
„I tu i tam na moję ojczyznę świécący
„Boże! jeślim ja tobie z modlitwą i łzami
„Opasywał ołtarze lauru girlandami,
„Jeślim tobie ofiary składał, starzec biały,
„Puśćże teraz na Greków twoje wszystkie strzały!"

Tak się modlił; i zaraz ćmy sakramentalne
Opuściły Olimpu mgły i czoła skalne.
Sam Apollo — ognistym łukiem jak obręczą
Otoczony — w mgłach idzie, strzały na nim brzęczą
I smętną wróżbę niosą na doliny klęte;
Czoło boga ciemności chmurą obwinięte —
Pod nim flota, nad którą staje bóg wspaniały;
Łuk swój krzywy naciąga, srebrne puszcza strzały.
Naprzód muły oborne, i psy postrzelane
Padają, potém ludzie; powietrze rumiane
We mgłach ciężącą parą oddechy naciska —
Ciągły strzał szelest, ciągłe widać płomieniska.
Przez dziewięć dni i nocy trupy wożą blade,
Nareszcie dziesiątego dnia zwołują radę,
Na którą sprasza Achil, syn srebrnéj Tetydy,
Przez Junonę natchnięty, i tak na Atrydy,
Króle wyprawy, zaraz powstający z góry:

„Długoż tak zapatrzeni na Trojańskie mury
„Na tym fatalnym brzegu mamy podle ginąć?
„Nie lepiéj nam do miléj ojczyzny odpłynąć,
„Póki mamy do rudla ludzi i do wiosła,
„Niż czekać, ażby trupem zaraza wyniosła
„Ostatki ludu, Troi mieczem niewycięte?
„Wezwijcie też nareszcie jakie ludzie święte,
„Wezwijcie tu proroki: niech powiedzą, czemu
„Kazał nas Pan Bóg słońcu zarażać złotemu;
„A odkrywszy przyczynę, niech lekarstwo dadzą
„I snów się o to, z Boga idących, poradzą!
„A jeżeli to grzechy nasze temu winne:
„Pobijemy ofiarą barany niewinne,
„Cielce tłuste, a Boga łaskę ubłagamy,
„Że zdejmie te ze słońca i ciał sine plamy."

To rzekł i siadł; — a Kalchas, ksiądz grecki sędziwy,
Pan ofiar i rozlewacz przeświętéj oliwy,
Jasnowidzący starzec, któremu mogiła
Nigdy nic nie wydarła i nie zostawiła,
Bo przeszłości i całéj przyszłości był świadom —
Wstał — i trwożny, bo nie śmiał rycerskim się radom
Wręcz sprzeciwiać... takimi słowy odpowiedział:

„Achillesie, kochanku Bogów! gdybyś wiedział,
„Jaką na grzechy nasze Bogi patrzą twarzą,
„Przez co znienawidziły, za co morem karzą.
„Zadrżałbyś! Lecz po wiedzę tych rzeczy nie sięgniesz:
„Chyba mi tu na głowę i na miecz przysięgniesz,
„Że Co powiem, rozkrywszy tajemnicze światy,
„Choćby to obraziło króle i magnaty

. . . .
. . . .
. . . . [1]

To rzekł prorok; a zaraz się w Agamemnonie
Złość zapaliła: powstał na błyszczącym tronie,

---

[1]) Miejsce tu wypuszczone wpisujemy z przekładu, dotąd drukiem nieogłoszonego, przez Jana Zborowskiego:

Powiem, lecz przysiąż wprzódy, wodzu mężny,
Że mi i słowem i ręką dasz wsparcie.
Bo że przeciwko mnie stanie mąż gniewny,
Król możny Argów, tego jestem pewny.
Gdy na słabego mocny się rozjuszy,
Choć w czas gniéw strawi, z sobą go uniesie
I żywi póty, aż wyleje z duszy.
Powiédz, czy chcesz mię bronić, Achillesie?
— Kalchasie, Achil prędkonogi mówi,
Co wiesz, mów śmiało, daremnie się trwożysz;
Bo nikt, na Feba miłego Zeusowi,
Którego wzywasz, gdy Achiwom wróżysz,
Nikt, póki żyję i widzę, z Danajów
U naw ci czarnych krzywdy nie wyrządzi,
Ni Agamemnon, pan szerokich krajów,
Który się w wojsku być najlepszym sądzi!
— Ani, dla ślubów ani dla ofiary,
Rzekł wieszcz ośmielon, gubi nas gniéw Feba;
Lecz że znieważył Atryd sługę nieba,
Nie wydał córki i odrzucił dary:

Pociemniał... pierś charknęła — oczy zapalone
Jak u psa pokazały w gałkach skry czerwone,
I tak straszliwy stojąc, z błyskawicą w oku
Zawołał: „O przeklęty nieszczęścia proroku,
„Którego spróbowałem nędzny tyle razy,
„Wieczny wróżbiarzu nieszczęść — i plag — i zarazy!
„Jeszczeż i teraz język rozwiązałeś na to,
„Śmiały starcze, abyś mię z wojskiem i armatą
„Poróżnił?... aby znowu przeciw mojéj głowie
„Jęli wierzgać i bunty podnosić Grekowie?
„Patrz, co mówisz... widzicie sztukę tego dziada?
„Oto na mnie jednego całą winę składa!
„Oto ja gniewu Bogów winien — syn szatana!
„Za to, żem słonecznego obraził kapłana,
„Żem ku brance nachylon, uwiedzion pieszczotą —
„Nie chciał oddać niebieskiéj dziewczyny za złoto...
„Prawda! bo mi téż drogie to nieporównane
„Dziecko, sztuk umiejętne — białe i różane...
„Ani mię Klitemnestra, gdym ją brał dziewicą,
„Nie zczarowała taką wonią — błyskawicą,
„Jako ta, wzięta ojcu gwałtem panna biała;
„Wszakże... gdyby dziś sprawa nasza na tém stała,
„Abym ja miłośnicy téj ustąpił komu,
„Zgodzę się: niech ma ojciec! niech wraca do domu,
„Jeśli tego wymaga sprawa pospolita —
„Choć kochana, choć moja, choć mieczem zdobyta,
„Niech idzie!... Słusznaż jednak jest rzecz, mówcie sami,
„Abym ja jeden, pierwszy wódz i król nad wami,
„Miał utratę? i wszemu panując ludowi,
„Sam jeden próżne serce miał — i namiot wdowi?...
„Byćże to może, aby bez żadnéj nagrody
„Król został — i ponosił wszystkie wasze szkody?
„Krew wylewał — i królem był — a tak jak sługa?...

Za to nas chłoszcze okrutnymi razy!
I nie odwróci Feb od nas zarazy,
Aż bez okupu będzie odesłana
Ojcu dziewczyna z pięknymi oczyma;
Gdy Chryza stugłów wspaniały otrzyma,
Może gniewnego przebłagamy Pana.

„Nie, za tę brankę — Grecya musi mi dać drugą...
— Nienasycony! krzyknął Achilles, zgłodniały
Na łup! a więcéj branek łakomy, niż chwały!
Zajęty ciągle tylko zuchwałą grabieżą!
Myślałby kto, że wszystkie do ciebie należą
Dziewczyny i bogactwa, przez rycerzy krocie
Pojmane... wszystko twoje, co leży na flocie!
A my — sam dym łykamy tylko, paląc grody.
Słuchaj! — Jeżeli jakiéj, królu, chcesz nagrody
Od wolnych... bo ja wolny tu przed tobą stoję —
Jeśli więc chcesz, to czekaj, aż weźmiemy Troję.
Wtenczas i ty pożywisz się, miast obdzieraczu,
Wśród płomieni, posoki, i wrzasku i płaczu...
Na to zaś król: „To ja się mam obedrzeć z łyka,
„A ty nic nie dasz?... patrzcie tego wojownika!
„Że silny, to już myśli, że jakie półboże,
„Nad Greki Pan — nademną królem — wszystko może!
„Nie, mówię wam, a próżnych słów nie będę tracić,
„Za brankę mi musicie po królewsku spłacić,
„Odliczywszy mi za nią złota góry spore...
„A nie — to pójdę i sam któremu odbiorę
„Jego brankę!... nie patrzę, na którego przyjdzie,
„Czy Ajax czy Ulisses — czy ty sam, Pelidzie!
„Choćbyście się wściekali, nic to nie pomoże...
„Zresztą czas to pokaże... A teraz na morze
„Spuśćmy łódź i wybierzmy sprawniejszych wioślarzy,
„A potém tę dziewicę przecudownéj twarzy
„Który z was książąt przez fal poprowadzi grzbiety.
„Ulisses mi to zrobi — albo też król Krety,
„Albo Ajax... a może też lepiéj przystoi,
„Że sam Pelid — i siebie razem uspokoi,
„Podjąwszy się poselstwa, i Bogi ubłaga..."
Na to Achilles — stokroć chmurniejszy, niż plaga
Niebieska — do zachwianéj podobny kolumny,
„Tyranie! krzyknął, żółcią zaprawny i dumny!
Niewolniku łakomstwa własnego i zbytku!
Wiecznie tylko swojego patrzący pożytku,
Podły — a nam rycerzom włażący na plecy!
Nie wiem prawdziwie, za co my się bijem Grecy,
Dla czego ja sam twoje wypełniam rozkazy?

Wszak mi Trojanie żadnéj dalekiéj obrazy
Nie zadali... w spokojne mi państwo nie wpadli,
Żyt nie palili — koni na łąkach nie kradli...
Daleko stąd się pasły moje tłuste stada —
W cichym kraju, gdzie jedno sam brzeg odpowiada
Grzmotowi srebrnéj fali, złote żniwa stoją...
Dziś — ja sam nie wiem, za co szalony pod Troją
Ja — i wojska, krzywdami tylko tutaj płatne,
Nie za obelgi kraju, ale za prywatne
Krzywdy, zjechaliśmy się tu całe pół świata
Walczyć — za jakąś ot tam krzywdę twego brata;
Dotychczas nie zyskawszy nic dla siebie sami,
Tylko guzy i ciała okryte ranami,
Lub podłe fraszki, które trzeba było kupić
Krwią własną... I ty jeszcze i z tych mię chcesz złupić,
Z tych jeszcze?.. to, com dostał, całe ludu hordy
Wyrąbawszy — przez ogień i szable i mordy —
Tę okruszynę, co tak wygląda nikczemnie,
Tak mniejsza od twych łupów, jak ty sam odemnie,
Chcesz splądrować?.. Więc złoto do twego namiotu
Płynie — a ze mnie tylko morze krwi i potu?
Albo mi to oddają, czego wszyscy nie chcą,
I miłość własną próżném kadzidłem podłechcą,
Bo sam wyznaj, tak ze mną czyniliście długo...
Ale odtąd ja waszym niewolnikiem, sługą
Nie będę! Mnie do kraju flota odprowadzi,
A z Trojanami sobie Atryd sam poradzi".
— Na to rzekł król: „Uciekaj... z serca tobie życzę,
„Uciekaj, ja na ciebie bynajmniéj nie liczę,
„A na groźby też nie dbam, sercem się trwożę.
„Patrz, ilu tu rycerzy — Pan Bóg sam pomoże,
„A królestwu szwankować nie da i osobie!
„Nikomu tak nie cięży wyższość — ile tobie.
„Gdzie kłótnie, gdzie krew tryska, gdzie pożar wybucha,
„Tam ty — tam kąpiesz twego okropnego ducha!
„Silniejszyś jest od wielu ludzi — sam wyznaję,
„Ale i siłę — to Bóg człowiekowi daje;
„Więc uciekaj! — więc łodzie swoje kładź na wałach! —
„Więc panuj tam gdzieś sobie spokojnie na skałach!
„Ja ciebie zatrzymywać i prosić nie każę,

„Tyle twój gniéw, jak sobie twoję przyjaźń ważę:
„Jedź więc i Mirmidony twe trzymaj w pokorze!
„Ale tu — ja król — rządzę, panuję i trwożę.
„Ty ulegasz! i to wiédz, że gdy Chryzeidę
„Poślę, wnet do namiotu twego prosto idę,
„A choćby gwałtem — jeśli opór kto utrzyma —
„Wezmę ci błyskającą ciemnymi oczyma
„Bryskę twoję... Wtenczas to przeklniesz po sto razy
„Dumę twoję i skore do obelg wyrazy,
„ I pokażesz w osobie swojéj pełnéj sromu,
„Że nad króla nikt wyższy — jedno Pan, Bóg gromu...“
— Słyszący taką mowę Achilles skamieniał,
Drżał cały — na przemiany potniał i czerwieniał,
Pierś mu się podnosiła — wściekłość i rozwaga
Walczą w nim, jak dwie wiedźmy... Gdy pierwsza przemaga,
To oczyma jak ognia pieczęciami piecze,
Już już na króla leci, zda się, że rozsiecze —
I znowu go rozsądek gdy zimny zatrzyma,
Stoi... i tylko błyska po Grekach oczyma.
W takich burzach gdy lewą prawicę zacisnął,
A prawą dobył miecza wpół z pochwy — i błysnął,
Gdy już miał biéc, a cały zdawał się szalony,
Zbiegła z nieba Minerwa — z rozkazu Junony —
Równo sobie ważąca dwóch rycerzy losy.
Zbiegła i Achillesa porwawszy za włosy
Złote i rozwichrzone, wstrzymała w zamachu.
Nikt jéj nie widział — stała ciemnościami strachu
Otoczona, sam tylko patrzy się w anioła
Achil i widzi oczu płomieniste koła
Świécące na powietrzu ogniście, i woła:
—„Przychodź, Minerwo — ręce do ciebie podnoszę!
Patrz! co ja cierpię... patrzaj, co od ludzi znoszę!
Patrz na tego Atryda bez czci i bez wiary!
Przychodź, świadkiem bądź razem obelgi i kary“.
— Na to Minerwa: „Na to mię widzisz zjawioną,
Abym ci uciszyła gniewu pełne łono.
Poddaj się rozsądkowi i spuść się na Boga.
Juno każe... A to wiédz, że zarówno droga
Niebiosom gwiazda twoja, jak gwiazda Atryda.
Mógł łagodnie, miecz schowaj — na Trojan się przyda —

A zawierz mi niebieskiéj, która mą źrenicę
Niebieską wtrącam w złotą przyszłości świetlicę
I czytam jasno w przyszłéj życia twego zorzy;
Zawierz, że ci Atryda tego upokorzy
Czas i wypadki same — tak że przed namiotem
Ujrzysz go z pokłonami dla ciebie i złotem".
— Na to Pelid: — „Łagodność mi wlałaś do ucha,
O Minerwo! gniéw ciebie serdeczny posłucha,
A krzywdę swoję ludzką wam Bogom zostawi.
Kto Bogu, temu także Pan Bóg błogosławi...."
Rzekł; i pośród zdziwionych Greków — jak z kamienia —
Stał, patrząc ciągle w oczy miesięczne zjawienia,
Aż się cień boski w kręgi tysiączne rozprysnął
I wrócił w niebo. Wtenczas miecz do pochwy cisnął,
A sam ostatkiem gniewu wrząc, rzekł do Atryda:
— „Greków to wstyd i ziemi téj całéj ohyda,
Że cię nosi, straszydło z różnych jędz uwite!
Ty psie na twarzy, serce masz tchórzem podszyte!
Bo kiedyż cię widziano, podły, czego wartym
Gdziekolwiek— czy w zasadzkach, czy w boju otwartym?
Za tyłem zawsze wojska, jak szatan się wiłasz,
My giniem, a ty na śmierć rycerzy posyłasz;
Bo téż to łatwiéj włóczyć po obozie nogi,
Łatwiéj okradać swoich — niż obdzierać wrogi!
I gdyby nie to, że cię nam na karki wwiodły
Losy .. i gniew Jowisza, o łakomco podły,
Gdybym w Grekach swobodę znał i miłość bratnią:
To ta twoja obelga byłaby ostatnią.
Bo już... lecz zatrzymany tu byłem przez zmorę.
Słuchaj więc, oto berło na świadectwo biorę:
Na to martwe w niém drewno, na tę gałąź suchą
Przysięgam, że na jęki greckie zamknę ucho,
Że tak jako ta gałąź umarła zostanę
Wiecznie! na Styxu ognie przysięgam rumiane,
Na Jowisza tron złoty — na Olimpu chmury,
Że choćby tu z ciał waszych Hektor walił góry,
A z żył waszych lał morze i rzeki czerwone:
Nie przyjdę — choć wołany, na waszę obronę
Nie przyjdę! — a poznasz to wtedy, gwałcicielu,
Że człowiek jeden taki, jak ja, waży wielu;

Poznasz — w Trojańskich ci się to tarczach pokaże,
Ile ty wart, i wiele ja na polu ważę!“
— Rzekł; i z największym gniewem rzucił pośród Greków
Na ziemię berło, złote tysiącami ćwieków.
Rzekłbyś, że z garści rzucił złotymi gwiazdami —
I siadł — nie dbając, że nań król namarszczył brwiami.
A wtém dźwignął się z krzesła zwolna Nestor stary,
Pylijski król — szanowny i mądry bez miary,
Hamujący od dawna te rycerze szybkie.
Słowa mu z ust płynęły, jak miód, słodkie — lipkie —
Wnikające. Przy szmerze téj słodkiéj wymowy
Dwa pokolenia przeszły — on zaś Nestorowy
Żył wiek, a swe pylijskie dobrze rządził Greki
Przez dwa (i coś na trzeci zachodząc) półwieki.
Ten w obozie przez wszystkich starzec poważany
Wstał i zaczął z powagą, przez wszystkich słuchany:
„O! jaki wstyd dla Greków — pociecha dla Troi,
„Gdy tu pomiędzy wami rzecz publiczna stoi
„Od kłóteń rozerwana... O! jakże to smutnie,
„Że nam przeciwne duchy wsiały takie kłótnie!...
„Wy młodzi — wy najpiérwsi — we wszystkiém na czele,
„Na Boga! ten wasz ogień zagaście w popiele!
„Nie ważcie sobie lekce, co wam Nestor gada —
„Wielkim ja kiedyś królom byłem za sąsiada!
„Takich już nie obaczy ziemia. . Któż dziś śmiało
„Z dawną Pirotousza porówna się chwałą?
„Z Dryjantesem odwagą, wziętością z Kneuszem,
„A cóż rzéc z cudownikiem owym Tezeuszem,
„Albo choć z Polyfemem?.. Tych ja wyliczyłem,
„Z którymi niegdyś ściśle i przyjaźnie żyłem,
„Będąc młody — palący się ogniem krwi żywéj
„I uczciwą zazdrością ku sławie uczciwéj.
„Straszni to byli ludzie — straszne wojowniki
„I łowce, czy to poszli z oszczepem na dziki,
„Czy na potworne jakie w pustyni straszydła
„Wpadli, tnąc łby centaurom, smokom z ognia skrzydła.
„Straszni ludzie! a często jednak radę brali
„Odemnie — nawet mądrość pewną przyznawali
„Mnie młodemu... Bywało, ci bohaterowie
„Nieraz mówią: słuchajmy, co nam Nestor powie.

„Tożby się i wam także posłuchać mnie zdało...
„Królu, nie bierz mu branki! wojsko mu ją dało.
„A ty też, Achillesie, spuść nieco z téj dumy,
„Niech król będzie nad nasze serca i rozumy!
„Ty piérwszy — tam gdzie człowiek sprawę mieczem czyni,
„Bogom podobny siłą — urodzon z Bogini;
„On — powagą wzniesiony i godnością trwoży
„Nad wszelkie syny boże — nad wszelki lud boży.
„Złączcie więc razem, złączcie niezgodne umysły!
„Niech siła i powaga wejdą w związek ścisły.
„Ty, królu, pozwól, że ja Achila złagodzę,
„A ty sam swego gniewu sobie ukróć wodze.
„A Boże broń — takiego nam stracić rycerza,
„Jak Achil, piorun wojska naszego i wieża..."
Skończył i usiadł. — Na to król ludów odrzecze:
„Lata twoje sędziwe, z ust miód słodki ciecze.
Ale powiédz, kto tego uhamuje ducha?
Królami on pogardza, nawet praw nie słucha!
Mająż mu wszyscy starsi uderzyć kolanem — —
On ma być prawodawcą — i wszechwładnym panem?
Jemu wojsko — wodzowie — ja sam się pokłonię?
Któż zniesie taką dumę siedzącą przy tronie?
Czyliż mu tutaj siła za przywilej stanie,
Gdy — —"
Przerwał mu Achilles i krzyknął: — „Tyranie!
Mam za to, żem ci służył — żem wkładał na szyję
Twój łańcuch — nie zapomnę tego, póki żyję!
Żem dekretom bezprawnym ulegał, mam za to!
Idź i rozkazuj sługom — nie mnie, autokrato!
Weź Bryzejdę — choć mieczem zdobyta na wojnie
I przez naród przyznana — weźmiesz ją spokojnie..
Co do mnie, od spraw greckich ręce mam umyte.
Odtąd — walczyć nie będę za żadną kobiétę.
Tę oddam - Bogi każą zapomnieć urazy.
Ale ty się nie skuszaj na gwałty dwa razy,
Bo drugi raz ci tytuł króla nie posłuży
I twoja krew się na tym ot mieczu zakurzy!"
Na tém ustała kłótnia — zakończona rada —
I rozeszła się wodzów poważna gromada.
Achilles z Patroklusem do swoich namiotów,

Atryd zaś na brzeg idzie.... Tam wkrótce był gotów
Okręt o licznych wiosłach — na nim posadzona
Piękna Chryzeis — przydan od Agamemnona
Ulisses w przenajświętszym posła charakterze;
I cielce złotorogie w błagalnéj ofierze
Ofiarowane, niższe zaległy pokłady.
Więc rozwinięto żagle i przez błękit blady
Poszła łódź...
Agamemnon zaś sam przedsiębierze
Oczyścić wojsko — święte zaczęto pacierze,
Wotywy, wodozlania, opłókania boże.
Myje się lud — wylewa czarne męty w morze.
Skróś, jak brzeg długi, leżą poświęcone w darze
Cielce, byki — kamienne Apolla ołtarze —
Na nich ogień — i wstęga dymu czarnowłosa
Wonności miłe bogom unosi w niebiosa.
Gdy tak wojsko zajęte za świętymi prosi,
W Agamemnonie gniew się na nowo podnosi.
Przy nim dwaj heroldowie stali do posługi,
Eurybates zwan jeden, a Taltybiusz drugi.
Do nich obu król krzyczy: „Wraz mi do namiotów
Achilowych po brankę, jeśli dać ją gotów!
Jeśliby się zaś wahał — człowiek niespokojny,
Powiédzcie mu, że przyjdę ja sam po nią zbrojny...“
Z niechęcią wypełniając srogi rozkaz pana,
Idzie brzegiem heroldów para zadumana —
Przychodzą. Namiot widzą do głębi otwarty —
Rycerz siedzi ponury, cichy, o broń wsparty —
Oba stanęli cicho w milczeniu na boku,
Nie śmieją ust otworzyć, ani pomknąć kroku —
Spuścili laski — niby zgaszone pochodnie —
O! piękny wstyd... Achilles wstawszy, rzekł łagodnie:
„Przecz nie wchodzicie? czemu stoicie u proga,
Święci posłowie ludzi, a czasem od Boga.
Wchodźcie! z czcią i pokojem będziecie przyjęci.
Do was ja, starce, żadnéj nie czuję niechęci;
Wiém, co poselstwo wasze od króla mi niesie,
Wyście temu niewinni. — Spieszaj, Patroklesie,
Przyprowadź Bryzeidę! — Wy zaś, ludzie święci,
Zapiszcie to, co powiém, głęboko w pamięci,

A z branką razem rzućcie to królowi w oczy,
Ten ślub: Że niech się Grecya krwią zraniona broczy,
Niech ginie, niech z całego obędzie się ciała,
Z krwi wysączy — to Achil tu jak trup, jak skała,
Tu... I ten król wścieczony — ten ohydny zdzierca,
W przestrachu, bez rozumu nad wojskiem — bez serca,
Niezdolny sobie w żadnéj zaradzić potrzebie,
Zlęknie się i zrozpacza — wściekły sam na siebie...“
Rzekł. — A Patrokles brankę przyprowadził — Ona
Żałosna w uciszonym smutku pogrążona —
Idzie — pod ręce starzy heroldowie wiodą
Żałosne dziéwczę, brzegiem kręconym nad wodą.
Achilles także w próżnym nie został namiocie.
Idzie na brzeg najdzikszy — siada przy fal grzmocie,
W błękit oczy utapia i siedzi, jak skała...
Z tych to błękitów niegdyś jego matka wstała.
On też nad niemi — we łzach — serdecznéj goryczy
Siedzi i do krzyczących fal tę skargę krzyczy:
„O Matko, o Bogini rządząca tą wodą!
Oto ja syn twój, umrzéć przeznaczony młodo,
Pod takim smętnym losem miałem przecie prawo
Żywot mieć krótki, ale otoczony sławą!...
I patrz, co ze mną czynią Bogowie — co czyni
Ciskacz gromu — patrz, matko moja, o Bogini!
Tak-że to dotrzymuje Jowisz obietnicy?
Otom zhańbion wydarciem miléj niewolnicy,
Zelżony przez Atryda, pod obelgą jęczę...“
Słyszy to biała Tetys, gdzie w podwodne tęcze
Zanurzona w pałacach boga Oceana,
Słyszy i z fal wytryska tak niespodziewana,
Jak widmo z mgły; do syna po fali przybiega,
Pyta o troskę — prosi — miłośnie nalega.
„Zwierz mi się, mówi, bożku przesrebrnego lica!
Ja matka — ja najlepsza twoja powiernica.“
Na to Achil westchnąwszy: — „Wiadomo ci pewnie
Wszystko wiedzącéj Boży, Olimpu królewnie,
Żeśmy tu przypływając z naszą grecką flotą,
Zdobyli gród Apolla jasny — Tebę złotą,
Skąd zdobycz krwią żołnierzy i Greków czerwona
Była równo pomiędzy wodze podzielona.

W tym podziele dla Agi naszego Memnona
Przypadła, jak powszechna była na to zgoda,
Najcudniejsza dziewczyna — panna — Chryze młoda,
Boskie stworzenie, bogom ulana do miary...
O to się dziéwczę zgłosił ojciec — kapłan stary;
Z podarunkiem i królów téż ufając łasce,
Kapłan o złotém berle, w laurowéj przepasce
Przyszedł — starzec kurzawą okryty podróżną;
Chciał płacić — błagał — jęczał: lecz wszystko napróżno.
Choć za nim brat królewski mówił — choć zdaleka
Za tym ojcem przemawiał głos każdego Greka:
Wszystko napróżno! Atryd był na prośby głuchy...
Wtenczas ojciec ów, Boga swojego i duchy
Zaklawszy, to uczynił, że Bóg słońca mściwy
Szelestem strzał i jękiem powietrznéj cięciwy
W słońcu zaćmioném stanął, i wypuścił mory.
Wnet to odgadli nasze obozne znachory —
Wnet kapłan pojął krzywdę Bogom uczynioną.
Rósł gwar — ja sam kapłanom stanąłem obroną,
Zwołałem radę. — Na niéj nasz kapłan proroczy
Królowi jego winę prosto oczy w oczy
Wypowiedział. Wtenczas to ten monarcha w gniewie
Niehamowny, przez chuci spalony zarzewie,
Cóż czyni?... Oto Chryzę oddaje, a za to
Bryzeidę, co była moich ran zapłatą,
Moich namiotów światłem — porywa mi w złości
Przeciwko wszelkiéj wierze i sprawiedliwości
W obliczu Greków!... I gwałt taki krwi nie zrodzi?...
O! nie — Ty Matko, któréj białe skrzydło chodzi
Po niebieskich błękitach, gdzie jest gwiazdom droga,
Ty leć, ty nieś tę krzywdę syna przed tron Boga!
Wszak mi często mówiłaś, że Bóstwo czerwone
Piorunami... raz tobie winno swą obronę,
Gdy się przeciwko niemu — pod Olimp wysoki
Podniosły zbuntowanych aniołów obłoki;
Gdy sama Juno pawie skrzydła przeciw Panu,
I Duch mądrości — i Bóg straszny Oceanu
Podnieśli — zapalone straszną dumą duchy —
Gdy szli i Boga chcieli już okuć w łańcuchy:
Ty jedna, jeśli dobrze pamiętam... z otchłani,

Kędy leżeli twórce skał spiorunowani,
Wywołałaś straszydło dawno niewidziane,
Sturęczne, Bryjarejem na Olimpie zwane,
U nas zaś Egeonem... i duchów potopem
Pochwycony tron Boga, onymto Cyklopem
Podparłaś. Sam się Neptun cofnął przed tym chłopem,
Sama Juno — gdy on przez obłok różnotęczny
Zaczął swój ruch okropny, wichrowy, sturęczny, [1])
Cofnęła się — ukorzył się wnet Olimp cały,
Duchy się zlękły, Boga jednego wyznały,
Łańcuchy upuściły... To, matko, z zapałem
Powtórz, klęcząc przed Boga wielkim trybunałem;
Tą usługą — u kolan Boga położoną —
Skrusz go! niechaj na Greki spojrzy brwią zmarszczoną,
Niech je uciśnie!... Niech się ginącymi widzą!
Niech sobie tego króla, sprawcę nieszczęść, zbrzydzą!
Niech go samego wreszcie przymusi niedola
Spuścić głowę nad smętnią przegranego pola!
Niechaj krwawe — żałobne myśli go przymuszą
Wyznać się względem ducha mego — niższym duszą!...“
Na to Tetys: — „O! dziécię moje nieszczęśliwe,
Rzekła, a mówiąc, z oczu sypała łzy żywe,
Perły oceanowe — bogdajbym ja była
Nigdy cię przeciw sądom losów nie rodziła!...
Bo i krótko żyć tobie! i żyć taki smutek!...
Albo przynajmniéj, gdyby jakikolwiek skutek
Miały matki pacierze — a ty był na wojnę
Nie przyjechał, lecz w kraju życie wiódł spokojne,
Ani się znalazł pod tym straszym Ilionem,
Gdzie każda prawie chwila tobie grozi zgonem!...
A teraz — cóż ja mogę?... To jedno, uboga
Matka, że twe modlitwy zaniosę przed Boga,
Że dotrę do samego Jowisza na tronie;
A ty, synu — nic nie czyń! czekaj, stój na stronie!...
Jowisz teraz z Bogami odszedł nieba stropów,
I udał się na ucztę — aż do Etyjopów,

[1]) Ruch ducha, który broni Bóstwa, straszniejszy w siłach, niż Morze i Powietrze, Neptun i Juno. *(Przypisek Autora).*

Aż na kraniec ostatni gorącego świata,
Gdzie zwykle na dwanaście dni co roku lata
I widzialnie z duchami między ludźmi gości
Dla niesłychanéj tego ludu niewinności,
W któréj się dziwnie kocha. . Czekaj więc, aż z onych
Puszcz złotych — ludów czarnych — granitów czerwonych
Bogi wrócą na śnieżną Olimpu fortecę,
A wtenczas ja z prośbami twojemi polecę,
I one Jowiszowi samemu przełożę.“
To rzekłszy, odstąpiła cokolwiek na morze
Piękna Tetys — na miejsce skąd wybłysła była,
I w otwarte się fale zielone wrzuciła;
A one ją wieńcami kapiącego śniegu
Zarzuciły. Sam Achil został się na brzegu
Zrozpaczony — —
Tymczasem Ulisses przybywa
Do Chryzy — dna złotego kotwicą zarywa,
Żagle powiązać każe; potém ofiar stada
Wychodzą na brzeg — Chryzys ostatnia wysiada,
Wygnanka — w swe rodzinne wraca okolice...
Sam Ulisses przecudną prowadzi dziewicę —
Prosto z nią do świątyni Feba... gdzie ją stawia
Przed ojcem i w te słowa do starca przemawia:
„Witaj, święty kapłanie! w kościół poświęcony
Wchodzę jako suplikant od Atryda strony.
Nietylkoć bez okupu dziewczę twoje hoże
Wracam — ofiarę jeszcze na ołtarz przywożę.
Bóg daj, aby się anioł tém ubłagał biały
A przestał na nas ciskać morowymi strzały.
Rzekł; a ojciec przyciskał już dzieweczkę oną
Próżno odszukiwaną, boleśnie straconą —
Rozradowany. Greki zaś już ołtarz święty
Otoczyli tłustymi byki i skopięty,
Na ręce zlali wody przeczyste, lustralne,
Przygotowali słone placki ubłagalne,
Kapłan nareszcie w strasznéj wystąpił powadze,
Wzniósł ręce i niebieskie tak upraszał władze:
„Boże srebrnego łuku! o ty, który złotą
Cyllę napełniasz twoją świécącą istotą,
A na Tenedu fali zachodzisz i wracasz

I wyspę moję Chryzę cudownie ozłacasz:
Jeśli się to starego kapłana obrazy
Mściłeś, o Panie, takiéj rozsianiem zarazy:
Bądźże mu teraz łaskaw, gdy twéj łaski szuka,
Prosząc za ludźmi, a spuść twą cięciwę z łuka.“
Tak Chryzes prosił — wnet go usłuchał Apollo.
Tymczasem Greki zboże pomięszane z solą
Sypią ówdzie, gdzie rogi nosi byk wspaniały;
Bydłu głowy podnoszą, rzną — i tną w kawały,
Ze skóry łupią, cząstki najlepsze z łopatek
Oczyszczone, w słoniny srebrny liść i kwiatek
Ubrane, bogom święcą -- składają na stronie;
Kapłan staje nad ogniem świętym, wznosi dłonie,
Poświęca Bogu jadło woniące — ofiarne,
Obrzędy święte pełni — wino leje czarne;
Ogień za modlitwami w niebo czyste goni,
W około młódź w złocone instrumenta dzwoni.
A gdy się zadość stało przez człowieka ręce
I ogień, gdy łopatki i wnętrza bydlęce
Poszły ofiarą bogom będącym daleko,
Resztę mięsiwa Greki rozdzielają — pieką,
Na stołach kładą, równe między sobą dzielą,
Sycą głód — potém winem swe duchy weselą.
Stokroć czara obchodzi młodzieńców gromadę
I wraca. Pieśń nareszcie zakończa biesiadę.
Już słońce zaszło w mroczne, mgliste oceany,
A oni jeszcze ciągną długie swe peany
I wyciągają długie, smętne nuty z ducha —
Brzmi powietrze, Apollo przyzwala — i słucha.
Tę noc przy łodziach spali; lecz skoro różana
Jutrzenka nad błękity boga Oceana
Rozsypała swe róże, oni ze dniem wstają,
Żagle podnoszą — wiążą -- łódź czyszczą, zmywają,
Wiatr pomyślny napełnia żagle i wydyma —
Płyną — morze przed łodzią grzmi, pieni się, zżyma,
Nareszcie już Tenedos piaszczysty i złoty
Widzą i pomięszane z łodziami namioty.
Przybijają do brzegu — wyciągają nawę
Na piasek — sami idą zdać z poselstwa sprawę;
Weszli w obóz, z gwarną się pomięszali zgrają...

W Pelidzie zaś okropne gniewy nie ustają.
Pod namiotami swymi bezczynny się kładzie,
Ani go w boju widać, ani téż na radzie.
Żuje zemstę — na wiatr zeń idzie próżno siła,
Mgła go ognistych, czarnych duchów otoczyłą...

II.

Z PIEŚNI XVII.

(od wiersza 1—131).

Gdy tak trup Patroklusa zabity na ziemi
Pomiędzy zwyczajnymi leżał umarłymi,
Menelaj — piérwszy serce poczuwszy, przypada,
Staje przy trupie, tarczą złotą go zakłada,
Broni, a kopią w ręku miedzianą pobrząka.
Tak łani zabitego gdy widzi jelonka,
Matka biédna — przybiega i łzami go rosi,
Pyszczkiem dzieciątko swoje rusza i podnosi;
Podobnież i on — gdzie nań grad pocisków leci,
Stoi — i przy tym trupie, tarczą krągłą świéci.
Wtenczas syn Panteusza — ów co sławnie strzela —
I z trupa i z wiernego zwłokom przyjaciela
Urągowisko czyniąc, wybiega i mówi:
„Słuchaj! jeśli być nie chcesz podobny trupowi,
Ty coś stanął strażnikiem umarłego ciała,
Precz stąd! Jam zabił — Dla mnie z niego łup i chwała.“
W Menelaju się na to złość zagotowała,
Wzgarda wytrysła, podniósł do Jowisza dłonie;
„O! jak ty się tam musisz, krzyknął, śmiać na tronie!
Ty Boże na piorunach siedzący czerwonych,
Ilekroć się tu ludzie chełpią z dzieł kradzionych.
Lew w mocy taką dumą na kudłach nie wzbiéra,
Ani się tak najeża skacząca pantera,
Ani niedźwiedź — pastérskiéj przestrach okolicy,

Nie dmie się tak, jak próżni ludzie — śmiertelnicy.
Ale nad ludzi rodzaj gorzéj się napusza —
Bóg widzi — to potomstwo nędzne Panteusza.
Wczoraj jeszcze zgładziłem i zmiotłem ze świata
Temuto samochwalcy rodzonego brata;
Wczoraj Hyperenora te skrwawione dłonie
Wydarły żywotowi i ojcu i żonie;
A ty równego losu chcesz, próżna istoto?
Ha! jeśli tak, to dobrze, idź w Stygijskie błoto!
Idź — albo mi się celem nie stawiaj na oku
I mądry — póki pora — uchroń się wyroku!“

Na to Euforb: „Strasznymiś mi przypomniał słowy,
Że mi za krew braterską trzeba twojéj głowy
Że ojcu ona memu i brata się wdowie
Należy... Walcz, a sami osądzą Bogowie,
Któremu z nas fortuna zostanie i sława!“
To mówiąc„ cisnął włócznią. Ale ta niekrwawa
Po puklerzu wydawszy brzęk, na dół zleciała.
Atrydowi Jowiszem ojcem pierś nabrzmiała,
Uderzył — w gardło trafił — od razu zabija.
Świéci się wielką raną przewiercona szyja —
Wali się na wznak ciało — z mosiężnymi grzmoty
Upada — we krwi swéj włos rozsypuje złoty,
Kamionkami i złotą przetykany nicią —
Włos, który wodne nimfy z ulotną kibicią
Prawie mogłyby za swój wpleść w pereł korony —
Teraz na ziemi — w prochu i we krwi zbroczony!..
Tak w pięknéj okolicy, gdzie oliwne drzewko
Tańcem listków i kwiatów i ptaszęcą śpiewką
Wesołe — na błękitach jak wymalowane
Stało, od źródeł w ciągłą zieloność ubrane —
Wtém wionął wiatr z północy — a oliwka ona
Leży odarta z liści i wykorzeniona;
Już nie ozdoba, ale gościńca zawada...
Tak właśnie Euforb. Atryd ku niemu przypada,
Zbroję zdziéra — podnosi w górę — dumą płonie,
Pierzchają przed nim ludzi szeregi i konie,
Pierzchają, jako kiedy z gór królewskie zwiérzę,
Lew, schodzi — to zmykają przed nim psy — pastérze,

A on zwaliwszy wołu — łapami przytłoczy
I spokojnie w nim swoje białe zęby broczy
I tak bezpiecznie swoją zatrudnion zdobyczą,
Ani dba, że pastérze, psy i echa krzyczą. —
Wtenczasto już Appollo sam ujrzał, że pora
Pobudzić duchy — choćby samego Hektora.
Postać więc wziąwszy na się Hektorowi znaną
Menteja, stanął zdala mgłą wymalowaną,
Niby ów wódz Cykończyk, i krzyknął z daleka:
„Nie złowisz woza, który przed tobą ucieka,
Ani dogonisz z wiatru urodzone konie,
Przyzwyczajone jeno pod Achilla dłonie
Kark schylać. Próżno biegasz przez polne błękity!
Tu wróć — Troja pierzchnęła — Euforbiusz zabity,
Euforbiusz — pełny ognia — zabity na wieki —
Spartańczyk zabił — patrzaj, tryumfują Greki!“

To rzekłszy bóg, ulotnił swe mgły piękne, blade
I wmięszał się w rycerzy walczących gromadę.
Ale w ucho ścigacza Achillowych koni
Smętnie i przeraźliwie ten głos boga dzwoni.
Spojrzał, jedném spojrzeniem obleciawszy, zoczył
Euforba ciało, który na piasku się broczył;
Spartańczyka, że zbroją zeń obdartą błyskał,
Widząc, rzucił się — Trojan szeregi pościskał,
Ogrzmił głosem — jak Wulkan z nimi szedł, i szalał
I wiódł i ogniem całe szeregi zapalał.

Na głos Hektora Atryd wielki podniósł głowę
I taką z sobą samym rozpoczął rozmowę:

„Mamże teraz odbieżeć podle tego ciała,
Które tu za mnie ta śmierć nieszczęsna spotkała?
Mamże ścierpieć, że z mego przyjaciela zbroję
Zedrą? czy wziąć na siebie Hektora i Troję?..
Nie byłoby to — gdybym tak poczynał sobie —
Kusić Bogi, w Hektora stojące osobie?
Wszak zabić go nie w moim to stoi wyroku:
Przebacz mi więc, o Grecyo, jeśli cofnę kroku,
Ja, com się w boju teraz zmęczył i zadyszał...

Gdybym przynajmniéj gdzie głos Ajaxa usłyszał,
Gdybym go gdzie wynalazł! Snadniéjbyśmy razem
Obronili to ciało miedzią i żelazem
I Achillowym smętnym trupa łzom oddali"...
Rzekł; a już czas go naglił — Troja nakształt fali
Szła — Hektor sam na czele, za nim zbrojna tłuszcza.
Co widząc Atryd, ciało Patrokla opuszcza,
Cofa się walcząc. Tak lew z rozognioną skronią,
Gdy go krzykiem, strzelaniem od ściérwa odgonią,
Ucieka — ale oczy straszne w ludzi wraża,
Obraca niemi — strachem goniące przeraża.
Tak on... aż swe Spartany spotkawszy, na nowo
Postawił pierś ku wrogom — w krąg obrócił głową,
Przez chmurę pyłu ujrzał, jak wyniosłe drzewo,
Boską postać Ajaxa, szeregom na lewo
Stojącą, ociemnioną strachem, krwią zmazaną,
Pierś jego, która Grekom dzisiaj była ścianą,
Odwagę, z któréj ciągle szło w boju natchnienie.
Ku niemu król: „Ajaxie, błagam cię na cienie
Miłych, trup Patroklusa zastępuje niemy;
Chodź, zbawmy go od hańby — więcéj nie możemy —
Chodź — Achillowi wróćmy przyjaciela zwłoki!
One tam nagie — we krwi zwalane potoki
Pod Hektora nogami i urągowiskiem...
Chodź!" — Odpowiedział na to Ajax oczu błyskiem
W serce ruszony. I wnet oba wodze wściekli
Przez tłumy się walczących rycerzy przesiekli,
Nadchodzą... Hektor trupa już miał włosy krwawe,
Już go dać psom trojańskim przysięgał na strawę,
Już ciągnął, gdy ogromną tarcz Ajaxa zoczył;
Zadrżał — porzucił trupa — na wóz złoty wskoczył
I odjechał, a sługi wprzód wyprawił swoje,
By do miasta odnieśli Achillesa zbroję.

III.

Z PIEŚNI XXI.

(od wiersza 342—396).

Zaraz ją wysłuchawszy, duch elementarny
Błysnął złotym płomieniem, dym wyrzucił czarny,
Biegnie, zapala trupy — zwiędniałe wywędza,
Wodę w wrątek zamienia, w koryto odpędza;
A jako pod jesiennym Boreasza tchnieniem
Srebrzą się pola letnim spalone płomieniem,
Podobnie grunt się szary i kościami biały
Świécił w ogniu, już cały żałośnie zwiędniały.
Prędko po trzcinach płomień chwyta się, przelata,
Rzekę jakoby w pierścień ognisty oplata;
Drzewa się popalone węglem, prochem walą,
Lilije więdną — czarne tamarynty palą,
Cyprys w piramidalne zamienia się zgliszcze,
Ogniem dotknięta woda burzy się, wre, świszcze,
Zajmuje się płomieniem... w roztworzone płuca
Ryba chwyta powietrze, z wody się wyrzuca —
Znów nurtuje i zimna szuka w ciemnéj skale
I wywrócona, brzuchem wychodzi na fale.
Aż nareszcie duch rzeki sitowianą głowę
Podniósł, spojrzał ogniowi w oczy, schwycił mowę
Razem z krótkim oddechem i rzekł: „Ognia Boże!
Któż twoim płomienistym skrzydłom dotrwać może?
Słabszy — mdleję. Niech będzie los, niech Troja kona!
A ty zdejm ze mnie twoje ogniste ramiona“.

Rzekł; i znowu ogniowi będący zdobyczą
Zajęczał; wrą ukropy, fale kipią, syczą.
Tak ogień, gdy miechami ofiarnymi wzmagan
Otoczy pełny wody i tłustości sagan,
Obwija go tysiącem jasnych, złotych węży,
Jęczy sagan, wytryska para — w dymach cięży:
Podobnie woda ogniem Wulkana dotknięta
Huczy, wytryska, staje, zdębia się cofnięta,
Aż nie widząc ratunku sobie z żadnéj strony,
Ozwała się do boskiéj powietrznéj Junony:

„O Saturnina żono — ze łzami powiada,
Dla czego twój syn na mnie taki wściekły wpada,
Przeciwko innym Bogom niech używa siły!
Jeśli chce, niech ma z Troi gruzy i mogiły!
Ja się poddam pod twoje rozkazy książęce,
Lecz każ, niech zdejmie ze mnie te ogniste ręce!
Jeśli nie wierzysz, słuchaj duchowéj przysięgi:
Niech Ilijon otoczą te pożarne kręgi,
Niechaj wieżom porobią warkocze i włosy!
Ja się temu nie oprę; choć Bóg — uczczę losy“.

Ta prośba tak Junony poruszyła serce,
Że zaraz ognistego wstrzymała morderce.
„Stój, rzekła; za śmiertelnych ty nie walcz, archanioł,
Przeciwko archaniołom!“ — Ogień zaraz stanął,
A fale w spokojniejsze powróciły życie
I znów słodko zagrały w mruczącém korycie.

Gdy tak Junony wola uśmierza rozlogi,
Większym gniewem na siebie szły duchowe bogi.
Wściekłością zapalone na siebie wzajemno:
Wichrzą się — na Eterze od wzburzonych ciemno,
Pod ciemnością posępnym chmury biją grzmotem,
Daléj ziemia grobowym odtętnia łoskotem,
Walka pełna zawichru, huku i płomieni —
Jowisz pogląda z góry i twarzy nie mieni,
Puszcza los, a tymczasem drzewce piorunowe
Podniósł straszny bóg bitew — na wojny królowę.

„Coć, rzekł, szalona wiedźmo, do tego powiodło,
Żeś między Bogi nawet wniosła twoje godło?
Jestże to dziw, że twoim odurzony szałem
Człowiek na Boga godził mieczem i postrzałem?
O Tydeuszu mówię, który mi za wroga
Stanął i zaczerwienił dzidę we krwi Boga...“

. . . .

POETA I NATCHNIENIE.

FRAGMENT.

POETA.

Atesso!

DUCH.

Jestem; alem uciekała,
Bo mię ta dziwna pieśń w otchłanie niosła.
Wszak wiész, żem z tobą razem zmartwychwstała
I razem z tobą znowu razem rosła.
Wszak wiész, gdzie oliw czarny gaj i skała,
I srebrne ogniem ozłocone wiosła;
Wszak wiész, ta chata nasza bez zapory,
To falerneńskie wino i amfory

I w ścianach różne marmuru odłamy
I strumień, co tam w takt lutniowy ciecze;
Wszak ty pamiętasz — bywało, czytamy,
A ja Eschyla tobie rym kaleczę;
A gdzieś daleko na onyxie bramy
Słońce, na tańca pirejskiego miecze
Wzięte, przez liście cytryn się przeciska
I w oczy nasze zamyślone błyska.

Tam chór prowadzą młodzieńce na polu,
A tam z Hymetu księżyc biały miga...

POETA.

Dosyć, o duchu biały, bo mi z bolu
Znów serce pęka...

DUCH.

O! ten sen mnie ściga!

POETA.

O straszny boże burz, o ty Eolu,
Coś ze skał wiatry wypuścił na Fryga,
Dziś pomieściłeś wszystkie akwilony
W grobach i z mogił moich dmiesz szalony —

DUCH.

Spokojnie, o mój kochanku!

POETA.

Spokojnie!

DUCH.

Jesteś jak nimfa Echo.
Ja ci mówiłam po Farsalskiéj wojnie,
Że mak, co rośnie pod Greczyna strzechą,
Nie uśpi,... harfa, chociaż zagra strojnie.
Chociaż wesoło, nie będzie uciechą;
Że pamięć kształtów będzie w sercu brzydła.
Wtenczas wyrosły mi motyle skrzydła.

I poleciałam... gdzieś na jakąś górę,
Nad którą słońce w krwi, księżyc w zaćmieniu,
Męka, co całą męczyła naturę,
I krzyż na słońcu w czerwonym pierścieniu,
A ja... w te śmierci otchłanie ponure
Na moich skrzydeł tęczowym promieniu
Lecąca, jako dziś, patrz — upior blady,
Ja, piérwsza z różnych piękności Hellady...

Czemu nie patrzysz na mnie? o! czy żal ci
Mojego włosa... pełniejszego łona...
I ducha tego, co jak czarę kształci
Pierś... i pięknością oblecze ramiona?
Teraz patrz — wiatr mi kształt spokojny gwałci;
Gdy zadrżysz, jestem ja sama wzruszona,
Oczy się moje jak szafir kryształą,
Rany na nogach i rękach się palą...

POETA.

Rany twe płoną — widzę — szafir nocy
Ma z twoich strasznych ran cztéry pochodnie.

Pal się!... nie mogę żadnéj dać pomocy.
Tylko to powiém, że przez krew i zbrodnie
Szukałem ciebie, rosnąc w piękność mocy,
Która po twojéj trzyma niezawodnie
Najpiérwsze miejsce u samego Boga...
On wié, że w moim duchu nie miał wroga.

Lecz ty aż teraz, jak krzyż zapalony,
Przyszłaś, kiedy ja wichrem nieszczęść zbity
I tak jak sztandar kulami zniszczony,
I tak jako hełm Hektora bez kity,
I tak jak harfa, co straciła tony,
I tak jako trup w grobowcu odkryty,
Na bezlitosne wystawiony wzroki
I tak widzący swój zgon, jak proroki,

Walę się w prochu... Gdzie byłaś, siostrzana
Duszo, kiedym ja cierpiał? czy pod krzyżem
Z tęczowych twoich skrzydeł oberwana
Śmiałaś się, gdym ja stutysięcznym spiżem
Na świecie imię obwoływał Pana,
A sam, spędzany zawsze skrzydłem chyżém
Śmierci, musiałem nędzny grób rozrywać
I sam przychodzić i znów odlatywać?

Gdzie byłaś, gdym tu nareszcie za karę
I za ostatni los — z potęgą słowa
Wstał, słysząc w duchu jakieś wieki stare,
Których ogromna szmerność podgrobowa...

Duch.

Przy tobie byłam; przez powietrze szare
Snułam się cicho, jak wizya tęczowa;
Obłok nas jeden tylko dzielił cienki,
Taki łagodny, jako róż jutrzenki.

W dzieciństwie twojém samotna... a potém
Musiałam z większą liczbą mar przychodzić
Cicha — gwiazdowém uwieńczona złotem,
Smętna, że duszy twojéj rozpogodzić

Nie mogłam. Przestań już pamięci lotem
W dalszych się wiekach twoją myślą rodzić...
Patrz, jak w stygmatach piękna, w górne sfery
Lecę, ran niosąc zapalonych cztéry.

POETA.

Nad tobą wyżéj...

DUCH.

Co?

POETA.

Trzy milijony
Słońc i duch jakiś...

DUCH.

Co? posłaniec boży?

POETA.

Tam głębszy szafir — z pod słońca korony
Na trzech obłokach niby lekkiéj zorzy
Jak jaka srebrna lampa zawieszony
Pali się miesiąc — liczba gwiazd się mnoży,
Wyiskrza szafir, na nim jak stal pryśnie
Coś, co od słońca jaśniejszego błyśnie.

Ach! od słońca by w oczy mi nie biła
Taka ogromna jasność, jak z tych oczu
Spuszczonych! cały świat rozweseliła
Oblana słońcem złotém po warkoczu;
Taka miłości w niéj ogromna siła,
Że gdy stanęła na ciemném przezroczu:
Słońc się girlandy — niby zawrócone
Żórawie — wiążą w ognistą koronę.

Siostro! twe rany mocniéj się płomienią,
A z twoich oczu wesołość wylata,
I szaty twoje się jak tęcza mienią,
I pierś — wzniesiona, i skrzydli się szata.
Nie leć! te słońca ciebie opierścienią,
Jak powój, który kołem się oplata;

I tam zostaniesz, statui starożytnéj
Podobna — śród słońc złotych — przy błękitnéj...

DUCH.

O nie zostanę! bo w téj gwiazd powodzi
  Ona się zniża, i z duchami swymi
I na miesiącu swym na ziemię schodzi,
  Bo zapragniona jest znowu na ziemi.
Oto więc na swéj półmiesięcznéj łodzi
  Płynie, rękami sypiąca złotymi
Litosną miłość... dawno tak widziana
Na wyspie Patmos przez świętego Jana...

Patrzaj na ciemne szmaragdowe lasy,
  Zniżyła się tam i rzuca z pod siebie
Dwa wielkie tęczy rozwiniętéj pasy,
  Które się od niéj zaczęły na niebie.
Przychodzą nowe na świat Pańskie czasy;
  Niechaj umarły swych umarłych grzebie!
A ty, nie maż ust światowym piołunem,
Ale téj łaski Pańskiéj bądź zwiastunem!

Widzę, jak oczy twe światłami skrzą się
  I za tym widem przeszły i wróciły
Bez łez... Czyć zawsze napisano w losie
  Nie być miłości duchem, ale siły?
Mów do mnie! może w twoim smętnym głosie
  Nie będzie echa podziemnéj mogiły.
O nie! ty cały łamiesz się w boleści,
A twoja ręka szuka rękojeści...

POETA.

To nic — jam pobladł... duch mój jest otchłanią
  Tęsknot i musi strzéc się własną mocą.
Czuję, że gdybym ja poleciał za nią
  Tam, gdzie te światła całą ziemię złocą,
Byłbym jak jedna z gwiazd, co się tumanią
  I przez tęczowe jéj rąbki migocą,

I już już własnéj twarzy mieć nie mogą,
A ja tu czekam w ciemności —

DUCH.

Na kogo?

POETA.

Żaden duch nie jest bez przyjaciół własnych,
  Żaden głos nie jest bez ech — po za światem...
Raz ja nad Ikwą [1]) po mych łąkach jasnych
  Błądząc, znudzony błękitem i kwiatem,
Bo mi w pamięci koral twych ust krasnych,
  Co perły takim obwodzi szkarłatem,
Jaśniéj się palił; i twoje oblicze
Skrzyło jak słońce myśli tajemnicze;

Znudzony, że mój głos tu nie pomaga
  Ludziom w niewoli, ogień serca pije,
A ciągłéj szczęścia ofiary wymaga
  I ciągle serca mego jadłem żyje,
A tu na świecie różna jakaś waga
  Waży wypadki... człek podłością tyje
I spity winem, pieśń, co aniołowie
Dają, za pościel kładzie i wezgłowie: —

Siadłem pod chatą kobiety cmentarnéj,
  Co odmykała trumnom kołowroty;
I pełny byłem wtenczas myśli czarnéj
  Jak Brutus... który na twarz białą cnoty
Krwią swoją rzucił — a u gospodarnéj
  Kobiéty były z malw ogromne płoty,
I z nędzą piękność tak złączona sielska,
Że chata się ta zdawała anielska.

Wszystko mi jakiś wzrok duchowy blady
  Przemieniał w dziwy: zda się — rószczką trącę,

---

1) Rzeka płynąca pod Krzemieńcem, miejscem urodzenia poety. *(P. W.)*.

A te malwowe z tęczy kolumnady
  Dostaną nieba; a te pałające
Cynowe miski, to jakby na składy
  Rusałki swoje oddały miesiące,
A te na półce girlandami świécą
I gdy kur nocny zapieje, wyléca.

Ja byłem wtenczas dziécię — lecz do gliny
  Kiedy wejdziemy, my straszniejsi z duchów,
To mamy straszne w dzieciństwie godziny,
  Gdzie duch bez żadnych więzów i łańcuchów
Ma ostrzeżenie. W mogilne doliny
  Chodzimy chętnie... niby dla podsłuchów.
A duchy wtenczas rozmawiają z nami
Same, lub tylko natury ustami.

Otóż i wtenczas w myślach moich zamęt,
  Zwątpienie było — rozpacz nad ubitą
Polską... Gdzież, rzekłem, jest taki sakrament,
  Coby w niéj martwéj chodził siłą skrytą,
Jak krew żyjąca?... taki był mój lament,
  Który me oczy wnet zamienił w sito
Siejące perły łez. A wtém od Boga
  Przyszła nauka wielka i przestroga.

Skrzypnęła czegoś jedna stara belka
  I poruszyła gniazdo jaskółczychy;
Z gniazda wypadła ptaszyna niewielka
  Bez piérza, mały zimny trupek, lichy;
Więc potém tego dziécka rodzicielka
  I ojciec w domek przylecieli cichy
Prosto do gniazda, do swojego kątka
I nie znalazłszy swojego dzieciątka,

Wyszli oboje — Boże, z jaką wrzawą?
  Wié matka, któréj ludzie dziecko skradli...
Wreszcie ujrzeli go pod moją ławą —
  Oboje z nieba jak martwi upadli,
Ojciec na lewo, a matka na prawo;
  Usiedli przy niém, a skrzydła tak kładli

I tak włóczyli biédaczki za sobą
Jak płaczki ciężką okryte żałobą.

Lecz śmierć ptaszęcia taka była świéża,
Tak niespodziana, taką zda się zdradą
Niebios, że ojciec matce nie dowierza —
Oboje w dzióbek żér mu jeszcze kładą,
Dzióbkami ciałka próbują i piérza.
A ono z główką wyciągniętą, bladą,
Z początkiem tylko dziécięcych skrzydełek
Leży, jak srebrny na herbie orzełek.

Więc — o! niewiaro cudna, rodzicielska,
O! długie, piękne tych serc niepokoje,
O cudna myśli w ptaszkach, już anielska! —
Za skrzydła wzięli dzieciątko oboje,
I wyżéj niż tam brzoza, nimfa sielska,
Rozrzuca swoje girlandowe zwoje,
Podnieśli... myśląc że w niém lot rozniecí
Życie, że z dzióbków puszczone... poleci!

Tak połączone przez biały dyjament
Stało nademną w niebie biédne stadło.
Potém je może zdjął rozpaczy zamęt,
Bo upuścili dziecko... a to spadło;
A oni siedli nad niém znów i lament
Taki podnieśli, że mi lice bladło,
Serce bolało, tak jak dzisiaj boli,
Bo coś tam dla mnie jest w téj paraboli...

O tak! nim ja w śmierć ojczyzny uwierzę,
Chociażby jak trup leżąc w grobie zbrzydła:
Potargam wprzódy ją pieśnią za piérze,
Położę wprzódy na pieśnianie skrzydła,
Porwę ją z ziemi, tak jak wicher bierze,
Stargam łańcuchy wszystkie, wszystkie sidła,
Podniosę w niebo, aż gdzie Pan Bóg świéci,
Puszczę... jeżeli żywa, to poleci...

Dziecinna to myśl, duma to dziecinna!
  Jam się sam rozbił piersią o granity,
Ale głos ani też lutnia — niewinna...
  Cóż ty mi teraz pokazujesz świty,
Gdzie inna matka, ta królowa gminna,
  Dzieciątka swoje podnosi w błękity,
Tak lekko duchy podnosząca wolne,
Jakby z łąk brała piękne kwiaty polne.

Cóż ty mi wróżysz tym pięknym widokiem
  Tęcz i błękitów? za mną inna strona
I duchy, co się na pieśń zbiegły tłokiem,
  Od których była już ogniem czerwona,
Ich tchem trująca, tętniąca ich krokiem...
  Dobranoc! — harfiarz wasz posępnie kona!
Klnie wam i kona... precz straszydła stare!
O siostro! odpędź odemnie tę marę!

DUCH.

W powietrzu widzę trzy...

POETA.

Trzy przyszły razem?

DUCH.

  Twój włos zjeżony operlił się potem!

POETA.

Patrz za cerkiewnym, o! tym — bohomazem
  Powietrze całe się wydaje złotem...
Zapewneś przyszedł od duchów z rozkazem?
  Albo mi lirą powstać — albo grzmotem!
Tak zwykle gadał — gdy mu się podoba,
To w jęku głosy te połączy oba.

Teraz nie mówi nic; lecz stoi srogi
  I zda się, twarz mi swoją w pamięć wraża.
A tamten — patrzaj, tak piękny, jak bogi —
  Który wygląda także na harfiarza,
Ale instrument ma bardzo ubogi,
  Sam widać był téj harfie za stolarza —

Dziwna!... rybie w niéj srebrzą się ościenie
I labradorskie Sybiru kamienie.

Struny, podobne do starych badylów,
  Pod palcem tego ducha drżą spróchniałe.
A co? czy dobrze na niéj panna Niłów
  Grała, wywiodłszy ciebie gdzieś na skałę
Kamczatki, kędy jasne roje gilów
  Latały słuchać, gdy jéj rączki białe
W powietrze pełne mgieł, duchów i szronów
Lały z téj harfy girlandami tonów?

O powiédz, jakie ci sny o młodości
  I o twéj miłéj ojczyźnie wyjęczał
Jęk téj źle z renów ostruganéj kości
  I téj dziewczyny głos, który wyręczał
Anioła stróża, a ty — o litości!
  W oczy jéj patrzał czyste, u nóg klęczał,
A drugą myśli połową pieśń mijał,
Palił dom, ojca w płomieniach zabijał...

Powiédz, czy w harfie téj dziś jest żałosny
  Tego dziécięcia jęk i skarga cicha?
Czyś ty pomiędzy aniołami głośny
  Tą harfą? Czy ci ręka nie usycha?...
Patrz... ten duch, niegdyś tak mało litosny
  Temu dziewczyny sercu, teraz wzdycha
I lirnikowi palcem pokazuje,
Jakby chciał mówić: patrzaj, on to czuje!

Precz bladzi! — i ten trzeci, co nad głowy
  Wyciąga ręce i nad wami trzyma
Swój wielki, bardzo ciężki krzyż cynowy,
  Niech mię nie prosi łzawymi oczyma!
Stary świat skonał... nie zaczął się nowy.
  Dla takich duchów, jak wy, miejsca nie ma!
Lećcie i w nową zorzę się rozpłyńcie
I bądźcie nowi duchem — albo gińcie!

DUCH.

Stój! oni wszyscy z wiarą i nadzieją.
 Pozwól im swojej duszy jak kościoła,
Gdzie teraz żadne lampy nie jaśnieją!
 Kto wié, przez ciebie jaki głos zawoła,
Gdy będą w tobie... Patrzaj, jak pięknieją!
 Ogień im tryska z nóg i z rąk i z czoła —
To wielkie duchy, i wydarte niebu!

POETA.

Czegoż odemnie oni chcą?

DUCH.

Pogrzebu...

POETA.

O tak! pogrzebanymi będą... Ten wid złoci
 Mgły méj pamięci, siostro, i twój wieniec
Z gwiazd, do ogromnych podobnych stokroci,
 Dziwny ci na twarz rzuca półrumieniec;
Ty jak konwalia na ziemskiéj wilgoci
 Łez, dobrze kwitniesz... a ja potępieniec
Dobrze w natchnienia żyję dzikim wichrze
I serce wtenczas mam lepsze i cichsze.

I ja to widzę, że wola Jehowy
 Jest, aby nowy świat stanął przed świtem.
Nie pożałuję ręki ani głowy,
 Gdy przyjdzie pora. Ale pod błękitem
Gdzie jest kto świéży i zupełnie nowy,
 By świat od razu jednym zbił granitem?
Duchy, co duchów oszukują, złe są.
Z błękitów do mnie, Atesso! Atesso!

Świadcz o mnie, czym ja kiedy Polski ducha
 W żywotną jego część i w serce ranił?
Czym gdzie ominął pleśń, szczątki łańcucha,
 Fałsz, co źrenice światłami tumanił?...
Nigdy na boży głos nie była sucha
 Źrenica moja, choć mnie Bóg oszklanił

W koło... jak ludzi oddziela fatalnych
Od ludzi — światłem rzeczy niewidzialnych.

Teraz już serce moje pełne śniegu,
  Który tam zima uczuć napruszyła;
A przyjacioły moje już do biegu
  Świat boży pędzą, jest w nich Bóg i siła.
Może też Bóg chciał, aby w tym szeregu
  Z ludźmi żywymi niejedna mogiła
Raziła dziwem takiego sąsiedztwa
Nie dla pośpiechu, ale dla świadectwa

I dla przestrachu... I tak się do ruchu
  Wiąże girlanda wiosennych żórawi.
W kraju tam jeszcze o tém ani słuchu
  A tu już, ducha krwią naszego krwawi,
Serce przy sercu stoim, duch przy duchu;
  Bóg rozkwitnieniu w nas serc błogosławi,
Złoci widzenia Janowe zapałem
Chrystus, krwią poi i nakarmia ciałem.

I już nam widać przez oczy proroka,
  Jak Polska nowa na stolicy siada
Kopułą duchów swych świętych wysoka,
  A niska, kiedy przed Panem upada;
A kiedy patrzy w świat, orłego oka;
  A jako hymn harf, kiedy z Panem gada,
Oblana wdzięków dziewiczych szkarłatem;
A jako tysiąc grzmotów, gdy ze światem [1]).

. . . .
. . . .
. . . .
. . . .

---

[1]) Tu się poemat urywa. Jest w rękopisie jeszcze kilka strof dalszych, zaczętych a niedokończonych, ale te się w całość nie wiążą; dlatego je opuszczamy. Następujące dwa dłuższe ustępy, lubo także niepołączone z całością, zdają się więcéj zasługiwać na przytoczenie. *(Przyp. Wyd.)*.

A oto wyszedł; jakby Rafaela
  Tarcza okryta różném malowaniem,
Księżyc i (jéj?) zagrał pierwszą pieśń wesela,
  Wyszedłszy świécić przed samém zaraniem,
A z niego wielki miecz płomienny strzela,
  Nazwany w niebie niebieskiém nazwaniem,
Przed którym zadrżał i fałsz i pokusa,
Lecz nikt nie dźwignie miecza — prócz Chrystusa!

On na nim ręce skrwawione położy,
  Potém podniesie i trzy razy mieczem
Niebiosa całe rozetnie, otworzy;
  Wtenczas my duchy pod gwiazdy ucieczem,
Bo z nieba wyjdzie na ziemię duch boży;
  A my z téj ziemi mgły i chmury zwleczem,
By się spotkała jéj twarz z bożą twarzą.
Wtenczas się słońce i gwiazdy przerażą.

Świętych zobaczysz pańskich w jednéj stronie
  Podobnych chmurze słoneczněj, — Maryja
Stać będzie w słońcu, na złotém wrzecionie
  Kręcąc, jako ta, która tęczę zwija;
A po tych tęczach aniołowe konie
  Będą latały   a szatan jak żmija
Będzie je straszył wielkim dymu kłębem
I językowym je zhuka trójzębem.

Potém to wszystko razem się zasunie
  Mgłą... i by lampa zgaszona zagaśnie;
I tam na ziemię po nocy coś runie
I echa niebios tak zajęczą właśnie,
Jak kiedy piorun idzie po piorunie
  A potém zagra po skałach i zaśnie;
I znów się zwali coś z odgłosem strzału
Smętniéj, jak echo piérwszego powału.

Wtenczas na niebie wyjdzie anioł blady
  Z lampą olejem napełniona smolnym
I rzeknie: gdzie są ciał i kości składy,
  Abym je palił lampy ogniem wolnym?

To mówiąc, pójdzie i różne gromady
  Trupów oświetli, i ogniem okolnym
Lampy stosy ciał będzie oczerwieniał
A ciągle idąc, strach i miejsce zmieniał.

Miejsce, gdzie przejdzie, będzie zwane drogą
  Poszukiwania, nakształt czarnéj szramy.
A idąc anioł ów nadepce nogą
  Grób — i wykrzyknie: rola haludamy!
Tutaj się ludzie napaść duchem mogą,
  Ale zamknięte są już srebrne bramy
I dzień tu biały powróci nieskoro!
To mówiąc, lampę rzuci w krwi jezioro.

I znów się stanie noc i z końców obu
  Świata płacz wielki pójdzie, jak z bóżnicy.
Potém aniołki od świętego żłobu,
  Jak białe róże od Bogarodzicy,
Sypiąc się rzekną: czas ci wstawać z grobu!
  Wstań bez korony złotéj i zbroicy,
Płomieniem serca świécąca od łona,
Wstań, jakąś była w grobie położona

A wtenczas mgła się ze słońca usunie;
  I ta, co była w słońcu, znów odkryta
Rzeknie: wy słońce w jéj znajdziecie trunie
  I stratowany miesiąc przez kopyta.
Niech tak na zorzy pokaże się łunie
  Piękna, jak piękna leżała zabita!
Albowiem szaty nie zdarła nikomu.
Nie okradajcież wy umarłych domu!

Lecz nim powstanie, niech z niéj będzie zdjęty
  Sąd, bo zaprawdę niewinnie sądzona!
To mówiąc, przyjdzie jeden anioł święty
  I poda księgę, i jedna czerwona
Karta téj księgi, jako liść pomięty,
  Mokra, wydarta będzie i rzucona
W czeluść, a duchy, co tam chór prowadzą,
Lecącéj, aby spadła, miejsce dadzą.

Potém umarłéj będzie podniesienie
I salutacya; a ta w takiéj sile
Roześle pierwsze pośmiertne promienie,
Że na ostatniéj aż smętnéj mogile
Końce położą. — Więc ducha nasienie
Wszędzie się ruszy, śpiące w wieków pyle.
Zaprawdę! przyjdzie do niéj z wielką chwałą
Choć dziécię, co jéj jasełka oddało.

Potém się w piérwsze bicie serca wsłucha
I rzeknie z świętym uśmiechem: o Panie!
Nie z ciała jestem wskrzeszona, lecz z ducha,
Niech mi się jako służebnicy stanie!
. . . .
. . . .
. . . .
. . . .

Tak nieraz stojąc stary majster cechu
Z chorągwi jednéj sklepienia uczyni
Dla trzystu ludzi; albo gdy na blechu
Rozciągnie płótno dobra gospodyni:
Tysiące kwiatów nie widzi uśmiechu
Słońca i oczu Efeskiéj bogini,
Ale się muszą poddać — z tą nadzieją,
Że płótna wkrótce słońcem wysrebrnieją

I będą zdjęte. — Jestem z liczby kwiatów
Podobrusowych: często słyszę ślepy
Nademną jakieś kruszenie się światów,
Szczepienie duchów nowych w stare szczepy,
Pszczelny brzęk niby naszych antenatów,
Idących pomóc. — Lecz że ja do rzepy
Płonacą świéczkę włożę, pisząc wiersze,
Nie widzę, abym widział światy szérsze.

Duch.

Zawszeż ta bojaźń o nabyte skarby
Pracami wieków? zawszeż nieugięcie
Twojéj tęczowéj myśli w żadne karby?
Zawszeż ci błoto cielesne na wstręcie?

Gdybyś mógł stopić twoje wszystkie farby
  W jednym miłości bożéj dyjamencie
I zostać chwilę w czystym bezkolorze,
Miałbyś zeń potém wszystkie ognie boże.

Przedlotem ducha światy tyś wyminął,
  Wiedział o niebie, nim się inny dowié.
Mrówko! nie będziesz ty przezemnie słynął,
  Ja ci się strzaskam jak piorun na głowie;
Ja, z którąś dawniéj ty jak łabędź płynął,
  Kiedyś był nowy i sił nie miał w słowie.
Teraz, gdyś wylał ducha serca krzykiem,
Mam cię, niższego, moim niewolnikiem.

Nie drżyj mi jako struna, co chce pęknąć,
  Bo mi nie pękniesz; lecz będziesz jak struna,
Która gdy rani, to krwią musi zmięknąć —
  Lecz tobie strachu trzeba... Patrz, tam łuna
I księżyc, co chce jak umarły jęknąć,
  Jaki bolesny!... tam morze i truna,
Którą prowadzą fal czerwonych nogi —
Patrzaj!... w trumnie ten, co prostował drogi...

Czy widzisz żagli tych trumnianych bicie
  W opiekielnione złymi duchy fale?
Bo się na siarkę wy bez fal palicie,
A piekło nie jest w niebie, ani w skale;
Lecz jest to duchów do ziemi przybicie,
  I krzyż — i po ciał władzy gorzkie żale,
I czas powrotu do ciał niewiadomy,
I czyn, co w piersiach grzmi, jak puste gromy...

Czasem się zbiją i prą całą ścianą
  Naturę — a ich oddech mniéj tu waży,
Niż tego dziecka, co bańkę mydlaną
  Uczyni tchnieniem aniołkowéj twarzy.
Rozpacz im dano, a skargi nie dano!
  W niejednym... wulkan się miłostek żarzy...
Gdyby im kształtów widnych i kolorów:
Wymarlibyście z widzenia upiorów!

Szczęściem, że każdy niby śmierć ponosi,
  Gdy wchodzi w ciało; i uczyć się musi
Siły — od ręki, co kamień podnosi,
  Bólu — od świécy, co rączkę mu skusi...
Więcéj się złego obraca na osi
  I siły, która iskrę bożą dusi,
Niźli ty myślisz. — Patrz, czy nie przeraża
W téj zorzy duchów ta trumna mocarza?..
. . . .

SPIS PRZEDMIOTÓW

w Tomie I[szym] zawartych.

Str.

Baranki moje 89

Chcesz wiedzieć, czêm dziś byłby nasz kraj odzyskany 99
Chmury 28
Córka Cerery 100

Do Anieli M. 50
Do têjże 51
Do Autora *Skarg Jeremiego* 71
Do Autora *Trzech psalmów* 105
Do Franciszka Szemiotha 92
Do Ludwika Norwida 72
Do tegoż 73
Do Ludwiki Bobrówny 55
Do Matki 55
Do pastereczki 56
Do Teofila Januszewskiego 36
Duma ukraińska 3
Dusza się moja zamyśla głęboko 98

Fragment. 189

Góry się ozłociły — szafiry mórz ciemnieją 68
Grób Agamemnona 177

Hymn o zachodzie słońca na morzu 34

Jak dawniêj — oto stoję na ruinach 101
Jeżeli ci Pan nie zbuduje domu 85
Jeżeli kiedy w têj mojêj krainie 86

Str.
Karty się wszystkie dają wytłómaczyć tuzem 100
Kiedy prawdziwie Polacy powstaną 83
Krzyczeli: «Polska, Polska» 83

Los mnie już żaden nie może zatrwożyć 66

Matecznik 81
Mój król, mój Pan — to nie mocarz żadny 86
Możnemu, który dzisiaj dom upięknia sobie 100

Na drzewie zawisł wąż 94
Narodzie mój 96
Na sprowadzenie zwłok Napoleona 51
Na szczycie Piramid 43
Niedawno jeszcze, kiedym spoczywał uśpiony 93
Niewysłuchany dotąd nigdy świecie 102

Oda do Wolności 21
Odwiedziny Piramid 40
Ostatnie Wspomnienie do Laury 29
Otrzymawszy wprzód na to jednomyślną zgodę 100

Panie! jeżeli zamkniesz słuch narodu 83
Parafraza pieśni: »Bogarodzica« 61
Patrz nad grotą 101
Pieśń na Nilu 45
Podróż do Ziemi Świętéj z Neapolu 119
Pieśń I Wyjazd z Neapolu 121
Pieśń III Statek parowy 132
Pieśń IV Grecya 141
Pieśń V Podróż konna 152
Pieśń VI Nocleg w Vostizy 161
Pieśń VII Megaspileon klasztor 169
Pieśń VIII (początek) Napoli di Romania 176
Grób Agamemnona 177
Pieśń VIII (koniec) 181
Pieśń IX 183
Poeta i natchnienie, fragment 253
Pogrzeb kapitana M....... 53
Pośród niesnasek Pan Bóg uderza 89
Prawo Mojżesza w globie wyryte głęboko 98
Proroctwo 66
Przekleństwo 26
Przy kościółku 88

Radujcie się! Pan wielki narodów nadchodzi! 65
Rozłączenie 25
Rozmowa z Matką Mokryną Mieczysławską 191
Rozmowa z Piramidami 47
Rzym 32

	Str.
Sonety	9
Stokrótkl	27
Sumienie	33
Szanfary, ułamki poematu arabskiego	11
Testament mój	60
Trzy Fragmenty z poematu »Pan Tadeusz«	221
Ty głos cierpiący podnieś — i niech w tobie.	91
Ułamki	33
Uspokojenie	79
Ustępy z przekładu Iliady Homera	225
Wielcyśmy byli i śmiesznißmy byli	96
Wierzę	67
W ostatni dzień, w ostatni dzień	94
W pamiętniku Zofii ***	57
Wschód słońca nad Salaminą	188
Wspomnienie pani de St. Marcel	58
Zakończył śpiewak, a my zasłuchani	87
Z listu do księgarza	49

KONIEC TOMU Igo.

PISMA

JULIUSZA SŁOWACKIEGO

Tom II.

WYDAWNICTWA KSIĘGARNI
GUBRYNOWICZA i SCHMIDTA.

---

	złr.	ct.
Aër. Pierwszy romantyk, powieść	2	60
Dr. Antoni J. Nowe opowiadania, wydanie drugie	3	—
— Opowiadania historyczne, 1 tom	3	—
1) Pod pół księżycem. 2) Książę Sarmacyi. 3) Odwiedziny monarsze. 4) Na kresach. 5) Dwór Tulczyński. 6) Losy pięknéj kobiéty. 7) Tynna w końcu XVIII. wieku.		
— Gawędy z przeszłości, 2 tomy.	5	60
Bełza. Wanda. Opera w czterech aktach	—	60
BIBLIOTEKA POLSKA. Każdy tom brosz. 1 złr. 80 ct.,w opraw. . . .	2	30
T. I. II. **Krasiński Z.** Pisma. Wydanie z przedmową Stan. hr. Tarnowskiego, 2 tomy. III. — VI. **Mickiewicz Adam.** Dzieła. Wydanie zupełne przez dzieci autora dokonane, 4 tomy.— VII—X. **Zaleski B.** Poezye. Wydanie przejrzane przez autora. — XI. **Pamiętniki Paska.** Wydanie nowe krytyczne, przejrzane przez Dra Węclewskiego.— XII. **Niemcewicz J.** Jan z Tęczyna, Powieść histor. — XIII.—XVI. **Słowacki Juliusz.** Dzieła. Wyd. przej. przez prof. dra A. Małeckego. XVII.—XIX. **El...y**, (Asnyk Adam). Poezye, 3 tomy. XX.—XXII. **Małecki A.** Życie i pisma Juliusza Słowackiego, wyd. drugie znacznie pomnożone, 3 tomy.—XXIII. **J. Wybicki**, Pamiętniki. — XXIV. —XXV. **Mickiewicz A.** Dzieła. V. VI. — XXVI.—XXVIII. **Mickiewicz A.** Korespondencya, 3 t. — XXIX—XXXI. **Kitowicz X.** Pamiętniki i pisma historyczne 3 t. — XXXII.—XXXIII. **Kitowicz X.** Opis obyczajów i zwyczajów za panowania Augusta III., 2 t. XXXIV.—XXXVII. **Romanowski M.**, Pisma. 4 t. — XXXVIII. XXXIX. **Słowacki J.** Listy 2 t. wydanie II. znacznie pomnożone. **Słowacki J.** Pisma pośmiertne 3 tomy, wydanie II znacznie pomnożone.		
Bolesławita B. Hybrydy, powieść współczesna	2	40
— Król i Bondarywna, powieść historyczna	2	40
— Nad modrym Dunajem. Nowella	2	40
Bronikowski. Listy Jana III króla polskiego, pisane do królowej Kazimiry w ciągu wyprawy pod Wiedeń w roku 1683	2	80
— Jan III Sobieski i dwór jego czyli Polska w XVIII. w. 2 t. . .	4	20
Chłędowski J. Sylwetki społeczne	2	40
El...y. Gałązka heliotropu. Komedya.	—	60
Estreicher. W. Pol, jego młodość i otoczenie	2	80
Jeż J. J. Ostapek. Ustęp z przeszłości emigracyjnéj	2	40
Kaczkowski K. gen. szt. lekarz wojsk polskich. Wspomnienia 1808—1831, wydał T. O. Orzechowski, 2 tomy	4	20
Kantecki K. Elżbieta, trzecia żona Jagiełły	1	20
— Dwaj Krzemieńczanie. Wizerunki literackie 2 tomy	3	60
Kubala L. Dr Szkice historyczne, dwie serye każda po	3	40
— Jerzy Ossoliński, 2 tomy	6	80
Lemcke K. Estetyka, 2 tomy.	6	40
Liske X. Cudzoziemcy w Polsce. Podróże i pamiętniki	4	20
Listy Tadeusza Kościuszki, zebrane, przez L. Siemieńskiego.	2	80
Lorkiewicz A. Bunt Gdański w r. 1825	1	80
Monumenta historiae polonica. Pomniki dziejowe Polski, t. III. Wydanie nakład. Akad. Umiejęt.	12	—
Niewiarowicz A. L. Wspomnienie o A. Mickiewiczu	2	20
Pamiętnik damy polskiéj z XVIII wieku	1	80
Przyborowski W. Rubin wezyrski. Powieść.	1	80
— Księżniczka z Minsterbergu	1	50
Stadnicki K. Olgierd i Kiejstut synowie Gedymina, W. ks. Litwy . . .	2	40
Sass Berlicz. Mozaika. Gawędy szlacheckie, 2 tomy	3	80
Sewer. Bratnie dusze. Powieść	2	40
Wilczyński A. Kłopoty starego komendanta. Opowiadania, 3 tomy z illustracyami.	5	40
— Pamiętniki plotkarza, 2 tomy	4	20
— Medytacye kawalerskie	2	40
Wilkońska P. Na teraz, Powieść.	2	20
Wspomnienia Konstantego Wolickiego, z czasów pobytu w cytadeli Warszawskiej i na Syberyi	2	40
Zieliński. August II. i Aurora Königsmark, powieść historyczna, 2 tomy	2	60
Zwierciadło głupstwa. Powieść, napisał Ignotus	3	60

J. SŁOWACKI

PISMA POŚMIERTNE.

WYDANIE DRUGIE, ZNACZNIE POMNOŻONE

staraniem

Dra A. MAŁECKIEGO.

TOM II.

1887

Z księgozbioru [illegible]

LWÓW.

NAKŁADEM KSIĘGARNI GUBRYNOWICZA I SCHMIDTA.

1885.

Zastrzega się prawo własności na rzecz utworzonego stypendyum imienia Słowackiego dla młodzieży.

Kraków. — Druk Wł. L. Anczyca i Spółki, pod zarządem Jana Gadowskiego.

BENIOWSKI.

CIĄG DALSZY.

PIEŚŃ VI.

Z téj części poematu pozostały tylko urywki, które się z sobą w całość nie wiążą. Prawdopodobnie było osnową téj pieśni, co następuje:

Do futoru Sawy przybywa oddział Kozaków, przysłanych jemu przez hetmana Kozyrę, prowadzony przez dwóch lirników. Ci zaczynają namawiać Sawę, ażeby stanął przeciwko szlachcie i przyłączył się do hajdamaków, którzy już rozpoczęli rzeź panów i żydowstwa. Sawa nic na to nie odpowiada, ale spaja lirników winem, toż i resztę starszyzny; a potém dosiada swego rumaka i wyprowadza Kozaków w pochód, ażeby się z panami połączyć. W lesie jednakże powtarza się naleganie mołojców i znachorów na Sawę, ażeby stanął na czele rzezi... a kiedy ten stawił ich woli tym razem stanowczy opór, wiążą go i spętanego porzucają samotnie w lesie. Sami zaś idą — złączyć się z Żeleźniakiem. Po ich odejściu, na drugi dzień, wyzwala Sawę z pęt Wernyhora, który przejeżdżał tamtędy. Hajdamacy zaś tymczasem roznoszą po kraju mordy i pożogi. Między innymi, napada pewien ich oddział na wieś jednego szlachcica, który się był przyłączył do konfederatów, dom zaś i rodzinę swoję pozostawił bezbronnie, nie przewidując dla nich żadnego niebezpieczeństwa. Nazwisko tego szlachcica — Gruszczyński, a wioski jego — Gruszczyńce. Otóż w nieobecności pana domu, napadają rzezunie dwór gruszczyniecki i okrutnie mordują wszystkich jego mieszkańców, żonę, dzieci i domowników Gruszczyńskiego. Jedna tylko z córek pozostawiona przy życiu; ale i ta zabrana w niewolę i oddana Tatarom, w końcu dostaje się do Krymu. — Na inném znowu miejscu, przychodzi niezwłocznie po-

tém do walnéj potyczki pomiędzy wojskiem polskiém (konfederackiém) a hajdamakami. Szlachcie przywodzi Potocki Podczaszy, a jednym z podkomendnych jego jest i Gruszczyński; zbuntowanego zaś chłopstwa hersztem jest Żeleźniak. Zrazu zwycięstwo w téj bitwie jest po stronie szlachty, tak iż Żeleźniak ocalenia swoich szukać zmuszony w taborze, który tworzy z wozów i ostrokołów. Jednakże niezadługo przybywa mu w posiłek ów hufiec Sawy, zbuntowany przeciwko dowódcy swojemu; a na domiar nieszczęścia dla szeregów szlacheckich, pojawia się zaraz potém na polu bitwy i trzecia siła, z którą im walczyć potrzeba — czerń jakiéjś zbieraniny pijanego pospólstwa obojéj płci, zbrojnego w noże i opasującego razem z Żelaźniakiem ów szczupły zastęp polski ze wszystkich stron, tak iż się ten widzi wzięty w trzy ognie. Rozpoczyna się walka zawzięta i rozpaczliwa na nowo. Do zupełnego przechylenia jednakże szali zwycięstwa na stronę Kozaków i rzezuniów nie przychodzi. Albowiem zjawia się na siwym koniu wśród walczących Wernyhora i powstrzymuje zaciętość pospólstwa. Pod wpływem wrażenia, jakie na niém znachor ten sprawia, znajdują konfederaci sposobność odejścia bez szwanku z placu; po czém jedna część ich udaje się na Podole, druga zaś wkracza w granice posiadłości tureckich...

Teraz dajemy urywki, pozostałe z całości téj pieśni, w kolei jak prawdopodobnie następowały po sobie.

I.

Widzieliście Pana Sawę
Pośród stepów ze Swentyną...
Burzanami szyki płyną
Jak brąz czarne, słońcem krwawe,
I proporce wieją złote
I czerwone z Archaniołem...
Przyjechali po przed grotę,
Wyszli z tłumu dwaj lirnicy,
Uderzyli Sawie czołem,
Uśmiechnęli do dziewicy...

— „Bóg nam ciebie bohatéra
Niechaj chowa po wsze czasy!

Przysłał tobie pan Kozyra,
Hetman Siczy... pułk kozacki,
Szczob ty ż Rusią szedł w zapasy,
Hulał jak syn hajdamacki..."
. . . .
. . . .

II.

Przybył więc Sawie gdzieś z po nad Limanów
Kureń kozacki, i wnet się przed grota
Rozłożył; sotkę zawiesił saganów,
Ogień zapłonął piramidą złotą.
Tysiąc spis, tysiąc szabel, jataganów,
Łyska na słońcu; lecz jakąś tęsknotą
Zafarbowane niebiosa nad niemi.
I także jakaś tęsknota na ziemi.

Lirnicy siedli na wyższym kamieniu,
Bajda i Znachor — lecz nie dzwonią w liry;
Konie się włóczą i szukają cieniu,
Wysokich orłów dolatują skwiry.
Swentyna stoi przy jednym płomieniu,
Rzęsami oczu nakryła szafiry —
Duma .. jak kwiaty wpół zwiędłe jesienne;
Na jéj ramionach dwa gołębie senne.

Wszystko ponure; choć bliska wyprawa,
Choć pójdą bić się — śnią, nie wiedzą sami
O czém... Na szabli oparty pan Sawa
Rozmawia cicho, ważnie — ze starcami.
„Gdzież nas powiedziesz?—mówią—to rzecz krwawa
Bić się z naszymi braćmi rzezuniami!
Co za nagroda? co za przyszłość nasza?
Wiszniowieckiego pomnij Jeremiasza!

„Oj! ta mogiła kiedyś się otworzy,
Gdzie zasnął stary kat, i miecz wykinie;

Na naszych głowach ten się miecz położy
I naszą znowu krwią gorącą spłynie.
Gdy wychodziły pułki, to na zorzy
Cztéry świéciły słońca w Ukrainie
Pozadnieprzańskiéj! — wojna będzie krwawa,
A tobie w głowie co? — grób, czy buława?

„Jeśli mogiła.. to dobrze! – pójdziemy,
Z janczarek hukniem Lachom i z moździerzy;
My chcemy ginąć z tobą – i bić chcemy,
Każdemu serce w pałaszu uderzy!
Mieczami tobie kurhan wykopiemy,
Jeśli chcesz spać, jak wódz, co we krwi leży.
Lecz może lepiéj krwawéj czekać doby,
A tobie przyjdzie kłaść .. na ziemi groby.

„Z mohyły na mohyłu, taj zalecisz
Aż na hetmaństwo! – Ej, podumaj Sawa!
Komu ty szablą pod okiem zaświécisz,
Ten na trybunał nie pójdzie do prawa;
Rozkaż — a pożar ty taki zaniecisz,
Że go zobaczy z okien aż Warszawa!
Stepowy ty król!“ Tutaj na kolano
Klęknął, i z ognia dobywszy polano,

Podał je Sawie; gdy z żarzącéj głowni
Szły iskry, mruknął: „Weź, niech Lachy giną!“
Słysząc, jak byli kozacy wymowni,
Sawa z samotną poszeptał Swentyną;
Ta szła do groty zaraz, i z lodowni,
W któréj Calińskich było stare wino,
Dawny zabytek szlacheckiego mienia,
Dostała spoić czém głowy kurenia —

To jest poetów i starszyznę. Potém
Poszła osiodłać rumaka Sawynie.
Grzywę mu białą przeplatała złotem
Oraz kwiatkami, co na eglantynie
Kwitną. — Pod żadnym Araba namiotem
Żaden koń taką lotnością nie słynie,

Jak ów koń srebrny Sawy, koń jedyny,
Zmyślny jak człowiek, drugi brat Swentyny.

Z grzywy mu polne róże pełne rosy
 Spadają, parska jak płomień czerwono;
Zna różne dźwięki i rozumie głosy,
 Wié, kiedy głowę spuścić zamyśloną.
Teraz wargami wziął Swentyny włosy
 I niby gryzie, lecz gryzienie ono
W kolory usta ubrało dziewicze
I przeszedł przez nią dreszcz. Są tajemnicze

Błyski, szmery krwi, nieznane szelesty
 W głębi dziewiczych ciał, i te się budzą
Bóg wié jak — są to anielskie incesty
 Dusz bratnich. — Ale rymy znów marudzą
I znów się ze strof tych robią Oresty
 Szalone z włosem rozczochranym, z cudzą
Krwią na obliczu, znów jestem gotowy...
Lecz wróćmy lepiéj nad kureń stepowy.

Potém na konia wskoczył Sawa rzesko,
 Rycerskie bardzo zamyślając czyny...
A był pod nieba otchłanią niebieską
 Jako archanioł Michał, Ukrainy
Patron — choć młody — z powagą królewską
 Przemówił do téj kozackiéj starszyny
Tak dobrze, że miał echo w setnych głosach
I widział w szablach step — jak w złotych kłosach...

O matko Polsko, jak dawno nie grzmiało
 Na twoich stepach takie dzikie hasło!
Jak dawno ludziom na stepie nie dniało
 Krwawo — i słońce na szablach nie gasło!
Co dnia się mijasz z twoją dawną chwałą,
 Zło się na twoich obszarach rozpasło; —
Zaledwo chłopek dawną wiarę chowa
I serce... A ty się już rodzisz nowa,

W żłobku serc naszych biédnych położona
  Na zwiędłym kwiecie marzen i popiołów;
Matki my biédne... bo z naszego łona
  Płynie ci ogień — roztopiony ołów,
A ty tak jesteś karmi upragniona,
  Że ci za matki my — i za aniołów
I za obrońców, za dom — i za szańce
Musimy dziś być... my — sami wygnańce...

. . . .
. . . .

III.

Dawna ojczyzno moja! o jak trudno
  Zakochanemu w twéj śmiertelnéj twarzy
Zapomnieć wdzięku, co młodość odludną
  Wabił na dawnych opłotki cmentarzy.
Inni już pieją twoję przyszłość cudną; —
  Ja zostawiony gdzieś na mogił straży,
Jak żóraw, abym nie spał śród omamień,
Trzymam me serce w ręku... serce kamień —

Biédne uwiędłe serce! — Inni mogą
  Płomieniem twojéj przyszłości oddychać;
Ja, twoje biedne dziecko, stoję z trwogą,
  Bo mi płacz twoich dawnych mogił słychać.
Proszę cię w moję duszę, jak w ubogą
  Chatę, co już się zaczęła rozsychać,
Rozpadać, tylu wichry rozerwana,
Biédna, tak dawno stojąca, gliniana.

Dawniéj... o! dawniéj mogłem ja cię darzyć
  Różami, listki maczanymi w złocie.
Teraz ja muszę chować się i marzyć,
  I w coraz większéj schroniony prostocie
Podług natury sądnéj, szale ważyć
  I dbać o ciebie — gdy jesteś w polocie

Ku siedmiu gwiazdom strzałą wyprawiona,
Choć masz na krzyżu ciało i ramiona.

Najbielsza moja! najsmutniejsza! — w tobie
Śpiewają jakieś pieśni — i nad tobą;
Otóż ja złączyć chciałbym pieśni obie
I uczcić grób twój dawny tą ozdobą,
Którą widziałem na rycerzy grobie,
Kamienną, dużą rycerską osobą,
Dla któréj kilka lamp grobowych spalisz,
A potém z grobu wstająca — rozwalisz.

I nie pamiętaj o mnie w téj godzinie,
Gdy cię Bóg wielkim darem uweseli...
Lecz póki Ikwa ma rodzinna płynie
Wezbrana łzami po tych, którzy mieli
Serce i ducha, póki w Ukrainie
Dziad chodzi z pieśnią, a z Dniepru topieli
Ciągle niby gwar smętnych duchów mgli się
I Puławskiego śpieszny rumak śni się;

Dopóki ludzie w nowych ducha siłach
Nie znajdą w sobie rycerstwa i śpiewu:
Dopóty ja mam prawo na mogiłach
Stanąć i śpiewać — srogi, lecz bez gniewu;
Bo wiem, jak trudno ruch obudzić w bryłach
I kazać w niebo iść ściętemu drzewu
I z tęczami się połączyć na niebie,
Ja, co nie mogłem wskrzesić — nawet siebie!

Dla tego w dawnych ludziach złotą wiarę
I złote serce miłuję nad własne.
Daléj więc! — mówcie mi znów serca stare,
Usta umarłe dziś, lecz w oczach krasne!
Odwińcie srebrną trumienną czamarę,
Pokażcie mi się duchy żywe, jasne,
Ubrane w tęcze, gwiazdy i miesiące,
Na urok pieśni z nieba zlatujące!

Sawa, co w pieśni méj gra Dyjomeda
  Rolę, i może zająć długie księgi,
A który także trochę ma z Tankreda,
  Pół kozak, a pół szlachcic, ale tęgi —
Krzyczał jak waryat, że się wiązać nie da,
  A już był mocno różnymi popręgi
Przez swoich własnych ludzi skrępowany
Za to, że nie chciał iść i rzezać pany.

Długo prosili go lirniki sępy,
  Z Żeleźniakiem mu obiecując księstwo;
Ale Sawa był na to słuchem tępy
  I rzucił z gniewem w znachory przekleństwo;
Takim sposobem utracił zastępy
  I Potockiemu wydarte zwycięstwo;
A ten, co króla miał wiązać w Warszawie,
Sam leżał w lesie związany na trawie.

Pachły mu wprawdzie gwoździki i smołki
  I miodnik miód przypomniał kapucynów
I wyzierały z pod trawy fijołki,
  Poziomki także oczkami z rubinów
Patrzały i brzóz lekkie się wierzchołki
  Kłaniały, léjąc nad nim łzy bursztynów;
Ale te jasno lasy malowane
Rzucały nań swój wdzięk, jak groch na ścianę.

Tak noc przeleżał bezsenny — i słyszał,
  Jak brzozy o czémś tajemném szeptały,
Jak się las cały by czarem uciszał
  I pod księżycem stał spokojny, biały,
Potém znów wiatrem jutrzenki zadyszał
  I śpiewem ptasząt rannym zagrał cały,
I na zorzowych każda brzoza łunach
Była — jak harfa o stu złotych strunach.

Ale to wszystko nic, i ranny chłodek
  Napróżno rzeźwił twarz; Sawa się wściekał —
Próżno się targał, bo na żaden środek
  (Litewski ten tryb mówienia tu czekał,

Aby się cicho wkradł i na rozpłodek
  Został) — choć powróz mu bardzo dopiekał,
Choć szamotaniem się bardzo rozniemógł,
Na żaden środek więzów stargać nie mógł.

Nareszcie w pomoc wezwał – nie wiem kogo —
  Lecz wiem, że skoro wezwał, upior szary
Na białym koniu przeniknął go trwogą:
  Bo jeszcze w lesie mrok perłowo-szary
Panował; — upior twarz ma wielce srogą,
  Koń po kolana gdzieś w piekielne żary
Albo w krew wstąpił i tak farbowany
W mgle czerwonymi rzucał się kolany.

Czémś przestraszony był — może czuł Sawę,
  Człowieka, a sam niosący upiora,
Chciał się zawrócić gdzieś w mgły słońcem krwawe;
  Czy go brzóz białych przestraszyła kora? —
Cofał się, wspinał, i taką postawę
  Miał, jak posążny koń tryumfatora,
Co zda się leci i w lot z oczu zginie,
A nigdy ruin stojących nie minie.

Kto inny, w ludu wierzący podania,
  Pewnieby wolał leżeć tak związany,
Niż by mu duchy do więz rozerwania
  Pomogły, jasną ręką rwąc kajdany.
Lecz Sawa, który duszę miał do dania
  I chętnie by ją dał za kraj kochany,
Nie dbał. Stąd wielka bardzo dramatyczność
Poezyi, wdać się z upiorami w styczność.

Zaczął więc krzyczeć: „Hej pomoży, bat'ku!“ —
  I wnet ów stary człowiek koniem kinął,
A Sawa mu więc o swoim przypadku
  Powiedział krótko; a że bardzo słynął,
(Tę awanturę czytałem w dodatku
  Dumourierowskiéj depeszy; czas minął,
Sawy cień już mgły pamięci zasnuły,
A ten kawałek ówczesnéj bibuły

Jeszcze dziś gada o złotéj młodości
  Rycerza. Boże! gdzież proch jego ciała?
Gdzie potrzaskane wprzód kulami kości?
  Gdzie jest mogiła? — Oto w pieśni wstała
I nie brak jéj gwiazd ani zieloności,
  Jak na wesele znowu się ubrała,
I w tęczowych się darń kolorach skąpał,
Bo wié, że po niéj duch znów będzie stąpał

Ten sam... ale już o stopień mogiły
  Wyższy i mędrszy swą grobową wiedzą)
Tymczasem więzy zerwawszy, nim siły
  Odzyskał, usiadł; on i lirnik siedzą,
Gdzie w lesie wzgórek był lekko pochyły,
  Z którego źródła swe perełki cedzą;
Między brzozami usiedli i gwarzą
Na złote słońce obróceni twarzą.

O czém? — o Polsce; ona jako zmora
  Trzymała wtenczas we śnie wszystkie duchy.
Ten lirnik był to stary Wernyhora,
  Sławny podówczas, tak że i kożuchy
I karmazyny przed nim drżały wczora
  I step przed jego twarzą stanął głuchy
I krew wybuchła parami białymi
I wcześniéj srebrny miesiąc wyszedł z ziemi.

. . . .
. . . .

IV.

Potém ściemniało, bo mglistéj natury
  Był dzień — a już się tłuszczą Żeleźniaka
Po brzegach wzdęte najeżały góry,
  Sypiąc się jako plewiny z przetaka;

I step się od nich nagle stał ponury
  I w obu wojskach była cisza taka,
Że tylko koni słyszano parskanie
I wiatr w chorągwi — albo w szarafanie.

Tu mimowolnie mi duch jakiś boju,
  Czujący tych wojsk szalonych zbliżenie,
Głos mój nagina do lepszego stroju
  I moim piersiom daje szersze tchnienie;
Opiszę ten bój, ale niepokoju
  Nie będzie w rymach, choć strofę odmienię;
Bój ten batalie przypominał rządne
Sobieskich — trąby zagrały już sądne.

Pomnę, że wtenczas Potocki na sobie
  Szarafan letni miał — czerwone buty...
. . . .
. . . .

V.

Do ostrokołów przyparci, rąbani
  Jak pod kowala młotem, pod szablicą,
Cięci i nigdy niepardonowani,
  Choć złożą ręce i żelazo schwycą —
Przez łeb tak cięci, że porozwalani
  Na dwie połowy mieczów błyskawicą
Jęczą. Szlachciców obłok coraz bliższy,
A nad obłokiem pan Potocki wyższy.

Jeszcze mu swoi ludzie są na przedzie,
  On się już naprzód zapalony ciska,
Czasem na człeka lub na trupa wjedzie,
  I od całego wyższy bojowiska —
Nad głową obuch, co okuty w miedzi
  Zda się, jak piorun Jowiszowy, błyska
I wnet poleci ogniem z rąk Polaka,
A oczy jego w oczach Żeleźniaka.

A wkoło pełno spis, które drużyna
  Wkoło, dbająca o hetmańskie zdrowie,
Szablami łamie, odwraca, odcina;
  A on — z tym jasnym piorunem na głowie —
Gdy Żeleźniaka ujrzy, to się wspina
  I czasem cicho coś do swoich powie,
I znowu wspięty, cichszy, coraz bladszy
Żeleźniakowi w oczy ciągle patrzy.

Wreszcie się zaczął pan Żeleźniak trwożyć,
  Bladnąć i cofać się na ostrokoły;
Nim się obuchem mógł Potocki złożyć,
  On już przeskoczył i biegł na wądoły,
By Lachom tabor oporny utworzyć,
  Zebrawszy w łańcuch konie, maże, woły,
Kobiéty, popy, wszystko w kupę spędził,
Zwinął, wozami wkoło okrawędził

I siadł na wozie; a tymczasem Lachy
  Lecieli — bijąc w trąby, tnąc od ucha.
Tu kozak, wzięty na dzidy pod pachy,
  Podleciał w górę, krew z pod ramion bucha,
A pod nim złote proporce i blachy,
  A pod nim cała boju zawierucha —
A on w téj chwili za chorągiew służy,
Ten trup, na spisach wyrzucony z burzy...

A tam w taborze wozy płoną, dymią,
  Tam zapalone siano wstaje z jaru
Nad ginącymi pochodnią olbrzymią;
  Tam świécą resztki tęczowe sztandaru...
Spokojnie tylko trupy... zda się, drzémią —
  Na rękach leżą krwawe śród czaharu —
Bez ruchu — zda się, że z wielką rozpaczą
Padli na ziemię i śpią — albo płaczą.

A tam na wzgórzu, patrz, dziwna korona
  Téj straszliwości, stoją trzy osoby:
Był to w kolasie pop, sotnicza żona,
  I jedna, którą będę od téj doby

Pamiętał, bo mi błysła tak czerwona
Nad polem pełném jęku i żałoby,
I tak od słońca miała piękne barwy,
Jak najpiękniejsze snów straszliwych larwy.

Rozbójniczka to była, co po drogach
Wprzód rozbijała ludzi nad limanem;
Nigdy na pańskich nie postała progach
I nigdy może nie mówiła z panem;
W czerwonych była bótach, przy ostrogach
I wydawała się wielkim draganem,
Tak ją to wzgórze oczom powiększało
I koń — i popa przy niéj liche ciało.

Hudymą zwana, smagła lecz rumiana —
Widmo malarskich pędzli pewnie godne,
Wesoła, śmiała, niepohamowana,
Wyższa nad wszystkie dziewice dorodne;
Usta jak karmin, oczy jak szatana
Czarne, a piersi krągłe takie chłodne
Jakby z marmuru, a brwi jak dwa łuki,
Czarne, jak piórka zgubione przez kruki.

W uszach dwie wielkie długie z pereł dynie
Wiszą, zdaje się, że łzy rusałczane
Kapiące cicho po jagód karminie,
Zmrużone, białe, świéże i świetlane.
Taka ta była sławna w Ukrainie
Rycerka, widmo straszne, choć rumiane —
Wesołe, chociaż gotowe na szkodę,
Na mord — krew umié rozlewać, jak wodę.

Otóż na górze ta śród kilku cierni,
Na samym grzbiecie, tam gdzie błękit kona,
Stała, a na nią jacyś dwaj pancerni,
Przeciwko słońcu złote niosąc łona,
Jechali. Widząc, że są nie od czerni,
A śmierć jéj niosą, wnet się też i ona
Ruszyła, lecąc czarnym jaru grzbietem
Przeciw dwom, z szablą swą i pistoletem.

I prędzéj, niźli wam w oczach to błyśnie,
  Nim serca wasze jasne się rozczulą,
Nim je ból po tych podczaszycach ściśnie,
  Co się dziś pod płaszcz Chrystusowy tulą,
Pierwszemu, co się naprzód ku niéj ciśnie,
  W pancerzem złotą pierś uderza kulą;
A on drgającą ręką ściągnął źrebię
Własne i grzbietem wywrócił na siebie.

A ta drugiemu już sięgała grzbietu
  Szablą, który już stał prawie oniemion,
Strzaskała jemu ramię z pistoletu,
  Tak że nieborak wyleciał ze strzemion,
Swój zgon dając jéj do zgonów bukietu
  Jak najpiękniejszy narcyz lub anemon;
Młody był bowiem syn wdowy, sierota —
Wspomniał o matce i prosił żywota.

I byłaby mu piękna rozbójniczka
  Młode i miłe zostawiła życie,
Gdy nagle owa przypadła sotniczka —
  W siermiędze, jak ten strach, co stoi w życie —
A tak ją ona tam w dole potyczka
  I hajdamaków mordowanych wycie
Do krwi podżegło, że myśląc nie wiele,
Toporem siekła tak, że w Lacha ciele

Został. I właśnie pan Potocki, który
  Stanął był wtenczas, czoło swoje chłodził
I patrzał na te trzy widma u góry
  I widział topór, jak błysł i ugodził —
Choć był zajęty tabornymi mury,
  Spojrzał na szwadron, co samopas chodził,
I wzgórze szabli ukazawszy krzywcem
Rzekł: mój Piwnicki, wziąć te baby żywcem!

Wnet się Piwnicki, człowiek bardzo żywy,
  Wyprawił, z sobą niosąc strach niemały;
Gdy oto nagle owe jaru grzywy
  Grzywą się ludzi ogirlandowały —

W kołpaki i w kłos jasnych szabel krzywy
  Porosły, w słońca zachodniego strzały,
Co błysły nakształt Mojżeszowych rogów...
Słowem na grzbiecie stanął kureń wrogów.

Stanął, i zrazu jakby w okolicy
  Nowo zjawiony — zdawał się zachwiany;
Wtém pokazali się jacyś lirnicy,
  Podnieśli ręce na niebieskie ściany...
Widziałeś ich gest — od lir błyskawicy,
  Słyszałeś hasło straszne: reży pany!
I jako po niém lud straszny zaszumiał: —
Potocki widział, słyszał — nie rozumiał.

Wszakże to Sawy kureń leci, spada
  Myśli, że Sawę zobaczy na czele;
O pana Sawę wszystkich pyta, bada —
  Nikt nie wié, ani śmie zaręczyć wiele;
Tymczasem kureń ów... zapewne zdrada —
  Na Piwnickiego wpada karabele,
A tak się z góry wielkim pędem toczył,
Że potratował szlachtę i przeskoczył

I biegł. Żeleźniak także z drugiéj strony
  Wstaje i zbiera lud, rozpina wozy.
Wtenczas Potocki widzi, że zgubiony,
  Że przeciw sobie ma już dwa obozy:
Zwołał więc trąbą goniące szwadrony,
  I lejąc prawie z oczu gniewu ślozy
Wracał na dawne swoje stanowisko,
Na owo smętne przy kapliczce rżysko.

Lecz tam trzeciego widzi wroga! Spity
  Lud zbrojny w koło kapliczkę oblewa;
Z nożami stoją chłopy i kobiéty,
  Kapucyn zdjęty i Szmigielski z drzewa,
Z obu odarte szaty, grzbiet odkryty,
  Kilku zakłutéj szlachty także ziewa,
Słowem — z trzech stron . . . . .
. . . .

Działko kieruje chłop, na szlachtę samą
  Obraca, szyki znów Żeleźniak zbiera —
Wkrótce to pole będzie krwawą plamą,
  Zwierciadłem, gdzie się śmierci trup przeziera...
Słońce się zdaje wielką dla dusz bramą —
  Większeje .. zda się, płomienie roztwiera
I czeka na bój drugi, jeszcze krwawszy,
By poszło... duchy rycerzy zabrawszy...
. . . .
. . . .

VI.

I patrzcie, co to jeden człowiek może,
  Gdy duchem, gwiazdą na świata się kirze
Zapali. Jechał przez burzanów morze
  Kozak już stary; na mglistym szafirze
Rysował się tak, jak upior — a boże
  Wiatry mu grały u siodła na lirze;
On jechał, zda się, obumarły, śpiący,
Blady — na białym koniu trup grający,

Bo rąk nie ruszał ani ust... natężył
  Ducha i prosto szedł na walki pole;
Zda się, że myśli swe wszystkie zorężył,
  Ubrał w pioruny i w skrzydła sokole
I wysłał... i duch kozacki zwyciężył
  I przeląkł — sobą samym. Miał na czole,
Zdaje się, jakąś gwiazdę upiornika,
Oczy jako dwie pieczęcie z krwawnika.

Możeto słońce o szkło się źrenicy
  Odbiło, i tak łyskało straszliwie,
Że się Śmilańscy zlękli rozbójnicy
  I stali, w strachu błądzący i dziwie.
U hajdamackiéj się tylko dziewicy
  Znalazła śmiałość, że się sama chciwie
Naparła jechać, by donieść najwierniéj,
Czego ten straszny znachor chce od czerni.

Potocki także jednego dragana
  Wysłał, by starca obronił w potrzebie.
Tymczasem młoda Hudyma, rumiana
  Jako brusznica, rzucając za siebie
(Pewnie w parobku jakim rozkochana)
  Oczy i śmiechy, którym nie pochlebię
Mówiąc, że były tak głośne i śpiewne,
Jak w lasach, kiedy jękną nimfy drzewne,

A potém echo gra kaskadą dużą
  Tonów — śmiejąc się za siebie, zjechała,
Gdzie lirnik stary nad krwawą kałużą
  Stał, a klacz jego srebrna w krew patrzała.
Tamże się słońca jakieś we krwi nurzą,
  Tamże z czerwieni para jakaś biała
Wychodzi, długich pilnując łańcuchów,
Jako girlanda straszna srebrnych duchów.

I coraz bardziéj czar się ten czuć dawał,
  I coraz szerzéj rozchodził po jarach;
I, zda się, księżyc wywołany wstawał,
  I, zda się, mocniéj czerwienił w oparach;
Zda się, że starzec tam konia napawał,
  A z koniem jedno był, oczy miał w żarach,
Coraz straszniejsze, a coraz mgła biała
Gęściejsza przed nim i za nim wstawała.

W tych mgłach, którymi już byli okryci,
  Zaczęły polskie szyki rzucać pole,
A nie gonieni byli i nie bici
  I poszli zaraz, jedni na Podole,
Drudzy — już boju z Kozakami syci —
  Do Turek . . . .
. . . .
. . . .

VII.

Dzisiaj podróżny przejeżdża te stepy
  I nie wié o krwi, co się na nich lała

Przed laty ścieżką, gdzie dziad ciągnie ślepy
  I skrzypią maże, pył ćmi, słońce pała,
Rzeki gdzieś daléj błękitnieją, krepy
  Z czarnéj szarańczy ćmią się.... Dawna chwała
Już zapomniana; serce tylko nuży
Pól jednostajność, tesknota podróży.

Duchy gdzieś poszły i nie powiedziały
  Swoich boleści tym, co po nich wstaną —
Ach! nie dlatego, by zemsty nie chciały;
  Ale że z myślą bolem obłąkaną
Nie mogły mówić — albo by jęczały
  Mówiąc; lub chwaląc się serdeczną raną,
U Boga by swe straciły zasługi
I swój anielski rząd. Dziś wiek już drugi

Zaczął się: oni jeszcze zadziwieni,
  Że nikt nie wspomniał imion, nikt nie słucha,
Co oni mówią, gdy zorza rumieni
  Laski brzozowe, kiedy się głos ducha
Z aniołem pańskim na stepach ożeni
  I ciągle płacze; kiedy wiatr odmucha
Osiny, i liść ów srebrny pokaże,
Co tak w księżycu lśni, jak duchów twarze...

Ach! kiedy także wyjdą w step i staną
  I gdzieś na wioskę spojrzą, dawniéj swoją,
Gdzie żyto gnie się falą kołysaną,
  Gdzie ciche dwory pod lipami stoją,
Gdy ujrzą dziatki rumiane pod ścianą,
  Które się dziada z lirą srebrną boją,
A już nie wiedzą, co to dawne lutnie: —
O! jak im cicho... tym duchom, jak smutnie!

Nawet gdy ujrzą zaszczepione drzewko
  Przez siebie w sadzie, a dziś już stuletnie;
Nawet gdy wróble ze srebrną podszewką
  Lecą — i słońcu w takt migają świetnie,
Jak gdyby jaką niewidzialną śpiewką
  Takt miały dany — i w gorąco letnie

Spadają w gęste korony czerechów,
By harfy srebrne, pełne swarów, śmiechów:

O jak im smutno! bo oni nie mogą
  Odlecieć daléj, aż odlecą z nami —
Taki takt w locie, nim się loty wzmogą,
  Poeci muszą uczynić pieśniami,
Jak tym wróbelkom czyni Bóg... O! srogo,
  Srogo nas uczy Bóg i krwią i łzami
Latać nad domy i pola i sady,
Wydając jeden boży ton z gromady.

Lecz do powieści!.. Gdzież mój stary Grusza,
  Cześnik? Co zrobił z oddzielną komendą?
Czy się gdzie w boju jeszcze zawierusza?
  Czy mu już Parki wrzecionami przędą?
Choć szorstkie ciało, piękna w sercu dusza!
  Byłaby szkoda, gdyby ci, co będą
Jak on na stratę komenderowani,
Tak nie umieli jak on paść... nieznani!

Z hufcem się swoim wyprawił, i w długi
  Jar wjechał ów-to za Sasów dygnitarz;
Więc jar ów ciemny, wzięty we dwie smugi
  Gór, tak się ciągnął, jak czarny korytarz;
We środku strumień srebrny, co kolczugi
  Odbił, a daléj... jak to sam wyczytasz,
Były przez chłopów położone tamy
Wodzie, co w srebrne rozlała się plamy.

. . . .
. . . .

PIEŚŃ VII.

Cieszmy się w Bogu, i niech ta pociecha
  Poematowi mojemu odbierze
Te smutku wiecznie wtórujące echa,
  Gdy o przeszłości grzmi harfa. Grabieże,
Mordy — rzeź, krwawa Gruszczyniecka strzecha —
  To wszystko są sny... Korsuńscy rycerze
Także nie więcéj mają życia w sobie,
Jak ognik z trupów tańczący na grobie.

A jednak dziwna jest piękność w oddali
  I w perspektywie poetycznéj. — Sawy
Kozacy szli po moście i błyskali,
  Bo zachód słońca właśnie świécił krwawy;
Lirnicy w liry swoje dziko grali,
  W Korsuniu pełno zgiełku, gwaru, wrzawy;
Dziedziniec pełny żydów i cyganów,
Szlachty, kozaków, żebractwa i panów.

Pod śliwą właśnie stoi prosta ława,
  Na niéj Potocki regimentarz siedzi,
Jak Sułtan, z wielkim bursztynem — pan Sawa
  Zdjął kołpak, stanął jak wykuty z miedzi;
Twarz jego smutna i od słońca krwawa;
  Chciał mówić .. z własnym językiem się biédzi,
Spojrzał w około... o Boże litości!
Gruszczyński siedzi stary pośród gości...

Na jego twarzy spokojność wesoła,
  Zapewne nie wié nic o własnym domu;
Pewno wyjechał przed porankiem z sioła.
  Żeleźniak z wieścią nie dał ujść nikomu ..
Nad spokojnością srebrzystego czoła
  Zdała się wisieć chmura pełna gromu.
Sawie się zdało, że trupa zobaczył —
Odszedł — białego konia rozkulbaczył.

Łzy strąca z oczu i klnie — a tymczasem
  Potocki wielką gotuje wyprawę
Na hajdamaków, co pod bliskim lasem
  Obozy swoje rozłożyli krwawe.
Z ranną mgłą myśli napaść i z hałasem,
  Jak wrony, kiedy lecąc czynią wrzawę.
Ledwo na zamek spadły mgły wieczora,
Zaczął czarować kule Wernyhora.

Zamek zabłysnął we środku czerwono
  Od wielkich ogni, gdzie lano ołowie;
Skry ognia, Nimfy, ognistą koroną
  Wirzą się, wieżom siadają na głowie —
Płynących się chmur oczerwienia łono;
  Czasami gwiazdy — jako aniołowie
Przez czerwień chmury spojrzą srebrną twarzą,
Czasami skrzydło albo miecz pokażą.

Starzec trze lirę krwawą i wybucha
  Z strun nieruszonych jakaś pieśń złowroga,
Tajemniczego pełna w sobie ducha,
  Zakrwawionego pełna w sobie Boga...
Szlachta na szablach swych oparta słucha,
  Kozactwo czasem odwrzaśnie; aż trwoga
Pada na pany, co przy stole siedzą
I smaczno chłodnik zabielany jedzą,

Jak Leonidas — co czarną polewkę
  Jadł... w Termopilach. To mi porównanie
Przerwało nagle moję dziką śpiewkę,
  I żmudne ludzkiéj gliny pozłacanie;
Żupan tych ludzi musiał mieć podszewkę,
  Albowiem złoto było na żupanie;
A jednak widząc, co jest dziś z narodem,
Boję się... aby wiatr nie był pod spodem

Żupanów. — Ja sam pilnie się otulam,
  Aby nie podjął wiatr żupanu ducha —
Dlatego z myślą gdy najbardziéj hulam,
  Pod myślą są łzy .. łzy — nie żadna skrucha!

Nad zabitymi ja się nie rozczulam,
  Chyba że ogień z mogił ich wybucha,
Jak te Mojżesza iskier piramidy,
Co do ojczyzny wiodły nowéj — Żydy...

Z tych ciał otrutych przezemnie zgnilizny
  Sądzę, że taki słup płomienny wstanie
I zaprowadzi żywych do Ojczyzny
  Prędzéj, niż prorok... i wyspowiadanie
Emigracyjnych wnętrz... Są różne blizny,
  Których rozcięcie i poodmykanie
Więcéj dobrego zrobi, jak ja sądzę,
Niż dowiedzenie przez księży, że błądzę.

Wreszcie potrzeba czasu w różnych rzeczach,
  Już jedni leżą, drudzy jeszcze klęczą
Na wulkanowych czołach i na mieczach
  Przed jakąś dziwną niewidzialną tęczą;
Co do mnie, ufam w słowiańskich narzeczach,
  Że Boga w służbie wojskowéj wyręczą,
I *Narodowy Dziennik* z całym dworem
Nie będzie nigdy niebios Monitorem,

Ani wojskową gazetą... Sam nie wiem,
  Dlaczego mówię tak... lecz mam przeczucie;
Czuję trumnianym pachnący modrzewiem
  Naród, i w trumnie grające zepsucie...
A jednak — pod tym mogił chwastem, plewiem,
  Jest jakieś dziwne, ciągłe, głuche kucie,
Pod narodową słyszane mogiłą,
Jak gdyby serce ludu w kamień biło.

W północy — wstają mi włosy na głowie,
  I zadziwiony słucham — i to słyszę,
Co muszą boscy słyszeć aniołowie —
  Jakąś okropność przyszłą, co kołysze
Światem... i miastom zapala na głowie
  Straszne korony... Czujcie (ja wam piszę
Z ciemnego duchów świata list przestrogi)
Ludy, bo wkrótce będziecie jak Bogi.

Co rozwiążecie wy w żelaznéj dłoni,
  To rozwiązaaném będzie... już na wieki.
A kto odejdzie od was — gdzie się schroni?
  Z was będą góry, doliny i rzeki
I morza, które wiatr na słońce goni;
  Z was port zatraty będzie i opieki,
Z was będą cienie jak morza rozlane
Z was nad morzami słońca latarniane!...

Czujcie! bo tętno już waszego chodu
  W uszach wysokich ludzi — grzmi wyraźnie.
Na górach z cegieł i na igłach z lodu
  Słuchałem... a duch swoję wyobraźnię
Przestroił wówczas na harfę narodu,
  Me nienawiści dawne i przyjaźnie
Poddając twardéj jedności... dla tego
Myśli me same się gryzą i strzegą.

Nie wy, Cheruby, co miecze z łuczywa
  Macie, z papiéru złotego przyłbice,
Których nie Pan Bóg, lecz człowiek używa,
  I wami sławy wysokiéj kaplice
Oszyldwachuje... przed tym, co się wrywa
  Jak wiatr, i w oczach niesie błyskawice,
Nie wy, brytany, wejścia mi bronicie!
Ja jestem gwiazdą życia — co o świcie

Skąpana w krwawéj jutrzence wychodzi
  Różana — a dzień będzie wtenczas biały,
Gdy ja zagasnę. — Duch w cierpieniach rodzi
  I w gniewie — ale w gniewie tak wspaniały,
Jako Bóg chmurny, gdy piorunem godzi
  W najwyższe czoła alpejskie i skały.
Kto chce w pioruny wstąpić i w błyskanie
I śnić to, o czém śnię... niech przy mnie stanie!

Na tych wyżynach ducha jest ponura
  Dla serc stroskanych cisza; tu ja czerpię
Ogień i maczam w ogniu orle pióra;
  Tu na księżyca rumianego sierpie

Piękności dawnych nieśmiertelna córa
  Rozwidnia oczy me, a kiedy cierpię,
Przeszłości dawnéj cień na szczycie skalnym
Stawia i czyni przedemną widzialnym.

Tak widzieliście próchnem wysrebrzone
  Dębów umarłych wnętrza — i kaplice,
Rumaki białe w polach wystrzelone —
  Kozaków — księży — szlachtę i dziewice.
Ariost by patrzał sam na te szalone
  Miłostki, boje, szturmy, nawałnice,
Rycerzy przy kielichu i w podróży,
Którym za cały czar — fantazya służy.

Zaczarowanych palm tu nie ma wcale;
  Dęby i sosny i brzozy rodzime
Odbite w stawów podolskich krysztale
  Reprezentują mi nową Solimę.
Z krzyżami złotych miast i wież nie walę,
  Dla prawdy nagiéj wielką mam estymę,
Do rymu nigdy sensu nie naginam,
Nie tworzę prawie nic, lecz przypominam.

Więc Mnemozyno, pomóż... niech przypomnę,
  Gdzie mój bohater został? — Rzecz nie lada!
Człowiek, co takie podróże ogromne
  Odbył, ten musi jeździć jak ballada
Na upiorowym koniu: siodło skromne,
  Dwie kości na krzyż, a tam gdzie się siada,
Mała czaszeczka ludzka, co wyszczérza
Oczy błyszczące, jak żar, z pod rycerza.

Siodła dziś takie w modzie, oraz z czaszek
  Robione w modzie są dzisiaj puhary;
Ja sam się złowić raz dałem jak ptaszek
  I piłem z trupiéj głowy tokaj stary;
O czém tak wiele już było baraszek,
  Że... daléj, pani Muzo — okulary
Tęczowe włóż mi na nos; niech wypatrzę
Znów bohatera mego na teatrze

Wypadków. — Szekspir mówi, że to życie
  Scenicznym bardzo jest podobne zmianom;
Bóg, jako wielki widz, siedzi w błękicie;
  Suflerstwo dawnym zostawił kurhanom.
Mimo to jednak jest bardzo obficie
  Złych dram... a piérwsze role, dane panom,
Najgorsze! — smętną uderzeni stalą,
Bez żadnéj rzymskiéj gracyi z nóg się walą.

I gdyby u nóg kochanek, wpatrzeni
  W oczy błękitne albo w czarne oczy,
Rzucali duszę swą pełną płomieni
  Z harfy westchnieniem — Lecz nie... czerw ich toczy!
Śmierć ich zastaje w szambelańskiéj sieni
  W zielonym fraku!... czasem ich przeskoczy
W biegu tańcząca królowa szkieletów,
Takie zrobili niskie progi z grzbietów!

Ale czas wrócić już i do porządku
  Przywołać rymy, chodzące samopas;
Poemat mój szedł tak dobrze z początku,
  Kiedy był głodny — teraz, kiedy popas,
Zdaje się, że mu znów zabrakło wątku.
  Każda z tych moich strof jak blady topaz
Oszlifowany w różne kostki rymu...
Lecz muszę z panem Beniowskim do Krymu.

Gdzieżem zostawił go? — Tak! przy księżycu
  Ujrzał rycerzy błędnych koczowisko;
Zbroja błyszczała na jednym szlachcicu —
  Zbyt rzadkie na ten już wiek widowisko.
Beniowski z miłym uśmiechem na licu,
  Widząc, że kuchnia była bardzo blisko,
Zsiadł z konia i rzekł: — Czy wolno zapytać,
Kogo mam honor i przyjemność witać?

Na to pancernik gruby, lecz ostrożny
  Jak Litwin: — A Wać kto sam, Mości Panie? —
— Jestem Beniowski, rzekł, patrząc na rożny
  Rycerz. — Tu drugi rozpoczął śpiewanie

Opowiadając, że się zwie Wielmożny
  Borejsza, że ma wielkie zachowanie
U Radziwiłła i wieś do przeżycia
I bardzo grzmiącą w Litwie sławę — z picia.

Dodał, że posłem jest, do Krymu jedzie
  Zaprosić Khana w całe sto tysięcy
Tatarów, wrzkomo tylko na niedźwiedzie,
  Tylko na białe niedźwiedzie, nic więcéj.
W tym sensie książę Karol po obiedzie
  Ręki swéj własnéj mordując książęcéj,
Napisał list do Khana, w najdziwniejsze
Esy... i z listem wyprawił Borejszę.

Przydał mu także Tatara z pod Waki,
  Syna jednego Mołły, na tłómacza.
Są to od dawna zagnieżdżone ptaki
  W Litwie: lud prosty, lecz jeszcze oracza
Pozłota wschodnia trzyma się — i znaki,
  Które na twarzach rycerstwo wytłacza,
Widome dotąd, z wieśniaczego lica
Błysną, jak krzywych mieczów błyskawica.

Gdy ostrzy kosę taki Tatar stary,
  To nieraz stanie i w dźwięk się zasłucha;
Sosny mu wtenczas szumią, jak sztandary,
  A chmury w oczach, jakby skrzydłem ducha
Mahometańskich wojsk pędzone mary,
  Idą na północ; a gdy kosa krucha,
Osełką tarta, na puszczę zabrzęczy —
Allach! il Allach! z puszcz, jak echo jęczy.

W Tatarze wtenczas jak w ognistym ptaku
  Palą się oczy — stepy przypomina
I słone jakieś jeziora Kipczaku,
  O których tylko wieść z ojca do syna
Przeszła po mglistym i tęczowym szlaku,
  Który nad głową ludu już zaczyna
Gasnąć i zorzę zdejmować różaną —
Aż w ciemnéj nocy — bez pamiątek wstaną.

To wtenczas próżno już śród mogił pola
  Głupim poetom budzić lutnię smętną;
Zostawić lepiéj ją skrzydłom Eola,
  Nieprzewidziane z niéj dobędzie tętno;
Lub skowronkowa ją przyszłości rola
  Zaśpiéwa pieśnią dziwną, nienamiętną
I tak spokojną, jak wiośniane szmery,
I tak wysoką, jak grające sfery.

Taką pieśń dziwnéj do smutku podniety
  Śpiéwają czarny modrzew z czarnym cisem,
Tuląc skrzydłami wygnańce. Meczety
  I groby z dawnym koranu napisem,
Kamienie z ziemi tak podniosły grzbiety,
  Jakby wstawały na sąd przed Eblisem,
Wszystkie na słońce obrócone wschodnie,
O wschodzie błyszczą z trawy, jak pochodnie.

W powietrzu smętny półksiężyc blaszany
  Do nieba zda się wznosić srebrne ręce,
Za grobowcami prosząc, co z pod ściany
  Meczetu, jako pochodnie jarzące
Palą się ogniem do Pana nad Pany,
  O jego życiu i ranach i męce
I o tém, jako z ludzi był najkrwawszy,
Piérwszy raz głucho w ziemi usłyszawszy.

Każda tych liter nieznajomych zgłoska
  Zda się w ten kamień coraz głębiéj wrywać.
Jeśli to prawda, Rodzicielko Boska,
  Że umiem serca zranione odkrywać:
Ty na ten księżyc, który się tak troska
  O groby swoje, musisz przylatywać
I w ogniu zorzy, jak róża Jerycho,
Na tym meczecie smętnym kwitnąć cicho.

Z twarzą do nieba wzniesioną, śród lasu,
  Nad muzułmańskim cmentarzem ty stoisz
I słuchasz sosen smętnego hałasu,
  A złotą z twych rąk rosą kwiaty poisz,

Aż groby życia płaczące i czasu
Ty spokojnością swoją uspokoisz,
Jak smutny obóz kamiennych namiotów,
Ten smutny cmentarz bez bram i bez płotów.

Przy jednym z takich cmentarzy syn mołły,
Pan Abdulewicz Hamet się wychował.
Potém go ojciec dał, by pańskie stoły
Nakrywał, pańskie kolana całował.
Młodzieniec wyszedł z Radziwiłła szkoły
Jak flet przedęty; dzikie serce schował
Głęboko w piersi przed szlacheckim gminem;
Pierś — Radziwiłła nakrył karmazynem.

I myślał, że już jako kuropatwa,
Gdy głowę w śniegu pochowa i oczy,
Myśli, że już ją pies ani też dziatwa,
Idąc z podjazdem, nie dojrzy, przeskoczy;
Tymczasem w śniegu skryć się rzecz niełatwa,
Ani też rybie w lodowéj przezroczy
Znaleść schronienie przed rybaka ością,
Ni wśród pijaków ukryć się — z miłością.

Łatwiéj wulkanom wybuchnąć na morzu
I znowu cicho stać pod falną skałą;
Łatwiéj kwitnącym różom na bezdrożu
Niebiosom liście i woń oddać całą,
Niźli na pańskiém pijackiém przydworzu
Przed ludźmi miłość jasną i nieśmiałą
Ukryć! Tém bardziéj tę strofę zaostrzę,
Mówiąc, że w księcia się zakochał siostrze...

Przypadki takie są zbyt gęste: Tasso —
Żukowski, ruski belfer i poeta,
Który balladę odział wielką krasą —
Podług mnie jeszcze nie wielka zaleta...
W rosyjskich rymach trąci skwierne miaso,
A wiersze są — jak pasy zdarte z grzbieta
Knutem... prześliczny język, ale razem
Pachnie mi żywém mięsem i Kaukazem!

Lecz język piękny, pełny dyjamentów
W Puszkinie, w panu Sękowskim podłości.
Dziś, jak słyszałem, pisze pan Lermentów,
Który pół życia na Kaukazie gości —
Takich do niego car doznaje wstrętów,
Do niego i do laurowéj parości,
Która nietknięta nożem i nożycą
Może róść i być kiedyś — . . . .

To o poetach ruskich. — Car jest wspólnik
Poetów, jest Minosem, Estetyką,
Szleglem; na niego patrzy pan Kukólnik,
Tragedyą jaką zamyślając dziką,
Za sceną bowiem stoi karaulnik [1])
Z ogromną pałką, szablą lub motyką,
Z kibitką, z wielkim budników ogonem,
Jak Débats i Jules Janin z felietonem.

Benkendorf-Review, pismo zdrowych sądów
Największy robi ruch w czasowych gwarach,
I sądzę, że ta konnica z wielbłądów
I z krzywych bladych ludzi w okularach,
Którą zjadł piasek nadkaspijskich lądów
I ziemia w spiekłych pochłonęła szparach,
Owa konnica do Chiwy dramatów
Posłana, była wojskiem z literatów.

Czysty Furyeryzm [2]) i zastósowanie
Falang do krajów nieznanych zdobycia!
Szkoda, że w piasku zginęli bałwanie
Ci w kutach ludzie biedni, co odkrycia
Mogli porobić ważne. — O! Słowianie!
Długoż pod knutem wytrzymując bicia,
Drżąc jak otruty pies, co tylko skomli,
Będziecie słuchać grających na dromli

---

[1]) Żołnierz na warcie. [2]) System społeczny wymyślony przez Karola Fourrier. *(P. W.)*.

Poetów?! — Piszczą, jak pod korkiem szklanka,
  Na jakąś dziwną nutę, niby świéżą;
Prawda i piękność stoi jak wygnanka,
  Harfa się stała skrzypką, urna dzieżą.
Tam znów uczony miły Czech, pan Hanka
  Pieczętuje się . tu mi nie uwierzą
Hermafrodyty Słowiano-Polacy,
Że na pieczątce Hanki są — Kozacy!

Pod Kozakami służy mu za motto
  Słóweczko małe, lecz bardzo dobitne:
Въ передъ... Nadzieja jest nadzwyczaj złotą
  I mędrca w sfery unosi błękitne.
Chciałbym, ażeby — nim mu Parka Kloto
  Nić życia i badania starożytne
Przetnie -- ażeby mu zrobili rajem
Ten świat Kozacy jego dwaj — z nahajem!

Nie wiele żądam: aby w jego domu
  Postojem tylko stanęli dwaj Dońce!
Bóg widzi, złego nie życzę nikomu
  I tych, co ludom zapalają słońce
Laurami, radbym ochronić od gromu;
  Innych, co jako piekła są obrońce,
Radbym uczynić na tém lauru drzewie
  Liściami... Strofę tę pisałem w gniewie —

Czy zmazać?—nie! na Boga! niechaj stoi
  W dantejskich moich strof gryzącym tłumie!
Czech, co Kozaków myślą w Renie poi,
  Choć Niemiec, może głos ludzki zrozumie.
Ja wracam pod las, gdzie rycerze moi
  Jedzą—przy dębów rozwahanych szumie•
Siedząc na srebrnéj księżycem lewadzie,
Kwiatami wonnéj. Już miesiąc się kładzie

Do snu, a oni jeszcze zgodnie gwarzą,
  Jakito będzie wiek dla Polski złoty,
Gdy z niéj Barszczanie całą hańbę zmażą,
  Wyrzucą Moskwę i króla za płoty.

Tatar, na księżyc obrócony twarzą,
Przemawia hymnem czarownym tęsknoty
Do miesięcznego blasku, i uśmierza
Serce słowami wielbłądów pasterza.

O! ileż razy, ognisty proroku
Boga, śród twoich wielbłądów klęczących,
Z księżycem srebrnym w rozgorzałém oku,
Musiałeś dumać tak, gdy z fal gorących
Wychodził krwawy par nakształt obłoku
I szedł po stepie... Królu konających,
Wiara twa odlatuje i zostawi
Hymn taki smutny, jak echo żórawi!

Wkrótce Słowianin z twoich wież postrąca
Śpiewaki, Boga śpiéwające imię;
Z wież twoich zrzuci białe półmiesiące,
Na piersiach twoich odalisk zadrzémie.
Na falach twoich twoja flota drżąca
Stoi, jak wojsko upiorów olbrzymie;
Chciałaby zakryć twoje piersi całe
Spróchniałym żaglem — królestwo spróchniałe.

Próżno — o próżno! rany tajemnicze
Rozryły twoje nieszczęśliwe ciało;
Twoje mi śmiercią już blade oblicze
Umarłych moich ojców przypomniało
I tę godzinę, gdy byli pod bicze
Dani, jak Chrystus .. i gdy w nich konało
Serce... i gorszą jeszcze, niż skonanie,
Tę — gdy przestali wierzyć w zmartwychwstanie.

Przez podobieństwo śmierci, przez tę ciszę,
Co się nad tobą teraz rozpostarła,
Zabłądzonemu w twoich palm zaciszę
Serceś mi wzięła, moje łzy wydarła!
Meczetów twoich płacz wieczorny słyszę,
I po tym śpiewie wiem, żeś nie umarła,
Ani się podłém ulęknieniem spodlisz,
Bo patrzysz w słońce i o śmierć się modlisz!

Niech ci zgon będzie słodki — a w pustyni
  Pod namiotami kiedyś Arab stary
Powieścią swoją wielki płacz uczyni,
  Twe księżycowe śpiéwając sztandary,
Gdy z wiatrem nieśli je Salahedyni
  Przeciwko złotym krzyżom innéj wiary.
Araby ogień obsiędą stepowy
I będą słuchać, smutne chyląc głowy;

Lub zapatrzeni w jasnych gwiazd orszaki,
  Które od wieków nie zmieniły chodu
I są dla ludów rodzonych, jak znaki,
  I takie same po zgonie narodu.
Tymczasem płomyk wstający z kulbaki
  Palcami gasi olbrzymi król lodu —
I gaśnie państwo białego księżyca,
Jak w poemacie *Dziadów* druga świéca.

Pieśń moja gaśnie także, z téj posępnéj
  Barwy nie mogąc wyjść na blaski świtu;
Smutek ma w sobie tyle siły wstępnéj,
  Że coraz wyżéj w krainy błękitu
Prowadzi — a więc do pieśni następnéj
  Odsyłam wszystkich ciekawych pobytu
Ambasadorów moich śród meczetów
I gór, co mają wszystkie kształt sonetów.

Więc tu, kochany czytelniku, chciéj się
  Zatrzymać nieco, odpocząć wraz ze mną.
Jeśli wesoły jesteś — z ludzi śmiéj się;
  Jeżeliś smutny, wiédz, że się daremno
Smucisz. Gotuj się być na Kikinejsie
  I Czatyrdachu; w noc zupełnie ciemną
Samego z moją Muzą cię zostawię,
Jeśli przyrzeczesz, że... (żałuję prawie,

Żem wyrzekł) jeśli przyrzeczesz na cienie
  Ojców, że... zresztą, jako chcesz: dość stara,
I panna!.. zaraz mówi o hymenie,
  Za gorsem kontrakt ma ślubny; Ikara

Złowiłaby za skrzydła i sumienie;
  Zaraz się pyta, jaki twój ród, wiara,
Majątek... i wnet łączy się akordem;
  Mówią, że już raz była za milordem.

Tak mówi *Dziennik Narodowy;* — przeczę!
  Ostrzegam wszystkich was, że jest dziewicą!
Nawet zaręczam... Lecz oczyma piecze,
  A głowę nosi swą pod błyskawicą.
Dlatego chociaż mnie przed ołtarz wlecze,
  Wolę w ciemności żyć, niż z taką świécą
Usque ad mortem... kirielejson kirie!
Nie żonę mieć przy sobie — lecz Walkiryę.

PIEŚŃ VIII.

Jak zajechali me ambasadory
  Do Krymu, nie wiem; ale pan Borejsza
Mówił, że spotkał na stepie upiory,
  Dropie, limany, a rzecz najdziwniejsza,
Z bodiaków wielkich i kolących bory.
  Od których puszcza białowiejska mniejsza;
W téj puszczy wielkie skrzydlate połosy
I ludzie, którzy mają płaskie nosy.

Późniéj to w Litwie o swojéj podróży
  Mówiąc, jak Ariost jaki nierymowy,
Mówił, jak okręt pośród wielkiéj burzy
  Płynąc podpiérał i dopłynął zdrowy.
Jak spotkał rybę, co łeb miała kurzy,
  A zresztą była kobiétą prócz głowy,
A ogon wielki gdyby u Sylena —
Szlachta krzyknęła wnet, że to Syrena!

Na co Borejsza zgodził się — u stołu
  To było — wtenczas wszystko prawdą zda się;
Mówił, jak chciano go chmurą popiołu
  Zdusić na wieży, a on się po pasie

Spuszczał, tnąc w górze ten pas, a u dołu
  Sztukując; potém napomknął w nawiasie
I od niechcenia, że téj sztuki sztucznéj
Przyczyną był — mąż jeden trzy-buńczuczny

I rogal; bowiem o jednę godzinę
  Spóźnił się ze swą popiołową wieżą.
Tak mówiąc, wino połykał i ślinę,
  Mrugał oczyma: Niechaj mnie uderzą
Pioruny, jeśli kłamię! — niechaj zginę!
  Zaklęcia, którym dziś nie wszyscy wierzą...
Lecz w owym czasie dobre i bezpieczne
Śród ludzi, którym już dziś światło wieczne

Przyświéca. — Mówi wszakże pan Trentowski,
  Że nie należy kłamać... ja tak sądzę;
I ten poemat drukując bez troski
  O duszę moję, nigdy w nim nie błądzę;
Wszystko jest albo prawda, lub sen boski,
  Przez odemknięte słoniowe wrzeciądze,
Jak mara z tęczy, z niebios wychodząca
O cichéj porze, przy blasku miesiąca.

Zamykam oczy i widzę i piszę,
  Co widzę. W jednym zrujnowanym khanie,
Przy którym smutna palma się kołysze,
  I źródło szmerem swym radzi na spanie...
— Wszystko na wschodzie ma ogromną ciszę,
  Wszystko ze światła złotego ubranie,
Mury ze złota zdają się, choć gliną
Są oblepione i grożą ruiną.

Na murach dziwne desenie lekkości
  Przydają wieżom i ruinom wdzięku;
Wszystko się zdaje ze słoniowéj kości,
  Że od nimf było niesione na ręku
I postawione śród palm zieloności
  Cudownie, śród harf aniołowych dźwięku,
Jak ta w Lorecie Matki Boskiéj skała,
Która na skrzydłach złotych przyleciała.

W khanie więc, który dawniéj był moskitą,
  Dziś khanem (tak się zwie karczma na wschodzie)
  Pod jedną wielką framugą rozbitą,
Gdzie wiérzchem niebo w słonecznéj pogodzie,
Jak turkusowy szlak, albo koryto
  Szklane, zrobiony wodociągów wodzie,
Spokojnie płynie nad głową podróżnych:
Ambasadory w kształtach bardzo różnych

Ci leżą, inni siedzą — trzech ich było,
  I czas spędzali swój nienajzabawniéj;
Serce w nich troską, utrapieniem biło,
  I chléb swój własny jedli najniestrawniéj,
Polskę czuć było już wtenczas mogiłą,
  Nie przyjmowano już posłów jak dawniéj,
Lecz jak żebraka albo jak natręta.
Witały małe w ruinach ptaszęta:

Wróbel wesołém witał świergotaniem,
  Może dlatego, że jadł kiedyś zboże
Polskie; jaskółka, że pod stalowaniem
  Polskiém rodziła się przy jakim dworze;
Jeżeli żóraw — to z powinszowaniem
  Przyleciał, spytać na cudzym ugorze
Posłów w podartym chodaku i szacie,
I smutnym śpiewem wrzasnął: — jak się macie?

O! miecza w ręce... jeszcze raz! i na te
  Krainy dajcie runąć z krzykiem Huna!
Wróćcie nam, groby, husarze skrzydlate,
  Niech nam Czarnieckich całych odda truna!
Godzinę tylko, Boże, niech brodate
  Z mogił powstaną dzieciny Peruna
I hej! przez dawne Atyli bezdroże,
Godzinę tylko życia, wielki Boże!

Próżno! — w téj ciemni, w tym grobowym lesie[1])
  Głos ludzki nie ma echa. — Hej szlachcice!

[1]) Te dwie strofy odmiennie drukowane autor po napisaniu przekreślił. *(Przyp. Wyd.)*.

Poemat mój wam laur na tacy niesie
Jak lokaj. — Chciałbym także, aby fryce
Warszawscy, którym dziś tańcować chce się,
Mogli w me wiersze spojrzeć, jak w miednicę
Pełną różanéj wody — dziś usiadłem
Z chęcią, ażebym był wody zwierciadłem.

Zamyślam kilka krawieckich przepisów
W mym poemacie dać — dla was, dandysy
Polskie, podobni dziś jeszcze do flisów
Ubranych w Gdańsku; będą to przepisy,
Które przemienią was prosto w Narcysów.
Jeśli z was który ślepy, krzywy, łysy,
Niech się nie skarży na los bardzo twardy;
Poniatowski miał cudze bakiembardy...

Za tę godzinę, ja odam ci... Nie wiem,
Co mógłbym oddać Bogu?.. Anioł zgonu
Przyjdzie po wszystko i pod różokrzewiem
Albo pod liściem drżącego jesionu
Położy żądzy spalone zarzewiem
Ciało bez żadnéj myśli i bez tonu,
Serce bez bicia, oczy bez światłości,
I zostawi tu nad niém... dusze kości.

Dwie są albowiem podług Niemców: jedna
Duchowa, leci od ciała daleko;
Druga się błąka tu nad ciałem, biédna
Płacze, Styxową przedzielona rzeką
Od siostry.. aż kto pacierzem wyjedna
Lub ją anieli od ciała odwleką
Za włosy z cichéj, różanéj mogiły:
Tak kocha ten dom młodości i siły...

Ten wiersz z Homera kradnę, ten ostatni.
Niegdyś płakałem nad nim... Zdaje mi się
O Sarpedonie mówi śpiewak, bratni
Mickiewiczowi — ale miał w kirysie
Rycerzy, którzy byli bardzo stratni
I szafowali siłą, życiem; gdy się

Zmienili troche Litwini dzisiejsi,
Będąc troszeczkę lepsi — ale mniejsi!

Jednak w téj cudnéj epopei żyją;
 W ich lasach trąba gada... boskie trąby
Odzywają się wnet w sosnach i wyją;
 Patrzcie, jak ten żubr od pękniętéj bomby
Cofa się; patrzcie, jakie wianki wiją
 Z wiejskiego kwiatu wiejskie dziewosłęby;
Słuchaj i patrzaj, bo jako zjawienie
Litwa ubrana w tęczowe promienie

Wychodzi oto z lasu. — Z taką chwałą
 Potrącał lutnię ten śpiewak Litwinów,
Iż myślisz dotąd, że to echo grało,
 A to anielskich był głos serafinów.
Grzmotowi jego niebo odegrzmiało!
 Chociaż Gofredów nie miał i Baldwinów,
Ani mógł morza wiosłami zamącić,
Ani księżyca z wież krzyżowych strącić:

Jednak się przed tym poematem wali
 Jakaś ogromna ciemności stolica;
Coś pada... myśmy słyszeli — słuchali:
 To czas się cofnął i odwrócił lica,
By spojrzeć jeszcze raz na piękność w dali,
 Która takimi tęczami zachwyca,
Takim różanym zachodzi obłokiem...
Idźmy — znów czasu bóg postąpił krokiem.

Ale ten napis łatwo startéj krédy
 Niechaj zostanie! a ten, co przeczyta,
Niech sobie wspomni, żem na piramidy
 Wchodził i deptał to, na czém czas zgrzyta;
Że nieraz końcem Pelidowéj dzidy
 Zrobiona trumna jest — albo rozbita.
Wąż Laokoński, który gryzł bez przerwy,
Syty—wlazł znowu pod tarczę Minerwy.

Nie budźcie, niech śpi! — Mówiłem więc w rymie,
  Jak moje posły w starym siedzą khanie;
Borejsza w upał południowy drzémie,
  Hamet się w ptaszków zasłuchał śpiéwanie;
Beniowski wielkie zamiary, olbrzymie
  Buduje w myśli: — dziś ma posłuchanie
U Khana Krymu, u Kierym Giraja;
Gotuje się więc z mową i zaczaja.

Przypomniał sobie wszystkie z retoryki
  Figury; Khana chce podejść wymową —
Przypominając, wyszedł na brzég dziki,
  Gdzie słońce było mu nad samą głową.
Z dala szum morza i żórawiów krzyki
  I Bakczysaraj z koroną palmową,
Z minaretowym lasem, stał pod górą,
  Lekką gołębi migocących chmurą

Owiany. — Smutno! o smutno samemu
  Na morskim brzegu, gdzie się fale kładą,
Spiéwając ciągły hymn nieśmiertelnemu,
  Który pustynię rozeświéca bladą
Gorącém słońcem! smutno tam jednemu
  Z europejskich pamiątek gromadą
Śród gorącego pustyni kobierca
Błądzić z strzaskaném sercem, lub bez serca...

Jednak jest jakaś duma, co podnosi
  Czoło północnych ludzi, gdy po świecie
Wicher nieszczęścia ich jak liście nosi —
  Zniszczyć nie może. Pan Zbigniew był przecie
Kochany; wiedział, że ktoś Boga prosi
  Za nim, że go wiatr pustyni nie zmiecie
Bez śladu, wziąwszy pod swych skrzydeł loty,
Jak zwiéwa błędne w pustyni namioty.

Wiedział, że w Polsce ktoś pamiętać będzie,
  Błądząc nad stawem, gdzie srebrna topola
Osłania groblę; że zawsze i wszędzie
  Dusze kochanków, jak harfy Eola

Albo pod niebem gdzieś, jak dwa łabędzie,
 Latają razem, choć je smutna dola
Rozłącza tu na ziemi i rozgania;
Wiedział to, i te wszystkie porównania.

Pełny więc melancholii szedł po brzegu;
 Wtém ujrzał dziwną rzecz i zbladł na twarzy
Patrząc... I mój rym także stanął w biegu,
 A nim opisze tę rzecz, słowa waży.
Niech mi żórawie zabrzmią hymn noclegu,
 Niech pełny księżyc krwawo się rozżarzy
I stanie jedną czerwoną pochodnią
Nad wiedźmy tymi z piekła i tą zbrodnią!

Arabki dwie, w koszulach czarnych, z pod zasłony
 Patrzące na świat dziko i jaszczurczo,
Siedzą na ziemi, jak dwie czarne wrony
 Albo jak żaby w ogniu, gdy się skurczą,
Śpiéwają dziwnie i dziwnymi tony
 Albo zaklęcia jakieś ciemne burczą,
I palą dzikie bladym ogniem zielska.
Pomiędzy niemi główeczka anielska.

Główeczka tylko leży, ale żywa;
 Oczki błękitne w niéj ciągle latają,
Czasem się z ziemi jak gołąbek zrywa,
 Złote jéj włoski już powietrze krają
Jak dwa skrzydełka; ale rzecz straszliwa,
 Zlęknione złote piórka opadają,
Nie mogły podnieść z ziemi białéj róży,
Która zasypia — i znów oczka mruży.

Anioł lub jakaś nieszczęsna istota
 Leżała w mocy czarownic zaklęta;
Rzucały ciągle na nią garści błota,
 Mogiła z piasku, jak bąbel wydęta
Wstawała... z ogni piramida złota
 Lub jak kręcony miecz, z płomieni kręta
Stała z ogromną powagą ogniową
Nad Arabkami dwiema i tą głową.

Pan Zbigniew dobył szabli — brzęk żelaza
  Spłoszył dwa widma czarne, i z wybrzeża
Odlatywały żółte jak zaraza,
  Jakby na skrzydłach czarnych nietoperza;
Na piasku żadna nie została zmaza,
  Tylko ten ogień, jak piekielna wieża,
Tylko ta główka leżąca na ziemi
Z oczkiem niebieskiém i z koralowymi

Ustami... Oczki otworzyła, żywa
  Na Beniowskiego głos; ten leciał z krzykiem,
Jak rycerz, który do szańca się wrywa,
  Wołając... polskim wołając językiem:
Stójcie! to zemsta jest jakaś straszliwa!
  To pewnie jaki Basza z sercem dzikiém,
Syryjczyk, lub Cylijczyk, lub Natolak!..
Na to krzyknęła główka: — Ach! Pan Polak?

Beniowski stanął i otworzył usta.
  Gdyby weń piorun uderzył, nie więcéj
Zląkłby się; ale trwoga była pusta,
  Poznał to zaraz rycerz najgorecéj
Zagrzany; wnet mu stanęła Prokusta
  W myśli — Medea — Cyrce, jeszcze więcéj
Kobiét z historyi dawnéj, starożytnéj,
I na szabli się oparłszy błękitnéj,

Rzekł: Polak jestem... tak, i Podolanin,
  A ty kto, biédna? — Ja także z Podola,
Rzekła; targuje mnie teraz poganin,
  W haremie ciężka czeka mnie niewola!
Obaczył mnie już także Moskal Panin
  U tutejszego na poselstwie króla.
I ten mnie także kupić chce, targuje;
Ale ja skonam albo się otruję.

Jestem szlachecką córką, dom nasz cały —
  Może słyszałeś o Gruszczyńskich dworze?
Hajdamaki nas w dzień napadli biały,
  Ojca nie było, my same w komorze

Kobiéty, kiedy rznęli, my krzyczały,
  Matkę i babkę i maleńkich — Boże!
Nie mogę o tém ja oświécić Pana,
Ja patrząc, byłam sparaliżowana.

Kozak mnie jeden, jak kawałek drzewa
  Wyprostowaną wziął, i dał popowi;
Pop kupił, teraz przedać się spodziewa,
  Jeśli mnie piasek ten wrący uzdrowi.
Codzień mnie błotem, jak widzisz, odziewa;
  Codzień mnie straszny dreszcz przechodzi mrowi
I we łzach oczy się nieszczęsne topią,
Gdy mnie w ten piasek włożą i zakopią.

A jednak biédna lękam się ozdrowieć,
  Udaję zawsze martwą i kamienną.
Oto jest cała moja, Panie, spowiedź.
  W tém błocie skwarném leżąc, jestem senną;
Od słońca tego lękam się osowieć,
  Taką ma dla mnie straszną twarz płomienną,
A jeszcze gorzéj, gdy noc, chociaż zdrowa,
Nie śpię — w mogile mnie pop na noc chowa.

Stary turecki jakiś domek trupa
  Na górach stoi z okrągłą kopułką,
Tam jest nademną nietoperzów kupa
  I gniazda z ciągle piszczącą jaskółką;
Na drzewie także coś ciągle kołupa,
  A okno jedno nad glinianą półką,
Gdzie mnie położą, a drzwi zawsze strzegą,
Swiéci księżycem, jak twarz umarłego.

O Panie, ratuj mnie! choćby potrzeba
  Saméj się bronić, w noc uciekać ciemną...
Beniowski przerwał: niech ogniste nieba!
  Wstawaj Acanna z ziemi i chodź ze mną,
Znajdziesz schronienie i kawałek chleba,
  A ja przybyłem tutaj nie daremno,
Jeśli Bóg przez mię sierotę wspomaga...
Wstawaj! A ona rzekła: jestem naga —

To rzekła cicho i głoskiem dzieciny;
  A rzekłszy, cała się ogniem zażegła,
I krew, jak jeden za drugiem rubiny,
  Po ustkach wstydem rozpalonych biegła;
Szyja się także stała u dziewczyny
  Różaną — ale ziemia reszty strzegła,
Ziemia ognista, i nie pokazała,
Czy była cała różana, czy biała.

Beniowski także spłonął, potém zbielał —
  Widać, że szukał w głowie prędkiéj rady;
Oczyma smętny w różne strony strzelał,
  Czuł, że rycerzem był dziwnéj ballady.
Czy grób rozkopać?... Jakby się ośmielał,
  Postąpił naprzód, wdaje się w układy
Z młodzieńczym wstydem, rozwagą człowieka;
Wtém główka wrzasła: Aj! niech Pan ucieka!

Na ten wrzask rycerz obrócił się, patrzy —
  Z pospólstwa chmurą leci pop na czele;
Rycerz za pasem miał naboi na trzy
  Głowy; pomyślał sobie, że nie wiele.
Obejrzał szablę, jak człowiek, co patrzy
  Pierwéj na siebie, niż nieprzyjaciele;
I stanął, patrząc srogo na pohańce —
Była to chmura kobiét i rzezańce.

Turecki jeden święty, cały nagi
  I krzywy, oczów pokazywał białka,
A w ręku jego była wielkiéj wagi
  Sękata z drzewa Darfurskiego pałka;
Tłum cały sobie dodawał odwagi
  Wrzaskiem; lecz w tłumie tym nie było śmiałka:
Beniowski więc stał z rycerskim wyrazem
Na twarzy, gotów siéc po grzbietach płazem.

Wtém niespodziana rzecz! Gdzie indziéj błoto
  Rzucają, albo kamień, lub kartofel
Chmury — w krainie, gdzie między hołotą
  Zjawi się jaki szary Mefistofel;

Na wschodzie biała płeć, która jest złotą,
  Babusz (tak się zwie czerwony pantofel)
Zdejmuje z pięknéj nóżki, i zwycięża
Pantoflem gacha, lub wroga, lub męża.

Coby powiedział pan Trentowski, który
  W swych Aforyzmach ostrzega małżonka,
Że każda piękność nowa téj struktury,
  Jakiéj Klorynda była Amazonka,
Chociażby piękną była jak Ahury,
  A miała tyle cnót, co Jagiellonka,
Dla tego właśnie, że jest taka chrobra,
Nie jest na żonę zdatna ani dobra.

Coby powiedział — widząc tę gromadę
  Z bocianią czarną na nosie kitajką,
Z któréjby każdą wziąć mógł za Palladę,
  Zwłaszcza że dzida jest u Niemców fajką!
Niech mówi, co chce — a ja daléj jadę
  Z tym poematem, powieścią czy bajką
I w miniaturze ten bój, jak Izabéj,
Dam — lecz z szacunkiem zawsze dla płci słabéj.

Więc, jak mówiłem, już chmura babuszów
  Czerwonych nagle zaćmiła powietrze;
Świstać zaczęły smutnie koło uszów
  Jak afrykański tuman, gdy się zetrze
Z tumanem. Nakształt pierwszych karteluszów
  Pantofle naprzód przyleciały leksze,
Potém ze starych nóg, ciężkie, schodzone,
Podbite ćwiekiem, żółte i czerwone,

Jak bomby w ogniu rozgrzane, lub w burzy
  Z wulkanów głazy, lub aerolity.
Gdyby z kochanek nóg — listkami róży
  Takimi chciałbym być nawet zabity
Jeden mi taki trzewik teraz służy
  Za lampę; płomień wspomnień w nim ukryty
Gore... w różowym ujęty atłasie,
A tak maleńki jest, jako oko w asie.

O! gdyby takie, z listków róż robione
  Sylfów trzewiczki padały mu w oczy...
Pewnie by krzyknął: niech w różach utonę,
  Niech mnie nakryją, niech mnie blask zamroczy!
Ale ogromne babusze czerwone,
  Jak ogień albo grad, co żyto tłoczy,
Albo pioruny z alpejskich obłoków,
Albo téż chmura latających smoków,

Z dołu i z góry krzyżują się, lecą —
  Świata nie widać, słońce nawet ćmi się.
Próżno w nim gniewy się gorące niecą,
  Zęby o zęby zgrzytają tygrysie;
Zamyka oczy — one ciągle miecą
  Ten grad, za którym wszystko w oczach mgli się;
Zrazu się wahał — potém się ośmielił
I z pistoletu na wiatr w górę strzelił.

Wrzasnęło wojsko wiedźm, turecki święty
  Upadł i zaczął wić się. paralityk;
Lecz pop prowadzi znowu na bój wszczęty
  Baby — szanowny pop — jakiś polityk,
Który chciał, aby pan poseł był wzięty,
  A stąd przed Khanem by uniknął krytyk
I kar na popy we wschodnim kościele,
Których oskarżą d e r a p t u p u e l l a e.

„Jaki wstyd będzie, krzyczy, gdy Giaurowi,
  Co widział Khana małżonkę w kąpieli,
Zostaną oczy we łbie! Co Khan powié?
  Jak się z was będą małżonkowie śmieli!
Ranioną babę święty wnet uzdrowi;
  Ja dam na tytoń.“ — Tu blask karabeli
Mignął mu w oczach; uderzony płazem
Padł okręcony jak wężem — żelazem.

Taka w niéj była giętość, w owéj szabli,
  Którą Beniowski przypasał do boku
Mścić się Ojczyzny. Więc nakształt korabli,
  Łamał się rycerz śród szarego tłoku;

Aż uczuł coś wę włosach nakształt grabli
  I coś kociego razem uczuł w oku,
I coś cięższego obciążyło łokcie —
Były to ręce kobiét — i paznokcie...

Reszta téj walki i rycerza wzięcie
  Nie opisane jest w mojéj kronice;
Sądzę, że gdyby nie miał był na wstręcie
  Rąbać pałaszem takie czarownice,
Byłby zwyciężył. Więc na dyjamencie
  Ryć tę szlachetność lwią! Jeśli krytyce
Jaki bok słaby tu w tych rymach podam,
To odwołuję się wnet zaraz do dam.

Niech sądzą, niech się litują, niech płaczą,
  Niech utyskują na los, piszą treny;
Niech ten kawałek paznokciem naznaczą
  I odczytują w dzień słoty, migreny.
A pewnie same sobie wytłómaczą,
  Dla czego dał się wziąć przez te Syreny;
I rzekną: ach nieszczęsny — to go broni,
Że na tę biédną płeć nie podniósł dłoni!

Tak, to go broni — bo ja mam ważniejsze
  Rzeczy i muszę rzucić bez obrony;
A sam do Khana prowadzę Borejszę,
  Lutnię na wyższe nastroiwszy tony.
Gdzie o Ojczyznę chodzi, rzeczy mniejsze
  Muszą ustąpić — więc choć zasmucony
Rycerza mego wzięciem... kropki kładę,
A sam Borejszy śpiéwam ambasadę.

Khan krymski Kierym Giraj, jak cytryna
  Żółty... wąsy miał długie jak sum, kare,
Ciało na szyi, jak czerwona glina,
  A oczu kocich, jasnych, takich parę,
Jak u tygrysa — dobry starowina,
  Ale o buńczuk bardzo dbał i wiarę;
Ministra także miał przy swoim boku,
Oba siedzieli jak duchy — w obłoku.

Rzeklbyś, że Pluton z brodatym Charonem
  Siedzą i palą tytoń — w środku sali
Rozkwitła fajka wywróconym dzwonem,
  Jak kocioł, gdzie się dusz tysiące pali.
Dwa węże w kocioł wetknięte ogonem
  Do ust im lazły, a oni je ssali,
Smakując bardzo to, co bursztynową
Szyją wziął z kotla gad i oddał głową.

Oba siedzieli niby na przydworzu,
  Choć nad głowami wisiała framuga:
Widać im było i błękit na morzu,
  Gdzie lekkie skiby szły od wiatru pługa;
Widać meczety, w których to dwurożu
  Dyjamentowe światło wiecznie mruga,
Jak wiersz Bohdana, gdzie w ciągłym przymusie
Pała różowy brylant — na turkusie.

Jak turkus bowiem było niebo wschodnie,
  A turkus nawet taki bardzo rzadki.
Tatary moje więc siedzą wygodnie,
  Nie ściany mając wkoło, ale kratki
Z drzewa, przez które czasem jak pochodnie
  Łysnęły... oczy panny lub mężatki,
Oczy gruzyjskie, pełne, skrzące, duże —
I usta, czasem nie usta, lecz róże.

Ciekawośc taka żonom pozwolona
  Na wschodzie, byle twarz zakryły samę.
Pokazać czasem wolno trochę łona
  Przez rozciętego wskroś gorsetu bramę —
Ale twarz zawsze ściśle zasłoniona,
  Jak miesiąc, gdy nań ziemia rzuci plamę.
Szczęściem, że teraz nawet już na Wschodzie
Ten obskurantyzm twarzy nie jest w modzie.

U nas trwa jeszcze... nie w kobiécym stroju,
  Lecz w poetycznych szkołach; ale szkoda
Na świergocące te wróble naboju.
  Niech katolicka płynie sobie woda!

Niechaj używa wiersz dawnego kroju!
  Niech epopeję nam piszą z Heroda,
Z biblii całéj porobią obrazki
I o potopie téż napiszą... skazki!

Co do mnie — wolę Rafaela loże
  I te sufity, gdzie nad ludzką głową
Wisi w tęczowych blaskach dzieło boże,
  A taką sztuką odświeżoną nową,
Tak nieśmiertelną, że umrzéć nie może,
  Lecz o Jehowie będąc — jest Jehową
Iskierką Jego treści dotykalną,
Ludzkim filarem wspartą i widzialną.

I kiedym w górę spojrzał, to przestrachem
  Zdjęty myślałem, że w braku sufitów
Niebiosa wiszą otwarte nad gmachem
  I te kolumny są bez żadnych szczytów.
I chciałem myśli tytańskiéj zamachem
  Zbić to zwierciadło czynów i błękitów,
Gdzie powtórzone wisi boskie dzieło
I trwa... a nasze co chwila — zginęło.

O tymto cudnie malowanym gipsie
  Mówił Jan święty: że będzie zwinięte —
Mówiąc o kartach ksiąg w Apokalipsie.
  Gdy trąby zagrzmią, fale wstaną wzdęte,
A Bóg światowi powié: w gruzy syp się!
  A grobom powié: stójcie odemknięte!
A tym sufitom: skrzydłami się nieście
W niebo, bo z myśli i z nieba jesteście!

O biedny Rzymie, jak ty w Słowianina
  Pieśni wyglądasz niemyślący, karny!
Na tożto przysłał Bóg Atyli syna,
  Aby gitary tam dźwięk taki marny
Rzucił na wiatry?... a tam jednak glina
  Z Grachów... i z duchów stoi obłok czarny
Na Koloseum; księżyc je upiększa,
Lecz jest jak tylko jedna z tarcz, nie większa

Od Brutusowéj. Z takąto koroną
  Stoją ruiny, czarne i zębate.
O! prawda, że tam ptaszków pełne łono,
  Że im powoje stanęły za szatę;
Że tam krzyż duma — i gromnice płoną;
  Że tam, kędy lwom odmykano kratę,
Dzisiaj (widziałem sam biédny wygnaniec)
Wypada jakiś ksiądz, mnich, obłąkaniec —

Rzuca się, pieni, klnie: *i Carbonari*
  Krzyczy, *la gente d' inferno!* i zgrzyta —
Sam jak hyena jest albo wilk szary,
  Na żar położy więźnia i wypyta;
Do domu nakształt dymu albo pary
  Wciśnie się, zyzem tygrysim powita,
Pieczenię zawsze nadybie gorącą,
Spowiada panią... uwodzi służącą.

I taki brudny czart czasem się chyli
  I z pyłu lice odsłoni pomnika,
Z pyłu, co leciał przed wojskiem Atyli,
  Przed kopytami Hunnów, Alaryka
I nakrył dawne miasto, nim przybyli;
  I jako ten grób, co się sam zamyka,
Zniknęło, cudzéj uchodzące właści
I utonęło przed mieczem — w przepaści.

Dzisiaj dobyta kolumna niecała
  Pyta się biédna cicho: a co w Rzymie?
Czy mi czas było, abym zmartwychwstała?
  Czy macie jakie na grobowcu imię,
Abym go strzegła ja i nad nim stała,
  Ja, co widziałam mogiły olbrzymie
I wiém, co dola ludzi niepowrótna,
I jeszcze po nich jestem dzisiaj — smutna...

Tak pyta, gdy ją podnoszą na drągi
  I stawią znowu czołem na gwiazd wianek.
O mój Bohdanie — ja ci tam posągi
  Pokażę smutne piękniejszych poganek;

Ja ci pokażę dawne wodociągi,
Co idą, jako tłum Samarytanek,
Niosąc na głowie dzbany, korowody
Dzbanów! lecz wszystkie na głowach bez wody...

Choćbyś był jako Chrystus upragniony,
Pić ci nie dadzą, zostawią u studni;
Ja ci pokażę od Tybrowéj strony
Rzym, co się myciem swéj bielizny trudni,
A nie trudni się obmyciem korony,
A syczy, kiedy się dzień rozpołudni
I gdy nań blaskiem przeraźliwym pała,
Jak wąż, co głowę ma na kłębku ciała.

O m i s e r e r e! jam go widział z góry
Et de profundis — wiém, jak widać z grobu!
Zielony on jest, a w płaszczu z purpury,
A w ręku uschły kwiat — z świętego żłobu;
Nad nim z ognistych smoków lecą chmury,
A z Dantejskiego nosi płaszcz wyrobu,
Dominikańskim mieniący się jadem,
A każda w nim nić — czartem albo gadem.

O mój Bohdanie! pod ten, co się skłębia
Płaszcz, i sam przez się jest wiecznie ruchawy,
Ty lecisz z dziwną prostotą gołębia,
Chciwy napoju — i blasku i strawy...
I myśli się twój koń trwogą nie zdębia!
Żeś jest niewinne dziecko — znać z postawy:
Dlatego piecza i strach mi o ciebie,
Bo ten okropny duch żegnaniem — grzebie...

I byłem mędrszy z żórawi łańcucha,
Kiedym się zerwał sam i poszedł przodem;
A byłem, gdzie dwie srebrnych fontan bucha,
Przed gmachem wielkim i kolumn ogrodem;
Ja wtenczas silną rószczką mego ducha,
Co w środku ma kwiat — choć okryta lodem,
Zakląłem źródła, tak że w téj potrzebie
Anioły złote mi dwa dały z siebie.

Z tęczy, co wiecznie swoją wstążką pęta
  Skrzydła fontannom i włos im ubiela,
Wyszły anioły przewodne, bliźnięta,
  Wyszły i wiodły w kościół Zbawiciela;
I tę kopułę, która już pęknięta
  Jak czaszka w grobie ludzka się rozdziela,
Wzięły na skrzydła złote, nad tułaczem,
Jéj bym nie zwalił gromem, echem, płaczem.

Więc póki stałem pod ogromną banią,
  To ją trzymała para jasnolica;
Wysokość — z niebios równałem otchłanią,
  Bo ta kopuła — to Alp rówieśnica!
Chmury stukają w okna, idąc na nią,
  I do kościoła wchodzi błyskawica,
Za nią pioruny, te nawalnic wodze,
Spotkawszy kościół powietrzny — na drodze.

Potém bóg Perun, wróciwszy w Łotysze,
  Puszczom i sosnom blady opowiada:
Na chmurach się tam las krzyżów kołysze,
  I kościół w chmurach stoi i nie spada —
Choć ja i wichry, — moi towarzysze,
  Ja i me dzieci, piorunów gromada,
Bierzem go w ręce, w skrzydła, z kolumn rwiemy
I tu na puszcze litewskie niesiemy.

Ale zwycięstwo kiedyś przy nas będzie,
  Tu na piorunach czerwonych przyleci;
Marzanny w nim się zagnieżdżą łabędzie
  I orły będą w czerepie mieć dzieci...
— Tak mówi Perun — ja wiém, że zdobędzie
  Błyskawicami to, co próchnem świéci;
Dlategom bronił gmach od zaginienia
I aniołami ubrałem sklepienia.

A teraz wybacz, Cezarów mogiło,
  I wy, Piotrowych fontan Świtezianki,
I ty, wisząca na powietrzu bryło,
  I wy, kolumny, jak Plejad wianki

Stojące w chmurach... i ty, świata siło,
  Krzyżu pokorny! i wy, dawne szranki,
Gdzie lew z Chrystusa walczył apostołem,
Wybaczcie, żem się na was oparł czołem....

Strudzony byłem i smętny — lecz znowu
  Wielkim popiołem posypawszy ciemię,
Znów do mojego powrócę narowu,
  Do pieśni, ludzi malować i ziemię;
Znów do krymskiego pójdę półostrowu,
  Rycerzy moich posadzić na strzemię
I nieść w pożarne Ukrainy łuny
Tych, którzy na mój głos powstali z truny.

PIEŚŃ DZIEWIĄTA.

Więc gdy Borejsza przed czerwonym Khanem
  Stanął: przeżegnał się naprzód dwa razy
I stanął prosty jak drąg przed Dywanem
  Z tłómaczem, który czekał na rozkazy.
Potém się ze swą godnością i mianem
  Zaprodukował i rzekł te wyrazy,
Które w lot muza nieśmiertelna chwyta:
„Daj temu psu list księcia — niech przeczyta!“

To mowiąc, papier wydobył z cholewy,
  I podał ów list dziwny przez tłómacza;
Minister, który stał jak anioł lewy,
  Wziął list i wejrzał weń okiem puhacza.
Litery były w nim rajskimi drzewy;
  Pomalowany był, jak pasmo tkacza,
Gdy na czółenka różnych blasków bierze
  I nicią złotą przerabia szkaplerze.

Dyabełki miasto liter, dziwolągi,
  Floresy, różnym świécą atramentem;
Z tych arabesków były różne ciągi,
  A list fantazyi był dziwnym odmętem.

Książę się Karol pisząc klął, że ongi
  Sam u Sułtana z młodu był skrybentem;
Na słowo szlachta zaręczyła dziarska,
Że po turecku pisze — lecz z tatarska.

Ale minister Khana na kulasy
  Spojrzawszy i te dziwne malowidła
Ujęte w różne klucze i nawiasy,
  Gdzie A chwytało wielke B za skrzydła:
Skręcił na palec wąsy dwa jak pasy,
  I twarz mu dziwnie pomarszczona zbrzydła,
I ząb mu koci zaczął o ząb zgrzytać;
Na co pan poseł rzekł: — nie umié czytać!

Ani przypuścił, by Pan na Nieświéżu
  Nie umiał pisać: czekał więc responsy.
Wtém przyniesiono wielki pilan ryżu;
  Minister kręcił papier — a Khan wąsy.
W Krymie nie śpieszą się tak, jak w Paryżu;
  Gardzą tam słowy prędkimi i pląsy;
Wypadkom bożym otworzona brama,
Rzecz każda robi się... aż zrobi sama.

Tymczasem ludzie jedzą ryż, sorbety
  Piją, i palą czarny tytoń dżebel;
U pasa noszą złote amulety,
  Świat uważają ten za smutny szczebel
Do nieba. W myślach nie grzebią jak krety,
  Pod katolicki też nie biorą hebel
Mądrości; lubią wiersze pełne słońca
I poematy trwające bez końca.

Wniesiono więc ryż i przyszły śpiewaki;
  A pan Borejsza do Abdulewicza:
To polityki wielkie te sobaki!
  Nie chcą od razu nam trzasnąć, jak z bicza;
Co odpowiedzieć, myślą, na list taki.
  Ja zaś z mojego pokażę oblicza,
Że nie dbam o nich; lecz proszę Acana,
Wyzwij odemnie ich na próbę dzbana

Jeśli nie szelmy i nie knują zdrady,
  Niech w wino zajrzy ta wąsata morda!
Zwyciężonemu ja podam układy,
  Do mnie należeć będzie złota Orda;
Ochrzcę psów, będę chrzcił całe gromady,
  A potém wprawię do polskiego korda,
Potém i haracz na tych psów nałożę.
Wyzwij — bo gotów jestem wypić morze.

A że, jak sądzę, ten pies niepozorny
  Nie ma u siebie takiego kielicha,
Jakim jest sławny kielich mój klasztorny,
  Który raz tylko był przez skórkę mnicha
Wypit aż do dna... łajdak był pokorny,
  Ale to była tylko skryta pycha,
Bo zadrwił ze mnie, a z jego obrotów
Widać, że wypić piwnicę był gotów —

Jeśli więc taki kielich nie istnieje
  W państwie, które zjeść można jak piernika,
Niechaj w ten kocioł węgrzyna naleje
  (Wskazał na lulkę) — sądzę, że zamyka
Trzy garnce... nie upoi... lecz rozgrzeje...
  Cóż Waćpan czekasz? czy mnie masz za ćwika?
Wyzwij! — że niosę mu bój, już zobaczył,
A Waćpan jesteś na to, byś tłómaczył.

Jak to wyzwanie w tatarskim języku
  Brzmiało, ja nie wiém; musiało nieść trwogę.
Khan chwilę siedział jak na wężowniku,
  Gryzł wąsy — nogę założył na nogę;
Potém na Galiun spojrzał, jak do krzyku
  Otworzył usta i rzekł: — Pić nie mogę.
Samby Saladyn, Omar ni Hilderim
Nie wypił takiéj beczki — Allah Kerim!

W Koranie także stoi, że człek spity
  Jest jak na ludzi waląca się wieża,
Albo wieprz skórą Adama przykryty,
  Lub miecz, co w oczy ojcowskie uderza.

Więc ten pies wartby zostać wnet ubity
  Na miazgę w głębi wielkiego moździerza,
Który w Stambule stoi — gdzie Salamon -
Nasz Sułtan, tłucze Muftych jak cynamon.

Ale ja Giaurów, psów m i n b e l u d, Lachy
  Oszczędzam jeszcze z wielkiéj wspaniałości
I wziąłem nawet ich pod moje pachy,
  By nie zginęli: — więc nawet z litości
Zagram z tym starym mopsem w święte szachy;
  Albo niechaj się tu jak pies umości
I z jednéj lulki piersi poi własne,
A tak się spije, jak pies... nim ja zasnę. —

Tu klasnął: czarny zaraz wszedł rzezaniec
  I galiun szarym nasypał haszyszem.
Litwin wyzwany rzekł: — Tylko pohaniec
  Pies dymem poi — musi być hołyszem!
Niechno przyjedzie do mnie ten za. .....
  Ja go z ministrem jego towarzyszem
Tak spoję kiedyś, krupników gorących
Dawszy, że nawet tych psów ochrzcę śpiących.

A teraz będę palić, co on pali.
  Choćby piekielny tytoń był, nie spoi.
To mówiąc, usiadł; cybuch mu podali —
  W środku już szysze zapalone stoi.
Tymczasem Hamet wzrok wodzi po sali,
  Coś mu się w oczach miga, coś się roi,
Jakieś wspomnienia, których się sam wstydzi:
To, o czém w Litwie roił — teraz widzi.

Przez złote kratki zajrzał do ogrodu,
  Stamtąd go miła, cicha woń zawiewa;
Kwietnego na twarz coś zachwycił chłodu,
  Usłyszał — coś mu jak w dzieciństwie śpiéwa,
Coś szumi, jak pieśń własnego narodu.
  Ujrzał fontannny, jak trzy srebrne drzewa
Stojące cicho między zielonymi,
Zda mu się, że on kiedyś spał pod niemi.

Może złudzenie duszy, którą zdała
  Piękność ojczyzny czarodziejstwem wabi,
W czar zaprowadzi i wyjść nie pozwala,
  Jak gąsienicę całą ojedwabi
Tęczami. — Spojrzał: księżyc się zapala
  Na Czatyrdachu, i źrenicę słabi
Ogromnym kręgiem, w którym nieco róży...
Jakby zjawisko nowe, taki duży.

Witaj mi, gwiazdo! właśnie w téj altanie,
  Którą buduję z duchów i rycerzy,
Twoje mi srebrne potrzebne błyskanie;
  Czasem twój promień jako miecz uderzy
I przez zieloność do nimf się dostanie
  Alabastrowych; nawet do téj wieży,
Gdzie śpi Danae, oczki mrużąc ładne,
Nawet tam deszczem strof lunę i wpadnę.

O! świéć, księżycu! bo mi czas z rycerzem
  Do Polski wrócić, do rycerskich szyków,
I moje orle pisklę odziać piérzem.
  Więc wam opowiém z dawnych pamiętników,
Jak mu cud przyszedł w pomoc nad wybrzeżem
  Euxynu, i z rąk wydobył Krymczyków.
O uwolnieniu jego z rąk Tatarek
Z ambony ludziom powiadał ksiądz Marek.

Téj saméj nocy, gdy w Borejszy głowie
  Kręcił dyabelski haszysz bardzo mocno,
Téj saméj nocy jedni pastuszkowie
  W poleskiéj puszczy swą wigilią nocną
Odprawowali; — noc była w połowie,
  Godzina, w któréj bardzo jest pomocną
Zdrowaś Maryja śpiéwana żałośnie
Za dusze w czyścu, i ogień przy sośnie.

Mieli więc ogień i głośno śpiéwali
  Pacierz — a blisko strumień mruczał srebrny,
Właśnie jak dusza, co się w czyścu żali,
  Że tych pastuszków pacierz jest potrzebny,

I wierzba srebrna kąpała na fali
  Złote listeczki. — O tém ksiądz wielebny
Mówiąc z ambony, płakał; wierzba biała
Także, choć mówić nie mogła — płakała.

Konwalie białe, cicha mgła i rosa,
  Trawy zapachem dyszały od kwiecia:
Gdy oto z wierzby trefionego włosa
  Wybiegły jedna, potém druga, trzecia
Gwiazdy błękitne, i nie szły w niebiosa
  Po niebie latać i trwać przez stulecia,
Ale nad wierzbą stanęły w lazurze,
Dwie obok siebie stojąc — trzecia w górze.

I tak w żórawi klucz uszykowane
  Jaśniały, aż las zajaśniał w promyki.
I przyszły panie dwie w błękit ubrane,
  I pod wierzbami ucichły strumyki,
Jak ja — gdy nagle brzmiąc na lutni stanę
  Słuchać, czy oklask przyjdzie albo krzyki,
A potém znowu zaczynam nierychły:
Tak właśnie owe strumienie ucichły.

A one smutne przez ów strumień złoty
  Podały sobie ręce, mówiąc: Ave!
A obie były tak pełne tęsknoty,
  Jak strumień i las; a miały postawę
Lekką, jak gdyby mogły iść w poloty,
  Lecz oswojone były i łaskawe;
Jedna twarz miała czarną, druga bladszą;
Pastuszkom zdało się, że we śnie patrzą.

I wszystko zdało się snem w cichym lesie
  Na mchach i białéj konwalii, pod drzewem
Płonącém w światła cudownym okresie,
  Gdy się witały te łzami i śpiewem.
Jedna pytała drugiéj — co ją niesie?
  A każda rzekła: Jestem krwi wylewem
I ogniem grodów owiana gorących
I drżę, królową będąc konających.

Królestwo moje, rzekła matka czarna,
Wyniszczone jest mieczem i płomieniem;
Ptaszęta małe, gdy lecą po ziarna,
Znajdują pola siane kul nasieniem.
Ja jestem matka ludzi gospodarna,
Zbiéram, co sieję, i nad pokoleniem
Umarłych — moje wysłałam anioły,
Męczennikami napełniać stodoły.

Przyjdzie godzina, że ich dzieci dzieci
Nad plonem tego czasu wzniosą lament;
Lecz teraz wszystko jak liść z drzewa leci,
Kościołów krew nie broni i sakrament;
Kagańcem swoim śmierć kościana świéci,
A przed nią czarne dusze lecą w zamęt;
I nad tém wszystkiém stoję — ja królowa,
I patrzę ze skał moich z Poczajowa.

Przychodzą matki w śmiertelnéj koszuli
I przed ołtarzem moim klęczą krwawe;
Ta krzyczy: wczoraj syn mój legł od kuli,
O! wskrześ go, wskrześ go! — druga woła: *ave!*
Płód mój nożami z żywota wypruli,
Poskarż się za mnie! — trzecia mi na ławę
Rzuciła parę niedoszłego płodu
Prosząc: nakarm je, bo umarły z głodu...

We mgłach srebrzystych, gdy stepem przechodzę,
Spotykam jakieś jęczące gromady;
Ludzie okropni bez rąk są, jak wodze
Tym, co na rękach pełzają jak gady;
Inni umarli zostają na drodze
I są zabójcom strasznym jako ślady;
Inni bez twarzy wzdychają z rozpaczą,
Bez ust się modlą i bez oczu płaczą.

O siostro moja! morem ja owiana
I czarna dymem smętnego jałowcu,
Do mego Dziecka krwawego i Pana
Każę się często nieść, i na grobowcu

Siedząc, mam dziatek umarłych kolana
  Pełne — nie mówię, na jakim manowcu
Zbierałam kwiaty ludzkie nieszczęśliwe,
Lecz on je widzi u nóg — te nieżywe.

I taką ma twarz, jaką w Nazarecie,
  Kiedy się żegnał ze mną mówiąc: Matko,
Idę już umrzéć!.. a mnie zorze trzecie
  Pod oliwami zastały i chatką,
A jego już nie było... i na świecie
  Stał krzyż, nad uczniów płaczących gromadką.
I słońca ani księżyca nie było
I grób był krwawą, lecz pustą mogiłą...

Tak się skarżyła siostrze, a zadana
  Turecką szablą na twarzy obraza,
Po któréj uśmiech pozostał i rana,
  Stała się teraz widna, jako skaza
Nowo boląca. Druga zadumana
  I w sercu niosąc mieczów trzy żelaza,
Oczu z mlecznego nie spuszczała pasa.
Wtém ciche, krągłe światło wyszło z lasa.

Pastuszki, patrząc niby w jasnowidzie,
  Rzekli do siebie, tuląc swe kożuchy:
Czy widzisz? do nich z lasu słońce idzie...
  Potém zamilkli — bo przytomne duchy
Głos odebrały. Więc jak na Egidzie
  Minerwy widać jakąś twarz i ruchy
Oczu i włosa, co w stalnym błękicie
Świadczą, że środek téj tarczy ma życie:

Tak w słońcu owém był środek i plama
  Światłu owemu czyniona z człowieka.
Był to ksiądz Marek — twarz jego ta sama,
  Jak zawsze, wielka otwarta powieka;
Ale szedł we śnie — i straszliwa szrama
  Od dyscypliny krwią gorącą ścieka,
Otwartéj piersi tworząc straszny przerys
W krople pół zaschłe... długie, jak berberys.

Widać, że będąc na nocnéj modlitwie
  Wpół obnażony, może na pół senny,
Po jakiéj rzezi widzianéj lub bitwie
  Zasnął — a jego duch tylko promienny
Wyszedł i w słońcu złotém szedł po Litwie
  Przez czarne, smutne lasy, do Gehenny
Wędrując może — lecz to, co go niosło
Słońce, stanęło przy wierzbie i rosło.

A ksiądz znalazłszy pod nogami ziemię,
  Na kolana się rzucił na konwalii,
Tak że pokazał już nie twarz, lecz ciemię,
  I krzyknął: — Idę z rzezi i z batalii.
Zwątpiłem, piérwszy raz poczuwszy brzemię
  Mogił na sobie — O! wołajcie z Galii,
Z Rzymu i z Azyi... i tych, co za morzem,
Bo nas mordują, rzną mieczem i nożem!

Królowy niebios! wy nad strumieniami
  Cicho w lilije białe rozkwitnięte;
A miecz nad nami i pożar nad nami!
  Dzieło upada, choć mądrze poczęte.
Duma rozerwie wszystko, wszystko splami!
  Panięta nasze, jak pawie nadęte!
Ja do pacierzy nastroiłem wargę,
Lecz będąc u stóp waszych, niosę skargę.

Potocki bruździ — nic więcéj nie powiem;
  Ale Potocki bruździ, w czarty wierzy,
Regimentarzem chce być — nad pustkowiem!
  Będzie! bo pustka się na wszędy szerzy.
Niechże upadnie przed księżyca nowiem,
  Na którym wasza srebrna stopa leży!
Niechże się schyli duszą cichą, szczérą,
Przed Bogiem — nie przed szatanem i lirą!

Ta lira... w trumien znaleziona rdzeniach!
  Już jéj głos serce narodu osłabił,
A na niéj szatan czarny gra w płomieniach
  I luda już pół z Baru mi wywabił!

Jak wąż, co błyszczy swą koroną w cieniach
I blaskiem ściąga słowika, by zabił:
Tak ów kozacki pół-duch na złe radzi
I swoją smętną pieśnią gdzieś prowadzi

Na zaginienie! Brońcie od pożarów
I od powietrza nas, ach! i od głodu!
I brońcie jeszcze nas Panny od czarów
I od téj dumy, co z Barskiego grodu
Już oberwała wichrem las sztandarów,
A sama chce być zbawczynią narodu.
Nadłamcie dumie miecza, skruszcie rogów,
Zostawcie Boga nad nami — nie bogów!

Dajcie mi jednę przynajmniéj szablicę
Świętą, a ja z niéj wielką tęczę zrobię,
Tęczę i wiecznie trwałą błyskawicę,
Świécącą teraz i późniéj na grobie,
Gdyby położymy w proch zmęczone lice,
Nie zostawiwszy nic jak proch po sobie,
I duszę w boże oddawszy ramiona,
A nasze długo słyszane imiona

Oddawszy dzieciom. — Poseł mój szwankował
W Krymie, i pewnie cieżkie więzy dźwiga;
I tego brońcie, bom go umiłował!..
Na tém zakończył mój ksiądz pacierz wiga
Papisty; potém w księżyc pocałował,
Co pod nogami Matek Boskich miga,
I był od swojéj złoto-jasnéj ściany
Wzięty, weselszy już, bo wysłuchany.

Nazajutrz słońce, strzałą brylantową
Zajrzawszy w celę cichą Karmelity,
Obudziło go z bardzo cieżką głową,
A był na kwaśne jabłko cieżko zbity
I pokapany nie berberysową
Jagodą, ale własną krwią okryty,
I dyscypliny także znalezione
Przy nim, leżały mokre i czerwone.

I zdało mu się, że śpiąc chodził lasem,
A nic nie wiedział, że chodził istotnie
W koronie złotéj, z wielkim tęczy pasem.
Wreszcie zapomniał. — Jakiś pan tnie-po-tnie
Do jego celi cichéj wszedł z hałasem
I z wódką — było na dworze wilgotnie;
Ksiądz się nie bronił, łyknął gorzaliny —
I ten sen w duchów uleciał krainy.

Lecz skutek? — skutek, jak się to pokaże,
Był na tym nawet świecie dotykalny.
Wkrótce będziemy z moją pieśnią w Barze,
Wtenczas ujrzycie sami, że fatalny
Był pacierz księdza. Runęły ołtarze,
Kościół, i z niemi ten ksiądz runął mszalny;
Lecz ksiądz przez swoje to dokazał cudy,
Że regimentarz z czartem runął wprzódy.

Ut videbitis. — Jak pięknie owiewa
Woń cudów młodość mego bohatéra!
Anieli patrzą przez palmowe drzewa,
Jego więzienie w blaski się ubiéra,
Hymn Betlejemski nad głowami śpiéwa,
Z duchów się złotych wiąże jakaś lira
Pod sklepieniami i blask bursztynowy,
W tym blasku róże, światełka i głowy.

Był to sen tylko — ale nie zepsuta,
Wrąca młodości krew sny takie daje.
Pan Zbigniew leżał w jednym Marabuta
Grobowcu. — Wschodnie przebiegając kraje,
Kiedy mnie noga wielbłądów niekuta
Niosła w piekielne stepy albo raje,
Stanąłem na noc raz w grobie, i dobrze
Spałem na martwych pościeli i ziobrze.

Była to wielka w żywocie pociecha
Zasnąć, a jeszcze większa, wstać o wschodzie
I otrząść włosy senne z prochu Szecha
I zostawić go w mogilnéj gospodzie,

Nie dawszy mu za nocleg nic — prócz echa
  Z téj pieśni, w obcym dalekim narodzie
Spiéwanéj. — Ludzie z księżycową twarzą
W mogiłach swoich wschodnich gospodarzą.

Przyjmują na noc smętne wędrowniki,
  Czasem przez wieczne nakażą zapisy
Karmić ptaszęta — skąd są ciągłe krzyki
  Wróblów, i ciągłe pełne ziarna misy
I ciągle różom miłosne słowiki
  Na cmentarzowe latają cyprysy,
I ciągle szpaki po grobach gawędzą
O trupach, którzy karmią i nie spędzą.

Lubiłem widzieć takie gospodarstwa
  Umarłych, szpaków podsłuchać rozmowy,
I słyszeć różne ich o zmarłych łgarstwa,
  Bo pochlebiają; a posępne sowy,
Grobów latarnie, senatory carstwa,
  Z grobów posępne pokazują głowy
I zégarowe, wielkie, krągłe lice
I oczy, co się palą, jak dwie świéce.

W mogiłce Szecha — był to grób osobny
  Na górach, z białą kopułą glinianą —
Leżał mój rycerz, nadzwyczaj podobny
  Do męczennika, bowiem go związano;
A nad nim śpiéwał nocy ptak żałobny
  Smutniejszy jeszcze, bo śpiéwał za ścianą,
Zrobiwszy wieczną z słowikami ligę,
Oddawszy cyprys im, a czarną figę

Wziąwszy za pałac. Jéj ogromne liście
  Ciągle po głowie grobowca łopocą;
Ptak umiłował ją sercem ogniście
  I nie opuszczał nigdy, nawet nocą.
W grobie podwójne także było wniście
  I dwie izdebki; w jednéj się szamocą
Owe Tatarki strzegące dziewczyny,
W drugiéj Beniowski skrępowany, siny,

Sam jeden leży na glinie i wzdycha,
  Któż mu w nieszczęściu srogiém dopomoże?
Nad nim okropna zemsta, zemsta mnicha!
  Pod nim umarły! Wspomniał o upiorze,
Potém (weselszą myślą myśl odpycha)
  O téj dziewczynie, co w drugiéj komorze
Leży i rączki może białe poda,
Lecz ma rumatyzm w rękach — jaka szkoda!

W kamień członeczki białe Bóg zastudził;
  Chociażby chciała wstać i przyjść — nie wstanie,
Chociażby wstała, toby się obudził
  Pop, lub Tatarki wiedmy. Chryste panie!
Także Cię rycerz méj powieści znudził,
  Żeś mu dał rozpacz, grobowe posłanie,
Więzy na rękach, łzę, co się nie leje,
I odebrałeś w grobowcu nadzieję?

A jeszcze gorzéj: jakiś gorączkowy
  Sen przyszedł, zamknął gorące źrenice;
Czarne Arabki postawił u głowy,
  Ubrał je w brody jako czarownice,
Zamiast warkocza z włosów, dał wężowy,
  Zamiast paznokci, ubrał tygrysice
W ohydne i krwią kapiące pazury,
Zęby przemienił w kły, zawoje w chmury.

Stanęły nad nim, pierś mu obnażyły;
  Chce krzyczeć... głos mu stanął w gardle kołem;
Chciał westchnąć — w sercu pękły wszystkie żyły,
  Chciał zgrzytnąć — usta zawiane popiołem;
Wszystkie uczucia ludzkie ma — prócz siły...
  Leży, z widmami strasznymi nad czołem.
Gdyby już uczuł wreszcie ból serdeczny —
Lecz że strach tylko ma, i zda się wieczny,

Do omdlałości przychodzi. A owe
  Wiedmy do siebie szeptają: On słyszy...
Odrąbmy jemu, rzekły, mieczem głowę
  I posłuchajmy, jak krew pluska w ciszy.

A druga rzekła: Mam krupy perłowe
  I dorzucimy nieco szarych myszy,
I masła nam da jaki kat przekupnik
I da nam sadła z psów — zrobimy krupnik...

Beniowski słyszał, czarne gospodynie
  Jak naradzały się, i uczuł zimno
W kościach. Wtém jedna rzekła: Mam naczynie,
  Ale jak zrobię tę rzecz... mury hrymną!
Czekaj; czoło mu językiem poślinię
  I zrobię nasz znak nad nim samym i mną...
W Beniowskim serce aż przez sen zakrzepło,
Uczuł przy twarzy bowiem twarz i ciepło,

Nareszcie usta — ale o! dziwaczne
  Sny... usta były świéże, miłe, młode,
Jako dwie wiśnie, co się zdają smaczne,
  Choć okiem tylko rubinową wodę
Pijesz. — O ustach więc tych śpiéwać zacznę
  I wejdę z niemi poeta w ugodę,
Aby za wiersz mój lotny bezrozumnie
Tak obudziły mnie tu — albo w trumnie.

Panny Gruszczyńskiéj to były usteczka!..
  Ona w grobowcu leżąc z drugiéj strony
Biédna, w Tatarek rękach jak owieczka,
  Która na wełnie ma już krzyż czerwony;
A często jednak zachodziła sprzeczka
  Między leśnymi Idyll Korydony,
Na któréj owcy były śmierci krzyże —
Bo matka często je całując zliże,

I sama nie wié, że swym pocałunkiem
  Od śmierci małe dziecko obroniła.
Tak właśnie dziwnym to było trafunkiem,
  A pewnie temu winna ta mogiła,
Że się przed Matki Boskiéj wizerunkiem,
  Przed tęczą swojéj myśli pomodliła
Panna Gruszczyńska, idąc na spoczynek;
Wtém ją obudził wiatr z niezapominek,

Z róż, z tulipanów, z lilii i z bratków,
 I otworzyła na pół senne oczy
I ujrzała się w zawierusze z kwiatków,
 Które latały w błękitnéj przezroczy.
Środek powietrza tego był z bławatków,
 W bławatkach był blask od czarnych warkoczy,
Które przechodząc z jaśni do ciemnoty,
Brały blask dziwny, rubinowo-złoty.

Twarz także była téj przecudnéj bieli,
 Co od błękitu także coś pożycza;
Pod pachą byli skrzydlaci anieli,
 A co dziwniejsza, szata tajemnicza
Z aniołów tkana — a na karabeli
 Trzymała stopy ta postać dziewicza —
Stopki tak małe, że z tamtego świata
Idąc, zapewne nie chodzi — lecz lata.

Przed nią na ziemi niemocą złożona
 Panna Gruszczyńska smętne oczki mruży,
Jak alabaster, w którym zapalona
 Lampa rzuciła coś blasku, coś róży;
Wtém święta rzekła do niéj: wstań! — a ona
 Uczuła, że jéj ruch i życie służy,
I wnet rączkami, które już nie słabną,
Zebrała na pierś koszulę jedwabną.

Potém usiadła, a potém uklękła,
 A potém płakać zaczęła w tym grobie.
I wnet ta jasność przecudowna pękła
 I znikła — sennéj podobna osobie.
Ciemność dzieweczkę klęczącą przelękła,
 Nie prędko światło ujrzała przy sobie —
Był to kagańczyk, który tam szczęśliwie
Płonął w żelaznéj czarce — knot w oliwie.

Wziąwszy więc lampę, wyszła; księżyc w górze
 Świécił, lecz zdało się małéj dziewczynce,
Że księżyc ćmiły fijołki i róże,
 Rzucając nań blask i pył albo sińce;

W powietrzu czuła dziwną kwiatów burzę,
 Widziała różne tęczowe gościńce,
Po których odszedł pewnie anioł biały;
Potém ujrzała dwie Arabki — spały!

Ohydna ich twarz — bowiem te upiorki
 Miały zasłonę na czole i brodzie,
A po nosach szły z koralów paciorki
 I dwie zasłony te trzymały w zgodzie.
Musiały pływać po wierzchu jak korki
 Te czarownice, pławione na wodzie;
Musiały latać jako nietopérze,
Wziąwszy pod siodło łopaty lub krzyże.

Lecz teraz spały, chrapiąc głośno obie,
 A tak ohydnie chrapią i śmiertelnie,
Tak się pazurem jedna w udo skrobie,
 A druga przez sen tak szczeka piekielnie,
Że panna, światło trzymając przy sobie,
 Paluszkami je osłoniła szczelnie
I stała — srebrna dziewczyna w lazurze,
Już nie kaganiec niosąc, ale róże.

Nagle ją strach wziął, obróciła twarzy
 I do grobowca szła nazad powoli,
Jak smętna dusza, co się na to skarży,
 Że wrócić musi do smętnéj topoli
I grobowcowi ciała być na straży,
 Aż ją pokuta albo czas wyzwoli
I znów odeśle w światy przedstworzenia,
Gdzie wyrastają znów dusze z płomienia.

Szła więc pod swoje sklepione framugi
 I schyliwszy się weszła. Już mówiłem,
Że w tym grobowcu był katakomb drugi,
 Gdzie krwią okryty i potem i pyłem
Mój rycerz leżał na ziemi, jak długi.
 Szczęściem, że lampy mojéj nie zgasiłem,
Prowadząc moje biédne dziewcze ciche
Do tego grobu po nocy, jak Psychę.

Od lampy płomyk tak się nad nią schyla,
Tak się od knota w powietrzu odrywa,
Jak duch miłości na skrzydłach motyla,
Piękniejszy wtenczas, kiedy dogorywa,
Kiedy ostatnia w nim zachwytu chwila
Płomieniem buchnie — piękna i straszliwa
I nad kochanki czołem się rozwinie
Jak płomyk, potém uleci — i zginie...

Tak weszła, światło w zmierzch ulatujące
Niosąc nad głową — potém go spostrzegła...
O! jakie wtenczas jéj modły gorące!
Jak krew po żyłach szafirowych biegła!
Chciała go zbudzić więc usta płonące
Na czole jemu kładąc, sama legła
I jęła więzy rozwiązywać duszkiem,
Ustami mówiąc mu: cyt! — i paluszkiem.

On też obudził się — lecz patrzcie chłopca!
Zaraz zrozumiał, że to nie z jasełek
Jaki aniołek, ani z mogił kopca
Duch, chociaż stała z koroną światełek.
Twarz ta i postać nie była mu obca;
Leżał więc cicho, a ona perełek
Ząbków bielutkich jak szczurek używa
I przegryzione na pół więzy zrywa.

Już wolny!... wstaje, otrząsa się z prochu,
Ona z kagańcem złotym naprzód leci;
Oboje wyszli z grobowego lochu.
Tatarki chrapią, księżyc srebrny świéci...
O! pomóż ty mi, Dante, i ty, Włochu
Z Sorentu... dwoje tych różanych dzieci
Przez te parowy wieść okropne, sine,
Tam, na błękitną jak niebo dolinę...

Olbrzymie skały zastępują drogę,
Tam nagle potok jęknie i zaszczeka;
Świat taki dziki naprzód wziął pod nogę
Jehowa, wprzód nim postawił człowieka,

Dawszy stworzonym skałom na załogę
  Węże, co lały się ze skał, jak rzeka,
I po dolinach, gdzie szła noga boża,
Ze swych błękitnych ciał czyniły morza.

Wystawcie sobie w tym świecie połosów
  Duszki dwie, które czekały na ciało,
A jeszcze słońca się trzymały włosów,
  Aby nie upaść na świat, co był skałą,
Węży królestwem i bezładem ciosów,
  Gdzie od świstania wielkich gadzin grzmiało
Wystawcie sobie, że nad tym odłogiem
Te duszki drżące dwie idą za Bogiem:

A obaczycie moję smętną parę
  Po skałach wianą wietrznymi poloty.
Wszystko lub białe jak kość, albo szare;
  Zdaleka wiszą czarne wielkie groty,
Gdzie pastuch Tatar śpiéwa pieśni stare,
  I trzody beczą, i na księżyc złoty
Szczekają głucho psy, — potoków fale
Huczą — i płaczą w dolinach szakale.

Jak zarzynane dzieci przez Heroda,
  Szakale płaczą — psom jakby na sprzeczkę.
Beniowski zbiega z gór, jak srebrna woda,
  Na ręce już wziął zmęczoną dziéweczkę;
Czasem mu powój kwietny ręce poda,
  Czasem i ona pomoże troszeczkę,
Oczkami skalne przeszywszy obłędy
I mówiąc jemu cicho: idź Pan tędy.

Tę skałę się Pan, mówi, obejść staraj —
  Tu mnie puść — sama ten potok przeskoczę —
Ostrożnie, mówi, tu mi nierozparaj
  Koszulki o cierń (było to przezrocze
Jedwabne). Nagłe wrzasła: Bakczysaraj!
  Puść mię! — Zwinęła na czole warkocze,
Koszulę także poprawiła z letka —
Jeszcze dziewczyna mała, już kokietka!

Do miasta wchodząc, myślała o stroju;
  Przyszły jéj na myśl jakieś myśli grzeczne,
Miejskie — a miasto było w świateł roju,
  I różne wieńce nad niém jak słoneczne
Wisiały — różne z tatarskiego łoju
  Ramazanowe lampy i świąteczne,
Z rożnych szkieł różnie na niebie świécące,
Jak wieńce z kwiatów na szafiru łące.

Bo Minarety, co je w niebo niosły,
  Tak były lekkie, jakby owe kwiaty
Bez żadnych łodyg i pni same rosły
  Albo latały; a tak był bogaty
Niemi horyzont, że oczy nie zniosły
  I odwracały się na bledsze światy,
Na morze, co swój włos jak owca wełni
I srebrem błyska, lub na księżyc w pełni.

Czasem piękniejszy tém, że stał na stronie,
  Minaret, jakby jaki anioł smętny,
Stał w swéj ognistéj z różnych gwiazd koronie,
  Tém milszy oczom, że nie był natrętny.
Beniowski widząc, jak powietrze płonie,
  Jak miasto gwary różnymi i tętny
Spokojność nocy lazurowéj miesza,
Jak motyl nocny w blask i brzęk pośpiesza.

Wpada w ulice gliną i rogożą
  Sklepione. Pełno świécących sklepików;
Osiołki gości po ulicach wożą,
  Radosnych pełno tłumów i okrzyków.
Strzeż się! bo zdepcą i w błocie położą,
  Gdzie pełno leży zgubionych trzewików...
Rzekłbyś, że pod tą żydowską hołotą
Drogim krwawnikiem brukowane błoto.

Rycerz z dziéweczką ani się ogląda,
  Leci a dziéwczę swe zasłania młode;
Niekiedy spotka wielkiego wielbłąda,
  Wschodnich ubogich krajów woziwodę

Okręt pustyni — jako struś wygląda,
  Skrzydła ma z worków, a gdy przed gospodę
Przyjdzie i stanie, to skórzane boki
Leją fontany dwie i dwa rynsztoki.

Czasami wielkim robrontem skrzydlata
  (Bowiem kobiéty wschodnie chcą być grube)
Leci ogromna czarna trumna, chata,
  Jak okręt, co ma parę albo śrubę
Ukrytą wewnątrz i blisko przelata;
  Ujrzałeś tylko widmo, czarną szubę,
Oczy świécące przez dwa białe kołka,
Na dole głowę i ogon — osiołka.

Z jedwabnym ciebie minęła szelestem,
  Oczyma tylko łysnęła — lecz okiem
Już myślisz, że cię spytała: kto jestem?
  Już myślisz, że to Wenus pod obłokiem,
Że to jest ogień, który pod azbestem,
  Pod niespaloną szubą i szlafrokiem
Płonie — i z drogi cię cnoty oddali,
A jeśli dotkniesz go, na popiół spali...

Jednak... częstokroć tak nie jest! Rendez-vous
  Gdzieś na cmentarzu dane — dyable myli.
Cyprysowemu ją zostawiasz drzewu
  Cieszyć — i klniesz wiatr, co szubę odchyli.
Lecz wtenczas tyle jest wschodniego gniewu,
  Taki jest wybuch, że dla krotochwili
Wrócisz i ogień hamujesz powoli.
Dalibóg, Muza moja znów swawoli!

Gawędzi — a wiém, żeście już ciekawi,
  Dlaczego miasto illuminowane
I co mój rycerz, lecąc gniewny, sprawi?
  Więc tu, ponieważ ta pieśń długa, stanę.
A gdy Apollo mi pobłogosławi,
  Znów nowe laury zasadzę różane,
Których mi powieść dostarczy szlachetna.
Dosyć — bo strofa to już blisko setna.

PIEŚŃ X.

Kto widział tylko swój dach i swój kurnik
  I swoje grzędy i swoję parafią,
Ten nie wié, co czuć może awanturnik,
  Kiedy go różne losu gromy trafią;
Kiedy poduszką czasem ma jaszczurnik —
  Dziś wodę pije, a jutro ratafią.
Ta strofa bardzo szanowna i prosta
Przetłómaczona dosłownie z Ariosta.

Dant także, drugi poeta epiczny,
  Mówi: O! szczęsny, szczęsny, co się rodzi
I nigdy w życiu za obręb graniczny
  Swoich zégarów miejskich nie wychodzi!
W tym wierszu słychać dźwięk melancholiczny
  Rodzinnéj wieży, który starce wodzi
W około domu... piastunki sposobem
I nie pozwala oddalić się — grobem.

Ale kto zawsze chodził tak, zda mi się
  Na starca dobry, lecz na czytelnika
Zły bardzo; w oczach mu książeczka ćmi się,
  Nie doczytawszy strof, często zamyka.
O różach jemu mówisz i cyprysie —
  Woli w drużbarta zagrać albo w ćwika.
Patrz, jaki los był biédnego Torkwata:
Ledwo gdzie o nim wié dom albo chata.

Dziś jeszcze jego głos harmonią szklaną
  Ślizga się, jako Syrena tęczowa,
Po złotym płacząc kanale Orfano
  W ciemnym szpitalu wyjęczane słowa.
Lecz moje... i tych dźwięków nie dostaną.
  I czas je w długim grobowcu pochowa...
Więc — a więc piszmy, niech rym będzie świéży!
Reszta od Boga i ludzi zależy.

Beniowski więc mój, przebiwszy się w tłumie,
  Dopadł pałacu, drzwi stały otworem;
Wschód się w pałacach zamykać nie umie,
  Lecz dwór jest karczmą, a karczma jest dworem.
Więc obłąkany trochę na rozumie
  Nocną przeprawą, i sennym upiorem
Zmęczony, pełny rozpaczy i troski —
Wpadł do pałacu Khana pan Beniowski.

Za rękę trzymał dziewczynę oblaną
  Wstydu rumieńcem, lecz nadzwyczaj ładną;
Spojrzał — Khan siedział na sofie pod ścianą,
  Przy nim ministry, co lud drą i kradną,
A czasem z brody gęstéj coś dostaną
  I wcale tego na paznokć nie kładną,
Ale puszczają wolno i z uśmiechem,
Bowiem zabijać rzecz żywą — jest grzéchem.

Ministry stali w kaftanach z czerwieni,
  Na wszystkich twarzach była dziwna radość;
Swiateł tysiące, woń drogich korzeni,
  I wszystkim ludzkim zmysłom było zadość.
Almeje także, te córki płomieni,
  W szat przezroczystych osłonięte bladość,
Tańczą przy fontan lazurowych chłodzie
Blisko, a drugie daleko w ogrodzie.

Zda się, że ciągle się roją i rodzą
  Z krzewów, z jaśminów, z róż, i znowu nowe
Przez rozwidnione aleje przechodzą,
  Lecąc przez słońca różnokolorowe.
W tych słońcach giną smętne, z tych się płodzą
  I szybkim tańcem zawracają głowę;
Królowa tańca, młodziutka dziewczyna,
Płeć miała żółto-ciemną, jak cytryna,

Włosy jak węgiel czarne, Indyjanka!
  Oczy jak dwoje czarnéj kawy ziarek,
Na głowie nakształt kręconego wianka
  Koronę, z chińskich jajek i latarek;

Zmęczona, tańca szybkiego sułtanka,
  Siadła na czarnym Khanie, jak kanarek,
A Khan maleńkie złote brał khiryje,
Na twarz przylepiał spotniałą i szyję.

Muzyka także grała; muzykanty
  Na różnokwietnéj siedzieli rogoży
U drzwi, i grali okropne drabanty,
  Zachowując się z taktem jak najgorzéj —
Piekielne jakieś muzykalne Danty.
  Na których ucho się dziś moje sroży...
Pomiędzy nimi siedział muzyk dworu,
Który w urzędzie był — turbator choru.

Więc śpiewał — przy nim siedział cymbalista,
  Przy cymbaliście siedział bardzo blisko
Skrzypak, a raczéj Orfeusz lutnista
  Z wielką glinianą ostrunioną miską,
Na któréj szczypał struny nakształt Lista,
  Wysoko biorąc ton, a potém nisko;
Trzeci — co bardzo mały efekt czyni
Na smyczku smyczkiem grał, jak Paganini...

Wszyscy z ogromną artystów powagą,
  Jak gdyby czuli, że świat dzisiaj cały
Muzykami jest jak Mojżesza plagą
  Skarany — Włochy od rulad zgłupiały,
Europa także z polityczną wagą
  Rusza się na głos lutni, nakształt skały —
Po bizatyńsku swoje ciało kruszy
I serca więdną w niéj, a kwitną uszy.

Ten wziąwszy opium zapału — dopóki
  Włoch kastrat krzyczy: o patria! w ruladach —
Czuje się w sercu bohatérem sztuki,
  Radby w podziemnych być zaraz naradach
I wnet jak wulkan rzucić w górę bruki
  I z mieczem jasnym w ręce iść po gadach;
Strawiony takim serdecznym pożarem,
Jutro znów głupcem jest, nie karbonarem.

Zwłaszcza jeżeli na świecie pochmurno,
  Klnie świat... i nerwy! O! o! z krakowiaka
Zróbcie mi jakie posępne notturno,
  Z notturna zróbcie coś alla polacca,
Bo mi na świecie tym nadzwyczaj durno!
  Przyszła mi także z poczty cała paka
Lirycznych wierszy — O! Orędowniczko
Polski! Najświętsza Panno! o! kantyczko!

Zmiłuj się, proszę, proszę — nie nademną,
  Ale nad Polską miéj ty zmiłowanie!
Więcéj nie mówię, bo mi od łez ciemno,
  I pod oknami także mam płakanie
Drzew, które słońca wołają daremno
  I mają z liścia złotego ubranie...
Jesień z liryzmem smutnym przyszły w parze
Na moję duszę, jako dwaj grabarze.

Chciałbym coś pisać tym niby zachwytem,
  Co niby z Boga jest; lecz nie pozwala
Ta pieśń, która jest koroną i szczytem
  Awantur krymskich. Potém przyjdzie fala
Nowym czerwonym ozłocona świtem,
  Szumiąca krzykiem, czarna krwią Moskala.
Lecz teraz wiersze są śmiechem przesute,
Albowiem śpiéwam tatarską redutę.

Mimo całego blasku na tym dworze,
  Gdzie wzlatywały tancerki motyle,
Czuć było jakąś dzikość straszną; może
  Mléko i śwież̇e kotlety kobyle...
Mléko to stało w ogromnéj amforze,
  Gdzie ametysty, szmaragdy, beryle
Migały w różne ogniste kolory,
Ale kwas było gorzki czuć z amfory.

Dym także z lulek w kłęby się olbrzymie
  Mięszał; Beniowski więc wpadłszy do sali,
Jak olimpijski bóg, w błękitnym dymie
  Krył się. Wtém ujrzał w rogu kawał stali...

O bogi! poznał, pan Borejsza drzémie!
  Jak dąb litewski, kiedy się powali,
Leżał i w tłumie małych charcic krył się,
Które lizały mu twarz — poseł spił się.

Charciczki małe Khana stoją wkoło,
  Każda ma pyszczek długi jak gadzinka;
Ta liże uszy posła, druga czoło —
  W mrowisku się zda, uwędzon jak szynka
W dymie. W ręku ma jeszcze szablę gołą,
  Postrzegł się widać, że to była drwinka —
Ów haszysz; nie chciał więc odwlekać,
Wydobył krzywą szablę i chciał siekać.

Ale sen, śmierci brat, kochanek maku,
  Ujął go w swoje ramiona. Charcice
Uczuły także coś na twarzy smaku,
  Więc mu lizały, jak mówiłem, lice.
Beniowski, widząc go w takim orszaku,
  Wziął go i wstrząsnął, jak siana kopicę,
Potém o ziemię nim jak beczką trzasnął,
Lecz pan Borejsza chrapnął — i znów zasnął.

Wtenczas Beniowski do Khana — po włosku:
  Jakże to posłów przyjmujesz, Giraju?
Krzyknął, nad nami śmierć jest jak na włosku!
  Przylatujemy tu z krwawego kraju!
A ty... Khan siedział z cybuchem, jak z wosku,
  I pół spity był w zachwycenia raju;
Więc bełknął tylko, zawróciwszy białka
W oczach: Il Allach! stłuc w moździerzu śmiałka!

Rzekł; i wnet cały tatarski paszalik
  Wydobył noży, szabel, jatagany,
A Khan odwrócił oczy, gdzie Moskalik
  Mały, od Kasi ruskiej darowany,
Kozaczka trzepał i nakształt się kalék
  W powietrzu rzucał, cały połamany,
Zda się, że osa lub torban ruchawy,
Mający czapkę, buty i rękawy...

W Khana się w oczach spitych zdaje czasem,
  Że torban skacze sam — w różne prysiudy,
Że czworo goleń ludzkich ma za pasem,
  A wszystkie w torban chowa, jak do budy;
Raz piątką się zda, znowu zda się asem;
  Kiwa więc tylko głową na te cudy
I potakuje; czasem jak z butelki
Huknie mu z gardła czkawką: Bóg jest wielki!

Tak, Allach kerim! Musi być nie mniejszy
  Od tatarskiego — możny Bóg Moskali!
Beniowski szablę chwycił, z rąk Borejszy
  Wydarł ją, potém zaczął taniec w sali
Od kozackiego tancerza skoczniejszy;
  Rąbie na oślep i po karkach wali —
Podłoga już krwią gorącą spluskana,
Wszyscy go czują i słyszą — prócz Khana.

Ten, ciągle małym kozaczkiem zajęty,
  Oczy zamruża i takt ręką bije;
Kozaczek czasem mu pokaże pięty,
  A czasem nogi zarzuci na szyję;
Khan myśli, że to ruski derwisz święty,
  Który tym tańcem swoje grzechy myje,
Tańcem, co z serca idąc, zda się szczérym;
Po raz więc setny krzyknął: Allach kerim!

Jest to tatarskie brawo. Pan Beniowski
  Myślał, że jemu należy wykrzyknik.
Z Tatarów robił już makaron włoski,
  Tak że rozchodził się już bal lub piknik
Przez drzwi i okna; miecz się zdawał boski,
  A gdzie uderzył skrami, cały szyk nikł.
Ten wiérsz ostatni zły, lecz go podeprze
To, że w następnéj strofie będą lepsze.

Śród gorącego po komnatach boju
  Beniowski mieczem robi peryferyum,
Tego po plecach, tego po zawoju
  Siecze, a naprzód wpadł na ministeryum

I tego, co miał departament łoju,
  Ministra oświecenia, Achmet Derium,
Po garbie mieczem siekł, tak że minister
Utracił cały swój garb, jak tornister.

Lecz guz strącony zmienił tylko pana,
  Bo wziął go zaraz na czoło koniuszy,
Wielki statystyk także Giraj Khana,
  Który obliczał ścięte giaurom uszy,
Potém na sznurki nizał — dla Sułtana,
  Który je marynuje albo suszy,
Właśnie jak w Litwie grzyby borowiki —
A czasem żonom daje na kolczyki.

Po takiéj sprawie ministeryum całe
  Cofaniem się podało do dymisii.
Wymowie szabli przypisać tę chwałę,
  Że z rządu ludzie ustąpili łysi;
A łatwiéj zmusić do odwrotu skałę,
  Kaskadzie kazać — niech stanie i wisi!
Powstanie całe kraju przysposobić,
Nawet wybuchnąć łatwiéj — niż to zrobić.

Ministeryum więc całe już w odwrocie
  I muzykanci wszyscy, pole czyste!
Mój rycerz chwilę stanął cały w pocie,
  Wtém ujrzał szabel girlandę — O Chryste!
Już na jednego człeka idą krocie,
  Po nad głowami niosą szable szkliste
W rząd ułożone, razem w tył zagięte,
Jak fale upaść gotowe i wzdęte.

Rząd jeden żółtych twarzy, płaskich nosów,
  Rząd jeden szabel; idą krągłe koła,
Jakby rząd jeden wielkich srebrnych włosów,
  Które lwom żółtym wyrastają z czoła.
W téj błyskawicy podniesionych ciosów
  Beniowski śmierci zobaczył anioła,
Który się zdawał strasznym i wspaniałym, —
I stał w tych mieczach, jak w zwierciedle białém.

Już idą! rycerz wpoprzek się nad głową
  Mieczem zasłonił i czekał z powagą;
Już idą — prędzéj, niż wymówisz słowo,
  Śmierć spadnie; jednak i tu jest odwagą
Mieć podniesione czoło, twarz surową,
  Błyszczące oczy i pierś wzdętą, nagą.
Beniowski takim był pod tą framugą:
Gdy ktoś mu nakrył głowę — szablą drugą.

Spojrzał, lecz nie mógł widzieć dobrze twarzy,
  Bo ten, co zakrył go, stał odwrócony;
Na turbanie się drogim kita waży,
  Którą wziął brylant wielki wschodni w szpony;
Kaftan miał drogi — i rzekł coś do straży,
  A nad Beniowskim trzymał miecz obrony,
Tak że dwie szable razem miały włosy
I klingi dwie samotne, jak dwa kłosy.

Wahała się straż — wtém ów rycerz nowy
  Do Beniowskiego rzekł: potrzeba zdać się!
Po polsku to rzekł, lecz odwracał głowy,
  Jak gdyby jego oczów musiał bać się;
A potém dodał cicho: będziesz zdrowy
  I wolny — teraz to nie może stać się;
Wyrok na ciebie jest srogi wydany
I nie odwoła go wnet Giraj pjany;

Ale się poddaj! — Tu ręką łagodnie
  Z rąk mu wyjmował szablę, ale zawsze
Twarz swą zakrywał, a mógł to wygodnie
  Zrobić, bo pan Beniowski widział krwawsze
Grożące sobie oczy, wielkie, wschodnie —
  I damasceńskie i nienajłaskawsze
Szable stojących w około Janczarów,
I do ostatka chciał się bić przez narów.

Ciągle więc groził; gdy mu tamten drugi
  Szalem tureckim nagle nakrył czoło;
Chciał się szamotać rycerz, ale sługi
  Pomogły temu panu z szablą gołą.

Wydarto mu miecz; potém legł jak długi,
I słyszał cichy gwar tatarski w koło,
Potém go niosły z lekka owe straże
Długo przez długie, kręte korytarze.

Są chwile w życiu, w których człowiek zda się
Samemu sobie bardzo poetycznym:
Na skały igle, na ruin terasie,
W usposobieniu umysłu wehmicznćm;
Gdy wołasz szczęścia, stojąc na Parnasie,
A echo głosem ci melancholicznym
Ze wszystkich skalnych kątów odpowiada
Trzykrotnym głosem: biada! biada! biada!

Gdy skończysz wszystkie szkoły i nauki
I za rękę cię uściśnie sam rektor;
Gdy jesteś wybran posłem, gdy cię wnuki
Obsiędą, gdy kraj obronisz jak Hektor;
Gdy depcesz dawne Herkulanum bruki;
Gdy twój poemat czyta dobry lektor,
Gdy sam rozmyślasz o zbawieniu Lachów;
Gdy wygrasz partyą bilardu lub szachów;

Gdy cię zapyta kto — jaka grafini,
Czyś był w Paryżu; gdy patrząc w obłoki,
Kochanka tobie wyznanie uczyni,
Że kocha... albo rzuci się w potoki
Jaka dziewczyna, która ciebie wini
O zapomnienie, potém ją w głęboki
Dół kładą, sadzą na grobie kamelie
I pokrywają piaskiem, jak Ofelię.

Gdy w tańcu jesteś pierwszym koryfantem
I kręcisz kołem młode pokolenie;
Albo gdy ciebie nazwą obskurantem,
To jest, że możesz zgasić oświécenie;
Albo gdy jesteś dział asekurantem
I w Napoliońskie wierząc przeznaczenie,
Słuchasz z powagą kul lecących świstu;
Gdy C o m t e przeczytasz na kopercie listu...[1])

[1]) Ob. Pieśń III *Podróży na Wschód,* t. I str. 165, 166. (*P. W.*).

Z tych i podobnych wrażeń pono żadne
  Nie urodziło się w duszy rycerza;
Utracił swoję piękną Aryadnę —
  Wzięty, więzieniem jego była wieża,
Co zewnątrz miała desenie tak ładne,
  Jak rozkwiecona palma śród wybrzeża,
Wieża ceglana, o wysokiém piętrze,
Lecz wewnątrz... bardzo miała smutne wnętrze.

Okna okrągłe bez szyb, gdzie czerwone
  Lub srebrne światła upadały snopy;
Z jaskółczych gniazdek uwitą koronę,
  A w suchym piasku po nad morzem stopy;
Huczał w niéj sufit, gdy morze szalone
  Rzucało wrące na piasek ukropy.
W takiéj to wieży smutnéj przebył trzy dni,
Czwartego... tu się poemat rozwidni —

Czwartego ranka skrzypnęły zawiasy,
  A jeszcze ranna panowała szarza,
Dopiéro morskie srebrzyły się pasy
  Srebrem od wschodu; gdy ktoś z korytarza
Wszedł — cały strojny w tyftyk i atłasy,
  Ktoś niepodobny wcale do grabarza
Ani do kata — miał z baraniéj skóry
Kołpak, przyłbicę takąż, w niéj dwie dziury.

Z kołpakiem razem ta maska futrzana
  Kryła mu lice i twarz, oprócz oczu.
Beniowski poznał w nim wschodniego pana,
  Choć ze snu oczy odemknął w przymroczu;
Poznał, że ten sam, który go u Khana
  Bronił i był mu z szablą na przyboczu,
A potém zdradził, niby wróg ukryty,
A mówił jako Polak rodowity.

Porwawszy się więc z ziemi, głosu grzmotem
  Zawołał: zdrajco, czego chcesz? i po co
Przychodzisz do mnie? czy z moskiewskiém złotem?
  Czy chcesz mnie kupić? czyli wziąć przemocą?

Nie dam się ja krwią zalać ani błotem!
  Nim szable twoich katów zamigocą,
Samego ciebie do walki przymuszę;
Chociaż bezbronny, zwalę i uduszę!

To mówiąc, stanął w szermierza postawie;
  A drugi... nie rzekł nic, ani się ruszył
I nie wydawał się wcale w obawie,
  Choć go Beniowski mową już ogłuszył.
Więc rycerz znowu: strojnyś jest, jak pawie!
  Aleś tu próżno w ogon się napuszył.
Jak mi Bóg miły, jak słońce na niebie,
Walcz — bo sam pierwszy porwę się na ciebie!

Na to tatarski rycerz rzekł: przychodzę
  Uwolnić ciebie; poznasz za godzinę,
Że jestem tobie bratem i nie szkodzę,
  Owszem za ciebie i za kraj nasz zginę.
A teraz zdaj się ty na moję wodzę!
  Oto masz ubior — lubisz barwy sine,
Oto masz kaftan, pistoletów dwoje,
I strzelbę oraz pałasz — wszystko twoje.

Zwrot to jest tylko, a nie podarunek —
  Więc weź i za mną chodź, bo jesteś wolny —
Beniowski kaftan wdział i wziął rynsztunek,
  Z gniewnego stał się jak owca powolny,
Gniéw mu wywietrzał wnet, jak lekki trunek,
  Dziw tylko został. Więc jak młokos szkolny,
Ciesząc się w kaftan błękitny ubiérał,
Potém próbował broni i obziérał.

Broń była cudna: rubinów płomienie
  Po pistoletach szły jak iskier sznurek;
Rura u strzelby z drutów, a w desenie
  Kuta, i bardzo fantastyczny kurek;
Nie byłto Lepaż, lecz taką na ścienie
  Wolałbym wieszać dziś, niż sto dwururek
Paryskich. Szabla także była krzywa,
A tak się zdała żądać krwi, jak żywa.

Pod wieżą stały dwa piękne rumaki;
  Do Beniowskiego znowu rzekł przewodnik:
— Wybierz! obydwa latają jak ptaki,
  Obydwa z Neżdów, i mają swój rodnik
W złotym woreczku na przodzie kulbaki;
  Jeden drugiemu jest jak współzawodnik
Równy: więc wybór zostawuję Waści —
Weź, który lepiéj się podoba z maści.

Czarnego wybrał Beniowski i skoczył
  Na siodło drogim sadzone kamieniem;
Potém na piasku koło nim zatoczył —
  Koń szedł jak fala lekko pod siedzeniem
I piasku wcale morskiego nie tłoczył,
  Dumny szlachetném swojém urodzeniem
I tą metryką, co go z Neżdów wiodła,
W złotym woreczku wiszącą u siodła.

Tatarzyn — zawsze pod szarą przyłbicą,
  Szary był bowiem na masce baranek —
Pośpieszył przodem; za nim błyskawicą
  Jechał pan Kaźmierz wesół, a już ranek
Palił się w ogniach nad krymską stolicą,
  Którą mijali. Cmentarz i palm wianek
Minęli także — oba stepem lecą
Tam, gdzie nad Polską smutne gwiazdy świécą.

A jedna większa, smutniejsza nad inne,
  To się błękitem, to się krwią zalewa,
Jakby złociła jakie czoło, winne
  Przed Panem Bogiem — bo ciągle omdlewa
I ciągle oczy zamyślone, gminne
  W daleki Sybir prowadzi, jak mewa
Białymi skrzydły lecąca i przodem
Przed nieszczęśliwym już dawno narodem.

Mimo galopu i drogich jedwabi
  I broni, wtenczas nawet rycerz młody,
Patrząc w tę gwiazdę, myślał, że go wabi,
  Jak smętny anioł, gdzieś na jakieś lody,

Gdzie umierają prędko ludzie słabi,
  A mocni stoją długo, jak śród wody
Utopionego okrętu iglice,
I długo widzi lud ich smętne lice

We mgłach; więc nawet gdy się cały skarli
  I życia szczęście bierze, jak się zdarza:
O tamtych jeszcze wié, że nie umarli
  I jeszcze cierpią; i to go przeraża,
Że się już w wichrach ciągłych nie podarli
  I nie spróchnieli, jak krzyże cmentarza
I nie opadli, jak dawne sztandary
Ci ludzie — w lodach gdzieś błądzące mary.

Taka jest piękność, taka posągowość
  Niedoli, ona jest naszym marmurem!
Motyle tylko wabi każda nowość
  I ludzi każdy krzyk śpiéwany chórem.
Twarz większa, w ogień i twardą surowość
  Ubrana, z kluczem żórawi i sznurem
Nie chodzi, ale na ustroniu błyska,
A czasem śmiechem z ust, jak krwią, wytryska.

O Dante! czy ty marzyłeś te kręgi,
  Gdzie człowiek dobry chciałby ludzkich twarzy,
A wkoło takie figury, ciemięgi,
  Taka gromada szara gospodarzy?...
Tak w sznury wzięta dobrze i w popręgi,
  Na takie głupstwa się wierszami skarży,
Tak porobiła gdzieś w niebie otwory
I takie do nich mosty ma — z pokory:

Że człowiek, choćby chciał... by nie być z nimi,
  Musi się oddać dyabłu — eheu, smutno!
Ale już słońce włosami złotymi
  Rzuca na białe mych namiotów płótno.
Beniowski ujrzał siedzący na ziemi
  Obóz. — Tu muza nie chce być okrutną
I zaraz (bowiem już do końca dążę)
Wschodni poemat mój cały rozwiążę.

Na złotym stepie — byłto niby parów
  Pomiędzy dwiema piaszczystemi góry —
Ujrzał Beniowski dwa sotka Tatarów
  Nie bardzo pięknéj tuszy i struktury;
Przypominali coś dawnych Khazarów
  Lub Hunnów: kość im przyrosła do skóry,
Mięsa nie mieli wcale, tylko żyły —
Namioty z czarnéj skóry, jak mogiły.

Kociołki mieli czarne przy ognisku,
  Wielbłądów chudych i starych z dziesiątek;
Chudzi rycerze, w oczach pełni błysku —
  Poszliby nawet na rzeź niewiniątek.
Stanąwszy przy tém dziwném koczowisku,
  Rzekł nieznajomy rycerz: Na początek,
Panie Beniowski, oczu nie otwiéraj!...
Daje ci dwieście Tatarów Khan Giraj.

Weź ich! Ten obóz zaraz z tobą ruszy;
  Wódz jego El Dżin, patrz — ten Tatar stary,
To wąż; do jego ciała, kości, duszy
  Masz prawo. Końskie im zostaw sztandary,
Pozwól obcinać wszystkim trupom uszy,
  A służyć będą lepiéj niż huzary;
Kosztu ci także wiele nie przyczynią,
Zdechliną ich karm wszystkich, lecz nie świnią.

Potém arabskim coś mówił językiem;
  Allach! wrzasnęli mu, gdy skończył mowę.
Beniowski wielkim ogłuszony krzykiem
  Stał, a zaś wojsko stanęło w podkowę
I ogłosiło go wraz pułkownikiem;
  A El Dżin, sam wódz, pokazał na głowę
I szyję, mówiąc mu jak najszlachetniéj:
— Jeśli nie będę słuchał, to mnie zetnij!

Potém Tatarzyn ów i dobroczyńca
  Wiódł Beniowskiego, gdzie stał wóz z namiotem,
Wóz jakby wielka maża Ukraińca
  Wokoło wielkim ogrodzona płotem —

I rzekł: — Khan Giraj daje ci gościńca,
  Ten wóz; a nie sądź, że napełnił złotem
Skórzane łono owego namiotu:
Jestto wóz pełny trudu — i kłopotu.

Podnieś to skrzydło wielbłądowéj skóry,
  A sam hojności Khana będziesz skarżył. —
Radością pan Beniowski aż ponury —
  Wahał się chwilę, potém się odważył
I podniósł skrzydło namiotu do góry;
  Potém się cały w ciemny namiot wtwarzył,
I powtórzyło łono tajemnicze
Namiotu — dwoje Ach!... jedno dziewicze...

I długo głowa mojego młokosa
  W namiocie owym była na gościnie.
Ani z garełka uczonego kosa
  Taki dźwięk słychać po ciemnéj kalinie,
Choć kos — to lutnia ptaszków różnogłosa,
  A w przedrzeźnianiu żadnego nie minie,
Lecz wszystkie tony w swym głosie zamyka,
Wszystkie, i nawet śpiewanie słowika;

Ani więc w drzewie, kędy on zasiądzie,
  Tak wszystkie listki świszczą i szczebiocą,
Jako te skóry wydęte wielbłądzie,
  Na których gałki się mosiężne złocą.
Lecz co w nich było... to chyba na sądzie
  Wydam i wielką przymuszony mocą;
Bo mnie obchodzi los dawnych pamiątek,
Aniela... oraz dalszych pieśni wątek.

Gdy więc Beniowski stał jak kuropatwa,
  Co głowę swoję pochowała w śniegu...
Jak widzę, rzecz się znowu trochę gmatwa,
  A pisząc, stanąć znów nie mogę w biegu.
Sztuka rozwiązań jest bardzo nie łatwa,
  Przedemną nie ma ubitego ściegu,
Bo nikt nie śpiéwał z nas na taki temat,
Ażeby musiał rozwiązać poemat.

Gdy więc Beniowski, pogwarzywszy długo
  Z namiotém, oczy wydobył nareszcie,
Spotkał się nagle ze starą kolczugą
  Pana Borejszy: ten był widać w mieście
I teraz przybył z Perkunasem sługą;
  Bowiem usłyszał, że Tatarów dwieście,
Których ojciec czart, mać Tatarka rodzi,
Z jednym Polakiem do Polski wychodzi.

Zabrawszy więc manatki, pełen troski,
  Że nic u Khana nie sprawił, Krym rzucał.
— Jakto?! więc to jest, krzyknął, pan Beniowski,
  Którego mnie los smętny tak zasmucał?
A to prawdziwy, widzę, wyrok boski!
  A! dajże mi twarz, dajże, niechaj ucał...
Zamiast sylaby ustami go w usta
Cmoknął, aż jękło, tak jak beczka pusta,

Gdy z niéj wystrzeli czop. A potém wkoło
  Obejrzawszy się: Cóżto za wędzonki?
Spytał — ubrani wszyscy prawie goło,
  Którychby można wszystkich na postronki;
Złodzieje jacyś? — Na to mu wesoło
  Rzekł rycerz: Są to rycerze i członki
Konfederacyi Barskiéj, moi ludzie —
Ci, co na koniach są, i ci, co w budzie.

Poprowadzimy ich w ogień, Mospanie! —
  El Dżin, każ, niechaj wskakują na juki! —
Kazał, i wnet się surm ozwało granie,
  Namioty nikły — błysły szable, łuki,
Wielbłądy wstały na panów chrapanie:
  Krz! krz! — za starym ojcem idą wnuki;
Obdarty, stary jakiś Abdel-Kader
Prowadzi, wielbłąd dziś, dawniéj dromader.

Beniowski widząc, że już w pogotowiu,
  Rzekł, obróciwszy się do Tatarzyna,
Który go przywiódł i był w złotogłowiu
  Strojny jako gil, a wiotki jak trzcina:

— Bądźże mi, jasny panie, w dobrém zdrowiu!
  Szlachetna dusza łask nie zapomina:
Tyś mi tak serce swą dobrocią spętał,
Że póki będę żył, będę pamiętał. —

Nic nie rzekł Tatar; z głową pochyloną
  Stał i na błękit ku Polsce pozierał...
Widać pod szatą, że pracuje łono,
  Że się płacz w sercu zatrzymany zbiérał.
Więc Pan Borejsza: — Cóżto jest za ono
  Stworzenie? cóż to za krymski jenerał?
Jam go nie widział wprzód, czy z niebios spada?
Czy nasz przyjaciel? czy po polsku gada?

Jeżeli gada, powiedz mu, że w Krymie
  Został się jeden Tatarzyn z pod Waki,
Pan Abdulewicz; niech się o to imię
  Rozpyta! poszedł gdzieś, jak zając w krzaki;
Może gdzie spity od haszyszu drzémie,
  Może nas przedał za szczyptę tabaki,
Przed posłem Moskwy na łapkach, jak pieski,
Może zapomniał, że jadł chléb litewski.

Porzucać tak się wcale nie godziło
  Braci w nieszczęściu, zostawiać ich w trosce;
Z jednéj się razem szklanki nieraz piło,
  W jednéj się prawie wychowało wiosce...
Myślałem, że mój grób z jego mogiłą
  Będą się widzieć, choć on miał dwurożce
Postawić sobie w straż u śpiącéj głowy,
A ja oblany krwią krzyż Chrystusowy.

Ale tak nie jest! odbiegł nas jak trądem
  Rażonych, widząc, że Khan patrzy krzywo.
Sumienie własne niech mu będzie sądem;
  Nie będę o nim gadał — bo to dziwo,
Że Tatar zdradził. Niechże się z wielbłądem
  Błąka po stepach, i ma starość siwą.
Lecz kiedyś, kiedyś... oj! westchnie on z cicha
Do litewskiego stołu i kielicha!......

Podczas téj mowy nieraz na rumaku
  Wzdrygnął się Tatar. Raz już podniósł dłoni
I miał ją prawie na swoim kołpaku;
  Myślał Borejsza, że mu się ukłoni,
Lecz nie zdjął czapki. Potém jak na ptaku,
  Na koniu swoim, który rżał do koni,
Na bliskie piasku odleciał pogórze
I stanął w pyłu złocistego chmurze.

Tak uleciawszy od rycerzy kawał,
  Pyłem omglony słonecznego blasku,
Znak pożegnania, wzniosłszy rękę, dawał;
  Kiedy się wojsko już grzebało w piasku,
Widział, jak z wału wychodzili na wał;
  Słuchał dzikiego hord niknących wrzasku —
Znikli, on słyszał jeszcze, jak anieli
Niebios, gdy w stepach Alla hu! krzyknęli.

Alla hu! miłéj krzyknęli ojczyźnie,
  Idą na boje, gdzie los pędzi ślepy;
Może niejedna głowa się rozbryźnie
  I koń powróci sam na złote stepy,
Gdzie go źrebięta powitają bliźnie
  I palmy, niebios trzymające sklepy,
A pan zostanie pod brzozą wieśniaczką,
Która umarłych jest nimfą i płaczką.

Tymczasem Kaźmierz za wojskiem ostatni
  Gonił, obziérał się często za siebie
I często patrzał, gdzie ów rycerz bratni
  Stał, jako mara tęczowa na niebie,
A potém mniejszy, jak sztandar bławatni;
  I słychać było pod nim rżące źrebię...
Spojrzał ostatni raz pod słońca blaski,
A już ów rycerz jasny stał bez maski.

Lecz taka była czerwień i płomyki
  W powietrzu, które z ziemi idąc parzy,
A tak daleko ze swymi łuczniki
  Już był Beniowski, że nie dojrzał twarzy;

Więc dogoniwszy swoje tylne szyki,
  Spytał jednego z namiotowéj straży,
Kto był ów rycerz pożegnany z rana?
Ten odpowiedział: Syn Gireja-Khana.

PIEŚŃ XI.

Beniowski z swoim hufcem tatarskim przybywszy na ukraińskie stepy, spotyka się z nieznanym jakimś starcem, który mu mówi o dawnych czasach i przepowiada smutną przyszłość. Potém prowadzi go do pobliskiéj groty, w któréj zwykł czasami przemieszkiwać wraz z drugim jeszcze towarzyszem, ze Suchodolskim. Bliższe szczegóły o Wernyhorze. Od téj pory, zdaje się, że lirnik towarzyszy już Beniowskiemu w dalszym jego pochodzie — ku Barowi. Przyłącza się do nich po drodze jakiś oddział konfederatów, nad którymi główne dowództwo, równie jak i nad Tatarami, bierze Beniowski. Pewnéj nocy lirnik wróży z księżyca, że się zbliża chwila krwawéj potyczki. Jakoż niezwłocznie spotyka się ta cała Beniowskiego komenda z licznéın wojskiém, obozującém pod lasem. Nocna utarczka — nie bez korzyści; a potém dalszy pochód Polaków taborem ku Barowi — wśród nieprzyjaciół otaczających do koła, lecz nie mających odwagi zaczepiać.

Luźne urywki, który się zdawały jakikolwiek mieć związek z częścią poematu obecną zamieszczamy poniżéj; nie ręcząc atoli za to, czy rzeczywiście wszystkie te ustępy wnijść miały w skład téj właśnie pieśni.

I.

Liro żebracka! słyszałem i słyszę
  Twój głos, przez lasy lecący brzozowe;
I robię w moich myślach dziwną ciszę,
  Aby cię słyszeć... Ty miałaś perłowe
I wydeptane palcami klawisze,
  Po których pieśni chodziły stepowe
I w twoje łono — pochylając czoła —
Szły smętne, jak do starego kościoła.

Nie palce ciebie, liro, wydeptały,
  Ale te pieśni ciężką nogą ducha,
Który wywraca zbrojne zamki, skały,
  I naród gotów oderwać z łańcucha;

Taki jest silny i taki wspaniały,
  Gdy się obudzi z grobu i wybucha!
On stare czasy żebrakowi szeptał,
Żył z nim i srebrne klawisze wydeptał.

Rozłamać nie mógł liry starzec siwy
  I rzekł: — Oj bat'ku pane — tak nazywał
Suchodolskiego — wielkie będą dziwy....
  Kto inny będzie na téj lirze grywał...
Kto inny będzie u téj szaréj śliwy
  Grał tobie pieśni złote... i używał
Twojéj przyjaźni... ja wże idu spaty,
Kto inszyj tobi bude, pane, hraty...

Koń suchą nogą zatętni po Rosi,
  Zarży, a lira w trumnie mu odpowie;
Stamtąd koń..... Widząc, że proroctwo głosi,
  Pan Suchodolski oczy wylśnił sowie;
Lecz starzec zamilkł... i ta śmierć, co kosi,
  Ścięła go; ale zjeżone na głowie
Włosy — powieki, które się otwarły,
Świadczą, że na coś się patrzał — umarły.

Nazajutrz piątek był — szare kolumny
  Żebractwa snuły się po stypne grosze;
W dziedzińcu starca włożono do trumny,
  Trumnę na czarne postawiono nosze.
Pan Suchodolski sam — choć starzec dumny,
  Czarny wdział żupan i czarną wołoszę...
Wyszedł pogrzebów czarny regimentarz,
Diak — cały pogrzeb stepem wiódł na cmentarz.

W stepie jęczały głosy niezbyt śpiewne,
  A jednak piękne harmonią płaczliwą;
Jasną girlandą chorągwie cerkiewne
  Szły — burcząc z wiatrem; świéce nieśli krzywo
Chłopięta... Nieraz widziałem te rzewne
  Pogrzeby, stepem idące i niwą...
Dawno już świata ogłuszony zgrają,
A jeszcze teraz słyszę — jak śpiéwają.

O Hamletowe życie! — raz przez kładkę,
  Pod którą wrzała czarna Alpów woda,
Widziałem taką żałobną gromadkę.
  Szli — a pod nimi most, rzucona kłoda,
Drżała... Słyszałem cmentarza sąsiadkę,
  Kaskadę — księdza głos głuszącą... Szkoda
Pacierzy, skalnéj porzuconych ścianie
I na szalonych kaskad urąganie!

Myślałem sobie, że ten człowiek młody
  Ten most, co wiedzie smutek z łąk na łąki,
Wyrwał z korzenia i rzucił przez wody,
  Ścigając dzikie po górach jelonki,
Lub do dziewczyny trzód pędzając trzody
  I dzwoniąc miłą piosnkę jak skowronki.
Wtenczas mu drżała pod stopami giętka,
Teraz — pod trupem drży... Brała mnie chętka

Apostrofować ją, jak prorok stary
  Zebrane kości umarłych na polu...
Ale powróćmy na stepowe jary,
  Błękitne od bławatków i kąkolu.
Stał na cmentarzu pogrzeb, a sztandary
  Stały tak dumnie, jak na Kapitolu,
W małe mogiłki żebrackie wetknione,
Błękitne, białe, żółte i zielone,

Na kijach czarnych rozpięte, a gałki
  Błyszczały w słońcu. Cmentarz stał przy Rosi;
Rzekłbyś, że wodą pluskały Rusałki —
  Tak w takt opada, tak się w takt podnosi,
I na czerwony brzeg swe srebrne wałki
  Kładzie i groby brylantami rosi,
Za Rosią był las z brzozowego drzewa,
Który gdy szumi — zdaje się, że śpiéwa.

Lirnika jeszcze raz w trumnie odkryto —
  Spał... lecz otwarte oczy na blask trzyma.
Jak z porcelaną na polu rozbitą
  Słońce igrało z martwymi oczyma.

Obejrzano go i trumnę zabito
  Z lirą... Niech w grobie śnieg i mróz wytrzyma!
Niech także trzyma dawnéj pieśni stroje,
Aż ze śpiewakiem spróchnieją oboje.

Pierwsze już grudki w dół rzucali diaki,
  Gdy z lasu człowiek wyleciał nieznany;
Koń pod nim biały, jak śnieg, bez kulbaki,
  Bez uzdy; — dziwnie w oczach obłąkany...
Przeleciał rzekę — ale lot miał taki,
  Że się — jak mówi lud — nie tykał piany
I tylko pod nim wody srebrne biły...
Przybiegł i jeźdźca zrzucił u mogiły.

Zrzucił... i znowu w las poleciał rumak,
  Zniknął — a dziś się lud w powieści dzieli:
Ci mówią, że koń — a drudzy, że sumak,
  A inni, którzy tętna nie słyszeli,
Że koń-duch. — O tém każdy dziś wié czumak,
  Że Wernyhorę ten koń w światłéj bieli
Przyniósł, zostawił; lecz ma z nim przymierze,
Że znów przed śmiercią przyjdzie i zabierze.

Na grobie usiadł Wernyhora... pana
  Znać na nim było: buty srebrem szyte,
Srebrne guziki błyszczą u żupana,
  Złoty pas... czoło na wiatry odkryte.
Siadł i rzekł: — Ludzie! wy lirę Bojana
  Schowali w grobie! Liry rozmaite
Brzęczą po świecie, tam gdzie żal doskwiéra —
Lecz nie ma drugiéj liry, jak ta lira...

Przyjechał ja tu po lirę Zaboja
  Na białym koniu, hej — i nie odjadę.
Oj, śpisz ty w grobie, liro, córko moja,
  To ja się także w dół przy tobie kładę.
Albo ty zabrzęcz tak, jak stara zbroja,
  Albo ty jęknij... ja dam tobie radę ..
Wyciągnę z grobu... Wstał i spojrzał dumnie:
Lira zaczęła grać pod piaskiem w trumnie.

Na jakąś starą nutę, niesłyszaną
  Odezwała się w grobie, jak anioły.
Gdy ją wyjęto i z trumny dostano,
  Brzęczała jeszcze w ręku nakształt pszczoły.
Potém głos ustał; a tę rozpłakaną
  Na łańcuchu swym uwiesił wesoły
Pan Wernyhora. — I wnet gadek mnóstwo
Po kraju szare rozniosło ubóstwo.

Mówiono, że król dum jest pochowany,
  A jego wielki syn w Korsuniu siedzi;
Że w koło grają nocami kurhany —
  Co wszystko ucho stroiło gawiedzi
Do większych cudów... lot był raz nadany.
  Do Korsunia się zjeżdżali sąsiedzi
Z wielką pociechą dla bab i karczmarzy —
Każdy poetę poznał zaraz — z twarzy.

Milczący bowiem był pan Wernyhora,
  Pił — tak jak drudzy... jadł — i do księżyca
Nie wzdychał, ani chodził tak jak zmora.
  Owszem, był często wesołego lica,
Aż się zbliżyła rzeź — owa potwora
  W skrwawionym płaszczu, z krążkiem półksiężyca
Na głowie — w wichrze sinym od miesiąca,
Zakrwawionymi nożami kręcąca...

Nie jest to wcale figuryczność mowy,
  Która mi tego ducha nastręczyła.
Przed rzezią zjawił się upior stepowy,
  Jakaś kobiéta, która się krwawiła
Idąc; a często szła wcale bez głowy,
  A głowa przed nią jak wężowa bryła
Szła świszcząc — oczy mająca z krwawnika,
A dziwnie biały nóż zamiast języka...

I raz, jak mówią, krwawa upiorzyca
  O saméj przyszła północy... z hukami,
W których i piorun był i nawalnica,
  I przed Korsunia stanęła wrotami.

W zamku płonęła jedna tylko świéca
  U Wernyhory. Wiedzą tylko sami
Szatani, którzy bańkę ze krwi wydmą.
A potém puszczą na świat krwawe widmo

Szatani, mówię, tylko wiedzą o téj
  Nocnéj rozmowie wieszcza oraz ducha.
Powietrze było błyskawicy złotéj
  Podobne; słychać było szczek łańcucha —
Potém tętnienie konia śród ciemnoty —
  Potém głós liry — potém cisza głucha
I przez ściemniałe niebieskie szafiry
Czasem głos jeszcze pioruna — lub liry...

To tylko pewna, że nazajutrz rankiem
  Pan Suchodolski pana Wernyhory
Nie znalazł w domu — choć szukał z kagankiem;
  Obejrzał wszystkie drzwi, wszystkie zapory,
Przeliczył konie pasące się wiankiem
  W dziedzińcu, zaszedł nawet do obory: —
Nie brakło nigdzie nic... i to przeraża,
Że dyabeł cicho tak porwał dumkarza.

Słowem, bez śladu zniknął... Wtém mogiły
  Zaczęły gadać ludowi czerwono;
I wieść wyrosła, że gdzieś koło Smiły,
  Gdzie noże w leśnéj kaplicy święcono,
A te sypiąc się z worków, szeleściły
  Jak węże, nim swój cały jad wyzioną,
A księżyc patrzał się przez dach rozbity
Na trumny — świéce — popy i kobiéty —

Mówią, że w owéj kaplicy zjawiony
  Pan Wernyhora zaczął kląć rzezunie;
A potém gniewny — jako Lear szalony,
  Na ołowianéj podskoczywszy trunie,
Słysząc wokoło przekleństwa i dzwony
  I wrzaski — starzec o jednym piorunie —
Bo śpiewak jeden piorun ma zamknięty
W lirze — tam rzucił lirę, gdzie był klęty.

Nagle usłyszał szmer okropny gniewu:
„Mat' swoju zabyw bat'ko Wernyhora!"...
Z razu nie pojął okropności czynu
I stał — na licu blady, gdyby zmora.
Wtém głos kobiécy: Zabyw mene, synu,
Krzyknął — a jęk był krótki... O nieskora
Pamięci! ten głos, na téj saméj wardze —
Śpiewak go w klątwie nie poznał, a w skardze

Zna dobrze!.. Jakby anioł go zamorzył,
Stał nieruchomy i spozierał słupem;
Wtém lud się szary na dwoje roztworzył
I zrobił drogę między nim a trupem;
Lud ją na workach skrwawioną położył,
A kruki, świéżym przywabione łupem,
Tłukły się w szyby... krew się w żyłach ścina!
Gromnice gasną — pop klnie — las odklina...

. . . .
. . . .
. . . .

II.

„Wy teraz tego nie pojmiecie, Lachy,
Jak to dawnymi czasy, w wasze dwory
Wchodziły stepów pieśni, czarów strachy
I siwe często z lirami znachory
Siadali w progu, a wam lip zapachy
W dom zalatały, i pieśń i wieczory
Mieliście ciche na gankach drewnianych,
I myśl o rzeczach dawno zapomnianych.

„Potém wy dziada lirnika prosili
W dom, lub dzieciątko swoje wysyłali

Z groszem, i zdrowie wy hetmanów pili
  I pieśnią ludu mogilną płakali,
I sami na pieśń zarabiając żyli,
  Na koniach dziarskich po stepie latali
I powracali o smętnych wieczorach
Do domów — w krwawych wozach i taborach.

„A dziady znowu z lirami srebrnymi
  Na ucztę lub na pogrzeb, jak sproszeni,
Ciągnęli stepem, siadali na ziemi
  Albo pod lipą, albo w waszéj sieni,
W płaszczach, co były od słońca złotymi,
  A od łat — niby królewskiéj czerwieni,
A od błękitnych łat — jeszcze innemu
Podobne były płaszczowi — bożemu.

„Teraz już nie ma téj z pieśnią przyjaźni,
  Ze starym ludem nie ma zażyłości!
Jesteście jeszcze wy do korda raźni,
  Jesteście jeszcze wesołéj starości,
Jesteście jeszcze w ubiorach pokaźni,
  Są jeszcze u was ludzie sercem prości:
Ale już nie ma u waszego proga
Ludu, co wnosi pieśń i imię Boga!“

— Tu się Beniowski porwał: Kozaczyno!
  Przysięgam tobie, że gdy kasztelanem
Zostanę, a mieć będę stare wino
  W lochu, nareszcie kiedy będę panem,
A ty zostaniesz dziadem starowiną
  I przyjdziesz szarym okryty łachmanem,
A wspomnisz nasze dzisiejsze wędrówki:
Nie pożałuję białéj sorokówki.

Nawet pić z tobą będę, i odprawię
  Nie wprzód, aż twoje rubinowe lice
Podobne będzie piwonii, a w stawie
  Moim zobaczysz całe trzy księżyce.

— Ledwo to wyrzekł, uczuł na rękawie
  Ręce tnące mu żupan, jak nożyce;
I ktoś nań krzyknął po chłopsku: — Oj panku!
Nie tobie słuchać lirników na ganku

Przy kasztelańskiéj szabli, w siwych włosach,
  W złotym żupanie, śród maleńkich wnuków.
Trzy zorze świécą na twoich niebiosach
  I trzy tęczowych jest nad tobą łuków,
I żywot słychać twój w trzech różnych głosach,
  Głosach podobnych do kościelnych stuków,
Gdy przy grającym na chórze organie
Słychać podziemne trumien zabijanie!..

Nie tobie zorza u grobowca złota
  Przez szablę twoję i konia zdobyta;
Nie tobie przyjdą przed zamkowe wrota
  Żniwiarki w wieńcach łanowego żyta!
Starość — to twoja za krajem tęsknota,
  Starość — to chmura piorunami ryta,
Starość — to czeluść nędzy otworzona,
Wygnanie, srebrne morze i... korona.

— Gdy to usłyszał pan Beniowski, wcale
  Nie zatrwożył się, bowiem ruskiéj mowy
Nie znał, albo ją znał niedoskonale;
  Więc nie rozumiał proroctwa połowy.
Ale mu starzec stojący na skale
  Przedstawiał wtenczas typ zupełnie nowy
Chłopa, co nie był chłopem ani szlagą,
A waryjował z wdziękiem i powagą.

Przypomniał sobie stare pasieczniki,
  Co przy dębowych lasach na lewadach
Jak pszczół pasterze siedzą, i kwiat dziki
  Znają i znani są w całych gromadach
Jako lekarze, albo czarowniki,
  Dobrzy i bardzo potrzebni w osadach.
Takim się właśnie Beniowskiemu zdawał
Ów dziad stepowy, waryjata kawał,

Śledziennik, żółcią złoty, krwią nalany
  W oczach; a jednak postać ta lirnika
I różno-farbne te na nim łachmany,
  I but czerwony, spłowiały — i dzika
Postać, i ten włos srebrny, często rwany
  W żałości, i te źrenice z krwawnika,
Patrzące prosto w słońce, w błyskawicy
Ducha i złości, jak oczy orlicy,

I ten głos, który gdzieś zaskalne głosy
  Wyrwał i kazał w koło gadać skałom,
I ta wyryta na nim wiara w losy,
  I to oddanie siebie wszystkim szałom,
I okolica, gdzie stał, i brzóz włosy
  Oddźwiękujące lirniczym zapałom
Piosenką cichą, słodką, a wiośnianą:
Jakoby kobiét płacz za skalną ścianą:

To wszystko dziwnie na mego szlachcica
  Działało. Strachu jednak nie pokazał
I rzekł: — Mój ojcze, przyszłość — tajemnica!
  Bylem się żadną podłością nie zmazał,
Bylem miał serce, co jest jak kaplica
  Święta, a czynił to, co Bóg rozkazał:
Nie dbam, co ze mną na starość się stanie,
Czy w senat pośle, czyli na wygnanie.

— A lirnik: śpiąc ja dziś na mojéj lirze,
  Obaczył ciebie we śnie za mgłą krwawą;
Ludzie wbijali ciebie na trzy krzyże,
  A ty się cały opromienił sławą;
A potém brzoza na nocy szafirze
  Zgięła się niby nad twoją postawą,
U twojéj niby nachylona truny,
Gałązki lejąc w dół, jak z ognia struny.

A duch wychodził z jednego krawędzia
  I miał otwarte usta, pełne blasku...
Takiego jeszcze ja nie znał narzędzia,
  Ani na żadnym widział go obrazku.

Widział ja lirę zmienioną w łabędzia,
  Widział ja w cerkwi, przy piorunnym trzasku,
Grający organ na pół roztrzaskany;
Ale téj brzozy sen, o tobie grany,

Straszniejszy, niż to cerkiewne śród burzy
  Granie organów piorunem łamanych;
Dlatego ja klnę, bo mój duch ci służy,
  Jak gdyby jeden z szlacheckich poddanych;
Bo mniejszym jest ten, co drugiemu wróży.
  Niż ten, o którym w snach ogniem pisanych
Widać; i dosyć blasków sny nie mają,
Gdy o nim we śnie lirnikom gadają.

— Tu się nachylił dziad, i pod kolana
  Dawnym zwyczajem szlachcica uścisnął;
A ten zdziwiony: w imię Ojca Pana!
  Dopieroś co klął, ojcze, gniewem błysnął,
Jak chmura ogniem wrącym szpikowana:
  A teraz gniew twój tak na niczém sprysnął!
Niechaj mię dyabli! lecz w tobie być musi
Szlachecka także nasza krew, z krwią Rusi

Zmięszana... Starzec nic nie odpowiedział,
  Lecz zdjąwszy czapki baraniéj, zaprosił
Do groty; w grocie jakiś szlachcic siedział
  Chudy i oczu wcale nie podnosił;
Pisał proroctwa, których się dowiedział,
  Aby ich drukiem nigdy nie ogłosił,
Jak dawniéj czynił każdy szlachcic polski:
  Był to starosta zamku, Suchodolski.

Lecz gdy mu słońce odjęły trzy cienie
  W grotę wchodzących, wziął pióro za ucho
I spojrzał prosto w przyćmione promienie
  Słońca, a twarz miał Chrystusową, suchą —
Na twarzy wielkie bardzo zamyślenie —
  Włosy zwichrzone myśli zawieruchą;
Słowem, poeta to był, ale o tém
Nie wiedział wcale wtenczas, ani potém.

A jednak wojna mu się ta zaczęta
  W dziwacznych bardzo kształtach malowała,
Jak jakaś cudna krucyjata święta,
  Która pod tęczą bożą szła, i stała
W niéj jako w bramie. Znał polskie panięta;
  Ale im większe dał dusze i ciała,
I większą cnotę śnił obywateli,
I większą w sercach odwagę... niż mieli.

Lirnik mu także zdawał się figurą
  Podobną do tych dawnych czarodziei,
Których Tassowe w Kochanowskim pióro
  Wymalowało. Pełny był nadziei
Jasnych. I gdyby swą twarzą ponurą
  Nie straszył szlachty, to z jego idei
Możeby wówczas wykwitnęła nowa
Polska, jak chcemy dziś, święta-duchowa...

On to był panem groty, i swe dziwne
  Manuskrypta w niéj chował pod kamieniem.
Było to w lecie mieszkanie przedziwne,
  Zakryte z góry lecącym strumieniem.
Stamtąd był widok na wzgórza przeciwne,
  Na płachty lasów, pól obłękitnieniem
Dalekiém oczy smętniący, tą siną
I pełną mogił dawnych Ukrainą.

Stamtąd, piszący swoje pamiętniki
  Szlachcic, gdy wdumał się i wpatrzył w pola:
Dzwoniły mu gdzieś hufce i lirniki,
  Choć ich nie było; a daléj Podola
Domy i gaje, pasieki, słowiki
  Grały, jak harfa przez starca Eola
Na to zrobiona, aby wichru szały
Znalazły sobie mowę — i śpiéwały.

Stamtąd on wszystkie duchowe męczeństwa
  Ukraińskiego ducha widział w pyłach
Kurzu złotego, i słyszał przekleństwa
  Dawne, i skargę będącą w mogiłach.

Nie był historyk ten bez nabożeństwa
Dla dawnéj szlachty i czuł, że w jéj siłach,
Dopóki z ludu nie wytrysną nowe,
Leżało całe życie narodowe.

Znał ją więc, i wnet w Beniowskim wyczytał
Stary szlachecki typ, szczéry, wesoły;
Zaraz więc go tam na wstępie zapytał,
Z jakiéj jest partyi? jakiéj pańskiéj poły
Trzyma się? to jest, kto go pierwszy schwytał
Na krupnik i na upieczone woły?
Na to z szczerotą wielką rzekł Beniowski,
Że dotąd, jak wié, jest Radziwiłowski.

Spotkałem, rzecze, tego wojewodę
Błędnego, jak ja, odartego prawie,
Jak ja, stepową pijącego wodę
I cierpiącego nędzę i bezprawie.
Lux jego dawniéj myśli moje młode
Nęcił i bawił, jako tęcze pawie
Pokazujące się z litewskich lasów;
Teraz męczennik on jest naszych czasów.

Z tymi więc, którzy dziś niesprawiedliwość
Cierpią, ja jestem, szlachcic podupadły!...
— Kiedy to mówił, w słowach była żywość,
Lecz z oczu jakieś duże łzy upadły,
Perłowe, jasne; a jakaś straszliwość
Rycerska wzrok mu zrobiła zajadły;
Widać, że nagle nakształt słońca wschodu
Obaczył krzywdę całego narodu.
. . . .
. . . .
. . . .

III. [1]

„„Gdzieś przez burzany i gdzieś przez mogiły
I gdzieś w półjasne zorza pidu, pane,
I już nie umrę ani zmartwychwstanę,
Lecz mi krew zmarźnie i zastygną żyły,
I różne słońca będą w oczy biły
I różne pieśni w słuchu martwym grały,
I różne węże w koronach śpiewały
I różne koń mój będzie deptał groby,
I różne we mgle spotkają osoby.

„„Bo ja nie kozak — jeno duch piekielny,
Bo ja nie sługa, lecz brat jestem panów,
A sam nie hetman, ale duch hetmanów,
Bo ja nie smertny—ale nieśmiertelny““.
—„Tak mówi ten dziad, w dumie swéj bezczelny,
Gdy wpadnie we sny swoje zwykłe, dziwne,
Co sądom boskim zdają się przeciwne,
A jednak często, choć się zdają płone,
Przeczuciem śnione, wypadkiem stwierdzone.

„Otóż król taki był zapowiedziany
Przez tego, co tu w zamku siedział, dziada.
Na pogrzeb jego zeszła się gromada
I długi bardzo poczet chorągwiany.
Pogrzeb szedł cicho, smętnie, przez burzany,
Żórawie snuły się po nieba sklepach,
I różne cerkwie dzwoniły po stepach —
Rozsiane w jarach i po okolicach —
Każda w trzech wieżach, jakby w trzech księżycach.

„Pod wieczór Anioł Pański zaśpiewawszy
Nad starcem owym, a z tęsknotą szczérą,
Zakopaliśmy go do grobu z lirą;
I tę posługę nad grobem oddawszy,
Szliśmy do domu; a miesiąc był krwawszy

[1]) Ten ustęp zdaje się być tylko waryantem numeru Igo. *(P. Wyd.)*.

I okrąglejszy i większego łona,
I ziemia cała pod zachód czerwona,
W rozpłomienione ubrana obłoki,
Jak w nietoperze ogniste i smoki.

„Oddzieliłem się nieco od gromady,
Wtém drogę Kozak mi zaszedł ogromny,
W słowach nadzwyczaj dziwny, nieprzytomny,
Ubrany dosyć nędznie, bardzo blady;
Ten mnie zapytał: skąd wracają dziady?
Gdzie pochowano starego lirnika?
Potém sam cicho szedł do mogilnika,
Ja za nim, dziwną ciekawością zdjęty,
Strach nawet jakiś czując niepojęty.

„Za płotem skryty i po za różaną
Mogiłą jedną, za kalin bukiety,
Słyszę — on pyta chodząc: Łyra, hde ty?
A ta — pod grobem będąc zakopaną —
Na jakąś dziwną nutę niesłyszaną
Odezwała się... by dziecina mała;
I tak śród nocy na cmentarzu grała,
Że płacz mój razem z piosenką wybuchał,
A Kozak siedział na grobie i słuchał...

„Potém wstał i wziął dwa od płota koły
I sam robocie téj grabarskiéj sprostał,
I śpiewającéj liry z grobu dostał;
A gdy ją w ręce wziął, w oczach wesoły,
Jeszcze brzęczała w rękach nakształt pszczoły,
Brzęczące mając i drzewo i struny,
A ten, co dostał ją z grobu i z truny,
Zaraz pomiędzy ludem stanął — nowy
Pan i ostatni, mówią, król lirowy!

„I wnet rozeszły się po Ukrainie
Wieści, jak ze mgły wstające upiory;
Szeptano cicho imię Wernyhory,
A teraz wszędy już ten starzec słynie —
I kupił sobie gdzieś w ciemnéj dolinie

Futor z ogromnym sadem, i tam mieszka.
Lecz do Korsunia mu wiadoma ścieżka
I miód mój stary, bursztynowy, gęsty;
Więc mi tu w zamku bywa jak gość częsty.

„I jednéj nocy — gdy wiatr kręcił wiry,
A do mnie on miał przyjechać w gościnę,
Słyszałem dziwną głosów mięszaninę;
I przez ściemniałe niebieskie szafiry
Czasem głos leciał piorunu i liry,
Ciągły i coraz niby doskonalszy,
Pieśń coraz bliższa — piorun coraz dalszy,
Jakby toczyły gdzieś na stepach boje...
Nagle — wszedł blady starzec na pokoje.“

— Tu otarł wielkim potem zlane czoło,
I rzekł: „Jeżeli kończyć pozwolicie,
To Wernyhory opowiem przybycie,
Choć powieść nie jest piękną ni wesołą“.
— Przy starcu większe zebrało się koło;
Czuć bowiem było, że sam silnie wierzy,
A miał szacunek wielki u rycerzy,
I był staruszek obyczajów świętych,
Lecz szukał skarbów na stepie zaklętych.

A więc słuchaczy otoczony wiankiem,
Rzecz tak prowadził gubernator siwy:
— „Mój starzec czując bliski brak oliwy
I żywot czując gasnącym kagankiem,
Raz mnie zawołać kazał przed porankiem
I na chorobę się już bardzo żalił;
A potém prosił, abym lirę spalił
I do mogiły wsypał mu popioły;
Inaczéj — straszne ją wezmą Anioły...

„Mówił o swoim następcy lirniku
I o tajemnym tego króla znaku,
I o zaklętym, o białym rumaku,
Który się zjawił kiedyś w Kahorliku;
I że po tego króla z mogilniku,

Kiedy już wszyscy wyginą rycerze,
Po króla tutaj przyleci, zabierze,
I gdzieś daleko wzniesie pod księżyce
Na jakieś dziwne duchów wieczernice.

„O znakach tajnych gadać wam nie mogę,
Bo je słyszałem pod straszną przysięgą.
Mówię o koniu z ognistą popręgą,
Bo o tém już wieść chodzi, siejąc trwogę.
Mój druh się często kładzie na podłogę,
A wtenczas widzę, że pobladłszy słucha,
Czy już nie słychać gdzie tętentu ducha;
A czasem krwawą powiada powieką,
Że już go słyszał — tętni, lecz daleko...

„Klnę się na Boga, że on nie dziwaczy,
Ani też kłamie, co ma z Wernyhory;
Myśl jego w dziwne ubrana kolory
Jak kontusz króla, chociaż um prostaczy.
Czasem na stepach stanie, myślą znaczy
Mogiły w blaskach wieczora różanych,
I słucha dzikich szmerów żórawianych,
I ręką w stepy pokazując, bladnie,
Mówi, że mu tam gdzieś droga wypadnie“...

. . . .

IV.

A Suchodolski na to: — Jasny Panie,
Nie zawsze ten dziad był taki odarty!
Nie zawsze jako zasmolone karty
Wyglądał — ja go widziałem w żupanie
Jasnym, silnego jak dąb, a mospanie,
Kiedy wziął w rękę puhar, to go zginał
Jak ołów; a gdy pieśni rozpoczynał,
Dreszcz szedł — taki miał w sobie głos ogromny — ...
A teraz blady, często nieprzytomny,

Z duchami gada lub wątpi o sobie.
Trzeba wam wiedzieć o dziwnym sposobie,
W jakim się pierwszy raz . . . . .
. . . .
. . . .

Płaszcz miał podarty, włosy rozczochrane —
W oczach krew — dziwnie jasną, różnotęczną,
Źrenicę wielką, błyszczącą, miesięczną —
Rękami blady oparł się o ścianę
I oczy we mnie topiąc zwierciadlane,
Szepnął mi: Czarty były Wernyhoru,
Nadybaw mater — hdeś koło futoru,
Taj byw — taj łyru tyskaw w hrud' kobity —
Taj na smert' matku byw — ne moh zabyty!

I dodał z wielkim strachem: piszła żywa!
Nie mogłem pojąć z razu, o czém gada,
I miodem słodkim upoiłem dziada,
Chcąc w nim strach zabić mocą tego piwa.
Dowiedziałem się potém, że straszliwa
Mara — dziwnego ubioru i ciała
Różnym się we wsi chłopom pokazała.
A jeśli powieść was nieco obeszła,
Powiém... — Chciał mowić: wtém ktoś — mara weszła.
. . . .
. . . .
. . . .
. . . .

V.

Oj! powiedział ja ci, panie Regimentarz,
Że ty przegrasz walkę na kurhanach.
Oj! prowadził ty szlachtę korsuniecką na cmentarz
I z mieczami i w złotych żupanach!

Oj! powiedział ja tobie, mości panie Gruszczyński,
Że ci błysną śmiertelni hułani.
W step poleci, jak burza, twój rumak ukraiński
I na koniu cię strach otumani.

Oj! powiedział ja tobie, mój synaczku Sawyna,
Że ty stracisz białego rumaka.
Oj! powiedział ja tobie, że to śmierci dolina
I dolina martwego kozaka.

Wyszły pany z mgłą białą, jak łabędzie przed ranem
I stanęli na polu przy Rosi.
Między jednym kurhanem, między drugim kurhanem
Szlachta flinty nabite podnosi.

Oj! strzelili wy tylko raz tym ogniem czerwonym
I uciekli, Wielmożni Panowie,
I ruszył pan Gruszczyński i biegł na koniu wronym,
Z wielką szablą do cięcia na głowie.

Oj! hułaniż to byli, co mu drogę zabiegli,
Oj hułaniż to byli boleśni;
Kiedy pana starego na rumaku spostrzegli,
Drogę jemu na polu dwaj hułani zabiegli
Między dwiema mogiłami na cieśni.

Chorągiewkiż to były u hułanów straszliwe,
Co się w słońca złociły promykach,
Dwie główeczki dzieciątek, dwie główeczki nieżywe
Nieśli oni hułani na pikach.

Dwie główeczki, główeczki, jak paciorki na prątkach
Nanizane, nieszczęsne i święte!
I poznał pan Gruszczyński krew swoję na dzieciątkach,
Poznał swoje dzieciątka zarżnięte.

I usta swe otworzył i w krzyż ręce otworzył
I stał stary ojciec na strzemionach —
Aż go szablą ciął kozak — i na ziemi położył
I krew jemu ciekła po ramionach.

I żywcem go chwycili i na step ukraiński
Płaczącego ponieśli na żłobie.
Oj! powiedział ja tobie, mości panie Gruszczyński,
Lecz wszystkiego nie powiedział ja tobie!

—Tu zamilkł starzec; a pan Suchodolski
Rymy śpiéwane z uwagą spisywał,
Których nie może wcale język polski
Wydać . . . .
. . . .
. . . .
. . . .
. . . .

VI.

Lirnik, jak zwykle, sam do siebie gadał,
Potém na księżyc spojrzał — ruszył głową:
„Oj!... jutro będzie deszcz skrwawiony padał!
Pomyśl ty, synu, na walkę stepową...
Bo jutro będziesz ty w krzyże układał
Trupy na trupach. Krwawe moje słowo,
Ale i krwawy dzień jutro zaświéci...
Oj! żórawiany to klucz małych dzieci

Przyleciał tobie... Wróżę, czy nie wróżę,
A ty się gotuj w bój!.. idzie godzina —
Ciemne ja w uchu mam dzwony i stróże
I dusza we mnie dla ciebie ojczyna.
Wozy na wozach postaw — koła w górze,
Tak jak dom, co się podnosić zaczyna;
A z kawaleryi zrób szpichlerz sieni (?)
A tak do Baru pidem, śród płomieni.

Każy Tatarom wstać, ty budowniczy,
Póki spokojna noc... taj dom stawity,
Bo jutro cały step ludem zakrzyczy,
A ty ze swego doma budesz byty
Jak pan starosta... słuchaj... ja [1])
Sławny na stepy. — Teraz . . . . . .

---

[1]) W tém miejscu rękopis jest uszkodzony.

Czerwone w oczach łyskają . . . .
Śpiéwają we mnie srebrne . . . .
. . . .
. . . .
. . . .
. . . .

VII.

Potém głos dźwięczny — nie drżący i młody,
  Głos Beniowskiego wyszedł z głuchéj ciszy:
— Od harmat lękam się w taborze szkody,
  Na ochotnika kto mi towarzyszy?
Nim dzień zabłyśnie, wrócim do gospody,
  Wpadłszy na wroga prędzéj, niż usłyszy;
A jeśli śpiące porozstawiał czaty:
Zaszpuntujemy złapawszy harmaty.

Harmaty bowiem słyszę; z harmat będzie
  Obrona memu drewnianemu miastu.
Panowie szlachta, kto szkapy dosiędzie,
  Za mną! — Stanęło szlachty stu trzynastu;
Ci w niedobranym wystąpili rzędzie;
  Reszta została niby dla balastu
W taborze szarym, jak na dnie okrętu
Fuzye bez kurka, szable bez pendentu...

. . . .
. . . .
. . . .
. . . .

Potém ze złotych słonecznych promieni
  Rycerze jacyś konni i wysoko
Jakby w powietrznym blasku zawieszeni
  Schodzili na dół; oblani posoką
Husarzów zdają się lecących cieni. (?)
  Ale już widać — szlachta działa wloką

Za nimi leksza druga złota chmura,
A nad nią szable — jak kłosy i pióra,

Lekkie i krzywe. Za tą znów gromadą
Widma czarniejsze, na zwinnych rumakach
Spisy i ciała swe na spisach kładą,
I tak schyleni leżą na kulbakach;
Czasem Tatarów na stepach dojadą —
Strzelą... i pierzchną — wiją się po krzakach —
Znowu się łączą... Allach dają nowy,
W którym sam El Dżin szablą ściął dwie głowy.

Tymczasem wozy Borejsza odmyka,
Na szlachtę czeka, rozsuwa kolaski;
Rzekłbyś, że widzisz dobrego ptasznika,
Który otworzył swoje samotrzaski.
Leci szarego chmura wojownika,
Turkocą działa, idą z szabel blaski,
Wpadają w tabor... Wódz nie przewodniczy;
Stanął przy bramie i rycerzy liczy.

Jak pasterz stary, gdy pastuszki wiodą
Bydło, nie idzie spocząć do piekarni,
Lecz przy oborze rozlicza się z trzodą;
Tak i wodzowie — gdy są gospodarni,
Wyżsi od ludu sercem i urodą,
A jako żołnierz krwią i prochem czarni —
Nim pójdą w namiot, to wiedzą najpiérwsi,
Ile kul padło w sztandar — ile w piersi.

Przed wodzem szlachta przepędza zwycięska,
El Dżin przyleciał jak wiatr z Tatarami;
W Beniowskim twarz się stała prawie męska,
A krew mu szablę po rękojeść plami;
Tabor jak harfa szumów czarnoksięska
Wre pieśnią — działa czyszczą żupanami,
Bowiem je wzięto ze krwią bombardyerów,
Rozciąwszy wiele czaszek i giwerów.

Pułkownik także Salmur w piersi ranny
  Wzięty w niewolę; Szwed posępnéj twarzy,
Piękny jak młody kochanek Dyjanny,
  Który przy działach właśnie stał na straży,
Na Zygmuntówce miecz strzaskał jak szklanny
  I już mu głowę mieli ściąć Tatarzy —
Beniowski strasznym przywiedziony krzykiem
Wziął go, gdy z lontem już stał nad jaszczykiem.

Takie dnia tego było powodzenie;
  Cokolwiek także wzięto karabinów,
Prochu, kul — ważne dla taboru mienie,
  Droższe niż beczki pereł i rubinów.
I tak Barowi stepem szło zbawienie
  I stepem szła wieść Beniowskiego czynów.
Dalsze taboru walki i turnieje
Następna wam pieśń powié i opieje.

VIII. [1]

Wystawcie sobie nową Salaminę,
  Drewnianym murem wkoło opasaną;
Wystawcie sobie idącą mieścinę,
  Wystawcie sobie fortecę drewnianą;
Wystawcie sobie tę smutną równinę,
  Gdzie mogiłami o wiekach pisano,
Jako na karcie najpiękniejszéj świata
Najcudowniejsze dawne poemata —

Które dziś śpiéwa wiatr, gadają krzyże,
  Kraczą sokoły, w szumach niosą chmury...
Dziś tabor koła posuwa niechyże
  Po wielkiéj trawie, a strzelb wytknął rury,
A ma na nogach swoich złote spiże —
  Jak ćma, gdy złoty wąs niesie do góry,

[1] Cały ten ustęp jest przemazany w manuskrypcie. *(P. Wyd.)*.

Albo jak ślimak, co z domem się toczy,
Wysuwa rogi, na rogach ma oczy...

Wystawcie sobie, że się tak posuwa
  Stepem; a wkoło są moskiewskie szyki.
Moskal — wokoło rozwinięty czuwa,
  Kozackie błyszczą kulbaki i piki;
W środku głód wszczął się i męstwo zatruwa;
  Jedzą kobyły, skóry i trzewiki,
Skra gorączkowa głodu w oczach stoi;
Nie atakuje wróg — lecz niepokoi...

Zaledwie cztéry mil na dzień uchodzą —
  Do Baru jeszcze takiéj drogi trzy dni:
Moskale ciągle lub ranią lub głodzą;
  Tatarzy stali się jak psy ohydni —
Chcą zacząć trupy jeść. — Węże się rodzą
  W sercach — krew harda oczy im rozwidni;
Patrzą po sobie — i milczą głęboko,
Lecz jak szakale mają twarz i oko.

Zda się, że szczęki wzięły kształt zwierzęcy
  I wyciągnęły się, zbielały zęby.
Słońce szło wyżéj i piekło goręcéj,
  A par wychodził czerwonymi kłęby;
I nawet wróble, co w kilka tysięcy
  Licząc w to szczygły, czyżyki i zięby,
Żyły w taborze — ze strasznego grodu
Wygnała je dziś czarownica głodu.

I poleciały chmurą do Moskali
  Ptaszęta owe, jako zdrajce kraju;
Głód został — i gry, w karty zawsze grali:
  Brzęk złota, jak brzęk trupiego ruczaju,
Mięszał się z brzękiem rozpłakanym stali;
  A głód, jak Mojżesz straszny na Synaju,
Siadł na wysokim wozie, w ognia chmurze,
Czarny, jak szabla schowana w jaszczurze —

I patrzał na tę ćmę, co stawia złoto
Na karty, i tém wnętrzności ucisza...
Beniowski jeden nad szarą hołotą
Został bez druha i bez towarzysza;
Sposępniał — smutek zrobił go istotą
Wyższą: na głód ma cierpliwość Derwisza,
Na skargi szlachty, wymówki okrutne —
Czoło spokojne, blade — ale smutne...

Jeszcze dziś odparł szturm i na temlaku
Ma lewą rękę — noc spokojną zyska;
Postawił straże i sam na rumaku
Obejrzał tabor, wrogów stanowiska;
Pewnie noc cała przejdzie bez ataku,
Moskal zapalił czerwone ogniska,
Leży po bitwie: pora jest dogodna
Natrzéć, lecz konie chude — szlachta głodna.

Tatarzy także przy wielbłądach siedli
I patrzą w ogień straszni, zadumani...
Skra się w źrenicy suchéj tak zwierciedli,
Jakby krew ludzka z ogniem były na niéj;
Coś grzybów czarnych zebrali i jedli —
Może to z worków swoich ci szatani
Dobyli, aby głód umorzyć krwawy,
Straszniejszy jeszcze, niż szatańskie strawy...

Koło ich kwater przeszedł — nie zagląda
W usta, nie patrzy, co pod jataganem;
Śród klęczącego zostawił wielbłąda
Te straszne sfinksy, będące kurhanem:
Bóg od nich jak od grobowców zażąda,
Aby krew cudzą ust wylali dzbanem,
I z prochu swego proch oddadzą cudzy
I z potępionych ludzi — wyjdą drudzy...

Beniowski przeszedł mimo. Noc gorąca,
Step parzy; niebo — choć noc — czerwienieje;
Nie było ani gwiazd, ani miesiąca,
Ani téj rosy, co po stepach sieje

Narcyzy, ani wiatru; — pieśń płacząca,
Co w ukraińską noc po kwiatach wieje,
Odezwała się: — wszystko pokój wróży,
Jednak powietrze gęste — pełne burzy...

Beniowski straże postawiwszy w koło,
Wszedł do namiotu: tam po jednéj stronie
Lirnik, na lirze położywszy czoło,
Leżał; w przegrodzie drugiéj stały konie.
Namiot wyglądał odarto i goło,
Ze skór był owczych; kaganiec w nim płonie,
O szable różne i o bronie trąca
Blady, jak złota gwiazda czuwająca...

Lirnik w postawie lwa, na wilczéj skórze
Leży na ziemi — włos ma pełny prochu,
Zwinięty, srebrny — jak gniazdo jaszczurze,
Które wylęgła krew i wilgoć lochu.
Blisko przy drugim i skórzanym murze
Siedział pułkownik; garść suchego grochu
Od Perkunasa kupił: — dał zegarek,
I ma to jeszcze prawie za podarek......

. . . .

PIEŚŃ XII.

Części poematu, którą tu dajemy pod napisem pieśni XII, zdaje się że braknie początku. Poeta przenosi teraz czytelnika do Ladawy, do zamku pana Starosty i córki jego panny Anieli, któryche śmy opuścili w pieśni II. t. j. krótko po owéj chwili, kiedy Ladawa została zajęta przez konfederatów i Ks. Marka. Okazuje się, że przez czas jakiś potém była w tym domu główna kwatera Pułaskich i reszty skonfederowanéj szlachty, a zarazem przytułek dla żon okolicznych obywateli, chroniących się tutaj przed hajdamakami. — Podczas, kiedy się więc to wszystko dzieje w Ladawie, Beniowski ciągnie ze swymi Tatarami od stepów ukraińskich w też strony, ale z najzupełniejszém niepowodzeniem, jak się to w przyszłéj pieśni okaże.

Gdy więc zabrano podstępem Ladawę,
  Zamek się ten stał jak główna kwatera:
Obaczono tam orła pana Sawę,
  Pułaskich obu i Dumuriera,
Wiele szlachcianek, które przez obawę
  Kozaków, jako w powieści Homera
Strwożone nimfy przed młotem Cyklopów,
Zbiegły się, woląc tę szlachtę, niż chłopów.

Była tam księżna Elżbieta, co ongi
  Z książęciem saskim w wiejskim pałacyku
Widywała się... i przez swe pociągi,
  Perły łez, tęcze uśmiechów — bez liku
Serc zdobywała. Inne dziwolągi
  W kornetach, z kwiatem nawet na trzewiku,
Jako w Noego zeszły się korabie
W tym zamku — wojny zaczynając babie.

Jedna żądała Sasa... i fontazie
  Robiła z wstążek żółtych saskiéj maści
I przypinała je, żółtéj zarazie
  Podobna. Druga miała do napaści
Szkaplerze tarte przy świętym obrazie
  Lojoli. Trzecia, podobna przepaści,
Robiła vacuum wielkie, jako sfera,
Sama rządzona przez słońce Woltera.

Przy niéj Wybicki pisał pamiętniki,
  Nauce baby dziwiąc się... w rozpaczy,
Że się nie uczył w szkołach botaniki...
  Nie takiéj, która mówi, co kwiat znaczy,
Ale téj, która każdy listek dziki
  Zwie po łacinie. Przez co się tłómaczy
Cała ówczesna Polska za nauką
Lecąca, jak dziś pan Hugo — za sztuką;

Jak Wagner, sługa Fausta, gap uczony,
  Któremu zda się, że już wiele umie,
A jeszcze słów są ogromne szwadrony,
  Których rozumem swoim nie rozumie...

Słowem, zamek był szlachtą przepełniony.
  Potrzeba było jak przy morskim szumie
Używać trąby akustycznéj — aby
Powiedzieć jednę prawdę: że kraj słaby.

Szlachta uczona była na Alwarze
  Przypadkowania i strachu herezyi —
Przez ludzi, którzy nie patrzeli w twarze,
  Ale na nogi; a zaś dla poezyi
Pisali złote i srebrne ołtarze,
  Podobne pięknym balladom *Świtezi*
Lub *Dziadów*... w których spotykał wyrostka
Nie Gustaw — lecz Jan Kapistran, lub Kostka;

Z kobiét zaś święta Tima lub Agnieszka
  Z kleszczami, które rwą zęby. — Do róży
Poezyi trudna bardzo była ścieżka;
  Dlatego nikt nie przedsiębrał podróży.
Szlachcic, co w domku pod lipami mieszka
  I Panu Bogu czasem szablą służy,
A czasem rąbał łeb przy trybunale —
Że poetycznym był... nie wiedział wcale.

Pułaski, który w szaréj się czamarce
  Po salach włóczył — a czasem przez wonny
Kląb lip wyprawiał na swym koniu harce,
  Jakoby młody srebrny anioł konny,
Gdy pod lipami stały chłopy starce
  Kiwając łbami — że był jednotonny
W rozmowie, śród bab stał zawsze zdaleka
I nie uchodził za orła człowieka.

Za to był pewien książę Lubor młody,
  Rumiany, pięknéj postaci topolnéj,
Który z Warszawy właśnie przywiózł mody,
  Z Warszawy wówczas jeszcze bardzo wolnéj.
Ten był brylantem najpiękniejszéj wody
  U pań, w dowcipie nakształt żupy solnéj
Niewyczerpany, pełny zawsze szeptów;
Bo tyle miał par butów — co konceptów.

Z nim zwykle pani Dafnicka Sybilla,
  Która umiała już język francuski,
Gadając piekła raka albo gila;
  Choć mówią, że ją król szanował pruski
Z dowcipu. Jakoż raz (o! krotochwila)
  Książę dowodził jéj, że polskie kluski
Zowią się wszędzie z drugiéj Renu strony
Po towarzystwach wyższych: pedenony. [1])

Z czego ją wtrącił w taki gniéw, że z miny
  Piorunem była, a ze wzroku furyą;
Bo to już wzięła za wyraźne drwiny —
  Nie za dowcipu różę, lecz nasturyą.
Kluski nazwała larmami z faryny,
  A księcia błaznem... bo sprowadził z gór ją
Wyższego tonu, i tonem Polaka
Przymusił zawsze bladą — upiéc raka.

Tę panią zawsze wielkie myśli pasły
  I książkowe ją napełniały strawy.
Ksiądz ją spowiadał chudy, mąż opasły
  Nie miał z nią bardzo dawno żadnéj sprawy;
Zwykle chodziła jak wulkan zagasły,
  Mając na głowie wielkie sople z lawy,
Których dostarczał ognisty Wezuwiusz;
Synka jednego mając, zwała... Fulwiusz.

Wystawcie sobie więc moję Anielę
  W takiém żałosném gronie ze swym tatkiem,
W którym się nagle, jak w starym kościele
  Duch jakiś rzymski pokazał przypadkiem:
Mowy miał od tych słów: — Obywatele!
  Upadających mocarstw byłem świadkiem:
Nie siarka niszczy je, ani salétra,
Ale niezgoda... pijaństwo... et cetra!

Takimi mowy, sądził, że pomaga
  Nadzwyczaj panom Pułaskim w robocie.

---

[1]) Pet-de-nonne, ciastko słodkie, lekkie, próżne w środku. *(P. Wyd.)*.

Słowem — że stał się mowcą stary szlaga
I wszystkich bardzo zachęcał ku cnocie;
A choć słów była bardzo mała waga:
Takie dziesiątki wyrzucił i krocie
I tyle skrytych ku Moskwie przyczepnin,
Że się dowiedział o tém... tutor: Repnin.

A że ze słuchu tego buntowszczyka
Znał tylko: myślał, że to Galeador
Lub Artur, który dom szlachcie odmyka
I dla wolności ludu wpada w Ador;
Porwawszy więc wprzód biskupa Sołtyka
I Rzewuskiego, mądry ambasador,
Który przedsiębrał zawsze drogi proste,
Posłał kibitkę po pana starostę...

Piérwsza kibitko ruska! gdy w okręcie
Polskim już zapach strupiały poczuto,
Ty pokazałaś się w śniegu zamęcie
Jako ludożer piérwszy, za tą szkutą
Płynący... Inne ryby mają cięcie,
Lub paszczę na miecz srebrzysty przekutą,
I pod wodami są okrętom piłą,
A potém — ludzi pożartych mogiłą.

Z pod głębi morza nigdy nie wychodzą,
Ale chowają tam okropne głody;
Jako robaki spodom trumien szkodzą
I połykają okręt paszczą wody,
I tam w ciemnościach za trupami chodzą;
Gdy morze pełne zdaje się pogody,
Błękitne: to się w morzu gonią one
Przez głębie, mordem podziemnym czerwone.

Takie się ryby chowające w ciemni
Zowią...... nie powiém słowa, bo jest trudne,
Bo i dziś są ci morderce podziemni,
Ubrani w blaski boże, lecz obłudne;
Bo mi jest nawet miléj i przyjemniéj
Patrzeć na pola Sybiru bezludne,

Na cień kibitki, która w śniegu goni,
A tak, jako ksiądz z Panem Bogiem, dzwoni.

Gdy leci, jakiś smutek goni za nią
I jakaś dziwna świętość wyprowadza
Za pola: drogi całe się tumanią,
Lasowi, zda się, że szumieć przeszkadza;
Kiedy gdzie trzodę rozbije baranią
Jak bomba, która cały szyk rozsadza:
Matki trzód, zdjęte boleścią człowieczą,
Jak za swoimi jagniętami beczą.

I długo patrzą; a gdzieś potém morze
Śniegowe, słońca u wołżańskiéj wody,
I czerwone ją nadsybirskie zorze,
I gdzieś jak gromy pękające lody,
Jakoby wielkie jakieś salwy boże,
Ostrzeliwają... bo ziarno swobody
Wniosła na ziemię tę martwą i siną,
Którą zwie Tacyt ludów oficyną.

I zaprawdę, że w téj okropnéj kuchni [1])
Warzą się jakieś dawne białe rasy,
Które... Ach! świecie mój złoty, nie próchnij,
Nie filozofuj, jak trup się w atłasy
Nie strój, na słowo duchowe nie głuchnij,
Bo te północne Walkirye i Asy,
Z Samojedami gotowe do akcyi,
Z *Orędownika* śmieją się redakcyi.

Filozof jeden tam zda się w rozpaczy,
Że wstała jakaś tu demonozofia,
Która to właśnie jasno nam tłómaczy,
Czego się nie śmie dotknąć filozofia.
Patrzcie: kiedy się rozum jaki spaczy,
Jak mu jest smutno, jaka amotrofia
Porywa go wnet — że za systematem
Ktoś się zobaczy nowy z nowym światem.

---

[1]) Tę strofę i pięć następnych poeta w rękopisie późniéj przekreślił. (*P. W.*)

O! filozofy, wysłane kibitki
  Po głupców — przez rozumu autokraty!
W tym poemacie muszę wasze zbytki
  Ukrócić — nowe pokazać wam światy;
W nowéj mądrości wprowadzić przybytki;
  Bo wiédzcie, że mój rycerz jest skrzydlaty
I w takim ducha wyrzucony pędzie,
Że jako gwiazda lecąc, leci wszędzie.

Możecie bowiem z jego pamiętników
  Znać go, że nie był człowiek do butelki,
Pijatyk, małych sejmików i ćwików;
  Ale poczynał sobie, jak duch wielki.
W młodości był on u Holenderczyków
  I tam, jako Piotr, uczył się ciesielki;
Potém dopiero, chcąc się wydrzéć trosce
I żyć spokojnie, osiadł gdzieś na wiosce.

Lecz, jakoście to widzieli: ogniści
  Do butla różni młodzi przyjaciele
I żytomierscy też pono juryści
  Wypili — zjedli... tak że przy kościele
Mógł usiąść jak dziad, zrobić wieniec z liści
  Jak Gustaw — wzięte od Anielki ziele
Przypiąć na piersi, i nigdy przed pułkiem
Nie idąc, zostać... z włosami i ziółkiem.

Ale ach! Polska, ta co lat piętnaście,
  Jak bomba, nowym ogniem się rozpala
I pod marzących nogą rwie przepaści
. . . .
. . . .

Taka kibitka po pana starostę
  Wysłana, biegła z Warszawy. Kibitka
Jest tu figurą; bo rzeczy są proste,
  Że trakt, ta srebrna Aryjadny nitka,
Szkapy — na orły zmienione przez chłostę,
  Poczta, ta nowa karczma neofitka
Autokratyzmu, pisarze i szczoty
Nie były znane w Polsce... wiek był złoty!

Złoty był to wiek: bo niewinność raju
  I nieświadomość u kobiét... ewiana!
Nie piły jeszcze kawy, ani czaju,
  Lecz proste piwo grzane jadły z rana;
Rzadko się która kochała w lokaju

. . . .
. . . .
. . . .

Cybernetyka!.. [1]) Zda się dla ochłody
  Xantypa, która czysto dom umiata,
Na Sokratesa leje ceber wody,
  A potém mydli tę pochodnię świata,
Łeb inclusive z nosem, aż do brody.
  Dobra Niemkini! ale nie skrzydlata
Jak Psyche — a swe dziatki pół-niemczyki
Sadząca często do cybernetyki.

Za to mąż kąpie Poznań — a ten z wanny
  Wychodząc, strząsa warkocz uperlony,
A uczesany już podług *Chowanny* [2])
  Na kraj, który jak kania dżdżu spragniony...
Lecz wróćmy do Ladawy! — Czas był ranny,
  Ogród srebrnymi perły uiskrzony;
Każdy kwiat, każde drzewko w perłach było,
Coś w mgłach śpiéwało smętnie — i myśliło.

Powietrzna jakaś myśl i śpiew, podobny
  Do Requiem... bowiem przez duchy śpiéwany;
A że wiedzący przyszłość — już żałobny,
  Jakby z aniołów który obłąkany
Śpiéwał w szpitalu. Nie był to śpiew drobny,
  Perłowy, jak dziś dzwonią fortepiany;
Lecz coś, jakoby w dalekim klasztorze
Śpiéwano z wielkim płaczem „Święty Boże!“

---

1) Dzieło Trentowskiego. 2) Dzieło Trentowskiego. *(P. W.)*.

Dawnom takiego śpiewu tajemnicy
 Śledził i wyznam, żem śledził daremnie;
Czasem go słychać w letniéj błyskawicy,
 Czasem w błękitach gra — a czasem we mnie,
A czasem w całéj wiejskiéj okolicy
 Słychać go — czasem zaś słychać podziemnie
Grający, z brzękiem pomieszanéj stali,
Jakby w kurhanach umarli śpiéwali.

Czasem nim buchnie wiatr, a czasem kłosy,
 A czasem pies go usłyszy i stanie,
Nasroży uszy i najeży włosy
 I warczy głucho. Czasem to śpiéwanie
Usłyszy w stepach idąc żebrak bosy
 I myśli, że to zebrana na łanie
Wróbli gromada śpiéwa, harfa szara
Ptaszków — albo szum gruszy — albo mara...

Owiana takim śpiewem, słuchająca,
 Patrz, bieży panna Aniela ogrodem,
A każdy z głosów ją aż w serce trąca,
 Choć gorset, stanik złoty ma pod spodem,
Gorset ze złotéj lamy, w pół miesiąca
 Pod samą szyją cięty; rannym chłodem
Mrozi ją nieco wiatr, ale jéj nie czuć
Zimna, bo pełna pamiątek i przeczuć.

Oh! te pamiątki! smutkiem, łzami wiszą
 Na rzęsach, i są ciężarem i cieniem,
I są na twarzy jakąś wielką ciszą,
 I są jakoby jéj czoła uśpieniem:
Gdy usta niby przeczuciami dyszą
 I oświécają koralem, płomieniem
Jéj twarz, i czasem zbiegają po licach,
Czyniąc widniejszy smutek — w błyskawicach.

Za nią na zamku wszystkie okna gorą,
 Jak rząd płonących jasno meteorów.
Tam kląby, brzozy z osrebrzoną korą
 Różane teraz słońcem; tam z kolorów

Malw — niby tęcz się zapala siedmioro
 Około różnych posągów, upiorów
Dawnego świata, tam pomiędzy róże
Stoją rzezane marmurowe krużе.

Daléj staw; i tam zaczyna się miła
 Zieleń drzew, głębsze, wilgotniejsze cienie,
I Anielinek chatka, jak mogiła
 Pamiątek, i to pod chatką siedzenie,
I ta gołębi chmura, w którą biła
 Jutrzenka jak w mgłę białą; i wspomnienie
Siedziało nad tą chatką, jak Noemi
Lub Ruth, spuściwszy włosy aż do ziemi...

Dziwnie, że czasem cały duch obrazu
 Wymaluje się nam jako cherubin
I stanie w myśli widzącéj od razu,
 W oczach szmaragdy mając, w ustach rubin
I gwiazdę nakształt bladego topazu
 Po nad warkoczem! jestto duch zaślubin
Z naturą, który nad Dźwigną i Preglem
Chodzi w surducie i zowie się Heglem.

Ale Aniela — do Heglistki wcale
 Nie dorośnięta, bliższa Afrodyty
Pięknością — taka lekka, że na fale
 Stawu wejść mogła, i staw nie rozbity
Nosiłby nóżki jéj... Jestem w zapale!
 I oto mówię, że piękność kobiéty
Nie jest, jak mówi ksiądz, czartów ułuda,
Lecz może — w duchu będąc, robić cuda!

Lub sama przez się robić, lub się w drugą [1])
 Duszę przelawszy, być w niéj siłą, mocą,
Zaczepną bronią w ręku i kolczugą
 Sercu, i słońcem, które świéci nocą,
I panią razem i razem być sługą,
 I nawet w świecie aniołów — pomocą;
Wdzięczność to cudna ducha nie obarczyć,
A świat dać, za świat stanąć i wystarczyć.

---

[1]) Strofa ta cała w manuskrypcie przekreślona. *(P. W.)*.

Aniela była taką duszą; ona
  Z Beniowskim tworzy jednego rycerza
I bohatera. Polska przez nią śniona
  Świętą jest, wielką; z góry już uderza
Duchem na wszystkie słowiańskie plemiona
  I do żywota budzi i przymierza;
Wielka i silnym podniesiona lotem
Nad ludy, w ludach żywot budzi grzmotem.

Gdy piorunami ognistymi lunie,
  To coraz jeden grób oddaje ducha!
Zakipiał żywot w każdéj stlałéj trunie,
  Zniedokwasiła się zgnilizna, słucha
I wstaje... Kiedyż, o boży zwiastunie,
  Gołębiu, który szepcesz mi do ucha
Te straszne rzeczy, zrobisz taką ciszę,
Że Polska to usłyszy, co ja słyszę?

Nad morza teraz uciekam, i blade
  Tęczą nadmorskich kwiatów, wieczne pola
Depcę, a wielkich duchów o poradę
  Pytam; i często piorunowa wola
Sciąga mi taką moc, że ręce kładę
  Na wiatrach, jako na harfy Eola
Strunach, i gra mi wiatr jak najboleśniéj,
A ja posyłam na północ te pieśni.

Na północ je posyłam — miéjcie czucie!
  Bo kiedy głuchy grzmot bez żadnéj chmury
Słychać — i kiedy słychać jakieś kucie
  Jakby podziemnych zbrój, i kiedy z góry
Słychać jakoby sztandarów rozprucie
  I szelest, niby orzeł je w pazury
Chwytał i ciągle darł jak stare szatry: —
Słuchajcie! to ja błogosławię wiatry.

I gdy na sennych was uderzą strachy,
  I gdy zbudzicie się w łożu spotniali
I usłyszycie, że drżą wasze dachy
  I tak trzaskają, jak kość, gdy się pali;

Kiedy was weźmie zimna śmierć pod pachy,
Bogu pokaże i przed nim powali,
A będzie ziemia cichą jak mogiła: —
Słuchajcie! bo ten strach, to moja siła!..

Kiedy nie wiedzieć skąd, dziecko się małe
Rozpłacze, rączki założy na głowie,
Wpatrzy się w ciemność i stanie się białe,
Jak próchniejąca wilcza kość w parowie;
Gdy włoski staną mu jak zmartwychwstałe
I przedrży wielki strach, a nic nie powie,
Lub co innego wam w uśmiechu skłamie: —
To mój go porwał wiatr i moje ramię...

Boleścią moją powietrze zaklęte
Stało się mocą, bronią — pełne ducha,
I czasem do was gra, jak harfy święte,
A czasem waszéj odpowiedzi słucha...
Wtenczas — o straszne godziny przeklęte!
Siadam i strumień łez mi z oczu bucha
I przed Bogiem się nieśmiertelnym korzę,
Że mój duch cierpi tak — a nic nie może! [1])

Kiedy wyjdziecie na ziemię różaną
Rankiem, a o mym duchu śnić będziecie: —
Trzody leżące na kurhanach wstaną,
Owce się ruszą, perły łąk... znajdziecie
Tę okolicę całą zasłuchaną
W powietrze, w dźwięki, w smutek. Jeśli w lecie
Żeńce na polach żną, to przy kopicy
Siędą, jak dawni rzymscy niewolnicy

Smętni i groźni: to moja daleka
Moc i pieśń, która serce przeobraża
I niewolnika przedzierzga w człowieka.
Ale cóż znaczy moc i pieśń harfiarza?
Na powieść moję smętny człowiek czeka,
A mnie odleciał anioł, który stwarza;

---

[1]) I ta strofa jest przekreślona w rękopisie. *(P. W.).*

I muszę przestać strofy, która ludzi
Łamaną sztuką bawi — a mnie nudzi.

PIEŚŃ XIII.

Kiedy panna Aniela wbiegła do Anielinek,
Wszystkie kwiatki ją młode owionęły zapachem,
Pszczółki zaczęły brzęczeć — źródła ją na spoczynek
Zapraszały i brzozy — a gołębie pod dachem
Turkać głośniéj zaczęły — z jéj przybycia radosne
. . . .

I zdawało się jakieś śpiéwanie aniołowe
Nad chatą — może to brzóz rozczesane warkocze
Bijąc o ściany białe, lekko wschodem różowe,
Sprawowały te szmery bolesne i prorocze...
A chata świéciła się nakształt złotéj pochodni,
Właśnie jak gdyby zleciał jaki anioł przedwschodni,

I stanął na zieleni. A daléj mgłami siny
Gaik, który otaczał szmaragdową lewadę;
A około gaika malwy i georginy,
Jakbyś gwiazd aniołowych zapaloną gromadę
Widział w cieniu — tęczami gaj opasywały,
Ptactwo dzwoniło w lutnie — i kaskady grały.

Panna Aniela, widać, że listownie wezwana,
Biegła i otworzyła chatę swoję zamkniętą.
Ta była cała cicha, także wschodem rumiana,
A pachnąca rezedą wskróś obsianą i miętą,
I ściany z cedrowiny dyszały mocną wonią,
A cichość była taka, że słychać jak ronią

Za oknami Najady swe łzy, perła po perle,
I po skałach rzucają przeczyste dyamenty
. . . .
. . . .
. . . .
. . . .

Beniowski stanął przed panną Anielą;
  Lecz jak zmieniony — ach, w jakim żupanie!
Jak żebrak — łokcie podarte się bielą,
  Guziki wiszą, buty... Boże Panie,
Jak wieloryby, kiedy się ośmielą
  Wyjrzéć nad morza błękitne otchłanie
I westchnąć — Taki... ach! czy moje usta
Wymówią? stanął nakształt drapichrusta.

Aniela zlękła się; bo nigdy w życiu
  Nie wystawiała sobie bohatéra
Kochanka w takiém okropném rozbiciu
  Majątku. A on, żałosny kostéra,
Stał przed nią... w straszném bardzo nieutyciu —
  Pół Don-Kichota, a pół króla Lira;
Bowiem zupełnie był bez przytomności,
Jak Lir; a skórę miał tylko i kości,

Jak Don-Kichote. O! jeśli myślicie
  Z Heglem, że czysta idea na świecie
Zjawiona, wszędy w swoim innobycie
  Żyje: to w całym Ladawy powiecie
Nigdzie w smutniejszym ona wołokicie,
  Nigdzie na gorszéj nie była dyjecie,
Jak w tym człowieku, ta idea czysta,
Z którą on cały wyglądał — jak glista.

I może nawet skutkiem téj idei
  Czystéj wychudł tak nieszczęsny nieborak,
Jako poeta, który wiersze klei,
  A nie jest ani sekciarz ani dworak.
A może też był w krainach nadziei,
  Gdzie go zaniosła chuda klacz Elborak,
Mahometanka, którą dla igraszki
Borejko Litwin wprzągł do kałamaszki,

Spotkawszy ją gdzieś koło Bałty? — nie wiém...
  Ale to tylko wiém, że pan Beniowski,
Nie goniąc wcale pod żadnym modrzewiem
  Za Świtezianką, miał butów podnoski

Podarte, albo spalone zarzewiem,
  Jako u Danta, gdy ten śpiewak boski,
Emigrant jak ja, wpadł między straszydła,
Co z kości miały pierś, a z ognia skrzydła.

Beniowski w krótkiéj nadzwyczaj włóczędze
  Poznał tajemnych rzeczy bardzo wiele.
Mówią, że spotkał jak Makbet trzy jędze
  Na pustym stepie; że w starym kościele
(Wszystko znalazłem w jednéj dawnéj księdze,
  Którą na półkach mam oprawną w cielę)
Że w starym, mówię, kościele raz zasnął,
A w kościół lunął dészcz i piorun trzasnął

I bohatera mego jasne oczy,
  Błękitne, wielkiém swojém płomieniskiem
Oćmił; ślepego chwycił duch proroczy
  I zrobił widzeń złocistych igrzyskiem.
Khan Giraj chciał mu dać dziesiątek koczy
  I zrobić wodzem nad tém koczowskiem;
Ale odłożył to na czasy drugie,
Krótki w nim widząc wzrok, a myśli długie.

Borejsza Litwin potém go kaptował
  Dla Radziwiłła; lecz mój Węgro-Słowak
Proroczym duchem Litwina zgruntował
  I odpowiedział ni tak ani owak.
Litwin jak ślimak zaraz rogi schował
  I tak za....[1]) Coopera Pothowak
Utonął w gęste traw stepowych wniki
I ponurtował w swój las — w mateczniki.

Lecz piérwéj ostrzegł Khana, a prywatnie,
  Po przyjacielsku, usta w samo ucho
Włożywszy: że się Beniowski w ostatnie
  Zgrał i przed sądów ludzkich zawieruchą
Uciekł; dla tego na strzały harmatnie
  Szedł tak odważnie i z taką otuchą,

---

1) Słowa tego nie można było odczytać w rękopisie. *(P. W.)*.

Jak Achil; bo też z pod prawa wyjęty,
Nie mógł być ranny nigdzie, tylko w pięty.

Dodał, że to jest duch francuski, z duchów
  W Polsce najgorzéj uważany... nawet
Wyklęty; że jest takich wiele zuchów,
  Więcéj niż harmat w Nieświeżu bez lawet,
Więcéj niż w Khana wojsku jest kożuchów,
  Więcéj niż w kłótni gorzkich słów wet za wet
(Przedrabowawszy wprzód Lindego słownik)
Tygodnikowi oddał *Orędownik.*[1])

Dodał, że każdy taki duch francuski
  Jest pod klątwami wielkimi kościoła;
Że jeden się udławił, jedząc kluski,
  A inni, chociaż wesołego czoła,
Schną wewnątrz, jakby je kwas palił pruski
  Albo Cyrcejskie zaraziły zioła
Świniną. — Nie mógł dociąć niczém lepszém,
Bo Khan Beniowskim wnet zbrzydził, jak wieprzem.

I gdy mój rycerz po spaleniu Bałty,
  Na co Khan patrzał z wieży, klaszcząc w dłonie,
Myślał i roił — (o jak piękne kształty
  Imaginacya ma, kiedy rozpłonie
I rozumowi zadająca gwałty
  Gmachy buduje na tęczy ogonie!)
Gdy rycerz, mówię, mój już roi bosko
Z Tatarów — legią niby jakąś włoską

Po jasnych polskich polach latającą,
  Dębowych ciemnych lasów oboźnicę,
Chmurę, w któréj się blaski mieczów mącą,
  Tak że ją bierze chłop za błyskawicę,
A w nocy widząc, za chmurę idącą,
  Co wszystkie niebios zabrała księżyce,
Zwinęła w jeden kłąb i mgławo płonie,
Miesiące w srebrne zamieniając konie...

---

[1]) Dwa pisma peryodyczne poznańskie polemizujące z sobą *(P. W.)*.

Gdy marzył, mówię, że taką wiatrówkę
  Z szarych złodziei i cichą harmatę
Będzie miał wkrótce na komenderówkę,
  Gdzie zechce, całą narazi na stratę,
Zgubi w stepowym tańcu jak podkówkę,
  Razem z nią legie burłaków brodate
Zgubiwszy, tak że (przechodzi mnie mrowie)
Ruski historyk, o niéj... nic nie powié!

Gdy marzył, mówię, tak i rósł w niebiosa
  Nadzieją przyszłéj sławy: — aniołowie
Ugwiażdżonego nad nim stali włosa
  I owéj myślą stawianéj budowie
Runąć kazali, strzeliwszy z ukosa
  Słońcem po kolumn fantastycznych głowie.
Tak że z rubinów wzięły blask niezwykły
I szmaragdami stały się — nim znikły.

Spyta mię teraz kto: czyliż nie lepiéj,
  Aby ci zacni aniołowie bozi
Pomogli byli ręce, która szczepi
  Strach i śmierć — szabli, która wroga mrozi
I często krzyżem płomiennym oślepi,
  Zrobiwszy z siebie krzyż i wiatr?.. ambrozii
Gdyby nalali byli w życia czarę,
Nim usta stracą smak i w ten smak wiarę?

Czyliż nie lepiéj, aby w trochę ciała
  Oblekli byli marzenia młodości?...
O Trojo! jeszczebyś aż dotąd stała
  Pełna cnót dziwnych, starych, — i miłości...
Jak dawny kościół cedrowy — spróchniała,
  Gdzie jednak boża woń aż dotąd gości,
A często belka stara w oczach ludu
Rozkwitnie różą lub narcysem cudu.

Bo i z tych starych łbów szablą naciętych
  Mogłaby jeszcze wykwitnąć myśl duża,
Piękniéj niż dzisiaj; bo jak z ducha świętych,
  Większyby wyszedł kwiat, pełniejsza róża!

I na turkusie skrzydeł rozciągniętych
  Mogliby swój duch za anioła stróża
Postawić światu, gdybyś ty był, Panie,
Aniołom twoim kazał mieć staranie

O tych dzieciątkach starych! A to oni
  Nie pożegnawszy nas nawet, i woli
Nie zostawiwszy względem staréj broni
  I względem swojéj puścizny i roli,
Odeszli... Ucho jeszcze nasze dzwoni
  Brzękiem ich szabel, serce jeszcze boli
Bolem ich serca; lecz pełna zamętu
Myśl, bo odeszli nas — bez testamentu.

Któż słyszał jakie tajemnicze słowo,
  Na którém stanąć mogliby synowie?
Wszystko śpi głucho pod deską grobową!
  Kto co od trumien zasłyszał — niech powié,
A odbudujem całą Polskę nową
  Na tém jedyném, tajemniczém słowie!...
Na tę myśl anioł się we mnie uśmiecha
A razem pełny łez.... Cóż? nigdzie echa?

Nigdzie!! Tylko ten rym tętniący bieży,
  Jakoby w rzymskiéj ruinie kaskada,
Co skrzy i błyska i dymi i śnieży,
  I płacze i grzmi i jęczy i gada —
I swój nimfowy włos tęczami jeży,
  A spodem głazy powoli wyjada
I tak przy słońcu i tak w blask miesiąca,
Jak Chrystus... ciągle w sobie pracująca.

Więc pod tym grzmotem, pod tymi kolory
  Jest dziwna, smętna praca; bo to nie to,
Że różne z myśli leją się upiory,
  Że z pełną jestem wymyśleń kaletą;
Ale wierzajcie...żem rymu podpory
  Podłożył sercem — i to moje veto
Przeciw fałszowi kiedy duch mój rzuca,
To więcéj mnie to kosztuje — niż płuca...

Otóż Beniowski mój powrócił z wschodu
  Własnie jak veto żywe, lecz obdarte
I biédne; doznał piérwszego zawodu,
  Przewrócił tego świata piérwszą kartę
I przyszedł jako nędzarz do ogrodu
  Pokazać serce, które więcéj warte,
Niż to, co za nie dawali na świecie
Ci, co kupują serca na tandecie.

Mroczny, wstydliwy, z pochyloną głową,
  Po przywitaniach piérwszych rzekł: — hrabianko!
Przyszedłem wrócić tobie twoje słowo,
  Oddać pierścionek; żadną odtąd wzmianką
Nie będę trudził twych myśli — grobową
  Ziemią zasypię oczy... Podolanko,
O! Podolanko piękna, bądź mi zdrowa!
Daruj, że w takim stroju, takie słowa...

Tu zaczął jąkać się, bo kawalerstwo
  Żywe lękało się w nim jakiéj wzgardy;
Daruj, rzekł, dawne z twém sercem braterstwo,
  Dawne twe łaski — a teraz los twardy
I moje, patrzaj żebrackie żołnierstwo
  I różne życia mojego hazardy,
Szczęście wczorajsze i ta, co mnie pędza
Po czarnym świecie, ta dzisiejsza nędza,

Gdy porównane w twojéj myśli staną,
  Może wycisną łzę, o moja pani!
Bądź mi na wieki teraz pożegnaną,
  A nie idź za mną, bo ja do odchłani
Idę. — To mówiąc, twarz swą obłąkaną
  Obracał wszędy, jakby go szatani
Scigali, nawet nie dając pokoju
U stóp kochanki, przy brzęczącym zdroju,

W pasiece leśnéj. A do niego ona,
  Z oczu zdziwionych czyniąc słoneczniki,
Bo słońcem była źrenica zatlona,
  A rzęsy pełne pereł, jak promyki

Świeciły w koło; a głos z głębi łona
  Wychodził cichy, lecz straszny i dziki —
Co? rzekła, po toś przybył i mnie z domu
Kazał dziś witać siebie pokryjomu,

Abym słyszała, ja, która tak wiszę
  W powietrzu, jako ta smętna kaskada,
Abym słyszała to, co teraz słyszę,
  Że skała, z któréj ja lecę — upada?
Ty, coś mi sercem Czarnego Zawiszę
  Przypomniał — ty wódz tego ludzi stada,
Ty, przez tę szlachtę z wszystkiego odarty,
Sam drzesz ostatek szczęścia? Cóż ty warty?

Powiédz! Więc i ty na sercu kaleka?
  Nie mogłeś wiary zrodzić w serce moje?
O trup ty! stójże odemnie zdaleka,
  Bo ja się próchna i robaków boję.
Cóż ja kochałam, kochając człowieka?
  W cóż ja wierzyłam, wierząc w serce? Stoję
Jak nad przepaścią jaką — sama jedna
I opuszczona wiecznie — o ja biédna!

Gdy patrzę w oczy twoje, widzę jasno,
  Że ty naprawdę żegnasz... Wieki miną,
Te gwiazdy, które dziś świécą, zagasną,
  A nie odmieni się sercom, co giną,
Nic a nic! Lecz ty nie przez duszę własną
  Tak postępujesz ze mną, z tą jedyną
Duszą, co tobie spadła jak z miesiąca —
Siostra i matka razem — i służąca.

Musi być jakaś okropna przyczyna
  Tego rozdziału, téj bolesnéj rany,
Którą mi dajesz w serce; bo ta sina,
  Bo tą wychudła twarz i te łachmany,
Na które patrząc, strach mi głos ucina,
  Są przecież ludzkie; a ty jak szatany
Zimny, choć oczy twoje łzą zabiegą,
Masz w skrzących oczach coś nieczłowieczego!

Powiédz mi, skąd ten blask i takiéj dumy
  Rys na twém czole? Co? tyś przeciw Boga
Wstał... Co? nie prawda? Słyszę jakieś szumy
  W tym lasku, skąd na step wychodzi droga...
Choćbyś ty wodzem był upiorów dżumy,
  Choćby na twoich piersiach była sroga
Śmierć, jako piorun przychodząca boży
Głowie, co na twéj piersi się położy:

To kiedy patrzę na świata pustkowie,
  Kiedy... a wszystko obejrzałam wzrokiem,
Czuję, że to jest jedyne wezgłowie
  Ta pierś oblana moich łez potokiem...
Tu na kamieniu tym żałosną głowę
  Pozwól położyć — reszta jest obłokiem,
Reszta jest niczém — ten świat, ziemia cała...
Jękła, przegięła się w pół — i omdlała.

Beniowski w trudnéj bardzo pozyturze
  Stał, bo ją trzymał w pół upadającą.
I razem słyszał, jak się leśne róże
  Ruszyły, uczuł i mróz i gorąco —
Usłyszał bowiem szelest, i na wzgórze
  Podniósłszy oczy, spojrzał — na patrzącą
Parę schowaną w kaskadowym pyle
I w różach... ujrzał Dafnicką Sybillę

Z księciem Luborem! Wnet poszedł do głowy
  Po rozum i choć, zda się, nie wart grosza,
Żebrak — postąpił jak hetman niżowy,
  Ludzi dobywszy sobie zaraz z kosza;
Wystrzelił, a na strzał pistoletowy
  Zbiegła się jakaś okropna wołosza
Różnego stroju, barwy, różnéj broni,
Ludzie, od których człek uczciwy stroni.

Ci wszyscy, słuchać nauczeni giestu,
  Poszli na wzgórze; i po krótkiéj chwili
Brzęku, bo książę bronił się — szelestu,
  Bo się trzepała leksza od motyli

Pani Dafnicka: dawszy we czterdziestu
  Radę i księciu i pani Sybilli,
Jako rycerskie pozwalały czasy,
Z parą swych jeńców żywych — poszli w lasy.

Za nimi poszedł Beniowski, a krzywa
  Zda mi się bardzo teraz jego ścieżka!
A przy Anieli sennéj niańka Diwa
  Płakała. — Taka w tym kraju zamieszka
I taka była wówczas nieszczęśliwa
  Krwią zamięszona różnych żądz lemieszka,
I taki rycerz mój, co po buzdygan
Idąc, zaczynać musiał jako Cygan.

KONIEC CZĘŚCI PIERWSZÉJ

BENIOWSKIEGO.

U w a g a. Pomiędzy pieśnią poprzedzającą a następną (XIVtą) znaleźliśmy w rękopisie następujący ustęp — przekreślony potém przez autora. Dajemy go tu odmiennym drukiem.

CZĘŚĆ DRUGA

BENIOWSKIEGO.

ARGUMENT.

Zniknienie pani Sybilli z Ladawy
  Szlachta tłómaczy sobie rozmaicie;
Tymczasem w zamku rosną wielkie wrzawy
  Na Pułaskiego, że zamierza skrycie
Z Sardanapalem godzić się Warszawy.
  Rycerz się broni. Boga na błękicie
Bierze za świadka . . . .
. . . .

ILIADA BARSKA.

Teraz mi pozwól, Boże, te Barszczany
  Śpiéwać, co bili się za imię Twoje!
Których Ty bole widziałeś i rany
  I wielkie bardzo, a rozpaczne boje.
Od kraju, gdzie lśnią rozlane limany,
  Po kraj, gdzie kopią bursztynowe słoje,
Szeregi w sławie rozkochane, bratnie,
Nosiły złote chorągwie — ostatnie.

I na Podolu dotąd lud wspomina
  Na białym koniu jednego człowieka,
Co razem jako upior i mgła sina
  Jawił się oczom tęczowym zdaleka,

A teraz jaśniéj coraz bić zaczyna
W oczy zdziwione, jak od tarczy Greka
Homerycznego słońce krwią czerwone,
Przez wieki naszym oczom odstrzelone.

Pozwól, o Panie! niechajże ja w sobie
Odczuję ludzi tych wielkich uczucie
I niechaj rymem maleńkim zarobię
Pomiędzy nimi mieć pośmiertne życie,
Jako kwiateczek, co jest ku ozdobie
Grobu, a niebo ma w liści błękicie,
A świat ku niemu cały jest miłośnie
Dlatego tylko, że przy grobie rośnie.

Niechże i moja maleńka usługa
Uprosi Twoje niebieskie anioły,
Aby mi kwiatów u polskiego ługa
Branych, z gorzkimi pomięszanych zioły,
Nie zabraniali; albowiem pieśń długa,
Gdy nigdy na ton nie trafi wesoły,
. . . .
. . . . [1]

PIEŚŃ XIV.[2]

I.

W złotéj Ladawie dopiéro wieczorem
Spostrzegła szlachta, że pani Sybilla
Z księciem, którego nazwano Luborem,
Zniknęła. Oknem patrzano co chwila,
Czy gdzie nie widać ich zajętych sporem
O wiersz Homera, Danta lub Delilla;
Ale nie, nigdzie o nich ani słychu...
Liście w ogrodzie szeptały po cichu.

Ale w tych szeptach, co się anielskimi
Wydają, kiedy brzoza z brzozą gada,

[1] Tu się kończy miejsce przekreślone w manuskrypcie. [2] Z tėj pieśni ocalało tylko kilka urywków. *(P. W.)*.

Żaden szept głośny dźwięki francuskimi
  Nie szepnął. Więc żart powiedział nie lada
Kaźmierz Pułaski, że ucho do ziemi
  Po wojskowemu przyłożyć wypada
I słuchać. Na to księżna rzekła sucho,
Aby przyłożył do księżyca ucho —

Bo pewnie na nim są. Więc Amfitryjon
  Starosta bardzo przytoczył ciekawie
To, co o żonach rzekł filozof Bijon:
  Że jeśli piękną weźmiesz, toś w obawie;
A jeśli brzydką, toś unieszczęśliwion...
  Dylemma, które w wielkiéj było sławie
Za Jezuitów, w filozofii klasach;
Bo myśl w niém chodzi tak, jak na zawiasach.

Jednak zaczęto się lękać, gdy stary
  Zegar już dzwonił dwunastą godzinę,
A szlachta wina dolawszy do miary
  Była w fantazyi... zdjąć pozłotowinę
Z księżyca, lub wsiąść zaraz na bajdary
  I przez Dniepr płynąć albo też przez Dźwinę
Po szóstą świata część, któréj odkrycie
Przeczuła — łowiąc muchy po suficie.

I nie dziw: bo świat ich już był opalem
  I tęczą, i gwiazd pełną i promieni,
Za którą złota stała Jeruzalem
  Drzew szmaragdowych pełna i kamieni,
Z których jeden jest męczeńskim koralem
  I ciągle od krwi polskiéj się czerwieni;
A bramy, co się przed polskimi berły
Odemkną, z łzy są jednéj, z jednéj perły.

Takie się miasto z nich każdemu śniło,
  A każdy widział podobnie, jak drugi.
Najbliżéj bram był szlachcic Poletyło,
  Który pod stołem już leżał jak długi.
Od lotu, widać, nazwisko mu było,
  I dotąd, widać, pradziada zasługi

Lotne działały w synie, że uderzał
Skrzydłami o strop — gdy pod stołem leżał.

. . . .
. . . .
. . . .
. . . .

II.

„Podobnie owo oczu się zamknięcie
  Zdarza Homerom... Więc bądźmyż my ślepi
Na to, co nasze wielkie przedsięwzięcie
  Na przyszłość może tutaj nędzy szczepi;
Puściliśmy się już na tym okręcie,
  A więc nikt nie mów, że byłoby lepiéj,
Gdybyśmy byli nie rzucali brzega.
Kto z nami umrzeć chce — ten nasz kolega.

Wszyscy my bracia!“ — Tutaj go powoli
  Serce wynosić jęło z retoryki. —
„Wszyscy my bracia! to równo nas boli
  Serce, i równe mamy pamiętniki
W duszach ojczystéj sławy i niedoli;
  Król narzucony, obce rozbójniki
W kraju, francuskie duchy obok tronu,
My jedni, jakby wodze Askalonu

„Z krzyżem na naszych piersiach i sztandarach,
  Z łachmanem niby ostatnim bławatu,
Na ukraińskich gołych wichrom jarach,
  Przeciwko wrogu... ba i przeciw światu.“ —
To mówiąc, w takich był Potocki żarach,
  Takiego dostał na policzkach kwiatu,
Jak Achil, kiedy mieczem chce ciąć głosy,
A duch Minerwa chwyta go za włosy.

Wtém jeden szlachcic krzyknął: O głos proszę!
  Szlachta zwóciła nań oczy ciekawie;
A on z powagą wielką: — „Oto wnoszę,
  Abyśmy Pana Podczaszego sławie
Wznieśli kolumnę.“ — Ja, co kwiaty koszę
  W niezabudkowéj przeszłości murawie,
Musiałem i tę wspomnieć mowę walną
Szlachcica — co miał myśl monumentalną.

Wniosek ten jednak zniskąd nie poparty
  Upadł, lecz pana Podczaszego zmięszał.
Obaczył, że to lwy są i lamparty,
  Że ten, co go czci, jutro będzie wieszał;
W górę więc swój łeb trzymając zadarty
  Rzekł: — Kolumnami Waść nie będziesz wskrzeszał
Ojczyzny ducha... Pierwéj trzeba było
Nad Sobieszczyków je wznosić mogiłą!

Toby Waść, w szkołach będąc małym żakiem,
  Napoił się był téj kolumny wonią
I wiedział, jakim trzeba być Polakiem,
  Aby kolumna ze złocistą skronią,
Z ogromnym białych posągów orszakiem
  Szła na grobowiec, i nad czasu tonią
Nakształt świętego pozostała drzewa,
Co, zda się, oczy ma, a sercem śpiéwa.

My ledwie warci... o jak serce boli,
  Że może i to nam wzbronione, Chryste!
My ledwie warci, że pacierz sokoli
  Będzie po krzyżach szedł w powietrze mgliste,
Że wróbel, który po śliwach swawoli,
  Słysząc: a światło niech im wiekuiste
. . . .
. . . .
. . . .
. . . .

III.

„Ale w nas obu jakiś nieśmiertelny
  Grzmot słychać, duszę jakąś doskonałą,
Która jak rycerz występuje dzielny,
  Gdzie trzeba, i wnet ubiera się w ciało.
A że my straszni, to Bóg wié piekielny;
  Bo zawsze na wspak stawia swoje działo
I wichrem strasznym obu nas rozdziela
I w oczy garścią nam piorunów strzela,

Gdy chcemy naprzód.“ — Rzekł; a w całym gieście
  Był taki straszny, że szlachta struchlała
Mówi: — Chorobę ma wielką... boleści
  Rumatyczne mu nadłamały ciała;
O wiecznym jakimś mówił manifeście,
  O włóczni — widać, że w boku została
Włócznia kozacka, którą pod Winnicą
Dostał w bok... Szepcą z wielką tajemnicą,

Ażeby żyda powiesić felczera,
  Co nie namacał jéj, a rzekł, że trzyma.
O! jakże trudno służyć za Homera
  Szlachcie i ciągle za nią iść oczyma!
Pułaski na nich plany swe opiera;
  Jemu już w oczach gdzieś karpacka zima
Srebrna, bez dachu i nawet bez płota,
Jednymi tylko sztandarami złota

I ukwiecona świéci się a oni
  O powieszeniu żyda radzą z boku!...
Rzekniesz o wiośnie — to zaraz Fawoni
  Z trawkami igra nad brzegiem potoku;
Z téj legii, która po husarsku dzwoni
  I w historycznym gdzieś dawnym obłoku
Podnosi miecze ogromne jak młoty
I rząd łabędzich skrzydeł zorzą złoty

Rozwija... z tego dawnego husarza,
Co za Krzyżakiem pędzi się śród błonia,
W kark dzidę swoję mu zabójczą wraża,
Hełm na hełm, konia mu wsadza na konia
I z trupem lecąc, szeregi przeraża,
Bo zda się, paszczę trupa w siebie wchłonia
I w strzał srebrzystych mogilnéj zamieci
Do piekła, jak coś skrzydlatego, leci;

Zamiast straszydła tego, co na sztabę
Człowieczą wskoczył, zgniótł w skrzydłach i w rękach
A potém rzucił ścierwo w kruki rabe
I daléj leciał, słyszany po jękach,
A potém w domu ściskał swoję babę
I o Chrystusa czerwonego mękach
Śpiéwał żałosne godzinki... mam oto
Na Boga! salę mam ogromną, złotą,

Wielką figurę, w szarym szarafanie,
W amarantowéj czapce aksamitnéj
Na szabli; i mam drugiego, mospanie,
Rycerza wielkiéj źrenicy błękitnéj,
I mam ogromną wojnę bożą w planie,
Podobną wojnie jakiéj starożytnéj,
I mam podolskich tyle wonnych kwiatów,
I mam ten miesiąc biały — hostyą światów.

. . . .
. . . .
. . . .
. . . .
. . . .
. . . .

IV.

Czuje już szlachta, że nie o to chodzi,
  Aby wypędzić króla i Moskali;
Tu duch powstaje, a Pan Bóg dowodzi,
  A zaś szaleństwa pełna druga szala...
Gdy mówił, drugi chwiał się nakształt łodzi
  Gdy przywiązaną ciągle chwyta fala;
Potém rozpłakał się i na kolana
Padłszy, rzekł: — Imię przenajświętsze Pana!

I omdlał; potém przyszedłszy do siebie,
  Rzekł: — Więc ty wszystko wiész, i tę decyzyą,
Która już teraz zatrzymana w niebie,
  O któréj miałem taką straszną wizyą,
Żem stracił rozum . . . . . .
. . . .
. . . .
. . . .

V.

A w grotach były światła zapalone,
  Tak że się z każdéj lała jasność żywa
Wodzie, i słupy rzucała czerwone
  Po stawie, co się wahał jak oliwa.
W jednéj z grot jako Walkirye szalone
  Stały trzy wiedźmy, i staruszka Diwa
Natknąwszy szaréj do włosa szałwii,
Z wielkim pieniądzem na czerwonéj szyi.

Ta coś wróżyła — a szlachcice starzy,
  Siedząc przy dzbanach cynowych, słuchali;
Panna Aniela, widząc tych husarzy,
  Ten ogień, wiedźmy — a wszystko to w dali
Jeszcze straszniejszéj nabiérało twarzy —
  W podskalnéj, drzewy ocienionéj sali
Zlękła się; dziéwczę drżącą wzięła ręką
I całą grotę obeszła z Helenką.

I tak obiedwie strwożone dziéweczki,
  Obiegłszy grotę, zbliżyły się do niéj
Przez inne kręte i ciemne ścieżeczki,
  Brnąc po pas w różach, lilijach, lewkonii;
I pod most weszły bardzo małéj rzeczki,
  I tam — w lilijach podobna Dziewonii
Hrabianka rzekła: — Tu nam doskonale,
Ale co daléj robić, nie wiém wcale.

Na to Helenka: — Ja tam, panno droga,
  Muszę pod sosną być, gdzie pan nadjedzie.
Wielka to bardzo dla mnie biédnéj trwoga,
  Bo może kogo on z sobą przywiedzie.
Wtenczas nie ujdzie ani jedna noga,
  Będą strzelali... a ja tam na przedzie
W mojéj jaskrawéj zaścierce stojąca
Kulom jaśniejszą będą od miesiąca...

Ot serce mi tak przewidując puka,
  Jakby mnie oni mieli trafić kulą.
Myśl we mnie dawnych smętnych piosnek szuka,
  Które ja w chacie śpiéwała z matulą.
Oj! jeśli mnie ta wróżba nie oszuka,
  Każ mnie panienka śmiertelną koszulą
Okryć i grzebać ze świécami jasno,
Jakby ja była ptaszką twoją własną.

Każ mnie tam, panno, pogrzebać pod gajem,
  Gdzie my chodziły często po czernice;
Bo już nie przyjdę więcéj z korowajem,
  Nie ustrzygą mi włosów mołodyce...
Na to Aniela: — Więc tu nad ruczajem
  Zostań, ja pójdę tam, zakrywszy lice;
A ty idź, powiédz, niech piastunka Diwa
Wcześnie z tą szlachtą ratować przybywa.

— Nie! tak nie można, rzekła tamta druga.
  On pozna pannę po jedwabnym stroju;
Niech już ja na to odważę się, sługa,
  W białéj koszuli, w malinowym zwoju.

Panienka nie wiész, jaka męka długa,
Jakto nie można twarzy obmyć w zdroju,
Jakto wstyd długo rumieńcem maluje,
Gdy pan obejmie stan i pocałuje! —

— Dlaczegoż ty masz...? krzyknęła Aniela,
A potém rzekła: co? czy nie masz noża?
Ja ci przysięgam w imię Zbawiciela,
Że gdybym sama była śród rozdroża,
A była za mną przepaść i topiela
Pełna gdzieś na dnie ognistego morza,
Skoczyłabym w nią prędzéj, niżby kto mię —
Nie, nie — nie można żyć po takim sromie!

Nie idź tam, ja ci zakazuję, proszę,
Helenko moja, nie idź! — Na to ona:
Z konia nie zsiędzie to złote panoszę,
Szabli nie rzuci i szlachtę pokona.
Niech już ja, panno, mój wstyd sama noszę,
Złoto ja wzięła — ot mi z pokołona
Brzęczą pieniądze jego; ja bogata,
Złotem i wstydem wykupiła brata...

Na to Aniela: — W imię Pana Boga,
Ja mu to złoto czarne oddam sama!
Panie Branecki, wykrzyknęła sroga,
Otworzy ci się nasza dworska brama!
Przysięgam, wyjdziesz, i więcéj twa noga
Tu nie postanie! to twój ślad — to plama —
Helenko, razem pójdziem pod sosenkę...
To mówiąc, już szła i wlokła Helenkę.

Było maleńkie w Anielinkach wzgórze,
Gdzie jedna sosna między inne drzewka
Złocistsze, między kaliny i róże
Weszła i stała, jak smutna Litewka...
Tam było miejsce pod drzewem nieduże,
Strumień i jego szemrająca śpiéwka,
Dobrze obrane miejsce na dziewiczą
Schadzkę, z Egeryą jaką tajemniczą.

Gdy się zbliżyły, ujrzały z daleka
  Dwóch konnych: był to pan Branecki w burce
I przy sobie miał drugiego człowieka,
  Z którym rozmawiał o starosty córce.
Ona słyszała, jak ją on wywleka
  Z komnat dziewiczych; jak myśli, jaszczurce,
Pozwała łazić po niéj; jak ją plami,
Mówiąc o wdziękach brudnymi ustami.

— Co myślisz, mój ty Dzierzanowski? rzecze;
  Czy w Indyach, twoje mustrując Cypaje,
Widziałeś jakie oko, co tak piecze
  I tyle ognia pod spojrzeniem daje?
Jeśli tu z naszych kto szponów uciecze,
  Król powié, żeśmy obydwa mazgaje,
Żeśmy tu poszli szukać tylko sińca,
A nie przywieźli żadnego gościńca. —

Na to pan Dzierzanowski, kłamca wielki,
  Lecz człowiek tylko zepsuty w połowie:
— Ja trzymam tylko się każdéj butelki,
  Bom w Indyach stracił tę rzecz, co się zowie
Miłością. Miałem harem i ród wszelki,
  I przynieśli mi syrenę Bonzowie,
Co miała ogon rybi i dwie twarze,
A sam uczyłem ją grać na gitarze.

Otóż kiedy mię raz uśpiła śpiewem,
  Śpiéwając jako maleńkie słowiczki —
Było to, pomnę, pod korkowém drzewem,
  A nauczyłem ją jednéj kantyczki —
Otóż widząc mnie, że śpię, w ręku lewém
  Mając gitarę, a w prawém nożyczki...
Branecki przerwał: — Podcięła jak szczygła!
Czemuż języka tobie nie ustrzygła?

Ja ci o ważnych rzeczach, mój Dzierzasiu,
  Gadam, a ty mi znów kłamiesz bezczelnie,
Jak tam się w jakimś kochałeś karasiu;
  Gdy strzelasz, strzelajże przynajmniéj celnie...

Lecz co to widzę? tam na pozalasiu -
  Jakieś światełka. Cóż to mojéj Elnie,
Że nie przychodzi? Czy bierze z migdałów
Wannę?... słyszałeś? co to? kilka strzałów!...

Zda się, że gdzieś tam we dworze strzelono.
  Czy nie słyszałeś nic? Dali-Bóg, bójka!
Ty jedź do zamku, a ja inną stroną.
  Każ, niechaj w bryczce będzie moja trójka...
Patrz, patrz, patrz! brzozy po za nami płoną!
  Dobrze, że drutem podszyta ta czujka!
Jedź! lepiéj, że dwie obierzemy drogi —
Strzelają — słyszysz, mój Dzierzasiu? w nogi!

To rzekł, i rzucił się na bok w gęstwinę,
  Gdzie mu gałęzie od drzew zawadzały.
Wtém... pannę spotkał i białą dziewczynę
  I cofnął od nich konia, choć był śmiały.
Myślał, że duchy po księżycu sine
  Na drodze jemu zachodzą od skały;
A one obie także, jak łabędzie
Śród brzóz czekały strwożone, co będzie.

Wreszcie Aniela, już strzelaniem bliskiém,
  Bliskimi także ośmielona groty
I władzą, którą ma nad duchem niskim
  Duch wielkiéj bożéj miłości i cnoty,
Rzekła: — Z anioły ja jestem — a ty z kim,
  Wodzu Moskali i podłéj hołoty?
Dlaczego na mnie za drzewami szczekasz,
A gdy ja stanę w oczy, to uciekasz?

Panie Branecki! słyszałam i sądzę
  Tak, jak są warte, twe brudne obmowy.
Helenko, rzuć mu w oczy te pieniądze!
  — Na to on, wcale nie straciwszy głowy:
Gdzież to hrabianka błądzi? — Ja nie błądzę,
  Rzekła, lecz przyszłam ci mój próg domowy
Pokazać palcem, byś szedł precz z dziedzińca
Do twego króla pana, bez gościńca!

Branecki zaśmiał się: — Hrabianko moja,
  Dali-Bóg, gdyby spokojniejszą chwilą,
Przylgnąłbym tutaj, jak pastérz u zdroja,
  I pasł twe trzody. Teraz wdzięków tylą
Strwożony więcéj, niż napadem zbója,
  Drżę. — Tutaj ujrzał, że się drzewa chylą,
Że wypadają ludzie... Porwał w rękę
Szablę, a w drugą porwawszy Helenkę,

Bo była bliżéj, posadził na siodle
  Przed sobą, i z nią cofał się w gęstwiny;
Tak zasłoniwszy się od strzałów podle,
  I mając puklerz z krzyczącéj dziewczyny,
Jak rycerz, który ma na tarczy w godle
  Pannę — w rumiane konia pchał kaliny;
Zawsze ku ludziom zwracając jéj łono,
Miał znikać w gęstych krzewach... wtém strzelono!

Kto strzelił, pewnie teraz tego dzieła
  Żałuje! bo po strasznym, głuchym strzale
Nie on... lecz ona na koniu krzyknęła,
  I głos jęczący jéj odjęknął w skale...
Potém gąszcz wszystko liściem owinęła:
  Rycerz, dziewczyna, koń w kwiatowe fale
I gęstwę wpadli, a księżyc za nimi
Bił w czarne drzewa mieczami srebrnymi.

Nie człowiek, zda się, lecz wielka jaszczurka
  W powiewną falę mórz zielonych wpadła.
Wnet dziarska szlachta dała za nią nurka
  I krzewy na bok rozdzielając kładła;
A gdy zniknęli — to starosty córka
  W ciszy, na mszonym kamieniu usiadła
I przerywała czasem swe korónki
Nabożne, głośno wołając piastunki.

Wtém wyszła z gęstwin tych zabójczych Diwa,
  Niosąc na ręku Helenkę bez ducha,
W drugiéj garść wielką smolnego łuczywa,
  Z któréj dym czarny i ogień wybucha...

Aniela wstała: — Co? czy jeszcze żywa?
  O! niech mię Pan Bóg na niebie wysłucha!
Niech ona żyje! — i dotknęła ręką
Leżącéj u nóg — Helenko! Helenko!

Helenko! woła, budząc ją — nie wstała
  Dziewczyna na to serdeczne wołanie.
Więc panna widząc, że dziéweczka spała
  I tak anielskie miała ciche spanie,
Ust przybliżyła i pocałowała;
  I rzekła potém cicho: — Chryste Panie,
Jakże ją do mnie ta śmierć przybliżyła;
Zda mi się, że to moja siostra miła...

A Diwa: — Tobie ta śmierć przeznaczona
  Była! taj dobrze, że ją wzięła sługa.
Od rana ja dziś chodzę, jak szalona,
  Taj Siekierycha w chacie jest, i druga;
Izba jałowcem stoi wykadzona,
  Mój mąż do trumny deski, kołki struga,
Pogrzeb gotowy od ranku białego,
A Bóg, co dał sen, dał i umarłego...

Idy do zamku, panienko! tam stary
  Nie wié, co robić, i pieniędzmi dzwoni...
Oj! miałaby ty w zamku srebrne mary,
  Gdyby nie ten duch biały, co cię broni.
Idy, panienko, a tu jak świt szary
  Przyjdź, mając kwiaty zaszeptane w dłoni
I przynieś jaką tam starą sukienkę,
Co tobie krótka, zda się na Helenkę.

Rzekła; i wzięła znów z jasnéj murawy
  Ciało, które się łamało na dwoje.
A panna poszła do dworu Ladawy
  I zaraz weszła na wielkie pokoje.
Ojciec jéj siedział śród ciemnéj kurzawy
  I zaraz do niéj; — Miłe dziecko moje,
Prezentuję ci bohatery młode —
Ci, którzy tu nam wracają swobodę...

Oto jest sławny już dawno z imienia
  Pan Kosakowski — podobno, żeś rodem
Z Litwy? — to wcale, wierz mi, nie odmienia
  Mojego serca; przyjmę ciebie miodem
Litewskim. Dojdziesz pewnie do znaczenia,
  Świécąc jak słońce Litwie takim wschodem!
Dusza Waćpana moję duszę zgadła. —
Córko! każ zmienić w izbach prześcieradła.

(Dalszego ciągu nie ma).

DODATKOWE LUŹNE URYWKI

NIEWIADOMO DO KTÓRÉJ PIEŚNI NALEZNE.

I.

Tymczasem anioł przyszedł cały złoty
  Do księdza Marka celi, i rzekł: — Księże!
Zaprzestań twojéj z Lachami roboty,
  Bo ich myśl myśli boskiéj nie dosięże.
Są małe duchy, do ziemskiéj roboty
  Wskazane, które pierwéj były węże
I wiele jadu przetrawiły w sobie,
A teraz dają go na kraju grobie.

Więc weź twój kostur i szukaj, a prawie
  Obaczysz, kto jest z nich silniejszy w duchu:
Nie ci, co chodzą jak tęczowe pawie,
  Pas odsłaniając dumy w każdym ruchu;
Ale ci, którzy w żebraków postawie
  Imieniem swojém nie tracili słuchu
I są jak dzieci, zasłużeni wielce
Myślami Pannie boskiéj Rodzicielce.

Tych dostań, i tych, którzy pokutują
  Za dawne grzechy, a są teraz w ciele,
Których tu imię obmowami trują —
Takich po wioskach znajdziesz bardzo wiele.

Niech tylko w sobie Ojczyznę poczują:
  Ze wszystkich onych będą zbawiciele.
. . . .
. . . .
. . . .

II.

I powrócił do swego klasztoru
  I obejrzał się na cichą celę,
  I padł w prochu i położył w popiele
Głowę siwą... I wracali z nieszporu
  Bracia jego, i znaleźli płaczącym,
I zdziwili się — bo ksiądz był rubacha.
I usłyszawszy przeor: wyrazem hańbiącym
  Nazwał go, i włóczęgą; lecz w głębi miał stracha.
Bo czuł moc ducha w Marku — lecz chciał dla przykładu
  Ukarać go za długą włóczęgę po świecie.

Przed nim stała beczułka mała winogradu,
  Co w bursztynowym grysie i w zimie i w lecie
Leży mumią z rubinów i szmaragdów, pojąc
  Usta księdza przeora, jak pierś Afrodyty.
  I stolik był damaszkiem złocistym nakryty,
I stał kielich; i tęcze w kielichu się rojąc
  Bawiły oczy księdza przeora, a sroczka
Wisiała w złotéj klatce nad uchem — i świéce
  Całe w girlandy niby kręcone ze stoczka
(Jak archanielskie miecze, gdzie trzy błyskawice
  Idą w górę i razem skręcone się palą)
  Paliły się w téj celi. — Więc gdy okorala
Lica swe jarzębiny, to nie są tak jasne,
Jak usta tego księdza przeora; a własne
  Miał na policzkach róże, pod włosem śnieżystym.

  Kazał przywołać Marka — i rzekł uroczystym
Głosem: — Filius dilectus! a skąd to powraca
„Wasza święta cudowność? gdzieś był, Reverende?

Na mnie się wali klasztor i zarząd i praca —
Aedifica, conserva, sustenta et mende —
Wszystko przeor! a wy się braciszki włóczycie?
Trzeba rękę wyciągać i za łeb was łapać!...

Tu ksiądz — pomimo wielkie nadzwyczaj utycie —
Wyciągnął jednę rękę i zaczął tak sapać,
Jakby chciał gestem zaraz na Marku wykonać
Urząd ojca ptasznika. Lecz ksiądz był aż w progu...
Więc dłoń spadła na kielich. I znów rzekł: — O! słona'ć
Jest każda altitudo! Kupiłem na rogu
Kamienicę i proces z kahałem, a za nic
Kupiłem kamienicę... Tu znów zasapany,
Jak mocarz, który popchnie królestwa i granic,
Czekał, co powie Marek, winograd rumiany
Jedząc ziarnko po ziarnku, a oczy przymrużył...
I znów rzekł: — Teraz byś mi, mój synu, usłużył
Miraculo in lite z żydami; bo święte
Wojny z nimi zacząłem diabolo suadente,
Który mnie na to popchnął...

Tu Marek aż jęknął
I rzekł: — Ojcze przeorze! — to mówiąc uklęknął
I całował go w ręce i ściskał kolana —
Ojcze przeorze... teraz ojczyzna kochana
Serce moje zabrała; i z tego rubachy,
Któregoś ty znał, ojcze, apostoł dziś boży,
A na śmierć przeznaczony, jak owca śnieżysta,
Na któréj pasterz krédą czerwoną położy
Krzyż śmiertelny. — Więc nędza mię dzisiaj ojczysta
Na to wiedzie, że krzyż ten przyjąłem, i krzyże
Piszę na sercach ludzi... A często je zliże
Matka u owcy białéj, gdy dziecko całuje,
I nie wié, że zlizawszy od śmierci uwalnia; [1]
Ale mój krzyż jest wieczny, i nikt nie ratuje
Moich biédnych rycerzy... I zacznie się szczwalnia

. . . .
. . . .
. . . .

[1] Ob. też samę myśl str. 66. *(Przyp. Wyd.).*

III.

„Lecz późno! czego ja czekam i stoję?
Jedź pan, zobaczę, jak przepłyniesz fale.“
— Maurycy westchnął i rzekł: — Oczy twoje
Zrobiły mnie tu posągiem na skale,
Dziecino moja piękna; bo się boję,
Że ciebie wezmą gdzie w stepach Moskale.
Oczy twe patrzą na mnie jak bławatki;
Chcesz, odprowadzę'ć do ojca i matki.

— Skinęła głową, spuściła źrenice,
A potém na Boh pokazała dłonią.
Potém wiatr uniósł ją jak tanecznicę
Na skały, co nad Bohu stały tonią.
Potém wrzasnęła; i dwie gołębice,
Jak dwa anioły, niespokojne o nią
W błękitném niebie zjawiły się, padły
I na ramionach odkrytych usiadły.

Tak, białe ptaki niosąc na ramieniu,
Przelatywała ze skały na skałę,
Czasami w słońcu, czasem cała w cieniu.
A kiedy nóżki ją uniosły białe,
Nad wodą rycerz został w zamyśleniu
I serce w sobie wtenczas uczuł małe.
Zdjęła go czułość wielka — pół niebieska,
Jak Danta, gdy go porzuca Franczeska.

Widział, że go ta porzuciła ładność,
A świat zostawał przed nim z tęcz odkryty.
Daléj co? cała żywota szkaradność,
Realne życie, Gule i Afryty,
Ludzka obłuda, poł-uczucia żadność,
Bez wiary z czarnéj pochwy miecz dobyty,
Grób bez posągu, teraźniejsza biéda,
Która się za lat sto poezyą wyda.

O! ileż razy mamy takie czucie
  Poetyczności przyszłéj! o jak cudna
Ta błyskawica, co nas w jednym rzucie
  Przenosi za grób, ale jak obłudna!
Trzebaż, ażeby przeszło ciał zepsucie
  I kości ziemia rozebrała brudna,
Aż z duszy, z życia i z wypadków ciągu
Uderzy białe światło, jak z posągu?

W tym wietrze rannym, co we włosy wieje,
  W tém słońcu złotém, co ci oczy razi,
W téj wodzie Bohu, co się wiecznie leje,
  W tém niebie, które żaden dym nie kazi,
W téj róży polnéj, co się na świat śmieje,
  Jest ziarno nudy, co się przeobrazi
W ziarno tęsknoty, gdy myśl zwiędnie młoda
Jak róża, i upłynie — jak ta woda.

Myśl się w ten błękit nieskończony wgryza,
  W tę ozłoconą ziemię się zacieka,
Jakby w niéj spała uczuć Heloiza,
  Która na trupa kochanego czeka
Na łożu z jasnéj róży i narcyza...
  We śnie, gdy z trumny jéj podniosą wieka,
Otworzy ręce ta grobu odźwierna
Spokojna, chłodna, zmarła — ale wierna.

Któż nie ma w ziemi miejsca w jakiéj trumnie?
  Chyba przeklęty, lub nadto wysoki,
Podobny smutnéj na polu kolumnie,
  Co tylko głową gwiazdy i obłoki
Kochała, zawsze wyglądając dumnie,
  Chociaż jéj siostry upadły w potoki
Cefizu, i tam leżą w modréj fali...
Lecz kto tak dumnie żył, czemuż się żali?

Kto mogąc wybrać, wybrał zamiast domu
  Gniazdo na skałach orła: niechaj umie
Spać, gdy źrenice czerwone od gromu,
  I słychać jęk szatanów w sosen szumie...

Tak żyłem. Teraz widzę pełen sromu,
  Że mam łez pełne oczy; lecz je tłumię
I nie chcę wyznać, że mi przed mogiłą
  Z aniołem śmierci żyć, tak straszno było...

Lecz to już przeszło; widma poznikały.
  Do ciebie, matko moja, twarz obrócę;
Do ciebie znowu, tak jak anioł biały,
  Z obłędnych krajów położyć się wrócę
U twoich biédnych stóp, bez szczęścia, chwały,
  Lecz bez łzy próżnéj. Obojętnie zrzucę
Resztę nadziei, zwiedzionych przez losy,
Jak liść, co we śnie upadł mi na włosy...

Odbiegłem ciebie w szaleństwa godzinie;
  Lecz ileż razy z fal i mórz i burzy
Patrzałem na twój cichy dom w dolinie,
  Jak człowiek, który myśląc oczy mruży, —
Myśląc, że myślisz o mnie, o twym synie,
  Który nieszczęścia bogu wiernie służy,
Lecz bez nadziei, łzami twymi żywy,
Jak Chrystusowe w ogrójcu oliwy.

Z błogosławieństwa twego miałem blaski
  Gwiazdom podobne i cień w puszczach Gazy...
Nieraz ćwiek rdzawy u podróżnéj laski
  Rył imię twoje; tam, gdzie same głazy,
I słychać tylko fal libijskich wrzaski
  Eschylowskimi budzone wyrazy,
Echa słyszały twoje święte imię
I słyszał je on laurów las, co drzémie.

I nad potokiem Elektry tyś była
  Ze mną! Na każdém miejscu, gdzie z przeszłości
Dolata płaczu głos, o moja miła —
  Wszędzie, gdzie w polach bieleją się kości
I woła głosem rycerskim mogiła
  O zemstę — wszędzie gdzie człowiek zazdrości
Umarłym i chęć śmierci dusza pije:
Tyś była ze mną, jam cię czuł — i żyję.

W Romie podobny głos twemu głosowi
  Słyszałem: anioł życia zadrżał we mnie!
Aniołowie mi ciebie nadpalmowi
  Pokazywali świécącą przyjemnie
W gwiazdach, tam gdzie był żłobek Chrystusowi,
  I anioł życia smętny wyszedł ze mnie,
Chcąc ręką dotknąć o twe serce krwawe
I ból swój stłumić pozdrowieniem: Ave!

Wszędzie miłosne twoje oddychanie
  Liczyło mi czas, co upływał w ciszy;
W tych strofach jeszcze — kiedy rym ustanie —
  Niechaj czytelnik na końcu usłyszy
Moje twych biédnych stóp pocałowanie,
  Bo łez nie słyszał . . . .
. . . .
. . . .

FRAGMENT [1]).

Anielę wielki zdjął strach — gdy ujrzała
  W duchu tak biédnym i tak pogardzonym,
Jaka ogromna nagle wieków chwała
  Błysnęła — a już znowu się w czerwonym
Poranku złota nić pokazywała.

Ten, który w czasy i w dnie potopowe
  Z poza mgieł przedarł się — Duch naszéj duszy,
I z tęcz słoneczną pokazawszy głowę,
  Zaklął się — że praw kamiennych nie ruszy,

[2]) Ustęp ten, drukowany z autografu w *Warcie* N-o 436 str. 4205, początkiem swoim wskazuje, że stanowił część **Beniowskiego**, dla téj przyczyny tu go umieszczamy; treścią wszakże odnosi się widocznie do *Króla-Ducha*. Naprowadza to na myśl, czy w dalszych planach poety nie było — związać ten drugi poemat z pierwszym? *(P. Wyd.)*.

Aż je złamiemy..... Niech te pieśni nowe
Napełni..... a méj luteńki nie głuszy,
A serce ludzkie niech uczyni pilne,
Na to śpiéwanie ciche — zamogilne. —

O wy, którzy mię jeszcze dziś słuchacie,
Dawnego ducha..... tajemniczéj mowy,
Niechaj wam pięknie w waszéj śnieżnéj chacie
Ta pieśń ujaśni jaki dzień zimowy.
Jeśli jaskółce uchrony nie dacie,
Odejdzie od was — smętny... Bóg domowy,
Wiatr wam zawyje grobowymi usty
Tą smętną klątwą: — otóż dom wasz pusty!

Lecz jeśli przyjmiecie złote pieśni słowa [1]),
Królowie będą w progi wasze wchodzić,
Dziecię urodzi się wam — i wychowa,
Złe duchy błysną — lecz nie będą szkodzić,
Jagoda wasza zawsze będzie zdrowa,
Pola wam będą złote zboża rodzić,
Drzewa — ściany wasze zgrzybiałe umają,
Modlitew — duchy złote wysłuchają. —

Bom ja przed wieki w szpichrzu nagromadził
Uczynków dobrych — i anielskiéj sławy.....
Gdy mię Bóg ślepym przysłał i posadził
Na wielkim tronie — Pan Bóg mój łaskawy,
Pan, który o mnie z aniołami radził
A wziął ofiarę z miecza i ze sławy;
Za grzechy moje i za zbrodnie moje,
Odjął odemnie mój Pan to oboje. —

O wy, którzy mnie jeszcze dziś słuchacie — [2])
Dawnego ducha..... tajemniczéj mowy!

---

[1]) *Waryant:* Lecz jeśli pieśni otworzycie wrota.

[2]) W pierwszém wydaniu *pism pośmiertnych* ustęp niniejszy, drukowany na końcu *Króla-Ducha*, zaczynał się od téj strofy, która we fragmencie *Warty* w środku się znajduje. Dla téj łączności zostawiamy tu oba fragmenty. *(P.W.)*.

Niechaj wam pięknie w waszéj śnieżnéj chacie
  Ta pieśń ujaśni jaki dzień zimowy!...
Jeśli jaskółce uchrony nie dacie,
  Odejdzie od was — smętny, Bog domowy;
Wiatr wam zawyje grobowymi usty
Tę smętną klątwę: *otóż dom wasz pusty*...

Pieśń tę zostawiam wiekom, które mają
  Potężne ręce i potężne głosy.
Niech jéj w niebiosach głośniéj dośpiéwają,
  Niż ja, kończący tu bolesne losy...
Anioły moje już przybiegły zgrają —
  Tłuką mi serce — targają mi włosy
I nazywają już wielką osobą
I szepcą... i już zapraszają z sobą.

Bądźcież mi zdrowi, moi tegocześni
  Bracia — tém tylko różni od śpiéwaka,
Żeście lub mędrsi, albo mniéj boleśni
. . . .
. . . .
. . . .

A czy to cudzą powieść, czyli własną
  Śpiéwam: niechaj nikt o to mię nie pyta. —
Gdy dawne gwiazdy zachodzą i gasną:
  Nowa — jak słońce różane rozkwita,
Od któréj duchom starym będzie jasną
  Praca i boleść dawno już przebyta,
A dziś ze smętkiem . . . [1]) i miesiąca
Na długi przyszły czas zmartwychwstająca.

---

[1]) Wyrazu brak. *(P. Wyd.).*

KRÓL-DUCH.

RAPSOD PIÉRWSZY.

PIEŚŃ I.

I.

Cierpienia moje i męki serdeczne,
 I ciągłą walkę z szatanów gromadą,
Ich bronie jasne i tarcze słoneczne,
 Jamy wężową napełnione zdradą
Powiem... wyroki wypełniając wieczne,
 Które to na mnie dzisiaj brzemię kładą,
Abym wyśpiéwał rzeczy przeminięte,
I wielkie duchów świętych wojny święte.

II.

Ja, Her Armeńczyk [1]), leżałem na stosie
 Trupem..., przy niebios jasnéj błyskawicy;
Kaukaz w piorunów się ciągłym rozgłosie
 Odzywał do ech ciemnéj okolicy.
Niebo zczerniało... ale świéciło się
 Grzmotami, jak wid szatańskiéj stolicy.
A ja świécący od ciągłego grzmota
Leżałem. — Zbroja była na mnie złota.

---

[1]) Obacz w Platonie pełną tajemnic ducha powieść o Herze Armeńczyku, na końcu dzieła p. t.: Rzeczpospolita. *(P. Aut.)*.

III.

I duch niewyszły z umarłego ciała
  Czuł jakąś dumę, że spokojnie leży;
A nad nim ziemia poruszona grzmiała
  I unosiły się duchy rycerzy.
Trójca widm mój stos ogniem zapalała,
  A ja czekałem, aż piorun uderzy;
Tak byłem pewny, że w owe rumiane
Grzmotem powietrze jak duch zmartwychwstanę.

IV.

Już przybliżały straszne czarownice
  Chwast zapalony i suche piołuny,
I moje blade oświéciwszy lice,
  Wrzeszcząc, posępne swe śpiéwały runy;
Kiedy je trzasły aż trzy błyskawice
  I trzy siarczane, ogniste pioruny;
I tak strzaskały płomienie czerwone,
Żem je nie martwe sądził, lecz zniknione.

V.

Wtenczas to dusza wystąpiła ze mnie,
  I o swe ciało już nie utroskana,
Ani za ciałem płacząca daremnie,
  Cała poddana pod wyroki Pana;
W Styxie, w Letejskiéj wodzie, albo w Niemnie
  Gotowa tracić rzeczy ludzkich miana,
Poszła: — a wiedzą tylko Wniebowzięci,
Czém jest moc czucia! a strata pamięci!

VI.

Tam, kędy dusze, jasne jak brylanty,
  Swe dobrowolne czyniły wybory,
Moc utrudzona biegiem Atalanty
  Szukała tylko szczęścia i pokory...
Orfeusz między ptaki muzykanty
  Szedł umęczony i na sercu chory;
A jam pomyślał, że mu śpiéwem będzie
Składać i skrzydła rozszerzać łabędzie.

VII.

Ulisses poszedł w prostego oracza,
  Aby odpoczął po swych wędrowaniach.
Tak ludziom Pan Bóg zmęczonym wybacza!
  I odpoczywać daje w zmartwychwstaniach!
Niech wyniszczony pracą nie rozpacza,
  Że mu na ogniach braknie i błyskaniach,
Ani też myśli, że jest upominek
Dla ducha większy jaki — nad spoczynek.

VIII.

Ja sam z harmonią obeznany młodą,
  Własnego ciała nie chciałem odmiany.
I siadłem smutny nad Letejską wodą,
  Nie usta moje myjąc, ale rany.
Odtąd już nigdy nad cielesną szkodą
  Nie płakał mój duch z ciała rozebrany;
Ani za wielką sobie brał wymowę
Otwierać tych ran usta purpurowe.

IX.

Wszakże letejską przykładając wodę
  Do ran — by pamięć boleści straciły,
Nie jedną poniósł na pamięci szkodę,
  Nie jeden obraz stracił senny, miły.
Jutrzenek greckich różaną pogodę
  Duchy mu nagle ręką zasłoniły,
A pokazały — jako świt daleki,
Umiłowaną odtąd — i na wieki!

X.

Ani gwiaździce, co się w morzach palą,
  A mają w świetle tęczowe kolory,
I są gwiazdami w ciemnicy pod falą
  Tak błyszczącymi, że mórz dziwotwory,
Delfiny w morzu swoje łuski skalą,
  I obchodzą je cicho jak upiory;
A płynąć wierzchem nad niemi nie śmieją,
Tak mocno w morzu te gwiazdy jaśnieją!

XI.

Ani tych gwiaździc jasność tajemnicza
Tak nie przeraża owe piérwopłody,
Jak piękność, którąm ja poznał z oblicza,
We mgłach Letejskiéj zapomnienia wody.
Nad nią dźwięk, duchów girlanda słowicza;
Pod nią, jakoby złote zejścia schody
Na świat daleki i zamglony wiodły,
Na kwiatki jasne pod ciemnymi jodły.

XII.

Z tych łąk i z tych puszcz, jakby wiatr poranny
Pieśnią zapraszał na ziemię szczęśliwą;
Szedłem... choć strzały Numidzkimi ranny...
Niepewny, czy śmierć? czy żywota dziwo?
Czy Irys, którą na świat znosi szklanny
Obłok? a tęcze świécące nad niwą
Tyle kolorów i słońc tyle mają,
Że ją nad ziemią na światłach trzymają?

XIII.

Ona przedemną do lesistych zacisz
Weszła... a harfy śpiéwały wiatrzane:
„Dobrze ją poznaj, bo wkrótce utracisz,
„Jak sny przez dobre duchy malowane;
„Żywot tysiącem żywotów zapłacisz;
„A zawsze jednę tę serdeczną ranę
„Przyciśniesz w piersi rękami obiema;
„Tę jednę smętną ranę: że Jéj nie ma!

XIV.

„Sławę ci damy, lecz tobie obrzydnie,
„Serce ci damy, ale spustoszeje.
„Przyjdzie do tego, że będziesz bezwstydnie
„Urągał w Bogu mającym nadzieję.“
Na to ja: niechaj me oczy rozwidnie
Rubinem, który z jéj ust światło leje,
A nie dbam o to, co mię daléj czeka:
Żywoty ducha, czy męki człowieka!

XV.

W jednę girlandę męki me uwiążę,
  Jak człowiek, który za tysiące czuje,
I tą girlandą, jako świata książę,
  Czoło uwieńczę i ukoronuję;
Niechajże na mnie idą duchy węże!
  Niech mię świat walczy otwarcie lub truje!
Niech mię ognistą otoczy otchłanią...
Choćby aż w piekło wiodła — pójdę za nią!

XVI.

Pamiętam ten głos i straszne zaklęcie,
  Na które odwrzasł mi duch: „to Królowa!"
I całe mego ducha wniebowzięcie
  Upadło... A wtém jasność przyszła nowa,
I w tém powietrzu jako w dyamencie
  Ukazał się wid... Piękność, córka *Słowa*,
Pani któregoś z ludów na północy,
Jaką judejscy widzieli prorocy...

XVII.

Słońce lecące trzymała nad czołem,
  A miesiąc srebrny pod nogami gniotła;
Szła nad lasami i leciała dołem,
  Nad chaty, jako komeciana miotła;
Tęcze ją ciągłém oskrzydlały kołem;
  W słońcu girlandy niby z kwiatów plotła,
I na powietrze rzucała niedbale
Perły, jaśminy i maki-korale.

XVIII.

Błękit się cały zdawał uśmiechniony,
  Pełny języków złotych, niby fala;
Jak atłas, który bierze różne tony
  I drżąc, swe hafty gwiaździste zapala:
Tak niebo za nią od północnéj strony,
  Gwiazdy swoimi łyskające zdala,
Różnym się dało gwiazdom pozłacanym
Ukazać... w ogniu od zorzy rumianym.

XIX.

Więc czego woda Letejska nie mogła,
To ona swojém zrobiła zjawieniem;
Że moja dusza na nowe się wzmogła
Loty, i nowym buchnęła płomieniem.
A jako pierwszy raz ciało przemogła
I uczyniła swoim wiernym cieniem....
Opowiem. Ja, Her, powalony grzmotem,
Nagle, gdzieś w puszczy, pod wieśniaczym płotem

XX.

Budzę się. — Straszna nademną kobiéta
„Śpiéwała swoje czarodziejskie runy.
„Ojczyzna twoja, wrzeszczała, zabita;
„Ja jedna żywa... A ty zamiast truny
„Miałeś mój żywot. Popiołem nakryta
„I zapłodniona przez proch i piołuny
„Wydałam ciebie, abyś był mścicielem!
„Synu popiołów, nazwany *Popielem*.

XXI.

„Sam jeden jesteś, ale cię przymioty
Ojców napełnią... a ja dam dwa duchy:
„Na prawo stanie'ć jeden Anioł złoty,
„Na lewo jeden z krwi i zawieruchy;
„Ci dwaj, ty trzeci, i mój głos jak grzmoty
„Pędzący w zemstę.“ To mówiąc, pieluchy
Moje chwytała, i trzęsąc nad głową,
Rzucała dzieckiem, jak skrą piorunową.

XXII.

Jeszczem nie dorósł, a już karmem duszy
Zemsta mi była, a nauką zdrada.
Często bywało, że ktoś włos mi ruszy
I we śnie do mnie jak anioł zagada;
Gdy spojrzę, liść się tylko zawieruszy,
I w kształt złotego widma wstaje, pada,
Czasem na moję pierś tumanem runie,
Ręka mi zadrży, nóż się sam wysunie.

XXIII.

O! pierwsze mego ducha nawalnice!
  Jakże wy straszne wstajecie w pamięci!
Widzę tę straszną krew jak błyskawicę,
  W której się mój duch niby gołąb kręci;
Dziś, nieraz, kiedy w czarną okolicę
  I w puszczę wejdę, to mię coś tak smęci,
Że radbym własne wyrywał wnętrzności!
Albo u bolów swych prosił litości!

XXIV.

Do gwiaździc morskich tajemniczéj jaśni
  Porównywałem to ludu zjawienie,
Który żył w chatach próżen wszelkiéj waśni,
  A miał z jabłoni swój napój i cienie.
Królowie jemu panowali właśni;
  Cudowne jakieś Lecha pokolenie!
Mające w sobie całe Polski *Słowo*,
I moc, i rózgę cudów Mojżeszową.

XXV.

Teraz wiém, jako duch pod ziemią widzi,
  A w ślepym często ten cud ujrzysz dziadu,
Którego wiejski ci pies nienawidzi,
  Żórawianemu gdy podobne stadu
Za nim się wloką duchy; świat zeń szydzi,
  Ale go chłopek czuje królem gadu;
I wié, że na te źrenicy blachmany
Bije świat duchów tęczą malowany.

XXVI.

Te oczy ręką zasłonione bożą
  Czasem pod ziemią idą złotą żyłą,
Aż im się ciemne kurhany otworzą,
  Jak gdyby słońce pod ziemią świéciło.
Blachy się złote na wzrok ludzki srożą!
  Proch ludzki wstaje pod wziętą mogiłą,
I w kształt człowieka znowu się układa,
Na nogi wstaje i w proch się rozpada.

XXVII.

Oni to widzą... właśnie... gdy gromada
  Urąga... śledzą zamyślone czoło.
Ta mądrość, która cały świat spowiada,
  Dawniéj perłową wieńczona jemiołą,
Z królem na tronie lub przy królu siada
  I w płomieniste się upiorów koło
Zamyka: nie czar... nie próżna guślarka,
Lecz mądrość — chorób duchowych lekarka.

XXVIII.

Więc wkoło... wioski w wieńce kaliniane
  Strojne i Roki poświęcone duchom,
Mogiły kozom i pasterzom znane,
  Trzody dziwiące się ptaków rozruchom,
Mogiły dawne! dawno zapomniane!
  Dawno oddane mgłom i zawieruchom!
Z darni odarte.....

XXIX.

Czasami tylko jaki zwyczaj dawny
  Indyjski nakształt złotego upiora
W lasach powstanie... Kiedy rycerz sławny
  Umrze... to lud go grzebie jak Hektora:
Dwanaście koni bije, i krwią spławny
  Stos... gdzieś pod lasem... pod mgłami wieczora,
Ubrany w rogi jelenie i w głowy,
Zamienia w ogień... i w słup purpurowy.

XXX.

Wieszcze się jawią w ogniu i guślarze
  Przepowiadają przyszły świat nieznany.
Co w pieśni stworzą, to się wraz pokaże
  Przyprowadzone na świat przez szatany.
Każdy wiek wielkie miał prawdy ołtarze,
  Cześć ducha, ducha namiętne kapłany,
Którzy, wyroki uprzedzając boże,
Dla ciał... nie krzyże mieli... ale noże.

XXXI.

Wzgarda je wielka ku ciału paliła,
A duch upajał jak sok bachusowy.
Niejedna teraz Druidów mogiła,
Którą oplata w koło krzew różowy,
Kiedy ją słońca strzała wskróś przeszyła,
I przeszył ogień zorzy brylantowy....
Gdy wejdziesz w ciemne granitowe bramy,
Pokaże ci swe słońca: krwawe plamy —

XXXII.

A jednak ty się nie cofasz przed niemi?
A choćby miesiąc był, nie czujesz trwogi?
Ale jak żóraw skrzydłami ciężkimi
Próbujesz nowéj po błękitach drogi.
Między głazami dawniéj czerwonymi,
Między miesiącem i polnymi głogi
Srebrne się ciągle jakieś wstęgi snują,
Po których myśli jak sny przelatują.

XXXIII.

W takich kościołach, Duch z wysokiém czołem
Sądząc, że nigdy świat się nie odmieni,
Obecność wtenczas mię dręczącą kląłem,
Nogą trącałem czoła tych kamieni:
Padajcie, głazy! przed ducha aniołem!
Krzyczałem: — jako gromada jeleni
Przed mą niszczącą myślą uciekajcie!
Trupy grobowców tych... gińcie lub wstajcie!

XXXIV.

I nic! Urągał mi ten świat cichością
I biegiem, co jak żółw za słońcem chodzi.
Nad południowych gdzieś łąk zielonością...
Bom przewędrował kraj, który mię rodzi...
Inaczéj z trupów postępował kością
Lud, który palił umarłego w łodzi
I w mgieł krainę posyłał gościnną
Z umiłowaną kochanką niewinną...

XXXV.

Ja, syn wyrzniętych ludów... ja, istota
Nieznana wtenczas na ziemi nikomu...
Gdy obaczyłem, jako ta łódź złota
Lepszą się zdaje od ziemskiego domu,
Jak płomień pod nią huczy i druzgota
Garście suchego liścia, pęki łomu,
A na te śpiące, we śnie rozkochane,
Rzuca swe straszne jutrzenki różane:

XXXVI.

Gdym to obaczył — a wysłuchał śpiéwu
Dziewicy (grobów smętnego słowika),
Która złotemu się téj łodzi drzewu
Tak wydawała, jak kwiat słonecznika,
A już od krain zaświatnych powiewu
Brała głos nowy i światłość płomyka...
Już tchem... już ogniem była... już bez ciała...
Już mgłą... a jeszcze za światem śpiéwała: —

XXXVII.

Gdym to obaczył... tom kupcowi temu
(Bo kupiec jakiś to był, który gorzał)
Zazdrościł drogi... sam nie wiedząc czemu...
Drżąc, abym kiedyś duchem nie zubożał,
Skrzydeł nie stracił, które ku złotemu
Światowi niosą, jak lew nie zesrożał,
Nie szedł na tamten świat z szatana trwogą,
Jak duch... na czarnéj łodzi... bez nikogo....

XXXVIII.

Przerażon w lasy wróciłem rodzinne,
A w krótce wziął mię Lech król za pachołka.
Jam oczy groźne miał i ręce czynne,
I uwiązany cel do wież wierzchołka.
Trucizny wlano w to serce niewinne!
A zemsta, jako piérwsza apostołka,
Ciągle kłóciła mię z ludźmi i z losem...
A głos jéj czasem nie był — ludzkim głosem.

XXXIX.

Więc ile razy posłucham jéj rady,
(A rada była dla ducha fatalna)
To widzę, że mi na świecie zawady
Usuwa jakaś ręka niewidzialna.
Na działającą moc patrzałem blady,
Sądząc, że biała mi orlica skalna
Zlatuje na hełm... usiada na czele...
I drogę moję piorunami ściele.

XL.

Żądałem wodzem być... i wraz dwa wodze
Krwi rozszalonéj piorun w mózg uderzył.
Ja, co bywało za stadami chodzę,
Kiedym się z duchy ciemnymi sprzymierzył,
Teraz tak straszny!... że komu Ja szkodzę,
Choćbym się tylko nań myślą zamierzył...
Choćbym oczyma uderzył po stali...
W pancerz... i w serce ruszył — wnet się wali.

XLI.

I zczerniał cały świat: a Ja, syn borów,
Patrzałem jako na las do wycięcia.
Z pod przyłbic wielkich bladość mię upiorów
Trwożyła. Byłem pierwszą ręką księcia.
Przed sobą dalszych nie widziałem torów,
Ani dalszego już celu do wzięcia.
W zamku cedrowym nad gopłową wodą
Byłem najpiérwszym złotym wojewodą...

XLII.

Tu, patrz! jak straszne są duchowe sprawy!
Jakie okropne zastawiają sidła!
Raz, gdy z dalekiéj wracałem wyprawy,
A piorunów się różne malowidła
Przez długi deszczu włos świéciły krwawy,
Ja i rycerze ujrzeliśmy skrzydła
Orłów pobitych... w tak wielkiéj ilości,
Jak na cmentarzach gdzieś Germanów kości.

XLIII.

Piérze leżało zmokłe... lecz niektóre
Skrzydła sterczały z piasku takiéj miary!
Że gdym na dzidę wziął i podniósł w górę
Jedno... to jako wielki upiór szary
Wierzchem o ciemną kity méj purpurę
Dostało — stając leniwe z moczary:
Niby wezwany czarodziejstwem runów,
Duch śpiący w błocie przy blasku piorunów.

XLIV

Taka w tym skrzydle była tajemnica
I ludzkość! żem się spytał: — powiédz, sępie,
Czy was na wiatrach paląc błyskawica,
Rzuciła w takie nic... i w takie strzępie?
Czyście się bili o państwo księżyca,
Idąc na siebie zastęp przy zastępie?...
Czyście tu jaki bój toczyli krwawy
O ścierw?... czy tylko gryźli się dla sławy?!

XLV.

Powiédz, jak nazwać to pamiętne pole,
Dziś od błyskawic czerwone rumianych?
Gdzie tyle górnych duchów dziś na dole!
I tyle skrzydeł leży połamanych!
Tom rzekł, w nieszczęścia nauczony szkole
Litować się łez i mogił nieznanych.
A wtém ujrzałem, że rycerstwo bierze
Skrzydła i wtyka sobie za pancerze.

XLVI.

Widok ten nowy, wspaniały!... czas późny!...
Błyskawic blaski wszędy!.... wojsko w dali;
Gdzie każdy człowiek był, jak upior, groźny,
Skrzydlaty, w czarnéj rozświeconéj stali.
Wszystko tak straszne, żem dreszcz uczuł mroźny
I krzyknął: Sława Bohu! świat się wali!
Ja piérwszy moją piersią go roztrącę!
Ja, duch! a za mną wojsko latające.

XLVII.

To mówiąc, skrzydło zmoczone i krwawe
  Przypiąłem sobie tak, że hełm nakryło.
Ja biorąc skrzydła, za cel brałem sławę;
  A oni chcieli sobie lotu siłą
Pomóc do domów... O! jakże ciekawe
  Powody, które rządzą ciała bryłą!
O! jak są różne przed prawdy mistrzynią
Orły, choć wszystkie jeden hałas czynią!

XLVIII.

I lecieliśmy do domu weseli,
  Mijając drzewa i sady i chaty.
Rycerze moi przed zamkiem stanęli;
  Jam wszedł jak Anioł czarny i skrzydlaty.
Karmazyn, który świat od króla dzieli,
  Cały się w gwiazdy rozleciał i w kwiaty.
Pokazał się król w odblaskach rubinu,
Spojrzał i berło upuścił z bursztynu.

XLIX.

Widziałem: jako Łaskawość pogodna,
  Jaskółka siwych włosów, Dobroć cicha
Znikła... A nagle twarz trupia i chłodna
  Zmroziła mię tak, żem stał nakształt mnicha,
Spuściwszy oczy, patrząc w siebie do dna,
  Żali zwycięstwa mego nagła pycha
Jakich tajemnych myśli nie wywiodła
Na jaw, i króla w źrenicę nie bodła?...

L.

A on, na moje skrzydła, na te pióra
  Patrząc, (które blask wieczorny zapalił
I okrwawiła tronowa purpura)
  Pobladł i berłem mię wskazawszy, zwalił.
Wzięto mię. Dusza ma czarna, ponura,
  Już mi radziła, abym się ocalił
Wtenczas, gdy tłumy stały przerażone,
Z mieczem na króla wpadłszy i koronę.

LI.

Alem się w jednéj błyskawicy gniewu
  Na taki wielki czyn nie śmiał posunąć.
Wolałem, że mi jak wielkiemu drzewu
  Przyjdzie tu głową zachwiać się i runąć;
Niż z domowego ciemnéj krwi rozlewu
  Korzystać, mój miecz w łono starca wsunąć,
I wyjść z wyjętym na słońce orężem,
Coby się zdawał nie bronią, lecz wężem.

LII.

Wzięto mię... a ja w podziemnéj ciemnicy,
  Sam do filarów przykuty kamiennych,
Jako pający, ciemni robotnicy,
  Zacząłem z myśli gryzących, bezsennych
Snuć długie pasma. Widmo mi przyłbicy,
  Nakryte orłów skrzydłami płomiennych,
Pokazywało się. Naramiennice
Osiadły blade, ścięte Meduźnice.

LIII.

Dusza tak była silna i bogata!
  I taką wielką rządzicielką kości,
Że ciągle echem Duchowego świata
  Gadała; ciągle z jego okropności,
Z tych głębin, gdzie ćma niewidzialnych lata
  Jasnoczerwonych słów, sztyletowości
Szepcących... brała straszną siłę sztychu,
I tę jak piorun ciskała po cichu.

LIV.

Kto myślał, że mnie więzieniem uciszał
  I goił burze ducha, ten się mylił.
Z ducha mi ciągle szedł grzmot, a Lech słyszał
  I czuł, żem ja go gryzł, do ziemi chylił.
Chociażem wtenczas tylko w sobie dyszał,
  A żadnéj mocy ducha nie wysilił;
Gromadą duchów zarządzałem ciemną,
I te, jak sługi moje, były ze mną.

LV.

O! wy, którzy się nigdy nie spotkacie
 Z prawdziwą twarzą waszego tu stróża!
Dla których żywot widzialny jest w chacie,
 A Bóg w błękitach próżnych się zanurza;
Dla was są próżne tych czynów postacie,
 Dla innych... ducha ton i straszna burza,
Owiewająca moję pieśń żałobną,
Z twarzy do innych rapsodów podobną.

LVI.

Raz o północy, kiedym dyszał gniewny
 I sądził, że tu jakaś mara biała...
A tam... kształt jakiś czarny i niepewny...
 Ówdzie zaś gwiazda biegła i spojrzała;
Ujrzałem lice przecudne królewnéj,
 Któréj z rąk blasku różanego strzała
Przez proch więzienia i przez pajęczyny
Szła, zamieniwszy jéj ręce w rubiny.

LVII.

Splecione do nóg złociste jéj włosy
 Wlokły się prawie po głazów zieleni,
Gdzie zakończone jak dwa złote kłosy,
 Kwiatkami z drogich błyszczących kamieni.
Te kwiatki, rzekłbyś, że dwa żywe Losy
 Twarzą aniołów ze światłych pierścieni
Patrzą się w górę, uczepione skrycie
Do nóg idącéj falą Amfitrycie.

LVIII.

Te kwiaty z żywych klejnotów się jawią
 W pamięci mojéj przed rysy innymi.
Reszta mgłą. A mgły moje tak ją krwawią,
 Żem nie spróbował o niéj śnić na ziemi;
Lecz szaty jeden fałd wiecznie mi stawią
 W oczach pamięci duchy... i z białymi
Nóżkami do mnie te kwiaty idące,
Jak dwa tęczowe na ziemi miesiące.

LIX.

A ja gdzieś w głębi, do granitnéj nory
Schowany, niby kłąb piekielnych duchów
Wyzwany światłem w ohydne kolory,
Jak zbiorowisko członków i łańcuchów,
Skrzydły zjeżony, jak piekielne twory,
(Które my znamy na ziemi z posłuchów,
Słysząc, że niegdyś rodziła natura
Smoki w płomienie ubrane i w pióra)...

LX.

Ja, pomny na to, żem tronowi służył
A doznał zdrady, choc nie miałem winy,
Sądząc, że mi się Lech aż krwią zadłużył,
Dotknięty okiem królewskiéj dziewczyny,
Aż skrzydłam na nią moje brudne wzburzył
I z piór pokazał oczy, cały siny...
Z takiém sił moich gniewnych natężeniem,
Żem ją mógł wzrokiem spalić jak płomieniem.

LXI

Biedne my duchy! Zawsze z jednéj schedy
Brać musim nasze co piękniejsze szaty.
Oto błyszczący kłem smok Andromedy!
Oto ów drugi straszny wąż skrzydlaty!
Który na słońce idzie w księgach Edy,
I gwiazdy... niebios lazurowych kwiaty...
Ogonem zbiera, w swe czerwone płuca
Wchłania... i z ogniem serdecznym wyrzuca.

LXII.

Na nią ja straszny, piekielny i mocny,
A tém straszniejszy, żem był nieszczęśliwy,
Wyiskrzył cały oczu blask północny,
Więcéj wtenczas jéj, niż wolności chciwy.
Jak mi ów czysty duch wtenczas pomocny
Otworzył wrota? (cichością oliwy
Do zamilczenia jęków przymuszone)
Nie wiém, to wszystko poszło w mgły czerwone.

LXIII.

On jednak, ten duch, nie wiedząc co czyni,
Jedném niebaczném słowem pchnął mię w górę.
Ona — ta dziwna na harfach mistrzyni,
Mająca duchów niebieskich naturę,
Czytała w jakiéjś Sybillijnéj skrzyni,
(Może przed wieki będąca za córę
Rzymianom), że jéj koronę na głowie
Zerwą na koniach lecący orłowie.

LXIV.

A ten sen dawny tak jasno wyrzucił
Z drugiego ciała swoje dawne twarze,
Że ojcu rzekła; a ojciec zasmucił
Czoła... i miał już przywołać guślarze
Sny tłómaczące. Gdym ja nagle wrócił —
Skrzydlaty orzeł — i moje husarze
Przed zamkiem rzędy długimi ustawił,
I sen jak w jasnéj błyskawicy zjawił.

LXV.

To mi nieszczęsna powiedziała pani,
Jakoby sama siebie winująca,
Że wtenczas śniła, gdy w skrzydła ubrani
Spełnialiśmy sen przy blasku miesiąca
W ogniu piorunów. Lecz ciemni szatani,
Których moc jedną mocą ludzi trąca,
Sprawili, że snu na nią malowidła,
Na orły spadła rzeź — a na mnie skrzydła.

PIEŚŃ II.

I.

Księżyc był pełny i gwiazdy świeczniki
Świeciły jasno na niebios lazurze,
W trawach śpiéwały skrzeczki i świerszczyki,
Zamek stał cichy na piaskowéj górze:

Zimno północne i traw zapach dziki
I serce smętnie bijące w naturze
Dwa razy mocniéj zagadało do mnie,
Gdy ona przy mnie... i koń był koło mnie.

II.

Na jednym ręku niosła swe warkocze;
A drugą, północ wskazała odludną.
Na to ja rzekłem: na północ nie wkroczę,
Bo tam jednemu przeciw burzom trudno;
Lecz w koniu do krwi ostrogi umoczę,
I będę pędził aż drugą tak cudną
Jak ty pokażą mi ziemskie narody,
Choćby królową ognia albo wody!

III.

Jeśli nie... wrócę jak straszydło krwawe.
A ty pamiętaj, jaki stąd ucieka
Cień obalony miesiącem na trawę
Z konia, ze skrzydeł orlich i z człowieka.
Miesiąc mu daje tę straszną postawę,
Wiatr stąd wypędza, a nieszczęście wścieka,
A jeśli Pan Bóg go wichrem oszczędzi,
Może napowrót grom go tu przypędzi.

IV.

To mówiąc, ręką pogroziłem światu,
A tém wścieklejszy, że sam i bezsilny.
Gwiazdy na polach czystego bławatu
Oczy otwarte i słuch miały pilny.
Na wschodzie wstęga smętnego szkarłatu
Świéciła..., szarym równinom omylny
Kształt nadawając, że pod owe zorze
Tak się zdawały płynące, jak morze.

V.

Dyana, jak liść wierzby — już zielona,
Już jako róży liść różano-złota,

W ognistych się mgieł zanurzała łona,
Zmienna, jak w sercu młodzieńczém tęsknota,
A jam skrzydlate obrócił ramiona
Wschodowi, chciwy nowego żywota,
I uciekałem, jak duch z bladą twarzą,
Więcéj przed myślą moją, niż przed strażą.

VI.

Dzisiaj przez ducha cały świat odkryty,
Cały wiadomy. Wtedy tajemniczy
Jak upior złoty, a we krwi umyty,
Złotem cię dziwu wabił ku zdobyczy,
A krwią ohydzał wszelki czar zdobyty,
Krzycząc, jak dziecko przydławione krzyczy,
Gdyś go ucisnął; a tarczy błyśnieniem
Takiś wywołał strach, jak objawieniem.

VII.

Po ciemnych puszczach, gdziem się błąkał — gnana
Wichrami straszna przyszłości orlica!
Kto mię napotkał, myślał że szatana!
Bo wszystko widział wprzód, niż moje lica,
Zbroję i skrzydła i młot u kolana
I dzidę, która gorzała jak świéca
Między sosnami, samych niebios blisko,
Miedziane mając ostrze, jak ognisko.

VIII.

Na jednym pustym śród sosen cmętarzu
Spotkałem smętne i dzikie Germany...
O! duchu! dawnéj przeszłości malarzu!
Ty jeszcze widzisz te sosnowe ściany,
Wozy, ogniska, twarze przy rozżarzu,
I rzymskie z białych piszczeli kurhany;
A na nich orły wydarte legionom,
Podobne lampom złotym i koronom.

IX.

Ty jeszcze widzisz i dziś pytasz siebie,
  Kto ci przyczynił głosu i języka?
Liczni, krzyknąłem, jak gwiazdy na niebie!
  Straszni jak piorun, gdy niebo odmyka!
Przez was świat wytnę! pod wami pogrzebię!
  Ja, syn popiołów, ojciec mogilnika!
Urra ha!... Gwiazdę pokazałem białą
Dnia wschodzącego lasom. Wszystko wstało!...

X.

Wszystko!... Dziesiątki całe groźnych kroci
  Wstały gotowe na rzeź uraganną...
Wszystko!... Na boku tylko śród paproci
  Białością swoją mnie zadziwił szklanną
Kształt jakiś, śpiący, cudownéj dobroci
  I ciszy, zorzą oświecony ranną,
Zwalony w dzikich trawach, przy strumieniu,
Posag... w jutrzenki światłach jak w płomieniu...

XI.

Rzekłem więc: Czy to jaka jest królowa
  Wyrzniętych ludów? nieskalanéj bieli?
Którą tu smętnie czarujące słowa
  Na fiołkowéj uśpiły pościeli?...
Wtém barbarzyniec ją tak ciął, że głowa
  Jak lampa, która ciemność rozweseli,
Skoczyła... chwilę na błękicie trwając,
Jak gwiazda... potém błysnęła spadając...

XII.

A ja, zawrzawszy gniewem... i brzeszczota
  Dobywszy... tego barbarzyńca w czoło
Tnę tak, że jako grenada się złota
  Rozwalił ów łeb... tu połą... tam połą...
A ja ów zegar widzący żywota
  Z tajemnicami, żył czerwonych zioło,
Idące jeszcze wszystkich sprężyn ruchy,
Porównywałem dwie głów, jak dwa duchy.

XIII.

Ledwom uczynił to... nowe mi moce,
Zapewne statuy zwołane zemszczeniem,
Przybiegły w pomoc... tak, że chociaż proce
Cisnęły na mnie za ów mord kamieniem;
Jam był jak piorun, gdy lasy druzgoce!
I napełniłem ten lud przerażeniem,
A w przerażeniu takim wielkim żarem,
Że mię ukochał i nazwał — Kiejzarem.

XIV.

Dziś tam głęboki sen w téj puszczy lata!
A może jeszcze posąg biały leży!
A może jaka nadistrowa chata
Mówi powiastkę moję... i nie wierzy!...
Ani wié, jako na zniszczenie świata
Posąg zemszczony przysłał mi rycerzy?
I obaczywszy mnie jak burzę ciemną...
Duchy gwiażdżące zawiesił nademną.

XV.

Nie wiedzą ludzie, przez jakie ja tony,
Przez jakie czyny, przez jakie męczarnie
Zebrałem owe duchów miliony?
Które, gdy wezwę, to mię strach ogarnie!
Bo ze słońc różnych są i z różnéj strony...
Jako girlandy w chmurach i latarnie
Pokazują się, kiedy sam nie zdołam
Czynić, a one na pomoc przywołam.

XVI.

Z barbarzyńcami... sam... na uroczyskach...
Człowiek... Duch... pilnie uważałem cuda,
Które się jawią przy ludów kołyskach,
A nikną, gdy się szczep na drzewie uda,
Lecz zaszczepienie przy piorunnych błyskach
Odbyte, a strach w powietrzu i nuda,
Które panują takim chwilom świata,
Trwożą... jak pianie kurów u Piłata...

XVII.

Zda się, że ciągle ptaki ranne pieją...
  A pianie smutne jest, jak krzyk dzieciny;
Przedrannym strachem niebiosa ciemnieją,
  Więcéj wychodzi gwiazd na błękit siny...
Ludzie przy ogniach miast swe ręce grzeją,
  I przerażeni cichością godziny,
Gotowi zaprzéć się bożego ducha,
Obzierają się jak zbójce — czy słucha?

XVIII.

Jam to czuł, mimo że krew moja biła
  Jak piorun w żyły, że hełm od niéj dzwonił;
Kita się ogniem czerwonym paliła,
  A młot skry takie jak miesiące ronił;
Koń gadał... dzida rosła... szabla żyła...
  Wiatry dawały rady... obłok bronił...
O złym dniu wrzaski ostrzegały krucze...
O dobrym złote żórawiane klucze.

XIX.

Przez wszystkie władze ziemskie ostrzegany
  Wpadłem na ziemię moję nieszczęśliwą;
Lech nie żył; a lud jego zabijany
  W królewną patrzał, jako w gwiazdę żywą..
Ona też pancerz złoty, malowany
  Kwiaty różnymi, jak słoneczne dziwo,
Pokazywała w strasznych walk kurzawie,
Podobna białéj Anhelicy — sławie.

XX.

Koło niéj ciągły tabor z żywych ludzi,
  Zbrój czarnych, mieczów, tarcz; nad nią sztandary.
Ilekroć wieczór mgłami się zabrudzi,
  To jako ptaki nocne albo mary
Wstają po bagnach Wenedy i Czudzi,
  Żółte Połowce, nadmorskie Tatary,
I w twarze nasze strzał tysiącem brzęczą:
A nic, gdy biją... straszniejsi, gdy jęczą.

XXI.

Jeszcze pamiętam ten wrzask i to wycie
  Różnych narodów i różnych języków...
Gdy te Ludyszcza przy Wisły korycie
  Przyparłem do fal falą moich szyków.
Aż mi o jasnym wyprawili świcie
  Najstarszych z wojska swego tysiączników,
Prosząc o pokój i o ziemi bryłę
Taką, że ledwo dla nich — na mogiłę.

XXII.

Ja wtedy pod lwią skórą rudozłotą,
  Siedząc na prostéj powózce Germanów,
Rzekłem: niech pierwéj dziewczęta rozplotą
  Warkocze... córki najpierwszych Supanów,
Niech sama Wanda płaczem i tęsknotą
  Zmiękczona, przyjdzie nam do roztruchanów
Nalewać wina... Niech ją złotowłosą
Germany moje na tarczach podniosą.

XXIII.

A gdy przez ludy dzikie okrzykniona
  Królową, z tarczy mosiężnéj księżyca
Zaśpiéwa nam pieśń na nowe plemiona!
  I nasze dzikie dusze pozachwyca!
Ja wtenczas drżące otworzę ramiona,
  Aby zleciała w nie jak gołębica
I wyprosiła usty różanymi:
Co chce!? niebiosa całe — i pół ziemi...?!

XXIV.

Z tém stary Śwityn i Czerczak posłowie
  Odeszli. A mnie jéj postać, wprzód senna,
Zaczęła jaśnieć jako słońce w głowie,
  I coraz bardziéj jawić się płomienna.
Więc potém, kiedy ległem na wezgłowie,
  Cała mi w oczach ognista Gehenna
Błysnęła, ciągle piorunami pruta,
Ciemna, czerwona parami jak huta.

XXV.

Na piersiach darłem skórzane odzienie,
  Ale do łoża byłem jak przykuty.
Wtém ona weszła w te straszne płomienie,
  Jak duch tęczami różnymi osnuty;
Nad nią niby z gwiazd grających pierścienie
  Wiązały jednę pieśń na różne nuty...
Dzwoniące, cudne! jakieś gwiazdy śliczne,
Niby powietrzne narzędzia muzyczne.

XXVI.

Słysząc te głosy, z którymi dziewczyna
  Szła na mnie, z ciała mego wyleciałem.
A ona w ogniu czerwona i sina,
  Obracająca powietrznym chorałem,
Jako skrzydłami powietrznego młyna
  Kręcąc... przywiodła duch, że włosy rwałem,
Przez wszystkie jęki i tony i zmiany
Idący za nią w toń, jak zwaryowany.

XXVII.

Jeszcze noc była, a ja hełm na głowę
  Włożywszy, wsiadłem na koń, pędzę cwałem.
Pamiętam szare powietrze perłowe
  I zamek, wieży sterczący kawałem
Nad Wisłą, gdzie lud tę swoję królowę
  Otoczył ludzkim i ceglanym wałem.
Tam przyleciawszy, w róg mosiężny dzwonię,
Grzmię, aż mi wszystkie oderżały konie.

XXVIII.

Wychodzi siwy Śwityn Wojewoda,
  Ze snu czerwone przeciera źrenice.
Idź, rzekłem, bo mi słów wczorajszych szkoda,
  Za nadto ostre pokazałem lice;
Niech mi królowa wasza, jasna, młoda
  Naleje czary, podniesie przyłbicę,
A może łatwo ten rozkaz wykona:
Pieśń mi zaśpiéwać, paść w moje ramiona.

XXIX.

Nic nie rzekł Śwityn, lecz mię brzegiem wody
Prowadził, kędy stał tłum ludu mały.
Rybacy srebrne trzymali niewody;
Kilka świéc (choć już ranek błyszczał biały)
Nieśli kapłani, z lutniami Rapsody
Siedli na zrębie jednéj małéj skały,
Pod bladą wierzbą, mgłą ranną okryci.
Na wzgórzach w zmroku zapalano wici.

XXX.

Na łące dziewy i panny służebne
Ujrzałem, tam i ów się krzątające.
Te niosły kwiaty, kadzielnice srebrne,
Dyadematów złotych półmiesiące;
Inne bławatki do wieńca potrzebne
Zbierały w trawach, kolorów tysiące
Rzucając w srebrne powietrze, w mgły szare,
Niby wiślanym duchom na ofiarę.

XXXI.

Dawny świat! Obraz dawny wywoływam!
Lecz ileż razy różaność przedwschodnia
I kwiaty, które mgłą okryte zrywam,
I leśne ptaszki budzące się do dnia,
I tęcze, których do myśli używam,
Gdy się zapali mój duch jak pochodnia,
Przypominały obraz on tak rzewny!...
Ubranie martwéj na łąkach królewnéj.

XXXII.

Jak miesiąc była, kiedy z niego zetrze
Pierwszą pozłotę słońce w dzień jesieni,
A on się topi w błękitne powietrze
I lekko swego czoła zarumieni,
I nad girlandą lasów, gdzie na wietrze
Drżą liście złote przy liściach z płomieni,
Pełny, okrągły, blady się przemienia
W mgłę... jak cudowna twarz srebrnego cienia...

XXXIII.

Taka jéj bladość! nieco ku błękitom
  Nachylona już zgonu okropnością,
Takie ust perły! Wisły Amfitrytom
  Z upiorną niby odśmiechnione złością.
Zresztą, spokojnie się onym kobiétom
  Dawała stroić modrzewiów ciemnością,
Koroną złotą, wieńcami z bursztynu —
A strach powiększał trupa w oczach gminu...

XXXIV.

A cóż dopiero! gdy ja groźne lice
  Odkryłem, z hełmu spojrzałem surowo
I połamawszy miecza, w błyskawicę
  Cisnąłem jego kawałki nad głową;
Nademną ducha mrok i złote świéce
  Miecza nad kitą moją purpurową,
Jak zawierucha olimpijska, wstały —
Mój duch na hełmie stanął... w ogniach cały.

XXXV.

Krzyk pierwszy, który z ust wyszedł zwierzęcy,
  Już niepodobny krzykowi człowieka,
Zbudził Germanów całe sto tysięcy:
  I szli jak morze huczące zdaleka.
Stos wystawiłem okropny, książęcy!
  Taki wysoki, że wiślana rzeka
Na bladych trupów zatrzymana murze
Stanęła — cała jak upior w purpurze.

XXXVI.

Lecz piérwéj nim ją oddałem płomieniom,
  O! ileż strasznych słyszała lamentów!
„O! włosy! nie dam ja waszym pierścieniom
  W ogniu z wiślanych oschnąć dyamentów!
Każę podziemnym zamienić się cieniom
  W gmachy filarów pełne i zakrętów,
W alabastrowéj cię położę trumnie,
Każę strzéc wieków śpiewaczce — kolumnie.

XXXVII.

Zbalsamowaną, wiecznym zdjętą spaniem
  Cicho na białych atłasach położę;
Sam przyjdę, jak lew legnę, i wzdychaniem
  Śmiertelném twój sen spokojny zatrwożę.
Więc może wstaniesz? i pocałowaniem
  Dasz mi ocknienia światłości i zorze?
I słuch mi weźmiesz w tych podziemnych cieniach
Coś czytająca wiecznie na kamieniach?

XXXVIII.

W kraju bez słońca, bez gwiazd i księżyca,
  Gdzie wiecznie smętno, posępnie i głucho;
Ja, rycerz, jako śpiąca nawałnica
  Z otwartą, szklaną źrenicą i suchą;
A ty, jak moja smętna czytelnica,
  Perła po perle ton lejąca w ucho,
Taka wyrazów i pieśni mistrzyni,
Że pieśń z tysiąca lat... chwilę... uczyni![4]

XXXIX.

Tom rzekł, pośmiertne przeczuwając rzeczy
  I głosy. I znów zajęty pożarem,
Chciałem ją złożyć na gwiaździcach z mieczy,
  Upoić krwawym rycerskim sztandarem!
I z onéj ziemi, gdzie ciało kaleczy
  Słońce niewczesnym i nieludzkim skwarem,
Uciec w Islandów wyspę zamrożoną,
Ogniami siedmiu wulkanów czerwoną.

XL.

Tam ją, krzyczałem, gdzieś na lodowiskach
  Złożę, jako kwiat ujęty w krysztale!
I przy wulkanów rubinowych błyskach
  Opłomienioną posadzę na skale,
A sam z dzikimi orły na urwiskach
  Dzikszy niż burze! straszniejszy niż fale!
Gdy góry będą swoje ognie zionąć,
Mrozom się dam zgryźć! i ogniom pochłonąć!

XLI.

Tak mój duch w kształty się piramidalne
  Wyrzucał, dawną tryskając naturą;
Tak nowe ciała łańcuchy fatalne
  Targał i piorun zawsze miał pod chmurą.
Potém więc Roki się zabrały walne
  I mnie okryły Lechową purpurą.
Lud cały strachem ohydnie znikczemniał;
Jam siadł na tronie, zmroczył się i ściemniał.

XLII.

I któżby to śmiał w księgi ludzkie włożyć
  Dla sławy marnéj a nie dla spowiedzi?
Postanowiłem niebiosa zatrwożyć,
  Uderzyć w niebo tak jak w tarczę z miedzi,
Zbrodniami przedrzeć błękit i otworzyć,
  I kolumnami praw, na których siedzi
Anioł żywota, zatrząść tak z posady,
Aż się pokaże Bóg w niebiosach — blady.

XLIII.

A nie Bóg nad tą żywota fortecą
  Zgwałconą twarzy pokaże, to przecie
Komety złote na niebie przylecą
  I bliżéj oblicz ukażą na świecie,
Nad zamkiem swoje ogony zaniecą
  Jak widma, jedno i drugie i trzecie...
Jeśli nie zlęknę się a krew mię splami...
Kto wié!?... jak słońca przyjdą tysiącami!

XLIV.

Niebiosa pełne widziadeł i twarzy
  Słonecznych! może z krwawymi oczyma!
A tu koło mnie powietrze cmentarzy
  I ciągła burza, wiatr, ognie i zima,
Wichry skrwawione, głos trupów z kościarzy,
  Słońce poblednie, księżyc się zatrzyma,
Gwiazda zajęczy jaka lub zaszczeka?
Wszystko pokaże, że dba o człowieka!...

XLV.

Jeśli nie, rzekłem, jeśli z tym motłochem
  Postąpię sobie jak król zwaryowany?
A żywot jak wąż schowa się pod lochem,
  Jak gdyby nie czuł w sobie żadnéj rany?
To ludzie są proch! i ja jestem prochem,
  Na jeden tu dzień jak miecz ukowany!
A tém straszniejszy, że go własne siły
Nie duchów ręce z ziemi wyrzuciły.

XLVI.

Zaledwie ta myśl poczęła się we mnie,
  Wzrok zaraz wydał ją jasny i suchy,
Wchodzący w myśli ludzkie potajemnie,
  Aby tam widział w kościach, czy są duchy?
Więc naprzód Czerczak u nóg mi nikczemnie
  Proszący o łeb pod katów obuchy
Poszedł, a za nim jacyś dwaj prorocy,
Których dziś krwawe łby widuję w nocy.

XLVII.

Za wojewodą cały dwór i sługi
  Posłałem, niby z nim będące w zmowach.
I z wież patrzałem na ten łańcuch długi
  Idących na śmierć z świécami, w okowach.
A niebios! niebios błękitne framugi,
  Jakby o zdjętych nie wiedziały głowach,
Patrzały na to ciche, obojętne!
Mnie się wszelako zdawało, że smętne!

XLVIII.

Ogromny szereg tych wymordowanych
  Poszedł. Myślałem, że duchy zobaczę
Gdzieś do łabędzi podobne rumianych,
  Od których jęczy powietrze i płacze;
Albo, że ze ścian ogniem zapisanych
  Wyjdą pająki z ognia... straszne tkacze!
Na ściennych ogniach się swych zakołyszą
I wyrok jakiś ognisty napiszą!

XLIX.

Myślałem, że me noce niespokojne,
A dnie jak noce bez gwiazd będą czarne,
W ciemnościach jęki, albo chrzęsty zbrojne,
Tchnienia na czoło chłodne, albo parne! —
I nic!... ten straszny duch, któremu wojnę
Wydałem, dziecko zostawił bezkarne;
A ja podniosłem pierś dumną i twardą,
Gotów do końca walczyć z bożą wzgardą.

L.

Przez dawne oczy widzę to ohydne
Pierwszego ducha dzieło z czasów onych,
Gdy stepy całe, dziś w mogiłach widne,
Wzięły u ludu nazwisko Czerwonych...
Wtenczas ujrzano mię, że w ciele brzydnę
I biorę postać duchów utrapionych.
Ludzie myśleli, że mi gniją trzewa,
A jam był senny jak wąż, gdy poziewa.

LI.

Czasami z góry na kolec blaszany
Wieżycy wstąpię, i tak jako owce
Najpierwsze państwa Karacze, Supany
Każę prowadzić przez różne manowce.
Tam je kładziono w skrwawione kurhany,
Na stos znoszono chwast, czarne jałowce.
A ja, bywało, z góry jak sęp dziki
Widzę te w ogniach ruchome mrówniki.

LII.

Dziesięć czasami gwiazd i słońc czerwono
Zagore... dziesięć wrzasków razem słyszę;
I nie podnosi mi się duchem łono,
Ani się serce strachem zakołysze...
Jako Lucyfer z błyskotną koroną
Stoję... a zbrodni mojéj towarzysze
Na większą niż te wszystkie okropności
Patrzą — na mą twarz śmiertelnéj bladości.

LIII.

Dziwią się wszyscy, że jak pies nie szczekam,
Jak lew nie ryczę, jak człowiek nie zgrzytam;
Nie wiedzą, że ja, duch natchnięty, czekam
Gwiazd, deszczów krwawych, i znów za miecz chwytam
I znowu cały świat na siebie wściekam!
I znów się niebios zamroczonych pytam:
Czy mieczem, który w łono ludzkie wrażam,
Którą tam władzę niebieską przerażam?

LIV.

Co tylko mocy ma ten mózg napięty,
Tom ja na męki wynalazek użył.
Stosy, na Wiśle spękane okręty,
Kołowrót, który ciał długość przedłużył...
Wszystko w męczeństwie ten kraj niepojęty
Swą cierpliwością wytrzymał i zużył!
A niebo wszystko to cierpliwie zniosło,
Póki kruszyłem duchom łódź i wiosło...

LV.

Poszedłem daléj... i w męki wyborze
Już nic nie mogąc straszniejszego stworzyć,
Zacząłem łamać większe prawa boże,
Myśląc naturę samę upokorzyć.
Matkę mi z lasu stawiono na dworze...
A ja zamiast się u nóg jéj położyć,
U téj w łachmanach podartéj orlicy,
Ciała użyłem za knot smolnéj świécy...

LVI.

Rzekłem ludowi, że mnie czarowała,
Że serce jadła, że żony mi truła.
Z włosem palącym się jak ptak latała
I zgasła. Wtenczas twarz mi się popsuła
I pokazała zielonością ciała,
Że się duchowi memu szata pruła;
On jednak w ciele nie wiedział o sobie,
W letargu niby i w czarnéj chorobie.

LVII.

Raz tylko byłem tak na niebie śmiały,
Że się przejrzałem, w tarczy patrząc lice.
A byłem cały jako trup zczerniały,
Który stoletnią miał w ziemi trumnicę,
A już robaki z niéj pouciekały,
Bojąc się oczu jasnych jak gromnice;
I czerwonymi przerażone łzami
Trupa... i kości spróchniałych ogniami.

LVIII.

Lecz co dziwniejsza, że tak próchniejący!
Taki upadły! i taki zużyty!
Czasem się czułem jak anioł gorący,
Gotów ukochać świat i nieść w błękity
Tę ziemię jako anioł wzlatujący
Z pieśnią... co była jako szklane zgrzyty
Harmonik i szła w ton coraz boleśniéj,
Aż upadała w śmiech, w szaleństwo pieśni!...

LIX.

Gdy mię, bywało, taki czar omami
A stoję, ręce wyłamawszy z ramion,
Choć tylko piana toczy się ze łzami,
A usta milczą, to mój duch omamion,
Wszystkimi zda się kręci księżycami,
A gwiazdy nakształt muzykalnych znamion
Chwyta i w głosach tu ziemskich wyraża:
Tworząc już nie *Pieśń Sen,* lecz *Pieśń Mocarza.*

LX.

Jeden był tylko przy mnie giermek mały,
Jeden był tylko i ta pieśń go struła.
Głosy okropne w niego wlatywały,
Kości roztrzęsły... pierś mu się popsuła.
Chodził i przez sen gadał i drżał cały,
Jak instrumentu cedrowa szkatuła,
Którą muzykant napełnił przelotem
Tonów... i zamknął napełnioną grzmotem.

LXI.

A tymczasem mię wielki Pan niebieski
  Ubierał w grozę i w powagę strachu.
A strach był jakiś ciemny i królewski,
  Który napełnił wszystkie kąty gmachu.
Pod stopą moją suche komnat deski
  Grzmiały jak trumny. O komnat zapachu
Gadał po wioskach z trwogą lud ciekawy,
Że był zaduszny, tajemny i krwawy.

LXII.

Na świecie o mnie śniono. Śród czeladzi
  W podziemnych kuchniach gadano, żem blady
Jak miesiąc, gdy się przejrzy w krwawéj kadzi,
  W któréj pływają gniazdem wężo-gady;
Że gwiazda złota jakaś mię prowadzi
  (Purpurowe tu tłoczącego ślady)
W ciemny kraj, gdzie się wszelka dusza wściekła
Na króla duchów czerwonych — do piekła.

LXIII.

A co dziwniejsza, że mię ukochano
  Za siłę i za strach i za męczarnie.
Gdym wyszedł... lud giął przedemną kolano,
  Lud owiec, który się k' pasterzom garnie!
Przed twarzą moją straszliwą klękano,
  Widząc dwa skrzydła hełmu jak latarnie!
I między niemi w środku zawieszoną
Tę twarz, jak lampę trupią i zieloną.

LXIV.

W powiekach rubin i błysk dziwny gore;
  Powieki nożem zdają się rozcięte;
A przez czerwoną, rubinową korę
  Patrzy duch, widmo przeszłości przeklęte!
Przez jakież, Panie! męki i pokorę,
  Przez jakież późniéj ciała z krzyża zdjęte
Musiałem ściérać strach z mojego czoła?
Z oczu wydzierać ciemną skrę anioła?

XLV.

Żem wyzwał słońca Twoje i księżyce,
  I meteorów ogniska i burze,
I przeciw gniewom Twoim niósł przyłbicę,
  I chciał zobaczyć, sługa, komu służę?
Żem chciał zobaczyć, Panie! Twoje lice,
  Cztéry pioruny Twoje, świata stróże...
Wszystkie potęgi Twoje o świat drżące,
I wszystkie słońca i wszystkie miesiące.

LXVI.

Tyś mną pogardził, Panie! i ominął,
  I do straszliwéj śmierci doprowadził.
Śwityn żył jeszcze. Starzec sławą słynął,
  Bił wrogi moje, winy moje gładził,
Granicę mego królestwa rozwinął,
  Na dwu srebrzystych morzach mię posadził;
Stary, a miecza do pochwy nie chował.
Jam go jak ojca kochał — i szanował...

LXVII.

Pamiętam, biła północna godzina,
  I konstelacya łabędź, jak krzyż złoty
Nad wieżą, gdziem był, leciała jedyna,
  Sufitów próżnych lampa śród ciemnoty;
Wtém myśl ohydna o śmierci Śwityna
  W serdeczne moje wstąpiła zgryzoty
Z taką potęgą, żem wnet ku niéj dłoni
Podał, jak dziecko uśmiechnął się do niéj...

LXVIII.

Potém ją chciałem zmazać, ale ona
  Już jako pani mego serca była.
Sprobuj, wołała — jeżeli ten skona...
  A żadna zorza by nie zaświéciła?
A żadna gwiazda z tych gwiazd przerażona
  Nie przyleciała? krwi się nie napiła?
To wtenczas będziesz spokojny o ducha:
Ziemia proch! człek z niéj jak wulkan wybucha.

LXIX.

Płomieniom wolno chodzić po dolinach
  I błyskawicom wolno bić w cnotliwe.
Za myślą twoją idź, nie myśl o czynach!
  Probuj, czy niebo martwe jest, czy żywe?
Tak mi ktoś szeptał. Gdyby w stu Świtynach
  Stu ojców moich własnych głowy siwe
Patrzały na mnie z grobu jego wzrokiem,
Nie byłbym cofnął się przed krwi potokiem.

LXX.

Wysłałem katy; lecz myśl, gdy się kwieci,
  W coraz straszniejsze rozwija się drzewo.
Posłałem drugie... dwór, żonę i dzieci
  Wyciąć. Był ciemny dzień i grad z ulewą.
Czasami słońce ponuro zaświéci,
  I gradem złotym jak zwichrzoną plewą
O pancerz chłośnie i z kitą się zetrze,
Bom stał, czekając tych katów — na wietrze.

LXXI.

U progu mego żebractwo się szare
  Skupiło. Patrzą... król na progu stoi.
Przez deszczu struny widzą jakąś marę
  Jęczącą gradem bijącym po zbroi.
Wtém wyszło do mnie suche widmo stare —
  Żebrak... i blisko stanąwszy podwoi,
Jak posąg, który wiecznym być zaczyna,
Skościał... i podał mi list od Śwityna...

PIEŚŃ III.

I.

Na dworach wówczas nasze wojewody
  Trzymali sobie nadwornych gęślarzy,

Ci byli jako rycerstwa Rapsody,
  Zazwyczaj mądrzy, ślepi już i starzy.
Jako pancerze srebrne, długie brody
  Na piersiach mieli, a słoneczność w twarzy.
Liry nosili małe, ale sławne,
W koral lub w srebro lub w bursztyn oprawne.

II.

W ręku trzymali niby pastorały
  Długie, wierzbowe, ostrugane kije.
Tymi, bywało, chłopczyków chorały
  Pędzą... i wiodą takt przez harmonije;
A kiedy w górę kij podniosą biały...,
  Wtenczas z choralnéj pieśni piorun bije;
A kiedy spuszczą na dół berło dziada,
To na kolana pieśń jak anioł spada.

III.

O takim kiju, z lireczką u pasa
  Stał stary Rapsod Śwityna u proga.
Na płaszczu, pomnę, była różna krasa
  I łaty różne; zda się, że płaszcz z Boga,
Na którym zorza w błękitach dogasa
  I różne światła płoną... Jego noga
Bosa, dziś świéci przed mymi oczyma,
W obwiązkach, srebrna, jak muszla pielgrzyma.

IV.

Tak z wystawioną naprzód nogą bosą
  Podróżny żóraw, na białym kosturze
Oparty, z twarzą jasną, srebrną-włosą,
  Stał w płaszczu starym, jak w błękitnéj chmurze,
I list podawał... Iryda za kosą
  Wlokąca tęczę, gwiaździce i róże
Nie jest mi piękną tak... gdy z niebios spada...
Jak to wspomnienie dawne — tego dziada!

V.

O! złote serce śpiéwaka i sługi
  Tak po męczeńsku cierpiące dla Pana!
Miéj grób! którego nierozorzą pługi,
  Do zaklętego podobny kurhana;
Wiecznie tu wstawaj w pieśni! i wiek długi
  (Aż znowu ta pieśń będzie zapomniana)
Przykładem ludzi do miłości znęcaj!
Śpiéwaj! — a liry téż czasem pokręcaj!

VI.

Niech mi przypomni czary tobie znane
  I słowa dobre na serc otwieranie,
Porządne, ważne i uszykowane
  Rzędem, jak dźwięku anioły w organie;
A przebacz mi już tę okropną ranę
  I to straszliwe nóg przyćwiekowanie,
Któreć odjęło (to coć najboleśniéj!)
Twój najpiękniejszy czar — wędrowność pieśni!

VII.

On mi podawał list,... a ja na nodze
  Jego oparłem miecz żelazny, krzywy,
I czułem, że mu między kości wchodzę:
  A on stał — jak Bóg wielki — bo cierpliwy!
Mieczem przygwożdżon w kamiennéj podłodze,
  Którą czerwienił krwawy koral żywy...
Stał... obwinięty ów żebrak w błękicie...
I tak się na mnie patrzał, jak na dziécię.

VIII.

A ja nie zdjąwszy miecza z jego rany,
  Owszem głębiéj go zapędzając w koście,
Czytałem słowa, które jak szatany
  Paliły mi mózg i gryzły wnętrzności.
Ten list! na sercu mojém zapisany
  Nad wszystkie ducha mego okropnoście
Głębiéj swe straszne zarzuty wykował!
Bo mną ten człowiek gardził — choć miłował...

IX.

Kacie ojczyzny mojéj! i tyranie!
Mój królu wczora! (pisał Śwityn stary)
Na dobrowolne poszedłem wyganie,
Abyś przez mój zgon nie dopełnił miary...
Ty mię wyganiasz? a ja, o mój Panie!
Żołnierzy wszystkich serca i sztandary
Zostawiam tobie, sam znikam bez wieści...
Sam nic nie biorę z sobą — prócz boleści...

X.

A byłbym chętnie dał głowę strudzoną
Pod miecz twój! chętnie w ręce twoje złożył
Tę głowę ściętą ale uśmiechnioną,
Któréj Bóg nigdy śmiercią nie zatrwożył,
Gdybyś ty jeszcze miał człowieka łono
I nad kościami ludzi się nie srożył,
Gardząc miłości ostatniém spojrzeniem,
Mszcząc się nad kością, jak pies nad kamieniem.

XI.

Aniołowie mię dziś ostrzegli złoci
We śnie... Twój sam duch stanął pod kotarą,
Tak jak pochodnia świécąca w wilgoci,
Cały oświécon ogniami i parą.
Tyś mię sam ostrzegł!... a to nie z dobroci,
Ale żeś taką dziś stał się poczwarą,
Że słychać ciebie... i czuć... choć z daleka...
Kiedy pomyślisz... o śmierci człowieka...

XII.

Duch litośniejszy twój jest ci za szpiega:
On naprzód zgniłe twe serce wypyta,
A potém chodzi i ludzi ostrzega,
Gdy twoje ciało śpi... a ząb twój zgrzyta.
Duch twój wychodzi i po kraju biega
I targa włosy... jęczy jak kobiéta...
Ty zmordowany jego lamentami
Wstajesz, nie wiedząc, żeś płakał nad nami...

XIII.

Jakiś cię anioł okropny odmienił
I przysłał dzieło wypełniać straszliwe,
Lud rozhartował... a ciebie skamienił,
I kazał ludy orać jako niwę...
Abyś co?... wiatry wiejące spłomienił
Duchami, które wyszły z ciał... a żywe
Wkrótce w anielskiéj zjawią się ozdobie...
Jak wiatr na ciebie! — i przeciwko tobie!...

XIV.

Miéj więc dzień jeszcze ten jeden w zarządzie
Siłę, która jest w mieczu i toporze...
Ja ciebie czekam na ostatnim sądzie
Z tym listem.. który w mogiłę położę!
Czekam za światem ciebie! na wylądzie
Brzegu, o który grzmi ogniste morze
Krwią twoją jasne i zafarbowane!
Czekam!... z tym listem przeciw Tobie stanę!...

XV.

Tu ci nie błyśnie więcéj moje lice,
Choć niedaleko lecę... żóraw szary.
Pobytu mego mają tajemnicę
Ja tylko, mój koń, mój Rapsod stary.
Prędzéj byś zgonił letnią błyskawicę
Niż mego konia... Człowieka zaś wiary
(Jeśli cię starość i pieśń pełna wdzięku
Nie skruszą) sprobuj, królu, masz go w ręku!

XVI.

Taki był straszny starego Śwityna
List... ja w nim groźbę jęczącą słyszałem,
I opór ducha, który się zaczyna
Od jęku tylko... a staje się ciałem.
Więc jak skrzydlata skoczyłem gadzina
Z całą wściekłością! z całym ducha szałem!
Choćby królestwo całe przyszło ruszyć!
Wszystko!... a złamać harfiarza — lub skruszyć!

XVII.

Stary był... pomnę... Zoryan się nazywał.
Gdy go palono, cichszy od owieczki,
Na lirze sobie czasami podgrywał,
I szedł przez ogień z uśmiechem piosneczki.
Ani klątw rzucał — ani wydobywał
Głosu wielkiego z maleńkiéj lireczki:
Głaskał ją tylko (wyjaśniwszy lice),
Niby zlęknioną, białą gołębicę.

XVIII.

Zdawał się mówić i twarzą i ręką,
Jakby nad brzegiem szemrzącego zdroja:
„Nie bój się, liro! bo śmierć nie jest męką!
„Ani się lękaj cielesnego zboja!...
„Nie bój się, moja maleńka lirenko,
„Nie bój się, siostro! nie bój, córko moja!...
„A na toż by to nasza mądrość była,
„Gdyby przed śmiercią skonać nie uczyła?

XIX.

„Przyjmowano cię po domach i chatach,
„Pókiś ty ze mną była wędrownicą.
„Bądźże dziś wdzięczna... a nie płacz przy katach,
„Bo się ucieszą i ton twój pochwycą.
„Czekaj... wstaniemy oboje po latach,
„Gdy błysną łuki z tęcz nad okolicą!...
„Wstaniemy razem z wielką jaką zgrają
„Harfiarzy, co jak anioły śpiéwają!

XX.

„Czekajże, liro!... śpij!... Błogosławiona
„Ta błyskawica jasna i rumiana!“
Tu wzięty w złote, ogniste ramiona
Zniknął... A mój duch uczuł wtenczas Pana.
Czeluść okropna mych ust otworzona,
Suchość i jakaś pożarność gardlana...
Pierś, która wiatru w się więcéj nie bierze,
Ostrzegły... że już do piekła należę...

XXI.

Dysząc, na konia siadłem... od popiołów
Które pożarły pieśń obsypan... w szale.
A tłum siepaczy, jakby archaniołów,
Ubrany w złoto, w bursztyn, w miedź i w stale,
W skrzydła... w moc wielką tortur, gwoździ, kołów
Zaopatrzony... za mną w Wisły fale
Rzucił się, gotów mordować do końca,
Wszyscy na koniach jaśniejszych od słońca.

XXII.

Ja przodem. — W czerep czarny, ołowiany
Ukrywszy głowę moję, jak w kapturze,
Bom w sobie uczuł wstyd nieopisany,
Twarz mieć jak gryszpan, wzrok jak ogień w chmurze.
Przypadłem w zamek jeden nadwiślany,
Który zastałem cały już w purpurze...
Że trupy swoje wyrzezane chował.
Duch mój przedemną tam był — i mordował.

XXIII.

I przestraszyłem się — bo mi z pamięci
Wczora wydane rozkazy wypadły.
Katowie stali wszyscy trwogą zdjęci,
Stali bladymi przedemną widziadły;
Jam wrzeszczał: kto tu prędzéj niż me chęci,
Niż myśli moje? kto srożéj zajadły
Na krew Śwityna niż ja, wpadł w pokoje?
Kto tu wypełnił jak Bóg — myśli moje?

XXIV.

Duchowi memu to przypisać muszę,
Bo ziemia nie ma takich rozbójników!
Zmiękczyłyby ich te dziéciątek dusze,
Ta wyspa pełna wierzb, olch i słowików;
Te sionki z cedru... które głosem ruszę...
A one pełne ech, jęków i krzyków,
Śwityna głosem brzmią na każdém piętrze,
Jakby starego instrumentu wnętrze.

XXV.

Ja jeden... który do szaleństwa skłonnośc
  Mam... wpadłem tutaj o jutrzenki świtach;
Ani sal cisza, ani belek wonność,
  Ani pieśń rodu śpiéwana w sufitach,
Ani mię zemsty nieudolnéj płonność,
  Ani szatan tu, ani Bóg w błękitach
Nie zatrzymali... Nic nie ma na niebie!
Ja sam jak Bog będę sądził siebie!

XXVI.

To mówiąc, kostur wraziłem okuty
  W ścianę i rzekłem do moich oprawców:
Tę noc na ucztę; jutro dzień pokuty
  Dla mnie i dla was, zbrodni wykonawców...
Tu zamek cały błysnął nakształt huty
  Ognisk czerwienią... A ja tych bladawców,
Zbrodniami bladych, otoczony wieńcem,
Siadłem — trup jasny pijaka rumieńcem.

XXVII.

I ucztowaliśmy w zamku wygodnie.
  Śwityna własne nam służyły misy,
Stągwie, kobierce, czary i pochodnie,
  I krwią cuchnące wonnych ław cyprysy.
Czary nam do rąk podawały zbrodnie...
  Widma... w płaszczach z krwi, z zielonymi rysy,
Stojące z boku upiory czerwone,
Wyraźne... a gdyś spojrzał wprost — zniknione.

XXVIII.

A wtém przyleciał giermek zadyszany
  I te wyrazy z ust wyrzucił skore:
Panie! Ogromny znak jest ukazany!
  Na niebie miotła płomienista gore...
Jam zbladł: i kostur wyrwawszy ze ściany,
  (Sądząc, że widzę ducha albo zmorę,
Która mi wróżbę nieszczęśliwą szczeka)
Na wskroś przeszyłem w pierś tego człowieka.

XXIX.

A sam wybiegłem na ganek odkryty,
  Z którego widok szedł po okolicy,
Na drżące wielą gwiazdami błękity,
  Poddane jednéj, ogromnéj gwiaździcy...
Ta, jako wielki miecz z pochew dobyty,
  Karbunkuł miała czerwony w głowicy;
A ten się błyskał i mienił na zarzy
Jak oko w ducha niewidzialnéj twarzy.

XXX.

Wtenczas... w téj gwieździe oczyma usiadłem,
  I mocowałem się z nią jak z szatanem:
Truciznami ją serdecznymi jadłem,
  Trawiłem jadów duchowych gryszpanem.
Więc czasem ona... a czasem ja bladłem.
  Ażem nareszcie padł... jedném kolanem
Przyklękły... dysząc... przejasnymi świty,
Jak rycerz w szrankach dzidą, w pierś przebity.

XXXI.

I obaczyłem w gwieździe niby znamię
  Ognistsze... powiek mgnięcie i błysk oka:
Wtenczas uczułem, że mi ducha łamie
  Na wieki jakaś moc straszna, głęboka.
Więc obróciwszy ku ludziom przez ramię
  Twarzy, i palcem ognistego smoka,
Który w niebiosach wił jasnym ogonem,
Wskazując, rzekłem: Przyszła z moim zgonem

XXXII.

Kometa. I tu coraz bardziéj blady,
  I mieszając się już, rzekłem ponuro:
Świat zwyciężyłem! i oto są ślady,
  Żem duch mający moc nad tą naturą!
Gwiazdy tę gwiazdę wysłały na zwiady,
  Czym żyw? czy jeszcze okryty purpurą
Czynię rzecz króla, człowieka i zboja?
Niebo się zlękło o świat. — To śmierć moja.

XXXIII.

Idźcie... Już więcéj nie jesteście sługi
  Mojéj wściekłości, lecz rycerze twardzi.
Kupiłem naród krwią... i nad jéj strugi
  Podniosłem ducha, który śmiercią gardzi.
Niejeden sobie wieśniak wieczór długi
  Umili pieśnią i tém się rozhardzi,
Że będzie o swych ojcach przypominał,
Jak śmiało na śmierć szli, gdy król wyrzynał!

XXXIV.

Co do mnie, jam jest bicz okropny, boży,
  I będę cierpiał, co mi przeznaczono.
Za chwilę jednę otchłań się otworzy!
  Piorun rozerwie moje wielkie łono!
Wściekłoście... jak psy spuszczone z obroży!
  Żądze jak słońca ogniste rozpłoną!
Ogromne ze mnie na wiatr pójdą cienie,
Wszechmiłość zmyta w krwi, i wszechcierpienie!

XXXV.

Duch mój odpowié. Lecz wy jak dziéciątka,
  Jak białych jagniąt jesteście gromada.
Wszystko, com czynił, szło z jednego wątka,
  I cały ciężar zbrodni na mnie spada.
W kurhanach tylko zostanie pamiątka,
  I w pieśni długiéj wędrownego dziada,
Żem żył. Chwasty mi porosną na grobie.
Inny was anioł rozmiłuje w sobie...

XXXVI.

Ale po latach! Chciałem mówić więcéj,
  Wtém się zaczęła kości targanina.
Przez ołowiany kaptur sto tysięcy
  Szkło iskier... topniał na mnie drut i cyna.
Chciałem zachować dumny kształt książęcy,
  Lecz tak pękałem się jak w ogniu glina.
Oczy się chmurą zasłoniły czarną,
I duch się cały skupił w jedno ziarno.

XXXVII.

Nic więcéj. Straszne zaćmienie i głusza!
  Na sercu ręki bożéj położenie;
Docisk ostatni, pod którym się dusza
  Pękała w skazy, a wzrok szedł w sumienie.
Więc jako robak, co się w ogniu rusza.
  Tak ona, póki w ustach było tchnienie,
Leżała na dnie swéj serdecznéj plamy,
Aż Bóg otworzył jéj — wieczności bramy.

XXXVIII.

Taki był koniec mojego żywota,
  Spiéwany długo w kraju przez Rapsodów,
Którzy nie doszli, w czém była istota
  Czynów? w czém wyższość od rzymskich herodów?
Nademną była myśl słoneczna, złota,
  Do niéj moc ciemnych, okrwawionych wschodów
Wiodła mię prosto w złotych celów progi.
Jam szedł jak rycerz krwawo — i bez trwogi.

XXXIX.

Życie dźwięczało w każdéj ducha strunie,
  Moc słychać było w każdym moim kroku;
Choć być na takiéj drodze? lepiéj w trunie!
  Choć z myślą taką? lepiéj z włócznią w boku!
Prędzéj, czy późniéj? dészcz piorunów lunie
  Na orła, który słońce miał na oku;
Na mnie — żórawia z wyciągniętą szyją
W przyszłość — pioruny boże jeszcze biją...

XL.

Ale przezemnie ta ojczyzna wzrosła,
  Nazwiska nawet przezemnie dostała;
I pchnięciem mego skrwawionego wiosła
  Dotychczas idzie: Polska — na ból — skała
Fala ją druga nieraz z drogi zniosła,
  I duch jéj święty poszedł w kwiaty ciała
Bezwonne, martwe; lecz com ja wycisnął
Pod krwią, tém zawsze zwyciężył, gdy błysnął!

XLI.

Spijże, mój kształcie piérwszy, z ducha zdjęty,
Świécący w dali, jak księżyc na nowiu;
Upiorny, za krew wylaną przeklęty,
W koszuli z drutów i w czepcu z ołowiu.
Klątwa na ciebie! jak na dyamenty,
Na bazaltowe kolumny w pustkowiu
Pierwszéj natury z ducha budowane,
W ciemność i w chmury i w piorun ubrane.

XLII.

Lecz ja na tobie nogę postawiłem,
I daléj szedłem; a jużem był boży.
Morza się cofną, góry pójdą pyłem,
I świat się komet deszczami zatrwoży,
Gdy duchem spełnię, co ciałem spełniłem.
Duch, ukazany w pierwszéj świata zorzy,
Któremu Pan Bóg swych zasłon uchyla,
A lat tysiące są jak jedna chwila.

RAPSOD DRUGI.

A wtenczas stanął w ognistéj koronie
  Ducha nowego śpiéwak między nami;
W szacie był prostéj, na twarzy — w zasłonie,
  Którą przenikał na wskróś oczu skrami;
Każdy z nas w głosu jego głuchym dzwonie
  Ojczyznę śpiącą gdzieś pod mogiłami,
Odzywającą się z wiekowéj ciszy
Słyszał — lub sądził wyraźnie, że słyszy...

Polsko! Ofiaruję Ci rapsody dalsze Króla-Ducha. Pierwszy leciał szybko, jak wiatr błyskawicy — te się wloką jak wół, pracowitym krokiem, ciężko i poważnie... Znajdziesz w nich tajemnicę początku i końca—alfę i omegę świata, a zatém i Ojczyzny. Znajdziesz tajemnicę ziarna — wpływu Ducha Świętego — cudów Izraelową rózgą Mojżesza przez Duchy sprawowanych — nareszcie walkę sił pogańskich, duchowych, elementarnych, z Oświeciciela potęgą. Wyraźniejsze tych rzeczy wypowiedzenie wzbronione zostało dotąd poecie pod trwogą Boga zostającemu. Trudu doznasz, czytając niniejsze poema, a walkę będziesz musiał odbyć, duchu czytelnika, z duchem poety... Jeśliś leniwy, dzieło odrzucisz; wszakże zostaniesz pod zaklęciem prawdy, która ci w drodze wiedzy daléj iść nie pozwoli.

I.

A teraz tobie cuda niesłychane
  Opowiem, moja piękna Przenajświętsza.
Bez ciebie nigdy sam nie zmartwychwstanę
  W ten świat, który się podług blasków spiętrza.
Ty przez jutrzenki widziana różane,
  W miesiąców złote utopiona wnętrza,
Ciągle mię wznosisz do się, różo złota,
Zawsze widziana w przededniach żywota.

II.

Krwawe były mgły, które ducha gniotły,
  Kiedy wychodził z bolesnego ciała,
Który ból strzaskał, a węże oplotły,
  Gdy ducha — gwiazda jasna wywołała.
W mgłach długie, złote komeciane miotły
  Czyniły szelest — a bezdenność grzmiała...
Duch w państwo ducha niewidzialne wchodził,
Jak gdyby ocknął się — i znów się rodził...

III.

Jeśliś uciekał przed czarnymi snami,
  A wiész, że strach się taki wielki stanie
I przed takimi zatrzyma progami,
  Że już ty ciało budzisz krzycząc: Panie!

Wiédz, że bez ciała duch, który się splami,
  Na tym się progu ujrzy niespodzianie,
Którego nie mógł przestąpić w ułudzie,
I stamtąd w ciemny ten strach daléj pójdzie!

IV.

Ani jesienna mgła, chmurą jaskółek [1])
  Mętna, cielesnym oczom wyobrazi
Ów straszny, wielki ducha bezprzytułek,
  Bezdno, które duch krwawy sobą kazi...
Ani tę chwilę, gdy do harfy pszczółek
  Złotych podobna myśl brzękiem cię razi
I odlatuje we mgły nakształt tęczy
I gdzieś daleko jeszcze brzmi i brzęczy;

V.

Ani tę chwilę pojmiesz, odbieżany
  Teraz przez cały świat, chwilę rozpaczy,
Gdy serce jak już zegar zatrzymany,
  A ból godzinę zawsze jednę znaczy...
Serdeczne ci się otwierają rany,
  A myśli anioł już nic nie tłómaczy;
Z świata cię żadne nie dochodzą wieści,
Wszystko ucichło w duchu — prócz boleści...

VI.

Jednak jakieś sny o losach ojczyzny
  Wstawały dziwne... jak wianek upiorów,

---

[1]) Zamiast téj strofy znajduje się w manuskrypcie dopisany na brzegu karty taki waryant:

»W czerwonych niby mgłach i wśród jaskółek
  Urągających ujrzał się jak mara
Rzucona w bezdno — w próżnię — w bezprzytułek
  Rosnący jako mgła i dym i para;
Myśl, jako promień pełny złotych pszczółek,
  Brzęczała, i tak jak gałązka stara,
Strącona z drzewa swojego, uciekła
I poleciała dzwoniąca do piekła«.

Podobne do tęcz, które ze zgnilizny
  Wodnéj — pokażą się marą kolorów.
W najniższych sferach zgniłymi bielizny
  Okryte duchy, nakształt gladyatorów,
Rznęły się ciągle i gryzły, jak kruki...
Szedłem — pocięty być przez nich na sztuki.

VII.

Lecz próżno bito mnie i mieczem cięto
  I gorzéj jeszcze mieczami chłostano!
Czułem, że serca ze mnie nie wyjęto,
  A serce było tylko jedną raną;
Więc zostawiłem to upiorne święto,
  Gdzie duchy bito, a nie zarzynano,
Na te upiory wszystkie krzycząc srogo,
Że tylko sieką, a zabić — nie mogą!

VIII.

Potém poznałem, że mi to od świata
  Boleść i mieczów cięcie przychodziło:
Kraj, zarażony przezemnie i kata,
  Toczył się daléj straszną, krwawą bryłą,
Jak trup, na którym okrwawiona szmata,
  A on się toczy swoją własną siłą
I ściga we śnie czerwonym człowieka —
Spojrzysz na niego: łaje — i ucieka.

IX.

I wytężyłem przeciwko strachowi
  Oczy — i zaraz on wyznał przedemną,
Że to są duchy przeciw Świtynowi
  Niosące moję myśl — chorągiew ciemną...
Dwunastu katów, jak ja... ludzie nowi,
  Z moją postacią, lecz z duszą nikczemną,
Wzięli to ze mnie, co każdy morderca:
Trup porzucony uczynków — bez serca...

X.

Wtenczas tę walkę we mnie Bóg wnaturzył;
  We mnie krzyk, we mnie blask i mieczów rznięcie,
We mnie się obłok zakrwawiony kurzył,
  We mnie szło z pola trupów ducha wzięcie...
A jam zacierpiał jak szatan — i stchórzył,
  W iskrze duchowéj niby w dyjamencie
Mając boleści różnych tajemnice,
Kolory, krzyki, jęki, błyskawice.

XI.

O téj krainie żaden duch nie gada,
  A nawet onych mąk pamięć utraca;
Bo pamięć taka, choćby jaka blada,
  Niweczy ciało gorzéj, niźli praca,
Niż nędza, która wnętrzności wyjada,
  Niż przyjaźń, która zdradą się odpłaca...
Dla mnie — zniknęło męczarni oblicze!
I od świtania w niéj... znów czasy liczę.

XII.

Cały się stałem ojczyzną... i cały
  Stałem się prochem i cały rozpaczą!
Fraszka te węże, co w piekle kąsały
  Dawne anioły. Niech ludzie zobaczą
To ziarno męki i ten proszek mały,
  W którym się miasta palą — matki płaczą,
Dzieciątka swoje własne gryzą z głodu...
Niech pojmą ducha jęk — Słowo narodu!

XIII.

Na mojém sercu, jak na złotéj tarczy,
  Sto dzid się łamie i sto mieczów kruszy
I sto utkwionych strzał boleśnie warczy
  I sto aniołów upada bez duszy,
Myśląc, że serce za wszystko wystarczy,
  Wszystko uzbroi sobą — wszystko wzruszy!

A ja co? anioł na dnie mgieł czerwonych,
Pan niewidzialnych duchów — brat szalonych...

XIV.

Niechże ta męka moja przedwiekowa
I to stchórzenie ducha — ludziom służy;
Już za tą chmurą jutrzenka się Słowa
Pokazywała — jak tęcza po burzy;
Już krwią nabrzmiały, jak mgła purpurowa,
Rosłem do nowéj walki i podróży:
Gdy Pani Słowa — gdzieś w gwiaździstym wichrze
Skryta — przysłała dwa duchy... najlichsze.

XV.

Gdzieś z ostatecznéj krainy zachwyceń
Przyszły te duchy i nauczyciele,
Bez słów i dźwięków i bez tych przesyceń,
Które duchowi są od nauk w ciele.
Ci — za pomocą różnych się oświéceń
I blasków — szybom podobni w kościele
Wymalowanym — z myśli tłómaczyli,
Jak kwiat, gdy zamknie się i znów rozchyli.

XVI.

Język z słonecznéj był miłości wzięty,
Nią złoty... gdy się zniżał, malowany —
Lecz cały wielki, otwarty, natchnięty
I nie mówiony, lecz z ducha błyskany.
Jak dziecko krzyczy „ach!“ na dyjamenty,
Tu ogień widząc złoty — tam rumiany,
Bo wszystkich złowić płomyków nie może:
Tak ja, słysząc twój język ducha, Boże,

XVII.

Ścisnąłem chmurę purpurową, chłodną,
A to ściśnięcie było znakiem słuchu;
Z całą dzikością moją pierworodną,
Pogańską — cały ścisnąłem się w duchu,

A taką siłę podłą i niegodną
  Uczułem nagle w tych potęg łańcuchu,
Że byłbym zniknął, gdyby to na chwilę
Któréj z duchowych było wolno sile.

XVIII.

A oni do mnie przez różne błyśnięcia
  Zaczęli — czuciem we mnie tłómaczeni:
— „Ty świat i berło duchów masz do wzięcia
  I bramę ciała — do wyjścia z płomieni...
Przedurodzone więc stąd bierz pojęcia,
  I kształty czynów bierz ze świata cieni;
Z nimi cię oto na świat posyłamy
Przez błysk miłości — i przez Trójcy bramy.

XIX.

„Wielką masz spełnić w twéj ojczyźnie sprawę
  Z upokorzeniem twéj strasznéj natury;
Pamięci nie bierz... a twych myśli wrzawę
  Uśmierzaj, a patrz jak anioł do góry!
Ofiaruj Bogu w myśli — Miecz i Sławę,
  Ofiaruj miecza twego błysk ponury!
Nową żywota jutrznią się rozraduj,
I błyszcz — a dawnych kształtów nie naśladuj!

XX.

„Nic teraz jeszcze tobie nie powiemy
  O wielkich celach żywota, ostatnich.
Sam szukaj! gdy się zmylisz, zapłaczemy...
  Miéj serce, a nas rozradujesz bratnich.
My jedni świata cały zarys wiemy
  I podług tkaczy — z pasm albo bławatnich
Albo ze złotych, nić w świata przędziwo
Wpuszczamy — tu kwiat czyniąc, a tam dziwo.

XXI.

„Lecz nikt nie może nieumiłowany
  I tą miłością na dół nieściągnięty

Pójść... Nawet wielkie duchy i szatany —
  I dla nich nawet świat formy zamknięty,
Dopóki anioł jaki krwią rumiany
  I w myślach swoich nieczystych przeklęty
Nie ukocha je... i grzechu martwice
Nie zaklnie przez chęć-grzmot i błyskawice...

XXII.

„Idź więc... grzechy twe są ci odpuszczone!
  Małoś tu cierpiał, boś był jeszcze mały
I tak jak dziecko czyniłeś szalone,
  Biegnąc za mocy upiorem i chwały.
Błysk mieczów - te mgły — te światła czerwone —
  Goniące widma — piorunowe strzały
Za dzieciątkami tylko w nocy gonią:
Biadać, gdy strachu twarz wielką odsłonią!“

XXIII.

Tu natężywszy mówiące płomienie,
  Zaczęły gadać tak te cudowniki,
Że ja, równając nagle to natchnienie,
  Pękałem się w grzmot, rozrzucałem w krzyki,
Mój środek ogniem był — blask i krzemienie
  Członkami... cały rosnący w płomyki;
Gdyby mię ręce nie zgasiły ciemne,
Stanąłbym wielki, jak słońce podziemne...

XXIV.

Kto zimną wtenczas dłoń na mnie położył
  I kto zagasił okropne świecidło?
Czy który z martwych, który na to ożył?
  Czy jakie ducha lecącego skrzydło?
Czy te anioły, którem ja zatrwożył
  Przez nagłe mych władz i sił malowidło?
Czy Bóg? — ja nie wiém! ale taka trwoga
Wielka nie mogła mi przyjść, jak od Boga.

XXV.

Znowu stchórzony, i sam — a już nisko,
Uczułem, że się w czémś zwiniętém plączę,
Że oczom moim ciemno — nogom ślisko,
A do ucieczki ciagną chęci rącze.
Wszedłem na jakieś straszne wężowisko,
Gdzie trupie resztki — druciane opończe
Nadeptał mój duch i przejął się trwogą,
Czując, że własne kości ruszył nogą.

XXVI.

Spłynąłem, jako czarna mgła — i w chmurze
Stojący — nagle słyszałem, że krzyczą
Woźniki wodne i ponocni stroże,
Którzy tę kępę trzymali słowiczą:
— „Upior się czarny pokazał w kapturze
I szedł przez śmierci wieżę tajemniczą,
Gdzie byli gwiazdą królowie zabici —
Oczy miał białe — w nich ognie, jak nici.“ —

XXVII.

Wtenczas pojąłem kształt mego upiora,
I pełny strachu po lasach i karczach
Błądziłem; a kraj cały był w pomorach,
Bitwach i rzeziach, zboża niedostarczach.
Więc w dwunastu się pojawiłem dworach
I w dwunastu się pokazałem tarczach;
A twarz w najbledsze ubrała się chłody,
Na obudzone patrząc Wojewody.

XXVIII.

W jedném mię tylko błyśnięciu widzieli,
Lecz w tém błyśnięciu król-duch spojrzał na nie.
I wszyscy... wszyscy, jak ciemni anieli,
Szli na bój... Każdy chciał w drugiego ranie
Dostać korony. — „Trupaśmy widzieli,
Który za nami po królewsku stanie,
(Tak mówił każdy z nich do zaufanych
Dworzan, pod wstęgą chorągwi rumianych)

XXIX.

„Jeśli się zjawi w swéj ciemnéj osobie.“ [1])
  — Jak gdybym ja się chciał pomocą zmazać
I ducha mego znalezioną w grobie
  Twarz — na ich tarczach miał znowu pokazać...
O! raczéj byłbym ja na strony obie —
  Gdybym duchowi memu mógł rozkazać —
Siał strach z oblicza i z wężów korony,
We wszystkich razem tych tarczach zjawiony.

XXX.

Ohydna walko zwierzęca! nad którą
  Wyższą chorągwią byłem ja, duch dawny,
Jak łachman jaki skrwawiony, purpurą
  Powiewający, łzami ludu sławny...
O! ty cudowna i cicha naturo,
  Któraś pokryła ten kraj, krwią uprawny,
Płaszczem ogromnym z płynącego złota,
Po którym w duchu jest szmer i tęsknota!

XXXI.

O! uciszcie mi tę żałość, przemarłą
  Wiekami, a dziś jeszcze w sercu żywą!
Był to bój, gdzie psy chwytały za gardło,
  Konie latały z ukrwawioną grzywą,
Tysiące duchów po śmierci się żarło
  Wychodząc z ciała duszą niegodziwą,
Wyrwaną z ciała szatańskim zachwytem
Z psa skowytaniem, szczekaniem i zgrzytem.

XXXII.

Tu Pomorzanie, Lutyki i Serby —
  Tam czarne jak żuk Jadźwingów narody;
Różne chorągwie i zwierzęce herby
  Na złotych tarczach... Ogień, palacz wody,

---

[1]) *Waryant:* I obracali tarcze przeciw sobie.

Rzucany ręką... a przez ognia szczerby
  Na wozach widne różne wojewody —
Na wielką pola krwawego rozwlekłość
Rzucali głosy z trąb, a w głosach wściekłość.

XXXIII.

Aż mię ta burza — na różne obozy
  Tam rozdzielona — we mnie jak wichrzyca
Wzięła i duchem zapaliła zgrozy
  I uczyniła piorunem bez lica:
Na dusz widmami obwieszone brzozy
  Wpadałem, jak wiatr — żarł jak błyskawica,
Zmuszał je, w piekło aby szli ogniści —
Z dusz okrwawionych obrywał, jak z liści.

XXXIV.

Z siebiem otrząsał, jak podłe robaki
  Do moich wielkich skrzydeł uczepione;
Łamał błyszczące miecze — palił znaki,
  Burzył krew — fale podnosił szalone:
W siebiem przemieniał, jak w upiora, krzaki
  I pokazywał żywym rzeczy śnione;
Władze piekielne w tych duchach poruszył,
Wściekłość zamienił w przestrach, i zagłuszył.

XXXV.

Stanęli. — Z wielu trąb i z głosów wiela
  Jedno wybiegło imię... Lecz na Boga!
Wolałbym znowu słyszeć, jako strzela
  Na mój rodzinny domek działo wroga:
Niż zatrąbione to imię Popiela,
  Któremu wtenczas posłużyła trwoga,
Przez mój rzucona duch i te zjawiska,
I pomógł próżny, dziwny brzęk — nazwiska!

XXXVI.

Obwoływali go księciem. A ja się
  Ściągałem z pola, jako chmura czarna,

Która się parą bagnistą napasie
  I zakręcone jak skry porwie ziarna,
I wszystko skręci — i w tęczowym pasie
  Chodzi nad lasy ciemnymi — pożarna
W głębi i wielu piorunami wrąca,
Czekając na nów dżdżystego miesiąca. —

XXXVII.

Tak straszliwościom i zbrodniom — z wysoka
  Byłem osłoną i groźbą zarazem,
I szerokością wielkiego obłoka
  Ciężąc, i moim na chmurach obrazem.
Jednego tylko na dole proroka
  Oczy utkwione we mnie, i przekazem
Mojego ducha tchnęło wielkie łono,
I twarz miał ogniem moim ozłoconą.

XXXVIII.

Dziś jeszcze widzę — jakby w tajemnicy
  Najgłębszéj ducha mojego — tę chatę
Na szmaragdowych łąkach, przy Kruszwicy,
  Zapraszającą bociany skrzydlate.
Kat wielki wężów, król téj okolicy,
  Miał gniazdo, trawy srebrnymi brodate,
Dziwnie świécące, na wysokiéj tyce —
Koło, ubrane w komina iskrzyce.

XXXIX.

Nie szkodziły mu jednak ognie złote,
  Lecz jako źródło, szły prosto do góry
I przebiwszy się przez dymu ciemnotę,
  Czyniły różę ognistą z purpury.
Widziałem dziwną aniołów robotę
  Około ptaka, ich tęczowe sznury,
Czyniące nieraz, że chata — kościołem,
Koło miesiącem było, ptak — aniołem.

XL.

A w chacie... głębsza jeszcze sprawa Pana,
  Którą piastował — jak dziś jasno widzę —

Pełny pamięci anioł Zoryjana...
  Ten sam — na nowéj kwitnący łodydze...
W nim jeszcze dawna pieśń — niedośpiéwana
  I miłość ludu, razem z sobą w lidze
W mądrość się jednę wielką zamieniły,
W serdeczność wielką i w powagę siły.

XLI.

A coś, jak w dawnym wodzu Izraela:
  Ludowe, z dziwną twarzą tajemnice —
Zaklęcia gadów — i dotknięciem ziela
  Trzaskane czary, a czasem zbroice!
Ptaków ogromnych pogrzeby, wesela,
  Jak nadpowietrzne girlandy różyce
Pozawieszane, aż się starzec zjawi,
Głos wyrozumie i pobłogosławi.

XLII.

Wszystkie te cuda — dziś pomiędzy ludem
  Dawno już tylko w powieściach żyjące —
Były widzialną mocą, żywym cudem.
  A o cud były tak niebiosa drżące,
Że gdyby serce zaszło jakim brudem,
  Serce, które ma w sobie serc tysiące,
A brakiem wiary cudotwórcę zlękło:
Nie byłby karał Bóg — serce by pękło!

XLIII.

Któż za skłamaną między ludźmi sławę
  Odda prawdziwą moc ruszania światem
Przez bożą siłę i przez bożą sprawę?
  Która tak rządzi nawet wonnym kwiatem,
Że narcysami łąki się ciekawe
  Patrzą, gdy zorzy okryty szkarłatem,
Na białym koniu, aniołom na przedzie,
Prawdziwy świata Archanioł wyjedzie.

XLIV.

Zoryjan!... w samém już ducha nazwisku,
(Które tu było ludziom niewiadome)
Jak w dyjamentu różanego błysku,
Był świt przyszłości! a duchy łakome
Braterstwa — choć są w ciele — i w ucisku —
Łatwo jest z obcych przemienić w znajome,
Tym samym głosem zawoławszy na nie,
Z którym przychodzą tu, na zmartwychwstanie.

XLV.

Pamiętam chwilę, gdy cudowni goście
Zaszli do świętéj chaty kołodzieja.
Jam stał — i cały smętny, na jasnoście
Patrzał... a wielka była gwiazd zawieja.
Wielkie czerwonych meteorów złoście,
Wielkie rozruchy swoje miała knieja,
Wielki niepokój ptaków na niebiosach —
Natura cała w westchnieniach i w głosach

XLVI.

Wołała: — „Boże, wiekuisty Panie!
Podnieś mię całą, podniosłszy człowieka!
Daj mi przez oddech wyższy oddychanie!
Daj krok, na który już czekam od wieka!“ —
Jam się przyłączył: i całe śpiéwanie
Szło, jak harmonia słyszana z daleka,
Coraz mocniejsza, strunami złotymi,
Niby drgające łono wnętrza ziemi.

XLVII.

Wtenczas ja, z moich zachwyceń dobyty,
Zacząłem składać moje wszystkie moce.
—„O Panie! który rozwidniasz błękity,
Czyń świat, a mnie tu niech piorun zdruzgoce!
Może ja stary i może zużyty,
Niegodzien struną być w harfie nieszporów,

Któreć śpiéwane są przez trzódkę polną:
Tyś mię natężył — tobie zerwać wolno.[1])

XLVIII.

I wyższy coraz nad chatę wieśniaka,
Nad lipy i nad mieszkanie bociana
I nad skry, które pod skrzydłami ptaka
Nie wytrąciły go z postaci dzbana
I urny — bo stał, i dziób nakształt haka
Trzymał na piersiach (postać zadumana,
Która się pieśnią nie mogła objawić!)
Zacząłem łzy lać z nim — i błogosławić.

XLIX.

— „Choćby już nigdy myśl zbrojami świetna
Nie powróciła na tę ziemię ze mną,
Znienawidzona za to, że szlachetna
Chce jasnéj broni, a gardzi nikczemną;
Choćby już tylko miodem prostym kwietna,
Z myślą — jak chłopek prostą, ale ciemną,
Ojczyzna ta wstać miała i w postawie
Chłopka się kłaniać Panu: błogosławię.

L.

„Równy chłopkowi małemu prostotą,
A niższy jeszcze aniołów pokorą,
Jak oni, skrzydeł wewnętrzną pozłotą
Nakrywam chatę, skąd miód ludzie biorą.

---

1) Tę strofę poeta późniéj w rękopisie przemazał, a napisał natomia[st] następującą:

Wtenczas ja, wzbity modlitwą nad miarę,
Zacząłem składać wszystkie moje moce:
Tu płomień, tam pieśń; tak straszną poczwarę
Rozbijał piorun, co wnętrze druzgoce.
Leciały z wiatrem moje moce stare,
Jak wysadzone minami pałace.
Duch, który wieki zamyślone stworzył,
Uczuł je w sobie — i ofiarę złożył.

Gotów, jak gołąb, zostać nad ciemnotą,
  Łonem świécący nad suchą ugorą,
Gdzie sobie trzody ciche śpią na trawie:
Ludziom i trzodkom cichym błogosławię.

LI.

„Tam — walka krwawa o ścierwo i jadło!
  Tu cisza, pokój, błękitna pogoda
I w ogniu moim strzaskane widziadło:
  Duch nieznajomy dawnego rapsoda...
Niechajże, Panie, i socha i radło
  I niestrudzona myśl, bo jeszcze młoda,
A piękna, jak sen widziany na jawie,
Wstaną! niech wiecznie kwitną! — błogosławię.

LII.

„Niech będzie piękną, niech będzie wesołą —
  Choćby już nigdy w niéj nie zaświéciło
Rycerza mgliste, ale piękne czoło
  Między oczyma z piorunową siłą;
Choćby tak, jako to żórawie koło,
  Które się skrami chaty oświéciło,
Kolumny drżące budowała sławie
Bez innych świateł, jak te: — błogosławię!

LIII.

„W mroku zostawiam ją; lecz pod aniołów
  Skrzydłami, które w tęcze ją oprzędą.
Sam idę... i gdzieś, z rykiem smętnych wołów,
  Gdzieś przy miesiącu z pastuszków kolendą
Wyglądać będę, aż ze złotych stołów,
  Do których prosi Bóg, a chłopi siędą,
Przyniosą mi chléb wędrowne żórawie:
Ptakom i stołom ludu błogosławię!

LIV.

„Gwiazdom gwiżdżącym po łąkach — i kwiatom
  I lasom, które w ciągłych płaczą szumach,

I pięknym wiosnom — i złocistym latom
  I starcom, którzy pogrążeni w dumach,
Wesołym żeńcom — i dworom — i chatom
  I ogniom, które dziś rodzą się w tłumach,
Bez czasu będąc, ale w bożéj sprawie:
Siódmy raz zdaję moc... i błogosławię!“

LV.

Tom rzekł; a na mnie Pan spojrzał litośnie,
  Bo to uczułem, czego nie ma dusza:
Że mi ojczyzna cała w duchu rośnie
  I rosnąć ducha mojego przymusza;
I zacierpiałem, ale tak radośnie,
  Że sto lat uśmiech trwał, a w myślach glusza;
Jam tylko rosnął i ofiary składał,[1]
A sto lat we mnie duch — uśmiechem gadał.

LVI.

Tak odebrane sobie mając oczy
  Ojczyzną przed mym uśmiechem stojącą,
Ani widziałem, jako miód się toczy,
  A te patoki brudzą się i mącą!...
Jak z pod anielskich tęczowych warkoczy
  Ta chata, którą aż wieki roztrącą,
Bo jest za ciasną pomieścić wieczność,
Zwolna traciła swoje złote goście...

LVII.

Jam duch — już tylko w sobie — okiem porę,
  W swoich jutrzenkach się czasami mącę,
A czasem w morzu jakieś perły biorę
  Dziwne, zaklęte, ogromne miesiące
Podnoszę — rzucam o drzew twardą korę,
  Myśląc, że nimfy wystraszę błyszczące,
Które o swojéj piękności nie wiedzą,
A w ciałach jako w starych drzewach siedzą...

---

[1]) *Waryant:* Ot, Panie, mówić to ludziom daremnie,
Jak sto lat całe uśmiech jaśniał we mnie.

LVIII.

I tak czekając, bez męki objawu,
  Znów czułem męki okropne ogrójce;
Aż mię... schylone ku wielkiemu prawu
  Dwa zawołały duchy — mieczobójce...
Wtenczas jam runął, jak grom w środek stawu;
  I spłomieniwszy je, zamienił w Trójcę
I zniknął na dnie; kiedy duchów wrzawa
Wrzasła: Ofiarą twoją — Miecz i Sława!

RAPSOD TRZECI.

PIAST.

PIEŚŃ I.

I. [1])

Żywot wam inny królewski opowiem
 I podsłuchanie straszne mego ducha,
Gdy był pod dymem jeszcze i ołowiem,
 A wichrzyła nim od gwiazd zawierucha.
Rzeczy przed-życia oświécone nowiem
 Mówię dziś, żywy duch... a Bóg mię słucha,
Słucha niebieski mię Pan — i przebacza!
Innego nie mam nad sobą słuchacza.

II.

Bóg ojców, który mię raz na śpiéwaniu
 Śpiącego zastał i naszedł wieczorem
I cały na mnie rzucił się w błyskaniu
 I mocy swojéj przeraził upiorem,
Bóg duch widzialny, który czuje w spaniu,
 Nawiedzacz ludzkich izb z anielskim dworem,

---

[1]) Począwszy od strofy I aż do XVIII wstawiam ustęp, od którego się poczyna rapsod ten wedle dawniejszego opracowania. (*Przyp. Wyd*).

Bóg swoją mocą ku mnie nachyloną[1])
Napełnia pieśnią to maluczkie łono...

III.

Ten sam, który z tęcz nad potopem błysnął,
  Za Izraelem szedł w ognistéj chmurze,
W skale się ukrył i wodą wytrysnął,
  Na górach stojąc zamienił się w burzę
I piorunami swymi lud przycisnął,
  I błogosławi dotąd — prawdy stróże,
Ten sam... napełnia mnie, naturę małą,
Chrystus, który był piorunem i skałą.

IV.

Pod jego wielką mocą trzymam pióro,
  Snem piszę, a z mgieł rozjaśnionych biorę,
I moją własną kwitnącą naturą
  Nieznane dotąd oceany porę;
Wiersza się nawet dawnego strukturą
  Ubrałem Panu memu przez pokorę —
Tak od cielesnéj uwolniony troski
Cały się zdając na moc i duch boski.

V.

— Przestał — i niby w niebo podniesiony
  Tracił się śpiewak w spokojnym zachwycie;
Potém uderzył w tak spokojne tony,
  Jak gdyby inne uczuł w sobie życie.
Szeroki, święty jakiś obraz śniony
  Malował mu się na wietrznym błękicie;
Duchy wezwane westchnieniem boleści
Znosiły wonie — kolory — i wieści.[2])

---

[1]) Zamiast tych dwóch wierszy znajdują się w innym odpisie następujące:

Niech mi da głosy i kolory trwałe,
A weźmie z pieśni wieczną złotą chwałę!

[2]) Ta strofa dopisana późniéj, na marginesie.

VI.

— „Wieki minęły krwawe — świat był nowy,
  I źródło ducha trysnęło z kamienia;
Nadchodził wielki ów rok tysiącowy,
  Który narody jak gwiazdy odmienia.
Dawniéj — Sezostrys, i Orfeuszowy
  Dźwięk lutni nimfy wywodził z kamienia,
I usłyszano w Oceanid łonie
Wieść o chodzącym po morzu Jazonie.

VII.

Najwyższa w niebo rosła piramida,
  Na nią zlatywał rumak Perseusza;
Świat cały w strachu — wieściach; Atlantyda
  Herkulesowi z rąk pierzchła, jak dusza,
Nad całym wiekiem brzmi harfa Dawida,
  A pod nią każdy duch swym ludem rusza.
Najwięksi globu zeszli się mocarze
I swe cielesne zobaczyli twarze.

VIII.

Potém — tysiąc lat po strasznym przymusie
  Rola rodząca cudy odpoczywa;
Tylko wieść jakaś — jak sen — o Chrystusie
  Świat omiesięcznia i wiarę zdobywa...
Tam na Danai zbłysło się lamusie;
  Owdzie — pomiędzy łabędziami pływa
Duch boży; wieszczom roją się na ziemi
Dziewice śćmione deszczami złotymi...

IX.

Wieszczowi bowiem potrzeba tak mało... [1])
  Zbłyśnie się w duchu — on już słońce wita!

---

[1]) *War.* Wieszczowi bowiem potrzeba tak mało...
  Błyśnie mu w oczach — on już słońce wita!
Jeszcze się stać ma — jemu już się stało!
  Jeszcze cud w pączku — jemu już przekwita!

Jeszcze się stać ma — jemu już się stało!
  Jeszcze cud w pączku — jemu już rozkwita!
Jemu już dawno Eneasza ciało
  Wchodzi do niebios żywe — wiatr je chwyta,
Gwiazdy podnoszą wyżéj — słońce wchłania
Na wzór... Pańskiego z ciałem zmartwychwstania.

X.

Przysięgnie, że są — że na ziemi były
  Niektóre święte bez krwi urodzenia,
Niektóre ciała wielkie — bez mogiły,
  Niektóre przejścia ciał w słońcu — bez cienia ..
A to glob tylko ruszał swoje siły,
  W ciała ubierał swoje utęsknienia,
By wzbudzić wiarę, która świętym służy,
W pomoc cudownéj Jerychońskiéj róży.

XI.

O! Panno, któraś tę ziemi tęsknotę
  Uspokoiła i rozczarowała,
Śćmiona przez ducha moc i światło złote
  W płomieniach serca i w czystości ciała...
Oświeć tę nędzną rytmiarza robotę!
  Niech tak w przeczuciach stanie doskonała,
Jak utęsknienie wieków niegdyś było
Za nieskalaniem i za bezmogiłą.

XII.

Rok tysiącowy więc po twoim cudzie
  Nadchodził... Duchy przeczuć rozgadały
O wielkim, nowym, na północy ludzie,
          Aniele chwały...

Jemu już dawno Eneasza ciało
  I Romulusa trup na niebie świta
Ulatujący z etruskiego łanu,
Żywy — podobny Chrystusowi Panu.

Swiat cały nowy we snach i ułudzie,
I wojsk duchowych tęczowe kawały
Z brzękiem łabędzich girland — w szarych mrokach
Biły się o świat nowy — na obłokach.

XIII.

Przepowiadano... bez cielesnéj mocy
Duchem zrodzone Chrystusa narody,
Wielkie, jak straszne słońca na północy,
Z ducha i z wody...
Lud taki wstanie — mówili prorocy —
Że wszystkie ludów napełni skowrody [1])
Miodów słodyczą... którego duchowi
Dano, że słońce złote zastanowi.

XIV.

Gdy zechce — ciało do mogiły rzuci
Lud taki święty, Anioł tak ogromny,
Że śmiercią płaczek swoich nie zasmuci.
Bo duchem będzie na ziemi przytomny;
A kiedy zechce: po ciało powróci
I włoży na się, jak pastuszek skromny
Swe dawne, w grobie porzucone kości,
Świécące, pełne cudownéj wonności.

XV.

O takim ludzie sen, chociaż zawczesny,
Był, i pogańskie były ewangelie;
Rok tysiącowy blisko szedł a te sny
Śpiéwane wszędzie, od gwiazd zwane stelie,
Na brzegach Dźwiny i Wołhy i Desny
Dziewy podobne różom, jak kamelie,
Tém, że woń swoję poświęciły Bogu,
W tych snach stawały na wróżek trójnogu.

---

[1]) *Waryant:* Że miodem ludów napełni skowrody,
A kiedy zechce, to ręce otworzy,
Słońce zatrzyma i chleby rozmnoży.

XVI.

Skoro listopad złote liście zwieje,
  A miesiąc się przez rózgi lasów porze:
Kapłan, bywało, biały pieśni pieje
  W staréj kaplicy albo w kniazia dworze,
I przypomina stare ojców dzieje
  I woła głośno wielkie duchy boże...
Kaplice pełne są szczelnie zamknięte —
Przez okna widać ćmy aniołów święte.

XVII.

Sami kniaziowie na nocne żałoby
  Idą do kaplic, lud czarny obsiada
Drzewa pobliskie, cmentarze i groby;
  Słucha — jak echo po kościołach gada;
A czasem w szybach ognistych — osoby
  Staną i dach się jak ogniem rozpada.
Przez wszystkie okna i gonty i szpary
Słychać żałobne pieśni — widać mary.

XVIII.

Takiéj to nocy więc Ziemomysłowi
  Kniaziowi pieśni o Piaście śpiéwano,
Piękne legendy, widne dziś duchowi
        Swą malowaną
Mgłą, która dzisiaj już podobna snowi
  Razem ze Słowian jutrzenką różaną
Wstaje... i znów się pokazuje miła,
By nowe ducha pieśni oświéciła [1]).

---

[1]) Aż dotąd idzie ustęp wzięty z innego opracowania. Poczyna się teraz text najwięcéj wykończonéj redakcyi. W téj redakcyi stanowiła początek pieśni I-széj następująca strofa:

A kiedy mój duch runął powalony,
  Wstała na ziemi moc Antychrystowa.
Noc była — pomnę, księżyc z pod korony
  Lipowéj wstawał; jego purpurowa
Twarz rozpalona, jak węgiel czerwony,
  Cała w płomieniach, jak Jowisza głowa,
Napoły w modréj utopiona chmurze,
Wróżyła jakąś obelgę naturze.

Zaraz potém szedł już daléj text, jak go tu dajemy począwszy od strofy XIX.
(P. W.).

XIX.

Kmieć Piast przed chatą dobrego wieczora
  Używał, stary kmieć, pełny dobroci;
A wtém skrzypnęła domowa zapora
  I weszli do wrót aniołowie złoci.
Wnet przed nimi stół, stągiew miodu spora,
  Pełno mięsiwa i mącznych łakoci,
Pełno owoców rozsypano różnych.
Duchów przyjęto jadłem — jak podróżnych.

XX.

Oni téż światłość utaiwszy w sobie,
  Opowiadali wielkie boże sprawy
O różnych ludach chodzących po globie —
  Walki, podboje, zamorskie wyprawy.
O Hunnach, Gotach, o tajemnym grobie
  Kraka — o wielkim kopcu Bronisławy,
Na który nieraz zlatywał nieznany
Lud — jak jęczący wieniec żórawiany.

XXI.

Mówili, jako każdemu z narodów
  Stawał na czele pan Myśli — i Miecza,
Po dwóch; a jedne szły z krainy lodów,
  A inne od słońc lub Istru zarzecza.
Piast słuchał onych cudownych Rapsodów
  I poznał, że pieśń była nadczłowiecza;
Więc rzekł: — Nie kryjcie się, wyście nie z ziemi,
Lecz aniołami jesteście świętymi.

XXII.

Świadczą mi wasze śpiéwane powieście,
  Opisywane przez was ludów wieńce,
Że aniołami złotymi jesteście,
  Którzyście przyszli od słońc, jak zjawieńce.
Pozwólcie, że tu każę przyjść niewieście,
  A przez was żonę i dziatki poświęcę.
Rzekł, i zawołał Pychy — a ta stała
Skryta za drzewem i podsłuchiwała,

XXIII.

Jak wąż ciekawy w trawach utajony.
  Na korab złoty, wieżę Cybelaną,
Rzuciła fartuch swój gruby, czerwony,
  I stała skryta pod drzewem, za ścianą;
A tylko czasem od miesiąca strony
  Łysnął się na niéj pozłotą rumianą
Przez krokosowe fartucha drelichy
Ów korab, wieża, znak słowiańskiéj pychy.

XXIV.

Więc tylko czasem tym ogniem świécąca
  Błysła twarz, niby jakiéj płomiennicy,
Ciekawa, bledsza bielą od miesiąca,
  Duma w słowiańskiéj na głowie wieżycy;
A gdy mąż wołał, obeszła milcząca
  Dom, potém z wiejskiéj wracała ulicy,
Udając niby, że wraca do chaty,
A nie wié, że dom Bogiem stał bogaty.

XXV.

I dzieci swoje wyniosła z alkierza
  I przed anioły bożymi stawiła.
— „Ten pierworodny, rzekła, na rycerza,
  Czarny jako stal — ciemny jak mogiła;
Ten drugi — róża rozkwitła i świeża
  I w nim jest miłość — ale w tamtym siła;
Ten pierworodny Wodanem się zowie,
Tamten — Ziemowit z światełkiem na głowie“.

XXVI.

Rzekła — lecz anioł ominął Wodana
  W błogosławieństwie, a na Ziemowita
Młodszego zlał duch z obietnicą Pana,
  I odszedł. — I wnet jak róża rozwita
Stał się ów chłopiec; wnet jak wyzłacana
  Różana gwiazda, gdy na zorzach świta,
Jak tęcza, w mglistym gdy świéci padole,
Stało się ono świécące pacholę.

XXVII.

Więc się z okolic zebrali Słowianie
  Widzieć ów boży cud — dziecinę świętą.
Gdzie ona, tam blask, kwiatów rozkwitanie,
  Powietrze wonne różami i miętą.
Wieniec bocianów czasem w chmurach stanie
  I tkwi girlandą niby z gwiazd zwiniętą,
Powietrzne hołdy dzieciąteczku składa,
Skrzydeł nie rusza, a z niebios nie spada.

XXVIII.

Ku niemu ptasząt pogrzeby, wesela
  Lecą, ptaszynki pięknie malowane:
A on je rączką na niebie rozdziela
  W gwiazdy i w różne litery pisane...
Chata się błyszczy, trzoda rozwesela,
  Jagnięta blaskiem tęcz pooświécane,
Kiedy przechodzi, matek odbiegają,
A za nim patrzą, biegną i wołają.

XXIX.

I rósł i w łaskę bożą się pomnażał
  I pokazywał w sobie moc z wysoka;
Schorzałe leczył, szatany przerażał,
  Chmury zdejmował z niewinnego oka;
Piosenki jakieś bardzo piękne stwarzał,
  Ludowi swemu stanął za proroka,
Rok Pański wróżył za onymi laty
Blisko idący, rok piękny — odpłaty!

XXX.

Wszystko to Pycha do swéj duszy kładła
  I zarzucała tém serce matczyne;
Jak upior cichy przy ognisku siadła
  I wosk topiła w ogniu albo cynę;
Potém na jakąś straszną myśl napadła,
  Na straszną przyszła stracenia godzinę —
Wstała, a już noc panowała głucha,
Gdy ona poszła kraść bożego ducha.

XXXI.

Naprzód prześwięte dziecko obudziła,
  Zgasiwszy świécę; potém, sama drżąca,
Fartuchem jasnym Wodana nakryła,
  Stanąwszy tyłem do drzwi i miesiąca,
I rzekła: — Oto Pan Bóg mię przysyła,
  Pan Bóg, który mój duch miłością trąca,
Abym przed tobą upadła na progu
I hołd złożyła jak samemu Bogu.

XXXII.

Jeśli cię, Panie mój cudowny, wzruszę
  Ja biédna wdowa zmarłego pastucha:
To możesz z rączek twą świécącą duszę
  Wylać na grzeszną i dać twego ducha.
Rzekła; a Pan Bóg wietrznéj zawierusze
  Kazał wyć. Wstała błyskawica sucha,
Wiatr się zapalił za wrotyma chaty,
Szatan się w ogniach przechadzał — skrzydlaty.

XXXIII.

A ona ciągle, żebraczka straszliwa,
  Przed dzieckiem włócząc po izbie kolana,
Dyszała cała żółta jak oliwa,
  Przybita duchem lejącym się Pana,
Zatchnięta w sobie, pełna, jeszcze chciwa,
  Ogniami wstydu na twarzy rumiana,
Gdy się uczuła w duchu silna cała,
Wyszła i z chaty jak wiatr uciekała.

XXXIV.

I uciekała i za rękę wlekła
  Syna Wodana; a mąż ją u proga
Spytał: gdzie biegniesz? A ona mu rzekła:
  Idę na mostek na koniec rozłoga,
Idę, a wrócę; gdzieżbym ja uciekła?
  Wszędy na ziemi widzi oko Boga!
Tak tylko wzięłam Wodana za rękę,
Pójdę na wschodnią popatrzyć jutrzenkę.

XXXV.

I puścił ją mąż, a ona na głowie
Związawszy fartuch, poszła w mgłę i wsiękła.
I napotkali ją dwaj aniołowie
I rzekli: gdzieto? — A ona się zlękła
I rzekła: Gdzieżbym ja szła? niechaj powie
Dziecko — na górę idę, bym uklękła
I pomodliła się do bożéj mocy
I popatrzała na gwiazdę północy.

XXXVI.

I zeszły z drogi we mgłę duchy złote;
A ona daléj biegła, a skłamanie
Już przemieniało w niéj ducha istotę
I piękność, któréj równa dziś nie wstanie.
Czarną się stała, jak miedź; na zgryzotę
I na trapienie poszła i zgrzytanie;
Biegła, a nieraz obracała czoła
W powietrze mgliste, myśląc, że kto woła.

XXXVII.

Za nią daleko lipa rosochata
I pola, które par owija błotny,
Daleko święta i świécąca chata
I zadumany w mgłach bocian samotny.
Przed nią mgła, wicher, potępienie, strata,
Los nieodzowny i czas niepowrotny,
Wrota od ludzkich chat pozamykane,
Noclegiem wieńce kurhanów ceglane.

XXXVIII.

A potém noce w strasznych błyskawicach,
Strachy chodzące przez lasy po cieniach,
Niebo w mgłach, a mgły całe w świętych świécach,
A świéce w hełmach, a hełmy w płomieniach...
Szwadrony jakieś aniołów w zbroicach
I w ustawicznych chmury poruszeniach;
Straszniejszy jeszcze ogień kometowy,
W kometach gwiazdy — nie gwiazdy, lecz głowy...

XXXIX.

Obelgę ducha przeświętego czują,
 Są jakby drżące, są jakby ciekawe;
Więc z tajemniczych niebios przylatują,
 Patrzą i oczy obracają krwawe,
Oddechem wiatry zarażają, trują,
 Kłos czernią złoty, palą kwiat i trawę,
Przed nią i za nią trzody mrą i dzieci,
Przed nią i za nią śmierć — a ona leci...

XL.

Owszem nabiera straszliwéj odwagi,
 Na cmentarzyska opuszczone wbiega,
Kości łaskoce, i co szkielet nagi
 Ma jeszcze ducha, to do niéj przylega.
Duch się układa z nią do równowagi,
 Służy, pomaga, szpieguje, ostrzega;
Trup każdy martwy ją wyznaje panią,
Kurhan opuszcza, błyska, leci za nią.

XLI.

Więc już nie sama, lecz grobów świetliska,
 Jak niewolniki, za nią lecą, służą.
Same chcą więzów, wstają z uroczyska,
 Ogniem mogiły rozwalają, burzą...
Tam z pod kurhanu skrzydło złote błyska,
 Tam duch kobiécy skrzy siarczaną różą;
Ona te kwiaty zrywa, wiąże w słowa
I leci — Duchów okropna królowa ..

PIEŚŃ II.

I.

Była w Słowiańskie wówczas osławiona —
  Zober nazwana — czarodziejska góra.
Skalny szczyt miała — na buków ramiona
  Włożony — w chmurach wisiała, jak chmura.
Na niéj pustelnia z ciosu postawiona,
  Ubrana w osty — i w paproci pióra,
Gdzie trzéj mieszkali, mówią, pustelnicy
Pod strażą orła, gadziny i lwicy.

II.

Świętopełk niegdyś, król Czech i Morawy,
  Po stracie wojska zniknąwszy cudownie,
Gdy wiatr go porwał w oczach — za hełm krwawy
  I uniósł jako palącą się głownię,
Ów król bez grobu — człowiek wielkiéj sławy —
  Mówią, nawiedzał skały téj lodownie
I pustelnicze groty... i las wonny
Odwiedzał — jako mieszkaniec pozgonny.

III.

Te pustelniki, których stara chata
  Błyszczała próchnem, kładli mu ofiary.
Więc na ciemnościach pogańskiego świata
  Od lat pięciuset... śnił się ów król stary
Jako trup, który na płomieniach lata
  I z ciałem wchodzi w niebo między mary,
A pustelniki te żywymi trzyma
W niebo wpatrzone szklanymi oczyma.

IV.

Niedziw, że taka wieść o strasznéj górze
  Aż do Słowianki Pychy doleciała.
Ta chata — i te pustelniki w chmurze,
  Którzy od wieków nie złożyli ciała,

Albo przeciwko śmiertelnéj naturze
  Czynią, że się w nich dusza odmieniała,
A kiedy jedna poszła do mogiły,
To cudze duchy im do ciał wchodziły;

V.

To straszne Zober nazwisko się Pysze
  Natchniętéj — zdawna było spodobało;
Więc tam przybiegła i lasów zacisze
  Straszne ujrzała — szczyt przykryty skałą,
Pustelnię — duchy — i one derwisze
  Z duszą żyjącą i z kością spróchniałą,
I widok cudny z onego ugora
Na lasów wierzchy — padoły — jeziora.

VI.

Jeziora jako srebrne się świéciły
  Tarcze — a czasem podziemnymi dzwony
Niby z pod ziemi wyszły — i dzwoniły
  Na różne jęki i na różne tony;
A czasem dusze, co zaklęte były,
  Wyszły ubrane w tak piękne korony,
Jakich nie miała dawna Amfitryte,
Z morskich świécących roślinek uwite...

VII.

Na téjto górze Pycha się z Wodanem
  Osadowiła, a te pustelniki
Wnet uderzyli przed piękną kolanem
  I ducha dali — jako niewolniki.
Królowa duchem, choć kmiecianka stanem,
  Urosła w dumę tak, jak orzeł dziki,
Na onéj skale królująca zdradnie,
Czująca w duchu, że światem zawładnie.

VIII.

Więc często z ogniem lub ptakiem na głowie
  Wyjdzie i wróży wśród mgły i zamieci;

A ile ptaków na niebie zapowié
  I skąd przylecą — to tyle przyleci.
Czasami świateł zorzanych przyzowie,
  To wnet horyzont zapalony świéci;
Na niebo wchodzą jakieś uroczyste
Plamy — rumiane, złote, przezroczyste.

IX.

Sklep się niebieski oblewa płomieniem,
  Farbuje wszystko — skały — drzewa — smugi;
Świat pod rubinem i pod przerażeniem,
  A ona śpiéwa: — Stworzę taki drugi,
Mam siłę bożą — z wiedzą i natchnieniem!
  Króle mi będą wielcy, jako sługi;
Ten tylko jeden, co mój czar wykona
I myśli mojéj pomoże — nie skona.

X.

Ten tylko jeden, co mi ziemskiéj mocy,
  Pókim ja słaba na świecie, pożyczy,
Wyrwany będzie z ostatecznéj nocy
  I część ziemskiego globu odziedziczy;
Owszem zgodzę się, że jako prorocy
  Nad nim stér ducha wezmę tajemniczy,
A jego panem na ziemi zostawię. —
To mówiąc, w tęczach błyszczała, jak pawie.

XI.

I wnet te mowy i te obietnice
  Rozniósł po świecie czar, duch niewidomy.
Usłyszał Otton i wraz wdział zbroicę,
  Wojska pościągał, wielki cesarz Romy.
Mam, rzekł, Słowiany — państwo Słowian schwycę,
  Złotem nakarmię żołądek łakomy!
Przez Pychę będzie mi ziemia wydana,
Wydan mi będzie ten kraj przez Wodana.

XII.

Rzekł; i rycerze swe pod Zobra górą
  Poustawiawszy — w ciemnych borach skryte —
Sam z berłem w ręku, odziany purpurą
  Szedł... onę straszną pozdrowić kobiétę.
Wiem, rzekł, że trzęsiesz zlęknioną naturą,
  Wiem, że masz siły — siły niepożyte,
Wiem, że przed tobą świat zlękniony stoi,
A tobie ziemska korona przystoi.

XIII.

Powiédz, a w skały te berłem uderzę,
  I ludzie zbrojni z kamieni wyskoczą,
Słońce rozniosą złote na puklerze,
  Strzał gradem całe powietrze zamroczą...
Ja, Pan wojsk, z tobą uczynię przymierze,
  A oni ten glob wezmą i potoczą —
Choćby przez niebios trzeba toczyć pole —
Gdzie ty rozkażesz, a gdzie ja przyzwolę.

XIV.

Syna twojego — jeśli chcesz, Wodana,
  Wezmę jak szczenię w lwią cesarską paszczę
I tam zaniosę, gdzie ma być za Pana,
  Świętym cesarskim olejem namaszczę;
Ale chcę wiedzieć, czyś nie oszukana,
  Czy cię pochlebstwo tych trupów nie głaszcze,
Czy świat głoszący takie wielkie dziwa
Nie łże — czyś duchów ty Pani prawdziwa?

XV.

Oto dzień jeden uczyń to na ziemi,
  Aby sen, urok spadł na kraj Popiela!
Niech go samego twoja moc oniemi —
  Uśpi — a z duchem ciała nie rozdziela;
Niech posągami staną się pięknymi
  Królewny — z twarzy nie stracą wesela
Ani ładności, ni łez, które leją;
Niechaj nie umrą, ale skamienieją!

XVI.

Niech będzie żywot — ale zatrzymamy
 I pomóc sobie uczynkiem bezsilny;
Niech jego wojsko tak zaśnie, i Pany,
 I ten, kto mu wróg — i ten kto przychylny!
Gdy to uczynisz: to ja twój poddany,
 Ja twoja ręka, twój posłaniec pilny,
Gdzie każesz, twoje poniosę rozkazy,
Hasła, i w czyny przemienię wyrazy.

XVII.

Rzekł.... a Pycha się nie posiadła w sobie
 Z wielkiéj radości — i rzekła: — Pod zorzą
Ujrzysz mię tutaj w płomiennéj osobie,
 Hymn śpiéwającą, którym świat zamrożę.
Sen taki rzucę i czar taki zrobię,
 Że nawet duchy drzew zastygną w korze,
Nawet lecące z tęczą malowaną
Strumienie, ze skał spadające, staną!

XVIII.

A wojska? króle? Sam ujrzysz oczyma,
 Czy który piersią albo ręką ruszy;
Czy dziécię w ogień lecące zatrzyma,
 Choć będzie patrzał jeszcze ojciec w duszy.
Ani tak łańcuch żelazny poima,
 Którym ty pętasz — bo się łańcuch kruszy;
Ale pod moją ręką ołowianą
Uśpieni, choć Bóg zawoła — nie wstaną!

XIX.

Ja sama rzucę czar — i zdejmę sama,
 Skoroć przekonam, żem uczynić mocna.
Przezemnie wyjście jest ze snu i brama,
 Ja na sen świécę, jak gwiazda północna! —
Rzekła — i zaraz szła, gdzie była jama,
 Gdzie pustelnicy i błyszcz niby nocna
Próchen — i Wodan siedział niemy, głuchy,
Ciemny, a kości w nim łamały duchy.

XX.

I tam runianych głosów próbowała,
Wprzód cicho, potém głośniéj — nad snu drzewa.
Myślałbyś, że to pod niebiosy skała,
A w skale téj trup niewidzialny śpiéwa.
Taka pieśń ciężka, podziemna, wspaniała
Kamienne góry napełniła trzewa,
Taki słów ciężar — ołowianość — siła —
Strach: a to jeszcze tylko próba była...

XXI.

Sam Otton, który szykował rycerze
I sprawiał szyki skinieniem, oczyma,
Staje i słucha — czuje, że czar bierze
I glob zamraża... „Ale czy dotrzyma?
Jak oszust wszedłem w nieświęte przymierze,
(Powiada cicho Pan martwego Rzyma)
Śmiercią sam jestem i snem, a czar dziki,
Sen i śmierć ducha — mam za pomocniki.

XXII.

„Więc może mię strach jaki wielki zdziwi,
Gdy będę rznął te ludzie nieruchome;
Może się Pan Bóg sam wielki sprzeciwi
I swe oblicze pokaże widome;
Może miecz w trupie tak jak ołów skrzywi,
Może przed mury przyprowadzi strome,
A wieże — boską ruszone komendą —
Staną i mieczów ognistych dobędą.

XXIII.

„Cokolwiek ma być — senne czy niesenne,
Dzisiaj przed nocą z wojskami napadnę;
Bo mi to państwo powinno być lenne,
I poprzéć moje chęci światowładne.“
Rzekł; a już niebo jakoby płomienne
Toczyło chmury miedziane — szkaradne,
I cień od słońca przez ludzi rzucony
Był jakiś smętny — cichy i zielony.

XXIV.

Słońce okrągłe zaczynało gasnąć
I coraz bledszém z siebie świécić złotem;
Natura się już gotowała zasnąć
Wespół z uśpionym w narodach żywotem;
Wojsko ruszało — a skały przyklasnąć
Nie mogły echem, brzękiem i łoskotem.
Wszystko się w wielkiéj odbywało ciszy,
Zbrodnia się działa w duchu — sam Bóg słyszy.

XXV.

O! ziemio Słowa — niczém niepożyta,
Zwyciężająca nawet one zdrady,
Które w powietrzu duch od duchów chwyta,
A wykonywa w ciele szatan blady —
Pozwól, że powiem, jak snem upowita
Piękną ty była — bez znaku zagłady
Na swojém ciele, owszem zamyślona,
Owszem piękniejsza jeszcze, gdy uśpiona!...

XXVI.

Ten, kto się jadu w żywocie nabierze,
Straszny jest we śnie — mgła go kryć powinna;
Ale śpi pięknie dziecko, póki świeże,
Młoda dziewica, dopóki niewinna.
Dopóki anioł snu ludzkiego strzeże,
Dźwięcznie na lirach gra piosenka gminna,
A straszny anioł, co jest ludu wiarą,
Stoi z płomiennym mieczem za kotarą.

XXVII.

Dopóki światła w duchu nie wyżarły
Duchy, żądz ogień miotając przeciwny,
Piękny jest śpiący — chociażby umarły,
Piękny i w swojéj piękności przedziwny...
Więc się — śpiąc — duchy narodowe wsparły:
Ten o kolumnę, ten o pług pożywny,
Trzeci o sztandar oparł się pobladły:
Wszystkie stanęły — ale nie upadły!

XXVIII.

Nie — nie upadły... lecz wszystkie stanęły,
  Ten w polu, a ten na zamku, a drudzy
Schyleni stali nad marnymi dzieły,
  Wiecznie zwyczaju i form dawnych słudzy...
A inne, które się na palcach wspięły,
  Patrząc daleko — na kraj jakiś cudny,
Niepomne swojéj narodowéj chwały,
Śpiąc nie upadły — ale tak zostały.

PIEŚŃ III.

I.

Gdy tak sen onę biedną ziemię chwyta
  I wiąże — czynu i ruchu pozbawia,
Przyszedł błyszczący duch do Ziemowita
  I rzekł: — Przez ciebie Pan świéci i zbawia.
Wstań — oto jedna mocarka, kobiéta,
  Przeciwko Pańskiéj — swoję wolę stawia
I ducha przeciw duchowi używa,
Bo nie jest czysta, lecz zła i kłamliwa.

II.

Więc skoro zorze obaczysz wieczorne,
  A jeszcze blady róż na polach będzie,
Gdy pług porzuca ciche pola orne,
  Gdy dolatują gniazd dzikie łabędzie:
Wstań i weź z płótna ubranie pokorne,
  Które ci sługa twa domowa przędzie,
A świécznik także w rękę weź wesoły,
Który pozłacasz ty, a czynią pszczoły.

III.

I zapaliwszy ono światło złote,
 Idź w zamek senny twojego książęcia;
A oświéciwszy całą sal ciemnotę,
 Nic nie bierz — choćby co było do wzięcia,
Nie łudź się blaskiem, nie wpadaj w tęsknotę,
 Chociaż tam smętno żyć pod snem zaklęcia...
Strzeż się pokalać jakim ziemskim grzechem,
Lecz stań, a wszystko obudzisz uśmiechem.

IV.

A gdy obudzisz — strzeż się, aby która
 Z Popiela córek do kolan nie padła!
A nic — pawiego nawet nie bierz pióra,
 Ni kwiatka — ani patrzaj się w zwierciadła.
Króla gdy zbudzisz, mów, że wrogów chmura
 Granice wzięła, zamki już napadła;
Król obudzony niechaj państwo budzi,
Reszta — jest dziełem lat i dobrych ludzi.

V.

To rzekł, i wonne powietrze zostawił
 I szedł; a z nim szedł różany młodzieniec
Ziemowit. Patrzy — naprzód go zabawił
 Powietrzny chaty oblask i rumieniec,
Potém woń — potém w puszczach mu się zjawił
 W palmach zielonych aniołowy wieniec;
Dziwi go natur nieznajomych przyjście —
Blask — świętość — i drzew nieznajomych liście.

VI.

Świętość go jakaś napełnia, oświéca,
 Podnosi w jaśnie, w nieba, w duchu stawia;
Idzie — a w ręku jego złota świéca
 Płonie i sama w kwiaty się oprawia.
Taka twórczości rajskiéj tajemnica
 Ani go dziwi, ani zastanawia.
Wyszedł na pola żyt i czarnoziemu
Szerokie, miłe wzrokowi wolnemu...

VII.

Miasteczka ciche i po uszy pjane,
  Wioski o wiekach może złotych śniły,
Tak jako sady owocem rumiane
  W cichy jesienny dzień, albo mogiły,
Zdają się smętne i pozamyślane,
  Myślą, czém będą, i pomną, czém były;
A tylko czasem listki na nich wstają
I niby muzyk globowych słuchają.

VIII.

Nic nie ryknęło po bydła zagrodach,
  Ciekawość nigdzie okien nie otwiera.
W stawach — jak cyna i ołów na wodach,
  Woda nie spada nigdy i nie wzbiera;
Gościnność czujna — nie czuwa w gospodach,
  Nic się nie rodzi i nic nie umiera;
Aż w święte, złote serce Ziemowita
Lała śmierć — ziemia na duchu zabita...

IX.

Idzie, jako sen... a tu horodyszcze
  Mija — z rycerstwem senném na okopach;
Owdzie moczarę, gdzie stęchła nie świszcze
  Trzcina; tam pole — zżęte, lecz nie w snopach.
Przez pola — ścieżek jakieś złote błyszcze
  Wiodą go ciągle, świécą mu przy stopach
I świécą daléj, idąc przez ugory,
Aż w straszne, śpiące Popielowe dwory.

X.

Nic nie zmieniło się — żadnym obłamkiem
  Nie grozi wieża, choć chwiać się musiała
W chwili, gdy czas się zatrzymał nad zamkiem,
  A zamek stracił ruch i czyny ciała;
Najmłodsza córka jeszcze za barankiem
  Goniąca — sama jak baranek biała,
Motylem wielkim tęczowym goniona,
Stała... baranek, motylek i ona.

XI.

Na szmaragdowéj trawie ono dwoje,
A motyl wisiał i trwał na błękicie.
Druga, wchodząca w kryształowe zdroje —
Oddech w niéj ustał, a zostało życie
I wstyd... bo jedną ręką srebrne stroje,
Ostatnie piersiom dziewiczym zakrycie,
Trzymała silnie, ku piersiom je cisnąc!
Drugą dłoń miała na wodzie — jak prysnąc...

XII.

Nie tylko ona — lecz nawet ciekawe
Te rybki, które wszelka białość nęci,
Skrzelki czerwone i łuski złotawe
Pokazywały na dnie wód; — snem zdjęci
Motyle wodni — gdy na nóżki zjawę
Lecieli — teraz do nóżki przypięci,
Wstążką błyszczącą na dnie wód świécili,
Jak tęcza do nóg przypięta Dziedzilli.

XIII.

Trzecia... (dwanaście król Popiel miał córek)
Trzecia po piękną, najświetniejszą różę
W ogrodzie weszła na najwyższy wzgórek —
Rękę podniosła, a kwiat wisiał w górze,
Lecz obwinięty pierścionkiem z jaszczurek...
Kwiat ją przeraża, wabią pączki duże —
Tak ją zastała ta chwila straszliwa,
Że chce i nie chce — boi się i zrywa.

XIV.

Insza... już w sali — najdumniejsza z rodu,
Przy złotym, małym siedząca organku,
A obrócona oknem do zachodu
Ku zorzy — w pawich piór świécącym wianku,
Bita blaskami mrocznymi z ogrodu,
W pół-śnie — myśląca może o kochanku,
Gdy palce już ton na klawiszach biorą,
Zastygła... wszystkie pawie pióra gorą,

XV.

Jak gwiazdy... z jéj ust jeden ton wylata,
  Ton jeden, ale już najwyższy w śpiéwie,
Ton, może zdolny porwać serce świata,
  Ten ton, o którym ona jeszcze nie wié,
Czeka nań... już swe rysy z dźwiękiem brata,
  Już w zachwyceniu bożém — jakby w gniewie,
Siedzi cudowna w Sybilli postawie,
Muzyką błyszczy — jak te pióra pawie.

XVI.

Inne, uczone, nad księgami siedzą;
  Lecz z literami oko nic nie czyni,
O duchu w księgach zamkniętym nie wiedzą.
  Jedna skończyła kartkę — palec ślini,
Widać ciekawa, co wieszcze powiedzą
  Na drugiéj karcie — od natchnień bogini
Już rozkwilona stoi i zaklęta,
Z perłami w oczach, ciekawością zdjęta.

XVII.

A najpiękniejsza (co się nawet zdarzy
  Królewnom), cała zlękniona i drżąca,
Widać giermkowi pozwoliła twarzy
  Na chwilę tylko — już uciekająca...
Giermek też usta, gdzie ogień się żarzy,
  Przybliża... koral już w alabastr trąca,
Już... wtém stwardnieli w piękność monumentu,
Ustom jednego zabrakło momentu.

XVIII.

Rzekłbyś, że Dusza i Miłość zjawione
  Drugi raz w głębi czarownego dwora:
Oboje w jednę pochyleni stronę,
  On ku niéj... ona do ucieczki skora —
Nie tak jednakże, aby usta one
  Nie miały w mroku wonnego wieczora
Czuć co słodyczy; wszakże się nie nagną,
Ona ucieka — usta jeszcze pragną.

XIX.

Takimi czary otoczony wkoło
  Ziemowit, widzi te, i drugie jeszcze;
Ta z twarzą smutną — złą, a ta z wesołą;
  Te kwiaty — te z rąk sieją pereł deszcze:
Wtém ujrzał księcia, który miał pod połą
  Rękę na mieczu, w oczach gniewu dreszcze
I biegł, jak gdyby duchem poczuł wroga
I zatrzymany był z nogą u proga.[1])

XX.

W tego utopił piękne oczy swoje
  Ziemowit, w tego swoje duchy wkłada.
On wnet się budzi i woła na boje,
  Chorągiew chwyta i konia dopada.
Budzą się córki — szmer wchodzi w pokoje;
  Echo wesołe po sklepieniach gada:
Zdaje się zrazu, że nie szmer z człowieka,
Ale wleciała jaka srebrna rzeka.

XXI.

Patrzą na siebie — już nie kamienieją,
  Ani je mroźny czar wzajem odpycha;
Lecz się ściskają — całują — łzy leją,
  Wstyd się rumieni, miłość znowu wzdycha,
Broń znowu szczęka — chorągwie znów wieją,
  Koń hamowany kopie grunt i prycha...
Przed nocą wszystko w szeregach — na wieżach —
W polu — na czatach, albo na harcerzach.

XXII.

Miesiąc ogromny blasków swych nie traci,
  Bo mu je wszystkie od tarcz odesłano;
Więc naprzód czarni rycerze, skrzydlaci,
  Szli na cesarską ciżbę pozłacaną.

---

[1]) Aż dotąd idzie text wzięty z ostatniego opracowania tego rapsodu. Co dalej następuje, zestawione jest z dawniejszych redakcyj. *(P. Wyd.)*.

Starto się — bracia ginęli za braci,
Lecz hełmy cięto, chorągwie ścinano...
Przez Niemcy, jako przez łamane żyta,
Poszła chorągiew złota Ziemowita.

XXIII.

Reszta w popłochu, we krwi i w rozgoni
Na krew, mostami złote tarcze ciska.
On za cesarzem przez mgły ciemne goni,
Przez pola — debry — góry — uroczyska;
Miecz ma nad głową, sztandar w drugiéj dłoni;
Na hełmie krzyżów słońcowych zjawiska
Jawią się ciągle, jak ogromne słońca,
W oczach cesarza — na hełmie pogońca.

XXIV.

Już go dopadał... gdy nagle ponura,
Jak szatan, cała w płomieniach i grzmotach,
Stanęła wielka nad cesarzem góra
I las go w łono wziął i ukrył w błotach.
Ziemowit trąbił, ale mu natura
Ech nie oddała w tych wielkich samotach;
Tylko coś w ogniach — w górze — niby skała
Jękła i głosem matczynym jęczała.

XXV.

Serca swojego zatrzymać nie zdołał
I swéj miłości... Stanął — podniósł czoła
I w puszczy głośno swojéj matki wołał,
I ciągle wołał — a głos miał anioła.
— „Matko, gdzie jesteś? mówi — jam podołał
Wrogom ojczyzny... jam święty kościoła!
A tu jęk słyszę, widzę tę pożogę,
Tę skałę w ogniach — a pomóc nie mogę.“...

XXVI.

Wołał i płakał — i smętniejsze słowa
I gwałtowniejsze prośby rzucał w chmury

I szedł — a ciągle jasność purpurowa
  Stała na szczycie tajemniczéj góry;
Więc szedł w ten ogień, a wtém matki głowa
  Na prześcieradle ognistéj purpury
Stanęła — lub jak blada trupia plama,
Bez rąk i piersi — głowa tylko sama...

XXVII.

Usta otwarte miała, a z otworu
  Ust — jakby ciemność i strach wylatywał;
Twarz zielonego jak trupi koloru,
  I oczy zmarłe, z których strach przeszywał.
Straszna zjawiła się nad szumem boru,
  Włosy strach podniósł, a wicher rozrywał;
Potém ją jasność z oczu syna zdjęła,
Nic nie wyrzekła — straszna, i zniknęła...

XXVIII.

On widział — nie wié, co począć — dech traci,
  Pada jak martwy, a już trąby dzwonią;
Sam król nadjéżdża — rycerze skrzydlaci
  Za królem w zbrojach purpurowych gonią;
Król — dłużnik wielki — królestwem zapłaci,
  Może królewny któréj piękną dłonią,
Byle się zbudził ów kmioteczek młody,
Który uśpione obudza narody.

XXIX.

Zbudzi się kmiotek... w duchu swego Pana
  I kiedyś całe królestwo otrzyma;
Tymczasem stawią przed królem Wodana
  Opętanego — z krwawymi oczyma.
Pytają... a w nim kość duchem łamana
  Pomimo woli rzuca się i zżyma;
Ciemnym wydany władzom na igrzysko
Cały się rusza, tak jak wężowisko...

XXX.

Widział, jak matka natężyła woli
I póki trwał czar — cała w mocy rosła
I kraj cisnęła -- z uwagą, powoli,
Z całą rachubą strasznego rzemiosła...
Nie tylko króla — skowronka z nad roli
Chciałaby uśpić — na ziemię go niosła,
Pod kamień kładła, przywalała pleśnią,
A wszystko — duchem czyniła i pieśnią...

XXXI.

Nagle, gdy zdało się, że już w natchnieniu,
W tryumfie niebo i ziemię posiadła:
Wstrzęsła się cała w jakiémś otrupieniu
I zbladła, jak trup — i jeszcze pobladła...
I jeszcze bladła — bo choć po imieniu
Wzywała duchów, które są — nie zgadła,
Że jeden anioł powietrzny, rumiany,
Globowy przyjdzie, choć nie zawołany.

XXXII.

Przyszedł... z daleka widny, jak kropelka
Małych płomieni! Potém już opona,
Chmura i niebios błyskawica wielka,
Straszna, podstępna, cicha i szalona,
Zgwałconych duchów natury mścicielka,
Mocna, jak żywioł — jak duch, obrażona —
Wyższa niż góry — szaleńsza niż morza —
Szła... i na skały wstępowała zorza.

XXXIII.

„Jam jest" — okropne wołało ognisko,
„Jam jest" — wołał duch okropny, rumiany,
„Jam jest" — powiadał, przylatując blisko,
„Jam jest, niewolnik — ale zbuntowany!"
To mówiąc, wleciał — i na uroczysko
Wszedł jak na okręt falami rzucany;
Ogień się zmięszał z drzewami i skałą,
Swiatła się starły, skłębiły — zawrzało...

XXXIV.

W płomienia łonie jakieś miecze siekły,
We wnętrzu ognia jakieś wichry wyły;
Potém te wichry i ognie uciekły
Od niepokrytéj a pełnéj mogiły,
I tak jako mgła nad skałą się wlekły
I do północy rycerzom świéciły;
Potém płomienne odwrócili twarze
I poszli — straszni globowi mocarze.

XXXV.

I wszystko znikło — jak sen w księdze Pana
Wpisany... w ludach śniony dla przestrogi...
I wszystko znikło — i tylko Wodana
Duch o tém wiedział zwiędły — pełny trwogi...
Więc jako sarna — biédna, postrzelana,
Gdy chudy ma bok, utrącone nogi,
Chroni się ludzi, do lasa ucieka,
A serce bije w niéj — jak u człowieka: —

XXXVI.

Podobnie Wodan znikł — i uciekł w lasy,
Do reszty stał się ludziom niepodobny;
Jako zwierzątko — na wszelkie hałasy
Drżący, jak jaki dziki ptak — osobny.
Jesienne, mgliste, z tęcz znikome pasy,
Miesiąc, gdy zimno, a dészcz sypie drobny,
Liście, które drżą w chłodzie na osinie
On lubił — i kwiat, który w puszczach ginie...

XXXVII.

Niewysłowione, lecz bolesne drgania
Myśli tajemnéj jemu były znane;
Halcyjon, gdy jak anioł się odsłania
W mgłach — i swe pióra rozwiał malowane,
Mech zimny — w puszczach migająca łania,
Orły samotne, lub spiorunowane
On widział... wszystko, czém natura smuci,
Zna — straszny kiedyś anioł smętny wróci.

XXXVIII.

Teraz jak jeleń — gorszy od żebraka,
Bo nie śmié przyjść nad ognisko pastusze,
Ale od liścia woli i od krzaka
Mieć swą obronę przeciw zawierusze —
Błąka się, ginie... Dola jego taka,
Jak wszystkich, którzy własną zdradzą duszę,
A nie dotrwają w duchu swoim święcie,
Lecz wezmą — obie na czoła pieczęcie.

XXXIX.

Czasami wieniec smolnego łuczywa
Zapalał i szedł po lesie, a kmiecie
Mówili, że to postać słońca żywa
I wczłowieczona w jakieś Pychy dziécię...
To jakieś lirki struga — i wygrywa
Swoje boleści i rzuca po świecie,
A nikt wyraźnéj pieśni nie dosłyszy,
Tylko sny jakieś szklane — w lasów ciszy...

XL.

Potém — jako cień leśny w lasach zginął,
Jak paralityk w ogień patrząc Pański;
Ale się z niego w Słowiaństwie rozwinął
Ów cały dziwny smętny ton słowiański.
Przeciwko słońcu — jak łódź biédna, płynął,
Wzięty szatanem — on nie był szatański!
Mogiła jego gdzieś, mchami pokryta,
Marzy o jasnym duchu — Ziemowita.

XLI.

A tego pamięć zawsze ukochana
Przez lud — ginący. On znów żyje — wraca
Anioł mój — straszna chorągiew rumiana,
Która się do słońc ostatnich obraca...
Już jego lud wié, że ten za tyrana,
Kto go na duchu zabija — wytraca,
A nie ten, który mieczem głowy zbiera,
A duchom żywot i słońce otwiera.

XLII.

On to słoneczny posadził na tronie
  Szczep, w który miały duchy święte wchodzić;
A ta się jabłoń nad wszystkie jabłonie
  Rozrosła w kwiaty — i zaczęła rodzić...
Jakie tych duchów pięknych były wonie?
  Jak zaczynały kraj budować — grodzić?
Jako na węża Pychy startéj głowie
Stanęli? — inny z odwiecznych opowie.

—

RAPSOD CZWARTY.

MIECZ A SŁAWA.

PIEŚŃ I.

I.

Gdy się to działo, przyszły do mnie duchy
  W ogniu i rzekły: — Czas twéj męki mija.
Oto lud poznał: nad miecz i łańcuchy,
  Straszniejszy — który na duchu zabija!
Rzekły; mnie zaraz kształt ślepy i głuchy
  Jak powój, który kolumnę obwija,
Porwał i rzucił niby w ciała trumnę,
Jak ognia i mgły skruszonéj kolumnę.

II.

Wtenczas pod świętém onéj trójcy prawem,
  Która tu ludzkie duchy w kształt ubiera
I czyni, że sił duchowych objawem
  Błyska albo się ćmi globowa sfera;
Jam przyszedł, król-duch, zwany Mieczysławem,
  Z króla zarazem dolą — i Homera,
Bo kolorami ten świat tak przyjemny
Nie błysnął moim oczom — byłem ciemny!

III.

Duch przerażony, jako na dnie truny
  W dziecięciu siedział, jak na dnie mogiły;
A kiedy gadki gadali piastuny,
  Jemu się jakieś dawne duchy śniły,
Niepewne blaski i pożarne łuny,
  Nie ciała z ziemi zadusznéj — lecz siły,
Pioruny, które śpią cicho w podłodze
Snopem płomieni — a nie szkodzą nodze...

IV.

Ludzie gadali do mnie jak obłoki,
  A gdy znaleźli płomieniste słowa,
Ze słów rodziły się lwy, albo smoki,
  Lub na psach — orłów ognistych połowa;
Nie śmiałem stąpić, bo ktoś moje kroki
  Wodził po morzu z gwiazd... gdzie mi szła głowa
Patrząca w przepaść strasznie i ciekawie,
Pierwéj nim nogi na światłach postawię.

V.

Czasem miesięczna noc — dziwne głębiny
  Błękitne, a gdzieś na skalnych urwiskach
Jęczą widziane jak psy lawantyny,
  Gwiazdy we włosach chodzą i w ogniskach.
Potém świat ludzki, ale cały siny,
  Bezbarwny, szary, w księżycowych błyskach
Zjawia się, niby tłumna ćma upiorów
Zdjęta z miesiąca — bez krwi i kolorów.

VI.

I raz słyszałem, jak moja piastunka
  Mówi do ojca: — „Czarno-duch w nim siedzi!
Złotego nigdy on nie widział słonka,
  Nigdy dziecięcia anioł nie nawiedzi...“
Tak ta mówiła okropna zwiastunka.
  A jam słyszał brzęk głuchy, straszny miedzi —
Widać, że ojciec na takie nieszczęście
O mur druzgotał hełm — o puklerz pięście.

VII.

I krzyczał: — „Niech mi pan Bóg zamknie oczy!
Niech mi królestwo moje weźmie całe!
Niech mię wężami, jak Popiela stoczy,
Niech jak od Piasta weźmie duch i chwałę;
Tylko niech spełni ludu sen proroczy
O tém dziéciątku, i światło mu białe
Da i władanie berła i oręża!
Wszakże potrzeba téj ojczyźnie męża!

VIII.

„Siedem już lat ma — jutro go postrzygę,
Lecz chyba wezwę — nie grajków, lecz płaczek!
Ja stary jestem — już ledwo się dźwigę,
Już ledwo chodzę; a on co? — ciemniaczek!
O! biednąż mój ród nowy ma łodygę!
Szczęśliwsze łona są naszych wieśniaczek:
Rodzą jak maki pełne na zagonie,
Jak zdrowe, ciężkie po sadach jabłonie.“ —

IX.

Pierwszy raz ojca lament — z brzękiem zbroi
Słysząc, dziecinna myśl — zobaczyć chciwa,
Roiła sobie, że to burza stoi,
Brzęczy... i wyje i wichrem porywa,
A piorunami uderzyć się boi
We mnie, bo ojcem moim się nazywa.
Więc się ukryłem pod piastunki szatę,
Sądząc, żem dziecko smoka nieskrzydlate.

X.

Ani wiedziałem, co to wzrok — którędy
Dusza wyziera... Anioł się dziś śmieje,
Kiedy pomyśli, na jakie obłędy
Szedł domysłami, tworząc ciała dzieje.
Wzrok — jest to ogień, mówiłem; ten wszędy
Musi wytryskać... z włosów, z rąk się leje,
Ciało w promienne szaty przyobleka,
Świéci z człowieka — i patrzy w człowieka.

XI.

Takiego wzroku, myślałem, dostanę,
  Kiedy o wzroku myślałem, ślepotka.
A już mię jakieś duchy rozbłyskane
  Uczyły, gdym spał... O! nauko słodka!
Jeżeli kiedyś ciemny zmartwychwstanę:
  Niech ta pieśń — tkana z promieni i wiotka,
Smętnie dzwoniąca — słońcami zatrwoży,
A takie światło w mego ducha włoży!...

XII.

Więc nieraz — jak ptak zlękniony, nieśmiało
  Gdzieś na cedrowe kufry pójdę — siędę —
I myślę, że wzrok — jestto światłe ciało
  I kolor, który z siebie wydobędę.
„Spraw, aby ze mnie, o Boże! błyskało,
  Wołam, a tobie wiecznie świécić będę
I będę błyskać od nocy do rana,
Niby pochodnia pięknie malowana!“

XIII.

Więc na takich mnie modlitwach znachodzi,
  Bywało, matka: to tak cicho kroczy,
Jak sen, i słucha — a potém wywodzi
  Ze snu — całuje w zapłakane oczy,
Pyta, czy jaki miesiąc w snach mi wschodzi?
  Czy jakie słońce się po niebie toczy?...
Ja odpowiadam stojącéj nademną:
Nie, matko — wszędy smutno mi i ciemno!

XIV.

Więc przed postrzyżyn rankiem, jak na jawie
  Dziś widzę, do snu szedłem przerażony
Obrzędem, w jakiéjś półsennéj obawie,
  W przeczuciach... Świat mi zdawał się czerwony,
Ludzie z mieczami, jak mgły; a ja prawie
  Dziecko z piorunów, na głowie strzyżony
I zarzynany w kącie bez litości,
Jak jaki jasny baranek — w ciemności.

XV.

A jeszcze k'temu strachu przymnażała
Piastunka, która nad kołyską siadła
I czarne pieśni okropne śpiewała
Przy kołowrotku; więc jakieś widziadła —
Popiel czerwony — jakaś kępa — skała —
Kobiéta, która z niéj do rzeki spadła —
Jéj dyjademat złoty — powiew chłodny
Od szat, a potém jęk słyszałem wodny.

XVI.

Tyle już razy ta Popiela wieża,
I narcyz biały Wandy, i Supany,
I rycerz, który na miasto uderza,
W piosence Ryżym Tygrysem [1]) nazwany;
Tyle już razy ów kurhan rycerza
W pieśniach straszących słyszałem śpiéwany,
Że już napróżno mi w zmysły półśpiące
Ta pieśń upiorne wrzucała miesiące.

XVII.

Jednak tą razą, zamykając oczy,
Czułem, że jakaś tajemnica bliska
Napada myśli i chmurami mroczy
I do błyśnięcia zmuszając naciska.
Duch kiedy we śnie w te krainy wkroczy,
Gdzie kształtom już dać nie może nazwiska,
Wié, jaki strach ma przed słońc tarczą bożą,
Myśląc, że pękną — albo się otworzą.

XVIII.

Jakaż mi, Panie, wtenczas dziwna zmora
Przyprowadziła świat — ciemny, ponury,
I postawiła w oczach jak upiora,
A potém słońcem nań lunęła z góry?
Mig jeden tylko — a ja, ciemny wczora
I niewidzący kolorów natury,
Podniosłem pełne już kolorów łono
Jasnością we mnie przez duchy wstrzeloną.

1) Ry-Tyger.

XIX.

Chwileczka jedna, a rozweselnica
Ciemności moich, ta chwilka jedyna,
Przysłana z nieba jako gołębica
Na szyi złota — rubinowa — sina,
Tak się zażegła w oczach, jako świéca,
I swój tęczowy wachlarz z piór rozgina,
A ducha, który jak spowity leży,
Rozwija jak kwiat — na świat coraz szerzéj.

XX.

Czy to był ludzki świat, czy jakie raje
Zjawione? — nie wiem; lecz w pamięci stoją
Z wielkoróżanych drzew ogromne gaje,
Które się czołem w gwiazdy iść nie boją;
Z perłami na dnie świécące ruczaje
Cieką — a w oczach jak brylanty broją
Wszędy, gdzie woda załamana spada,
Lub w górę tryska i w kwiat się rozkłada.

XXI.

W górze jakoby różne rajskie ptaki,
Fenixy, dziwa, błękitnym niebiosom
Czyniły słońcem przezłocone szlaki,
Lub malowały wstążki — słońca włosom;
A co dziwniejsza, że świat cały taki
Był, jako harfa, różnym ludzkim głosom
Oddana niby na walkę i bitwę,
Aż szły... i w jedne zlały się modlitwę.

XXII.

A ja słyszałem: Hosanna! Hosanna!
Hosanna!... Panie, tworom daj człowieka!
I cała tych łąk różaność poranna
Zasłoneczniła się; w słup poszła rzeka,
Ptaki spadały jak mgła nieustanna,
A inne od słońc leciały z daleka;
Natura cała była w zawierusze,
Świat cierpiał — drzewa szumiały, jak dusze.

XXIII.

Nagle... już miałem obaczyć tę chwilę,
  Na którą ów raj z wielkim szumem wchodzi:
Gdy jakiś starzec — duch większy o tyle
  Od człeka, który się z mogiły rodzi,
Jak miesiąc, kiedy na jakiéj mogile
  Otumanionéj, w kręgu duchów wschodzi
I krwawą tarczą mgłę smętną roztrąca,
Większy się zdaje ludziom od miesiąca —

XXIV.

Gdy taki starzec, mówię, swe ogniowe
  Szaty postawił mi przed wzrok — jak ścianę!
I oczy bystre, orle, lazurowe,
  Kryształy ogniem piekielnym rumiane,
Wrył we mnie — cichy, i na moję głowę
  Chciał swoje ręce kłaść pozapalane,
Sprawiwszy tyle nad duszą przelękłą,
Że oko mego snu jak kryształ pękło...

XXV.

Pękło! Jako szkło, gdy wytrwać nie może
  Ogniowi — staje wnet w gwiaździstych ranach:
Tak mój duch rzekłszy: powieki otworzę,
  Ujrzał się ciemny, tak jak trup w kurhanach.
Pomnę — chociaż to w królów było dworze,
  Świerszczyki sobie śpiéwały po ścianach,
Jak zwykle, kiedy chłód i miesiąc siny
Wziera przez belek cedrowych szczeliny.

XXVI.

Pomnę... ci smętni nocni muzykowie
  Dzwonili; pełną muzyk była ściana,
A tam, gdzie było ciemnemu wezgłowie,
  Druga pieśń stała — przez niańkę śpiéwana;
Stała jak upior z ogniami na głowie,
  Natrętnie dzwoniąc imię Zoryjana;
I stało na tém imieniu śpiéwanie,
Jak zégar, kiedy na północy stanie.

XXVII.

I właśnie strofa szła o jego męce,
  I śpiew przez usta Zoryjana gadał;
Ten sam, który kładł we śnie na mnie ręce,
  Na zbudzonego swe przekleństwo wkładał;
Przeczucia jakieś odgadły dziecięce,
  Czegoby rozum zbudzony nie zbadał,
Że między pieśnią a snem związki były...
Że pieśń ta i sen z jednéj są mogiły...

XXVIII.

Oboje razem zmartwychwstały mary,
  Gdy przyszła pora na nie nowéj pracy;
Oboje razem pod ciemne kotary
  Weszły, oboje razem, jak żebracy
Sprawiedliwości boskiéj... Duch mój stary
  Świętego Jana głowę miał na tacy,
I odtąd ciągle — na powietrzu, blady
Widzi wzniesioną perłę Herodyady...

XXIX.

Pewny, że starzec ów błękitny, siwy,
  W płomieniach znowu po dniu się pokaże:
Rano do gontyn szedłem ledwo żywy,
  Z głosów słyszanych wszędzie rojąc twarze...
Szedłem i niosłem z tęczowymi grzywy
  Gołąbki bogom opiekuńczym w darze;
A one, bijąc skrzydłami daremnie,
Strach czuły, a ich serce — biło we mnie.

XXX.

Sen nawet jakiś miejsc powstawał na dnie
  Ducha mojego, jak czasem te grody,
Na które w nocy błyskawica padnie,
  Ozłoci mosty, pałace i wody —
Potém zagasa nad miastem i bladnie,
  I miasto całe ze swymi narody
Niknie, jak gdyby pod ziemię się skryło,
Skąd było wyszło snem i zaświéciło...

XXXI.

Koło mnie wielki gwar... a potém cisza,
Jakby skinięciem berła nakazana.
Dziś czuję, jak się we mnie duch zadysza,
Czeka... i cały już drży najściem Pana.
Krok jakiś, który nie miał towarzysza,
Krok jakiś dumny, ciężki... krok kapłana,
Zbliżał się do mnie. Jam ręce niemocne
Postawił naprzód, czując widmo nocne...

XXXII.

On szedł — i coraz bliżéj w moich oczach
Błękitniał się płaszcz, a u kolan nisko
W złotych, zielonych i sinych warkoczach
Po pas wchodzące dziwne płomienisko;
W ręku coś... jakby w dymu nadobłoczach
Narzędzie pieśni; przedemną — już blisko,
Już tylko o to rączek wyciągnienie
Ten starzec — ten płaszcz — ta twarz — te płomienie.

XXXIII.

Już rączki moje w nich, jak w mgle, już toną —
Już jest nademną — przy mnie — już dotyka;
Już główkę czułem dotknięciem zmrożoną,
Już czuję zimne dotknięcie nożyka...
Całą moc wtenczas w źrenicę wyszkloną
Posłałem — jak grzmot, który drzwi odmyka,
Chciwy tę postać widzieć, nim w blask wskoczy —
I dusza wyszła mi jak grzmot... przez oczy!

XXXIV.

Wyszła! nie widział jeszcze nikt, że patrzę!
A ja patrzałem już, i zadziwiony
Ujrzałem widmo przy sobie — najbladsze,
W bieliźnie — które mój włos ustrzyżony
Trzymało w ręku, a w drugim najrzadsze
Wonności, w ogień zmienione czerwony,
Objęte czarą złotą, bursztynową,
Wyżéj trzymało w pomroku, nad głową.

XXXV.

Kapłanką była — i podług obrządku
W kwiaty ubrana i w białą symarę,
Włoski ucięte nożem niewiniątku
Do tych wonności boskich kładła w czarę;
Te do olejów przyrzucone wrątku
Miały pójść razem z czarą na ofiarę;
Ona zaś czarę, którą blask przeniknie,
Trzymać powinna, aż spłonie — i zniknie.

XXXVI.

Patrzący na to, nie wydałem głosu:
Gołębie z rąk mi pierzchły; a me wzroki
W téj czarze, jako w złotéj gwieździe losu,
Z tą gwiazdą jakby idące w obłoki;
A czara płonąc w kole z jasnowłosu —
Jako rubinem szatan krwawooki,
Niby grożąca jakaś gwiazda boża,
Jak kropla jasnéj krwi z zabójcy noża —

XXXVII.

W jéj rękach skrzyła się — trzaskała — piekła...
Wtenczas krzyknąłem: ach!... Ojciec przyskoczył,
Dusza zeń cała łez strumieniem ciekła,
Wziął... ramionami mnie dziécię otoczył...
Co rzekł — co jęczał — co kapłanka rzekła?
Nie wiém... strumień łez wzrok i słuch zamroczył;
Oczom, co jasność zobaczyły złotą,
Znów pocałunki zostały ślepotą.

XXXVIII.

Lud cały krzyczał, ojciec jak orlica
Porwał mię w szpony i uciekał ze mną...
Jam patrzał smętnie — cicho w jego lica,
Bom jego nie znał... a on był nademną.
Myśl moja zaraz, jak dawna tęsknica,
Z martwych powstała. Wszędy głucho — ciemno —
Słońce to samo świat cały pozłaca,
Ale świat nowy... nowa na nim praca!

XXXIX.

Sosnowe ojca domy — jakoś niskie,
  Ku gospodarstwu więcéj, zda się, dążą;
Szpichlerze jakieś i sady są bliskie,
  I dziwnie belki się wysokie wiążą;
Sionki wysokie, a glinami śliskie,
  Wyżéj krużganki jakieś złote krążą
Ubrane w szyby — a szyby w ołowie,
Jakby w bladawych szatach aniołowie.

XL.

To był cud jeden, który przypominał
  Duchowi memu niewidzialne rzeczy...
Na te krużganki patrząc, śnić zaczynał;
  Gdy na dół spojrzy, to znów jest człowieczy.
Tam czasem król sam barana zarzynał,
  Albo królowa swe żebraki léczy,
Torby napełnia, opatruje rany —
Niższa od starców siedzących — kolany.

XLI.

Teraz ja widzę, jak się owa cała
  Kraina, rosnąć w niebo przeznaczona,
Bogu służyła i zasługiwała
  Duchem uczynków — jak ziarenne łona.
Już mają ducha, lecz duch wtenczas działa,
  Kiedy moc jego gniciem zatrwożona,
A on już w zgniłym prochu spać nie może,
Lecz sił dobywa... i wyżéj się porze.

XLII.

Jak on duch, mówię, w orzecha trumnicy
  Wieki by całe spał na skronia obie,
Nakształt egipskiéj wonnéj balsamicy —
  Tém tylko różny, że ma gwiazdę w sobie —
Gdyby go nie wstrząsł ręką błyskawicy
  Pan, gdyby gniciem nie zatrwożył w grobie
I znów nie wyzwał do pracy i ruchu
I do potęgi sił, które są w duchu;

XLIII.

Podobnie, jak to *ja* ptasie lub orne
 Śpiące, a siebie jeszcze nieświadome:
Lud mój uczynił formy swe pokorne,
 Śpiące... a minął wszystkie góry strome,
Nie wiedząc, że się przez kształty wytworne
 Zdobywa cudo piękności widome,
Świętość, która się nie zna, ale czuje
I cicho z niebios różanych zlatuje.

XLIV.

Co do mnie — Pan mi drogi niebezpieczne
 Zakrył, prostoty mię owiawszy wonią,
Abym fundament na gmachy słoneczne
 Miał pewny, a te zasługi miał bronią...
I oczy moje były jakby mleczne,
 I krwią mię Pan Bóg porównał z jabłonią,
Która nie idzie prędko pod obłoki,
Lecz ma ciężarny płód i słodkie soki.

XLV.

I jako zboże mię w ziemi zatracił,
 A dobrze wprzódy krwią uprawił ziemię,
Abym stem ziaren za ziarno zapłacił
 I szedł spokojnie naprzód przed me plemię,
A w myśli ważne zwolna się bogacił
 I umiał kiedyś krzyża dźwigać brzemię,
Kiedy narody całe staną zdradne
I będą patrzeć gdzieś z gór — czy upadnę.

XLVI.

Służyłem ludom, cierpiałem — i oto
 Poranek moich cierpień nie przeminął.
Przez wielką jasność odbieżany złotą,
 Gdy sny odbiegły, a wzrok się rozwinął,
Objęty byłem nieznaną tęsknotą
 Za marą ducha — za snem, który ginął,
Jakoby zwolna ustępując kroku
Rzeczom będącym w oczach — na widoku.

XLVII.

O starcu już tym błękitnym — ni wieści
We snach! a jednak czułem, że powróci.
Zresztą rozkoszy wielkiéj ni boleści
Nie znałem... Często pługom przy uwróci
Sam nalewałem czary... czar cztérdzieści,
Bo tylu pługom skowroneczek nuci
Wiosną, gdy drzewa cień rzucają długi,
A w pole wyjdą nawet króla pługi.

XLVIII.

Ziemomysł — dźwięk był imienia niepróżny!
Oracz król — sędzia spraw pod jabłoniami;
A często obcy człowiek lub podróżny
Pytał się chłopka: który jest nad wami?
Król tak był mało od poddanych różny,
Gdy sąd na sprawy kładł — bronione łzami,
I siadał pod lip pachnącą framugą
Na stołku... a jam zamyślał się długo.

XLIX.

I rzekłem: wszędzie tak na całéj ziemi
Królowie sądzą — ludzie żyją — orzą...
Świat śpi — i żniwy porasta złotymi,
Błogosławiony cichą ręką bożą...
I pomyślałem: któżto brzęki tymi,
Które mię od zbrój tak, bywało, trwożą,
Przerażał niegdyś ciemne słuchy moje? —
Mój ojciec musi brać miecz — i kłaść zbroję...

L.

I zaraz szereg myśli niespodzianych
Na moje oczy myślące naskoczył.
Zajrzałem w szpichlerz, gdzie pełno miedzianych
Tarcz było — szyszak się ze ścian potoczył;
Z powiek wydartych przyłbic, rdzą rumianych,
Jakiś rycerski duch dzieciątko zoczył
I chcąc je pewnie powołać ku sławie,
W przyłbic tych dziury kładł swe oczy paew...

LI.

Rzekłem to ojcu; a on: „Tak to było
  Niegdyś... Teraz mię duch oświécił nowy...
Swiatło mię jakieś dziwne rozbroiło
  I szyszak zdjęło z mojéj siwéj głowy.
Do grobu już mi śpiesznie i pochyło;
  Kraj umniejszony mam już do połowy;
Lecz wolę, że tak... lud się uwesela,
Niż jako było niegdyś — za Popiela...

LII.

A ja: — Cóż było, ojcze? — A on srogi,
  Położył palec na ustach, zabronił
Pytać o tego ducha wielkiéj trwogi,
  Który kraj z siebie jakby z krwią wyłonił.
Rzekł mi też, że w dom zaprosi ubogi
  Synową, którą anioł mu odsłonił
We śnie i kazał wziąć z Czech, Chrześcijankę.
To rzekł, i odszedł... A ja na kapłankę

LIII.

Postrzyżyn wtenczas wspomniałem — i twardy
  Zastrzęgłem w sobie przeciw zaślubinom
I przeciw ojcu memu, pełen wzgardy —
  Podobny czary spłonionéj bursztynom.
I byłbym poszedł na różne hazardy,
  Gdyby nie ciało — ciężkie, ku dolinom
Ziemi chylące mię... i krew uboga,
Dane mi wtenczas — w dar od Pana Boga.

PIEŚŃ II.

I.

O dziwnie! z jaką cichością Bóg sprawia
  Swe wielkie rzeczy przez nas duchy wolne,
Które prowadzi, a sobie zostawia
  Umiłowawszy te, co jako polne
Kwiaty — na ziemi, gdzie je Pan Bóg stawia,
  Miłosne miody są wyrabiać zdolne,
A czołem jasném nad inne wybiegą
I kwitną z siebie — i żyją ze swego.

II.

Dziwnie, jak Pan jest dobry i litosny,
  A ducha, co się na pracę poświęci,
Ubiéra w kolor, w głos piękny, roznośny
  Zaopatruje, a do nieba nęci,
A do nóg mu świat przywiąże miłosny,
  Tak że on coraz wyżéj — jako święci
Idzie... w swéj pieśni wzniesiony powiewie,
I świat pociąga, a sam o tém nie wié.

III.

Taki nademną był Pan w one czasy,
  Gdy światłem nowéj Jezusowéj wiary
Miałem oświécić łąki — góry — lasy —
  Rycerzy zbroje, czoła — i sztandary.
Pamiętam ranek ów, gdy pełne krasy
  Poselstwo swatów, jak chciał zwyczaj stary —
Na co w prostocie téj króla stać było —
Pieszo i konno do Czech wychodziło.

IV.

Wybiegłem nad brzeg jednego jeziora,
  Na kurhan stary wstąpiłem wysoki;
I stamtąd widzę, jako w kształt gąsiora,
  Który prowadzi gęsi przez obłoki,

Szedł rzepolista — a za nim ze dwora
  Młodzieńce w parach szli równymi kroki;
A każda para swój kolor właściwy
Miała, jak w tęczy odmienny i żywy.

V.

Dwóch szafirowych, a zaś dwóch w purpurze,
  Szło dwóch podobnych do jasnych płomieni,
Za nimi złotych dwóch, a potém w róże
  Ubrana para, a potém w zieleni
Siedem par było; zda się, pańscy stróże
  W długie barwiste szaty obleczeni,
Za powodyrem szli spokojnie w rzędzie;
Ci złote gęśle nieśli — ci łabędzie.

VI.

Z ptakami swadźby — różne instrumenta
  Świéciły swymi struny na blask słońca;
Pięknością sobie równi, jak bliźnięta,
  Po nadjeziornéj ścieżce szli bez końca;
Bo duch mój, który tę wstęgę pamięta,
  Ciągle ją widzi i w ciemność nie wtrąca;
Widzi, jak idą ci świętości słudzy
Nad fal błękitem, a w błękicie drudzy.

VII.

Bo fala była gładka, a po skraju
  Szła ścieżka owa i szli owe swaty;
A nieco daléj — pokazał się z gaju
  Na białym koniu jeden pan bogaty,
Supan w szkarłatnym jak ogień kuczbaju,
  Zastępujący króla majestaty,
Wyobraziciel ojcowstwa w orszaku,
A przy nim mój brat — także na rumaku.

VIII.

Mój brat Cydebur, młodszy jednym rokiem,
  W zbroję złocistą ubrany — w czerwieni;

Koniem srebrzystym wywijał jak smokiem
  I leciał choć w świat!... jakby do pierścieni;
Potém do starca wracał stępo — bokiem,
  Hamując konia, od drogich kamieni
Tak oblanego, że się zdało — niby
Wyskoczył w tęczach, z oceanu szyby

IX.

Koń słońca! Na nim wszystkie skarby wiszą,
  Które miał ojciec, a chciał oddać Czeszce.
Ranek błękitny był i wielką ciszą
  Owiane pola; a ja się téj ścieżce
Przypatrywałem, jak ludzie, co słyszą
  Muzykę duchów w kolorów zamieszce...
A cichość jakaś mię ruszała święta,
Kiedy brzęczały w polu instrumenta.

X.

I pomyślałem: do Czech idą — gędzą —
  Z palmami do Czech idą, tak daleko!
Jakież to losy w tamtę stronę pędzą
  Ten orszak?... Wstałem z nabrzmiałą powieką...
Jakaś mię smętność — dawną moją jędzą
  Będąca, wzięta nad letejską rzeką —
Znów ogarnęła, i westchnęło łono
Za jakąś... dawno — w błękitach zjawioną...

XI.

Ranek — spokojność pól — błękitów wody —
  Szesnastoletnie serce moje żywe —
Za mną leżące cmentarne narody
  I czyny zmarłe wielkie, lecz straszliwe —
Podemną kurhan stary — ja znów młody,
  Jak garnek, nową mający poléwę,
Na słońce z ciemnych wydobyty lochów,
Swietny pozłotą, ale pełny prochów...

XII.

Któż mię odświeży? pytałem... i głośno
  Pytałem: Kto mi ducha odpromieni?
— Ja! rzekła mową piękną i żałosną
  Stojąca za mną mych postrzyżyn ksieni.
Lecz na tę krzywdę ty nie pozwól sprośną
  I na obrazę naszych ojców cieni!
Nie pozwól!... Jam ci otwarła powieki!
Gdy zechcę: zamknę — i zamknę na wieki!

XIII.

Ja wiém, że teraz Pan Bóg nas nie słucha
  I klęte duchy z gajów nie wychodzą;
Wyroczniom naszym odebrano ducha!
  Węże nie służą, gołębie nas zwodzą,
Ogień z pod źródeł naszych nie wybucha,
  Klątwy wiatr czynią — a zbożom nie szkodzą;
Piorun nie bije — lecz tylko wyświetnia
Pierś, jak w boleściach błyskawica letnia...

XIV.

Anioł ognisty nad lasami leży,
  Piersi rozedrze, ogniem z łona buchnie,
A pokazanych palcem nie uderzy!
  Świateł nie mamy, prócz tych, co są w próchnie;
Bo duch, największy na ziemi — nie wierzy!
  A ten duch — to ty!... Wiérz Lijady druchnie
I kapłanicy, poświęconéj w Retrze:
Do ciebie całe należy powietrze!

XV.

Ty wielki — wielkie duchy masz pod wodzą;
  Ale przyszedłeś wcześnie — oszukany
Ty już — a one teraz w ciała wchodzą.
  Do miecza i do krwi!... stuknij w kurhany!
Zażądaj: a z tych kości się narodzą
  Rumiani ludzie, lecz bądź sam rumiany!
Mówię ci: podepc tę białą liliję,
Około któréj złoty się wąż wije. —

XVI.

Tak uderzywszy mię ta piękna z góry,
  Zaczęła ciągnąć potém mową wdzięczną,
Piękną jak różne oblicze natury,
  A mglistą jakąś dziwnie i miesięczną...
Cierpiała sama, a jam się ponury
  Bronił prostotą hardą i niezręczną,
Nie chcąc wyraźnie uléc téj wróżbiarce;
Ażem ją wtrącił w gniew — i wrzasła: Skarcę!

XVII.

Te własne duchy przeciw tobie ruszę!
  Rzekła — a nie myśl, że mi brak mścicieli!
Jako jesiennych liści w zawierusze,
  Mam pełne włosy duchów! Jam z topieli
Wyszła, wlokąca duchy, które muszę
  Karmić jak matka, która serce dzieli
A wszystkim chleba daje domownikom —
Tak ja i gwiazdom, wężom — i płomykom...

XVIII.

Ten warkocz za mną wyciągnięty z morza
  Teraz z fal jeszcze słońcami wychodzi.
Ujrzałbyś — gdyby nie ta jasna zorza —
  Ujrzałbyś: żem jest na tęczowéj łodzi;
Że skrzydła mi z plec — z głowy rosną zboża,
  Około któréj wąż złocony chodzi;
Że jestem z wszystkich tworów razem zwita,
Jak łania i wąż — gwiazda i kobiéta...

XIX.

Za mną, powiadam ci, z mórz się wywlekły
  Tęcze... a z rąk mych sypią się promienie,
A z piersi gwiazdy mi karmiące ciekły,
  A ze mnie czystéj rodziły się cienie;
Aż mocy moje, jak te łzy... uciekły,
  Żem jest niemocna na twoje sumienie
Ja, która dawniéj bez jęku i głosu
Za twoim duchem szłam przez płomień stosu...

XX.

Ileż ja razy byłam oszukana
 I przez płomieni czerwonych zwierciadło
Przebita!... Ciebie nie znalazłam — Pana,
 Lecz jakieś inne rycerskie widziadło!
Wtenczas w mgłach — sama ze świateł ulana,
 Gdy mi z rąk tysiąc ptaszków złotych jadło,
Ja obracałam za tobą z tęsknotą
Twarz moję wielką, jako miesiąc złotą...

XXI.

I teraz oto na kolana padam!
 I z groźby — znowu do płaczu przechodzę.
Z ducha ci gadam — i nie wiém, co gadam...
 A jednak ja tych słów sama nie rodzę!...
A że wiém wszystko: to ci zapowiadam,
 Że przyślę tobie moje duchy-wodze;
Jeden u ciebie już był — starożytny,
Jak ja — ty dobrze wiész, kto? — ów błękitny...

XXII.

Gdy to wyrzekła, wszystkie moje włosy
 Zadrżały... Rzekłem do siebie: nie kłamie!
Widuje duchy i zna ludzkie losy
 I ma twarz złotą — i ma silne ramię...
I to uczułem, że mię jako kłosy
 Chce siłą ugiąć i złamać — i łamie...
I to uczułem, że wysoki czołem
Anioł mój... nie chce paść przed jéj aniołem.

XXIII.

A piękną była!... Przez one grobowce
 Stare wzniesiona nademną wysoko,
Kamienie szare i czarne jałowce
 U kolan miała — a błyszczące oko...
Szczęściem, że jeden pasterz pasąc owce
 Pieśnią spokojną — smutną, a głęboką,
Gdy mię już chwytał w szpony duch skrzydlaty,
Przypomniał mi to wesele — i swaty...

XXIV.

Jakby promieniem czystéj wesołości
  Rozjaśnion, rzekłem: Sam wybiorę drogę,
A teraz czekam z Czech tu nowych gości,
  Z którymi sobie wedle sił pomogę.
Jeśli mi wiara ta nowa uprości
  Żywot, a zdejmie z serca żal i trwogę:
Przyjmę ją; jeśli cudów nie pokaże,
To ciebie wezwę na nią — i przerażę.

XXV.

— Dobrze!.. gotowam do walki, zawrzasła,
  Ale w téj walce niewidzialną stanę!
Drogi twe trudne — sława twa zagasła!
  Oczy zamknięte — i kraje porwane,
Niesłuchające ludy twego hasła —
  Myśli ściemniałe, nieporozkwitane —
Usta krzyczące do niebios daremnie:
To będzie mój dar — i wyleci ze mnie!..

XXVI.

Rzekła — i smętna odeszła. I biegły
  Znów dnie, a jam czuł jakąś w sercu żałość,
I czułem w duchu jakiś śpiéw rozległy,
  Który przez ciała się niedoskonałość
Zatracał. Myśli moje nie uległy,
  Lecz się obudził w sercu szatan — stałość,
Stałość ta druga i niedoskonała,
Która duch nowy kładzie — w stare ciała...

XXVII.

Dziwnie na dwoje jakoby rozbity
  I rozebrany na dwa instrumenta:
Tu mię spokojne, ciche pól błękity
  I skowronkami dzwonne firmamenta —
Tam ciemne lasy, czarem téj kobiéty
  Zmienione w czartów księżycowych święta,
Wabiły w swoję półmroczną tęsknotę,
Jak widmo z chmury, które ma dno złote...

XXVIII.

A wtém od Pragi wracali posłowie
  Z oblubienicą — tym samym porządkiem:
Z posagiem panny w koszykach na głowie
  Młodzieńce w parach, i przed niewiniątkiem
Supan i brat mój, jak dwaj aniołowie —
  Jeden młodością złoty, a rozsądkiem
Drugi... jakoby ze srebra ulany
Jowisz, purpurą gromową rumiany.

XXIX.

Sama Dobrawna — na białym rumaku,
  W kolebce złotéj — niby pani święta,
Na turkusowym jak niebo czapraku
  By kwiat przypięta,
Palmą się zdała złotą śród orszaku,
  Wyższa nad wszystkie pany i panięta,
Na jaśni niebios błękitnych dziewica
Prawdziwie... wschodnia Syjonu palmica!

XXX.

Jakby na skały siedząca wierzchołku,
  A nieco tylko wiatrem kołysana,
Sługi mająca zwykle na przystołku
  Idące z lewéj strony — u kolana,
Patrzyła w prawo, kędy na osiołku
  Biskup i święty ów Chrystusa Pana
Męczennik, święty Wojciech — wówczas młody —
Apostołować szedł moje narody.

XXXI.

O! hosanna wam jeszcze dziś, o goście
  Anielscy, ludzie obcy dobréj woli!
O! alleluja wam, których tu koście
  W proch rozsypane śpią na ludu roli!
Oto dziś jeszcze te wiary jasnoście,
  Które mam od was, świécą mi w niewoli
I z duchowego zaświéciwszy rdzenia,
Wywodzą świętą tę pieśń — z objawienia...

XXXII.

Nie mogę dziś was tak, jako przed wieki,
  Przyjąć w prostocie serca w moim dworze;
Bo nie mam dachu... i nie dam opieki
  Nawet jaskółce! Ani wam położę
Miodu złotego z królewskiéj pasieki,
  Ani rozsypię w progach złote zboże...
Z przyjęcia niegdyś Król-Duch byłem sławny:
Bóg teraz widzi, żem syn marnotrawny!

XXXIII.

A jednak wy mię znowu nawiedzacie,
  O duchy... patrząc tu na moje ściany...
Zdziwione prawie, żem jest w cudzéj chacie —
  Podły jak żebrak jaki — i nieznany!
Napróżnoż wy się nad tém rozczulacie,
  Bo mię nie bolą wcale moje rany;
Owszem nad sobą płaczcie, że nie mogę
Was tam wprowadzić jeszcze, gdzie mam drogę!..

XXXIV.

Przyszliście dawniéj, a ja święte gaje
  Posiekłem, na wschód porąbałem drogi,
Byście widzieli, jako słońce wstaje
  W puszczach, gdzie groźnie grzmią Jadźwingów rogi.
Złote, weselne w kwiatach korowaje
  Znosił wam chłopek dobry i ubogi;
Wszystkoście mieli — i serca otwarte,
Ciche, choć dawnym pamiątkom wydarte.

XXXV.

Przyszliście dzisiaj, jako aniołowie
  W ciało dla sprawy Chrystusa ubrani,
A my wam miód serc, i jabłeczne zdrowie
  Krwi naszéj, i moc naszę nieśli w dani,
Dawno gdzieś w duchu o Chrystusa Słowie
  Wiedzący, dawno przez ducha złamani —
Syjonu duchy z posągów kamieni
Wyrwani, przez was w drogę obróceni...

XXXVI.

Pokora, cichość — te najrzadsze cnoty
  Dla ducha, który już się czuje Bogiem —
Wpadły do wnętrznéj nam duchów istoty,
  A ciało pierwszym pokazały wrogiem;
A więc na ciało, jak żubr rogozłoty
  Rzucił się anioł, nastawiony rogiem
Jak żubr — gdy burza czyni zamieszanie,
A on przeciwko piorunowi stanie...

XXXVII.

Jak żubr, gdy w piorun rogiem się zapędzi,
  W tumany liści zawichrzonych kole:
Takem ja chciał być wraz anioł łabędzi
  I dostać ognia świętego na czole.
Święci mówili, że Pan nie oszczędzi
  Ducha mojego, lecz na wielkie bole
Puści — z hańb wielkich i serca owdowień
Próbując złota moich postanowień.

XXXVIII.

Jam krzyczał, wnosząc w górę moje pięście —
  A nie dziw, bom był wtenczas duch młodzieńca,
A twarz cudownie piękną ma nieszczęście
  Nieznane, z pod gwiazd patrzące się wieńca —
Jam krzyczał: „Sława, miecz, i to zamęście
  I złote moje szaty oblubieńca
Niech idą Panu, jako wieczne dary:
Jeśli Pan żąda z ducha téj ofiary!

XXXIX.

„Uczucia moje ludzkie podruzgotam,
  Serce rozbiję, miecz jak drzazgę złamię,
Sławą rycerza od siebie pomiotam,
  Koronę zrzucę, krzyż wezmę na ramię:
Tylko niech sobie tym dniem zarobotam
  Wieczyste światło i to złote znamię,
Które się w bożém króleśtwie pokaże,
Zmartwychwstającym kościom złocąc twarze.

XL.

„A tę ofiarę chcę mieć postokrotną
  Nie tylko za się — ale i za ludzi;
Abym tę otchłań niebios — nie samotną
  Miał, ale z braćmi, których Bóg obudzi...“
Pan przyjął łzami mojemi wilgotną
  Ofiarę, i dziś kości moje trudzi;
A duch na wszelkie boleści zatwardził,
Aby pokazał, że darem nie wzgardził.

XLI.

I zaraz... lecz wprzód zajdę na doliny,
  Gdzie było moje anielskie wesele.
Przy schyłku jednéj pogańskiéj gontyny,
  Gdzie łąka miała różne wonne ziele —
Dziedzilli niegdyś ogród i Kwiatyny —
  Wyściełające wschody przy kościele —
Rzekłbyś, że tęcza, którą ta dryjada,
Wchodząc do gontyn, przed progami składa;

XLII.

Na zieloności smugach — na strumieniach
  Kwiatów — na żwirach goplańskich najbielszych,
Przy lipy szmerach i brzozy westchnieniach
  I przy błękitach niebios najweselszych —
Przy kwiatach, w których jak w drogich kamieniach
  Był blask—przy ptaszkach śpiéwniejszych i śmielszych
Był ślub, gdzie czysta z najczystszych na ziemi
Stała — z oczyma w ziemię spuszczonymi.

XLIII

Dwa z ametystów blaski jak z krynicy
  Lały się ciągle, choć rzęsą przykryte.
Dziś téj mistycznéj nie wiém tajemnicy,
  Jako z tych oczu... węże złotolite,
Jeziora złote w całéj okolicy,
  Lasy blaskami na wylot przebite,
Kwiatki błyszczące jak drogie klejnoty,
Jak owo rodził wzrok miłością złoty.

XLIV.

Dziś jeszcze nie wiém, czy dusza uległa
Większéj miłosnéj mocy — cała drżąca
I z ciała mego na chwilę wybiegła,
Aby przez oczy jéj była widząca...
Lecz gdyby wtenczas ręka mię nie strzegła
Kapłańska: dusza z ust wylatująca
Byłaby, mówię, upojona chwałą
Wyszła i nigdy nie wróciła w ciało.

XLV.

W téj błyskawicy i w tém zawichrzeniu
Sądziłem, że głos stu aniołów słyszę,
Sto harf dzwoniących na mnie po imieniu
Przez cichy kryształ i błękitną ciszę...
Sam wielki duży szmaragd na pierścieniu,
Jak źródło, gdy się pod słońcem kołysze,
Dwa wielkie blaski rzucał na dwie strony,
Jak skrzydła złote, a sam był czerwony.

XLVI.

W ogniach — w szelestach — w zachwyceniach — w śpiéwie
Uczułem wielkie stchórzenie serdeczne;
Bo się duch święty rzucił, cały w gniewie,
I zapłomienił na nas światło wieczne;
Jak szelest, który jest przed burzą w drzewie,
Tak w duchu wrzały pierwiastki słoneczne,
Kiedy Pan ogniem chodzący po duszach
W oczach mi błysnął i zagwiżdżał w uszach.

XLVII.

Wieki minęły, a to tchnięcie boże
I to owianie ogniem naszych ramion
Wraca, ilekroć w prochu się położę
Na mych mogiłach, na łachmanach znamion;
Dlatego z ducha nigdy się nie trwożę
A bladnę, kiedym ciałem jest omamion,
Na walkę z ciałem przeznaczony wieczną, —
Aż Jeruzalem sprowadzę słoneczną.

XLVIII.

Jakoż zaledwo z téj złotéj kąpieli
  Wyszedłem z jasną moją gołębicą:
Pan, który smuci i który weseli,
  Nawiał ogromną nieszczęść nawalnicą.
Jak ojciec, który wié, że piorun strzeli —
  Bo we śnie bożym gadał z błyskawicą,
Więc gdy się burza ognista zaczyna,
Patrzy na syny: w którego to syna?

XLIX.

Tak ja na mój lud, pod moją ofiarą —
  Bo mi już ojciec wtenczas zdał koronę —
Patrzałem myślą moją, smętną, starą,
  Jak dziecko mając piersi rozkwilone.
Ludzie ze starą żegnali się wiarą
  Płacząc... i bogi też były wzruszone!
Że nie odeszły z duszą obojętną,
To wszelkie echo świadczyło i tętno.

L.

Jeszcze się uczta kończyła zaślubin
  W owéj to sali dawnych sakramentów,
Gdzie jako w Kanie Galilejskiéj rubin
  W kielichach świécił blaskiem dyjamentów:
Gdy ów duch pierwszy egipski, Anubin,
  Z brzękiem cymbalnych różnych instrumentów
Przeszedł, jako wiatr, nad wierzchami gmachu
Z muzyką smętną i z urokiem strachu.

LI.

Ludzie wybiegli, a inne strach mrowi
  Przeleciał, inni na gankach słuchali;
A on — jak harfa, leciał ku wschodowi
  I w cieniach niknął... i grał coraz daléj...
Już za puszczami — a instrumentowi
  Przybywał jakiś dźwięk, który się żali!
Widziano nawet niby gwiazd przeloty,
Czar błyski i liść winogradów złoty —

LII.

Duch uczt... Zmartwieli niektórzy supani
  I nie wrócili już więcéj do stoła.
Potém Siwanna, księżycowa pani,
  W pełni zabłysła nad gajem kościoła
I jako ludzie nagle krwią zalani,
  Krew pokazała z okrągłego czoła
I nie odkryła, aż po dwóch godzinach,
Twarzy zaćmionéj — w noc po zaślubinach.

LIII.

Taka zieloność trupia téj bogini,
  Jakby przez duchy gontyn nakazana,
Ludowi zaraz, który gadki czyni,
  Serca zatrzęsła i zgięła kolana...
Właśnie przy domu nocnéj monarchini
  Wesele było, w dzień świętego Jana,
A jeszcze do dziś gadki są prostacze,
Jak po téj nocy słońce gra i skacze.

LIV.

Dotychczas jeszcze chwila owa wschodnia,
  Wtenczas widziana, trwa w duchów pamięci;
Słońce jakoby gaszona pochodnia,
  Którą na niebie wichru bóg zakręci,
Ludowi w trwodze zebranemu do dnia,
  Pełnemu wstecznéj ku bałwanom chęci
Jakoby grożąc — w pomrok zorzą szary
Przed sobą swoje dwie wysłało mary.

LV.

A potém samo pomiędzy obiema
  Wyszło — i trójca słońc na niebie stała!
Patrzała na to ciżba chłopków niema,
  Już chrztem obmyta, ale strachem biała.
Ja sam na ono złote dyjadema,
  Które na czole Światowida pała,
Długo patrzałem — i zdjęła mię trwoga,
Żem na trzy części rozbił głowę boga.

LVI.

I wszystkie myśli te chowałem w sobie
  I byłem smętny, jak lud... Oto siedzę,
Rzekłem, na bogów moich dawnych grobie
  I utraciłem wszelką od nich wiedzę!
Przeto myślałem o jakim sposobie,
  Jak człowiek, który chce rozorać miedzę,
A sporne głazy wyrwawszy i koły,
Pogodzić o grunt dwa nieprzyjacioły.

LVII.

I wnet stanęła mi w myślach gontyna
  Ody, kapłanki postrzyżyn — straszliwa,
Kędy posągów wypalona glina,
  Ich różna, żywot kłamiąca poléwa. —
Oczy mający z jednego rubina,
  Z bawolą głową w ręku, bożek Siwa
Stał, a wokoło święte były ptaki
I węże na łbach posągów — jak krzaki —

LVIII.

Tak nauczone, że na księdza głosy
  Wychodzą wszystkie do świętych twarogów
I są jakoby zwite srebrne włosy,
  Podnoszące się z grozą — z czoła bogów,
Gdy w środku różna tłuszcz skwarnymi głosy
  Skwierczy z miedzianych lamp — kotłów – trójnogów,
I rzuca swój blask różnofarbny, wielki,
Na dziwne belek sosnowych ciesielki...

LIX.

Téj jednéj staréj gnieźnieńskiéj bożnicy
  Pożałowałem... Próżna łza nad pychą!
Węże spotkano wszystkie w okolicy
  Gdzieś w las idące — porządnie i cicho...
Jak księża, kiedy wychodzą z kaplicy
  Z krzyżami, tak się ze swą guślarzychą
Zmówiwszy ów gad, na wielkie niedole
Ważył i wolał iść przed wzgardą — w pole.

LX.

Dziś jeszcze widzę — słyszę, jak lud blady
Kiwa głowami: — Tam trzy słońca wschodzą!
I tam — powiada — poszły nasze gady,
I tam się duchy nasze znów narodzą...
O! smętny jest świat! o dziwne przykłady!
Po gadach nawet smętno — gdy odchodzą!
Wieki — a tego bólu nie zwyciężę,
Że mną wzgardziły wtenczas — nawet węże...

LXI

Zmiłuj się, Chryste, dosyć już! Ta czysta
Dusza nie mogła wtenczas wiedzieć, Panie,
Że mi na puszczach gdzieś, za lat cztérysta,
Przyjdzie wojować to emigrowanie!
Że i powietrzny ów duch cymbalista
I trójsłoneczny znów Światowid wstanie;
Że ile ciało ma zmysłowych wrogów,
Tyle na tarczę ducha wezmę bogów...

LXII.

Ze smętku, który w ludzie był niemały,
Urodził się strach i wieść tajemnicza:
Że niewidome duchy zabijały,
Nie pokazując ręki, ni oblicza —
Bez bólu, bez krwi, zabójstwa się działy!
Ja świadek, że Bóg szatanom pożycza
Czasu na nocne niewidzialne zbrodnie,
A ci zdmuchują żywotów pochodnie.

LXIII.

I najstraszniejszy ze wszystkich przestrachów,
Anioł ów, który nad Egiptem śmigał
I jednę duszę brał ze wszystkich dachów,
A przed baranka się krwią jedną wzdrygał,
Bo z lwa — do ludzkich przywykły zapachów,
Podług natury bił — i szedł — i ścigał,
A dom, który się krwią niewinną zbroczył,
Poznał jako lew, a jak wiatr przeskoczył:

LXIV.

Podobny anioł, lecz z orła wyjęty,
Z gadów zdradzieckich czyścił ducha zboże
I brał, kto był chrztem fałszywym przeklęty
I wziął Chrystusa, a znosić nie może.
Naładowane bocianie okręty
Tymi smętnymi duchy, szły za morze,
W dzień spoczywały nad kurhanów darnią,
W noc szły... za duchem żórawim latarnią.

LXV.

I długo potém po szczeblach i schodach
Drzeć się musiały znów do Polski raju,
Gdzie święty jest duch na łąkach i wodach
I pełno kwiatów przy każdym ruczaju;
Gdzie ptactwo w lasach jest jakby na godach,
A człowiek lutnię ranną słyszy w gaju
I pełny świętéj miłości się budzi
I dla natury kwietnéj — i dla ludzi.

LXVI.

I gdy wybite już były te węże,
Pan rzekł: — Obaczę jeszcze tego króla;
Obaczę jeszcze, czy [1]) mieczem zwycięże, —
Gdzie on siéroty swoje poprzytula,
Gdy mu kraj wezmą straszne trzy oręże,
Powyganiają pszczoły wszystkie z ula?
Próby na serce królewskie przypuszczę;
Jeżeli zgrzeszy sercem: to odpuszczę.

LXVII.

Rzekł; i straszliwy gdzieś lud ode wschodu
Wstał, a ja miałem o nim już widzenie.
Wstawał — i głucho gdzieś zaszczekał z lodu
Głosem, który ci czasem wiatr przyżenie,
Gdy w nocy włosy ci wstaną od chłodu,
A gdzieś od wioski na łańcuchu szczenię
Słyszysz, że wyje na wiatr albo szczeka —
Snać wilka zapach poczuło z daleka.

---

[1]) Może gdy powinno tu być, zamiast czy. *(P. Wyd.)*.

LXVIII.

Tak one wieści zimne dzisiaj słyszę,
Najpierwsze: Jakiś lud, mówią mi, dziki,
Jakieś książęta, Normandy, Łotysze,
Jakieś straszliwe morskie rozbójniki —
Burza je rodzi, a morze kołysze,
Bogi je straszne w chmurach, słoneczniki,
Po tęczach wiodą w śmierci tajemnice
I zapraszają przez cudne dziewice.

LXIX.

Tacy książęta — przez lud zaproszeni,
Który O wielkie już na A zamienił,
I cały Słowa wyrzekł się promieni,
A cały w Sławę ducha przekamienił —
Tacy książęta gonią do pierścieni:
A lud je z własną wolnością ożenił:
Dziewicę swoję — najczystszą! dał za nie,
Jak ojciec, który popadł w obłąkanie...

LXX.

I ojców ojciec — a gdzież nie ma duchów,
Którzy ojcowstwo narodowe biorą
I targaczami są wielkich łańcuchów
I chcą zapalić, ale sami zgorą? —
Taki był jeden, który z tych okruchów
Wolności dawnéj wziął koszów siedmioro
I te kawałki chciał jeszcze rozmnożyć,
A nie mógł więcéj, jak duszę położyć.

LXXI.

Nowogrodzianin Wadim!... niech to imię
Przez wieki — na téj pieśni sobie płynie,
Jak łabędź, który na rzece zadrzémie
I gdzieś obudzi się — aż ku słońc krainie...
I wstały zbrodnie północne — olbrzymie;
I od monarchów krwawsze monarchinie,
Które umiały krew pozłocić swoją
Krzyżem złoconym — i błyszczącą zbroją.

LXXII.

Lecz długo się duch narodowy luty
  Bronił natury saméj straszną siłą,
Cudami — przez płaszcz cielesny rozpruty
  Miecz pokazując, że jest — gdzie nie było...
Oleg na kościach końskich wężem skłuty,
  Igory straszną nakryte mogiłą —
Ciągłe nieszczęście mogił pod Kijowem —
To walka Sławian północnych — ze Słowem!

LXXIII.

Król-duch — słuchałem przerażony, blady,
  Że już ci sami, lud niegdyś ubogi,
Którzy łodziami szli na Carahrady,
  A łodziom dali złote z wozów nogi,
Że jak skrzydlate z wiatrem biegną gady,
  Dziwne, żaglami pędzone stonogi,
Które przez błękit wieków widzę cichy,
Lecą — a błyszczą kół ogniste sprychy. —

LXXIV.

Ci sami, których wielka czarownica
  Wywiodła z ziemi, i gdzieś na kurhany
Wstąpiwszy — wzięła radę od księżyca,
  Gołębi ogniem zapalić Drewlany —
A którą teraz mi ta błyskawica
  I ogień śladem gołębiów posłany
Olśnił, gdy piszę, swym pożarem sennym
Czarną — na krzyżu złotym, trójramiennym —

LXXV.

Ci sami gdzieś — z wron krzykiem, orłów skwirem,
  Na mą granicę wschodową napadli
I wrzaśli hasło swoje: Władymirem!
  Mordując chłopka, który ziarno radli...
A już od Karpat... Rzym! A pod szafirem
  Bałtyku — Pruscy poganie, zajadli
Na Chrystusową wiarę — rzną i palą!
Wojna — kraj cały wrzał błyszczący stalą.

PIEŚŃ III.

I.

Daruj mi, Panie, że téj ducha góry
  Nie mogę w farbie ukazać powinnéj!
Duch mój pracował; lecz ziemskiéj natury
  Nie miałem w sobie ruchoméj i czynnéj;
Trzy nieprzyjaciół zebrały się chmury,
  Trzy morza ze krwi pociekły niewinnéj;
Nad tém trojakiém błysnąłem zwierciadłem
Z chorągwią moją królewską — i padłem.

II.

Naprzód gdzieś państwo mroczne i nieznane
  Z pod zórz północnych, z pod śnieżnego pierza,
Jakąś krwią kniaziów okropnych rumiane,
  Mgliste mi oczy dziś tarczą uderza.
Jakiś duch, wieczne kładący kajdany
  Na ducha, a zaś cielesnego zwierza
Rozpuszczający na srogie zaboje —
Włożył na siebie pierwsze kształty moje.

III.

Trzy zawichrzenia nad ojczyzną moją
  I na mój biédny naród trzy napady!
Olbrzymy jakieś na północy stoją,
  Które łodziami brały Carahrady;
Łodzie, na wozach, ziemi się nie boją,
  Ale skrzydlate żaglem, jako gady
Lecą na miasto wschodnie pełne pychy —
Grzmi ziemia, błyszczą kół ogniste sprychy.

IV.

Jakieś okropne Normańskie książęta
  Wstają, jak srebrny Boreasz i luty —
Każdy tak krwawy, że ziemia wzdrygnięta
  Myśli, jak zwalić posąg ciężko kuty;

Lud o ich losie i dzisiaj pamięta:
Oleg na kościach końskich wężem skłuty,
Gdzieś na mogiłach pobite Igory —
Askold — Dyr — Ruryk... nieszczęsne Truwory.

V.

Potém, jakoby pod nowiem miesiąca
Olga ten naród z ziemi wyprowadza,
Z mogił... wróblami pożary siejąca
Na wielkie miasta... Z rąk jéj krew i sadza,
Gołębie lecą, pożar z chat tysiąca
W jedno ogniste słońce się zgromadza
I pokazuje wiekom jeszcze sennym
Wiedźmę na krzyżu złotym, trójramiennym.

VI

Nagle wiatr jakiś wiejący ze wschodu
Przywiał tę burzę na miasta Czerwone.
Bratozabójca jakiś, pan narodu,
Wiedzie ją, zwabion przez krew, w krwawą stronę.
Pierwszy raz niby z trumnicy się lodu
Podniosło widmo duchem zapalone,
Głuszone kruków i wron czarnych skwirem,
Młode — a już się zowie Władymirem [1]).

VII.

Na tych mój młody brat, Cydebur, z małą
Garstką wyprawił się; ja na Cesarza,
Który od Rzymu szedł, aby mi białą
Szatę pobłocił krwią, która przeraża;
Potém siedzące nad Bałtyku skałą
Pogaństwo, które jako sęp uważa
I ma źrenicę patrzącą z daleka,
Chciwą na korzyść i na trup z człowieka,

VIII.

Pogaństwo srogie, mój wróg wieczny trzeci
Aż do wielkiego sądu i światłości,

---

[1]) Powyższe strofy zdają się być waryantem zakończenia poprzedzającéj pieśni. *(P. Wyd.)*.

Wpadło z północy... Już nie miałem dzieci,
  Abym tych trzecich poprzyjmował gości,
I rzekłem: Niechaj już ten piorun leci!
  Może zatrzyma się choćby z litości
Wstrzymany chłopka biédnego kołaczem,
Lasów szumami, i dziéciątek płaczem...

IX.

Więc gdym rozdzielał na dwa regimenty,
  Z rycerzy zamki wypróżniał i chaty,
Kiedy Cydebur na wschód odemknięty
  Poszedł, a ja zaś aż po za Karpaty:
Na północ poszedł jeden Wojciech święty
  Boso i z krzyżem, gdzie położył gnaty
Umęczon na śmierć... Straszliwa mogiła!
My padli — ona jedna zwyciężyła!

X.

Chorągwie moje krzyżowe podarto!
  Gdy mówię — jeszcze serce we mnie lata;
Musiałem z krain leżących za Wartą
  Hołdować, abym szedł wydobyć brata;
I część królestwa trzecią albo czwartą
  Nakryła moja pokrwawiona szata,
Kiedy popiołu nasypawszy wiele,
Siadłem w suknicy mojéj — na popiele...

XI.

Mówią, że złoto i w popiele świéci. —
  Gdy to przysłowie powiész, to mi wstaje
W myśli mogiła ona przedstuleci
  I one dawnych smutków obyczaje,
Gdzie król jak lilia złota z liści leci
  I popiołowi wielkość tronu daje,
Kiedy usiędzie i zakryje twarzy,
A nikt prócz Boga cieszyć się nie waży.

XII.

I rzekłem: Pan Bóg mię uniżył srodze!
  Srodze mię dotknął Bóg mój, świata książę!
Jestem — jak żebrak zatrzymany w drodze:
  Nie wiém, skąd idę, nie wiém dokąd dążę.
Jeśli niewolnik podły ma obrożę,
  Cóż ja lepszego jestem? Pan mię wiąże!...
Kwiat jestem podły, i łzy podłe cedzę,
Krynicą jestem łez — na prochu siedzę...

XIII.

Nic podlejszego, jak król hołdujący!
  Nie ma nademnie biédniejszego człeka!
Król jestem łaską upokarzający,
  Niosę do morza mój lud — jako rzeka!
Ze skał się rzucam w ocean gorący,
  Gdzie mię wieloryb niepamięci czeka!
Ślepemu dobrze nie widzieć, gdzie skoczy:
Wydarłeś sławę, Panie — odbierz oczy! —

XIV.

I otoczyli mię kołem panowie —
  Widzę ich — jacyś starzy sędziwoje
W hełmach, lub w lisich kołpakach na głowie;
  Widzę ich szaty długie, widzę zbroje —
Nagle ujrzałem oczy, jak ołowie,
  Blaszane, ogień, twarz białą, rąk dwoje,
Potém nic — tylko wielki krąg czerwony...
Wstałem, jak lampa powstałem — zgaszony!...

XV.

Szmer strachu poszedł, bom ręce otworzył
  Jak Samson, który szuka gdzie kolumny,
I zatoczyłem się i wszystko trwożył
  Mych rąk zamachem — ślepy, bezrozumny.
— Pan mię, krzyknąłem, żywego położył
  Na sen w ciemnicę wiekuistéj trumny!
Chciałem przeklinać... lecz mi straszne słowa
Ręką zamknęła na wyjściu — królowa.

XVI.

I dziw!... usiadłem znowu na mogile,
Czując, że niby kwiat wyrasta wonny
Z popiołów, który ja ku sobie chylę,
Człowiek już nowy jakiś — i pozgonny;
Kiwałem głową... A ciemność nie tyle,
Ile nad krajem ból — a wtenczas płonny —
Uciężał sercu memu, lecz ból cichy,
Ból ojca — próżen wszelkiéj ludzkiéj pychy.

XVII.

I Pan pokazał mi, na jaką sprawę
Zamknięciem oczu ducha mi przeznaczył;
Bo oczy ducha stały się ciekawe
I wzrok mój — twarze swych myśli zobaczył:
Piękności jakieś dziwne — przez mgły krwawe,
Które sam sobie anioł wnet tłómaczył
I póty w myśli pracował zamierzchu,
Aż stanął ducha świat — a duch na wierzchu.

XVIII.

A gdym budował, sny mi jakieś złote
Budować one rzeczy pomagały.
Duch zaczął w ziarnie granitu robotę
Twórczą, i stanął pod Chrystusem cały;
Każdy twór jakąś wypracował cnotę,
A wyższe już ją bez trudności miały,
A Chrystus wszystko ma w jasnym beztrudzie,
I to, co słońca mu robią, i ludzie.

XIX.

I przyszedł mi sen — jakoby sprawdzenie,
Żem był jak anioł prowadzący twory;
A gdzieś u spodu były aż kamienie,
A na kamieniach różne dziwotwory —
Zwierzęta dziwne ubrane w płomienie,
A na nich drzewa różne i kolory —
Wszystko w mgle jakiéjś na dole i w zmierzchu,
A ja na ludziach słonecznych — na wierzchu.

XX.

I w miarę, jakem pana Boga prosił
O przybliżenie słońc — o treść słoneczną:
Duch mój się wyżéj i wyżéj podnosił;
A kto wstępował: w zorzę ciała wieczną!
Lecz gdym ja takie alleluja głosił,
U dołu śmierć się stawała konieczną;
W nizinie, gdzie form była zawierucha,
Smokom — lwom — gadom nie stawało ducha.

XXI.

Takiego strachu wam nie wyobrażę,
Jaki szedł od téj pierwotnéj natury,
Która traciła skrzydła — ognie — twarze —
Oczy z błyskawic — języki z purpury.
Straszne robiły się jakieś cmentarze
Pod tą kolumną, która się u góry
Stawała w formie duchowi poddana,
Lepszą — jutrzenką przyszłą — już różana.

XXII.

I rzekłem żonie o wizyi mistycznéj;
A ona: — Właśnie miałam taką drugą,
Która mię róży na niebiosach ślicznéj
Także wiodącą uczyniła sługą;
Ja przyprowadzam górze seraficznéj
Duchy — kwitnące jeszcze dziś nad strugą;
Jam jest dawczynią nawet ptaszków rzeszy;
Gdy lecę w niebo, jaskółka się cieszy.

XXIII.

To sami — a cóż, gdy całym narodem
Zaczniemy ducha ku Bogu podnosić?
Co wiek podwyższać twory jednym wschodem,
Jako anioły winy ludzkie nosić?
Żywot na górze mieć — a śmierć pod spodem,
I duchy niższe w wyższe ciała prosić,
I wierzch obdarzać nowéj formy chwałą,
A tam zabijać w dole grube ciało? —

XXIV.

Któżby zrozumiał!... Gdy my tak do siebie
Gadali snami, żywota królowie:
Już więcéj ducha niż jest ku potrzebie
Mieliśmy w ciele; więc już w naszém słowie
Była ta siła, która jest na niebie,
A zdolna podnieść do góry ołowie,
Siła... która nas zniżonych kolanem
Porwie i w niebie postawi przed Panem. *)

XXV.

Już tylko chciałem duchów naszych własnych
Dzieje i wszystkie wiedzieć tajemnice,
Nie myśląc wcale już o wzrokach jasnych;
Ciesząc się, że mi ducha błyszczą świéce.
Z naszych ciał obu, jak z dwóch klatek ciasnych,
Leciały białe ducha gołębice
I gdzieś w błękitność podniesione wieczną
Stały na skrzydłach — pod trzecią słoneczną.

XXVI.

I rzekłem do niéj: — Pan Bóg nas wysłucha
I miejsce nasze zastąpi wspaniale.
Oto zaprośmy w dom wielkiego ducha!
Ty w róż go malin — a ja w krwi korale
Święte ubiorę: spełni się otucha
Duchów świętością zlanych doskonale
W trójcę tworzącą, która ciało ciśnie
I dzieli, aż się w jednę skrę — trzy zbłyśnie.

XXVII.

I Pan wysłuchał. I w małéj dziecinie
Przyszedł ktoś wielki, lecz w wielkiéj zasłonie.
Téj nie odejmę, aż świat się rozwinie
I zacznie jasno czytać w ciała łonie,

---

*) »Święty Paweł z Chrystusem spotkawszy się na powietrzu«. — *(Przypisek poety).*

I w alabastrach ciał i serc rubinie,
  Widząc tę światłość, co jest na Syonie,
A którą wszelka natura podchmurna
Świéci — jak lampą świécąca się urna.

XXVIII.

I znów, o Panie, zgrzeszyłem w niedoli
  Cielesnéj będąc; bo kiedy go chrzcono,
Gdy zapytano méj królewskiéj woli,
  Jakie mu imię dam razem z koroną: —
Ja w smutku rzekłem: Ach! sława mię boli,
  Pomnąc na sławę oręża straconą;
Jak człowiek, który ze snu nagle wstawa,
Trąc oczy, rzekłem: Ach! boli mię sława!

XXIX.

I ksiądz rzekł: — Niechże królewskiém cierpieniem
  Będzie ochrzcony ten duch nieśmiertelny
I niech mu sławy ból będzie imieniem,
  A tą boleścią niechaj będzie dzielny! —
Tak moim bolem i upokorzeniem
  Nazwane dziecko; a sługa kościelny,
Trzymając w ręku dziecinę kochaną,
Poczuł, że Chrystus przezemnie dał miano.

XXX.

I odtąd jakaś moc podniosła państwo:
  Cydbur zwyciężył margrabię Udona
I rozdarł w ręku cesarskie poddaństwo,
  Ze krwią wydarte z niemieckiego łona;
Potém się rzucił na pruskie pogaństwo,
  A ja trzymałem, jak Mojżesz, ramiona
W górę wzniesione — skamieniony ciałem,
Dopóki walkę na puszczach słyszałem.

XXXI.

I wyszła ze mnie siła — i myślano,
  Żem był umarły; a mnie na szkle oczu

Jakieś anielskie wizye malowano,
  Cudownie złote w anielskiém przezroczu...
A żona moja pod cedrową ścianą,
  Która drży na dźwięk, w kącie i w przymroczu
Organek złoty w lilijach i ziołach
Miała, wiszący na srebrnych aniołach.

XXXII.

Te mu skrzydłami czyniły podstawę,
  Klejnoty niby z piór srebrnych trzęsące.
Piérwsze mistrzowe to dzieło ciekawe,
  Upodobane méj drogiéj małżonce,
Pomiędzy ludem wielką miało sławę;
  Bo tak świéciło z dala, jak miesiące
W domu trzymane, a śpiéw tajemniczy
Miało w girlandach tonów — jak słowiczy.

XXXIII.

Ona więc leje ton, drżą suche ściany —
  Sklepieniem trzęsie ton ostatni boży;
Zda się, że piorun lub ptak zabłąkany
  Próbuje głową w ścianę — aż otworzy...
Potém go jakiś anioł i dźwięk szklany
  Rozbija, nową pieśń płaczącą tworzy;
Już nie dźwięk, nie szmer — lecz głosu ruczaje —
J a ducha — anioł j a... z rozdźwięków wstaje,

XXXIV.

Rozmiłowany tak, że już się jemu
  Należą całe niebiosa — zjawione.
Czém jest rząd dany kruszcowi złotemu
  Nad metalami, czém kryształy słone
Muszą ustąpić dyjamentowemu,
  Czém gasną światła na słońcu — czerwone:
Tém właśnie święty głos ducha przemaga,
Że w nim jest czystość cudowna i waga...

XXXV.

Słysząc głos taki, sny mię anheliczne
Brały całego... Raz dwunastu ludów
Widziałem twarze dziwne, a tak śliczne,
Że na nich była cała boleść trudów;
Każdy zaś jakieś zwiérzę symboliczne,
Albo kwiat — z ziemskich oczyszczony brudów,
Wcale duchowy już — na czole sadził,
Albo niósł w ręku, lub ziemią prowadził.

XXXVI.

Naprzód szedł anioł Judy — a słoneczny
Był mu baranek w kwiatach przewodnikiem;
Za nim szedł wielki anioł, zwany wsteczny,
Ścigany wielkim genezyjskim krzykiem,
Blady — i mało, zdaje się, bezpieczny
Nad swoim dawnym własnym mogilnikiem,
Nad tą otchłanią, gdzie się forma mąci,
Gdzie węże świszczą — a krok każdy strąci...

XXXVII.

Za nim szedł trzeci, już z człowieczym lądem
Obeznan: cichy — podły — pracowity —
Wołem Apisem i złotym wielbłądem
Podparty — mrówką na stopach okryty,
Jak trup przed bożym powstający sądem,
Jeszcze z trumnianych prochów nie obmyty,
Wiecznie pod biczem mocarza pogonny,
Jak trup z grobowca, czarny — ale wonny.

XXXVIII.

A czwarty za nim — młodzieniec z oliwą,
Która to wiécie, że nam w lampach świéci,
Młody — jak tęcza i dziecinne dziwo
I kwiat, gdy go lód ujmie i obleci.
Piąty wiódł u nóg wilczycę straszliwą,
Żelazną, która mu karmiła dzieci
I węża czasu, który w złotych kłębach
Wił się, a ogon swój chciał ugryść w zębach.

XXXIX

Szóstemu rosło jakieś straszne skrzydło .
  Już z ducha... jako pół miesiąca, złote —
W ręku kwiat jakiś dający kadzidło,
  A bez owocu... Szedł, czyniąc ciemnotę,
I starty z oczu był jak malowidło;
  A piérwszy wielką zostawił tęsknotę,
Bo stał na ducha prawego granicy,
A nie stało mu woni w kadzielnicy...

XL.

Jeszczem się dziwił temu, a już oto
  Szedł siódmy, dziwny, że bez ziemskiéj treści!
Tęczę miał ciałem — i całą robotą
  Swoją, miał tęczę na krzyż się boleści
Owijającą; przyszedł, zda się, po to,
  Aby dał piérwszy o aniołach wieści.
Ten mi się dziwnie, jak sen jaki zjawił,
Poszedł — a cień swój na ścianie zostawił.

XLI.

I cień ten jeszcze, jakby człowiek żywy,
  Ruszał swe członki z cedrowego drzewa,
A jeszcze duch w nim był objawu chciwy —
  Gdy nie mógł blaskiem, słyszałem, że śpiéwa...
Ósmy mi anioł sprawił mniejsze dziwy,
  Chociaż od świata większych się spodziewa;
Ten jak winograd z krzemieni rozkwitał,
Z ziemi nic prawie — z wiatru wszystko chwytał.

XLII.

I rzekła mi twarz jasna, że był czynny
  Na wszystkie strony, jak pająk stuoki,
I gotów zawrzéć w sobie, jak szał winny,
  I błyskawicą pójść aż pod obłoki;
Lecz gwiazdy na to zadrżéć nie powinny,
  Ani uważać Jehowy proroki,
Ani ust moczyć w tych jagód rubinie...
Puśćcie! niech przejdzie ten anioł — i minie!

XLIII.

A był dziewiąty, jak na morskim smoku
  I wężu i lwie; ten srodze mię zlękał,
Bo szedł spokojnie w burzy i w obłoku,
  A nie drżał, ani z form złożony pękał.
Dziesiąty był z psem i miał go na oku,
  A psa na więzi wiodąc, knutem nękał;
Już go rozdrażnił tak na zamach przyszły,
Że pies jak góra rósł — a z oczów skry szły...

XLIV.

A jedenasty mój — w wielkiéj pokorze
  Szedł, ale razem i w mądrość ubrany;
W ręku nic — tylko trzymał złote zboże
  I karmił — wiatrem ku ziemi przywiany.
Gdy szedł, jam poznał go i krzyknął: Boże!
  To mój... Wtém nadszedł dwunasty — nieznany...
I był objawion mi pod tajemnicą
Bez znaków; tylko wiém, że był dziewicą...

XLV.

A gdy te wszystkie przeszły, Syn człowieczy
  Stanął i patrzał na mnie, i rzekł: — Janie!
Widziałeś teraz w duchu ziemskie rzeczy...
  Przeciw ostatnim dwom — dziesięciu stanie.
Masz syna — czas jest srogi — nakup mieczy,
  Zostan, aż przyjdę... I rzekłem mu: Panie,
Przyjdź!... Wtém mój synek w kołyseczce krzyknął,
Żona przestała grać... i Chrystus zniknął.

XLVI.

Na takie mi sny zamykał powieki
  Pan Bóg nie przeto, abym szedł w niebiosa,
Zostawiwszy tu pracujące wieki
  I wiatr wiejący ziarno złote z kłosa.
Czułem, żem mego próchna niedaleki,
  A coraz większa mię zwilżała rosa;
I kwiat mych myśli czułem coraz słodszy,
Ciało zużyte, a duch coraz młodszy.

PIEŚŃ IV.

I.

I już na łożu śmiertelném, król ślepy,
  Leżałem... kiedy przyszła do mnie żona
I różne swoje podawszy ulepy,
  Rzekła: — Snem jednym byłam przerażona.
Wczoraj wspomniawszy na Boga oszczepy,
  Które miał w sercu, prosiłam ja, żona,
Aby nim przyjdzie śmiertelna godzina,
Tyś jeszcze spojrzał na Polskę i syna.

II.

I po tak wielkiéj zbolałości krwawéj
  Dostałam próżnych snów, niby dziéciątko,
Które od duchów ma różne zabawy
  Kraszone złotem, smętne gwiazd pamiątką.
Nie wiém, jak takie niesłychane zjawy
  Przychodzą, kiedy żywota użątko
W stodołach — a ścierń i cierniowe krzaki
Na polu — jedno puste kwitną maki...

III.

Nie wiém, jak tobie, któryś tu na tronie
  Płaszcz purpurowy po męczeńsku nosił,
A lilijami złotymi miał dłonie
  Zberlone, a moc Pana swego głosił,
Na tym popiele, jako na Syonie,
  Czekał, ażby cię czas lecący skosił —
Nie wiém, jak tobie takie sny należą,
Pogańskie prawie blaskiem i odzieżą...

IV.

Otom ja śniła — a sen był tak długi,
  Jak żywot cały — że byłam dziewicą
Z dwiema jasnymi mych warkoczów smugi,
  Z dwiema gwiazdami — pod jakąś ciemnicą;

A w kącie leżał wąż zielony, długi,
  Syczący na mnie skrą i błyskawicą,
Zaryty w ziemię skrzydły, które były
Z rogu — a jako ogniste, świéciły.

V.

Oczy widząca w tym wężowym ptaku
  Wyszklone na mnie — litością ujęta
Odjęłam łańcuch, który był na haku,
  I rozwiązałam wszystkie jego pęta;
Potém dziw... w gadzie tym i w dziwnym krzaku
  Różnych form — jakaś twarz błysnęła święta,
Bo ludzka, złota — mimo resztę cielska
Skrzydły do nieba lecąca — anielska...

VI.

We śnie z nim — zda się, żegnałam na wieki,
  Patrząc na jakąś gwiazdę dziwnie piękną;
Potém on zniknął; a moje powieki
  W perłach — jak róże, gdy rosą nabrzękną —
I modliłam się gdzieś nad brzegiem rzeki,
  W zamku, czekając, aż lody w niéj pękną,
Myśląc, że na tém zdjętém lodowisku
On błyśnie — w kwiatów rozjaśnionych błysku.

VII.

I ducha mego stało się żądanie:
  Zaledwo lody pękły na téj rzece,
A piorunowe ich we śnie pękanie
  Słyszałam, jak grzmot: zdało się, że lecę,
Że się ten rycerz-smok niespodziewanie
  Zjawia — uderza na moję fortecę,
A téj fortecy ludzie moi bronią,
A smok przez trupy sięga po mnie dłonią...

VIII.

Już nie smok, ale ptak... w oknie mnie widzi,
  Srebrne podnosi skrzydła, do mnie leci;

Lecz w oczach jego znać, że nienawidzi,
  A siły tylko piorunami świéci....
Wtenczas — przydomek mająca „jad-widzi“
  We śnie, jako kwiat, kiedy się rozkwieci,
Wonności lejąc — w tém oknie stojąca
Zaczęłam mocno wzdychać do miesiąca.

IX.

I coraz silniéj, zda się, coraz wyżéj
  W niebo się darłam przez one westchnienia,
Aż jakieś miasto z tysiącami krzyży
  Złotych — z brukami złotego kamienia,
Jak słońce, gdy się ku aniołom zniży
  I dotknie się tęcz jasnego pierścienia,
Blaskiem słonecznym rażące i chwałą
Zeszło — i coraz niżéj zlatywało.

X.

Na fundamentach jakiś blask — ten samy,
  Który w kamieniach drogich ziemskich gore,
W tych fundamentach jakieś ciemne jamy,
  A w jamach jakąś srebrną widać korę,
Jak gdyby z jednéj perły były bramy
  Na hakach złotą mające zaporę;
We śnie myślałam, że gród jakiś boży
Zamknięty, a Bóg cóż — gdy się otworzy?...

XI.

Panie! zalękła — twoje widząc właście
  Słoneczne, twoje wielkie złote wrota
I za wrotyma słoneczne przepaście,
  I nad gmachami ze szklanego złota
Drzewo, a na niém miesiąców dwanaście,
  W których był i blask i lekarska cnota —
Widząc słoneczne takie malowidła,
Jak dziecko — z rączek porobiłam skrzydła.

XII.

I we śnie, cała zatchnięta rozkoszą
  I trwogą, stojąc już na oknie wieży,
Już czując, że mię błękity podnoszą,
  A szata jasniéj błyszczy się i śnieży,
Szłam w błękit... ręce składają się, prosza,
  Ramiona jakiś wiatr owiewa świéży,
A reszta członków w błękit i w pogodę
Idzie, jak ryba lecąca przez wodę.

XIII.

A wtém na środku powietrznéj czeluści
  Nie stało mi sił... próżno ręce składam!
Czuję, że błękit lekki mię upuści,
  A czując, że mię upuści — już spadam.
Reszta snu mego gdzieś na dnie czeluści...
  A elementu już tego nie zbadam,
Który mię spadłą z błękitów — zdaleka,
Z gwiazd uniósł smętną — zda się, jakaś rzeka.

XIV

Rzeka, na której ja płynąca patrzę,
  Myśląca, że brzeg w drugą stronę bieży,
A wszystko w ogniach, ale coraz bladsze,
  A straszne jak sen... Ten rycerz na wieży,
Cień czarny w ogniach, gdy nań szatan natrze,
  I on w szatana ogniami uderzy —
Na dole ciemność i mrok i żałoba —
Oni na zamkach w mgłach — biją się oba...

XV.

Dzwon taki idzie... i jęk taki pędzi
  Za mną, że dusza mi od żalu ginie;
A ciągle jakaś gromada łabędzi
  Duchów przybywa — jęczy — za mną płynie,
Pożar gdzieś wielki na kurhanach swędzi,
  A kiedy jeden kurhan z oczów zginie
I już błękitne mam przed sobą ługi,
Z powietrza znowu — jak duch, wstaje drugi.

XVI.

Dwanaście takich mogił przeminęło —
Wszystkie jak z jękiem wyrzynane miasta;
Dwanaście mogił ogniem się zajęło
I zgasło — wstała straszniejsza trzynasta;
—„Powiedz, krzyknęła, że ja pańskie dzieło
Niosę“ — a mimo płomieni urasta;
Tu ognie z wielkiem buchnęły szelestem —
I znów krzyknęła na mnie· „pieśnią jestem!..“

XVII.

I znów ucichła... i gdym ja w zamgloną
Już odpłynęła krainę — pod drzewa
I księżyc, jeszcze krzyknęła: spaloną...
Krzycząc, jak tylko ludzkie mogą trzewa.
A wtenczas księżyc mi łabędzie łono
Olśnił, i ptaszek, który w nocy śpiéwa,
Polał girlandą tonów długą — smętną —
We śnie słyszaną, a wiecznie pamiętną.

XVIII.

Wtém patrzę, rycerz ów znowu nademną
Na jakiéjś wieży, pośród jodeł wianku —
Twarzą zmienioną i strachem nikczemną
Świéci jak miesiąc zielony na ganku;
Przez głowę moję gada... lecz nie ze mną,
Ale gdzieś z wiatrem — lub z gwiazdą poranku,
Albo kometom rzuca groźne słowa —
Straszna, w powietrzu klaszcząca rozmowa!

XIX.

Głos jego wielki raz jak piorun runął
I echa wszystkie jak głazy potoczył;
Z za drzew kometa straszny się wysunął,
Oczy wyiskrzył na niego — i zbroczył;
A on znów głosem, który z krwią wyplunął,
Wyszedł na niebo a mnie ani zoczył,
Że ja biédaczka — jako łabędź płynę,
Widzę go — sercem żałuję — i minę.

XX.

Minęłam... co się z nim stało? — ja nie wiém;
Bo zaraz jeden anioł przyszedł złoty
I rzekł: wy wszyscy spaleni żarzewiem
Wchodźcie na łąki te piérwszéj tęsknoty!
Tutaj czekajcie biali pod modrzewiem
Wielkiego miasta ze złotymi wroty,
Które Pan długo na wiatrach nie stawi;
Wołajcie głośno sercem, aż się zjawi.

XXI.

Piérwszą masz hostyą, rzekł, która to miasto
W siłę duchową waszych natur wkłada;
Bierz teraz piérwszą; gdy weźmiesz dwunastą
Jednymi usty — ty — i ta gromada:
Obaczysz, wielka narodów niewiasto,
Jak się w słoneczną gwiazdę świat rozpada
Jak drży i grozi ostatecznym końcem
I ducha twego wylatuje słońcem...

XXII.

To rzekł; a jam już otworzyła usta,
Już jakaś wielka chwila była blisko,
Już z krwi natura moja była pusta,
Już — jakieś złote, jasne promienisko...
Wtém niańka, która moje dziecko huśta,
Krzyknęła: Jezus!... a ja nad kołyską
Widziałam, jako boża stoi chwała —
Te ognie były na mnie, kiedym spała.

XXIII.

Jakieś płomienie... ty nie wiész, w przestrachach
Jakie się ognie ludziom jawią w nocy,
Jakby płomienie bijące na blachach,
Szelestu pełne, rąk pełne — i mocy...
— Wtenczas krzyknąłem ja: widzę się w gmachach
Przyszłości!.. jestem jak dawni prorocy!
Przeszłość i przyszłość widzę człowiek żywy,
Bóg ojców moich jeden — Bóg prawdziwy!

XXIV.

I powiadając to, na jednę chwilę
Zamknąłem mocno ściśnione powieki
I rzekłem: czasu mi zostaje tyle,
Ile ty miałaś na strugach téj rzeki;
Oczy nie zaraz jak lilie rozchylę,
Bo wzrok widzący tajemnicze wieki,
Kiedy powraca w szyb cielesnych bicie,
Ledwo ma czasu — raz spojrzéć na dziécię.

XXV.

Przyprowadź tu mi wszystkie moje pany,
Na ręku moje mi przynieś pacholę.
Nie wiész, coś śniła i jakieś mi rany
Pootwiérała... i na jakie bole.
Teraz wiém, za co byłem ukarany
I za co ślepy byłem na prestole;
Teraz rozumiem wziętą ze mnie sławę
I miecz... Mam wielką do spełnienia sprawę

XXVI.

I wielką drogę... To rzekłem, a ona
Przyprowadziła wszystkie stare pany;
Sama stanęła z dzieckiem rozkwilona,
A jam się modlił srodze sturbowany,
Nie chcąc, aby mi zadrżały ramiona,
Ani — w spojrzeniu wzrok był obłąkany,
Zwłaszcza, że żona i moja królowa
Miała mi w oczach stanąć — duchem nowa.

XXVII.

I przyszli wszyscy. Zbawicielu Boże!
Dajże mi teraz to wielkie wejrzenie,
Które ostatni raz znowu położę
Na ludzie moim — gdy utracę tchnienie;
Daj taki dawny wzrok... i takie zorze,
Kiedyś podobne znowu dał cierpienie;
Daj mi te same znowu widzieć twarze
Choć w duchu, jeśli je mają cmentarze!

XXVIII.

Wzrok, który w ciągu żoninéj powieści,
Chcąc widzieć, ciągle bił krwią we źrenice,
Otworzył sobie drogę bez boleści
I znów zapalił w głowie swoje świéce.
Pany trzymali już na rękojeści
Ręce i mieli na głowach przyłbice —
I duch się nowy w źrenicach płomienił —
Jam śnił... i wedle snu pieśń Bóg odmienił.

XXIX.

Dziéciątko moje nie na rękach, ale
Przy jednéj tarczy — z głową na bok zgiętą,
Zmarszczone, dumne jak orlik na skale,
Gdzie ma z ptaszeczków małych swoje święto,
Patrzał mi w oczy — w te straszne opale,
Które dwa razy na ziemi zamknięto
Rękami duchów z bożego rozkazu,
Choć nie zgrzeszyłem wzrokiem ani razu.

XXX.

Teraz w tych oczach chciwość jakaś wzroku
I łza królewska świéciła dla syna;
I przyszła żona, stanęła u boku
Widząc, że milczę... i drży — jak dziewczyna,
A nie wiedziała, że moc dawszy w oku
Bóg, który z ciała duszę brać zaczyna,
Zeszklił mi włosy — usta mi otworzył,
A w piersi głosu żadnego nie włożył.

XXXI.

Trzęsły się tylko otwarte... a lice
Ciemniało, duch się chwiał — jak światło migał.
Pojrzałem na lud i na okolicę:
Błękit był czysty — lato — sad dościgał
Wtenczas nie perły już, ale krynice
Stanęły w oczach... ciężkom głowę dźwigał,
Bom czuł, że śmierć mię ta cicha zwycięży,
Już głowa moja jak sennemu cięży.

XXXII.

Nagle z całego ciała, z wszystkich kości
Rzucił się wichrem duch w usta otwarte;
Krzyk ze mnie wyszedł takiéj wspaniałości,
Że gmach spękany — chorągwie rozdarte —
Wiatr wstał — krzyk sądu i sprawiedliwości,
Który nad światem wziął berło i wartę
I ducha mego był wydany lotem,
A wszystko siłą napełnił i grzmotem.

XXXIII.

Wtenczas mię pańskie porwały anioły
I niosły w otchłań, a na téj otchłani
Jako mgły... duchy — wielkie apostoły
Szli — słońc kręgami za głowy porwani,
W chór jeden święty niebieski wśpiéwani;
Błękit się cały w duchu stał wesoły,
A glob był niżéj — jakoby pod chmurą,
Zakryty ze mnie lecącą purpurą.

XXXIV.

Tam troska, tam szloch, tam płacz przy tapczanie
Króla — tam ciało, płaczki, świéce złote —
I ciche, piękne, błękitne zaranie
Zdwajało duchom globowym tęsknotę;
To pomną w duchu jeszcze dziś Słowianie,
Którym ja z własnych snów ten wieniec plotę,
Gdy wychodzili jak duchy z otchłani,
Słońcami własnych prac koronowani.

RAPSOD PIĄTY.

BOLESŁAW ŚMIAŁY.

PIEŚŃ I.

I.

Żelazny teraz wam żywot opowiem
  Z twarzą podobną do téj strasznéj twarzy,
Która pod szarym kaptura ołowiem
  Błyszczy się jak lód, a jak piekło parzy.
Nad księżycowym świécąca się nowiem
  Panna mię trzyma na anielskiéj straży
I świécącymi otoczywszy koły,
Naucza we śnie przez swoje anioły.

II.

Utratę mojéj u Boga zasługi
  Śpiéwam i wyjście mego ducha z tronu,
I dzień żywota straszliwy i długi,
  Marnie przebyty bez żadnego plonu,
I powrót ducha nad letejskie strugi,
  Gdziem pierwszy światło zanosił Syjonu,
Opowiem . . . .
. . . .

III.

Boże! jeżeli to jest w twojéj woli,
  Abyśmy twoim nieśmiertelnym duchem
Wyszli z téj podłéj, cielesnéj niewoli
  I potargali tym podłym łańcuchem:
Uczynisz teraz, że mój rym zniewoli
  Narodu serce — i zawłada słuchem,
Ofiarowawszy kadzidło i złoto
Za rym, pokorny rycerza prostotą.

IV.

Jako właściciel — gdy nabędzie prawa
  Do wioski — zbiera najstarszych z gromady,
Chodzi i kopce granic rozpoznawa,
  Przekopy — leśne strumienie — lewady,
A przy kamieniu i mogile stawa
  I rozpytuje ludzi — a te dziady
Niby wiekową omroczone tęczą
Stają i tak jak pszczoły złote brzęczą:

V.

Podobnie duchem wprzód obszedłem starą
  Całą ojczyznę moję — wszystkie ślady,
Wszystkie mogiły... i przed każdą marą
  Stawałem smętny, surowy — i blady;
Ażem się wreszcie wskróś widzącą wiarą
  Przekonał w duchu, że nie ma zagłady,
I czas od czynów ludzkich nie ucieka,
I zwyciężona jest śmierć przez człowieka.

VI.

Oto ja, sługa twój, przyszedłem nowy
  Na jakiś zamek — poważny i stary,
Od tarcz rycerskich, jak dom księżycowy,
  Poczerwieniony przez stare sztandary;
Gdziem spojrzał — skrzydła orle, ludzkie głowy,
  Pobrane ze snów dawnych twarze, mary —
Wszystko — prócz wiedzy w duchu, że ci sami
Gwiazdami byli niegdyś i słońcami.

VII.

Nawet ta dawniéj na wiatrach grająca,
  Któréj na głowie gdzieś gwiazdy prześliczne
Tak jako krążek srebrnego miesiąca
  I skry i głosów narzędzia muzyczne
Ducha wabiły — gdy przelatująca
  Spadała w lesie na kopce graniczne:
Nawet ta Pani twarzy dawno znanéj
Przyszła — uboga, w postaci siostrzanéj.

VIII.

Nawet duch straszny ów pieśniarza, który
  Leciał za wieńcem pańskich apostołów
W kopułę ducha z ognistéj purpury,
  Gdzie szli... porwani słońcami kościołów —
Nawet ten od słońc, które jako chmury
  Wylatujące z grobowych padołów
Unoszą z sobą w górę świętych ciała,
Odstał... i stanął na skale — jak skała.

IX.

Wszystko gotowe: berło w moim ręku,
  Me duchy przy mnie, cały świat podemną.
Jeżeli teraz z serdecznego jęku
  Nie wydobędę — jeno pieśń nikczemną;
Jeśli mnie mój lud nie pozna po brzęku
  Zbroi: to jeszcze tu raz nadaremno
Przyszedłem, gdzie nic duch-anioł nie tworzę,
Jeszcze raz... próżno tu przyszedłem, Boże!

X.

Wokoło nowa już jakaś kraina,
  Cała żelazna i cała ceglana,
Spiéwa żałosną pieśń do Hospodyna
  O raj — o żyto — o dobrego pana...
Na tarczy srebrnéj królewska dziecina,
  Przez chłopki i przez pasterze witana,
Wid aniołowy swój powoli traci —
Niańczą ją czarni rycerze skrzydlaci.

XI.

Czasami dusza — wyjrzawszy oczyma —
Na jakiéj tarczy, wielkiéj słonecznicy,
Albo na strasznéj twarzy się zatrzyma,
Albo na miecza strasznéj błyskawicy.
Jeszcze nie mówi nic, a już się zżyma
I świat zahacza oczyma orlicy
I duchy swoje w ciałach rozpoznawa,
Dziwnie uważna — sroga — i ciekawa.

XII.

Już nie przez mękę i cierń i pokorę
I żywot króla-żebraka, harfiarza,
Ale przez myśli w czyn zmienione, skore
Chce zdobyć niebo. Świat był dla mocarza!
Na karmazynach mnóstwo orłów gore
Srebrnych, i mnóstwo kwiatów z trybularza
Przed obrazami świętych czyni tęczę:
Wesołość wszędy — i lata młodzieńcze.

XIII.

Matka koronę mi na czoło wkłada,
Wkoło biskupy — pany — wojewody...
Lud cały w rynku na kolana pada
Krzycząc: witaj ty nam, hospodyn młody!
Dzwon z aniołami coś na niebie gada —
Serce drży we mnie — oczy pełne wody,
Berło drży w ręce i czoło się zgina,
Anioł coś we mnie smętny przypomina.

XIV.

Błysk jakiś... dawne te kurhanne dzieje
Przeszły żałośnie jak sen przed źrenicą;
Wiatr je rozpędził... i znowu jaśnieję
Duchem w cyprysach — kwieciem — błyskawicą —
Wiatr muzykami napełniony wieje
Nad moją nową, wesołą stolicą;
Ja jeden słyszę piosnkę doskonałą,
Jak gdyby w mojéj coś koronie — grało...

XV.

I poczynałem już, jak człowiek stary,
  Przenikać myślą świat, który jest ducha;
I przyszły na mnie wszystkie święte dary:
  I moc — i wielka przed Chrystusem skrucha; —
Gdym przejrzał moje podarte sztandary —
  Jak człowiek, który głosu z nieba słucha —
Poznałem... którzy kądziel w duchu przędą,
A którzy królmi byli — i znów będą.

XVI.

I tak ja, sędzia tronów — jeszcze młody,
  A już na boskiéj mądrości oparty,
Spokojny, mocny i pełen pogody,
  Ze światem w rękach — odprawiałem warty;
A świat mię witał — i spędzano trzody
  Na rynek, aż przed zamek wszem otwarty,
Spędzano do mnie te stworzenia boże,
Bym błogosławił je — i kwiat i zboże.

XVII.

Często gdy spojrzę, to jak fałki srebrne,
  Jagnięta — ludki ubożuchne moje,
Którym są ręce królewskie potrzebne,
  Stoją — a ja jak krzyż nad nimi stoję;
I duchy mi się poddają służebne,
  Jaskółki siostry wlatują w pokoje,
Niebo od orlic rozgwiażdżone świta,
Żywot mię cały zna — i królem wita.

XVIII.

Bywało — stare przychodzą pastuchy
  I gdzieś po kątach z miłosną pokorą
W grubych obuwiach, tak jak leśne duchy,
  Patrzą... i króla cień do lasów biorą.
To potém — Bóg wié, jak tam w zawieruchy
  W śniegach, przy ogniach, piszczałeczek korą
Wydęte imię moje w lasach było,
Bóg wié, jak długo dzwoniło — i żyło.

XIX.

Może dziś jeszcze są te dziwne echa
O koron duchu, o komnat świetlicach,
O twarzach, w których sam Bóg się uśmiecha....
Może gdzie — w górnych Karpat okolicach,
Może gdzie — w czarnéj chacie u Polecha
Baby przy blasku guślarskim księżyca,
Gdy myśl odemkną, a oczy przymrużą,
O takim królu pomną — albo wróżą...

XX.

Taki był piękny wschód mego żywota,
Taki początek moich przyszłych czynów;
Moc wielka, świętość, cichość i prostota,
I duch — i nad nim gołąb — śród bursztynów...
A już duchowie, którym ludzka cnota
Zabrania małych a ognistych czynów
I wejście w ciało widzialne utrudnia,
Lecieli na mnie chmurą — od południa.

XXI.

Są święte w duchu globu tajemnice,
Z których nie trzeba, bym wszystkie wyjawiał;
Są na sztylety i na błyskawice
Zaklęte duchy! są, którem ja zbawiał;
Są żeńskie, wietrzne — albo też ognice,
Albo te, które na swych muszlach stawiał [1]) —
Duchy, co mają pas i wieniec lity
Z morskich, świécących roślinek uwity...

XXII.

Te naprzód — gdy się w myśli ludzkie wkształcą,
A szatan je tu do pracy napędza:
We snach człowieka napadają — gwałcą —
Każda, jak anioł cudna — zła, jak jędza,

. . . .

. . . .

. . . .

. . . .

[1]) W tém miejscu jest coś pomylonego. *(P. W.)*.

XXIII.

Gdy tak o wielkiéj marzyłem budowie,
O bożych sprawach: zły duch stał na drodze.
Matka mię naprzód ruska, będąc w zmowie
Z Ihumenami, wychowała w trwodze.
Sama na postach chuda, jak ołowie —
Czarna, jak obraz spróchniały przy drodze,
Umarłych ludzi miała żółtą białość,
Trumniany w szatach powiéw — i spłowiałość.

XXIV.

W światach pośmiertnych ciemno nauczony,
Bałem się matki straszliwego wzroku,
Który był złoty — szklany — i zielony,
W dołach wychudłych tonął, jak w obłoku;
Krzyż, zda się, grecki ze swymi ramiony
Jak błyskawica się rumienił w oku
I straszne koła na dwoje przecinał,
A we mnie tonął ostry — jak puginał.

XXV.

Te oczy wielkie — jasnością zieloną
Dziś za mną chodzą upieknione czasem;
A na tych oczach iskry złote płoną,
A szata brzęczy i szumi atłasem.
Ona mię w salę raz wniosła czerwoną
W habicie mniszym, przewiązana pasem,
I na tron polski pusty wszedłszy ze mną,
Sama uklękła na ziemi przedemną...

XXVI.

I rzekła: — W tobie jest krew Włodzimierza
Świętego! Miałam ducha objawienie,
Że ty za Rossyą weźmiesz mękę krzyża
I cierń — i ćwieki... ocet i ościenie.
Przysiąż! bo śmierć się moja szybko zbliża,
Że ty za moje dalsze pokolenie
Weźmiesz zgon taki dobrowolnie krwawy,
Jak Chrystus: z ducha wiém, u złotéj-hławy.

XXVII.

Słysząc te straszne, ciemne, krwawe słowa,
  Nie rozumiałem nic prośby matczynéj.
Tylko ta złota jakaś straszna głowa,
  Krwi żądająca, na mrok wyszła siny,
— Przysiąż! krzyczała; a sama królowa,
  Oczy topiąca we mnie jak bursztyny,
Krzyczała: przysiąż! rączki mi podniosła —
Jam drżał — i przysiągł! A przysięga rosła

XXVIII.

Aż przez trzy wieki!... Któżby nie zajrzawszy
  W krainy ducha, wiedział: co to znaczy,
Że jednych słów jest kolor w oczach krwawszy,
  Inne jakoby z tęcz wite przez tkaczy,
A drugie — całą woń swoję wylawszy,
  Gdy przyjdą na ton wieszczowi w rozpaczy,
To w długą rymu kładną się kolumnę
Bezwładne — ciche — jako trupy w trumnę?

XXIX.

Więc kiedy trzeba, to ci w ludzi usta
  Duchowie kładą żyjące wyrazy:
Czasem są jako błyskawica pusta,
  Monumentalne rumieniąca głazy...
Czasami niańka małe dziecko huśta,
  A w pieśni boże mu daje rozkazy,
A sama nie wié, jakie w pierś dzieciny
Wrzuciła ziarno — aż zeń wyjdą czyny...

XXX

Przysiągłem matce, jak człowiek w pośpiechu —
  Kiedy mu wielki cel na oczach stoi —
Dar z tego robi, co ma, a uśmiechu
  Nie traci, bo już głodu się nie boi.
Nie tak z biorącym! ten się czuje w grzechu,
  Że jako żebrak czyhał u podwoi,
Ażeby płaszcza ukroił połowę
Z tego... kto idzie — za świat dawać głowę...

XXXI.

Wnet na tę ruską księżnę duchy wpadły
I mordowały za wziętą przysięgę.
Ja tylko jeden z tymi się widziądły
Widziałem! Czasem wzięła świętą księgę,
I na tych kartach — jak szarańcze, siadły
Czarty! Czasami przez większą potęgę
Swe kościotrupie skrzydła, piersi w ranach
Cienie okropne jawiły na ścianach...

XXXII.

Woskowe świéce kijowskie cerkiewne,
Pomalowane w kwiateczkach i w złocie,
Na siostrę moję Świętochnę królewnę
Raz zaszeptały... a dziecko w tęsknocie
Stało się blade, posępne, i rzewne —
I jakby anioł jaki na odlocie,
Śpiéwało... dawne swoje smętne biedy
W ruskich piosenkach z imieniem Łabedy.

XXXIII.

Nikt jéj nie uczył; lecz matki komnata —
Pełna obrazów, świéc, kadzidł i ziela
Jakby z innego podziemnego świata,
Z ziemi kryształów, kruszców... a od wiela
Świateł rozgrzana, a ciężko bogata,
Z czarną, indyjską twarzą Zbawiciela —
Wywiodła swój duch i pod obce dachy
Swe wnikające przyniosła zapachy.

XXXIV.

Ileż mię razy potém cerkiew ruska,
Gdzie pop krzyżami się jak szatan łamie
I świécą swoją w świętéj wodzie pluska,
Jak trup brodaty, blady, w złotéj bramie —
A na obrazach coś, jak węży łuska
Błyska, a trupy mnichów leżą w jamie —
Pomimo żem się czuł pod bożym dachem,
Smętnym i dziwnym odepchnęła strachem!

XXXV.

Zdawało mi się, że mię znowu bierze
  Ta matka, kornie na kolana pada
I swój duch, w swojéj zczerwienionéj wierze
  Błyszczący, swymi ramionami wkłada,
Duch chwytający — kto się nie ustrzeże,
  A w sobie głośniéj miłością nie gada,
Niż one głosy mających obróże
Krzyczące z prochów, z krwi: pomiłuj, Boże!

XXXVI.

Szczęściem, że prędko onę pustelnicę
  Ruską wyniosły od nas duchy nasze.
Poszła... a w sieniach puste błyskawice
  Zamiotły puste już po niéj poddasze.
Wszakżem ją kochał! przez tę tajemnicę,
  Która pomimo ciał troistą czaszę,
Zawsze na jeden ton ponastrajane
Trzyma trzy duchy — już raz w jedno zlane.

XXXVII.

Są rzeczy, które tylko strach duchowy
  Widzi. Gdy konie rżą — gdy trąby huczą —
Gdy duchy wyszły już z ciał do połowy —
  Gdy krwią się myją, a w płomieniach płóczą —
Gdy nad kitami hełmów — duchów głowy,
  A instynktowi ciał miecze poruczą —
Gdy zawrót głowy na świecie przemaga:
Wtenczas na rzeczy boskie jest uwaga.

XXXVIII.

Dawno już w grobach leżeli rycerze,
  Którzy pod Chrobrym ludy wojowali,
Pieczyngów zgraje i Kłobuków wieże
  Na kołach. — Gdy się step cały zapali:
Nie tak skrzydlaty anioł ognia bierze
  Szybko, jako ci świat w ramiona brali
W ciągłym pośpiechu, w ciągłym marszu, trudzie,
W zbrojach żelaznych — z błyskawicy ludzie!

XXXIX.

O nich mi stary dyak, sługa matczyny,
Często powiadał niesłychane rzeczy:
Jak te nieczyste duchy — pół Rusiny,
Świat cały kłuli tysiącami mieczy;
Jak na zielone kijowskie doliny
Jechali — carom ruskim ku odsieczy
I zamieszkali długo w ruskiéj ziemi
Pod kopułami jak słońce złotymi.

XL.

Duch we mnie inny — litosny i boży
I sprawiedliwy i miłośnik prawa —
Często, bywało, tak się w ciele sroży,
Gdy mu ta ruska pieśń ognia poddawa:
Że nie swój czuje gniew, a sam się tworzy
Z cudzego czucia... tak że złota sława
Już mu na oczach i na celu błyska
I we śnie dziwne mu stawia zjawiska

XLI.

Raz, zda się — ciało swoje zrzucił młode,
Które mu we śnie aniołowie strzegą,
A sam gdzieś poszedł pod błyszczącą wodę
Zobaczyć słupce żelazne Chrobrego.
Jeden był dziwny; zda się, że miał brodę
I twarz ogromną z kręgu miesięcznego,
Po pierś wsadzony do piasku mogiły,
W któréj gdzieś trąby mosiężne dzwoniły.

XLII.

Słupisko jakieś — z księżycową twarzą —
Przedemną wodę rozsiekło w dwa pręgi;
W żelaznéj marze tak się oczy żarzą,
Jako czerwonych miesiąców okręgi;
W koło sen: Nimfy zbiegają się, gwarzą
I tęcz podwodnych różanymi wstęgi
Opasują go. Duchowa kraina
Brzmi cała wielką pieśnią Słowianina.

XLIII.

— „O fundamencie! (mówią) tobie wieki
  Na twojéj głowie nosić będzie dano.
Z Dnieprem ty się łam, aż przyjdzie daleki
  Czas, że te fale przed prorokiem staną.
Ty wtenczas wyjdziesz na świadectwo z rzeki,
  Jak upior — z twarzą wstydem rdzy rumianą,
A piérwéj każesz, aby ciebie z pleśni
Obtarłszy, srebrnym pokazano w pieśni.

XLIV.

„Wtenczasto z lampą one Amfitryte
  Przywoła król-duch, i ludom pokaże
Te srebrne orły na tobie wybite
  I tych napisów zasłonięte twarze.“...
— Taka pieśń państwa podwodne i skryte
  Smęciła, kiedy przy żelaznéj marze,
Która do wody szła — pianami biała —
Druga, straszniejsza upiornica wstała...

XLV.

Tam, gdzie słupowi pod nogami było
  Mulisko wodne i czarne rośliny,
Straszydło jakieś straszne się ruszyło
  Wkoło wodnymi obwieszone śliny;
Niespodziewany pod wody mogiłą
  Ruch spłoszył srebrne wodnice, dziewczyny;
Wszystkie rozbiegły się na wód zielenie,
Roniąc za sobą kwiaty — i płomienie.

XLVI.

Zbielała woda — jakby po odlocie
  Łabędzi; a w téj zamroczonéj bieli
Jam patrzał przez gwiazd i przez kwiatów krocie
  Na straszne widmo wstające z topieli.
Jakiś słowiański bóg, zbudzony w błocie
  Wstawał powoli... i z czarnéj pościeli
Podnosił piersi, ciesielską robotą
Rzezane — jedne dłoń — i głowę złotą.

XLVII.

Był to bóg dawny gniewu Perunnego,
  Stojący niegdyś nad Kijowa zgliszczem;
Włodzimierz kazał bałwana złotego
  Zrąbac i zrzucić w Dniepr pod horodyszczem.
Tocząc, się jęczał — a od jęku tego
  Górę nazwano b a ł w a n a b r e m i s z c z e m
(Brzemieniem jego). Dzisiaj polska noga
W bagnie ruskiego nadeptała boga...

XLVIII.

I wstał i postać się okropna wzmogła,
  Świécąc łbem złotym na wodnéj zieleni;
Lecz ręki jednéj wydobyć nie mogła,
  Którą słup trzymał wbitą do kamieni.
Jedna ze śmielszych Rusałek pomogła
  I gryzła ząbkiem w granitowéj rdzeni,
Aż dłoń zjedzoną mając przez korale,
Wypruł się straszny złotogłów na fale.

XLIX.

Krzyk poszedł straszny z wszystkich gór Kijowa,
  Które rycerstwem i ludem okryte
Patrzały, jako słup do wody chowa
  Czoło — młotami huczącymi bite...
Krzyk wstał, gdy naprzód złota B o ż a g ł o w a,
  A potém ciało po pierś wydobyte
Pokazało się z wód — i wyżéj łona
Dłoń, koralami dziurawa — zjedzona.

L.

Zda się, bóg stary miastu przypominał,
  Jako wleczony był ze świętéj góry,
Jak lud urągał, jako mu przeklinał
  I kazał czynić to, co czynią chmury:
Bić piorunami! A grzmot już zaczynał
  Wężykowymi po niebie purpury
Dodawać bogu płynącemu mocy
I strachu, że był płynąc — jak prorocy...

LI.

Tam gdzieś, na górze, Chrobry w złotéj zbroi
  Z rycerstwem swojém skrzydlatém — pan świata...
Tu niżéj, ruski lud pod chmurą stoi,
  A błyskawica gniewu nad nim lata.
Tu bóg drewniany — gromów się nie boi,
  Lecz błyskawicę w boże włosy wplata
I płynie w ogniach, jakby rzeczywiście
Pioruny na łbie miał i złote liście.

LII.

A była nawet jakaś litość smętna
  Na twarzy boga płynącego w morze,
Która, wielkości Kijowa pamiętna,
  Patrzy na miasto — a stanąć nie może!
Fala zeń takie wydobyła tętna,
  Jakie ty z wieszcza wydobywasz, Boże.
Gdy mu na oczach naród stoi miły,
A ciało niesie do wielkiéj mogiły...

LIII.

Dwa razy wyszedł na brzeg, i na skały
  Kładł swoję dźwięczną i jęczącą głowę;
Dwa razy wojska drągami spychały
  Boga — te miejsca dziś zwą perunowe —
Chciał spocząć, i znów, gdy płynął, zuchwały
  Groził — aż wstąpił na progi Dnieprowe,
Jeszcze raz głową jak sen zamigotał
I wpadł w przepaście wodne — i zgruchotał...

LIV.

Komu nieznana posągów wymowa,
  Kto serc bijących w kolumnach nie słyszy,
Kto dziś na złotych równinach Kijowa
  Nie słyszy dzwonu boga w stepów ciszy:
Nie pojmie, jak ja wysokiego słowa

. . . .

. . . .

. . . .

LV.

Wiécie, co może w duchu pieśń, gdy wpada
Jak piorun złoty i aż w serce leci.
Bywało — jak wróg patrzę w tego dziada
Śpiéwaka: a gad jemu w oczach świéci...
Ta była pierwsza strasznych duchów zdrada!
To matki we mnie krew, na żywot trzeci
Duchów szatańśtwem w żyły moje wlana,
Abym czuł sługę w mym duchu — i Pana.

LVI.

Ale nie zawsze taki sen rumiany
Droczył mię, w duchu obudzając zwiérzę;
Bo czasem smętne Popiela kurhany
Zbiegałem we mgłach — i łąki i wieże:
To sen w cyprysy posępne ubrany,
To jakieś wielkie koralowe wieże
Wstają... a dzisiaj, gdy serce zaspało,
A duch go zbudził — to najjaśniéj wstało [1])
. . . .
. . . .

PIEŚŃ II.

I.

Któż cię, mądrości, ma? Kto dzisiaj szuka
Pod korą ciała piérwszéj ciał przyczyny?
Czekacież, aż Bóg ciała poroztłuka
I wam pokaże wasze własne czyny?
Któż wié, że ojciec jako duch aż w wnuka
Musi przeskoczyć w rodzie przez dziewczyny,
A synów swoich ustąpi posąga
Dla duchów, które miłość matki ściąga?

---

[1]) Właściwego dokończenia pieśni téj brakuje. *(Przyp. Wyd.)*.

II.

Któż wié, jakie ma w domu swoim kwiecie,
  Jak przed złodziejem zamknąć formy wrota?
Lud Izraela to wié — wy nie wiécie.
  Taka jest nędza wasza i prostota!
To téż wam cudzy wiatr domy zamiecie,
  Aż ktoś tam czoło polskie zakłopota,
I zacznie Boga przyzywać w żałościach,
Widząc te pustki ducha w polskich kościach.

III.

Postawmy polską myśl nad poduszkami,
  Postawmy wiary naszéj Archanioły,
Postawmy myśli serdeczne nad nami
  I pieśń z otwartą myślą, jak miecz goły —
Niechaj machają w ciemności mieczami
  Te wielkie stróże nad sennymi czoły,
A nikt się taki do nas nie przybliży,
Który nam w staréj naturze ubliży.

IV.

A nie dlatego, bym miał jaką wzgardę
  W sercu, jak człowiek przeciw człowiekowi,
Ale chcę, aby zamki były twarde
  Na tych granicach, które duch stanowi,
By polskie duchy tém przed Bogiem harde,
  Że się poddają jedynie duchowi,
Że przymuszone być z ciała nie mogą
Przeciwko vetu swemu — żadną trwogą!

V.

By duchy, które mają to z Chrystusa,
  Że veto swoje na wspak światu kładą,
Nie brała żadna cielesna pokusa
  Iść za zwiérzęcą i niższą gromadą,
Która pod biczem lub w galop lub kłusa
  Leci — chociażby przeciw Bogu — stado!
I piersi naszych wielkich natur porze,
A myśli, że duch i Pan Bóg pomoże.

VI.

Lecz biada matkom, które się nie bronią
  Piekielnym duchom... w przeszłość odwróconym,
A małe dziatki do przysięgi skłonią
  Takim wyrazem strasznym i zjawionym!
Im większy jest duch, tém hojniejszą dłonią
  Szafuje serca rubinem czerwonym,
W chwili podpisze rozdać to na braci,
Czego przez roków tysiące nie spłaci.

VII

O! straszne duchy, obciążone srodze
  Własną miłością i wszechmocną wolą!
Oto wam dawne skrypta wynachodzę
  I pokazuję, czemu serca bolą...
Albo wy, albo wasi więksi wodze
  Poprzysięgali i sobą i rolą
Łamać przed niebem stojące zapory —
Dziś poszła rola już na kredytory.

VIII.

O! czemuż nie mam dziś téj władzy Pana
  I téj młodości i tego żelaza
I szczerbatego u boku polana,
  Na którém była wiekopomna skaza?
Żelazna cała — i cała ceglana
  Była już Polska... a każda obraza,
Która w niéj ducha jednego pobrudzi,
Zaraz rozlana — szła na wszystkich ludzi.

IX.

I straszna jakaś ta czystość związkowa
  Rosła i wszystko trzymała jak w snopie;
Tak że ja, straszna wtenczas ludu głowa,
  Mogłem być nawet obrażony w chłopie!
A ze mnie też szła dusza narodowa
  I w dziada mego stawała okopie;
A ten szeroki duch miał wtenczas skrzynie
Na Elbie, Sali — i Dnieprze i Dźwinie.

X.

Na każdéj wieży czułem, co się dzieje,
Chociażby stała na granicy rogu.
Żadni mię podejść nie mogli złodzieje,
Bom wszystko widział wtenczas w Panu Bogu;
Ani mię podłe bawiły turnieje,
Gdzie sobie duma skacze po rozłogu
Na białym koniu i duch niewiast bierze,
Kiedy się w kwiatki złocone ubierze...

XI.

Blichtr sława! droga narodom daleka,
A na zabawki ludzkie nie ma czasu!
To też do króla, śmiałego człowieka,
Obracał się świat, który był z atłasu...
Nie będę mówił — bo mgła nie powleka
Sprawiedliwości ani téż hałasu,
Który czyniły króle pospadane,
Ciągle przezemnie na tronach stawiane.

XII.

Raz taki Bela, który swym okrętem
Nie umiał płynąć... chciał mi na ramiona
Miecz włożyć, z ducha swego sakramentem —
A Boga może mi wypędzić z łona!
Próżno! — Mój anioł wielki — z wielkim wstrętem
Odrzucił obce piętna i znamiona,
W które szedł człowiek jako w trumny chłodne,
Tracąc dziewictwo ducha samorodne.

XIII.

Bracia duchowi tego nie przeczuli,
Na czém stanęło moje biédne zdrowie:
I gdy najstarszy — choć najmłodszy z króli —
Stałem żelazny na rynku w Krakowie
I sądził sprawy, na złoconéj kuli
Trzymając rękę, jak na świata głowie —
Bo sprawiedliwość z Bogiem przed oczyma
Przez duchy nasze ten świat w ręku trzyma —

XIV.

Gdym stał żelazny — wyżéj mego gminu,
  Jako kłos prosty — z orłem na przyłbicy,
Na rubinowéj szmacie karmazynu: —
  Spojrzawszy w ciemność rogatéj ulicy,
Duch zadrżał we mnie; i berłem z bursztynu
  Dał drogę jednéj cudownéj dziewicy,
Myśląc, że jakiś płacz idzie bezbronny,
Któremu ja dam głos i plac przestronny.

XV.

Ucisk, myślałem, który się w sierocie
  Do tronu śpieszy — dostać się nie może.
Stanęła... oczy czarne były w złocie,
  I tak błyszczały otwarte — jak zorze;
Włos miał ten związek, który bywa w grzmocie,
  Gdy go po środku wezmą ręce boże:
Na samém czole własnym zwity pętem,
Błyszczał jak gwiazdą jednym dyjamentem.

XVI.

Z téj gwiazdy, z oczu — jakieś niby błędne,
  Rozpajające ducha szły promienie;
Szaty — jak na wiek, miała nie oszczędne,
  Ale królewskie; a w uszach — pierścienie.
W licu — tę bladość, która mówi: więdnę,
  Chcąc być na słońcu, a ukryta w cienie;
Na ustach — koral z najświeższych szkarłatów,
W ręku — ulotne dwie girlandy kwiatów...

XVII.

Myśląc, że piękną — a przez moje panki
  Wstydzoną — moją dobrocią ośmielę,
Rzekłem: — Dziewczko, wstąp tu na te ganki
  I mów, czego chcesz? śmiało — jak w kościele...
A wtenczas ona, swe kwiatowe wianki
  Wiejąc tam i tu... uszki swe jak skrzele
Zarumieniwszy rubinami piekła,
Nie odwracając oczu ze mnie — rzekła:

XVIII.

— „Mieszczanka jestem, z kupca urodzona,
  Ochrzcona na chrzcie imieniem Krystyny;
Miasto wié całe, żem prawie szalona,
  Bom jest odważną na nieznane czyny!
Słysząc, że ty masz mądrość Salomona,
  Przyszłam cię podejść podstępem dziewczyny.
Oto są wieńce — jeden jest prawdziwy,
Drugi skłamany; poznaj — gdzie był żywy?

XIX.

„Sama kłamałam ręką jasne róże,
  A tchnienie mi też pomogło dziewicze
Otwiérać serca schowane w purpurze
  I złocić białym lilijom oblicze.
Te drugie kwitły na wiślanéj górze
  I z trupów mają wonie tajemnicze...
Poznaj, jeżeli jesteś Pan nad Pany:
Które ja rodzę? a które kurhany?“

XX.

Skończyła. A ja... o! najpiérwszy grzechu!
  Całego ducha wnet użyłem na to,
Abym tę sprawę — tak wartą uśmiechu,
  Rozsądził jako Brutus, albo Kato...
I oczy moje sądzące w pośpiechu
  Już ją widziały kwiatami skrzydlatą,
Ulatującą gdzieś na rynku cieniach,
Całą w iskrzycach, w gwiazdach i płomieniach.

XXI.

Wstyd rozczerwienił mi twarz moję ciemną,
  Barwą z natury podobną do cegły;
W płomieniach byłem — a ona przedemną
  Ciągle... a oczy w moje oczy biegły.
Wtenczas ja myślą westchnąłem nikczemną
  Do tych aniołów, które ducha strzegły,
A ci — zaklęci duchem nieśmiertelnym —
Zaraz mi dali pomoc... w roju pszczelnym.

XXII.

Właśnie te złote owadów żórawie
Leciały sobie nad placem — z tym brzękiem,
Jaki ma trąba dzwoniąca ó sławie,
Smętna — z narodu pomięszana jękiem,
Gdy o nieszczęsnéj dla ludu rozprawie
Zdaleka mówi wołaniem i dźwiękiem;
Takim leciały otrąbione krzykiem
Pszczoły, złocistym po niebie strumykiem.

XXIII.

I zrozumiawszy aniołów przestrogę,
Zaraz z uśmiechem rzekłem do dziéweczki:
— „Ja twoich kwiatów rozeznać nie mogę,
Ani rozsądzić o prym takiéj sprzeczki;
Lecz oto pszczoły tędy mają drogę,
A ja moc w berle, zakląć te pszczółeczki,
Aby królowe z Boga naszych ulów
Zjawiły mądrość — nad mądroście królów.

XXIV.

„Bo wiédz, że pszczoły są sędziami kwiatów;
A kwiaty sądzą téż niższe żywioły:
Ziemię i strumień, jak my z majestatów
Sądzimy niższe; nas — tylko anioły!
A sądy są téż między sobą światów —
I są téż słońca rozcięte na poły
Mieczami komet, których wielkie kroki
I twarze — pełnią złotych słońc wyroki.

XXV.

„Drżyj, żeś tu śmiała, gwiazdo osrebrzona,
Pokazać twoje promieniste lice!
Bo oto leci kometa czerwona,
Ta — która jak kat, rozcina księżyce.
Już tu..." To mówiąc, podniosłszy ramiona,
Rzuciłem brzmiące ulów robotnice;

Te zaś (niewielkie to u mądrych dziwo)
Wybrały kwiatów girlandę prawdziwą.

XXVI.

Zrazu brzęk tylko w różach, i organki
  Głosów z lilii szły, jak źródło szemrze;
Nagle zczerniały one jasne wianki —
  Zgrubiały i złe stały się, jak węże...
Potém brunatno-złoty włos mieszczanki
  Zabrzęczał! Jak chłop, gdy rzuca oręże,
Gdy opadnięty jest gdzie na podjazdach:
Tak biegła na mnie w pszczołach — niby w gwiazdach...

XXVII.

Nie!.. dotąd widzę, widzę roziskrzoną,
  Lecącą w gwiazdach, w kolorach, w mamidłach;
Czuję, jako duch duchowi obroną
  Był, a już drżący jak ptaszyna w sidłach.
Jam ją z powietrza wziął na moje łono,
  Jak ogień... i wiatr muzykalny w skrzydłach,
I chwilę czułem, jak na mojém łonie
Przestrach mię mrozi jéj — a miłość płonie.

XXVIII. [1])

Nagle rzuciłem od łona jak węża
  Tę mieszczkę — i z krwią, błyskawicą w oku
Krzyknąłem: by jéj znaleziono męża,
  A dano posag! A wzrok mój w obłoku

---

[1]) Zamiast téj strofy, była pierwéj napisana, a następnie przekreślona, następująca zwrotka:

I groźny, jak lew — czuciem własnéj winy,
  Oddałem ojcu omdlałą i rzekłem:
Nie kupcz mi ciałem jasném téj dziewczyny,
  Bo aniołowie ci zapłacą piekłem!
To mówiąc, szedłem sam, z kwaśnymi drwiny
  Przeciw słabościom, których się zarzekłem,
Na nowo Bogu ślubując w mogiłę
Donieść duchową całą woń i siłę.

Widział to, co świat Homera zwycięża:
  Bogi w płomiennym rozemdlone mroku,
Piorun wcielony(?) do niebios szkarłatów,
Sen gwiazd — i nagłe urodziny kwiatów.

XXIX.

I od téj chwili stałem się ponury;
  Miałem dla ludzi chwile niewidome...
Miłując miesiąc, gdy na czarne mury
  I tarcze — srebra swoje kładł ruchome,
Sam jeden w płaszczu, jak dawniéj, z purpury,
  Witałem myśli dawno gdzieś znajome;
A tych straszliwa krwawość i pokusa
Straszliwszą była — przy blaskach Chrystusa!

XXX.

Toczyłem walkę; a jeszcze nie była
  Miłość, lecz pożar krwi ducha mi palił.
Ta mieszczka piękna za mąż wychodziła,
  A jam się na to Panu Bogu żalił,
Żem nie był kupiec... Takto Bóg przysyła
  Los, który tronem duchowi podskalił;
A duch się ogniem pożarnym zapali,
Na czarny zgore proch — i sam się wali.

XXXI.

Zamiast w związku być z duchowém ogniskiem,
  Oto duch niebo nad sobą zamyka;
A żagwi ziemskich szuka ducha błyskiem,
  Jak ogień końcem złotego języka;
A ziemia mu jest wichrowém igrzyskiem,
  Mało co lepsza już od wężownika,
Skoro ojcowstwo nad duchami straci
I nie za dzieci ma złe, lecz za braci...

XXXII.

Wtenczas to duchy przedemną zadrżały,
  Widząc, że jestem na wszystko odważny;

I rzekły sobie ludy — żem był Śmiały,
  A jam był tylko człowiek nieuważny;
I piorunowe ducha mego strzały
  Ja, duch wiekową boleścią posażny,
Począłem ciskać na cnoty obrońce,
Na świat — jak straszne, zwaryowane słońce.

XXXIII.

Właśnie szła pora... i Bóg mi nastręczał
  Wielkie ogromnéj rzeczy dokonanie:
Kijów pod mieczem już Waregów jęczał,
  I chcieli miasta złotego Słowianie,
Gdzieby kto Boga na sądach wyręczał,
  A łączył ludy przez prawdy poznanie,
Lecząc nie żadnym knutem i obrożą,
Ale przez miłość i myśl jednę bożą.

XXXIV.

Któż ją ma? — czasem gdzieś w pastuszku siedzi
  Ta myśl najczystsza, więc władnąca światem,
A nikt jéj krokiem ziemskim nie wyprzedzi,
  Choć owce ludem jéj — a berło kwiatem...
Widziano więc raz, jako hełmom z miedzi
  I królom drogim okrytym szkarłatem
Przyszła na pomoc taka bohaterka,
Jedna słoneczna i święta pasterka!

XXXV.

Wtenczas przezemnie Bóg chciał większe czasy
  Zaszczepić; bo też większe miałem duchy
Włożone w dzbany twardsze, wyższéj rasy,
  Na większe ognie zrobione i ruchy —
Anioł żywota takie ciał zapasy
  Kryje pod biegun... w mgłę i zawieruchy,
I od słońc wszystkich im zasłania twarze,
Aby nie biegły — aż większe pokaże...

XXXVI.

U Rzymian był ten posłuch, że boginie
W zorzowych wieńcach czerwonych na skroni
Pracują ciągle w mglistéj oficynie
Z piorunem w ręku — jak z młotami w dłoni;
Już w alabastrze przeczystym, nie w glinie,
Kują kształt — zdolny większéj w sobie woni,
A jedna siedzi wężownica jędza
I ciągle od ciał szatana odpędza.

XXXVII.

On chce te dzbany wraz z pod zasłon zorzy
Wyjąć i ruchem ducha psuć fałszywym;
A onych kształtów, duch rzetelnie boży
I nam dziś jeszcze obiecuje — żywym.
Gdy męka ducha już nam kształt zuboży,
Pokoszlawionym uczyni i krzywym:
Wtenczas maleńkie te duszeczki złote,
Ciche... aniołów przyniosą robotę.

XXXVIII.

Patrzajcie — rzekną; otośmy przez wieki
W tych pięknych urnach ledwo się ruszały.
My wtenczas krzyże mieliśmy i ćwieki
I bój z waszymi bolesnymi ciały;
Bierzcież te cichsze na siebie opieki,
Noszone przez nas z trwogą, jak kryształy;
Patrzcie, jak świécą — jaką różną twarzą
Na nich się kształty od lampy pokażą!

XXXIX.

Jam o tém wiedział wtenczas — z Boga wiedzy,
Że taki szereg jeden czysty, nowy,
Stanął i czeka na kaukaskiéj miedzy
Na jedno słowo — jak na grzmot Jehowy.
To Słowo jam miał, gdy dwaj ruscy zbiedzy,
Książęta lud ów dręczące surowy,
Przybiegli do mnie, dwa przewrotne Greki,
Przeciw ludowi temu chcąc opieki.

XL.

Stary na wszystko był gotów — krwi bał się,
  Lecz skarby przywiózł, by kupował złotem;
Młody szatanem potém wielkim stał się
  I wszelkiéj zbrodni podstępnéj namiotem.
Gdy klękli, mój miecz tak nad nimi chwiał się,
  Jakoby ściąć chciał... a oni wywrotem
Całego ciała uniknęli trwogi,
Czyniąc tronowi memu z siebie progi.

XLI.

Pierwszy Izasław kniaź do mnie przemowę
  Uczynił ruskim, żelaznym językiem,
Prosząc, abym mu nastąpił na głowę,
  A potém zrobił moim hołdownikiem. —
Odpowiedziałem dwa słowa surowe,
  Bom nie był wtenczas harfą, ni słowikiem,
Ale strzelałem pioruny z pod powiek
Król nad królami, a nad ludźmi — człowiek...

XLII

Odpowiedziałem: — Nie ze Słowian rodu,
  Ale z Łotyszów, miast ruskich złodzieje!
Prę się — żadnego nie chciałbym zachodu
  O to mieć, abym łatał wasze dzieje.
Co do obietnic — to posągi z lodu!
  Których srebrzystość od słońca topnieje;
Gdy wam źle, jak psy chwost zwieszony macie
I podłość w oczach; gdy dobrze — kąsacie.

XLIII.

Inna to jest rzecz u nas Słowianina,
  Który — gdy dobrze, to się koligaci,
A kiedy mu źle: dumnym być zaczyna
  I niby wielki król gada do braci,
By nie myśleli, że chce jak gadzina
  Darmo wziąć tego — czego nie zapłaci.
Więc jest nieszczęście, które łask unika,
A nie ma u nas innego dumnika.

XLIV.

U was przeciwnie: jeden grosz w kalecie
  Już dumę, dziura w płaszczu — podłość rodzi.
Raz to już drugi na tym złotym świecie
  Miecz polski za was po koronę chodzi.
Nie wiém, czy kiedyś wasze wnuki trzecie
  Pomogą naszéj przechylonéj łodzi;
Jednak los teraz wam biédny odmienię,
A na niewdzięczność schowam — przebaczenie...

XLV.

To mówiąc, gościć kazałem w Krakowie
  Te pany, które pijąc w wielkich czarach,
Rzucali w nie łez nie perły — olowie!
  Bo fałsz był nawet u nich w wolnych darach!
A już po cichu między sobą w zmowie
  Gadali chytrze o krwi i pożarach,
I swoje siostry przyzywali śliczne,
Rzucać snu na mnie wieńce balsamiczne....

PIEŚŃ III.

I.

Ojczyzno moja! raz tylko cię w dłoni
  Miałem jak piorun — i to wtedy właśnie,
Gdy szeregami uskrzydlonych koni
  Zatętnił rynek. Zaszumiał hałaśnie
Na Żębocinie Pan z chorągwią w dłoni,
  Masław od czeskiéj oderwany waśnie,
Straszny jako tur — oba Miechowici
W kapturach czarnych — skrzydłami nakryci.

II.

Ciężka konnica — w hełmach złotych cała,
  Lekka — w kolczykach żelaznych na głowie.
Girlanda koni pierwsza, jak śnieg biała,
  Druga — czerwona, ruchoma jak mrowie...
O! jaka, Panie, była moja chwała!
  Wszyscy mojego typu aniołowie
W zbrojach schowani — myśli moich bliscy,
A w jednym duchu króla byli wszyscy.

III.

Nigdy już więcéj takich niepopsutych
  Nie dasz mi, Panie! Bom je sam zaraził,
I strute duchy poszły do ciał strutych,
  Albo kształt będąc skazą — ducha skaził.
Mało dziś takich — tak prostych, a lutych!
  A król się ciałem już nie wyobraził,
Ale przez boleść i upokorzenie
W pieśni się ubrał i w ogromne tchnienie...

IV.

Łamiąc i bijąc, szedłem do Kijowa,
  Na Bugu — jak mój dziad, toczyłem boje.
Choć powieść nie chce być krwią rubinowa,
  A ja o chwałę oręża nie stoję:
Powiem jednakże, że sam jako głowa
  Rzuciłem w nurty rumaki i zbroje
I miałem wtenczas, przebywając rzekę,
Dziwną od duchów przestrożną opiekę.

V.

Pamiętam jeszcze, jak na środku rzeki
  Wstrzymałem konia chwilę w zawierusze,
Czując jakoby jakiś dźwięk daleki
  I wołające z za błękitów dusze...
Na mieczu moim były wtenczas wieki,
  Wichrem szumiały moje pióropusze —
Czułem, czegoby żaden duch nie skłamał,
Czułem, że Pan Bóg świat podemną łamał!

VI.

Mig — błyskawica... może duch rumaka
  Drżący podemną, jak czart purpurowy,
Może...przeczucia bliskiego oznaka,
  Że stracę wkrótce w mieczu duch Jehowy —
A wtém z tylnego krzyknięto orszaka
  W trąby mosiężne: toną złote głowy!
I po dwa razy w mroku otrąbiono
Na zorze trąbiąc — że łby złote toną.

VII.

Chrapanie słysząc trąb, anim się rzesko
  Do miecza rzucił ratować przeprawy,
Bo mi się trąba ta zdała niebieską,
  Echem matczynéj, ciemnéj, złotéj hławy —
Bóg gadał z myślą zwichrzoną królewską
  I w jednym łączył oba Bolesławy,
Cudownym mi to pokazując głosem,
Że mój duch — ludu jest duchem i głosem.

VIII.

Bryk mego konia, na średzinie Buga,
  Przez wszystkie wojska powtórzony konie,
Sprawił, że prądem rozkrojona struga
  Wir uczyniła z przepaściami w łonie;
Tam cieżka wpadła niejedna kolczuga
  I zostawiła wyciągnięte dłonie,
Długo stojące na obrusie wodnym
Z mieczem, który stał, jak kłos — w ręku chłodnym.

IX.

Po większéj części połykała woda
  Ciężkie kolczugi na ciężkich rumakach,
A stąd — ta trąba i ta w krzyku zgoda,
  Głosząca wtenczas o złotych szyszakach;
Bo lud był nakształt wielkiego rapsoda,
  Który o kształtu najjaśniejszych znakach
Wié, i swe duchy gdy na świat wyprawia,
To je przed ludźmi jedném słowem zjawia.

X.

Taka przygoda innéj też nie miała
  Wstęgi za sobą, tylko żeśmy nasze
Odkryli wcześnie w bój idące ciała,
  A zbroją sobie zrobili pałasze;
Nie przymusiły nas do tego działa,
  Które ja duch-król krwią bolesną gaszę...
Samiśmi wzięli ten pomysł od wieka:
Stawiać wrogowi miecz i pierś człowieka.

XI.

Owoż z téj strasznéj wyskoczywszy wody,
  Szedłem pędzący przed sobą kniaziki
I Włodzimierze te i Nowgorody
  I te Wołhary i te Suzdalczyki;
Aż na błękitach cudownéj pogody
  Swymi złotymi błysnął słoneczniki
Kijów, matuszka miast — w złotych obręczach
Na głowie, po pas cała w sadów tęczach.

XII.

Jakaś cudowna piękność, serce krając
  Przez cichy błękit szła — w duchowym wzroku,
Niby Homera pieśni odmładzając
  I jawiąc znowu tęczami w obłoku;
Woda to miasto z brzegu porywając
  Myła w srebrzystym Łabędy potoku,
A potok dziwną jakąś tajemnicą
Nązwan Łabędzim — w myślach był dziewicą.

XIII.

W około moja zrycerzona sława
  W skrzydlach, gotowa spaść furyą i błyskiem —
Ja sam, bożego pilnujący prawa,
  Czułem, że miasto duch — drży przed uciskiem;
A więc kazałem, by syn Izasława
  Szedł, nim ja w bramy uderzę pociskiem
I to cudowne słońce ludzkiéj ręki
Krwią zgaszę własną i wydam na męki.

XIV.

Kazałem, by szedł, a gniew z serca złożył,
  A miłością wziął swemu ojcu grody
I miasto kluczem przeświętym otworzył,
  Wynagrodziwszy łzy i wszystkie szkody.
On się przedemną wtenczas upokorzył,
  Jak wąż: i szedł nam gotować gospody,
Bo go przyjęło miasto w swoje łono,
Głód czując w brzuchu, a mnie już przed broną...

XV.

I otworzyły się bramiska złote
  Cicho... nie mówiąc nic zawiasów krzykiem,
Że gdzieś kaciska czerwoną robotę
  Czynią po domach — sznurami i szłykiem.
Jam wszedł, na twarzach widziałem prostotę
  I łzy... padali przed mną wojownikiem;
Koń mój szedł zwolna... i nogę ostrożny
Podnosił, by lud nie deptał nabożny...

XVI.

Jam go po grzywie głaskał, on wesoły —
  Dziś mi ta dobroć jeszcze serce rani —
On pogłaskany między przyjacioły
  Czuł się i ciągle ten swój krok bociani
Stawiał, a często przed siwymi czoły
  Uginał grzywy... i oczyma łani
Spłakanéj (mówią, że łania łzy toczy)
Często ludowi temu patrzał w oczy.

XVII.

Duch konia wtenczas czuł, że w piersiach tłumu
  Była zamknięta jakaś wielka skarga;
Lecz lud serdeczny już był bez rozumu,
  Już w kłódkach była tego ludu warga:
Jam prosty człowiek nie rozumiał szumu,
  Anim zapytał: kto za łańcuch targa?
Owszem myślałem, że kajdan niezdolni,
Widząc mię, króla — już czują się wolni...

XVIII.

Wjechałem w zamek... i wziąwszy za brodę
Starego kniazia, wstrząsłem go jak gruszę.
— Pamiętaj, rzekłem, żeć na tron twój wiodę,
A nie za brodę trzymam, lecz za duszę! —
Jakoż od tego się czasu w pogodę
Ubrał ten starzec i szedł na ratusze,
Bo mu wzrok syna szklany, zyzowaty
Odkrył to zaraz — że są w mieście katy...

XIX.

Ja nie wiedziałem nic, bo wraz z wieczora
Wzięto mię w wonne księżniczek świetlice;
Tam... gdyby niebo przemienić w upiora,
A tym upiorem oświécić źrenice:
Nie widziałby wzrok w przymroczu wieczora,
Patrząc na onę świętą błyskawicę,
Tak cudownego w złotach malowania
I takich odmian — i takiego trwania.

XX.

Nie byłbym jednak uległ téj ponęcie
Ja, duch żelazny i anioł wysoki,
Stojąc w tym jasnym z wiatru dyjamencie,
Co mię blaskami rwał na wszystkie boki:
Gdyby nie jedno rozkoszne ujęcie
I jedne światła jasnego potoki,
I jeden tam głos niby pieśni gminnéj,
I jedna wielka niewinność — niewinnéj.

XXI.

Ta zbrodnia, która na człowieka dybie,
A na niewinność czystą duszę łowi,
Bogdajby w ognia strasznego siedzibie
Ślepa uściski dawała ogniowi!
Wieki minęły, a na ciemnéj szybie
Dziewczę to memu błękitnieje snowi...
Z usteczek strąca zbladłe listki róży —
Łonem tak śnieży, że oczy aż mrużą...

XXII.

Cicha... złożeniem rąk na złotym pasie
Świętą się zdaje — jednak myśli pali...
Różami niby je białymi pasie
I niewinnością ust swoich zuchwali.
Alabastr w jasnym niebieskim atłasie —
I dziwnie na téj gronostajów fali
Pierś jéj świécąca wprawia w obłąkanie —
Niewinność krzyczy od niéj: precz, szatanie!

XXIII.

Mścisława — dziwne dla niewinnéj imię,
Jednak prawdziwe! — Jak mię ułowiono,
Jak moje myśli krzyczące, olbrzymie,
Prędzéj niż piekłem i prędzéj niż żoną,
Lepiéj niż sławą, która stoi w dymie;
A doskonaléj niż świata koroną
Zapchać, nakarmić umiano w świetlicy
Książęcéj — jedną wielką łzą dziewicy: —

XXIV.

Nie, tego nigdy nie wyjawię światu!
A i to dosyć, żem ten wstyd wygadał!
Na ostrzach mego czarnego bułatu
Szczerba zarosła się, i duch mój spadał...
Straciłem zaraz z mego majestatu
Pozłotę: ruski car już przy mnie siadał,
Panowie, którzy wiedli moje roty,
Mieli wzrok często winogradem złoty.

XXV.

Jakiś duch chwytał — by garncarskie koło
Ciągle kręcące się po myślach — ludzie
I naprowadzał na strunę wesołą
Wszystkie rozmowy toczone w beztrudzie;
Duch natchnień przestał wiać na polskie czoło
I zostawił je smętne — w ciągłéj nudzie;
Byliśmy jako czarnych ptaków kupa,
Która tém żyje, że ma ciągle trupa...

XXVI.

Jak wrony, jedliśmy wesołość cudzą,
Albo pieniądze, albo cudzą cnotę.
Dobrze to duchom, które się zabrudzą,
Pod biczem jędzy wejść w Cyrcejską grotę!
Tam się powszechném podobieństwem łudzą,
Myśląc, że każdy w sobie ma zgryzotę
I fałsz — i tylko tyle ducha bierze,
Ile potrzeba na kształt i na zwiérzę.

XXVII.

Na gankach — z czarą w ręku — upior blady,
Z chórałem czarnych w szkarłacie Greczynek,
Nad wielką rzeką — nad rajskimi sady,
W mgle miałem smutek — a w ogniu spoczynek.
Ręce tych kobiet, jak perłowe gady,
Chwytały z mych rąk każdy upominek,
A jam się wzdrygał, i ziębnąc jak głazy,
Rękom proszącym dawałem sto razy.

XXVIII.

Piekło, zda mi się — widzę malowane,
Z ukryciem swoich boleści dla oka;
Na trupach twarze srebrne i różane,
Śniegi na piersiach — pod śniegiem opoka...
Fałsz jakiś czynił, że jako blaszane,
Trące się łuski u wielkiego smoka,
Wszystkie te mary owinięte tęczą
Brzęczały... jeszcze dziś, jak srebro brzęczą.

XXIX.

Pustki duchowe to mają do siebie,
Że kiedy szczęście jasne cicho leci,
Jak anioł złoty na błękitném niebie,
Które rumieni, oświéca i kwieci:
Blichtr, który ducha do mogiły grzebie,
Wielki swój ogień na mogile nieci,
A gdy go tłuszczą i próchnem utuczy,
Słup wstaje w niebo, skręca się i huczy.

XXX.

W ogniach ja takich zacząłem na drugą
  Fałszywą ducha piękność znowu godzić:
Szatanów chciałem panem być, nie sługą,
  Ogień mieć w sobie i z ognia się rodzić...
I szczęście, że Bóg nie dał mi tą strugą
  Po większe siły te piekielne chodzić;
Szczęście, że woli nie dał z siebie dostać,
Bobym się w straszną był spłomienił postać.

XXXI.

Już miałem w oczach przed sobą tę marę,
  Stworzoną niby gdzieś na świata kuli,
Rycerza, który z losu zrobił wiarę,
  Z mnichów narzędzie — a oszustów z króli
I ma najwyższy tron świata za karę,
  A nigdy się łzą ludzką nie rozczuli,
I ma koronę jakoby z korali,
A gwiazda mu się jedna w mózgu pali...

XXXII.

Już byłem prawie mu podobny z lica,
  Z gwiazdy i z chłodu, i z zimnéj rozpaczy:
Gdy nagle ducha ta straszna wichrzyca
  Z rąk rozłamanych jak wystrzał kartaczy
Poszła na Polskę... Kapłani księżyca
  Jęli uwodzić znowu lud prostaczy!
Straszniejsze jeszcze, bo dawno przeklęte,
Błysnęły w czarnych lasach ognie święte!

XXXIII.

Żony poczęły mężom łamać wiarę,
  Dziewczęta zrzucać z się niewinność dusze...
Widziałeś kiedy, jako wróble szare
  Pierzchają — jabłoń rzuciwszy lub gruszę,
I niby harfy mając rytm i miarę
  Lecą? Podobnie polskie animusze
Do gromad bratnich, do braterskiéj miary
Przywykłe — choćby rzucali sztandary...

XXXIV.

Gdy jeden nad niém [1]) duch wodzostwo straci,
Wnet wspólny zapał sobie wodzem stawi.
Tak i tu było, że bracia za braci
Stanęli krzycząc: niech Bóg błogosławi!
Chorągwie w takiéj zostały postaci,
Jak krzyże mogił — po wzlocie żórawi:
Nagie się zdały drzewka, na podwórzach
Kwater lub w polu stawiane po wzgórzach.

XXXV.

Mała już liczba przy koronnéj głowie
I przy królewskiéj została osobie.
Kto tracił berło w mieczu, albo w sławie
I czuł, że już sam był złamany w sobie:
Niechaj się skarży, niechaj to opowié...
Ja z tego pieśni na ziemi nie zrobię,
Bom tego ducha związaniem zmocował,
Wziąłem go za krtań i zasztyletował.

XXXVI.

Tożby to było — gdy się Izasławy
Na mękę ducha patrzeli, chcąc zmrozić —
Żebym ja wtenczas był na krzyżu, krwawy,
A nie miał siły jako król zagrozić!...
Strach był, gdy trumnę wskazałem Mścisławy!
Niańki kazałem powiązać i złozić!
I jeszcze jak pan, zgroziwszy książętom,
Poszedłem — własnym nieść pomoc okrętom.

XXXVII.

Aniele duchu! pierwsza twoja trwoga
Pochrześcijańska, czarna wtenczas była,
Gdyś ujrzał swego ducha jako wroga
I poznał, że w nim była twoja siła...

[1]) Nad rycerstwem polskiém, którego to wyrazu trzeba się tu do-rozumiéć. *(Przyp. Wyd.).*

Jak tu zhamować wóz, gdy cała droga
 W piorunach żądzy z pod kół zaświéciła?
Gdzie tu uderzyć? Co bór, to pochodnie!
Gdzie dom, to węże! — gdzie zamek, to zbrodnie!

XXXVIII.

Jak szatan jaki, któremu świat z ręki
 Wyleciał i już przeciw niemu czyni,
Skrzydła ma swoje, i światła i dźwięki,
 Jak nowa gwiazda — powietrzna harfini:
Tak jam kaléczył wiatr — ścigałem jęki,
 Widząc we wszystkiém twarz, która mię wini,
Twarz moję własną, która już się trzyma
Na wiatrach — swymi patrząca oczyma.

XXXIX.

Zgroza! Lokajstwo w zbrojach — na oblicze
 Włożywszy hełmy, staje mi na drodze!...
Kazałem miecze rzucić i wziąć bicze
 I miecz jak drzazgę złamałem na nodze...
Sam lecę — słyszę jak ścinam i ćwiczę,
 Świszczy mi w ręku rzemień... wszystko w trwodze,
Wszystko ucieka i w bagniska skacze,
Pierwszy raz walka nie jęczy — lecz płacze!

XL.

I porzuciwszy te obiczowańce,
 Którzy już byli w powietrznéj rozmowie
I przez czerwone gadali kagańce,
 A słowa dębom rzucali po głowie:
Szedłem, ażebym te dzieci szafrańce —
 W które podłego ducha wlazło mrowie
Poczęte w fałszu przez złamanie wiary —
Odjął od srebrnéj, pierwszéj ducha czary.

XLI.

— Niechaj to mleko, rzekłem, co w lilijach
 Zbiéra się czystych, nie karmi złodziei!

Ciało jest równe; lecz duch, który w żmijach
  Podnosi głowę w burzy i w zawiei,
Dumny, że mu się niewierność na szyjach
  Wiesza i usta w ogniu z ogniem klei,
Lud taki, rzekłem — aż na moim grobie
Wprowadzi w ciała duchy równe sobie!

XLII.

A na cóżby to złotym sakramentem
  Nalewał Chrystus po dwie ślubne czary?
Gdybyście mieli nie odpędzać wstrętem
  Brudniejszych duchów — niższéj od was wiary!
Glina zrobiona czystym dyjamentem
  Niech nie buduje domów dla poczwary!
— To mówiąc, moja myśl burzami wzdęta
Kazała wieszać do piersi szczenięta.

XLIII.

I tak mój anioł wielki w obłąkaniach,
  Będąc przepaścią i słońcem Polaków,
Olśniony złotem na kijowskich baniach,
  Jak ślepy — ciemny anioł, szedł na Kraków,
A już był nie ten, co w życia zaraniach,
  Ale jak owca podarta śród krzaków,
Mający w sobie moc zdaje się nową,
Zdjąć łeb — i świécić sobie własną głową.

XLIV.

Jak duch, gdy cały w sobie już jest z szumu,
  A lepsze widzi, i zna, czém przewinił,
Jeszcze ma prawo, rady wziąć z rozumu,
  Lecz mocy nie ma, by z rad ludzie czynił: —
Tak ja, przewodnik jeszcze wielki tłumu,
  Chociażem ducha w ciało moje wskrzynił,
Siadłem w Krakowie i przez jakieś czasy
Trzymałem siłą z woza końskie pasy.

XLV.

A na wsze strony już rozwiązłość biegła,
  We mnie z najpiérwszych węzłów rozwiązana;
Widzę się — suchy, czerwony jak cegła
  I cały w zbroi, jak wieża blaszana;
Pod kulą z dłoni — chcę, aby uległa
  Pod siłą ludzką — siła już szatana,
Bo ci złoczyńce spuszczeni z łańcuchów
Już mieli wtenczas pomoc innych duchów.

. . . .
. . . .
. . . .

(Dokończenia pieśni III. nie ma).

PIEŚŃ IV.

I.

O męko! Czułem, że duch jakiś drugi
  Obraca już mną, tak jak słonecznikiem,
Bierze z podemnie najwierniejsze sługi,
  Zostawia sam wiatr w grzechu powiernikiem,
Albo kupione za pieniądz Niemczugi
  Bez serca — ciągłym szwargocące krzykiem,
Które, bywało, zamek miodem zlany
Czynią i mózgiem opryskane ściany.

II.

Ja król sam tylko, bywało, się ważę
  Wchodzić, gdy w sieni uczta dogorywa;
Jak odgrzebane przez wicher cmentarze
  Leżą podłogi, a głąb sali żywa,

Wyjąca jako wół przez korytarze,
  Mieczami sobie łby okropne zrywa,
Lub wroga ławą dębową obarczy,
Lub dzban ma zamiast siekiery i tarczy.

III.

Na takie walki przy miesiąca blasku
  Lubiłem kułak żelazny położyć
I przyjść wśród mężów, jak piorun w roztrzasku,
  Śmiercią uciszyć i królem zatrwożyć...
Błyskawicznego pełni w oczach piasku,
  Gdy przyjdę, oczu nie śmieli otworzyć,
Padali jako chrystusowi stróże,
Myśląc, że anioł-duch przeszedł w purpurze.

IV.

Ale zabójstwo ciągnęło nagrodę,
  A hojnie ją dłoń dawała Polaka;
Za każdą w czaszce albo w żebrach szkodę
  Niemiec brał już wieś... i rósł ze żebraka.
Poznano piérwszą pod króla podwodę
  I bicz — cierń piérwszy Chrystusa — wieśniaka;
A to zostało w krainie na długo,
Że każdy, kto kat — był królewskim sługą.

V.

A jam to czynił, widząc, że z wysoka
  Jakiś duch większy patrzy i uważa
I ze mnie woli nie spuszcza ni oka,
  A milczy — Świętych milczenie przeraża!
Wolałbyś wielki krzyk i jęk proroka,
  Albo tysiąc trąb jakiego mocarza,
Niż gdy cię trwoga i ciemność otoczy

. . . .

VI.

Kto ten duch? wiecie!... a ja takiéj twarzy
  Lękam się, pisząc, że błyśnie pod piórem.

Lud go dziś sobie za świętego waży
  I ugwiażdżonym obwija lazurem;
Ale on, jak ja... często dla grabarzy
  I dla kościelnych, którzy ciągną sznurem,
Przychód tu swoją drogą kością czynił:
Lecz choć był świętszy odemnie — przewinił!

VII.

W domu jeszcze mi jedna gwiazda blada
  Została: siostra, nazwana Swentyną,
Którą wnet chłopków pobożna gromada
  Przechrzciła, Tochno mówiąc, zamiast Tyno.
„Och no! niech z królem królewna pogada,
  Skargi mu niesie, a złe czasy miną"...
Dziwne przeczucie, że świat w to rozkwita,
Aby patronką praw była kobiéta.

VIII.

Jam śnił, że Trójcę rządzącą w błękicie
  Tu formą rządu kiedyś wyobrażę,
A ministerstwo prośby dam kobiécie,
  Łzę do praw wmięszam, a prawa nie skażę.
Onoż mi siostra moja była skrycie
  Takim snem moim; ona w srebrnéj czarze
Niosła łzy ludu — stająca w obronie,
A czarą były jéj żebracze dłonie.

IX.

We snach marzyłem, że to przyszła święta,
  Kiedyś na ziemi objawiona ciałem,
Ciągle miłosna i ciągle natchnięta,
  Ciągle pod tronem i pod trybunałem,
Wszechmocna łzami kruszyć wszystkie pęta
  I prawo czynić przeczystym kryształem,
A jednak żadną nie władnąca groźbą,
Ani rozkazem — jedną tylko prośbą.

X.

I tę mi Biskup wziął! Klątwą zgrożona
  Wyszła — pokorna, posłuszna — z Krakowa!

I dotąd jakaś pustynia zielona
  Ślad ubożuchny jéj nóżeczki chowa.
Tam po niéj skała była wydrążona,
  Którą znalazła węgierska królowa
I na dnie trochę kwiatów albo słomy,
Na któréj dospał snu ten cień znikomy.

XI.

Zdarza się często, że nocni pasterze
  W grobach Judei swoich lamp zapomną,
A wędrowiec stąd dziwne myśli bierze,
  Widząc światełka pod skałą ogromną;
Sądzi, że jakiś duch grobowców strzeże
  I swoją myślą napełnia przytomną,
A póki świat się złymi duchy zwaśnia,
Siedzi i lampy te dawne objaśnia.

XII.

Podobnie światło to — małe, lecz złote
  Swiéciło w moim rozhukanym dworze,
A potém poszło w duchów ciemną grotę,
  Jakbyś je z łodzią gdzieś puścił na morze.
Ale przeklęty, kto mi tę zgryzotę
  Wlał, która serce me, bywało, porze;
Więc już nie szedłem daléj, walcząc losy,
Alem był w przepaść wleczony za włosy.

XIII.

Po nocach moich szaleństwa i zbytki
  I brzęk pieniędzy, albo twarde miody,
Włóczęgi nocne, po ulicach bitki
  I napadanie w noc kupców gospody...
Razu jednego głos mię Sulamitki
  Zaleciał — dziwnie gorący i młody,
Z umysłu pewnie na wiatr wypuszczony
Przez jeden światłem gołębnik czerwony.

XIV.

— „O! przyjdź! śpiéwała, bo gołębi stadem
  Wysyłam na wsze wiatry ognie moje;

O przyjdź — z kwiatami czekam, z winogradem,
  Na łonie białém złożę i upoję...
O przyjdź — miesiąca i złodzieja śladem,
  A otwórz cicho jak anioł podwoje,
A od miesiąca weź kluczy złotego,
Cicho jak ogień szeptaj — bo mię strzegą.

XV.

„Gwiazdy zliczyłam idące na niebie,
  A ciebie nie ma, mój piękny i młody;
O! przyjdź, w płomieniach cała czekam ciebie,
  Rajskieć gotuję kwiaty i jagody:
Jestem pierzchliwa, jako młode źrebię,
  Jestem jak jagnię najsmaczniejsze z trzody,
Jak gołębica jestem nieobronna,
A jestem jak kwiat rajski, cała wonna.

XVI.

„Nie znajdziesz, czegom nie obiecywała,
  Lecz obiecuję, czego dusza pragnie;
Przyjdź, a lichtarze złociste zapalę,
  Zakadzę drogim, wonnym cynamonem,
A jeszcze jaśniéj przez mych ust korale
  I jeszcze śnieżniéj zabłysnę ci łonem [1])
. . . .
. . . .

XVII.

I daléj szła pieśń taka w ogniach cała,
  Kolor jawiąca w słowach doskonale,
Klejnoty oczu — białą perłę ciała,
  Ust uśmiechnionych najżywsze korale...
I po téj pieśni dusza ma wleciała
  W ogród zamknięty na małżeńskiéj skale;
Bo kłamstwo w pieśni było, że nieszczerze
Jak owca i kwiat wabiła pasterze.

---

[1]) Strofa w rękopisie pod wierszowym względem zepsuta i niedokończona. *(Przyp. Wyd.)*.

XVIII.

Czart mi nastręczał tę samę Krystynę,
Słodszą, w rajskiego owocu zapachu;
Jakoż w miesięczną wyszła osrebrzynę
Z okna i prawie stanęła na dachu,
Rumieniąc światły mych dachówek glinę —
Biała jak anioł, niby pełna strachu,
Nogę stawiała na blaszanych smokach,
Jak duch na srebrnych widmach i obłokach.

XIX.

Jakieś jedwabne, złote pajęczyny
Trzymała w rękach — te rzuciła z góry
I złote one struny i drabiny
Wiodły ją na dół — a tu rynw jaszczury
Paliły ognie, w źrenicach rubiny,
Przekazywały jasne walk (?) purpury,
Gotowe pożréć klejnoty i róże,
Póki szła w srebrnéj szaty swojéj chmurze.

XX.

Tak to okradłszy małżonka z klejnotów,
Z kradzieżą w moje ręce się schroniła!
Lecz jam na wszystko już był wtenczas gotów,
Myślałem, że grzech zbłocony — to siła!
Sakramentalnych rozbiwca namiotów,
Miłość sączyłem w siebie, jak mogiła,
Do któréj trup w nią zamknięty należy,
A ona ciągle chce mieć co dnia świeży.

XXI.

Odtąd mój zamek zagrał pieśnią nową,
Olbrzymim śmiechem cnoty gwałtownika,
I babilońską zabłysnął królową...
Jak zachód, gdy się nad słońcem zamyka,
Ostatnie idzie mojéj pieśni słowo:
Mieczowy anioł ludu — w ogniach znika
Strącony z gmachów, co się w chmury piętrzą,
Nie przez grzmot — ale jednę myśl najświętszą.

XXII.[1]

Na Skałce podniósł starzec drżące dłonie
I klątwę na mnie i na kraj położył;
Na mnie — że jestem nad krajem w koronie,
Na lud — że go strach przed zbrodnią ukorzył...
Siła zebrana w kościołowém łonie,
Ta siła, którą sam lud wiarą tworzył,
Jak wiatr wiejący gdzieś z pod gór, podziemnie
Szła — i wyrwała królestwo z podemnie.

XXIII.

Jeszczem się głośno śmiał i zwykłe czyny
Powtarzał — okiem groźniejszy niż wczora:
A już duchowe nademną krainy
Mięszała burza — i skrzydło upiora
Zwiewało duchów przejasne bursztyny,
Wyzlotę domu i każdego dwora,
Dzień czyniąc smutny, jak on dzień omglony,
Gdy w miasto z lasów zlatują się wrony.

XXIV.

Zda się, że ciągle gdzieś odgłosy dzwonów
Chodzą w mgłach, Bogu ludzkie modły noszą,
A pełne coraz żałobliwszych tonów,
W mgły ciemne biją... płaczem czegoś proszą;
Miasto jakoby wymiótł anioł zgonów,
Place — ulice stały się pustoszą,
Bruk porósł trawą, nikt — tylko kaleki
Przejdą czasami te zielone rzeki.

---

[1]) W têm miejscu dopisał poeta na brzegu manuskryptu taki waryant têj strofy!

Na Skałce podniósł starzec drżące dłonie,
Klątwą zagroził... Dziś byłby to mały
Strach, kiedy mało ducha w ludzkiêm łonie,
A ciało tylko dorasta do chwały;
Lecz wtenczas, jako przed wichrem, gdy wionie,
Duchy się w ciałach jak dęby zachwiały
I ustały się — i znowu poczuły,
Że się jak wody zapleśniałe psuły.

XXV.

Nikt — jedno wrzody i nędza wychodzi
  Na słońce, idąc pod kościół zamknięty,
I tam na trawie albo płacz zawodzi,
  Albo też śpiéwa jaki kantyk święty...
Chciałem ratować téj tonącéj łodzi,
  Zacząć bój jaki — śmiały, choć przeklęty,
Chciałem krwią podnieść do siebie przepaście:
Zwołałem moich chorągwi dwanaście.

XXVI.

Jeszcze dziś widzę — listopad już śnieży —
  Ja w zbroi — czekam, czy gdzie zarżą konie...
Wiatr głuchy czasem w ulice uderzy
  I ruszy serce głuche w jakim dzwonie;
Czekam — wtém wjéżdża dziewięciu rycerzy
  Na plac, złączają chorągwie i dłonie,
Jeden krąg czynią z żałobnych rumaków
I z płaszczów czarnych i z tęczowych znaków.

XXVII.

Na wszystkich, widzę, są grube żałoby,
  Wszyscy są jakby z pod jednéj mogiły;
Tylko chorągwie złotymi ozdoby
  I kolorami na śniegu świéciły;
Wtém słyszę, zbroje jękneły, jak groby...
  Przywalcie teraz mię, Osyaku bryły!
Niechaj raz drugi mój duch nie rozumie
Téj klątwy, która grzmi w chorągwi szumie!

XXVIII.

Przegrzmiała — a ci... nie dość jeszcze na tém,
  Jeden po drugim przed ganek jechali,
I u nóg drzewcem trzaskając i kwiatem,
  Pełnego w oczach mię łez — przeklinali!
To nic — bo cały już byłem nad światem
  I wysłuchawszy ich, wszedłem do sali,
Już odmieniony — jak król już umarłem,
Wszedłem — i o mur jeden się oparłem.

XXIX.

I pytano mię, co? — a ja na murze,
Paznokciem skrobiąc, pisałem nazwiska
Te, które były na znamion purpurze
I na turkusie — widziałem je z bliska...
A co ja w dole, Bóg pisał na górze,
Bo kiedy łamią znaki, to Bóg błyska,
A kiedy w króla zobaczy napisie
Choć przeklętego: Mścij się! — to Bóg mści się.

XXX.

Imiona byłe te: naprzód Strzemieńca,
Potém Topora — Gryfa — Śreniawitów,
Leliwów — daléj poznańskiego Szweńca,
Lisów — Półkozic, ostatnia Rawitów,
Dziewięć! Chorągwi trzy zniknęło z wieńca,
Między chorągwie nie było błękitów...
Może jadące gdzie w ciemnym parowie
Unieśli na wiatr jacy Aniołowie.

. . . .

. . . .

XXXI.

Wiary we własną je moc opuściły,
A gorsza była dusza, gdy bogata;
Jeden mi wyznał, że mu krwawe siły,
Chcące panować, radzą zabić brata;
Innemu rzeczy straszniejsze radziły
Anioły ciemne: by siłami świata
Rządził, a rządząc zorzami złotymi,
Czynił zarazę albo głód na ziemi. [1])

[1]) Inne téjże sceny opowiedzenie:
»Pod klątwą twoją już mi dzieci czworo
Zagrzebał wczora wiatr piasku ustami!
A drugi po nim: ja mam żonę chorą
Pod klątwą twoją siedmiu szatanami...
A trzeci: Myśli mię czerwone biorą
Pod klątwą twoją, i krew chłopka plami...

XXXII.

Trzeci mi przyszedł w okropnym przestrachu
  I patrząc na mnie twarzą ołowianą,
Taką rzecz szeptał, że w królewskim gmachu
  Zadrżało nawet to, co było ścianą!
Ja jeden tylko, jak rycerz w zamachu,
  Który ma już dłoń ciężarem porwaną,
Nie uląkłem się grożącego Pana,
Lecz biegłem, jak król pokonać kapłana!...

XXXIII.

Oto ten kapłan, rzekłem, ta gadzina
  Chce mię gryść w serce — a wszystkim wiadomo,
Że umarłego pole Piotrowina
  Pochwycił ręką kościelną, łakomą.
Ród się daleki teraz upomina,
  A on mówi: dar in domini domo
Przed samą śmiercią, śród boleści srogich,
Na wieki wieków złożon dla ubogich.

XXXIV.

Papieru na to starzec nie pokaże
  Ani też świadków; bo daru nie było.
Niechże się sprawi, bo ja go ukarzę
  Na ciele — a ten grunt zabiorę siłą!
Biskup to słysząc, oddał się pod straże
  I rzekł: — Mam wprawdzie świadka pod mogiłą,
Budzić go nie chcę; lecz gdy król obarczy,
A przed sąd wezwie: ten świadek wystarczy.

A czwarty: popęd czuję do kradzieży
Pod klątwą twoją — niech cię grom uderzy!

[1] szli i kładli mi u nóg znamiona,
  I cicho smętni siadali na konie.
Jam szeptał, gdy szli, chorągwi imiona
  I chował wszystkie w mego ducha łonie
. . . .

XXXV.

Rzekł. A te słowa gdy mi doniesiono
  W noc i przy pełnych winami puharach,
Wstałem z pochodnią i czoło koroną
  Nakrywszy, szedłem na tron, cały w żarach.
Za mną pijaki zbrojne — a z szaloną
  Myślą spokojność mieczyska (?) na marach...
Tron otoczyli jak czerwone czarty,
Koło północy było. Sąd otwarty.

XXXVI.

Wkrótce stawiono bladego biskupa,
  Do którego ja rzekłem, cały pijany:
— Alboś ty złodziéj, albo ty nam trupa
  Wywołaj z grobu i z téj białéj ściany!
Wywołaj!... A on: — Co znaczy ta kupa
  Nierządnic? Jeśli ma być trup wezwany,
Jeśli rzecz, która w nocy trzęsie miasty
Świętymi, ma się stać: odpraw niewiasty!

XXXVII.

Strach mię zdjął — one téż jak gołębice
  Na one słowa same uciekały...
A biskup znowu: Takie tajemnice
  Widziéć, ty jeden tylko jesteś Śmiały...
Rzekł; straszna cisza nastąpiła — świéce
  Jedna po drugiéj same zagasały...
Obejrzałem się — w gmachu było ciemno,
Ja sam — i kapłan stojący podemną.

XXXVIII.

Widziałem, jako cmentarz gdzieś daleki
  Anioły boże światłem malowały;
I wstawał stary ktoś — nakształt kaleki
  Zbiédzony, a płaszcz miał jak srebro biały;
Potém przydany jemu dla opieki
  Stróż anioł podał jakieś kordyjały,
Którymi wzmocniał, i drogę po ziemi
Jak kwiatem zasłał światłami różnymi.

XXXIX.

A on rzekł: — „Twoje wygnawszy (?) rycerze
. . . . [1]) twéj żelaznéj zbroi
. . . . przed sobą i w duchu uderzę
Tym duchem, ktory tu już za mną (?) stoi“.
Jam drżał — jeszcze mię dziś..... bierze
Miecz (?) z tych zamkniętych i czarnych (?) podwoi (?
Wylatujący. Jak się w trumnie zsechło,
Tak weszło — z twarzy swéj podnosząc czechło.

(Tu się wątek poematu urywa).

---

[1]) Brakujących słów w całéj téj strofie niepodobna było odcyfrować [dl. zbyt pokreślonego pisma i także dla zbrukania, jakiemu podległ rękopis.
(Przyp. Wyd.).

DODATEK.

WARYANTY DO KRÓLA-DUCHA.

UWAGA WYDAWCY. — Gdyby się miało drukować wszystkie waryanty, wszystkie coraz inaczéj wykonane to téj, to owéj pieśni redakcye, wszelkie miejsca ciekawe a przemazane, wszystkie wreszcie na brzegu stronic to tu, to owdzie późniéj pododawane dopisy, jakie się znajdują w autografie poety: to zapełnilibyśmy samym tym poematem dobrze dwa takie tomy, jak ten, który wydajemy obecnie. Ogłoszenie całego tego materyału zdawało mi się wszelako nie być odpowiedniém celowi. Koszta wydania znacznieby się przez to powiększyły, a poemat straciłby tylko do reszty na przejrzystości. Dlatego więc wszelkie takie wersye, które się być celujące zdawały w tych wszystkich rozmaitych redakcyach, zestawiłem i ile to tylko było podobném, spoić się starałem ze sobą już w texcie samym. Tu zaś zamieszczam dodatkowo, z całego pozostałego materyału, takie tylko ustępy, które się — czy to dla zalet wybornego wykonania, czy dla szczególniéj godnych uwagi różnic w samym już pomyśle — w oczach moich zdawały zasługiwać koniecznie na ogłoszenie i ocalenie. Trzy razy więcéj zaś, niż wszystko, co się z tego i w texcie i tutaj wydrukowało, pozostawia się w rękopisie.

URYWEK

PLANU KRÓLA-DUCHA

ZNALEZIONY W AUTOGRAFIE AUTORA.

I.

Poeta opisuje przyjście słowiańskiego ducha od Armenii — ukazanie się jego w rodzie i w królestwie Popiela — walkę jego z duchem napływowym Lecha — zwyczaje słowiańskie — pogrzeby od Scytów przyjęte i zwyczaj palenia umarłych w łodzi, na wyspach Wołgi zachowywany. — Początek skrzydeł używanych przez husarstwo słowiańskie maluje. Mówi nareszcie o swojém jako Popiel uwięzieniu — i o tém, jako został z łańcuchów przez dziewicę Wandę rozkuty.

II.

Napad Germanów i legendę o Rytygierze w téj pieśni poeta maluje — spotkanie się barbarzyńca z resztkami sztuk greckich — dzikość i wrażenie stąd otrzymane — napad na królestwo — śmierć dobrowolną Wandy. Nareszcie tajemnicę tyraństwa w duchu pierwotnych Słowian tłómaczy poeta — i ucisk narodu pod siłą zatrważającą miecza opisuje.

III.

Wierność pierwszych Słowian i przywiązanie do panów, a razem nieugiętość ducha w męczarniach przedstawia w osobie Harfiarza. Zgon jego — króla okrucieństwo — i ucieczkę wojewody Śwityna opisuje. Nareszcie ucztę ostatnią tyraństwa — i zatrwożenie się ducha w Popielu na widok zjawiska niebieskiego — a następnie śmierć jego opowiada.

IV.

Początek sił antychrystowych w Polsce — nawiedzenie Piasta przez anioły — i Rze-Pychy Prometeańską kradzież ducha świętego opisuje poeta; ucieczkę jéj z synem Wodanem i pogwałcone przez nią duchy na cmentarzach.

V.

Legendę o Świętopełku, królu Wielkiéj Morawy, i o porwaniu jego żywcem do nieba — a następnie o żywocie jego pośmiertnym na Zauber górze opowiada duch poety. O Pysze — i podejściu Słowian przez rzymskiego cesarza legendę śpiéwa. Uśpienie słowiańskiego, pod zdradą uciśnionego ludu opisuje.

VI.

Zbudzenie ze snu słowiańskiéj potęgi przez Ziemowita — wyobrazę ludu wystawia poeta pod osłoną legendy. Odpór dany Niemcom — sił antychrystowych niemoc ostateczną i zgon Prometeanki słowiańskiéj w téj pieśni opowiedziany.

VII.

Nadchodzącą świętość — i roku tysiącowego przeczucia ludowe śpiéwa poeta. Ukazanie się swoje w Słowiaństwie w osobie Mieczysława tłómaczy. Ślepotę i sny genezyjskie ducha — a potém uderzenie jego przez Harfiarza opisuje — Postrzyżyny — zwyczaje i pieśni przy postrzyżynach.

VIII.

Wysłanie swatów do Czech . . . . wiary uczuciowéj . . . .

WARYANTY

DO RAPSODU DRUGIEGO.

I.

„DOKOŃCZENIE“ [1]).

I.

Skończył i do nas, którzyśmy tam byli
Zadrżeli — słysząc, że pieśń w tonach spada,
Obrócił mowy: „Wyście ze mną żyli,
Wam duch ostatek téj pieśni powiada:
Ale zasłony więcéj nie odchyli,
Ani co powié nad to, co wypada.
Wszakże tym wężom, które mię na wieży
Gryzły — i wam się jeszcze pieśń należy.

---

[1]) Dana tu pieśń pod tytułem »Dokończenie«, stanowi co do treści swojéj widocznie waryant względem tego, co się zamieściło w texcie, jako »Rapsod drugi«. Ale zamiarem poety zdaje się że było — dać ten ustęp, jako dośpiéw do rapsodu o Piaście (stąd napis »Dokończenie«); osobnego zaś rapsodu z tego przedmiotu nie tworzyć. Póżniéj zamiaru tego zaniechał. — Znalazło się w rękopisie inne jeszcze obrobienie tegoż samego pomysłu, co ten, który dajemy tutaj. Obrobienie to drugie różni się od niniejszéj redakcyi tylko w niektórych zwrotkach; jest w ogóle mniéj wykończone i mniéj zupełne, aniżeli powyższa wersya. Drukowane było bez żadnych odmian w Dzienniku Literackim lwowskim r. 1865 Nr. 85. Chcących przeto bliżéj je poznać, odsyłam do tego numeru.

24*

II.

Chciałbym — lecz nasze cielesne okowy
  Nie pozwalają wyjawić duchowi
Tych rzeczy, które widzą święte głowy,
  Gdy spojrzą w oczy sądu aniołowi.
Pieśń ta byłaby jak arka Jehowy,
  Byłaby ta pieśń śmiercią człowiekowi
I obłąkaniem, gdyby się ważyła
Więcéj nauczyć, niż krzyż i mogiła.

III.

To jednak wiédzcie, że grom nie uderza
  Zaraz na ducha, gdy zeń ciało spadnie.
Duch szuka, widzi, ściska się — rozszérza,
  Błyska i gaśnie, czerwieni się — bladnie;
Hasło swe krzyczy — jeśli duch rycerza,
  Klnie — gdy przed siłą niewidzialną padnie;
Sztyletu szuka — gdy na wroga wściekły,
Twarz kryje — jeśli z oczu łzy pociekły.

IV.

Długo z nicością kształtu swego walczy,
  Aż się przekona, że z ciała obrany.
Takem ja — mój trup rzuciwszy padalczy
  I kostur i mój kaptur ołowiany,
Groził ciemnościom: a śpiéw bałwochwalczy
  Rzucał jak wielki grzmot na zamku ściany.
Nagle uczułem, że myśl moja wściekła
Brzękła — i rojem pszczół z rąk mi uciekła.

V.

Jako rój pszczelny gdy w promyku brzęczy
  I opromieni głowę pasiecznika,
A potém mu z rąk, jak wątek pajęczy
  Rwie się i z palców jako blask wymyka;
Lub jak z kielicha kryształowéj tęczy,
  Który nad głową świéci biesiadnika,
Gdy dłoń go w szale wiwatowym ściśnie,
Szkło brzęknie — a płyn na stronę wytryśnie:

VI.

Podobnie w ciemni duchowi ucieka
  Ostatni promyk myśli — téj niebianki,
Któraé odchodzi i na ciało czeka,
  Na czaszki nowéj — okna i krużganki,
By nieskończona, w kościele człowieka
  Swe heroidy znowu i sielanki
Zagrała — albo genijuszu strzałem
Jak nieskończoność — rozbryzgała ciałem

VII.

Myśl-duch, który tu wieczną walkę zwodzi
  Bez czasu będąc, z Czasem — ciała Synem,
Myśl — szelest żagli u płynącéj łodzi,
  Myśl ogień — serca karmiony bursztynem,
Ta mię odbiegła... Odtąd duch mój wchodzi
  W ciemności strasznym zbluzgane rubinem,
W ciemności! i sam zdaje się niecały,
Jak mara — widzi różnych mar kawały.

VIII.

Tam jakieś wieże, gdzie zlatują górą
  Nawały różnych mięs z mieczami w ranach;
Tam coś strasznego, lecz płaszczem i chmurą
  Obwiniętego, snuje się po ścianach;
Tam dzieci jakieś świécące purpurą,
  Dziatki czerwone, nagie — na kolanach
Latają... straszne, niewinnością święte,
O tak, jak gdyby krwie na wiatr bluźnięte".

IX.

— Tu zadrżał śpiéwak i mowy obrócił
  Do Wilenczanki siostry i rzekł: „Tobie
Winienem, żem znów z czeluści powrócił
  Na kępę, gdzie twój duch, jak noc w żałobie,
Nad moją kością porzuconą nucił
  Pieśni u Słowian śpiéwane na grobie,
I płakał, że mi nie dano potrzebnych
Głazów na kurhan i garnków płaczebnych.

X.

Przez niebo, które świéciło na górze
W otwartéj baszcie, nie mogłem mgłą siny
Wejść, ołowianéj duch podobien chmurze,
Alem się wcisnął przez muru szczeliny.
A wtém ponocni zakrzyknęli stróże:
Król Upior! — Błysły latarnie. Jedliny,
Dęby, modrzewie, cała kępa, wieża
W ogniach. Myślałem, że wojsko uderza!...

XI.

Myślałem, że to ci wymordowani
I ci na stosach niegdyś popaleni,
I ci pocięci i krwią pobryzgani
Idą — gdy drzewa na mnie szły w czerwieni.
Ty sama wtenczas, Ty Duch, moja Pani,
Rzekłaś: Uciekaj! — A ja śród kamieni
Siadłszy, zacząłem gniewy moje ciemne
Roziskrzać, świécąc jak słońce podziemne.

XII.

I byłbym..."— Tu znów oczy u śpiéwaka
Zbłysły się jak dwa węgle rozdmuchane,
Pot go zlał, włosy podobne do krzaka
Wstały, zczerniało czoło ołowiane.
A nas już prawie mordowała taka
Pieśń i okropne męki krwią rumiane,
Tak żeśmy wszyscy, jak zmówieni razem,
Wyrwali go z mąk — Ojczyzny wyrazem.

XIII.

Wtenczas on: „Dawne odmykacie blizny,
Wywodzicie mię z krainy upiorów.
Zaprawdę: że cień straconéj Ojczyzny
Wywiódł mię z ciemnych i morderczych dworów.
Jak te mgły, które z wodnéj się zgnilizny
Podnoszą rankiem, marami kolorów,
I swe tęczowe niespokojne pasy
Łamią i niosą na wilgotne lasy.

XIV.

Jako te mary, pastuszkom w jesieni
  Znajome z blasków, za którymi błądzą
I gdzieś na kopce przeświętych kamieni
  Trafiają, i trzód zapomną, i sądzą,
Że są żywymi, w kraju smętnych cieni,
  Gdzie Ojców Duchy panują i rządzą:
Podobnie... z równą omamienia władzą
Sny pośmiertelne wstają i prowadzą

XV.

Naszą istotę. Ja za tymi snami
  Szedłem, a coraz wyraźniejsze były.
Ojczyzna cała, z dwunastu zamkami,
  Na których krwawe kagańce świéciły,
Rosła. Brunatny Mord i Pożar skrami
  Skrzydlaty, jako dwie braterskie siły,
I dwa Bożyszcza nad ludu przepaście
Podniosły małych, własnych dum dwanaście.

XVI.

Wszystko, co było we mnie, prócz cierpienia,
  Pokazało się na téj bujnéj ziemi.
I szły skłócone z sobą pokolenia,
  I pod kurhany spały czerwonymi.
Z uderzonego tak jak duch kamienia
  Wyziéra ognia oczyma złotymi:
Tak pod uciskiem, pod zgniłością głodów,
Mord wyskakiwał — pierwszy Bóg narodów!

XVII.

Na zamkach ciągły zgiełk i śmiech i czar czach
  I stuk ław i brzęk dieńh i szabel zgrzyty
I gon psów w lasach i łomot na karczach
  Zwiérza. — Po nocach pełne mar sufity. —
Ja sam w dwunastu raz się razem tarczach
  Tak, jako byłem, zielony i zgniły,
Zjawiłem nocą, najstraszniejsze chłody
Z ust na zbudzone zionąc Wojewody.

XVIII.

Obudziło je kurów rannych pianie,
I wszyscy w tarcze stalowe spojrzeli,
I z wszystkich się tarcz mój duch patrzał na nie".
Tu ucichł śpiéwak, a myśmy widzieli
To straszne, chłodne upiora patrzanie
I czuli mróz tych Panów na pościeli,
Uczuciem ducha przeświadczeni w sobie,
Że taką siłę spojrzeń ma duch w grobie.

XIX.

I była cisza. Aż ta, która wiodła
Pięknością swoją, jak złotą pochodnią,
Myśli śpiéwaka do boskiego źródła
Nad drogi żądzą zwalane i zbrodnią,
Rzekła: „Powiédz nam, jak ta zgraja podła
I duch jęczący ludu wtenczas pod nią
Na ostateczném polu, na ściernisku
Rznęli się mieczem, przy piorunów błysku?

XX.

Powiédz, jak duchy te niewolą psute
I panowaniem cielesném zbrudzone,
Mieczami potém z podłych ciał wyprute,
Rzezią zalękłe, ogniem wypędzone,
Do innych ojczyzn poszły, za pokutę
Wolności nie znać — aż przeanielone
Ducha Świętego zachwycą ustami
I wrócą kochać — walczyć — i żyć z nami.

XXI.

Powiédz, jak one i lwy i tygrysy
Ustępowały przed kwiatem i kłosem,
A łąki w róże się znów i narcysy
Poubierały, wierzb owiane włosem? —
Rzekła. Wnet blade u śpiéwaka rysy
Wyjaśniły się, i spokojnym głosem
Rzekł: Powiem, jako nieśmiertelna siła
W pieśniarzu onym boskim zwyciężyła.

XXII.

Czy pamiętacie żebraka i sługę,
  Lir króla? Jemu w przedstworzonych cieniach
Dano ognisty wóz i z gwiazd framugę
  I Duchy żywe, złote — w kół promieniach
Tak powplatane — że kiedy w szarugę
  Jesienną wóz ten w mgłach i zawichrzeniach
Nad lasami się pastuszkom pokaże:
Koła jak słońca są i Duchów twarze.

XXIII.

Jedyny anioł z duchowego świata,
  Który ma ciało, bo ciałem był święty,
I tak jako trup na płomieniach lata,
  Ale trup żywy i cały i święty —
W Judei niegdyś była jego chata,
  I płaszcz już z ramion zapalonych zdjęty
I słudze tutaj biédnemu zrzucony —
Został na ziemi... On był uniesiony

XXIV.

W niebo na strasznym, płomienistym wozie,
  Który go porwał, przeleciawszy bokiem;
W archaniołowym on jeden obozie
  Latarnią zda się — człekiem — i obłokiem.
On jeden mego ducha trzymał w grozie,
  Gdym był żyw. On był tym ognistym smokiem,
Który zmocował mię w obec rycerzy,
Kiedym się z gwiazdą bił na zamku wieży.

XXV.

On potém w duchów świętych tajemnicy
  Najgłębszéj zasiadł przecudowną chatę
Na szmaragdowych łąkach, przy Kruszwicy,
  Nad którą boże dwa twory skrzydlate,
Jak dwa posagi wiejskiéj okolicy,
  Stały... A gniazdo ich, mchami brodate,
W ogniu komina po nad chaty czołem
Księżycem zdało się — a ptak aniołem.

XXVI.

Czesto gdy zbliże się, to niespodzianie
Z komina dymu wylecą iskrzyska,
A bocian skrzydła otworzy i stanie
W ogniach jako smok. Z dziobu mu wytryska
Żądło i takie wężowe ksykanie,
Że mój duch blady jak od wężowiska
Od téj świętości straszliwéj ucieka,
W ptaku ujrzawszy węża i człowieka.

XXVII.

Pod taką strażą ów Duch Izraela,
A w nim ludowe żyły tajemnice,
Zaklęcia gadów, czarowaniem ziela
Trzaskane hełmy, serca i zbroice.
Czasami ptaków pogrzeby, wesela,
Powietrzne klucze, girlandy — różyce
Stoją na niebie, aż się starzec zjawi,
Głos wyrozumie i pobłogosławi.

XXVIII.

Ciągły nad nim gwar, i struna ciągnąca
Łabędzi ciągle nad nim brzęczy;
Ciągle Siwanna na kręgu miesiąca,
Ciągle Dziedzilla zjawia się na tęczy.
On sam już liry swéj dawnéj nie trąca,
Lecz duchem ludzi wskrzesza albo dręczy
I trzęsie zamków Popielowych ścianą
Pieśnią straszliwą — lecz niewyśpiéwaną.

XXIX.

Łąki świetniały, a na koniach biali
W opalnych zbrojach z płomiennymi szpady
Jacyś anieli na harc wyjeżdżali,
A po nich narcys był i złote ślady.
Starce sny mieli i prorokowali,
Cud kwitnął, sielskie wstawały gromady,
Ku nowym czasom w ciągłym rozhoworze
Z duchami kwapiąc się. Co daj nam, Boże,

XXX.

Dziś, jak w dni one! — I walkę wydano
Ostatnią, gdzie mój duch został spożyty.
Z krwi jednę rzekę widziałem rumianą,
I brzeg z tarcz krwawych jak z miesiąców zbity,
I ziemię ogniem strasznym rozerwaną,
I wąwóz pełny wozów, i kobiéty
Na wozach w drogich płaszczach i w klejnotach
Krzyczące! — Wielki deszcz i niebo w grzmotach.

XXXI.

Jakby Jadźwingi czarne, białe Serby,
Czerwone Ruśce i różne narody;
I na ogromnych tarczach żywe herby,
I smoki i lwy i krzyże i grody...
I pożar z ziemi i przez ognia szczerby
Na wozach widne różne Wojewody
Na wielką pola krwawego rozwlekłość
Rzucali głosy trąb — a w głosach wściekłość!

XXXII.

I głos szedł z ducha potęgą straszliwą
I stworzenie się na ziemi rozżarło.
Konie latały z ukrwawioną grzywą,
Psy wskakiwały rycerzom na gardło...
Przylatywali z pochodnią straszliwą
Gońce... z oczyma i z twarzą umarłą,
Podobni na krew do kruków łakomych,
A z rozkazami od władz niewidomych.

XXXIII.

Dwanaście razy, w dwunastu obozach,
Odmienił się lud zmartwychwstania siłą.
Dwanaście razy z krwią w czarnych wąwozach
Spłynął, sztandarów sto zbroczonych zgniło!
Szkielety w ogniu stojące na wozach
Jeszcze nie chciały próchnieć pod mogiłą,
Ale do pustych ust poprzykładały
Trąby, i trąbiąc gniły i próchniały.

XXXIV.

Tak było rano — ale o wieczorze
  Przeszedłem, ja duch, po całéj krainie;
I wszędzie jakby sen szumiało zboże,
  I miasta rosły i Świętych pustynie;
I pastuszkom się na pustym ugorze
  Pokazywały cudowne boginie;
I nie podobne były do zaranka
Wieczory, ciche, piękne — jak sielanka.

XXXV.

Wy, coście rytmu Rapsoda słuchali,
  Odmieńcie teraz serca i pamięci,
Bo choć był bliski, znowu się oddali
  I od zielonéj aż gdzieś sianożęci
Odgłos piszczałek i zapach konwalii
  Zniesie... i w złote was niebiosa wświęci,
Śpiéwając, jako winy mazał krwawe,
Ofiarowawszy Bogu Miecz i Sławę.

II.

FRAGMENTY

Z INNYCH OPRACOWAŃ.

FRAGMENT PIÉRWSZY.

A oto zaraz na płomiennéj drodze
  Ten, któremu sąd nad globem jest dany,
Widząc, że z mieczem i we krwi przychodzę,
  Kazał, abym był wężami związany.
A jeden miał gad kuszący się w nodze
  I z ogni jasnych u kolan kajdany,
Co wszystko duchy spełniły, nad duchem
Pastwiąc się ogniem wrzkomo i łańcuchem:

Chociaż nie było cielesności żadnéj
  W narzędziach kary, ani w saméj karze,
Widziałem moce istności szkaradnéj
  I ognie i gad i tych gadów twarze.
Tom cierpiał, aby moc siły zagładnéj,
  Zatęchła w ciała żelaznego czarze,
Wyciekła ze mnie, lub spaloną była,
Jako krew żółcią zepsuta i zgniła.

Na wieży mię téj zostawiono, ciału
  Nie dawszy ani łez, ani pogrzebu;
I rozpadł się mój trup, i z hukiem strzału
  Rozpękł się, a duch szedł grożący niebu.
Tak ognistego nie pomnę zapału,
  Jak wtenczas, kiedym na dnie się Erebu
Obaczył żywy, krwią ludzką rumiany —
Poganin dawny — znów między pogany.

Zeszli się do mnie, ale już nie znali
  Tego języka, który we mnie śpiéwał;
Wszyscy się jednak do mnie zlatywali,
  Pytając, gdziem był i w com się odziewał?
Czy jako Jazon chodziłem po fali,
  Czy jak Prometej, grom na się rozgniewał?
Widzieli bowiem ci żywota wodze,
Że walką straszną zmęczony przychodzę.

Wtenczas ja do nich: „Judy i Grekowie,
  Rzekłem — patrzajcie na mnie, a z postawy
Sądźcie, czy niebo trzymałem . . . .
  Czy słońce w żółci [1]) . . . .
. . . .
. . . .

Stanęli wszyscy, ręce wznieśli w górę,
  Hełmy zrzucili z czół, zatlili oczy,
Witając piękną słowiańską naturę,
  Brzozy powiewne lekkością warkoczy,

[1]) Całe to miejsce w rękopisie wydarte. *(Przyp. Wyd.)*

Miast złotych z ognia pełną każdą chmurę,
  Gdy się ku morzu złote słońce toczy,
A w mgłach północnych światło swe rozpryska
I tak jak Pan Bóg, w błyskawicach błyska.

Witają sosen czarnych strach grobowy,
  Kurhanów piękne i smętne wyżynie,
Nad zagrodami gór ceglane głowy,
  I dęby bogi i rzeki boginie...
Witają, a już anielskiéj królowéj
  Cień przecudowny na zórz karmazynie
Świécił, żeśmy się duchy w chłodnéj stali
Miłością jako lampy zapalali.

O! serce, trzaskaj się, albo te dzieje
  Pod blaskiem ducha świętego poczęte,
Jak dziecko, które się do róży śmieje,
  Maluj, a czasy one wskrzeszaj święte!
Opisz te piérwsze cudowne nadzieje
  Przez chrześcijańskie duchy w ducha tchnięte
. . . .
. . . .

FRAGMENT DRUGI.

O marneż twoje, aniele ojczyzny,
  Starania w kraju podziemnym upiorów!
Duchu świécący gwiaździstymi blizny
  Serca — w ciemnicy Supanowych dworów,
Jako te tęcze, które ze zgnilizny
  Wodnéj podnoszą się marą kolorów
I gdzieś swe ciche niespokojne pasy,
Łamią i niosą na jesienne lasy...

Głowa na wieńcu węży — twoje ciało
  Leży od podłéj roztoczone mszycy;
Nic się duchowi podług snów nie stało,
  Nic!... śpi w rozpadłéj od czasów wieżycy —

Swiérszczyki dzwonią swą piosnkę i śmiało
  Skaczą mu na pierś — anioł błyskawicy
Albo miesięczny duch, w pozłotowinę
Ubrany, zajrzy czasami w ruinę.

Zresztą nikt kości nie pomni haniebnych,
  Nikt! nawet stare dziady, pieśni stróże!
Anić kurhanów, ni garnków płaczebnych
  Stawiono — bez łez byłyby te krużе —
Tylko girlandy pustych dzwonów srebrnych
  I ruin zwykłe siostry, polne róże
Bezwonne, kwiatów ciekawe dziewice,
Bujniéj obrosły samotną wieżycę.

Już oto w kurhan jeden zamieniona
  Kwiatów staraniem i ziółek robotą
Zakryła się ta wieża, krwią czerwona,
  I wrosła w ziemię... Tam cię wieki gniotą!
Koszula twoja z drutów wyrobiona,
  Która się zdała ludziom siatką złotą,
Może dziś jeszcze trwa, jak zdjęte zwoje
Z węża — trwa dłużéj, niźli serce twoje!

O duchu! ale ty w tych prochowiskach
  Nie cały! — bo dziś jeszcze tobie śnią się
Straże z orłami razem na urwiskach
  Gdzieś odbywane, i w piorunów głosie
Głos Boży — i strach, i na uroczyskach
  Z duchami r u n a, i w guślarskiém prosie
Ząb zgrzytający... i do uwiadomień
Użyty wicher, albo mgła — lub płomień.

Tobie się cały poddam — a ty, duchu
  Najwyższy, myśli moich święty stróżu,
Dyktuj . . . .
. . . .

Nie — nawet w tobie sen, że jak marmury
  Stwardniałeś, duchyć przeciwne urzekły!

Z głowy się lały tobie wężów sznury!
  Łzy, jady, śliny, smoły, ognie ciekły —
Wszystko, co pieklem jest w kształtach natury,
  Wszystko, z czém próżno bije się duch wściekły,
Przeciwko tobie szło, królu upiorów!
Wszystko — sny nawet dźwięków i kolorów...

A ty, strasznego nadużywszy ciała,
  Nie mogłeś nawet — smętny i piekielny —
Bronić się myślą, boć ta odleciała
  Z rąk, i uciekła niby promień pszczelny...
Ciemność nad tobą wielka ciągle grzmiała,
  Ciągleś w męczarniach czuł, żeś nieśmiertelny!
Owszem, pod ciągłym grzmotowym hałasem
Strach ci i boleść własna — były czasem...

Więc i to boli cię, królu kurhanów
  Wiślanych, że gdzieś na zamczyskach żyło
Podobnych tobie dwunastu tyranów,
  A ty trzynasty w nich — i pod mogiłą...
Z polerowanych tarcz i roztruchanów
  Pokazywałeś zieloną i zgniłą
Twarz, jak z błękitu wyjaśnionéj wody
Wiejący na nich z ust śmiertelne chłody.

Więc i to boli, że tak marną była
  Po śmierci twoja moc, próżnym zamachem
Grożąca zbrodniom, marna ducha siła,
  Ziębiąca zjawą upiorną i strachem...
Jedno twarz twoja — zielona i zgniła —
  Zjawiająca się pod zbrodniarza gmachem
W błysku tarcz, straszna jak Meduzy głowa,
To czyn, potęga twoja pogrobowa!

O marneż twoje, mieczowy aniele
  I ciemny zmorem, rzezią Cherubinie,
Czyny w tym świata ogromnym kościele,
  Gdzie po kopułach zegar słońca płynie...

. . . .

Już duch upadał — i po głośnych dzwonach
  Stawała cisza, jak na sąd duchowy;
Anioł szaleństwa był w królów koronach,
  Z gnuśnika zrywał obłok purpurowy...
Kiedym usłyszał harfę o dwóch tonach
  I hymn słodkimi gdzieś dzwoniony słowy
Od gwiazd dalekich . . . .
. . . .

— „Z dwóch teraz kwiatów masz wydać owoce
  I z dwóch żywotów mieć tryumfem trzeci.
Pomożem tobie my, prześwięte moce,
  I prawda, która złotą gwiazdą świéci...
Czyń śmiało — niech twój miecz ziemię zgruchoce,
  Niech myśl w skrzydlatym hełmie srebrnym leci!
Wicher za tobą ducha idzie cały,
Bądź sprawiedliwy, rozumny — i śmiały!“

Rzekły: jam spojrzał w górę, i zlękniony
  Ujrzałem tego, który słońcem włada;
Nademną bliski stał — jak krew czerwony,
  Jak jaka dawna dżdżysta Oreada,
Kiedy na błękit wychodzi zamglony
  I swe promienie szeroko rozkłada
Złote, a na chłód i wicher jesieni
Wróżbą — sama się jak krew zarumieni.

Ujrzałem — i tak jako napadnięty
  Ptak mały na wznak się broniąc położy,
A gdy już ma być ostrym dziobem cięty,
  Sam zda się pierś swą wyda i otworzy:
Tak ja, gdy napadł mię ów ogień święty,
  Gdy napadł w ogniach mnie ów święty Boży,
W miłości przed nim i w anielskiéj skrusze
Razem oddałem mu światło i duszę.

Co wtenczas było z nią — jakie się działy
  Zapłodnień nowych straszne tajemnice,
Jakie w niéj wielkie słońca prawd błyskały,
  Jakie piękności tęcze i księżyce?

Nie wiém, — lecz mistrz był w słowie doskonały
I tak zagasił mię, jak w słońcach świécę,
Żem zgasł i stracił siebie, aż na nowo
Pan raczył oddać mi żywota słowo.

FRAGMENT TRZECI.

Mgła jakaś wtenczas złota i świécąca
Weszła na światy zmarłych — i duchowie,
Którzyśmy tę noc bez gwiazd i miesiąca
Przespali, leżąc z rękami na głowie,
Wstawaliśmy tak... jak lamentująca
Gromada cieni szarych... Kto opowié,
Jak straszne były nasze z tego spania
Wyjście, wspomnienia i lamentowania!

Ci się uczuli... jak Prometeanie,
Złodzieje ognia... trwożni i zalękli,
Bladzi — a lament ich aż w obłąkanie
Wpadał... A inni na chmurach uklękli
I z garści — włosy rzucali w otchłanie,
Gdy inni — ciemni, jak ja, krwią przesiękli,
Zbrzydziwszy sobie mieczową robotę,
Patrzeli cicho stojąc — w światła złote.

A wtém się jasna pokazała Pani
Na tęczy, która w różach się rozwija,
I rzekła: — Smętni, rozlamentowani!
Oto kształt świata tego Bóg przemija...
Ci tylko jedni — synowie otchłani
I ta, która świat na duchu zabija,
Będą na czasy dwa i dwa miesiące
W jezioro wielkie, siarką gorejące

Wrzuceni; a wy oto wszyscy inni
Wracajcie — kędy pszczół ojcowie starzy
I trzódek bożych stróżowie niewinni
Wzdychają, waszéj upatrując straży. —

Rzekła — My zaraz weseli i czynni
  Szliśmy na nowych królów i kobziarzy,
Nie wiedząc, który gdzie sobie układnie
Łoże i na nie gwiazdą złotą spadnie. . .

A już kraina żyt, bożymi słowy
  Zasiana, ciszy wielkiéj dostąpiła,
I wschodził nad nią ów rok tysiącowy,
  Wielki, cudowny. Duchom się odśniła
Moc dawna czasów — śpiéw Orfeuszowy,
  Kamienna przezeń poruszona bryła
Podług tych głosów, które ruch uczynią,
Nagle stająca — nimfą lub boginią.

Odśniło się znów duchom, że widziały —
  Przed dwu-tysiącem lat będąc, jak dusze —
Piramid aż do gwiazd rosnące skały,
  Przelatujące niebem Perseusze,
To znów Dawida harfę i chorały
  Święte . . . .
. . . .

DO RAPSODU TRZECIEGO.

WARYANT I.

Początek rapsodu o Piaście według niniejszéj redakcyi, pomijając mało znaczące różnice w wyrażeniu, odpowiada zupełnie początkowym strofom tegoż rapsodu, jak go zamieściliśmy w texcie. Dopiéro począwszy od strofy textu XVIII (strona 236) odstępują obie wersye od siebie. Od tego to właśnie miejsca dajemy odmienne to opracowanie poniżéj:

XIV.

Na takiéj uczcie raz Ziemomysłowi
Śpiéwano księciu o pradziada czynach.
Tą pieśnią ludzie wzgardzą dziś surowi,
Lecz w niéj jest prawda, jak motyl w bursztynach.
— „Piast się pokłonił Bogu Aniołowi“,
Śpiéwal wieszcz w starych pogańskich gontynach.
Gdzie na mogilce piasku, śród płomieni
Siedział kniaź z panów gromadą w czerwieni.

XV.

W środku siedzieli w szatach purpurowi
Książęta, Pany radne i koniuszne,
A guślarz śpiéwał i swojemu snowi
Spraszał za świadki upiory zaduszne...
— „Wonczas uderzył czołem Aniołowi
Piast... i rzekł: — Oto mam dziéciątka słuszne;
Błogosław, proszę, położywszy dłonie
Na moich dziatkach i na mojéj żonie.

XVI.

Lecz anioł nie chciał starszego Wodana,
  A błogosławił tylko Ziemowita. —
A żona siadła w kącie zagniewana,
  Że pycha była. Zazdrosna kobiéta!
Więc kiedy odszedł złoty poseł Pana,
  Usiadła w kącie, fartuchem nakryta,
Aż ją zapytał mąż z uśmiechem w oku:
Czego tam smęci, usiadłszy na boku?

XVII.

I rzekła Pycha: — „A toś nie uważał,
  Jak anioł naszym Wodanem pomiotał?
Przed Bogiem syna naszego spotwarzał
  I mnie... Bogdajby piorun mię zdruzgotał!
Teraz Ziemowit kwiaty będzie stwarzał,
  Pszczołami rządził — a bratem szamotał,
A matki swojéj staréj nie posłucha,
A domem całym wzgardzi — bo wziął ducha.

XVIII.

„Niesprawiedliwość mi się wielka dzieje
  I krzywda wielka mi przyszła od Boga;
Bóg Ziemowita światłem przyodzieje,
  A od Wodana pójdzie wstręt i trwoga...
Teraz patrz — już włos na tamtym jaśnieje,
  A twarz Wodana ciemna jest i sroga.
Srodze mię Pan Bóg w żywot mój ugodził,
Ten wziął — a tamten pierwéj się narodził.“

XIX.

I poszedł smętny Piast ku swoim pszczołom,
  Sad szczepił, a rój wylatywał złoty
I osłonecznił głowę dwom aniołom
  Z tęcz, które weszły jak ogień przez płoty.
A wszedłszy rzekły: — Pozdrowienie ziołom!
  Szczęście domowi, gdzie zakwitły cnoty,
A niechaj nie ma snu tyran okrutny
I niechaj nigdy nie śpi! — Czemuś smutny?...

XX.

I rzekł na to Piast: Przebywam w pokoju,
Ale mi żona moja nie śpi cicha...
To mówiąc, ukląkł na kiju — przy zdroju
I szlochał. — Duchy zaś na to: Że Pycha
Że chce w rodzeństwie swojém niepokoju,
Bóg ją z ojczyzny swéj przyszłéj wypycha;
Ty jednak nie trać słowem ani kijem
Złéj, aż ją sami wygnawszy — zabijem.

XXI.

I płakał gorzko Piast. — A jego żona,
Przyzwawszy k' sobie synka Ziemowita,
Podniosła jemu w ramionach ramiona
I rzekła: — Czuj duch, który serca chwyta. —
A dziecko z matki się ciepłego łona
Zaczęło wdzięczyć jak róża rozwita,
Mówiąc: — Oto mam w rączkach moję duszę,
Wezmę, czego chcę — rozkocham, co ruszę...

XXII.

A matka słysząc to — rączki te kładła
Na syna swego czarnego Wodana
I sama on duch aniołowy kradła
I płomieniami czuła się oblana
I synów swoich wszystkie myśli zgadła
I rzekła: — W imię Boga, mego Pana,
Czeka mię jakaś wielka droga pilna!
Widzę przed sobą czasy! — jestem silna!

XXIII.

I namówiwszy się z Wodanem rzekła:
— Przybiorę różne do pomocy dusze,
Chociażbym cały świat na siebie wściekła,
Upiorów wojsko podziemne poruszę;
Pójdźmy stąd do trzech pustelników z piekła,
Na górę Zober! — pójdźmy w leśną głuszę,
Gdzie żyją straszni ci trzéj pustelnicy
Pod strażą orła, gadziny i lwicy.

XXIV.

Swiętopełk, niegdyś król Czech i Morawy,
  Zniknąwszy wojsku swemu nakształt mary,
Do nich się udał i piekielne czary
  Czynił i wskrzeszał z grobów ogniojawy:
A przecież w grobie śpi bez żadnéj kary,
  Znany rapsodom ów monarcha stary,
Owszem na dziadach ma modły śpiéwane.
Takiéj korony jak on — ja dostanę. —

XXV.

To mówiąc, wzięła Wodana za rękę
  I biegła... a mąż spotkał ją u proga;
Więc rzekła: — Idę patrzeć na jutrzenkę,
  Gwiazdę wstającą na końcu rozłoga.
A Piast pogroził — w niebo podniósł rękę
  I rzekł: — Jutrzenka jest jak oko Boga:
Przed rankiem wstaje, słońca się nie wstydzi,
Do serc przenika jako miecz — i widzi...

XXVI.

A Pycha, fartuch zwinąwszy na głowie,
  Z synaczkiem biegła po łąkach i rosach.
I napotkali ją dwaj aniołowie
  Z kwiatami, z gwiazdy złotymi na włosach.
— Gdzie idziesz? — rzekli; a ona odpowié:
  — Gwiazdy północnéj szukam na niebiosach. —
A oni na to: — Od męża uciekłaś,
A gwiazdy szukasz? teraz prawdę rzekłaś.

XXVII.

Znikli — a ona daléj zadyszana
  Biegła, Wodana zaś za rączkę wlekła;
A różne na nią wiekuiste Pana
  Sługi i różne pochodnice z piekła
Patrzały: jedna jak głowa urwana,
  Druga jak ręka, która mieczem siekła,
Upiory, światła w niebiosach podróżne,
Przylatujące na nią — gwiazdy różne.

XXVIII.

I przerażone w niéj duchowe soki
W ocet się ostry kłamstwem zamieniły;
Ogniste za nią leciały obłoki
I po cmentarzach widziała mogiły,
Z których wychodził skier obrus szeroki;
A ciała na dnie jak w szkle widne były,
Przy każdéj kładce i przy każdym moście,
Mogiła jak szkło z ognia — a w niéj koście. . .

XXIX.

I rzekła: — Wejdźmy na cmentarz, Wodanie,
A weźmy duchy przez cielesne bole;
Bo to nauka — przez ciał ogłaskanie
Anioły wolne ducha — brać w niewolę.
Czynią — co zechcesz, skoro w zaprzedanie
Pójdą, a wzrok je twój na wskróś przekole,
A potém w swoje łańcuchy obwinie,
W siebie je wchłonie, sam w ich kości wpłynie.

XXX.

Oto są zgniłe cmentarne próchniska,
Których się dusze po śmierci trzymają.
Zatrwóż je o kość! — nie bój się, że błyska
I światła dziwne po mogiłach wstają. —
Rzekła: a różne zaklęte świetliska,
Zmuszone powstać, wstały wielką zgrają;
Każdy duch z własnym żegnał się kurhanem
I poleciały wszystkie za Wodanem.

XXXI.

I będąc jak bóg, a Pycha boginią,
Przyszli na górę Zober Wodan z Pychą,
Gdzie czarownicy nad leśną pustynią
Nie jedne duszę tak jak listek lichą,
Zwiędłą — na węglach palą, wiatr z niéj czynią,
Służkę zbolałą, nikczemną i lichą,
Lub każą jasnéj chodzić po jeziorze
I koralami ust — psuć sługi boże.

XXXII.

Z tych dusz jakoby wilgotne kolory
  Opromieniały pustelników skałę.
Ci we mgle kiedy zaczną swe nieszpory,
  A czarne płaszcze swe zamienią w białe:
To pod płytami tych skał czarne bory
  Drżą... ptaszki siedzą w liściach oniemiałe,
A daléj srebrne jakieś błyszczy morze,
Jezioro — dzwony dzwoniły w jeziorze.

XXXIII.

I pustelniki te Wodan połamał
  Duchem, a matka im rzekła: — Widzicie,
Oto Bóg, który nigdy mi nie kłamał,
  Przysłał to cudne, pierworodne dziécię.
Chciéjcie, co on chce! — On was Bogiem łamał,
  Siłami, które w bożym są błękicie,
A wam ta siła więcéj nie zaszkodzi,
Owszem... królestwo ducha ku wam schodzi.

XXXIV.

I pokłonili się trzéj pustelnicy
  I rzekli: — Czego chce Wodan, my chcemy.
A Wodan w niebo krzyknął: błyskawicy!
  I ogień wielki, z twarzą złotą — niemy
Jak duch — trwający jak mgła — z okolicy
  Północnéj — po nad sosny i czeremy
Rozciągnął straszny płaszcz ze złotéj lamy,
Podobny do krwi, ogniska i plamy.

XXXV.

I rzekła Pycha: — Teraz nieomylna
  Jestem we wróżbach moich! Pan mię słucha!
Wysłuchał mnie mój Pan Bóg! jestem silna!
  Królestwo w ręku mam! Mam berło ducha!
Lecz siła pięciu ludzi i mogilna —
  To jeszcze dla mnie nic — podpora krucha!
Mocarzy świata wezwę. Jak prorocy,
Siły już świata mam — lecz wezmę mocy!

XXXVI.

Rzekła: i cesarz wielki Romy — Otto
  Usłyszał — i rzekł: — W ręku mam Słowiany!
I szedł na górę sam, a pod ciemnotą
  Sosen, pod skałą ukrył swe Rzymiany,
Ukrył girlandę swoich orłów złotą
  I miecz narodów wszystkich krwią zbryzgany,
A rzekł do swoich: — Wyostrzcie pałasze!
Słowo wam Lachów dam! już Lachy nasze!

XXXVII.

Rzekł, i na górę wstąpiwszy w koronie,
  Uczcił niewiastę i syna i starce,
Mówiąc: Przyniosłem tu duchowi dłonie
  A guślarzowi cześć — i téj guślarce.
Albo was wesprę — albo was obronię,
  Albo świat, który was nie wyzna — skarcę;
Lecz mi pokażcie téj nocy moc waszą,
A nie na gwiazdach, bo te — zorze gaszą.

XXXVIII.

Ale na ludziach — lecz na królach ziemi
  Pokażcie duchów waszych samowładność!
Niechaj Popiela wasza moc oniemi,
  A członkom jego da głazu bezwładność;
Niech posągami staną się pięknymi
  Królewny, a kształt chowają i ładność
I kolor mają rumieńca na twarzy
Podobny różom i złoconéj zarzy.

XXXIX.

Trzymajcie całą noc wasze książęta
  W takiém uśpieniu — lud niechaj to widzi!
Niech ja sam, cesarz, i Rzeszy panięta
  Przekonamy się, że Wodan nie szydzi,
Żeś ty prawdziwie przez ducha natchnięta
  Królowa, która fałszu nienawidzi,
A żadnéj zdrady nie chowając w ciele,
Oszukać nie chce swe nieprzyjaciele! —

XL.

A wtenczas Pycha rzekła: — Tak się stanie,
 Jak mówisz: nocy téj Popiela zmrożę.
Wezmę mu siłę, ruch i oddychanie,
 Myśli w sen wtrącę, serce mu zatrwożę;
A ty koronę na moim Wodanie
 Położysz i sam na Popiela dworze
Weźmiesz odemnie i od mego syna
Hołd. — Niech się stanie czar! bije godzina!...

XLI.

Tu guślarz, który taką pieśń straszliwą
 Śpiéwał (przytomny przed wieki słyszałem),
Buchnął na węgle siarką i oliwą
 I z całym ludu wiejskiego chórałem
Zaczął pogrzebną pieśń i żałobliwą
 Nad matką, która duch gwałciła ciałem,
A czasów świętéj miłości nie zgadła
I poszła — i gdzieś bez wiedzy przepadła.

XLII.

A wtém... na zgliszczu tém jakaś kobiéta,
 Cała ubrana w bluszcze i w powoje,
Jakoby szatą kwiatami okryta
 I płótnem — wzięła ksiąg leżących troje
I widać było, że ze średniéj czyta,
 A czasem tylko piękne myśli swoje
I napisaną rzecz na korach drzewa
Okiem rozwiera i w ustach rozgrzewa.

XLIII.

Sen duch — pożera czas — i wieki lecą
 (Tak zaczynała się pieśń téj kapłanki),
A wieki jako błyskawice świécą,
 Jak spadające gwiazdy są poranki...
Bóg nasz ucieczką naszą i fortecą,
 I myśli nasze święte jak z gwiazd wianki,
I na niebiosach się przyszłych rozwiną,
Wszystko przeminie — lecz one nie miną.

XLIV.

I przyszedł światły duch do Ziemowita
I rzekł: Młodzieńcze, wstań i stań się czujny!
Albowiem nocą dziś — jedna kobiéta
Na twoję ziemię rzuca czar potrójny.
Zorze błyskają, mocarz za miecz chwyta
I kruk przeczuwa plon czerwony, bujny.
Czuwaj! ogromna moc, wzięta z miesiąca,
Wodza ci i kraj w osłupienie wtrąca.

XLV.

Ta sama siła, którą ty masz bożą,
W cielesną nagle przemieniona władzę,
Wyszła .. a już się aniołowie trwożą,
Że Przeciw-Bożnik przyszły wstał w odwadze.
Słońca onę wieść po niebie rozwożą,
A ja przez ciebie ją na świat prowadzę
I tobą małym, jak słoneczną różą,
Czynię rzecz małą — lecz u duchów dużą.

Dalszych strof nie dajemy, gdyż bardzo mało się one różnią od zwrotek stanowiących zakończenie téj pieśni w texcie, począwszy od strony 251.

WARYANT II.

(treścią zupełnie odmienny).

PIEŚŃ I[1]).

I.

Parni żywota czeluść otworzono.
Widziałem znowu jakieś święte kraje
I chwilę mego żywota błyśnioną;
Wspomnienie moje jako miesiąc wstaje,

---

[1]) Rapsod o Piaście podług obecnéj (zapewne najrychlejszéj) ułożony redakcyi, drukowany był cały w »Dzienniku Literackim lwowskim« r. 1865 Nr. 83—85. My tu zamieszczamy tylko samę Pieśń I, jako nietylko pod wzglę-

Jak miesiąc, który złote swoje łono
Oświéca, w nocy spojrzawszy na gaje,
I w mgłach się zaraz topi tajemniczych
Strwożony pieśni girlandą słowiczych...

II.

Widzę gdzieś, że mię w biednéj chłopa chacie
Z dzieckiem chowano razem Ziemowitem;
Tam różnych duchów zjawione postacie,
Miesięczne bożki, uwieńczone żytem,
Tam w makach duchy snu — tam w bluszczów szacie,
Boginie lasów owiane błękitem,
Piękniejsze, niźli wydać mogę w słowach,
Stały — a miesiąc nosiły na głowach.

III.

Tam duch, z duchami tymi sprzymierzony,
Prosty i dobry wprowadził mię w ciało;
Ale ja — krwawy w sobie i zlękniony —
Na światło boże patrzałem nieśmiało.
Mnież to żyć?... Miesiąc stawał się czerwony,
Gdym spojrzał; źródło na wstecz uciekało,
Gdym wstąpił nogą w kryształ przezroczysty;
Gdym się w nim przejrzał, byłem trup ognisty.

IV.

Czarność mojego lica niesłychanie
Ojca raziła, ale matce miła.
Ta mi bywało swoje całowanie
Jak ogień daje — do lasów posyła —
Ziół mi zaleca gadzinnych zbieranie,
Kwiatów, którymi ludzka się mogiła
W zamglonéj nocy — przed rannymi mgłami
Zapala cicho w nocy, jak ogniami.

---

dem rzeczy samėj szczególnie godną uwagi, ale i artystycznie zupełnie wykończoną. Dalsze pieśni ani nie są całe, ani téż zalet uderzających, dla którychby tu miały być dołożone, nie posiadają.

V.

Ty — mówi do mnie — czarny jak żelazo,
  Jesteś serdecznym i zwołanym duchem...
Ty — strasznooki, z krwawą w oczach skazą,
  Jak pies z urwanym gdzieś w piekle łańcuchem,
Choć chłop, nie dasz się skalać żadną zmazą,
  Ani jak owca w głowę bić obuchem;
Ziemowit biały, jako chléb z pszenicy,
Nie ma téj, co ty, w oczach błyskawicy.

VI.

To téż ja, Pychą nazwana u ludu —
  A dobrze zowią, bo téż pyszną jestem —
Przez ciebie myślę z wieśniaczego brudu
  Wyjść, jak wąż z cichym wypełznąć szelestem.
Twój ojciec czeka zjawienia i cudu;
  Z pokorną twarzą, z uniżonym gestem
Przyjmuje jakieś ludzie nieznajome,
Młode — dobytku naszego łakome.

VII.

Dwa razy byli już, i ojcu twemu
  Jakieś mówili nowe tajemnice,
A mnie szydzili, pytając mię, czemu
  Ja złotą nicią szytą mam spodnicę —
I korabiowi na głowie złotemu,
  Który Syońską udaje bożnicę,
A na głowie się jako wieża pali,
Nie w głos, lecz z boku cicho urągali.

VIII.

Nawet wrzeciono, że w złotym bursztynie
  Umoczyłam je, już im stało w oku...
Niech mię nie kuszą — mówię — bo nie minie
  Rok, a odemnie dostaną uroku!
Kość im się która w ciele jak wąż zwinie,
  Albo je dotknie złoty bóg z obłoku;
Ręką je złotą — mówię — dotknie który
Duch, gdy błyszcząca w nocy zaklnę chmury.

IX.

Rzekła; a mnie strach zdjął, widząc ją całą
  W światłach i w mrokach, i w błyskach i w krzykach;
Coś na korabiu jak ogień łyskało,
  Na purpurowych coś łysło podwikach,
A państwo jakieś w niéj ogromne wstało:
  Większa niż ta, co bywa w pasiecznikach
Powaga — owszem w duchu swego słowa
Stojąca — była wtenczas, jak królowa.

X.

Alem ja lękał się już ciemną drogą
  Chodzić, a drogi nie spróbować do dna:
Jakiś świat większy złamany pod nogą
  Miałem; już dusza moja była chłodna,
Już ją ku wielkim ambicyom nie mogą
  Porwać te krzyki — i ta niewygodna
Ludowa dusza, w matce mojéj żywa,
Pyszna i pychą własną nieszczęśliwa...

XI.

Bywało, mówię tak, gdy matka w oczy
  Patrzy i dumnéj skry jakiéj wygląda;
Ale mnie smutku wąż i robak toczy,
  A dusza — choćby snu na wężach żąda!...
Coś ją okropnie uciska i tłoczy —
  Jakiś mrok — czasem anioł się ogląda
W powietrzu z trwogą i z tęsknotą skrytą,
Jak za harfiarzem jakim i kobiétą.

XII.

A nie wiém, że sny topione w błękicie
  W jednéj tu ze mną kołyseczce spały;
Że pieśń i piękność żywa w Ziemowicie,
  Że on — to harfiarz w sobie doskonały.
Było to piękne i spokojne dziécię,
  Włoski mu złote na głowę spadały,
Jakąkolwiek wdział na się szatę grubą,
Zdała się piękną, woniącą i lubą.

XIII.

Wszystko przenikał swą świécącą treścią,
  Wszystko czystością zdobił i przenikał;
Ja — szatan przy nim czerwony boleścią —
  Czarny zgryzotą — wąż mi z włosów sykał,
Twarz była cała piekielną powieścią,
  Ogień zapalał się w oczach — i znikał,
A zły duch wszedłszy w płuca i pod skórę,
Ręce i nogi mę wyrzucał w górę...

XIV.

Czasami oczy zatliwszy rubinem,
  Pomiędzy dziatki wiejskie nagle wpadnę,
Wlecę — i niby szarym wietrznym młynem
  Nakryję, duchy czystymi zawładnę...
Pienią się — rośnie wieść pomiędzy gminem,
  Żem szatan — grożą mi śmiercią: nie bladnę...
Czuję się na świat przysłaną poczwarą
Dla kary duchów pustych — sam pod karą...

XV.

I próżno piękne wiejskie one lata
  Wydawały swe kwiatki młodociane;
Próżno owita bluszczem ojca chata,
  Dąb stary nad nią i ławy drewniane,
Próżno pasieka zawsze w miód bogata
  I piękne łąki, zawsze w kwiat ubrane,
Z ojca mojego mię godziły stanem: —
Jam widział państwo moje — pod kurhanem.

XVI.

Tam jacyś wielcy i straszni mocarze
  Na tronach złotych wołali mnie k' sobie,
Tam z szyj uciętych zlatujące twarze
  Zdały się miłość dla mnie chować w grobie...
A tu — ku mojéj to Bóg zrobił karze —
  Chłopstwo — ugięte królewskiéj osobie,
Bojaźń zwiérzęca, prawie nieczłowiecza,
Ja sam — już chłopię bojące się miecza...

XVII.

Bywało, słyszę o Popiela dworze —
 A to już trzeci był z rodu Popiela;
To mi go taki strach, jak gdyby morze
 Krwi, uskrzydlonych kwiatów, i głów wiela
Świętych — w tém słowie król... O sądy boże!
 Z poza grobowca piorun strachu strzela,
A ty uciekasz z twarzą na los wściekłą,
Stworzywszy sobie swoje własne piekło...

XVIII.

Teraz ci oto torturami grożą
 Twe myśli własne — twój cień mieczem macha;
Mogiła twoja pod czerwoną zorzą
 Jako na słońcu wystawiona blacha,
Na któréj węże się Meduzy srożą,
 Ściga... i w nocy małe dziecko stracha...
Zakląłeś duchy krwi i męże ziemi:
Przyszły — a teraz uciekasz przed niemi?

XIX.

Próżno... znalazłeś we własnéj macierzy
 Dumę i chciwość władzy... i odwagę...
W niéj twoje państwo utracone leży,
 W niéj krew, kładziona z pieniędzmi na wagę,
W piorun zamieni ciebie — a uderzy
 Tobą i w świata cię przemieni plagę...
Próżno się chowasz jak skąpca szkatuła:
Ona twój czarny duch przez kość poczuła...

XX.

I raz... gdy była noc, miesiąca nowie
 Przyjazne czarom, przyszła mać i rzekła:
U ojca teraz są ci aniołowie,
 Którychem złotéj natury dociekła.
Chodź — niech położą ci ręce na głowie,
 Niech dadzą ducha strumień... Choć do piekła,
Choćby mi trzeba pójść aż pod mogiłę:
Pójdę, nie zlęknę się — a wezmę Siłę.

XXI.

To mówiąc wlokła mnie za rękę... Czysta
Noc była... Oni na wiejskiém podwórzu —
A noc przejasna, gwiazdami ognista
Szkliła, i świérszcze gdzieś świérkały w zbożu.
Ta noc — o jaka dla mnie przezroczysta
W duchu... w pamięci! jak na pozamorzu
Noc jakaś... dawno woniąca przed laty,
Gdym leciał jak duch konny i skrzydlaty.

XXII.

Za mną gdzieś... piękność swe chłodne westchnienia,
Jak wiatr szumiący w skrzydłach, posyłała;
Teraz — chłop... w rękach czarnych przeznaczenia
Ugięty w czarną ołowianość ciała,
Stoję przed duchy jasnymi zbawienia;
A duch mój zbity nie drży i nie pała,
Owszem — nić czuje losu zakręconą,
Kręcąc się w ręku matki, jak wrzeciono...

XXIII.

Ona téż, w duchu podstępna kobiéta,
Sama się ze mną Bogu nie stawiła;
Lecz drugą ręką wzięła Ziemowita
I przed anioły szła — a blada była...
Fartuchem z głową, z korabiem nakryta,
Jak izraelska stojąca mogiła
Kładnąca cienie na cmentarnym piasku,
Wysoka — jak ścierń (?) przy księżyca blasku.

XXIV.

I wiedząc, że duch aniołowy kradła
Ku celom swoim i ku swojéj dumie,
Szlochając — do nóg aniołom upadła
I udawała, że mówić nie umie;
A ja pod fartuch skryty — te widziadła
Złote ważyłem głęboko w rozumie,
Czujący, że w nich leży sprawa boża,
A są duchami bławatków i zboża.

XXV.

Złoci, błękitni... jak nad upiorzycą
  Stali nad matką moją — a ja śniady
Kłułem je oczów moich błyskawicą,
  Złączony będąc w duchu — z duchem zdrady.
Ona ciemnością była, a ja świécą,
  A pochodniami — duchy, a Piast blady
Wyglądał z pod lip ciemnych na te dzieła,
Gdzie moc przeciwko aniołom stanęła.

XXVI.

Padł los... w krwawe me spojrzawszy jelita,
  W duchową moję ciemń... w miesiąc sumienny,
Oba na głowę brata Ziemowita
  Zlali duch boży... I wnet jak wąż senny
Jąłem poziewać... Piorunami bita
  Myśl poleciała w ogniste gehenny,
W Abrahamowe łona, w głąb bałuchów
Ognistych — przeciw duchom... szukać duchów!

XXVII.

Tam w głębi tego duchowego świata
  Jako w ciemnicy zagościwszy, widzę,
Bywało, duchy, które wąż oplata
  Lub kręci ciągle wiatr — podobne frydze.
Jeden trup ciałem na płomieniach lata
  I przyprowadza ciepłem ku odlidze
Snu lodozorza (?) — że jak fale tają,
A trupy czechła podnoszą i wstają.

XXVIII.

Tam trumien słyszę, bywało, pękanie,
  Tam szmer kościanych gromad — tam powiewy
I zgrzyt i wicher jęków — i szlochanie
  I śmiech — i Boga bluźnierstwo — i śpiéwy...
Gdyby mi harfy: — byłbym panowanie
  Objął śpiéwając, a w nią straszne trzewy
Ogniste — jako tragik tu najkrwawszy —
Wszystkie te głosy duchów powpuszczawszy,

XXIX.

Byłbym postrachem ludzi powojował,
  Otrętwił.. sobie hołd składać przymusił,
Zatrwożył, duchem pogiął — i panował
  I wiedzą rzeczy zakazanych skusił...
Ale mnie anioł straszniejszy ratował
  I pożar we mnie już zajęty zdusił,
Pokazawszy mi duszę moję ciemną
W straszniejszéj: poszła Niewiasta przedemną...

XXX.

Raz, gdy Piast ojciec duchów odwiedziny
  Święcił, miód sycił, zabijał jagnięta;
Gdy kłosów złoto i maków rubiny
  Włożywszy sobie na głowę dziewczęta,
Z pieśnią przed wrota przyszły — a ja w siwy
  Mrok patrząc sądził, że to jakaś święta
Tęcza się duchów na powietrzu trzyma
I śpiéwa smętne pieśni przed wrotyma;

XXXI.

Gdy ten par — i to duchowe zamglenie
  Ze mnie upadło na świat chmurą złotą,
I przemieniło w anielskie zjawienie
  Lud śpiéwający z anielską prostotą;
Gdy ona piosnka o drzwi otworzenie
  Była mi strachem — sądem — i tęsknotą,
Bo dusza, która w sobie ucho stwarza,
Słyszała w niéj głos jakiegoś harfiarza;

XXXII.

Kiedym był gotów już paść na kolana
  I krzyknąć: Boże, skrusz, bo już nie mogę!
Przybiegła matka, jak wąż zadyszana —
  Krzyknęła: Woj-dan, chodź — pójdziemy w drogę!
Ukradłam dziecku mojemu duch Pana —
  Ukradłam światła moc — zamków pożogę
Wiatr — zaklinanie gwiazd — potęgę całą
Ukradłam dziecku mojemu... gdy spało.

XXXIII.

Chodź — a téj chłopskiéj przed wrotyma tłoce
Dajmy tu nasze wyjadać spiżarnie!..
Rzekła; jam uczuł w niéj okropne moce,
Ogień wyzierał przez oczu latarnie,
Pierś zawichrzona — w gardle wąż grzechoce;
Podobna w lesie zalęknionéj sarnie
Słuchała — i mnie cisnęła do łona,
A była cała wstydem zapłoniona.

XXXIV.

Piękna i straszna przez one rumieńce,
Przez one ognie wchłonięte świécąca,
Porwała wtenczas mię matka na ręce,
I biegła prosto w mrok... Padł blask miesiąca,
Jam płakał — za mną pieśniami ci żeńce
Gonili... za mną chata śpiéwająca,
Jakby instrument jaki, nastrojony
Na zlitowanie i żałosne tony;

XXXV.

Za mną wieśniacza niewinna pokora,
Za mną zwyczajny los szczęśliwych ludzi...
Mnie ciągle moja w błyskawicach zmora
Ciągle unosi — w grób rzuca i budzi.
Nigdy nie daje mi dosyć wieczora,
Nigdy spokojnéj piersi nie ostudzi,
Nigdy jeść chleba nie daje bezpiecznie...
Tak było wtenczas ze mną — i tak wiecznie.

XXXVI.

Przez jakieś łąki i przez jakieś rosy
Lecieliśmy tak, ja i matka Pycha;
A ciągle, ciągle one żeńców głosy
Noc donosiła błękitna i cicha.
Potém oćmione stanęły niebiosy,
Duchy przeciwne — ogień wąż Tenrycha —
Szatan, przykrywszy sobą ciemne bory,
Jak smok na wiatrach odmieniał kolory.

XXXVII.

Czy nam przeciwne, czyli nam usłużne,
  Czy przelęknione o świat, czy ciekawe,
Przelatywały komety podróżne,
  Jak głowy ludzkie świécące i krwawe...
Jam płakał — matka mi te gwiazdy różne
  Pokazywała, a na każdą zjawę
Twarz miała inną... jak wąż, co się mieni
Czasem w purpurze, a czasem w zieleni...

XXXVIII.

Czasem zdało się jéj, że w nocnéj ciszy
  Kto do niéj gada: to staje... i słucha...
Ja nic nie słyszę — trwożny: ona słyszy
  I mówi do mnie cicho: mamy ducha!
Znów bieży — staje — czy gdzie potok dyszy!
  Czy gdzie wiatr jęczy, czy gdzie źródło bucha —
Ona w korabiu złotym wznosi głowę,
I wnet się wdaje z tym szmerem w rozmowę.

XXXIX.

Na każdéj kładce i na każdym moście
  Belka pod nią drży — grosz biorą upiory;
Puszczają wszystkie skruchy i żałoście
  Grobów — i wszystkie grobowe kolory,
Mogiły jak szkła ogniste — w nich koście,
  Cmentarne widma — i duchów nieszpory,
Kruczy straszny skwir — i wiatr złoty skrami
Tumanem wstają i lecą za nami.

XL.

Ale straszniejszy w onéj duchów burzy
  Urodził się cel... w duchu téj kobiéty!
Niech nam — rzekła — miecz i król wszelki służy
  I wszelki anioł w ciele tu powity.
Kto w pierścień nie chce wejść, a nadto duży,
  Niech będzie klęty, piorunami bity;
A kto mi przyjdzie — choćby krwią czerwony,
I z miecza moc da: błogosławiony!

XLI.

Niech to rozniesie każda czarna chmura
I każda gwiazda z tą wieścią poleci,
Że mi ugięta cielesna natura,
A mego ducha wszędy pieczęć świéci.
Rzekła — i zaraz jakaś ciemna góra
Jawiła się z mgieł — świadectwo stuleci,
Buki ogromne na sobie nosząca,
Wysoko — blisko już gdzieś aż miesiąca.

WARYANTY

DO RAPSODU CZWARTEGO.

URYWEK I. [1]

Wszytko prześwięta cisza ogarnęła
  Przed dniem, gdym ja miał ujrzeć światło dzienne;
Matka cedrowe kufry odemknęła —
  Szaty zapachły — i zaczynki pszenne,
Pieprzne pierogi dla boga Pokieła,
  Mięsiwo w kwiatki ubrane wiosenne
Zapachło — jakby od gwiazd różnobrzmiennych,
Dźwięczność szła piękna od stągwi kamiennych.

Zasób, domowy bóg, z obliczem zwiérza,
  Zwabiony duchów wesołych robotą,
Z ciemnego, mówią, gdzie siedział, alkierza,
  Czarny jak murzyn, wyjrzał twarzą złotą —
Dziewki go śniegiem łabędziego pierza
  Zagnały w alkierz — bębniły w rzeszoto,
Aby się długo na świetle nie bawił,
Pozłot nie stracił i nie zmarnotrawił.

---

[1]) Są to celniejsze ustępy, wybrane z takich opracowań tegoż rapsodu, które tylko były coraz inaczéj zaczynane, a nigdy nie doprowadzone tak daleko, żeby tworzyły jakąś większą całość. — Powyższy Urywek I stanowi waryant względem kilku strof w texcie, zamieszczonych na str. 265. *(Przyp. Wyd.)*.

On też jako wilk przemknął się po domu
  I wlazł do nory; ale go widziano!
Gdzie on, dom nie zna ubytku i sromu —
  Duch dobry — składa dziewczętom na wiano;
Bo on nie często i nie lada komu
  Pokaże w ogniu swą twarz pozłacaną,
Lecz rzadko z kątów ciemnych wytknie głowę,
Chyba na wielkie wesele domowe.

Potém więc grajki swoje oszołomne
  Muzyki wnieśli w drzewogłośne ściany.
Takie robiono przybory ogromne,
  Gdy duch u Słowian miał być postrzygany —
Sakrament, który czynił czoło skromne
  I duch — z duchami baranka zbratany,
Tak że się potém snadno z bracią godził,
Winy odpuszczał, a krzywd nie dochodził.

. . . .
. . . .

Wszystko śmiało się: ja sam jeden, pomnę,
  Smętny, i ojciec rozlamentowany.
— „Oto dzień, krzyczał, że państwo ogromne
  I lud, przez duchy jasne nawiedzany,
Ma być zawstydzon w duchu swego księcia
Widokiem tego ślepego szczenięcia!..

„Lepiéjże było wejść mi pierwéj w ligę
  Z jakim cesarzem lub Neboh-da-carem,
Niż teraz, gdy już mieczyska nie dźwigę,
  Biegać — kto prędzéj — z Płowcem lub Chazarem.
O! biednąż mój ród nową ma łodygę!
  Ciemnymże na mój ród rzucono czarem!
O pójdąż na wiatr, jak śmiecie, Słowianie,
A Popielnica sława już nie wstanie!

„Lepiéjże teraz chłopkom, z pod kurhana
  Tamten srogi duch wygląda czerwony,
Który był jak bicz i gwiazda rumiana
  I miecz przez duchy boże zapalony,

Niż ten... niewiastka ślepotą związana,
  Błyskotnik jakiś w ciemnościach zielony,
Dziecko, które gdzieś widziało miesiące,
Ślepe jak żebrak — a przerażające!“...

Jeszcze dziś słyszę, i włosy się moje
  Jeżą — na straszne te ojcowskie słowa;
A on pięściami tłukł w miedzianą zbroję
  I hełmem swym tłukł o uszaki z drzewa;
Potém mnie wzięto na niańki pokoje
  Niewiedzącego nic, za co się gniewa
Ojciec i trzaska gniewem ciemną chatę,
Chyba żem dziecko smoka nieskrzydlatę...

URYWEK II. [1])

Pomnę, że gwarem niby winem spity,
  Zasnąłem ślepy: gdy oto duchowie,
Którym ten świat jest, jako z tęcz uwity
  Obraz form różnych na słoneczném Słowie,
Przysłali mi sen straszny i zakryty,
  Wróżący oczom moim blask i zdrowie,
Przeto że winy ducha, jak rumiane
Słońca świécące, miały być zmazane.

Straszny, największy z duchów obrażonych,
  Rozpromieniwszy swe srogie oblicze —
W szatach błękitnych i w ogniach czerwonych
  Błysnął mi i znikł... Słyszano, że krzyczę...
Jam rozpowiadał o widziadłach śnionych,
  Z ducha gadałem rzeczy tajemnicze;
Z duchów słowiańskich zbudzony najwcześniéj,
Piérwszy stanąłem złoty — w duchu pieśni.

Aż do samego dnia w różnych natchnieniach,
  Niby wysoko lutnia nastrojona,
O gwiazdach tylko smętnych i zjawieniach
  Rozpowiadałem. Matka przerażona

[1]) Obacz w texcie str. 267 i n. *(Przyp. Wyd.).*

Oczu mych blaskiem... W alkierzanych cieniach
Twarzyczka moja biała i szalona —
Mówili ludzie — lała blask miesiąca,
Zbiédniona, ślepa i przerażająca.

Aż mię nadedniem w duchu uciszono,
Ubrano w srebrne szaty całodziane;
Potém do świętych gajów prowadzono,
Gołąbki dano nieść — ofiarowane;
Główkę nakryto kwiateczków koroną,
Przejęto w paski złotem malowane;
I tak w świątynie wprowadzono pańskie
Mnie biédne, ślepe królątko słowiańskie.

Szedłem — a moje myśli pełne trwogi
Malowały mi nigdy niewidziane
Gontyny z cedru, ogniska, trójnogi,
Straszydła żywe ludzi krwią rumiane,
I duchy-bogi i sztandary-bogi,
Sztandary — żywe widziadła miedziane,
Które przestrachem na śmierć ludzi biły,
A przed ludami na boje chodziły...

Myślałem, że Bóg stojący w Arkonie
Jest jako ja... duch ogromny i wieczny —
A gdy go niosą, to miedziane dłonie
Wyciąga i łuk napina słoneczny;
Myślałem, że ma w błyskawicach skronie —
W oczach blask — ręce jak miecz obosieczny,
A gdy chce, to hełm rozgwiżdże padalczy —
Sam idzie — błyska — i za ludzi walczy.

Jużem się cały na to był gotował,
Że się ukorzę, a przed tymi duchy
Upadnę: — gdy mię mój Pan wyratował,
Pan mój — miłośnik niecielesnéj skruchy.
Owszem, abym te szatany wojował
I formę niszczył wewnętrznymi ruchy,
Sto mocy mi dał — od globu i nieba!
Sto sił — i cudem wspomógł, kiedy trzeba...

Pomnę, że stałem przed tymi kapłany,
  A wzrok mój blade sobie tęcze snował:
Gdy upior pieśni we śnie ukazany
  Rzucił się na mnie w ogniach, i mordował
Oczy me ogniem. — Włos wichrami rwany,
  Twarz taka, że się lud rozlamentował,
A inni, którzy złych bogów się bali,
Dary rzuciwszy w ogień — uciekali!

Ducha nie widział nikt: ale widziano,
  Że się ja z którym wielkim bogiem biję!...
Pierś mi urosła, sparło się kolano,
  Dłoń skrzepła, włosy świstały, jak żmije;
Potém źrenica stała się rumianą —
  Pękła... Jak piorun, kiedy we drzwi bije
I rygiel chaty zamkniętéj otworzy
I wejdzie: — tak świat we mnie wstąpił boży,

Słoneczny! — A ja, by Herkulesowy
  Anioł — złamawszy ciemność, ani krzykiem
Ani jakimi objawiłem słowy,
  Żem był sam sobie wodzem i świécznikiem;
Ale na ten gmach patrzałem sosnowy,
  Poważny, bydła napełniony rykiem,
Gdzie ciągle tłustość na trójnogach pluszczy
I „ach, ach!“ wielkie sosn — od echa puszczy

Dolatywało... Lasów tych szaleństwo
  Słyszę — kolorów dotąd widzę blaski...
Anioł, skazany odtąd na męczeństwo
  I odzyskanie świętéj pańskiéj łaski —
Wtenczas brał na się swoje człowieczeństwo
  I moc — przez piękne te kolorów brzaski,
Które mroczyły modrzew i jedlina,
Wzięty, jak sercem dzwoniąca ptaszyna...

Jakoby szałas, przez belki złocone
  Wiązany, leśną widziałem kaplicę.
W niéj lud, kniaź, wodze, supany czerwone,
  Wieńce jemioły — skrzydlate zbroice —

Bliżéj kapłanka, którą aż z Arkony
  Przywiozły białe jak śnieg jałowice,
Ustrzygła mój włos i w czarze z bursztynu
Paliła, a pieśń słowiańskiego gminu

Brzmiała w około: — „Będziesz tak strzyżony,
  Jak biała owca... Będziesz tak na świecie
Uciśnion, jako każdy duch rodzony,
  Którego woda topi — ziemia gniecie —
Z ciała wypędza ogień-duch czerwony —
  Mróz zimą dręczy — ogień pali w lecie —
W podróży wieczna udręczy tęsknota —
A zła wieść czeka przed domem u płota...

„Żona cię zdradzi — przyjaciel udręczy —
  Pan cię uciśnie — wróg napadnie zbrojny —
Dziedzic pośmiertny w pracy nie wyręczy —
  Grób nie nakryje po śmierci spokojny...
Na coś ty przyszedł od słońc i od tęczy
  Na ten świat biédny i w ten dom rozbojny?!
Anieli cię już z ciała nie wydźwigą!
Ludzie chwycili — jak owieczkę strzygą.“ —

Tak ci śpiéwali; ale mi na oczach
  Inny czar wtenczas stał — kapłanka biała,
Cała w powojach, płótnach i warkoczach
  Ubrana — bursztyn nad głową trzymała —
Różany oléj w bursztynu przezroczach
  Płonął i ogniem dochodził do ciała;
A ona cała w kolorach i wrąca
Była — jak gwiazda z rąk ulatująca.

Jeżeli kiedy mój duch roił Psychę,
  Duszę motylom złotym po nad włosy
Świécącą: to téj dziewki widmo ciche —
  Białe — w powojach błyszczących od rosy
Było piękniejsze; a tak wielką pychę
  Miała i świętość — wmyślona w niebiosy,
Że zatrzymała się dłoń podniesiona

. . . .

. . . .

URYWEK III.[1])

Drżałem... niepewne jakieś błyskawice
Widząc, że z ogniem wlatują przez skronie;
A wtém mi dano białe gołębice
Trzymać na łonie;
Te drżały — jam drżał, a snu tajemnice
I pieśń śpiéwana o harfiarza zgonie
Dziwnie przed mój duch wybłyskały chory,
Jakby z mogiły jednéj — dwa upiory.

I pomnę, żem szedł — i słyszał w około
Szum ludu; a już jasności świadomy,
Roiłem sobie tu hełm — a tam czoło
Ubrane w gromy —
A tam harfiarze ze srebrną jemiołą
Wchodzące w jakieś ciemne, złote domy,
Gdzie rubinowe były ognie święte
I trupy jakieś — na głazach porznięte.

I pewny byłem, że mię spotka w progu
Ów najstraszniejszy w śnie wczora widziany,
Porwie i z ogniem odda panu Bogu
Przez nóż rumiany;
Więc znów mi się gdzieś blade kwiaty głogu,
Znów jakieś chwasty, miesięczne kurhany,
Znów jakieś widma niepewne roiły,
Ubrane w ognia kwiaty z pod mogiły.

A wtém pod jakiś mię sklep wprowadzono,
Com czuł po nagłéj głosów ludzkich zmianie;
Potém śpiéwano i gusła mówiono —
Ja — na kolanie...
— „Przyjm, Boże, małą owieczkę strzyżoną!
(Chórem śpiéwali ci dawni Słowianie)
„Przyjm, co duch światła na powietrzu bierze,
Przyjm, co dać możem my, twoi pasterze". —

[1]) Jest to odmienne wykonanie myśli przeprowadzonych w texcie w **zrotkach**, danych na stronie 270 i n. *(Przyp. Wyd.).*

Spiéwali — a mnie jak ognian błękitny,
Wypogodzony i niegniewny wcale,
Podnosił z oczu ostatni przedświtny
Obłok — opale;
Potém on zniknął — a ja starożytny
Ujrzałem kościół nad morzem, na skale...
Dziśbym powiedzieć mógł wszystkie ozdoby,
Wyrznięte w drzewie róże i osoby.

Dziśbym powiedział wszystkie kolorowe
Rzeźby i wszystkie migotne pozłoty
I przezroczystość murów — szum sosnowy,
I morza grzmoty...
Za mną stał ojciec, miecza do połowy
Dobywszy — wyżéj dwóch gołębi loty
Krzyżowały się, jak dwie błyskawice —
Przed sobą wzniosłą ujrzałem dziewicę...

Płótnem i różnym owita powojem...
Dziś jeszcze widzę ją; dziewica biała —
Srebrna — zielonym okwiecona strojem
Przedemną stała...
Kądziel palona różanym zawojem
I dymem skronie wieszczki otaczała;
A ona na mgłach, na łunach rubinu
Trzymała czarkę maleńką z bursztynu.

Z téj czarki płomyk blady podlatywał,
Oléj w niéj różą zaprawiony płonął;
Takich czareczek lud w on czas używał,
By wonią wionął...
Bursztyn się cały w powietrzu rozpływał,
A w woni swéj włos ustrzyżony chłonął;
Powinna była zaś kapłanka słońca
W ręku dotrzymać czary, aż do końca...

Jam patrzał... a już czareczka rzezana,
Wylawszy wszystkie ognie swego łona,
Jak rubin we mgle stała się rumiana,
Potém zielona —

Potém w bladości swojéj przemieniana
W różne płomienne ognie — na ramiona,
Na pierś guślarki lała bursztyn święty
W skry, w listki złote, w krople — w dyjamenty...

Wtenczas nie mogłem już mojego wrzasku
Zatrzymać, a wrzask odkrył cudo wzroku!
Wnet ojciec .. matka!... od lic i zbrój blasku
Ślepłem w natłoku...
Od ludowego krzyku i rozklasku
Głuchłem... Więc naprzód łzy stanęły w oku,
Potém mi jasność odebrały złota
Pocałowania — i były ślepota.

Takie cudowne było przedwiekowe,
W duchu olśnione — wzroku odzyskanie...
Wnet jako zwiędły kwiat, podniosłem głowę,
Jak kwiat, gdy wstanie
I na błękity nieba lazurowe
Swoich anielskich piór umalowanie
Roztoczy w pierwszéj poranku godzinie,
A potém znowu chyli się — i ginie...

Spojrzałem — jako żóraw, gdy powraca
Na swój dom, i na szczyt wstąpi olchowy,
A jemu słońce dzienne świat ozłaca,
Ale świat nowy...
Nowa duchowi wróconemu praca!
Nowém obliczem wita próg domowy!
Ściany się zdają stawiane pochyło,
A w domach ciaśniéj, niż miał pod mogiłą.

Tak dla mnie — wieki boleści przebyte
W oczekiwaniu... a potém zawiodły!
Królewskie domy — już nie z głazu ryte
Lecz z wonnéj jodły,
Z dębowych ramion i z chrustu uwite —
Rzemieślnik podły
Budował; te zaś otaczał wesoły
Sad pełnorodny — gumna i stodoły...

Wszystko ku chłopkom i trzodom zbliżone —
  Ku gospodarstwu, nie mieczowi biegło...
Jedna sień tylko miała swą koronę
      Jak kurhan — z cegłą...
Tam jakieś w górze krużganki złocone —
  Szyby, otwarte na ścieżaj rozległą,
Poprawiane w brzęczące ołowie
Stały — a w szybach różni aniołowie.

Tam się, bywało, ranna ciemność rodzi,
  I pełno ptasząt śpiéwania i pierzchu;
Jak w zawieszonéj na powietrzu łodzi,
      Duch snu, zamierzchu...
Lecz kiedy słońce złote dom obchodzi,
  To krużgankami na ciemności wierzchu
Jawią się jakieś postaci płomienne
I płyną mgłami — jak łabędzie senne.

To jeden był czar, który mię w duchowe
  Wtrącał marzenia .. ta łódź — te krużganki —
Te piękne, błędne mroki aniołowe,
      Powietrzne szranki...
Niżéj gdym spojrzał: ludu głowy płowe,
  Panów kołpaki — futra — dziewic wianki —
Chore żebractwo i pełni litości
Królowie — święci i mądrzy — i prości!

Ławy z modrzewia, które powycinał
  Prosty rzemieślnik, i gliniane dzbany,
I król, który się ku dzieciątkom zginał
      I leczył rany,
Albo sam skopa tłustego zarzynał,
      I swe Supany
Karmił, i miodem rozpalonym poił,
Gdy dziad na stronie swe lireczki stroił...

Tam znów królowa żebraki leczyła,
  Od ludu niższa całymi kolany;

I często rańtuch swój zaczerwieniła
Nie swymi rany...
Na takim świecie dusza moja była
Ognista, ciałem ujęta w kajdany —
Nic nie wiedząca, że wewnątrz straszliwa
Burza w niéj wlokła się, jak żółw leniwa.

SPIS PRZEDMIOTÓW

w tomie II^gim^ zawartych.

Str.

Beniowski, ciąg dalszy.
CZĘŚĆ I. 3
CZĘŚĆ II. 138
Dodatkowe luźne urywki 153
Fragment 159
Król-Duch 163
RAPSOD I. 165
RAPSOD II. 211
RAPSOD III. Piast 231
RAPSOD IV. Miecz a Sława 263
RAPSOD V. Bolesław Śmiały. 317
DODATEK 367
Urywek planu Króla-Ducha 369
Waryanty do Rapsodu II. 371
Fragmenty 380
„ I. 380
„ II. 382
Waryanty do Rapsodu III.
Waryant I. 388
„ II. 396
Waryanty do Rapsodu IV.
Urywek I. 408
„ II. 410
„ III. 414

KONIEC TOMU II^go^.

PISMA

JULIUSZA SŁOWACKIEGO

Tom III.

WYDAWNICTWA KSIĘGARNI
GUBRYNOWICZA i SCHMIDTA.

	złr. ct
Aër. Pierwszy romantyk, powieść	2 60
Dr. Antoni J. Nowe opowiadania, wydanie drugie	3 —
— Opowiadania historyczne, 1 tom	3 —
1) Pod pół księżycem. 2) Książę Sarmacyi. 3) Odwiedziny monarsze. 4) Na kresach. 5) Dwór Tulczyński. 6) Losy pięknéj kobiéty. 7) Tynna w końcu XVIII. wieku.	
— Gawędy z przeszłości, 2 tomy	5 60
Bełza. Wanda. Opera w czterech aktach	— 60
BIBLIOTEKA POLSKA. Każdy tom brosz. 1 złr. 80 ct., w opraw.	2 30
T. I II. **Krasiński Z.** Pisma. Wydanie z przedmową Stan. hr. Tarnowskiego, 2 tomy. III. — VI. **Mickiewicz Adam.** Dzieła. Wydanie zupełne przez dzieci autora dokonane, 4 tomy. — VII—X. **Zaleski B.** Poezye. Wydanie przejrzane przez autora. — XI. **Pamiętniki Paska.** Wydanie nowe krytyczne, przejrzane przez Dra Węclewskiego. — XII. **Niemcewicz J.** Jan z Tęczyna, Powieść histor. — XIII.—XVI. **Słowacki Juliusz.** Dzieła. Wyd. przej. przez prof. dra A. Małeckego. XVII.—XIX. **El...y,** (Asnyk Adam). Poezye, 3 tomy. XX. — XXII. **Małecki A.** Życie i pisma Juliusza Słowackiego, wyd. drugie znacznie pomnożone, 3 tomy. — XXIII. **J. Wybicki,** Pamiętniki. — XXIV. — XXV. **Mickiewicz A.** Dzieła. V. VI. — XXVI.—XXVIII. **Mickiewicz A.** Korespondencya, 3 t. — XXIX—XXXI. **Kitowicz X.** Pamiętniki i pisma historyczne 3 t. — XXXII.—XXXIII. **Kitowicz X.** Opis obyczajów i zwyczajów za panowania Augusta III., 2 t. XXXIV —XXXVII. **Romanowski M.,** Pisma. 4 t. — XXXVIII. XXXIX. **Słowacki J.** Listy 2 t. wydanie II. znacznie pomnożone. **Słowacki J.** Pisma pośmiertne 3 tomy, wydanie II znacznie pomnożone.	
Bolesławita B. Hybrydy, powieść współczesna	2 40
— Król i Bondarywna, powieść historyczna	2 40
— Nad modrym Dunajem. Nowella	2 40
Bronikowski. Listy Jana III króla polskiego, pisane do królowej Kazimiry w ciągu wyprawy pod Wiedeń w roku 1683	2 80
— Jan III Sobieski i dwór jego czyli Polska w XVIII. w. 2 t.	4 20
Chłędowski J. Sylwetki społeczne	2 40
El...y. Gałązka heliotropu. Komedya	— 60
Estreicher. W. Pol, jego młodość i otoczenie	2 80
Jeż J. J. Ostapek. Ustęp z przeszłości emigracyjnéj	2 40
Kaczkowski K. gen. szt. lekarz wojsk polskich Wspomnienia 1808—1831, wydał T. O. Orzechowski, 2 tomy	4 20
Kantecki K. Elżbieta, trzecia żona Jagiełły	1 20
— Dwaj Krzemieńczanie. Wizerunki literackie 2 tomy	3 60
Kubala L. Dr Szkice historyczne, dwie serye każda po	3 40
— Jerzy Ossoliński, 2 tomy	6 80
Lemcke K. Estetyka, 2 tomy	6 40
Liske X. Cudzoziemcy w Polsce. Podróże i pamiętniki	4 20
Listy Tadeusza Kościuszki, zebrane, przez L. Siemieńskiego	2 80
Lorkiewicz A. Bunt Gdański w r. 1825	1 80
Monumenta historiae polonica. Pomniki dziejowe Polski, t. III. Wydanie nakład. Akad. Umiejęt.	12 —
Niewiarowicz A. L. Wspomnienie o A. Mickiewiczu	2 20
Pamiętnik damy polskiéj z XVIII wieku	1 80
Przyborowski W. Rubin wezyrski. Powieść	1 80
— Księżniczka z Minsterbergu	1 50
Stadnicki K. Olgierd i Kiejstut synowie Gedymina, W. ks. Litwy	2 40
Sass Berlicz. Mozaika. Gawędy szlacheckie, 2 tomy	3 80
Sewer. Bratnie dusze. Powieść	2 40
Wilczyński A. Kłopoty starego komendanta. Opowiadania, 3 tomy z illustracyami	5 40
— Pamiętniki plotkarza, 2 tomy	4 20
— Medytacye kawalerskie	2 40
Wilkońska P. Na teraz, Powieść	2 20
Wspomnienia Konstantego Wolickiego, z czasów pobytu w cytadeli Warszawskiej i na Syberyi	2 40
Zieliński. August II. i Aurora Königsmark, powieść historyczna, 2 tomy	2 60
Zwierciadło głupstwa. Powieść, napisał Ignotus	3 60

1887

J. SŁOWACKI

PISMA POŚMIERTNE.

WYDANIE DRUGIE, ZNACZNIE POMNOŻONE

staraniem

Dra A. MAŁECKIEGO.

TOM III.

Z księgozbioru J. Pławskiego

LWÓW.
NAKŁADEM KSIĘGARNI GUBRYNOWICZA I SCHMIDTA.
1885.

Zastrzega się prawo własności na rzecz utworzonego stypendyum imienia Słowackiego dla młodzieży.

Kraków. — Druk Wł. L. Anczyca i Spółki,
pod zarządem Jana Gadowskiego.

BEATRYX CENCI.

TRAGEDYA

W PIĘCIU AKTACH.

OSOBY:

Orsini, wielki dygnitarz państwa.
Beatryx Cenci.
Tomaso Cenci } jéj bracia.
Azo Cenci }
Francesco Cenci, jéj ojciec.
Lucrezia Cenci, jéj macocha.
Pietro Negri, domownik rodziny Cencich.
Giano Giani, malarz.
Cesario, przyjaciel Gianiego.
Padre Anselmo, zakonnik.
Don Lucenzio, prawnik.
Barygiel, dozorca więzienia.
Dolorida, jego córka.
Inkwizytor.
Signor Pamfilio, mieszczanin.
Trasteweryna, przekupka.
Odźwierny więzienia.
Trzy Furye.

Penitenci. Sędziowie. Mieszczanie. itd.

Rzecz dzieje się w Rzymie, w roku **1599.**

AKT PIÉRWSZY.

SCENA I.

(W pałacu Cencich).

OJCIEC CENCI i BEATRYX.

BEATRYX.

Puszczaj mnie, ojcze!

OJCIEC.

Ha! kąsasz mnie, wężu!
(*Wchodzi* MATKA CENCI).

MATKA.

Puść ją! Beatryx, odejdź! Cóż, człowieku?

OJCIEC.

Cóż, jędzo?

MATKA.

W porę nadeszłam —

OJCIEC.

Zawcześnie!

MATKA.

Ja córkę moję oddam do klasztoru —

OJCIEC.

Ja córkę moję kocham...

MATKA.

Wężu!...

OJCIEC.

Wiedźmo!...

MATKA.

Wężu!...

OJCIEC.

Syreno!

MATKA.

Idź spać, jesteś pijany!..
Gadając toczysz pianę z ust — idź zaśnij...

OJCIEC.

Ohydna strega — ona nigdy nie śpi.
(wychodzi).

MATKA.

Idź do alkowy, idź! — O Eumenidy!
Dajcie mi wężów garść — niech mu je cisnę
Do jego łoża! dajcie mi tę straszną
Pochodnię, która w waszych bladych rękach
Płonie błękitno: niechaj tém piekielném
Światłem zapalę dom, gdzie takie rzeczy
Ohydne dzieją się między ścianami!
(do BEATRYCZY*)*
Cyt, córko! Chodź tu...

BEATRYX.

Matko! ja nieszczęsna!

MATKA.

Chodź do pokoju mego — noc głęboka —
Nie drżyj! zachowaj strach na inną porę.
(wychodzą).

SCENA II.

Trzy WIEDŹMY.

I.

Wołała nas — jesteśmy trzy —

II.

Spokojna noc, ale dom drży —

III.

Poszedł do krwawego łoża
I śpi —

I.

I śpi—

II.

I śpi —

III.

Daj noża!

I.

Czy sama myślisz robić czyn?
Jest matka, jest córka, jest syn...

II.

Żegnajmy wężami drzwi —
To nasz dom, to pałac krwi —
Potępione całe plemię. —
Szach pod ziemię — pod ziemię — pod ziemię!

SCENA III.

MATKA CENCI i BEATRYX *(wracają)*.

MATKA.

Co to za szelest? Ten dom pełny szmerów
Nieodgadnionych...

BEATRYX.

Słyszałaś co, matko?

MATKA.

Gdym odemknęła drzwi, jakby gasnącą
Widziałem tutaj błyskawicę — Ave!
Idź spać, idź blada spać! Nie myśl o niczém.
(Beatryx wychodzi).
Władze piekielne! jeśli wy jesteście
Duchami wszystko wiedzącymi; jeśli
Można śmiertelnéj wyzwać was i nagiąć
Do posłuszeństwa; jeśli to wy, duchy,
Trzęsiecie domem tym jak wicher burzy,
Wtenczas gdy parne powietrze bez ruchu
Cięży na myślach ludzkich... ciemne władze,
Eumenidami nazwane przed wieki,
Wzywam was!...
(Wiedźmy się zjawiają).

I WIEDŹMA.

Jestem!

II.

Jestem!

III.

Jestem! Czego?

MATKA.

Okropne!... czy to wasz głos, czy gwizdanie
Waszych warkoczy słyszę, okropnice?

Od was śmiertelny chłód na twarz mi wieje —
Pochodnie wasze cuchną...

TRZY WIEDŹMY.

Czego żądasz?

MATKA.

Wy dobrze wiecie... Ja nieszczęsna matka
Na rzecz okropną ważę się — straszniejszą
Rzeczą przed wami usprawiedliwiona.
Warkocze moje pobielały — oczy
Wpadły do sinych dołów, wykopanych
Zgryzotą, strachem, zgrozą i cierpieniem...
Mary, pomóżcie mi w robocie strasznéj!
Lękam się w sercach dzieci, że tam znajdę
Niepewność — wstręty i myśl świętą grzechu...
Zróbcie z nich Rzymian!...

WIEDŹMY.

Rzymian? Rzymian? Rzymian?

MATKA.

Co znaczy wasze skomlenie, ohydne?..

WIEDŹMY.

Cha! cha! cha!

II.

Cha! cha! cha!

III.

Cha! cha! cha! *(znikają).*

MATKA.

Zniknęły!

Takaż jest pomoc z was, ohydne kruki,
Duszy człowieczej? Dobrze — zobaczymy —
Ja was przelęknę wszystkie... Kto to stuka?...

SCENA IV.

(*Wchodzi* TOMASO).

TOMASO

Cóż to, ty nie śpisz, matko?

MATKA.

Jeszcze nie śpię.

TOMASO.

Bez światła, sama?

MATKA.

Skąd powracasz?

TOMASO.

Z boju.

MATKA.

Czy odebrałeś mój list?

TOMASO.

Nie, żadnego.

MATKA.

Pisałam wczoraj, byś powracał śpiesznie.
Więc ty nic nie wiész?

TOMASO.

Nic...

MATKA.

O wydarzenie!
Więc muszę wszystko mówić ustnie —

TOMASO.

Matko!
Najokropniejsze miałem wydarzenie
Téj nocy, kiedym powracał tu krwawy;
Bowiem zdobyliśmy dzisiaj Petrelę
Ze starym dyabłem Kolonną, a teraz
Wiesza burmistrza na dzwonach, a z ognia
Porobił więźniom jako czarownicom
Straszne warkocze. Więc kiedy wracałem
Przez głuche stepy Kampanii — ścigany
Hukiem pożaru i wyjącym głosem
Rzniętego miasta — na odludnym stepie
Koniowi memu zaszły drogę mary.
Marami bowiem być muszą bez ciała
Te trzy okropne kształty... a może też
Krew moja, walką rozdąsana w żyłach,
Zalała moje oczy i te mary
Ubrała w czerwień straszną. Ja sam nie wiem,
Kto one były... lecz ile pamiętam,
Włos każda miała ruchomy i jakby
Niezależący od poruszeń ciała,
Dziwnego bardzo połysku, a w rękach
Niosły pochodnie. — Matko, te trzy mary
Koniowi memu zdębionemu stały
Na drodze — a koń ostrogami rznięty
Jęczał jak człowiek.

MATKA.

Cóż się stało? czy co
Rzekły?

TOMASO.

Zaczęły się śmiać okropnice,
Trzęsąc bladymi pochodniami... potém
Wrzasnęły wszystkie: śpiesz się, śpiesz się, śpiesz się —
Siostrę ci gwałcą!... Na te słowa czułem,
Że krew, z oblicza mego odegnana
Trwogą, wróciła z szumem wodotrysku
I mózg pod czaszką rozpierała, jako
Kościół gotowy runąć. Gdym się ocknął,
Mary zniknęły...

MATKA.

I cóż myślisz?

TOMASO.

Mary
Zniknęły. — Wtenczas na koniu drgającym
Siedząc, dobyłem, matko, puginału
I oglądając się w ciemne powietrze
Cicho, jak miejsca przeniknięty zgrozą,
Rzekłem: przysięgam śmierć gwałcicielowi!
Na te wyrazy, okropniejsze jeszcze
Wrzaski powstały w powietrzu — jak gdyby
Ta ciemność miała atomami cienia
Człowiecze usta... Matko, i trzy razy
Słyszałem, że mię nazwano po nocy
Straszném imieniem! —

MATKA

Mów —

TOMASO.

Matko, nie mogę —

MATKA.

Mów!

TOMASO.

Ty się wzdrygniesz, matko — ty się wzdrygniesz!

MATKA.

Więc ja ci powiém sama... powiem cicho:
Nazwały ciebie ojcobójcą —

TOMASO.

A ha!

MATKA.

Te mary były tu...

TOMASO.

Kiedy?

MATKA.

Téj nocy...

TOMASO.

Lecz to piekielne, matko, są zjawiska.

MATKA.

W piekielnym domu są piekielne goście;
Czy masz odwagę...

TOMASO.

Na co?

MATKA.

Na to, o czém
Mówiły te trzy —

TOMASO.

Matko, za godzinę...

MATKA.

Teraz lub nigdy! Idź, obudź na dole
Pietra... on wszystko wié.

(*Wychodzi* TOMASO).

SCENA V.

MATKA (*do wchodzącéj właśnie* BEATRYX).

Chodź, Beatrycze,
Chodź tu w koszuli. Tomaso przyjechał —

BEATRYX.

Pewnie się waha...

MATKA.

Jak człowiek pijany
Krwią i pół tylko mający rozwagi,
Zdaje się miękkim na wszystko, i w gęszczu
Tych okropności najwyraźniéj chwyta
Oczyma twoję hańbę, a na resztę
Zdaje się chować senną obojętność...
Trzeba korzystać, córko, i dzisiejszą
Noc ofiarować bogom tajemniczym
Ciemnéj przyszłości...

BEATRYX.

Matko, matko, mdło mi...

MATKA.

Chowaj krew zimną! Kazałam zawołać
Pietra...

(AZO *wbiega na scenę*).

Ha! co to? z łóżka wstał maleńki
Azo?

AZO.

O mamo! mamo!

MATKA.

Co?

AZO.

Po domu
Czerwone duchy chodzą!

MATKA.

Czemu nie śpisz?

AZO.

Nie mogę zasnąć... mamo, tak mi strasznie!

MATKA.

Czego się lękasz?

AZO.

Ciągle przed oczyma
Jakieś czerwone latają mi plamy,
Jakby czerwone gołąbki...

MATKA.

Beatryx,
Weź go na ręce! — Że też wszystkie czyny
W powietrzu mają świadków! Cyt! — już idą —

SCENA VI.

TOMASO i PIETRO NEGRI *wchodzą*.

PIETRO.

Jesteście wszyscy... byłem na modlitwie,
Kiedy ten człowiek, na twarzy zielony,
Wszedł cicho. Cóż to, czy nowa narada?

MATKA.

Dziś, albo nigdy! Pietro, daj sztylety!

PIETRO.

Ręce umywam...

MATKA.

Ty?? O! na Chrystusa,
Ty poradziłeś sam! Czy nie pamiętasz
Tėj nocy, kiedy ścigana po gmachu,
Leciałam boso, wołając ratunku
Dla mnie i córki — ty sam poradziłeś:
Zabijcie tego węża, bo inaczéj
Mieć nie będziecie pokoju... A teraz
Mówisz inaczéj?

PIETRO.

Czy on śpi?

MATKA.

Nie słyszysz
W tamtym pokoju chrapania? cyt, Azo!
Śpi jak zabity — Córko, daj sztylety —
Kto pójdzie piérwszy? ha!.. kto ma odwagę?
Ty chodź Tomaso za mną — Cóż ty?.. we śnie?

TOMASO.

Tam w korytarzu, matko, te trzy mary
Stoją i w rękach mają krwawe chusty —
Ja tam nie pójdę — nie — to rzecz piekielna!

MATKA.

Więc zginęliśmy! — ha! ten człowiek stchórzył!
Czy ty się lękasz mar? chodź jako świadek —
Cóż? — twój nam sztylet niepotrzebny — zakrzesz
Ognia sztyletem... patrzaj — tu masz krzemień —
Przy tych czerwonych błyskawicach widzę
Naszę gromadę owczą... Wstyd! skupieni
Jak owce w burzy! — Cóż? czy pójdziesz teraz?
Co robisz? z lampą idziesz? — Beatrycze,
Weź mu z rąk światło, i niosąc nad głową
Wiedź nas w korytarz ciemny!..

AZO.

Mamo, mamo!

MATKA.

Zaduście dziecka krzyk.

(wychodzą).

PIETRO.

Sza! nie krzycz mały!

AZO.

Dla czegóż wszyscy tak gadają cicho!

PIETRO.

Idź zobacz —

(Azo idzie za nimi).

Gadzin rodzino — o! teraz
Mam ciebie w ręku, Hekate — okropna,
Ale piękniejsza, niż wszystkie marmury
Z grobów dobyte!... Cyt.. dziś go spoiłem
Blekotem — musi spać jak martwe drzewo —
Ja ułatwiłem czyn... widząc, że łatwość
Dla kobiet jest zachętą, a najmniejsza
Trudność odstrasza...

SCENA VII.

MATKA CENCI *(wraca.)*

MATKA.

Pietro, rzecz skończona!
Lecz mój syn stchórzył... ja dobrze wiedziałam,
Że mój syn stchórzy.

PIETRO.

I cóż? nie zabity?

MATKA.

Ona zabiła... mój syn starszy stchórzył...
Ja sama nie wiém, co było. — Beatryx...

(BEATRYX *wchodzi i rzuca sztylet*).

BEATRYX.

Jestem spokojną. —

MATKA.

Ja chciałam już krzyczeć,
Syn mój upuścił sztylet na podłogę...
Wtém ona przyszła z lampą i sztyletem
Skończyła...

(*wchodzi* TOMASO, *prowadząc* AZA).

TOMASO.

Weźcie to dziecko czerwone,
Pod łóżkiem je znalazłem. Chodźmy, Pietro,

Wyniesiem trupa — idźcie spać, kobiéty!
Spać!.. spać!..

MATKA.

Beatryx, weź dziecko na ręce,
A wy wynieście trupa na ulicę,
Potém zacznijcie lament — i śród płaczu
Mieszajcie imię Orsinich — z przekleństwem.
Rzućcie krew jego na Orsinich głowy!
Tak się ukryje cała rzecz. My chodźmy
I na ulicę wybieżmy w koszuli,
Jakby zerwane z łoża przerażeniem.

SCENA VIII.

(Plac przed pałacem Cencich).

WIEDŹMY.

I.

Radość! radość! radość! radość!
Kręgiem, jak przed burzą śmiecie!
Czy widziałeś węży bladość,
Sztylet w pacierzowym grzbiecie?
Ha! ha! ha! ohydna noc!

II.

Cóż teraz robić będziemy?

III.

Z człeka trup — a z trupa kloc!
Przeleciałyśmy gmach niemy
Szach — szach — skrzydłami szach — szach!
Piękność kobiéca to szych —
Jéj trzeba kochanka...

II.

A mnich?

I.

Czwarta, czwarta, bije czwarta!
Zlatujmy w dół! zlatujemy w dół! —
Pokażmy ją oczom bękarta —
Zakocha się, będzie truł. —
Czy nie warta?... czy nie warta?
Kss — kss — kss — kss! urodzi czarta,
Będzie ślub uciętych głów. —

III.

Cicho mów — cicho mów!
Słyszysz idzie człowiek nasz,
Cyt — cyt — cyt — cyt — pokażmy twarz

SCENA IX.

(*Nadchodzą* GIANI *i* CESARIO *zamaskowani*).

GIANI.

Jaka noc parna, pozrzucajmy maski.
Cesario patrzaj — tam, przy obelisku —
Czy widzisz? jakieś trzy straszydła czarne,
Z bladymi stoją pochodniami.

CESARIO.

Chodźmy!

GIANI.

Stój! w ich brzydkości jest jakaś wstydliwość.
Widzisz, jak się w cień usuwają? — za mną!
Muszę przemówić do nich. — Moje matki,
Co wy robicie na odludnym placu
We trzy, ze światłem w rękach? Czy wy macie
Jakie poselstwo od mocniejszéj władzy,
Które musicie spełnić uzbrojone
W narzędzia strachu? Czy wasze zjawienie
Ma z moim przyszłym losem jaką styczność?
Czy mi się tylko nasuwacie, jako
Widma potrzebne malarzowi, aby
Ubrał je w kolor i ludziom zdziwionym
Pokazał rzeczy śnione?... Mówcie do mnie!...

WIEDŹMA I.

Patrz!

II.

Patrz!

III.

Patrz! (*pokazują mu ściętą głowę Beatryczy*).

GIANI.

Co widzę! czyż wy z pod waszych fartuchów
Wydobyłyście tę rzecz straszną? — Patrzaj
Cesario — głowa cudownéj piękności,
Lecz bez podstawy wisi na warkoczach,

Które do sinych rąk tych kobiet lipną;
Dreszcz mię przechodzi — patrzaj, jak ta głowa
Miłosne oczy we mnie utopiła,
Aż tu do serca... Słabo mi, Cesario —
Omdlałość-że to mnie pozbawia wzroku?
Czyli te widma ciemność między siebie
Na niewyraźne kształty rozebrała?
(Wiedźmy nikną).

CESARIO.

Zniknienie tych mar dziwne! Ty powiadasz,
Że coś trzymały w ręku?

GIANI.

O Cesario!
Ty nie widziałeś téj głowy?

CESARIO.

Nie, zgoła!

GIANI.

To rzecz nadludzka. — O! piękna piekielnie
Była ta głowa! A co jest dziwniejsza,
Że tak piekielna rzecz, jak przezroczysta
Anielskiém światłem urna, miała dla mnie,
Uśmiech i litość! O! nic nie mów do mnie,
Aż to, czego jest pamięć moja pełna,
Przeleję w płótno i od znikomego
Gaśnienia myśli obronię...

CESARIO.

Dziwaku!

GIANI.

Bądź zdrów, Cesario — idę żyć w pustyni. *(wychodzi).*

CESARIO.

O dziwna głowa! pełna przywidzenia!...
Wychodzą jacyś ludzie, jak złodzieje...
Coś niosą — skryjmy się za obeliskiem.

SCENA X.

(Wchodzą TOMASO *i* PIETRO *niosąc ciało ojca Cenci).*

PIETRO.

Połóżmy trupa tu na środku placu.

TOMASO.

Czy nikt nie widzi?

PIETRO.

Nie ma żywéj duszy.

TOMASO.

Ja się oddalę, a ty zacznij wołać.
Wtenczas nadejdę — Matka zbudzi sługi,
Przylecą wszyscy na plac z pochodniami.
(odchodzi).

PIETRO.

O! gwałtu! ludzie! gwałtu! gwałtu! ogień!
Pali się! gwałtu!

OBYWATEL Z OKNA.

Co to za krzyk?

PIETRO.

Gwałtu!

II Z OKNA.

Co to za wrzaski?

PIETRO.

Trup leży na placu!
(wbiega Tomaso).

TOMASO.

Co to za krzyki? kogo tu zabito?

PIETRO.

Latarni — światła — ratunku — lekarzy!
(wchodzą ludzie z latarniami).

TOMASO.

O! to mój ojciec! mój ojciec — mój ojciec!
Ratunku! w bramę stukajcie do Cencich —
To Cenci leży skrwawiony — mój ojciec!
Stukajcie w bramę do Cencich — ratunku!
Obudźcie moję matkę — o morderstwo!

SCENA XI.

(Wbiega MATKA CENCI, *potém* BEATRYX *i ludzie z pochodniami).*

MATKA.

Słyszę głos mego syna i lamenty,
Ze snu się zrywam...

JEDEN Z MIESZCZAN.

Zabitego żona!
O nie puszczajcie kobiét!

MATKA.

Ach okropność!
Mój mąż zabity — na bruku — o Boże!
Szukajcie zbójcy! — O! tysiąc dukatów,
Kto sprawcę zbrodni wykryje — słyszycie!
O! noc okropna, boleść niespodziana —
O! córko — biédne my, osiérocone —
Kto tu jest tylko, niechaj będzie świadkiem
Tego zabójstwa! niech zabójcę ściga!

TOMASO.

Matko, Orsinich to być musi sprawa!

MATKA.

Orsinich mówisz? O! tak! Jeszcze wczora
Kardynałowi mój mąż odpowiedział
Kwaśnymi słowy... O! biédny człowieku,
Za słowa tobie odpłacił sztyletem!
Widzicie wszyscy, jaki czyn haniebny —
Widzicie wszyscy, jak ohydna zbrodnia!

OBYWATEL.

Biédna kobieta, zachrypła od płaczu!

MATKA.

Córko, strętwiałaś! biédna córko moja!

OBYWATEL.

My wam do domu zaniesiemy trupa.
Płacz na ulicach — to śmiechy puszczyka...

MATKA.

O! pozwólcie mi rzucić się na ciało!

TOMASO.

Matko, do komnat idź — wyniosę gwałtem...

OBYWATEL.

Biédna rodzina! zanieśmy im trupa,
Resztę téj nocy niech przelamentują.

(wnoszą trupa do domu Cencich).

SCENA XII.

CESARIO (*wychodzi z po za obelisku*).

CESARIO.

To dziwna scena — i lament wysoki!
Co się to znaczy, nie wiém i nie zgadnę —
A raczéj myśli czém inném zajęte
Nie chcą wysilić się w poszukiwania
Bezowocowe. Jedna mnie tu tylko
Twarz zadziwiła... ta córka w bieliźnie,
Albowiem matka ją nazwała córką.
Nieporuszona stała i ku ziemi
Trzymając oczy i pochodnię — jakby
Posąg przeszłości, na którego twarzy
To, co obecne, nie zostawia śladu,
Ani się może odbić. — Pośród zgrai
Lamentującéj — ona jedna cicha
I z surowymi na ustach uśmiechy
Stała — myślałby kto, że sprawiedliwość
Ważąca trupią krew na swojéj szali...
Ta twarz zostanie mi wiecznie w pamięci!
Resztę wyświécą jutro ludzkie gwary.

AKT DRUGI.

SCENA I.

(*Pracownia malarza* GIANI).

GIANI i CESARIO.

CESARIO.

Gdybyś był został dłużéj na tym placu,
Widziałbyś wszystko.

GIANI.

To dziwnie, Cesario.
Czy ci się furye trzy nie śniły w nocy?

CESARIO.

Nie —

GIANI.

Ja nie spałem, ale patrz, na płótnie
Wymalowałem twarz, którą mi w rękach
Te straszne mary pokazały... patrzaj — —

CESARIO.

Jezus Marya!

GIANI.

Anielskie oblicze!
Lecz to jest tylko sen — filtrum szatańskie
Na obłąkanie moich zmysłów — prawda?
Na ziemi taka piękność nie istnieje.

CESARIO.

Więc to jest głowa mar — czy jesteś pewny?

GIANI.

Jam jéj nie stworzył — wierz mi, jam ją widział.

CESARIO.

I chcesz ją żywą zobaczyć?

GIANI.

Cesario!...

CESARIO.

Nie drżyj tak! Powiédz, chcesz ją widzieć żywą?

GIANI.

Cesario!

CESARIO.

Chodź, chodź! Lecz ubiór Orsinich
Zakryj dominem czarném — i mnie pożycz
Nieznaczonego żadną cyfrą płaszcza.

GIANI.

Lecz to nie może być!

CESARIO.

Chodź — a zobaczysz.
(wychodzą).

SCENA II.

(Plac przed kościołem).

TRZY WIEDŹMY.

I.

Śmierć nie cuchnie od nas w dzień —
Co masz zamiast nogi?

II.

Pień!

A ty — a ty?

III.

Kocie trzewy,
Koło kości wiszą jak cholewy.
Daj grosz, panie! daj grosz — daj grosz —

I.

Przyniosłam kosz
Woskowych świec —
Zakrystyan fryc
Trupa gromnicami piecze,
W gromnicach sadło człowiecze
Cuchnie, cuchnie, cuchnie, jak dżuma.

II.

Czy zaczęła się nad trupem suma?

I.

Już dzwon bije — już dzwon bije —
Już na krzesłach kawki siedzą
I kłaniają się, kłaniają — łzy cedzą,
I kłaniają się — i gną szyję,
Godzinę mają szkaradną;
Szyje bolą — głowy spadną —
Cyt — cyt — don don — dzwon uderza.

III.

Szach! — skrzydłami nietoperza
Na cmentarz! już biją dzwony
Po ojcobójcy grosz złocony,
Co się na mogiłach zetrze...
Szach! — na cmentarz — już wicher i parne powietrze.
(znikają).

SCENA III.

(*Wchodzą* GIANI i CESARIO).

GIANI.

Widziałeś tu ohydne żebraczki w spróchniałych
Szatach? one mi nocne furye odnowiły
W zatartéj już pamięci —

CESARIO.

Stańmy tu na boku. —
Widzisz przygotowane krzesła dla rodziny,

Gdzie zasiędzie pokorne oddawać ukłony
Przyjaciołom zmarłego, idącym za trumną.

GIANI.

O! smutny obowiązek i grzeczność trudząca!
Lecz cóż to ma za związek z tą cudowną twarzą,
Którą mi obiecałeś ukazać na oczy?

CESARIO.

Zaczekaj — lud się kupi — zakryj oczy płaszczem.
Wszyscy wiedzą, że jesteś Orsinich malarzem —
Odkrycie tu być może fatalne — stój cicho...

SCENA IV.

(Wchodzą MATKA, BEATRYX *i siadają na krzesłach; przy nich* TOMASO *z gronem przyjaciół; rozpoczyna się pochód pogrzebny).*

GIANI.

Co widzę! — jest że to sen? — O! Cesario,
To ona...

CESARIO.

Płaszcza nie odkrywaj z ramion!

GIANI.

Puść mię! — Na Boga, oczy me znalazły
Cel zapatrzenia się na całą wieczność,
I już z uczuciem zaczęły rozmowę
O niezliczonych wdziękach téj dziewicy...
Odtąd — to będzie mojém zatrudnieniem.
Jak się nazywa? — o! nie mów nazwiska!
Już ją nazwałem sam takiém nazwiskiem,
Jakiego nie ma świat. — Ach! bowiem ona
Nie może tu być przez ludzi nazwana,
Tylko westchnieniem...

CESARIO.

Nie mieszaj się, Giani,
Z trumny orszakiem.

GIANI.

O patrz! pomyślałem —
I w myśli tylko stworzone pytanie
Posłałem do niéj oczyma i na to
Odpowiedziała mi schyleniem głowy,
Choć w inną stronę zapatrzona, jakby

Oczu ją moich głos doleciał i już
Zmusił miłośnie uléc. O! anielska...

CESARIO.

W pochodzie trupa jakieś zamieszanie —
O! nie wyrywaj się, Giani — szalony!

I. OBYWATEL.

Co to za zgiełki?.. A żona z krzesła spada!

II. OBYWATEL.

Krew się rzuciła z trupa.

I. OBYWATEL.

Cóż to znaczy?

II. OBYWATEL.

Zabójców w tłumie trup sam wyszukuje. —

CESARIO.

Giani! oddalmy się, tu niebezpiecznie.

GIANI.

Tu? — co ty mówisz!.. możeli być jakie
Niebezpieczeństwo przy niéj? — Patrzaj na nią —
Od niéj strach żaden nie trąca mi duszy
I nie zaraża. Patrzaj teraz na nią:
Spokojna — jako cyprys, nadto smutny,
Aby nim ruszył wiatr.. nieporuszona —
A te galonki, co się zowią łzami,
Ze srebra, lekko u szat zaczepione
Ledwo łyskają przy pochodni blasku.

CESARIO.

O Giani! Ty się odsłoniłeś cały —
Syn zabitego ma ciebie na oku...

(TOMASO *przystępuje do* GIANIEGO *i chwyta go*).

GIANI.

Puszczaj mnie!..

TOMASO.

Śmiałku, krew cię oskarżyła!
Patrzcie! to z domu Orsinich młodzieniec —
Na niego to krew wytrysnęła z trupa.

GIANI.

Czego ten człowiek blady chce odemnie?

TOMASO.

Zabiwszy, trupa przyszedłeś na pogrzeb|?
Przepowiedziałem, że się w tłumie kryje
Jakiś z Orsinich — szpieg, albo zabójca.

GIANI.

Nie jestem jednym ani drugim — a ty?

TOMASO..

Cóż to, człowieku? ja syn zabitego...

GIANI.

A więc do pochwy włóż twoje żelazo,
Bo ja nie będę nigdy twoim wrogiem!

CESARIO.

Oszalał! Giani, co słyszę? — oszalał!
Cenci, ja także jestem na usługi
Twojéj wściekłości — ja także z Orsinich.

TOMASO.

Oba mi za krew ojca zapłacicie...
(*bije się z* CESARIO — CESARIO *pada*).

CESARIO.

Giani! zabity jestem — o! zabity —
Pomścij się za mnie...
(*umiéra*).

GIANI.

O! drogi Cesario!..
Co ja zrobiłem?!... (*do* TOMASA) Broń się—ty mój krewny!

TOMASO.

Nie jestem z tobą wcale spokrewniony —

GIANI.

Krewnym nazwałem cię od krwi — broń serca!..
(*biją się* — *wpada* BEATRYX).

BEATRYX.

Stójcie!.. już dosyć krwi na mojéj duszy!

TOMASO.

Milcz ty szalona!..

BEATRYX.

Panie! ty nam przebacz
I zabierz z sobą ciało przyjaciela,
A prędzéj progi opuszczaj fatalne!

GIANI.

Te progi?

BEATRYX.

Odejdź!

GIANI.

Te progi?

BEATRYX.

Oddal się!

Trumnie téj strasznéj zastępujesz drogę —

GIANI.

Niech mię oddali trumna, ale nie ty...

BEATRYX.

Nie rozkazują trumny — lecz słuchają —

GIANI.

Lecz posłuszeństwo mnie położy w trumnę.

TOMASO.

Siostro, ja mu dam odpowiedź na szpadzie...

GIANI.

Śmierć moję zostaw siostrze...

BEATRYX.

O! bezwstydna!

W żałobie słucham, czego nawet w bieli
Nie winnam słuchać! Odejdź stąd, młodzieńcze!
Ten dom nieszczęściem przepełniony — odejdź.
Weź tę gałązkę smutnego cyprysu,
Abyś miał ubrać w co — ostygłe ciało
Twego martwego przyjaciela. Bądź zdrów! —
Tomaso, prowadź mię na czarne krzesło.

GIANI.

Jestem bez mowy, bez myśli, bez czucia.
Cesario! ty mi kupiłeś ten cyprys
I zapłaciłeś śmiercią — O nieszczęsny!..
Mieszczanie! trupa mi nieście do domu!

(wychodzi i pogrzeb mija; ciało CESARIA *wynoszą).*

SCENA V.

(Dom Cencich. PIETRO NEGRI).

PIETRO.

Łzy nastrajają serce do miłości.
Teraz czas! Wróci z pogrzebu płacząca —

Odejmę maskę i pokażę siebie
Takim, jak jestem. — Kiedy miasto całe
Przerażającym hukiem dzwonów wyje:
Użyję mocy podszeptów i miodu,
Nakłaniających rad do tajemniczych
Słodyczy. Jeśli się oprze — zabiję!
To jednak dziwna rzecz, jak się ta miłość
I ta nadzieja we mnie połączyła
Z wiedzą wewnętrzną méj własnéj brzydoty...
Dotychczas wiodłem życie pełne brudu,
Nędzy, pogardy, i niejednę ślinę
Miałem na twarzy; bękart —...., syn.....,
Wziąłem się kiedyś do pędzla i każda
Z wymalowanych przezemnie piękności
Z płótna mi jak psu urągała, krzycząc:
Masz mnie na płótnie cichą: żywa — plunę!...
Podarłem wszystkie te widma — i teraz
Próbuję ciepłych ciał — a w mych namowach
Jestem malarzem żądzy...

(*wchodzi* BEATRYX).

BEATRYX.

Cóż się dzieje
Z moją omdlałą matką?

PIETRO.

Ocucona.

BEATRYX.

Pójdę ją cieszyć...

PIETRO.

Widok twój, Signora,
Rozrzewni —

BEATRYX.

Powiédz: przestraszy —

PIETRO.

Signora,
Kogożby twoja postać przeraziła?
Lecz twoja matka jest w okropnym stanie!
Żółta jak drewno — wyjąca jak wicher —
Przeklina wszystko — gnie palcami srebra,
Rzuca z lekarstwem kryształy o ścianę —

Synka małego, gdy zawołał: mamo,
Za krtań chwyciła i zaczęła dusić
Krzycząc: przeklęty dzień twoich urodzin!...

BEATRYX.

Powiédz mi, Pietro Negri, czy tak ma być
Aż do skończenia świata w naszym domu?
Czy ciągle w sercach będą rosły bole?

PIETRO.

Jeżeli w serce nie zachwycisz ognia
Od jakiéj innéj żądzy, to sumienie
Krzewić się będzie wiecznie i gryść serce.

BEATRYX.

Jakąż ja żądzą mogę karmić duszę?

PIETRO.

Miłość!...

BEATRYX.

Któż mego serca się nie zlęknie?

PIETRO.

Każdy, kto ciebie, Signora, zna dobrze,
Kto umié w zbrodni nawet szukać cnoty.
Gdyby nie mój garb — o! gdyby natura
Dała mi ciało odpowiednie duszy —
Albowiem ja wiém, że zwyczajna miłość
Od zmysłów bierze piérwszy popęd, który
Znów przez uczucie traci swą cielesność
I w jedno zmysły i duszę jednoczy.
O! gdyby moje czoło pomarszczone
Było tak gładkie, jak czoło piérwszego
Głupca na świecie, który nigdy nie czuł
Żadnego ognia ani namiętności!
Gdybym był jeszcze niepewny, że każda
Niewiasta daje się złowić za skrzydła
Przez miłość własną — i wtenczas szczęśliwa,
Kiedy tę bańkę mydlaną obaczy
Swatem pomiędzy nią a jéj kochankiem —
Gdybym nie wiedział, że wszystkie kobiéty
Na ubiór patrzą, pióra i trzewiki...
Ja, który chodzę ubogo i boso —
Wierzaj mi — śmiéj się z tego, co wyrzeknę —

Sądziłbym wtenczas, że cię tylko moja
Miłość zrozumieć może — i ocalić...
Śmiéj się! patrz, jestem garbaty — co mówię,
Nie może żadnéj mieć wagi zamiaru.

BEATRYX.

O mów! bo moja myśl te słowa chwyta.

PIETRO.

Miłość dziwaczną jest i fantastyczną.
Łączy pomiędzy sobą ludzi w pary —
Nie żąda nawet podobieństwa — owszem
Z przeciwieństw często jedność dziwną tworzy,
Jak owę dziwną platońską istotę
Androginesem nazwaną —

BEATRYX.

O! miłość!

PIETRO.

Vzdychasz!... I twoje łzy, jak niespokojne
Rosy perełki na trzęsionym kwiecie,
yskają w oczach. W ziemię utopiłaś
)czy rozwarte, błyszczące i chciwe.
)! takie oczy nie widzą, lecz tworzą
ame obrazy — i na utworzone
'atrzą z litością lub zamiłowaniem...

(na stronie)

'otąd ją ojciec trzymał uwięzioną,
ikogo nie zna...

BEATRYX.

Czy ty mnie nie zdradzisz?

PIETRO.

rzysięgą tobie dodam zaufania.

BEATRYX.

całuj ten krzyż — tu, gdzie plama — tutaj!
n krzyż na piersiach miałam dziś — przysięgnij!

PIETRO.

a ten krzyż i na piekło...

BEATRYX.

Przysiąż na mnie,
ja straszniejsza, niż piekło —

PIETRO.

Przysięgam
Na wdzięki twoje i na oczy twoje!

BEATRYX.

Ja kocham...

PIETRO.

Nie kończ!..

BEATRYX.

Już wiész? — Ty widziałeś,
Jak stałam przed nim — byłeś na pogrzebie.
On się zapatrzył we mnie i upuścił
Krwawe żelazo. Idź, szukaj go, Pietro,
Powiédz mu wszystko, tak jakbym ja sama,
Gdyby mię nazwał czystą i niewinną,
Wszystkobym usty drżącymi wyrzekła.
Idź — znajdź go — powiédz, żem ojca zabiła,
I patrz mu w oczy — i zapisz to w sercu,
Co jego oczy czarne odpowiedzą,
Bo to mi będzie sądem, karą, śmiercią!...
Lecz kiedy wierzyć nie zechce: wróć do mnie,
Bo to jest człowiek czysty — i po drodze
Kup mi trucizny. Lecz jeśli zapyta,
Dla czego ojca zabiłam — to powiédz,
Że przeczuciami dawno rozkochana
W nim jednym, jemu broniłam wierności
I ciała mego okupiłam czystość
Straszną ofiarą. — Idź — wszystko to powiédz;
Bo chociaż żadnéj nie karmię nadziei
Zgubiona, krwawa i przerażająca,
Choć bez nadziei: — nie jestem gotowa
Umrzeć, nim on mię potępi... bez serca.

PIETRO.

Któż jest ten człowiek?

BEATRYX.

Raz go zobaczyłam,
Nie wiém nazwiska...

PIETRO.

Jak go poznać, po czém?

BEATRYX.

Pytaj się o dwóch, co dziś na pogrzebie
Mojego ojca szpad dobyli razem.
Jeden z nich martwy — drugiego ja kocham!
Pietro! jeżeli tobie nie uwierzy,
Że jestem krwawą i winną: przyprowadź
Pod moje okno; a ja go przekonam,
Że mnie nie można kochać. *(odchodzi).*

PIETRO.

O! fatalność!
Miłość straszliwym płomieniem wybucha
Z téj okropnicy... Co robić? — co robić?...
Téj ciało dla mnie, a jéj dusza piekłu!

SCENA VI.

TOMASO — PIETRO NEGRI.

TOMASO.

Gdzie są niewiasty?

PIETRO.

W komnatach.

TOMASO.

O Pietro!
estże to straszny sen ta noc okropna?
aki dom teraz pusty!...

PIETRO.

Tak zwyczajnie.
rzed dziećmi muszą umiérać rodzice.

TOMASO.

tojąc nad grobem, gdy spuszczano trumnę,
Musiałem rzucić garść gliny do grobu.
cisnąłem ziemię w ręku, i krew czarna
Wyciekła z garści — jako praczce, kiedy
zerwone chusty pierze... ha!

PIETRO.

Przesądy!

TOMASO.

óż mówisz o tych trzech jędzach?

PIETRO.

Widzenie!

TOMASO.

Przynajmniéj siostra spokojna i matka?

PIETRO.

Byle milczały...

TOMASO.

Czy się lękasz o nie?

PIETRO.

Uważaj dobrze, a w siostrze spostrzeżesz
Dziwny fenomen. Ta zbrodnia jéj cięży
I chce ją zrzucić z siebie — niespokojna;
A to uczyni, skoro się narai
Pora — i jaki powiernik. Uważaj,
Ona się brzydzi nie krwią — lecz przymusem
I fałszywością. W pierwszéj to rozmowie
Spostrzeżesz.

TOMASO.

Co ty mówisz? —

PIETRO.

Słuchaj!
To jest rzecz ważna. — Ona dziś widziała
Człowieka, który nas zgubi. Uważaj,
Ona ci powié bezwstydnie, że kocha
Tego człowieka; — nazwij to szczérością,
Ale ta szczérość w młodéj i niewinnéj
Jest nadzwyczajną — i źle bardzo wróży...
Jest to jakoby duma grzechu. Rozważ,
Przez zapłonienie miłość się objawia
W zwyczajnych sercach; lecz u niéj — przeciwnie
Przez bladą hardość...

TOMASO.

Precz z nią! do klasztoru!

PIETRO.

Dobra myśl! klasztor... klasztor... w saméj rzeczy,
Nie widzę innéj rady. — Na Montorio
Jest jeden klasztor pod moim dozorem.
Tam ją osadzić, a choćby przymusem!...

TOMASO.

Chodź, pogadamy o tém z naszą matką.

(wychodzą).

SCENA VII.

(Dziedziniec w domu Cencich).

TRZY WIEDŹMY.

I.

Skwarno! skwarno! ciemno! skwarno!
Słońce piecze — w bramie czarno.
Tu krew każdy dyabeł zwącha...
Pod fontaną tętni koncha
Din, din, słyszycie? din don —
To jest płacz za ojca zgon,
To płacz za piekielne dusze...
Co robisz?

II.

Gołębia duszę,
Licom cery dobréj doda...

I.

Rubinowych nóżek szkoda!
Biały jak śniég — biały jak śniég,
Z ptaszęcia krew — rumieniec strég —
Na kogo tu czekasz, ty maro?

III.

Przyjdzie tutaj w porę szarą
Bieliznę prać...

II.

Bieliznę prać?
Powiédz, kto? czy córka, czy mać?

I.

Sza! sza! obie... sza! dom pusty,
Przyjdą prać czerwone chusty...
W czarnéj bramie — sza! do kąta!
Niech się gospodyni krząta!
Ohydna!... ohydna!... ohydna!
Patrzcie, w korytarzu widna,
Gdzie tu, chusty rozwinąć
Jęknąć i wrzeszczeć i truchleć i zginąć.

(Giną z jękiem).

SCENA VIII.

(*Wchodzą* MATKA CENCI i BEATRYX).

MATKA.

Słyszałaś ten jęk, córko?

BEATRYX.

To był plusk fontany.

MATKA.

Gołąb skrwawiony, patrzaj, w konsze pływa.

BEATRYX.

Idź, matko — umysł ty masz nastrojony
Do strasznych wrażeń...

MATKA.

Daj mi zawinięcie.
Trzeba te rzeczy wyprać — stań przy bramie!
Jeśli usłyszysz kogo, krzycz na Boga,
Żeby nas nie zszedł kto...

BEATRYX.

Bojaźń ohydna!...

MATKA.

Czy rusztowania chcesz? Daj mi bieliznę —
A gdzie koszulka dziecka? — — ha!...

BEATRYX.

Brr... zgroza!...

MATKA.

Patrz, ile tu krwi! na rany Chrystusa,
Ten się człek krwawił strasznie... Czy kto idzie?

BEATRYX.

Ulica pusta w upał południowy.

MATKA.

Ja słyszę jakieś... cyt... cyt!... Ktoś tak syka,
Jakby nakazać chciał święte milczenie...

BEATRYX.

To świerszcze...

MATKA.

Świerszcze?...

BEATRYX.

Cóż! dajesz mi chusty?
Ja się nie dotknę tych chust — wolę umrzeć!...

MATKA.

Umrzesz, nieszczęsna, umrzesz ty okropnie,
Dumna dziewczyno!

BEATRYX.

I dobrze...

MATKA.

O! dobrze!
Smierć jest przepaścią czerwoną — ha!

BEATRYX.

Ciemną!

MATKA.

Mocno wlepiwszy oczy w samo łono
Rzeczy pośmiertnych, można widzieć więcéj,
Niż ci się zdaje .. Rozwieś tę bieliznę,
Niech wyschnie — powieś koszulkę dziecinną
Tam — ot na krzyżu!

BEATRYX.

Zgroza! dom szalonych!...
Matko! nie szukaj córki...

(otwiéra bramę i ucieka na ulicę).

MATKA.

Gwałtu — gwałtu!
Tomaso! Pietro! Moja córka! gwałtu!

SCENA IX.

(Wpadają TOMASO i PIETRO).

TOMASO.

I cóż się stało?

MATKA.

Przeklęta! biegajcie!
Brama otwarta — za nią! o przeklęta!...
Tu przyprowadźcie żywą lub umarłą!
Uciekła z domu — krew wyniosła z sobą —

TOMASO.

Już jéj nie widać, matko, na ulicy!
Gdzież biéc?...

MATKA.

Ach! sen mój wyniosła i ciszę!...
Bieżcie na wszystkie strony i pytajcie,
Czy kto nie widział, gdzie poszła —

TOMASO.

Cóż, Negri?

PIETRO.

Idź! szukaj siostry! Rozsądną ci dałem
Radę, gdym radził zamknąć do klasztoru.
Biegnij i szukaj jéj po całym Rzymie,
A ty, Signora... idź i módl się...

(wychodzą TOMASO i MATKA CENCI*).*

Piekło!
Co mam tu ginąć z tą czarną rodziną?...
Wolę ocalić się jako delator. *(wychodzi).*

SCENA X.

(Ogród klasztorny — OJCIEC ANSELMO *kopie* — GIANO GIANI*).*

GIANI.

Ojcze, te furye trzy w rękach skościałych
Trzymały głowę uciętą — a moje
Oczy w téj głowy oczach utonęły
Jako w głębokiém morzu zachwycenia.

ANSELMO.

Słucham, mów daléj. — Chociaż teraz myślę
O tych cebulkach w ziemi pogrzebanych,
W których są dziwne anioły kolorów,
Zmartwychwstające pod promieniem słońca:
Nie jestem wszakże bez ucha dla ciebie,
Młodziku żywy, z ognia — mów więc! Głowa
Była tak piękną, żeś ją zapamiętał
I z mózgu swego przeniosłeś na płótno,
A potém obraz swój postrzegłeś żywy?
Rzecz to jest dziwna, lecz prawdopodobna.
Przynieś mi obraz, przynieś — niech zobaczę.
Bowiem natury każda tajemnica,

Zwłaszcza natura przeczuć, była zawsze
Celem rozwagi mojéj — przynieś obraz!

(wychodzi GIANI).

Nie trzeba sprzeczać się z młodością, ale
Potakiwaniem skłaniać do ufności,
A tym sposobem uzyskawszy władzę
Nad tą ognistą, stopniami ochładzać. —
Starości siła leży w odwlekaniu
Nauk, aż pora sposobna się zdarzy.
Inaczéj czyniąc, stary się rozbraja...
Któżto z ulicy stuka do klasztoru?
Co widzę? jakaś Signora.. w żałobie!...

(wchodzi BEATRYX *zakryta).*

BEATRYX.

Ścigana jestem — dzięki, żeś otworzył!
Chwilę mi tylko pozwól, dobry Ojcze,
W twoim ogrodzie skryć się, tylko chwilę!

ANSELMO.

Signora —

BEATRYX.

Czy tu jesteś sam?

ANSELMO.

W tych murach
Ja tylko jeden, oraz pewien malarz,
Człowiek dyskretny — chociaż bardzo młody.

BEATRYX.

Możesz mię ukryć, Ojcze, do wieczora
I sam być tylko moim powiernikiem?

ANSELMO.

Signora, malarz ów za chwilę wróci.
Jeżeli nie chcesz, aby cię zobaczył,
W téj bukszpanowéj ukryj się alei.
Skoro wyprawię młodzieńca z ogrodu,
Dam ci schronienie; a co jeszcze lepsza,
Radę staruszka... bo jéj potrzebujesz,
Jak widzę, cała drżąca, niespokojna —
Już słyszę... idzie korytarzem — skryj się!

(BEATRYX *wchodzi do alei, która arkadą swoją otwarta jest dla sceny).*

Zwolna a zwolna wyprawmy malarza.

(kopie — GIANI *wchodzi z obrazem).*

GIANI.

Patrz na nią —

ANSELMO.

Boże, co widzę?

GIANI.

Czy znasz ją?...

Czego oglądasz się na wszystkie strony?
Czy teraz ci ją pokazały duchy?
Czy furye były tu?

ANSELMO.

Ciszéj, człowieku!

To jest podobny obraz —

GIANI

Dla niéj zginąć!...

ANSELMO.

Czyś tu na kogo dziś czekał, mój synu?
Zakryj ten obraz i odnieś do celi;
Sam nie uważaj, że słońce — idź, przejdź się!
Ty masz gorączkę... Odwiedź Orsiniego.
Od czasu lekce ważysz jego względy,
Jego paternum amorem... rozumiész?
Takie się rzeczy mówią po łacinie,
Język umarły jest czysty dla ucha...

GIANI.

Ty mię oddalasz?... Lecz miłośnik hardy,
Jeśli się waży raz zrobić wyznanie,
Jak bluszcz przyczepia się do powiernika
I ssie go listki wszystkimi. — Mój Ojcze,
Ja kocham! jam ją widział — kocham duszą —
Kocham z rozpaczą — kocham ją szalenie —
A jednak mądrze kocham! Bo z tysiąca
Ona najczystszą jest i najpiękniejszą!
Pomyślał o niéj Bóg, gdy tworzył słońce
I z myśli światła ją stworzył — a ona
Dała początek tęczom i kolorom,

Które ze słońca duszy mają duszę!...
Gdy myślę o niéj, braknie mi powietrza —.
Jestem jak człowiek, który we śnie lata
I czuje, że mu nie stanie błękitu
Albo odwagi —

ANSELMO.

Czy wié, że ją kochasz?

GIANI.

Jam ją raz tylko widział...

ANSELMO.

Kiedy?

GIANI.

Dzisiaj —

ANSELMO.

Gdzie?

GIANI.

Na pogrzebie jéj ojca —

ANSELMO.

Nazwisko?

GIANI.

Cenci —

(*wychodzi* BEATRYX).

BEATRYX.

Strasznego wywołałeś ducha!

ANSELMO.

Wyście tu starca podeszli oboje!
W ogrodzie schadzka miłosna!...

BEATRYX.

Milcz, księżę!...
Ja teraz jestem strasznie zatrudniona
Czytaniem duszy na téj bladéj twarzy.
Oddal się, księże — zostaw! My się znamy —
Ja jestem jego siostrą. (*do* GIANIEGO).
Każ mu odejść!

GIANI.

Ojcze! mój dobry! oddal się — na Boga!
Jestem w téj chwili niebezpieczny —

ANSELMO.

Przemoc?!

GIANI.

Idź do szatana, dziwny, głuchy starcze!
(wypycha go do klasztoru).

(GIANI *przez chwilę w milczeniu spogląda na* BEATRYCZĘ, *którą widzi w rozpaczy).*

GIANI.

Pani! dlaczego twoje ręce białe
Dręczą twe włosy... oczy zakrywają?
Czemu twe usta drżą? — Czemu się cofasz,
Jak do ucieczki nimfa obrócona,
I znów niepewnym stąpasz naprzód krokiem?...
O! powiédz...

BEATRYX.

Słuchaj! nie wiém, kto ty jesteś!
Ale przez twoje ręce pragnę skonać!
Ale przez twoje ręce — być zabitą,
A przez twe oczy, tak smutne — płakaną,
A przez twe serce czyste — przebaczoną....
Czy ty masz sztylet? — o daj! o daj!

GIANI.

Sztylet?
O! co ty mówisz? co mówisz? O! patrzaj,
Ja na kolanach proszę, abyś żyła;
Abyś mi dała życie z twojéj ręki;
Abyś mi dała oczu twoich niebo,
A jednėm słowem twojém — nieśmiertelność!...

BEATRYX.

O! śmierć ja daję, nie zaś nieśmiertelność!

GIANI.

Twoim kochankom?

BEATRYX.

Tak! moim kochankom...

GIANI.

Ja ciebie kocham — chcę umrzeć!...

BEATRYX.

Zdaleka!
Zdaleka! Czy wiész? czy wiész, co się stało?
Cenci zabity.... ja....

GIANI.

Księże Anselmo!

BEATRYX.

Nie wołaj księdza!... ja zabiłam ojca —
Splamioną byłam — ha!!

GIANI.

Padre Anselmo!
(Wchodzi ANSELMO).
Weź tę umarłą! — Ja pójdę po trumny,
Po dwie — po jednę tylko... .lecz szeroką! [1])
(zasłona spada).

---

[1]) Pierwszy rzut zakończenia tego aktu był taki:

BEATRYX.

Powiédz, czy serce twoje tak głębokie,
Jako grobowiec? Chodź, powiém ci straszną
Historyą... słuchaj — jestem czysta cała;
Ale te ręce — patrz, te małe ręce,
O! to rąk białych dwoje... ha! te ręce...
Zbliż się, te ręce były we krwi — — i cóż?

GIANI.

Gołębia?

BEATRYX.

We krwi człowieka!

GIANI.

Nieszczęsna!

BEATRYX.

I były we krwi ojca...

GIANI.

Święty Boże!

BEATRYX.

Lecz mię ten ojciec plamił...

GIANI.

I zabiłaś?!...
Księże! kobietę tę weź, wyspowiadaj!
Ja pójdę i dwie każę zrobić trumny.

AKT TRZECI.

SCENA I.

(*Ulica* — OBYWATELE)

I. OBYWATEL.

Mości Pamfilio, cóż nowego słychać?

PAMFILIO.

Ogromna zbrodnia! Cenci zabili ojca. Aresztowano téj nocy matkę i syna i dziecko małe — lecz córka uciekła.

II. OBYWATEL.

Rzecz niesłychana! Któż wydał?

PAMFILIO.

Abate jakiś, zwie się Pietro Negri.

I. OBYWATEL.

Kiedyż będą sądzić?

PAMFILIO.

Niewiadomo.

I. OBYWATEL.

Ja ci powiadam, że to Orsinich zawiść z Kolonnami, a nie żadna zbrodnia. To pretext. Cenci był prawą ręką dyabła Kolonny.

II. OBYWATEL.

Zbrodnia,! Panie Pamfilio, zbrodnia! Tryumf nad cnotą! Zbiry znaleźli łóżko krwawe i sztylet pod łóżkiem.

I. OBYWATEL.

Doprawdy?...

PAMFILIO.

I na ścianie z prawéj strony rękę krwawą — jak mi Bóg miły — z pięciu palcami na ścianie...

I. OBYWATEL.

Czy byc może?

PAMFILIO.

Któreś z zabójców musiało się zachwiać i oparło się o ścianę. Teraz lud się kupi i nawiedza dom, gdzie ta krwawa ręka jak nietoperz oczy przeraża.

II. OBYWATEL.

I lud nie roztargał zabójców?

PAMFILIO.

Aresztowano ich w nocy, dziś o ósméj godzinie. Nikt o tém nie wiedział, wszystko odbyło się spokojnie.

I. OBYWATEL.

Chodź Waćpan — opowiédz mojéj żonie wszystkie szczegóły. Proszę na wieczerzę i na butelkę Kianti. To rzecz ciekawa... Ojca zabili! .. Ja się tylko dziwię, że taka rzecz może przyjść ludziom do głowy...

SCENA II.

(*Cela klasztoru.* OJCIEC ANSELMO — BEATRYX).

ANSELMO.

Zmęczona jesteś — nie łam się daremnie
Z ociężałością zmysłów! Rzecz zwyczajna,
Że po ogromnéj gorączce — strętwienie.
Oto jest łoże, twarde — lecz spokojne;
Ja na niém miałem ciche sny i dobre.

BEATRYX.

Jak wróci, to mnie obudzisz...

ANSELMO.

Śpij cicho.
Zostawię lampę przy tobie — dobra noc!
(*wychodzi*).

BEATRYX.

Jestem jak kamień — O Jezu kochany,
Czuwaj nademną! Oczy mi się kleją,
Jakby na rzęsach krew gęstniała lipka. (*Usypia*).

(*Zjawia się cień* OJCA CENCI).

CIEŃ.

Piekło mi z ognia dało wyjść, i ciebie
Przerazić śpiącą. Wczora było ciemno —
Nie przypatrzyłaś się memu trupowi
I posiniałéj twarzy! Co? Czy dosyć?...
Muszę ci zimną ręką dotknąć piersi —
Muszę wzdrygniętą widzieć — i posłuszną...
Wstań, i odprowadź mię z lampą do trumny!
(BEATRYX *wstaje śpiąca i bierze lampę*).
Za mną — za mną — pod ziemię śpiąca za mną!
(*Wychodzi* — BEATRYX *za nim*).

SCENA III.

(Wchodzą OJCIEC ANSELMO i GIANI).

ANSELMO.

Synu mój, ona tu śpi. Chcesz ją zbawić?
Zbudź i wyprowadź przez drzwiczki ogrodu.
Zbiry chcą trupa rewidować ciało —
Muszę z latarnią prowadzić do lochów.

GIANI.

Ojcze! to łóżko próżne...

ANSELMO.

Być nie może!
Te drzwiczki na klucz zamknięte — klucz u mnie!

GIANI.

Ona stąd wyszła...

ANSELMO.

Zbiry już stukają,
Muszę otworzyć...

GIANI.

Chciałem się z nią otruć —
Ja jéj katowi nie dam! Księże! zdrajco!
Ty ją gdzieś ukrył...

GŁOSY Z ZEWNĄTRZ.

Otwórzcie! justycya!

GIANI.

Jeśli ją wydasz — patrzaj, śmierć! *(grozi sztyletem).*

GŁOS.

Otwórzcie!

ANSELMO.

Zgubisz mnie! — święta Inkwizycya czeka...

GIANI.

Na wszystkich dyabłów, księże! — pod sztyletem
Wyznaj, gdzie ona? — Wyznaj — bo na Boga
Sztylet uczujesz w sercu!...

ANSELMO.

Gwałtu! gwałtu!

GIANI.

Milcz! na Chrystusa mów! Nim drzwi wyłamią,
Będziesz jak kamień — — —

ANSELMO.

Cóż ja ci odpowiem?
Wyszła — uciekła — skoczyła do Tybru —

GIANI (*obalając go*).

Dyable!..

ANSELMO.

Zabójstwo!!

(*Wywalają drzwi. Wchodzi* INKWIZYTOR, PIETRO NEGRI, DON LUCENZIO *prawnik i* ZBIRY).

SCENA IV.

INKWIZYTOR.

W imię Zbawiciela!
Tu się gwałt dzieje! Podnieście go z ziemi! —
Dlaczego, księże, drzwi nie odemknąłeś — ?
Kto się sprzeciwiał prawu?

ANSELMO.

Moja starość,
Moja zgrzybiała starość, Monsignore.
W nogach rumatyzm siedzi — i musiałem
Wołać na pomoc Signora malarza,
Który tu w bliskiéj celi ma warsztaty.
Nim przybiegł, czekać musieliście trochę...

INKWIZYTOR.

Prowadź nas, księże, do kościelnych lochów,
Gdzie leży człowiek dzisiaj pochowany.
Obejrzeć przyszliśmy występku lice
I ślady wszystkie porównać z delacyą.

GIANI.

Któż delatorem jest?

INKWIZYTOR.

Pytanie śmiałe!
Oto jest — Pietro Negri...

GIANI.

Co ja widzę?
Mój brat — stracony mój brat — Gino — brat mój!

PIETRO.

Tak — uściskajmy się, Giani...

GIANI.

Nikczemny!

(plwa mu w oczy i wychodzi).

INKWIZYTOR.

Księże, weź klucze i prowadź do lochów.

(Wychodzą).

SCENA V.

(Lochy kościelne).

(Wchodzi CIEŃ CENCI, *za nim* BEATRYX *śpiąca).*

CIEŃ.

Pościel mi w trumnie, bo nie mogę zasnąć,
Lecz pierwéj ręce obetrzyj! — Tu trumna...

(BEATRYX *ściele trumnę).*

Dobranoc! przykryj mię wiekiem na wieki.
O! jak tu zimno — Córko, dobréj nocy!
Długiéj, ostatniéj, ciemnéj, wiecznéj, dobréj!

(Kładzie się do trumny. BEATRYX *go wiekiem przykrywa).*

BEATRYX *(budząc się).*

Gdzież jestem? byłże to sen? gdzie ja przyszła?
Ja tu nie sama szłam, lecz prowadzona
Przez jakieś widmo blade. — O! czym we śnie?
Czy mi się śniło, że mymi rękami
Słałam skrwawioną pościel trupa w trumnie?...
Jezus Maryja! — ha! — czy pochowana
W letargu — żywom się tu obudziła
I będę jadła z głodu moje ręce,
Skrwawione moje ręce?... Okropności!
Trumny, otwórzcie się jedna po drugiéj,
Bo nie wiém, która moja, pusta trumna,
Tylko przeczuciem jednę z was poznałam —
Tę, z któréj moje oczy... przez szczeliny
Krew wysysają. — O! to drzewo jęczy!..
Ha! kto mnie woła?.. ha!.. ratujcie ducha!..

(Wchodzą ANSELMO, INKWIZYTOR i ZBIRY).

INKWIZYTOR.

Z pochodnią, księże, z pochodnią przed nami!

BEATRYX.

Ojcze!..

ANSELMO.

Nieszczęsna, cicho! *(gasi pochodnię).*

INKWIZYTOR.

Co to znaczy?
Kto tu zagasił pochodnię?

ANSELMO.

Wiatr grobów
Buchnął z otwartych drzwi i zgasił światło...
(cicho do BEATRYCZY*)*
Signora, skryj się za trumny...

INKWIZYTOR.

Kto szepce?

ANSELMO.

To ja z przestrachu w grobach mówię pacierz —
(do BEATRYCZY*)*
Signora, skryj się! — już poszli po światło —
Matka i bracia twoi uwięzieni —
Z nami delator jest — jakiś Don Pietro...

INKWIZYTOR.

Z kim ty rozmawiasz w grobie?

ANSELMO.

Monsignore,
Jest to zwyczajem starości, chorobą,
Starzy do siebie mówią... *(do* BEATRYCZY*)* Nieszczęśliwa!
Biédny mój malarz umrze, jak się dowié...

BEATRYX.

Czy z wami przyszedł?

ANSELMO.

Nie —

BEATRYX.

Więc go pożegnaj!
Drżałam należąc do niego — lecz teraz
Jestem własnością ludu i aktorką.
On wydarł ze mnie więcéj, niż ogniste
Wydrą tortury, niż ta blada mara,
Która mnie tutaj prowadziła... Powiédz —
Lecz nie! — najlepiéj do serca kochanka
Mówi milczący grób. Ten mnie wyprosi

Od zapomnienia... Przyszli z pochodniami —
Prowadź mnie do nich i powiédz, kto jestem.

ANSELMO.

Tu, Monsignore, przez zrządzenie boskie
W grobie znalazła się Signora Cenci,
Która się sama dla uniewinnienia
W sprawiedliwości oto daje ręce...

INKWIZYTOR.

Gdzie jest delator? niech ją pozna!

PIETRO.

Boże!

BEATRYX.

Od wczoraj tyle rzeczy szlachetniejszych
Wygluzowało tę twarz z mego serca,
Żem go na wieki zapomniała. — Bądź zdrów!...
Widać, że garb twój był tylko tłomokiem,
W którym nosiłeś podłość. — Bądź szczęśliwy!
Więcéj nie powiém nawet na torturach —
Jesteś kamieniem dla mnie — żyj spokojny!

INKWIZYTOR.

Otwórzcie trumnę —

BEATRYX.

Ten trup przed minutą
Zasnął, a wy go znowu turbujecie.
We mnie jest także pierś z krwawymi usty,
Która wygada więcéj, niż ten człowiek,
Jeśli mię wasze tortury przymuszą...
(Trumnę otwiérają).

INKWIZYTOR.

Zapisać! piersi rozdarte sztyletem —
Sztylet do rany przypada. — Signora,
Teraz cię będę konsygnował ja sam
Barygielowi świętego Anioła.
(Wychodzą).

ANSELMO.

Bogdaj ją Anioł zbawił!.. biédna ona! —
Lecz cóż? — Skończona rzecz! nic nie pomogę.
Już zorza — pójdę sadzić moje kwiaty.
(Wychodzi).

SCENA VI.

(Pałac Orsinich).

ORSINI — *i komisarz sprawiedliwości* DON LUCENZIO.

ORSINI.

Ciemna zbrodnia — straszna zbrodnia! Papież przerażony, nakazał post. Don Lucenzio, czy zdjąłeś pierwszą interrogacyą?

DON LUCENZIO.

Oto jest, Monsignore —

ORSINI.

Zaparli się. Czy widzisz Acan w téj interrogacyi jaką sprzeczność, z któréjby można wyciągnąć dowód ad confusionem?..

DON LUCENZIO.

Żadnego, Monsignore.

ORSINI.

To znów Kolonna będzie szczekał po Rzymie, będzie obgadywał moję sprawiedliwość — sprawiedliwość, Don Lucenzio, która jest siostrą Ukrzyżowanego, a matką prawa.

(Wchodzi przełożony ZBIRÓW).

ZBIR.

Rzecz dziwna, prawdziwe boskie zrządzenie! W grobie Cencego znaleziono córkę Cencego. Podinkwizytor ją aresztował.

ORSINI.

Don Lucenzio, zdjąć z niéj interrogacyą, lecz łagodnie, bez przymusu — ale zręcznie! Okropna zbrodnia — ludzie zamieniają się w Etyopów. Przysłać mi tu Pietra Negri! Ja go sam wypytam, wyssę, wycisnę, wymyję go mydłem, pod którém puści, jeżeli źle farbowany —

(Wychodzą ZBIR *i* LUCENZIO).

Jakże to smutnie wykrywać z urzędu
Błędy ludzkości i szaleństwa krwawe!
Każdy dzień, w którym sądzę drugich ludzi,
Ciągnie bezsenną noc — a co jest gorsza,
Dukata ciągnie dla Eskulapiego,
Który mię potém z bezsenności leczy. —
Ta krwawa zbrodnia nie ujdzie bezkarnie...

(Wchodzi PIETRO NEGRI).

Ten mię garbaty człowiek we śnie ściga. —
Przystąp tu Acan — podnieś Acan oczy!

Muszę Wacpanu tu rzéc bez ogródek,
Że jego sprawa zły bierze kierunek,
A brak dowodów oczywisty... Primo:
Mieszczanie świadczą, że Wacpan najpiérwszy
Zbudziłeś miasto, wołając ratunku
Owéj to nocy, kiedy Cenci zginął.
Nie mogę tego Wacpanu zataić,
Że się zabójca odkrył sam, i równie
Jest uwięziony. Delacya Wacpana
Może mieć bardzo złe, bardzo złe skutki!..
Wreszcie zostaje jeszcze jakaś ciemność
Circa Wacpana samego. — Kto jesteś?
Nikt ciebie nie zna — nikt się nie przyznaje
Do znajomości z tobą, szary człeku!

PIETRO.

Jeżeli o to chodzi, Monsignore,
Znalazłem w Rzymie rodzonego brata;
Ten może o mnie poświadczyć.

ORSINI [1].

Ja w Rzymie
O żadnym drugim Negri nie słyszałem —

PIETRO.

(nieśmiało — ale z poufałością)

Okoliczności nieraz przymuszają
Zmienić nazwisko...

ORSINI.

Daléj! szczérze ze mną!

PIETRO.

Mój brat malarzem jest, i Monsignore
Znasz go zapewne... Jesteśmy obadwa
Dziećmi miłości i grzechu — bliźnięta...

ORSINI.

Czy imię Negri masz z matki?

---

[1] Wkładam tu ustęp ze sceny dłuższéj, którą autor w rękopiśmie przemazał. Zdawało mi się, że bez tego ustępu zbyt niejasną byłaby dla czytelnika cała tajemnica rodu i pokrewieństwa Negrego z osobami, których się to dotyczy. *(Przyp. Wyd.)*.

PIETRO.

Nie wcale!
Imię to wziąłem z malarstwa, od czerni...
Przedtém nosiłem imię nieco bielsze,
Które mój dotąd nosi brat...

ORSINI *(zagadując).*

To dobrze!
Wacpan się staraj o świadectwo, dobrze!
Ale to jeszcze nie koniec, mój Mości!
Ta zbrodnia, to jest ta delacya, pachnie
Sznurem dla niego samego! Minimum,
Że na torturze skończy się — jeżeli
Nie zdołasz prawnie dowieść zaskarżenia...

PIETRO.

Dowody jasne są —

ORSINI.

Niedostateczne!

PIETRO.

Tortury srogie są —

ORSINI.

Boleść się znosi.

PIETRO.

Sumienie gada —

ORSINI.

Nie przed ludźmi!

PIETRO.

Panie!..

ORSINI.

Cóż mówisz?..

PIETRO.

Dawniéj trudniłem się sztuką — —

ORSINI.

Jaką!

PIETRO.

Malarstwem.

ORSINI.

Szkoda, wielka szkoda,
Żeś nie mógł sobie wymalować ciała,
I dać na model Bogu, nim cię stworzył...

PIETRO.

Mogęż otwarcie mówić, Monsignore?

ORSINI.

Mów —

PIETRO.

Zbrodnia taka nawet i w sądzeniu
Wymaga pewnéj sztuki, a justycya
Stawszy się muzą, poddanką Eschyla,
Winna zdjąć z czoła chustę — a przywołać
Z gwiazdami inne siostry ku pomocy.
Jeżeli moja delacya upadnie
I swym upadkiem zgniecie delatora,
Co za zysk, co za chwała, Monsignore?
Jedni powiedzą: kalumniator periit,
A ten głos znajdzie echo wyszydzenia
W pałacu Dyabła Kolonny! Lecz drudzy
Przypiszą moję śmierć Temidzie ślepéj
Lub przerażonéj liczbą obwinionych...
Twe Jowiszowe brwi, o Monsignore,
Próżno mi grożą, siwe kładąc chmury
Na błyskawicach. Jestem w mojém prawie
I mogę mówić wszystko na obronę.
Więc, Monsignore, powtarzam, że Cenci
Winni są zbrodni, winni ojcobójstwa;
Że jeśli będzie wolno mnie samemu,
(A nie przez bojaźń to mówię, lecz w chęci
Odkrycia prawdy) jeśli będzie wolno
Podać sposoby, którymi być może
Zeznanie zbrodni ze zbrodniarzów miane:
Ja się podejmę! Choć wiém, że rzecz taka
Do trybunału należy, do sędziów.

ORSINI.

Miałżebyś jaki dowód pod kapturem?

PIETRO.

Nie, Monsignore! Lecz jestem artystą,
Malarzem jestem. Spróbuj, Monsignore,
Pytań, podstępów, głodu, kajdan, tortur;
A jeśli wszystko moc ludzi pokona:
Wystąpię z moją torturą — ostatnią,

Z torturą duszy, nie ciała... z torturą
Łagodną — ale okropną i pewną!..
Upraszam tylko, abyś Monsignore
Kazał mi warsztat postawić malarski
W miejscu dogodném — i czekał cierpliwie,
Aż tajemnica milczenia dojrzeje...

ORSINI.

Chodź — a w odległém pałacowém skrzydle
Każę urządzić wszystko, jako żądasz.

SCENA VII.

(*W klasztorze Ojca Anselma.* OJCIEC ANSELMO — GIANI).

GIANI.

Nie patrz tak na mnie, księże! Ja spokojny...
Weź rydel i kop tulipany —

ANSELMO.

Giani!
Wszystko najlepiéj Bóg wielki układa.
Gdyby się miłość ta zajęła w tobie
Karmiona dłuższą nieuwagą... — A tak
Dobrze, to będzie na przyszłość nauka —
Prędko zajęty ogień prędko gaśnie...

GIANI.

Piękny dziś ranek! słońce wybuchnęło
Gwałtownie po nad cyprysami Rzymu...

ANSELMO.

Spokojny ranek, lecz będzie gorąco,
Bo już bukszpany pachną mocno...

GIANI.

Ojcze,
Jak ty przepędzisz cały dzień?

ANSELMO.

Jak zawsze.

GIANI.

Nie czekaj na mnie z wieczerzą, mój Ojcze,
Bo noc przepędzę dzisiaj z przyjacioły —

ANSELMO.

Niech cię Bóg strzeże! — A ostrożnie, Giani,
Bo zabijają w nocy po ulicach...
Ostrożnie! Ale szukaj roztargnienia.
(wyprowadza go).

SCENA VIII.

(W więzieniu Śgo Anioła. BEATRYX — BARIGIEL).

BEATRYX.

Gdzie moja matka?

BARIGIEL.

Czekaj tu, Signora.
Matka i bracia teraz na torturach —

BEATRYX.

I dziecko?!

BARIGIEL.

Dziecko tylko patrzy.

BEATRYX.

Zgroza!!
Ohydny Rzymie — o! krwawa jaskinio! —
Wy nazywacie to zamkiem Anioła?!

BARIGIEL.

Anioł brązowy na tym zamku stoi —

BEATRYX.

O! niechaj boskie strącą go pioruny!
(Wnoszą omdlałą MATKĘ. *Wchodzą* TOMASO *i* AZO).

BEATRYX.

Omdlała?

TOMASO.

Widzisz —

BARIGIEL *(do straży).*

Precz stąd, zbiry — precz stąd!
(Wychodzi ze zbirami).

BEATRYX.

Czarna godzina — módlmy się!..

AZO.

Czy mama umarła?

BEATRYX.

Umrze, jeżeli będziesz płakał. Powiedziała co?

TOMASO.

Nic.

BEATRYX.

A ty?

TOMASO.

Usta moje słone — krwi pełne. Język pokąsałem z bolu, ale głowa moja do mnie należy. Skronie matce nacieraj, bo moje ręce jak rozpalone żelazo, gorące i suche. Ją posadzono na żeleznéem krześle — a jam wisiał na wyłamanéj ręce — w powietrzu. I targano mię, i kości moje krzyczały w ciele o pomoc; ale moja dusza zagłuszyła wołanie kości i wrzask podły cielesnych władz, zbuntowanych przeciwko językowi — łkającemu...

BEATRYX.

Cicho, matka się budzi...

MATKA.

Beatryx...

BEATRYX.

Matko...

MATKA.

Czy ja nic nie powiedziałam?..

BEATRYX.

Nic.

MATKA.

A wy?

TOMASO.

Nic.

MATKA.

Jeżeli nas Chrystus wyratuje, oddam mu część mego światła na ziemi; każę sobie wydrzeć oczy — przysięgam. A ciebie, córko, kto wydał w ręce katów?

BEATRYX.

Ojciec...

MATKA.

Ha!!

BEATRYX.

To był sen okropny!...

MATKA.

Każde z nas ma tu filar — i kamień. Jak tu straszno!... Terazby mogły wyjść te furye czerwone, gdy smutni siedzimy po kątach, i przepowiedzieć nam jutro...

TOMASO.

Te okropne?...

AZO.

Mamo, ja senny.

MATKA.

Tu, psiątko, przy nogach, na kamieniu...

TOMASO.

Głowa mi cieży, nie mogę się oprzeć snowi —

MATKA.

Ha!! kto tu gadal?

BEATRYX.

Poddaj się matko zmysłom, twoje myśli błądzą senne i ciężkie...

MATKA.

Jezu!

(Wszyscy zasypiają oprócz Beatryczy).

BEATRYX.

Śpią umęczeni, straszni i spokojni
W kątach — żałobne posągi nieszczęścia!..
A słońca smutny snop — jako czerwony
Piorun bez huku, ze sklepień upada
I trwa w powietrzu ciemném nieruchomy,
Krwawiąc ciemności środek... O! tu... tu... tu...
Jestże to morze ze krwi promienistéj,
W któréj się będę kąpała wzdrygnięta?
Czy z tego światła czerwonego wyjdą
Mary ohydne, co nieszczęścia szmerem
Dom napełniały przed czynem rąk naszych,
Zawsze przytomne, bliskie, niewidzialne...

TOMASO *(przez sen).*

Do mnie, Kolonna!

BEATRYX.

Mój brat przez sen gada.

TOMASO.

Mieczami kata!.. ho! tu, tu, tu lanca!...

BEATRYX.

Na swych rycerzy krzyczy — z rusztowania...
O! sen straszliwy i spełnienia bliski.

MATKA *(przez sen).*

Z Chrystusa płynie krew, a w piersiach słońce —
O! o! ratuj nas!

BEATRYX.

Sumienia bezsenne!..

AZO (*przez sen*).
O! mamo, główka moja...
BEATRYX.
I ten ptaszek?..
Władze dręczące, precz od śpiących ludzi!
Podłe szatany, precz od niebronionych! —
Ha! drzwi więzienia skrzypią. Kto to? cicho!
(*Wchodzi* DOLORIDA).
Piękne dziewczątko jakieś. Czegoś przyszła?
DOLORIDA.
Jestem, Signora, Barigiela córką.
BEATRYX.
Jak się nazywasz, miła?
DOLORIDA.
Dolorida.
BEATRYX.
O! dobre imię, stworzone dla świata!
Dlaczego patrzysz na mnie tak ciekawie?
DOLORIDA.
Signora...
BEATRYX.
Nie drżyj — nie mięszaj się, ładna.
Jestem łagodną i cichą — chodź bliżéj!
Jeżeli jakie wypełniasz poselstwo,
Mów, moje dziewczę...
DOLORIDA.
Mam listek od kogoś...
BEATRYX.
Daj! daj, daj, gdzie go ukryłaś?
DOLORIDA.
We włosach
BEATRYX.
Chodź tu pod słońce i klęknij — ja sama
Będę dziś twoją pokojówką...
(*wyjmuje strzałę srebrną z włosów Doloridy, rozpuszcza jéj warkocze i wyjmuje list*).
Czerwone słońce więzień, teraz nie zagaśnij,
Aż ten list we mnie zagasi nadzieje!
Dzieweczko! ten list — ten list pachnie sercem,
A jednak nie śmiem zajrzéć w jego serce.
Kto ci dał ten list?..

DOLORIDA.

Młody, piękny panicz.

BEATRYX.

Spokojny jaki człowiek?

DOLORIDA.

Hojny panicz,
Bo mi dał listek i ten sznur korali
I... pocałunek — ale taki zimny,
Że go nie można nazwać pocałunkiem.

BEATRYX.

Zimne są usta, gdy się pali serce.
Błogosławiona bądź, dzieweczko moja,
Bo w twoich kruczych przyniosłaś warkoczach
List od kochanka i śmierci narzędzie...
Jeśli zrani list — to strzała zabije.

DOLORIDA.

Pani, ty ojca mojego zabijesz!..

BEATRYX.

Twojego ojca? — ja?

DOLORIDA.

Tak, twoją śmiercią.

BEATRYX.

Więc weź odemnie to. O! do mnie, do mnie,
Myśli rozpierzchłe — do mnie, jak gołębie
W upał źródlanéj wody upragnione!
Tu jest fontana łez... tu w tym listeczku
Najada płaczu jęczy w upał słońca
I rozognione moje myśli wabi —
A jednak może tu jest śmierć w tym liście —
(czyta).
Patrz — pisze do mnie Giani, że mnie kocha...
Czy ty nie wierzysz? Patrz, pisze, że kocha!
Więc ja nie mogę wydrzéć mu osoby,
Którą on kocha — prawda? Ja nie swoja,
Ale kochanka jestem służebnicą. —
Gdyby cię kochał tak piękny kochanek,
Chciałażbyś umrzéć? powiédz, Dolorido! —
Czy taki dziki list nie uniewinnia,
A takie wielkie łzy nie myją duszy?

O Boże! Boże! — Chodź tu, Dolorido!
Daj mi tę srebrną strzałę bez bojaźni:
Ona mi będzie niczém — tylko piórem,
Które miłości bóg wyrwał ze skrzydeł
I dał mi w ręce drżące; a ta chustka,
Jeszcze wilgotna od łez, będzie kartą,
Na któréj miłość wypisze sztyletem
Całą historyą skruchy i żałości...
Ale czém pisać? — Czy w ciemne powietrze
Więzienia tego pióro me umoczę?
Czy w tę czerwoną promienistą jasność?
Czy w moje serce teraz rozjaśnione?...
O! gdybym mogła w serce... lecz nie, lecz nie!
Pocóż zabijać serce już nie moje?
Pocóż tę miłość pisać krwi rubinem?
Pocóż tę chustkę oczerniać słowami?..
Zanieś mu chustkę i powiédz, że na niéj
Są łzy, przysięgi, skargi, pożegnania...
Powiédz, że mnie tu widziałaś spokojną,
O nim myśląca i pełną radości...
Powiédz, że kocham go — jemu posłuszna;
Że czekam śmierci — ale z jego woli,
Z jego rozkazu, z jego osądzenia,
Z jego wyroku; i to mię uczyni
Dla katów rzeczą cudzą, nietykalną,
I nieśmiertelną, tak jak miłość moja...

DOLORIDA.
Będzież on płakał — biédny, biédny człowiek!

BEATRYX.
Gdzież ty go dzisiaj obaczysz, dziewczyno?

DOLORIDA.
Czekać mię będzie na małym cmentarzu,
Koło świętego Piotra —

BEATRYX.
Znam ten cmentarz.

DOLORIDA.
Bądź zdrowa — młoda, piękna moja pani!
(wychodzi).

BEATRYX.

Wejście téj czystéj sen przyniosło cichy
Tym ciemnym, śpiącym; a mnie — żądzę życia.

AKT CZWARTY.

SCENA I.

(na cmentarzu. GIANI *sam).*

GIANI.

Na tym cmentarzu leży Cesario mój drogi.
Oto jego mogiła — jeszcze biała... o! o!
Jak mi teraz potrzebny przyjaciel Cesario!
Czy ty mnie słyszysz? czy się litujesz nademną?..
Czuję, że teraz, mocno natężywszy pamięć,
Mógłbym cię wydrzéć z ziemi. Ale pamięć moja
Jest jak zbite zwierciadło... Egoizm, egoizm!
Dla siebie chciałbym z grobu obudzić człowieka
I uczynić go żywym. Okropna nieprzyjaźń! —
O! tę mi chustkę białą przysłała... Cesario,
Co ty o téj kobiéty łzach myślisz i sercu?
Cóż? — żadnéj odpowiedzi?... i tylko cyprysy,
Sługi grobów, ruszyły się czarne przy ścianach,
Jakby tu zejść się chciały, otoczyć mnie w koło,
I zacząć ze mną o méj miłości rozmowę...
Cóż? — nikogo w powietrzu cmentarzowém? ha! ha!
Świat się stał ciałem, z duchów wyludniał... A jednak
Czuję w powietrzu, że sam nie jestem, lecz blisko
Niewyjawione twarzą kupią się straszydła
I dotykając ręką zimną moich włosów,
Szczepią w nie jakieś straszne myśli, przerażenia...
Gotowy jestem — na co? sam nie wiém, a jednak
Czuję, że mam przed sobą coś niewyraźnego,
A to coś — będzie rzeczą spełnioną, nim słońce
Ten blady księżyc zetrze...

GŁOS WIEDŹMY.

Śpiesz się! śpiesz się! śpiesz się!

GIANI.

Na Boga! To wasz jęk, trzy piekielnice!
Do głosu tego braknie waszych twarzy...
Myślą dorobię wam, co braknie, mary,
Przygotowany jestem, widma — do mnie!

GŁOS.

Mamy nad tobą litość, mamy litość —

GIANI.

O! o! nieprawdaż, że ja nieszczęśliwy,
Że mi czas tu być pod tą cichą ziemią?
Wy same smętne, patrząc na mnie! i wasz
Głos stał się więcéj kobiécym, niewiasty...
Przez kogokolwiek przysłane jesteście,
Skoro moc macie nad mymi zmysłami:
Jestem gotowy prawie wam się cały
Oddać i waszym radom się powierzyć.
Byleście były ze mną aż do końca
I nie rzuciły z samym sobą, nim się
Ta rzecz rozwiąże...

GŁOSY.

Zbaw ją!
Zbaw ją!
Zbaw ją!

GIANI.

Czy mogę zbawić? Powiédzcie, czy mogę?
Wytężcie oczy skrawe w ciemną przyszłość
I tam zobaczcie, czy mi przeznaczono
Wybawicielem jéj być i obrońcą...
Błagam was, mówcie! mówcie! ja was błagam...

GŁOS.

Od brata twego ją broń, broń od brata!

GIANI.

Co słyszę? miałżeby ten wąż na plecach wzdęty
Do końca ścigać ją?...

GŁOS.

Twój brat ją kocha.

GIANI.

Jo? w jego myśli ta piękna już była
z szat rozebrana? On — ten człowiek sprosny!...

O mary, widzę, że mnie opuszczacie,
Uległe władzy silniejszéj zniknienia,
Niż moja władza zaklęć. — Jeszcze słowo!
Mój brat... co słyszę? cmentarzowe echo
Odpowiedziało: kat!... ha!... drżą mi nogi...
Tu straszne myśli są w powietrzu... brat mój...
Brat mój... okropny wiatr mnie stąd wypycha.
(wychodzi).

SCENA II.

(Pracownia malarska. PIETRO NEGRI — ORSINI).

ORSINI.

Opowiedziałem już Trybunałowi
Wacpana zamiar, i uznał go zmyślnym,
Zwłaszcza że sztuka malarska raz piérwszy
Użyta jako tortura w procesie,
Oprócz piękności duchowego celu
Osiągnie drugi cel — użyteczności.
Wacpana piérwszy charakter uzyskał
Niby pozłotę od pochwał i wagę...
Kończ obraz — jutro uczynimy próbę.
(wychodzi).

PIETRO.

A więc do pędzla! — kończmy dzieło piekła.
Ta lampa płonie blado — niespokojnie,
A obrzydliwy gość, nietoperz szary,
W powietrzu kreśli koła tajemnicze
I miga czarnym błyskiem. Cyt — ktoś idzie...
To z halabardą strażnik pałacowy
Po korytarzu przechadza się — Dobrze!
Jest bezpieczeństwo. Do pędzla, do pędzla!...
Nie mogę — jakaś nadzwyczajna trwoga
Mrozi mi w żyłach krew. — Ten obraz straszny,
Wystawiający człowieka zarznięcie,
Strasznym jest w nocy towarzyszem. Wszystkie
Osoby — oprócz trupa, poruszone
Lampy miganiem, żyją, drżą i szepcą

Straszne wyrazy. — Cyt!... co to?... stuknięcie...
Ktoś w korytarzu upadł... ha!... co widzę?

(Wchodzi GIANO GIANI).

Co widzę? brat mój — rozczochrany — blady!
Co ci jest? czego przychodzisz tak późno?
Kto cię tu puścił? jesteś cały we krwi...
Puszczaj — zawołam ludzi!

GIANI.

Stój, piekielny!

PIETRO.

Gwałtu, zabójstwo! *(lampa gaśnie).*

GIANI.

Trup jest w korytarzu,
Ale nie słyszy. Sza! jesteś zgubiony...
Mary, co robić? kto zagasił lampę?
Zieloność twojéj twarzy jest mi lampą,
Twarz obrzydliwa twoja jest mi słońcem — —

PIETRO.

O! bracie!...

GŁOS.

W serce!

GIANI.

Ha! jesteście ze mną?
Zdejmcie więc ze mnie braterstwo...

PIETRO.

O matko!

GIANI.

Matki na pomoc wołasz?... tyś ją zabił!...
Zbójco, na pomoc wołasz matki? ha! ha!
Czy wy słyszycie, furye? Ten morderca
Woła na pomoc tu — zamordowanych
I mnie tu robi sprawiedliwym...

PIETRO.

Puść mnie!...

GIANI.

Do piekła puszczę z rąk, morderco czarny!
Zmów pacierz!

PIETRO.

Pozwól, niechaj złożę ręce,
Niechaj krzyż wezmę...

GIANI.

Twój krzyż ostry, i rznie...
(Chwyta sztylet Negrego).
Tym samym krzyżem giń! giń! giń!

PIETRO.

O Boże!
Sztyletem Cencich zabijasz... ratunku!
Konam — ratunku!... Zimno mi... o! zimno —
W oczach mi stoi bratobójca... o! tu...
Za nim osoby straszne z pochodniami —
Piekło otwarte — o! pożar i węże —
Krew, krew na brata — ziębnę — jestem trupem...
(kona).

GIANI.

Ja nie wołałem was, lecz teraz czuję,
Że wy jesteście z piekła. O! jak prędko
Myśl zaszczepiona przez was krwią się stała,
Matki rozpaczy! O! wy jako matki
Targacie włosy z okropności, bledsze
Niż przed godziną... ha!...

I. WIEDŹMA.

Uciekaj z nożem!

GIANI.

Nie przerażajcie mnie, bo ja się gotów
Rzucić pomiędzy was z sztyletem — wściekły
Przeciwko waszéj naturze, i szukać
Śmierci pomiędzy wami, jak śród wichru
Piorunowego...

WIEDŹMY.

Zbliż się! zbliż się! zbliż się!

GIANI.

Gdzie drzwi?... To trupy są, z żywymi włosy,
Które podniosła im na czołach trwoga,
Jak garść płomieni... Gdzie drzwi? to są trupy!
Ja stąd nie mogę wyjść — przed moją ręką
Ucieka w ciemność mur...

WIEDŹMY.

Uciekaj z nożem!

GIANI.

Bladość mi własna świéci... tu... niech trupy
Gonią mię — ha! ha! — lampa w korytarzu...
(wychodzi).

WIEDŹMA I.

Widzisz! widzisz! widzisz — trup!
Krwawa szata — oczy w słup...
Złożyć jemu ręce w krzyż...

II.

Czemu ty blada?

III.

A ty czemu drżysz?

I.

Na jutrznię usłyszałem dzwon,
Zebrałyśmy zbrodni plon,
Reszta jest dziełem dla katów i wron,
Wężami sądową zamiotłyśmy kuryę,
Trzy głowy, trzech katów, trzy piekła, trzy furye.
(znikają).

SCENA III.

(Sala sądowa).

DON LUCENZIO — ODŹWIERNY.

DON LUCENZIO.

Która godzina?

ODŹWIERNY.

Piąta.

DON LUCENZIO.

Czy już biła?

ODŹWIERNY.

O! właśnie teraz bije na zégarze.

DON LUCENZIO.

Bogdajby prędzéj zeszli się sędziowie!
Ciekawy proces —

ODŹWIERNY.

Tak, ciekawy proces!
Żona dziś moja w nocy poroniła,
Słysząc od staréj wiedźmy rozczochranéj

Wszystkie szczegóły zbrodni, Don Lucenzio.
Ale ja sądzę, że nie z przerażenia,
Lecz z ciekawości zroniła mi żona.
Kobiéty — to gotowe zawsze zbyć się płodu
Przed karnawałem albo exekucyą.

DON LUCENZIO.

Tą razą, Mości Kustode, być może,
Że exekucyi nie będzie —

ODŹWIERNY.

Na Boga?!

(Wchodzi GIANI *i siada na ławie).*

DON LUCENZIO.

Cóż to za człowiek tam w kącie• usiada
Płaszczem okryty?

ODŹWIERNY.

Jakiś Avocato —

GIANI.

Jeszcze raz ujrzę ją — po raz ostatni...

(Wchodzi OJCIEC ANSELMO.

ANSELMO.

Tu pewnie znajdę mojego malarza —
W nocy nie wrócił...

DON LUCENZIO.

Dobry dzień, mój Ojcze!
Ha, ha?... ogródek opuściłeś cichy
I tu przywiodła ciekawość?

ANSELMO.

Mój Boże!
Jak to wy prędko potępiacie ludzi...
Ha! otóż widzę tam mojego ptaszka...
O! dzięki Bogu, Giani, że cię widzę,
Bom był o ciebie mocno niespokojny.

GIANI.

Ojcze! nie siadaj przy mnie...

ANSELMO.

Cóż takiego?
Ja zmordowany. Cóż? coś robił w nocy?
A raczéj spytam ciebie, co tu robisz?

Jestże to miejsce dla ciebie — szalony,
Słuchać o krwawych rzeczach, o zabójstwach,
O rusztowaniach? Giani! chodź do domu!

GIANI.

O starcze, będziesz ty mnie dręczył?

ANSELMO.

Synu!
To mi przynajmniéj przyrzecz, że w tym kącie
Będziesz spokojny i nieporuszony.

GIANI.

Będę spokojny —

ANSELMO.

Daj mi na to rękę!

GIANI.

Rękę?..

ANSELMO.

Jakiż ty jesteś dzisiaj trudny!
Widzę, że trzeba mi być twoim stróżem.

(Wchodzą sędziowie i siadają).

Pamiętaj, Giani, że sądu prezesem
Orsini, ojciec twój. Nie zrób mu wstydu!
Ty jeszcze może tę ohydną kochasz,
Nie sercem, ale głową?

GIANI.

Kocham głową...
Głowa ta, co ją kocha, ojcze, spadnie!

ANSELMO.

Co?

GIANI.

Spadnie mi na serce — jestem senny...
Pozwól mi nieco spocząć tu, przy ścianie.

ANSELMO.

Śpij, śpij... Nie wiedzieć, po co tu przyszedłem.

(Orsini dzwoni).

ORSINI.

Wprowadzić obwinionych! Nie puszczać tu więcéj ludu.
Niech halabardniki strzegą drzwi od pospólstwa.

ANSELMO.

Nie wiedzieć, po co tu przyszedłem. Święty Boże! Taka sama cisza będzie przed sądem ostatecznym... Jezu drogi!

(*Wchodzą obwinieni:* MATKA CENCI, TOMASO, AZO, BEATRYX).

ORSINI.

Jak się nazywasz?

MATKA.

Matka Cencich.

ORSINI.

A ty?

TOMASO.

Tomaso Cenci, kapitan w kompanii Kolonny.

ORSINI.

A ty?

AZO.

Azo Cenci.

ORSINI.

A ty obwiniona?

BEATRYX.

Beatryx. —

ORSINI.

Oskarżeni jesteście o zabójstwo ojca waszego.

MATKA.

Kto skarży?

ORSINI.

Pietro Negri.

MATKA.

Więc zawołajcie — niechaj powié w oczy,
Niechaj mi spojrzy w oczy i powtórzy!
Bo ja w téj chwili mam zabójcze oczy;
Bo jeśli kogo w życiu chciałam zabić,
A na czyn taki miałam dosyć mocy,
To teraz zabić go chcę w oczach waszych
Mymi oczyma... Gdzie jest ten ohydny?
Czy już go chęcią zabicia zabiłam?
A więc mnie sądźcie, bo chciałam go zabić...
Chęć moja była sztyletem, piorunem,
I wypełniła się, jak słowo boże.

ORSINI.

Żywy jest człowiek, o którym ty mówisz,
I wprowadzony będzie na czas —

MATKA.

Synu!
Powiédz tym sędziom, że są zabójcami...

TOMASO.

Orsini sądzi, to dosyć!.. Orsini...
Więc się nie dziwię, że chce sądzić na śmierć.
Przed trzema dniami koń mój kopytami
Druzgotał herby niedźwiedzie i kości;
Ręka paliła Orsyńczyków wieże,
Miecz rąbał bramy. Cóż? nie ma tu w sali
Jednego nawet z Kolonnów — choćby psa,
Coby wył, widząc mnie oskarżonego
Tak niegodziwie przez tego szatana?
Lecz i ten szatan nie pokazał twarzy
W całym procesie — tylko swoję duszę
Przelał w tortury, które nas dręczyły...
O! więc nie on mię skarży, lecz tortury...

MATKA.

Nie sprawiedliwość sądzi, lecz Orsini...

TOMASO.

Nie prawdę z nas chcą wycisnąć, lecz krew!...

MATKA.

Azo, o dziecko moje, rośnij ty na zemstę!
Ciebie przynajmniéj katy nie zabiją...
Pamiętaj o mnie, małe dziecko moje!
Niechaj przekleństwa moje rosną z toba
I rosną w tobie!... i rośnij na zemstę!

BEATRYX.

Orsini! Sądu i sprawiedliwości...

GIANI.

Mówi!...

ANSELMO.

Mój synu, nie wstawaj, zaklinam!
Widzisz — im teraz potrzebna przytomność,
A twarz znajoma, nagle ukazana,
Pomiesza myśli...

GIANI.

Boże, czuwaj nad nią!

ORSINI.

Akuzatora postawić im w oczy!

GIANI.

Anselmo, słabo mi...

ANSELMO.

Oprzyj się na mnie...
Co widzę? ręka twoja krwią zwalana?

GIANI.

Trup gotów powstać...

ANSELMO.

Jaki trup? na Boga!
O czém ty gadasz z twarzą tak okropną?

GIANI.

Anselmo!

ANSELMO.

Usiądź, uf! jak tu gorąco...

(wchodzi ZBIR*).*

ORSINI.

Gdzież Pietro Negri, oskarżyciel?

ZBIR.

Monsignore, Pietro Negri zabity —

ORSINI.

Co???

ZBIR.

Zamordowany.

ORSINI.

Przez kogo?

ZBIR.

Nie wiadomo. Strażnik, który stał na korytarzu, nie żyje. Negri leży we krwi na podłodze, a od trupa aż do drzwi znaleźliśmy ślad krwawy zabójcy i ten sztylet —

ORSINI.

Ten sztylet należał do procesu. Cenci, to wasz sztylet?

BEATRYX.

Mój! *(wyciąga rękę po niego).*

ORSINI.

Signora, nie dam ci do rąk żelaza. Życie twoje należy do sądu —

ANSELMO.

Sąd, przerażony wieścią o zabiciu delatora, waha się. To dobrze dla Cencich!

GIANI.

Dobrze?

ANSELMO.

Orsini wydaje cicho jakieś rozkazy —

MATKA.

Ha! gdzież delator wasz?... gdzie wasz delator?
Trupy z sądzących! — ha!

ORSINI.

Tryumfujecie!
Kolonna znalazł zabójcę — to dobrze!
W Kolonny fakcyi jest wielu zabójców —
Wielu zabójców, przyjaciół zabójców —

BEATRYX.

O Monsignore, ty nam nie urągaj!
A ty, o matko, oddaj się modlitwie,
Bo wola twoja straszną jest i rządzi
Mocą tajemnych władz...

MATKA.

Więc jestem silna!
O! jestem silna. I chcecież wy teraz,
To wam wywołam delatora z grobu
I tu postawię za twém, Monsignore,
Krzesłem... Ja śmierci téj się nie zapieram —
Jam go zabiła przez mury... przez ziemię!
Bo ja pod ziemią byłam uwięziona,
Ale przegryzłam się myślą przez ziemię
I w samo łotra serce ukąsiłam —
Czuję na zębach krew... Cóż, Monsignore?
Czy chcesz mię zamknąć pod ziemię — i zaśniesz?

TOMASO.

Czy zaśniesz, póki jest w Rzymie Kolonna?

ORSINI *(do sędziów).*

Cóż wy mówicie?

SĘDZIA.

Wielki brak dowodów...

GIANI.

Księżę, o! widzisz ją? uniewinniona!

ANSELMO.

Jezus Maryja! ręka twoja we krwi...
Krew masz na ręce suchą — kto cię ranił? —
Ty pokazałeś na nią palcem krwawym...

GIANI.

Ją uniewinnią...

ANSELMO.

Słuchaj — sędzia mówi.

GIANI.

Ojcze, niewinna! Powiédz, ojcze!

ANSELMO.

Nie krzycz!...

GIANI.

Jabym chciał w ustach jego być wyrazem,
Jednym wyrazem: niewinna!... Cóż to jest?
Wnoszą zakryty obraz. Księżę, co to?

ORSINI.

Winnych niech własne potępi sumienie.
Bracia, uważnie patrzcie na ich twarze,
Bo porównani będą z delatorem...

GIANI.

Nie widzę — co to jest?...

ORSINI.

Odkryć zasłonę!
Sumienia ludzi — gadajcie!

GIANI.

O! bladną!...

AZO.

Mamo! papa we krwi —

MATKA.

Ha!...

GIANI.

Jak się im twarze mienią!

MATKA.

Ha! to tak — to tak — o! krew — my zbrodniarze!
O Jezu! kto to wymalował? — Jezu!
Dzieci, nie patrzcie — Jezu! łóżko z trupem —
Strwożony mój syn, biały jak trup — patrzy

W ciemność, a córka moja. . ha! — czy już?
Czy już?... już... już? ha!!! czy już umarły?
Dajcie mi lampę... sza!... Tomaso stchórzył. .
Zobaczę z lampą trupa... jaki krwawy!...
Jaki okropny... o!!
(mdleje).

TOMASO.

Zabójstwo żyje!

AZO.

Mama umarła!...

BEATRYX.

Dosyć téj tortury!
Czy wy czekacie, aż z nas będą trupy
Pozabijane własnymi oczyma?...
Zasłońcie obraz ten rozdzierający!
Mnie samę zimny zlał pot i rozstroił
Tak, że nie słowa mam w ustach, lecz jęki...
Więc mnie potępcie — bo choć jestem biała,
To jestem jako najbielsza z gołębic,
Co się w kałuży krwawéj chciała kapać
I opryskała krwią całą rodzinę...
Oni niewinni! Ja jedna znalazłam
Sztyletem serce ojca. Oni wszyscy
Niewinni. Trup miał jedno tylko serce,
I jednę córkę, i jednę miał ranę...
To rzecz okropna — i straszne wyznanie!
Lecz gdybym miała zasłonę na twarzy
I mogła mówić z twarzą niewidzialną:
Opowiedziałabym straszną historyą,
Któraby wstrzęsła was, a mnie spłoniła...
Na miejscu, gdzie krew moję rozlejecie,
Postawcie ołtarz białemu wstydowi
I z alabastru posąg przezroczysty;
A szyję jego krwią oczerwieniwszy,
Zakryjcie perły albo lilijami;
A będzie to bóg nowy — w nowym Rzymie!...
I to jest całą obroną — Rzymianki.

ORSINI.

Rzucić welony czarne na tych ludzi
I odprowadzić ich w ciemne więzienia! —

GIANI.

Ha! ha! ha! ojcze —

ANSELMO.

Płaszcz mi został w ręku.
Gdzie ten szalony leci?

GIANI.

Beatrycze!

ORSINI.

Zbiry, młodzieńca tego wyprowadzić!
Precz, do więzienia iść z potępionymi!
(Wyprowadzają Cencich — Beatryx wychodząc ogląda się w stronę, gdzie Zbiry chwytają za ręce pasującego się ze sztyletem Giani).

GIANI.

Precz — precz odemnie! Czy wy nie widzicie,
Żem cały we krwi i na swojém miejscu?...
Orsini dzisiaj pracuje dla kata —
Ja pracowałem dziś dla Orsiniego.
O! usta pełne śmierci otwórz, starcze,
Otwórz raz jeszcze i potęp zbrodniarza!
Tubrakowało jeszcze delatora
I b akowało zabójcy z sztyletem: —
Oto więc macie sztylet i zabójcę,
Który zostawił krwawy ślad przy trupie
I ścigającym furyom pokazywał
Krwią zczerwienione podeszwy. O sędzio!
Jeśli nie dosyć, żem zabił człowieka —
Jeżeli moja zbrodnia przy promieniach
Krwawego słońca ojcobójców blednie:
Ja rozczerwienię ją nowém wyznaniem
I śmierć kryjącą się pod waszym stołem
Wywołam — żółtą, cichą — ale wściekłą...
O! śmierci — wystąp — i bądź urodzona
Słowami sądu! Śmierci, ja cię pragnę,
A ty mnie zimną twoją zetnij kosą
Tu przed Orsinim — u nóg tego starca,
Który dziś swoję własną krew potępi
Za to, że jego krew... rozlała własną —
On nie wié... żem jest bratobójcą!

I. SĘDZIA.

Nieba!
Monsignor mdleje — wody — octu — mdleje!...

ANSELMO.

O! wielki Boże, jak twe sądy straszne!...

AKT PIĄTY.

SCENA I.

(*Mieszkanie Barygiela.* BARYGIEL — DOLORIDA).

BARYGIEL.

Czego ty płaczesz, głupia? — Za godzinę
Exekwowani będą nasi ludzie.
Dobry dla kata dzień!... za cztéry głowy —
Każda po dziesięć dukatów — cztérdzieści.
Czego ty płaczesz, księżniczko zaklęta?

DOLORIDA.

Ten młody biédny człowiek pozawczora
Przyszedł tu do mnie, gdy grałem na harfie,
Jakąś zabawną piosneczkę śpiéwając...
Taki spokojny zdawał mi się człowiek,
Taki łagodny — tak miły w rozmowie...
Jabym przysięgła była, że to święty
I dobry człowiek, nie żaden zabójca...
Oczy miał takie smutne!..

BARYGIEL.

Cyt... ktoś stuka —

DOLORIDA.

Czy już ich przyszli brać? — o! ja omdleję ..

(BARYGIEL *otwiéra, wchodzi* OJCIEC ANSELMO).

ANSELMO.

Niech będzie Jezus Chrystus pochwalony —

BARYGIEL.

Na wieki wieków. — Czy spowiednik?

ANSELMO.

Czytaj!

BARYGIEL.

Najwyższéj Władzy rozkaz...

ANSELMO.

Czytaj cicho!
To jest tajemna rzecz... rozumiesz Wacpan!
Monsignor tu Orsini przyśle ludzi
Z pomiędzy szarych penitentów — i tak,
Jak tutaj stoi w papiérze, stanie się.
Wmięszasz to Wacpan zgrabnie do napoju...
(daje mu proszek w pakieciku).
Rozumiesz? —

BARYGIEL.

Córko, chodź — dam ci rozkazy.

ANSELMO.

O! moje kości — com ja się nalatał!
Co na tym świecie trudów i żałości —
Ledwie ułożysz rzecz z rozwagą starca,
Młodość wnet wpadnię i pomięsza wszystko...
Panie Barygiel, chodź tu Wacpan do mnie...
Jak dziś spał więzień twój, Signore Giani?...

BARYGIEL.

Spokojnie...

ANSELMO.

To to jest młodość, mospanie!
Przed śmiercią śpi, jak zabity. — A powiédz:
Gdy zapytano go dawnym zwyczajem,
Czegoby pragnął przed śmierci godziną —
Ten młokos dumne miał zawsze fantazye —
Ciekawy jestem, o co prosił?

BARYGIEL.

Córko,
O co maestro prosił?

DOLORIDA.

Ojcze drogi,
O półgodziny rozmowy samotnéj
Z Signorą Cenci...

ANSELMO.

Nie pozwalać!...

DOLORIDA.

Czemu?

ANSELMO.

Oni gotowi zapłakać się na śmierć...
A ta panienka o co was prosiła?

DOLORIDA.

Gdyby wiedziała, że kochanek blisko,
Pewnie prosiłaby mnie o kochanka.
Ale nie wiedząc, że Signore Giani
Przez mur więzienia tylko.. biédny człowiek
Na rusztowanie skazany... Bo ona
Nic nie wié, ojcze, o swoim kochanku
I myśli, że Signore Giani, jak zwyczajnie,
Już się pocieszył i wyjechał z Rzymu...
Więc gdy spytałam ją dziś, czego żąda?
Biédaczka z takim żałosnym uśmiechem
Rzekła: przynieść mi koszyk napełniony
Różami — aż mi łzy stanęły w oczach —
Przynieś mi, rzekła, koszyk róż... biédaczka!
Patrz, ojcze, róże stoją; o! czy widzisz,
Jaka biédaczka?

ANSELMO.

Bu!... ja stary płaksa!
To dobrze, córko — zanieś biédnéj róże!...
A wreszcie... to jéj zaprowadź kochanka!
Niech płaczą. — Ja to wszystko znów naprawię...
(odchodzi).

BARYGIEL.

Addio, księże!...

ANSELMO *(we drzwiach).*

Wrócę niezabawem,
A Wacpan wszystko zrób, jak rozkazano.

BARYGIEL.

Córko, zanieś jéj róże — a ja pójdę
I drzwi otworzę do niéj malarzowi.

SCENA II.

(Więzienie. MATKA CENCI, TOMASO, AZO *i* BEATRYX).

MATKA.

Poblogosławię was po raz ostatni.
Już za więzieniem słychać straszne gwary
Ludzi ciekawych. — O dzieci, odwagi!...
Ja was zgubiłam, przebaczcie mi, dzieci!
Jam się oddała czarnym duchom, które
Czyhały na krew naszę. *(do Tomasa)* Cóż, człowieku?
Nie stchórz — i nie bądź blady! — A ty Azo,
Ty jeden, naszą krwią okryty, rośnij,
A ja do ciebie będę przychodziła
We śnie... i uczyć będę rzeczy strasznych,
O których wiedzieć trzeba człowiekowi
Krwią oblanemu matczyną w dzieciństwie.
Furye! oddaję wam dziecko w opiekę!...

BEATRYX

Matko! ja znajdę dziecku opiekuna,
Który przez pamięć i litość nademną
Będzie mu starszym bratem...

TOMASO.

Moja siostro,
Nie śmiem cię w czoło pocałować — siostro,
Módl się i za mnie...

MATKA *(do Tomasa).*

Chodź, spowiednik czeka.

AZO.

Mamo, ja pójdę z tobą...

MATKA.

Chodź, kurczątko... *(wychodzą).*

BEATRYX.

Jam nie wybrała jeszcze spowiednika
I wszystko mi się snem wydaje strasznym.
(Wchodzi DOLORIDA).

DOLORIDA.

Signora, róże przyniosłam...

BEATRYX.

Kochanko,
Postaw tu koszyk pod mymi nogami...
Niech się zapatrzę na kwiaty spokojne. —
Która godzina?

DOLORIDA.

Jeszcze do zachodu
Długie godziny pół, długie... o długie!

BEATRYX.

Słońce zajść musi —

DOLORIDA.

Gdybym była, Pani,
Panną Najświętszą, nie zaszłoby słońce...

BEATRYX.

Moja dziewczynko, czy ty masz kochanka?

DOLORIDA.

Lat jedenaście mam — to jeszcze nie czas...

BEATRYX.

Śpiesz się i kochaj — lecz wybierz człowieka,
Który ma pamięć dobrą... dobrą pamięć
I dobre serce...

(Wchodzi GIANI, *bez szpady* — *i* BARYGIEL. *Barygiel daje znak ręką córce, aby odeszła).*

DOLORIDA *(do Gianiego).*

Nie mów jéj, że umrzesz...

BEATRYX *(do wychodzącéj)*

Kochaj — i bądź zbawioną — i żyj długo!...

(Dolorida z Ojcem wychodzą).

O! żyj tak cicho, jak te róże łzawe,
Jak te ucięte głowy róż... te głowy,
Które są piękne i świéże... ucięte
I rozsypane, o tak, po więzieniu,
Jak prześcieradło śmiertelne — *(spostrzega Gianiego)* Ach Giani!

GIANI.

Beatryx!

(roztwiéra ręce, Beatryx rzuca się w jego objęcia).

BEATRYX.

Usta twoje!

GIANI.

Twoje usta!

BEATRYX.

Czy ty mój jesteś kochanek?...

GIANI.

Beatryx!

BEATRYX.

Ziemio, pochłoń nas!...

GIANI.

Śmierci! teraz śmierci!
Jaki to nagły dreszcz? — czemuś wzdrygnięta?

BEATRYX.

Jak ty przyszedłeś tu? Prócz spowiednika
I Barygiela, tu nikt nie przychodzi;
A kto przychodzi — śmierć go wyprowadza...
O! mów, mów — mów mi, kto cię tutaj wpuścił?

GIANI.

Kto?

BEATRYX.

Wychodź, blady mój kochanku — wychodź!
Ja tu zostanę sama. Kto cię wpuścił?

GIANI.

O bądź spokojna! miłość mię przywiodła.

BEATRYX.

Ty spokojniejszy, niżli mój kochanek —

GIANI.

Ja cię spokojnie kocham — ale wiecznie...

BEATRYX.

Jeśli mnie kochasz, uciekaj na słońce!

GIANI.

Słońce... ty moje słońce — ja cię kocham —
Dlaczego ty mnie odsyłasz do ludzi?
O! zapomnijmy o nich, duszo moja!...

BEATRYX.

O! zapomnijmy o nich. — Siądź tu, Giani,
A ja upadnę na drżące kolana

Tutaj na różach — i będę mówiła,
Jak ty masz o mnie pamiętać... O Giani!
Jestem spokojną teraz i szczęśliwą...
Pamiętaj o mnie — pamiętaj ty o mnie
Inaczéj, niż lud, który się lituje;
Inaczéj, niż Bóg, co patrzy bez żalu.
Pamiętaj o mnie — jako o Rzymiance
Nieskazitelnéj, strasznéj, nieszczęśliwéj,
Którą... splamioną... miłość oczyściła
Ze wszelkiéj zmazy. — Ja się czuję czystą!
Lecz miłość przyszła późno... Słuchaj, Giani!
Ty weźmiesz mego małego braciszka
I będziesz kochał — co? będziesz go kochał?
A jeśli przyjdzie do ciebie spłakany,
Że go odepchnął jaki człek zwyczajny
Przejęty zgrozą... weźmiesz go na ręce
I będziesz mu łzy ocierał — ustami...
To mój braciszek. — Cóż?... będziesz go kochał?
Dzisiaj go tobie przywiodą wieczorem —
Sam umyjesz mu rączki — sam — i uśpisz,
Bo on się będzie lękał... Przebacz, Giani —
Ja ci rozdziéram serce, ale muszę. —
Dzisiaj wieczorem — ty będziesz... Nie mogę
Wystawić sobie — dziś — tam — w twojéj celi
Ciebie — bezemnie — ha! Lecz bądź spokojny,
Zaklinam ciebie — dziwnie rozczulona;
Bo nie myślałam nawet, żem ja zdolna
Tak miękko i tak łzawo mówić z tobą.
Lecz ta godzina jest bez drugiéj dla mnie,
I ty nareszcie znikniesz mi z przed oczu...
I Bóg mnie weźmie... o! tak rozpłakaną...
(Słychać głos dzwonów i hałas głuchy).

GIANI.

Co to za dzwony są? co to za głosy?

BEATRYX.

Straszne zbudzenie — to czytają wyrok.

GIANI.

Komu czytają?...

BEATRYX.

Tutaj, przed więzieniem.

GIANI.

Słuchajmy, moja kochanko.

BEATRYX.

Słuchajmy...

GŁOS.

Obwinieni i przekonani mają być nakryci czarną zasłoną ojcobójców, prowadzeni na rusztowanie i ścięci przez kata: Lukrecya Cenci, żona — Tomaso Cenci, syn — i Beatryx Cenci, córka zabitego. Niech Bóg odpuści duszom zmarłych!

BEATRYX.

Amen! odpowiédz, Giani: Amen...

GIANI.

Amen...

GŁOS.

Ma być zaprowadzony pod rusztowanie Azo Cenci, syn zabitego, który patrzał oczyma swymi na czyn zbrodni, aby oblany był krwią zbrodniarzy. Niech Bóg oczyści duszę dziecka! Amen.

BEATRYX.

Słyszałeś?...

GIANI.

Słuchaj!

BEATRYX.

Co?... wyrok skończony!
O Boże, ten sam głos pod oknem wyje.

GŁOS.

Obwiniony i przekonany o zabójstwo Pietra Negri, powszechnie nazwanego Gino, zaprowadzony ma być na rusztowanie. okryty zasłoną bratobójców i ścięty przez kata brat zabitego, Giano Giani. Boże, świéć nad jego duszą.

GIANI.

Beatryx!

BEATRYX.

Ścięty — ścięty — ścięty!...

GIANI.

Amen.

BEATRYX.

Ty?

GIANI.

O Beatryx — ja! — idziemy razem!

BEATRYX.

I nie przeczułam, że on zabił Pietra!
O! jak okropne nas związały losy!
O! jak mi będzie strasznie skonać...

(*Wchodzi* OJCIEC ANSELMO *i drugi kapłan*).

ANSELMO.

Dzieci,
Przyszła godzina — trzeba się rozłączyć.

BEATRYX.

O! o! tu Giani, na serce...

GIANI.

Beatryx!...

ANSELMO.

Przyszła godzina, trzeba się rozłączyć...

GIANI.

Do zobaczenia!... Anselmo — ty ją weź...
A ty chodź, ojcze nieznajomy, ze mną
I porusz słońce, niech prędzéj zachodzi! (*wychodzą*).

ANSELMO.

Chodź, moja córko, odwagi, odwagi!

BEATRYX.

Czy on ma umrzéć? — czy on skonać musi?

ANSELMO.

Córko — ja ciebie pocieszę... Orsini
Wyprosił życie syna u Papieża;
I oto zaraz mu dadzą w napoju
Usypiający napój Penitenci
I do méj celi zaniosą śpiącego...

BEATRYX.

O dzięki tobie! bo mi dałeś życie...

ANSELMO.

Biédna — ja tobie życia dać nie mogę!
Ty nie masz żadnéj nadziei, prócz w Bogu —
A Boga zyskaj skruchą i spowiedzią...

SCENA III.

(Plac Ponte Sant' Angelo).

TŁUM LUDU.

I. Z LUDU.

Nudzą nas, mówię — nudzą nielitośnie!

II.

Co jeszcze gorsza, powiadam, co gorsza,
Że pewnie wszystkich głów nie zobaczymy!
Powiadam, cztérech głow. Panie Pamfilio,
Powiadam, że nam cztérech głów nie dadzą.

I.

Parno, jak w piecu! — Hej! Trastewerina!
Z pomarańczami tu! — hej! moja Juno —

TRASTEWERINA.

Cóż, mój signore Babuino?

PAMFILIO.

Eheu,
Tu, Atalante z Hesperyd owocem!...

III.

Ephemerido, wiele za bajoka?

TRASTEWERINA.

Trzy, signor Bacco!

PAMFILIO.

Per Bacco! daj quatro!

II.

Cztéry pomarańcz, głowa w głowę cztéry!...
A ta maleńka, powiadam, w przydatku —
Za główkę dziecka daj w przydatku piątą.

TRASTEWERINA.

Piąta na drzewie wisi — idź pod drzewo
I urwij sobie piątą z szubienicy...

PAMFILIO.

Cyt — cyt — więzienie się otwiera czarne,
Pochodnie blade wychodzą na słońce.

PANTALON.

Ta piérwsza — matka...

PAMFILIO.

Mości Secretario,
Co na welonach napisano białém?

PANTALON.

Biało na czarném stoi: p a r r i c i d a.

PAMFILIO.

Po grecku? — to ja rozumiem — po grecku!

TRASTEWERINA.

Ha! ojcobójce — dobrze wam tak, dobrze!
Chcecie pomarańcz? hej hej! parricidi!
Chcecie pomarańcz, co pod zębem ciekną
Czerwoną śliną?... ho! ho! apelcyny
Czerwone wszystkie głowa w głowę.

PAMFILIO.

Furyo!

TRASTEWERINA.

Socrate!

PAMFILIO.

Wiedźmo, czego krzyczysz?..

TRASTEWERINA.

Krzyczę,
Bo to zabójce... to zabójce... słyszysz?...

I. Z LUDU.

Idzie ostatnia pod czarnym fartuchem,
Idzie, jak jaka królowa z dzieciątkiem
I białą świécą — ona najwinniejsza!

KOBIÉTA.

Niesprawiedliwość, że idzie ostatnia!
Powinnaby iść piérwsza — Santo Padre,
Powinnaby iść piérwsza!

PENITENCI i DOLORIDA *(wchodzą)*.

DOLORIDA.

Penitenci!
Bierzcie z téj tacy, dawajcie ubogim,
Niech proszą za nich!

(Penitenci rozdają pieniądze).

I. PENITENT.

Starcze! weź bajocco,
Módl się za dusze Cencich.

ŻEBRACZKA.

Kaleka, uboga...

II. PENITENT.

Módl się za dusze Cencich.

ŹEBRAK.

Un bajocco!...

III. PENITENT.

Módl się za dusze Cencich.

GŁOS W TŁUMIE.

Zdrowaś Marya —

I. PENITENT.

Módlcie się za nich, za matkę i syna,
I za panienkę...

I. Z LUDU.

O widok okropny!
Rozpłakała się, gdy kat uciął włosy.

DOLORIDA.

Płakała...

I. Z LUDU.

A z nią i lud zaczął płakać,
Jak małe dziecko...

DOLORIDA.

Gracya! gracya! gracya!
Wszyscy wy idźcie za mną na Watykan!
Chodźmy do Ojca Świętego po łaskę!...
Ucięto włosy — czyż nie dosyć? — gracya!

ŻEBRACY.

Na kulach za nią! — gracya, Santo padre!
(*Wchodzi* PANTALON i PAMFILIO).

PANTALON.

Signor Pamfilio, widok był okropny!
Czego ci ludzie krzyczą?

PAMFILIO.

At! jak zawsze.
Krzyczą zapóźno i chcą zmartwychwstania!
Jakby prosili, aby zachodzące
Słońce wróciło. Idźmy spać do domu.

SCENA IV.

(Cela Giano Giani).

(Penitenci wnoszą na noszach śpiącego GIANI *i mówią po łacinie na dwa głosy Ave Maria).*

I. PENITENT.

Tu go połóżmy śpiącego na łożu.
Trzeba opatrzyć, czy gdzie nie ma broni
I zabrać noże — to rozpaczny człowiek...

II. PENITENT.

Niech śpi! Za chwilę wróci Don Anselmo.
(Zdejmują broń ze ściany i wychodzą).

WIEDŹMY.

I. WIEDŹMA.

W oczy jego blaskiem rzuć!
Dotknij go wężem i zbudź —

II.

Poco?

III.

Niech zobaczy życie!

I.

Sza! zawieśmy na suficie
Głowę ściętą — on widzi śpiąc...

II.

Dajcie mu pokój — zabije go ksiądz.

I. i III.

Czém? czém? czém? czém?

II.

Ha! siostrzyce,
Rzućmy tu trzy błyskawice,
Rzućmy ciche ognie trzy!
Niech się jemu w oczach skrzy,
Niech okropność w oczach błyśnie,
Aż serce się skurczy i zadrży i pryśnie.

WSZYSTKIE.

Dyabeł tutaj księdza śle.
W powietrze! znikajmy w mgle... *(Znikają).*

GIANI.

Oh!... gdzie ja jestem? — żywy to ja, Jezu?
Czy ta noc śmiercią jest? — gdzie Beatrycze?

A ha! to księdza mieszkanie — o! widzę
Całą okropność rzeczy. Gdzie sztylety?
(rzuca się na ścianę, skąd penitenci zabrali broń).]
Tu była moja broń — zabrano — żywy!
Wszak słońce zaszło już — okropne słońce,
Które widziałem za krwawymi plamy.
Kiedy? — dziś, we śnie... Ha! więcem ja zasnął! —
O! morze ciemnéj okropności... czarne,
Rozwidniające się teraz stopniami,
Gdy tonę w strasznéj pamięci oczyma —
Morze krwi! pochłoń mnie... pochłoń mię, ziemio!
(Wchodzi ANSELMO *z latarnią, prowadząc* AZA *za rękę).*

ANSELMO.

Gdzie tu mój Giani, mój syn ukochany?
Cóż to? na ziemi leży mój syn twarzą?
Jestże to człowiek? rozumne stworzenie? —
O! wstań, mój synu — i odgoń od siebie
Rozpacz bez celu... smutek bez nadziei!

GIANI.

Więc już umarły?

ANSELMO.

Co te jęki znaczą,
Które do ucha mówisz téj podłodze?...
Wstań! tu jest ciepłe łono przyjaciela ..

GIANI.

Ziemia mnie woła...

ANSELMO.

Wstań i obacz, Giani,
Z kim ja przyszedłem... Wstań, bo mnie przerażasz!
(podnosi go).
O! — wstań ja ciebie nie udźwignę, martwy!
Mamże na ziemię paść, synu, przy tobie?

GIANI.

Czegoż odemnie ty chcesz, starcze? — wstałem.

ANSELMO.

Bogdajby w tobie tak powstała dusza!
Maleńki! — przystąp do tego człowieka
I zaszczebiotaj mu, jak cię uczono...

AZO.

Panie! kazała prosić cię siostrzyczka,
Abyś mnie kochał...

GIANI.

Nie tul się ty do mnie!

ANSELMO.

I cóż? odpychasz go?

GIANI.

To jest... ostatni?...

ANSELMO.

Tak...

GIANI.

Jeśli głodny, daj mu jeść —

ANSELMO.

Mój synu,
Ja nie poznaję ciebie — twarde serce
I twarda jakaś obojętność dla mnie!...
Ja nie poznaję ciebie.

GIANI.

Czy mam płakać?

ANSELMO.

Płakać?... O! mógłbyś ty płakać nad sobą!
Teraz godzina, że serce zmiękczone
Winnoby płakać przestępstwa. — O Giani!
Jestto okropna nauka i krwawa,
Ale na całe życie pozostanie. —
Tak! kto bez Boga, lecz z ciemnymi duchy
Chce porządkować świat, często go łamie
Bóg, tak jak ciebie, i myli go w drodze.
Tyś ją chciał zbawić — jak? — okropną zbrodnią?
A zbrodnia ta się nagle obróciła
Przeciwko właśnie téj drogiéj osobie,
Którą ty chciałeś zbawić. — Sam się dowiesz,
Że Ojciec święty, poruszony wdziękiem
Téj biédnéj panny — już umoczył pióro
I chciał podpisać już ułaskawienie:
Gdy oto nagle... druga w Rzymie zbrodnia,
Jakby świadcząca o strasznéj zarazie
Upadającéj na Rzymianów ducha,
Z rąk Papieżowi wytrąciła pióro —
A zaś tę drugą tyś popełnił zbrodnię. —

GIANI.

Ha! okropności! —

ANSELMO.

Boleścią się zrywa —
Co ja wyrzekłem!!...

GIANI.

Nic — tylko rzuciłeś
Do mego serca wianek gadzin. Starcze,
Onaby żyła, gdyby nie ja... Starcze,
O! tu mi serce boli — ha — tu, starcze!
Zrobiłeś ze mnie zabójcę i kata...
To jest rzecz... onaby żyła, bo papież
Chciał ułaskawić...

(tłucze szybę i szkło połyka).

ANSELMO.

Boże! szkłem się truje —
Matko Najświętsza! szkłem!...

GIANI.

Cicho! daj rękę!
Bo tam — w ciemności furye widzę ciemne.
Przyszły po ducha. — Precz! ohydne mary —
Krwią plwam na wasze węże — precz! precz, matki!
Widzisz — zniknęły. Patrz, ja na téj szybie
Najświętszą Pannę sam wymalowałem,
A teraz zbita — w tęczę blasków — o! tu —
Pod sercem tu już!...

(upada).

ANSELMO.

Ociężał i skonał...
Skonał — mój drogi syn — mój słodki chłopiec!
A ja z tém dzieckiem sam — w cichym klasztorze...
Dobra noc, Giani! — Niewdzięczni są ludzie
I to im powiem na ostatnim sądzie.
Ja go kochałem jak mojego syna:
Tyle nadziei moich... leży w grobie! —

NIEPOPRAWNI.

DRAMAT

W PIĘCIU AKTACH.

OSOBY:

HRABIA RESPEKT, były marszałek powiatowy.
HRABINA RESPEKTOWA, jego żona.
DYANA } ich córki.
STELLA }
HRABIA FANTAZY DAFNICKI.
RZECZNICKI, marszałek powiatowy, jego przyjaciel.
HRABINA IDALIA, rozwódka, sąsiadka Respektów.
KSIĄDZ LOGA, kapelan.
WOŁDEMAR HAWRYŁOWICZ, rodem Czerkies, stary major rosyjski.
JAN, zesłany na Sybir w sołdaty.
KAJETAN, kamerdyner hr. Respektów.
HELENKA, pokojowa Idalii.
KAŁMUK, sługa majora.

Rzecz dzieje się na Podolu, około r. 1841 — w trzech piérwszych aktach w domu hr. Respektów, w obu ostatnich — w majętności hr. Idalii.

AKT PIERWSZY.

SCENA I.

(W domu hr. Respektów).

FANTAZY *i* RZECZNICKI. *Późniéj* HR. RESPEKT.

FANTAZY.

Widziałeś Wasan, jakie w przedpokoju
Hamadryjady, Laokonty, Psylle
W ojca Adama przenajświętszym stroju
Stoją, z lokajstwem w zgodzie? — A nie tyle
Lokajów, ile posągów! — a wszyscy
Postaci większéj, niźli chce natura:
Bo ci lokaje są sufitów bliscy
Głowami, a ich olbrzymia struktura
Herkulesowe przypomina członki.
Sądzę więc, że i panny tu znajdziemy
Jako Dryjady albo Amazonki,
Nadludzkie. — Ślepy więc będę lub niemy,
A ty, rozsądny, patrz za mnie i gadaj;
Co człowieczego znajdziesz pod boskością
Kształtu, wydobądź, ojca wyspowiadaj
Z politycznego sumienia, z Jejmością
Wejdź w jak najbliższe stosunki, aż ci się
Przyzna, pod jakie jarzmo zegnie zięcia; —
Słowem: jak gdybyś zjechał na komisyą,
Gadaj, rób i patrz; a ja się w dziécięcia
Roli dam wszystkim, gdzie chcą, za nos wodzić.

RZECZNICKI.

Lecz ciebie znają.

FANTAZY.

Cóż? Że kilka listów,
Które w gorączce można było spłodzić,
Przepisać nawet przez płatnych kopistów,
Samemu nawet pisać nie umiejąc —
Że kilka listów, które na Podolu
Panny czytały wyuczone, mdlejąc
I krzycząc: — ach! ten list na Kapitolu
Był napisany! a ten z Wezuwiusza
Leciał jak gołąb aż na Ukrainę!
Że wykrzykniki te: ach! co za dusza!
Ach! co za ogień!. . . . .[1])
Brzmiały tu stokroć razy: — to ja, hrabia
Fantazyusz, głupim być już nie mam prawa?
A cóż to, powiédz, jest opinia babia?
Czy to szacunku godna rzecz? czy strawa,
Na któréj serce tyje? czy poduszka,
Na któréj głowa leży? — Mój Rzecznicki,
Ty mój swat, ty mój — raczéj moja drużka,
Bo się jak panna spłonię, w jezuicki
Talerz wlepiwszy me panieńskie wzroki...
Ty mnie zachwalaj, wynoś pod lazury,
Po nad Wezuwiusz, nad Alby, obłoki!
Mów, żem napisał poemat ponury
O cztérech wiatrach; złoć mię jak barana!
A mnie pozwól się troszeczkę zagapić
I z siebie lakier byroński szatana
Zrzucić...

RZECZNICKI.

Fantazy! możesz się poszkapić
I źle wyjść —

FANTAZY.

Jakto?

RZECZNICKI.

Piérwsze złe wrażenie
Trudno się ściéra...

[1]) Tu koniec karty w rękopisie wydarty. *(Przyp. Wyd.)*.

FANTAZY *(przerywając niecierpliwie).*
Nie dbaj, nie dbaj o to!
Jeśli zakocham się, to się odmienię;
Jeśli nie... *(widząc wchodzącego* HR. RESPEKTA).
Hrabia Respekt...

HR. RESPEKT.
Jak to? co to?
Sami? nikogo na wasze przyjęcie?
Sami?... Przepraszam was za moje baby.
Przynajmniéj tu was...

RZECZNICKI *(na stronie do Fantazego).*
Nie chodź mi po pięcie!

HR. RESPEKT.
Przynajmniéj tu was moje główne sztaby
Przedpokojowe...

FANTAZY *(do Rzecznickiego).*
Rekomendujże mię!

RZECZNICKI.
Hrabia Fantazy, mój przyjaciel.

HR. RESPEKT.
Miły
Będzie mi w domu gość: ziemia o ziemię
Nasze dwa dwory, a bogdajby były
Serce o serce nasze dwa stosunki!
Lecz gdzie to moja żona i figlarne
Córki? gdzież moje kobiéty? Korónki
Mówią, czy jakie gdzie romanse czarne
Gryzą po kątach i żółć w sobie płodzą?
(do lokaja).
Kajetan! gości zaanonsuj paniom!
Ha! otóż przecie i są — otóż wchodzą.

SCENA II.

(Wchodzą) HRABINA RESPEKTOWA, DYANA *i* STELLA.

HR. RESPEKT.
Hrabia Dafnicki —

HRABINA.
Pana opisaniom
Rzymu winniśmy bardzo miłe chwile!
Znamy go dobrze: taki ogień w piórze

I tyle serca, entuzyazmu tyle!
Ach! listy Pana... to są na marmurze
Pisane lawą! czy prawda Dyjanno?
Te dwie fontany, co przed Watykanem
Jak duchy, tęczą opasane ranną —
Ten krzyż drewniany w Cyrku — ach! my z Panem
Dawno się znamy, dawno!

FANTAZY.

To być może,
Żeśmy się znali przed śmiercią...

HRABINA.

Słyszałam,
Że Pan jest mistyk — teraz się założę,
Że Pan jest mistyk. — Ach! jak ja się bałam,
Że Pana znajdę mistycznym.

HR. RESPEKT.

Maryanno,
Nie zaczynajże zaraz z gościem kłótni!
Proszę was za mną, proszę. Ty Dyjanno
Zagrasz nam; a was ostrzegam, że smutni
Ludzie są w mojém sercu podejrzani
O brak szczérości!

(Wychodzą wszyscy oprócz Hrabiny).

SCENA III.

HRABINA.

Kajetanie!

LOKAJ *(wchodzi)*.

LOKAJ.

Pani,
Co Pani każe?

HRABINA.

Każ zapędzić trzody
Na małą łąkę w ogrodzie! Niech stary
Anton zapuści swoję sieć do wody
I sam pod wierzbą siądzie obok pary
Chłopiąt plotących koszyki — jak w Tassie.
Opodal żeńców postawić gromadę
I niech śpiéwają! Anna niechaj pasie

Kozy na skałach... Ach! puścić kaskadę!
Pamiętaj, puścić kaskadę wieczorem,
Wprzód nim wstaniemy od stołu... Ach, jeszcze
Powiédz Dubynie, niech stanie za dworem
I pieśń Padury śpiéwa!

LOKAJ.

Ale deszcze
Popsuły rurę w kaskadzie — —

HRABINA.

Nowina!
No, to nie puszczać wody...

LOKAJ.

Ale, Pani...

HRABINA.

Ale! co ale?!

LOKAJ.

Ale dziś Dubyna
Pojechał kupić cukru i araku
Do Berdyczowa —

HRABINA.

No, to się bez dumy
Obejdzie; ale pomnij o rybaku —
Pomnij o trzodach i...

LOKAJ.

Summa do summy:
Rybak i trzody.

HRABINA.

I małe chłopięta,
Które koszyki plotą.

LOKAJ.

I koszyki.

HRABINA.

I żeńce!

LOKAJ.

Ale pszenica pożęta!

HRABINA.

Mój Kajetanie, rób, co chcesz. Ten dziki
Ogród angielski, to kłopot prawdziwy!

LOKAJ.

Zawsze w nim czegoś brak: to się altana
Załamie, burza krzyż umyślnie krzywy
Zwali — o mało co nie zabił Pana. *(odchodzi).*

HRABINA.

Ach, jaka, jaka z tym ogrodem biada!
Stelko!

SCENA IV.

STELLA *(za sceną).*

Co?

HRABINA.

Stelko, chodź tutaj!

STELLA *(wchodzi).*

Co mamo?

HRABINA.

Czy pan Fantazy już z Dyjanką gada?

STELLA.

Nie.

HRABINA.

Zostaw, Stelko, ją w salonie samą,
A ty idź dziadka odwiedź, potém biało
Ubierz się cała, i wiész — tam nad stawem,
Pod brzozą naszą płaczką — stań pod skałą
I wab łabędzie; bo my niezabawem
Wyjdziemy z gośćmi pod dąb Wernyhory
Pić kawę...

STELLA.

Dobrze, mamo; ale potém
Pozwolisz mi pójść z Hanką na nieszpory?

HRABINA.

Dobrze... Lecz cóż to widzę? Ach, pod płotem
Kibitka jakaś i konne Baszkiry! —
(Do wchodzącego LOKAJA*).*
Co to?

LOKAJ.

Oficer moskiewski, gwardzista.

HRABINA.

Proś! — ach! drżę cała... Nie wiész, czy kwatéry
Żąda?

LOKAJ.

Nic nie wiém.

HRABINA.

Proś!.. Matko przeczysta!
Jeśli to jaki feldjegier... drżę cała...
Idź, ostrzeż ojca, Stelko! *(Stella wybiega).*

SCENA V.

(*Wchodzi* MAJOR).

HRABINA.

Witam Pana...
Kogoż mam honor?...

MAJOR.

Pani nie poznała?

HRABINA.

Ach! Pan Wołdemar! Ach! cóż za kochana
Siurpryza! — Mężu! Steluniu! Dyjanko!
(*Wbiegają wołani, a z nimi* FANTAZY *i* RZECZNICKI).

HR. RESPEKT.

Co to jest?

HRABINA.

Patrzcie! nasz dawny znajomy!

HR. RESPEKT.

Ach Major! przyjąć-że go pełną szklanką!
Iluminować-że mój dach poziomy!
Cukrem wysypać srebrnym mój dziedziniec
I zamienić mu w Sybir! — Mój ty drogi! *(ściska go).*
Teraz-że widzisz: ot ja, Ukrainiec,
Już nie twój więzień! już tobie bez trwogi
Patrzę za mundur, czy zeń nie wyziéra
Jaki róg biały carskiego ukazu...
Panowie! w rękach tego oficera
Był mój los; a on — mówię, ani razu
Nie dał mi uczuć niewoli! i owszem —
Gdym z żoną, z dziećmi, w pobliżu Tobolska
Siedział, zasłany tam jakoby w zdrowszém
Dla mnie powietrzu, aby dżuma polska
Nie zaraziła méj skóry (bo wiécie,
Żem takiéj rządu pieczołowitości

O moje zdrowie, jako tu w powiecie
Piérwszy urzędnik, doznał): — on, litości
Pełny, widząc mię z córkami i z żoną
W małéj wioszczynie, w dziurawéj stodole,
Był nam pomocą wtenczas i obroną,
Tak, że nas wściekłe sybirskie Eole
Nie rozdmuchały.

MAJOR.

Szczęsny, żeście w zdrowiu.

HRABINA.

A jak się ma pop Osip?

MAJOR.

Pijany z duszą!

STELLA.

A moje gile czerwone?

MAJOR.

W pustkowiu
Swiszczą po drzewach i w róże się puszą,
Smutne, że nie ma Panny na Sybirze!

STELLA.

A oswojone szczygiełki?

MAJOR.

Jak w raju
U kaznaczeja...

DYANA.

A trzy polskie krzyże?

MAJOR.

Stoją.

HRABINA.

A Pani Potopof.

MAJOR.

Przy czaju —
W zielonéj sukni.

HRABINA.

I zawsze w zielonéj?

MAJOR.

I w kokoszniku —

STELLA.

Z którego ja chciałam
Zrobić gniazdeczko suczce oszczenionéj!

Ach, jak tam zimno być musi! zadrżałam
Myśląc, jak zimno tam Pani Potopof!
Dyjanko, a nasz?..

DYANA.

Kto nasz?

STELLA.

Kto? — nasz drogi,
Nasz biédny Pan Jan, co na czele chłopów
Z kosą wzięty był. On taki ubogi,
A taki dobry! aresztant — i taki
Piękny, jak Michał Anioł na obrazie.

MAJOR.

Ten wasz przyjaciel dał nam się we znaki:
Buntował nam lud — a dziś na Kaukazie
Bije się, w proste posłany sołdaty.

STELLA.

Patrzaj, Dyjanko!

HRABINA.

Dość, Steluniu! prowadź
Pana Majora do polskiéj herbaty,
Którą przyrzekłaś jego uczęstować
Za kwas sybirski.

(wychodzą wszyscy oprócz Fantazego i Rzecznickiego).

SCENA VI.

FANTAZY i RZECZNICKI, *przy końcu* STELLA.

FANTAZY.

O nas zapomnieli!

RZECZNICKI.

Gniewasz się?

FANTAZY.

O! nie.

RZECZNICKI.

Lecz trochę zazdrościsz.

FANTAZY.

Czego?

RZECZNICKI.

Dyjany spojrzeń i łez Stelli.

FANTAZY.

Jeszcze nie kocham.

RZECZNICKI.

Ale już się złościsz.

FANTAZY.

Wcale nie ! — Ale powiédz mi, Rzecznicki,
Kto to jest ów to pan Jan, wzięty z kosą?

RZECZNICKI.

Jakiś kosynier...

FANTAZY.

Jesteś jak delficki
Posąg: — wyrocznie twoje prosto niosą
W sam cel i w samo serce prawdy; ale
Radbym dowiedzieć się, jaki to smutny
Upior nad srebrne gdzieś sybirskie fale
Pierś pokazuje i łańcuch okrutny
Wstrząsa, i w panien tych ładnéj pamięci
Staje z ranioną piersią i z brylantem
Téj łzy, co mu się w oczach mglistych kręci,
Próżno roniona. Z takim aresztantem
Adonis nie mógłby walczyć o miłość
Szlachetnéj Polki!..

RZECZNICKI.

Przecudna tyrada:
Peryody długie...

FANTAZY.

Ta dawna zażyłość
Sybirska — chmura ta błękitno-blada
Szronu złotego, która go obwiewa —
Te pod nim jary, pełne wilczych kości —
Te nad nim czarne sosny, straszne drzewa,
I to nieszczęście czarne...

RZECZNICKI.

I w czarności
Kominie białą napisane krédą
Imię Dyjany...

FANTAZY.

Przeklęty człowieku,
Któremu jeszcze dziś świątynie w Knido

Dostarczą wody kastalskiéj! O! ćwieku
Z byronowego krzyża! O! baranie,
O którym niegdyś w mistycznèm widzeniu
Śnił Sanczo Pansa, w niebie niespodzianie
Ujrzawszy bydło! O! ty, co w płomieniu
Wiekowym głupstwa jesteś Salamandrą
I w ogniu będąc, tyjesz, o Rzecznicki!

RZECZNICKI.

O nieszczęśliwy wieszczu!

FANTAZY.

O Kasandro
Przedkontraktowa!

RZECZNICKI.

O ty, potrzebnicki
Zdrowego sensu!

FANTAZY.

O ty, sekaturo!
Patrz — poszli wszyscy na ogród, a o nas
Ani kto wspomniał!

RZECZNICKI.

Bo ty jesteś pióro,
Które sonety pisze... et andronas
Scribit — i bawisz ludzi, gdy się nudzą,
A nudzisz, gdy się bawią.

FANTAZY.

To być może...

RZECZNICKI.

Abyś się widział sam, weź głowę cudzą
I włóż na swój kark.

FANTAZY.

A moje położę
Na twoim?

RZECZNICKI.

W karty przegraj twoję głowę,
Jeśli na stawkę szulery pozwolą
Stawić wiatr, a nie pieniądze gotowe.
Lecz pierwéj złap ją tak, jak wróbla — solą
Na ogon, bo ci z rąk samych wyleci!

FANTAZY.

Prawdę ty mówisz: same jakieś światła
Chodzą po mojéj głowie — jak u dzieci —
Zielone, jasne, czerwone — jak na tła
Złote rzucone przez Wenecyanina
Świętych postaci; różne jakieś tony,
Z których ton każdy mi coś przypomina
Smutnego, a ma niewytłómaczony
Urok dla ducha. W powietrzu mi dzwonią
Różne pamiątki miejsc; koło mnie chodzą,
Każda ze swoją twarzą, swoją wonią,
Zmieniona w Nimfę, w postać... Ach! jak szkodzą
Uczuciom myśli nadto rozwinięte!
Zda się, upiory piękniejsze, że smętne —
Zdaje się, kwiaty smętniejsze, że ścięte —
Zda się, że bóstwa — tak, krwią nie namiętne,
Ale grzejące słonecznością lica —
W wieńcach, w kameliach z gwiazd, których kolory
Niepewne jako półtęcze księżyca
Srebrzeją... Myśli me — już pół-upiory,
A jeszcze myśli...

RZECZNICKI.

Bądź zdrów, bałaguło,
Który handlujesz końmi Apolina!

FANTAZY.

Stój!

RZECZNICKI.

A co?

FANTAZY.

Serce moje coś uczuło.

RZECZNICKI.

Fenomen!

FANTAZY.

Słuchaj: — ta w czerni dziewczyna,
Ta wybielona wiatrem na Sybirze
Dyjana, która czarnymi oczyma
Widzi tam jakieś mogiły i krzyże,
Słyszy tam jakieś łańcuchy, i trzyma
Ręce na piersiach, jak posąg słuchania
I bolu — słuchaj! — ta Dyjana dumna,

Co pod piorunem tu zatradowania,
Pod ruinami gmachu, jak kolumna
Ostatnia trzyma wysoko swe czoło —
Ta, która patrząc na matki aktorstwo
I na twarz ojca — zbladłą, a wesołą
Dla ludzi... czuje całe gladyatorstwo
Nędzy domowéj, ze światem walczącéj —
Ona, co na mnie jako narzeczona
Patrzeć tu musi, a w duszy gorącéj
Czuje, że będzie majątkiem kupiona,
A cierpliwością wypłacić się musi —
Ta panna — czuję, że to podłość we mnie!
Ale mnie jakiś szatan wnętrzny kusi
Popełnić taką podłość i nikczemnie
Kupić ją złotych polskich pół-milionem!

RZECZNICKI.

Rzecz ułożona.

FANTAZY

Tak — lecz jakim tonem
Mówić z nią?

RZECZNICKI.

Tonem kupca trzeciéj gildy.
(*Przychodzi* STELLA).

STELLA.

Mama przysyła mi zaprosić Panów
Pod dąb, na małą wysepkę Matyldy.

FANTAZY.

Z romansu Cottin...

STELLA.

Bo do trzech kurhanów
Pójdziemy potém na spacer.

FANTAZY.

Cudownie!
(Fantazy i Rzecznicki wychodzą).

SCENA VII.

STELLA *(sama).*

Smutni dziś wszyscy! Dyjanka — tak blada,
Jakby opłatek, wzdryga się gwałtownie

I drży jak w febrze i z nóg, zda się, pada;
Papa nie mówi anekdot, a mama —
Kiedy spojrzałam na nią: tom się zlękła!
Taka przy oczach szafirowa plama
I taka wielka łza w jéj oczach pękła
I taka twarz się wydaje stroskana!..
(*Wbiega do pokoju* JAN).
Ach! jakiś Baszkir! Baszkir! ach! w drzwi wpada!
Baszkir!.. Czego Pan chce! Ach! proszę Pana,
Ja jestem sama...

JAN.

Stelka mi nie rada?

STELLA.

Ach! Pan Jan?!

JAN.

Cyt! cyt!

STELLA.

Ach! Pan Jan przebrany?

JAN.

Moja Steluniu, cicho!.. Jak urosła!
Jaki z niéj kwiatek biały i różany!

STELLA.

Puść mię, ażebym Dyjance doniosła,
Że tutaj jesteś...

JAN.

Moja dobrodziéjko,
Mój anioleczku, o tém ani słowa!
Pamiętaj, że mnie prosiłaś na mléko
I miód z pasieki twojéj, jak królowa
Rusałek, kwiatów podolskich caryna.
Bądźże mi teraz wierną i zaklętą,
Jak czar — bo dla mnie ta cała kraina
Musi być tylko snem i wizyą świętą,
Na którą muszę patrzeć tak jak we śnie —
Z uśmiechem, ale w milczeniu... O! biada
Tym, co stracili Ojczyznę!...

STELLA.

Boleśnie
Gadasz — i słyszę, jak za ciebie gada

Głuchy sybirski wiatr, co tak okropnie
Wył, w szyby bijąc brzęczące...

JAN.

Milutka!
Proszę cię — teraz postępuj roztropnie,
Widząc mię tutaj: jedna bowiem krótka
Radość mogłaby mnie i dom wasz cały
Strącić w nieszczęście...

STELLA.

Pan zawsze w niewoli?

JAN.

Zawsze —

STELLA.

I wraca znów na Sybir biały?

JAN.

Wracam.

STELLA.

I Pan mi mówić nie pozwoli,
Że Pan przyjechał?

JAN.

Zgubiłabyś obu,
Mnie i Majora!

STELLA.

Cóż mam robić?

JAN.

Oto
Ja, Stello, szukam jakiego sposobu,
Abym Dyjanie tę obrączkę złotą,
Zgubioną... dawno w śniegu, dziś wieczorem
Oddał. — O wschodzie słońca wyjeżdżamy!

STELLA.

Jakże to zrobić? — Ach! oto za dworem
Jest staw i łódka, którą my pływamy —
Niekiedy same nawet tylko panny —
Na drugą stronę do ładnéj pasieki.
Lasek należy cały do Dyjanny;
Lecz teraz, jak nam tutaj mnichy Greki
Wzięli kościółek i parafią, w dworku
Pasiecznym mieszka nasz ksiądz, ojciec Loga. —

Otóż w tym — jak dziś zwiemy go — klasztorku
Często z Dyjanką prosiłyśmy Boga
Za ciebie, biédny Panie Janie; często
Wieczorem, kiedy w łąkach derkacz krzyczy,
A staw nakryty mgłą srebrną i gęstą,
Pełny różowych smug, a głos słowiczy
Po czarnym lasku girlandami spada
Z dębów aż na staw, i za stawem jęczy:
Często Dyjanka księdzu Lodze gada
O tobie, o téj śnieżno złotéj tęczy,
Która świéciła, gdyście wy Cyganki
Na Sybirze się o wasz los pytali. —
Nie wiem, czy równie ty nas, dwie wygnanki,
Pamiętał? — Jak ty westchnąłeś! — Cóż daléj?..
Cóż ja mówiłam? Ha!.. więc do téj chaty,
Jeśli chcesz, siostrę moję zaprowadzę.

JAN.

Ale nic nie mów!

STELLA.

Nic...

JAN.

Ptaszku skrzydlaty!
Zawsze, jak widzę, masz rusałki władzę
Nad twoją siostrą.

STELLA.

O! zawsze mnie słucha!

JAN.

Więc dobrze: będę wieczorem w pasiece. *(wychodzi).*

STELLA.

Powiem Dyjance, że zobaczy ducha.
(żywo).
Ducha zobaczy! ach! zaraz polecę
I powiem Dyani, że ducha zobaczy.
(Chce wychodzić — wchodzi HRABINA IDALIA*).*

SCENA VIII.

STELLA i HRABINA IDALIA.

IDALIA.

Stelko!

STELLA.

Ach! Pani hrabina —

IDALIA.

Gdzie mama?

STELLA.

Niech Pani chwilę tu zaczekać raczy!
Pobiegnę, powiem...

IDALIA.

Stój! — ja pójdę sama?
Powiédz mi...

STELLA.

Pani jesteś cała drżąca.

IDALIA.

To nic... serce mi bije... jestem chora:
Z podróży jestem... z wielkiego gorąca...
Prędko jechałam pomimo doktora
Rad... mimo własne stokrotne zakazy.
(na stronie).
O nieszczęśliwa ja!... ach, i szalona! —
(głośno).
Czy są tu goście?

STELLA.

Jest hrabia Fantazy
Z panem Rzecznickim.

IDALIA.

Czy niepostrzeżona
Mogłabym, powiédz, podejść tam, gdzie oni
Są teraz wszyscy?

STELLA.

Wszyscy są nad wodą...

IDALIA.

Czy mię tam jakie ukrycie zasłoni?
Powiédz — czy jakie drzewą tam dowiodą
Aż do nich — blisko — abym niewidziana
Mogła dać jaki znak twéj mamie? Stello!
Patrzaj ty, jak drżą podemną kolana,
Jak moje oczy... *(na stronie)* Ach! piorunem strzelą
Na czoło tego zmiennika! sztyletem
Przebiją serce jego! —

STELLA.

Chodźmy, Pani!
Staniemy za drzew tych oto bukietem
W kłąbach georgiń —
(Wychodzą).

SCENA IX.

(Pod dębem w ogrodzie).

HRABIA i HRABINA RESPEKTOWIE, DYANA, MAJOR, FANTAZY i RZECZNICKI.

DYANA *(nalewając w filiżanki).*

Pan Major herbaty?

MAJOR.

Dawno ja takie widział jasne kwiaty
I takie drzewa!

HRABINA.

Bez kultury rosną.

MAJOR.

Wasz kraj ogrodem zdaje się i wiosną
Temu, kto stoi w śniegach garnizonem.
Nie dziw, że tęskno wam do waszéj ziemi,
Że wy wzdychali do niéj pełném łonem.
Ja to czuł dobrze!

HRABINA *(do Fantazego będącego w zamyśleniu).*

Z uszkami złotymi
Ta filiżanka grotesque się należy
Panu Hrabiemu. Panie Hrabio, proszę —

RZECZNICKI.

Fantazy!

FANTAZY.

Niechaj piorun mię uderzy!
Chociaż amulet koralowy noszę
Od złego oka, słyszałem za sobą
Szelest... i znany krok... czyscowéj duszy!

HRABINA.

Ta dusza miłą być musi osobą,
Że tak w Hrabiego sercu wszystko głuszy
I tak daleko od nas odprowadza
Myśli... i w taką nieprzytomność wtrąca!

FANTAZY.

Przepraszam Panią — to mi nie przeszkadza
Być tu — jak światło bladego miesiąca
Nie szkodzi lampom.

HRABINA.

Więc Pan Hrabia z nami?

FANTAZY.

Duszą i ciałem, sercem i oczyma!

HRABINA.

I nie zostało nic teraz z duchami?

FANTAZY.

Ani włos jeden!

DYANA *(podając filiżankę nieprzytomnemu Fantazemu).*

Ale czy Pan trzyma?
Niechże Pan trzyma! Ach! Pan puszcza z ręki!
(filiżanka pada i tłucze się).

HRABINA.

To nic! Dyjanko, nalej Panu drugą!

FANTAZY.

Na Chrystusowe zaklinam się męki,
Że nie umyślnie! — Jestem Pani sługą
Najpokorniejszym — przepraszam Ją za to;
Ale w téj chwili... gdybyś była Pani
W oczy mi lała gorącą herbatą:
Byłbym nie poczuł. *(na stronie).* Sami tu szatani
Grają komedyą ze mną najsmutniejszą.

HRABINA.

Dyjanko, naléjże Panu Hrabiemu,
Ale herbatę daj mu jak najlżejszą,
Daj cień herbaty.

FANTAZY.

Cień jéj? a to czemu?

HRABINA.

Szanuję nerwy Pana...
(widać za plecami Fantazego stojącą śród zarośli Idalią).
Co ja widzę?

FANTAZY.

Co to jest? komuż ukłon ten, Hrabino? *(kłania głową).*

HRABINA.

Nic... Stelka widząc na jednéj łodydze
Kwiat rzadki — za tą w gwiazdach georginą —
Gestem pytała, czy zerwać pozwolę,
A jam jéj na to odkłoniła głową...
Dawno Pan z Rzymu przybył na Podole?

FANTAZY.

Pół roku —

HRABINA.

Któż tam z naszych?

FANTAZY.

Daję słowo,
Że oprócz kilku wielkich dziwolągów
Suchych, co jeden za drugim się wleką,
Powysychani nakształt wodociągów
I wydają się ruinom opieką,
Jak mech i chwasty: nie ma w całym Rzymie,
Kogobym wspomniał.

HRABINA.

Przecież dla nas sielan
Wszystko ciekawe.

FANTAZY.

Przy ruinach drzémie
Jeden katolik Polak — i szambelan
Cesarskiéj Mości, wielki filharmonik:
Rogaty złotą lirą Apolina,
Śpiéwa, ale tak, jak Egeryi ponik
Mrucząc: niteczka głosu tylko sina
Z ust mu wypływa, młynów nie obróci,
A jednak ciurka wciąż włoską ruladą;
Milczenia anioł w nim siedzi i nuci;
Pitagor z całą swych uczni gromadą
Milczącą siedzi w nim; a rzecby można,
Że swojéj szkolnéj zasady nie łamie. —

HRABINA.

Któż więcéj?

FANTAZY.

Jedna hrabina pobożna,
Któréj spadają loki aż na ramię,

A w każdym włosa pierścieniu ukryty
Albo kanonik, albo Monsignore.

HRABINA.

Dewotka. — Jakież są więcéj kobiéty?

FANTAZY.

Najwięcéj blade są i bardzo chore,
Ruiny kobiét, resztki Karlisbadu,
Wód stalaktyty, zgasłe Wezuwiusze.

HRABINA.

Zacytuj mi Pan jednę dla przykładu!

FANTAZY.

Ach! jest tam, chora do głębi na duszę,
Znajoma Pani — Hrabina Idalia,
Rodzaj Pani Staël — machina parowa
Pisząca listy...

HRABINA.

Czy ładna?

FANTAZY.

Jéj talia
Jest do połowy z mgły, druga połowa
Bez kości, sprężyn, samą siłą skrętu
Idąca naprzód — zresztą w oczach cała...

HRABINA.

Piękne ?

FANTAZY.

Dwie czarne plamy atramentu
Na prześcieradle białém...

HRABINA.

Taka biała?!

FANTAZY.

Jak prześcieradło.

HRABINA.

I takie ma oczy?

FANTAZY.

Jakby atrament.

HRABINA.

Widzę ją przed sobą!

Kto prześcieradło to sztyletem zbroczy:
Popełni — wielką poezyą... z osobą,
Któraby dała dziś dziesięć lat życia
Za jaką scenę głośną i tragiczną. —
Jéj trzeba rany, usta ma do picia
Trucizny; — byłaby osobą śliczną,
Mając rozdarte serce lub sumienie,
Do miesięcznego modląca się blasku.
Nieszczęściem — takie biédnéj przeznaczenie —
Że jako okręt rozbity na piasku
Siedzi i czeka; lecz żądane burze
Nigdy ją z ziemi zabrać nie przychodzą.
Gdym przybył, chciała mnie poznać: ja służę
Chętnie kobiétom, ale się nie godzę
Być Danaidy beczką, w którą leją
Wszystkie serc swoich rdzawych niedokwasy. —
Przychodzę: — była zajęta ideją,
Że miłość wszędy i po wszystkie czasy
Była święconą, bo w treści jest wiarą
I jedynie się zasadza na wierze. —
Na to krzyknąłem bardzo wielkie „haro!“
I powiedziałem mojéj Pani szczérze,
Że miłość nie jest taką narkotyczną
Niedowiedzioną istotą; — że trzeba,
Aby tę gwiazdę zobaczyła śliczną
Przez alabastry płci jakiego Feba
Świécącą, w oczu skrze i na koralu
Ust gorączkowych... Gdym to rzekł, westchnienie
Z burnusowego wyrwało się szalu,
A ten szal — amiant — owinął płomienie
I przepalony, srebrniał w moich oczach,
Amiant prawdziwy! — Tu rzekłem, że widzę
Na jéj błękitno kruczanych warkoczach
Gwiazdę nieszczęścia. — Myślała, że szydzę,
Z początku; ale widząc, że ja na tém
Stanąłem, jako okręt na kotwicy,
Rzekła: — Ach! Pan mi będziesz duszą bratem!
Pan jeden — w jednéj czucia błyskawicy
Pojąłeś, co ja cierpię, co ja czuję,

Na jaką jestem samotność wskazana...
Rzekłem, że sercem się nad nią lituję,
Że mi potrzebna jest dusza siostrzana,
Jak rękawiczce nieparzystéj druga
Z téj saméj pary i z tego numeru.

HRABINA.

Przepraszam Pana — Stelka na mnie mruga.
(Wychodzi ku IDALII *i odchodzi z nią razem).*

(RESPEKT *bierze* MAJORA *pod ramię i odchodzą w inną stronę ogrodu*).

RZECZNICKI (*na stronie do* FANTAZEGO).

Teraz, Fantazy, z drugiego krateru
Sypnij Dyjanie w oczy!

FANTAZY.

Idź do dyabła!...

RZECZNICKI (*do* DYANY).

Zapewne Mamie Pani co się stało —
Może tam w domu Stelunia zasłabła:
Pójdę zobaczę. (*do* FANTAZEGO) Przypuść szturm, a śmiało!
(odchodzi).

SCENA X.

(FANTAZY *i* DYANA *sami*).

DYANA.

Chce Pan herbaty?

FANTAZY.

Nie.

DYANA.

Chce Pan odwiedzić
Moję ptaszkarnię?

FANTAZY.

Nie — pozwól mi Pani
Przy samowarze tym, co zaczął cedzić
Ukrop — pozwól mi z Plutona otchłani
Wydobyć słowo, które na cmentarzu
Żywych jest, jako trupia głowa w kwiatach.

DYANA.

Pan mówi?

FANTAZY.

Prosto mówię — o maryażu.

DYANA.

Ha!

FANTAZY.

Czy mam klęknąć?

DYANA.

W tych namiętnych światach,
W których Pan żyjesz, klękanie nie w modzie.

FANTAZY.

Zaprawdę — trochę już się zestarzało.

DYANA.

Więc...

FANTAZY.

Więc, hrabianko?..

DYANA.

W słowach tych na spodzie
Jest oświadczenie...

FANTAZY.

Cukier...

DYANA.

To za śmiało,
Mój Panie Hrabio! Wcale po kupiecku
Zbliżyłeś się Pan po towar. Gdzież łokieć?
I gdzie są szalki? — Szlacheckiemu dziecku
Bóg dał — patrz, hrabio — nawet ten paznokieć
U palca, jako rubin gdzieś obmyty
Krwią przodków, a gdzieś wzięty na Wezyrze!
Me łzy — patrz, są jak perły Amfitryty,
Bom obrażona we łzach. — W tym szafirze
Oka mojego znajdziesz niby mętne
Łzami rodowych myśli zdrojowisko.
Wszystko, co mogło w spadku dziecko smętne
Wziąć po umarłych: całe serc ognisko,
Z szlachetnościami wszystkimi — i całą
Myśli ich piękność — ja mam po nich w spadku;
A ten mój posag ich — to moje ciało!
Gdybym więc nawet kładła na ostatku
Duszę, i o niéj nie mówiła wcale,

Traktując z tobą o siebie na funty: —
To jeszczeby mi ust jasne korale,
To jeszcze oczy te, co straszne bunty
Podnoszą, ogniem i łzami ciskając,
Kazały dumną być w targu i trudną. —
Jakto? — więc chciałeś, hrabio, nie klękając
Jak przed Madonną na stepie odludną
Rafaelową, zrumienić jéj lice
I grubijaństwem cud otrzymać święty,
Że się łzami jéj napełnią źrenice
Lub z płótna tryśnie krew? — Więc żeś ty wzięty,
Żeś w okolicy sławny, że się ludzka
Miłość za tobą goni, żeś pomięty
Jak dziwna jaka perła kałakucka,
Tém droższa, ze ma kształt nieodgadnięty
I do perły jest niepodobna wcale,
Ale jest jako monstrum dziwne, drogie:
To już myślałeś, że ja się zapalę
Do tego dziwu, jak dziecko ubogie
Pierwszy raz brylant słoneczny widzące
Na twéj koszuli?... Bo wyznasz mi, Hrabio,
Że Endymiona mirty i miesiące
Niepotrzebne ci były tu, gdzie grabią
Siano tak podłych, jak ja, pełne kwiatków!...
Dobrze więc! oto odpowiem ci szczerze,
Tém szczerzéj, że tu jesteśmy bez świadków:
Ojciec mój daje mnie tobie, a bierze
Twoje pieniądze. Przebacz, że wyraźnie
Mówię... Mój ojciec ma ojcowskie długi,
A sam jest winien pół miliona w kaźnie,
A jutro wszystkim chłopom biorą pługi
I w każdéj chacie stawiają żołnierza.
Więc jeśli chaty te jutro posłyszę,
Że krzyczą: Boże! a Bóg nie uderza
Piorunem; jeśli duch, co we mnie dysze,
Modlitwą o! téj wioski nie obroni;
Jeśli mnie chłopki okrążą i padną
Do nóg, jak gdybym z gwiazdami na skroni
Stała w niebiosach, a ja męką żadną
Nie będę mogła wyratować ludu;

Jeśli Bóg z mego jedynie nieszczęścia
Chce siły, która, podobna do cudu,
Ten lud obroni: — to się do zamęścia
Z Panem... przychylę.

(wychodzi).

FANTAZY.

Co za duch! o Jezu!

RZECZNICKI *(wychodząc z za drzew).*

A cóż? — za drzewem stałem...

FANTAZY.

Wichry! burze!
Jestem szalony!

RZECZNICKI.

Napij się Xerezu.

FANTAZY.

Rzecznicki! w mojéj duchowéj naturze
Wielka się stała, ogromna przemiana!

RZECZNICKI.

Wiwat! — A cóż? rzecz czy do skutku doszła?
Czy panna w tobie szczerze zakochana?

FANTAZY.

Duchowi memu dała w pysk i poszła!

RZECZNICKI.

Wiwat!...

FANTAZY.

Lecz partya ta nierozegrana! *(wybiega).*

RZECZNICKI.

Poleciał; — dziwnie ten Fantazyusz żyje:
Z babami się jak na pałasze bije.

AKT DRUGI.

SCENA I.

(Z jednéj strony widać domek księdza Logi, z drugiéj sztuczną grotę otwartą; środek sceny zajmuje ogród, pełny w głębi skał połamanych, mostków wiszących i kwiatów).

IDALIA *(sama)*.

Nie! nie! Ja w domu tym, gdzie oni żyją,
Nie będę... tylko wytchnę sobie z drogi
I tu, gdzie różne powoje się wiją
Około sosen, w domku Księdza Logi
Pomieszkam. — Niech te źródła, gdzie Dyjanna
Widziała swą twarz, widzą me oblicze;
Niech widzą, że ja chociaż w serce ranna,
Bez trucizn jestem... Nie! — ja jéj nie życzę
Żadnéj tortury! Ja exaltowana,
Mówią: — dlatego właśnie przebaczyłam
I w osty moje kolące ubrana —
W osty, które ja łzami uiskrzyłam —
Podobna jestem... do jakiéj Rzymianki
Lub Florentynki, co poety słucha
I ma kolczate na warkoczach wianki,
Jak gdyby burza, powstająca z ducha,
Tłómaczyła się wieńca rozczochraniem
I kolcem liści zjeżonych na głowie. —
Poetą moim jest przeszłość: śpiéwaniem
Mego poety, jestem tu w połowie
Smutna i razem na poły radosna
Jestem, że mnie ta pieśń nad nich podnosi. —
Widzę, że trzeba mi będzie wziąć krosna,
Jak dawnéj Polce; i ten duch, co prosi
O piękność, a chciał niegdyś miesiąc złoty
Uczynić swoim zwykłym domownikiem —
Trzeba go, widzę, pięknością prostoty
Upoić; i mieć nad moim stolikiem

Zamiast miesiąca — twarz prababki białą,
Groźną — świętości lampę, twarz umarłą...
Tak, tak! — wrzeciono będzie mi burczało
I tańcząc złote me dywany darło,
A ja pomyślę patrząc: tak się kręci
Świat — tak tańcuje każdy modniś młody!
Taką niteczkę z jedwabnéj pamięci
Snuje za sobą! tak się w jedwab mody
Obwija, i tak — ot z rąk mi wylata
I już... odemnie wziął ruch, a mnie nie zna!...
Zaprawdę, że tak będę drwić ze świata,
Przędąc jedwabie —

SCENA II.

STELLA *i* JAN *wchodzą z przeciwnych stron, nie widząc Idalii).*

JAN.

Stelleczko lubiezna!
A cóż?...

IDALIA.

Ktoś idzie! — skryjmy się do groty.
(wchodzi do groty).

STELLA.

Niech Pan Jan do mnie po rusku nie gada.

JAN.

Słuchaj — to język jest mojéj tęsknoty,
Język, który mi z piersi tak wypada,
Jak pies, i wyje — wyje, jak przy trumnie,
A czasem w ustach jak karabin szczeknie...

STELLA.

Dobrze — lecz Pan tu na gościnie u mnie,
W mojéj pasiece; a więc to niepięknie
W mojém królestwie i przy moim piesku,
Który jest moim ministrem policyi,
Niepięknie, że Pan mówi po moskiewsku.

JAN.

Dowcipny ptaszku!

STELLA.

Pies mój ciebie chwyci
Za piętę, jak cię poczuje Moskalem,
Bo nauczony tak — wziął edukacyą...

JAN.

Gdzież jest Dyjana?

STELLA.

Z bardzo wielkim żalem
Nie mogła tu przyjść.

JAN.

Ha!

STELLA.

Humla waryacyą
Na fortepianie gra...

JAN.

I tu nie przyjdzie?

STELLA.

Nie wiem; jak skończy, to może spacerem...
Bo wiesz, że ona jutro za mąż idzie.

JAN.

Jutro?!...

STELLA.

Cóż ci to?

JAN.

Prawda! — to jest zerem
W moim rachunku... Jutro więc — drżę cały —
Dyjana za mąż idzie... a za kogo?

STELLA.

Ach! jak szczęknęły dziwnie twoje strzały
W kołczanie! — Słuchaj — teraz z wielką trwogą
Patrzę na ciebie — teraz ty zupełny
Baszkir — ach czarny teraz Baszkir z ciebie!
Czemu ty patrzysz tak na księżyc pełny?

JAN.

To nic, Steluniu; szukałem na niebie
Tych gwiazd — tych siedmiu gwiazd, związanych razem,
Które ty niegdyś, astronomka złota,
Pokazałaś mi nad strasznym obrazem

Zmrożonéj nędzy, zgasłego żywota,
Śnieżnego piekła. — Tutaj być powinny,
W téj stronie niebios — te skrzypce z gwiazd — skrzypce,
Po których ty jak aniołek niewinny
Wodziłaś smyczkiem. Twéj pasieki lipce
Nie są tak słodkie, jako ta muzyka,
Która na gwiazdach po tobie została;
I kiedym siadał pośród mogilnika,
To na Sybirze mi tam grała — grała —
Grała — jak wasz głos, panny... *(na stronie)* Czy w łeb strzelę
Sobie? Czy pójdę po żołniersku spić się? —

STELLA.

Skrzypeczka ta z gwiazd?..

JAN.

Na siostry wesele
Sprowadź ją z nieba!

STELLA.

Więc ty musisz kryć się?
Więc ty nie przyjdziesz jutro do kościoła?
Więc ty...

JAN.

O! biédny! biédny! biédny! biédny,
Który ojczyznę straci!

STELLA.

Nie kryj czoła!
My z Dyanią pacierz kończyły powszedny
Twojém imieniem; ty byłeś tu z nami
Każdéj niedzieli i każdego piątku;
Dyanka twoimi gadała słowami,
Na chrzcinach chłopskich każdemu dzieciątku
Dawała imię Jan... Dyanka dzisiaj szlocha,
Dyanka dziś blada, Dyanka dzisiaj chora:
O! ty wiész, ty wiész, że cię Dyanka kocha!

JAN.

Ha!

STELLA.

Ale mama z papą przyszli wczora,
Na łóżku siedli, mnie kazali iść precz,
Zamknęli na klucz drzwi — i coś tam siostrze

Gadali. Ona krzyczała: To miecz!
Trucizny dajcie! Sama nóż wyostrzę
I sobie gardło poderznę po ślubie! —
A mama z papą do niéj: Jesteś głupia!
Gadasz, jak gdybyś żyła w jakiéj grubie
Albo w romansach! — A tu nędza trupia!
A tu rodziny naszéj honor trzeba
Ratować! — A ty, głupia fircynelo,
Myślisz co? — z torbą po kawałek chleba
Naprzód, a starych nas dwoje ze Stellą
Za tobą, grać po kawiarniach w Kijowie
Na starych harfach? — Tu zaczęła mama
Mdleć — i mój papa załamał na głowie
Ręce — i nie wiem, co... Ale ja sama
Pod drzwiami płakać zaczęłam i ryczeć,
Aż po mnie biédna Dyjanka wybiegła,
Wzięła na ręce i zaczęła krzyczeć:
— Wezmę krzyż! wezmę krzyż! — i prześcieradła
Wlokąc, na ręku mię w ogród wyniosła,
Jak obłąkana krzycząc: — Wezmę krzyża,
Bo widzę, żem tu w domu na to rosła!

JAN.

To tak?.. Więc niechaj do mnie się nie zbliża
Ta męczennica! — Stelko, daj mi rączkę —
Proszę cię... teraz... na wszystko zaklinam,
Weź... oto widzisz tę złotą obrączkę!
Czekaj — bo jeszcze czegoś zapominam —
Weź... i ten suchy pierwiosnek, urwany
W dalekiéj ziemi łez, do któréj wrócę
Kończyć mój straszny czas... dźwigać kajdany.
Cóż mi więc z tego, że tu w piersi rzucę
Więcéj boleści i otworzę rany,
Zamiast... o! Stelko, dokończ tych wyrazów!...
I te — oto masz — drogie dla mnie dary
Schowaj!.. I kiedyś, późniéj — gdy z obrazów
Przeszłości żołdak, wasz przyjaciel stary,
Na umilenie jakiego wieczora
Wtrąci się nagle do waszéj rozmowy;
Gdy ten dom czarny z postacią upiora,

Cały sybirską zorzą purpurowy,
W oczach wam stanie; gdy to wszystko dawno,
Co kiedyś serca nam biédne dręczyło,
Stanie się marą: — ty wtenczas te jawne
Ślady przeszłości — z twarzą taką miłą,
Jak anioł, który w niebie przypomina
Boleści nasze, już dawno przebyte —
Rzucisz przed siostrą twoją do komina
I w skrach pokażesz — czarne — łez już syte
I obrócone w popiół...

STELLA.

Więc już z tobą — —

JAN.

Więcéj już ze mną nic...

STELLA.

Lecz cię zobaczę?

JAN.

W tym domu żadną nie jestem osobą,
Ale mundurem! Mniéj niż człowiek znaczę,
A więcéj żądałbym, niż król niebieski!
Więc wolę nie mieć nic — niż mieć pod miarą.
Nawet już, Stelko, te perłowe łezki,
Które ty, co mi serduszkiem i wiarą
Dotrwałaś, sączysz odwrócona bokiem —
Że są litością, to mi są obrazą! —
Idź, Stelko — ja tu sobie nad potokiem
Legnę i strzałek mych będę żelazo
Ostrzył, bo w biédzie przywykłem do pracy —
Jest mi kochanką! — mam także piosenki,
Które śpiéwamy sobie my żołdacy,
A w których jest — brud śmiechu i są jęki...
Bądź zdrowa! —

(Stella odchodzi).

SCENA III.

JAN, IDALIA.

IDALIA.

Poszła!... O! cudowna scena!

JAN *(kładzie się i śpiewa, Idalia słucha, postępując zwolna i cicho naprzód).*

Hej! hej! — Kaukaz nasz!
Hej! hej! — kopalnia cyn!
Hej! matka gorzałka!
Hej! kochanka mi pałka!
Hej ojczyzny ja syn!
Kto idiot? — Swoj! — Ty mój? ja nie wasz! —

— Dobrze ta straszna pieśń tu z echem wyje. —
Jeszcze raz niechaj mi jaka Kamena
Da głos i schwyci mię razem za szyję,
Abym zacharkał i wył jak hyjena. —

Hej! hej! trzymaj straż!
Hej! hej! zabębnił grzmot!
Hej! hej! siostra gorzałka!
A śmierć generałka!
Hej na konia, taj wlot!
Kto idiot? — Swoj! — Ty mój? ja nie wasz!

Jaka cudowna pieśń! — szczekają skały;
Jakby stu wilków otworzyło paszcze
I razem z głosem czarną krwią rzygały.
Po Pieśni jęczy powietrze i klaszcze,
Jak czarownica...

IDALIA *(niepostrzeżona przez Jana).*

A on u strumienia
Niby cudowny rycerz z Ariosta:
Głowę mu srebrny kołczan opromienia,
I zda się, ciepłe to powietrze chłosta
Energią głosu. Sylaby ostatnie
Jeszcze grzmią. — Ach! to jedna z dusz ranionych,
Jedna z dusz, które są mi dawno bratnie...
Znam go — ach! i tych wyłogów czerwonych
Dotknę się — nie tak, jak ten świat francuski,
Ale się dotknę, jak relikwii świętych...
(podchodzi ku niemu).

JAN.

Kto takoj?

IDALIA.

Polka!

JAN.

Nu tak szto?! ja Ruskij!

IDALIA.

Czy wielu takich jest na Sybir wziętych,
Jak ty? — Przebacz mi, że cię prosto tykam,
A nie obrzucam cię światowym „Panem“.
Wtém „ty“ ja wiele — ja wiele zamykam!
I więcéj daję ci nad ludzi stanem
Wyższości, niż świat da Jaśnie Wielmożnym.

JAN.

Nu — ja nie znaju szto!... ja z moim Chanem
Z majorem... tak my tu za podorożném
Zjechali pocztą.

IDALIA.

Biédny ty, człowieku,
Że się wystrzegać musisz własnéj mowy!
I ciągle być za serce — na tym ćwieku
Twojego krzyża! Jam mniejszéj połowy
Historyi twojéj wysłuchała, w grocie
Ukrytą będąc: — domyślam się reszty.

JAN.

Jeśli tak, powiem Pani, że w istocie
Śpiéwałem z bolu i z męki.

IDALIA.

A wiesz ty,
Że ja słuchając przysięgłam na ciernie
Chrystusa, że téj boleści pół biorę,
I będę tobie tutaj służyć wiernie
Sercem, co we mnie także bolem gore,
Także ranione. — Nie pytaj o więcéj,
Ale wiédz, że tu jedne mamy cele:
Ty ustępujesz — bo kochasz goręcéj,
Boś jest męszczyzną, bo masz mocy wiele
I szlachetność ci męska nie pozwala
Za prawo serca przeciw prawom ziemi
Bunt podnieść. Lecz ja — ja — mnie tu krwi fala
Na brzeg rzuciła, żaglami złotymi
Płynącą; tu ja próchnieję — ja, dawniéj
Różanym gwiazdom i kwiatom kochanka,

Ja, rozgłoszona już miłością sławniéj,
Niźli niejedna Neapolitanka
Sztyletem romans kończąca — a przecie
Tak porzucona, jak Basia lub Rózia,
W któréj się cała palestra w powiecie
Kocha i wierszem dzwoni, że jéj buzia
Jest pełna cukru!... Horor! mówię tobie.
Bo że ojczyzna ta mrze, to się zdaje,
Że wszystkie kwiaty więdną na tym grobie
I wszystko państwo ginie — a lokaje
W panów ubrawszy się, wiodą romanse,
Serca zdobyte czepiąc u zegarka;
Potém poezye piszą i bilanse
Handlowe... Taka wielka gospodarka
W głowie tych ludzi teraz, że na wszystko
Jest czas i miejsce: to też wszystko blade;
Każdy jest panem, paniczem i chłystką,
Każdy od kuchty swego bierze radę,
A gdy co czyni, to siebie się pyta,
Czy kamerdyner się tam gdzie na boku
Nie śmieje. — Słuchaj! ja jestem kobiéta:
To co mam w sercu, to widzisz i w oku —
Wzgardę, ogromną wzgardę, błyskawicę!
Otóż tą wzgardą... z tą wzgardą, o Boże!
Z tą wzgardą ja tu wpadłam w nawałnicę
Nieszczęścia — i coś rzucam w mgłę — coś tworzę —
Coś — sama nie wiem; ale jestem pewna,
Że przyjdzie jaki wypadek, zdarzenie,
Które tonacéj mi jak kawał drewna
Pomoże. A nie? — ha! to mam schronienie
Nie między ludźmi!...

JAN.

Darujesz mi Pani,
Lecz jeśli tutaj jest jaka kobiéca
Zemsta...

IDALIA (*z śmiechem szydersko-bolesnym*).

To ona się nie ukołczani! —
Co? — to ty, rycerz, nie spadniesz z księżyca
Na Ariostowym koniu, i kochanki
Jak sokół sobie nie weźmiesz z dziedzińca?

To za mnie bić się ty nie pójdziesz w szranki?
Cha! cha! cha! — ludzie myślą, że prócz sińca
Nic ofiarować nie można kobiécie!
Jeżeli nie dasz ręki — daj modlitwę,
Daj serce, sercem mi pomagaj skrycie!
Myśl twoję zawieś tak jako rybitwę
Nademną — sercem bijącą, krzykliwą!
Niechaj mię broni, niech wiem, że nademną
Jest kto mój — z parą skrzydeł sprawiedliwą,
Z szalą, która tu przez rękę nikczemną
Pofałszowaną nie była. I więcéj,
Więcéj żądałabym jeszcze od ciebie —
Ale to ledwo za kilka tysięcy
Lat człowiek będzie mógł dać zaraz z siebie
Na piérwszą prośbę, anielską a szczérą...

JAN.

Cóż to za taka prośba?

IDALIA.

O pokorę...

JAN.

A! to jest dla mnie, Pani, wielkie zero!
Ja, który teraz z kazny co rok biorę
Na żołd pół rubla, a resztę u chłopa
Muszę wyżebrać, mam pokory tyle...

IDALIA.

Nie masz jéj dosyć!

JAN.

Patrzaj: moja stopa
Wygląda z bóta...

IDALIA.

Słuchaj: ja się schylę
I pocałuję tę krzyczącą ranę
Twojego bóta — jeśli mi dasz słowo...

JAN.

Że...?

IDALIA.

Słuchaj! — wioski te są zrujnowane,
Połową jedną szlachcie, a połową

Skarbowi dłużne; — słuchaj! ślub Dyanny
Jest oto takiém bóta załataniem.

JAN.

A więc jest święty!

IDALIA.

Towar z niéj nie tanny
Zrobiono długiém bardzo targowaniem!
Na pół miliona zbito panny cenę
I teraz idzie z domu w pół-milionie!

JAN.

Niedrogo!

IDALIA.

Prosto idź na targu scenę
I mów, że siostra ci jedna po zgonie
Na zagranicznym banku zostawiła
Tyle, ile ci ludzie chcą za córkę...
Ja jestem twoją siostrą!

JAN.

Pani miła!
To przypomina mi „Z gorki na gorkę“,
Piosenkę ruską...

IDALIA.

Oko moje śledzi
Twe czoło — i twarz zda się nieczłowiecza.

JAN.

Nie, nie! — Coś w sercu tu polskiego siedzi,
Coś w sercu siedzi tutaj i zaprzecza
Takiego czynu — jakieś straszne „veto“,
Przeciw któremu nic — świat cały! — Nawet
Gdybyś nie była, o Pani, kobiétą:
Czuję, że musiałbym zaraz wet-za-wet
Na twoję złotą kulę odpowiedzieć
Ciężką, żebracką kulą — ołowianą...
Co to los! — Można nad strumieniem siedzieć
I kwiatów wonią oddychać różaną
I mieć w boleści ulgę od natury,
Co wszystkie, zda się, części zna bolące
I wie, gdzie dotknąć kości, a gdzie skóry.
Lecz człowiek, choćby wyższy nad tysiące

Ludzi, choć z chęcią najlepszą się zbliży,
Choć, jak ty, Pani, od róż weźmie woni
W słowach: — to zaraz czémś albo poniży
Albo łzę taką nad człekiem uroni,
Że ona jemu pali na wskróś czoło
I czerni wstydem.

IDALIA.

Ha! widzisz, jak trudno
Wejść w czarodziejskie tych aniołów koło,
Dla których taki czyn nie byłby trudną
Pokorą brata...

JAN.

Na Boga! na Boga!
Opuść mię, Pani — to jest dar szalonéj!...

IDALIA.

Bo ja szaloną jestem; bo złowroga
Gwiazda świéciła wcześnie urodzonéj
Pomiędzy ludźmi, którzy jeszcze rosną,
Nie śmiejąc kroku zstąpić z bitéj drogi.
Tak! — twa szlachetność jest cudowną wiosną
Dojrzalszych twych lat: każdy dziś ubogi —
Nie lokaj, ani piszczyk, wierz mi, Panie —
Tak jak ty, rzuciłby mi złotem w oczy!.....
Nie idzie za tém, by to odrzucanie
Było boskością: ono tak się toczy
Po bitéj drodze ludzkiego zwyczaju,
Jak stara Państwa Rzecznickich kareta...

JAN.

Tego już, Pani, ja nie panimaju
I śmiech mnie bierze —

IDALIA.

Śmiech? że ja, kobiéta,
Moim majątkiem rzucam tak jak błotem,
A sama choćbym poszła za klucznicę?...

JAN.

Kto Pani jesteś?!

IDALIA.

Jestem tu przelotem
Przelatujący anioł: błyskawicę

Rzuciłam w oczy tobie — i zniknioua
Jestem dla oczu twych, jak błysk na niebie...

JAN.

Stój!...

IDALIA.

Nie idź za mną!... *(odchodzi).*

JAN.

To jakaś szalona!
Ale oddałaby, widzę, w potrzebie
Duszę — choć dyabłu! Co do mnie, to może
Złoto więc rzucić swoje — i do stawu,
Bo mnie jak więźnia karmią ręce boże...
Jednak — ja nie wiem — ona mi wszczepiła
W to serce jakiś gniéw na tego człeka,
Który tu... który, jak pieniężna siła,
Jak wódz od swych wojsk dukatowych czeka
Zwycięstwa, a sam spokojnie i cicho —
Nie wytężywszy żadnéj serca władzy —
Weźmie ją... Pójdę — bo jakieś mi licho
Ubrązowane, jak ja, trochą sadzy,
Wściekłe, jak Baszkir gdzieś odźwierciedlony —
Pokazuje swe zęby zgrzytające.
O! co bym nie dał za plac rozmierzony
W dziesiątek kroków, a w ręku gorące
Dwa pistolety! — O! gdyby nie słowo,
Które odemnie Major wziął, że będę
Jako baranek i nic własną głową
Nie przedsięwezmę, ale na komendę
Jako machina będę się obracał
I wszystko czynił, co mi on rozkaże: —
O! jakżebym dziś te lalki wywracał
I tym światowym ludziom zajrzał w twarze
Spokojnie — ale marmurowo, krwawo,
Jak niegdyś w gardło harmat pod Warszawą...
(siada i czyści broń).

SCENA IV.

(Wchodzi KSIĄDZ LOGA*).*

KSIĄDZ LOGA.

Pobiegła... Męka to jakaś okrutna,
Która tę panią tak po lasach goni!
Chciałem przyjść z radą — a ona fiut! za dom
I poleciała nad staw jak cyranka.
A byłbym tu dał miejsce kilku radom
Dobrym, pokazał jéj śmierć i kochanka
W świétle właściwém... Czego chce odemnie
Ten ruski żołdak?

JAN.

Pomówić z Wacpanem.

KSIĄDZ LOGA.

Polak?

JAN.

Tak, Polak.

KSIĄDZ LOGA.

I Wacpan nikczemnie —
Po polsku czysto mówiący, więc stanem
Zapewne nie chłop rekrutowy, ale
Szlachcic — w moskiewskiéj służbie, z dobréj woli?...
Czego Wacpan chcesz?

JAN.

W tym w twoim zapale
Czuć, że na twojéj, mój staruszku, roli
Nie rośnie zdrada. Więc się tobie zwierzę
Pod tajemnicą jakoby spowiedzi,
Żem szlachcic, w proste posłany żołnierze
Za rewolucyą; że tu we mnie siedzi
Polska; że tutaj przybyłem sekretnie,
Abym się pozbył jednego ciężaru,
Który przez czasy mię dziesięcioletnie
Dręczył i nakształt straszliwego czaru
Myśl moję ciągle wypijał z płomienia,
Serce mi z ognia mojego wyniszczał...
Proszę cię, księże, byś z tego pierścienia...

(zdejmuje pierścień z palca i daje go Ks. Lodze).

KSIĄDZ LOGA *(opatrując).*

Złoty pierścionek —

JAN.

Który mi tak błyszczał,
Jak gwiazda niegdyś świécąca na kucyą
W domu rodzinnym...

KSIĄDZ LOGA.

Cóż z pierścionka tego...?

JAN.

Proszę, ażebyś zrobił restytucyą,
Bo go ukradłem.

KSIĄDZ LOGA.

Nie!

JAN.

Na Boga mego!
Bo go ukradłem...

KSIĄDZ LOGA.

Z męką ty straszliwą
Mówisz! — a ja ci mówię, ojciec stary:
Przedemną oto nie przysięgaj krzywo,
Bo ja ten pierścień znam, bom go u fary
Dawniéj poświęcił.

JAN.

Więc wiész, że jest wzięty?
Że dziś do niego nie mam, Ojcze, prawa?

KSIĄDZ LOGA.

Dobrze: wypełniasz obowiązek święty.
Niechaj ci, synu mój, wiara i sława
I patria będą pomyślne i dadzą
Swoje trzy wieńce, wieńce te zwyczajne,
Które na grobie wielkich ludzi sadzą
Te trzy kochanki. Bo ci to nie tajne,
Że ludzie wprzód do trumny odprowadzą —
Potém kochają. Cierp więc podług stanu,
A znoś cierpienia podług wielkiéj duszy;
A ja pamiętać będę o Wacpanu
W moich pacierzach...

JAN.

I perłami pruszy
Ze źrenic, jak król jaki ze skarbnicy...
Bądź zdrów, staruszku! — Dobrzy w Polsce ludzie!
(odchodzi).

KSIĄDZ LOGA.

Otóż sumienie téj młodéj dziewicy,
Która zrobiła ślub w sybirskiéj budzie,
Wolne jest. — Pójdę i pierścionek zwrócę.

AKT TRZECI.

SCENA I.

(Salon, jak w Akcie piérwszym).

FANTAZY i RZECZNICKI.

FANTAZY.

Rzecznicki! Dasia tu jest, albo była.

RZECZNICKI.

A ba!

FANTAZY.

Czułem ją po zapachu.

RZECZNICKI.

A ba!

FANTAZY.

Mówię ci, że się już nademną mściła
Przez tego czarta golijata, draba,
Baszkira: — już jéj wenecki sztylecik
Uczułem — i wiatr z jéj ust pełny szpilek
Już mię obleciał — już miałem pasztecik
Z jéj kuchni — już, już ten zemsty motylek
Zrzucił poczwarkę swoję i tu lata,
Zrobiwszy traktat z ludźmi na mą zgubę.

RZECZNICKI.

Mści się nad tobą?

FANTAZY.

Tak jako harmata,
Nabita puszką ćwieków.

RZECZNICKI.

Daj mi próbę,
Bo nie uwierzę.

FANTAZY.

Ten Baszkir najęty,
Ten Baszkir połknąć mię chce jak Jonasza.
Dziś właśnie, kiedy ranne dyjamenty
Stały na kwiatach...

RZECZNICKI.

Słuchaj: niech ta kasza
Z gwiazd, z dyjamentów, z kwiatów...

FANTAZY.

Jesteś gapem!
Otóż ci powiem prosto: dziś stoimy
Na ganku — Baszkir z ogromnym harapem,
W futrach, jak bożek gdzieś sybirskiéj zimy,
Ujeżdża konie — panny z ganku patrzą,
Starosta swoje anegdoty plecie...

RZECZNICKI.

Ty stoisz z twarzą od księżyca bladszą,
Jak Manfred...

FANTAZY.

A ty, mój swat, przy bukiecie
Jak Gaweł...

RZECZNICKI.

No! kończ! —

FANTAZY.

Wtém Baszkir niecnota
Naprzód mi konia prawie na pierś wsadza
Ogonem — zmykać przymusza, od błota
Spędza jak wróbla, pałaszem zawadza
O moje złote na piersiach binokle
I ciągnie —

RZECZNICKI.

No! to wszystko jest przypadek.
Takie zdarzenia mieli Temistokle
Na olimpijskich grach. — Ustępuj z kładek,

Kiedy przez błoto konie idą klusa.
Baszkir nie winien nic.

FANTAZY.

Ale mi potém
Bestya mojego zabił Spartakusa!

RZECZNICKI.

Jak to?

FANTAZY

Kiedy mnie już obrzucił błotem,
Dyabeł podszepnął jakiś pannie Stelli,
Że do Majora przybiegła i prosi:
„Niechaj, Majorze, Baszkir z łuku strzeli!“
Ojciec tę prośbę natychmiast podnosi,
Prawi uczoną wielką dysertacyą
O sławném z łuku strzelaniu Baszkirów,
Dowodząc, że zna strzał przez elewacyą.
Schodzą się panny, do niebios szafirów
Odprowadzają tę strzałę oczyma;
Ja sam aż w gwiazdy okiem idę za nią,
Widzę, jak srebrna się na niebie trzyma,
Maleńka — komar pod niebieską banią —
Potém przechyla — skręca — w ziemię mierzy
Główeczką srebrną, daje świdra, młyńca —
Spadła: patrzże, gdzie? — Mój Spartakus leży,
Mój wyżeł leży na środku dziedzińca,
Drgając łapami! — Czy tybyś uwierzył
Albo spodziewał się? — W niebiosa godził,
A szelma w mego Spartaka wymierzył!

RZECZNICKI.

Rzecz prosta: Spartak po dziedzińcu chodził —
To los...

FANTAZY.

Lecz psów tam — —

RZECZNICKI *(przerywa)*.

Więc Baszkir miał racyą,
Że najpiękniejszy wybrał cel. — Fantazy,
Strzelając, widzisz, tak przez elewacyą,
Trzeba mieć piękność celem...

FANTAZY.

Po sto razy
Mówię ci, że w tém czuć rękę Idasi.

RZECZNICKI.

Strzeliła z łuku?

FANTAZY.

No! zgryzłem to w sobie.
Wtém Stelka, co się do każdego łasi,
A coś z dyabełka ma w swojéj osobie,
Pyta Baszkira, jak się to przez barki
Ów kołczan wkłada? czy ciężki? czy z blachy?

RZECZNICKI.

No? i ten Baszkir...?

FANTAZY.

Syn jakiéjś Tatarki!
Zdjął kołczan i mnie — co jemu pod pachy
Byłem, a właśnie wylazłem był z kąta
I stałem przy nim z maleńką dziewczynką —
Przez głowę rzucił nagle jak chomąta
Ten kołczan, pasy te żółtawą glinką
Pomalowane: i nagle przed okiem
Panien zniknąłem, jakby syn Latony,
Okryty białéj kurzawy obłokiem —

RZECZNICKI.

I obryzgany i ochomącony
Jak koń —

FANTAZY.

I straszny wstał na ganku klamor,
A gdy opadł kurz, tom się przy łajdaku
Baszkirze — —

RZECZNICKI.

Pannom pokazał, jak Amor
W kusym tużurku, w sążnistym sajdaku
I ożółcony pasem ładownicy!
A ba!

FANTAZY.

Idalka więc w zmowie z tym chłopem!
Przysięgnę, że gdzieś stała w okolicy
Na wieży lub na dębie z teleskopem.

RZECZNICKI.

A ba!

FANTAZY.

Ty zawsze a! ba!

SCENA II.

(*wchodzi* HRABIA RESPEKT).

HR. RESPEKT.

Cóż, Panowie?!
Major nadzwyczaj smutny z tych wypadków —
Z żołdakiem się tym obejdzie surowie.
Kochałeś może tego psa? bez świadków
Może i parę łez nad nim zroniłeś?
Niech cię pocieszy to, że moja żona,
Któréj ty dawno głowę zawróciłeś
Twymi listami, już jest zatrudniona
Obraniem miejsca pięknego w ogrodzie
Na grób dla twego psa i monumenta.
Gdybyście byli z moją córką w zgodzie
Lepszéj: to możeby jakie mementa
Znalazła w książce angielskiéj i napis
Godny. — Lecz z moją córką coś ty, Hrabio — —
Chciałbym was widzieć jak lazuli-lapis
Błękitnych! chciałbym tu, pod czwartą schabią
Zobaczyć, czy ty masz serce?... Masz serce —
Ale zobaczyć chciałbym, czy się wreszcie...?
Wiesz, Hrabio, ojcem jestem... a kobierce
Nagotowane...

FANTAZY.

A my tu po kweście
Waszych serc...

HR. RESPEKT.

Niechże pan Fantazy gada,
Jeżeli można, bez żadnych floresów
Choć chwilę!

FANTAZY (*na Rzecznickiego wskazując*).

Ten Pan mój podpis posiada.

HR. RESPEKT.

Cha! cha! nie lubisz, widzę, interesów —
Dobrze — idź, same róże zrywaj, a my

Weźmiemy ciebie w siatkę — weźmiem w siatkę
I myśli twoje ładne pochwytamy
W piękne więzienie. — Masz ojca i matkę:
We mnie masz ojca, matkę — w mojéj żonie;
(do Rzecznickiego).
A my, jak ludzie ziemi, chodźmy pisać.
(wychodzi z Rzecznickim).

FANTAZY.

Czoło mi jeszcze całe wstydem płonie
Za tego starca. — Jak on się kołysać
Musiał — uśmiechać i na pół dowcipnie
A na pół seryo rzucać mi na szyję
Tę córkę! — Krew tak czerwona nie lipnie
Do rąk zabójcy, ani modre żmije
Nie okręcają takimi uściski
Laokontowych ramion, jak on zięcia! —
To dziwna! — Jak on żebraka był bliski —
Jak cały drżący porwał mnie w objęcia —
Jak od psa zaczął, a skończył na sobie:
Niby wyraźnie mówiąc: nad psem płaczę —
Więc płacz nademną! — Kiedy te łzy obie,
Co w oczach jego błysnęły, tłómaczę:
To mu odpuszczam uśmiech ów fałszywy,
Którym się zakrył przedemną jak maską.

SCENA III.

HRABINA RESPEKTOWA *(wchodzi).*

HRABINA.

Hrabio!

FANTAZY.

Jéj sługa!

HRABINA.

Mąż mój... dzień szczęśliwy!
Sądzę, że Pan Bóg nam swą świętą łaską
Pomoże... Hrabio! we łzach jestem cała,
Widzisz mnie drżącą: nie dziw się — ja matka!...

FANTAZY.

Pani mię mocno tém zobowiązała,
Żeś mnie tu wzięła piérwszego za świadka
Tych łez. Umiem je cenić.

HRABINA.

Niech Pan będzie
Pewny, że moja Dyana zrozumie
To serce jego; i chociaż nie wszędzie
— Bo ona latać po gwiazdach nie umie —
Poleci za nim: to przecież Go w żadnym
Złym losie córka moja nie opuści.
Ona ci będzie, Hrabio, kwiatem ładnym
W domu; przed twoją błyskawicą spuści
Oczy, i będzie płakała — nie wiedząc,
Skąd te łzy, czemu się po licach toczą.
Nigdy cię ona nie obrazi, śledząc
Twoich czynności; ani z twą proroczą
Przyszłości myślą będzie się kłóciła —
Ani z przeszłością twych złotych pamiątek
W bój wstąpi. Dla nas ona wszystkich była
Jak w domu jaki czarodziejski kątek,
Gdzie jest najlepiéj — smutnym!... Ale, Panie,
Ja, matka... muszę przewidywać za nią
I muszę matki to przewidywanie
Powierzyć tobie...

FANTAZY.

Od téj chwili z Panią
Nie powinienem mieć żadnych tajemnic.

HRABINA.

O tak! — nie prawdaż? — otwarci oboje
Wpuścimy oczy do najskrytszych ciemnic
Naszego czucia. — Hrabio, ja się boję,
Że tu... pod ławą tą — jakaś Westalka
Rzymska ma ogień jeszcze nie zagasły...

FANTAZY *(do siebie)*.

Jak widzę, była tu moja Idalka.

(głośno).

Pani, tym ogniem się serdecznym pasły
Różne... cóż powiém? różne salamandry
I w ogniu żyły...

HRABINA.

I są jeszcze żywe?

FANTAZY.

Nie wiém. — Nimfy się także w oleandry
Zmieniały dawniéj — albo nieszczęśliwe
W źródła płaczące, lecz w ręku poety
Dafne zmieniała się zazwyczaj w laury.
Powinnyby dziś to polskie kobiéty
Dobrze rozważyć...

HRABINA.

Wy jesteście Giaury,
Wy wszyscy Giaury! wy zawsze wracacie
Do piérwszych waszych snów — na śmierci łożu...

FANTAZY.

Czy tu przybyła?

HRABINA.

Jest.

FANTAZY.

Gdzie?

HRABINA.

W małéj chacie
U księdza Logi.

FANTAZY.

Chora?

HRABINA.

Jak na morzu!

FANTAZY.

Co?... ma chorobę morską?

HRABINA.

Ciągle mdleje.

FANTAZY.

Pójdę — to moje fatum ta kobiéta! *(wybiega)*.

HRABINA.

Mężu! Dyjano! Stelko!

SCENA IV.

(*Wchodzą wołani wszyscy — z nimi* MAJOR *i* RZECZNICKI).

HR. RESPEKT.

Co się dzieje?

HRABINA.

Poleciał do niéj!

HR. RESPEKT.

Wojna więc odkryta! —
Jak się to skończy?

HRABINA.

Ach! jak się to skończy?
Nieszczęście jakieś wyniknie.

MAJOR.

Paniska!
Czart złączył — Moskal tę parę rozłączy.
Bo ja zrozumial z mego stanowiska,
O co tu chodzi; tak dziś ja z Baszkirem
Moim nie wiele sobie pogadawszy,
Zrozumiał, że tu maryaż — a tam wirem
Jakaś kobiéta kręci... Tak ja krwawszy
Był żalem, niż wy, że mój Baszkir w zmowie
Z tamtą kobiétą drwił z waszego zięcia.
Więc ja rozwidnił Baszkirowi w głowie,
Że on zobaczył waszego dziecięcia
Nieszczęście, i sam zapłakał nad wami
I przyrzekł pomóc wam przeciw téj furyi.
Tak jeśli wam to nic, tak my tu sami
Zrobimy sztukę. Tak ja na dyżuryi
Przy sobie teraz zatrzymal Kałmuka
A Baszkirowi kazał jechać w pole.
Tak on téj pani hrabiny poszuka
I odprowadzi przez całe Podole
Babę do domu.

HR. RESPEKT.

To gwałt!!

MAJOR.

Nasza sztuka!
Co wam do tego?

HRABINA.

Lecz, Panie Majorze!...

MAJOR.

No! ja mam dekret na nią, że w jéj domu
Jest Włoch, Franmason!

HR. RESPEKT.

Ale w moim domu
Taki rapt...

MAJOR.

Co? ja źle zrobił?

RZECZNICKI.

Nikomu
Do głowy ani przyszło, byś Pan sobie
Tak śmiał postąpić.

MAJOR.

Tak ja źle się sprawił?

HRABINA.

Majorze, lepiéj abyś był nas obie
Zaaresztował!

HR. RESPEKT.

Mnie przed sądem stawił?

STELLA.

Nas kazał odwieść wszystkich do Kijowa...

HR. RESPEKT.

Mnie starca kazał chwycić na kibitkę...

MAJOR.

Nu! cóż ja zrobił?!

HRABINA.

Nic już! ani słowa!
Mężu! każ zaprząc! — Dyjanko, włóż świtkę
Czarną, podszytą łabędziami! — Stelko,
Przynieś mi boa! — sama włóż szlafroczek!
Tak jak kompanią tu jesteśmy wielką,
Jedźmy!

(Hrabia idzie do drzwi; służba się krząta; panny wychodzą i wchodzą przebrane).

MAJOR.

Ot piwa nawarzył!...

RZECZNICKI.

W tłómoczek
Włóżcie czém trzeźwić!

HRABINA.

Prawda! — Kajetanie!
Włóż do powozu — o! te dwa flakony.
Jedźmy!

MAJOR.

Ja zaraz tam dopędzę Panie
Z moim Baszkirem.

LOKAJ.

Powóz zaprzężony! —

HRABINA.

Jedźmy kompanią całą w przeprosiny!
Pan Major konno niechaj przodem rusza!

MAJOR.

Nu tak! ja przodem! —

HR. RESPEKT.

Przez lasek brzeziny!
(wszyscy oprócz Rzecznickiego wychodzą z pośpiechem).

RZECZNICKI.

A ja na mego czekam Fantazyusza.

SCENA V.

(Wpada FANTAZY*).*

FANTAZY.

Rzecznicki!

RZECZNICKI.

Co to?

FANTAZY.

Konia!

RZECZNICKI.

Intercyza
Już podpisana...

FANTAZY.

Słuchaj: w moich oczach
Porwał ją przez pól! chwycił jak narcyza!
Róże, co były w jéj czarnych warkoczach,
Wytrząsał! uniósł jak wicher! — Rumaka
I pistoletów!!...

RZECZNICKI.

Stój!

FANTAZY.

Póki na siodle
Dosiedzi jedna kosteczka Polaka,
To będzie rąbać!

RZECZNICKI.

Bah!

FANTAZY.

Jeśli ją podle
Opuszczę, to mi w twarz pluń! — Do widzenia!

RZECZNICKI.

Poczekaj! jakże to było?

FANTAZY.

Podchodzę —
Widzę ją zdala — nad brzegiem strumienia
Smętnie idącą: — już się na pół godzę
Z tą dawną myśli moich Pelejadą —
Wtém — patrzę: jakiś Kałmuk przed nią staje —
Pokorny zda się z razu — czy z doradą
Czy z prośbą?... Słucham, co? — wtém klasły gaje:
Dała mu ręką w twarz — do oczu skacze —
On ją porywa wpół, jak zwiérz unosi...
Horor!! puść — konia sam, biegnę, kulbaczę —
Lecę... Jeżeli ten Major się zgłosi
O swego człeka do sądu, daj parol
Za mnie, że człowiek ten wymazan z pułku
Znajdzie się w piekle!... *(Wybiega).*

RZECZNICKI.

Widzę, że wziął rzecz z poetycznéj strony!
A więc ja szłapię także — dla trzeźwienia
Różnych mdlejących; a zaś dla obrony
Od dyabła, z którym już walczyć nie mogę,
Wezmę na bryczkę moję księdza Logę.
(Chce wychodzić, wtém wchodzi IDALIA*).*

SCENA VI.

IDALIA.

Ha! Pan Rzecznicki?

RZECZNICKI *(zdziwiony).*

Co widzę?!

IDALIA.

Dla czego
Oczy Pan sobie przecierasz? — Zapewne
Cieniem się, marą wydaję dla niego!...

Obadwa macie serca bardzo rzewne:
Płaczecie trupów, nim umrą; a żywych
Macie za mary, gdy wam stają w oczy...
Cóż więc? natrętna jestem dla szczęśliwych?

RZECZNICKI.

Czy ja śnię?

IDALIA.

Cóż to?

RZECZNICKI.

Róże z jéj warkoczy
Mówił Fantazy — powylatywały!
Baszkir uchwycił ją w pół, jak narcyza!...

IDALIA.

Gdzież są ci państwo? — i gdzie jest dwór cały?
Słyszałam, że już młodych intercyza
Jest podpisana: — wszystkie serca mocy
Zebrałam — świadkiem szczęścia być przychodzę.

RZECZNICKI (*z szyderstwem*).

To więc ten Kałmuk...?

IDALIA.

Co za Kałmuk?

RZECZNICKI.

Nocy
Szecherazady!

IDALIA (*wzgardliwie*).

Czy tu Panu szkodzę
W jakich intrygach?

RZECZNICKI.

Bynajmniéj! nie widzę,
Abyś mi Pani teraz w czém szkodziła.
Sam jestem tylko w ogromnéj intrydze:
Przed chwilą Pani Hrabina tu była
Porwana...

IDALIA.

Jakto? ja?! — przez kogo, proszę?

RZECZNICKI.

Przez... przez... przez...
(*do siebie*) W zmowie jest baba z Kałmukiem —

(głośno).
Pani, jak widzę, masz wielkie rozkosze
Jak dawniéj, rządzić amorowym łukiem,
Wszystko zamieniać jak pędzel Albana
W obrazek pełny róż i Kupidynów —

IDALIA.

Co to za Sfinx jest nowy? — Proszę Pana
Mówić tu prozą!

RZECZNICKI.

Śród róż i jaśminów
Stojąc, jak słońce, co oku doskwiéra —
Z oczu olśnionych kochankowi zniknąć —
Zniknąć z Centaurem, tak jak Dejanira —

IDALIA.

Jak Dejanira?... Pan musiał nawyknąć
Lub do poezyi, albo téż do wódki
I spirytusu — żałuję Go mocno!

RZECZNICKI.

Widać, że Pani czas wystarczył krótki
Na tę przejażdżkę, zdrowiu tak pomocną
I fantastyczną —

IDALIA.

Czy Pan do mnie gada?

RZECZNICKI.

Pytam się Pani, czy koń dobrze niesie?

IDALIA.

Jaki koń?

RZECZNICKI.

Centaur.

IDALIA.

Jestem bardzo rada,
Że Pan tak mocny mitolog — w zakresie
Swojego głupstwa.

RZECZNICKI.

Jam także szczęśliwy,
Że Pani wracasz bez żadnego szwanku.

IDALIA.

Dziękuję, że Pan dla mnie taki tkliwy.

RZECZNICKI.

A gdzie jest Nessus?

IDALIA.

Czy pan?... Mój kochanku,
Zawsześ lokajski spełniał obowiązek:
Gdy Fanio w Rzymie był, toś od służącéj
Mojéj dostawał dla niego podwiązek,
Róż, co na balu na piersi gorącéj
Uwiędły; stałeś jako szpieg, przy bramie
Czekając, abyś doniósł, gdzie wyjadę...
A ja mówiłam: oto psie ma znamię
Ten człowiek — wierny jest! i nad gromadę
Ludzi wiernością wyższy jest ten człowiek;
A więc ma dobre serce, myśli świetne.
Choć więc z pod twoich szarych, wężych powiek
Odrażająca szła skra; nieszlachetne
Choć z ciebie jakieś pary wychodziły
I odrażały mnie instynktem ducha: —
Tylem zdobyła, że mi stał się miły
Twój widok i głos dla mojego ucha
Umiłowany. — Miéj więc dziś torturę
Z téj jednéj męki, która żre głęboko
Tą myślą: żeś był podniesiony w górę,
Że w jednéj stałeś opinii wysoko,
Że w jednéj myśli ty byłeś istotą
Wyższą nad ludzi, żem była gotowa
Klęknąć przed tobą: — a ty byłeś błoto,
Jednego nie wart spojrzenia i słowa,
Chodzący dowód, że mój sąd o świecie
Był sądem młodéj kobiety — pomyłką!
Teraz tu jesteś marszałkiem w powiecie:
Jego pieniądze wzniosły cię! Z posyłką
Już cię nie pośle po mego trzewika
Albo po zwiędły kwiat — pan teraz z ciebie!
Lecz to, co ludziom serce tu odmyka,
Szczęście... to ciebie tak, jak kreta grzebie
W intrygi — w lochy idące podziemnie —
W pochlebstwa, które ci u niego służą. —
Cóż? — czemu teraz Pan już nie drwisz ze mnie?
Jakąż to mnie Pan po stepach podróżą

Prześladowałeś?.. Mów! — uwieńczę laurem
Komiczny talent Pana. Cóż? — ciekawa,
Z jakim mnie tu Pan wyprawiasz Centaurem?!..
Milczysz?

RZECZNICKI.

Więc to jest ta koszula krwawa,
Którą dał Nessus?

IDALIA

Cóż, ciągle te żarty?!

RZECZNICKI.

Wybacz mi Pani! — Cha! cha! cha! — nie mogę —
Pozwól mi Pani, że będę otwarty
I spytam: dobrą Pani miałaś drogę?
Czy trakt był bity i gładki i suchy?
Czy zdala widać było Kapitole?
Ach!.. jak to się te nazywają muchy
Świécące, proszę Pani... czy lucziole
Zą konia grzywą leciały jak grzywa
Z gwiazd? — Wszak podobno tak bywa w Italii —
Słowem, czy Centaur ten, który porywa
Z konia chwytając dziewicę w pół talii —
Czy nie obraził?

IDALIA.

Więc Panu się zdaje,
Że ja porwaną byłam?

RZECZNICKI.

Tak wieść niesie.
Zresztą patrz Pani — państwo i lokaje
Wszystko rozbiegło się oto po lesie...

IDALIA.

Gdzie?

RZECZNICKI.

Całe nasze poszło towarzystwo
W pogoń za Panią — sprzyja pora ranna —
Fantazy nawet tak jak na myśliwstwo
Wziął trąbkę.

IDALIA.

I on?!

RZECZNICKI.

A panna Dyjanna
Wzięła lornetkę.

IDALIA.

Ha!

RZECZNICKI.

I Pani Fanio
Wziął pistolety.

IDALIA.

Zrozumieć nie mogę.

RZECZNICKI.

Ja także, wierny sługa, chciałem za Nią
Pędzić się jak wiatr, wziąwszy księdza Logę,
Nie wiedząc, czy ślub, czy pogrzeb wypadnie
Z natury rzeczy.

IDALIA.

I Pan sam we dworze?

RZECZNICKI.

Samiutki!

IDALIA.

I dwór wyjechał gromadnie?

RZECZNICKI.

Wszyscy! i Baszkir nawet przy Majorze
Poczwałowali.

IDALIA.

Więc i Pańska żona?

RZECZNICKI.

Jakto!?

IDALIA.

I żona Pańska z nimi razem?

RZECZNICKI.

Ja tutaj jestem nakształt Korydona,
Tęskniący za jéj dalekim obrazem.
Szczęście to dla niéj, bo z tą katolicką
Duszą, o Pani słysząca przygodzie...

IDALIA.

Jakto? — ja z panią Omfalią Rzecznicką
Tu przed godziną gadałam w ogrodzie.

RZECZNICKI (*zmięszany*).

Pani żartuje...

IDALIA.

Nie żartuję wcale!
Owszem mówiła, że ci chce siurpryzę
Zrobić: — ubrała się w błękitne szale
I w blondynową wielką moję kryzę —

RZECZNICKI.

I w Pani kryzę?! —

IDALIA.

Nawet wyznać muszę,
Że Pana chciała podejść w moim stroju
I pomieniała się na kapelusze
Ze mną.

RZECZNICKI.

I pieszo szła?

IDALIA.

Jak dla podboju
Serca Pańskiego!

RZECZNICKI.

Szła pieszo?.. ogrodem?..

IDALIA.

Przez parkan do mnie skoczyla z powozu.

RZECZNICKI.

Prru! prru! prru!

IDALIA.

Że mnie naśladuje chodem,
To wiész...

RZECZNICKI (*do siebie*).

Czuję dreszcz — prru! ściętym od mrozu!

IDALIA.

Czy Panu słabo?

RZECZNICKI.

To nic... (*do siebie*) Z mego łona
Wychodzą mrówki, za serce mię chwyta!
(*głośno*).
Czy Pani pewna, że to moja żona!

IDALIA.

Jak to?

RZECZNICKI.

Może to kto?.. jaka wizyta?..
Ktoś wzrostem do niéj podobny?... jéj talia
Nie jest znacząca...

IDALIA.

Ja panu powiadam
Wyraźnie: Pani Rzecznicka Omfalia,
Z którą ja...

RZECZNICKI.

Więc — więc — więc do nóg upadam!
(chce wychodzić).

IDALIA.

Gdzież Pan?

RZECZNICKI.

Niech Pani Hrabina przebaczy! —
Droga mi każda chwila i minuta.
(do siebie).
Ten Kałmuk... moja żona... sto kartaczy!!...

IDALIA.

Ha! więc tu jakaś intryga popsuta — —

RZECZNICKI.

Tak, tak! intryga jakaś —
(krzyczy przez okno). Wyprząc z bryczki,
A włożyć siodło!

IDALIA.

Pan jest niespokojny?

RZECZNICKI.

Ale czy Pani pewna?

IDALIA.

Przez uliczki
Te jaśminowe szła...

RZECZNICKI.

I Kałmuk zbrojny..?

IDALIA.

Co?

RZECZNICKI.

Kałmuk zbrojny podjechał?

IDALIA *(śmieje się).*

Cha! cha! cha!
Teraz rozumiem!...

RZECZNICKI.

Tak, Pani rozumie,
Że taki afront...

IDALIA.

Przejażdżka!... Gdzieś macha
Z Kałmukiem, jak wiatr —

RZECZNICKI (*przez okno*).

Ten szelma nie umie
Położyć siodła!... podepnij strzemiona!
Ale jeszcze raz błagam na kolanach,
Czy Pani pewna, że to moja żona,
Którą — —

IDALIA.

Tak — którą —

RZECZNICKI.

Niesie po kurhanach.
Nie! nie, nie! — bo to przechodzi granice
Wszelkiéj na świecie znanéj... tak nie było!...
Ale —

IDALIA.

Być mogło!

RZECZNICKI (*krzyczy w okno*).

Wkładaj-że terlicę!
Na Boga! Czy ty masz serce, Hawryło?!
Cóż ty tam myślisz?!

IDALIA.

Więc Pan także kłusa
Jako Kupidyn w obrazku Albana?..

RZECZNICKI.

Pani widziałaś ją?...

IDALIA.

Nim przez Nessusa
Była porwaną...

RZECZNICKI.

Pani dzisiaj z rana
Widziałaś?

IDALIA.

Dzisiaj.

RZECZNICKI.

Czy spytać pozwoli,
Jak to być może dawno?

IDALIA.

Niezbyt dawno!

RZECZNICKI.

Karczmy dwie! — jeśli jechali powoli,
To przy tych karczmach... To jest bardzo jawno,
Że jeszcze nie są w lesie... Tak! być muszą
Przy karczmach... Gdyby tam jaki znajomy
Był taki dobry!..

IDALIA.

Nim do lasu ruszą...

RZECZNICKI.

Ha! Pani ze mnie drwisz?... Niech trzasną gromy
We mnie i w moję hańbę!! *(Wybiega).*

IDALIA.

Przecież — człowiek!
Gdy ból mu wszystkie zęby powyrywał,
Zacierpiał sercem, krwią — i trysnął z powiek
Iskrą człowieka. — Lecz jak długo pływał
W błocie i patrzeć nie pozwolił z góry
Na konwulsyjne swoje śmieszne męki!
Ja, nawykniona śród każdéj tortury
Nadziei z serca, a trucizny z ręki,
Zawszem gotowa powitać wypadek
Uśmiechem — albo śmiertelną bladością.
Lecz ten rozsądny i kościany dziadek
Za swą porwaną poleciał Jéjmością
Już bez rozumu — na wychudłéj szkapie,
Bótów cholewy pokazując szare. —
I to się zowie świat zimny, co chrapie!
Kiedy mu serce, miłość albo wiarę
Wspomnisz — wszystko to romansem nazywa!
A gdy sam w romans wpadnie — kawał błota —
Jak żyd na koniu wychudłym się kiwa!
Gdyby na drodze stały, podruzgota
Apolinowe posągi! i wróci
Z małżonką w ręku, jako Hesperyda
Z jabłkiem. — O ten świat — że anioły smuci,
Nie dziw! — Mnie samę wzgarda i ohyda
Bierze, gdy widzę, że takie gadziny

Rozsądkiem przeciw exaltacyi świszczą?
A jakieżto w tym domu były czyny
Ludzi, co sercem i rozumem błyszczą?
Przedali córkę — mnie, natrętną marę,
Chcieli oddalić — jak? — afrontowana!
Tak że mi chyba wziąć habity szare
I za klasztorną trzeba było ścianą
Przeżyć ostatek... Precz, serca przedajne! —
Za was rumienię się, jak róża sromu. —
Szczęście, że blisko konie mam rozstajne.
Powrócę — sama — do smętnego domu
Z moją niedolą i z mojém cierpieniem
Dawném, lecz mędrsza stokroć doświadczeniem.

AKT CZWARTY.

SCENA I.[1])

(Mieszkanie hrabiny Idalii).

RZECZNICKI i HELENKA, *(która uprząta pokój).*

RZECZNICKI.

Helusiu, widzisz — do waszego domu
Musiałem z moją żoną — była chora.
Proszę, nie mów też Panienka nikomu,
Że ja tu konno z nią. Tego wieczora
Miałem przypadek — powóz mi się złamał;
Musiałem na koń wziąć — żona mi słabła...
Czy doktor już był?

HELENKA *(do siebie).*

O! to się wykłamał!
Żona w malignie mówi, że przez dyabła
Była porwaną...

RZECZNICKI.

Co mówisz Acanna?

---

1) Cała scena I i początek drugiéj przekreślone są w autografie poety.
(Przyp. Wyd.).

HELENKA.

Mówię, że Pani Marszałkowa chora.

RZECZNICKI.

Tak, chora trochę. Ta przejażdżka ranna...
Ona ma nerwy słabe... do wieczora
Na koniu... aura zła... więc nieco słaba...
To to kobieta delikatna, święta!

HELENKA *(na stronie).*

O! delikatna! ta czerwona baba! —
Prawda, że teraz tak jak z krzyża zdjęta
I rozczochrana...

RZECZNICKI.

Patrzajno Acanna,
Czyj to jest powóz?

HELENKA.

Jedzie Pani nasza!

RZECZNICKI.

Idź, proszę, czy tam mojéj żonie wanna
Przygotowana? Niech się nie rozgłasza
Ta awantura między służącymi...
Idź! — ja tu Panią przyjmę i powitam.

(Helenka odchodzi — wchodzi IDALIA*).*

SCENA II.

IDALIA — RZECZNICKI.

IDALIA *(nie spostrzegając Rzecznickiego).*

O! jak tu miło! drzewami ciemnymi
Pozasłaniane okna — piersią chwytam
Powietrze pełne kwiatów... *(zobaczywszy Rzecznickiego).*
Co?! Pan u mnie?

RZECZNICKI.

Pani, pod samym jéj domem... wypadło
Do Niéj zajechać...

IDALIA.

I żona?

RZECZNICKI.

Jak w trumnie,
Jako grobowe, okropne widziadło.

IDALIA.

Tu?...

RZECZNICKI.

Tak, Wielmożna Mościa Dobrodziéjko,
Tutaj, na moich przyniesiona rękach.

IDALIA.

Gdzież ją Pan?.. lecz nie! nie jestem tak dziką,
Ażebym w Pana wycierpianych mękach
Szukała zemsty. Czyś Pan mógł zasłonić
Przed ciekawością sług?

RZECZNICKI.

Pani, ja sądzę...

IDALIA.

Że?

RZECZNICKI.

Że nie wiedzą...

IDALIA.

Chciałabym obronić
Pana, więc muszę... Nessus?

RZECZNICKI.

Wziął pieniądze.

IDALIA.

To słuchaj mię Pan! — Awantura taka
Dla was, którzy tu jesteście na świecie
Nakrochmaleni — każdy pół Polaka,
A pół aktora we własnym powiecie,
Jak na aptécznych półkach różne flaszki
Z etykietkami: ten polityk dzielny —
Ten sensat — a ten dowcipny na fraszki [1]).
Wamby, powiadam, niosła cios śmiertelny
Śmieszność, zabiłaby was na wiek wieków,
Na dzieci wasze spadła i na wnuki!
Bo z was można drwić, lecz tak jak z kaleków —
Nie potrącając nigdy krzywéj sztuki
Waszego ciała. — Twoje więc kalectwo
W dowcipkowaniu było: — a tyś ranny
W ten garb rozumu na całe sąsiedztwo

---

[1]) Aż póty scena ta przekreślona jest w rękopisie. *(Przyp. Wyd.)*.

Sławny!... Rogaty miesiącem Dyjanny,
Zgubiony człowiek! jeśli ja na siebie
Nie wezmę garbu twego, i niosąca
Ciężar, ciężaru tak nie upotrzebię,
Że skrzydlatością i blaskiem miesiąca
Moje ramiona dumne uwachlarzy
I upiękni mię, zamiast ciebie zabić. —
Pozbądź więc, proszę, Pan téj smętnéj twarzy,
Ja Mu przyrzekam przynajmniéj osłabić
Pierwsze wrażenie — oczu mych szafiry
I postać moję ułożywszy zgodnie
Ze smutną rolą nowéj Dejaniry...

RZECZNICKI.

Nie! To nie może być! — ja udowodnię,
Że jestem człowiek! —

IDALIA.

Lecz, szanowny Panie,
Tu przyjechałeś z żoną, twoją bryczką;
Kałmuk pieniądze dostał — i dostanie
Rozkaz milczenia. — Ja stoję z pożyczką
Mego honoru — ty szlachcic, bierz sumę,
Ani się pytaj! — bierz ją bez procentu!

RZECZNICKI.

Ja także, Pani, mam tu swoję dumę
I tę rzecz biorę także z fundamentu...

IDALIA.

Lecz patrz! Hrabiostwo Respektowie jadą: —
A więc ty powiesz im, że twoja żona...?

RZECZNICKI.

Ja nie wymówię tego.

IDALIA.

Więc tą radą,
Którą ci dałam, nie gardź! — Rzecz skończona!
Ja byłam w stepie przez ciebie odbitą —
Ja jestem teraz w łóżku mojém chora...
Mów — żartuj ze mnie — baw ich — bądź kobiétą,
Baw ich plotkami...

RZECZNICKI.

Lecz tego wieczora
Ja moję zrobię rzecz...

IDALIA.

Dobrze, pozwalam,
Lecz do wieczora ja rzecz moję zrobię,
I te małżeństwa wąsze porozwalam —
Albo... odejdę was, a wy na grobie
Grajcie komedyą.

(odchodzi).

RZECZNICKI.

Zda się dobra rada:
Na czas niech ona będzie tu na celu
Żartom. Ja potém zrobię rzecz nie lada;
Bo trzeba, żeby na obywatelu
Nie było plamy —

SCENA III.

(Państwo RESPEKTOWIE *wchodzą z* DYANĄ *i* STELLĄ).

HR. RESPEKT.

Witaj mi, Rzecznicki! —
A cóż tu? mówią — chora!

RZECZNICKI.

Tak, tą jazdą —

HR. RESPEKT.

Cyt! cyt!... to jéj dom — to kościół delficki!
Widzisz — przywiozłem całe moje gniazdo.
I Major z nami, ale go ukryłem
Po za kulisy; — w sam czas wyprowadzę
Na perypecyą... Ja z nim długo żyłem;
To prosty człowiek, dobry — —

HRABINA.

Czy ma władzę
We wszystkich członkach?

RZECZNICKI.

Co?

HRABINA.

Czy ją oszczędzał?

RZECZNICKI.

Tak, dosyć — —

HR. RESPEKT.

Czy gdzie nie zawadził w lesie?

RZECZNICKI.

Nie.

STELLA.

Więc nie bardzo rumaka rozpędzał?

HR. RESPEKT.

Dosyć — widzicie, że stanął przy kresie.
To dosyć... lecz nas nabawił kłopotu:
Wszyscy w cierniowéj jesteśmy koronie! —
Widzisz, Rzecznicki, takiego powrotu
Niktby nie życzył swojéj własnéj żonie.
W głębi — taka rzecz jest niemałéj wagi!...
Co to jest?!.. krew się na to każda burzy.

RZECZNICKI.

Gdzie jest Fantazy?

HR. RESPEKT.

Brakło mu odwagi!
W ogrodzie chodzi — wena mu tam służy —
Coś komponuje... *(do żony)* Wypraw do ogrodu
Dyjanę, niech ze Stelką idą obie...

HRABINA.

Czy położyli jéj na głowę lodu?

RZECZNICKI.

Tak, położyli.

HR. RESPEKT.

Przywieźliśmy tobie
Kapelusz —

RZECZNICKI.

Jak to?

HR. RESPEKT.

Przestrzelony z łuka,
Strzałą rogaty — tak, strzałą rogaty!
Widzisz — był rozkaz dany dla Kałmuka,
Ażeby leciał jak Amor skrzydlaty,
A nie dał sobie odbić téj hrabiny —
Major mu to sam wyraźnie powielił.
Otóż on widząc twe rycerskie czyny,

Gdyś go dopadał: przymierzył i strzelił —
Jak gdyby na twój rycerski kartelusz
Odpowiadając — prosto tobie z łuka.
Szczęście, że trafił cię tylko w kapelusz!
Stelusiu, niech go Kajetan poszuka,
Niech tu przyniesie. *(Stella wychodzi).* Pokazać ci chcemy,
Że twój rycerski czyn nie uszedł oka;
I ubierzemy ciebie, ubierzemy
W strzały — —

RZECZNICKI.

Rzecz to jest zanadto wysoka,
Aby żartować...

HR. RESPEKT.

No — ty jesteś skromny,
Ja wiém; ty skromny jesteś. Cały w locie —
Możeś był nawet sobie nieprzytomny,
Gdy cię ten Kałmuk — —

RZECZNICKI *(przerywa).*

Tak, Hrabio, w istocie!...

HR. RESPEKT.

Gdy cię ten Kałmuk ubrał, ubrał w strzały —
Numida jakiś — —

RZECZNICKI.

Więc Pan wie?

HR. RESPEKT.

Numida,
Mówię ci, jeździec jesteś doskonały!
Widzisz — talent się taki zaraz wyda,
Mój ty kochany Rzecznicki!

RZECZNICKI.

Co, Hrabio?

HR. RESPEKT.

Daj, niech cię z serca uściskam!... Szałaput!
Jeżeli w tobie lata nie osłabią
Téj żyłki, to gdzieś zrobisz verte-caput.
Orlando! — gonił się jak za podradem!
Orlando!

RZECZNICKI.

Hrabia się powtarza...

HR. RESPEKT.

Drogi!

RZECZNICKI *(do siebie).*

Zemszczę się! *(głośno).* Czy Hrabia jadąc moim śladem
Nie znalazł... czy gdzie nie postawił nogi
Na tym papiérze...? Otóż to przypadek!
Intercyza mi wypadła z kieszeni.

HR. RESPEKT.

Cóż? — ty sam stoisz jak układów świadek —
Rzecz małéj wagi — papiér się odmieni —
Lekka odmiana! Nową intercyzę
Przypieczętujesz litewską Pogonią.
Tak! Pogoń teraz weźmiesz za dewizę,
Pogoń ognistą — z uwieńczoną skronią...
Lecz widzę, że zły jesteś.., a to zwykła
Rzecz w ludziach, co się heroizmu wstydzą —
Wstydzą i tak się czerwienią jak ćwikła,
Kiedy się nagle w laurach jasnych widzą
A niby niemi gardzą... Moja żono,
Pójdźmy na ogród z dziećmi, nim Hrabina
Zgodzi się naszę postać zasmuconą
Oglądać. *(wychodzą).*

RZECZNICKI.

Piekło! piekło!... Starowina
Pod paznokcie mi w nogi wbija drzazgi!
Na mękach jestem!...

(Wbiega FANTAZY*).*

SCENA IV.

RZECZNICKI — FANTAZY.

FANTAZY.

Rzecznicki, jestem trup!

RZECZNICKI.

Co to się znaczy?!

FANTAZY *(rzuca się w fotel).*

Okropny, mówię, miałem pojedynek!

RZECZNICKI.

Z kim?

FANTAZY.

Z tym Moskalem...

RZECZNICKI.

Tysiąc sto kartaczy!!
Bez sekundantów?!

FANTAZY.

Wieczny odpoczynek
Mów za mnie... jestem trup!

RZECZNICKI.

Na Pana Boga!
Gdzieżeś raniony? jesteś żywy, cały! —

FANTAZY.

Mówię ci, że już moja prawa noga
W grobie... i moje złote ideały
Biorą twarz czaszki. W myślach moich zamęt!
(Wskazując na biurko).
Masz papiér? siadaj, proszę i bierz pióro:
Chciałbym... w trzech słowach tutaj mój testament
Napisać...

RZECZNICKI.

Słuchaj...

FANTAZY.

Pisz! —
(Rzecznicki siada i bierze pióro do ręki).
Milijon z górą
Mego majątku, kiedy się spienięży —
Zamienić w złoto, w jeden zlać pierścionek
Spleciony kształtem saturnowych węży —
Poświęcić — wyryć na nim: t r u p m a ł ż o n e k
S w é j n a r z e c z o n é j — i Pannie Dyjannie
Wtoczyć go. Jeśli nie weźmie — w staw rzucić!

RZECZNICKI *(wstając).*

Czyś ty oszalał?!

FANTAZY.

Ja téj młodéj pannie
Winienem wiele. — Gdybym mógł powrócić
Z grobu, to życie zacząłbym inaczéj,
Prościéj — i młody starałbym się o nią.
Jutro — jak ona w trumnie mię zobaczy:

To pewny jestem, że mnie siostry dłonią
Uściśnie... Ale ostatnia godzina
Moja... innym się tu duchom należy.

RZECZNICKI.

Panie Fantazy! w imię Ojca, Syna...
Gdybym cię nie znał...

FANTAZY.

Dość! czas szybko bieży...
Do grobu śpieszno — a strach!... Nie idź za mną!
Bo gdybyś i szedł: to nie trafisz wcale;
Śmierć ma tebańską stolicę stubramną;
Jedne są bramy jak krwawe korale
Czerwone — inne są jak perły białe;
I białe, bez ran, duchy przez nie wchodzą.
Bądź zdrów!... Królestwo mego ducha całe
Niezbuntowane, ale z ciała już się płodzą
Robaki... i te w ustach słowa zimne
Są robakami...

RZECZNICKI.

Niech cię sto piorunów!!..

FANTAZY.

Ha! ha! ha! teraz pod laurami drzémnę
I Plutonowych dosiędę biegunów
We śnie... Rzymianin jestem...
(wychodzi).

RZECZNICKI.

Co to znaczy?!
Na Boga! muszę widzieć się z Majorem
Twarz w twarz: on mi to wszystko wytłómaczy
I pod właściwym te rzeczy kolorem
Musi obaczyć ze mną, i traktować
Jak ze człowiekiem...

(*Wchodzi* IDALIA).

SCENA V.

RZECZNICKI — IDALIA.

IDALIA.

A cóż?

RZECZNICKI.

Niechaj Pani
Leci! Fantazy coś zaczął waryować...
Wszyscy w tym domu jak powaryowani!
Ja także myślę po waryacku skończyć.
Do nóg upadam!..

(wychodzi).

IDALIA.

Co mówił? — Fantazy
Waryuje? — Cóż to? — Ach, jak łatwo złączyć
Miłość z szaleństwem! Są to dwa wyrazy
Nierozłączone. — Waryacya więc wraca
Do tych różanych uczuć, owiniętych
Girlandą kwiatów i gwiazd, i zbogaca
Krainę duchów, moc pieśni natchniętych
Rzucając wiatrom... Ach! gdyby godzina
Tego żywota, gdy mię ciągle poił
Z serca, jak z czary! — Gdy nakształt murzyna
Otellowego — w sztylet się uzbroił
I przyłożywszy mi do piersi — czekał,
Czy w oczach moich strach, czy uśmiech będzie?
A uśmiech z oczu moich nie uciekał,
Ale jak pająk, który z blasku przędzie
Swe pajęczyny złote na szafirze
Jakiego kwiatu: podobnie mi radość,
Że się przez jego śmierć do nieba zbliżę,
Opromieniała oczy. — O! jak bladość
Śmierci daleka była od téj bieli,
Którą on wtenczas zwał alabastrową!
O! jak mi dobrze było, na pościeli
Granitów rzymskich — z pochyloną głową
Nad nim, oddychać różami Cezarów
I widzieć, jak się w tym człowieku rodzi
Nowy ideał wieków, pełny czarów,
Który mu całą przyszłość rozpogodzi,
Jeśli nie skala się tém ludzi błotem
I nie zapragnie spić się moszczem wina.

SCENA VI.

(HELENKA *wchodzi*).

HELENKA.

Pani nie przyjmie więc Hrabiny?

IDALIA.

Potém.

HELENKA.

Koniecznie Panią chce widzieć Hrabina,
Ze łzami prosi.

IDALIA.

Więc wpuść ją, Helenko;
A gdyby chciał tu wejść i pan Fantazy,
To... to mnie ostrzeż wprzód jaką piosenką,
Albo przed drzwiami kaszlnij kilka razy.
A teraz wpuść tę Walterskotkę ...

(Helenka wychodzi).

(Wchodzi HRABINA RESPEKTOWA*).*

HRABINA.

Droga!
Moimi łzami zlana — krew bym dała!
Bogdajby tutaj nigdy moja noga
Nigdy, ach! nigdy więcéj nie postała:
Jeśli ja winna co, że tobie, duszo
Anielska, taki sztylet!... Ja to czuję...
Wszystkie się żółci we mnie tém poruszą.
Bo ja kobiéta, bo mnie także truje
Ten świat, przeciwko nam ciągle i wszędy
Na wspak idący... Ja tego Majora —
Gdyby nie mój mąż — tobym do komendy
W łańcuszkach była odesłała wczora
Z mojego domu! — O! kraj nieszczęśliwy,
Gdzie Moskal, widzisz, pijany robi burdy,
A my musimy cierpieć!.. Jak Bóg żywy,
Polacy dawniéj byli haraburdy,
Lecz teraz... są mniéj, niż...

IDALIA.

Nie płacz, Hrabino,
I nie utyskuj: moja reputacya

Jest taką dzisiaj odzłoconą cyną
I woskiem...

HRABINA.

Ja wiem, że ci aprobacya
Ludzi niczém jest; bo ty — w sobie złota,
W sobie zamknięta, jak brylant bez ceny —
Pogardzasz każdą garścią tego błota,
Którém świat... Lecz ten z nad Oki czy Leny
Major — prawdziwy jakiś barbarzyniec —
Wstyd mi, że w moim domu — wstyd mi wielki!
To ja zelżona! Wyjdę na gościniec
I siędę w karczmie, bo obywatelki
Dom stał się karczmą...

IDALIA.

Odmieńmy rozmowę,
Proszę... Powiédz mi, gdzie wyprawę szyto
Dla twéj Dyjanki?

HRABINA.

Ach! ja tracę głowę!
Ten maryaż!... Głowę mi, Pani, nakryto
Jak kuropatwie... jam ani wiedziała,
Że pan Fantazy... nie jest sercem wolny.

IDALIA.

On wolny.

HRABINA.

I tyż to mówisz, Idalko?! —
On! co powinien był, a był niezdolny,
Uznać, że tobie będąca rywalką
Moja Dyjana — bez pochlebstwa gadam —
Gaśnie, jak świéca gaśnie w słońca blasku...
O nie! Ja jemu teraz w oczy zadam
Fałsz! — Nie myśl, proszę, że my go w zatrzasku
Trzymamy, jako złowionego szczygła:
On wolny —

IDALIA.

Wolny?...wszakże już kontrakta
Pomiędzy wami —

HRABINA.

O nie! tyś prześcigła
Za rzeczywistość. Czyżby jakieś akta

Mogły poprzedzić czyn, gdzie miłość sama..."
Ty to rozumiesz — maryaż jest osnuty
Na sercu —

IDALIA.

O tak, na sercu.

SCENA VII.

(*Wpada* STELLA *na scenę.* HRABINA RESPEKTOWA — IDALIA).

STELLA.

Niech Mama
Leci!..

HRABINA.

Co?!

STELLA.

Dyanka — —

HRABINA.

Co?.. (*wybiega ze Stellą*).

IDALIA.

Maryaż popsuty
Sercem! — Zeszła się Dyanka z panem Janem —
Sztambuch przejrzała i zeszła się w sieni
Twarz w twarz z tym pięknym brązowym ułanem,
Co teraz nosi koszulę z pierścieni
I burkę — straszny na miłości scenie
Aktor... (*Wbiega* HELENKA).
Helenko, cóż?

HELENKA.

Panna omdlała
I padła głową swoją na kamienie.
Gdy ją podjęto, z czoła krew się lała,
Zbladła jak kreda, a łkała jak dziecko.

IDALIA.

Ale nie mocno ranna?

HELENKA.

Nie! przytomna...

IDALIA (*do siebie*).

Czuję, że scena ta była zdradziecką;
Ten sztambuch — potém on — taka ogromna
Nagłość — i takie przejście... (*głośno*). Daj mi burnus!

Lecz nie — ja się tam teraz nie pokażę;
Tu będę, jak ten brązowy Saturnus,
Co nieruchomy siedzi na zegarze
I pod nogami swymi ma godziny
Obracające się...

SCENA VIII.

(Wchodzi LOKAJ, *i niesie karteczkę i sztylet).*

LOKAJ.

Pani, ten bilet...

IDALIA.

Co widzę?! — Boże! Boże mój jedyny! *(czyta).*
Daj burnus!... Ha! ha! ten wenecki sztylet
Tu?! Jezus! Marya!

(Wybiega ze sztyletem, a bilet zostawia).

HELENKA.

Co to?

LOKAJ,

Pan Fantazy
Dał mi i kazał pani oddać w ręce.

(Helenka bierze bilet i czyta go).

HELENKA.

Niezrozumiałe są dla mnie wyrazy!
Próżno ten papiér w rękach gnę i kręcę.
Muszę biéc za nią.

LOKAJ.

Daj, niech ja przeczytam!
„Schadzka ostatnia dusz naszych na ziemi
„Dziś o północy...“

HELENKA.

Pana Boga pytam,
Czy jest tutaj sens?

LOKAJ.

„Czarami złotymi
„Ostatni toast dziś — lub z tobą razem
„Piję aniołom — albo też samotny...“ —
Święty Józefie! za każdym wyrazem
Wykrzyknik, a list taki był wilgotny,
Że na nim moje palce znać wyraźnie

Wydrukowane. — Dyabli jacyś wodzą
Pióra tym panom: piszą niepokaźnie
W gzygzaki. (*Czyta*). „Tam, gdzie na świecie się schodzą
„Wszyscy i wiecznie zostają — gdzie Juliet
„Obudziła się i zasnęła — czekam."

HELENKA.

Muszę wziąć pani ten łabędzi duliet
I zanieść, bo to rosa. Psy powściekam,
Ażeby panią odstraszyć na zawsze
Od tych przechadzek nocnych po pustyni.
Bo to stworzenie dla ludzi łaskawsze.
Niż zwykle bywa taka monarchini
Zła, jak dyablica! — U państwa Rzecznickich
Nie można służyć dla zimna a głodu.
A gdzie jest też dom w rękach jezuickich,
To także trzeba płakać bez powodu
Co piątek, albo oczy trzéć cebulą,
Gdy człowiek idzie na mszę za hrabiną. —
A tu się ludzie w domu jakoś tulą
I...

(*Wpada* HRABIA RESPEKT — *za nim* MAJOR).

SCENA IX.

HR. RESPEKT.

Gdzie jest Pani?

HELENKA.

Nie wiem.

HR. RESPEKT.

Nad dziewczyną
Moją śmierć wisi!... Proszę was, doktora!
(*Helenka i Lokaj wychodzą*).
Majorze! — z naszą ty, widzisz, krainą
Nie jesteś w tonie: jednego wieczora,
A tyleś mi tu napsuł! — Po co było
Tego człowieka przywozić?! — Że dzieci
Poznawszy się tam, sentymentu siłą
Były porwane śród śniegów, zamieci
I strasznych, białych sybirskich hororów...
Że sobie tęczę usnuli z sympatyi:

To trzebaż było tu do naszych dworów
Z téj Antologii czy tam Chrestomatyi
Wyrwaną kartkę?!... Jednėm słowem, mówię,
Żeś Major mi tu — może z serca — aleś
Ćwieków nasypał strasznych pod obuwie!
Ten Sybir — to to straszna jakaś zaleś
I kraj przeklęty!!

MAJOR.

Nu! Hrabia bogaty —
Tak puskaj, niechaj córka sercem bierze!

HR. RESPEKT.

Co mi tam gadasz? Dobryś do harmaty,
Ale nie do serc! — Mówię tobie szczerze,
Że... niech cię wszyscy dyabli, mój Majorze!
Zięć mi się gotów ten zerwać z kontraktu!

MAJOR.

Który zięć?

HR. RESPEKT.

Wszak wiesz, że mam zięcia...

MAJOR.

Może?

HR. RESPEKT.

Jakto? — przytomny podpisowi aktu
Ślubnego, wątpisz, że ja wkrótce będę
Kołysał wnuki?... Co? wątpisz?

MAJOR.

Jéj Bogu,
Ja wątpię.

HR. RESPEKT.

Cha! cha! cha! zięcia pozbędę?...
A to jak?

MAJOR.

Nu! jak? — Tak karta na rogu
Kiedy zagięta przegra: tak prepały
Diengi. — Nu wot tak zięć Panu Hrabiemu
Może się ze mną grając, przegrał cały.

HR. RESPEKT.

Co to jest?! — jak to?! — po co?! — jak i czemu?!
Zięć mój z Majorem grał? i o co chodzi?

MAJOR.

Nu tak, o zięcia chodzi.

HR. RESPEKT.

Zgrał się w karty?!
Głową mi tylko kiwasz Pan Dobrodziéj;
Mów proszę... proszę, bądź ze mną otwarty!
Nie wiesz, ile w tém mego interesu,
I jaki kamień na mém sercu leży!

MAJOR.

Nu, tak weź hrabia tu z pugilaresu
Ten kontrakt: mój pysk do niego należy,
A do mnie jego łeb — wygrany w karty.
Nu! tak Hrabiemu ja ten łeb daruję
A z pyska mego ręką honor zdarty
Znajdę u Boga! *(oddaje mu papiér)* Niech Pan Hrabia czuje,
Że ja nie człowiek zły; — głupstwem zaszkodził,
A swoim własnym honorem zapłacił.

HR. RESPEKT *(przeczytawszy dany mu papiér).*

Piorun szaleństwa w tych ludzi ugodził —
Mózgi pomieszał. — Zięć mój głowę stracił!
Maryanno! zięć nasz truje się! Maryanno,
Zięć nasz zabija się! *(wybiega).*

MAJOR.

Wot i teatry!

(Wchodzi JAN).

SCENA X.

JAN i MAJOR.

JAN.

Majorze!

MAJOR.

A szto? obaczył się z panną?

JAN.

Jedźmy w sybirskie nasze mgły i wiatry!
Major mi będziesz ojcem — tak jak dawniéj —
I przyjacielem. — Ten świat to zagadka!
Gdybyś ty widział, jak tam najzabawniéj,
Najwściekléj na mnie wrzeszczała ta matka:

— „Dzieckoś mi zabił! — idź precz! nie stój blisko,
Podły!... bo śmierdzisz tu prostym żołdakiem,
Bo cuchniesz, cuchniesz tak, jak lokaisko!
Bo cię czuć wódką prostą i tombakiem
Spleśniałym! precz mi z oczu!“ — Tyle brudu,
Tyle znalazła przekleństw ta kobiéta,
Że ja, com słyszał niegdyś wycie ludu
Wieszającego, ludu, co w jelita
Drgające ręce kładł...
Na takie krzyki
Córka omdlała podniosła powieki
I wzrok rzuciła na nią taki dziki,
A na mnie taki anielski, że wieki
Będę pamiętał, jakie są balsamy
W rozmiłowanych oczach u dziewczyny!

MAJOR.

Nu, my w Sybirze tobie dziewcząt damy
Piękniejszych...

JAN.

Jedźmy, jedźmy z téj krainy,
Która mi we snach była szczęścia rajem —
Matką! — a teraz jest taką macochą! —
Słuchaj: nazwała wygnańca lokajem
I w to bolesne me serce tak płocho
Wrzuciła ziarno gniewu...

MAJOR.

Tak duj babu!
A ja pomogę.... Wot, wot! — polskie grafy!
A kazał ty już Kałmukowi drabu,
Żeby zaprzęgał?

JAN.

Już.

MAJOR.

Nu, tak waksztafy
Zakurym w trubkach, taj na pożegnanie
Temu szlachectwu dym!

JAN.

Jedźmy, Majorze!
Temu, kto wpadnie raz w nieszczęścia morze,
Trzeba iść na dno i dać falom głowę. —
Oczęta sine we łzach — bądźcie zdrowe!..

AKT PIĄTY.

SCENA I.

(Cmentarz — w głębi kaplica zamknięta. Miesięczna noc).

Wchodzą FANTAZY *i* IDALIA.

FANTAZY.

Oto są Idy marcowe Cezara
Śmiertelne — bo ty jesteś moją Idą.
Cóż? dotrzymałem słowa... Godzin para
Ostatnich — z tobą! Gwiazdy nasze przyjdą.
Miesiąc nasz złoty już jest i dotrzymał
Słowa — na ucztę śmierci przyszedł piérwszy.
Świat mię był w takie łańcuchy poimał,
Że teraz pewnie mój sen będzie szerszy,
Gdy oddam ducha. Tony moje drżące
Były boleścią ducha ostateczną. —
Siądź tu. W twych oczach widzę dwa miesiące
Błękitne: — będziesz mi harmonią wieczną,
A oczy wiecznêm źródłem światła będą;
Wypiję wszystkie złote z nich promienie.

IDALIA.

Ten cmentarz zawsze był najmilszą grzędą
Mego ogrodu. — Patrz, jakie tam cienie
Czarne pod gęstwą lip! i głazów twarze
na czarności krzyżów niewidzialnych
Głowice trupie...

FANTAZY.

Ja ci tam pokażę
Tęczowe duchy, twarze bóstw fatalnych,
Które mi zawsze w nocy były blisko
I to zrobiły, żem tak głupio — marnie
Życie me rzucił.

IDALIA.

Co tam za zjawisko?

FANTAZY.

Nic! to są we mgle chodzące latarnie:
Pewnie szukają nas.

IDALIA.

Daruj mi, Fanio,
Jeszcze raz spytam ciebie... spytam ciebie —
Bo wszakże życia nie można tak tanio
Oddawać ludziom! bo wszakże na niebie
My zapisani jesteśmy u Boga
I tu az — przezeń tu przyprowadzeni. —
Słuchaj — zdejmuje mię tu jakaś trwoga —
Tyś drgnął: jesteśmy oboje ruszeni
Skrzydłami śmierci... Przyszłość ta bez kształtu
Okropność swoję ma. Słuchaj mię, Panie:
Ja nie doznałam tu żadnego gwałtu,
I ta przyczyna śmierci, to porwanie —
Tak los uczynił, że obelga cała
Spadła na inną zupełnie osobę.
Jam więc jest winna — winna, żem skłamała;
Jam winna, żem tu całą jednę dobę
Chciała aktorką być i podług świata
Fałszem dopomóc sobie na téj ziemi...
Owszem — posłuchaj: ta śmierć, która lata
Jak nocny motyl, skrzydły kościanymi
Gruchocąc, marną jest — i nam urąga
Jak dzieciom głupim; — boś nie za mnie mścił się,
Ale za jakąś furyą — dziwoląga —
Za Rzecznickiego, który podły krył się
Ze swą obelgą, ze swoją kuchcianą
Żoną, z łachmanem swoim przewietrzonym,
Który ja w domu dziś znalazłam rano
W wannie z rumianku, z fontaziem czerwonym
Na czepcu, z krzykiem i z twarzą koguta,
Na cały cichy dom krzyczącą: gwałtu!

FANTAZY.

Cha! cha! cha! Pani Rzecznicka popsuta!
Cha! cha! cha! — Gdyby sam Rzecznicki stał tu
I o truciznę prosił, to nie dałbym
Łezki opiatu! — Cha! cha! żyj, Brutusie!
Cha! cha! cha! jeszcze raz z Rzecznickim chciałbym
Zejść się na ziemi i w tym famulusie
Mego Faustyzmu niewydrwioną stronę

Wydrwić, ażeby drwin posągiem stanął
Na moim grobie. Cha! cha! cha! Utonę
We łzach serdecznych! — Cha! Kałmuk archanioł,
Porywający z ręku Jezuitom
Panią Rzecznicką — i w galop — i w galop!...
Cha! cha! cha! śmiéch mój gwiazdom i błękitom.
Wiwat typ wszystkich dewotek i salop,
Pani Rzecznicka, która była duchem,
W pielgrzymce!! Dyabli! dyabli! cha! cha! cha! cha!

IDALIA.

Ten śmiech — —

FANTAZY.

Uderzył po głowie obuchem
W posąg piękności — i w szarego stracha
Zamienił tę śmierć, która przy nas stała
Niby cudowna postać z alabastrów,
W gwiazdach, w motylach i w miesiącach cała,
Z kobiercem maków, dziewanny i astrów
Pod cichą stopą. — Patrz, jakich komików
Wydaje Polska: aż do grobu śmieszą!
O! o koncercie śmiechu i słowików,
Graj!... Otoczona dziwolągów rzeszą,
Straszliwa, w czepcu — nowa Dejanira
Poprzedza orszak nasz, dwie nasze trumny,
I krzyczy: za mnie ginie syn Zefira
Z córką Aurory!!

IDALIA.

O! szał nierozumny!...

FANTAZY.

Co? wybijam cię ze snu? — Masz! w téj lasce.
W téj złotéj gałce jest snu na lat tysiąc...

IDALIA.

Więc to trucizna?

FANTAZY.

Tak! w cukrowéj masce
Zamaskowana złość! możnaby przysiąc,
Że rzecz uczciwa.

IDALIA.

I nie ma ratunku?

FANTAZY.

Jest!...

IDALIA.

A więc użyj go, żyj dla Ojczyzny!!

FANTAZY.

Na to — o! na to trzebaby trafunku
Wielkiego...

IDALIA.

Aby...?

FANTAZY.

Aby na siwizny
Majora głowy, która jak Eolid
Harfa pod moim policzkiem odjękła,
Spadł albo piorun albo aerolit
Przed... przed kwadransem!

IDALIA.

Jakto?

FANTAZY.

Aby pękła
Harfa, na któréj ja honoru strunę
Urwałem... Kontrakt — widzisz — jest wyraźny,
Że północ jednę dziś zapełni trunę —
Na stemplowanym papiérze; do kaźny
Weszło pół rubla za ten papiér, który
Poważnym kiedyś będzie dokumentem...
Daj laskę!

IDALIA.

Wieszczu! do góry! do góry!
Śmierć jest okropnym, słuchaj, sakramentem.
Nie jédz trucizny z taką twarzą.

FANTAZY.

Co to?

IDALIA.

Po szatańsku się twarz tobie skrzywiła.

FANTAZY.

Nie prawda... śmierć jest tą kolumną złotą
Powietrza. — O! w tém powietrzu jest siła!...
O! to powietrze i ciepłe i wonne,
O! to ramiony mymi ogarnięte,

Ma w sobie duchy piękne i niezgonne,
Jak ja, wyrwane z ciał, dawno poczęte.
Pełne miłości jak ja, niewidziane,
A kształtem swoim świat rozpierające.
Czekaj, przy tobie tak za chwilę stanę
Powietrzem...

IDALIA.

Widzisz me piersi dyszące?!...
O! znajdź, znajdź jakie słowo większéj mocy,
Aby mnie w ciemnéj śmierci rozmiłować!

FANTAZY.

Patrz — ta kaplica z krzyżem złotym, w nocy
Stojąca jak duch, zacznie tu panować
Ducha naszego siłą... i z kamieni
Miłością świata lać sakramentalnie!
Jutro ten kościoł tak się w nas wpromieni,
Jak w smętne światło, i będzie fatalnie
Działał na smutne duchy, serca młode —
Jak pieśń, która nam dzieciom w piersiach dzwoni.
Chodź! do kaplicy cię téj ciemnéj wiodę.
Astarte!... o ty, bez lauru na skroni
Nieznanego tu ducha Beatricze,
Którą porwałem i aniołom niosę,
Chodź, chodź! i w Madonn się wpatruj oblicze
I w zachwyceniu świętém daj pod kosę
Miesięczną śmierci cichéj twoję głowę!
Co mówię? — na niéj stań, jak na miesiącu,
A on skrzydlaty z nami w światy nowe
Uleci — i w słońc ognistych gorącu
Postawi czoła nasze na granicy
Ostatniéj, kędy ludzki duch dolata...
Chodź! chodź! chodź do téj, o siostro, kaplicy!
Chodź ze mną! stamtąd nie wyjdziesz bez brata,
Ani bez siostry ja — chociaż oboje
Bez ciał wyjdziemy...

IDALIA.

Duchu! w ręce twoje,
W twe usta ducha mego! —

FANTAZY.

Z błyskawicy
Twe usta, duchu mój!

IDALIA.

Chodź do kaplicy,
Niech świat za nami pędzi!
(słychać bliski strzał).

FANTAZY.

Stój! co słyszę?
Strzelono...

IDALIA.

Słuchaj! jęk —

GŁOS MAJORA.

Pomiłuj Boże!

FANTAZY.

Co to jest? kto śmie tę miesięczną ciszę...

GŁOS RZECZNICKIEGO.

Ratunku!

IDALIA.

Nie idź!

GŁOS RZECZNICKIEGO.

Ohe!

FANTAZY.

Na ugorze —
Blisko cmentarza...

GŁOS RZECZNICKIEGO.

Kto tu w Boga wierzy,
Niech mi pomoże! — ho!...

FANTAZY.

Rzecznicki krzyczy.

GŁOS HR. RESPEKTA *(za sceną).*

Strzelono!.. niechaj kto na cmentarz bieży!
Stamtąd strzał — —

FANTAZY.

Hrabia! — Zegarek mi liczy
Pięć minut życia... Miałyżby te chwile
Z gadułą starcem tym przeminąć marnie?

SCENA II.

(Wpada HRABIA RESPEKT *i służba z pochodniami — rozwidnia się głąb sceny).*

HR. RESPEKT.

Tu był strzał — tu są!... tu! tu! na mogile
Widzę białego coś... tu! tu latarnie!
Tu Pan Fantazy jest z Panią Hrabiną.
Tu! tu! — oboje żywi Bogu chwała!
Co robisz? dziecko, stój... Młodzieńce giną,
Idąc na wały, reduty i działa,
A nie tak, jak ty! — *(Daje mu skrypt Majora).*
Struj się tym papiérem
I tajemnicę połknij — i żyj z nami!
(Spostrzega Majora leżącego we krwi).
Cóż to znów?...

RZECZNICKI.

Niechaj kto pójdzie z giwerem
Po wodę!...

MAJOR.

Nu, ja trup... pod chorągwiami
Boharodycy... jak człowiek honoru
Dał satysfakcyą... i za honor ginę...
(Do Fantazego).
Nu, tak nie będzie teraz z nami sporu
O trumnę, Panie Hrabio... Na godzinę
Dwunastą ja się zamelduję Bogu,
A ty zmów za mnie pacierz — ściśnij ruku,
Praszczaj! — ha, szkoda, że ja się nie mogu
Tłómaczyć jaśniéj. — Ja twojego stuku
Po twarzy nie czuł już... Czuł? — to zapomniał:
A nie zapomniał — to odpustył z duszy.

IDALIA.

Ach! jak ten człowiek cudownie zogromniał
W śmierci godzinie — prosty...

MAJOR *(do Idalii).*

Łzami pruszy
Duszeczka moja... daj ruku!.. nie płacz ty!
Ja stary człowiek — czas do grobu dawno...

FANTAZY.

Sprowadzić powóz!..

MAJOR.

Nu! nu! nu! a zacz ty
Do Chrysta myślisz wozom?.. Sławno! sławno!
Wot i żart!.. trupa sadzą do karety.
(do Respekta).
Hrabio! na ucho proszę coś...

HR. RESPEKT *(po chwili rozmowy).*

Rzecznicki,
Sprowadź tu, sprowadź tu moje kobiéty.
Pan Major, jako człowiek katolicki — —

MAJOR.

Grecki!..

HR. RESPEKT.

Chce z moją widzieć się rodziną
I niektóre swéj myśli testamenta
Objawić...

MAJOR.

Nu tak! Niech matka z dziewczyną
Przyjdzie i niechaj to sobie pamięta,
Że ja, człek prosty — na śmiertelnym progu
Tak będę prosić o śmiertelną łaskę...
(Rzecznicki odchodzi).

SCENA III.

(Wpada JAN *i* KAŁMUK*).*

JAN.

Gdzie Major?

HR. RESPEKT.

Tutaj na grobie —

MAJOR.

Przy Bogu.

JAN.

Co to jest?! Pustą znalazłem kolaskę
W karczmie. — Wyprawił mnie Major z posyłką.
Sam wyprawiony przodem, byłbym gonił
Aż do Tobolska, gdyby nie przeczucie
I strach... Co to jest?... Głowę tak pokłonił,
Jak... jak... jak...

MAJOR.

Ruku daj...

FANTAZY *(do Idalii).*

Nasze otrucie
Było błazeństwem! Patrz, patrz! jak bez jęku
Przez ręce, oni gadają do siebie...
Patrz, patrz: dziesięć lat sybirskich w tych ręku
Ściśniętych jak wosk...

SCENA IV.

(Wpada HRABINA *z córkami* — RZECZNICKI *zdala za niemi).*

HRABINA.

O święci na niebie!
Co to jest?

HR. RESPEKT.

Cicho! okropny wypadek:
W pojedynku nasz Major zastrzelony!

HRABINA.

Patrzaj, list!

HR. RESPEKT.

Co to jest?

HRABINA.

Umarł nasz dziadek...

HR. RESPEKT.

Co?!

HRABINA.

Dzisiaj w nocy.

HR. RESPEKT.

Ha!

RZECZNICKI.

Jesteś czerwony,
Jak upior! [1])

HR. RESPEKT.

Krew mi uderzyła w głowę
Jakby siekierą.

---

[1]) Całe to miejsce zadziwia i nasuwa różne przypuszczenia o hr. Respekcie. Zdaje się, że poeta nie miał tu jednak innéj myśli, jak tylko tę, że się hrabia wielce ucieszył z téj nowiny niespodziewanéj i nie umie ukryć radości swojéj z tego powodu. *(P. W.).*

HRABINA.

Pokryj to wrażenie!

HR. RESPEKT.

To jest odmiana wielka!... i domowe
Rzeczy — —

HRABINA.

Schowajże, mówię, list w kieszenie
I nie pokazuj twarzy, bo ci z oczu
Ta śmierć wygląda i pójdzie pod wnioski.

HR. RESPEKT.

Czy wiedzą dzieci?

HRABINA.

Nie. — *(głośno).* Może go w koczu
Można położyć?...

FANTAZY.

Cyt! Ten sen przedboski,
Który mu igra uśmiechem na twarzy,
Gdy anioł śmierci siwym włosem rusza,
Szanuj! On teraz o czémś takiém marzy,
Że pewnie, pewnie cała jego dusza
Jest jako słońce. — Cyt! oczy otwiera.
Majorze! oto jest z dziećmi Hrabina...

MAJOR.

Dajcie mi wody potiahnut' z giwera! *(pije).*
Nu tak — jeszcze świat... W imię Ojca, Syna
I Ducha!... Proszę Hrabiny tu bliżéj
I dzieci proszę tu — koło mogiły...
Nie mógł ja ludzi kochać ani szczérzéj,
Ani otwarciéj, jak was. Syn Hawryły
Wołdemar Major, wasz dawny znajomy,
Serdecznie wasze serca umiłował.
Ot i odwiedził wasze dobre domy
Przyjaciel — i tu u was zanocował
Aż do prysudnych dni. — Kałmuk! szkatuła! —
(Kałmuk odchodzi).
Słuchaj Hrabina. Ja czerkieski plennik,
Porwany kiedyś dzieciątkiem z auła,
Taj zmoskalony — Grek, łotr i moszennik
(Odpusti mnie Boh!). Byłby i generał

Już, tak jak drudzy, by nie Murawiewy,
Z którymi ja był — człowiek i liberał,
Dopóki żyli... Dziś pod tymi drzewy
Ranny, ot wspomniał ja ich sobie czule,
Na własną patrząc krew. Ach! pod senatem
Gdyby ja był miał w sercu tutaj kulę,
Byłoby lepiéj — ufff! ze mną i z światem...
Ufff! Apostołów! ufff! ufff! Apostolczyk...

HRABINA.

Majorze!...

FANTAZY.

Cicho, Pani!...

MAJOR.

Ot ten kolczyk
Od Apostoła ja miał staréj matki,
Któréj kawałek przyniósł wtenczas drzewa
Od szubienicy, ufff! ufff! ufff! staruszka — —
Nu, tak ja potém przez Arakczejewa
Wyrobił sobie, że był bez łańcuszka
Posłan w sybirskie komendy w degradzie,
W upokorzeniu... Jak wy mnie poznali,
To ja w domeczku tam małym i w sadzie
Cały dzień trubku kurzył, a wy stali
Patrząc na smutek mój, że ja milczący
Nie odpowiadał wam, gdzie serce boli. —
Wot liberalność tu, jak żar gorący —
Wot czarny smutek był, wot méj niedoli
Była przyczyna! — Tak gdy panna śpiéwa
Piosenki smutne, to ja stojąc w kącie
Wspomniał, bywało, sobie Bestużewa,
Taj potém wspomniał, że ja stał przy loncie
I nie wypalił... Taka boleść była
Na sercu mojém wężem i kamieniem!
Kiedyście znali wy już mnie Hawryła,
Ja tam przed wami stał z upokorzeniem
I z trwogą, że wy mną biédnym gardzicie
Jak starym, siwym, durnym liberałem,
Który miał w ręku harmatę i życie
Carskie — i trzymał ogień nad zapałem,

Taj zadrżał, widząc w gwieździstym szeregu
Cara i główny sztab w tęczowych lentach,
Taj lont syczący przyłożył do śniegu,
Uczuł strach w sercu i w głowie i w piętach,
Taj paszoł w durnie — —

IDALIA.

Na Boga, Majorze!
Krew ci się rzuca z rany — mów spokojnie!

MAJOR.

Nu, tak to wszystko wielkie sądy boże!
Bo ja był kiedyś na tureckiéj wojnie,
Z Persami się bił, w kwarantanach służył,
I śmierci palcem dotykał — nie blady!
Nu, a przed carem wtenczas jednym stchórzył
I tak jak dziecko darmo oddał szpadę,
Gdy po nią przyszli —

(Kałmuk wraca na scenę ze szkatułą).

HR. RESPEKT.

Cóż to? chory gada?
Zabronić jemu... cóż? zabronić mowy!

MAJOR.

Nu, niech Pan Hrabia tu poważnie siada
I słucha, bo ja człowiek już grobowy
Mówię ostatkiem duszy. — Na Sybirze
Ja miał jednego sercem przyjaciela.
Tak my z nim często chodzili pod krzyże,
Na których imię Rumina, Pestela
I drugich — z tyłu jednego kościoła
Postawili my — na cichą pamiątkę...
Tak tam mojego pamięć Apostoła,
Którego kochał ja i lat dziesiątkę
Bez niego musiał żyć!.. i byłby skonał,
Gdyby żył dziesięć lat bez przyjaciela!
Nu, on zmocował mnie, sercem pokonał!
Apostoła ja stracił, a Chrzciciela
Dostał, katoryj mnie ochrestił łzami...
Tak cóż ja jemu dam, jak mnie nie stanie?...

(do Dyany).

Diewoczka, siuda! nu tak ty, z różami
Na ustach, stań tu ot przy tym ułanie

I tu rodzicom pokińcieś oboje,
A ja, ja z wami trzeci. — Kałmuk, siuda!
(wstając).
Nu ot ja, chociaż ranny, ot ja stoję
I wam do kolan ot... *(klęka).* Na boskie cuda!
Nie odmawiajcie!.. przez krew moję proszę,
Nie odmawiajcie!

HR. RESPEKT.

Lecz tu związki rodu — —

MAJOR.

Słuchaj! — Ja zebrał wielkie, wielkie grosze,
A sam żył z gaży, z mojego ogrodu,
Z domu... No — niegdyś w kwarantanach, srogi
Dla kupców, nu tak przyjął podwieczorek
I okręt sobie przepuścił przez nogi
Z żaglami, z masztem, a chwycił za worek,
Jak za kotwicę... Nu tak i basetla
I skrzypce na to wesele u żyda
Leżą w Hamburgu. — Graf! wot bankocetla —
(do Kałmuka).
Stupaj, stupaj procz! Niech Graf córkę wyda!
My milionery... pfu!!..

HR. RESPEKT.

Panie Majorze!
Tu pieniądz, chociaż w dosyć znacznéj sumie,
Jest niczém — —

MAJOR.

Nu ja znaju.

HRABINA.

Ach mój Boże!
Pan Major może myśli i rozumie — —

MAJOR.

Nu ja nie myślę nic...

HR. RESPEKT.

Bo nasze słowo
Ma pan Fantazy —

MAJOR.

Nu tak! pan Fantazy —
Ja przed nim pójdę moją siwą głową
W proch...

FANTAZY.

Stój na Boga! — W proch?.. Twoje rozkazy
Są jak aniołów. *(do Dyany).* Ręka ta szlachetna
Nie była jeszcze moją — dotąd wolna!
Oczarowałaś mię, jak gwiazda świetna.
Sądzę, że Pani będziesz sercem zdolna
Ocenić powód, dla którego muszę
Tę rękę z mych rąk wypuścić na zawsze! —
(do Idalii).
Brat twój, Hrabino — dziś do Rzymu ruszę
I sądzę, że twe serce, najłaskawsze
Z serc, po królewsku obejdzie się ze mną,
Mniéj biorąc, niż dać mogę.

IDALIA.

Chcę szacunku.

FANTAZY.

Pani! przez tę śmierć, tak krwawą i ciemną,
Jestem człowiekiem ochrzcon!.. Pocałunku
W serce ten człowiek wart... Żegnaj, Majorze!
Przyślę doktora mego... miéj nadzieję!

MAJOR.

Nu tak już teraz Pan Hrabia nie może
Odmówić córki. Krew ze mnie się leje —
Ot, z boku mego krew strumieniem leci
I prosi — prosi łaski, zmiłowania!

HR. RESPEKT.

Majorze! — no to weź sobie te dzieci...

MAJOR.

Ha! ot i z Janem moim moja Dania
Na wieki! — Więcéj nie mogę! . W pigułce
Téj pistoletnéj sto ognistych mieczy...
Dania — Jan — Dania — poszukaj w szkatułce...
Mnie się do niebios już...
(umiera).

——

HORSZTYŃSKI.

DRAMAT

W PIĘCIU AKTACH

(ZDEFEKTOWANY).

OSOBY:

HORSZTYŃSKI, dawny konfederat.
SALOMEA, jego żona.
ŚWIĘTOSZ, sługa domu Horsztyńskich.
OJCIEC PROKOP, kapucyn.
HETMAN LITEWSKI.
SZCZĘSNY } synowie Hetmana.
MICHAŚ }
AMELIA, jego córka.
KSIŃSKI, szlachcic } dworzanie Hetmana.
KARZEŁ, błazen }
SFORKA, stary sługa }
MAŁGORZATA, żona Sforki. }
SŁUGA }
HAJDUK }
MARYNA, dziewczyna wiejska.
NIEZNAJOMY.
WYRWIK.
SKOWICZ.
GARNOSZ, trombonista.

Rzecz dzieje się na Litwie w roku 1794.

AKT PIÉRWSZY.

SCENA I.

(W pałacu Hetmana na wsi).

SZCZĘSNY — AMELIA.

SZCZĘSNY.

Piosenki świata zaczynają się od fałszywych akordów — a kończą się gwałtownem zerwaniem strun — stłuczeniem harfy...

AMELIA.

Smutny jesteś... zdziwaczałeś...

SZCZĘSNY.

Nudzę się.

AMELIA.

Szukaj zabaw.

SZCZĘSNY.

O!... nie potrzeba daleko szukać... Ojciec mój sprowadził mi dziesięciu arlekinów rewolucyjnych — otoczył mię płatnymi trefnisiami... i prawdziwie że nieraz dziecinniejąc śmieję się do rozpuku, powiązawszy te wszystkie karciane figury jedną nitką, która pociągniona nadaje skoczne ruchy i zwroty całéj psiarni darmojadów...

AMELIA.

Ojciec nasz nie może pojąć nagłéj zmiany twojego charakteru i dlatego używa wszelkich sposobów, aby ciebie z nieczynnego życia obudzić, wyrwać i między ludźmi postawić na wysokim szczeblu...

SZCZĘSNY.

Ojciec ma dla mnie wysoki ojcowski szacunek...

AMELIA.

Jak to?...

SZCZĘSNY.

Szacuje mnie, jak Holender rzadkiego tulipana... szanuje mnie jako rzadką osobę, któréj nie płaci — a która go kochać musi.

AMELIA.

To więc ja powinnabym droższą jeszcze być dla ojca osobą, bo mnie nie kocha, a ja mu płacę miłością. Zdaje się, że wszelkie uczucia moje zamykają się w miłości dla ojca... Nie prawdaż, Szczęsny, że on dobry i wielki człowiek...

SZCZĘSNY.

Tak... hetman!... wielki, jak hetman...

AMELIA.

Pomyśl, bracie mój, że on podpiérâ spróchniały tron Stanisława Augusta...

SZCZĘSNY.

Tak, on podpiéra tron Stanisława...

AMELIA.

Jakie ty dziwne echo masz w ustach...

SZCZĘSNY.

Trzy razy tylko powtarza twoje pochwały, a uwielbienie obcych ludzi ani razu.

AMELIA.

Dlaczego?

SZCZĘSNY.

Śmiesznie jest, kiedy syn ojca chwali... A potém, raz pochwaliłem ojca przy ludziach, to mi zaraz zapłacił... tureckim koniem...

AMELIA.

Cóż powiedziałeś ludziom o naszym ojcu?

SZCZĘSNY.

Co?... Oto mówiłem, że lepszy od brata swego, a nam stryja, Biskupa... bo nie włożył fioletowéj sukni —

AMELIA.

Stój! stój!... gorzki jesteś — i obrażasz dziewiczą i czystą wiarę siostry twojéj... Także nieszczęśliwy jest biédny starzec, że

w sercu syna nie ma dla niego poważnego uczucia, miłości, sprawiedliwego sądu?... Patrz na te siwe głowy starców, które się przed nim schylają — patrz na oznaki zasług błyszczące na jego piersiach... a potém rzuć okiem na twoję samotność — na nieczynność życia...

SZCZĘSNY.

Jestem niczém...

AMELIA.

Dlaczego nie starasz się zostać użytecznym?...

SZCZĘSNY.

Nie mogę — nie mogę... nie chcę...

AMELIA.

Ty masz jakąś tajemnicę... może miłość...

SZCZĘSNY.

Może miłość.

AMELIA.

Wyznaj mi wszystko, bracie miły... Ach! jak musi być szczęśliwa ta dziewica, którą ty kochasz... Ty nie odpowiesz jéj nigdy z gorzką ironią... ty musisz być przy niéj wzniosły i piękny. Ja znam duszę twoję, znam ją aż do najgłębszych uczuć i tajemnic... Gdybym nie była twoją siostrą, to musiałabym zostać twoją narzeczoną... albo... mniszką.

SZCZĘSNY.

Co ty mówisz?... Jestem taki roztargniony, że nie słyszałem ani słowa... Już późno... powoje błękitne w twoim wieńcu otwierają się na księżyc... Idź, siostro, i czytaj biblią, moja świętoszko...

AMELIA.

Dobréj nocy!... zawołaj maleńkiego Michasia braciszka, muszę go rozebrać — i zmówić z nim pacierz. Czy ty mnie nie pocałujesz za to, że twojego braciszka uczę modlić się za ciebie?...

SZCZĘSNY.

Dobrze robisz, że przez usta dziecka posyłasz modlitwy do nieba. Błogosławieni maluczcy...

AMELIA.

Czy mnie nie pocałujesz, bracie?...

SZCZĘSNY.

Nie.

AMELIA.

Dobréj nocy! *(odchodzi smutna).*

SZCZĘSNY.

Jak oświécone prawe skrzydło pałacu! Ojciec ucztuje w gronie pochlebników — i płaci za śmiech i żarty, bo żarty i śmiech stały się prawdziwie rzadkim towarem w Polsce... O smutek! smutek! Czasem jakaś błyskawica myśli pokazuje mi nicość wszystkiego, a nawet nicość saméj myśli, marzącéj o nicości... Czasem zdaje mi się, że świat wart małpiarskich przymileń się twarzy...

MICHAŚ *(wpada).*

Cha! cha! cha! braciszku!...

SZCZĘSNY.

Z czego się śmiejesz, chłopcze?...

MICHAŚ.

Przez dziurkę od klucza patrzałem do jadalnéj sali... Tata nasz z piórem brylantowém, piękny jak w książce obrazek Pana Boga...

SZCZĘSNY.

Gdzie twoja piastunka?

MICHAŚ.

W kuchni; a ja wolny jak ptaszek.

SZCZĘSNY.

Amelka czeka na ciebie — idź, zmów pacierz.

MICHAŚ.

Ale posłuchaj no, braciszku, co ja widziałem. Papa nasz nalał wielką dudkę szklaną — i zawołał: zdrowie naszéj Kasi!... Otóż kiedy zawołał: zdrowie naszéj Kasi, wszyscy wstali, jak świéczki — a jeden staruszek, biały jak gołąb, siedział na końcu stoła i nie wstał. Nasz Tata zamalował go w papę... paf!... i staruszek wywrócił się, jak moja drewniana lalka...

SZCZĘSNY.

Okropność! okropność!... *(chce wybiéc z sali).* Michasiu! gdyby twoja Mama żyła, płakałaby nad tobą!

MICHAŚ.

Za co?

SZCZĘSNY.

Idź mi zaraz, chłopcze, do siostry! To co widziałeś przez dziurkę od klucza, był to obrazek taki, jak ten...

MICHAŚ.

A dlaczego ludzie się ruszali?

SZCZĘSNY.

Ja ci powiadam, że Tata śpi — a to był obrazek... Idź i nie mów nic Amelce, bo się będzie śmiać z ciebie, że ty się śmiejesz z obrazka. Pocałuj Amelkę w czoło *(wtrąca go do pokoju Amelii)*. Ach te ściany — to prawdziwa Sodoma! Starca, że nie pił zdrowia północnéj nierządnicy, uderzyć w policzek? A gdybym ja ojca napiętnował znakiem?... Cicho!... Trzeba jednak tego starca ratować...

KSIŃSKI *(wchodzi)*.

Ojciec twój każe, abyś przyszedł na ucztę...

SZCZĘSNY.

A ten starzec? co się stało ze starcem?! Ksiński, idź powiédz zhańbionemu, niech tu przyjdzie — ja mu dam karabelę... i zemstę!

KSIŃSKI.

Nad ojcem?

SZCZĘSNY.

Syn za ojca stanie. Powiédz mu: że zrobię się starym, jak on — że będę miał drżącą rękę jak starzec... że... idź, powiédz mu, jeżeli ma dzieci, niech się o dzieci nie lęka.

KSIŃSKI.

Daj mi rękę...

SZCZĘSNY.

Czy ty myślisz, że gram komedyą?

KSIŃSKI.

Nie! bądź spokojnym o tego starca. Skoro twój ojciec uderzył go w policzek, zwalił się pod stół — a potém nagle skoczył na nogi i zaczerwieniony — —

SZCZĘSNY.

Co?... zarąbał... mego...

KSIŃSKI.

Nie! nie!... ukłonił się nisko — i rzekł: Dziękuję Jaśnie Oświeconemu Panu memu Hetmanowi, że mnie przebudził, bom był zasnął...

SZCZĘSNY.

Ha!... tak powiedział?!... czy śmiali się?...

KSIŃSKI.

Smiali się, jak waryaty...

SZCZESNY.

A ty?

KSIŃSKI.

Pomyślałem sobie, że czytał ewangelią... i śpiącemu śniło się, że był świętym Piotrem...

SZCZESNY.

Wróć na ucztę... i pij za mnie i za siebie...

. . . .

(Tu braknie w rękopiśmie karty).

. . . .

KARZEŁ.

...wyskoczy ci na polach munduru Adama krzyż albo klucz szambelański. Ureczam, że zezwoliłbyś na zieloną kuracyą...

KSIŃSKI.

Błaźnie, obiję!

KARZEŁ.

Bij — ale słuchaj! Będziesz, panie Ksiński, posłem z Medyolanu...?

KSIŃSKI.

Ale mię Sforka pozna...

KARZEŁ.

Ugalonujemy ciebie, jak zebrę, Panie Ksiński. Zjé dyabła, nim odkryje, że zebra jest Ksiński... On ciebie zawsze widział bez galonów i brał za Chrystusowego konia...

KSIŃSKI.

Wysmagam, psie!..

KARZEŁ.

Będę wysmukłym... a ty, Panie Ksiński, będziesz posłem z Medyolanu. Tylko jeżeli ciebie zaprosi pan Sforka na obiad, to nie jédz nic prócz sałaty — bo pan Sforka przekonany, że Włochy żyją liściami...

KSIŃSKI.

Powiédz mi, karle, coś odkrył w postępowaniu pana Szczęsnego; a może pohandlujemy z tobą słowem dobrze...

KARZEŁ.

Odkryłem, że pan Szczęsny kocha się.

KSIŃSKI.

W kim?

KARZEŁ.

Wróciwszy tu z Warszawy, pan Szczęsny przepędzał dnie całe w łódce na stawie, wywrócony twarzą do nieba. Otóż razu jednego na staw nasz przyleciało parę białych łabędzi. Pan Sforka zagrabił je, jako należące do pana Horsztyńskiego z pobliskiéj wioski, z którym Pan Hetman ma jakieś zatargi. Pani Horsztyńska przyjechała sama nad staw nasz kolaską — i pan Szczęsny oddał na prośbę jéj białe ptaszki. Ale tak długo rozmawiali o łabędziach, że... etc. etc...

KSIŃSKI.

Któż jest ten pan Horsztyński?

KARZEŁ.

Stary konfederat barski. Wpadł niegdyś w ręce Drewicza, i Moskale zaprowadzili go do kościoła — położyli krzyżem na wznak i gromnicami zapalonymi kapali na oczy. Dziś nie potrzebuje okularów.

KSIŃSKI.

I Pan Szczęsny przyprawił mu to, czego w zwierciedle mężom nawet nie ślepym widzieć nie można... Jakże? ten stary ma młodą żonę? bo młoda być musi...

KARZEŁ.

Była to biédna dziewczyna, wychowana w klasztorze. Matka jéj zwaryowała i znaleziono ją utopioną w rowie błotnistym. Doktor przepowiedział, że młoda panna Salomea wzięła dziedziczne usposobienie do melancholii, i dla tego panienka, mająca za posag expektatywę waryacyi, nie mogła się spodziewać męża młodego — ani bogatego. Pan Horsztyński, ani młody ani bogaty, ofiarował jéj swoję rękę... i dziś... żałuje może dawno pierścionka więcéj, niż wykapanych gromnicami oczu. Ale sądzę, że starzec nie wié o niczém, bo pan Szczęsny zgrabny chłopak w takich rzeczach.

KSIŃSKI.

Powiédzże mi, moja beczułko śledzi holenderskich, co to ma obchodzić pana Hetmana, że pan Hetmanowicz zbałamucił żonę ślepego człowieka?..

KARZEŁ.

Panie Ksiński, zgódź się naprzód na to, że ja mam więcéj rozumu od ciebie.

KSIŃSKI.

Rzecz nie dowiedziona!

KARZEŁ.

Wszakże nie jesteś zupełnie, Panie Ksiński,! pozbawiony zdrowego rozsądku. Mów zatém, że szukasz rozumu, gdziekolwiek bądź sądzisz, że się znajduje.

KSIŃSKI.

Z czego to wnosisz?

KARZEŁ.

Kiedy wczoraj dano kurczęta, uważałem, że z wielką rozwagą wyjadałeś móżdżki w głowach kurczęcych...

KSIŃSKI.

Dalibóg, że ten błazen kpi ze mnie...

KARZEŁ.

Panie Ksiński, jakże można tak posądzać? a, wstydź się!

KSIŃSKI.

Pamiętaj, że ze mną niebezpiecznie...

KARZEŁ.

Boję się ciebie, bo jak się wyciągniesz, to podobny jesteś do pamfila.

KSIŃSKI.

A ty krótki! ty niźniku — ty kulko!...
(wybiega za uciekającym karłem).

SCENA II.

(Skromny pokój szlachecki w domu Horsztyńskiego).

KSIĄDZ KAPUCYN *i* HORSZTYŃSKI.

HORSZTYŃSKI.

To powiadasz, że moja szkółka owocowa dobrze podrosła?

KSIĄDZ.

Renety i bery szare już kwitną.

HORSZTYŃSKI.

Jesienią, mości księże, będziemy z sobą dzielić czerwone jabłuszka.

KSIĄDZ.

Jeśli Bóg da doczekać.

HORSZTYŃSKI.

Tak, jeśli Bóg da doczekać! Czy nie widziałeś gdzie Salusi?

KSIĄDZ.

Żona twoja chodzi sama jedna po lipowéj alei.

HORSZTYŃSKI.

Księże, straciłem oczy i widzieć nie mogę jéj anielskiéj twarzy. Czy ona zawsze tak piękna, jak była?

KSIĄDZ.

Zdaje mi się, że zawsze piękna.

HORSZTYŃSKI.

Ale nie tak wesoła, jak niegdyś...

KSIĄDZ.

Dosyć zawsze wesoła. — Czy chcesz, Panie Horsztyński, to ci przeczytam jaki rozdział z pamiętników Janczara.

HORSZTYŃSKI.

Dziękuję, księże... już późno. Słuchaj, zdaje mi się, że żona moja nie tak wesoła, jak dawniéj...

(chwila długa milczenia).

KSIĄDZ.

Mówią, że wielka jest niespokojność między wileńskim ludem. Coś nowego gotuje się w garnku.

HORSZTYŃSKI.

Nie mów mi o tém, księże —

KSIĄDZ.

A gdyby też Wilno powstało...

HORSZTYŃSKI.

To mu gromnicami wykapią oczy.

KSIĄDZ.

Może się uda...

HORSZTYŃSKI.

Księże, nie masz nadziei, że będziemy jedli czerwone renety z mojéj szkółki — a spodziewasz się owoców na spróchniałém drzewie!... Słyszysz, ktoś nadjeżdża konno...

KSIĄDZ.

Młody hrabia.

HORSZTYŃSKI.

Dobrze, pogawędzimy sobie.

KSIĄDZ.

Lubisz tego młodzieńca?

HORSZTYŃSKI.

Głos jego przypomina mi... Potém ci powiem, księże, dla czego lubię dźwięk głosu Szczęsnego... Jutro będę się komunikował.

KSIĄDZ.

Ten młodzieniec jest wielkim, ale niedokończonym tworem Opatrzności...

SZCZĘSNY *(wchodząc)*.

Witam cię, Panie Horsztyński! Jak się miewasz, ojcze Prokopie?

HORSZTYŃSKI.

Siadaj, mój sowizdrzale! Cóż? nic nie przynosisz nowego?

SZCZĘSNY.

Nic

HORSZTYŃSKI.

Powiédz mi, jakże tak żyć na świecie, nie wiedząc o niczém?

SZCZĘSNY.

Tak, jak gdybym spytał ciebie, Panie Horsztyński, jak ty żyjesz, nie patrząc na nic?

KSIĄDZ.

Młodzieńcze! źle, że przypominasz kalectwo...

SZCZĘSNY.

Przez zazdrość — przez zazdrość...

HORSZTYŃSKI.

Widzisz, księże, że mi ktoś jeszcze na świecie zazdrości.

SZCZĘSNY.

Ten, komu wypalano gromnicami wielkości oczy rozumu — oczy nadziei... który w krainie myśli błądzi jak ślepy... Ty musisz mieć piękne, słońcem oświécone wspomnienia, Panie Horsztyński...

HORSZTYŃSKI.

Tak, mam miłe wspomnienie... Raz koło Baru, na wielkiém polu, przychodziło do walki z Drewiczem. Piękny był ranek —

tak cicho. Skowronki tylko śpiéwały — na prawo był lasek brzozowy — za nami,

(Wchodzi SALOMEA *i staje cicho* — SZCZĘSNY *slucha starca i oczy ma zakryte dłonią).*

HORSZTYŃSKI *(mówi daléj).*

Mości panie, było miasteczko z blaszanymi wieżami. Dowodziłem całą jazdą... Marsz, marsz!.. Pomyślałem sobie, co teraz robi moja żona?... Spojrzałem na zégarek, bo jeszcze miałem oczy, na zégarku była piąta godzina... Ha! żona moja śpi, spokojna jak dziecko, ani wié, że tu jéj stary mąż, jak młody chłopiec, z rozwianymi włosami, z dobytym pałaszem krzyczy: marsz! marsz!... Myślałem, że zginę, a żona moja będzie spała spokojnie w godzinę śmierci mojéj... Było mi smutnie i miło... Ha! jeszcze mi wtenczas przyszło do głowy jakieś dziwne zachcenie; chciałem był mieć przy sobie białego gołębia z mojéj wioski. Nie, nie! to po wygranéj bójce, kiedy odpoczywałem w lasku brzozowym, przyszło mi takie zachcenie, żeby to wysłać gołąbka z listkiem, ołówkiem napisać — buzi, moja Sally!... Mości panie, zbiliśmy wtenczas dwa kara bataliony na miazgę...

SZCZĘSNY.

Muszę ciebie pożegnać, Panie Horsztyński. Przypomniałem sobie, że mnie w domu czekają dwa kara bataliony przyjaciół z szampanem. *(Wstaje i spotyka się z Salomeą).* Ha! Pani...

HORSZTYŃSKI.

Co? żona moja słyszała?... Jak ty cicho weszłaś, moja Salusiu... będziesz się śmiala z męża gaduły, co chcial wysłać gołąbka...

KSIĄDZ.

Jak ona zbladła.

SALOMEA.

Nigdy mi o tém nie opowiadałeś, mój mężu.

HORSZTYŃSKI.

A kiedy, a kiedy... Słuchajcie mnie, bo i to wspomnienie nie może zawsze leżeć w sercu mojém... Kiedy mię wzięto w niewolę... wieczorem, wieczorem to było... dwóch Moskalów prowadziło mię do kaplicy — pamiętam... cmentarz cały ocieniony lipami... na cmentarzu — okropnie!... dwudziestu moich żołnierzy zakopanych w mogiłach po szyję. Moskale kosili głowy... skoszone głowy toczyły się czasem pod moje nogi... Jedna spoj-

rzała na mnie, przysięgam wam, że spojrzała na mnie!... A pod wielką lipą ujrzałem jakiegoś białego człowieka... nagi — stary. — Na piersiach miał wycięte mieczem wyłogi — w ciele wycięte wyłogi ułańskiego munduru. Spojrzał na mnie i rzekł: — Żegnaj mi, Panie Horsztyński. Nic mu nie odpowiedziałem. Bóg mię skarze w godzinę śmierci mojéj za to, że nic nie odpowiedziałem temu człowiekowi w godzinę męki... Ale bo téż ja nie mogłem rozpłakać się jak dziecko. — Był to Grzegorz, stary rybak z pobliskiéj wioski. Musiałeś go znać, Panie Szczęsny? to twój chłop...

SZCZĘSNY.

Rybak... Grzegorz...

KSIĄDZ.

Co tobie, młodzieńcze?...

HORSZTYŃSKI.

Bądź tam dobry dla jego dzieci!... jeżeli ma dzieci.

SZCZĘSNY.

Rybak... Grzegorz...

HORSZTYŃSKI.

Wszak musisz wiedzieć, jego chata naprzeciw pałacu, na drugim brzegu Wilii; musisz wiedzieć... czy on ma dzieci?...

SZCZĘSNY.

Ma... córkę.

HORSZTYŃSKI.

Czy hoża dziewczyna?... wydaj ją za mąż, dam ze sto złotych na krówkę.

SZCZĘSNY.

Powiédz mi, Panie Horsztyński — jakiego uczucia doznawałeś, kiedy ci gromnicami oczy wysmalano?

HORSZTYŃSKI.

Z razu ból wielki — potém niby kłucie szpilek. A kiedy zdzierano z rzęsami skorupę zastygłego wosku, aby... Czy żona moja jest w pokoju?...

KSIĄDZ.

Niech kobiéta wycierpi słuchem, co inni wycierpieli ciałem! Mów, Panie Horsztyński...

HORSZTYŃSKI.

Wy, księża, zawsze chcecie, aby ludzie cierpieli dla niczego; dosyć, niech umieją cierpieć, kiedy potrzeba... Sally! dalibóg myślałem wtenczas o tobie... myślałem, że już nigdy nie zobaczę

ciebie oczyma — że głosek twój będzie jak śpiéw niedojrzanego w niebie skowronka...

SALOMEA.

O anieli niebiescy! czemużeście wy nie bronili?...

HORSZTYŃSKI.

Czy ty myślisz, Salusiu, że ten świat podobny do moskiewskiego obrazu w cerkwi, gdzie Abraham ze strzelby mierzy do syna Izaaka, a zaś anioł z nieba leje dzbankiem wody na panewkę, aby nie spaliło...?

SZCZĘSNY.

Bóg się nie miępsza do wypadków światowych. — Słuchajcie, kiedy byłem paziem króla Stanisława, raz zrobiłem okropny występek... Oto na Bielanach w ptaszkarni księżny Sapieżyny zacząłem rąbać pawie i papugi — podchmieliłem był sobie solennie!... Dalibóg, żaden anioł z palmą nie stanął w obronie biédnych ptaszków! Okropna była rzeź. — Nazajutrz sławny byłem w Warszawie, jak książę Józef... Cha! cha! cha! nie śmiejcie się Państwo... Chciałem wam pokazać, żem wielki człowiek... Wszak, księże, miałeś o mnie wielkie i zarozumiałe wyobrażenie... Chciałem, żebyś dziś uwierzył, że ja jestem, czém jestem... Jakiś Francuz w napisanéj podróży o Polsce czyn mój umieścił... będę żyć na wieki wieków... cha! cha! nie prawdaż?... Dodajcie jeszcze, że miałem taki faeton jak książę Józef Poniatowski, i Francuz umieścił opis faetonu w swojéj podróży...

SALOMEA.

Pan żartuje z nas smutnie...

SZCZĘSNY.

Na Boga! to wszystko prawda!... Przyniosę Pani książkę, będziesz łaskawa przeczytać mężowi kart kilka o moich dziełach.

SALOMEA.

Pan Hrabia był dzieckiem.

SZCZĘSNY.

Byłem rozumniejszy od wielu starych. Sława to piękna rzecz; warto na nią pracować... Czyny ludzi dają blask krajowi.

HORSZTYŃSKI.

Młodzieńcze, rozumiem ciebie... Dajesz mi wieniec laurowy na moje siwe włosy.

SZCZĘSNY.

Ja? ja? ja?... Powiem ci szczérze, że gdybym nie był mną, chciałbym być tobą, Panie Horsztyński. Ludzie tak dziwnie stworzeni są od Boga, że zawsze przywięzują się do tego słowa ja... oprócz kobiét, które przywięzują się czasem do słowa mój... Ale źle robią — źle robią...

KSIĄDZ.

Salomeo! idź przygotuj dla męża szarą polewkę.

SALOMEA.

Zaraz... O! nie teraz...

SZCZĘSNY.

Kobiéty biorą nas za aniołów, a potém musimy z największém wysileniem grać komedyą, aby się utrzymać na jednéj nodze na wysokiéj kolumnie, na któréj nas postawiły. Każde słowo rzucamy z bojaźnią, aż nareszcie znudzeni rzucamy się z kolumny w błoto... Od razu trzeba zakończyć z miłością własną... i być sobą... niczém...

HORSZTYŃSKI.

Do czego zmierzasz ironią taką?...

SZCZĘSNY.

Nie! zamiast kobiéty, położę słowo księdza. Mości Prokopie, wiele nocy nie spałem myśląc o tém, coś mi powiedział; a powiedziałeś: widzę w tobie wielkiego człowieka. Z razu postanowiłem dążyć ciągle do téj wielkości, nareszcie znudziło mnie napięcie niezgrabne przyrodzonych władz — przerabianie ciągłe nicości na wielkość olbrzyma. Na Boga, powiédz mi, że zmieniłeś swoje zdanie, bo chcę spać spokojnie... Znudzony jestem, starając się myśleć tak, jak ludzie sądzą, że ja myślę... Dusi mię maska, którą mi na twarz włożono... Ludzie krępują nas nitkami pochwał, i człowiek mija się z drogą swego przeznaczenia, nie śmiejąc rozerwać słabych węzłów. Pan Horsztyński opowiadał o wielkich cierpieniach; słuchałem wtenczas uderzeń mego serca ... i na Boga! — co uczułem w sercu, powiedzieć nie mogę... Coś okropnego urodziło się we wnętrznościach mojéj myśli... jakaś szalona duma...

HORSZTYŃSKI.

Obróć ją ku dobremu celowi!

SZCZĘSNY.

Trzeba mieć charakter, Panie Horsztyński... Trzeba się naprzód nauczyć ludziom nie zazdrościć, a ja czasem zazdroszczę

astuchowi, co grzeje swoje ręce przy ognisku rozpaloném w głębi asu. A czasem zazdroszczę królowi Stanisławowi, że w teatralnym biorze siedzi na tronie izby poselskiéj. Pokażcie mi jaki cel, coby aspokoił te dwie dziwne zazdrości!... Trzeba być aktorem krochwili i tragedyi.

SALOMEA.

Pan dziś jesteś, jak moja biédna harfa. Muzyk z Wilna nie rzyjechał i nie naciągnął strun... Chciałam grać wesołą piosenkę nężowi, a z rozstrojonéj harfy wychodziły tak dzikie tony, że nie nogłam dokończyć.

SZCZĘSNY.

I rozpłakałaś się może Pani, że harfa tak dziko grała...

HORSZTYŃSKI.

Widzisz, jak pan Szczęsny zna ciebie, Sally...

SZCZĘSNY.

Biada kobiétom, które słuchają nadto długo szumu płacząéj brzozy, albo śpiéwu słowika!... Czasy nasze mają dziwne learstwo na chorobę smutku, poezyą.

SALOMEA.

Chciałabym znać naszych słowików...

SZCZĘSNY.

Zimna woda — letnia woda... rymowana!... Przyniosę 'ani bajki Krasickiego i strofę:

„Święta miłości kochanéj ojczyzny,
Czują cię tylko...“

'anie Horsztyński, zapomniałem, że ty nie umiesz smakować poezyi, nie umiesz czuć wdzięku...

HORSZTYŃSKI.

Lubię hymn: Święty Boże — Święty mocny!...

SZCZĘSNY.

Nie ma rymów, nie ma rymów! — Ja wolę słuchać rymoanego galopu mego konia, niż poezyi bez rymów!... Żegnaj mi, ąsiedzie!

SALOMEA.

Pan siostrze zawiezie bukiet naszych kwiatów.

SZCZĘSNY.

Moja siostra lubi tylko belles-de-nuit, dla tego że się po 'ancusku nazywają.

SALOMEA *(zdejmuje z warkocza jednę).*

Więc niech jéj Pan ten kwiatek zawiezie — chciałabym kiedy widzieć moję klasztorną przyjaciółkę...

SZCZĘSNY.

Bardzo zatrudniona! wyszywa na kanwie historyą mego ojca czerwonym jedwabiem, i uczy pacierza mojego maleńkiego braciszka... Dobréj nocy! *(odchodzi).*

HORSZTYŃSKI.

Księże, co mówisz o tym młodzieńcu?

KSIĄDZ.

Widzę, że w jego sercu jest jakaś okropna walka.

HORSZTYŃSKI.

Sądzisz, że ojciec nakłania go do jakiego przestępku przeciw sumienia i dobréj sławy?

KSIĄDZ.

Słyszałem, że Hetman zbiéra silną partyą; dom jego pełny płatnéj namówionéj zgrai...

HORSZTYŃSKI.

Czas, księże, użyć tych papiérów.

KSIĄDZ.

Jutro... Sam pojadę do Wilna...

HORSZTYŃSKI.

Salomeo, odprowadź mnie od mego pokoju.

SALOMEA.

Księże, oto jest twoja latarnia, zapalona... Chodź mężu!— Dobréj nocy, ojcze! *(odchodzi z Horsztyńskim).*

KSIĄDZ.

Ta kobiéta zgubiona... *(wychodzi).*

SCENA III.

(Sala w domu Hetmana).

(Wchodzi HETMAN *i* KSIŃSKI*).*

HETMAN.

Więc to pewném jest, co mi Acan powiadasz o moim synie?

KSIŃSKI.

Niestety...

HETMAN.

Czy przypadkiem Waszmość nie jesteś żonaty?

KSIŃSKI.

Nie, jaśnie wielmożny Panie.

HETMAN.

Ha, bo widzi mi się, że bardzo ubolewasz nad losem małżonka. Nie zapomnę o tobie, Mości Ksiński. — Zawołaj mi mego karła albo Sforkę. Muszę niektóre z nimi załatwić interesa...

KSIŃSKI.

Nie mogęż ja usłużyć Hrabiemu?

HETMAN.

A to właśnie każę Acanu zawołać moich ludzi.

(Ksiński wychodzi).

HETMAN *(sam).*

Ha, Panie Horsztyński! jeszcze jedna broń przeciwko tobie! Gdzie twoje stare serce, Panie Horsztyński? nauczę ciebie cierpieć — (*Wchodzi* SFORKA). Pójdź tu, Sforka... Posłałeś ludzi do miasta?

SFORKA.

Szpieguję, jaśnie wielmożny Panie.

HETMAN.

Trzeba zająć szewców i krawców wileńskich. Sprowadź tu ze dwieście tych pijaków i każ im szyć w zamku liberyą nową dla ludzi.

SFORKA.

Jutro poślę pięć ławek zaprzężonych po tę hołotę.

HETMAN.

Wybierać najśmielszych — i najburzliwszych!

SFORKA.

Prochy sprowadzone.

HETMAN.

Wiele?

SFORKA.

Dziesięć beczek i dwa jaszczyki ruskie.

HETMAN.

Gdzie je złożono?

SFORKA.

Na téj wieży.

HETMAN.

Kto mustruje moję legią?

SFORKA.

Pan Horda.

HETMAN.

Nakaż mu, niech zawsze zamyka bramy w tylnym dziedzińcu, gdzie się odbywa mustra. Nikt teraz nie zaziéra do tego dziedzińca? — czy dobrze pilnujesz Acan?

SFORKA.

Od czasu, jak jaśnie wielmożny Hetman zastrzelił tego kuchtę, co przez ciekawość wysunął głowę z bocznéj strzelnicy...

HETMAN.

Myślałem, że to był kot.

SFORKA.

Prawda, jaśnie wielmożny Panie! w kociéj chodził czapce nieboszczyk kuchta... Otóż ja znów wrócę do dawnéj piosenki: życzyłbym Panu Hrabiemu wykarczować las koniecznie... i zbudować osadę braci morawskich — poczciwi ludzie!... sto chat przyniesie czynszu na rok dwadzieścia tysięcy złotych polskich... Drzewa handlowego...

HETMAN.

Potém, potém o tém!... Czy nie widzisz, Panie Sforka, że ja coś mam ważniejszego w głowie?

SFORKA.

Polityka, jaśnie wielmożny Panie!... znam się i ja cokolwiek na polityźmie. Życzyłbym Panu Hrabiemu...

HETMAN.

Dobréj nocy... co?

SFORKA.

Nie! jest ważna rzecz w zamku, która może obrazić Najjaśniejszą panią Carową, jeżeli się dowié.

HETMAN.

Co takiego w zamku moim?

SFORKA.

Oto jaśnie wielmożny Pan wié, że na téj wieży jest zégar tak mechanicznie ukształcony, że po uderzeniu godziny dwunastéj w południe lub w nocy wyskakuje Pogoń litewska i pałaszem rąbie orła rosyjskiego. To może właśnie obrazić Najjaśniejszą Panią.

HETMAN.

Cha! cha! cha!... stary polityku! — Dziękuję ci bardzo, że tak ułatwiasz mi drogę wielkości... Prawdziwie, że rozsądny jesteś i przezorny.

SFORKA.

To ja każę, najjaśniejszy Panie, zégar wygrzebać z muru.

HETMAN.

Ani się waż, głupcze! Ten zégar bawił mnie, kiedy byłem dzieckiem. Pilnuj kur, Mości Sforka. I ty, stary, bawiłeś mnie, kiedy byłem dzieckiem — dlatego siedzisz w murze pod zégarem.

SFORKA.

To już, kiedy Pan Hetman łaskawie mię traktuje, muszę mu udzielić jednéj wiadomości. Oto spada na mnie fortunka.

HETMAN.

Skąd... po jakim siwoszu?

SFORKA.

Jak z nieba.

HETMAN.

Winszuję... idź spać!

SFORKA.

Czy jaśnie wielmożny Pan zastanowił się kiedy nad mojém nazwiskiem, jak mówi jeden uczony mój przyjaciel — estymologicznie?...

HETMAN.

Estymuję...

SFORKA.

Jaśnie wielmożny Pan słucha tak łaskawie, że mi się usta zamknąć nie mogą... Oto nazwisko moje pochodzi...

HETMAN.

Od — od?...

SFORKA.

Od Sforcyi...

HETMAN.

Głupi siwoszu! Ojciec twój czy dziad był psiarzem w domu mojego ojca czy dziada, i psy wiązał na sfory, i od tego nazwano ciebie Sforką. — Idź, bo mię już nudzisz. Niech teraz karzeł przyjdzie do mego sypialnego pokoju odmówić ze mną litanią.

SFORKA.

Natychmiast, jaśnie wielmożny Panie! *(odchodzi).*

HETMAN.

Za kilka dni wszystko się rozwiąże. Bogdaj tylko syn mój chciał stanąć na czele!... Za kilka dni wszystko się rozwiąże... Dlaczego te psy tak wyją smutnie na moim dworcu?... Te psy wypędzą mię do mojego pałacu w Wilnie... Czyny wielkie zawsze są ponure barwą i smutne nastręczają myśli... (KARZEŁ *wchodzi*). Chodź, karle!...

KARZEŁ.

Czy śmieszyć Pana, czy cicho siedzieć i w pięty skrobać?

HETMAN.

Chodź mówić litanią. *(odchodzą).*

SCENA IV.

(Noc. Ogród nad Wilią. Na górze widać biały wielki pałac, na drugiéj stronie Wilii chatę rybacką).

SZCZESNY *(sam).*

Patrząc na te gwiazdy, dusza moja wyrywa się do nieba. Gdyby rozszerzenie i wzniosłość myśli, jaka przelatuje błyskawicami przez moję duszę, były naturalnym stanem człowieka i nie znikały ze słońcem: człowiek ten byłby wielkim bohaterem, a przynajmniéj byłby szczęśliwy uczuciem wewnętrzném wielkości i dumy!..

GŁOS DALEKI.

O! ho!...

SZCZESNY *(świszcze).*

To on... Nie spóźnił się o kwadrans!... *(Przypływa łódka — Nieznajomy człowiek w szerokim płaszczu wysiada na brzég).*

NIEZNAJOMY.

Czekałeś na mnie?

SZCZESNY.

Krótko.

NIEZNAJOMY.

Namyśliłeś się?

SZCZESNY.

Głeboko — i płasko...

NIEZNAJOMY.

Czy możemy liczyć na ciebie?

SZCZESNY.

Nie.

NIEZNAJOMY.

Ale ja ci zaręczam, że nasza sprawa pewna.

SZCZĘSNY.

Więc ja wam niepotrzebny.

NIEZNAJOMY.

Niepotrzebni są przeciwko nam!...

SZCZĘSNY.

Niepotrzebni jednak muszą żyć, bo nie wiedzą, jak być na świecie, a nie zajmować dwóch stóp ziemi. Człowiek, póki żyje, dwie tylko; jak umrze, sześć stóp potrzebuje miejsca... Pokaż mi jakie Eldorado dla niepotrzebnych ludzi, a będę ci bardzo wdzięczny. Wystaram się o obywatelstwo w kraju niepotrzebnych...

NIEZNAJOMY.

Nie wiem, co mam o tobie myśléć, Panie kolego.

SZCZĘSNY.

Myśl o mnie tak, jak ja o sobie myślę... Raz zdaje mi się, że jestem zanadto wielki, abym mógł skonać na bruku między bijącą się zgrają — i przeciąć niewiadomą śmiercią życie przeznaczone do wielkich czynów. Drugi raz zdaje mi się, że jestem tak mały — tak mały, że nie ma czém nabić harmaty...

NIEZNAJOMY.

Poświęć się wielkiéj sprawie, a urośniesz z wypadkami...

SZCZĘSNY.

Otóż tu nieszczęście, że wypadki wydają mi się raz tak wielkie, że nie śmiem stanąć przy posągu olbrzyma, bojąc się, aby mnie ludzie nie wzięli za karła; drugi raz wypadki wasze zdają mi się tak małe, że boję się rozgnieść ludzi, chodząc nieuważnie.

NIEZNAJOMY.

Bądź zdrów! — Szkoda mi ciebie.

SZCZĘSNY.

Gdybym co zaczął, skończyłbym... To biéda, że nic zacząć nie mogę. Gdybym był Rzymianinem, zacząłbym od okropnéj rzeczy... Wczoraj śniło mi się o niéj, a oczy miałem otwarte...

NIEZNAJOMY.

Masz teraz twarz zabójcy!

SZCZĘSNY.

Okropniejszą! Znów mi się śni... Bądź zdrów! bądź zdrów!.. Mam tutaj rendez-vous miłosne...

NIEZNAJOMY.

Żal mi ciebie, Szczesny!

SZCZĘSNY.

Nie żałuj! nie żałuj! ja używam życia...

NIEZNAJOMY.

Więc nie chcesz być z nami?

SZCZĘSNY.

Nie chcę... nie mogę...

NIEZNAJOMY.

Koledzy moi osądzą ciebie tchórzem...

SZCZĘSNY.

Będzie to bardzo zasmucać mego ojca...

NIEZNAJOMY.

Sądzę, że jeszcze się zobaczymy razem... Masz czas do utra... Bądź zdrów! *(odchodzi).*

SZCZĘSNY.

To jest przecie — to się nazwać może postanowieniem... Odrzucam dziś od siebie mary. — Ty, kwiatku błękitny, zwiędły we włosach Sally, rzucam ciebie także na fale — to się nazywa także postanowieniem. Jak się te rybki pluszczą wesoło na błękicie rzeki!... (*Woła:*) Maryno!

(Słychać głos).

Płynę.

SZCZĘSNY.

Jak Nereida.

AKT DRUGI.

SCENA I.

(Pokój w domu Horsztyńskiego).

HORSZTYŃSKI *i stary sługa* ŚWIĘTOSZ.

HORSZTYŃSKI.

Gdzie moja żona?

ŚWIĘTOSZ.

Pani wyszła o wschodzie słońca do celi księdza Prokopa — zapewne komunikować się.

HORSZTYŃSKI.

Świętoszu, nabij moję dubeltówkę!...

ŚWIĘTOSZ.

Pan dawniéj lubił z ptaszynki strzelać...

HORSZTYŃSKI.

Jakże ty chcesz, mój stary, żebym ja strzelał teraz ślepy? Dubeltówka nie na ptaszki!... nabij ją kulami...

ŚWIĘTOSZ.

Cóż Pan zamyśla?

HORSZTYŃSKI.

Pan Hetman ma przyjechać do mnie w odwiedziny...

ŚWIĘTOSZ.

Co? Jaśnie wielmożny Hetman w naszym domu? A weźże Pan przecie pas złoty...

HORSZTYŃSKI.

Nie trzeba, nie trzeba... Słuchaj! nabijesz dubeltówkę i staniesz tam za ścianą w ciemnéj alkowie. Jeśli zaświszczę barską piosenkę — pal!

ŚWIĘTOSZ.

Jezus! Marya! Józef!

HORSZTYŃSKI.

Pal mu w łeb z dwu rur!...

ŚWIĘTOSZ.

Jak Pan zaświszcze barską piosenkę?

HORSZTYŃSKI.

Tak.

ŚWIĘTOSZ.

A może Pan i chrześcijańską rzecz radzi! .. Mówią ludzie, że ten złotowielmożny pan coś zwąchał się z Moskalami.

HORSZTYŃSKI.

Idź, idź! bo zdaje mi się, że słyszę turkot powozu... cicho!... i nie pokazuj się!... W imię Ojca i Syna i Ducha świętego!... Czyńmy, jak należy... (ŚWIĘTOSZ *odchodzi).*

Śmierć będzie między mną a twoją wściekłą ręką, Hetmanie! Nie przyszedłem jeszcze na to, aby mię hańbiono w moim własnym domu...

(HETMAN *wchodzi bogato ubrany).*

HETMAN.

Niech będzie Jezus Chrystus pochwalony!

HORSZTYŃSKI.

Na wieki wieków, amen.

HETMAN.

Sam jeden, jak tego wymagałeś po mnie, przyjeżdżam do ciebie, Mości Horsztyński, gotów ofiarować ci moję rękę.

HORSZTYŃSKI.

Ślepy jestem; nie wiém, czy mam moję dłoń na wschód, czy na północ wyciągać, aby się spotkała z twoją dłonią...

HETMAN.

Więc sądzisz, mój Horsztyniu, że ja zawsze trzymam z północą...

HORSZTYŃSKI.

Niech ciebie Bóg sądzi, panie Hetmanie.

HETMAN.

Horsztyński, wiém, że masz powierzchowne dowody...

HORSZTYŃSKI.

Na piśmie!...

HETMAN.

Tak! zabrawszy obóz Moskali, znalazłeś między gratami jakieś pismo, napisane może umyślnie na to, aby mnie oszkalować w oczach ziomków. Może umyślnie nawet dali sobie Moskale zabrać wojenne sprzęty, aby to pismo wpadło w ręce Polaków...

HORSZTYŃSKI.

Straciłem dwustu ludzi, mości Hetmanie, biorąc ten obóz umyślnie porzucony.

HETMAN.

Być może! być może!... Ale ja ci przysięgam, Horsztyński, że nic nie wiedziałem o tym szelmowskim papiérze... Chcieli mnie zgubić! — A ty pomyśl... Wiedząc, że pismo takie jest w rękach mojego wroga, muszę się rzucać w przepaść, bo najczystsze moje zamiary, najświętsze postępowanie może nie przydać się na nic, skoro siwy starzec, nie przy zdrowym rozumie, zechce zwalić mnie tą oszczerczą bronią...

HORSZTYŃSKI.

Łagodniéj, Panie Hetmanie, z wrogiem twoim!... wiész, że nie jest przy zdrowym rozumie...

HETMAN.

Horsztyński! niech nasze dawne zatargi pójdą w zapomnienie! Wszak tyś mnie piérwszy obraził...

HORSZTYŃSKI.

Wydarłeś mi ją...

HETMAN.

Ty mi wydarłeś jéj miłość! Słuchaj, hańba mojéj małżonki żyje w moim domu i nazywa się moją córką...

HORSZTYŃSKI.

Hetmanie! gotów jestem na kolanach błagać ciebie, abyś nie rzucał przekleństw na jéj mogiłę... Śmierć jéj była okropna...

HETMAN.

Ha! okropna!... Widzisz, że nasze dwa serca połączone są okropną tajemnicą. Oddaj mi papiéry! Daj! niech moje ręce mają co rwać i targać, bo kiedy patrzę na ciebie — —

HORSZTYŃSKI.

Ciszéj — na Boga!

HETMAN.

Jutro nie przyjdę do ciebie, stary — po co dziś przychodzę...

HORSZTYŃSKI.

Choćbyś umarł, cień twój będzie klęczał na progu mojego domu co północy, błagając mnie o ten dowód okropnéj — okropnéj zdrady.

HETMAN.

Tak myślisz?... Są wysokie góry, na które człowiek może wejść i być niedosięgnionym przez pociski ludzkie...

HORSZTYŃSKI.

Tak myślisz, Panie Hetmanie?

HETMAN.

Panie Horsztyński, ostatni raz mówię do ciebie: oddaj mi papiéry! Spalę je na twojém ognisku i będę żył spokojny w moim zamku.

HORSZTYŃSKI.

Ale ja nie będę żył spokojnie w mojéj chacie. Te papiéry są oczyma, którymi patrzę na ciebie, Panie mój miłościwy — i spokojny jestem, bo zdaje mi się, że ciebie otrętwiłem, jak wąż, kiedy z biédnéj ptaszyny oka nie zwraca.

HETMAN.

Podły szlachciuro!

HORSZTYŃSKI.

Co?... jesteś w moim domu, miłościwy Panie!

HETMAN.

I syn bywa w domu twoim... dla czego?

HORSZTYŃSKI.

Bo .. bo mi przypomina głos twojéj żony, miłościwy Panie!

HETMAN *(dobywając szabli).*

Ha! .. powtóre...

HORSZTYŃSKI.

Nie dobywaj szabli, Mości Hetmanie, bo ci ją wyświszczę z ręku!...

HETMAN *(tnie pałaszem w zwierciadło).*

HORSZTYŃSKI.

Co to za brzęk?

HETMAN.

Zabiłem twego zdrajcę, Horsztyński... zwierciadło...

HORSZTYŃSKI.

Nie rozumiem —

HETMAN.

W tém zwierciedle stał człowiek z dubeltówką.

HORSZTYŃSKI.

O! mój Boże!

HETMAN.

Chodź tu... chodź! Stań za krzesłem twego pana — niech się nie boi! *(Świętosz wychodzi żołnierskim krokiem).* Ludzie, jak ja, wchodzą sami do jaskini zdrady i nie boją się. — O hańbo! Nie można ufać szlacheckiemu słowu. Nie chcę twoich papiérów, Horsztyński, tyś je może sam sfałszował. Ludzie będą wiedzieli, co mają o tobie myśléć, Panie Horsztyński. Jutro... zatraduję ci majątek, Panie Horsztyński; boś był winien żydom pięć tysięcy dukatów, a ja od żydów skupiłem wexle za połowę ceny, bo nikt nie wierzył twojemu obligowi, tylko na pół, Panie Horsztyński! a wyrok sądu ziemskiego gotowy leży u jurysty. A kiedy ci Hetman litewski zabierze majątek, to pójdziesz z żoną pod próg sali jakiéj konfederacyi i przedasz za kilka groszy papiéry zdradzieckie i będzie to chléb ostatni kupiony — a nie wyżebrany, bo ty będziesz żebrakiem, Panie Horsztyński.

HORSZTYŃSKI.

I moja żona!...

HETMAN.

Żona twoja? Żonie twojéj mój syn da pieniędzy, Panie Horsztyński.

HORSZTYŃSKI.

Syn... dla czego twój syn?

HETMAN.

Głupi stary, jak bót! — każ strzelać za mną!

(Odchodzi).

ŚWIĘTOSZ.

Panie mój...

HORSZTYŃSKI.

Precz, precz! — czy on odszedł?

ŚWIĘTOSZ.

Odjechał.

HORSZTYŃSKI.

Idź, Świętoszu, idź! Ja sam zostanę z hańbą. Co ten starzec mówił o mojéj żonie? Myślę, myślę głęboko i nie mogę nic rozwidnić w głowie. Ludzie wlepiając oczy w jedno miejsce, dopomagają głębokiéj pracy umysłu; moje oczy w ciemnościach utopione — a nie rozumiem! dalibóg, nie rozumiem.

(Po chwili gwałtownie).

Cudzołożnica!...

(Wstaje i pada na krzesło).

Ja zwaryuję!... Dlaczego ja mu nie oddałem papiérów? Nie wiedziałbym... Więc to jeszcze okropniéj nie wiedzieć i całować ją w czoło. Brr! O jak mi zimno! I ksiądz — i ksiądz — i ksiądz — wszak on ma oczy! gdyby co widział... stary przyjaciel! Ha! ja odzyskałem jakiś wzrok, sięgający w przeszłość — okropne widzę obrazy: oszukują starca i śmieją się i czekają śmierci starca. Nie, ja nie mogę spytać mojéj żony! czuję, że jakaś wstydliwość zamknie mi usta. A jeśli powié „nie“ — nie będę wierzył... a ona nic innego odpowiedzieć nie może, tylko „nie! — nie! ja niewinna!“ a twarz jéj, któréj ja widzieć nie będę, może się odwróci odemnie z wyrazem... O! Boże mój, Boże! niech się ziemia zapadnie podemną!

Sally! Sally! ty taka byłaś biédna i nieszczęśliwa, kiedym ciebie prowadził do ołtarza. Matka twoja obłąkana krzyczała m nad uchem: kto weźmie moję Sally, weźmie waryatkę, bo Sally — to ja!... I biédna dziewczyna płakala, a ja przysięgałem, że będę

ją prowadził kwiecistą drogą życia — że będę jéj ojcem. I... byłem jéj ojcem.

Zastanów się, starcze, co ty jéj na ziemi zostawisz po sobie — zgryzotę i żebractwo?... Biédna ona! biédna ona! Trzeba czynić, jak Jezus Chrystus nakazał. — Co mi po tym błahym świecie?! Zostawmy ludzi w pokoju, niech jęczą — śmieją się — szaleją — skaczą! niechaj szukają szczęścia w nieszczęściu drugich — ale niech nie przeklinają umarłych! Ja umarłem... Spokojność! spokojność! spokojność...

Mam jakąś dziwną wizyą przeznaczenia ludzkiego — spokojność. (SALOMEA *wchodzi w słomianym kapeluszu).*

SALOMEA.

Czy on śpi? Trzeba przejść cicho i zamknąć okiennice — słońce pada na jego siwe włosy.

HORSZTYŃSKI.

Siwe włosy... ha...

SALOMEA.

Myślałam, żeś usnął. Idę przygotować pod lipą ogrodową śniadanie, zbiorę tobie sama świéżą śmietankę, sama nazbiérałam poziomek.

HORSZTYŃSKI.

Gdzieś była, Sally?

SALOMEA.

U księdza Prokopa.

HORSZTYŃSKI.

Czy ty poziomki dla mnie zbiérałaś na mogiłach cmentarza pod kościołkiem?

SALOMEA.

Nie, mój Xawery, wracając zbiérałam je po lesie.

HORSZTYŃSKI.

Spowiadałaś się dziś?

SALOMEA.

Poszłam do celi z tą myślą, bo byłam smutna, i nie znalazłam księdza u siebie. Może był we wsi u starego Grzegorza; mówią, że ten starzec bardzo chory. Usiadłam w celi, czekając na księdza — i znudziłam się. Jak ta cela cicha, oświécona wschodzącém słońcem, piękna i miła! — las sosnowy pod oknami kołysał się z szumem — wilgi smutno śpiéwały. I zaczęłam dumać, potém chcąc

się nieco rozerwać, zaczęłam przebierać książki na zapylonych policach szafy. Widać, że nasz księżulo nie często do szafy zaziéra — a takie dziwne w tych książkach obrazki. Jakaś święta uderza białą lilią lwa po nosie, a w drugiéj książce znalazłam piekło — jeden czarny dyabeł pali czarną lulkę, a w lulce zamiast tytoniu palą i skwarzą i dymią biédne duszeczki.

HORSZTYŃSKI.

Ale czy się spowiadałaś?

SALOMEA.

Nie spowiadałam się, bo te obrazki tak mnie dziecinnie rozweseliły.

HORSZTYŃSKI.

Nie spowiadałaś się? dlaczego?

SALOMEA.

Mówiłam ci, mężu, że te obrazki... Jaki ty dziś roztargniony, mój Xawery. Czy tu był kto?

HORSZTYŃSKI.

Żono! powiédz mi...

SALOMEA.

Co, mężu...

HORSZTYŃSKI.

Ale tak, bijąc się w piersi, powiédz mi...

SALOMEA.

Bijąc się w piersi...

HORSZTYŃSKI.

Powiédz!... Prawdziwie zapomniałem, o czém cię chciałem pytać... jaki ja stary!

SALOMEA.

Może ja tobie przypomnę, mężu!

HORSZTYŃSKI.

Nie — nie — nie!... ty nie możesz wiedzieć o tém, o czém ja myślę. Podaj mi papiér i pióro, napiszesz odemnie list... kilka słów.

SALOMEA *(siada do pisania).*

Dyktuj!...

HORSZTYŃSKI.

Wielmożny Mości Dobrodzieju —

SALOMEA *(pisząc).*

Dobrodzieju...

HORSZTYŃSKI.

Prawdziwie, że to śmiészne słowo!...

SALOMEA.

Cóż daléj?

HORSZTYŃSKI.

Poczekaj — pomyślę... Pisz: Jeżeli Acan jesteś honorowym człowiekiem, to czekam na ciebie dziś wieczór w moim domu.

SALOMEA.

Do kogo ten list?

HORSZTYŃSKI.

Daj! podpiszę —

SALOMEA.

Ale na miłość Boga, do kogo?

HORSZTYŃSKI.

Co mi Acani!

SALOMEA.

O! to okropne słowo!

HORSZTYŃSKI.

Sally! bo ty mnie drażnisz, jak dziecko. Daj mi ten list — gdzie podpisać?

SALOMEA.

Tu.

HORSZTYŃSKI.

Idź teraz, przygotuj mi śniadanie i zawołaj mi Świętosza!

SALOMEA.

Dobrze! ale pocałuj mnie w czoło i przeproś za to słowo „Acani!“

HORSZTYŃSKI.

Dobrze!... pocałuję ciebie, jeżeli mi będą smakować twoje poziomki.

SALOMEA *(bierze dzbanek i tłucze).*

Mężu, rozbiłam dzbanek.

HORSZTYŃSKI.

Umyślnie?

SALOMEA.

Umyślnie, żebyś mnie pocałował w czoło nie za poziomki.

HORSZTYŃSKI.

Źle zrobiłaś, Sally... Swiętoszu!

(ŚWIĘTOSZ *wbiega).*

ŚWIĘTOSZ.

Słucham...

HORSZTYŃSKI.

Po śniadaniu odprowadzisz mnie do mojego pokoju. Mam ci coś ważnego zalecić. — Daj mi rękę żono! pójdziemy pod lipę. *(wychodzą).*

SCENA II.

(Chata rybacka).

(SZCZĘSNY *i* MARYNA *ubrana w długiéj przewiązanéj koszuli z szarawego płótna, z wiankiem bławatków na głowie).*

SZCZĘSNY.

Gdzie ty chodziłaś, Maryno?

MARYNA.

Zbiérałam w życie bławatki, żeby się paniczowi ustroić. Czy ja ładna?

SZCZĘSNY.

Tak sobie.

MARYNA.

Wczoraj panicz mówił, że ja ładna?

SZCZĘSNY.

Wczoraj, kiedyś wypłynęła z Wilii na brzeg ogrodowy. — do jaśminowéj altany — słowiki śpiéwały, księżyc świécił — wczoraj byłaś ładna...

MARYNA.

A dziś?... To paniczowi nigdy wierzyć nie trzeba.

SZCZĘSNY.

Jak chcesz sobie.

MARYNA.

Panicz był kiedyś lepszy... przychodził do chaty, uczył mnie czytać, jak bakałarz — i śmiał się — i żartował...

SZCZĘSNY.

Cóż to czytasz?

MARYNA.

Książkę, co panicz dał.

SZCZĘSNY.

Ojciec twój podobno umarł?

MARYNA.

Zabili Moskale.

SZCZĘSNY.

Modlisz ty się za niego?

MARYNA.

Jak pomyślę, to się modlę... jak nie pomyślę, to nie.

SZCZĘSNY.

Ojciec twój, gdyby żył, możeby się bardzo smucił z ciebie, Maryno?

MARYNA.

Dlaczego?

SZCZĘSNY.

Wszak ty wiész, że ja się z tobą nie ożenię.

MARYNA.

Właśnie ja nie znajdę sobie chłopca?!

SZCZĘSNY.

To ty myślisz, Maryno, pójść za mąż... za poczciwego człowieka?

MARYNA.

Za poczciwego i przystojnego jeszcze.

SZCZĘSNY.

Więc ty mnie nie kochasz?...

MARYNA.

Czegoż panicz chce odemnie więcéj?

SZCZĘSNY.

Prawda! ja szalony... ty dobra dziewczyna. — Co to za. zgiełk?... Zobacz, kto to nadchodzi — (MARYNA *wychodzi)* O dziwne serce ludzkie!... zmysły moje rozigrane do dziś nie spostrzegły, że to kamień... Zdawała mi się Nereidą Wilii — serca nasze biły razem — usta płonęły — cała altana wydawała mi się mitologicznym kościołem miłości. Słowiki, księżyc były częścią téj kobiéty... Ja się muszę już starzeć...

MARYNA (*wbiegając*).

Paniczu! jacyś panowie tu biegną!

SZCZĘSNY.

Cóż to? na ciebie polują?

MARYNA.

Za co mnie panicz bierze?

(KSIŃSKI — WYRWIK — SKOWICZ *wpadają*).

KSIŃSKI.

Ha! dalibóg, Pan Szczęsny przy ładnéj dziewczynie...

SZCZĘSNY.

Podoba ci się, Mości Ksiński?

KSIŃSKI.

Na honor ładna!

MARYNA.

Niech Panicz mnie broni!.. ci panowie śmieją się ze mnie.

WYRWIK.

A któżby zaś śmiał śmiać się? i śmiejąc się śmiał śmiać się?

SZCZĘSNY.

Czy ten Jegomość pijany?

KSIŃSKI.

Biédny Wyrwik, chce sobie wyłamać język, bo się jąkał. To Demostenes naszéj partyi teraz.

WYRWIK.

Pozwól, zwolennico wdzięków — całopalenie całusem sholdować.

SKOWICZ.

Stój! czy nie widzisz, że Pan Hrabia krzywo patrzy na ciebie?

WYRWIK.

Krzywda krzywopatrzeniem nie konstytuuje obrazy.

KSIŃSKI.

Panie Szczęsny, czy doprawdy ta dziewoja trzyma w dłoni twoje serce?

SZCZĘSNY.

Abym dowiódł, że nie, daję téj dziewczynie tysiąc dukatów posagu; niech ją który z was weźmie za żonę.

KSIŃSKI.

Panie Skowiczu?

SKOWICZ.

Chłopka!..

SZCZĘSNY.

Bywajcie zdrowi, republikanie! *(odchodzi)*.

KSIŃSKI.

Czy pan Szczęsny kocha ciebie, dziewczyno?

MARYNA.

Co Panom do tego!

KSIŃSKI.

Wiécie Panowie, że ta dziewczyna posłuży nam w naszych widokach. Trzeba działać na imaginacyą pana Szczęsnego, aby go posadzić na koń, jak tego żąda pan Hetman. — Słuchaj, jak się nazywasz?

MARYNA.

Maryna.

KSIŃSKI.

Moja piękna Maryno, umiész ty jeździć konno?

MARYNA.

Odwagi nie brakuje.

KSIŃSKI.

Słuchaj! dziś wieczorem ubierzemy ciebie w piękny ułański mundur — nauczymy, co masz mówić, i pójdziesz z nami do zamku.

MARYNA.

Ja się lękam pana Hetmana... taki straszny — czerwony! on strzela w ludzi!

KSIŃSKI.

Nie bój się! Pan Hetman da ci owszem piękny posag, jeżeli zrobisz to, czego żądamy.

MARYNA.

A czy panicz się nie będzie gniéwał?

KSIŃSKI.

I owszem, i owszem! — Panicz ciebie bardzo pokocha w twoim ładnym mundurze.

MARYNA.

Namyślę się...

KSIŃSKI.

Mości Panowie, otóż to głowa Ksińskiego! Stworzył Jeanne d'Arc... targowiczańskiéj partyi! Do tego szampan — wymowa twoja, Panie Demostenesie Wyrwiku...

WSZYSCY.

Brawo! brawo! brawo!

KSIŃSKI *(do Maryny)*.

Do wieczora...

MARYNA.

Namyślę się.

KSIŃSKI.

Ale tu nie ma czasu myśleć...

MARYNA.

Kiedy ja nie rozumiem, o co chodzi...

KSIŃSKI.

No! widzę, że się zgodzisz... Chodźmy! chodźmy!
(Odchodzą).

MARYNA.

Czego oni chcą odemnie? Żartują... Pójdę zobaczyć, gdzie ci panowie pojadą... *(odchodzi za nimi).*

SCENA III.

(Gabinet Hetmana. KARZEŁ *układa papiéry).*

KARZEŁ.

Co to jest wielkość?... Ludzie wchodzą do tego gabinetu skurczeni we dwoje... Uważam często, z jakiém przerażeniem patrzą na mnie, kiedy śmiém dotknąć koperty zapieczętowanego listu — albo hetmańskiego szlafroka... Głupcy! Ja widziałem, jak temu hetmanowi stawiał żyd pijawki: szlachcianki kałuży [1]) cięły za uchem, pompując krew z czerwonego nosa. Od tego czasu zacząłem być filozofem — i śmiać się z karłów.

SFORKA *(odsłaniając zasłonę).*

Czy Pan Hetman jeszcze nie wrócił?

KARZEŁ.

A czego chcesz, Panie intendencie?.. Nic nie odpowiedział... zły na mnie od czasu, jak go nazwałem ekonomem...

SFORKA.

Co wolno karłowi, to wolno jest panu Sforce...
(wchodzi i siada).

KARZEŁ.

Słyszałem, Panie Sforka, że miałeś odwiedziny ważnéj jakiéjś figury.

SFORKA.

Co? czy ty wiész o tém, Stynko?

KARZEŁ.

Poznałem pana po mundurze.

SFORKA.

Żebyś ty wiedział, jak to trudno z Włochami rozmawiać!..

---

1) Mowa o pijawkach.

KARZEŁ.

Zwłaszcza temu, kto nie umie geografii...

SFORKA.

Ja umiem geografią przecie.

KARZEŁ.

A sprzeczałeś się ze mną, że Wezuwiusz był cesarzem rzymskim.

SFORKA.

Kłamiesz jak pies, moja Sielawo. Wezuwiusz to góra — zawsze mówiłem, że Wezuwiusz to góra...

KARZEŁ.

A ja ci powiadam, że Wezuwiusz to dziura.

SFORKA.

A ja ci powiadam, że to wulkan.

KARZEŁ.

A ja ci powiadam, że Wulkan to bożek mitologiczny.

SEORKA.

Ja wiém bardzo dobrze, że to bożek mitogiczny.

KARZEŁ.

A dlaczegoż mówiłeś, że to góra?

SFORKA.

Chciałem z ciebie pożartować, błaźnie.

KARZEŁ.

Jak będziesz panem, to będziesz miał błazna.

SFORKA.

Skądże ty wiész, że ja będę panem?

KARZEŁ.

Świat — to loterya, Panie Sforka. Często głupi wygrywa los wielki — ogromne sumy...

SFORKA.

Ale ja nie głupi...

KARZEŁ.

Ja bardzo dobrze wiém o tém; ale kiedy głupi często wygrywa, to rozumny, jak ty panie Sforka, człowiek jeszcze częściéj...

SFORKA.

I ty myślisz, że na mnie spadną ogromne sumy?

KARZEŁ.

Prawda, że to być nie może...

SFORKA.

Być bardzo może, panie karle! Mam coś w kieszeni — kilka słówek — położyć kilka słówek odpowiedzi — a rozmnożone przez B dziesięć pytań, plus dziesięć odpowiedzi — algebraicznie i arytmetycznie dadzą...

KARZEŁ.

Dadzą X.

SFORKA.

A wiesz ty, co to X?

KARZEŁ.

Przed nazwiskiem napisane znaczy Książę...

SFORKA.

Dalibóg, że ten karzeł nie głupi! Ja sam o têm nie pomyślałem...

(Wchodzi HETMAN. KARZEŁ *i* SFORKA *wstają nagle).*

HETMAN.

Co wy tu gałgany w moim gabinecie, w czapkach?

SFORKA.

Czekaliśmy na Jaśnie Oświeconego...

HETMAN.

Mogłeś zdjąć czapkę przed moim stołkiem — nawet przed synonimem tronu.

SFORKA.

Co to znaczy synonim tronu, karle?

KARZEŁ.

Znaczy, że syn O nie ma tronu —

SFORKA.

Syn Jaśnie Oświeconego Pana będzie zapewne na tronie, jeśli się nam uda...

HETMAN.

Słuchaj! jutro, jak świt, wyjeżdżam do Wilna.

SFORKA.

Sam Najjaśniejszy Hetman?

HETMAN.

Sam. Zmieniły się rzeczy — trzeba działać... Syn mój zostanie w zamku i wieczorem przyprowadzi mi moję legią...

SFORKA.

Czy zgodził się już Hrabia Szczęsny?

HETMAN.

Zgodził się? — Dziesięciu darmojadów odpowie mi głową za jego zgodę! Wszak mi odpowiadali zawsze: niepodobna, aby syn twój nie zechciał... nasza to rzecz, Panie Hetmanie—Niech więc dziś dopną swego, albo — na Boga! powywieszam, jak wędzonki w kominach. Syn mój byle się raz skompromitował, już będzie mi niepotrzebny. Teraz ludzie uważają go za hak, na którym ojca powiesić trzeba... Wiész ty, że sam Jasiński widział się z nim przeszłéj nocy? ale nic nie zyskał...

SFORKA.

Jasiński? ten wisielec?

HETMAN.

Ksiński widział go przeszłéj nocy w ogrodzie. Gdyby miał był kilku ludzi, schwytałby ptaszka... Mówią, że się kryje koło Pomar.

SFORKA.

Może napaść na Wilno...

HETMAN.

Ja wyjeżdżam do Wilna... słyszałeś?

SFORKA.

Zapewne, że Jaśnie Wielmożny Hetman...

KARZEŁ.

I Najświętsza Panna Ostrobramska...

SFORKA.

I Najświętsza Panna Ostrobramska... nie dopuszczą...

HETMAN.

Masz listę szlachty, co tu ma zjechać wieczorem?

SFORKA.

Oto jest. *(dobywa papiéru).*

HETMAN.

Daj mi okulary... *(wkłada okulary).* Czytajmy... jakie imiona? *(czyta:)*

Łatwe do zadania,
Ale trudne do rozwiązania
Zapytania...

SFORKA *(pada na kolana).*

Jaśnie Wielmożny Panie! to nie ten papiér...

HETMAN *(nogą bije go w piersi).*

Psie!.. (SFORKA *wywraca się omdlały).* Co? czy zdechł? Karle, zobacz!

KARZEŁ.

Oddycha.

HETMAN.

Ten stary nie wié, że każde uderzenie mego serca jest zamkniętym w piersiach piorunem.. Zawołaj hajduków!.. Czaszka tego starca z okropnym dźwiękiem uderzyła o podłogę... Sforka! Sforka! Sforka!

(KARZEŁ *z hajdukami*).

Wynieście go i zawołajcie doktora... Ty bracie, masz jednę rękę wolną — weź ten znosek *(pokazując na karła)* i daj mu dziesięć bizunów!

KARZEŁ.

Panie!!!

HETMAN.

Dwadzieścia bizunów!

KARZEŁ.

Za co?

HETMAN.

Trzydzieści bizunów!

(wynoszą Karła i Sforkę).

Czy zgodzi się syn mój?.. Pytają mnie o serce mego syna... Co to za zgiełk? hej!.. (HAJDUK *wchodzi*). Co to za zgiełk?

HAJDUK.

To wypuszczono psów na zamkowego niedźwiedzia.

HETMAN.

Zawołać karła! poszedłem z nim w zakład, że niedźwiedź rozedrze sroczkę czarną — hej! zawołać mi karła! *(wychodzi).*

SCENA IV.

(Pokój inny w zamku. KSIŃSKI *sam).*

KSIŃSKI.

Zbliża się godzina działania. Przyrzekłem panu Hetmanowi, że syn jego siądzie na koń — i dotychczas nie mogłem ani słowa prawdy wygrzebać z ust tego młodzieńca. Trzeba nareszcie, żeby się zdeklarował. Gdybym to ja był synem hetmana!.. ha! ha! pani natura nie wié sama, co robi. Taka głupia jak człowiek, coby szampana zlewał do porterowéj butelki... Pani natura dała

mi długą szyję, nogi i ręce — i właśnie uczyniła mnie człowiekiem pokłonnym, kłaniającym się. Ba! rzecz to jeszcze do rozwiązania, czy krótkiemu, czy długiemu człowiekowi łatwiéj zgiąć się we dwoje. Nie! natura — rozumna pani! Zamiast grubego brzucha, dała mi w miejscu pasa coś nakształt pergaminowych zawiasów tekturowego pudełka, brzuch, mości dobrodzieju, podobny do pustéj teki, zmarszczony — wpadły i nie skrzypiący w chwili ukłonu.

(SZCZĘSNY *wchodzi z książką).*

Witam, Panie Hrabio.

SZCZĘSNY.

Jak się miewasz, przyjacielu?

KSIŃSKI.

Pan Hrabia bawi się lekturą...

SZCZĘSNY.

Tak.

KSIŃSKI.

To zatrudnienie wielkich ludzi.

SZCZĘSNY.

Czytasz często?

KSIŃSKI.

Ja, Panie Hrabio? Od czasu szkół...

SZCZĘSNY.

Rozumiem. Czemu nie idziesz patrzeć na walkę niedźwiedziów?

KSIŃSKI.

Ważny interes dobra pospolitego zajmuje mnie całego. Mości Hrabio! dziś ważny dzień dla naszéj sprawy — cała Polska czeka ukazania się nowego słońca na horyzoncie politycznym.

SZCZĘSNY.

Czy przygotowała zaczernione dymem szkiełka?

KSIŃSKI.

Jak to, Panie Hrabio?

SZCZĘSNY.

Inaczéj oślepnie, patrząc gołém okiem na słońce.

KSIŃSKI.

Twoi przyjaciele będą jako chmura koło ciebie, Szczęsny.

SZCZĘSNY.

Ha! to ja mam być tém słońcem?... *(czyta).*

KSIŃSKI.

Nie zechcesz zapewne, Panie Hrabio, zasmucić ojca twego haniebną opieszałością. Literatura dobra jest, Panie Szczęsny, w spokojnych czasach; ale wtenczas, kiedy działać potrzeba, co znaczy alembikowanie druków na esencyą myśli?

SZCZĘSNY.

Czytałeś ty kiedy Platona o nieśmiertelności duszy?

KSIŃSKI.

Zdaje mi się, że czytałem.

SZCZĘSNY.

Cóż sądzisz?

KSIŃSKI.

Sądzę, Panie Hrabio, że potrzeba zdecydować się.

SZCZĘSNY.

Na co?

KSIŃSKI.

Ale uważaj, Panie Hrabio, że kraj potrzebuje sprężystéj pomocy, inaczéj... inaczéj... Co mi tam nieśmiertelność duszy! gdyby Platon żył w tych czasach, byłby republikaninem, jak ja.

SZCZĘSNY.

Śmierć nie jest śmiercią...

KSIŃSKI.

Ale jeżeli kraj umrze...

SZCZĘSNY.

Dusza jest nieśmiertelna, Panie Ksiński... Słuchaj! rzecz wielka — a nawet błahy odłam wielkiéj rzeczy umrzeć nie może. Oto, po przeciągu lat 2.000 wiem dzisiaj, że Sokrates z Fedonem rozmawiał o piękności, jak ja z tobą. Może trochę inaczéj, bo obaj byli bez bótów...

KSIŃSKI.

Fatałachy!..

SZCZĘSNY.

Coś jest dziwnego w tych fatałachach, porównanych z wielkimi rzeczami tego wieku! Sokrates powiedział do Fedona: — Gorąco dziś; jeżeli chcesz, to pójdziemy nad błękitny strumień — a rozmawiając nogi nasze zanurzymy w chłodnéj wodzie. Poszli nad strumień... Widzę ich... siedzieli na lekkiéj pochyłości okrytéj bujną murawą; fale żywe łaskotały nagie ich stopy, platan rozłożysty dawał cień przyjemny i słychać było śpiéwanie

polnych koników, które się kryły w murawie przed upałem południowym...

KSIŃSKI.

Powiédz mi, Panie Hrabio, cóż jest w tém wielkiego?

SZCZĘSNY.

Nic.

KSIŃSKI.

Czegoż to uczy?

SZCZĘSNY.

Abyśmy poszli obadwa na trawę, bo gorąco. Jeżeli jesteś Platonem, ty albo kto z ludzi tutaj przytomnych, choćby karzeł mego ojca, to będą ludzie wiedzieli po upływie 2000 lat, żeśmy z tobą leżeli na trawie — nad Wilią.

KSIŃSKI.

To metafizyka!... nie rozumiem.

SZCZĘSNY.

Mówiąc o piękności, Sokrates przyrównał naturę człowieka do woza zaprzężonego dwoma końmi. Jeden czarny, rwie się i pieni; drugi, biały jak mléko, opiéra się zapałowi towarzysza; woźnica złotymi licami kieruje sprzeczne zapędy obu. Czarny koń — to zmysły, biały — to dusza; woźnica — to rozum.

KSIŃSKI.

Nie rozumiem, dalibóg nie rozumiem!

SZCZĘSNY.

Umiesz ty powozić z kozła?

KSIŃSKI.

Umiem.

SZCZĘSNY.

Na cudzym wozie, nie mając koni?

KSIŃSKI.

Na honor powiozę.

SZCZĘSNY.

Zepchnij woźnicę i bądź sam woźnicą.

(odchodzi — staje).

KSIŃSKI.

Ale na Boga! gdyby cię kto słyszał, Panie Hrabio, powiedziałby...

SZCZĘSNY.

Co?

KSIŃSKI.

Żeś zwaryował.

SZCZĘSNY.

Rozgłoś to po zamku... *(odchodzi).*

KSIŃSKI.

Wywinął się... Czy on głupi, czy ja głupi?... Czy Szczęsny gada od rzeczy? Tak być musi, bo gada o niczém.

(AMELIA *wchodzi*).

AMELIA.

Słyszałam tu głos mego brata.

KSIŃSKI.

Pani, przyjmij odemnie uniżony respekt!

AMELIA.

Słyszałam tu głos mego brata, chciałabym z nim pomówić.

KSIŃSKI.

Niech go Pani raczy różanymi ustami skłonić do działania. Ciągle zajęty fatałachami.

AMELIA.

Właśnie mam polecenie od ojca, abym go namawiała do czynniejszego życia.

KSIŃSKI.

Niech Pani wymoże na nim, aby był przytomnym uczcie dzisiejszéj, a my go szampanem i wymową wyexaltujemy.

AMELIA.

Szampanem? wstydź się, Panie Ksiński!.. Ty myślisz jego wielką duszę podstępem skłonić do wielkiego dzieła? O! zaczynam wątpić o czystości waszych zamiarów, jeżeli sposoby do dopięcia celu macie tak błahe i podłe. Ja mego brata ochronię od waszéj namowy. Niech Pan będzie tak dobry, poszuka go w ogrodzie i przyśle tutaj.

KSIŃSKI.

Rozkaz Pani... *(odchodzi).*

AMELIA.

Jaka różnica między tymi ludźmi a moim bratem! Nieraz rozmyślam głęboko, dlaczego Szczęsny wydaje mi się tak pięknym i wyniosłym, zwłaszcza kiedy spokojny; bo jak uleci w niebo myślami, nie mogę za nim ścigać i myśl moja gubi się w chmurach. O jakbym go chciała zobaczyć na scenie czynnego świata — wyższego nad ludzi!

SZCZĘSNY *(wchodząc)*.

Siostro, dobry dzień!

AMELIA.

Szczęsny, ojciec mię prosił, abym pomówiła z tobą...

SZCZĘSNY.

Wolałbym rozmawiać z tobą, niż z moim ojcem...

AMELIA.

Otóż będę mówiła słowami mego serca. Ty taki dobry dla twojéj siostry; pamiętam te chwile, kiedy dziećmi będąc, razem biegaliśmy po nadwilejskich łąkach za motylami wiosny; kiedy jesienią w zasypanych liściem alejach lubiliśmy chodzić razem i dumać. Ja się nie odmieniłam, ale tyś się bardzo odmienił, Szczęsny...

SZCZĘSNY.

Czy ty myślałaś, że ja nigdy nie urosnę?

AMELIA.

Powiédz mi, czy ty mnie masz za tak błahe stworzenie, że niewarta jestem jednego smutnego słowa z twojéj duszy?

SZCZĘSNY.

Ja bardzo smutnie mówię do ciebie...

AMELIA.

Widzę, że straciłam twoje zaufanie.

SZCZĘSNY.

Czy ci mówił Ksiński, że zwaryowałem?

AMELIA.

Zostaw tych ludzi w pokoju, Szczęsny — i bądź ze mną, jak z twoją przyjaciółką, raz tylko, przez kwadrans! Powiédz mi, dlaczego nie chcesz wypełnić woli twego ojca? Ojciec nic niegodnego żądać nie może. Czyż mógłby chcieć wtrącić ciebie w przepaść? Powiédz mi, bracie, cóż widzisz w ojca zamiarach, że nie chcesz im pomagać?

SZCZĘSNY.

Nic nie widzę i dla tego właśnie, że nic nie widzę...

AMELIA.

Dlatego?

SZCZĘSNY.

Jestem ślepy...

AMELIA.

Czytałam o królu Janie-bez-ziemi, że będąc ślepy, kazał się przywiązać między dwóch śmiałych żołnierzy i z pałaszem dobytym wpadł na wrogów i poległ. Bądź więc między twoją siostrą a ojcem! niech ciebie prowadzą na pole sławy!

SZCZĘSNY.

Jaka ty uczona! *(chodzi po sali zamyślony).*

AMELIA.

Widzę, mój bracie, mój najdroższy — mój najmilszy, że ty się zaczynasz nawracać na siostry twojéj mowę. Widzę myśl wzniosłą w zmarszczkach twego czoła...

SZCZĘSNY.

Wzniosła... dziecinna!..

AMELIA.

O! nie wracaj do ironii.

SZCZĘSNY.

Dalibóg, że miałem myśl dziecinną... Masz w bukiecie twoim białą margeritkę. Oberwij ją mówiąc: tak, nie — za każdym listkiem. Jeżeli wypadnie tak... to będę z moim ojcem.

AMELIA.

Jakże ty rzecz ważną możesz kłaść na te marne listki kwiatu? więc los ci może rozkazać, a siostra twoja nie może?

SZCZĘSNY.

Tak — los może mi rozkazać rzecz obojętną... bo prawdziwie, że teraz to rzecz obojętna dla mnie; a nawet wyznam ci, że tak zabrnąłem w zawikłanych sidłach tego świata, że będę się cieszył, jeżeli margeritka powie tak... Obroni mnie od wyrzutów sumienia — rozwiąże z nienawistnych węzłów —

AMELIA.

Co ty masz na sumieniu? Bracie luby, nieraz patrząc na twoje zamyślone czoło, nie mogę znaleść innego porównania, jak do pochylonéj białéj i nieskalanéj lilii. Prawda, że twoja dusza czysta?

SZCZĘSNY.

Oberwij margeritkę!

AMELIA *(obrywa listek).*

Tak, nie... tak, nie...

SZCZĘSNY.

Patrzę na te spadające listki z okropném przerażeniem. O! błahość ludzkich zamiarów...

AMELIA.

Tak.

SZCZĘSNY.

Szatani! Wypadło tak!.. Idź, powiédz mojemu ojcu, że jestem — na wieki — na wieki! i będę z nim aż w tamtém życiu odpowiadał za krew i jęki.

AMELIA.

O Boże! o Boże!

SZCZĘSNY.

Proś za mnie Boga, bo ja ci powiadam, że lepiéj by dla mnie było, gdybym był umarł w żywocie matki! bo teraz spałbym, odpoczywałbym, a tak... a tak? czém ja będę?

AMELIA.

Bracie, przebacz mi!

SZCZĘSNY.

Tobie?.. co przebaczyć?... Ja sobie tylko przebaczyć nie mogę, że w tajemnicy serca żądałem... O! wielkość. sława!.. Ale na Boga! ja nie takiéj chciałem sławy — nie takiéj wielkości... Stało się...

AMELIA.

Bracie, ja skłamałam — wypadło nie!

SZCZĘSNY.

Teraz skłamałaś, Amelio! Wypadło tak. Ja wiem, że mię los miał rzucić na taką drogę. Wahałem się — o włosek. Włosek się zerwał — a teraz będą się urywać wszystkie skały zawieszone nad moją głową.

SŁUGA (*wchodzi*).

List do Pana Hrabiego.

SZCZĘSNY.

Kto przyniósł?

SŁUGA.

Jakiś siwy starzec, w szaréj czamarze.

SZCZĘSNY.

Ale ten list bez adresu.

SŁUGA.

Powiedział, że od ślepego człowieka.

SZCZĘSNY.

Ha!.. (*odpieczętowywa, czyta*).

AMELIA!

Szczęsny! jaką ty masz twarz?! To jakaś zła nowina!

SZCZĘSNY.

I owszem, bardzo dobra! Zaczynam być, czém jestem. Ludzie mnie poznają... Powiédz temu człowiekowi, że przyjdę. O! gdyby się cofnąć o rok życia — nie przyszedłbym na taką godzinę!.. Amelio!.. Amelio!.. Amelio!..

AMELIA.

O jaki jęk!..

SZCZĘSNY.

Nic!.. Siadaj! Prawda, że ja nie jestem złego serca człowiekiem? ty wierzysz we mnie; prawda, Amelio?

AMELIA.

Bracie, jakie ja nieznane nieszczęście ściągnęłam na twoję głowę niewinném, jak sądziłam, kłamstwem? Przysięgam ci na duszę matki mojéj, że ostatni listek kwiatu powiedział n i e.

SZCZĘSNY.

Amelio moja, teraz wcale mnie nie obchodzi przyszłość, ani przeszłość. Chciałbym ci wyznać wszystko, ale nie mogę. Jest okropna tajemnica, która by nas oboje zabiła, a bez wydania téj tajemnicy nie mogę usprawiedliwić najmniejszego wypadku w mojém życiu. Amelio, błagam ciebie na imię matki twojéj, nie sądź o mnie podług sądu innych ludzi — i zachowaj mi w sercu jedno długie wspomnienie! Takie wspomnienia smutne i jednobrzmienne wznoszą serca ludzkie do Boga.

AMELIA.

Ale ty się gotujesz na coś okropnego...

SZCZĘSNY.

Ja ciebie bardzo kochałem... więcéj niż... (*wstaje gwałtownie*). Bądź zdrowa! Kochałem ciebie, jak brat... Słuchaj! ty kiedyś będziesz miała męża i dzieci, ale przyjdą godziny, że miłość ich nie wystarczy tobie, i porównasz ją z miłością twego brata — i będzie ci czegoś niedostawać i będziesz płakać... O! jak my kiedyś byliśmy szczęśliwi dziećmi!..

AMELIA.

Co ci jest, bracie?

SZCZĘSNY.

Mam wielkie długi do zapłacenia.

AMELIA.

Długi? ale mój ojciec... mój ojciec zapłaci... wszystko... Ja ci przysięgam...

SZCZĘSNY.

Tak! i mój ojciec może zapłaci... Ale ja... Ty nie możesz rozumieć, siostro, zawiłych tego świata zdarzeń. To gorzéj, niż w najokropniejszych przepowiedniach świętego Jana!... Są serca rozdarte na cztéry części... jak zapisane głupim poematem karty papiéru w ręku rozsądnego człowieka... Bądź zdrowa!... życzę ci wstąpić do klasztoru!

AMELIA.

Do klasztoru?

SZCZĘSNY.

Wszak ty nie masz męża, ani kochanka... Nie chciałbym, aby ciebie kto oszukał — Ha! ale co ty powiesz ojcu odemnie? Czekaj, powiesz... że — pojechałem płacić długi... Ja może powrócę wieczorem. Jeżeli powrócę, to będę łachmanem, z którego nie można zrobić chorągwi dla żadnéj partyi... Więc niech ze mnie zrobi, co mu się podoba... *(odchodzi)*.

AMELIA.

Zrozumiałam... Mój Boże! teraz zrozumiałam... Szczęsny! Szczęsny! *(wybiega)*.

ZASŁONA SPADA.

AKT TRZECI.

SCENA I.

(W domu Horsztyńskich).

HORSZTYŃSKI i SZCZĘSNY.

HORSZTYŃSKI.

Panie Hrabio, czy jesteśmy sami?

SZCZĘSNY.

Nikogo nie ma w pokoju.

HORSZTYŃSKI.

Jest to pokój ulubiony ojca mojego... tam na prawo musi być jego obraz. Cichą i łagodną miał twarz i białe włosy, jak

moje włosy, ale srebrny włos jego żadnéj hańby nie nosił... Tam nad drzwiami musi być dotąd krucyfix ze słoniowéj kości na hebanowéj desce.

SZCZĘSNY.

Tak jest...

HORSZTYŃSKI.

Pod krucyfixem wisi para pistoletów...

(Szczęsny zdejmuje pistolety).

SZCZĘSNY.

Oto są.

HORSZTYŃSKI.

Nienabite... w stoliku na prawo — rożek z prochem i kule.

SZCZĘSNY.

Znalazłem.

HORSZTYŃSKI.

Pan wiész zapewne, że potrzeba jeden z pistoletów nabić. Sądzę, że umiesz nabijać. Jeden pistolet w sandał, drugi w jabłeczne drzewo oprawny. Nabij Pan... *(cisza)*. Czuję zapach lip mojego ogrodu — myślałem, że będę kiedyś spokojny — na starość!.. Czy już nabity?..

SZCZĘSNY.

Wybierz Pan jeden z pistoletów.

HORSZTYŃSKI.

Ja ślepy...

SZCZĘSNY.

Wszak los powinien być sędzią...

HORSZTYŃSKI.

Los...

SZCZĘSNY.

I Bóg.

HORSZTYŃSKI.

Proszę wybrać!

SZCZĘSNY.

Ja wiém, który nabity.

HORSZTYŃSKI.

Proszę wybrać!

SZCZĘSNY.

Wybrałem.

HORSZTYŃSKI.

Siądź Pan tu blisko, daj mi lewą rękę. A wiész Pan, że ja nic nie wiem, czy jesteś winny, czy niewinny — czy podły, czy szlachetny...

SZCZĘSNY.

Strzelajmy!

HORSZTYŃSKI.

Jeżeli zabijesz mię, będziesz zabójcą — jeżeli ja ciebie zabiję, będziesz samobójcą — ja będę czysty przed Bogiem.

SZCZĘSNY.

Strzelajmy...

HORSZTYŃSKI.

Może chcesz Pan pomieniać się na pistolety?

SZCZĘSNY.

Nie! [1]).

---

[1]) Scena powyższa była pierwotnie inaczéj przeprowadzona. Po napisaniu przekreślił ją poeta i dał natomiast to, co zamieszczamy w texcie. Pierwotne ułożenie było następujące:

HORSZTYŃSKI.

Czekaj, młodzieńcze! Oto chcę, abyś zobaczył, co po śmierci zostawiam na ziemi . Żebractwo, żebractwo! . Czytaj .

SZCZĘSNY.

Cóż to? Sądów ziemskich wyrok..

HORSZTYŃSKI.

Czytaj głośno.

SZCZĘSNY.

W imieniu królewskiém .

HORSZTYŃSKI.

Idź daléj.

SZCZĘSNY.

Widzę nazwisko ojca mojego — herby sądowe . i głowa mi się zawraca.

HORSZTYŃSKI.

Wychodząc na wojnę pożyczyłem był u ojca pańskiego 5000 dukatów na całą hypotekę dóbr moich. Ojciec podczas mojéj niebytności wytoczył sprawę — na nieprzytomnym wygrał — i oto wyrok.. Jutro zatradowany cały mój majątek.

SZCZĘSNY.

Cały? .

HORSZTYŃSKI.

Czytaj Pan wyrok... z prelewacyą na rzecz mojéj żony, jéj posagu i wiana..

SZCZĘSNY.

Boże!

HORSZTYŃSKI.

Żona moja nie miała posagu; a wiana zrzekła się, kiedym potrzebował pieniędzy.

SZCZĘSNY.

Jeden z naszych pistoletów nabity — jeden z nas zostanie na ziemi — i będzie czuwał nad...

HORSZTYŃSKI.

A teraz Pan wiész, że ja Pana zabić nie mogę. Ludzie powiedzą, że się chciałem pomścić straty majątku... plama haniebna pokryje moję nędzę, zatruje

HORSZTYŃSKI.

Młodzieńcze! Nieraz punkt honoru — duma tak jest silna w człowieku, że wystawiony na wybieranie między życiem a śmiercią, wstydzi się wybrać życie, myśląc, że się tym wyborem upodli — i myśli, że się poświęca. — Hrabio, ja się poświęciłem dla kraju mego i widzę teraz nicość mojego poświęcenia się. Jeżeliś niewinny, upamiętaj się i nie idź do grobu z taką obojętnością. Przypominam ci słowami starca: że Bóg nie napróżno wlał w serca nasze bojaźń śmierci. Śmierć jest coś okropnego — bardzo okropnego. Ślepy, nie mając co robić, myślałem po całych dniach, o tajemnicy grobu — i prawdziwie śmierć jest okropnością nieopisaną — cieniem wszystkiéj myśli — sprężyną każdego wahania się. — Jeżeliś niewinny, upamiętaj się, nie kładź na moje siwe włosy ciężaru zbrodni — złóżmy pistolety — wybierzesz je po raz drugi.

---

ostatni kawał czarnego chleba. — Rad będę jednak widział, jak osądziłeś siebie. . w tym pistolecie jest wyznanie albo twojéj podłéj duszy — albo winy twojéj. . i winy waszéj... Słuchaj!

(strzela na wiatr w ścianę).

Ha! osądziłeś się winnym..

SZCZĘSNY.

Oddawałem moje życie.

SALOMEA *(wpada)*.

Co to za strzał?

HORSZTYŃSKI.

Prosiłem Szczęsnego, aby spróbował moich pistoletów ..

SALOMEA.

Mężu! O!... Twój pistolet gorący... to ty strzeliłeś .

HORSZTYŃSKI.

Niechcący ..

SALOMEA.

Strzaskałeś krucyfix ze słoniowéj kości.

HORSZTYŃSKI.

Krucyfix?...

SALOMEA.

Dlaczego Pan masz w ręku pistolet?

SZCZĘSNY.

Pani, mój pistolet nienabity — nikomu strasznym być nie może.

(skrzesza z panewki)

SALOMEA.

Mężu!

HORSZTYŃSKI.

Moja córko, zostaw nas samych. Gwarzyliśmy sobie o dawnych czasach — dziś wigilia wzięcia Częstochowy. — Jak żeńce będą z pola wracali, każ im na dziedziniec beczkę piwa wytoczyć — dawno już nie słyszałem pieśni smutnéj żeńców. . Przyślę ci wkrótce Pana Hrabiego, aby wybrał najpiękniejszą żniwiarkę, któréj ty dasz czerwoną grażu wstążkę. *(Wychodzi Salomea)*.

SZCZĘSNY.

Wolałbym prędko ukończyć tę scenę.

HORSZTYŃSKI.

Ale wiész, że ja nie mogę jeszcze wierzyć, abyś ty był winny. Szanowałem ciebie, ufałem tobie — a choć mi oddasz życie twoje, będę pogardzał tobą — przysięgam, że nie wyleję łzy nad tobą, kiedy będziesz leżał u nóg zhańbionego starca. Słuchaj! Między mną a ojcem twoim jest wielka nienawiść — i wiele do nienawiści powodów. Zdaje mi się, że Bóg wybrał rodzinę twoję, aby była ogniem strzechy mojéj — trucizną studni moich — wichrem obrywającym sady moje... Walczyłem — teraz upadam jak robak rozciśniony nogami — szczęśliwy, ilekroć sobie powiem

---

Panie Hrabio, mówmy otwarcie... W innych okolicznościach prosiłbym ciebie, abyś odjechał... Ja stary, kaleka — mam prawo do kilku dni cichego życia na téj ziemi... Ale rozmyśliłem się... Żona moja spotkawszy mię tego rana, krzyknęła okropnie — inaczéj nie wiedziałbym, że przez noc jednę osiwiałem... Więc Bóg zamroził krew w żyłach moich .. Nie mogę rosnąć jak chwast nieużyteczny pomiędzy ludźmi... Skargi moje odprowadzają mię od celu. Proszę cię, Panie Hrabio, zostań w domu moim — i czuwaj nad nią jutro... Wiesz zapewne, że żona moja wzięła po matce usposobienie do melancholii czarnéj. Jeżeli przebędzie dzień jutrzejszy, może będzie kiedyś szczęśliwa ..

SZCZĘSNY.

Panie Horsztyński, nie obrażaj się moją mową... Oto mój ojciec wydzielił mi małą wioszczynę nad brzegiem Willi...

HORSZTYŃSKI.

Nie kończ Pan...

SZCZĘSNY.

Wyjeżdżam za granicę — wioska moja zniszczeje bez pańskiego oka...

HORSZTYŃSKI.

Co? ja mam być ekonomem?

SZCZĘSNY.

Mówiłem, że pańskiego oka potrzeba. .

HORSZTYŃSKI.

Ja nie mam oczu.

SZCZĘSNY.

Nie mówmy więc o têm.

HORSZTYŃSKI.

Rozmowa nasza urywa się...

SZCZĘSNY.

Więc odchodzę.

HORSZTYŃSKI.

Daj mi rękę... Co? ty płaczesz? — Wstydź się, dziecko! — Kiedyś byliśmy w szkołach z twoim ojcem i dawałem mu plagi, a śmiał się; — teraz on mi oddał wet za wet — i basta! — Uspokój się, mój synu. Kiedyś chodząc po tym domu, wspomnij starego wojaka .

na pociechę: — Oto kraj wali się: nie dziw, że gruzy zasypały dom starego szlachcica... W ogromie takiego upadku gubię pamięć nieszczęścia; lecz kiedy pomyślę, że upadek mój, hańba domu mojego jest darem zdrajcy —

SZCZĘSNY.

Panie Horsztyński!..

HORSZTYŃSKI.

Przysięgam, że to upodlenie, nieszczęśliwym zostać przez panów Kosakowskich. Nie oparłem chaty mojéj o mury zamku waszego — przyszliście sami szukać mojéj dziedziny. Ojciec bierze mi i wydziéra chléb, ostatni kawał chleba na starość — a ty, ty może gorszy od ojca. Zdaje mi się, że wy bardzo podli — muszę zostawić tobie życie, Panie Szczęsny.

SZCZĘSNY.

Panie Horsztyński, wybierajmy pistolety.

HORSZTYŃSKI.

Słuchaj! tak pogardzam waszą rodziną, że jeżeli ona kochała ciebie: to lituję się nad nią — bo to nieszczęście i hańba

---

SZCZĘSNY.

Ja nie winny twego nieszczęścia.

HORSZTYŃSKI.

Nikt nie winny: — kraj cały wali się, gruzy zasypały dom starego szlachcica.. Zdaje mi się, że jakaś ogromna pochodnia pożaru przyświéca mojemu upadkowi; chciałbym tylko — jak czytałem niegdyś w dziejach o królu Janie-bez-ziemi — chciałbym siąść na konia, przywiązać go między dwa konie śmiałych ludzi — i rzucić się tak ślepemu z pałaszem w ręku na Drewicza szeregi! .. Rąbać, pók zarąbią! .

SZCZĘSNY.

Kto wié, czy kiedy razem nie zginiemy tak, jak mówisz.

HORSZTYŃSKI.

Szaleństwo! .. Zasnęli Polacy, i czuję, że na długo, na długo . Pułaski w Ameryce, król w Warszawie, kraj zaprzedany Moskalom — zdrajce!.. Dzieci ich kiedyś przeklinać im będą. Zaprawdę, że póki tyle głów z ich pokolenia pod toporem kata nie spadnie, ile rublów wzięli z kazny moskiewskiéj, to kraj nie ożyje!.. *(Szczęsny załamuje ręce z rozpaczą i wychodzi).*

Wyszedł... Oto pierwsza kara na zdrajców, że dzieci ich uciekają od dźwięku imienia ojcowskiego. Szlachetny to jednak młodzieniec. Ona z nim będzie szczęśliwa... Trzeba teraz pomyśleć, jak złamać nasz ślubny pierścionek. Śmierć! Nigdy przed sobą nie widziałem nędzy: a dziś... jutro . Cóż robić na świecie?.. siąść przy drodze i żebrać jałmużny: na litość Boga! dajcie grosz ślepemu?... Psa nie mam, coby mię co dnia pod krzyż zaprowadził rano, a odwiódł do jamy wieczorem...

Nie chcę sobie w łeb strzelić: — śmierć taka nie ukryje się, krew i mózg zawala te podłogi — i sędziowie ślizgać się będą, jak w dzień sądny na Jozefata dolinie... Może w domu jest trucizna... *(klaska).*

i kara boska i plaga mojżeszowa, kochać podłego człowieka. Ale może ty niewinny téj ostatniéj zbrodni... W takim razie... czy wiész, że zhańbiłem ciebie śmiertelnie słowami — a mam broń, którą zabiję ciebie, ojca twojego i wasz honor — i pamięć waszego życia zabiję na wieki! — Wybiéraj Acan pistolety!

SZCZĘSNY.

Poczekaj... chcę obaczyć jeszcze raz — myśl jednę...

HORSZTYŃSKI.

Wybieraj, zdrajco!

SZCZĘSNY.

Wybrałem.

HORSZTYŃSKI.

Boże! Boże! czuję w ręku ten sam pistolet, co pierwéj. *(odwraca się i strzela w ścianę).* O! Boże!

(Słychać głos SALOMEI *za drzwiami).*

Puszczajcie! Jezus! Marya! Umrę... puszczajcie!

HORSZTYŃSKI.

Otwórz, Szczęsny!

(Szczęsny otwiéra, Salomea pada omdlała w jego ręce, krzycząc:)

Zabiłeś go?

HORSZTYŃSKI.

Żono!.. dlaczego tak cicho?

SZCZĘSNY.

Omdlała.

HORSZTYŃSKI.

Ocuć ją. Czy tylko omdlała?.. Chodź tu, młodzieńcze! wybierz drogę, jaką sądzisz, że należy ci wybrać. Ja wybrałem...

SZCZĘSNY.

O! zabiłeś mnie wzgardą!... Teraz gotów jestem na wszelkie niegodne postępki. Będę z nimi...

HORSZTYŃSKI.

Z kim?

SZCZĘSNY.

Z tymi, co pogardą wszystkich ludzi mszczą się za pogardę siebie.

HORSZTYŃSKI.

To mi bardzo obojętne, czém ty będziesz.

SZCZĘSNY.

I dla mnie to bardzo obojętne... Bądź zdrów, panie Horsztyński!

HORSZTYŃSKI.

Zostań — niech ona zobaczy, że ty żyjesz... [.........[1])] a ja lituję się nad nią. Szkoda téj kobiéty!

SALOMEA.

Gdzie mój mąż? mój mąż?

HORSZTYŃSKI.

Przyprowadź ją do mnie!... Co ci jest, moja żono? Skąd tobie taki przestrach? próbowaliśmy pistoletów...

SALOMEA.

Mężu, to ty strzeliłeś!.. twój pistolet gorący...

HORSZTYŃSKI.

Prochem był nabity... wszakże i prochu szkoda na wróble...

SALOMEA.

Mężu, strzaskałeś krucyfix, co wisi nade drzwiami.

HORSZTYŃSKI.

Krucyfix?

SALOMEA.

Czemu Pan masz broń w ręku?

SZCZĘSNY.

Nie nabita. *(skrzesza).*

HORSZTYŃSKI.

Panie Szczęsny, to mówiłeś, że gotów jesteś dać mi swój turecki kindżał za te dwa francuskie pistolety — namyśl się... a jeżeli chcesz takiéj zamiany, to ja zgodzę się nareszcie zyskać na tobie.

SZCZĘSNY.

Co do mnie, to rzecz skończona.

HORSZTYŃSKI.

Bardzo się cieszę — będę miał po tobie pamiątkę... miłą...

SZCZĘSNY.

Zapiszę ci jeszcze w testamencie pochwę mojego kindżała.

HORSZTYŃSKI.

Starzy pierwéj umierają; — ale się jeszcze może zobaczymy, bo podobno masz wyjechać — walczyć za ojczyznę...

SZCZĘSNY.

O! to jeszcze nie prędko... Mam ojca —

---

[1]) Miejsce wydarte w manuskrypcie. *(Przyp. Wyd.).*

HORSZTYŃSKI.

Ha! kiedy tak, to się będziemy widywali często.

SZCZĘSNY.

Życzę ci dobrego wieczora. — Niech Pani patrzy, jak piękny zachód słońca — kwiaty jéj ogródka ożywają — i będą płakać rosą tego wieczora.

SALOMEA.

Gdzie Pan jedzie?

SZCZĘSNY.

Do domu — idę do ojca mojego...

SALOMEA.

Ale czy Pan wié, co znaczą te słowa w piśmie świętém?

SZCZĘSNY.

Słowa mają różne znaczenia — podług księgi, na któréj je znajdują. Te same słowa, które są świętymi w piśmie świętém, są bezbożne w księdze bezbożnéj — a nieszczęścia mają dźwięk — w księdze pełnéj nieszczęśliwych wypadków. Bądźcie zdrowi!

(Szczęsny odchodzi).

[. . . . .
. . . . *)]

HORSZTYŃSKI.

Co tobie, Sally? wpadłaś do pokoju jak waryatka!...

SALOMEA.

[. . . . . *)].

HORSZTYŃSKI.

[. . . . . *)] przestraszyłaś mnie bardzo.

SALOMEA.

O mój Xawery! czy ty mnie jeszcze kochasz?

HORSZTYŃSKI.

Czemuż nie miałbym kochać — Sally? Byłaś dla mnie dobrą, długo [. . . . . *)] pamiętam, jak wyjeżdżałem z moimi ludźmi na barską wyprawę: sama piekłaś nam chleby; — widziałem ciebie, jak z zakasanymi po łokieć rękoma miesiłaś czarne ciasto, a kiedy wszedłem do kuchni, schowałaś ręce i podałaś się cała ku mnie różaną i liliową twarzyczką, abym ciebie pocałował — zawsze pamiętam tę scenę. — Dlaczego ty

*) Wszystkie miejsca tu zapełnione kropkami znaczą, że rękopis tu uszkodzony. *(Przyp. Wyd.)*.

klękasz przedemną? — nie lubię tych oznak teatralnych... Sally, dlaczego ty klękasz przedemną? — czuję głowę twoję na moich rękach. Wstań, moje dziécię, i wyjdź na dziedziniec — jak będą żeńce wracali z pola, śpiéwając tę piosenkę, którą ja tak lubię, to każ im wytoczyć na dziedziniec beczkę piwa i daj żniwiarce czerwoną wstążkę. Proszę ciebie, Sally, niech się chłopi rozhulają i będą weseli...

SALOMEA.

Dobrze, mój Xawery. Gdybyś ty wiedział, jak jestem szczęśliwa, kiedy mi dajesz jakie polecenia... *(wychodzi).*

HORSZTYŃSKI.

Czy wyszłaś?... Wyszła... Czuję, że mi Bóg policzy tę godzinę w niebie na zmazanie grzechów moich. Tak, niech będzie spokojna — a ja? .. Wszak uczyniłem stałe przedsięwzięcie... jakie? — usunąć się z téj drogi, po której idą szumiący ludzie wielkimi tłumami. Nędza albo śmierć! Nigdy tak blisko nie widziałem nędzy i śmierci .. Co robić na świecie? — Siąść przy drodze pod krzyżem i śpiéwać kantyczkową piosenkę: dajcie grosz ślepemu! — Żebrak przynajmniéj ma psa wiernego, co go zaprowadzi pod krzyż, do karczmy, i odwiedzie do wsi wieczorem — a ja... Jutro sąd tradycyjny w tym domu... ha! postawię im nowy sprzęt do zagrabienia — trumnę starca... Konfederat barski! — jak ja lubiłem, kiedy mnie tak nazywano. Muszę siebie sam nazywać przed śmiercią sławą życia mojego... Nie trzeba krwią plamić tych podłóg, po których raczkowałem niegdyś... nie trzeba... ha! gdyby staremu konfederatowi trucizny!... Może w domu jest trucizna — spróbujmy... *(klaszcże).* Świętoszu! Świętoszu!

ŚWIĘTOSZ.

Jestem, Panie...

HORSZTYŃSKI.

Powiédz mi, co tam się dzieje w polu?

ŚWIĘTOSZ.

At — pszenica niezła i żyta dzięki Bogu dosyć.

HORSZTYŃSKI.

Dziś żną?

ŚWIĘTOSZ.

Tak, Panie, od chaty Szewruka aż do nagolickiego kopca... Nie wiém, czemu się też Pan konno nie wybierze na pole zobaczyć żyta.

HORSZTYŃSKI.

Głupi! — a czy nie pamiętasz, jak mi gromnicami oczy wykapali.

ŚWIĘTOSZ.

Niech ich jasny Bóg piorunuje...

HORSZTYŃSKI.

Słuchajno, Świętoszu! czy mógłbyś ty pojechać do miasteczka — w ulicy liwskiéj wisi ogromny szyld, gdzie żyd Josiel trzyma aptékę; kup za parę złotych u żyda acidum prussicum.

ŚWIĘTOSZ.

Cóż to panie? lekarstwo na prusaki?... a gdzież to znowu zagnieździły się u nas tarakany? — a to ja ogniem spalę...

HORSZTYŃSKI.

A to może ty w domu masz truciznę?

ŚWIĘTOSZ.

A jużci: — muchomory na muchy — i coś zostało jeszcze arszeniku we flaszeczce od gomułek na szczury.

HORSZTYŃSKI.

Ha! masz arszenik? — właśnie szczury za obiciem mego sypialnego pokoju porobiły gniazda — i całą noc szeleszczą obdartymi papiérami.

ŚWIĘTOSZ.

To ja przyniosę gotowy pączek w maśle usmażony...

HORSZTYŃSKI.

Nie, przynieś mi flaszeczkę z proszkiem; — ja sam przyrządzę.

ŚWIĘTOSZ.

Ale to, Panie, jak na oczy upadnie, to człowiek oślepnie.

HORSZTYŃSKI.

Nie, mój Świętoszu, nie lękaj się — włożę okulary.

ŚWIĘTOSZ.

O głupi ja — głupi!

HORSZTYŃSKI.

Co? czy ty myślisz, że mam jakie zamiary?...

ŚWIĘTOSZ.

Co?! jakie zamiary? o co mię Pan posądza?

HORSZTYŃSKI.

O nic! — idź!... przynieś mi arszenik!

(Świętosz odchodzi).

Już byłem pewny, że się ten człowiek domyślił i narobi hałasu... Ha, jeszcze trzeba będzie do księdza Prokopa napisać list: — będzie to moja spowiedź pośmiertna — z grzechu śmierci...

ŚWIĘTOSZ.

Oto, Panie, flaszczyna z proszkiem.

HORSZTYŃSKI.

Daj! Czy daleko jeszcze do wieczora?

ŚWIĘTOSZ.

Słońce zachodzi za nagolickim kopcem.

HORSZTYŃSKI.

Gdzie to ten kopiec?

ŚWIĘTOSZ.

A tam, gdzie Panisko woził kiedyś kolaską naszę panią — a pani przejeżdżając koło kopca, zawołała: Świętoszu: zatrzymajno konie, bo widzę mnóstwo konwalii — zeżnę sobie bukiecik.

HORSZTYŃSKI.

Pamiętam... Przysuń mi tu stolik, podaj papiér i pióro... Jeżeliby kto wszedł, kiedy pisać będę — to mię ostrzeż... Czy moja ręka na papiérze? czy pióro umoczone? — jak dojdę pismem do końca papiéru, to mi powiédz.

ŚWIĘTOSZ.

Niech Panisko jedzie... stąd — do góry — zawróć Pan!.. Dalibóg, Pan cudownie pisze, dwie ryguły jedna przy drugiéj, by koléj od kałamaszki... Noga w tył — nie zjeżdżaj!... To mi się widzi, że Pan by mógł jeszcze szablą pisać po wąsach Moskalom, gdyby te biesy nocą nie napadali... jak to było...

HORSZTYŃSKI.

Umiesz ty czytać?

ŚWIĘTOSZ.

Nie.

HORSZTYŃSKI.

Jutro jak świt... zaniesiesz ten list do celi księdza kapucyna Prokopa; — jak świt... nie zapomnij, bo to rzecz bardzo ważna.

ŚWIĘTOSZ.

Dobrze, Panie! *(odchodzi).*

HORSZTYŃSKI.

Chciałem rzucić się na szyję temu człowiekowi i lękałem się, aby się nie domyślił, że go Pan żegna jak umierający. Czło-

wiek najsamotniejszy — a któż samotniejszy nademnie — tyle ma nitek do zerwania, nim wyjdzie z tego świata! Już wieczór — świerszcze zaczynają śpiéwać w szczelinach mojéj chaty. Co będzie jutro ze mną o téj godzinie?.. Mój Boże! mój Boże! Chryste Panie! sądź mię tak, jak sądzisz ludzi nieszczęśliwych — miéj litość nademną! Boże, wszak Ty bez cudu mógłbyś mię zatrzymać na ziemi: — powiédz sercu mojemu, niech mi powie, że jestem jeszcze potrzebny na ziemi rzeczom, wypadkom albo ludziom; — powiédz sercu mojemu: żyj! — a żyć będę. Żyłbym, gdyby była choć nadzieja odzyskania oczu... Jak zażyć tę truciznę? — muszę zawinąć w opłatek.

(Idzie omackiem i dobywa z szafy opłatki).

Ślepy, a przecież znalazłem opłatek — kto rękę moję prowadził? Czuję te drżące listki chleba w moich dłoniach. Jak ja lubiłem niegdyś dzień Bożego Narodzenia! W tym samym pokoju z opłatków kleiłem różnokolorowe słońca, kołyski — jakaś świętość i wesele napełniały moje dziecinne serce.

(Łamie opłatek i sypie truciznę, potém skleja).

Dziś jeszcze nie rozumiem, co znaczą te litery święte, wyciśnione na opłatkach. Będąc dzieckiem, myślałem, że to jakieś słowa z pieśni anielskiéj i z błękitnego języka... Gorąco mi — chciałbym się przejść po pokoju — i lękam się uderzyć czołem o zimne ściany.

(Słychać pieśń wracających żeńców — daleko).

Cicho!... pieśń żniwiarzy. — O! moja wiosko! moja wiosko!... Jutro w tym domu trumna — księża — sąd... Jutro ta pieśń... jutro inny pan — i nikt się nie zlituje nademną! — Ja przecież wszystko poświęciłem krajowi! — ten dług strwoniłem prochem i kulami... a jutro gdybym żył, byłbym głodny jak pies — i nikt się nie zlituje nademną! Stary i siwy — i sam — bez dzieci. — Oni mię nie pogrzebią w święconéj ziemi. Mój ojciec musiał okropnie zawinić, bo ja cierpię.

Pieśń żniwiarzy wyraźnie:

Pożęli żyto, pożęli jarkę:
Niechaj nam pan da na wódki czarkę.
    Plon żyta — plon
    Ze wszystkich stron.

HORSZTYŃSKI.

Plon żyta — pochlebiają mi ci ludzie — plon żyta... Widać, że żona moja kazała im beczkę piwa wytoczyć... jaki gwar na dziedzińcu.

Pieśń.

Pożęli żyto, wygnali zajca:
Nie żałuj, Pani, wstążki okrajca.
Plon żyta — plon
Ze wszystkich stron.

HORSZTYŃSKI.

W téj pieśni widzę moje żółte łany — i zielone lasy... Z początku ta pieśń rozdrażniła serce moje, a teraz uciszyła je jak pieśń mojéj mamki, jak pieśń kiedyś mojéj Izabeli — niech jéj światło niebieskie świéci na wieki wieków, Amen... I mnie także niech będzie tak cicho po śmierci, jak kiedyś przy niéj, kiedy śpiéwała... Cyt!... ktoś idzie! to ona... Słyszę i poznaję szelest jéj sukni... w jedwabnéj sukni ubrana...

(*Wchodzi* SALOMEA).

SALOMEA.

Mężu, wyjdź na dziedziniec do ludzi.

HORSZTYŃSKI.

O nie — nie mogę, żono!...

SALOMEA.

Kilku starych chłopów weszło aż na ganek i kłaniali mi się do nóg, prosząc, abym im pana łaskawcę wyprowadziła.

HORSZTYŃSKI.

Żono... nie wyjdę!

SALOMEA.

Dlaczego zasmucać tych ludzi?...

HORSZTYŃSKI.

Dlaczego? Bo świat smutny, a ja świata rozweselić nie mogę jak arlekin — bo jestem — ślepy — i stary... Powiédz mi, Salomeo, czy nigdy tu podczas mojéj niebytności nie przyniesiono jakich sądowych papiérów?

SALOMEA.

Nieraz na drzwiach przybijano mi różne manifesta: barskie, targowiczańskie. Z początku odczytywałam je pilnie — potém rzucałam wszystkie do wielkiéj szafy w szpichlerzu.

HORSZTYŃSKI.

To dobrze. Czy ty mówisz zawsze wieczorną modlitwę z czeladką?

SALOMEA.

Zawsze modlimy się razem.

HORSZTYŃSKI.

Dzisiaj nie zapomnij, moja żono, modlitwy... za tych, co cierpieli — i żyli...

SALOMEA.

Mężu, módl się z nami.

HORSZTYŃSKI.

Nie zdrów jestem — muszę się położyć do łóżka.

SALOMEA.

Zaraz?

HORSZTYŃSKI.

Sally, przechodząc do twego pokoju, stąpaj cicho... Nie, tego ci nie trzeba zalecać... Ale idź bez świécy, bo światło... o! ja szalony! — widzisz, że ja, tak jak mój Świętosz, nie mogę czasem zapomnieć o moich oczach... Nie obudź mię, żono, bo czuję, że mi snu potrzeba. Chciałbym spać téj nocy. Ty sama bądź przy wieczerzy.

SALOMEA.

Mężu, chcesz, bym czuwała przy tobie?

HORSZTYŃSKI.

Cóż ty, moja gołąbko? Już ci się zdaje, że ja śmiertelnie chory. Czyś ty zapomniała, że kilka miesięcy temu sypiałem na zimnéj rosie, pod koniem moim... Jaki to był koń!... Czułem często, jak nogą zwolna poruszył i dotknął moich piersi — tak ostrożnie, jak Świętosz, kiedy szklankę kryształową stawia na stół. Ten koń w kopytach miał czucie: nie rozdarł nigdy moich piersi — nawet przez sen... (*Salomea zakrywa oczy dłoniami*).

Salomeo, pomóż mi pas odwinąć.

(Salomea bierze za jeden kutas pasa, Horsztyński odkręca się jak w walcu, ale zwolna, tak że odchodzi aż na koniec pokoju; pas zostaje w rękach Salomei).

Widzisz, Sally moja, pas ci został w ręku, a mąż się odwinął — i na wieki... Oto historya życia. Rano trzymałaś za koniec pasa, ja zbliżałem się do ciebie; wieczorem... Co? ty klęczysz przedemną?... Córko moja, kochana moja Sally, ty mię nigdy nie będziesz przeklinać — prawda, że nie będziesz przeklinać

nięci mojéj, cobądź przyjdzie na ciebie — z mojéj winy... j mi rękę — zaprowadź mię ku drzwiom sypialnego pokoju rzechodź sama cicho — bo wiész, że ślepi słyszą najmniejszy lest... Dobréj nocy, Sally.

SALOMEA.

Do jutra...

HORSZTYŃSKI.

Co?...

SALOMEA.

Jutro może będziesz mężu spokojniejszy.

HORSZTYŃSKI.

Tak — spokojniejszy...

(Wchodzi do sypialnego pokoju).

SALOMEA. [1])

Muszę kazać, żeby się ci chłopi uciszyli na dziedzińcu, aby ı starzec biédny mógł zasnąć... *(odchodzi).*

SCENA II.

(Przedpokój Hetmana).

(Słychać mocne dzwonienie — HETMAN *wpada).*

HETMAN.

Cóż to, na miłość Boga! nikogo? nikogo?...

(KSIŃSKI *wbiega).*

KSIŃSKI.

Cóż to, jaśnie wielmożny Panie?

HETMAN.

Gdzież moi ludzie? — Ten człowiek musiał rozpaplać przed rają o rewolucyi w Warszawie... Każ mu wypalić w łeb, jak

---

[1]) W rękopisie było dane pierwéj takie zakończenie téj sceny. Póżniéj je tor przekreślił.

SALOMEA *(sama).*

O mój Boże! jaka okropność... Koń mu nie rozdarł piersi nawet przez n — a on pomyślał; a ty Salomeo... Widziałam ich obu z pistoletami w ręku... aż musiał strzelić i nie trafił w Szczęsnego. O Jezu Chryste! ty odwróciłeś tę le — wizerunek twój przyjął w piersi jeszcze jednę ranę. O Jezu! broń mię od czarnych myśl i snów.. Kiedym zobaczyła mego męża z pistoletem, jaś okropna myśli nienawiści ku niemu przewiała przez moje serce... ale to e moja myśl — to myśl innéj duszy. — Widzę Szczęsnego: idzie zwolna przez bową aleje, zapewne do celi księdza.. Pójdę zwołać ludzi na wieczorną moitwę — może będę spała spokojnie. *(odchodzi).*

psu!... To nieprawda! Warszawa nie powstała... w Warszawie spokojniéj niż w moim łbie siwym!... Na miłość Boga, zawołaj tu ludzi — zaprzęgać karetę — i wróć tu. — Gdzie jest mój syn?

KSIŃSKI.

Wyjechał konno.

HETMAN.

Kazałem Acanu, abyś kazał zaprząc karetę. — Przykuć łańcuchem do koła tego posłańca z Warszawy; zaciągnę go do gubernatora wileńskiego... *(Ksiński odchodzi).* Rwie się, rwie się skała — ale ja zatrzymam ją. Szewcy się burzą... Gdybym chciał, mógłbym się przyczaić w moim zamku i siedzieć jak mysz — ale te papiéry... Ha! panie Horsztyński, papiéry twoje zgubią Polskę... Pozajutro Moskale nadciągną...

KSIŃSKI *(wraca).*

Wydałem rozkazy.

HETMAN.

Panie Ksiński, ponieważ mam ciebie pod ręką, muszę cię użyć. Oto skoro szlachta zjedzie się do zamku, syn mój powinien stanąć na czele i natychmiast jechać zbrojno pod Wilno od strony ostrobramskiéj. — Są wieści, że jutrzejszéj nocy Jasiński tamtą stroną chce się wkraść do Wilna. — Schwytać i natychmiast powiesić go jak szpiega, bez sądu — rozumiesz — nie wierzyć mu, że się nazywa Jasiński.

KSIŃSKI.

Tak, jaśnie wielmożny Panie.

HETMAN.

Ale wiész ty, że mój syn... choć to niepodobna — może nie zechce stanąć...

KSIŃSKI.

Tak, choć to niepodobna, jaśnie wielmożny Panie... może nie zechce...

HETMAN.

Ty staniesz.

KSIŃSKI.

Będę się starał dowieść Hetmanowi, że...

HETMAN.

Milcz! milcz! milcz! — Słowa — to śmiecie... Otóż jeżeli syn nie zechce, zawołasz do sali moich żołnierzy, co zamknięci w tylnym dziedzińcu — i zaaresztujesz ptaszka. Rozumiesz?

KSIŃSKI.

Rozumiem.

HETMAN.

Wsadzisz go do jakiéj ciupy — i sam na koń, pod Wilno! Pan Horda przyprowadzi mi 50 ludzi zbrojnych do mego zamku w Wilnie, a ty z resztą będziesz się uwijał koło Ostréjbramy.

KSIŃSKI.

Wszystko się stanie podług Jego woli.

HETMAN.

Sforka pokaże ci zapas prochu na wieży. Oto mój pierścien — rozumiesz, Mości Panie! Wszyscy ciebie mają słuchać, jak mego maleńkiego palca u ręki...

KSIŃSKI.

Dumny jestem zaufaniem...

HETMAN.

Ale mój syn... ja chcę, aby mój syn był na czele — rozumiesz?

KSIŃSKI.

Tak.

(AMELIA *wchodzi).*

HETMAN.

Co to za kobiéta? — Amelio, czego Acanna?

AMELIA.

Ojcze, chciéj mnie posłuchać.

HETMAN.

Jutro! — jutro!

AMELIA.

Dziś, ojcze. — Panie Ksiński, oddal się Pan.

(KSIŃSKI *wychodzi).*

HETMAN.

Co to znaczy? Ufasz zanadto w moję łaskawość.

AMELIA.

Ojcze drogi, gdzie ty jedziesz?

HETMAN.

Do Wilna.

AMELIA.

Zaklinam ciebie, ojcze, zostań w zamku... Jakieś ogromne grozi tobie nieszczęście.

HETMAN.

Śniło ci się.

AMELIA.

Ojcze, byłam sama w moim pokoju i patrzałam, jak wschodził księżyc czerwony. Psy zaczęły wyć głucho i okropnie — odwróciłam się — i wierz mi, ojcze, nie uważaj mnie za jasnowidzącą waryatkę: — matka moja była ze mną...

HETMAN.

Nieboszczka?..

AMELIA.

Ojcze, jaki ty dobry, że wierzysz mi. — Myślałam, że ty mnie odrzucisz ze wzgardą, a widzę mgłę zamyślenia na czole twojém. Spodziewałam się zawsze, że kiedyś będziesz kochał twoję córkę.

HETMAN.

Czy mówiła co do ciebie?

AMELIA.

Milczała długo... struny arfy mojéj zaczęły grać same smutnie i powietrzną jakąś pieśń — potém zdawało mi się, że jakiś głos kobiéty jęknął — i z płaczem mówił: ojciec twój kona...

HETMAN.

Ojciec twój?..

AMELIA.

W okropném poruszeniu leciałam do twego sypialnego pokoju — otworzyłam drzwi — i znów cień biały był przedemną... Zdawało się, że go przyniosłam z sobą w oczach...

. . . .

(Tu braknie kart cztérech drobnego i nabitego pisma w rękopisie).

. . . .

AKT CZWARTY

SCENA I.

(Pokój Sforki w pałacu).

SFORKA — MAŁGORZATA.

SFORKA.

Idź Acani i nie przeszkadzaj mi.

MAŁGORZATA.

Ale mój mężu, dalibóg wbijają Acanu jakieś duby w głowę, a ty wierzysz. Szkoda, że złożyłam czerepy twojéj głowy, którą pan Hetman rozbił wczoraj, jak zgniłe jaje.

SFORKA.

Idź Acani, pilnuj kur i gęsi! Ja czekąm na kogoś...

MAŁGORZATA.

Zamknę Acana na klucz i nie puszczę tych sowizdrzałów, co ci mózgi mięszają, jak rumianek w filiżance łyżeczką.

SFORKA.

To nie żaden sowizdrzał, moja duszko. Tu przyjdzie najrozumniejszy człowiek między muzykantami pana Hetmana, człowiek z imaginacyą, pierwszy trombon.

MAŁGORZATA.

Jeżeli chcesz grać na trombonie, to za drzwi!

SFORKA.

Ale ja nie będę grać na trombonie. Czy ty mnie masz za takiego głupca, moja żono?

MAŁGORZATA.

Cóż Acan będziesz robić z muzykantem?

SFORKA.

Pracować.

MAŁGORZATA.

Zmyję ci głowę, panie siwoszu, jeżeli mi jeszcze będziesz gadał o tych napolitańskich sumach. Miéj to w zanadrzu i basta— a nie pijcie z tym trombonem, jak bibuły. Pójdę na mszą wyprosić u Boga trochę rozumu dla ciebie, bo już mi dziecinniejesz. Źle

musiałeś prowadzić się w młodości, panie mężu, jeżeli w sześćdziesiątym roku przychodzi na ciebie grzybowa starość. Piaseczku tobie i kamyczków — baw się, lubko!... *(wychodzi).*

SFORKA.

Głupia, głupia! To szczęście, że w księdze rachunków przepisałem na dwie ręce pytania pana Nuncyusza... Ha, pan trombonista!.. (KSIĄDZ *wchodzi*). Do dyabła, to ksiądz Prokop. — Witam, ojcze wielebny. Czy po barana?

KSIĄDZ.

Niech mi Jegomość wybaczy, że przerywam jakieś zatrudnienie, może rachunki. Chciałem widzieć pana Szczęsnego — mówiono mi, że całą noc niewiadomo gdzie przepędził i nie wrócił jeszcze do pałacu. Ważną mam rzecz do zakomunikowania panu Hrabiemu, rzecz, która obchodzi zdrowie i szczęście drogiéj mu osoby. Udaję się do ciebie, panie Sforko, abyś był pośrednikiem między nami. Daj mi kawałek papiéru i pióro — napiszę kilka słów do pana Szczęsnego, a ty, mój stary przyjacielu, zechcesz mu je jak najprędzéj wręczyć.

SFORKA.

To mówiłeś, ojcze...

KSIĄDZ.

Prosiłem o kawałek papiéru i pióro...

SFORKA.

Natychmiast... proszę siadać — może kieliszeczek wódeczki?

SFORKO.

Na miłość Boga, panie Sforko! nie zatrzymuj mnie grzecznościami, bo muszę wrócić jak najśpieszniéj czuwać nad nieszczęśliwą sierotą. Pić nie mogę z tobą, panie Sforka, albowiem mam odprawić mszą żałobną.

SFORKA.

W czémże mogę usłużyć?

KSIĄDZ.

Proszę o kawałek papiéru i pióro... *(do siebie)* Czy ten starzec ogłuchł?

SFORKA.

A! kawałek papiéru. Oto jest... siadaj i pisz, mości księże; wybacz mi, że cię nie mogę zabawić rozmową — bo prawdziwie ważną mam rzecz do rozwiązania...

(Ksiądz pisze przy biórku).

SFORKA.

To dziwne! Wieczorem zdaje mi się, że ta fortuna nie jest niepodobną — a rano zdaje mi się, że to wszystko głupstwo. — Czy ja rozumny rano, a głupi wieczorem? — czy też rozumny wieczorem, a głupi rano? (*Wchodzi* TROMBONISTA). Ha! witaj, mości Garnoszu.

TROMBONISTA.

Sługa. — Co tu robi ten ksiądz?

SFORKA.

Wyprawię go natychmiast, mości Garnoszu. Bardzo obowiązany ci jestem, żeś raczył przyjść i dopomóc mnie biédnemu... Natychmiast zbędziemy się tego księdza —

KSIĄDZ.

Panie Sforko, zaklinam ciebie na starą naszę zażyłość, abyś oddał ten list panu Szczęsnemu, skoro tylko powróci. To rzecz bardzo ważna! los wielu osób zależy od tego kawałka papiéru...

SFORKA.

Bardzo dobrze, przyrzekam. Los zależy od kawałka papiéru — zdarza się to często. Czy ten ksiądz wié o mojéj historyi?

KSIĄDZ.

Pokój temu domowi!

SFORKA.

Uniżam się do nóg, Ojcze wielebny.

(Ksiądz odchodzi).

TROMBONISTA.

Cóż będziemy poczynać?

SFORKA.

Panie Garnoszu, zdarza się często na świecie, że ludzie grają w loteryą. Otóż, jeżeli los wielki wygrają, to są wielkimi panami... otóż... Cóż to jest los, mości trombonisto, co to jest los? — głupstwo — i nie głupstwo! Bo jeżeli stawiasz na loteryą, a nie wygrasz: to mówią ludzie, żeś głupi. A jeżeli wygrasz, to mówią ludzie, żeś rozumny. Cóż to więc jest rozum, panie trombonisto? — rozum — to los.

TROMBONISTA.

Postaw, panie Sforka, kufel — i daj ten papiér, o którym bajałeś.. Obaczymy.

SFORKA.

Do Acana! *(pije).* Otóż choćby te pytania do niczego nie prowadziły, to wszelako pij, panie trombonisto! Zdaje się, że łatwo będzie rozwiązać... Czytaj!

TROMBONISTA.

Ja czytam nuty na trombon pisane — ale skoropisu nie łaska.

SFORKA.

Słuchaj!.. Łatwe do zadania
Ale trudne do rozwiązania
Zapytania...

TROMBONISTA.

Mówią, że trudne do rozwiązania?

SFORKA.

Chcą nas przestraszyć!.. Odczytajmy i zaczniemy od najłatwiejszych... *(czyta:)*

Primo: Dla czego kij ma dwa końce?
Secundo: Co ja myślę?

TROMBONISTA.

Kto myśli, panie Sforka?

SFORKA.

Nic... Napisano: co ja myślę... i basta... i punkt. Ale posłuchaj daléj!..

Tertio: Jak najprędzéj świat objechać?
Quarto: Co Bóg pierwéj stworzył, czy jajko, czy kurę?
Quinto: Co to — ja?....

TROMBONISTA.

To, mości Sforka, głupie pytanie!.. to głupie pytanie!..

SFORKA.

Sexto: Co więcéj waży... czy funt piasku, czy funt żelaza?
Septimo: Czém byłby człowiek, gdyby nie był człowiekiem?
Octavo:

TROMBONISTA *(przerywa).*

Zacznijmy odpisywać na piérwsze pytanie, to drugie same się odpiszą...

SFORKA.

Trzeba przeczytać do końca.

Octavo: Dlaczego mówią: ma ćwieka we łbie?..

Nono: Dlaczego dziewięć pytań, a nie więcéj zadano do rozwiązania?

W postskrypcie jeszcze dodano wierszem:

„Jeśli rozwiąże
Quaestiones, quae pendent,
Sforka intendent:
To będzie książe...

„Prosimy jeszcze, aby wynalazł sposób puszczania baniek kwadratowych z mydła... i przysłał nam jednę bańkę do Medyolanu na próbkę, pocztą albo balonem".

Cóż sądzisz Acan?

TROMBONISTA.

Sądzę, że bańkę z mydła trzeba wydmuchać. Inaczéj, wszystko będzie jak bańka z mydła.

SFORKA.

Ale ja sądzę, że ostatek na ostatek... Naprzykład, powiédz Acan, dla czego kij ma dwa końce.

TROMBONISTA.

Dla czego? jakto dla czego?

SFORKA.

Mnie się to wszystko takiém głupstwem wydaje, że przyznam ci się, mam ochotę plunąć.. i basta.

TROMBONISTA.

Otóż ja przeciwnie... Radzę Acanu nie zrażać się trudnościami. — Ale pójdźmy do drugiego zapytania... czytaj Pan!

SFORKA.

A z piérwszém co zrobić?

TROMBONISTA.

Pst!.. piérwsze to głupstwo!.. Co tam daléj?..

SFORKA.

Secundo... co ja myślę?

TROMBONISTA.

To bardzo łatwe do rozwiązania, co ja myślę ..

SFORKA.

Ale co ja myślę?

TROMBONISTA.

Jakto co Acan myślisz? — Czy ja wiém, co Acan myśli?

SFORKA.

Ale kto to ten ja? —

TROMBONISTA.

Ten, co pyta Acana... To jasno, jak słońce...

SFORKA.

Może to się jakoś rozwiąże. Idźmy daléj... Jak najprędzéj świat objechać?

TROMBONISTA.

To, mości Sforko, rzecz najłatwiejsza. Gdyby na świecie nie było morza, to pocztą... Gdyby nie było ziemi, tylko morze, to okrętem. Ponieważ jest i ziemia, i morze na świecie, więc objechać pocztą i okrętem! Pisz, panie Sforka: pocztą i okrętem.

SFORKA.

No, niech tak będzie! Choć mi się to nie bardzo podoba... pocztą i okrętem... Ujdzie!.. ujdzie!..

TROMBONISTA.

A ja mówię Acanu, że to nawet bardzo ujdzie...

SFORKA.

Winien ci będę, panie trombonista... No basta!.. daléj!.. Pij, przyjacielu ..

TROMBONISTA.

Widzisz, że nie tak straszny wilk, jak się wydaje.

SFORKA.

Hum! Hum!... Ale ty wiész, że to trzeba wszystko wygotować przed wieczorem; bo jeżeli nie... to finfa...

TROMBONISTA.

Więc śpieszmy się, panie Sforcya!

SFORKA.

To już mnie Acan nazywasz panie Sforcya?

TROMBONISTA.

Ha! wszystko idzie jak z płatka. Czytaj, mości Sforko!

SFORKA.

Co pierwéj Bóg stworzył, czy jajko, czy kurę?

TROMBONISTA.

Jak się Acanu wydaje?

SFORKA.

Kurę.

TROMBONISTA.

Mógł wprawdzie stworzyć kurę, ale mógł stworzyć i jajko. Trzeba odpisać z pewnością.

SFORKA.

Ale gdyby stworzył jajko — któżby je wysiedział?

TROMBONISTA.

Kura.

SFORKA.

Omyliłem się na Acana imaginacyi, mości trombonisto! Jakżeż kura?.. to głupia odpowiedź.

TROMBONISTA.

A ja dowiodę Acanu, że nie głupia. Ja pewny jestem, że jajko stworzył. A naprzykład, gdyby kury nie było, to wiész Acan, że ciepło człowieka może... albo w piecu...

SFORKA.

Ale kiedy pieców nie było, mości dobrodzieju!

TROMBONISTA.

To Ewa mogła wysiedzieć. Więc to rzecz najłatwiejsza do rozwiązania. — Każ Acan żonie swojéj spróbować. A jeżeli wysiedzi jajko, to Bóg stworzył jajko.

SFORKA.

Ja nie chcę zaczepiać mojéj żony.

TROMBONISTA.

Więc odpisz prosto: jajko — odpisz: jajko. Ja ci ręczam, że jajko.

SFORKA.

Zdaje mi się, że ja to wszystko przemienię, namyśliwszy się głęboko. A teraz, do czasu, niech tak będzie! — Czytajmy... Quinto: co to ja?

TROMBONISTA.

Ale to już było to pytanie.

SFORKA.

Gdzie?

TROMBONISTA.

Wyżéj!.. już rozwiązałem i zapomniałem dawno.

SFORKA.

Ale ja ci ręczam, że nie było... Co to ja?

TROMBONISTA.

Głupie pytanie, co to ja!

SFORKA.

Ty — trombonista.

TROMBONISTA.

Ha! więc pisz: trombonista.

SFORKA.

Za pozwoleniem! Któż wié, że Acan byłeś ze mną i pytałeś się mnie, co to ja? Owszem, nie trzeba, aby się domyślili ludzie, że Acan pomagałeś mi w skrypturze.

TROMBONISTA.

Ładu z Acanem dójść nie można!

SFORKA.

O! gdyby tu karła hetmańskiego! ma więcéj rozumu w garnku, niż cała muzyka Hetmana.

TROMBONISTA.

Karzeł by tobie inaczéj nie odpowiedział, mości Sforko! Spytaj go: co to ja? a powie: trombonista. A karzeł spyta mnie, to mu powiém: jesteś karzeł. A spytaj mnie, Panie Sforko, co to ja?

SFORKA.

Dalibóg od godziny pytam, co to ja?

TROMBONISTA.

Ty — indendent Sforka.

SFORKA.

Ja wiem, że ja indendent Sforka.

TROMBONISTA.

A dla czegoż pytasz Acan o takie głupstwo?

SFORKA.

Ale kiedy to nie ja pytam Acana, ale ten papiér pyta.

TROMBONISTA.

Jak to papiér?

SFORKA.

Żegnam ciebie, panie trombonisto. Bałamucisz mnie i potém kłócisz się ze mną, jak z dzieckiem. Odczytam Acanu te pytania, jak sam na nie odpiszę.

TROMBONISTA.

Nie odpiszesz, panie Sforka — dalibóg nie odpiszesz!

SFORKA.

Pęknę, a odpiszę.

TROMBONISTA.

Do dziś wieczora?

SFORKA.

Do dziś wieczora!

TROMBONISTA.

Na wszystkie?

SFORKA.

Co do joty!

TROMBONISTA.

I na bańkę z mydła odpiszesz?

SFORKA.

Bańka!.. Dalibóg nie pomyślałem o bańce.

TROMBONISTA.

Otóż jeszcze przez przyjaźń poradzę tobie, panie Sforko, względem bańki. Wszak powinna być kwadratowa?

SFORKA.

Tak.

TROMBONISTA.

Otóż trzeba wynaleść kwadratową słomkę...

SFORKA.

I ja wiem o tém... ja wiem o tém... Ale jak posłać próbkę .. pocztą!

TROMBONISTA.

Posłać mydło i kwadratowę słomkę, to rzecz jasna. Niech sami Medyolańczycy puszczają bańki.

SFORKA.

Prawdziwie! Pójdę na pole szukać słomki... a ty gdzie idziesz?

TROMBONISTA.

Grać na trombonie.

SFORKA.

Przyjdź Acan zajrzeć wieczorem w pytania.

TROMBONISTA.

Uniżam się do nóg.

SFORKA.

Wyjdziemy razem... *(Zapomina listu na stoliku — wychodzą).*

SCENA II.

(Odkrywa się głąb teatru — ogromna sala zégarowa, — wieża w głębi — stoliki nakryte zieloném suknem. Młodzież gra w karty, pije i pali lulki. KSIŃSKI *pomiędzy nimi. Jedni grają, drudzy tłumami chodzą i rozmawiają; ciągły gwar i śmiéch).*

PIÉRWSZA GRUPA.

— O dwie butelki szampana!

— Na honor...

— Ale kiedy ja się zakładam z tobą...

— Dajcie pokój!... Zakładacie się o rzecz bardzo jasną dla drugich.

— Cha! cha! cha!... Widziałeś ty kiedyś Kościuszkę?

— Gdyby mu byl szlachcić dał córkę, siedziałby teraz spokojnie i siał grykę. A tak — bruździ i hałasuje.

— Acan także podobno w konkurach nieszczęśliwy?

— Wygrał! wygrał Wschowski — płać szampana!...

— O co zakład?

— Mówiłem wam, że gdyby się był ożenił Kościuszko z córką tego szlachcica, który pogardził biédnym inżynierem: nie byłby pojechał do Ameryki i nie byłby dziś straszny człowiek.

— To tak, jak Kromwel, co już był wsiadł na okręt, płynąc do kolonij jako majtek. Aż tu rozkaz królewski przyszedł, aby okręt nie odpływał. Kromwel został — i z nudy zaczął być wielkim republikaninem.

— Co? ty Kościuszkę równasz do Kromwela?

— Słuchajcie — założyl się Wschowski i nie może kupić szampana, bo tu darmo dają!

— Szampan taki, to nie szampan zakładowy!

— Do Wilna — kupi w Wilnie...

(Ksiński włazi na stół).

KSIŃSKI.

Panowie! uciszcie się na chwilę! Panowie! proszę o chwilę milczenia!... Panowie! Oto całą noc przepędziliśmy wesoło na kartach, czekając na Pana Hetmanowicza, który miał nam dowodzić — który się nie pokazał w zamku... Więc...

— Więc i który! — Brawo, Ksiński! — więc!...

KSIŃSKI.

Panowie! Oto pierścień Hetmana — uszanowanie! Otóż ja obowiązany jestem wziąć nad wami dowództwo i prowadzić na wskazane miejsce.

— Czekać na pana Hrabiego!... Czekać — czekać!

KSIŃSKI.

Poczekamy nań jeszcze kwadrans. Dłuższa zwłoka ściągnie na mnie wielką odpowiedzialność. Skończyłem. *(złazi ze stołu)*.

— Brawo mowca! podrzucać go — podrzucać go!

(Chwytają Ksińskiego i podrzucają w górę).

— Hej! zdjąć firanki i na firankach podrzucać!

KSIŃSKI.

Ale ja mam ostrogi — zaczepię się i rozèdrę firanki. Dosyć, Mości Panowie! to za wysoko! dosyć! Bardzo proszę — bo się będę gniewał.

— Przestańcie już grać w pęcherzowy balon!

— Gdzie poeta? niech improwizuje!

— Albo niech pan Kleofas śpiéwa piosenkę swojéj kochanki, która, kiedy gra na gitarze, to zdaje się, że woda leje się ciurkiem w cynowe naczynie...

— Jaka woda?

— Z czego?

— Śpiéwaj poeto piosenkę panny Anieli!

Poszła Filis do ogrodu,
Nie mówiąc matce powodu...

(Wchodzi SZCZĘSNY *czarno ubrany. Gwar z początku głośny ucicha stopniami. Niektórzy ściskają Szczęsnego za rękę, inni kłaniają się z daleka).*

KSIŃSKI.

Mamy ciebie, panie Hrabio. — Bardzo się cieszę, że przecie... Chcesz? zapoznam ciebie z głowami...

SZCZĘSNY.

Jakto z głowami?

KSIŃSKI.

Koledzy! widzę, że nasz hetman w różowym humorze... Wszak hetmanisz nam, panie Szczęsny? Gdzie to noc przepędziłeś? Widzę kwiatki polne pozaczepiane na twoim kontuszu i we włosach... *(po cichu)*. cyt! u Maryny? — *(głośno)* Sentymentalnie

z gwiazdami pan Szczęsny noc przepędził, moi mości koledzy szlachta, ale ręczam, że na koniu nie zaśnie.

JEDEN Z OBECNYCH.

Ale patrzaj, on dalibóg jak śpiący. Co jemu dolega?

SZCZĘSNY.

Proszę panów bawić się — i być jak we własnym domu... Panie Ksiński, bardzo mi smutno, że zamroziłem tak nagle wesołość...

KSIŃSKI.

Panie Hrabio, zaklinam ciebie: obudź się i bądź przecie człowiekiem! — tak nie pójdziesz z nami!

SZCZĘSNY.

To rzecz obojętna.

KSIŃSKI.

Jakto obojętna?

SZCZĘSNY.

Obojętna dla mnie... Panowie grają w karty?

GŁOS Z TŁUMU.

Faraonik... Panie Hrabio, spróbuj szczęścia!

SZCZĘSNY.

Szczęścia?

KSIŃSKI.

Dajcie pokój z faraonem, na Boga!

SZCZĘSNY.

I owszem, będę grać. *(zbliża się do stołu).*

JEDEN Z GOŚCI.

Co pan Hrabia stawi?

SZCZĘSNY.

Moję osobę — to jest, moje przedsięwzięcie. Jeżeli wygracie, będę z wami; jeżeli ja wygram, zrobię, co mi się podoba.

KSIŃSKI.

Szczęsny, to śmiesznie!

SZCZĘSNY.

Wcale nie! Mówię z wielkiém zastanowieniem się... Król... *(ciągną faraona).*

GOŚĆ.

Król!... Wygrałeś, Panie Hrabio.

SZCZĘSNY.

Karta bankiera?

GOŚĆ.

Król... to rzecz dziwna!...

SZCZĘSNY.

W takim razie...

GOŚĆ.

Połowa summy dla bankiera.

SZCZĘSNY.

Połowa mojéj woli do was należy. — Cóż wy zrobicie połową mojéj woli?...

KSIŃSKI.

Połowę twojéj woli mamy, Panie Hrabio! to już wiele!... [M]usisz nam drugą darować!...

SZCZĘSNY.

Ha!... zapomniałem spytać o cel wyprawy?

KSIŃSKI.

Jakto?... Żartujesz, Panie Szczęsny!... Sprawa twojego [oj]ca — sprawa narodu...

SZCZĘSNY.

Wy myślicie o sprawie narodu? Czy państwo wszyscy [je]steście szlachta?

GŁOSY.

Wszyscy! wszyscy! wszyscy!

JEDEN.

Oprócz mnie.

SZCZĘSNY.

Kto to krzyknął: oprócz mnie?

KSIŃSKI.

Któryś z panów chciał pożartować.

SZCZĘSNY.

Niech ten, kto się nie zaparł, stanie przy mnie. Jak to? [Ża]den z panów?

— Pan Hrabia jak Dyogenes, z latarnią szuka człowieka.

SZCZĘSNY.

Jak dziwnie ten głos zabrzmiał w sercu mojém!... Ja go [m]uszę odkryć, tego człowieka. — Słuchajcie mnie, Panowie! Jest [co]ś w atmosferze rewolucyjnéj tego zamku, co zapala moje zmysły [i] duszę. Konia i lancę!... Dajcie mi konia i lancę! — będę [z] wami. Ludzie — mrówki — robaki — kamienie — mijam w prze-

locie konnym. Nic, z którego nic zrobić nie można, a co się nazywa narodem — to wszystko w moich oczach przybrało dziwną błahość. Jeżeli wy nie macie dosyć ognia na topienie koron, dosyć brylantów na tworzenie innych: — to ja wam wleję cały ogień, wysypię na was wszystkie skarby duszy mojéj. Bo ja wam przysięgam, że wasza myśl nigdy nie ogarniała takich przestrzeni, jak moja powszednia kraina marzeń!

GŁOSY.

Vivat Szczęsny! vivat! vivat!...

SZCZĘSNY.

Cicho! — Wiecie wy, że my stworzymy kraj z brązową twarzą dawnych narodów? — Miecz będzie dłutem... Serce kraju ukształcimy na wzór żelaznego wołu Dyonizyusa. — Będzie ryczeć okropnie paszczą ognistą na cztéry końce świata — jękiem zamkniętych i palonych we wnętrzu nędzarzy i męczenników... Czy serce wasze bije litością?... Ojcowie nasi mieli prawo zabijania, a my nie możemy wystawić teatru gladyatorów na zahartowanie serca dzieci naszych. Powiédzcież, zaden z was nie doznał niebieskiéj rozkoszy? nie czuł się wyższą istotą, kiedy go chłopi wioski jego czcili jak Boga i przyznawali zwierzęcym instynktem wyższość natury? — Szaleńcy i przeklęci, co chcą pozbawić następne pokolenia tego uroku, téj puścizny, dawanéj przez los szczęścia, zaczętego w kołysce, a skończonego wspaniałością marmurowych grobowców!...

KSIŃSKI.

Szczęsny!..

SZCZĘSNY.

Wszystkie wasze dumy pomieszczą się w mojém sercu. Starałem się długo otruć żywotną myśl wielkości błahymi napojami uczuć. I nie mogłem!.. Myśleliście, że wy mnie będziecie prowadzić... Ja was wtrącę w taki wir, że będziecie jak ludzie pijani albo lunatycy chodzić po gzemsach ogromnéj budowy. Biada temu, co się przebudzi — któremu nad uchem zawołają: zdrajca!.. Zbudzi się — i upadnie z przepaść. Macie wy czoła tak blade, że na oczy świata blednąć nie będą? — albo policzki tak rumiane, że napiętnowane uderzeniem całego ludu, płonąć nie będą? Jeżeli utworzeni jesteście z żelaza, to mówię wam, że będę z wami. — Bo ja szukałem czegoś twardego i wielkiego na ziemi — będę zgrzytał i giął w ręku żelazne sztaby, a raz zasnąwszy snem okropnym upojenia — nie obudzę się, póki ostatni

z was nie skona za moję wielkość i dumę. Duma jest duszą duszy mojéj. — Będę szczęśliwy, wywracając przesądy i prawa — jak byłem szczęśliwy nieraz, wygrywając partyą kościanych szachów. Duma jest to harfa, która ma tysiąc strun — tysiąc wielkich i cienkich tonów, tysiąc wzniosłych i błahych tryumfów. — Stańcie wy na szachownicy świata . . . .

. . . .

(Tu braknie dwóch kart w manuskrypcie).

. . . .

. . . . pismu, które ja sam podpisałem.

KSIŃSKI.

Pan Hrabia odpowiész przed ojcem!

SZCZĘSNY.

Podpisałeś, Panie Ksiński?

KSIŃSKI.

Podpisałem.

SZCZĘSNY.

Koszta podjęte przez Panów zapewne zwrócone będą przez mego ojca. Żegnam was, Panowie!

KSIŃSKI.

Dalibóg, tęgi z ciebie chłopiec, Panie Szczęsny! zadrwiłeś z nas.

SZCZĘSNY.

Nie! to mi wcale obojętne. Bywaj zdrów, sąsiedzie!

KSIŃSKI.

Zarekomenduj mnie twojemu przyjacielowi...

SZCZĘSNY.

Poznam was kiedyś... To bardzo godny człowiek — ale nie wiem jego nazwiska.

KSIŃSKI.

Upadam do nóg.

SZCZĘSNY.

Chodź tu!.. Jakiś mam ciężar na sercu. Przyrzecz mi, że nikomu nie powiesz o téj dzisiejszéj scenie. Dziecinną mi się wydaje, marzyliśmy kiedyś z tobą w szkołach o wielkiéj sławie. Wi-

dzisz, że ja teraz pokazuję maryonetki, zabity jestem na sercu, jak inni ludzie zabici na duszy. Jutro może będę i na duszy zabity..

MARYNA.

Panie Szczęsny, Pan się gniéwa na Marynę?

SZCZĘSNY.

Co? ty płaczesz, dziewczyno! Dalibóg ładna, jak aniołek!... chodź... *(całuje ją w czoło).* Gdyby widok téj dziewczyny nie obudzał w sercu mojém nikczemnych pamiątek, kto wié, czém byłbym teraz.

MARYNA.

To już ja paniczowi niepotrzebna?

SZCZĘSNY.

Idź do chaty — weź twoję płócienną spodnicę i wianek bławatkowy. I siedź w oknie, uśmiechając się do młodych chłopców. Przyślę ci posag...

MARYNA.

Ale Panicz mnie będzie zawsze kochał?

SZCZĘSNY.

Idź, kochaj męża i potém kochaj dzieci twoje! Niech twoje życie będzie spokojne i szczęśliwe!

MARYNA.

Jak Panicz mówi, to mi się chce płakać... Mnie tak dobrze było, kiedy się Panicz do mnie uśmiechał.

SZCZĘSNY.

Zapomnisz o mnie...

MARYNA.

Kto wié!.. A może zawsze, jak pomyślę o Panu... jak pomyślę o Panu... kochaj mnie panicz, bo ja biédna dziewczyna!...

SZCZĘSNY.

Słuchaj: czy jak umrę, posadzisz mi róźdźkę rozmarynu na mogile?

MARYNA.

Panicz nie umrze! Panicz nie umrze!... Jak Panicz mówi takie rzeczy — bo już Panicz raz mówił, że chce umrzéć: to ja płakałam przędąc na kołowrotku.

SZCZĘSNY.

Posadzisz mi garstkę rozmarynu... Ale nie rwij tego rozmarynu potém do ślubnego wianka, bo to mnie bardzo zasmuci. Idź do chaty...

MARYNA.

Ale Pan przyjdzie?

SZCZĘSNY.

Może... jutro... przyślę ci posag...

MARYNA.

Ale Pan przyjdzie...

(odchodzi).

NIEZNAJOMY.

Szczęsny, ty marzysz o jakiéjś smutnéj rzeczy...

SZCZĘSNY.

Nie wiem, dlaczego — ale jestem senny. Czy sądzisz, że mój ojciec...

NIEZNAJOMY.

Na ojca twego padają podejrzenia — ale nie lękaj się o jego życie. — Lud nasz przywykł szanować wielką władzę — i blaskiem bogactw odepchnięty jest daleko od możnych ludzi...

SZCZĘSNY.

Ale są jakie podejrzenia na moim ojcu?

NIEZNAJOMY.

Tak, oskarżają go o dumę — i ambicyą... Mówią nawet... ale to tylko między wyższymi osobami...

SZCZĘSNY.

Gdyby mnie nazwano zdrajcą — zdrajcy?.. Ty jedziesz do Wilna...

NIEZNAJOMY.

Tak.

SZCZĘSNY.

Czuwaj nad nim!.. weź arabskiego konia z mojéj stajni. Jeżeliby co się zdarzyło tego wieczora, znajdziesz mnie jeszcze...

NIEZNAJOMY.

Co to znaczy: jeszcze?

SZCZĘSNY.

Ojciec mój niedoczekawszy się swoich ludzi, zapewne jutro rano wróci do zamku.

NIEZNAJOMY.

Cóż zamyślasz robić?

SZCZĘSNY.

Nic... W bramie będzie sosnowy próg — z cztérech desek...

NIEZNAJOMY.

Szczęsny, czyliż ja ciebie widzę wyniszczonym przez piérwszy czyn twojego życia? Wysiliłeś się, rzucając piérwszy pocisk na świat spróchniały?

SZCZĘSNY.

Nie pytaj, co się dzieje w sercu mojém... Słyszałeś, jakem gadał do tych ludzi, kiedy byłem w zapale.

NIEZNAJOMY.

Kłamałeś sam sobie i tym ludziom.

SZCZĘSNY.

Kto wié?.. Może w tych wyrazach była część najprawdziwsza myśli mojéj —

NIEZNAJOMY.

Nie wierzę!.. nie wierzę, na Boga!

SZCZĘSNY.

Jedź do Wilna i zostaw mnie samotności... Przebyłem wiele smutnych wypadków, a mam przeczucie, że to nie koniec wszystkiego...

AKT PIĄTY.

SCENA II.[1])

(Sala w pałacu, jak w Akcie I.).

(AMELIA *prowadzi maleńkiego* MICHASIA *za rękę*).

AMELIA.

Nie wiész ty, gdzie braciszek Szczęsny?

MICHAŚ.

Widziałem go, siostrzyczko. Spał na sofie zielonéj.

AMELIA.

Spał? Od nikogo dowiedzieć się nie mogę, co się stało w tym zamku. Taki był gwar — teraz tak cicho i spokojnie.

---

[1]) Sceny I. tego aktu braknie. *(Przyp. Wyd.)*.

MICHAŚ.

Czy ty, Ameleczko, powiész mi dziś jaką śmieszną bajeczkę.

AMELIA.

Wczoraj zapomieliśmy zmówić pacierz, Michasiu.

MICHAŚ.

Cóż to szkodzi, Amelko?

AMELIA.

Bozio może się będzie gniéwał na ciebie.

MICHAŚ.

Nie będzie gniéwał się, nie będzie — ja mu dam bębenek.

AMELIA.

Mój kochany wróbelku, chodź, pocałuj mnie, mocno—mocno...

MICHAŚ.

O tak! *(rzuca się jéj na szyję).*

(SZCZESNY *wchodzi zadumany*).

SZCZĘSNY.

Co to? już noc?... Jakiś sen ciężki spadł na moje powieki. Śpię od południa. *(spostrzega Amelią).* Ha! — Amelio, dobry wieczór. Spałem, jak przed burzą, ciężko i głęboko... Czy pogodny czas?

AMELIA.

Księżyc świéci, wieczór bardzo spokojny i chłodny.

SZCZĘSNY.

Pogodny? *(otwiéra okno).* Czy nie przyjechał ojciec?

AMELIA.

Nie. — Chodź Michasiu spać, już późno...

MICHAŚ.

Nie późno — nie późno!... Braciszku, pohujdaj mnie na nodze!..

SZCZĘSNY.

No — trzymaj się, chłopcze.

MICHAŚ.

Jeszcze — jeszcze!

SZCZĘSNY.

Dosyć... jutro pojedziemy na koniku.

AMELIA.

Jeżeli grzecznie zmówisz paciorek.

MICHAŚ.

To ja przed braciszkiem zmówię paciorek.

AMELIA.

Dobrze. Klęknij tu na dywanie i złóż rączki. Mów za mną: — Boże...

MICHAŚ.

Bozio...

AMELIA.

Daj zdrowie...

MICHAŚ.

Daj zdrowie...

AMELIA.

I szczęście...

MICHAŚ.

I szczęście...

AMELIA.

Mojemu papie...

MICHAŚ.

Mojemu papie...

AMELIA.

Bratu Szczęsnemu — siostrze Amelce...

MICHAŚ.

Bratu Szczęsnemu i siostrzyczce Amelce...

AMELIA.

I wszystkim ludziom.

MICHAŚ.

I wszystkim ludziom.

AMELIA.

Zmiłuj się, Boże, i weź do nieba...

MICHAŚ.

Zmiłuj się, Boże, i weź do nieba...

AMELIA.

Mamę moję...

MICHAŚ.

Mamę moję...

AMELIA.

I miéj litość...

MICHAŚ.

I miéj litość...

AMELIA.

Nad mamą Amelki.

MICHAŚ.

Nad mamą Amelki.

AMELIA.

Boże...

MICHAŚ.

Boże...

AMELIA.

Daj Michasiowi rozum...

MICHAŚ.

Daj Michasiowi rozum...

AMELIA.

I kochaj mnie, jak będę grzeczny...

MICHAŚ.

I kochaj mnie, jak będę grzeczny.

AMELIA.

Amen.

MICHAŚ.

Amen.

AMELIA.

Szczęsny, jak daleko od nas czas, kiedy mówiliśmy tak cichy paciérz...

SZCZĘSNY.

Bardzo daleko!

AMELIA.

Wiész ty, jaki smutny wypadek w zamku? Biédny staruszek Sforka zwaryował — żona powiozła go do Wilna do szpitalu Bonifratrów.

SZCZĘSNY.

Jakto do szpitalu?

AMELIA.

Mówi, że tam bardzo dobry doktor — i dla tego woli męża oddać pod dozór dobrych księży, niż go wystawiać w zamku na śmiech lokai.

SZCZĘSNY.

Cóż za przyczyna waryacyi?

AMELIA.

Żona pana Sforki wróciła z kościoła i zastała męża puszczającego bańki z mydła. Puszczał je i śmiał się — dmuchał i płakał. Rozgniéwana i zadziwiona staruszka rozbiła spodek filiżanki z mydlaną wodą — i połamała słomki. Starzec rzucił się na nią, jak wściekły — aż nareszcie musiano go związać. Widziałam, jak go związanego wynieśli ludzie i posadzili w kałamaszce. Pytał wszyst-

kich: co to ja? co ja myślę? — Hajduki śmiali się — a żona biédaczka tak płakała, że aż litość była patrzeć...

SZCZĘSNY.

Waryacya — to rzecz okropna!... Idź połóż spać Michasia... Przyjdę potém pomówić z tobą... Wiele mam smutnych myśli, które dawno leżą na sercu. Przyjdę do ciebie, siostro, może się wyspowiadam z całego życia.

AMELIA.

Mój najmilszy, będę ciebie czekać i nastroję moję harfę... Pocałuj braciszka, Michasiu, pójdziemy spać...

MICHAŚ.

A jutro na koniku...

AMELIA.

Będę ciebie czekać, Szczęsny...

(odchodzi z dzieckiem).

SZCZĘSNY.

Jak sen dziwnie odświéża i hartuje myśli. Zdaje mi się, że gotów jestem zacząć drogę czynnego życia. — Myślałem o śmierci, jak o ostatniém schronieniu. Nie! Zacznę jeszcze walczyć z wypadkami i z ludźmi — wytrzymam spojrzenie ojca — i pokonam go spokojnością czoła... *(wchodzi* SŁUGA).

SŁUGA.

Panie! dziwne biegają wieści. — Żydzi mówią we wsi, że rewolucya w Wilnie.

SZCZĘSNY.

Rewolucya?... dzisiaj?...

SŁUGA.

Powiadają, że zaczęła się o siódméj godzinie wieczorem... Wzięto arsenał... lud cały uzbrojony...

SZCZĘSNY.

Każ osiodłać konie! zbierz co jest ludzi w zamku, niech się uzbroją natychmiast! natychmiast!

SŁUGA.

Żyd arendarz, rozsądny człowiek, radził, aby iluminować zamek: to płyty idące do Wilna zaniosą wieść o tém, że się nasz pan zdeklarował...

SZCZĘSNY.

Nie trzeba!.. Nasz pan w Wilnie... Nie lubię tych świateł, co z po za szyb rzucają jakieś blade światła na pokoje. Osiodłać konie!

SŁUGA.

Mówią jeszcze żydzi, że kilka dni temu była rewolucya w Warszawie...

SZCZĘSNY.

Osiodłać konie!... *(Sługa odchodzi).* Warszawa — Wilno — Polska cała — naród — ja. — Orszak ogromnych wypadków przesuwa się przed moimi oczyma. Jak się weń wmięszać — jak stanąć — gdzie?... Czém być?... Czém będzie mój ojciec?... O! ja mu się rzucę do nóg i będę płakał jak dziécię, prosząc za biédnymi ludźmi, co się miotają w ogromnéj sieci wypadków. Zdaje się, że słyszę krzyk rewolucyjny ożywających gruzów... Boże wielki! ja się dawno nie modliłem do Ciebie, a teraz czuję serce moje wołające z głębi wnętrzności o litość nad nami... Nad nami? Czém ja jestem? Ja nie powstałem!.. Krzyczę między cztérma murami wtenczas, kiedy inni umierają w milczeniu... Będę spokojnie patrzał na walkę ludu, jak na rzeź gladyatorów... W imię Boga idę skonać!..

(Wstaje i chce wychodzić. CIEŃ HETMANA *wchodzi przez drzwi przedpokoju, staje na środku i macha ręką na Szczęsnego, aby został).*

SZCZĘSNY.

Ojcze... ty wracasz?... Co mamy robić?

(CIEŃ *pokazuje ręką, aby został).*

Ojcze... ale mów!.. Przecie ty będziesz z narodem?...

CIEŃ.

O! o! o!.. *(Przechodzi przez salę i wchodzi do gabinetu).*

SZCZĘSNY.

Na Boga!.. taki cichy i biały... włosy mi powstają na głowie... *(dzwoni — wchodzi* SŁUGA). Co to? Pan przyjechał?... co wam rozkazał?.. czy mówił do was?...

SŁUGA.

Pan?!

SZCZĘSNY.

Czy byli ludzie w przedpokoju?

SŁUGA.

Było nas cztérech.

SZCZĘSNY.

To spaliście pewnie! Idź do gabinetu i zapytaj pana, czy nie chce czego.

SŁUGA.

Ale ja przysięgam Panu Hrabiemu, że pan Hetman nie wrócił. — Słyszelibyśmy zajeżdżający powóz.

SZCZĘSNY.

Musiał konno przyjechać... Jest teraz w tym gabinecie — zobacz... *(Sługa otwiéra drzwi do gabinetu).*

SŁUGA.

Panie Hrabio — tu nie ma żywéj duszy.

SZCZĘSNY.

Kłamiesz!... Mój ojcze!.. *(patrzy do gabinetu).* O!.. czy ja dostałem pomięszania zmysłów?... szklankę wody!

GŁOS HETMANA.

Szklankę wody!...

SZCZĘSNY.

Czy słyszałeś?... Wszak to głos mojego ojca — prosi o szklankę wody.

SŁUGA.

Ja nic nie słyszałem, Panie.

SZCZĘSNY.

Ale ja przysięgam, że słyszałem głos mego ojca...

SŁUGA.

Gdzie?

SZCZĘSNY.

Tu! *(uderza nogą).* Może wszedł do pokojów na piérwszém piętrze — szukajcie ze światłami, może jest na piérwszém piętrze...

SŁUGA.

Ale Pan mówiłeś, że wszedł do tego gabinetu... Z gabinetu nie ma wyjścia.

SZCZĘSNY.

Logika sługi.. to rzecz dziwna!.. Idź, bo ja muszę być chory... Nie mów nikomu w zamku... Na Boga, nie mów nikomu!.. bo ja muszę być chory...

SŁUGA.

Czy zawołać doktora?..

SZCZĘSNY.

Nie — nie!.. Co to za tętent?... Ktoś jedzie konno w mojéj głowie.

GŁOS *w przedpokoju.*

Gdzie pan Szczęsny! gdzie Szczęsny?...

(*wpada* NIEZNAJOMY).

NIEZNAJOMY.

Szczęsny! Szczęsny!.. *(do Sługi).* Odejdź!..

(Sługa odchodzi).

SZCZĘSNY *(odpycha Nieznajomego, patrzy na niego długo).*

Ojciec mój — musiał umrzéć... Ja widziałem cień mojego ojca... Ojciec mój musiał umrzéć...

NIEZNAJOMY.

Umarł.

SZCZĘSNY.

Ha!... *(pada na krzesło).*

NIEZNAJOMY.

Nie wiém, co mu powiedzieć...

SZCZĘSNY.

Daj mi rękę... pomóż mi wstać... trzeba wiedzieć o wszystkiém... Wiész... a przynajmniéj dowiedź mi w godzinie nieszczęścia, że mnie masz za człowieka. Opowiédz wszystko... jak tam było... w Wilnie. Patrz mi ciągle w oczy i trzymaj oczyma myśl moję, bo mi się głowa zawraca... Ale powiédz wszystko... bo jeżeli moja imaginacya będzie musiała kończyć obrazy, to gotów jestem — rozumiesz?.. Co widziałeś?..

NIEZNAJOMY.

Siądź.

SZCZĘSNY.

Nie... stać będę... lżéj... opowiadaj!..

NIEZNAJOMY.

Otóż... w nocy o godzinie siódméj Jasiński z trzystu ludźmi przeszedł wyłomem muru koło Ostréjbramy — księżyca jeszcze nie było — przed Ostrąbramą świéciła lampa... Spiskowi idąc przed nią, żegnali się... i cicho podsunęli się wszyscy pod odwach naprzeciw ratusza. Jasiński poskoczył szybko i zabił szyldwacha, tak że Moskal nie jęknął... Chwycił za karabin. Spiskowi rozebrali broń z kozłów i tarabany. Jasiński rozesłał barabańszczyków na wszystkie ulice — i rozkazał, aby skoro uderzy ósma godzina, wszyscy zaczęli bębnić. Sam ulicą zamkową z dwiestu pięćdziesięciu ludźmi poszedł na Arsenał... Uderzyła ósma... we wszystkich ulicach ozwały się bębny — Moskale w popłochu sądzili, że na każdéj ulicy stoi oddział żołnierzy — i uciekali od bębna do bębna... Jasiński wziął arsenał — i kazał bić we dzwony... Okropny rozgłos dzwonów obudził lud — zaczął w arsenale zbie-

rać się — broń rozebrał i mordował Moskali... Byłem przy Jasińskim — wszyscy polscy panowie będący w Wilnie nie mieli się czego lękać — bo lud zajęty był Moskalami... Wtém jakiś stary przedziera się do Jasińskiego i podaje mu plikę papiérów. Jasiński kazał podać pochodnie i przeczytawszy papiéry, plunął i rzucił je ze wzgardą. — Lud rozerwał między siebie listy... zaczął się zbierać koło tych, którzy umieli czytać, i długo nie mogłem pojąć téj sceny. Myślałem, że to były proklamacye i manifesta... Nagle słyszę... krzyk z tysiącznych ust! Hetman zdrajca!... potém... jeszcze okropniejsze słowo...

SZCZĘSNY.

Mów!

NIEZNAJOMY.

Wieszać!... *(Szczęsny chwieje się cały i daje znak ręką).* Przedzierając się, a raczéj niesiony z falą ludu, oparłem się aż o sztachety pałacu twego — Hetmana... Lud zapchał całe schody — i wył, jak hyena... Nagle coś zleciało z otwartego okna i przebiło się na pół na żelaznych sztachetach... to był karzeł. — Skonał wijąc się jak robak na ostrzu żelazném...

(Szczęsny trzęsie się).

W kilka chwil potém wyprowadzono... Blady był, ale spokojny.

SZCZĘSNY.

Ubrany?

NIEZNAJOMY.

W szlafroku. W ręku coś ściskał — tak mocno, że nikt mu nie mógł ręki otworzyć.

SZCZĘSNY.

Mówił co?

NIEZNAJOMY.

Mówił: szklankę wody.

SZCZĘSNY.

Dali mu?

NIEZNAJOMY.

Jeden w tłumie chciał lud odwrócić namową od zapędu: chciał, aby sądowi oddano nieszczęśliwego... *(Szczęsny ściska za rękę).* Potém jakiś ksiądz zbliżył się i słuchał spowiedzi. Spowiadający się był nieco roztargniony i patrzał często.

SZCZĘSNY.

Nie dręcz mnie!.. patrzał w stronę zamku... czekał, jeszcze czekał!...

NIEZNAJOMY.

Spokojny był... i uśmiechnął się. Potém otworzył dłoń ściśnioną — w dłoni była papiérowa tabakierka — zażył... i jednemu człowiekowi, co nic nie mówił i patrzał na niego, oddał tabakierkę. *(Szczęsny wyciąga rękę, ale nagle ją odsuwa machinalnie).* Krótko cierpiał...

SZCZĘSNY.

Jak krótko?...

NIEZNAJOMY.

Pół minuty, nie więcéj...

(Szczęsny dobywa zégarka i patrzy).

SZCZĘSNY.

Ale to długo!... patrz, jak to długo!... widzisz, że ja spokojny... Bądź zdrów! *(chce iść).*

NIEZNAJOMY.

Szczęsny! Na miłość Boga, gdzie idziesz?

SZCZĘSNY.

Ale... idę odczepić ojca z szubienicy.

NIEZNAJOMY.

Spokojności — rozwagi, mój przyjacielu!

SZCZĘSNY.

Ja nie zabiłem ojca mego — ale gdybym był pojechał z ludźmi przed kilku godzinami, to mój ojciec jeszczeby żył. Ale ja nie zabiłem mego ojca. — Czy sądzisz, że ja mógłbym był go obronić?...

NIEZNAJOMY.

Nie, na Boga nie!

SZCZĘSNY.

Tak! — przysięgam, tak, mogłem go był obronić!... Przekonaj mnie, że nie — bo padnę trupem na podłogę...

NIEZNAJOMY.

On nie może płakać... Szczęsny, daj rękę. *(kładzie mu w rękę tabakierkę).*

SZCZĘSNY.

O!.. tabakierka.

(zakrywa oczy i słychać łkanie).

NIEZNAJOMY.

Biada! biada!

SZCZĘSNY.

Patrz — na tabakierce mój portret, kiedy byłem dzieckiem.

Widzisz, miałem taką różową twarz, taki uśmiech... Ojciec mnie takim całował i pieścił na kolanach. Biédny mój ojcze! biédny mój ojcze!... Idź! bo ty płakać nie możesz... Zaklinam ciebie, nie patrzaj na mnie — ja chcę być dzieckiem.

(Przychodzi SŁUGA*).*

SŁUGA.

Panie! przyjechałem co koń miał ducha z Wilna. Lud wściekły wali się tłumem z miasta rabować ten zamek. Za półtoréj godziny będzie w bramie... Ojciec Pana zamordowany...

SZCZĘSNY.

Ha!... lud się wali rabować zamek?

NIEZNAJOMY.

Szczęsny, zaklinam ciebie: nie bierz przedsięwzięcia oporu. Trzeba mieć Rzymianina serce, Szczęsny... trzeba lud wyjący zostawić, aby się wysilił na ścianach i zwierciadłach. Trzeba się poświęcić, Szczęsny!

SZCZĘSNY.

Ha! chcesz, abym ja był latarnią zamku mojego?...

NIEZNAJOMY.

O! na Boga, nie mów tak okropnie!

SZCZĘSNY.

Czy on mnie zna, ten motloch?... Czy nie zechce rzucić mi w oczy skrwawioną w sercu ojca mego chustką? (*Dzwoni — wchodzi* SŁUGA*).* Wszyscy! *(dzwoni).*

(Wiele SŁUG*).*

Rozbierzcie między siebie wszystko złoto, które się znajduje w skarbcu — i idźcie spokojnie czekać mnie na górze o pół mili stąd. Nie ruszać sprzętów, a tak sprawiać się spokojnie, aby siostra moja nie posłyszała najmniejszego szelestu! Będę z wami o godzinie piérwszéj w nocy; ale rozkazuję — ja teraz pan wasz, aby przed dwunastą godziną żadnego już w zamku nie było.

SŁUDZY:

Słuchamy...

SZCZĘSNY.

Dziękuję wam za wierne usługi. Czy są między wami tacy, co od dzieciństwa znają ojca mojego? *(Kilku sług wychodzi).* Módlcie się za duszę pana waszego! —

(ściska za rękę, daje znak, aby odeszli. Odchodzą. Szczęsny chodzi po pokoju).

NIEZNAJOMY.

Co myślisz robić?

SZCZĘSNY.

Powiedziałeś, że mam serce Rzymianina... Wysadzę zamek w powietrze... żadna go ręka nie dotknie... na wieży są prochy...

NIEZNAJOMY.

Jakto? więc chcesz zginąć? — słuchaj: ja jestem silny — wyniosę ciebie, jak dziecko z zamku.

SZCZĘSNY.

Nie! wszak można zamek wysadzić na powietrze i żyć. Mam sposób — sam mi dopomożesz... Wiész, że nawet nie chciałbym zginąć. Muszę oczyścić w oczach narodów dwie pamiątki, zmazać dwie plamy. — Słuchaj! na wieży są prochy — włożysz ten pistolet nabity rurą do jaszczyka — cyngiel pistoletu połączysz długim sznurkiem z mechaniką zégara na wieży. Przywiążesz go do pałasza Pogoni litewskiéj. Po wybiciu godziny dwunastéj w nocy ta Pogoń podnosi pałasz i uderza w orła rosyjskiego — podnosząc pałasza, pociągnie sznurkiem za cyngiel pistoletu i wszystko będzie... popiołem, błyskawicą, niczém... Uczyń to!

NIEZNAJOMY.

Ale ty nie zostaniesz w zamku?

SZCZĘSNY.

Słuchaj! Oto biorę na siebie zbawienie siostry mojéj i braciszka, którzy nie wiedzą o niczém i śpią w tym pokoju. Jakże chcesz, abym ja z nimi skonał? zostanę chwilę po tobie w zamku, aby moję siostrę przygotować i nie przestraszyć boleścią mojéj twarzy. Muszę dla tego przez chwilę samotnie pomyśleć i uspokoić się, aby uspokoić drugich. Czekaj mnie na drugiéj stronie Wilii, ale przyrządź piérwéj wszystko, jak mówiłem... przysięgnij!

NIEZNAJOMY.

Przysięgam...

SZCZĘSNY.

Chodź, uściśnij mnie!... Prawda, że to noc okropna?...

NIEZNAJOMY.

Będzie mi się śniła w grobie nawet.

SZCZĘSNY.

Czekaj! w grobie się nic nie śni... Czy sądzisz, że myśl jest tak silna, że jéj nie mogą całkiém stargać wypadki okropne życia? Czy dusza jest niewypaloną nigdy lampą? Czy ziemia gro-

bowa może jéj dać nowe kolory i siły wilgocią, jak kwiatowi? Czy dla tego niszczy ciało, aby dusza snić mogła?.. więc niszczy coś — dla niczego! Zastanów się i postaw się na mojém miejscu i myśl. Gdybyś ty mógł teraz rozwiązać tę zagadkę wszystkich religij na świecie... Ja nie mogę do nieba zanieść pamiątki téj nocy. A jeżeli nie będę pamiętać o tém, czém byłem: — cóż znaczy to słowo: b ę d ę?

NIEZNAJOMY.

O jakże ty złamany nieszczęściem!

SZCZĘSNY.

I owszem: myślę — więc żyję...

NIEZNAJOMY.

Czekam ciebie z drugiéj strony rzeki.

SZCZĘSNY.

Nie żegnamy się... *(odchodzi Nieznajomy).* Nie widzę żadnéj drogi przed sobą... Zdaje się, że chodzę na gzemsach zamku. Ja... i siostra... i to dziécię... dziécię, co się modliło dziś jeszcze: Boże, daj zdrowie!... Jak głos tego dziecka stał się piosenką duszy mojéj... Boże, daj zdrowie! Ale co robić? powiédz wahająca się myśli, co robić?

(KSIĄDZ *wchodzi).*

(Dokończenia dramatu nie ma).

KRAKUS.

DRAMAT

(FRAGMENT)

AKT PIÉRWSZY.

SCENA I.

(Sala w zamku Lecha).

LECH — ŚLAZ — GRYF — RYCERZE — ARFON — GWYN.

LECH.

Mości Panowie Radni i Rycerze!
Oto dziesięty rok, jak na téj ziemi
Niezachwianego kosztujem pokoju.
Jam się zestarzał i zbyłem rzeskości;
Część mego serca poniosła do grobu
Nieboszczka żona — a drugie pół serca
Między trzech moich rozdzieliłem synów.
Lecz teraz muszę rozdzielić na nowo
Moję ojcowską miłość między synów
I z nich jednego muszę wydziedziczyć.
Krak, mój najstarszy, jak to wszyscy wiecie,
Zaprzedał swoję duszę złym nałogom
I dał się uwieść ludziom niecnotliwym.
Nie dziw, że trunkiem i gorszą rozpustą
Popsuła się w nim krew, a ta popsuta
Zepsuła serce; a takie zepsucie
Jako zarazy plama się dzień po dniu
Szerzy i wkrótce mi z mego dziécięcia
Rzecz obrzydliwą zrobi, obcą dla mnie.
O! lepiéjże więc teraz się go wyrzéc,

Dopóki można jeszcze po nim płakać;
Lepiéj gorzkiego dziś użyć lekarstwa,
Dopóki gorycz może być skuteczną.
Niechaj więc moja wola, wyjawiona
W obliczu waszém, będzie ostateczną:
Syn mój najstarszy od dnia dzisiejszego
Przestaje być już do tronu następcą,
A prawa jego spadają na głowę
Syna mojego Arfona. Pan kanclerz
Ślaz niech napisze wyrok w takiéj treści
I niech to wszemu ogłosi ludowi.

GRYF.

Pomnij, co robisz, królu miłościwy!
Kraka nałogi są młodości burzą.

LECH.

Cóż? i ty Gryfie stary jeszcze myślisz,
Że się pijanica ten poprawić może?!
O! gdyby nie wstyd, wyjawiłbym tobie
Rzecz jeszcze o nim haniebniejszą — ale
Ja jestem ojcem... dosyć! ani słowa!
Panowie państwa, przybywa tu wkrótce
Królewna Scytów, która zamierzyła
Na dworze moim szukać oblubieńca.
Z tego powodu dwór się mój wystroi
Cały na gacha — i ja, chociaż stary,
Nie będę może ostatnim w zalotach.
Cha! cha! cha! chociaż stary, jeszczem rzeski,
Na wyspie Gopła kazałem wystawić
Pałacyk świéży z cedrowego drzewa.
Tam w murach wonnych posadzę tę różę,
Co się w krainie lodów rozpłoniła
I tu białością śniegu i kryształu
Przybywa w ciemnéj się lasów zieleni
Błyszczeć, jak posąg czekający ognia. —
Cóż, mój Arfonie? czy aści serduszko
Nie bije młotem? Cóż, kurczę?... odwagi!
Odwagą tylko można się podobać.
Spuszczone oczy miłe starym wdowom:
Panna nie może się zakochać w pannie,
A ty wyglądasz, Arfonie, jak panna.

Niech cię przestroga moja nie zagłusza!
W przestrogach ojca zawsze pół pochlebstwa.
Dość!... chodźmy w jasne ubrać złotogłowy
Rycerskie nasze i szorstkie postawy,
A potém jedźmy na spotkanie Donny. *(wychodzą).*

SCENA II.

(Karczma).

(LELIWA *siedzi przy stole z* DOLIWĄ).

LELIWA.

Mości Doliwo, gdzie nasze Kraczątko?

DOLIWA.

Mości Leliwo, na księżycu.

LELIWA.

Pijmy!

DOLIWA.

Pijmy, a bijmy...

LELIWA.

Kogo?

DOLIWA.

Kto nie pije.

LELIWA.

Panie Doliwo! już mi się tu nudzi,
Że gdy ja leję, to Wacpan dolewasz.
Ja powiem słowo mądre, a Waść zaraz
Do tego słowa dodasz drugie — głupsze,
A trzecie jeszcze głupsze, a dziesiąte,
W którém już nie ma sensu i za szeląg. —
Ja sobie coś zanucę, to Waść zaraz
Do mojéj pieśni zrobisz taki ogon
Ze swego wycia i kichań i wiatru,
Że aż mnie dyabli biorą, mój Doliwo!
Czy wiész, czego ci braknie?

DOLIWA.

Czego braknie?

LELIWA.

Jużciż nie brzucha, ani rubinowych
Pryszczów na nosie, lecz braknie rozumu
I lakonizmu tobie braknie — pijmy!

DOLIWA.

Pijmy i żyjmy!

LELIWA.

Niech cię porwą dyabli!
(Rzuca mu w łeb szklanką).

DOLIWA.

Niech ciebie dyabli porwą do Erebu!

LELIWA.

Niechże Wacana zadepcą koguty!
Wacpan się gniewasz nawet dodatkami.

DOLIWA.

Kwita z Waszmością.

LELIWA.

Jakto proszę — kwita?

DOLIWA.

Ja wczoraj nogą ci dałem — hum — w barki,
A dziś mi Wacan dałeś szklanką w głowę:
Więc kwita.

LELIWA.

Jak chcesz? niechaj będzie kwita.

DOLIWA.

Kwita — bo mamy obadwa do syta.

LELIWA.

Powiédz mi Wacan: jaka jest w Acanu
Organizacya, że zawsze na język
Przychodzą — dyabeł wié skąd — dwa wyrazy
Podobne sobie, jak dwie małpy. — Czy drwisz
Z języka, czy twój język stał się błaznem
I bawi własne twe zęby? — Mospanie,
Czy to od bolu zębów jest lekarstwo,
Czy dziwny jaki fałsz w Acana dziobie?

DOLIWA.

Nie w dziobie, ale ku ozdobie.

LELIWA.

I znów —
Bogdajbyś dyabla zjadł!

DOLIWA.

I siadł...

LELIWA.

Mospanie,
Przynajmniéj, kiedy ja mówię, to Waść milcz!

DOLIWA.

Ale nie gniewaj się Wacpan; to zwyczaj...

LELIWA.

Jeśli Wacpana ja nie odzwyczaję,
To niech mię piorun strzaska!

DOLIWA.

Jeśli łaska,
Pozwól Doliwo, że odpowiem na to
Bez ceremonii. Wacan się indyczysz,
Dyabeł wié czego — a ja chcę żyć w zgodzie,
W zgodzie i nie o wodzie. A więc zróbmy
Układ: ilekroć powiem dwa wyrazy
Podobne sobie, to dla ubłagania
Waszmości powiem zawsze „z przeproszeniem" —
I tak, Leliwo — piwo — z przeproszeniem
Panie, dopóki stanie w dzbanie piwa,
Doliwa, z przeproszeniem, się nie gniéwa.

LELIWA.

Zbójco! — tancmistrzu językowy, kacie,
Ptaku drapieżny!...

(*Wchodzi* KRAK).

KRAK.

Co to są za krzyki?

LELIWA.

Kraczątko, rozsądź nas. — On przejął zwyczaj,
Słowa zamykać słowami na kłódkę
I odzwyczaić się nie chce. Kraczątko,
Jak będziesz królem, to postanów prawem,
Ażeby tacy ludzie nie gadali...

DOLIWA.

Kraczątko, moje lwiątko —

LELIWA.

Słyszysz? słyszysz?
Jak z nim pożyję, to wyjdę na głupca.
Ten człowiek plagą jest moją — on do mnie
Przypiął się, jakby nasienie bodiaku!

Bóg przypiął do mnie tego grzeszyciela,
Bóg mi przywiązał ten cień do ogona
Jak pęcherz z grochem kotowi... Ja umrę!
On mi humidum radicale z ciała
Smokcze, on pije mnie, on mną się żywi,
On jest zarazą moją! — Gdyby nie on,
To byłbym mądry i dobrze wyglądał.
On moję cerę zniszczył przez zgryzotę,
Bo ja się gryzę, że on taki głupi.
Eheu, jak mówią Grecy, królewicu,
I ty źle wyjdziesz, źle na obcowaniu
Z tą beczką — będziesz musiał go powiesić,
Jak będziesz królem; — więc się nie przywiązuj,
Bo smutno będzie wieszać przyjaciela.
A ja dlatego chciałbym zostać królem,
Aby mi było smutno, że on wisi.

KRAK.

Ja ci powiadam, że się on poprawi.

LELIWA.

Poprawi? — dyabli wezmą mnie i ciebie,
Nim się ta beczka chuci wyklaruje.
Cóż tam, króliku mój, słychać na dworze?

KRAK.

Już od miesiąca nie byłem u ojca.

LELIWA.

Kraku, dlaczego?

KRAK.

Ojciec mój oszalał! —
Ten Ślaz — ten kanclerz z bocianimi łapy,
Prowadzi za nos starca ..

LELIWA.

Co, ten chudosz?

KRAK.

Ten chudosz, co był kiedyś księżym sługą,
A dziś, okradłszy pana swego zmyślnie
Z astrologicznych kilku wiadomości
I z kilku szmatek kuchennéj łaciny,
Prymuje w zamku. Razem jest kanclerzem
I moich błaznów braci guwernerem.

LELIWA.

Przeklęta zmora! — Ot wiész co, Doliwo,
Co masz tu więdnąć i stać bez potrzeby,
To idź i trzaśnij go w pysk...

DOLIWA.

Co? kanclerza?

LELIWA.

I cóż?

DOLIWA.

A to mnie powieszą!

LELIWA.

To i cóż?

DOLIWA.

Panie Leliwo, Wacpan kpisz.

LELIWA.

Kraczątko,
Ty mi coś dzisiaj smutny — co to znaczy?

KRAK.

Znudzony jestem tą ciągłą potwarzą,
Tą ciągłą walką z ludźmi zazdrosnymi.
W całym rycerzy tłumie nie znalazłem
Jednego człeka, któryby miał rozum
I serce dobre — i dziwią się błazny,
Że ja przepędzam czas z beczkami dwiema,
Że ja przenoszę głupców towarzystwo
Nad towarzystwo gałganów zazdrosnych;
Dziwią się ludzie, że zagustowałem
W dwóch tłustych ludziach, co nie mają w głowie
Mózgu kurczęcia...

LELIWA.

Co myślisz, Doliwo?

DOLIWA.

Gdybym Wacpanem był, tobym się gniéwał.

LELIWA.

Jabym się gniéwał, gdyby o mnie tylko
Takie haniebne zdanie wykrakało
Nasze Kraczątko; — lecz że o dwóch mowa,
To więcéj cieszy mnie, że Wacpan dureń —

Niż smuci, że mnie uznano za głupca.
Kto z kim przestaje, to takim się staje: —
Jam żył z Wacpanem, jak się pokazuje,
Za długo — czuję to sam już, żem zgłupiał.

KRAK.

Nudni jesteście dziś — jak dwa puhacze. —
Mam propozycyą jednę, Mospanowie?

LELIWA.

Co? co takiego, Kraczku, moje dziécię?

KRAK.

Przyjeżdża tutaj młoda Syberyna,
Scytów królewna — piękna, urodziwa.
Skoro przyjedzie, wnet będą zabiegi,
Aby ją zaraz tu w Lechii zaślubić
Któremu z moich braci. — Ja wyklęty,
Mnie oni zaraz oczernią, okłamią.
Idzie mi o to, aby zyskać serce
Téj młodéj dziewy — i zdobyć jéj rękę...
A kto chce serce pozyskać kobiéty,
Ze wszystkich zmysłów niech tylko uwiedzie
Oczy, a reszta pójdzie bardzo łatwo.

LELIWA.

Poślij nas w swaty, my uwiedziem oczy.
Patrz, nos Doliwy błyszczy, jak jutrzenka —
Ja dobrze śpiéwam, więc uwiodę uszy.
W nas dwóch jest dosyć lepu i przynęty
Na wszystkie zmysłów pięć — nas poślij w swaty!

KRAK.

A ba! innego tu trzeba sposobu. —
Chodźmy, poradzi nam piastunka Diwa,
Weseléj będzie radzić przy butelce. *(wychodzą).* [1]

---

[1] Pierwotnie miała ta scena następujące zakończenie przez autora przekreślone:

KRAK.

Bądźcie wy mi choć raz użytecznymi. —
Ty się przebierzesz, Mospanie Leliwo,
Za jakie zwiérzę straszne i drapieżne;
Wacpan za jaką rybę albo smoka;
Ja za świętego Jerzego — i będę
Was obu grzmocił w obliczu kochanki,
Przysięgam, tylko kijem będę grzmocił.

SCENA III.

(*W namiocie.* — SZAMAN — SYBERYNA).

SZAMAN.

Córko kochana, jesteśmy już blisko
Siedziby Lecha. Poddaj mi się teraz,
Ja ci wybiorę przyszłego małżonka
I szczęście życia zapewnię wyborem.

SYBERYNA.

Ojcze! ja między lody wychowana,
Nic nie widziałam, nic nie znam na ziemi.
Tyś mi pokazał wczoraj tulipana:
Myślałam, że to jest duch ze złotymi
Oczyma, w głębi swego serca żywy;
Wczoraj dotknęłam się listka pokrzywy
I ukąszona biłam ten kwiat ręką
I ciągle kąsał — aż ojcze nadbiegłeś...

SZAMAN.

Kwiat najpiękniejszy będzie tobie męką,
Jeśli się oczom dasz wieść.

DOLIWA.

Ja protestuję!

LELIWA.

A ja mówię: zgoda.
Gdyby jednemu mnie okładał boki,
Płakałbym jak bóbr — ale że Wacpana
Boki okładać będzie, to mi słodko...
Chodź Wacpan — zaraz uczynię Wacpana
Rzeczą, co będzie bita...

KRAK.

A więc zgoda?

LELIWA.

Zgoda, Kraczątko moje.

KRAK.

A więc chodźmy!
Piastunka moja, Diwa, nas ustroi
W nowe figury — i szczęście zamówi.

LELIWA.

Doliwa będzie rybą — będzie bity...
Zaraz ułożę dla niego piosenkę. (*wychodzą*).

SYBERYNA.

Ty mię strzegłeś,
Ojcze, od wiatru, co w północy wyje.
Żyłam śród białéj, nieżywéj krainy.
Przyprowadziłeś mnie teraz w doliny,
Gdzie wszystko jak ja oddycha i żyje.
Tu jest brzęk życia w powietrzu: — motyle,
Jak śniegu różnokolorowe płatki,
Lecą na ziemię — źródła szemrzą mile;
Gdy spojrzę okiem przez pień sosen rzadki,
Widzę cudowne zwiérzęta w koronach,
Jak nasze reny — ale całe złote...
Czy my jesteśmy, ojcze, w jakich stronach
Zaczarowanych?... Pokaż mi istotę,
Którą ja kochać mam — bo już się kocham.
Już zakochałam się, ojcze, w kolorach,
W ciepłém powietrzu, co powiewa wonnie
I księżycowi chłód odbiéra z twarzy...

SZAMAN.

Dziewczyno moja, kochasz się oczyma:
Zmuszony będę ci odebrać oczy,
Aby szalone — serca nie uwiodły...

SYBERYNA.

Oczy odebrać mi, ojcze? dlaczego?...

SZAMAN.

Mówiłem tobie, by ocalić serce.

SYBERYNA.

Pozwól mi patrzeć, ojcze — ja przyrzekam,
Że nie obaczą ludzie mego wzroku,
Ty sam nie będziesz widział, że ja patrzę.

SZAMAN.

Za młoda jesteś — zdradzisz się.

SYBERYNA.

Nie, ojcze.

SZAMAN *(do siebie)*.

Muszę doświadczyć, jaka jest moc kłamstwa
W najniewinniejszéj z żeńskiego półgłowia.

(głośno).

Dobrze więc — pomnij, moja Syberyno,
Że dodąd będziesz między ludźmi ślepą.

Obaczysz wtenczas, kto się ulituje
Nad twą ślepotą i zgodzi się zawsze
Być twojém słońcem, a co jeszcze gorsza,
Być niewidzianym przez tak duże oczy.

SYBERYNA.

Zobaczysz, ojcze, jak ja ich oszukam.

SZAMAN.

Idź teraz spocząć po długiéj podróży.

SYBERYNA.

Ojcze, gdzie twoje czoło?

SZAMAN.

Jużeś ślepa?

SYBERYNA.

Ustami tylko mymi teraz widzę...
Dobranoc, ojcze... gdzie drzwi?

SZAMAN.

O! fałszerko!
(Odprowadza ją i wraca).
Jestże piękniejsza rzecz na całéj ziemi,
Jak wychowana w ustroniu dziewica
Czysta, wstydliwa, choć ogniem miłości
Już przepełniona, jak kwiat nieotwarty
A pełny woni w zatulonych liściach?
O! jakże pięknie ta fałszywość piérwsza,
Maleńką groźbą ojca wywołana,
Błysnęła w oczkach jéj: — „Ojcze, gdzie czoło?
„Gdzie drzwi? ja, ojcze, nie widzę“ — i prosto
Patrzała w oczy mi gwiazdami dwiema
Rozwidnionymi ogniem i uśmiechem...
Dla niéj oddałem się czarów nauce:
Straciłem ducha wolność — włos mi zbielał
Przestrachem różnych okropności, które
Wywoływałem z głębokości ziemskiéj,
Nim do wyższego podniesiony szczebla,
Nauczyłem się okropném zaklęciem
Wyższe i piękne wywoływać duchy. —
W pięknych jest większa moc nad przyrodzeniem:
Straszne i brzydkie im ulegać muszą

I są narzędziem piérwszych... Syberyno!
Twój ojciec królem jest pięknych aniołów
I girlandami jasnych władz otacza
Swoje kochane dziecko, kiedy smutne. —
Ty nie wiész sama, dlaczego twe łezki,
Małym kaprysem w oczach urodzone,
Wnet zdmucha wonne radości powietrze
I osusza je, nim na ziemię spadną.
Ty nie wiész, czemu świat ci się wydaje
Pełny kolorów — i oddychający
Miłością, szczęściem, w najmniejszym listeczku.
Ty wszystko widzisz przez mgłę, utworzoną
Z ulatujących i motylich Nixów,
Których jest ciałem woń i kolorowość,
A kształt nie inny, jak to z czego człowiek
Marzeniem może stworzyć zamyśloną
Postać — i widzieć ją duszy oczyma...
Śpij, Syberyno — ja cię przeprowadzę
Przez teatr świata: i tylko cię tyle
Dotknie boleści, ile może człowiek
Uczuć łez albo przestraszenia we śnie —
Ach! tylko tyle, ile doznać trzeba,
Aby obudzić się z radosnym krzykiem
I obudzenia swego nie żałować...
Chodźmy — ten smutny ci sen przygotuję
Ze sługą moim, jasnym Eolionem. —

SCENA IV.

ŚLAZ — ARFON — GWYN — BARBARUS.

ŚLAZ.

Barbarus, stój tu z lichtarzem i ucz się,
Et participiat myśl twa barbarzyńska
Z nauki, którą wkładam jak łopatą
W przejasne głowy mądrych królewiców.
Ergo: zapytam z czoła katechizmu — —

ARFON.

Z czoła? dlaczego z czoła?

ŚLAZ.

Twarda głowa!
Szczęściem, że będziesz, panie Arfon, królem.
Powiédz mi, Mości Książę, kto świat stworzył?

ARFON.

Bóg.

ŚLAZ.

Mości Książę Gwynie, a Waść powiédz!

GWYN.

Piérwszego pytaj mnie, to ci odpowiem.

ŚLAZ.

Barbarus, zawstydź księcia! — Kto świat stworzył?

BARBARUS.

Bóg, dobrodzieju.

ŚLAZ.

Bóg — Deus — Jehowa. —
Panie następco tronu, s o l co znaczy?

ARFON.

Słońce.

ŚLAZ.

Co to jest słońce, panie Gwynie?

GWYN.

Okno, którędy dzień schodzi.

ŚLAZ.

Barbarus,
Ucz się, gałganie ciemny — jest to okno?

BARBARUS.

Mój dobrodzieju...

ŚLAZ.

Cóż to? co, niedźwiedziu?
Apollinarius Sidonius — Gwalbertus —
Sanctus Avitus — o tym luminarzu
Mówią, że to jest... luminarz... więc ergo...

. . . .

. . . .

WALLENROD.

DRAMAT

(FRAGMENT).

OSOBY

WALLENROD.
KIEJSTUT.
JAGIEŁŁO.
KIRGIEŁ } bracia Jagiełły.
NARYMUNT }
WITOŁD, syn Kiejstuta.
HALBAN.
ALF, giermek.
DWÓCH WAJDELOTÓW.
I i II KRZYŻAK.
BIRUTA, żona Kiejstuta.
ANNA, żona Witołda.
AXENA, siostra Jagiełły.
KSIENI, matka Wallenroda.

AKT PIÉRWSZY.

SCENA ...[1]).

PIÉRWSZY KRZYŻAK.

I poszedł na roraty.

DRUGI.

Z pałaszem i w szlafmycy.

PIÉRWSZY.

Dobra piosenka, Panie Knyper, bo zawsze człowiek czego się innego domyśla, a tu rzecz niewinna. No, jeszcze strofę!

(*wchodzi* WALLENROD).

WALLENROD.

Cóżto za śpiéwy w moim domu, knechty?
Czyścić mi zbroję, opatrzyć oręże!
Jutro na Litwę wyjeżdżamy — precz stąd!

(Krzyżacy odchodzą).

Ha! więc godzina przyszła! Żegnaj teraz,
Rycerska sławo, dumo i ty jędzo,
Miłości własna, żegnaj! Los zaczyna
Podgryzać twardą podstawę posągu,
Aż runę z góry i w proch się położę.

(HALBAN *wchodzi).*

Jesteś, nieszczęścia kruku! Weź tę harfę
I wyjdź na ganek, graj, aż moja matka
Usłyszy i tu zejdzie korytarzem..

(HALBAN *wychodzi*).

---

[1]) Początku têj sceny, jako i początku tego całego aktu, braknie w własnoręcznym manuskrypcie poety. Jestto już scena trzecia od końca. *(Przyp. Wyd.).*

O smutna pieśni, którą tyle razy
W dziecińistwie mojém słyszałem na Litwie!
Jak ty rozdzierać musisz matki serce,
Podobna skardze szczęścia minionego
I zawiedzionych nadziei płaczowi...

(*wraca* HALBAN).

HALBAN.

Słyszała i tu idzie przeorycha.

WALLENROD.

Dobrze... Nic nie mów do mnie, jestem wściekły...

(*wchodzi* KSIENI).

Matko, na Litwę idę...

KSIENI.

Już na Litwę?

WALLENROD.

Jagielle pomóc przeciw Kiejstutowi.

KSIENI.

Przeciwko ojcu ty idziesz własnemu?

WALLENROD.

Czy ja mam ojca? wszak jestem bękartem!
Natura nie ma żadnych praw nademną.
Jestem — jako struś, wywiedziony z jaja
Słońca promieniem — słońce mam za ojca.

KSIENI.

A Litwę masz za matkę — jestem Litwą...

WALLENROD.

Nieszczęście zaś za siostrę, śmierć za żonę,
A krew za napój. Wszak tak, stary mnichu?

HALBAN.

Naklnij losowi — a potém się poddaj!

WALLENROD.

Czy wy jesteście pewni, że mię w Litwie
Nie pozna żaden człowiek — nawet oczy
Własnego ojca — nawet jego serce?..
Trzęsiecie głową... takżem ja zmieniony?

HALBAN.

Choroba twoja w Hiszpanii, Walterze...

WALLENROD.

Tak, zwaryowałem był kiedyś z tęsknoty;
Lecz teraz jestem zdrów. Cóż rozkażecie?

KSIENI.

Przysiąż, że nigdy się nie zdradzisz!

WALLENROD.

Siebie?!
Byłbym człowiekiem pełnym nierozumu,
Gdybym się zdradzał...

KSIENI.

Przysiąż mi, Walterze!

WALLENROD.

Dobrze — przysięgę tę weź, moja matko,
I zrób z niéj worek.

KSIENI.

Jakże to rozumiesz?

WALLENROD.

Worek na ludzkie przysięgi — kradzione.

KSIENI.

Gorzko ty mówisz do mnie na odjezdném.

WALLENROD.

Matko, ja ciebie kocham...

HALBAN.

Dziwne serce!
Jako wosk miękkie — jak wicher szalone!

WALLENROD.

Niech ten filozof stary, co prowadzi
Za nos narody, i mnie jako frygę
Kręci — niech będzie Homerem! Inaczéj
Wszystkie me czyny rycerskie nie warte
Życia jaskółki...

HALBAN.

Nie bój się, żyć będą!

WALLENROD.

Gdzie? na księżycu?

HALBAN.

Wyjeżdżasz komturem,
Wrócisz zakonu mistrzem...

WALLENROD.

Wróżba krwawa!..
Lecz wróżby trzeba jako sny tłómaczyć
Na wspak.... Czy Winrych chory?

HALBAN.

Walter Stadion
Powróci mistrzem!

WALLENROD.

O! męska Hekate!
Widać w nim zawsze starego guślarza,
Choć został mnichem świętego Franciszka...
Słuchaj, a Winfryd Juningen czém będzie?

HALBAN.

Umarłych dusze idą zawsze w stadach
Jako bociany, z żałosnymi wrzaski,
Aż zejdą z nieba i polecą w ciemność —
Nieprawdaż, matko?

KSIENI.

Zostaw nas, Walterze!
My uprzątniemy tobie drogę z ludzi,
Schowamy trupy; znajdziesz miejsce czyste,
Posłane łoże, wymyte podłogi...
Wszystko się stanie wprzód, nim ty pomyślisz,
A gdy pomyślisz, już będzie zrobione.
A teraz ci dam ostatnią przestrogę:
Oszczędzaj Litwy krew i głowę ojca,
Lecz bądź zwycięzcą!

WALLENROD.

Kobiéca przestroga!

KSIENI.

Guślarzu, idźmy teraz zbierać zioła. *(Odchodzą).*

WALLENROD.

A ja do stajen pogadać z rumakiem,
Czy się nie złamie pod zbrojnym krzyżakiem...

SCENA PRZEDOSTATNIA.

(W zamku Kiejstuta).

KIEJSTUT — BIRUTA — *Dwóch* WAJDELOTÓW — *Giermek* ALF — WITOŁD — ANNA, *żona jego.*

KIEJSTUT *(do Anny).*

Cóż ty, Rusinko, w złotym kokoszniku?
Czy ci wesoło w Trokach? Cóż, Witołdzie?
Miodowy miesiąc zawsze bywa słodki.
Biruta, co ma teraz włosy srebrne,
A pierwéj miała włosy takie złote,
Jako miodowy księżyc — niechaj powie,
Czy Kiejstut dobrze kochał ruski miesiąc?

BIRUTA.

Drapałam ciebie wtenczas pazurami,
Biłam, jak słowik skrzydełkiem gadzinę,
Jak wąż skakałam do oczów. Mój stary,
Jeśli to miód był, to pewno nie słodki!

KIEJSTUT.

Skłamałaś, stara moja... o! skłamałaś.
Bom ja uciekał — tyś goniła za mną!
Schowałaś mi hełm, abym nie wychodził,
Spaliłaś w piecu lipowe chodaki,
Ukradłaś kiesę, bym nie pił za domem;
Potrułaś mi psy, abym nie polował.
Tak, na Peruna tak! Widzisz, Witołdzie,
Jak matka kłamie. Bij twoję Rusinkę,
Bo nadto wielka dobroć psuje żony.

ANNA.

Jeśli bić będzie, to mu przypnę rogi
Takie, jak twoje, teściu mój, Kiejstucie.

KIEJSTUT.

Takie, jak moje?

ANNA.

Wszak masz hełm z rogami.

KIEJSTUT.

Ha widzisz! sarna je była przypięła
Jednemu z czarnych jeleni, dlatego
Że nie bił żony — to są rogi sarnie.

ANNA.

Ja Witołdowi przyprawię miesięczne.

WITOŁD.

Co mi tam! posag już po tobie wziąłem.
Nie dbam o mięso sobole — mam skóry...

ANNA.

Nie dbasz o kunę twoję? nie dbasz o nią?
Jak ci dam szczutkę w hełm, obalę z koniem,
Zawinę ciebie w pieluchy, jak dziecko,
I gdzie powieszę na haku... Pohaniec,
Nie dba o żonę!

WITOŁD.

Cyt, moja kraszanko!

ANNA.

Nosek o nosek — uderz! twój się stłucze...

WITOŁD.

Twój był stłuczony już, gdy ciebie wziąłem.

ANNA.

Pies! O Biruto, każ mu pójść do kąta!
Każ wleść pod ławę! Odszczekaj mi zaraz,
Mój srebrny mężu, zaraz mi odszczekaj,
Bo wajdelotom powiem, że na ciele
Jesteś kosmaty — będą w pieśniach śmiać się...

WITOŁD.

Koteczko moja!

ANNA.

Aj! jak ty mię ciśniesz!

WITOŁD.

Niech ojciec wiedźmę tę wypędzi z domu!
Wczoraj potłukła wajdelotom liry
Dlatego, że jéj zaśpiéwali o mnie.
Alfa przez okno rzuciła w jezioro,
Aby zobaczyć, czy Litwin z natury
Pływa po wodzie, czy zaś idzie na dno.
Dwa dni — sokoła mego najstarszego,
Który już siedział na łaskawym chlebie,
Kazała upiec i dać na wieczerzę!
Pytam: co taki twardy ptak? — a ona:
Mężu, to kura! — patrzę — a ta kura

Na szyi pierścień ma żelazny — ścierwo!
A jużem udo zjadł...

KIEJSTUT.

Udo sokole?!

WITOŁD.

Jeszcze się teraz ze mnie śmieją wszyscy!

KIEJSTUT.

Biruto, widzisz, jaki nasz syn głupi:
A mówią, że to bohater za domem.

ANNA.

Mnie, żony, spytać — powiem, czy bohater!

WITOŁD.

Cyt, słyszę jakieś trąbienie — od Wilna...

ANNA.

Jacyś rycerze tu jadą na wyspę.

KIEJSTUT.

Bogdaj nie jakich czarnych nowin gońce!
Bo mi tak dobrze, jak jest — a odmiana
Już być nie może na lepsze. (*Wchodzi* GONIEC).
Co słychać?

GONIEC.

Jagiełło uciekł z Krewa dzisiaj w nocy!
Narymunt, jego brat, i Korygiełło
Zdradą na wozach pod chlebem i sianem
Do Wilna skrytych wprowadziwszy ludzi,
Zajęli miasto, oraz zamki oba.
Załoga, napół zbrojna, tu się cofa...

KIEJSTUT.

Ranek spokojny — nad wieczorem burza.
Widzisz, Witołdzie — ja tobie mówiłem,
Że nigdy ufać nie można Jagielle!
Ciebie ta lisia skóra będzie łudzić
Do dnia sądnego. Widzisz, co się stało!
Trzeba go było przykuć, jak niedźwiedzia,
A myśmy miodem lipcowym karmili.
Masz teraz skutek! Znów wojna — pożary —
Znów wnętrzne rzezie: — a takiego ranku,
Jak dziś, by cała książęca rodzina

Zasiadła razem i ludzkiego szczęścia
Zakosztowała — może już na długo,
A może nigdy już się nie spodziewać! —
W nieszczęsną ty się urodziłeś chwilę,
Zły mój synowcze, co tak Litwę kłócisz!

WITOŁD.

Jagiełły wszakże potępiać nie można!
Wolności szukał, jak z nas każdy — i ty
Ojcze Kiejstucie. Wszak byłeś trzy razy
Więźniem i zbiegiem — wie o tém Biruta.
O sobie myśląc, nie potępiaj w drugich
Takiego ducha i takiéj odwagi...
Wszak się nie dziwisz, że latają orły;
Wszak się nie dziwisz, że co wiosny bocian
Znajduje zamek trocki i powraca.
Tak człowiek wolność swoję zna — i do niéj
Wie dobrze drogę. Jagiełły nie bronię;
Winien był, ojcze, nam zaufać dłużéj,
A tybyś mu był sam dał w podarunku
Skarb, który dzisiaj sam Jagiełło bierze.
Do nas należy drugi raz odebrać
I drugi raz mu dać, by z łaski naszéj,
A nie z przemocy, był nam równy w Litwie;
A tak wyższymi zawsze my będziemy,
Lecz jako ludzie — w dobroci i duszy
Wyższymi, także jeśli można, w sławie.
Ziemią i skarby dzielmy się na równo,
A nawet — kto mniéj weźmie — szlachetniejszy,
Jeśli mógł więcéj, a wziął tylko mało...

KIEJSTUT.

Patrzaj, Biruto, jaki to filozof
Nasz syn! Wyprawiłby nas starych z torbą...
Witołdzie, wraz mi na koń! Dzwonić w trąby!
Sam na koń wsiędę. — Alf! pociągnij miecza.
A wy do komnat, baby! — Wajdeloci,
Gotujcie liry wasze, bo podobno
Raz ostatni pieśń o mnie zabrzmicie —

WAJDELOTA.

Żałobną!

(wychodzą).

SCENA OSTATNIA.

(W Klasztorze Krzyżaków).

(KSIENI — HALBAN).

KSIENI.

Słuchaj — te świéce ze krwią gotowane!
Do łoju strasznych przymięszałem jadów.
Zapal je — gdzie chcesz, aby człowiek skonał:
A człowiek skona...

HALBAN.

Daj tę czarną świécę!
Choćby odkryto, żadne podejrzenie
Na Wallenroda nie padnie...

KSIENI.

Idź i truj!
(Rozchodzą się).

AKT DRUGI.

SCENA I.

(Obóz Jagiełły).

JAGIEŁŁO — KIRGIEL — NARYMUNT.

JAGIEŁŁO.

Byliśmy prawie do szczętu pobici.
Kiejstut jak stary lew chodził w około,
I wszędzie oczy straszne mego stryja,
Jako dwie gwiazdy krwawe, spotykałem
W mojém utkwione sercu. Dziesięć razy
Byliśmy tylko o miecza dłużynię,
I zawsze starzec nie podnosząc miecza
Stał, srogo patrząc na mnie; a ja byłem
Gotowy klęknąć, gdyby się uśmiechnął:
Ma uśmiech mego ojca — i coś w twarzy,
Co nakazuje miłość...

NARYMUNT.

O Jagiełło!
Gdyby nie Krzyżak, bylibyśmy zbici.

JAGIEŁŁO.

Dziwna krzyżacka pomoc! Stał na górze,
Ani się ruszył...

NARYMUNT.

Ale straszna postać
Gdy się na górze nagle ukazała:
Obiedwie strony przejął strach — i obie
Spuściły miecze.

JAGIEŁŁO.

Tak, w porę się zjawił!
Mieczem przeżegnał z góry i rozbroił.
Lecz słyszę trąby — to ów Krzyżak idzie...
(Wchodzi WALLENROD).

WALLENROD.

Gdzie tu jest książę Jagiełło?

JAGIEŁŁO.

Ja jestem.

WALLENROD.

Przychodzę tobie pomóc. — A ten rudy?

JAGIEŁŁO.

Mój brat Narymunt.

WALLENROD.

A ten z płaskim nosem?

JAGIEŁŁO.

Drugi brat, Kirgieł.

WALLENROD.

Każ mi podać krzesło!
Wiele Krzyżakom dasz, jeślić pomogą?

JAGIEŁŁO.

Konturze, teraz nie jestem bogaty:
Mogę obiecać, ale dać nie mogę.
Wieleżbyś żądał za twą pomoc szczérą?

WALLENROD.

Nic prawie! Knechtów, których mi zabiją,
Każesz przeważyć z końmi i rynsztunkiem
A potém srebra dasz na wagę trupa...

JAGIEŁŁO.
Srebra? — czy myślisz, że się w Litwie rodzi?

WALLENROD.
Co knechty, wiem, że z Prus je sprowadzacie.

JAGIEŁŁO.
Łatwiéj o knechtów, niż srebro.

WALLENROD.
Nie, wcale!

JAGIEŁŁO.
Już nie wytrzymam téj krzyżackiéj dumy...

WALLENROD.
Jeśli nie dajesz tyle, ile żądam,
Wraz wojnę w Litwie rozpocznę dla siebie.

JAGIEŁŁO.
Czyń, jak chcesz! nadto jesteś w ustach twardy.

WALLENROD.
Więc do widzenia! *(odchodzi)*.

JAGIEŁŁO.
Widziałże kto w Niemcu
Podobną dumę? — Bracie Narymuncie,
Jedź do Kiejstuta, ofiaruj układy,
Witołda serce skrusz — Witołd mię kocha. —
Powiédz, że z Niemców mamy nieprzyjaciół.
Namiot wystawić każę przed wojskami
I tam na stryja mego będę czekał
Z uszanowaniem i z podległą skruchą.

SCENA II.

(Obóz Kiejstuta).

KIEJSTUT — WITOŁD — ALF.

KIEJSTUT.
Witołdzie, teraz Jagiełło z Niemcami!
O! widzisz, jaki to wąż — widzisz synu!
Mój Witołdzie, już mi nie mów więcéj o tym człowieku.
Grób nam wykopał, grób ciemny!

WITOŁD.
O! jeśli takim, jakim dziś się czuję,
I jutro będę: jutro będę królem!...

Dziśbym wystrzelał wszystkie gwiazdy z łuku!
Dziśbym wziął w ręce słońce płomieniste
I rzucił z procy na Jagiełły głowę;
Dziśbym go z koniem zarzucił na księżyc,
A potém skoczył za nim i tam deptał,
Jak krwawą żmiję; dziśbym robił cudy,
A gdybym umarł, bogi by mi dały
Zapalać piorun lub odpiérać tarczą
Zhukane morze, albo dźwigać góry
I ziemią całą trząść pod niemi z gniewu!...

KIEJSTUT.

Ja także jestem jakby odmłodniały;
Nie czuję trwogi — ani też rozpaczy.
Spokojny jestem, jak jezioro trockie,
Jak stare puszcze głębokie i ciemne.
O siebie jestem spokojny — lecz moja
Biédna Biruta!... Litwa się zepsuła!

Czy myślisz, żeby się znalazł jeszcze w Litwie jaki człowiek, któryby chciał skonać na moim stosie, gdybym ja umarł?

WITOŁD.

Ojcze Kiejstucie, co za czarne myśli?

KIEJSTUT.

Alf, chodź tu!

ALF.

Panie...

KIEJSTUT.

Czy tybyś się spalił ze mną?

ALF.

Ja?... spaliłbym się!

KIEJSTUT.

Tak ci się zdaje, dziecko. Psy skowycząc uciekają od człowieka, gdy je chce złowić; psy przeczuwają śmierć i wyjąc idą w lasy; trzeba je w workach wiązać i nieść do trupa pańskiego.

ALF.

To psy...

KIEJSTUT.

Patrz, Witołdzie, jaka duma w tém dziecku! Któżby powiedział, że to bękart tego zdrajcy haniebnego Waltera Stadiona?!

ALF.

Spalę się na stosie twoim, ale ojca mego nie nazywaj ‌drajcą.

KIEJSTUT.

Niestety! Moje dziecko, ja go kiedyś kochałem. Ojciec twój ciekł do Krzyżaków, a potém gdzieś oszalał w hiszpańskim szpi-lu i umarł wściekły... Zdrada jego przypadła właśnie w czas ardzo srogi dla Litwy: byliśmy zupełnie pobici — pamiętasz, Vitołdzie? — lecz ty miałeś wtenczas lat siedem... Matka jego rozpaczy powiesiła się była przed mymi oknami na staréj sośnie, cz pastuch przechodząc rano, odciął powróz i ocucił ją... Potém nikneła... Także jeden guślarz z pod Trok — zniknęli razem... hodź tu, Alf, sierotą jesteś...

ALF.

Więc mię umarli widzą.

KIEJSTUT.

Ciebie — i myśli twoje.

ALF.

Jeśli się spalę, czy będą o mnie śpiéwać wajdeloci?

KIEJSTUT.

Będą.

ALF.

I za sto lat?

KIEJSTUT.

Pieśń żyje wieki.

ALF.

A ty wiele jeszcze możesz pożyć, Kiejstucie?

KIEJSTUT.

ziwne to psiątko! — zalewa mi oczy
rzezroczystymi łzami... Chodź! daj mi ust...
óżane twoje usta tchną mi życiem,
twarz mi dawne czasy przypomina.
ziś mi innego znajdź, Witołdzie, giermka!
iechaj to dziécię żyje lata długie!

ALF.

laczegoż ty mię chcesz odprawić, księże?
zym źle ci służył?

KIEJSTUT.

Cicho, małe szczenię!

ALF.

Jeśli odprawisz, pójdę do Krzyżaków.

KIEJSTUT.

Każę cię wtenczas złowić i powiesić.
Patrzno mi kruka!

WITOŁD.

Idzie brat Jagiełły
Zapewne zgodę ojcu proponować.
(*Wchodzi* NARYMUNT).

KIEJSTUT.

Nie, nie, nie! nie ma zgody między nami!
Nie! póki Kiejstut ma broń, nie ma zgody!

WITOŁD.

Mów, Narymuncie, z czém jesteś przysłany?

NARYMUNT.

Przychodzę stryja mego serce skruszyć;
Przychodzę — tę krew, co między Jagiełłą
A między starym Kiejstutem się toczy,
Jako Wilenka między dwiema góry —
Przychodzę na téj krwi z mojéj pokory
Most zrobić pewny, aby się Jagiełło
Z Kiejstutem mogli zejść, połączyć dłonie
I wiecznie zjednać. Przyszedłem, Kiejstucie,
Abyś na mojéj pokornéj osobie
Wzrok przyzwyczaił do Jagiełły twarzy
I piérwsze gniewy na mnie tak wyrzucił,
Jak chmura piérwsze piorunowe strzały
Wypuszcza w lasach na żubry i łosie,
A potém idzie spokojna i cicha
Po nad głowami królów. O! Kiejstucie,
Mnie karz — a przebacz Jagielle urazy!
Jam go namówił uciéc, jam go wspiérał —
Na moim garbie stanąwszy, dosięgnął
Krewskiego okna i z więzienia wyszedł —
A teraz widzi, że napróżno walczyć
Z Kiejstutem starym i z Witołdem młodym.
Kiejstut jest wichrem, a Witołd piorunem!
Królewska godność patrzy z waszych liców,
Pokora płynie z ust Olgierdowiców.

KIEJSTUT.

Zawsze masz słodkie usta, mój kochany,
A złe ci patrzy z oczu, stary kocie!
Nie jestem książę na Trokach blaszany
I to pokażę wam. Jadasz na złocie
I złotem jesteś jak indyk nadziany,
A jeszcze szukasz kraść, gdzie się nadarzy.
A wieleś ty wziął od Jagiełły w łapę
Za to, byś przyszedł, bym na twojéj twarzy
Splunął gniew piérwszy? A czemu Jagiełło
Sam tu nie przyszedł? Straszne z was kręciele!
Nie ufam więcéj — nie ufam... Zdradzicie!

NARYMUNT.

Witołda poślij — niech z Jagiełłą mówi!

KIEJSTUT.

Poślę niedźwiedzia, niechaj go rozędrze!

NARYMUNT.

Serce Jagiełły już rozdarte żalem...

KIEJSTUT.

Cóż z niego płynie — czy krew, czy trucizna?

NARYMUNT.

Łzy płyną gorzkie!

KIEJSTUT.

O! o! jeleń płacze!
Muszą go więc psy już trzymać za uszy.

NARYMUNT.

Żal mu, że wezwał Krzyżaków na Litwę...

KIEJSTUT.

Żal mu, że trzeba groszem płacić mnichy.

NARYMUNT.

Żal mu, że stryja dobrego obraził.

KIEJSTUT.

Płacze jak dziecko więc, kiedy je biją,
A z tyłu kułak pokazuje, grożąc.

NARYMUNT.

O! że nie grozi, patrzaj — oto dowód: —
Sam tu przychodzi. *(Jagiełło wchodzi)*. O! Jagiełło bracie,

Te wykopałem doły kolanami
Jako dwa groby: — Stryj przebaczyć nie chce.

JAGIEŁŁO.

Stryju Kiejstucie! przysłałem do ciebie
Z przeprosinami brata Narymunta,
Lecz gdy się późnił długo, sam przychodzę.
Zapomnijcie mi, stryju, moje winy;
Lecz nie tak, jako pierwéj, zapomnijcie —
Karząc więzieniem, jak podłego zdrajcę!
Witołdzie, witaj!... patrzysz na mnie srogo,
Albo odwracasz oczy gdzieś na ściany,
Jakbyś się za mnie wstydził... Mój bratanku,
Miałżem w ciemnicy zgnić — nie użyć zdrady?
Wszak wyście Wilno mi zajęli zdradą,
Zamordowali męża mojéj siostry,
A mnie samego wsadzili do lochu,
Karmili chlebem, kwasem ukwasili...
A teraz, widząc księciem — cóż tracicie?
Jagiełło — książę, przeprasza Kiejstuta!
A to jest lepiéj, niż gdyby go więzień
Prosił o łaskę... Olgierd by się zaparł
Takiego syna — ty takiego brata!
Czyli wam smutno, że nie jestem podły?

KIEJSTUT.

Tak, do Witołda ty obracasz mowę.
Ty wiesz, że Witołd ma z bursztynu serce,
Gdzie twoja przyjaźń, jako utopiona
Żaba, tysiąc lat bez powietrza żyje
I rusza brzuchem, choć ty jéj nie karmisz
Ani dobrocią, ani zaufaniem...
Witołd — to hardy młokos, z miękkiém sercem!
Witołdem żyjesz ty na stryja stole!
Witołda dobroć jest twoją spiżarnią!
Witołda chowasz sobie od potrzeby
Na wszystkie zdrady — jak myśliwiec jaki,
Który, nim stanie na dzika z oszczepem,
Pierwéj upatrzy do ucieczki drzewo...
Lecz się ten wreszcie most pod tobą złamie!
Wybrałeś wszystko, coś miał u Witołda: —
Witołd już wyznał, żeś ty jest przewrotny,

Dumny, ambitny i samolub chciwy.
Znamy cię teraz dobrze, mój synowcze!
Będziemy kochać, ileś wart — nie więcéj: —
Dawać, ile sam zasłużysz — i mierzyć
Podług twojego głodu twoje ścierwo,
Wilku żelazny! — Czegoż chcesz odemnie?

JAGIEŁŁO.

Twardoś mi, stryju, odpowiedział, twardo!
Za broń-by trzeba chwycić i za żagiew,
Przez ciebie skoczyć i pójść aż na Troki;
Silniejszy bowiem jestem w broń i ludzi.
Krzyżacy stoją na górach, a Wilno
W moim jest ręku. Jednak nie odejdę,
Dopóki mogę bez ostatniéj hańby
Uniżać czoła.

WITOŁD.

Przebacz mu, Kiejstucie...

KIEJSTUT.

O! zgubisz ty mię, synu, zgubisz synu!

WITOŁD.

Ja wiem Jagiełły zamiar, ojcze drogi!
On chce uderzyć zgodnie na Krzyżaków.
Jeżeli jakie oszukaństwo kryje,
To nie przeciw nam, lecz przeciwko mnichom...
On wie, że Witołd potrzebny na Niemce,
A więcéj jeszcze zwycięstwu pomaga
Imię Kiejstuta. Dajże mu twe imię,
Daj mu Witołda — niechaj ma zwycięstwo!

KIEJSTUT.

Prawdę on mówi? — chceszże ty na Niemca?

JAGIEŁŁO.

Téj saméj nocy.

KIEJSTUT.

No, to weź Witołda!

JAGIEŁŁO.

Lecz wy mi, stryju, pomożecie? *(całuje go w rękę)*.

KIEJSTUT.

Jagło!
Jeszcze raz tobie przebaczam; — pamiętaj,
To raz ostatni.

NARYMUNT *(na stronie).*

Tak, to raz ostatni!

JAGIEŁŁO.

Witołdzie, namów ojca — niech do Wilna
Na tę noc zjedzie i dla bezpieczeństwa
Sprowadzi z Wielkich Trok żonę i dzieci.

KIEJSTUT.

O! zdaje mi się, że bezpieczniéj w Trokach,
Niż w twojém Wilnie.

WITOŁD.

Ojcze, znów go ranisz...

KIEJSTUT.

Jechać? — Witołdzie, powiédz —

WITOŁD.

Ojcze, jechać!
A ja do tego czarnego kontura: —
Wyspowiadam go i wojnę mu rzucę.

JAGIEŁŁO.

Kirgieł niech jedzie prosto do Biruty
I z całym dworcem kniahynią sprowadzi
W zamek wileński! — A ty, Narymuncie,
Śpiesz i przygotuj ucztę na zamczysku,
Oraz wysokie dla Kiejstuta krzesło!
My, stryju, zwolna pojedziemy błoniem,
Aby widzieli ludzie, żeśmy w zgodzie.

SCENA III.

(Zamek w Wilnie).

AXENA — *późniéj* NARYMUNT.

AXENA.

Dziś całą ciemną noc nie spały kawki
Na mojéj wieży, lecz wrzeszczały ciągle;
A w tym szeleście i krzyku słyszałam,
Jakby mówiły: my objadły kości
Twego Wojdyły, gdy na szubienicy
Zawieszony był przez stryja Kiejstuta. —
Ja wrona jemu siedziałam na głowie

I jadłam oczy. My dwie na ramionach...
Druga wrzasnęła głucho: trup był czarny!
Trzecia wrzasnęła cicho: księżna słyszy —
Małżonka jego, księżna śpi pod nami!...
Wisielca tego żona śpi pod nami!
Kiejstuta synowica śpi pod nami!
Wstałam i okno otworzyłam: — Kawki,
Krzyknęłam, księżna nie śpi — księżna słyszy!
Księżna, wisielca żona, nie śpi w łożu!
Czekajcie, siostry czarne, księżna da wam
Głowę Kiejstuta... Kiedy to wyrzekłam,
W powietrzu głowę ujrzałam Kiejstuta,
Bladą Kiejstuta głowę — szklane oczy
I krwią zwalane siwe, długie włosy.
Zaczęłam wtenczas ją wabić jak ptaka:
Chodź tu, dam tobie jeść — otwarła usta...
Chodź, mówię, dam ci pić — patrzała cicho...
Chodź — wyciągnęłam rękę na powietrze —
Uciekła — potém znów się pojawiła
Pomiędzy ręką moją i oczyma,
Jak plama, cała ze krwi i z płomieni...
(*Występuje* NARYMUNT).

NARYMUNT.

Axeno...

AXENA.

Bracie!

NARYMUNT.

Przygotuj się, księżno,
Niemiłą ci rzecz powiem...

AXENA.

Mów!

NARYMUNT.

Nie miłą...

AXENA.

Czekam okropnéj.

NARYMUNT.

Nie, okropną nie jest —
Tylko cię muszę, siostro, przygotować.

AXENA.

Jagiełło zginął?...

NARYMUNT.

Nie, zdrów i powraca.

AXENA.

Wraca... zwyciężył?

NARYMUNT.

Nie — wraca bez jeńców,
Ale ci mnogich naprowadza gości.

AXENA.

Kogo?

NARYMUNT.

Niemiłych gości...

AXENA.

Kogo?...

NARYMUNT.

Siostro,
Tylko nie popsuj całéj pajęczyny,
Którą tak trudno było nam umotać...
Jagiełło wraca z Kiejstutem.

AXENA.

Ze stryjem?

NARYMUNT.

W zgodzie najlepszéj powraca ze stryjem.

AXENA.

Wraca z Kiejstutem?

NARYMUNT.

Idź, przygotuj ucztę!

AXENA.

O! przygotuję ucztę... Narymuncie,
Znajdź mi zabójców!

NARYMUNT.

Ha! cóż ty zamyślasz?

AXENA.

Znajdź mi zabójców... nic!... zabójców mi znajdź,
Nie pytaj o nic!... Czy Biruta także
Będzie na zamku?

NARYMUNT.

Tak sądzę.

AXENA.

Biruta!...
Zrobię z Biruty mnie!... Cóż, Narymuncie?
Dla ciebie skarby trockie — chcesz być ze mną?
(wychodzą).

SCENA IV.

(Obóz Krzyżaków).

WITOŁD — KRZYŻACY — *później* WALLENROD.

WITOŁD.

Gdzie jest ten Kontur, pies dyabelskiéj mości,
Kuce krzyżackie!? — gdzie? — chcę z nim pomówić...
Cóż? dobywacie szabel? cóż, murzyny?
Czy nie widzicie, że niosę na kiju
Kawał spodnicy, co mię czyni świętym?...
Gdzie jest wasz kontur? — chcę mówić z konturem.
(Wchodzi WALLENROD*).*

WALLENROD.

Cóżto za baba? — wrzeszczy, jak przekupka.

WITOŁD.

Jestem tandetnik, przychodzę kupować
Stare krzyżackie łby — zrobię z nich papiér,
Pójdą pod folusz... Ha, po czemu twój łeb?

WALLENROD.

Czy tak książęta w Litwie wychowane?
Wiele chcesz za twą grzeczność, tandetniku?
Znoszona bardzo i nie warta nawet —
Gdyby na tynfy mój gniew bić w mennicy —
Nie warta nawet tynfa z mego gniewu.

WITOŁD.

Czy masz gniew? — Właśnie przychodzę, Krzyżaku,
Po twój gniew: — dobrze! przedaj mi gniew — dobrze!
A kiedy na twój gniew chcesz włożyć zbroję
I gniew posadzić na konia? — co? kiedy?...

WALLENROD.

Cóż? czy samego wyzywasz na rękę,
Czy z całém wojskiem, które mam — na wojsko?

WITOŁD.

Wojsko na wojsko, a ciebie — na siebie.
O! o! batalia będzie, jak należy.
Zamiast trąb — świstać rozkażę w orzechy
I hasło boju wydadzą świstuny.
Żony szczutkami będą zabijały
Wasze kolumny; wróble, widząc trupy,
Zmienią naturę i w sejmie uradzą,
Że kiedy łatwiéj o trupy, niż ziarno,
Odtąd, jak wrony, będą żyły ścierwem.

WALLENROD.

A któż ty jesteś, co tak grozisz?

WITOŁD.

O pies!
Znasz ty mię dobrze! — jestem książę Witołd.

WALLENROD.

Jakiżto Witołd?

WITOŁD.

Witołd, syn Kiejstuta.

WALLENROD.

Czekaj — zapiszę sobie twoje imię,
Abym spamiętał.

WITOŁD.

Musisz mieć łeb twardy; —
Jutro napiszę na nim moje imię.

WALLENROD.

Jednego tylko w Litwie znam rycerza,
Coby mógł złamać mój maleńki palec,
Używszy na to machin i taranów,
Którymi zamki na Litwie walicie.

WITOŁD.

Jakiżto rycerz, powiédz, taki silny?

WALLENROD.

Walterus Stadion.

WITOŁD.

O! to bądź spokojny
O twój paluszek, moja piękna panno: —
Walter już dawno w grobie, zdrajca podły!

WALLENROD.

Co? już nie żyje?

WITOŁD.

Dawno, dawno, dawno!

WALLENROD.

Jeśli nie żyje, to już w całéj Litwie
Nie ma człowieka...

WITOŁD.

Słuchaj mnie, Krzyżaku!
Ten Walter, co tak tobie siedzi w głowie,
Z mego się ojca rodzi — był bękartem.
Krew, którą mnie dał Kiejstut, rubinowa —
Krew, którą jemu dał, nie warta wody!
To kalinowy sok — nie krew Kiejstuta!
Kobieta ją ukradła Kiejstutowi
I z téj kradzionéj krwi miała Waltera,
A Walter ukradł tę krew znów ojczyźnie
I dał Krzyżakom... Ród jego i życie
Ciągłą kradzieżą jest — potém oszalał
I gdzieś w szpitalu skończył życie podłe...

WALLENROD.

Łżesz, bo się Walter kiedyś w Litwie zjawi!
Ty wiesz, że Walter żyje!

WITOŁD.

Niemcze twardy!
Ja ci powiadam, że ten zdrajca w grobie —
A ty mi wmówić chcesz, że zdrajca żyje...
Syn jego żyje: ojcu memu służy,
Za żoną moją nosi ogon — i śpi
Pomiędzy psami przy Kiejstuta łóżku.
Ale to małe psiątko nie ma zębów —
Jeśli o małym mówisz.

WALLENROD.

Nie! o wielkim.

WITOŁD.

O wielkim zdrajcy...

WALLENROD.

O tym wojowniku,
Co kiedyś zaćmi wszystkie wasze sławy,

Najdłużéj będzie w pieśniach waszych słynął —
Na kilka wieków umrze i znów wstanie
Straszniejszy, niż Bóg jaki piorunowy,
Mścić się i... Dosyć, mój ty giwojtosie!
Jeśli Waltera nie ma teraz w Litwie,
To nie mam się z kim bić — i do Prus idę,
Bo wy nie warci naboju w rusznicy!

WITOŁD.

O! tak mów — tak mów prosto, że uciekasz!
Ale ci Witołd młody na kark wsiądzie,
Jak sroka, kiedy na tłustym baranie
Siedzi i wełnę rwie i na wiatr rzuca.
O tak! powiadaj prosto, że uciekasz!
Powiadaj, że ci Witołd w nosie kręci!
Powiadaj, że się boisz stać na ziemi,
Pod którą Witołd jako wulkan siedzi
Gotów się rzucić w górę — aż na księżyc!...

WALLENROD.

Jeśli się cofam, to tylko dlatego,
Że wasz Jagiełło skąpy — a ty goły...

WITOŁD.

Cofasz się, bo się boisz.

WALLENROD.

Zgnieść Witołda?!

WITOŁD.

Téj nocy jeszcze trzeba mu wpaść na kark...

WALLENROD.

Téj nocy jeszcze trzeba zdjąć namioty...

WITOŁD.

Cóż? — do widzenia, Niemcze!..

WALLENROD.

Dobra droga!

(*Witołd odchodzi*).

WALLENROD (*sam*).

Piérwsza ofiara z méj rycerskiéj sławy!
Piérwszy raz miecz się z pochwy nie pokazał krwawy.

SCENA V.

(Sala w Wilnie).

AXENA — NARYMUNT — LITWINI.

AXENA.

Tu zasadzeni stójcie po krużgankach!
Ty, Narymuncie, wleź w komin — siedź cicho. —
Ja sama z sali wywołam Jagiełłę,
A potém wejdę tu i na Kiejstuta
Rzucę mój fartuch. Wtenczas wy do mieczów!...
I do więzienia z nim, nie robiąc krzyku! *(wychodzi).*

(*Wchodzą* JAGIEŁŁO — KIEJSTUT — ALF — WAJDELOTA).

JAGIEŁŁO.

Tu, mój kochany stryju, na tém krześle —
To Giedymina stołek — tu siadajcie!

KIEJSTUT.

A gdzie jest dziewka Axena? czy w Wilnie?

JAGIEŁŁO.

W tym samym zamku siostra moja biédna.

KIEJSTUT.

Żałuję szczerze téj krwi... Między nami:
Czy jeszcze dla niéj nie znalazłeś męża?

JAGIEŁŁO.

Nie chce o drugim mężu ona myśleć,
Lecz się z boleścią swoją ożeniła:
Śpi z nią... i gada do niéj... i z nią żyje.

KIEJSTUT.

Więcże mię w zamku źle gotowa przyjąć?

JAGIEŁŁO.

Tak! — może będzie wiele łez i wrzasku.

KIEJSTUT.

Przy sobie nie mam dla niéj podarunku.
Może Biruta się domyśli stara
I co przywiezie. Jak tu w zamku głucho...

(wchodzi LITWIN).

LITWIN.

Krywe Krywejta chce mówić z Jagiełłą.

JAGIEŁŁO.

Niechaj tu wejdzie!

LITWIN.

Nie chce tu wejść stary,
Ale pod zamkiem czeka.

JAGIEŁŁO.

Dumny starzec!
Stryju kochany, bawcie się, aż wrócę. *(wychodzi).*

KIEJSTUT.

Chodź, Wajdeloto... ciężko mi coś bardzo
Na sercu!... Alfie, idź i patrz ku Trokom,
Czy już nie jedzie Biruta z synową...
O czém wesołém mów mi, Wajdeloto:
Mam cieżkie serce... (AXENA *wchodzi).* Ha! otóż Axena.
Witaj mi, córko moja, Olgierdówno!

AXENA.

Witaj, Kiejstucie stryju! — gdzie Wojdyło?

KIEJSTUT.

Sama wiesz lepiéj.

AXENA.

Jam go nie schowała!
Patrz — pod fartuchem moim nie schowałam.
Ty go zabiłeś, stryju... gdzie Wojdyło?

KIEJSTUT.

Chodź, daj mi rękę... i nie wspominajmy.

AXENA.

Gdzie jest Wojdyło, stryju?... Kto co weźmie,
Ten może wrócić. Wziąłeś mego meża,
Teraz cię proszę, wróć mi mego meża,
Albo mi powiédz, gdzie ja znajdę meża?
Może za tobą jest, możeś go schował?
Więc mi go pokaż? — niech mu się rzucę
Na szyję, niech go pocałuję!... Stryju,
Jestże to prawda, żeś go zamordował?
Żeś go niewinnie, srogo zamordował?
Żeś go na górze gdzieś powiesić kazał?
Ktoś mi to mówił, ale ja nie wierzę,
Ażeby w tobie było takie serce!
Wróć mi Wojdyłę, stryju — wróć Wojdyłę!

KIEJSTUT.

Bóg widzi, że go już nie mogę wskrzesić.

AXENA.

Nie możesz wskrzesić? ha! nie możesz wskrzesić?
Więc płaczże, stryju!

KIEJSTUT.

Już mi łzy nie płyną ..

AXENA.

O! płaczesz, płaczesz ty, jak stara baba!
Fartuchem ci łzy będę ocierała,
Ażeby ludzie twych łez nie widzieli,
Bo się przelękną — tych łez krokodyla!
O daj mi oczy!.. niechaj je obetrę...

(Rzuca mu fartuch na głowę).

Do mnie, Litwini! bierzcie tego starca!
Precz do więzienia z nim — precz do więzienia!
Ja sama teraz rozbroję Jagiełłę...

(Litwini wyprowadzają Kiejstuta. JAGIEŁŁO *wraca).*

JAGIEŁŁO.

Siostro, gdzie Kiejstut?

AXENA.

Co?

JAGIEŁŁO.

Gdzie stary Kiejstut?

AXENA.

Tyś go nie widział?

JAGIEŁŁO.

Nie — tum go zostawił.

AXENA.

Więc ja ci powiem, gdzie jest stary Kiejstut:
Stary już Kiejstut w więzieniu.

JAGIEŁŁO.

W więzieniu?
Któż ten haniebny czyn popełnił?

AXENA.

Kto? — ja!

JAGIEŁŁO.

O! więc go odrób teraz, nieszczęśliwa!
O! więc tę plamę ze mnie zmaż haniebną!

AXENA.

O! mimowolny uśmiech zdradził ciebie!
Ty się radujesz w sercu, że bez ciebie
Rzecz się zrobiła... Ja ci oszczędziłam
Kilka bezsennych nocy — ty się cieszysz!...
Ja twą naturę znam...

JAGIEŁŁO.

Siostro, lecz Witołd...

AXENA.

Tu siedzi kolec w tobie... Otóż całe
Twoje sumienie, bracie — strach Witołda!
Witołda trzeba schwycić, nim się dowie
O losach ojca.

JAGIEŁŁO.

Jeśli tak, to każę,
Gdy będzie wracał, pochwycić go w bramie.

AXENA.

Idź! bo ci to da całe wielkie księstwo,
A mnie Kiejstuta krew zgasi pragnienie.
(odchodzą).

SCENA VI.

(Pod Wilnem).

(WALLENROD, *później* ALF).

WALLENROD.

Zdjęte namioty — wojsko wyruszyło,
A ja się na téj górze jeszcze trzymam,
Jak stare drzewo, do ziemi wrośnięte,
Ale umarłe — i patrzę na Wilno...
Ojczyzno moja! gdym ciebie porzucał,
Potrzebowałaś mnie! Ale na ciebie
Bóg spojrzał — i mnie już nie potrzebujesz...
A więc odejdę... i mój żywot zdrady
Skończę, jak stary pies, pod cudzym płotem...
Bądź zdrowa więc, ojczyzno! Raz ostatni
Patrzę na ciebie — i tym znakiem krzyża
Zlewam na ciebie całe szczęście ludzkie,
Które mi kiedyś Bóg przyobiecywał

O wschodzie życia. — Ty, ojcze Kiejstucie,
I synu, biédny sługo, bądźcie zdrowi,
Aż się po śmierci dowiecie, że byłem
Blisko waszego serca, że me imię
Nie było godne tego potępienia,
Które rzucili kiedyś na mnie ludzie...
Bywajcie zdrowi...

(ALF *nadchodzi*).

ALF.

Witołdzie! Witołdzie!

WALLENROD.

Jakiś dziecinny głos...

ALF.

Mój drogi Niemcze,
Prowadź mię prędko do waszego wodza,
Gdzie teraz książę Witołd na umowach;
Witołda szukam.

WALLENROD.

Powrócił do Wilna.

ALF.

Więc rozminąłem się z nim, gdy powracał!
Więc go z Kiejstutem wrzucą do więzienia!

WALLENROD.

Kiejstut w więzieniu?

ALF.

Zdradzono Kiejstuta!
Mojego pana okropnie zdradzono.
Kiedy go brano, oknem wyskoczyłem
I tu przybiegłem, by ostrzéc Witołda,
Że ojciec wzięty...

WALLENROD.

Nie znasz ty pachołę
Giermka, co służy na Kiejstuta dworze?
Nazywa się Alf.

ALF.

To ja.

WALLENROD.

Ty?

ALF.

Ja, Panie!

WALLENROD.

Czy masz ty ojca?

ALF.

Nie, nigdy nie miałem.

WALLENROD.

Nie prawda! Ojciec twój — jest Walter Stadyon.

ALF.

A skądże to wiesz?

WALLENROD.

Czemuś go się zaparł?

ALF.

Bom wolał zaprzéć się, niż mówić prawdę.

WALLENROD.

Dlaczegoż prawdy czystéj nie mówiłeś?

ALF.

Bo to dla ojca lepiéj — ojciec w grobie,
Ojciec mi na tym świecie nie pomoże.

WALLENROD.

Prawda, że ojciec tobie nie pomoże;
Ale jeżeli chcesz, będę ci ojcem.

ALF.

Nie pójdę z tobą, nie chcę być Krzyżakiem!
Wolę — jeżeli zabiją Kiejstuta,
Na stosie spłonąć jako wierny sługa
I ośpiéwanym być przez Wajdeletów.

WALLENROD.

Na stosie spłonąć? *(zbliża się do Alfa).*

ALF.

Ha! chcesz mię uchwycić,
Niemcze, Krzyżaku! lecz ja prędko biegam...
(uchodzi).

WALLENROD.

Zniknął!.. Jestże to sen? Widziałem syna,
A każde jego słowo było mieczem...
Ohydna męka — serce mam rozdarte
Ojciec mój — syn mój — Litwa — wszystko, wszystko
Znowu zapadło w toń... znów jestem zbawcą.
Precz, czarna zbrojo! znów jestem Litwinem!
(*Przychodzi* HALBAN).

HALBAN.

Nieprawda! — jesteś Mistrzem!

WALLENROD.

Co? Szatanie!
Pozwól mi pierwéj, mnichu, być człowiekiem!
Ojciec w więzieniu, syn...

HALBAN.

O kruche serce!
Gdy ci w młodości myśl podałem wielką,
Tyś drżał, chwytając nowe jadło duszy.
Mówiłem wtenczas: — lecz pomyśl, Walterze,
To lat dwadzieścia nędzy! — A ty na to:
Chociażby wieki, krzyknąłeś. — Mówiłem:
Lecz ojciec umrze, lecz syn twój, sierota,
Będzie przeklinał twe ohydne imię.
Niech klnie! krzyczałeś — niech ginie! krzyczałeś...

WALLENROD.

Ja byłem wtenczas młody, a nieszczęście
Miało kobiécą twarz... Dziś — jako jędza
Z rozczochranymi włosami, w łachmanach —
Ciągnie mnie zimną ręką. O Halbanie!
Ta zemsta, którą ja z krzyżactwa biorę,
Nie jest już świętą... Słuchaj! tu jesteśmy
Jak dwaj Rzymianie. Chcesz? to się nawzajem
Tu, na téj górze, przebijemy mieczem,
Aby już skończyć...

HALBAN.

Od dawna już widzę
W twym charakterze jakąś dziwną senność
I zimną rozpacz nudy. Lecz to minie.
Przed godzinami śmierci są pioruny,
Które człowieka budzą i znów czynią
Człowiekiem... Chodź, chodź! jeszcze będziesz młody!
Jeszcze krew zagra w tobie po dawnemu,
Jeszcze raz będziesz Walterem Stadyonem.
Przez jednę tylko noc — ale nim będziesz!

WALLENROD.

Będę, czém byłem? nie! to niepodobna!

HALBAN.

Na uroczysko tam kiedyś pójdziemy,
Gdzieśmy schowali twą litewską zbroję;
Na uroczysko, gdzie konwalia kwitnie,
Gdzie trzy strumienie srebrne leją wodę,
Tam... czy pamiętasz?

WALLENROD.

O! ty jesteś harfą,
Która mię do łez skłania...

HALBAN.

Bądź człowiekiem,
Który pomiędzy Cezarem a dawnym
Leonidasem będzie wspominany,
Gdy Litwa dowie się o twardym Rzymie
I zrówna swoich rycerzy z tamtymi,
Którzy pomarli. — Nie! ty będziesz piérwszy!
Ty piérwszy jesteś zabójcą narodu!
Ty piérwszy jesteś podobny do Boga!
Nie między ludźmi, lecz przeznaczeniami
Będziesz wpisany!

WALLENROD.

Znów mię łowisz, stary,
Jak ćmę — pochodni blaskiem! Rzecz skończona.
Jestem w twéj ręce mieczem — więc zabijaj!

HALBAN.

Do Prus, Walterze, na twoje mistrzowstwo.

AKT TRZECI.

SCENA I.

JAGIEŁŁO.

W ręku więc moim teraz mam Kiejstuta!
Ale go wzięto zdradą, nie orężem...
W ręku więc moim mam teraz Witołda —
Lecz Witołd był mi zawsze przyjacielem.

Cóż więc zyskałem, że go mam dziś jeńcem?
Straciłem serce jego — mam osobę...
Trzeba go trzymać, doglądać — i bać się...
Kiedy go brano, krzyczał: powiédzcie Jagielle,
Że nie dałbym za głowę jego pół szeląga,
A za jego książęcą czapkę — kuniéj skóry,
A za jego sumienie — jednego Bóg zapłać!...
O! prawda, że nie warto dzisiaj człowiekowi
Kupować choćby za nic mojego sumienia! —
Więc czemuż nie naprawię zła, które zrobiłem?
Ha!... bo widzę, że można wyciągać korzyści
Z rzeczy już raz zrobionéj. Straciłem na sławie,
Lecz mi to Kiejstut ziemią zapłaci litewską;
A gdy będę miał więcéj ziemi, to zasieję
Więcéj sławy — i więcéj zbiorę, niźli miałem...
. . . .
. . . .
. . . . [1]

[1] Tu się wątek tego dramatu urywa. — Znalazłem w papiérach Słowackiego inny fragment pozostały z sztuki mającéj także Wallenroda za bohatera, który jednak nosi tu imię Waltera Stadyona. Widocznie wzięto tu za przedmiot jakąś chwilę rychlejszą z jego życia. Było to zupełnie inne opracowanie, jak to okazuje wiersz rymowany. Dołączam i ten drugi fragment do powyższego. *(Przyp. Wyd.)*.

WALTER STADYON

(FRAGMENT).

WALTER — *jego* MATKA — HALBAN. *Rzecz dzieje się na Litwie.*

MATKA.

Nadęty, niby Bogiem zachłyśniony,
Zawracający oczy tak, że świécą
Białka i powiek obrąbek czerwony
Tasiemką ognia — pod mózgiem... Walterze!
Jam go tą duszą, tą duszą kobiécą
Na wskróś jak nożem przebiła. Nie wierzę
W czystość człowieka tego, ni w pokorę.

WALTER.

Cóż, matko? Z sobą w tłómoczku zabiorę
Twe podejrzenia, a jak czas pozwoli,
To je odczytam.

MATKA.

O! jak serce boli,
Gdy się otworzy przed człowiekiem, jako
Przed Bogiem, a on... ot weźmie garść piasku
I sypnie w usta krwawe!

WALTER.

Lasy w brzasku...
Muszę odjeżdżać!

MATKA.

Pamiętaj wszelako,
Że ja zostałam tu biédna i sama,
Ja, twoja matka, część twojego ciała...
Matka — pamiętaj o tém, bo to cała
Moja nadzieja — ty...

WALTER.

Jest w Litwie krama,
Gdzie takich synów, jak ja, kupić można.

MATKA.

Gdzie?

WALTER.

Na cmentarzu.

MATKA.

Ha!

WALTER.

Pocałuj w czoło
I puść mnie z Bogiem!

MATKA.

O mowo bezbożna,
Co mię zabijasz! Ach! jakie ty zioło
Pełne trucizny włożył w usta? Ach ty
Chłopcze okropny! z pod żebraczéj płachty
Pokażę ci tę pierś, co tobie dała
Mléka a teraz da krwi.... O dziecino!
Patrz na mnie — do nóg padam — łzy mi płyną!
Jam kiedyś nóżki twoje całowała,
Te nóżki... o! te nóżki... o te! o te!
Gdzież ty je teraz powleczesz odemnie?
Powiédz, daleko pójdziesz? aż na złote
Gwiazdy? Co? prawda? Ty gdzieś, o! Walterze,
Idziesz po czarną śmierć!... O! mów mi szczérze,
O! mów!... Jeżeli na śmierć: to ja stara,
Ja pójdę z tobą...

WALTER *(do Halbana)*.

Halbanie...

MATKA.

Ta mara
Niech się nie zbliża! ten człek niech tam stoi!
Niech się nie zbliża!... Ach, któż uspokoi
Serce matczyne, jeśli syn nie może?
Ja ciebie puszczę — puszczę — puszczę. Boże!
Ty byłeś zawsze dla mnie dobroczyńcą!
Idź z Bogiem — ja ci błogosławię. *(odchodzi)*.

HALBAN.

Walter
We łzach..

WALTER.

O we łzach! we łzach!... Słuchaj, jeszcze
Gałązka sucha tam w lesie szeleszcze!
Słyszysz? to szelest mojéj matki kroku,
Ostatni tu raz na ziemi słyszany...
Cyt! już nie słychać!.. O! — Czy zakopany
Hełm mój i tarcza?

HALBAN.

Tam w lesie, przy stoku
Pod konwaliami.

WALTER.

O! jak rzeczy świata
Ckliwe są, kiedy po smutkach przychodzą
Trudzić człowieka!

HALBAN.

Idźmy!

WALTER.

Dusza lata,
A człowiek chodzi... Idźmy! Niech tu rodzą
Matki szczęśliwszych synów!

HALBAN.

Dość żałości!
Twego smutku świat cały kiedyś pozazdrości.

SCENA.... [1]

Ci mi powiadasz? Walter Stadyon?
— Pani
Ten pierścień kazał złożyć w pożegnaniu,
Na którym, jako widzisz, ten wąż rani
Swe własne serce.
— Jestem na kazaniu
Niemieckiém! Jakto? wyjechał i kazał
Ten pierścień złożyć? Ha! i cóż? nic więcéj?
— Jam się z jéj serca, rzekł, teraz wymazał,
Jestem niegodzien jéj i najgorecéj
Proszę, ażeby o mnie zapomniała.
— Ha! i nic więcéj?
— Jeżelibyś miała
Jaką odpowiedź, mówił — poślij słowa

[1]) Słowacki nie wyraził imienia osób, które ten dyalog z sobą prowadzą. *(Przyp. Wyd.)*

Na miesiąc blady, lub na słońce złote;
Bo on za tarcze te się obie chowa
Przed okiem ludzi.
                                    — Pleciesz!
                                                            — Co ja plotę,
To jest jedwabiem jego ust.
                                                    — Szatanie!
— Więc ty mi gwiazdą szatańską, czerwoną!
— Wiesz ty? ja byłam jego...., żoną!
On mię na swoje tak miał zawołanie,
Jak psa! Jam w lesie za nim tak wietrzyła,
Jak pies. Ja teraz za nim biéc gotowa,
Jak pies! O słowa! słowa, słowa, słowa!
Idź — bo na cały zamek będę wyła,
Na mury będę skakała, żwir jadła!
Jak letargnica pogryzę grobowa
Paznokcie, ręce... Słowa! słowa! słowa!
Ach! gdybym teraz gdzie noża dopadła
I mogła... mogła — ach!.. w serce bękarta
Choćby przez miesiąc blady — tak...
                                                                        — Rumianku!
— Co?
          — Jesteś chora...
                                              — Chora? idź do czarta!
Ja jestem wściekła!
                                       — Boję się, że z ganku
Skoczysz w jezioro.
                                     — Nie bój się, nie skoczę.
— Myślałam, że masz taki zamiar —
                                                                    — Co? ja?
— Prosiłaś o nóż.
                                    — Daj!
                                                        — Utniesz warkocze,
Jak Artemizya.
                              — Myślisz?
                                                  — Pani moja,
Myślę, że sobie utniesz złote włosy
I czarnych oczu światła się pozbawisz...
— Tym nożem język ci utnę!
                                                         — Pokrwawisz
Białe rączęta!..

— Jesteś, jak połosy
Skrzydlate, z ogniem w oczach, wyprężone.
Gotóweś skoczyć na mnie.
— Wolę wkraść się.
— Ach! ty lokaju! ty psie! chciałbyś paść się
Resztkami stołu...
— Twe niedogryzione
Kosteczki, usta twoje koralowe...
— Stu piorunami spadnę ci na głowę,
Jeżeli zacznę kochać, będąc wściekłą.
— Zgadzam się.
Będziesz miał na ziemi piekło!

. . . .
. . . .

JAN KAŹMIERZ.

(SZCZĄTEK DRAMATU).

. . . .
. . . .

MARYA LUDWIKA.

Mademoiselle Kalinowski, donnez moi la leçon du polonais — chce uczyć po polski.

KALINOWSKA.

Ne prolongez pas ainsi le s k i!

MARYA.

Po poolski...

KALINOWSKA.

Tak, Najjaśniejsza Pani.

MARYA.

Tak, nannniejsza pani...

KALINOWSKA.

Dobrze!

MARYA.

Dobrzé. [1])

SCENA II.

(Kwatera pana Harmidera — w Warszawie).

Pan HARMIDER — *Luzak* SKÓRKA — SZEWCZYCHA.

HARMIDER.

Skórka!

SKÓRKA.

Co, Wielmożny Panie?

HARMIDER.

Idź, wykup moję szablę Batorówkę od żyda Jankiela; masz dwa tynfy. Do kroćset furdamentów! wykup szablę i obetnij żydowi uszy — w procencie!

---

[1]) Cała ta rozmowa przekreślona w rękopisie. *(Przyp. Wyd).*

SKÓRKA.

Dobrze, Panie. *(wychodzi).*

HARMIDER.

Do kroćset furdamentów! świat cały będzie czerwonego koloru, jak jajko wielkanocne... brr! brr!... wojna. — Pani Szewczycha! (*Wchodzi* SZEWCZYCHA). Pani Szewczycha, cóż Wacpani jak kometa nie umyta? Do kroćset furdamentów! wyjeżdżam na wojnę, Pani Szewczycha; zróbmy rachunek, Pani Szewczycha!

SZEWCZYCHA.

Niechaj się Jegomość policzy, co winien.

HARMIDER.

Do kroćset furdamentów! policzywszy się z sumieniem, to ja nic nie winien, Pani Szewczycha.

SZEWCZYCHA.

Nic Jegomość nie winien? Mocny Boże!

HARMIDER.

Acani mi winna felicitas... bff! do kroćset furdamentów! jakem Litwin! Policz się Wacpani z sumieniem, czy Wacpani mi nic nie winna?

SZEWCZYCHA.

Mocny Boże!

HARMIDER.

Wacpani jesteś wdową, a ja mam serce: — sunt consequentiae. — A wiele ja winien Wacpani?

SZEWCZYCHA.

Dwa tynfy i pół na Zielone Świątki; a potém trzy tynfy dałam Jegomości w Kwietnią Niedzielę; a przez luzaka Skórkę posłałam, kiedy Jegomość siedział in fundo za obcięcie nosa burmistrzowi w Klecku...

HARMIDER.

Do kroćset furdamentów! Wacpani rachujesz się jak żydówka; gdybym był wiedział, nie przyjmowałbym żadnych łask — timeo Danaos — od Wacpani. Ja to wszystko oddam, bo honor czuję w obrażeniu, ale jak oddam, to, Pani Szewczycho, zakwitowanie in aeternum... do kroćset! nie obaczysz mnie więcéj. — Nieboszczyk Acani mąż miał czerwone oczy jak królik, a ciało jak szczypce — i był szewcem: — ja mam w Litwie dobra i wotuję na sejmikach w Nowogródku, a siostra moja jest za panem Kolibajlo ze Żmudzi. Ale że się Wacpani upominasz, to oddam

jéj co do szeląga. Dzięki Bogu, mam w pasie sto czerwonych złotych w gotówce, tylko mi się nie chce wypuszczać brzucha na wolność; ale jak się będę rozbiérał, to oddam Wacpani do kroćset furdamentów! spleśniałe tynfy, a kwitem Wacpani utrę sobie nosa — i basta! Ale kiedy na Rusi obetnę uszy Chmielnickiemu, to zauszniczki daruję Najświętszéj Pannie Częstochowskiéj, a uszy przyślę Wacpani na bigos... Do kroćset furdamentów! nie spodziewaj się więcéj o mnie usłyszeć — aż na ostatecznym sądzie, stojąc na lewicy za nieczułe serce twoje, Pani Szewczycho!...

SZEWCZYCHA.

Dlaczego mnie Wacpan smucisz, panie Harmider? dlaczego mnie Wacpan smucisz? — Ja się o moję należność nie upominała.

HARMIDER.

Ale sumienie moje, mościa Szewczycho, upomina się, a Wacpani temu winna jesteś. Cóż? dlatego, że Wacpani miałaś pieniądze, to ja miałem nie jeść i nie pić?!

SZEWCZYCHA.

I dobrze Jegomość robił.

HARMIDER.

Addio, Pani Szewczycho, chowaj moje skrypty, a jeśli ja zginę, to dyabeł sam przyśle swego plenipotenta z pieniędzmi i zapłaci Wacpani z mego majątku — bom człowiek honorowy: duszę przedam, a zapłacę, com winien, albo pojmę Acanią za małżonkę przed świętym ołtarzem. Do kroćset furdamentów! honor — to nie woda! Pani Szewczycho, znasz mię?

SZEWCZYCHA.

Ja?

HARMIDER.

Znasz mię czy nie? — znasz mię?

SZEWCZYCHA.

Znam, jak złego szeląga.

HARMIDER.

I ja Wacpanią znam, żeś kobiéta stateczna; ufaj Acani memu sercu, że cię nie opuszczę.

(*Wchodzi* SKÓRKA).

SKÓRKA.

Oto jest szabla, Wielmożny Panie.

HARMIDER.

A tynfy?

SKÓRKA.

Oddałem żydowi.

HARMIDER.

Bogdajbyś dyabła zjadł! — trzeba było znów od niego pożyczyć, zyskawszy kredyt. Goły jestem jak święty turecki — poratuj mnie, Pani Szewczycho, bo jestem goły.

SZEWCZYCHA.

A mówiłeś Jegomość, że masz w pasie dukaty.

HARMIDER.

Musiałem szablę wykupić, Pani Szewczycho; niech powie Skórka — dałem pięćdziesiąt czątych, żeby szablę wykupić... *(słychać strzały działowe)*. Co to? strzelają z dział?

(*Wpada otyła* RZEŹNICZKA).

RZEŹNICZKA.

Gwałtu! harmider na ulicach! pali się! uf! uf! uf! koniec świata!...

HARMIDER.

Skórka, przypasz mi szablę, bo pod brzuchem nie widzę. Cóż to za hałas, pani Otylska, co za hałas?

RZEŹNICZKA.

Biją się, Wielmożny Panie, na ulicach. — Pani Podkanclerzyna z bratem swoim, panem Służką, napada na dom pana Podkanclerzego, swojego małżonka!

HARMIDER.

Widzisz, Pani Szewczycho, co to jest żenić się z kobiétą? Napada dom swojego małżonka! Do kroćset furdamentów! gdybym miał z sobą sto takich, jak ja, w kawalerskim stanie będących! Trzeba dopomóc panu Podkanclerzemu: Skórka, weź berdysz i za mną!

SZEWCZYCHA.

Nie lazłbyś Jegomość w ogień niepotrzebnie.

HARMIDER.

Ja zawsze w ogniu, mościa Szewczycho! ogień, to mój żywioł serdeczny! — Skórka, za mną!

SZEWCZYCHA.

A wyjdźmy i my, pani Otylska, zobaczyć, co się dzieje... *(wychodzą)*.

SCENA III.

(Przed domem Radziejowskich).

RADZIEJOWSKI PODKANCLERZY *wewnątrz domu.* SŁUŻKA *przed bramą.*

SŁUŻKA.

Hej! hej! wysadzić petardą tę bramę!...
Czekajcie! w oknie stoi Podkanclerzy.

PODKANCLERZY.

Stój, panie Służka, stój! — kapituluję.

SŁUŻKA.

Ustępuj z domu mojéj siostry! fora!

PODKANCLERZY.

Jeżeli wyjdę, czy zapewniasz życie?

SŁUŻKA.

Żyj sobie, panie Radziejowski, ale
Oddaj mi pałac — bo cię każę spalić!
Usmażę jako naleśnika, szwagrze,
Zamiast po rozwód posyłać do Rzymu.

PODKANCLERZY.

Siostra Wacpana splamiła mi łoże.

SŁUŻKA.

Boś Wacpan w niém spać nie umiał po ludzku.

PODKANCLERZY.

Oszkalowała mnie przed konsystorzem.

SŁUŻKA.

Boś ją przymusił Wacpan do rozwodu
Srogiém obejściem się, podejrzeniami
I niepełnieniem marytalnych ślubów.

PODKANCLERZY.

Miałem pokrywać hańbę mego domu
I być mojego wstydu parawanem?

SŁUŻKA.

Czynisz to, nie chcąc przyzwolić na rozwód,
Abyś z rozwódką nie stracił posagu.

PODKANCLERZY.

Na świadka biorę Ciebie, wielki Boże,
Żem dotąd na te gwałty nie zasłużył!

Ale ponieważ wstyd mój odsłoniono
Przed całym światem i użyto siły,
Aby mię wyzuć ze czci i z majątku:
Ustąpię teraz przemocy — bom słabszy,
Ale użyję odwetu w swéj porze.
Bierz, panie Służka, dom — ale niedługo
Utrzymasz się w nim; taki znajdę i ja
Przyjaciół, którzy mścić się dopomogą
Nad żoną i nad szwagrem i nad moim
Cudzołożnikiem!

SŁUŻKA.

Bierzmy to, co nasze!
Mości Panowie! proszę na wieczerzę
W tymto pałacu naszym — i zdobytym.

SCENA IV.

(W zamku królewskim).

KRÓL JAN KAŹMIERZ — PAŹ.

KRÓL.

Co to za zgiełki i burdy w Warszawie?

PAŹ.

Podkanclerzyna, Miłościwy Panie,
Radziejowskiego żona, ze swym bratem
Służką napadła dom własnego męża
I zajechała gwałtem i bezprawnie.

KRÓL.

Nie w porę, o! nie w porę się wybrała
Z takimi gwałty pani Radziejowska!
Lecz otóż ona sama tu przybywa.
(Wchodzi PODKANCLERZYNA*).*

PODKANCLERZYNA.

Mąż mię tu ściga, Miłościwy Panie,
Mąż mój, furyozus, za napaść pałacu.
Panie, opiekę mi daj i obronę!

KRÓL.

Wacpani sama zebrałaś tę chmurę,
Która ci teraz w oczy sypie gradem.

PODKANCLERZYNA.

Król-że to mówi? do swojéj Elżbiéty?

KRÓL.

Król rozgniéwany mówi, Mościa Pani,
Ale masz w sercu mojém adwokatem
Jana Kaźmierza, który zawsze sprzyja
I broni ciebie przeciwko królowi.

PODKANCLERZYNA.

Więc ten adwokat jest szlachetnym królem,
Z którym ty, Królu, wiąż się aliansem
I słuchaj rady jego bez oporu...
Lecz otóż i mój mąż furyozus wpada.
(*Wchodzi* RADZIEJOWSKI).

RADZIEJOWSKI.

Skarżę się tobie, Miłościwy Panie;
Wyrugowano mię z mojego domu —
Okryto hańbą; — wszystkimi obelgi,
Jakie ród ludzki wymyślił na siebie,
Okryła mię ta nierządna kobiéta,
Którą tu widzę z takiém obrzydzeniem,
Jakbym przy stopach króla widział węża
Już się pnącego aż na berło złote!
Królu! jam niegdyś szczycił się i chlubił
Życzliwém twojém opiekuństwem — łaską;
Byłem ci miłym od młodości: teraz
Widzę, że oczy odwracasz odemnie. —
Czyliż obelgi żeńskie okryły mię
Przerażającym, obrzydliwym trądem,
Na który ty sam nie chcesz patrzeć, Panie!? *(klęka)*
Jeżeli to trąd — a więc w rękach króla
Oczyszczające jest lekarstwo dla mnie: —
A więc się dotknij mnie i podnieś z kolan
I niechaj widzą ludzie, że nie jestem
Czołgaczem próżnym u stóp mego Pana; —
A ona, gdy ja klęczę, niech nie stoi!

PODKANCLERZYNA.

Kto stać nie może, ten niechaj uklęka.

RADZIEJOWSKI.

Wacpani prośby swe zanosisz leżąc.

PODKANCLERZYNA.

A Wacpan moich próśb słuchiwasz chrapiąc.

RADZIEJOWSKI.

Szalbierko!

KRÓL.

Ciszéj, Mości Podkanclerzy!
Hamuj się nieco w mojéj przytomności.

RADZIEJOWSKI.

Powróć mi Panie dom, i tę kobiétę
Oddaj pod moję marytalną władzę.

KRÓL.

Jakiż ci, proszę, przybędzie pożytek
Z niechętnéj żony, Panie Podkanclerzy?

PODKANCLERZYNA.

Jaki pożytek z żony — niechaj powie.

RADZIEJOWSKI.

Kobiéto pełna żółci, ty masz w sobie
Gniazdo octowe, które wszystko kwasi
I czyni octem. Odwróć te szydzące
Oczy, bo stracę rozum i cierpliwość!

PODKANCLERZYNA.

Cokolwiek stracisz — wiédz, mój adonisie,
Że mnie straciłeś już na wieki wieków;
Chowaj więc rozum, Mości Radziejowski,
Aby ci żoną był i nie szedł, jak ja,
O rozwód. Co zaś do mnie, Mości Królu,
Na konsystencyi zostaję u ciebie
I w zamku będę mieszkała — aż póki
Ten człowiek sobie nie wybije z głowy,
Że Orfeuszem jest i Eurydyki
Dostanie z piekła, grywając na drumli.
U Prozerpiny jestem dla Wacpana —
Ani myśl o mnie, Panie Podkanclerzy. *(wychodzi)*

RADZIEJOWSKI.

Będziesz-li, Panie, cierpiał nierządnicę
W pałacu własnym?

KRÓL.

Mości Podkanclerzy,
Muszę Wacpanu powiedzieć otwarcie,

Że tak zaszedłeś daleko w rozterkach
Z swoją małżonką i takeś rozszerzył
Przepaść pomiędzy sobą a tą panią: —
Że teraz nawet ja sam, król, nie mogę
Sperandy żadnéj dać Wacpanu; chyba
Czas ułagodzi to wszystko — atoli
Co do mnie, chciałbym między wami zgody.
Sam Radziejowską nieraz namawiałem,
Sam za Wacpana mówiłem osobą,
Królowa także się wdawała sama —
Lecz w téj kobiécie upor trwa zacięcie. —
Pocoś ją Wacpan wziął za żonę? — nie wiem,
Ani pojmuję, pocoś brał za żonę.
A wziąwszy, trzeba było trzymać krótko.
Stało się — teraz już nie widzę rady;
Lecz Wacpan żony téj odstąpić musisz.

RADZIEJOWSKI.

Komu?

KRÓL.

Kochany Podkanclerzy, śmiech mię
Bierze: — za dobry jesteś dla niéj. Co zaś, —
Że tobie pałac wzięto: to nagrodzić
Łatwo; myślałem o tém nieraz. — Słuchaj:
Gdyby Wacpanu starostwo lubelskie
I kasztelania — naprzykład krakowska,
Obiedwie teraz wakujące — mogły
Załatać dziurę i poprawić losu...
Co myślisz?

RADZIEJOWSKI.

Z tego nic nie będzie, Królu!
Zawielkie dary rodzą podejrzenia!
Nie zasypiesz mię tak po głowę złotem,
Aby nie widział świat, że noszę rogi!
Z jelenia chcesz mię zmienić w kasztelana!
Ja kasztelana nie chcę, a rogalem
Nie będę — a mój dom odbiorę gwałtem! *(wychodzi).*

KRÓL.

O! trudne, trudne panowanie, kiedy
Żądze się własne plączą między sprawy
I sprawiedliwość w samym pączku trują,

Jak złe robaki, piérwéj urodzone,
Nim się zawiązał kwiat — Szczęście, że wojna
Da myślom inny kierunek — i od téj
Sprawy odwróci ludzkie słuszne sądy. *(wychodzi)*.

SCENA V.

(Ulica).

Pan HARMIDER — SKÓRKA.

HARMIDER.

Skórka!

SKÓRKA.

Słucham, Panie!

HARMIDER.

Skórka! dowiédz się u przekupki, którą się to bramą wyjeżdża na Ukrainę — bo ja nie wiem.

SKÓRKA.

Oto jakiś szlachcic otyły, który także, jak widać, wyjeżdża na wojnę, jak my: ten powie Panu, gdzie Ukraina.

(Nadchodzi pan BULSKI).

HARMIDER.

Mości wojaku! jak honor?

BULSKI.

Pan Bulski, do usług.

HARMIDER.

Pan Harmider, wzajemnie.

BULSKI.

Uniżam się do nóg.

HARMIDER.

Całuję stopy Pana Dobrodzieja... do stu furdamentów, jaki brzuch!

BULSKI.

Czy szkodzi?

HARMIDER.

Raduje, Mości Dobrodzieju; dobra tusza, to grunt.

BULSKI.

A jednak jabym się opasał Acana wąsami, widzi mi się.

HARMIDER.

Utnij, Panie Bulski!

BULSKI.
Wacpan szukasz zaczepki, widzi mi się.

HARMIDER.
Jak się podoba, Panie Bulski!

BULSKI.
Nie od tego... (*biją się*).

HARMIDER.
Zasapałeś się, Panie Bulski; pocałujmy się!

BULSKI.
Proszę o przyjaźń, Panie Harmider.
(*ściskają się*).

HARMIDER.
Do krocset furdamentów! aż do ciemnego grobu, Panie Bulski. — Kto Wacpana rodzi?

BULSKI.
Stolnikówna rawska, widzi mi się.

HARMIDER.
Bardzom rad. — Skórka!

SKÓRKA.
Słucham, Panie!

HARMIDER.
Pobież do kwatery: niech pani Szewczycha przygotuje wieczerzę — zyskałem przyjaciela. Wróćmy się, Panie Bulski, po pojedynku trzeba odpocząć.

BULSKI.
Regiment w marszu, Panie Harmider!

HARMIDER.
Dopędzimy go, Panie Bulski! — poczeka!
(*wychodzą*).

SCENA VI.

(*W Zbarażu*).

(FIRLEJ — KONIECPOLSKI).

FIRLEJ.
Cóż dumasz, Panie Koniecpolski? — pono
Zégar, co bije w zbaraskim kościołku,
Wkrótce zadzwoni ostatnią godzinę
Dla nas, przez króla tutaj zapomnianych.

KONIECPOLSKI.

Czegoż czekamy, Mości Kasztelanie
Bełski, Firleju, za tymi okopy —
Aż głód wyniszczy, aż trupów fetory,
Które tu strasznym swędem zalatują,
Wyniszczą wojsko, poddać się przymuszą? —
Już dwa miesiące trzymamy się tęgo,
Dwadzieścia szturmów odparliśmy raźnie!
Nie jest to obóz — ale zarażona
Mogiła, która zastępuje drogę
Krwawym kozakom: konie ich nie śmieją
Przeskoczyć przez wał trupi i na Polskę
Lecieć galopem. — Biada narodowi,
Który pozwala tak rycerzom ginąć!

(Wchodzi KSIĄŻĘ WIŚNIOWIECKI).

KS. WIŚNIOWIECKI.

Cóż, jak wam zdrowie służy, moje Pany?
Cóż, czy podoba się wam Ukraina?
Firlej — to człowiek; lecz ty, Mości Panie
Regimentarzu, w bakaliach chowany,
Musisz za matką tęsknić? — coś mi smutny!
Czy zachorował wam kucharz francuski?
Czy dał w pasztecie wam kozackie uszy
Frykasowane, czy łopatkę końską
Niedopieczoną? — Zamknąłem się z wami,
Chociaż nie hetman, ani regimentarz —
Zrobiono ze mnie ciurę; — lecz myślałem,
Że się na waszym stole odjém suto,
Dlatego się tu zamknąłem w Zbarażu.
Pfu! ani jadła — ni konsyderacyi.

KONIECPOLSKI.

Jestże to zbawca nasz, Jeremiasz książę,
Który nas ręką żelazną obrania,
A potém szydzi — i tak sobie płaci
Za pomoc swoję, jakby nigdy nie znał,
Na czém zależy rycerza szlachetność?

KS. WIŚNIOWIECKI.

Ja nie szlachetny jestem, ale głupi,
Żem się tak zamknął z wami, jak szczur stary;

Mogliście sobie wszyscy i bezemnie
Odwiedzić Stambuł. — Hej, który z Kozaków!

KOZAK.

Co Książę każe? szczo batiuszka każe?

KS. WIŚNIOWIECKI.

Zapalić ten dom żyda, bo mi ciemno!

FIRLEJ.

Żartujesz, Książę — w tym domu są prochy.

KS. WIŚNIOWIECKI.

Staruszku, słuchaj! powąchaj się tylko:
Już pachniesz trupem — i ja — i ten młokos...
Jak ci nazwisko? — bo pamiętam tylko,
Żeś regimentarz jest — z mlekiem pod brodą.
A gdzieś ty podział twoich towarzyszy,
Pierzynę i Łacinę? — Co się tyczy
Prochów: wysadźmy się w drogę, Panowie,
Aż do Najświętszéj gdzieś Maryi Panny
W gości! Bo niech mię dyabli, jeśli jutro
Kozacy z nas nie zrobią jajecznicy!

KOZAK.

Od Chmielnickiego przybył trębacz i chłop.

KS. WIŚNIOWIECKI.

Do nich się udaj, do Regimentarzy;
Ja tu się liczę między proste ciury.

FIRLEJ.

Wprowadzić tutaj kozackiego posła!
(*Wchodzi* POSEŁ).

POSEŁ.

Zdrowie, Panowie szlachta!

FIRLEJ.

Z czém przybywasz?

POSEŁ.

Pany Hetmany! Chmielnicki przysyła,
Ażebyście się wnet poddali wszyscy
Na łaskę jego. Wolność wam przyrzeka,
Cało wypuści was z obozem waszym;
Jednego tylko księcia Jeremiasza
Wiśniowieckiego zatrzyma w niewoli,

Aby za naszę krew kozacką — gwałty —
Tortury — pastwy — odpowiadał głową.

FIRLEJ.

Na taką mowę nie ma odpowiedzi...

KONIECPOLSKI.

Owszem, odpowiedź jest: weźcie kozaka
I głową jego nabijcie harmatę!

POSEŁ.

Za moję głowę Chmielnicki odeśle
Wam tysiąc szlachty czerepów wąsatych,
Tak że was nasza artylerya skropi
Deszczem z krwi waszych bratów i obryzga!

FIRLEJ.

Powiédz tam panu Chmielnickiemu od nas,
Że propozycya jego Firlejowi
Włos poczerniła siwy — krew zażegła
Ogniem młodości! — Niech przysyła więcéj
Odmładniających takich kosmetyków,
A nawet trupy nasze wstaną z grobów
I oburzone za broń chwycą rdzawą!
Jeremijasza chcecie? co? — Dlaczegoż
Nie zażądaliście z każdego serca
Po funcie mięsa? — z każdéj naszéj żyły
Po kwarcie żywéj krwi? — z każdego oka

. . . .
. . . .
. . . .

ZŁOTA CZASZKA.

(SZCZĄTEK DRAMATU).

OSOBY.

Pan Koniecpolski, alias Gwint.
Złota Czaszka, strażnik krzemieniecki.
Pani Strażnikowa, jego żona.
Panna Agnieszka, jego córka.
Pan Gąska, regent.
Pan Milowicz, szlachcic [1]).
Ksiądz Prowicyał franciszkański.
Inny Ksiądz.
Zakrystyan.
Jankiel, Żyd arendarz.
Stanisław, skrybent.
Jan, Kleofas, Szaweł — studenci od Jezuitów.
Magda, dziewka.
Skopek, kaleka.

Rzecz dzieje się w Krzemieńcu — za panowania Jana Kaźmierza.

---

[1]) W piérwszem wydaniu wydrukowano Milewicz; mowa tu jednak o Sewerynie Milowiczu, którego potomek do dzisiaj jest właścicielem Dymitrówki. Ob. Scenę IV. *(Przyp. Wyd.)*.

AKT PIÉRWSZY.

SCENA I.

(Stancyjka Stanisława).

STANISŁAW, JAN, *późniéj* GĄSKA.

STANISŁAW.

Cóż tam, Panie Janie? źle słychać. Podobno, że pan Strażnik krzemieniecki Złota Czaszka wydaje córkę swoję, pannę Agnieszkę, za pana Regenta Gąskę... A cóż będzie z Wacpanem?

JAN.

Będzie, co Bóg zechce.

STANISŁAW.

Zdaje mi się, że trzebaby złemu zapobiéc.

JAN.

A jakim sposobem?

STANISŁAW.

Pana Gąskę od małżeństwa odstraszyć! Słuchaj ja ćwik! Masz mnie; jeżeli chcesz, to usłużę. Oto naprzód — patrz: wykleiłem sobie wertep z papiéru i będę chodził po domach, pokazując dyabła i anioła. To mi przyniesie kilka groszy — i będzie czém Boże Narodzenie pokropić. A Wacpana podobno z domu Strażnika wypędzono? — Otóż pomaluj sobie korkiem brwi, naucz się kolędy — a ja Wacpanu wejście do domu pana Strażnika ułatwię; pomówisz z panną Agnieszką w ciemnym kącie — a ja dziatwie i starym będę pokazywał dyabła w wertepie.

JAN.

Cóż ja jéj powiem? — ja jestem ubogi...
Pan Regent jasnych atłasów naniesie,

Przyjedzie końmi karymi w kolesie —
Opowie, jakie ma pod domem stogi,
Jakie baranów, owiec pełne góry;
Jak te barany jutro w Berdyczowie
Przemieni w pereł kałakuckich sznury
I ją ubierze — że jak aniołowie
Będzie świéciła miedzy siostry swymi,
Okryta blaskiem i gwiazdy złotymi!
A ja — co powiem? ja, student, żak szkolny,
Co ja przyniosę?... Czy bławatek polny?
Czy narcys biały? — Tu cały fundament
Urząd — podkówki srebrne — axamity;
Potrzeba czasem wyprawić traktament,
Potrzeba miejskie plotkarki, kobiéty
Przynęcić i mieć wszystkie po za sobą;
A wiesz, że moja biédna matka wdowa — —
Jedna jest tylko u nas w domu krowa,
I ta nie daje mléka! a ozdobą
Domu naszego jest — bocian na dachu
Zamiast blaszanéj z herbem chorągiewki!
U matki mojéj przędą biédne dziewki —
Ona przedaje płótno... Tak, mój Stachu,
Być mi żołnierzem, nie Strażnika zięciem!

STANISŁAW.

Wiem, że nie jesteś hrabią ani księciem,
Ale pan Strażnik także nie majestat.
Wacpan się tylko strój — niech panna kocha...
Lecz ot — ktoś wchodzi. — (*Wchodzi* GĄSKA).
Co widzę? Pan Gąska!

GĄSKA.

Czy tu mieszka pan Stanisław, skrybent?

STANISŁAW.

Ja jestem; do usług WPana.

GĄSKA.

Hum... czy Wacpan komponujesz wiersze?

STANISŁAW.

Komponuję; co WPan rozkaże?

GĄSKA.

Radbym mieć wierszem ułożoną kolędę... amoroso... w sposobie miłosnym... dla jednéj panny, dla któréj mam affekt i postanowienie...

JAN.

Dla Agnieszki?

GĄSKA.

Skomponuj mi Wacpan i napisz na najpiękniejszym papiérze; rozumiesz? — Na wierzchu mają być kaligraficznie wydane dwa serca, jednemu uległe postrzałowi; strzała srebrna, Mocium panie, przeszywająca na wylot; — pod spodem miejsce na podpis... i jakie łacińskie symptoma.

STANISŁAW.

Rozumiem, WPanie.

GĄSKA.

Co za to będzie należało — zapłacę. A proszę, aby dobrze było rezonowane i assumpt z wysoka; masz zadatek! *(wychodzi).*

STANISŁAW.

Dukata rzucił! — Niech go dyabli — dukata rzucił! — Wiesz ty co?... że... panna Agnieszka... e... e... e... dukata rzucił!... Idź na żołnierza... idź na żołnierza! — Tu nie ma co robić gołemu człowiekowi, gołemu jak bizunus. Niech go dyabli, jak płaci!

(śpiéwa).

Póki nie obrośniesz piérzem,
Póki masz pchły za kołnierzem,
Requiescas!

Uf! to jakiś studukatowy szlachcic! — Chodź na wino do Jankiela! *(śpiéwa).*

Póki nić ustrzyże Parka,
Żydóweczka nam szynkarka
Léj, léj, léj!
Adonisie, z miłości się
Śmiéj, śmiéj, śmiéj!

Chodź do Jankiela na wino!

JAN.

Lecz co będzie z moją miłością?

STANISŁAW.

Co? — Czy ja wiém, co będzie z twoją miłością? — Zatknij kwiat do czapki, ubierz się fantastycznie — i złap sobie jaką ciepłą wdowę, co ma pieniążki... *(wychodzą).*

SCENA II.

(Szynk w zajezdnym domu).

Pan KONIECPOLSKI — JANKIEL, szynkarz.

JANKIEL.

Nu — a co tam słychać w Krakowie?

KONIECPOLSKI.

Źle, Żydzie, słychać: Szwedy w Krakowie — a Kozaki na Podolu — a jeszcze i Rakocy ciągnie. Król Jan Kazimierz nie ma piędzi ziemi w Polsce.

JANKIEL.

Nu — tak cóż on zrobi? a gdzie on?

KONIECPOLSKI.

W górach karpackich siedzi.

JANKIEL.

A co będzie, jak z gór wypędzą?

KONIECPOLSKI.

To pójdzie za góry.

JANKIEL.

A co będzie, jak za góry za nim pójdą?

KONIECPOLSKI.

Gałganie żydzie, co ty mi pędzasz króla jak Hamana? Zrobimy tu konfederacyą i wypędzimy Szwedów!

JANKIEL.

Ja nie przeczę.

KONIECPOLSKI.

Któż tu ma największe między szlachtą znaczenie?

JANKIEL.

Tak tu różnych jest panów; ale najbojowszy pan, to pan Strażnik, co dostał złotéj czaszki.

KONIECPOLSKI.

Wytłómacz się, żydzie!

JANKIEL.

Tak to nie wielki pan, ale kochany bardzo i między swymi i między nas żydków. Tak to pan, co miał stłuczony łeb, a sprawił sobie złotą głowę, jak moja Siora, co nosi perły na głowie i brylanty. On ma złoty łeb — i dobry łeb — i stary łeb! — Pani

Strażnikowa, to dobra kobiéta; jest i panienka w domu, cymes panienka! — a idzie za mąż za bogatego szlachcica...

KONIECPOLSKI.

Gdzie mieszkają ci państwo?

JANKIEL.

Tak Pan idź na prawo; tam jest nad potokiem pod górą dworek biały i dwie lipy: tam państwo wielmożni Strażnikowie mieszkają.

KONIECPOLSKI.

Trzeba mi do nich zapukać. *(wychodzi).*

JANKIEL.

To jakiś Haraburda! — Przyszedł robić szablistość... A czego on tu? Handel upadnie przez niego; przyszedł robić z a b i j — w y t n i j — m o r d u j! Ja nie widzę, żeby ten król był potrzebny, kiedy się bez niego obeszło... Trzeba mi zobaczyć, gdzie on idzie. *(wychodzi).*

SCENA III.

(Piekarnia w domu Strażnikowstwa).

PAN STRAŻNIK i PANI STRAŻNIKOWA.

STRAŻNIK.

A cóż? każ serce, niech się dziewki zejdą na kolędę. Czy rozdałaś im wstążki?

STRAŻNIKOWA.

Dałam każdéj po wstążce i po tynfie — kontente! Ambrożemu nie dałam nic gotówką, boby się upił, ale kupiłam czapkę z barankiem...

STRAŻNIK.

A Gnusi coś dała?

STRAŻNIKOWA.

Kornecik z czarnéj koronki z różami.

STRAŻNIK.

A ja tobie co dam?

STRAŻNIKOWA.

Nie szaléj, dziadu! Czy ja jeszcze głodna na twoje fatałachy?.. Ot wiesz co? Spraw Gnusi złotem szyte trzewiczki na korkach.

STRAŻNIK.

A weź, serce, na to z biórka pieniędzy i daj odemnie.

(Schodzą się DZIEWKI).

No! dziewczęta, poprawcie kagańca i zaśpiéwajmy o Bożém Narodzeniu. Serce, każ Gnusi, niech przyjdzie.

(Śpiéwają).

Chrystus Pan się narodził,
Świat się cały odmłodził
Et mentes;
Nad sianem, nad żłobeczkiem
Aniołek z aniołeczkiem
Ridentes.
Przyleciały wróbelki
Do Panny Zbawicielki
Cantantes;
Przyleciały łańcuchy
Łabędzi, srebrne puchy
Mutantes;
Puchu wzięła troszeczkę,
Zrobiła poduszeczkę
Dzieciątku;
Potém je położyła
I sianem je nakryła
W żłobiątku.

AGNIESZKA *(wchodzi).*

Tatku, jakiś pan chce z Tatkiem mówić.

STRAŻNIK.

Proś go tu, do piekarni.

(AGNIESZKA *wychodzi*).

KONIECPOLSKI *(wchodzi).*

Niech będzie Jezus Chrystus pochwalony!

STRAŻNIK.

Na wieki wieków! — Kto Wacpan jesteś?

KONIECPOLSKI.

Jestem wojak, Mości Dobrodzieju!

STRAŻNIK.

A z jakich stron?

KONIECPOLSKI.

Z Ukrainy.

STRAŻNIK.

A jak godność?

KONIECPOLSKI.

Nazywam się Gwint.

STRAŻNIK.

Familia Acana Dobrodzieja mi nieznajoma.

KONIECPOLSKI.

Wierzę; jestem z małéj szlachty.

STRAŻNIK.

Ja także z małéj...

KONIECPOLSKI.

Ale, jak słyszałem, z tęgiéj?

STRAŻNIK.

Tak sobie! — Czémże mogę służyć Acanu Dobrodziejowi? — Dziś dzień święty: zastałeś mię, że z ludźmi śpiéwałem kolędę. Siadaj Wacpan! — Magdo, przynieś sztofik z szafki i pierniczki... Proszę, siadaj Wać...

KONIECPOLSKI.

Prosto Wacpanu Dobrodziejowi powiem, że przyjechałem tu robić konfederacyą.

STRAŻNIK.

U nas?

KONIECPOLSKI.

Czy to Wacpana dziwi?

STRAŻNIK.

Miasteczko żydowskie, Mościdzieju!...

KONIECPOLSKI.

Ale przecież tu mieszka i szlachta?

STRAŻNIK.

Są — są — ale nie tędzy!

KONIECPOLSKI.

Uważasz Wacpan, że tu nie tak chodzi o rzecz, któraby miała szczęśliwy sukces — jak o danie piérwsze hasła narodowi, niszczonemu przez Szwedów i Kozaków. Wszak Wacpan służyłeś w wojsku?

STRAŻNIK.

Dotknij Wać palcem; czy czujesz?.. twardy mam łeb — z kruszcu, Mości Dobrodzieju! Widać, że byłem cięty.

KONIECPOLSKI.

Słyszałem.

STRAŻNIK.

Więc Wacpan jesteś przysłany do zrobienia konfederacyi. — A kto przysyła?.. Czy wolno spytać, kto przysyła?

KONIECPOLSKI.

Oto jest list.

STRAŻNIK.

Gnusiu!

(Wchodzi Panna AGNIESZKA).

AGNIESZKA.

Co, Tatku?

STRAŻNIK.

Daj mi okulary... Widzisz, jaką mam tęgą dziewkę! Słabe to, sucherlawe, ale nieszpetne; co?

KONIECPOLSKI.

Przystojna panna!

STRAŻNIK

I dobra... *(bierze okulary).* Idź precz, bo tu my mamy z sobą do pomówienia. *(czyta).* Więc Wacpana sam król upoważnił? Ha! *(wstaje*). Zrobimy, co się da... zrobimy... Jutro wysłuchawszy trzech mszy u Franciszkanów, sproszę tu panów braci szlachtę — i wypróbuję... A gdzie Wacpan mieszkasz?

KONIECPOLSKI.

U żyda Jankiela.

STRAŻNIK.

Przenieś się do mnie, tu będzie wygodniéj.

KONIECPOLSKI.

Nie długo tu bawię, więc nie chciałbym Wacpanu Dobrodziejowi domu przewracać do góry nogami.

STRAŻNIK.

Jak wola; szczérém sercem proszę.

(Koniecpolski wychodzi).

Gnusiu, zawołaj mi matki.

(*Wchodzi* STRAŻNIKOWA).

STRAŻNIKOWA.

A co, serce?

STRAŻNIK.

Jutro, serce, będziemy mieli wiele gości; przygotuj się na to, serduniu.

STRAŻNIKOWA.

Z jakimże to deszczem spadną ci goście?

STRAŻNIK.

Spadną, bo zaproszę — więcéj babom wiedzieć nie trzeba. A słuchajno, serce! Trzebaby, żeby już ten pan Gąska, były Marszałek, z naszą córką skończył; bo my nie długowieczni — a spadek niewielki. Cóż, czy ona się przychyla?

STRAŻNIKOWA.

Nie męcz dziecka!

STRAŻNIK.

Wacpani jesteś nadto powolna; w tych rzeczach trzeba trochę musu.

STRAŻNIKOWA.

Ale daj czas!

STRAŻNIK.

Bhu! Bhu!

STRAŻNIKOWA.

Cóż to tak parskasz, dziadu?

STRAŻNIK.

Przygotuj Wacpani córkę, bo się lękam, że pierwéj mi zadzwonią na pogrzeb, niż na córki wesele.

STRAŻNIKOWA.

Idż spać — idź spać, zrzędo, proroku czarny!

STRAŻNIK.

Dobréj nocy, moja babo! *(wychodzi).*

STRAŻNIKOWA.

Biédna moja Gnusia! Iść za takiego drewnianego człowieka w axamicie!... Gnusiu, a chodź tu!

AGNIESZKA.

Co, Mamo?

STRAŻNIKOWA.

Staremu się coś ubrdało, chce koniecznie przyśpieszyć twoje wesele.

AGNIESZKA.

O nie! o nie! Niech mnie Mama broni, póki można.

STRAŻNIKOWA.

Cóż ja będę zawsze ciebie bronić?.. Trzeba, żebyś się zdecydowała. Pan Gąska przysłał podarunki. — Magdo! dobądźno tam z komody zawinięcie w jedwabnéj płachcie i przynieś... *(Magda przynosi).* Widzisz? więcéj tu jest złota, niż ty warta, błaźnico; łokieć téj koronki kosztuje pewnie dwa holenderskie

dukaty. Jankielowa mi dawała cztérnaście tynfów bez targu... Cóż ty się tak skrzywila? Smorgońska fioko, fiu fiu w głowie! przefuchasz ty panieństwo i zostaniesz na koszu. Magdusiu, przypnij jéj do głowy tego narcysa!

AGNIESZKA.

Nie chcę, nie chcę, nie chcę!

(wyrywa kwiat i depce go nogami).

STRAŻNIKOWA.

Ale, Gnusiu, cóż będzie? — Trzeba panu Gąsce coś odpowiedzieć.

AGNIESZKA.

Niech czeka.

STRAŻNIKOWA.

Więc mu nie rekuzujesz?

AGNIESZKA.

Rekuzuję.

STRAŻNIKOWA.

Ale, Gnusiu, ojciec chce...

AGNIESZKA.

Mało czego ojciec chce! Powiédz mu Mama, że ja za młoda że jeszcze nie mam do stanu małżeńskiego powołania.

STRAŻNIKOWA.

A skąd ty się nauczyła takich exkuz, moja panno? Skąd takie kaprysy?... Za młoda! — W twoim wieku już byłam matką Michała — niechaj Pan Bóg świéci dziécięciu! Byłby już teraz wojakiem, gdyby żył. Bóg daje, Bóg odbiéra: niech będzie Jego wola przenajświętsza!... Ja widzę z miarki twojéj na gorsecie, że ci czas na męża; namyśl się, bo okazya raz stracona nie wraca. Ja nie bardzom także kochała mego szczygła ze złotą głową i z podrabaną wargą, kiedym szła za niego — a teraz mi z nim dobrze Trzy razy już adamaszek na kotarach naszego łóżka zblakował, a Bóg widzi, że nigdy nie odwróciłam się w gniewie od mego dziada, ani w niechęci zasypiałam. Pamiętaj, Gnusiu, że małżeństwo — to nie piérwsza para w draganta, co jak skrzypak przestanie digać swoje, tak i ona tańcować. Małżeństwo — to sakrament!... A jak nas Bóg zabierze, to przy kim ty się uwiesisz?... A pamiętasz, jak odwiedzaliśmy siostrę moję zakonnicę we Lwowie? — Piernikami cię nakarmiła — fioków papiérowych nasypala do fartucha — i płakala! Wiesz ty, czego płakala? bo się jéj

chciało dyrnąć z klasztoru i być choćby żoną chłopa a nie zakonnicą! Pamiętaj, pamiętaj!

AGNIESZKA.

Czy Mama się od księdza Przeora nauczyła gadać kazanie?

STRAŹNIKOWA.

Błaźnico jedna, przyganiasz ty matce?!—Myłam to, czesałam to, póki było młode — a teraz mam na starość autorament w téj mendeweszce! A chore to, a nędzne to! a strzeż jak porcynelę na stoliku! No, jeśli mi ty się stłuczesz, kraszanko! Pamiętaj: pókiś cała, to jeszcze dbam o ciebie; ale jeśli mi się stłuczesz...

AGNIESZKA.

Co Mama gada? *(wychodzi).*

STRAŹNIKOWA.

Zaczerwieniła się. — Magdusiu!

MAGDA.

Co Imość?

STARŹNIKOWA.

Nic, nic! Obudzisz mię jutro, jak świt i rozczynisz ciasto w nieckach wielkich. Jegomość zapowiedział gości. *(wychodzą).*

SCENA IV.

(Dom zajezdny. Noc).

(Pan KLEOFAS *i* SZAWEŁ, *studenci.* JANKIEL).

SZAWEŁ.

Jankiel, wina!

JANKIEL.

A kto płaci?

SZAWEŁ.

Wina, żydzie!

JANKIEL.

A kto funduje? Wacpanowie studenty, nie ojce familiom.

SZAWEŁ.

Wina, żydzie! masz dukata!

JANKIEL.

Nu — kiedy dukata, to dukata... *(kłania się).* A jakiego wina?

SZAWEŁ.

Jakie ksiądz Gwardyan franciszkański pije w piątek.

JANKIEL.

Zaraz przyjdzie. *(odchodzi).*

SZAWEŁ.

I cóż daléj było z twoją miłością, Kleofazissime?

KLEOFAS.

Co dnia o godzinie piątéj rano chodziłem na ulicy około dworku Pana Strażnika czatując, jak będzie otwiérała okienice. Suka czarna Znajda już nie szczekała na mnie; okienice także, które zrazu skrzypiały na zawiasach, zaczęły się otwierać cicho, jakby je kto namaścił oliwą. Kamień był jeden pod murem na załamaniu ulicy, gdzie siadywałem z wielką zawsze konfuzyą et incertitudine...

(Żyd przynosi wino).

SZAWEŁ.

Podléj gardła.

JANKIEL.

Dobranoc, JW. Panowie studenty! A zagasicie szabasówkę, idąc precz.

SZAWEŁ.

I podpalimy karczmę.

JANKIEL.

A za co karczmę?

SZAWEŁ.

Za to, że ukrzyżowała Pana naszego Jezusa Chrystusa; rozumiesz, Żydzie?

JANKIEL.

Nu — karczma nie winna.

(Rusza ramionami i wychodzi).

SZAWEŁ.

Cóż daléj?

KLEOFAS.

Co dnia więc o rannéj zorzy
Stawała mi w okienicy;
Czekałem, aż okno otworzy,
I tak jak od błyskawicy
Ślepłem białością olśnięty.

SZAWEŁ.

Rozumiem.

KLEOFAS.

Oczy jéj to dyjamenty
Morską napełnione falą,
Zielone, gwiazdowe, przeczyste —

Jak błyskawica ogniste;
Leją się strumieniem — palą,
Odwrócić się od nich nie można...

SZAWEŁ.

Oczy zielone...

KLEOFAS.

Pobożna!
Widziałem, jak w usta bierze
Nieco powietrza i słońca
I czyste mówi pacierze,
I w pierś bije się bez końca.
„Moja! wina! moja wina!“
Niewinna mówi dziewczyna,
Złocista w słońca promyku;
A u méj białéj dzieweczki
Dwie róże, jak aniołeczki,
Siedzą w białym korneciku
I słuchają — i śmieją się z win...

SZAWEŁ.

Potém dzwonnik franciszkański
Zadzwoni na Anioł Pański:
Din don din! din don din!
A ty uciekasz; wszak tak?

KLEOFAS

Potém w swoje ręce bierze
Jak Iris tęczowy szlak,
I mówiąc ranne pacierze —
Jasna cała, jak lilija
Ślicznych jeszcze pełna kras,
Ojcu jasny trzyma pas;
A on się w tęczę obwija,
Poważnie się kręcąc w koło;
Potém ją całuje w czoło,
I w złotym pasie wychodzi
Pod lipy...

SZAWEŁ.

Tatko Dobrodziéj!...
Słuchaj — i tak zawsze z daleka patrzysz?

KLEOFAS.

Tak zawsze patrzę zdaleka,
Jak z jéj rąk tęcza ucieka,
Jak gołębie z ustek jedzą,
Jak w kornecie białym siedzą
Wielkie rozkwitnięte róże.
Myślami jéj w pracy pomagam,
Myślami jak pachołek jéj służę;
Gdy ją dotknę myślą, to się wzdragam
I przepraszam na kolanach,
Jak Najświętszą Pannę Maryją.

SZAWEŁ.

Her Jejzus! ten młokos zwaryował.

KLEOFAS.

Coś mi śpiéwa w domu ścianach,
Jakby je ze strun budował
Dla serc, co młodością biją,
Jaki Anioł — budowniczy!...
Kiedy powraca z pastwiska
Wieczorem ich krowa i ryczy:
Czy z daleka czyli z bliska,
Czy ryknie na światło księżyca
Znam, gdy głos leci z gościńca
I znam, kiedy jałowica
Woła z kochanki dziedzińca...

SZAWEŁ.

Her Jejzus! zwaryował! Gada jak pozytywek. Podléj gardła!... Lecz ciebie z domu wypędzono?

KLEOFAS.

Nie wspominaj mi!

SZAWEŁ.

Pan Strażnik powiedział, jak słyszałem, że masz obdarte łokcie.

KLEOFAS.

Kto ci to mówił?

SZAWEŁ.

Nie żżymaj się!...

KLEOFAS.

Kto śmiał — powtórzyć?!

SZAWEŁ.

Widzisz? — Zdradziłeś się! Więc nazwał ciebie obdartusem, a ty cierpisz?...

KLEOFAS.

Ja...

SZAWEŁ.

I plamisz w osobie swojéj honor szkół! szkolną famę w obeldze umoczoną gnoisz! Na furdament pałasza, jeśli jéj nie uwiedziesz, będziesz kpem.

KLEOFAS.

Zgubić ją?

SZAWEŁ.

Cóż to? Czy ty nie wart córki Strażnika Złotoczaszki? Alboż to on senator? — Idź Wać pod okno: już zaczyna szarzeć powietrze — a staraj się, aby ci wyznaczyła schadzkę; o to się tylko staraj! *(wychodzą).*

AKT DRUGI.

SCENA I.

(Sień w domu Strażnika).

(Pani STRAŻNIKOWA — MAGDA).

STRAŻNIKOWA.

Magdo, Kachno, wstawajcie! W kadzi nie ma wody. Ambroży leniuch, zmyję mu głowę. Magdo, Kachno, a dać kurom jeść!... Ave Maria... Magdo! Magdo! *(wchodzi* MAGDA).

MAGDA.

Jestem, Pani.

STRAŻNIKOWA.

Spiocho ty! idź mi obudź panienkę... Zrobię jeden mazurek szafranowy i z cykaty wylepię na nim cyfrę Gnusi... Drugi mazurek biały z cyfrą pana Gąski... Nie! przeciwnie: na żółtym będzie cyfra pana Gąski, bo Pan Młody także żółty... *(wraca* MAGDA). A cóż panienka?

MAGDA.

Zaraz przyjdzie — nie śpi już.

STRAŻNIKOWA.

Nie śpi już?

MAGDA.

Podlewała na oknie narcysy, jak weszłam do pokoju.

STRAŻNIKOWA.

Podlewała narcysy?... Gnusiu! Gnusiu!

AGNIESZKA (*z pokoju*).

Zaraz! zaraz idę!

STRAŻNIKOWA.

Czy ubrana była panienka?

MAGDA.

Zasznurowana, ale jeszcze nie włożyła jupki i niezdjęła kornetu.

STRAŻNIKOWA.

Zasznurowana!... Gnusiu! Gnusiu!

(*wchodzi* P. AGNIESZKA).

AGNIESZKA.

Jestem, Mamo.

STRAZNIKOWA.

A dla czego ty tak rano wstała?

AGNIESZKA.

Przez serduszko mojéj okienicy włazi słońce i zawsze mi bije w same oczy. A potém ten Skopek, co to wiesz, Mamo, ma Walentego chorobę i mnie Ciocią nazywa, spał widać na naszym dziedzińcu dziś na gnoju, i tak chrapał, że spać mi nie dał. — Ot i on włazi do sieni — biédne stworzenie, sparaliżowane!...

SKOPEK.

Tiotia, daj jeść!

STRAŻNIKOWA.

Magdo, przynieś mu obwarzanka.

SKOPEK.

Tiotia! ja tiotię kocham; tiotia! ja tego skubenta kijem — tak, tak, tak! — jak mamę kocham... Czego łazi?

AGNIESZKA.

Jak się on ślini! — Daj mu co, Magdo, i wypraw.

MAGDA (*daje obwarzanek*).

No, idź precz!

SKOPEK.

Hi, hi, hi! Magda krowa!...

(Posyła buziaka ręką P. Agnusi i wychodzi. Wchodzi P. STRAŻNIK *z drzwi drugich.)*

SFRAŻNIK.

No, kobiéty, zwijajcie się! A potém do kościoła XX. Franciszkanów: będzie tam wielki festyn. Moje serce, czy mi dobrze w tym kontuszu? — Coś mi go Josiel ciasno skroił — co?

STRAŻNIKOWA.

Mnie się zdaje, że w sam raz. Bo ty zawsze chcesz być, jak wilk w worku.

STRAŻNIK.

Gnusiu, a przybierz się Acanna do kościoła, jak wypada. *(wychodzi).*

STRAŻNIKOWA.

Do piekarni! do piekarni! miesić ciasto! Gnusiu, weź z po za zwierciadła receptę na marcypanowe ciasto i przynieś. *(wycho dzą)*

SCENA II.

(Zakrystya Franciszkanów).

ZAKRYSTYAN. *Późniéj Pan* STRAŻNIK.

ZAKRYSTYAN.

Nuż, chłopcy, zamiatać — a żwawo! *(wchodzi P.* STRAŻNIK*)* Cóż tak rano sprowadza Wacpana Dobrodzieja?

STRAŻNIK.

Przewielebny ksiądz Gwardyan jeszcze nie wstał?

ZAKRYSTYAN.

Wczasuje się jeszcze, Mości Dobrodzieju.

STRAŻNIK.

Zaczekam. —

(Zakrystyan podaje stołek; Strażnik siada i opiera się na złotéj lasce dumając; Zakrystyan tymczasem fałduje obrusy, nalewa ampułki i obciera z pyłu krucyfixy. — Wchodzi KSIĄDZ, *kłania się Strażnikowi — potém idzie do stołów i ubiera się w ornat. Cisza głęboka. — Wchodzi* GWARDYAN. *Pan Strażnik wstaje).*

STRAŻNIK.

Witam Ojca Gwardyana. *(całuje go w rękę).*

GWARDYAN.

A! Pan Strażnik!

STRAŻNIK.

Proszę o posluchanie.

GWARDYAN.

Czy w potrzebie sumienia jako księdza, czyli w świeckim interesie?

STRAŻNIK.

W świeckiéj sprawie.

GWARDYAN.

Siadaj Wacan Dobrodziéj.

STRAŻNIK.

Przystąpię do rzeczy bez exordium. Otóż, Mości Dobrodzieju, winienem powiedzieć, iż téj nocy otrzymałem ordynans od JKMości, abym w mieście tutejszém zrobił konfederacyą w protestacyi przeciwko wrogom Ojczyzny naszéj — ująwszy się za sprawą JKMości aż do ostatniéj kropli krwi mojej...

GWARDYAN.

Domine Jesu Christe, da nobis pacem! — Konfederacyą?!

STRAŻNIK.

Wysap się Acan Dobrodziéj i umityguj się.

GWARDYAN *(siada i składa ręce na brzuchu).*

Słucham Acana Dobrodzieja.

STRAŻNIK.

Gdybyśmy na konsystencyi mieli u siebie Chorągiew Pancerną, albo komputowe wojsko: — rzecz byłaby łatwa. — W takim razie ja albo Wacan zwołujemy Koło Chorągwiane; wychodzę Mości Dobrodzieju naprzód, mając za sobą plecami Acana Dobrodzieja; — i odwoławszy się do czystych rycerskich serc, zyskujemy, że z pomiędzy grona naszego wysłana jest deputacya do JWPana Regimentarza, w przełożeniu i z wszelką submisyą żądająca, aby się zgodził w sprawie publicznéj na rzecz prędkiego potrzebującą ratunku i zadowolenia. Rozumiesz Wacpan Dobrodziéj?

GWARDYAN.

Z Chorągwią byłaby rzecz łatwa...

STRAŻNIK.

Lecz my nie mamy Chorągwi — —

GWARDYAN.

Otóż to, że nie mamy Chorągwi!..

STRAŻNIK.

Że trzeba bicz z piasku ukręcić — —

GWARDYAN.

Otóż to jest, że trzeba bicz z piasku ukręcić!...

STRAŻNIK.

A jakże go ukręcić, Mości Dobrodzieju?

GWARDYAN.

Ha!

STRAŻNIK.

Nie poddawaj się nagłéj rozpaczy Acan Dobrodziéj! Rzecz się da zrobić.

GWARDYAN.

Trudno!

STRAŻNIK.

Ja wiém, że trudno; ale Panu Bogu wszystko jest podobieństwem! — Nim co będzie, każ Wacpan bić we dzwony i poślij cztéry trąby na wieżę.

GWARDYAN.

Więc sądzisz Wacpan Dobrodziéj, że jak w dzwony uderzą i zatrąbią marsza festynnego, to... to...

STRAŻNIK.

To zbierze się cała szlachta tu osiadła do kościoła.

GWARDYAN.

Masz racyą.

STRAŻNIK.

I Wacpan, Wielebny Ojcze, raczysz ze zwykłym darem przekonywania przemówić z ambony, zagrzewając serca ku ratunkowi Ojczyzny.

GWARDYAN.

I sądzisz Wacpan, że moja słaba wymowa —

STRAŻNIK.

Zrobi efekt, Mości Dobrodzieju!

GWARDYAN.

Ale... e... e!..

STRAŻNIK.

Zrobi, Mości Dobrodzieju; przysięgam!

GWARDYAN.

Wątpię, ale spróbuję... ale spróbuję. — Kiedy Wacpan Dobrodziéj tego żądasz, to ja spróbuję.

STRAŻNIK.

Krzyżem leżeć będę, a błagać Pana Boga, aby Wacpana Dobrodzieja wymowa zwykła w tym excesie nie odbiegła.

GWARDYAN.

Przytomny dosyć jestem w takich razach, przytomny...

STRAŻNIK.

Potém wyprowadzisz Wacpan Dobrodziéj to wszystko — celebrując — choć śniég, na mogiłki: każąc nieść w auxilium ołtarzyk N. Panny Szkaplerznéj przed sobą. A zagrawszy w trąby i ucichnąwszy, dozwolisz mi głosu: — a może z pod téj czaszki złotéj coś wydobędę na chwałę Ojczyzny, szlachty polskiéj i Jezusa Chrystusa, Pana naszego, co równie będzie uwielbieniem i klasztoru, w którym Wacpan Dobrodziéj jesteś gwardyanem. Proszę Wacpana Dobrodzieja o postęp w rzeczy...

GWARDYAN.

To jest: trzeba zacząć..?

STRAŻNIK.

Trzeba kazać w dzwony bić, ojcze Gwardyanie.

GWARDYAN.

A jak Szwedy zrujnują klasztor?

STRAŻNIK.

To pan Strażnik będzie chyba nie na mogiłkach — lecz pod mogiłkami! Co mi Wacan mówisz o Szwedach? — Czy to ja przyszedł jak dureń do Wacpana Dobrodzieja, nie pomyślawszy, że w kraju są Szwedy?! Więc gdy zaatakują, to się zaniesiemy z żonami i z dziećmi i z kościelnymi gratami na górę królowéj Bony, do ceglanéj ruiny — niby orłowie niebiescy; a kto ma w Panu Bogu ufanie, ten nie będzie strącony do czeluści piekielnych — i nad nim siły szatańskie nie przemogą! — Postępujmy, Mości Gwardyanie: czas drogi ulatuje na skrzydłach, a my się starzejemy!

GWARDYAN.

Bogdajmy to wszystko na dobre wyszło — bogdajby!

(wychodzą).

SCENA III.

(Rynek).

OBYWATELE — LUD.

PIÉRWSZY OBYWATEL.

Słowo stało się ciałem! U Franciszkanów grają w trąby na wieży. Czy ksiądz Gwardyan zwaryował?

DRUGI OBYWATEL.

Ksiądz Gwardyan lubi muzykę.

PIÉRWSZY.

Wracam z kościoła — pełny jarzęcego światła, adamaszkami wybity! Pan Strażnik krzyżem leży na samym środku. —

DRUGI.

Krzyżem leży?

PIÉRWSZY.

I szlocha tak, że się kościół trzęsie.

DRUGI.

Tu przebąknął ktoś o konfederacyi.

PIÉRWSZY.

Co?

DRUGI.

Patrz! patrz! patrz! Jakiś rycerz na koniu wjeżdża na rynek. *(Pan* GWINT *wjeżdża zbrojny i staje śród tłumu).*

GWINT.

Na ten miecz przysięgam: kto nie usłucha głosu nieszczęsnéj Ojczyzny, będzie ścięty!

LUD.

Jezu drogi! Jezu drogi! Archanioł albo kat jaki przebrany — Szwed! Szwed! Szwed!

GWINT.

Jeżeli dbacie o domy wasze i o trumny wasze: ruszajcie się — bo wytnę do szczętu!

LUD *(śród płaczu i szlochania).*

Jezu drogi! Od powietrza, głodu, wojny ratuj nas!

GWINT.

Podajcie mi tokaju!

(Podają wino; on wylewa w hełm i pije).

Jeremiasz książę Wiśniowiecki pije za zdrowie pana Strażnika Złota Czaszka, Marszałka konfederacyi na Krzemieniu!

(Rzuca konia w galop; lud za nim).

LUD.

Jeremiasz! Jeremiasz! Jeremiasz!

SCENA IV.

(Mogiłki).

(Ciągle biją w dzwony. Pan STRAŻNIK *wstępuje na najwyższą mogiłkę. Na prawo stoi* X. GWARDYAN *z monstrancyą pod baldachimem; na lewo ołtarzyk N. Panny ubrany w złoto i kwiaty.* PAN GĄSKA *w jaskrawym ubiorze — i wiele* SZLACHTY *tóż* STUDENTÓW *w głębi i na przedzie).*

STRAŻNIK.

Wielmożni Mości Panowie Szlachta! Obywatele cechowi tu licznie zebrani! słuchajcie. — Ja Strażnik krzemieniecki, vulgo Złota Czaszka: zebrałem was, wołając z wieży Franciszkanów dzwonami et trombis — a wołałem, abyście biegli ratować Ojczyznę. A nie wołałem dla żadnéj innéj światowéj mamony i dla chwały osobistéj mówienia do was. Jeśli więc Złota Czaszka ma u was jaką wiarę i zachowanie: wierzcie mu, że teraz na rany boskie was zaklina, krzyżem przeleżawszy rozesłany podczas Mszy świętéj, i podniesiony z prochu jak robak, przez litość jedynie boską i szczére ku sprawie publicznéj zamiary. — Wierzcie Złoséj Czaszce, bratu i słudze WCPanów Dobrodziejów, a zwiążcie się w konfederacyą i obierzcie na tém miejscu Ragimentarzem Najświętszą Pannę, Matkę Boską i patronkę królestwa polskiego, abyśmy nie zginęli z duszami, broniąc Ojczyzny naszéj! — A nie mówię tego, żebym nie sądził godnym regimentarstwa pana Gąskę, Marszałka tu przytomnego; ani też Wielmożnego Seweryna Milowicza z Dymitrówki z kwitkiem odsyłał, a nie z należytą w konfederacyi powagą; ani też innych sądził niegodnymi tego zaszczytu: — lecz Matkę Boską sądzę godniejszą od innych i bezpieczniejszą w téj sprawie dla nas obroną, niż miecze ludzkie i Gotfredowe tarcze — i nawet rozum wasz, który jest ludzki. Na téj mogiłce, Wielmożni Panowie, gdzie stoję — tu podemną, złożone są śmiertelne zwłoki ś. p. Michała, trzechletniego synka mego. Jakżebym chciał wam kłamać i na złe was prowadzić, mając pod nogami drogie kosteczki dziecka mego, a przed sobą wieczność boską już

dla mnie zbliżającą się? A i to wiem, że nie znajdę przy boku moim ludzi, z którymi niegdyś w wojsku Ojczyźnie mojéj służyłem, a którzy już są w grobach i nie będą widzieć mnie, ani dopomogą. Ale czyż przeto wy, nie mogąc się spytać i dowiedzieć u hetmanów dawnych, Kalinowskiego, że ja jestem tęgi wojak, czy nie uwierzycie mi, że jestem tęgi, kiedy wam to przysięgam na siedm ran Chrystusa, przyrzekam w piérwszém zdarzeniu pokazać i udowodnić, i krew wrogów ojczyzny przyświadczy mi i wasze oczy zobaczą! Więc umyśliłem napaść na Szwedów stojących w Dubnie, których jest tylko dwieście, dla zaprawienia was i ośmielenia. A jakaż chwała będzie, gdy ich pobijemy i konfederacya nasza pod waszymi skrzydłami, Wielmożni Panowie, rozszerzy się! Czyja więc wola, niech się zapisuje na regestrze złożonym na ten cel w refektarzu, a późniéj zechce zaszczycić dworek mój, albo tego — którego obierzemy Marszałkiem — z zawarowaniem zawsze regimentarstwa dla Najświętszéj Panny, orędowniczki naszéj, świécącéj w gwiazdach nadziei naszéj! — Skończyłem i proszę WPanów z procesyą do refektarza na gałkowanie.

(Okrzyk powszechny i procesya wychodzi).

SCENA V.

(Dziedziniec Strażnika).

(Wbiega JANKIEL).

JANKIEL.

Nu, nu, nu, co się dzieje? Miasto całe do góry nogami! a pan Strażnik narobił, a pan Strażnik nie odrobi — a ja wysłał do panów Szwedów mego Jankielka na koniu; lepiéj zapobiéc wczas, niech się ta rzecz nie rozidzie po wszystkich gościńcach... Pani Strażnikowa...

STRAŻNIKOWA.

Co tam, Jankielu?

JANKIEL.

Nu, Pani w domu, a pan Strażnik w konfederacyi po uszy, i panowie z nim w konfederacyi, i miasto w konfederacyi! Ja nie wiem, żydów może będą wieszać albo rozbijać — niech Wielmożna Pani przyjmie na skład kilka z mego towarów; ja nie chcę kwitu — niech leżą u JWPani w bezpieczu.

STRAŻNIKOWA.

Co mówisz, konfederacya?

JANKIEL.

Nu, pan Strażnik wlazł na mogiłkę i gadał, że panem Regimentarzem będzie kościół franciszkański — a Szwedy w Dubnie pójdą w kaszę. Ja nic nie wiem, ale to fakt!

STRAŻNIKOWA.

Jaki fakt?

JANKIEL.

Nu, fakt, fakcya — ja nie wiem, ja trzymam się domu JWPani, a ja nic nie wiem... *(słychać strzały)*. A, ot! ona już strzela — ta konfederacya!

STRAŻNIKOWA.

W saméj rzeczy strzelają na rynku. Jezus, Marya, co to jest?!

JANKIEL.

Wielmożnéj Pani męża niosą na rękach, a za nim całe miasto — a ja jeden tu!

(Krzyki).

Vivat Marszałek Złota Czaszka!

(Wchodzą na dziedziniec cechy z chorągwiami, potém wnoszą Marszałka Złotą Czaszkę na rękach; — za nim pana Gąskę niosą — za nim p. Milowicza).

JANKIEL.

To piérwszy Marszałek, a drugi Chorąży, a trzeci Sekretarz; a ten sekretarz ma suchoty, on umrze; czego jemu było szukać konfederacyi?

PIÉRWSZY OBYWATEL.

Panie Kasperowicz! Wacpan jako krawiec ubierz domek pana Marszałka w chorągwie cechowe.

DRUGI.

Zamykajcie drzwi, bo się nadto ludu naciska!

TRZECI.

A ot! i panienka wychodzi z sztofikiem i z kieliszkiem.

(Wchodzą KLEOFAS *i* SZAWEŁ*).*

SZAWEŁ.

Jesteśmy deputacyą od szkół jezuickich, prosimy wyprosić do nas pana Marszałka... *(do Kleofasa)*. Podnieś czoła, odważniejszym bądź! Córka poszła sama do ojca, ale jak spojrzała na ciebie! Fiu, fiu! wy się z sobą znacie! — Czerwony jesteś jak gil, co tam siedzi na lipie; podnieś czoła i najeż wąsa — o tak! — Cóż, czy ci wszy chodzą po sercu?

STRAŻNIK *(za sceną).*

A czego chcą te błazny *(Pokazując się we drzwiach — za nim panna Agnieszka).* Czego Wacanowie?

SZAWEŁ.

W deputacyi od szkół, JW. Marszałku.

STRAŻNIK.

Czy pan Prefekt przysyła?

SZAWEŁ.

Libertatem quaerentes przychodzimy motu proprio, JW. Marszałku, zaciągnąć się pod chorągwie i znaki rycerstwa polskiego, wyłamawszy drzwi, gdzie nas zamknięto z przytłumieniem woli naszéj i z uhamowaniem zapału naszego. Szkoły jezuickie, Mości Panie Marszałku, zrobiły ten akt liberationis et deliberationis, a mają słuszną sperandę, że nie tylko wieniec i dębową koronę, ale słuszne ukaranie księdza Prefekta, hamującego ten szlachetny zapał, otrzymają — i w obronie Ojczyzny pójdą tryumfalnie pod chorągwiami rycerstwa polskiego! Dixi.

STRAŻNIK.

A błazny jedne! a błazny!

PANNA AGNIESZKA.

Tatku...

STRAŻNIK.

A smarkacze wy, z mlékiem pod brodą! Wam do konfederacyi? Każę związać, oćwiczę i księdzu Prefektowi odeślę pod bizun. Młokosy jedne, precz mi stąd!

SZAWEŁ.

Panie Złota Czaszka...

STRAŻNIK.

Precz! mówię, obdartusy szkolne, żaki, kanalie! Ja miałbym szafować krwią dzieci, żeby mi rodzice potém wyrzucali, żem ich szlacheckie gniazda ogołocił i zaprzepaścił?! Co to wy myślicie, że to ja konfederat malowany? A to co, infimusy? Wam podnosić rokosz na księdza Prefekta? Na klęczkach mi go przeprosić, błazny — precz stąd!

(Panna Agnieszka zakrywa oczy płacząc).

SZAWEŁ.

Panie Złota Czaszka, taka afrontacya...

STRAŻNIK.

Afrontacya? *(do cechów).* Panowie miejscy, wyrzucić mi za płot tych infimusów!

(Studenci dobywają szabel. Miejscy chorągwiami wypędzają ich z dziedzińca i gonią ulicą).

STRAŻNIKOWA.

Serce, Agnusia nasza czegoś płacze...

STRAŻNIK.

Precz, baby! — Co innego mi teraz w głowie. nie panna Agnieszka.

STRAŻNIKOWA.

To idźże do gości.

SCENA VI.

(Cela księdza Prowincyała).

(ZAKRYSTYAN *krząta się;* PROWINCYAŁ *siedzi na krześle).*

PROWINCYAŁ.

Cóż myślisz, Barabaszu, o tém wszystkiém?

ZAKRYSTYAN.

Myślę, że ci panowie powaryowali.

PROWINCYAŁ.

Masz racyą.

ZAKRYSTYAN.

A kiedy chcieli byli robić konfederacyą, to mieli klasztor księży Jezuitów i klasztor ojców Bazylianów. Nie — przyszli Księdza Prowincyała wciągnąć! A wié Ksiądz Prowincyał dlaczego? — bo Ksiądz Prowincyał ma dobre stare wino węgierskie w lochu.

PROWINCYAŁ.

Dureń jesteś, stul pysk! A gdzie moja sroka? nie widziałem jéj dziś.

ZAKRYSTYAN.

Sroka Księdza Prowincyała, kiedy Ksiądz dziś celebrował, to chodziła za baldachimem jak grzesznik, a kiwała ogonem, tak jakby mówiła: — „Oj Ojcze Prowincyale! oj Ojcze Prowincyale!“ Niech mnie dyabli wezmą, jeżeli ta sroka nie mędrsza od nas! A jabym chciał, żeby ta sroka ukradła panu Strażnikowi złotą czaszkę i włożyła Księdzu Prowincyałowi do kieszeni... ale sroka nie żyje...

PROWINCYAŁ.

Co?

ZAKRYSTYAN.

Zadeptano w tłumie.

PROWINCYAŁ.

Nie prawda!

ZAKRYSTYAN.

Ojcze, zadeptano! bij mnie — zadeptano.

PROWINCYAŁ.

Nie prawda!

ZAKRYSTYAN.

Zadeptano.

PROWINCYAŁ.

Kłamiesz, kłamiesz! Mój kochany Barabaszu, poszukaj ty jéj: ty może myślisz, że to mnie mało martwi — ale ja z téj sroki miał pociechę.

ZAKRYSTYAN.

Mało z czego Ksiądz Prowincyał miał pociechę; a trzeba się będzie przyzwyczaić do zguby! A kto będzie księdzu Prowincyałowi grał na trąbach po nieszporach, kiedy trębacze poszli na trębaczy do konfederatów? A ksiądz Prowincyał lubił z panem organistą Fokiem grać w warcaby, a pan organista Fok zapisał się na regestrze w refektarzu, choć Niemiec...

PROWINCYAŁ.

Moich ludzi będę reklamował.

ZAKRYSTYAN.

Tak, reklamował! a gdzie i od kogo reklamował, kiedy Ksiądz Prowincyał jesteś sam regimentarzem?

PROWINCYAŁ.

Ja! — jako żywo!..

ZAKRYSTYAN.

Ksiądz Prowincyał drwi ze mnie.

PROWINCYAŁ.

Ja?!

ZAKRYSTYAN.

Ksiądz Prowincyał stoisz podpisany na regestrze i na uniwersałach, jako regimentarz.

PROWINCYAŁ.

Ale to za Matkę Boską.

ZAKRYSTYAN.

Ale to nie „Ja, Matka Boska, regimentarz“ stoi w regestrze! ale „Ja, Prowincyał księży Franciszkanów, regimentarz“ stoi w regestrze! A co mi tam patrzeć w myśl Księdza Prowincyała!

PROWINCYAŁ.

Jezu drogi! to ja zabrnąłem, mówisz?

ZAKRYSTYAN.

Bez rekursu.

PROWINCYAŁ.

A czemu ty mi nie szepnął na ucho, kiedyś widział, że mnie pan Strażnik w zakrystyi atakuje?

ZAKRYSTYAN.

Ksiądz Prowincyał wié lepiéj, co klasztorowi czynić przystoi.

PROWINCYAŁ.

Prawda, że wiem; ale tobie trzeba było mnie ostrzéc — a teraz przychodzisz, kiedy już po czasie. Ktoś puka.

ZAKRYSTYAN *(otwiérając drzwi)*.

Jakiś dragan.

PROWINCYAŁ.

A czego on? (*wchodzi* DRAGANT).

DRAGANT.

JW. Złota Czaszka Marszałek przysyła z ordynansem, abyś jutro Ksiądz Prowincyał gotów był poświęcić chorągwie i błogosławić regimentowi, który wychodzi na Szweda.

PROWINCYAŁ.

Odpowiédz panu Złotéj Czaszce, że dobrze. *(Do Zakrystyana)* Widzisz, że ja tylko mam błogosławić.

(P. STRAŻNIK, P. GĄSKA, P. MILOWICZ *i kilku innych wchodzą*).

STRAŻNIK.

Witam Księdza Prowincyała! Przychodzimy na naradę i po radę do Księdza Prowincyała, jako do naszego regimentarza.

ZAKRYSTYAN.

A widzi Ksiądz?

PROWINCYAŁ.

Milcz, durniu! — Bardzom rad! jestem całém sercem na usługi.

MILOWICZ *(grobowym głosem)*.

Zafundujesz nam przecie wina, Księże Prowincyale.

ZAKRYSTYAN.

A widzi Ksiądz?

PROWINCYAŁ.

Milcz, błaźnie! — *(głośno).* Barabaszu, przynieś antałek i szklanki.

(Zakrystyan wychodzi i po niejakim czasie wraca z winem).

STRAŻNIK.

Coś mi, Księże Prowincyale, dumasz?

PROWINCYAŁ.

Czy my się nie pośpieszyli zanadto?

STRAŻNIK.

Wacpan Dobrodziéj słuchasz zanadto kościelnego sługi, który Acpanu głowę troskami nabija i w przedsięwzięciach go hamuje. Jeszcze Ksiądz Prowincyał masz czas ku odwróceniu od nas swoich afektów; a ja się oddam księżom Jezuitom albo Bazylianom: — a wtedy co będzie?

PROWINCYAŁ.

Panie Strażniku!

STRAŻNIK.

Udałem się do Księdza Prowincyała, albowiem uważałem w nim największy majestat i blask, a w ceremoniale nikt mu nie wyrówna...

PROWINCYAŁ.

Co, czy byliście kontenci z procesyi?

STRAŻNIK.

Niech pan Gąska powie; mówiłem mu otwarcie, żem się nie spodziewał takiego festynu. Tu Ksiądz Prowincyał posuwa się — a tu przed nim sypią różane listeczki — a tu trąby na wieży grzmią, aż trzęsła się góra królowéj Bony! — myślałem, że pójdzie w taniec...

GĄSKA.

Góra, czy Ksiądz Prowincyał?

WSZYSCY.

Cha! cha! cha!

MILOWICZ.

Góra z Księdzem Prowincyałem!

WSZYSCY.

Cha! cha! cha!

PROWINCYAŁ *(do Zakrystyana)*.

Postaw tu, durniu, antałek i ponalewaj lampeczki JW. Panom. — Miałem wielkie zmartwienie w dniu dzisiejszym, zadeptano mi sroczkę moję.

STRAŻNIK.

Przyślę Księdzu Prowincyałowi piérwszego Szweda, którego mi się uda złapać, aby mu był wynagrodzeniem; tymczasem niech się Ksiądz Prowincyał uzbraja.

SCENA VII.

(Pokoik Panny Agnieszki).

P. AGNIESZKA i MAGDA.

AGNIESZKA *(płacząc)*.

Magdo, daj mi chustkę.

MAGDA.

Tak, tak! Jak panienka z żałości umrze, a Jegomość będzie płakał: powiem — dobrze Jegomości tak! Jegomość zabił dziecko, a teraz płacze! dobrze Jegomości tak!

AGNIESZKA.

A skąd ty wiesz, Magdo, dlaczego ja płaczę?

MAGDA.

Z miłości płacze Panienka; ja wiem, że z miłości.

AGNIESZKA.

Otóż ja nie z miłości płaczę — ja tak płaczę.

MAGDA.

Ha, ha! jabym w to uwierzyła? Jaka mi Panienka mądra! jabym w to uwierzyła?

(wchodzi Pani STRAŻNIKOWA).

STRAŻNIKOWA.

Co to mi za szlochy, Gnusiu? Ojciec pyta o ciebie: pan Gąska chce wnosić zdrowie twoje.

AGNIESZKA.

Powiédz Mama, że ja nie pójdę, że ja chora, że ja umarła, że ja leżę na cmentarzu Zołobieckim pod śniegiem, że ja siebie zabiję i pana Gąskę otruję. Weź sobie mama ten kornecik z różami — ja niczego nie chcę! ani prezentów, ani czego. Tylko zostawcie mnie w spokojności! Czego wy chcecie odemnie? czy ja

wasza niewolnica? czy ja wasz haman? Czy ja sobie nie mogę kupić pokoju? Zostawcie mię, zostawcie, zostawcie! — Ja się chcę uspokoić: zostawcie mnie!

(*wchodzą* P. STRAŻNIK i P. GĄSKA).

STRAŻNIK.

A kto tu szlocha?.. a dlaczego to Wacpanna szlocha?

STRAŻNIKOWA.

Daj pokój — przy obcych ludziach!...

(Agnusia ociera łzy i staje przed ojcem ze spuszczonymi oczyma).

STRAŻNIK.

Widzisz mi płaksę? — Obetrzyj Wacpanna łzy i podnieś oczy: — pan Gąska przyszedł z komplementem.

AGNIESZKA.

Dziękuję.

GĄSKA.

Niech mię Panna Strażnikówna nie wyklina: nie przyszedłem woli wielmożnéj Acanny Dobrodziejki wiolentować... W cierpliwości oczekiwać będę, aż moja afekcya...

STRAŻNIK.

Patrz — płaksa roześmiała się!

GĄSKA.

Rozjaśnienie jéj czoła szczęśliwą mi jest wróżbą. Czy mogę upraszać o jednego z tych narcysów, co stoją na oknie?

AGNIESZKA.

Nie.

STRAŻNIK.

Grzeczna mi bądź, błaźnico!

GĄSKA.

Pozwól mi Acan Dobrodziéj, pozwól mi: — tu ja sam jestem wystawiony na szwank, niech mam wszelką wolność. *(Do panny Agnieszki).* Czy moja osoba jest przedmiotem jakiéjkolwiek odrazy? — proszę szczérze...

AGNIESZKA.

Żadnéj odrazy nie czuję do Acana Dobrodzieja, ale ja szczęścia Pańskiego nie zrobię: ja nic nie umiem, jestem w domu jak obrazek malowany...

STRAŻNIK *(do żony).*

Serce, a wydobądźno krosienka i pokaż panu Gąsce appara-

tum, które wyszyła złotem do franciszkańskiego ołtarza. Wierz mi, panie Gąsko, że to rozumna główka — a bierz, bo to skarb

GĄSKA.

Jabym chciał dać czas pannie Strażnikównie do namysłu.

STRAŻNIK.

Cóż to, czy mi się Wacpan rekuzujesz?

GĄSKA.

Prędzéjbym żywota mego odstąpił i duszę moję opuścił, niż wyrzekł się złotéj dla mnie nadziei! Ale sądzę, że szablą, ponieważ się zdarzyła okazya, potrafię w oczach panny Strażnikówny przydać sobie waloru. Dlatego więc proszę, abyś WPan Dobrodziej, ponieważ otwartéj nie mam jeszcze rekuzy, zostawił to w sperandzie i w expektatywie. Wszak tak? ostatecznie mi Panna nie rekuzujesz?

AGNIESZKA *(spojrzawszy na ojca groźną twarzą)*.

Nie.

STRAŻNIK.

Jest to konsensum.

GĄSKA.

Wróćmy do kielicha. *(wychodzą)*.

STRAŻNIKOWA.

Bardzoś była mądra; aż rosłam słysząc, jak ty przytomnie odpowiadasz. Dobrze, Gnusiu! I on mi się podobał: bardzo rozsądny i stateczny. Widziałaś ty, jaką miał karmazynową sajetę na żupanie? Takiéj sam król nie nosi. Zielony kontusz z tureckiéj materyjki w kwiateczki, także dobrze dobrany... Cóż ty, kwoczko?

AGNIESZKA.

O nieszczęśliwa ja! zanieście wy mnie na cmentarz!

Więc widzieliście w chorągwie cechowe
Ubrany dworek starego szlachcica;
Kto myślą sięgnął w niebo lazurowe,
Widział, jak duchy i Bogarodzica
W promieniach zorzy trzymająca głowę,
A stopy dzierżąc na srebrze księżyca,
Na dom jasnością piorunową biła
I z po nad starych lip błogosławiła.

Chorągwie dworek okryły ubogi,
Że był jak namiot jakiego mocarza,
Z jedwabiu cały — a złote miał rogi,
A w środku jasną cnotę gospodarza.
Dla nędzy także otworzone progi,
I obwarzanek biały dla nędzarza;
I piękność chował dawnych, szczérych rysów
Napełniającą dom wonią narcysów.

Tam, kiedy w cichą noc duchowie czarni
W śniegowéj korzą się burzy i wichrze,
Jasna kolęda w przyćmionéj piekarni
Płakała — w rytmy ubrana najlichsze.
Z nią usypiali ludzie gospodarni,
A od serc naszych serca mieli cichsze,
A gdy się rwali z ubogiéj pościeli,
To więc do szabli albo do kądzieli!

I pokazałem wam klasztorne życie —
I pokazałem studentów i żaków,
I pokazałem w przeszłości błękicie
Lud, co nazywał się ludem Polaków. —
Teraz, przy dalszéj zorzy zobaczycie
Las pływający rozwiniętych znaków,
Ten domek w zieleń wiośnianą ubrany —
I usłyszycie, jak puka do ściany

Nieszczęście.... Bądźcie więc wyrozumiali
Dla tych rubasznych serc i szorstkich dłoni!
Spokojne domy także piorun pali,
Chociaż je wiara, chociaż czystość broni;
A jeśli wszystko zważymy na szali,
Nieraz się człowiek rozpaczy uchroni

. . . .

. . . .

Reszty braknie. (Przyp. Wyd.).

DWA FRAGMENTY

Z DRAMATU

BENIOWSKI.

PIÉRWSZY FRAGMENT [1]).

(Okolica lesista na Litwie. Słychać wrzawę i wystrzały niedalekiéj bitwy).

(PAMFILUS *i* BENIOWSKI *stoją na wzgórku, przypatrując się walce).*

PAMFILUS.

Zatrzymaj się tu, aż dymy opadną.
To piérwsza walka w życia epopei —
Kula wydaje się ptaszyną ładną,
Co świszcze w uchu piosenkę nadziei.

BENIOWSKI.

Przecudny widok: dymu tumany
Jako tumany jesienne lecą,
Szable złotymi listkami świécą.

PAMFILUS.

Czy słyszysz jęki?

BENIOWSKI.

Wiatr obłąkany
Jakieś harf tony w stronę unosi.

PAMFILUS.

Patrz, tam się rumak z ziemi podnosi,
Lecz wstać nie może — złamany ma krzyż.

---

[1]) Właściwie niewiadomo mi, który fragment należałoby nazywać piérwszym, a który drugim. Każdy z nich zapełnia osobny arkusz, bardzo drobno i ściśle zapisany. Na arkuszach tych nie ma liczb paginacyi, po których wnosićby można, na jaką część dramatu każdy z nich przypadał. Wewnętrzna osnowa także wątpliwości téj nie rozstrzyga. *(Przyp. Wyd.).*

BENIOWSKI.

O jak czarownie śmiertelny spiż
Bucha i wyje i błyskawicą
Zamiata ziemię i wszérz i wzdłuż.
Dymy się zdają duchów przyłbicą,
A dalsze dymy, do białych róż
Podobne — z ziemi krwawéj wychodzą.

PAMFILUS.

Patrz! dwaj rycerze na siebie godzą
Tam, gdzie z tumanów ziemia odkryta.

BENIOWSKI.

W imię Chrystusa naprzód! — Kobiéta!...
(zbiega ze wzgórka).

PAMFILUS.

Leć, głupcze, i opal sobie skrzydła w ogniu miłości! Leć, głupcze, i bądź, jak Orlando szalony, zbawcą urojonym księżniczki. Twój miecz rąbie jak młot Wulkana... Że téż ręka taka w proch się kiedyś obróci, a dusza taka wypali się w ciele i nie zostawi nawet popiołu!

BENIOWSKI *(wraca niosąc omdlałą Księżniczkę).*

Precz mi z rumaka! patrzaj — draśnięta,
Koń jéj zabity, koń biały jak śniég;
Leżała pod nim jak róża zmięta...

KSIĘŻNICZKA *(budząc się z omdlenia).*

Któż mię obronił?

BENIOWSKI.

Anioł cię strzegł.
Daléj! — unośmy ją z pola walki!
(wybiega unosząc Księżniczkę).

PAMFILUS.

Za nim! — Miłość go może wydrzéć z moich ręku i powrócić czystym władzom duszy; a to jest człowiek, który ma pokruszyć zęby na białym marmurze sławy.

(wybiega za Beniowskim).

(Przed chatą w lesie).

BENIOWSKI *(prowadzi Księżniczkę).*

Odpocząć musisz w téj kurnéj chacie,
Moja Księżniczko.

KSIĘŻNICZKA.

Jeszcze mi słabo...

BENIOWSKI.

Chodź tutaj. — Śpiesz się ojcze i babo!
Otwórzcie wrota!

(Z chaty wybiega CHŁOP *z żoną i dziećmi).*

Cokolwiek macie,
Stawcie na stole. — Co? kwas z piołunem?
Spiesz mi się prędzéj, ojcze z kołtunem,
I przynieś jasnéj wody źródlanéj.

CHŁOP.

Ne maju wody...

BENIOWSKI.

Nie macie wody? —
Chata podobna łodzi oblanéj
Stawy smutnymi; zwalone kłody,
Sosny ponure i mchy czerwone!
Okropna ziemia!

KSIĘŻNICZKA.

Pragnieniem płonę.

BENIOWSKI.

I nigdzie źródła, nigdzie dokoła?

CHŁOP.

Nikudy źródła.

BENIOWSKI.

Co ty jész?

CHŁOP.

Hryzu
Lilioczki, pane.

BENIOWSKI.

Potok Cefizu
Nie mógł by w lepszą nadpłynąć porę.
Czekaj, księżniczko: kwiatów nabiorę
Z chłopcami tymi i na wyścigi
Zniesiemy tobie białego kwiecia,
A ty ssać będziesz słodkie łodygi,
Sama liliją... *(odchodzi).*

KSIĘŻNICZKA.

Co tutaj śmiecia,
Co tutaj brudu, dobra kobiéto!

WIEŚNIACZKA.

Ne maju hroszy, pannoczko świetna.
(Beniowski wraca niosąc lilie wodne).

BENIOWSKI.

Oto jest, Pani, anielskie żyto,
Woda gołębi — krynica kwietna.

KSIĘŻNICZKA *(ssąc łodygi lilii podanych).*

Prawda, te kwiaty słodkie.

BENIOWSKI.

Twoje słowa
Słodsze daleko! jutrzenka różowa
W twoim uśmiechu...

KSIĘŻNICZKA.

Pan mi zbawił życie? —
Jak Pan przyszedłeś na moję obronę?

BENIOWSKI.

Po turkusowym oczu twych błękicie
Jako po gwiazdach, co zdobią koronę
Najświętszéj Panny, byłem wiedzion w boju.
Ujrzałem ciebie przy skrwawionym zdroju
Pod koniem twoim, co jak śniegu bryła
Leżał na jasnych wiośnianych fijołkach
I gniótł niewinne...

KSIĘŻNICZKA.

O tak! ledwiem żyła.

BENIOWSKI.

Uśmiech się kryje w twoich jasnych dołkach;
Ale sen ciężki, jak smutek, tęsknota,
Leży na czole, jak błękitno-złota
Chmurka na niebie.

KSIĘŻNICZKA.

Niech mię Pan zawiedzie
Do chaty: zasnę. Może brat nadjedzie —
Będzie mię pewnie szukał w całéj puszczy.
(Beniowski wraz z wieśniaczką wprowadzają Księżniczkę do chaty. — PAMFILUS *wchodzi).*

PAMFILUS.

Czy tu przyszedł młody panicz?

CHŁOP.

Pryszou.

PAMFILUS.

Gdzież są?

CHŁOP.

Moja baba zawedła do chaty.

PAMFILUS.

Dam chłopcu twojemu dwa grosze — niech pobiegnie na kopiec. Znajdzie tam pana konno; — niech mu powie, że siostra jego, księżniczka, znalazła się, a ten pan mu da groszów i was uszczęśliwi.

CHŁOP.

Dobre, panyczu.

(Chłop wyprowadza chłopca, i sam wraca po chwili. — Z chaty wychodzi BENIOWSKI*).*

BENIOWSKI.

Od niéj się chata rozpromieniła
Jak alabastru słoneczna bryła.

PAMFILUS.

Co? czy spać poszła?

BENIOWSKI.

Zamknęła oczy
I rozsypała tęczę warkoczy.
Lecz gdym wychodził, jak dwie pokusy
Z pod listków białych oczy turkusy
Jasne i duże łysnęły do mnie...

PAMFILUS.

Cóż będziesz robił?

BENIOWSKI.

Co? — myślał o niéj.

PAMFILUS.

Słuchaj mię, jeśli możesz, przytomnie:
Kto chce laur złoty nosić na skroni,
Powinien liczyć serdeczne bicia
I nie posuwać zégaru życia...

Ale to wszystko nic. — *(do chłopa).* Chodź tu, chłopie! — Ten chłop jest wielkim mitologiem: pogadaj z nim, on cię może wprowadzić w nieznajome myśli krainy. — Miłość nie jest jedyném

nadpowietrzném marzeniem — są inne równie piękne. Raz się im oddawszy, można zapomnieć, że Ewa zjadła jabłko rajskie i urodziła miłość z grzechu ciekawości.

BENIOWSKI.

Jakże? — ty chcesz, abym zatrzymywał oczy moje na tym chłopie, który w porównaniu z nią nie jest nawet człowiekiem?

PAMFILUS.

O jakże ty daleko epoki wielkich gawęd, która nadejdzie, i to, co teraz mówisz, poczyta za bluźnierstwo. Że też się ludziom przyszłość nie przyśni! — Cóżkolwiekbądź, nie gardź mitologią chłopa. — Ja ci powiadam, że gdyby Homer z harfą złotą stał na twojém miejscu, stroiłby teraz pieśni narzędzie i słuchał, co ten niedźwiedź zarosły włosami opowie. — *(Do chłopa).* Chodź tu, potomku Gedymina! Jak ci na imię?

CHŁOP.

Grażułas, panyczu.

PAMFILUS.

Czy daleko stąd do Wilna?

CHŁOP.

Nie wiedaju.

PAMFILUS.

A do Boga?

CHŁOP.

Oj, dałeko, panyczu!

PAMFILUS.

A do słońca?

CHŁOP.

Do staryka?

PAMFILUS.

Tak.

CHŁOP.

Staryk sołńce żywie za jetym lasom — het, het, dałeko za lasom. Chatoczka jeho na kurij łapci.

PAMFILUS.

Rozumiesz? Febus litewski mieszka za sosnową puszczą w chacie na kurzéj łapce. — *(Do chłopa).* Mów daléj, mitologu grecki!

CHŁOP.

Na kurij łapci, panyczu, chatoczka — a staryk z żenkoju staruchoju zapalaje szczo ranka szczop smolnoho łuczywa, taj wychodyt z chaty, i niesiet nad hołowoju ohoń, szczob buło wydno.

PAMFILUS.

Uważaj: starzec zapala sito ze smolnych gałęzi i idzie po niebie, trzymając w ręku słońce. — O Faetonie! —

CHŁOP.

A żinka starucha derżyt misiać w boczci.

PAMFILUS.

Miesiąc w beczce pod dozorem staruszki! Z tego wniosek, że żony mają zawsze w swojém posiadaniu rogi gotowe, które zatrzymują w głębi beczułek, to jest w pewnym rodzaju piscin (?) Salomonowych. — Daléj, beocki wieszczu!

CHŁOP.

Tak weczerom żinka wychodyt, taj nese misiać nad hołowoju.

PAMFILUS.

Dyana!

CHŁOP.

Taj wsio, panyczu.

PAMFILUS.

Czekaj — spróbujemy tego słonecznego systemu logiką. — Powiédz mi, Hezyodzie, dlaczegoż w zimie słońce prędzéj powraca do chaty?

CHŁOP.

Staryk na morozie merznet, taj idet pid pieczku spaty i hrejaty sia.

PAMFILUS.

Dobra przyczyna! Kopernikowska przyczyna! Staremu bogu zimno, więc powraca coraz prędzéj za piec. Ptolomeusz płacze w piekle ze złości.

BENIOWSKI.

Jednak to wszystko cudowne, Pamfilu!
W puszczowéj głębi chata z jasném łonem,
Tam żyje Baucys stara z Filemonem.

PAMFILUS.

Do ognia lecisz, żałobny motylu,
A ja ci drogę zamiotę ogonem.

BENIOWSKI.

Słońce się w myślach ludu zestarzało:
Już nie Faeton, nie młoda Dyjanna —
Lecz groźny stary Litwin z głową białą,
Lecz stara wiedźma z piersią wyschłą, suchą,

Jakaś uwiędła słowiańska Marzanna,
Hekate puszczy...

PAMFILUS.

Szkaplerz za pazuchą,
Na głowie księżyc krwawy lub niebieski;
Pierś ma obwisłą jak posąg efeski,
Czerwona — jako marmurowe głazy,
Czasem zczerniała... cóż? — kończę obrazy.

BENIOWSKI.

I oni kiedyś musieli być młodzi,
I oni kiedyś miłością różowi
Wschodzili razem, jak jutrzenka wschodzi.
Myśl o poranku ich, podobna snowi,
W pamięci mojéj cały Eden rodzi,
Pełny róż, złotych jabłek i narcysów.

PAMFILUS.

Rafaelowskich pełny jesteś rysów.
Dobrze, zakochaj się w marach, co błyszczą.
Takie miłości żywota nie niszczą.

BENIOWSKI.

O! chciałbym tych puszcz zgłębić tajemnicę,
Co w nich tak smutnie szumi i wzdycha.
Chciałbym pić z polnych kwiatów kielicha
Rosę i wonie, aż się nasycę.

PAMFILUS.

Czekaj: zapytam chłopa, czy w lesie
Są jakie nimfy? — pójdziemy szukać,
A baba niech nam kwasu przyniesie.

(*Do chłopa*).

Chłopie, kiedy zaczniesz kukać,
Czy co w lesie odpowiada?

CHŁOP.

Kryczyt w lesie Świtezianka.

PAMFILUS.

Słyszysz, Maurycy — Dryjada!

(*Wieśniaczka wynosi dzban z chaty*).

Napij się kwasu ze dzbanka.

BENIOWSKI (*pociągnąwszy z dzbanka*).

Gorzki!

PAMFILUS.

Chłopska Hipokrena!

(do siebie).

Z głowy mu wyszła kochanka
I odmieniła się scena
Jak na teatrze.'

(Do chłopa) Hej chłopie, prowadź nas w las nad jezioro, gdzie Świtezianka twoja kąpie się. Na Bachusa, co się upił kwasem litewskim i zdobył Indye po pijanemu, schwycimy tę boginią za skrzydła. — Słońce bliskie zachodu: prowadź, chłopie!

BENIOWSKI.

Myśli we mnie kręcą się.

(Wychodzą).

(Wjeżdżają książę KAROL RADZIWIŁŁ, *ksiądz* KANTEMBRYNG, *i* MORAWSKI *porucznik, prowadzeni przez chłopię — zsiadają z koni).*

RADZIWIŁŁ.

Mości Kantembryngu, pójdź Wacpan do téj kurnéj chaty i zbesztaj ją, a każ, niech siada na koń! — Nigdy mię więcéj, panie kochanku, z babami nie wywiodą w pole. Że przegraliśmy, to bab wina: — jedna z szabelką na koniu jak ś. p. królowa Wanda, druga w karecie za mną pani Branicka jak Rzepicha... Moskale przez grzeczność, panie kochanku, co strzelą — to nie w kobiéty, ale we mnie. — Że żyję, to cud Matki Boskiéj Częstochowskiéj, bo wszyscy moi przyjaciele w piérwszym ogniu zginęli. — Nieprawdaż, panie kochanku?

KANTEMBRYNG.

Nie wiem, Mości Książę, bo ja w piérwszym ogniu zginąłem.

RADZIWIŁŁ.

Ale prawda, panie kochanku, że do mnie strzelali?

KANTEMBRYNG..

Tak, bez wątpienia, Mości Książę.

(wchodzi do chaty).

RADZIWIŁŁ.

Kontusz mi cały podziurawili, drugiego nie ma za co spra-

wić! — Nieświeź zabrany, dobra poniszczone i zajęte — na żebraka pójdę, panie Morawski.

MORAWSKI.

Niespokojny jestem, czy Księżniczka nie ranna.

RADZIWIŁŁ.

Co Wacanu myśleć o księżniczce? — Nie podnoś oczu tak wysoko, panie kochanku, bo zobaczysz dziesięć tysięcy gwiazd i Najświętszą Pannę, do góry nogami jak w księdza Poczobuta teleskopie.

MORAWSKI.

I zobaczę szablę Waszéj Książęcéj Mości, którą mu dziś tak kozak z rąk wyświsnął, że poleciała na księżyc.

RADZIWIŁŁ.

Piérwszy to jest znak upadłéj fortuny,
Że przyjaciele gorzką mówią prawdę.
Dziękuję Waści, żeś mi nie oszczędził
Na moim krzyżu żółcianego kubka.
Dziękuję Waści, żeś mię zaczął uczyć
Języka, którym do wygnańców mówią
Obce narody, gdzie się idę błąkać. —
Będzie to dla mnie kąsek niestracony!
A żem jest wdzięczny, ostatnim ci płacę
Moim pierścieniem.

MORAWSKI.

Książę miłościwy,
Daruj!... Te usta chléb twój jadły wczora,
A dziś już — smakiem zaprawne piołunu —
Jak harfa w jakiéj nieuważnéj ręce
Fałszywie jękły, ażem się sam wzdrygnął.
Daruj, mi Książę — na kolanach proszę,
Abyś mi nigdy słów tych nie pamiętał,
Słów, które będą w samotnych godzinach
Same do mojéj chaty przychodziły
Jako natrętne sumienia dłużniki,
Których zapłacić nie ma czém sumienie.

RADZIWIŁŁ.

Wstań i wesołéj myśli bądź, kochanku;
Pamiętam dobrze, żem ci winien życie,
A teraz cię sam piérwszy obraziłem
W miłości własnéj...

(KSIĘŻNICZKA *wychodzi z* KANTEMBRYNGIEM *z chaty*).

Lecz oto Księżniczka. —
Pogódź nas obu, miła mościa panno,
Bośmy się tutaj o ciebie skłócili.

KSIĘŻNICZKA.

Ksiądz was najlepiéj obudwu pogodzi.

RADZIWIŁŁ.

Między was także pono wsadzę księdza.

KSIĘŻNICZKA.

O! nie czas, bracie, o tém dziś rozmawiać!
Niech mi podadzą konia! — Gdzież mój zbawca?

RADZIWIŁŁ.

Nikogośmy tu nie zeszli przed chatą.

KSIĘŻNICZKA.

A więc nie czekał, aż się wdzięczność zbudzi...
(wsiadając na konia).
Panie Morawski, konia mego pilnuj,
Bo nie mam siły ni myśli ku temu.

RADZIWIŁŁ.

Jedźmy! jesteśmy do szczętu rozbici.
Pan Hetman już pojechał do Galicyi:
W tę samę drogę i nam się należy.
(odjeżdżają).

(Jezioro śród lasu — Noc miesięczna).

BENIOWSKI, PAMFILUS i CHŁOP.

BENIOWSKI.

Księżyc się w jeziorze pali,
Nie ma wiatru — nie ma fali;
Lecz przez błękitną ciemnotę
Przelatują muszki złote.

CHŁOP.

Tu wziała za hołowu i kinuła w wodu pastucha. Nikoły uże ne pryszou, nebożycha żywe pid wodoju.

PAMFILUS.

Wyjdzie on kiedyś z wody — ale nie pastuchem, tylko niemiecką balladą. — Idź, chłopie, i naucz się czytać.

CHŁOP.

Diakuju panam. *(odchodzi).*

PAMFILUS.

Cóż? jesteś w zadumaniu?

BENIOWSKI.

Dziwny zapach!..

PAMFILUS.

Woń zwiędłego liścia — perfuma przyszłéj poezyi. — Lecz chodź ze mną.

BENIOWSKI.

Którędy?

PAMFILUS.

Tu.

BENIOWSKI.

Wody się rozstępują — piasek srebrny wabi mi stopy.

PAMFILUS.

Daléj!

BENIOWSKI.

Woda się nad głową łączy,
Miesiąc się przez wodę sączy,
Czasem kroplą złotą ciecze,
Czasem srebrne rzuca miecze.
Ciemno — zimno — i zielono...
Cóż to za mara? — prześliczna!

PAMFILUS.

Rzuć! to muza romantyczna.

BENIOWSKI.

Cudna! z tęczową koroną,
Z twarzą dziecinnych aniołków;
Od niéj leci woń fijołków
I zapach wiośniany miły —
Za nią krzyże i mogiły.

PAMFILUS.

Krzyże i mogiły samobójców! — Chodź daléj! Jesteś w Olimpie.

BENIOWSKI.

Gwiazda nad jéj czarną brwią...
Jezu! z ust buchnęła krwią.

PAMFILUS.

Nie wspominaj tu świętych! — Krew niech cię nie przeraża: — powiem ci pod sekretem, że ta piękna nimfa ma suchoty.

BENIOWSKI.

Obrusem krwi z gęby leje —
Cały podziem czerwienieje.

PAMFILUS.

Idźmy daléj!

BENIOWSKI.

Nawet tęcza
Jak krwawego pół obręcza —

PAMFILUS.

Biały kolor przy czerwonym pięknie wygląda... Rozkrój najpiękniejszą kobiétę, a cała czerwona, jak rak ugotowany! — Poezya, któréj boginią jest ta nimfa, rozkroi kobiétę: lecz co w niéj zobaczy?! — Tfu!... rzeczy, o których się nie śniło Agamemnonowi, kiedy nożem ofiarnym dobywał serce Ifigenii. Lecz są lilie — są lilie — są lilie! Lecz patrz — jesteśmy w garderobie wiekowego kolorytu: tu się ubierają poemata, które kiedyś na świat wyjdą.

BENIOWSKI.

Widzę — lecz braknie mi tchu.
Ta kobiéta z twarzą złotą
Na wzgórzu z białego mchu;
Węże się koło niéj plotą,
Pogański w powietrzu śpiew.
Patrz — z błota wytryska lew
Widny tylko do połowy —
Orzeł mózg mu dzióbie z głowy.

PAMFILUS.

Ta kobiéta — to Indyanka; a ten lew — to Witołd; a ten orzeł — to orzeł. Czy ci jasno?

(Ciemnieje — chmury miesiąc zakrywają. Wicher się zrywa, czarci w potwornych postaciach latają w około).

BENIOWSKI.

Na sosnach siedzą czarne straszydła,
Gałęzie łamią, a drzewa jęczą.
Nad głową moją szeleszczą skrzydła
A pod nogami pieniądze brzęczą.

(Rozmaite widziadła ukazują się i znikają jedne po drugich).

PAMFILUS.

Przeklnij to piekło narodów, które się nie skończyły, i chodź daléj. Pokażę ci kuźnię przyszłości. — Tam zobaczysz, czy człowiek winien się opierać w Termopilach — i będziesz mógł przysiąc albo odprzysiąc się.

BENIOWSKI.

Dlaczego milczą te mary?

PAMFILUS.

Bo nie mają co powiedzieć — rzecz prosta — bo nie mają co powiedzieć. — Daj im dzidy i życie, a będzie na świecie krzyku dosyć.

BENIOWSKI.

Smutek mię ogarnął dziwny.

PAMFILUS.

Spojrzałeś na zégar stojący.

BENIOWSKI,

W twarz mi bije wiatr przeciwny,
Jakiś straszny wiatr błyszczący.

PAMFILUS.

To z błyskawic wicher wieje
I od przyszłości odpycha.

BENIOWSKI.

Za tym wiatrem coś się śmieje
I coś płacze i coś wzdycha.

PAMFILUS.

Walkirye męczą Hamana.

BENIOWSKI.

Jakaś woda po kolana —
Daléj — tu drzwi: ha! zamknięte.
We drzwiach stoją węże wzdęte
Z szyją czarną i niebieską,
Zbite, jako deska z deską.
Obrócone ku nam gady
Z gardł płonące leją jady;
Jad rozlewa się i pali.

PAMFILUS.

To morze piekielne Walhalli!

Tu był skąpany Achilles: — dobrze umocz pięty, pamiętając na bramę Scejską. Gdybyś był nie gonił za dziewczyną, co

miała tęczę na głowie, nie zamoczyłbyś teraz butów w jadzie wężowym. — Widzisz, że z wszystkiego dobry człowiek może wyciągnąć moralną naukę.

BENIOWSKI.

Chodź za mną! — Coś błyszczy za morzem,
Przerznę się przez węże nożem.
A! a!

PAMFILUS.

Widzisz? — plac Odyna!

BENIOWSKI.

Drzewy zarosła dolina,
Pałac ze srebra na górze —
Na najwyższym stoi murze
Wiedźma, w błyskawicach cała.

PAMFILUS.

Tak! na głowie ma błyskawice, jak krągły słomiany kapelusz. — To Walkirya, a ten pałac jest arsenałem księżyców.

BENIOWSKI.

Jakto?

PAMFILUS.

Cóż, kiedy mi ty zaraz wystąpisz z astronomią i śmiać się będziesz z tego, co powiem.

BENIOWSKI.

Na Boga, mów! — Widzę trupa,
Co w bramę zamkniętą trąca.
Na nim leży twarz miesiąca
Jako na żółwiu skorupa,
W ręku miecze oburęczne. —
Patrzaj, już wchodzi do bramy
I przez okien puste ramy
Wylewa się światło miesięczne.

PAMFILUS.

Mówiłem ci, że zamek jest składem księżyców. — To, co ty widzisz na ziemi i nazywasz księżycem, a co się wydaje czasem okrągłe, a czasem rogate: nie czém innném jest, jak tarczą albo łukiem, który po śmierci niosą dusze rycerzy i tu składają w zbrojowni, aby się czém mieli bronić w dzień ostateczny, kiedy wilk będzie połykał słońce.

BENIOWSKI.

Co mówisz? — w dzień ostateczny
Wszystkie trupów milijony —
Każdy ma księżyc czerwony
Przed piersią i łuk słoneczny? —
Gdzieś na ciemnym niebios rogu
Takie wojsko przeciw Bogu?

PAMFILUS.

Nie zapalaj się, bo to jest Skandynawia, kraj zimny; — możesz dostać kataru.

BENIOWSKI.

Tęcza ognistych księżyców..

PAMFILUS.

Patrz raczéj tam pod drzewa! Widzisz jeden z najdziwaczniejszych pojedynków? Od czasu Don Kiszota nie było tak głupiéj walki. — Patrz! — Odyn ją rozetnie na trzy części, a potém zjé i popije czarą hydromelu i strawi.

BENIOWSKI.

Na Boga! jakaś dziewczyna
Na białym walczy rumaku.
Zbroja szmelcowana, sina,
Tarcza bez żadnego znaku —
Lecz na hełmie gwiazd girlanda.

PAMFILUS.

Przypatrz się, to święta Wanda,
Co dziś jak spita od chmielu
Powstała we śnie z Wawelu
I tu się jak rybka rzuca.

BENIOWSKI.

Zabił ją, wstąpił na płuca!
Za mną!!

PAMFILUS *(zatrzymując go).*

Gdzie lecisz, szaleńcze?

BENIOWSKI.

Zemszczę!

PAMFILUS *(do siebie).*

Czas rozwinać tęczę.

(Wszystko znika. Okazuje się znowu jezioro w dali, na przedzie mogiła; pod nią BENIOWSKI, PAMFILUS *i* WALKIRYA*).*

BENIOWSKI.

Jezu mój! — gdzie ja jestem?! — Kto jesteś, przeklęta
Czarna kobiéto z piorunem na głowie?
W ręku twym księga — w koło wicher i tętenta.
Lecę mścić się — tam jacyś walczyli duchowie
O co? nie wiem — lecz krew mi zawrzała namiętnie.
Choćby śmierć była w każdym z tych wichrów i tętnie,
Lecę mścić się, opierać — w ziemi i pod ziemią!

PAMFILUS.

Siądź i myśl.

BENIOWSKI.

Zimno mi.

PAMFILUS.

Siądź tylko — tu, na mogile! Dobra rada: — pomyśl pierwéj nad tém, co zamyślasz. (BENIOWSKI *siada*).

WALKIRYA.

Patrz teraz i mów!

BENIOWSKI.

Słabo mi — ten grobowiec zimny... Śnią mi się rzeczy straszne —

WALKIRYA.

Przeciwko tym i wszystkim?..

BENIOWSKI.

Nie mogę mówić —

WALKIRYA.

Zdecyduj się!

BENIOWSKI.

Choćbym miał ich zabijać duszą moją — do śmierci...
(pada i mdleje).

WALKIRYA.

O! gdybym łzy miała... *(do Pamfila)*. Weź tego człowieka.

PAMFILUS *(biorąc Beniowskiego)*.

Chodż na scenę świata. Poniosę cię na ramionach i rogami będę podrzucał. — Opór sam myśli kosztował ci dwa lata życia i pozbawił kochanki: a ty myślisz, że myślą można przelecieć nieskończoność, wyleciawszy z rana, i powrócić jeszcze na obiad? — Chodź, Achillu!... Do widzenia, Walkiryo!
(Odchodzi z Beniowskim).

DRUGI FRAGMENT.

(Okolica dzika i bezludna).

(Występują CHRYSTUS, MARYA *i* ŚW. PIOTR).

CHRYSTUS.

O Jeruzalem, Jeruzalem słowiańska! przychodzi godzina, że będziesz rozwaloną i rozbitą jak naczynie garncarza. —

Dla czegoście wy mury nie szły na południe? Dla czegoście wy wieże nie szły z krzyżami na głowach, mówiąc: Chrystus! Chrystus!

Stałyście na miejscu, jako morze bez fali, zasypiałyście jako trumny ołowiane; gdzie była praca i kuźnia nowych myśli, nie było was.

I powiedzą inni ludzie do pana winnicy: na cóż bierzesz robotnika onego, który śpi, który teraz późno przychodzi do winnicy, bez sierpa i bez siekiery?

Podniosę rękę nad tobą — lecz nie potępię: — albowiem będziesz ty ukrzyżowaną w dzieciach twoich i położoną w grób przez dzieci twoje i zmartwychwstaniesz przez dzieci twoje.

Przyszedłem w nocy cichéj z matką moją, abym cię pożegnał idącą do mogiły: — przyjdę w noc piorunową, abym cię widział zmartwychwstającą i powitał.

Albowiem już nie tamta, która stoi nad potokiem Siloe w cieniu drzew oliwnych, ale ty jesteś Jerozolimą moją i grobem moim.

MARYA.

Panie, tyś się zamyślił.

GŁOS Z MOGIŁY.

Skoczyłam do Wisły, cała w zbroi,
Kiedy biła godzina rozpaczy:

Dziś na grobie moim Chrystus stoi —
Wspomni o mnie mój Pan — i przebaczy.

CHRYSTUS.

Matko, ta mogiła woła do mnie z wnętrzności...

GŁOS Z MOGIŁY.

Leżę w hełmie u nóg mego Pana: —
Niech mię wskrzesi w pancernéj odzieży!
Na mym hełmie z gwiazd girlanda różana,
A krzyżowy miecz podemną leży.
Niech mię wskrzesi — ja piękna i młoda —
Niech mię wskrzesi, niech rękę mi poda!

MARYA.

Panie mój, azaliż ty nie możesz wziąć téj dzieweczki za rękę i podnieść z grobu?

CHRYSTUS.

Ujrzeliby ją i nie uwierzyliby ani w miecz jéj, ani w duszę jéj, ani w piękność jéj. — Z mogiły jéj wyprowadzę siedm kwiatów białych, i to będzie siedm oliw moich, pod którymi płakałem.

Tu, w ogrodzie bieli, proście, aby Pan odwrócił kielich goryczy od was: tu się módlcie!

(*Widać zdala* PAMFILA *i* BENIOWSKIEGO.

ŚW. PIOTR.

Panie, tam przechodzi szatan — i prowadzi człowieka! Widzisz ich na téj czerwonéj chmurze, co jak wąż z ognia leży na kręgu ziemi? Idą śpiesznie.

CHRYSTUS.

Dozwoliłem, aby człowiek ten oddany był na pokuszenie i spróbowany w ogniu. — Stało się.

ŚW. PIOTR.

Pozwól, że mu zajdę drogę i ukażę się na polu odkrytém.

CHRYSTUS.

Jeszcze nie czas. — Duszo, unieś nas!

(*Znikają*).

BENIOWSKI i PAMFILUS.

BENIOWSKI.

Stańmy tu gdzie na uboczy —
Mdleję z czczości i tęsknoty.

Tak mi bije ciągle w oczy
Ten schylony miesiąc złoty,
Tak mi ciągle myśl roztrąca
Bijąc w czoło...

PAMFILUS.

Jesteś pewny,
Że nic więcéj prócz miesiąca?

BENIOWSKI.

Rosa zimna — miesiąc rzewny —
Wiatr przeciwny i nic więcéj.

PAMFILUS *(do siebie)*.

To dobrze. — Myślałem już, że siódmym zmysłem obaczył tę trójcę na spacerze i będzie mi zadawał pytania, jak młokos stojący przed obrazem Rafaela z piérwszéj szkoły. — A teraz kijem pobijmy głowy tym liliom. *(łamie kijem lilie rosnące w około).*

BENIOWSKI.

Co to jest? — Nie widziałem nigdy, żeby lilie dziko rosły na polu, zwłaszcza na miejscu wyniosłém i suchém.

PAMFILUS.

Tak, to jest rzecz dosyć dziwna.

BENIOWSKI *(patrząc ku górom)*.

Więc to są moje rodzinne Karpaty! —
Oto nad niemi niebo się rumieni —
Powstają ze mgły w koronach z promieni...
Słońce wyleci jak orzeł skrzydlaty —
Lecz nie wiem jeszcze, z któréj wejdzie góry...

PAMFILUS.

Słońce? Jak orzeł mówisz złotopióry...
Trudno przewidzieć, gdzie wejdzie: — dziwne ma gusta! Raz ledwom mu w złotą nie zamalował papę... Patrzysz zdziwiony? — Czy myślisz, że słońcu nie można dać w pysk? — Panteistycznie biorąc rzeczy, będzie to s a c r i l e g i u m — ale jest rzeczą podobną. Słuchaj tylko: [1])

---

[1]) Ustęp następujący tak co do głównego toku myśli, jako też co do pojedynczych obrazów, a nawet i wyrazów, przypomina wiersz p. t. »Wschód słońca nad Salaminą,« zamieszczony w I tomie niniejszego wydania str. 188. *(P. W.)*.

Jechałem raz po falach Salaminy.
Kaika grecka siekła kryształ zbity —
Żagle jak srebrne konchy Amfitryty
Wydęte wiatrem — w tych muszlach majtkowie
Każdy jak rycerz złoty — srebrny — siny,
Z czerwonym klefta płomieniem na głowie...
Słuchaj, bo to poemat...
Fale wesołe nad łodzią tańczyły —
Słońce wstać miało, jak płomień z trójnoga. —
Słońce, myślałem, że wstaniesz z mogiły
Temistoklesa, jak z mogiły boga,
I będziesz wiary nowéj jasnym gońcem,
Jakby rycerza trup zmartwychwstał słońcem!
Lecz — (o głupia gwiazda!) —
Lecz weszła, gdzie był tron Xerxesa złoty,
Skąd widział, jak tył podawały floty,
Skąd się Greczyna przypatrzył odwadze! —
Stamtąd buchnęło w ogromnéj powadze
Czerwone słońce, jak król na dywanie. —
O słońce, złoty chaldejski bałwanie!
Jeśli ty wiesz, gdzie wschodzić...

BENIOWSKI (*pogrążony w swych myślach*).

Ranek świeży —
Mgły srebrne skrzydło na Karpatach leży —
Śnieżyce palą się jak rubinowe...

(*Widać idącego drogą* KRAKOWIAKA).

PAMFILUS.

Odwróć tam zadartą głowę!
Patrz — idzie Krakowiak i śpiéwa
Jak szczygieł z łebkiem czerwonym
Pomiędzy bukowe drzewa. —
Nie bądź mi tak zamyślonym!
Świat się budzi i weseli
I wkrótce słońcem wystrzeli
Jako butelka szampana.

KRAKOWIAK (*śpiéwa*).

Ej! ej! danaz moja, dana!

PAMFILUS.

Słuchaj, jak ten człowiek śpiéwa.

KRAKOWIAK *(śpiéwa)*.

Moja zonka sła bez mosta —
Ty kapucyn, ja starosta.

PAMFILUS.

Słuchaj homerycznéj pieśni ludu! Są to tak nazwane nonsensy, z których kiedyś ułoży się Iliada — jak ciebie nie będzie na świecie.

KRAKOWIAK.

Ty Rzepicha swego Piasta —
Za trzy grose bułka ciasta!

PAMFILUS.

Słuchaj! — Widzisz: w tych wierszach jest myśl, jak posąg rodyjski jedną nogą oparta na historyi bajecznéj, a drugą na dzisiejszéj statystyce — — prawdziwy monument! — *(do Krakowiaka)*. Powiédz mi, bratku, czy daleko stąd do Czarnego Zamku Beniowskich?

KRAKOWIAK *(śpiéwając)*.

Oj daleko, oj daleko
Moja rybo — bo za rzeką.

PAMFILUS.

Widzisz, tu jest nowy element — dowcip .. ex promptu! *(do Krakowiaka)*. A powiédz mi, którędy droga?

KRAKOWIAK *(śpiéwając)*.

Prosto idźcie tą ulicą —
Az las będzie kamienicą,
Az doliną będzie góra,
Jajko, kurcę — potém kura:
A zajdziecie tam za ciemka,
Gdzie jest studnia i karcemka;
Przy karcemce studnia stoi,
Gdzie się kacka sama poi —
Za studzienką most ze złota,
Tam o restę spytaj kota!

PAMFILUS.

Jakiby z tego człowieka był Arystofanes!... O! jak mało potrzeba wieśniakowi! — Rozradował się własnym dowcipem i patrzy na nas jak na Heloty. — Cóż? wiemy drogę do zamku twego — chodźmy! *(do Krakowiaka)*. Chodź no, bratku! *(daje mu grosz)*.

Masz za twoję naukę bąka saskiego: włóż go w usta, a będziesz niewidzialny. Jeśli zaś to, co obaczysz i usłyszysz w chacie, nie podoba ci się: to wybij żonę i klechę i przyjdź do Czarnego Zamku — po lekarstwo. Rozumiesz?

KRAKOWIAK.

Niski sługa Jegomości?

PAMFILUS.

Lecz nie mów księdzu, żeś nas spotkał, bo ten grosz straci wartość i cnotę.

(Rozchodzą się w przeciwne strony).

Tu pozwólcie, że wyjdzie na scenę poeta [1])
I wziąwszy w usta konchę bogatą perłami
Pieśniorodnymi, zabrzmi jak jeden z aniołów,
Co Amfitrytę morzem błękitném prowadzi
I ogłasza królową wesołym delfinom
Pieśnią pełną tryumfu. — O tak! — Amfitrytą
Jest dla mnie Polska, morzem płynąca zbożowém,
Pełna wdzięku i bieli. — Opowiem więc prosto,
Że ta królowa — słysząc idące z północy
Burze, kazała nimfom zaprzęgać łabędzie
Do srebrnéj muszli, sama usiadła na wozie,
Kiedy łabędzie, bliskie konania, śpiéwały
Pieśni smutne — i łzami zalana jechała
Do Olimpu, Jowisza groźnego ubłagać...
Lecz Jowisz leżał martwy pod krzyżem Chrystusa!
Czoło jego rozbite i mózg rozbryzgany —
Piorun się jeszcze w ręce ostygłéj dopalał
I rzucał złote błyski na krzyż i drugiego
Boga, zawieszonego na drewnie skrwawioném.
Zdala Walkirye z niebios otwartych patrzały,
Śpiéwając straszne runy, a ze skał Kaukazu
Wisiał Prometeusza trup z piersią rozdartą
I pustą. — Przez ten Olimp skrzydłami białymi
Przeniosły cię łabędzie, o Polsko, śpiéwając —

---

[1]) Cały ten wiersz, wstawiony w środek dramatu w kształcie niejako Parabazy, jest przekreślony w autografie. *(Przyp. Wyd.).*

Aż utuliły do snu, a potém usiadły
I konały, wylawszy swe życie pieśniami. —
A ty się obudziłaś, gdy już ich nie było.
Prosto więc poszłaś w gaje, pomiędzy sosnami
Siąść na bladych konwaliach. — Tam ciebie spotkałem —
Tam kazałaś mi śpiéwać to niebo skrwawione,
Te umarłe łabędzie i wdowią niedolę —
Podobna do posągu smutnego Nijoby.
Wziąłem więc w rękę lutnię i pośród rycerzy
Najśmielszego wybrałem; — a wprzódy mu rękę
Położyłem na sercu, czy biło jak ludzkie?
Czy się nie skruszy, wielką dotknięte żałością?
O rycerzu więc owym, co był ci do końca
Wiernym i różnéj nędzy dla ciebie kosztował,
Śpiéwać będę... i może ta pieśń nie przeminie.

Widzicie go więc teraz, że w ręku szatana
Traci młodość i z duszy ociéra skrzydlatéj
Motyle piérwsze blaski uczucia i wiary;
Widzicie go, że ufność mu wyszła na hańbę,
Że się dworskie tryumfy skończyły więzieniem.
Kiedy więc z jednéj strony po wielkich mogiłach
Stąpał Chrystus, jak człowiek, co gwiazdy złotymi
Ma napełniony przetak i z garści je sypie
Na przeorane pola: — to wtenczas po nocy
Na krwawych chmur czerwieni — podobni złodziejom —
Snuli się ludzie trudu — z sinymi twarzami,
Goniąc za szczęścia marą i widmem nadziei,
Która jako horyzont jest niedoścignioną.
Tak idąc, zaszli wkrótce do Zamku Czarnego,
Który stał na granicie, a las miał bukowy
Pod swoimi nogami, nad sobą zaś śniegi
I ciemne Oko-morza, zastygłe jezioro. —
Zamek ten za pomocą huculów zbójeckich
Na szwagrach swoich zdobył Beniowski orężem
I wypędziwszy z domu nieprawe dziedzice,
Osiadł w pustym pałacu i w ciemnych komnatach
Założył straszną myśli pracownię — z szatanem,
Aż z głębokości ziemi wywołał na jawę
Córki... wielkich tajemnic. — Tymczasem huculy

W bliskich grotach i w skałach, gdzie orły mieszkają,
Wieszali się nad zamkiem i z prawy ludzkimi
Toczyli straszną walkę. —

Jednego wieczora,
Gdy Beniowski w samotnéj zamknięty komnacie
Dumał, a przez tęczowe się szyby cisnęło
Rozpłomienione słońce: nad lasem bukowym
Stanęła przed nim matka umarła — w czamarze
Atłasowéj... i rzekła boleśnie: — Mój synu!
Czemu ty próżnym myślom oddałeś się cały,
Wtenczas kiedy ojczyzna już bliska skonania,
A jam jest nie zemszczona?! — [1])

---

[1]) Tu następuje ustęp w rękopisie, który — ile wnosić można — miał zastąpić dziewięć ostatnich wierszy, przekreślonych przez autorá zaraz po ich napisaniu:

Spada cień wieczora —
Słońce ogniste weszło między buki,
Las cały skrwawiał, zajęczały kruki. —
Szatan wywołał w zamku cień Hektora:
W ogromnéj zbroi, z krwawą w sercu plamą
I w hełmie stanął, jak pod Scejską bramą
I rzekł: — Beniowski, podobne cię losy
Czekają na téj ziemi. . Będziesz zbity,
Kurz zwala blaski twojéj śnieżnéj kity
I krew poklei twoje krucze włosy!
Jak ja pod Troją — zginiesz i płomieniem
Będziesz pożarty — reszta jest milczeniem...
Westchnął i zniknął. — A Beniowski blady:
— Wywołaj jeszcze mi kogo z pod ziemi!
Rzekł, i z gwiazdami na czole srebrnymi
Wyszły dwa cienie: synowie Hellady,
Kastor i Pollux — i wrzasnęli razem:
. . . .
. . . .

AKT DRUGI.[1])

Tu powietrze roztopione,
Płomieniste wieją zdroje,
W tém powietrzu serce moje
Całe płonie — cały płonę —
Czuję zimny dreszcz we włosach —
Gdzież jest miłość? czy w niebiosach?
Czy ją można wolą stworzyć...
Czy przywołać zachwyceniem?..
Muszę zwiędły wstać i ożyć,
Zlać się z iskrą — wstać płomieniem...

PAMFILUS.

Chcesz miłości, już gotowa...
Czy gdzie gwiazda brylantowa
Przemieniła się w kobiétę
I tu z niebios ciemnych spada?..
Czy gdzie z buków tych Dryjada?
Czy wywołasz Amfitrytę?
Tam u śniegów — tam wysoko,
Gdzie jak kryształ — Morskie Oko

. . . .
. . . . Tam gdy noc zapadła,
Jawiły się w ciemności okropne widziadła,
I ze zmierzchem w skrwawione mury zachodziły,
Blade — z rękami na krzyż — z wilgotnéj mogiły.
. . . .
. . . . Onego więc czasu,
Ksiądz Marek, który wielkie gotował powstanie,
I z biskupem Krasińskim się w Wiedniu naradzał,
Bosy Ksiądz — gdy go zaszła noc głucha w Karpatach,
Do Beniowskiego zamku zapukał... Pamfilus
Otworzył drzwi i cofnął się blady — Od krzyża
. . . .

---

[1]) W »Warcie« wydrukowano z rękopisu nieznane urywki z Aktu II; podajemy je tutaj według tego czasopisma. *(Przyp. Wyd.)*.

AKT TRZECI.

(Sala w Czarnym Zamku).

BENIOWSKI — PAMFILUS i HUCUŁY.

BENIOWSKI.

Wyście mi zamek ten pomogli zdobyć
Na moich stryjach: jakże wam nagrodzę?

HUCUŁY.

Zostaw spokojnych! — My żyjemy w górach,
Pijemy z kaskad srebrnych jak orłowie;
Wieśniak się z nami każdy chlebem dzieli,
Każda dziewczyna utka nam koszulę,
Każdy z bacówki ją w maśle usmaży.
Bywaj zdrów! — My nic nie chcemy od ciebie. —
Biłeś się jak lew: choć pan — jesteś tęgi.

BENIOWSKI.

Pomiędzy wami z dworskiego fircyka
Stałem się znowu człowiekiem. — Huculy,
Mój zamek za wasz własny uważajcie,
A jeśli kiedy będziecie uchodzić
Przed Cesarskimi: patrzcie — tu są mury,
Które obronią was.

HUCUŁY.

Bądź zdrów i szczęsny! *(odchodzą).*

PAMFILUS.

O dobrzy ludzie! ludzie wyśmienici!
Szanowne bardzo zbójce, z dobrém sercem! —
Mam oczy pełne łez — szanowni ludzie!
Jaka to szkoda, że pies na nich szczeka,
Że na nich w mieście szubienica czeka.

BENIOWSKI.

Można li mierzyć człowiekiem człowieka?
Ci ludzie innéj potrzebują miary.

PAMFILUS.

Natura na nich pogląda przez szpary.

BENIOWSKI.

Natura — kiedy stawiła te góry,
Kiedy sadziła te buki skrzydlate,
Gdzie teraz słońce jako świat z purpury
Pada i tonie — nie mogła o innych
Ludziach pomyśleć.

PAMFILUS.

Tak, Fauny brodate. —
Ale zostawmy tych ludzi w pokoju! —
Cóż myślisz robić w zamku odzyskanym?
Nie będziesz szczędził jadła i napoju,
Chorągiew zatkniesz na kurku blaszanym:
Zejdą się zewsząd weseli pielgrzymi,
Skoro zobaczą, jak twój komin dymi.
Uczynią z ciebie małego królika.

BENIOWSKI.

Natura moja posępna i dzika
Lęka się teraz nowych przyjacieli.

PAMFILUS.

Starych cię tutaj wnet twarz rozweseli,
Sprowadzę starych. Teraz się, jak śmiecie
Przed burzą, wichrzą Polacy po świecie...
Nie trudno będzie o jakie pół kopy;
Ale poradzę ci: wprzódy się ożeń
I bądź Ulissem jakiéj Penelopy.
Dąb wtenczas rośnie, gdy w głaz puści korzeń.

BENIOWSKI.

Nie gadaj o tém — to jeszcze zawcześnie.

PAMFILUS.

Tak, tak. — Małżeństwo jest jako czereśnie:
Wprzódy je wróble oskubią złodzieje,
A potém człowiek zjada nadgryzione. —
Niech żyje wolna miłość!...

BENIOWSKI.

Las ciemnieje
I słońce w buków zapada koronę,
Słyszysz? — Ktoś stuka w bramę do zamczyska.

(*Wchodzi* PIELGRZYM).

PIELGRZYM.

Niech będzie Jezus Chrystus pochwalony!
Pozwólcie zasiąść chwilę u ogniska —
Pielgrzymem jestem...

BENIOWSKI.

A skąd? z jakiéj strony?

PIELGRZYM.

Z Rzymu powracam.

BENIOWSKI.

To droga nie bliska. —
Posil się — widzę, że jesteś strudzony.

PIELGRZYM.

Wolno tabaczką służyć?

BENIOWSKI.

Jaka?

PIELGRZYM.

Rape. —
Czemu Wacpaństwo tych gór nie czyścicie?
Wilcy mi zjedli na popasie szkapę
Z siodłem, gdzie było skórzane zawicie
Pełne rożańców. Te wilki pohańce
Zjadły mi całą szkapę i rożańce.

BENIOWSKI.

Jakieś wesołe to mnisze biédactwo!

PAMFILUS.

Najświętszéj Panny będzie z wilków bractwo.

PIELGRZYM.

Na Boga! Dyabła tutaj czuję nosem.
Kto jest ten chudosz? Cóż to? gdzie się podział?
(Pamfilus znika).

BENIOWSKI.

W słońce utonął — w powietrze się odział,
Jest w zamku tym echem — powietrzem i głosem —
Ciemnością i ciszą — i mgłą i płomieniem,
Jest wszędzie i nigdzie go nie ma —

PIELGRZYM.

Spojrzeniem
Zabiłem dyabła! — młodzieńcze, bądź wdzięczny!

BENIOWSKI.

Nie bój się — wróci!

PIELGRZYM.

Ha! ha! będzie zręczny,
Jeśli nos wściubi tam, gdzie ja przewodzę. —
Każ przygotować wieczerzę, bo w drodze
Jest stado panów polskich i tu leci.

BENIOWSKI.

Któż to są ci goście?

PIELGRZYM.

Kamień, na którym ja zbuduję mój kościół — petra, szczéra petra! Książę Panie Kochanku, który woził siostrę do Rzymu po rozwód — Karlomanus nowy. — Czy to prawda, co o Wacpanu mówią, że należałeś do konfederacyi pana Zakrzewskiego, która godziła na życie tego Pomazańca, który był pomazany teufeldrekiem — na zgubę narodu naszego?.. Czy to prawda, że Wacpan się cudownym sposobem wydostałeś z więzienia? — Imię Wacpana już jest głośne w Polsce.

BENIOWSKI.

Wstydzę się, mój księżyno, że mam głośne imię — z niczego!

PIELGRZYM.

Coś ci powiem: — gotuje się w Polsce powstanie narodu — krucyata, na którą wymodliłem patent u Ojca Świętego. — Weź krzyż i nie grzész więcéj! Nie przyszedłem tutaj na ślepo; cudem ognistym ostrzeżony byłem o twoim wypadku: przyszedłem cię ratować, a dyabeł ustąpił z placu przed księdzem Markiem z Berdyczowa.

BENIOWSKI (*wskazując przez okno*).

Widzisz go?

KS. MAREK.

Widzę, że jak nietoperz unosi się nad przepaściami.

BENIOWSKI.

Zniknął.

KS. MAREK.

Bądź dobréj myśli i przyjmij tu gościnnie pany polskie Tu zawiążemy konfederacyą i oddamy ją pod opiekę Najświętszéj Panny Niepokalanego Poczęcia.

(Słychać śmiech czartów w sklepieniu sali).

BENIOWSKI.

Słyszysz śmiech w sklepieniu?

KS. MAREK.

Odpędź te strachy — będę z tobą do końca. — Dla czego tu tak pusto?

BENIOWSKI.

Sługi wybite: zamek ten długo dobywałem na stryjach moich — wały jeszcze krwią zbroczone. — Oprócz staréj ochmistrzyni, a niegdyś mamki mojéj, nie ma nikogo w zamczysku.

KS. MAREK.

Zaludnimy go i rozweselimy — a teraz prowadź mię: wodą święconą pokropię pokoje i Bóg tu zamieszka w pokoju. *(Wychodzą).*

(Szczyty gór nad Morskiém Okiem. Śród wichru i błyskawic przylatuje PAMFILUS).

DYABEŁ.

Na szczycie gór,
Gdzie światła brzég,
Gdzie orłów chór,
Piorunów ściég —
Gdzie Morskie Oko
Pod lodów tarczą
Jęczy głęboko,
Gdy chmury zawarczą,
A całe się krwawi,
Gdy tęcz błyśnie szarfa,
A płacze jak harfa
Od jęku żórawi: —
Tu w bieli, w śnieżycach,
Przy chmurnych straszydłach
Jak duch w błyskawicach,
W piorunach — na skrzydłach,
Na was, wichry moje,
Znów jestem i stoję...

WALKIRYA.

Ja także — duch losów,
Twa siostra i wężów,
Pioruny lejąca z włosów,
A krew sącząca z orężów,
Najstraszniejsza na niebie —
Tu czekałam na ciebie.

DYABEŁ.

Skąd ty lecisz? z daleka?

WALKIRYA.

Z północnego bieguna
Na przebłysku pioruna.

DYABEŁ.

Siostro, tego człowieka...

WALKIRYA.

Wiem — wydarto ci z ręku! —
Lecz ten człowiek nasz będzie —
Nasz, nasz, zawsze i wszędzie!
Jak harfa pełna jęku,
Jako gwiazda stracona —
Nasz będzie — nasz, nim skona.

DYABEŁ.

Czy widziałaś Chrystusa?
Włóczy się przez ciemnotę
I sieje gwiazdy złote
Z Pelejad i Syryusa...
Jak chłop w kraj przeorany,
Sieje gwiazdy w kurhany.

WALKIRYA.

Niech wejdą kłosy świetne,
Niechaj wejdą czerwone!
Walkirya — mrozem zionę
I sierpem krwawym zetnę. —
Cóż tam więcéj na ziemi?

DYABEŁ.

Wrzask i nędza i burza.

WALKIRYA.

Patrz — księżyc się wynurza
Malowany świętymi
Jako tarcza tęczowa —
Niknij!

DYABEŁ.

Siostro, bądź zdrowa! —

. . . .
. . . .

SPIS PRZEDMIOTÓW.

w tomie III^cim^ zawartych.

	Str.
Beatryx Cenci, tragedya w pięciu aktach	1
Niepoprawni, dramat w pięciu aktach	89
Horsztyński, dramat w pięciu aktach (zdefektowany)	187
Krakus, dramat (Fragment)	285
Wallenrod, dramat (Fragment)	301
Walter Stadion, dramat (Fragment)	336
Jan Kaźmierz, dramat (Fragment)	341
Złota Czaszka, dramat (Fragment)	357
Beniowski, dramat (dwa Fragmenty)	393

KONIEC TOMU III^go^.